BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 202.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

POŚWIĘCONE NAUKOM, SZTUKOM I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1891.

Tom drugi.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Foksal Nr. 6.

1891.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Апрѣля 1891 года.



W drukarni E. Lubowskiego i S-ki, Mazowiecka № 8.

NOWA FILOZOFIA

w Polsce wieku XVIII-go.

Próby przyswojenia szkole polskiéj i piśmiennictwu zdobyczy naukowych zachodu uprzedziła krytyka nowéj filozofii, podjęta przez duchowieństwo zakonne ze stanowiska interesów religii. Szczególnie wrogie względem niéj stanowisko zajęli jezuici, upatrujący w nowatorstwie niebezpieczeństwo dla wiary. Oni pierwsi wystąpili przeciwko Kartezyuszowi, długo nie mogli pogodzić się z naukami doświadczalnemi.

Ksiądz Jerzy Gengell († 1730), rektor kolegium jezuickiego gdańskiego, autor dzieł polemicznych, wymierzonych przeciwko luteranizmowi, kalwinizmowi i jansenizmowi, w dwóch książkach, ogłoszonych w Brunsberdze: „Eversio atheismi“ (1716) i „Gradus ad atheismum“ (1717), pierwszy zaatakował Kartezyusza, przedstawiając go za gorszyciela i nieprzyjaciela religii. Podstawę całéj filozofii kartezyańskiéj stanowi—pisze Gengell—wątpienie. Każe nam Kartezyusz wątpić o wszystkiém i dowodzi, że nic niéma pewnego, nawet czy świat widomy rzeczywiście istnieje, czy jest ziemia, niebo i jakikolwiekbądź przedmiot, kształt, wielkość i miejsce. Powątpiewa o wiarogodności takich pewników, jak: że całość jest większą od swojéj części; że ilości równe trzeciéj, są sobie równe. Tego rodzaju premisy czyż nie prowadzą do wątpienia o istności samego Boga?

Kartezyusz uczy, jako Bóg mógł sprawić, że dwa razy dwa nie czyni czterech; że jeden i ten sam przedmiot jednocześnie istnieje i nie istnieje; że twierdzenia sprzeczne mogą być prawdą. Czyż to nie prowadzi do wniosku, że Bóg jest i Boga niéma; że jednocześnie jest i nie jest? Za fraszkę poczytuje Kartezyusz argumenta największych filozofów i teologów, powoływane ku stwierdzeniu istnienia Boga; tymczasem przywodzone przez niego nie mają nawet pozoru prawdy, z gruntu są mylne. Aksyomat: *cogito, ergo sum* błędny jest również. Kto wątpi, czy istnieje, wątpić téż może, czy myśli. W ogóle doktryna kartezyańska, jako prowadząca do negacyi nieśmiertelności duszy ludzkiéj i egzystencyi Boga, stanowi jeden ze stopni do ateizmu. Nie jest Kartezyusz twórcą filozofii zreformowanéj i zdrowéj, jak twierdzą jego zwolennicy, lecz raczéj koryfeuszem zepsucia, jak słusznie świadczą liczni znanéj sławy uczeni. Traktuje go ks. Gengell z wysoka: zarzuca mu, że niczego dokładnie nie umiał. Bardziéj się ubiegał za nowością, niż prawdą; więcéj za sławą rozgłośną, niż poczciwą [1]).

W r. 1724 ponowił Gengell wydanie „Gradus ad atheismum“ we Lwowie, gdzie jako rektor kolegium do walki przeciwko Kartezyuszowi przykładem swoim zagrzewał innych. W r. 1746 profesor szkół lwowskich, Jan Kowalski, pod imieniem ucznia swego, Michała Drużbackiego, wystawił na dysputę publiczną rozprawę przeciwko Kartezyuszowi, a w obronie Arystotelesa [2]); na ten sam temat w r. 1748 miał mowę jezuita również, Stanisław Jaworski [3]). Ostatni dowodził, że Kartezyusz nie zgadza się często sam z sobą, gdy Arystoteles jest zawsze z filozofią swoją w harmonii i bardziéj, niż inni, da się nagiąć do prawd kościelnych. Dla stwierdzenia mylności doktryny kartezyańskiéj, powołuje się mówca na powagę pogromcy herezyi (haeresum bellator), Gengella; wskazuje też na ateizm Spinozy—przykład dowodny, do czego doprowadzić może wątpienie.

Teorye, przeciwko którym wojowały pisma jezuitów, miały już w kraju odgłos, znachodziły nawet wyznawców. Zapoznawała się z niemi za granicą młodzież zamożniejsza, dla któréj wiedza nie sta-

---

[1]) „Gradus ad atheismum“, str. 112—121, passim.

[2]) Rozmowa o filozofii, przez Michała Drużbackiego, skarbnikowicza podolskiego napisana, a przy dokończeniu filozofii w szkołach lwowskich „Soc. Jesu“, oraz z tąż całą filozofią na publiczną dysputę wystawiona... d. 8 Lipca R. P. 1746. 8-o, kart nlb. 48. Porównaj Janockiego: „Lexicon derer itztlebender Gelehrten in Polen“. Wrocław, 1755, t. II, str. 184.

[3]) „Praefatio oratorio-philosophica“. Wyszła w r. 1767 w Warszawie w zbiorze p. t. „Specimina literaria laborum in Reipublicae Orthodoxae atque Ecclesiae obsequia susceptorum“.

nowiła wprawdzie celu głównego, pożądaną była przecież jako jeden z motorów błyszczenia towarzyskiego, narzędzie zniewalania sobie opinii i torowania drogi do karyery publicznéj. Stanisław Mateusz Rzewuski, mając w Paryżu syna, późniejszego wojewodę wołyńskiego, zalecał pod datą 4 Sierpnia r. 1721 guwernerowi Kaweckiemu: „życzę aplikować się *ad Cartesianam*, przynajmniéj dla diskursu“ [1]: Obznajamiali młodzież z teoryami filozoficznemi zachodu cudzoziemcy Francuzi, Włosi i Niemcy, przybywający do Polski dla chleba, sprowadzani w charakterze pedagogów na dwory magnatów. Osiadły w r. 1740 w Warszawie teatyn, ks. Antoni Marya Portalupi († 1791) krzewił filozofię profesora halskiego Krystyana Wolffa; pomysły tegoż uczonego rozpowszechniał sprowadzony w 1743 na guwernera przez podkanclerzego Małachowskiego, Wawrzyniec Mitzler de Kolof [2]. Niektórzy wreszcie z luminarzy duchownych przeszczepianiu wiedzy zachodniéj na grunt ojczysty nie skąpili poparcia. Wizytator generalny misyonarzy, Piotr Hiacynt Śliwicki (1705 †1774), oczyszczał w seminaryach swego zgromadzenia wykład teologii z dziwolągów scholastycznych [3]. Andrzéj Stanisław Kostka Załuski, biskup chełmiński, kanclerz w. kor., obmyślał sposoby podniesienia nauk w akademii zamojskiéj. W liście, pisanym z Drezna 29 maja r. 1745, następujące ordynatowi Tomaszowi Zamoyskiemu podawał rady: „Albo profesorów dobrych, we wszelkich naukach zupełnie wyćwiczonych, z cudzych krajów zaciągnąć...; albo młódź akademiczną do cudzych krajów posyłać, wybrawszy takie subjekta, w których większa wydaje się sposobność i otwartszy umysł, ażeby im tam spadła ta fatalna łuszczka z oczu, która nie dopuszcza *discernere* dobrych i prawdziwych w naukach postępów... A kiedy jeszcze nastąpi *lex domestica*, żeby żaden nie mógł miéć katedry *ad docendum*, pókiby się sam nie uczył przez kilka lat w akademiach cudzoziemskich—dopiero WMM. Pan obaczysz z pociechą *uberes studiorum fructus et frequentiam* uczących się, którzy z całéj Polski *confluent* tam, gdzie *vera scientia invitabit scire cupientes*“ [4]). Zostawszy, po zmarłym w r. 1746 kardynale Lipskim, biskupem krakowskim, a tém samém kanclerzem aka-

---

[1]) „Encyklopedya wychowawcza“, w art. „Caraccioli“.

[2]) Powiada Mitzler o sobie, że był „einer der ersten Apostol der Wolfischen Philosophie in Pohlen“ („Warschauer Bibliothek“ str. 170); o Portalupim zaś że: „philosophiam Wolfianam inter primos in Polonia docuit“ („Acta litteraria, trimestre II“, str. 130).

[3]) Mitzler. „Acta litteraria, tr. II“, str. 135“. „Śliwicki... methodum scholasticam tractandi theologiam in seminariis congreg. suae abrogavit...“

[4]) Łukaszewicz. „Historya szkół“ II, str. 107, 108 w przyp.

demii, zamierzył Załuski zaprowadzić w niéj reformę w wykładzie filozofii i nauk matematycznych. Będąc w zażyłych stosunkach z Wolffem, postanowił sprowadzić go do Krakowa, aby dał kurs publiczny filozofii i matematyki i przysposobił młodzież do wykładu tych nauk w akademii i jéj koloniach [1]). Współcześnie (1740—1753) pijar, Stanisław Konarski, organizował w Warszawie konwikt dla szlachty i zabiegał około reformy szkolnictwa. W ustawach, dla których w latach 1753 i 1754 pozyskał zatwierdzenie kapituły łowickiéj i Rzymu (*Ordinationes visitationis apostolicae*), unikać każe profesorom przy wykładzie teologii kwestyi nieużytecznych, niemających związku z obyczajami i wiarą, zaleca najnowsze zdobycze wiedzy [2]). Wypędził ze szkół pijarskich scholastycyzm, pamięciowość zastąpił rozumowaniem, podniósł skalę wykładów matematycznych, do geografii wprowadził atlas i globus, dał też prawo obywatelstwa fizyce doświadczalnéj.

Podobny stan rzeczy pobudzał zwolenników staréj filozofii do oporności i walki. *Facultas philosophica* w akademii krakowskiéj propagowania nowości strzegła się pilnie. „O Kartezyuszu, Gassendim, Lejbnicu i Newtonie nie mówiono tam, tylko odrzucając ich układy filozoficzne, kończąc zawsze na tém, że chrześciańskiemu filozofowi nie wolno udawać się za nowemi filozofów sektami, ale owszem, winien trzymać się jednéj, a to arystotelesowéj, poprawionéj przez Św. Tomasza". Nie przyzwolili profesorowie krakowscy na sprowadzenie Wolffa, aby jako protestant i nowator nie zaszczepiał śród młodzieży herezyi. Nie mogąc mieć filozofa, wysłał Załuski własnym kosztem do Hali akademika ks. Marcina Świątkowskiego dla studyowania matematyki i umiejętności fizycznych. Człowiek ten dużo skorzystał pod głośnym w Niemczech mistrzem; za powrotem (1749) do Krakowa, chciał dawać lekcye matematyki sposobem, używanym przez Wolffa, i wyrabiać powoli upodobanie do nowéj filozofii; lecz, prześladowany od starszyzny, musiał się od zgromadzenia akademickiego oddalić [3]). Współcześnie zaćmiła niebo polskie chmura grotów, jakie wyrzucili z kołczanów swoich zwolennicy filozofii Arystotelesa, z okazyi działalności pijarów. Uderzyli jezuici [4]) na Konarskiego za pokuszenie

---

[1]) Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panow. Augusta III". Poznań, 1841, t. I, str. 153.

[2]) „Ordinationes visitationis apostolicae". Pars II, § III, art. 84; III, § XVIII, art. 274.

[3]) Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce" I, str. 148—153, passim.

[4]) Wieruszewski („Literae amici ad aut. libelli de emend. vitiis", 1741), Grodzicki („De perversa atque inepta stili ad scriptoris veteris exemplum confor-

zreformowania wymowy (*De emendandis eloquentiae vitiis*, 1741); rzucili się na Wiśniewskiego, że nową filozofię krzewił słowem żywém i piórem.

Antoni Wiśniewski (1718 †1774) po odebraniu nauk elementarnych u jezuitów, w mieście rodzinném Łęczycy, przeszedł w czternastym roku życia do pijarów łowickich, w kilka lat późniéj wstąpił do ich zgromadzenia i niebawem przyjął święcenia. Filozofię studyował w Podolińcu, teologię w Warszawie, gdzie téż rozpoczął w konwikcie Konarskiego na Żoliborzu zawód pedagogiczny od nauczania gramatyki i arytmetyki. Korzystając z zasobności biblioteki pijarskiéj, zagłębiał się w dziełach matematycznych i filozoficznych; pilnością własną doszedł do rezultatów, z któremi ośmielił się wystąpić publicznie. W r. 1746 w pałacu biskupa krakowskiego w Warszawie, w obecności samego Załuskiego, prałatów i osób świeckich, wygłosił przez usta najlepszego z elewów swoich, Ignacego Paca, „Propositiones philosophicae ex physica recentiorum“ [1]), w których z całą stanowczością oświadczył się za nowym w nauce kierunkiem. Tłómaczył doniosłość odkryć w dziedzinie fizyki doświadczalnéj, nastawał na płonność dociekań scholastycznych. Obecni wykładowi zwolennicy wiedzy zachodniéj nie szczędzili Wiśniewskiemu uznania i pochwał. Konarski zajął się dalszym losem jego,—ułatwił mu wyjazd za granicę z synem wojewody krakowskiego, Kacprem Lubomirskim, przy którym dwudziesto-dziewięcio-letni pijar pełnił obowiązki mentora. Wyjechał w r. 1747: zwiedził Rzym, dwa lata bawił w Turynie. W uniwersytecie turyńskim, w którym jaśnieli głośni w nauce profesorowie pijarzy: Vacca i Beccaria, słuchał w godzinach wolnych od zajęć obowiązkowych wykładów matematyki i fizyki doświadczalnéj. W powrocie do kraju przebył czas pewien w Wiedniu, gdzie uczęszczał na wykłady astronoma Marinoniego i matematyka jezuity Franza. Zaledwie wrócił do Warszawy, w tym samym roku 1750 udał się znowu w charakterze mentora młodego hrabiego Löwendhal do Francyi. W Paryżu przez rok cały słuchał fizyki Nollet'a, następnie z polecenia zwierzchności swojej udał się do Londynu dla zakupu ksiąg matematycznych i narzędzi fizycznych. Po półrocznym pobycie w stolicy Anglii, zwiedził Holandyę i główniejsze wszechnice nie-

---

matione liber, 1746) i Malczewski („Specimina ligatae et solutae eloquentiae“, 1747. „De vera eloquentia disceptatio, ejusdem analysis Cicerone illustrata, 1748).

[1]) Wyszły z druku w Warszawie r. 1746, in f. pl. 5 z uzupełnionym tytułem: „in aedibus Zaluscianis, celeberrimo coram Regni Procerum conventu, propugnatae“.

mieckie: halską, gdzie poznał Wolffa, i lipską. Po powrocie do kraju objął w konwikcie Konarskiego wykład matematyki i fizyki, który z przerwami małemi prowadził przez lat dwanaście. Urządził gabinet, zaopatrzył go obficie w narzędzia i machiny. Jasnym wykładem, zręcznie wykonywanemi doświadczeniami budził w młodzieży zamiłowanie do przedmiotu, pierwszy raz w Polsce traktowanego ze stanowiska wiedzy zachodniéj [1]).

Wyznawcy filozofii arystotelesowéj, zarówno z powodu wystąpienia Wiśniewskiego w r. 1746, jak i dalszéj działalności jego w konwikcie, naciągnęli łuki scholastyczne i rozpoczęli batalię.

Profesor różnych szkół jezuickich, ks. Andrzéj Rudzki, nastawał na Wiśniewskiego najprzód w wydanéj w r. 1747 w Poznaniu pod nazwiskiem Wojciecha Obrębskiego rozprawce: „Philosophia orthodoxa omnium ferme saeculorum consensu, doctissimorum virorum existimatione, Ecclesiae autoritate, cum suo principe Aristotelae celebratissima“ [2]); w 1750 ogłosił w Lublinie przeładowaną pomysłami Gengella „Aristotelicam philosophiam, quaestionibus eruditis ac notis sententiarum illustratam“, w któréj zwolenników nowych kierunków naukowych poszlakuje o podkopywanie religii. Dziesięć jest, zdaniem jego, stopni do ateizmu: grzechy ciężkie, popełniane z nałogu; lubieżność wyuzdana; pycha i zarozumiałość, zwłaszcza w tych, którzy śmią lekceważyć najznakomitsze w nauce powagi; machiawelizm; opaczne tłómaczenie prawd ewangielicznych; szerzenie wymysłów dziwacznych w mowach i pismach; herezye; kalwinizm, luteranizm, oraz inne sekty przeciwne wierze objawianéj; takie sentencye filozoficzne jak, że cokolwiek istnieje i nie istnieje; w końcu nauka Kartezyusza i jego zwolenników. Osobne poświęca Rudzki ustępy dowodzeniu, że nowa filozofia obala wiarę w Boga, nieśmiertelność duszy, sakrament eucharystyi i prawdy religii. Jednocześnie (1750) autor „Rozmowy o filozofii“, Kowalski, wydrukował przeciwko Wiśniewskiemu w Kaliszu pod nazwiskiem Antoniego Kuleszy „Philosophiam peripateticam orthodoxis veritatibus prae aliis sectis philosophicis conformiorem“ [3]), w któréj, podobnie jak Rudzki, krzewienie nowéj filozofii poczytuje za zamach na wiarę. W r. 1752 Adam Malczewski wytłoczył w Poznaniu w tym samym duchu napisaną książeczkę, któréj jednak zwierzchność jezuicka puścić w obieg wzbroniła [4]).

---

[1]) Bielski. „Vita et scripta Piar.“ Warszawa, 1812, str. 101—107. Janocki „Lexicon“. I, str. 171—174.

[2]) Janocki. „Lexicon“. I, str. 143.

[3]) Janocki. „Lexicon“. I, str. 81.

[4]) Janocki. „Lexicon“. I, str. 102.

Rudzki z Kowalskim stanowili dopiero awangardę korpusu, mającego niebawem wystąpić przeciwko Wiśniewskiemu do walki całą swą siłą.

W Czerwcu roku 1752 uczniowie kolegium warszawskiego pijarów wystawili na popis publiczny „Propositiones philosophicas ex illustrioribus veterum recentiorumque philosophorum placitis depromptas“ (4-o, kart 8), dedykowane przez wojewodzica bracławskiego, Świdzińskiego, królewiczowi Ksaweremu. Obrony podjęli się: Józef Dąbkowski, Adam Worowski i Ludwik Ekielski — przedstawiciele trzydziestu dziewięciu młodzieńców, studyujących w kolegium filozofię. W tezach swoich definiują młodzi adepci filozofii najprzód nauki, należące do umiejętności matematyczno-fizycznych: arytmetykę, algebrę, geometryę i mechanikę; określają znaczenie każdéj, przywodzą odkrycia Gravesandego, Newtona, Bernoullego, Wolffa, Kartezyusza i innych. Fizykę nazywają koroną filozofii, przenika bowiem nieba, powietrze, ziemię i wody; wszystkie ciała, spostrzegane we wszechświecie, ogarnia swoją bacznością. Z teoryi zarówno filozofów starożytnych, jak nowożytnych: Gascendiego, Kartezyusza, Lejbnica, Wolffa, dotyczących budowy materyi, na żadną zdecydować się nie chcą: „która z nich prawdziwa—Bóg wie; która najpodobniejsza do prawdy—rozstrzygnąć trudno“. Oświadczają się tylko za teoryą astronomiczną Kopernika. „Hipoteza Kopernika jest ze wszystkich najpiękniejsza i najprostsza; najwyborniejszy stanowi klucz do zrozumienia zjawisk niebieskich. Nie z pychy narodowéj, lecz przez miłość prawdy podnosimy ją i wedle sił naszych sławimy“.

Tak stanowcze oświadczenie się wychowańców pijarskich za filozofią nową zwolenników perypatetyzmu przejęło zgrozą. Dominikanin, Mikołaj Zakiewicz [1]), wygotował i ogłosił zaraz „Vindiciae accidentium peripateticorum“, które wymierzył przeciwko Wiśniewskiemu, jako głównemu gorszycielowi młodzieży. Rozprawa napisaną została dla dysputy publicznéj, w któréj obronę perypatetyzmu brali na siebie: jezuita Jan Kowalski, oraz dominikanie: Hiacynt Kukliński i Ludwik Schlegel. Odbyła się istotnie 5 Września r. 1752 w kościele dominikańskim wobec licznego zgromadzenia osób duchownych i świeckich. Dominikanie atakowali pijarów zaciekle, Wiśniewskiemu zarzucali herezyę. Z dwóch ochotników, którzy zapowiedzieli obronę nowéj filozofii, rezydent francuski, Du Perron de Castera, na kilka dni przed dysputą umarł, pozostał jeden ksiądz Józef Tori, teatyn, od r. 1750 osiadły w Warszawie. Drobny staturą, odznaczał się Tori śmiałością i ogniem. Wykształcony i nieporównany w dyalektyce, był

---

[1]) Janocki. „Lexicon“. I, str. 183„

postrachem przeciwników: zasłynął téż jako *flagellum disputantium*, bicz na dysputujących. Miał on podobno stanowcze nad przeciwnikami odnieść zwycięztwo; pod wpływem argumentacyi jego, jezuici postanowili filozofię nową zaprowadzić w swych szkołach [1]).

Wiśniewski bezpośredniego udziału w dysputach nie brał, nie odpowiadał téż na piśmienne jezuitów i dominikanów zarzuty. Gdy dostał do rąk Rudzkiego „Aristotelicam philosophiam illustratam", napisał na jéj karcie tytułowéj przypowieść Salomona: „Ne respondeas stulto juxta stultitiam ejus, ne efficiaris ei similis" [2]). Korzystając z ochoczości Torego, protekcyi Du Perron de Castera, który go osłaniał przed zarzutem kacerstwa, zatykał uszy na zgiełki polemiczne, oddał się całkowicie obowiązkom profesora kolegium. Pisał też na temat nowéj filozofii niewiele: w r. 1753 ogłosił pierwszy tomik „Kolędy warszawskiéj", zawierającéj nieco „ciekawości fizycznych"; w 1753 wystąpił publicznie przy otwarciu akademiki referendarza Załuskiego z mową („Oratio de utilitate ex Varsaviensi bonarum artium et scientiarum academia"), w któréj wyraził życzenie założenia Towarzystwa naukowego, iżby „światłem swojém przewodniczyło polityce, podniosło matematykę i filozofię, teologię uwolniło od zadań bez wagi, krytykę ujęło w rozumne reguły, język zaś polski, nabyty z mlekiem matczynym, do starodawnéj przywróciło czystości". Dopiero wystąpienie akademika krakowskiego, Stęplowskiego, skłoniło Wiśniewskiego do podjęcia obrony.

Kazimierz Franciszek Stęplowski, profesor teologii w akademii krakowskiéj, wydał r. 1753 w Krakowie, kosztem wojewodzica bracławskiego Jordana „Logicam incipientium, regulas definiendi, dividendi et argumentandi in ordine ad faciliorem philosophiae peripateticae captum continentem" z przedmową: „Apologia pro arte disputandi peripateticorum", w któréj nowatorów filozofii potępia, jako ludzi bez wiary. „Naukę, przez tyle wieków używającą powagi, uznaną przez najznakomitszych mężów, chcą zaćmić lub zniszczyć; sztukę dowodzenia sposobem perypatetycznym najstarożytniejszą, zalecaną przez kościół katolicki, pismo święte i ojców, ścigają nienawiścią, aby natomiast świat ten nowemi wrzekomo dogmatami (zapożyczonemi właściwie od Demokryta i Epikura, nieprzyjaciół egzystencyi Boga i nieśmiertelności duszy) zakazić. Arystotelesową sztukę dowodzenia wyrwać z umysłów i z rąk kościoła katolickiego usiłują; zarzucają ją posiewem błędów swoich, aby moc i ostrość dowcipu zniweczyć".

---

[1]) „Journal litéraire de Pologne". 1754, str. 252—256. Janocki. „Lexicon". I, str. 162, 174, 183.

[2]) Janocki. „Lexicon". I, str. 172.

Na utyskiwania Stęplowskiego Wiśniewski wygotował odpowiedź. Pod przybraném nazwiskiem *Carpophori Philalethae* wydał datowaną r. 1755 w Weronie, właściwie kosztem biskupa warmińskiego, Adama Grabowskiego, drukowaną w Elblągu broszurę dwuarkuszową („Epistola ad auctorem apologiae pro arte disputandi peripateticorum"), w któréj fizyki doświadczalnéj bronił, dziełko zaś Stęplowskiego nazwał logiką głupców (*logica insipientium*). Profesor prawa w akademii krakowskiéj, Herka, w obronie Stęplowskiego wydał „Responsum Carpophoro Philalethae" (4°, kart. nlb. 2), sam zaś Stęplowski dwie bezimienne broszury polemiczne, z których jedna: „Discipulus autoris apologiae pro arte disputandi peripateticorum in calumniosum Carpophori Philalethae libellum", druga: „Amicus ad amicum in scriptum improbum Carpophori Philalethae contra autorem apologiae pro arte disputandi peripateticorum". Polemika była zaciekła i nieparlamentarna. W responsie Herki do przyzwoitszych się zalicza parafraza przypowieści Salomona: „Responde stulto juxta stultitiam suam, ne sibi sapiens esse videatur". Nie brakło walce i epizodów wesołych, gdy stanowisko teologiczne perypatetyków pociągnęło do udziału w niéj i najuboższych duchem zakonników, operujących środkami zakrystyi. Na jednym z popisów publicznych w konwikcie pijarskim lektor reformacki, poczytując wydobywanie ognia z machiny elektrycznéj za sprawę dyabelską, dla zdemaskowania jéj położył pod korbę *agnum Dei*, ulepionego z wosku. Zmiażdżenie świętości narobiło śród pobożnych hałasu, wojowniczego zaś lektora utwierdziło w mniemaniu, że przez machinę elektryczną działają czary. Dla zdyskredytowania nowości, zwłaszcza fizyki doświadczalnéj, używali perypatetycy i żądeł satyry. Jezuici w dyalogu, wyprawionym u siebie w szkole warszawskiéj, przedstawiali filozofię pod postacią klucznicy, wyrzekającéj, że naczynia kuchenne musi posyłać księdzu profesorowi na lekcyę [1]).

Pociski jezuitów, dominikanów i akademików krakowskich niezupełnie chybiały celu.

Wiśniewski trzymał się na stanowisku niezachwianie, zyskiwał téż w sferach wpływowych nie dwójznaczne dowody uznania. W r. 1756 towarzyszył, z woli Augusta III, poselstwu Mniszcha, podkomorzego W. Ks. Lit., do Turcyi [2]); po powrocie otrzymał w nagrodę zasług godność teologa nadwornego i bogate probostwo w Lebiczu. Ceniony w zgromadzeniu pijarskiém, w r. 1759 objął zarząd kolegium,

---

1) Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce". I, str. 50 w przyp.

2) Ustęp listu Wiśniewskiego z Konstantynopola z 18 Lipca r. 1756 drukował „Kuryer Polski" z r. 1756, Nr. 162.

w r. 1765 obrany został prowincyałem [1]). Rosła popularność Wiśniewskiego, kolegium Konarskiego zdobywało uznanie—nie samą przecież mocą propagowania nowości. Że insynuacye perypatetyków były dotkliwe, jednocześnie przeto z przeszczepianiem nauki zachodniéj na grunt krajowy poczęli pijarzy manifestować swoją prawowierność religijną, jęli owszem walczyć przeciwko wolnomyślności. Usiłowali w ten sposób z rąk przeciwników wytrącić broń niebezpieczną i podejrzenia, jakie budzili w społeczeństwie, odwrócić.

Oprócz popisów dorocznych, zaprowadzili pijarzy w kolegium tak zwane „rozmowy", odprawiane przez wychowańców w języku polskim publicznie. Były to wykonane pod okiem profesorów, przeważnie Wiśniewskiego i Kaliszewskiego, wypracowania uczniów, wyrażające sposób ich myślenia, a właściwie ducha, panującego w kolegium. W r. 1757 uczniowie filozofii czytali „o uszczęśliwieniu własnéj ojczyzny", retoryki „o pierwszym edukacyi celu"; w 1758 pierwsi „o boskich przymiotach przeciwko deistom", drudzy „o uszczęśliwieniu człowieka w życiu"; w latach następnych „o poprawie obyczajów polskich, prawa boskiego tyczących się", „o poprawie obyczajów polskich, prawa ojczystego tyczących się", „o powinnościach każdego człowieka", „o nieśmiertelności duszy ludzkiéj" i z Monteskiusza „o wielkości i upadku Rzeczypospolitéj rzymskiéj". Pod odmiennemi nieco tytułami drukowano wypracowania owe osobno, zbiór wszystkich ogłoszono późniéj [2]).

---

[1]) Bielski. „Vita et scripta Piar." str. 107.

[2]) „Rozmowy w ciekawych i potrzebnych w filozoficznych i politycznych materyach, w Kolegium Nobilium warszawskiém Scholarum Piarum miane". Warszawa, w druk. J. K. M. i Rzplitéj u XX. Sch. Piarum. 8⁰, t. I 1760, stron 336, t. II 1761, str. 394; t. III 1762, str. 356. Że „Rozmowy" czytane były publicznie, dowodzą sprawozdania w gazetach. „Z Warszawy d. 29 Junii. W Collegium Nob. XX. Sch. Piarum odprawiła się akademika z mów polskich: Na czém dobro i szczęście Rzeczypospolitéj zaległo—w przytomności wszystkiego tu znajdującego się państwa („Kuryer polski" z r. 1757, Nr. 26). „Z Warszawy 13 Julii. W przeszłym tygodniu w Coll. Nob. XX. Sch. Piarum odprawiła się akademika o celu i najpierwszym edukacyi końcu—w przytomności wielu znajdującego się państwa" („Kuryer polski" z r. 1757, Nr. 28). „Warszawa 12 Aprilis. W przeszły piątek w przytomności wielu państwa odprawiła się w Coll. Nob. XX. Sch. Piarum rozmowa filozoficzna, zbijająca bezbożne ludzi bez religii, deistami się nazywających, sentymenta" („Kuryer polski" z r. 1758, Nr. 15). „Dnia 18 Grudnia w Coll. Nob. Schol. Piarum odprawił się publiczny akt rozmowy filozoficznéj o powinnościach człowieka" („Kuryer warszawski" z 26 Grudnia r. 1761). W rozmowie, podzielonéj na „zdania", brało udział kilku uczniów. W rozmowie „o pierwszym edukacyi celu", wypracowanéj pod okiem prof. Kaliszewskiego, występowali: Leon Kochanowski, kasztelanic radomski, Andrzéj Tarło, kasztelanic lubelski, Jan Narzymski, wojewodzic pomorski, Stefan Wróblewski, stolnikiewicz inowrocławski, Szymon Tarło, sta-

Tematy z etyki, prawa polskiego i historyi, takie materye, jak uszczęśliwienie człowieka i ojczyzny, poprawa obyczajów i cel wychowania, dość pijarom dawały pola do określenia stanowiska swego w zapatrywaniu się na zadania nauki i życia.

W pedagogice brali pijarzy za punkt wyjścia teoryę, zaprzeczającą istnieniu idei wrodzonych. „Nie bez wielkiéj i osobliwéj przyczyny dawni filozofowie uczyli, którzy rozum ludzki do gładkiéj i żadnemi niezapisanéj charakterami przyrównywali tablicy; ta jest albowiem mizerna wszystkich ludzi kondycya, iż się wszyscy w niedoskonałości rodzą i na świat bez wszelkiéj umiejętności i poznania rzeczy wychodzą. Dlaczego, jako na próżnéj, wszystko, co kto chce, pisać może tablicy, tak téż i na umysłach młodych osobliwie ludzi łatwo się mogą wszystkich rzeczy rysować i przyjmować obrazy, jeżeli dobra z młodu zaraz przystąpi edukacya“... Zadanie wychowania polega głównie na udoskonaleniu człowieka moralném. Sformułował to Konarski w mowie („De viro honesto et bono cive ab ineunte aetate formando“), wygłoszonéj w r. 1754 przy otwarciu nowego gmachu szkolnego: „plus interest Reipublicae habere honestos viros, bonosque cives, quam summos oratores, poëtas, mathematicos et philosophos“. Zacność człowieka, oprócz obowiązków względem Boga i religii, rodziców, krewnych i bliźnich, polega téż na spełnianiu powinności względem ojczyzny. Wychowanie właśnie wskazuje „jako jéj bronić, o jéj wzrost i przymnożenie starać się mamy; jako tam, gdzie o jéj idzie dobro, żadnym prywatnym uwodzić się nie powinniśmy interesem. Jako praw ojczystych słuchać i im być podlegli, jako w zgodzie i jedności umysłów w radach i sądach kochać się mamy. Uczy nas na ostatek, jaką dla królów naszych mieć miłość, z uszanowaniem złączoną; jak im wierni w radach być i uczynkach

---

rościc goszczyński, Ksawery Borzysławski chorążyc trębowelski, Izydor Szembek, starościc brzesko-kujawski, Anastazy Walewski, chorążyc brzeziński, Franciszek Szymanowski, starościc wyszogrodzki (Rozmowa o celu i najpierwszym edukacyi końcu przez uczących się retoryki konwiktorów in Collegio Nobilium Scholarum Piarum miana roku 1757). W rozmowie przeciwko deistom brali udział: Joachim Morsztyn, kasztelanic wiślicki, Józef Mniszech, starosta sanocki, Andrzéj Tarło, kasztelanic lubelski, Hieronim Sanguszko, marszałkiewicz w. lit., Stanisław Kossowski, podskarbic nad. kor., Michał Mniszech, podkomorzyc w. lit, Jan Narzymski, wojewodzic pomorski, Piotr Wilkoński, kasztelanic krzywiński, Franciszek Szymanowski, starościc wyszogrodzki, Ksawery Borzysławski, chorążyc trębowelski, Jan Wawrzecki, stolnikiewicz bracławski, Ignacy Błeszyński, chorążyc sieradzki, Józef Konarski, miecznikiewicz chęciński, Paweł Biernacki, skarbnikiewicz piotrkowski, Leon Kochanowski, kasztelanic radomski („Rozmowa filozoficzna o Boskich prócz jestności przymiotach przeciw niegodziwie sobie przywłaszczającym nazwisko deistów... miana r. 1758).

i jak o wielkich w ojczyźnie ludzi afekt i estymacyę starać się powinniśmy". Dla urobienia młodzieży na pożytecznych ojczyźnie obywateli kształcić ją należy przedewszystkiém: w retoryce, filozofii, matematyce, językach, historyi i prawie, wdrażać obok tego do ćwiczeń ciała i zagłębiania się w księgach.

„Jeżeli wszystkim—prawił konwiktor, tłómaczący doniosłość retoryki—tak w pokoju, jako i na wojnie, tak na urzędach zostającym, jako prywatnym i jakiéjżkolwiek kondycyi ludziom potrzebna pokazuje się retoryka; toć tedy nam, którzy w takiém urodzeni jesteśmy państwie, w téj chowamy się ojczyźnie, w któréj tak, jako niegdyś w Rzymie, w sądach i trybunałach, na sejmach, sejmikach i innych Rzeczypospolitéj zjazdach, ta najbardziéj panuje sztuka. Jeżeli dobrze potém ojczyźnie radzić, urzędy, do których sposobić się mamy, przyzwoicie piastować i naszym na każdym honoru stopniu zadosyć czynić powinnościom chcemy, o tę się w edukacyi naszéj najbardziéj starać trzeba wymowę".

Filozofia, zdaniem innego, prawdę od fałszu, dobro od złego, pewność od wątpliwości oddziela i, jak o wszystkich mamy sądzić rzeczach, jasne nam i nieomylne podaje reguły. „Tać to filozofia, która teraźniejszych osobliwie czasów z niewolniczego, że tak rzekę, dawnych wybiwszy się filozofów jarzma i na żadnego słowa ślepo nie przysięgając nauki mistrza, zupełnéj w dysputowaniu bez subtelnych i zawiłych spekulacyi i o rzeczach sądzeniu nabyła wolności. Za pomocą matematyki i eksperymentalnéj fizyki tak wiele, dawnym nawet niewiadomych filozofom, przez swoje oczywiste i jawne i wszystkich nietylko oczy, ale i rozumy zniewalające eksperyencye w mechanice, statyce, hidraulice, optyce, botanice, anatomii i innych niezliczonych rzeczy naturach poodkrywała sekretów, iż mało takich być na świecie zdaje się rzeczy, o którychbyśmy, jéj pewnemi naukami wsparci, doskonale mówić i sądzić nie mogli".

Matematyka—dowodził znowu, powołując się na Wolffa, rzecznik téj umiejętności — udoskonala rozum i w pomoc przychodzi filozofii. „Czyliż albowiem podobna rzecz jest, aby w téj filozofii, która za świadectwem Wolfiusza do tego teraz za pomocą matematyki przyprowadzona jest doskonałości stopnia, iż dawniejsi filozofowie, gdyby teraz ze swoich powstali grobów, nigdyby w niéj przeszłéj nie rozeznali postaci,—mógł ten jaki krok uczynić, który żadnéj, wprzód nabytéj, o matematyki początkach wiadomości nie ma? Weźmy-no tylko tę część filozofii, która od odkrywania w rzeczach natury sekretów nazywa się fizyka; o! jak tam zaraz na wiele takich napadniemy materyi, do których zrozumienia i doskonałego z gruntu pojęcia żadną miarą bez matematyki obejść się nie można. Któż doskonale pojmie

naturę ruszenia; kto zrozumie ciężkość ciał widomych; kto całego strukturę świata, skutki powietrza i w innych stworzonych rzeczach własności, odmiany i przymioty bez matematyki odkryć i opisać potrafi? Prawda jest, że fizyka eksperymentalna, która z nieskończonym narodu ludzkiego jest wynaleziona pożytkiem, wszystkie te zawiłe swoimi oczywistymi eksperymentami odkrycia nasze wyłuszcza i objaśnia trudności; z tém wszystkiém, ponieważ żaden eksperyment bez przyłączonéj do tego racyi, racya zaś bez demonstracyi, być nie może,— pokazanie więc takie nasze tylko kontentuje oczy; jeżeli zaś w przyłączonéj demonstracyi sekretu tego nie dociekamy przyczyny, naszego bynajmniéj nie kontentuje rozumu... Śmieje się tam gdzieś w swoich Faciolatti oracyach z Durandów, Jandunów, Pikolominich i innych tegoż gatunku filozofów, którzy, zamiast wolnego, bez żadnéj od cudzych opinii dependencyi szukania prawdy, tak się w swoim byli zatopili Arystotelesie, iż w najmniejszém od jego zdania odstąpić i sprzeciwić się słówku za największy sobie poczytywali kryminał. Same tylko, mówi, natenczas Arystotelesa i Platona, Hipokratesa i Galena w uszach całego świata brzmiały imiona i ci tylko już to filozofów, już to medyków, już to matematyków bez żadnéj sporki sobie przywłaszczali nazwiska, którzy, tych się wyuczywszy autorów, wszystkie ich pisma, jak historyę, na pamięć umieli. Nie potrzeba im było natenczas w odkrywaniu sekretów natury skądinąd zaciągać przyczyn; niezbitym to w nich już było dowodem, kiedy poprzysiężonych sobie filozofów swoje stwierdzali zdania świadectwem. W téj tedy rozumu niewoli, kiedy aż do siedmnastego wszyscy na świecie żyjący zostawali wieku ludzie, pierwsi dopiero byli: we Włoszech Galileusz, Bako Warulamius w Anglii, we Francyi Gassendus, którzy wszystkie te, którymi ludzkie skrępowane były rozumy, potargawszy węzły, do poznania prawdziwéj filozofii, która się na odkrywaniu wnętrznych w naturach przyczyn, nie na ludzkich zasadza zdaniach, otworzyli im oczy. Wkrótce zaś potém Kartezyusz, Harweusz, Borellius, Malpigius i innych wielu z niewolniczego dawnych filozofów, którym wszyscy dotąd hołdowali, zupełnie wyzuwszy się jarzma, wolniéj o wszystkich sądzić poczęli rzeczach".

Języki nowożytne ułatwiają poznanie „autorów, w których nieoszacowane mądrości i wszelakiéj umiejętności ukrywają się skarby"; czytanie historyi „młodych ze starymi w roztropności równa, przezorności zaś i eksperyencyi w rzeczach dodaje starszym, wodzów dla nieśmiertelności chwały do wielkich zapala czynów"; znajomość prawa niezbędna jest „i do pożycia ludzkiego, i do służenia ojczyźnie... osobliwie w téj naszéj". Do ćwiczeń ciała zaliczali pijarzy, oprócz tańca, fechtunku, musztry i jazdy konnéj — muzykę, która „troski



i zgryzoty rozpędzając, myśl sprawuje wesołą; to, które na ciele czujemy, duszy naszéj komunikuje wzruszenie; ucho naprawia i w uczeniu się języków do nabrania akcentu w mowie i gładkości pomaga w mówieniu". „O! jak ciężko ci na swojém mylą się zdaniu,—utyskuje wreszcie autor zdania o czytaniu książek, — którzy całą swoją na tém zakładają mądrość, kiedy, nauczywszy się łaciny i ze zwyczaju wszystkie przeszedłszy nauki, ze szkół wychodzą, jakoby teżsame nauki nowego coraz ćwiczenia i udoskonalenia nie potrzebowały rozumu"...

Nie uniknęli przecież pijarzy w zapatrywaniach się na cele wychowania i na zadania pojedyńczych gałęzi nauki zabarwienia teologicznego. „Słysząc,—dowodzili konwiktorowie,—częste nauki i ustawiczne o niebie, ziemi, żywiołach i tych wszystkich podmiesięcznych czyniąc sobie refleksye rzeczach, jako regularnie wschodzą i zachodzą słońce i inne planety, jako odmiany roku jednakowym po sobie zawsze następują porządkiem, jako wszystkie, słowem, na świecie rzeczy opisanych sobie nie przestępują i reguł, i granic..; dopiero rozum nasz z głębokiéj niejako podnosi się ciemności i jasnemi oświecony dowodami, niby porwawszy się ze snu, sam w sobie uznawać poczyna, że musi być Bóg..." Takie same refleksye budzi rozglądanie się w dziejach. „Te częste państw odmiany, różne królestw rządy, bereł i koron z familii do familii przeniesienia, z nikczemnego stanu wielcy ludzie, wielkich i znacznych ludzi straszne i niespodziane upadki, ustawiczne wojny, zwycięztwa i przegrane batalie, trzęsienia ziemi, głód, powietrze, różne na niebie widziane znaki, o czém tysiączne w historyach czytamy przykłady;—cóż innego znaczą, tylko wszechmocność boską, która wszystkiém rządzi i ukrytemi przed naszą wiadomością sposobami jednych szczęściem obdarza, drugich w nieszczęście pogrąża". Według ostatecznéj konkluzyi, wszystkie nauki obrócone być winny ku usłudze religii i etyki. „Nie rozumiejmyż,—oświadczali retorowie,—żebyśmy byli pryncypalnie oddani dla samych którychkolwiek, czy tu od nas wspomnionych, czy nie wspomnionych nauk...; ale najpierwsza, najcelniejsza, najpożyteczniejsza i najpotrzebniejsza rzecz dla nas w całéj edukacyi jest uczyć się religii, poczciwości i cnoty. Wszystkie insze nauki do téj jednéj nabycia i wsparcia pomocą nam tylko i środkami być mogą" [1]).

Rozmowy „o uszczęśliwieniu własnéj ojczyzny" i „o poprawie obyczajów polskich, prawa ojczystego tyczących się", ogarniają cały niemal program reformy. Na pytanie: na czém dobro Rzeczypospolitéj polega?—na—odpowiadali konwiktorowie: dobrych prawach i ich

---

[1]) O pierwszym edukacyi celu („Rozmowy", t. I, str. 253—333, passim.

zachowaniu; dobréj młodych edukacyi; siłach proporcyonalnych i potrzebnych do obrony; ekonomii publicznéj i prywatnéj; pilnéj administracyi sprawiedliwości; rządcach dobrych i mądrych; sejmów dochodzeniu i zachowaniu religii. Konkluzya przecież była znowu teologiczną, skoro dobro Rzeczypospolitéj czyniła zależném przedewszystkiém od konserwowania religii. „Kto na rozumie przekonany jest o tém, że Bóg jest panem, stwórcą i rządcą wszystkiego, ten naturalnie to wnosi, że ratunku i utrzymania wszelkiego, którego ojczyźnie żądamy, od niego wyglądać, jego o to błagać i prosić należy... O to idzie, aby za najgruntowniejszy wszystkiego Rzeczypospolitéj dobra fundament uznawszy religię,—tamę irreligii i bezbożności szerzącéj się założyć, a wzorem i duchem przodków naszych, nietylko świętemi i mocnemi gromić ją prawami, ale téż na obronę boskiego honoru i wiary, kiedyby tego była potrzeba, krew i samo życie łożyć ochotnie... Bo aby była pożyteczna ojczyźnie młodzi edukacya—poświęci ją religia; aby prawa obserwowane były—najlepiéj dostrzeże religia; aby wojska dzielne były i w imprezach szczęśliwe—dopomoże religia; aby skarb sprawowany był pilnie, cnotliwie i wiernie—dopilnuje religia; aby ekonomia każdego prywatna szła jak najzręczniéj i najobficiéj rosła—pobłogosławi religia; aby sprawiedliwość sumiennie administrowana była—najmocniéj sumienie obowiąże religia; aby rządcy, rozumnie i sprawiedliwie panując, nas zachowali w pokoju—sprawi religia; aby rady zbawienne Rzeczypospolitéj, panu zawsze wierne, przychodziły do skutku—natchnie je i skuteczne uczyni religia. Tę zaś zniósłszy, bezbożność i irreligia wszystko to kryminałami, krzywoprzysięstwami, zdradziectwami, nienawiściami, kłamstwami, nieposłuszeństwem, buntami, rozpustami napełni i zgubi“ [1]).

Rozprawy z etyki i teologii przez samą naturę tematów górują nad dociekaniami perypatetyków; trzymały się jednak ściśle pomysłów katechizmowych, nic zgoła nie głosiły nowego. Po długich debatach na temat szczęścia człowieka, dochodzą konwiktorowie do wniosku, że „na ziemi go nie masz...; w nieśmiertelném być musi życiu“ [2]). W rozmowie „o boskich przymiotach“ złorzeczą ateuszom, jak Vanini, Spinoza, Bayle, Łyszczyński. Gromią Hobbesa, Montaigne'a, d'Argens'a, Monteskiusza, Woltera. „Tak się... przeciw naturalnym rozumu natchnieniom temi osobliwie czasy zepsowali na świecie ludzie, iż (prócz rozsądnego pospólstwa i niektórych prawdziwie rozumnych) wielu po wszystkich krajach takich jest mędrków, którzy

---

[1]) „O uszczęśliwieniu własnéj ojczyzny“. (Rozmowy, t. I, str. 127, 128, 137).
[2]) „O uszczęśliwieniu człowieka w życiu“. (Rozmowy, t. I, str. 50).

w nic nie wierzą, żadnych tajemnic i praw boskich, żadnéj nie uznają religii: a zatém, jak tylko chcą i mogą, swywolnie żyją, z najświętszych naigrawają się nauk, postponują i prześladują duchownych, pobożność za bigoteryę, gorliwość przy wierze za fanatyzm, proste i bogobojne życie poczytują za głupstwo. I lubo... od bezrozumych nie różnią się ateistów, piękne sobie atoli jużto mocnych rozumów, już deistów przywłaszczyli nazwisko... Błąd deistów ztąd nadewszystko pochodzi, iż, zatopiwszy się w nieprawościach, mocno i sobie, i drugim wyperswadować usiłują, że lubo Bóg jest, o to jednak, co ludzie na świecie czynią, cale nie dba, ażeby mogli tym sposobem nierządne bezpieczniéj i spokojniéj prowadzić życie" [1]).

Podobny nastrój panował i na popisach dorocznych, odprawianych publicznie w języku łacińskim. Uczniowie filozofii i matematyki wyrażali admiracyę dla umiejętności ścisłych i fizyki doświadczalnéj; nie szczędzili podziwu dla odkryć naukowych, — o ile nie zaczepiały wiary i nie podkopywały podań biblijnych. Dowodzili mylności teoryi Berkeleya o nieistnieniu świata zmysłowego; nie podzielali poglądów Kartezyusza, Gassendiego, Newtona na substancyę; wojowali z poglądami Lejbnica na budowę materyi. Teoryę (*hypothesim*) Kopernika w zasadzie przyjmowali, — bez obrazy jednak wersyi biblijnéj. Pozorne wstrzymanie biegu słońca na rozkaz Jozuego zaliczali do cudów i za złe mieli Spinozie, że wiary temu dać nie chciał [2]).

Pomimo uroczyście manifestowanéj prawowierności katolickiéj, nie uniknęli pijarzy podejrzeń i fałszywych istotnie oskarżeń. Chociaż ustały ataki perypatetyków, Durini, nuncyusz papieski w Warszawie, arcyniepochlebną zdawał (1769) kardynałowi sekretarzowi stanu o samym Konarskim i konwikcie pijarskim opinię. Konarski był, zdaniem jego, człekiem wolnomyślnym, w wierze obojętnym, krzewicielem filozofii materyalistycznéj francuskiéj. Zaprowadził w szkołach kierunek racyonalistyczny, postanowił zapewnić rozumowi przewagę zupełną nad wiarą. W szkołach pijarskich uczą z Erazma Roterdamskiego i Wolffa. Książki takich autorów wciąż z dodatkami pewnemi tłoczy drukarnia pijarska, zaopatruje je zaś na początku i końcu w breve Benedykta XIV, aprobujące ustawy, przedstawione przez Konarskiego w Rzymie w r. 1754. Dochodzą mnie skargi, dodawał nuncyusz, że z kolegiów ich wychodzi młodzież bez znajomości katechizmu i bez śladu pobożności [3]).

---

[1]) „O Boskich przymiotach przeciwko deistom". (Rozmowy, t. I, str. 139, 165).

[2]) „Propositiones philosophicae... exponunt J. C. et Ph. Olizar..... in Coll. Nob. Varsav. Sch. Piarum philosophiae et matheseos auditores, mense Julio 1767. Vars. 4-to kart. nlb. 10.

[3]) Theiner. „Histoire du pontificat de Clement XIV". Paris, 1852, t. I, 316.

Ostatecznie wyszli pijarzy zwycięsko: w pierwszym roku istnienia (1741), miał konwikt Konarskiego ucznia jednego, w drugim dwudziestu, w następujących latach zapełnionym był szczelnie, liczył ich bowiem po sześćdziesięciu — przeważnie synów senatorskich i starościców, niemałą dla zakładu stanowiących reklamę. I nie tylko przy reformie wytrwali sami, lecz pociągnęli za sobą innych. Poszli za nimi franciszkanie warszawscy, którzy za rządów gwardyana swego, Michała Hałkiewicza, filozofię scholastyczną porzucili, a chwycili się nowéj [1]); teatyni, w których kolegium pod superyoratem Bellavita uczył Portalupi i Tori; sami wreszcie jezuici, zagrzewani emulacyą z pijarami, dali się unieść prądowi.

Już w r. 1752, zwierzchność kolegium jezuitów poznańskich książki Malczewskiego, wymierzonej przeciwko Wiśniewskiemu, puścić w obieg wzbroniła. Jednocześnie publikowali jezuici w gazetach, że „na dawniejsze żądanie i oczekiwanie wielu Ichmciów, aby w Warszawie *Societas Jesu* prowincyi litewskiej miała osobliwą akademię, albo *collegium* dla polskich *utriusque gentis* kawalerów..., w r. 1752 za otwarciem szkół po wakacyach augustowych otwarte będzie seminaryum na wszystkie Ichmćm panom kawalerom przystępne scyencye i ćwiczenia w językach: rodowitéj i czystéj łaciny, przy francuskich i niemieckich lekcyach, pod doskonałymi metrami, także w geometryi, historyi uniwersalnéj, chronologii, fizyce eksperymentalnéj i matematyce“ [2])... Zapowiadano wykład fizyki eksperymentalnéj ks. Rafała Hempla, który istotnie nauczał jéj w nowo otwartém kolegium *nobilium* [3]). Rychło na popisach dorocznych wychowańcy kolegium „wobec panów i dam, eksplikowali swoje propozycye filozoficzne i one na różnych fizycznych machinach przez eksperymenta utwierdzali“ [4]). W Listopadzie r. 1761 ukończone zostało „musaeum“, zaopatrzone w narzędzia matematyczne i fizyczne, znacznym kosztem sprowadzone z Paryża [5]). W auli akademickiej w Wilnie, na akcie publicznym 22 Lipca r. 1754, przedmiotem dysputy, w któréj wziął udział starosta sobocki, deputat i pisarz kadencyi ruskiéj trybunału głównego, Rudomina, był, między innemi, system Kopernika i Tychona Brahe. Ucznia jezuickiego, prezentującego swą wiedzę, pan starosta „doświad-

---

1) Łukaszewicz. „Historya szkół“. II, str. 143.

2) „Kuryer Polski“ z r. 1752, Nr. 829.

3) „Journal litéraire de Pologne“ 1754, str. 252. Janocki. „Lexicon“, t. II, str. 118.

4) „Kuryer Polski“ z r. 1758, Nr. 29 i z r. 1759, Nr. 31.

5) „Wiadomości uprzywilejowane warszawskie“ z 25 Listopada r. 1761, suplement.

czał dość długo, dość *solide*, bardzo mądremi kwestyami i gruntownymi zarzutami *de systemate Copernicano atque Tychonico*... z wielkiém wszystkich, ile uczonych, ludzi ukontentowaniem i swojéj w tych scyencyach biegłości estymacyą". Po akcie zaproszono publiczność do „musaeum" matematycznego „dla oglądania różnych eksperymentów tak *machinae electricae* i innych, jako też *antliae pneumaticae*", którą pod okiem profesora matematyki zbudowali rzemieślnicy wileńscy [1]. Program popisu rocznego uczniów kolegium *nobilium* wileńskiego podawał w r. 1756 do rozwiązania z historyi świętéj: „Gdzie był raj, i jeśli jest teraz? Czy prawdziwy był wąż w raju? Co za pokarm Izraelici na puszczy mieli? Kiedy manna ustała i jeśli w niéj równie czuli smak źli i dobrzy? Salomon wiele łożył na kościół jerozolimski? Czy robaków lub ziół zamiast żelaza używał i jeśli jest zbawion? Nabuchodonozor czy prawdziwie w wołu przemieniony?"

Traktował przecież obok tego ów program: „o sławniejszych dwóch świata systemach: Tychona i Kopernika", zadawał pytania z fizyki: „o naturze ciepła, zimnie i termometrze, o fermentacyach chemicznych, trzęsieniu ziemi, źródłach, obiegu krwi i t. p. [2]). We Lwowie r. 1758 „kawalerowie, w *Collegium nobilium* pod dozorem XX. jezuitów mający edukacyę, wobec gości... dawali dowody postępu z różnych umiejętności, a mianowicie z fizyki o znaczniejszych własnościach i skutkach żywiołów" [3]. W Poznaniu w Czerwcu r. 1766, „w wystawionym nowo wspaniale muzeum, różnemi matematycznemi narzędziami i ciekawościami szczególniejszemi przyozdobioném ,miany był popis publiczny... o dziwnych bursztynowania czyli elektryzacyi skutkach... z wytłómaczeniem dokładném téj przedziwnéj własności pod zmysły podpadających rzeczy i oraz niektórych pierwszego jéj rodzaju szczególniejszych doświadczeń" [4].

---

[1] „Kuryer Polski" z r. 1754, Nr. 50 i 55.

[2] Łukaszewicz. „Hist ryа szkół". II, str. 129 i dalsze.

[3] „Kuryer Polski" z r. 1758, Nr. 32, addytament.

[4] „Pomiędzy któremi czynione téż było doświadczenie pierwszy raz roku tego w Poznaniu od ks. Jana Paprockiego, profesora matematyki pobaczone, a od wielu mu już, mianowicie postronnych, jako Imci p. Eulera i innych w téj rzeczy dobrze biegłych, szczególniéj pochwalone. Około lejdeńskiéj flaszki, za któréj pomocą dzwonki, bądź najodległéj porozwieszane, po zniesionéj nawet w nich w udzielniku i w drucie samym, idącym od flaszki, wszystkiéj bursztynowości, przez kilka godzin dzwonić i przestawać na przemiany mogą, podobnież inne się rzeczy bursztynować bez najmniejszego obracania bani. Pierwszy z tych skutek dzieje się za dotknięciem samém wspomnionéj flaszki, wolno od oddzielnika wiszącéj; drugi za dotknięciem się jéj drutu albo udzielnika samego". („Wiadomości warszawskie" z 5 Lipca r. 1766). Relacyę o tym popisie wydał stolnikiewicz poznański, Szczepan Turno, p. t.: „O dziwnych bursztynowania skutkach". Poznań, 1766.

Popisywali się jezuici podczas zjazdów trybunalskich i sejmikowych; efektownemi doświadczaniami fizycznemi starali się budzić w publiczności zainteresowanie i podziw. Podczas zjazdu trybunalskiego w r. 1753 w Wilnie „Książę Jmć hetman wielki W. ks. lit., będąc uwiadomiony od wielu Ichmciów, których codzienny bywa *concursus* do oglądania *in musaeo mathematico* różnych ciekawych eksperymentów,.. wizytował toż *musaeum* tutejszéj akademii *in comitatu* książęcia Jmci miecznika W. Ks. Lit., Imci p. starosty onikszta̓ńskiego, Imci p. cywuna wileńskiego i wielu Ichmciów kawalerów, kędy różnym, a coraz nowo-wynalezionym przypatrywał się elektryzacyi sztukom. I inne dość ciekawe *physicae experimentalis* oglądał *specimina*, jako to: *dilatationem solidissimorum corporum*, oraz *ex principiis dioptricis, catoptricis, hydrostaticis* pochodzące *effectus*... Dla satysfakcyi zaś dam, pragnących widzieć tak elektryzacyę, jako też inne eksperymenta, — sprowadzona była *extra collegium* do sali akademickiej mniejsza *machina electrica* i inne, tak matematyczne, jako i do filozofii eksperymentalnéj służące instrumenta. Dokąd tedy *d. 16 mai* w kompanii wielu państwa przybywszy, były tego wszystkiego spektatorkami: Pacowa, kasztelanowa żmudzka, Chreptowiczowa, kasztelanowa brzeska z córką, Tyszkiewiczowa, cywunowa wileńska, Sawaniewska, wojska W. Ks. lit., Ogińska, starościna dorsuniska, Chreptowiczowa, starościna werbelska i wiele innych“ [1]). W Lipcu r. 1762 odbył się „na obserwatoryum akademickiém S. J. z fizyki eksperymentalnéj dowód o kolorach, pompach, elektryce etc.“ wobec deputatów trybunału i dygnitarzy [2]).

W Listopadzie r. 1760 „przy dowodzie z nauki filozoficznéj w Nowogródku różne fizyczne narzędzia paryską misterną robotą, a wynalezieniem p. Nollet'a, sławnego eksperymentalisty, zaszczycone, prześwietnemu trybunałowi filozofii profesor okazywał, któremi różnych przyrodzonych skutków przyczyny objaśniał i gruntownie opisywał... Z optycznych instrumentów wystawione było angielskie *microscopium*, *4 lenticulas* mające, każde z nich niedojrzane oczyma *insecta*, w wodzie pływające, pokazywało. Widzieć można było przez nie w każdym najdrobniejszym pyłku, ze skrzydła motyla zebranym, całego motyla; w najmniejszéj cząsteczce puchu — całe pióro; we włosach — kolanka, rowki i pory. Pokazano potém dwa znacznéj wielkości zwierciadła, z których pierwsze, wydrążone abo *concavum*, mogło zapalić o pół łokcia i nawet metal topić; w pewnéj tudzież odległości twarzy ludzkie (jakoby największych były olbrzymów) pokazowało; w dalszéj

---

1) „Kuryer Polski“ z r. 1753, Nr. 878.
2) „Kuryer Litewski“ z 9 Lipca r. 1762.

zaś odległości wszystkich ludzi na wspak wywracało; a gdy w sam środek szpadę przykładano, — przez odwracający się blask druga napozór szpada ze zwierciadła wytykać się zdawała i tak się końcami z sobą schodzić, że doskonałe fechtowanie być się wydawało. Drugie zwierciadło, mające różne okrągłe wypukłości, ośmnaście razy jednego człowieka pokazywało, im bardziéj odległego, tém bardziéj szczuplejszego; widziéć można było, że gdy się jeden ze strzelbą musztrował,—najporządniejszy i najregularniejszy w ośmnastu wyrażających się osobach munsztr był zachowany. Obrócono się potém do zwierciadeł metalowych, z których jedne były *cylindrica*, drugie *conica*, trzecie *quadriangularia:* te wszystkie nieznajome na papierze figury tak sztucznie zbierały w jedno promienie i kolory, że każdy we zwierciadłach tych widział z podziwieniem i rozeznawał, co znaczyły. Więcéj zaś, niż 30 figur przepatrzono. Wystawiono na potém szafę optyczną, lakierem chińskim i złotem ozdobioną, w któréj pałace, ogrody, fontanny i okręty pływające ta się żywo, jakby na nie kto w rzeczy patrzał, rysowały. Przeglądano potém dwa wielkie płaskie zwierciadła stalowe na metalicznych postumentach, różnemi szrubami trzymających się, dla wprowadzenia promieni słonecznych, w którąkolwiek potrzeba stronę, służących. Rozstawione były różne szkła trójgraniaste paryskiéj i londyńskiéj roboty; z tych 6 jedno przed drugiém stać miało, aby przepuszczony promień słoneczny przez pierwsze prysma na siedm swoich przedniejszych kolorów podzielił się; z tych wzięty jeden, np. czerwony, na drugie pięć obrócony, dowodnie pokazać mógł, że systema Newtona o kolorach podobniejsze jest do prawdy, aniżeli Kartezyusza. Przypatrowano się także różnym szkłom szlifowanym różnego koloru, które, gdy między sobą mieszać i przekładać zaczęto, mieszane kolory wydawały, tak: niebieskie, założone szkłem czerwonym, kolor fioletowy wydało; zielone, założone czerwonym, żółty pokazało; likwory mieszane różne różnych także kolorów już nabierały, już traciły. Z areologii o powietrzu dowodzono naprzód, że jest do życia potrzebne i krwi cyrkulacyi: próbowano to na rybach, pod recypient podłożonych, z którego przez machinę pneumatyczną — taką, jakiéj używa w Paryżu najsławniejszy fizyk i akademik Nollet, na któréj 160 eksperymentów pokazać się może, — gdy wyciągniono powietrze, — rybki już na dno pogrążały się; gdy zaś przywrócono, — na wierzch dla ściśnionego wewnątrz pęcherza wychodziły, nigdy się już ponurzyć nie mogąc. Ciężkości i nalegania powietrza dochodzono już przez *hemisphaeria* magdeburskie, które się za wypompowaniem powietrza tak zamykały, że końmi rozerwać trudno; a gdy pod recypient podłożono szklany, nie mając takiego ciśnienia i ciężkości nad sobą, cienkim prętem mosiężnym od siebie ro-

zerwane były. W barometrach żywe srebro na dno spadało; merkuryusz przez skórę i drzewo, na drobne się krople podzieliwszy, za pierwszém pompowaniem przechodził. Były czynione i inne eksperymenta: różnymi kołowrotami, na to umyślnie sporządzonymi, różne mosiężne w recypientach szruby obracane były dla krzeszenia ognia; w subtelném powietrzu widzieć było, jak skry kolor swój odmieniały i z żółtych stawały się czerwone, z czerwonych purpurowe, z purpurowych bardzo ciemne, tak, iż znikać poczynały; a gdy na proch padały, dym tylko, a nie płomień, wzbudzały. Z tego dowodzono, że sam płomień bez powietrza wolnego być nie może. Między wszystkiemi innemi kontentowała przytomne państwo owa fontanna, która wyrzucała wodę na 30 łokci w górę, gdy mosiężną pompą powietrze w onéj machinie natężono i zgęszczono. Na końcu egzaminowano różne *phaenomena* abo skutki uwagi godne elektryczne, które wszystkie filozofii profesor tłómaczył podług zdania Nollet'a, kładąc za przyczynę dwa źródła materyi: wypływającéj i przypływającéj, z sobą się ścierające" [1])...

W Poznaniu w Październiku r. 1764 „w przytomności zgromadzonych urzędników i ziemianów, na sejmik do Środy przejeżdżających", dysputowała młodzież o wodociągach (pompie wodnéj): „czynione były doświadczénia na różnych narzędziach i machinach, do tego służących, z wykładem i ułatwieniem zarzutów, które goście czynili" [2]), W Czerwcu roku następnego rozprawiano tamże „o dochodzeniu, dobywaniu i chędożeniu kruszców, o sposobie osuszenia ich od wody zalewającéj, pokazując to doświadczeniem na sporządzonym wodociągu w obecności JO. trybunału prowincyi wielkopolskiéj, licznych dam, urzędników i wielu innych zgromadzonych gości" [3]).

Nęciły popisy szerszą publiczność nowością i żywotnością tematów, pociągały i dostępnością swoją, jako odprawiane w języku rodzimym, który od połowy wieku począł wywalczać sobie w szkole prawo obywatelstwa. Kasztelan sandecki, Leon Raczyński, zrobił dla akademii poznańskiéj zapis 10,000 złp. na katedrę ekonomiki, która wykładaną być miała po polsku [4]). Franciszek Bohomolec napisał o języku polskim traktat, który był przedmiotem ćwiczeń konwiktorów jezuickich [5]). W Lipcu r. 1761 uczniowie jezuiccy w Warsza-

---

[1]) „Wiadomości literackie" (wileńskie) z 21 Listopada r. 1760.

[2]) „Kuryer warszawski" z 14 Listopada r. 1764.

[3]) „Wiadomości warszawskie", z 26 Czerwca r. 1765.

[4]) „Kuryer Polski" z r. 1751, Nr. DCCLXXI.

[5]) Rozprawkę Bohomolca, wydaną po łacinie w r. 1752, przetłómaczył chorążyc malborski Ksawery Leski i wydrukował w „Zabawkach poetyckich niektórych kawalerów ak. szlacheckiéj warsz. Soc. J." (1758).

wie, wobec licznie zebranych gości, prowadzili dyskurs: „jeśli mamy dostatek słów, jeśli nam nie schodzi na wyborze jak słów, tak pewnych mówienia sposobów? jakie mogą być największe trudności w wydoskonaleniu, jeśliby tego była potrzeba, naszego języka, abyśmy go do wszystkich nauk zażyć mogli i do nich obcych języków umiejętności nie zaciągali“ [1]). Chwalili się w r. 1765 pijarzy łukowscy, że dysputa wychowańców ich „stąd szczególniéj gości ukontentowała, że zdania albo propozycye filozoficzne — rzadko gdzie słyszanym sposobem — ojczystym językiem do zrozumienia wszystkich oppugnowane i otrzymywane były“ [2]). Jezuici głosili ukontentowanie króla, gdy mu konwiktorowie „traktat o mechanice polskim językiem napisany“ ofiarowali [3]).

„Filozof eksperymentalny, — dowodzili jezuici, — bez narzędzia nie więcéj dokaże, jak żołnierz bez broni... Wielkim ludziom, teraźniejszym fizykom, wdzięcznie obowiązani być mamy, iż nas nie gołemi słowy uczą, lecz widocznie pokazują to, co mówią“; najbardziéj winniśmy wiele pierwszym wynalazcom microscopiów, telescopiów, barometrów i machin pneumatycznych. Albowiem przez telescopia poznaliśmy większą część nieba; przez machinę pneumatyczną poznaliśmy powietrze; przez microscopia poznaliśmy nowy świat mały, zamknięty w świecie starym“ [4]). Utyskiwali na kosztowność narzędzi, dla zaopatrzenia w nie gabinetów wskazywali na niezbędność subwencyi państwowéj. „*Physica experimentalis*, w któréj z doświadczenia pewne się wywodzą reguły, potrzebnie byłaby dla kraju naszego wniesiona, gdyby nie potrzebowała nieco większego nakładu. Ten chętnie obce królestwa podejmując, większą nierównie miarą odbierają pożytki, których i u nas możnaby się było roztropnie spodziewać“ [5]). Gabinety fizyczne przy ich szkołach, dzięki bogactwu zgromadzenia i hojności dobrodziejów, zasobnością swoją przewyższały pijarskie [6]). Zaczęli też w matematyce i fizyce współzawodników wyprzedzać. Napływ do Polski jezuitów, wypędzonych w r. 1761 z Francyi, niemałą w podniesieniu nauk był dla naszych pomocą. Ks. Jan Fleuret, w r. 1762 profesor fizyki eksperymentalnéj w akademii wileńskiéj, wielkie zainteresowanie budził wykładem teoryi kolorów [7]). W Lipcu r. 1763, na akcie dorocznym, podkomorzyc bełski,

---

[1]) „Kuryer warszawski“, z 29 Lipca r. 1761.
[2]) „Wiadomości warszawskie“ z 24 Lipca r. 1765.
[3]) „Wiadomości warszawskie“ z 14 Sierpnia r. 1765.
[4]) „Wiadomości literackie“ z 28 Listopada r. 1760.
[5]) „Wiadomości literackie“ z 1 Stycznia r. 1761.
[6]) Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce“, I, str. 91—93, passim.
[7]) „Wiadomości literackie“ z 16 Lipca, 26 Listopada i 25 Grudnia r. 1762.

Chołoniewski, zapewniał publiczność warszawską, że kawalerowie ćwiczą się „pod doskonałymi we wszystkich częściach matematyki profesorami, umyślnie z Francyi sprowadzonymi", i zapowiadał na przyszłość popis z mechaniki i optyki [1]). W Poznaniu w r. 1765, ks. Antoni Sionest, w świeżo urządzonym gabinecie fizycznym, robił doświadczenia z zawieszonym w rurze szklanéj drutem żelaznym, który podczas błyskawic nocnych nabierał własności elektrycznéj i wydawał z siebie skry ogniste [2]). Rywalizacya zakonów wydała też kilka podręczników naukowych, ubiegających się z sobą o zaszczyt lepszości.

Pijarzy zalecony mieli ustawą Konarskiego wykład fizyki doświadczalnéj według: Newtona, Kartezyusza, Bernoullego, Gravesandiego, Dalhama, Nollet'a, Keplera, Regnaut'a i innych. Wybór treści zależał od uznania profesorów, którzy jednak nie powinni wypuszczać z pamięci epigramatu Ovena: „nierozumną jest nienawiść, potępiająca wszystko dzisiejsze; godna politowania głupota, któréj wszelka do gustu przypada nowość" [3]). W r. 1764, ks. Samuel Chróścikowski ogłosił w Warszawie „Fizykę, doświadczeniami poświadczoną", zaopatrzoną w tablice rysunku Rocha Markowskiego, również ze zgromadzenia pijarów [4]). Książka Chróścikowskiego nie ogarniała całości przedmiotu: pominęła wiadomości o znanych już wówczas własnościach cieplnych, magnetycznych, optycznych i innych; — ograniczała się do objaśnienia podzielności ciał, nieprzenikliwości, postaci i dziurkowatości, ciśnieniu ciężaru i sprężystości powietrza, przy czém podawała opis termometru i barometru, machiny pneumatycznéj, lewara i t. p. W poglądach na podzielność materyi, próżnię, atrakcyę, szedł Chróścikowski za Newtonem, przyznając wyższość jego nad poglądami Kartezyusza i Lejbnica; powstawał przeciwko tym, którzy we własnościach rzeczy widzą coś utajonego (*qualitatem occultam*). Był Chróścikowski zdeklarowanym zwolennikiem Newtona, z obawy jednak, żeby go nie posądzono o niezgodność z religią, daje się niekiedy powodować chwiejności. „Dalekom się podobno,— pisał,— z newtońską atrakcyą zapędził: com jednak mówił, w tém tylko myśli newtonianów wyrażałem, albo raczéj dotknąłem. Wolno zaś każdemu trzymać, co się podoba i zdaje" [5]). Rychło po Chróścikowskim, ks.

---

[1]) „Wiadomości uprzywilejowane warszawskie" z 3 Sierpnia r. 1763.

[2]) „Wiadomości warszawskie" z 2 Stycznia r. 1765.

[3]) „Stulta haec invidia est, cui cuncta recentia sordent; invida stultitia est, cui nova sola placent". (Ordinationes visitationis apostolicae, pars. IV. § 7. art. 192).

[4]) O wyjściu jéj donosił „Kuryer warszawski" z 1 Września r. 1764.

[5]) Ocenę dziełka Chróścikowskiego, ze stanowiska historycznego, napisał S. Dickstein, („Przegląd pedagogiczny z r. 1883, str. 125—128).

Józef Rogaliński rozpoczął wydawnictwo dzieła obszernego p. t.: „Doświadczenie skutków rzeczy, pod zmysły podpadających" (tom I w 1765, dalsze 1767, 1770, 1776), obejmującego wykłady autora w szkołach jezuickich w Poznaniu. Jezuita, podobnie jak pijar, krytykuje teoryę monad Lejbnica i Wolffa, nie podziela poglądów Kartezyusza, wielbicielem zaś jest Newtona. Newtonowskie prawo ciążenia, że „wszystkie skutki na świecie tłómaczy", do najznakomitszych Rogaliński zalicza odkryć; lęka się przecież oświadczyć za niém stanowczo, niewątpliwie z obawy znalezienia się w kontradykcyi z religią. Nie będziemy się—powiada—ślepo przywiązywać do niego: „nic nie przyznam na samo słowo mędrca jakiego, póki prawdy przez doświadczenie nie obaczę". Z poszukiwania „początków pierwszych i przyczyn wszystkich na świecie rzeczy", rezygnuje zupełnie, albowiem rezultat dotychczasowych w tym kierunku dociekań ogranicza się „na dowcipném podobno". „Dlaczego wszystkie szkoły, wszystkie rozumy tego wieku, zaniechały cale dalszego szukania tych początków, uznając, że wiadomość ta nie jest potrzebną do zrozumienia skutków przyrodzonych. Bo chociaż pierwszych początków ich nie wiemy, możemy jednakowo przez doświadczenie dochodzić ich bliższych początków i przyczyn, które pod zmysły nasze podpadają". Mniejszéj od dzieła Rogalińskiego wartości była, wydana w r. 1767 w Lublinie przez jezuitę Stanisława Chyczewskiego, „Physica experimentalis figuris aeriincisis depicta et illustrata", rozprawiająca o kometach, systemach budowy światów: Kopernika, Tychona i Ptolomeusza; o machinie elektrycznéj i anatomii człowieka; podająca sposoby fabrykacyi atramentu sympatycznego, chronometru, termometru i t. p.

W szóstém i siódmém dziesięcioleciu nowa filozofia stanowiła kwestyę żywotną: w zebraniach towarzyskich wywoływała dysputy i spory, w czasopismach i książkach była przedmiotem rostrząsań i uwag.

„Wrzaskliwe, pełne uporu i potwarzy dysputy nie wiedzieć o co— pisał „Monitor" (1770 r. Nr. 15) — które się teraz po kompaniach zjawiły, tak mnie zgorszyły, że pomyśléć nie mogę bez gniewu o filozofii. Stawiam przed oczy WMPanu niedawno tu w Warszawie w znaczniejszéj jednéj kompanii, podczas obiadu, odprawianą dysputę. Ci, co ją rozniecili, tak żwawo, potężnie, z zaślinieniem się, szelestem, tupaniem, hukiem, potwarzami... nastawali na siebie, żeśmy już rozumieli, iż od téj argumentacyi zapewne do krwawego przyjdzie pojedynku... Obstawano tam z jednéj strony przy tém zdaniu, że „materya pierwsza rzeczy wszystkich jest to możność nieprzypuszczająca żadnéj czynności, ani metafizycznéj, ani fizycznéj"; z drugiéj strony atakowano, że „ta materya... jest próżny wymysł ludzi, źle rze-

czy pojmujących, w uczeniu oszukujących... jest śmiech rozsądnych ludzi" Popierający swego zdania, powiadali, że to jest fundament wiary, pierwszy do pojęcia wszystkich rzeczy zmyślnych początek i grunt nauki naturalnéj. Atakujący mówili: toć tedy tak szacowna i potrzebna rzecz powinnaby być istotą jakąś, łatwą do pojęcia, a WMPanowie powiadacie, że: „ta materya nie jest coś, nie jest jakie, nie jest tyle albo tyle, bez żadnych przyzwoitych jestestwa własności, a przecież nie jest nic". Broniący swojéj materyi rycerze powiadali, że: „możność do bycia jest tak dobra, jak samo jestestwo i że ta możność jest pośrodkującą rzeczą między jest i nie, a lubo własności jestestwa nie ma, ale w łonie swojém cudownėm ma ukryty skład wszystkich rzeczy... A tak, skoro materya łono swoje otworzy, wnet stanie się: Piotr, koń, kamień, ryba, drzewo". Atakujący z wielkim pośmiechem i hałasem pytać poczęli: „a ta forma znowu substancyonalna rzeczy wszystkich, cóż będzie? Odpowiedziano: oto piotrostwo, koniostwo, rybostwo, drzewiostwo, jest formą Piotra, konia etc. I taż to cała odpowiedź? a któż się mędrszym i lepiéj objaśnionym stał po takiéj odpowiedzi? Kto tu z przytomnych (mówił atakujący) rozumie te wyroki delfickie? O! strato czasu! o nauko, ćmiąca rozumu jasność naturalną i wrodzoną do pożytecznych rzeczy sposobność! Dobrze uczony Grawina powiedział, (mówi daléj atakujący), że jak tylko poczęło się królowanie w szkołach perypatetyki, tak téż zaćmiona została prawda, upadł gust pożytecznych nauk; krótko mówiąc: uczyć zaczęto subtelnie błądzić. Tu dopiéro otworzyło się pole wielkiéj bitwie z obudwóch stron z taką żwawością i gorliwością, z jaką żaden jeszcze podobno generał fortecy najmocniejszéj nie atakował. Broniący się, mniemając, że to był *crimen laesae majestatis* tknąć naukę Arystotelesa, któremu posłuszeństwo przysięgają, wydali to hasło: że jednego Arystotelesa nauka wszystkich filozofów przeważa zdania; że oną ojcowie Kościoła uznali pomocą do obrony wiary. Opak wszystkiego dowodzili atakujący, idąc przez wszystkie wieki, i pokazywali wielką nikczemność, bałamuctwo perypatetyki"...

Filozofowie, poczytywani przed laty dziesięciu za gorszycieli, zdobywają uznanie. Jezuita, Andrzéj Bromirski, przetłómaczył z francuskiego i wydał za aprobatą kościelną książeczkę [1]), nie szczędzącą dla Kartezyusza najżywszych pochwał. „Filozof ten uczył godnie, ponieważ mówił uczniom swoim: zbierzcie myśl w sobie i radźcie się rozumu, a względem tajemnic natury uciekajcie się do dochodzenia rzeczy i do doświadczenia.. Żaden człowiek, który nie myśli o nau-

[1]) „Filozofia obyczajów i rozumu". R. 1762. Warszawa, druk. Coll. Soc. Jesu.

kach tak, jak myśléć o materyi fizyki przepisał Kartezyusz, nie jest godnym wieku teraźniejszego... Logika szkolna, na słowach tylko i podejściu w nich zasadzająca się, wielkiém była ukontentowaniem pięciu lub sześciu wieków... lubo mało na co zdała się. Logika gruntownego i stałego dyskursu, na poważnych i głębokich zdaniach zasadzająca się..., jest darem daleko nad pierwszą doskonalszym, który nie dał się słyszeć między ludźmi, aż po Kartezyuszu..." Czasopismo, redagowane przez jezuitę, Adama Naruszewicza, o zasługach filozofów nowożytnych z gorącym się rozwodzi zapałem. „Patrzcie na Kartezyusza, zgrzybiałéj parypatetyków filozofii urągającego się, a szkolne w zwadliwym tłumie berło Arystotelesowi z rąk wydzierającego: bez względu na potwarzy najstraszniejsze, nań od ludzi, w błędach zanurzonych, miotane; bez względu na wygnanie ustawiczne, w którém zostawać musiał; pełen w tylu utrapieniach, dla utrzymania prawdy poniesionych, był pociechy, a pociechy stąd wypływającéj, iż się pewnym tego widział, że na fałsze następuje; a nadzieję miał, że prawda tak chętnie po śmierci jego przyjęta będzie, jak żwawo za życia była odrzucona. Patrzcie na Bakona, z ciemnych zabytków nieumiejętności wychodzącego, w którychby jednak współżyjących zjednać sobie mógł podziwienie: uniesiony w górę lotnem dowcipu swego skrzydłami, wzbija się na miejsca, obfitszém obdarzone światlem, na których podziwienia celem być nie mógł, gdyż słabe ludzi wieku onego wzroki dojrzéć go nawet nie potrafiły. Wzniecił on pierwsze iskierki onego-to, tak nam mile teraz przyświecającego, ognia; stawiał, ale daremnie, to słabe jeszcze światło przed oczami ludzi, dzikością niejaką i nierozumem zaślepionych, a tém samém wyrzekał się pochwał wieku swego, aby całéj potomności oczy na się obrócił" [2]). Wydawnictwo zeszytowe księgarza warszawskiego, Posera [3]), w obszernym artykule o historyi filozofii urąga Arystotelesowi, a raczéj tym, którzy go komentarzami swymi spaczyli; unosi się nad odkryciami myślicieli, począwszy od Kopernika, skończywszy na Wolffie... W wieku XVI filozofia poczęła się uwalniać z więzów terminologii i dla dowodzenia prawdy trzeba było dowodów i przekonania rozumu, a nie samych słownych wyrazów. Zrzucono nawet jarzmo mistrzowskiéj powagi w filozofii i, nie czyniąc krzywdy Arystotelesowi, nie chciano mu wierzyć na gołe słowa... Mikołaj Ko-

---

[2]) „Zabawy przyjemne i pożyteczne" (1770), t. I, część I, edycyi 2-ej z r. 1775 str. 167.

[3]) Zbiór różnego rodzaju wiadomości z nauk wyzwolonych, filozofii, prawa przyrodzonego, historyi, polityki, moralnéj tudzież innych umiejętności rozmaitych uwag do pożytku i zabawy publicznéj służący. 1770, zeszyt 10.

pernik odważył się iść za światłem własnego rozumu do gruntowania i dochodzenia prawd matematyki i astronomii... Galileusz poszedł za zdaniem Kopernika... Gassendi wynalazł na początku XVII wieku najłatwiejszy i najdoskonalszy sposób traktowania filozofii, który wiele dopomógł do wydoskonalenia téj nauki. W tymże czasie Kartezyusz odkrył sposobem, mało komu przed nim znajomym, więcéj prawd w filozofii, niż filozofowie dawniejszych wieków... Jeszcze przed Kartezyuszem Franciszek Bakon poznał niedokładność filozofii szkolnéj i zły sposób, którym jéj uczono: on pierwszy pokazał światło, za którém poszli wszyscy... Wiele światła i wydoskonalenia swego powinna filozofia Newtonowi, Lejbniciuszowi i Lockemu... Wiadome jest całemu światu sławne systema Newtona o czczości i ciągłości, nikomu z uczonych nie jest tajno, z jak wysokim i doskonałym wymysłem zakładał swoje początki i jak mocne z nich czynił wnioski... Cóż mówić o barona Lejbniciusza systemacie względem świata? jak wysokimi ten mąż był zaszczycony talentami i doskonałością w naukach matematycznych? z jaką łatwością rozwiązywał problemata najtrudniejsze i największéj wagi? Cóż mówić o prawdziwéj anatomii, ugruntowanéj na dowodnych przyczynach i doświadczeniu, ściągającéj się do duszy i rozumu ludzkiego, któréj autorem jest pan Locke? co o odkryciach jego w téj mierze najsubtelniejszych i najprawdziwszych, o sprawiedliwych granicach, które naszym poznaniom oznaczył? Nie przytoczę tu po tych wielkich ludziach, tylko pana barona Wolfiusza, któremu filozofia winna wyłuszczenie i wykładanie teraźniejsze prawd swoich nowym sposobem matematycznym. Ten sam objaśnił i dokładniéj wyłożył wszystkie systemata pana Lejbniciusza i zostawił bardzo szacowne dzieło o wszystkich częściach filozofii. Jego instytucye matematyczne składają najlepsze dzieło z tych wszystkich, którekolwiek w téj mierze i w jakimkolwiek wyszły języku..."

Inicyatywą i zabiegami pijarów, wytrwałą emulacyą jezuitów, poparciem czasopism i książek, nowa filozofia wywalczyła sobie racyę bytu i kredyt. Pijarzy—powiada Kitowicz [1])—dokonali tego, że wszystkie szkoły przyjęły neoteryzm czyli naukę *recentiorum*, według któréj ziemia się obraca koło słońca, nie słońce koło ziemi, tak jak pieczeń obraca się koło ognia, nie ogień koło pieczeni. Że koloru niemasz żadnego w rzeczach, tylko te barwy, ktore na nich widzimy: białe, czarne, zielone, czerwone, żółte, sprawuje temperament oczu i światła... Że ból, świerzbienie i inne czucia nie mają swego pla-

[1]) Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. Petersb. i Mohylew. 1855, t. I. str. 20.

cu w ciele, tylko w duszy... Zgoła, pod Augustem III... wzięła w szkołach polskich początek nowa filozofia, ale z wielką bojaźnią rozszerzała swe zdania; ośmieliła się zupełnie na końcu jego panowania". „Zaczyna w Warszawie—głoszono w r. 1765[1])—osobliwie u księży... fizyka doświadczalna kwitnąć i spodziewać się należy, że wkrótce mężów, w wszystkich częściach matematyki biegłych, Polska widzieć będzie. Mogę też słusznie mówić, że zdrowsza filozofia, która od niemałego czasu do tego królestwa nie była dopuszczona, z czcią do niego teraz się wraca i niechybnie onych pożytków, które z sobą przynosić zwykła, uczestnikiem one uczyni". Ci, którzy w pierwszéj połowie stulecia wystąpili przeciwko krzewicielom nowéj filozofii z zarzutem herezyi, w lat kilkanaście późniéj utyskiwali, że popularyzowanie fizyki doświadczalnéj w Polsce napotyka trudne do złamania zawady, doradzali dla podniesienia w narodzie znajomości téj nauki działać na młodzież środkami zachęty. „Te nauki,—pisali jezuici—w r. 1761[2]), że nie tak są łacne, aby z małém przygotowaniem i lekką uwagą miały być pojęte,—nie wzięły dotychczas wzrostu u nas znacznego. Rozumy nasze, chociaż są dosyć ostre do pojęcia, dla przeciwnych jednak maksym, od młodych lat powziętych, jakoby całe szczęście i promocya uboższych w kancelaryach się i dworach zawierały,—w takim mają szacunku nauki, w jakim zabawy, wymyślone do zwłoki czasu. Bojaźń kary zostawiona jest za jedyny środek do wrażenia młodym ochoty do nauk, gdy inne królestwa do osiągnięcia tego końca promocyi na wysokie dostojności używają. Skutecznie im się ten sposób powodzi i mają w duchownym i świeckim stanie ludzi, doskonałą mądrością ojczyznę wspierających".

W początkach ruchu największém uznaniem cieszyła się filozofia Wolffa, ucznia Leibnica. Mistrza nazywano filozofem „nieśmiertelnéj sławy", Wolffa najmędrszym, najsławniejszym (*sapientissimus, celeberrimus*). Kiedy Hobbes „wynalazca ateuszostwa czyli Bogaprzeczctwa" i taką samą mający opinię Spinoza, w ludziach religijnych budzili odrazę, Lejbnic, a przedewszystkiém Wolff, popularność zdobyli w Polsce największą. „Chrystyan Wolfiusz—pisał Narbutt—Lejbniciusza zdania wierny tłómacz, wielkiego człowiek pojęcia i bystrego rozumu, wszystkie filozofii części nietylko naturalnym porządkiem, ale wielką dowodów mocą wyłożył, pomnożył i objaśnił, tak szczęśliwie i doskonale, że słusznie mu przyznać imię należy wielkiego". Mitzler de Kolof wydał w przekładzie „pewnego młodego kawalera, który z nie-

---

[1]) „Monitor" z r. 1765. N. 62.

[2]) „Wiadomości literackie" z 1 Stycznia r. 1761.

spracowaném usiłowaniem i pomyślnym skutkiem w umiejętnościach wyższych dotąd się ćwiczy", *Naukę rozsądkową* Jana Krzysztofa Gottscheda, ucznia Lejbnica i Wolffa [1]). „Nie mógł zaiste—powiada Mitzler w przedmowie o tłómaczu—narodowi polskiemu znakomitszéj przysługi uczynić. Bo dotychczas nowa filozofia tylko niektórym wyższego stanu osobom znajoma była. W polskim języku jeszcze dotychczas filozofii nie czytano, przynajmniéj poprawionéj przez nowszych autorów, która we wszystkich prawie państwach Europy na dawnéj Arystotelesowéj miejsce nastąpiła. W Polsce mniéj dotychczas poważano wynalazki nowéj filozofii, a najmniéj o nie dbali ci, którzy najbardziéj miéć staranie winni byli. Teraz zaś jest nadzieja, że i ta część umiejętności lepiéj w Polsce kwitnąć pocznie, do czego się ta filozofia nie mało przyczyni" [2]). W kilka lat późniéj pijar, Kazimierz Narbutt, napisał podług pomysłów Wolffa i ogłosil w Wilnie (1769) *Logikę, czyli rozważania i rozsądzania rzeczy naukę, według któréj każdy ma we wszystkiém prawdy dochodzić i strzedz się fałszu* [3]). Jezuita Nakcyanowicz z dzieł Wolffa ułożył kompendyum [4]) do wykładu matematyki w akademii wileńskiéj. Pijar, Klemens Hołowiński, miał w manuskrypcie polskim wyciąg z prac filozoficznych profesora halskiego; kanonik chełmski, Antoni Rostkowski, przełożył różne traktaty jego, których jednak do druku nie podał [5]). Wogóle przecież nie chciano się krępować żadnym systemem filozoficznym, obejmującym całokształt pojęć o człowieku i świecie. „Należałoby—pisał *Monitor* (1773, Nr. 69)—jak może być najmniéj łożyć czasu na nauczanie się rozmaitych systematów, które ułożyli filozofowie tak dawniejsi, jako i teraźniejsi. Niektóre są tylko walczeniem w słowach i zasadzają się na szczerym domyśle. Niech jeden daje tę atomom godność, że są początkami rzeczy, t. j. ciałkami tak złączonemi, iż się rozdzielić nie mogą; drugi okrzyknie, że każde ciało jest nieskończenie podzielne.

---

[1]) Wychodziła przy „Nowych wiadomościach ekonomicznych i uczonych, albo magazynie wszystkich nauk, do szczęśliwego życia ludzkiego potrzebnych" (1758—1761); osobno w r. 1760 p. t. „Pierwsze prawdy całéj filozofii".

[2]) W młodszych leciech pisał Mitzler po niemiecku i po łacinie rozprawy z logiki (np. „De natura syllogismi), stosując do niéj metodę matematyczną Wolffa. Rezultaty badań jego, zaniechanych późniéj, przypominały czasopisma polskie, nie szczędząc autorowi wyrazów uznania („Monitor" z r. 1775, N. 6).

[3]) Bentkowski („Hist. lit." II, 20), według którego pierwsza edycya książki Narbutta wyszła w r. 1766, prawdopodobnie myli się. Wydania takiego nie znaleźliśmy, nie zna go i „Bibliografia" Estreichera. Edycye z r. 1769, 1775, 1782, 1791 mają aprobatę z 13 Sierpnia r. 1768, co przemawia za wersyą naszą.

[4]) „Praelectiones mathematicae et Wolfianis elementis adornatae". Wilno. 1759, 1761.

[5]) Janocki. „Lexicon". I, str. 141: II, str. 159.

Mówmy to samo o sprzeczkach i zdaniach rozmaitych o wichrach i czczości. Są to utarczki ustawiczne, w których nigdy nie można widzieć, z któréj strony zwycięstwo, bo wiele jest ciemności w téj części filozofii. Plato i Arystoteles byli panami wydanéj bitwy przez wiele wieków; w ostatnich latach Gassendystowie i Kartezyuszowie sądzili, że ich spędzili z placu, ale w pośrodku ich zwycięstwa Newtonowie, Lejbnicowie, Wolfiuszowie — wszyscy waleczni wojownicy przeciwko nim powstali i mogą się spodziewać, że ich podobny, jak drugich, los oczekuje. A wieleż jeszcze pałaców na powietrzu nie wymyślają codziennie filozofowie?".

Żaden istotnie z systemów filozoficznych w całości uznania nie znalazł: czerpano ze wszystkich o tyle, o ile bezpośrednio nie zaczepiły dogmatów i nie podkopywały etyki chrześciańskiéj. „Kartezyusz — pisał ks. Samuel Chróścikowski[1] — wszystkich dawniejszych filozofów zawstydził, błędy ich wytknął i pokazał, jak mało co o rzeczach naturalnych rozumieli. Nową więc filozofię ułożył i za prawdziwą lub przynajmniéj do prawdy podobniejszą utrzymował. Lecz i jego filozofia, czas niejaki panowawszy, prawie już upada. Dzielą się najbieglejsi ludzie. Jedni jemu sprzyjają, naukę jego oświecając lub niektóre rzeczy poprawiając. Drudzy za Newtonem idą. Inni się do Lejbniciusza nachylają. Inni Arystotelesa jeszcze utrzymują. A jako dawni argumentowali, tak i teraźniejsi filozofowie jeszcze argumentują, i do którego kto w czém przywiązał się, w tém jego naukę wszelkiemi rozumu siłami popierać usiłuje. Już-że więc na wszystko filozofowie zgodzili się? już-że nam dowiedli, jaka jest rzeczy materyalnych istota? czyli materya jest nieskończenie podzielna? czyli Newtońska atrakcya jest rzeczy materyalnych własnością? czyli czczość w rzeczach ma być przypuszczona? czyli słońce koło ziemi, lub ziemia koło słońca obraca się? Prawdę szczerze wyznając, te i tym podobne kwestye jeszcze dotychczas nie są gruntownie rozwiązane i tylko je filozoficzném mniemaniem nazywamy. Któreby z nich do prawdy podobniejsze było, każdy tak trzyma, jak się mu zdaje i podoba... W tych naukach, które się do saméj filozofii ściągają i w których nikomu swém zdaniem nie zaszkodzisz, jakkolwiek utrzymywać będziesz, wolno to twierdzić, co za prawdziwe lub przynajmniéj do prawdy podobniejsze być poczytujesz. Wszakże i nam Newtońska atrakcya, tudzież czczość w rzeczach materyalnych być się do prawdy podobniejsze zdają, aniżeli najsubtelniejsza jakaś materya, od Kartezyusza wymyślona. Lecz w nauce,

[1] „Filozofia chrześciańska o początkach praw naturalnych przeciwko deistom". Warszawa. 1766, str. 237, 240 passim.

obyczajów tyczącéj się, nietylko rzecz jest sprawiedliwa, ale téż i potrzebna, ażeby nauczycielem naszym był Chrystus".

Nad wszystkie systemy filozoficznie przekładano eklektyzm. Z pomysłów scholastycznych Bakona, Kartezyusza, Gassendiego, Locke'a i innych ulepił „Praelectiones logicae" (1761) profesor filozofii w akademii wileńskiéj, Benedykt Dobszewicz [1]). W akademii krakowskiéj zaprowadził filozofię eklektyczną profesor Józef Putanowicz, w szkołach Lubrańskiego w Poznaniu—Matatowski i Chudzicki; wykładali ją w niektórych kolegiach jezuici, np. w Przemyślu ks. Michał Pisarski, i miewali o niéj dysputy [2]). Sam Narbutt, lubo wyznawca Wolffa, chwali eklektyków, że, do żadnéj nie przywiązując się „sekty", wybierają z filozofów opinie, jakie przypadną komu do gustu. „Ten to jest sposób, który od szkolnéj niewoli filozofię skutecznie wyzwolił".

Gruntowniéj, niż Lejbnica i Wolffa, zaaklimatyzowały się w ostatniéj ćwierci wieku poglądy Locke'a: jako nie masz żadnych idei wrodzonych, że wyłącznym źródłem poznania są zmysły (*Nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu*). Teorya gołéj tablicy (*tabula rasa*) ducha stała się punktem wyjścia dla prac pedagogicznych i publicystycznych, podejmowanych w celach przekształcenia narodu. „Człowiek nie przynosi z sobą na świat ani cnót, ani występków; rodząc się, nie jest ani złym, ani dobrym. Nie przynosi z sobą na świat, jak tylko moc czucia potrzeb swoich, którym dogodzić sam przez się nie może. Namiętności żywsze lub słabsze są darem saméj natury, ale darem, który przy pomocy tejże natury wymusić na niéj można. Idźcie tylko rodzice drogą saméj natury, porzućcie kunsztowny i niewłaściwy człowiekowi sposób życia, a wasze dzieci będą miały piękną figurę i dobry temperament. Dawać edukacyę dziecięciu jest to używać jego naturalnych sposobności, temperamentu, tkliwości i potrzeb, aby z niego zrobić to, co chcemy, jak garncarz używa ciągłości i wilgotności gliny na zrobienie z niéj według swego upodobania garnka lub talerza. Najwięksi obyczajności nauczyciele są tego zdania, iż przy pomocy edukacyi można każde dziecię tak uformować, jak tylko kto chce, i że wszystkie dzieci mogą przyjąć i utrzymać w sobie te wyrazy, które się w nich chce czynić, aby tylko umiał kto, jak sobie trzeba z niemi postępować" [3]). Z tego

---

[1]) Struve. „Wykład systematyczny logiki". Warszawa, 1870, str. 170.

[2]) „Kuryer polski" z r. 1759, N. 1, addydament. Baliński. „Pamiętniki o J. Śniadeckim" I. 6.

[3]) „Zbiór tygodniowy wiadomości łuczonych na R. P. 1784 wydany". Kraków. Art. „Maksymy dobrego wychowania" (Kwartał III N. 2).

samego stanowiska ujmowali się publicyści za chłopstwem, rozprawiali o reformie żydowstwa. „Pomimo przesądu — pisał „Monitor“ (1778, N. 81)—który nie przyznaje chłopu najmniejszych dobrych przymiotów, zawsze jest pewne, że chłop, jako jedną z nami naturę mający, tak jedneż ma sobie nadane od natury przymioty, które nie chciéć mu przyznawać, jest to chciéć wyzuć go z nazwiska człowieka“. „Chcemy miéć ludzi czułych i towarzyskich, wychowujmy dzieci nasze w społeczeństwach ludzi, a nimi się staną; ludzi rozumiem wszelkiego stanu, bo natura, tworząc nas, żadnéj zewnętrznéj między nami nie uczyniła różnicy“ [1]). Cechy moralne, właściwe Żydom, przypisywano nie prawu dziedziczności, lecz warunkom wychowania i wpływowi ustawodawstwa [2]) Pogląd Locke'a na znaczenie zmysłów w procesie poznania również popularność miał wielką. „Albo rozumem przeniknąć, albo o tém mówić, o czém i o któréj rzeczy człowiek przez zmysł żadnéj wiadomości nie zasiągł, mojém zdaniem najtrudniejsza. Czego człowiek nie widział, nie osądzi co jest; jak się dowie o rzeczy, jeżeli się nie dotknął?“ [3]). Profesowie i publicyści przy każdéj sposobności przypominali zasadę, jako „nic nie jest w rozumie, coby wprzód nie było w zmyśle“ [4]). Staszyc, sentecyami filozoficznemi przepełniający zarówno traktaty publicystyczne, jak utwory poezyi, najwybitniéj wyobraża panujący w ostatniéj ćwierci wieku kierunek empiryczny. „Nie mamy wyobrażeń wrodzonych. Z porównania uczuć robią się wyobrażenia zmysłowe. Z porównania zmysłowych wyobrażeń pochodzą wyobrażenia myślne, czyli pomysły. Pierwsze mogą miéć zwierzęta, drugie ma tylko człowiek... Plato pierwszy dawał naukę o wyobrażeniach wrodzonych, Kartezy myśl Platona rozszerzył i jako umiejętność podał. Z uczniów, z naśladowców Kartezego najsławniejszymi byli: Malebranche, Pascal, Arnould. Do nich przystąpił Lejbnic i przydał jeszcze naukę o monadach... Naukę Lejbnica poparł dowcipnie Wolff i przez osobliwy sposób idei wykładu upowszechnił ją we wszystkich szkołach Niemiec... Aristot wyrzekł najpierwszy, że to wszystko, co wyobraża rozum, muszą wprzódy znać zmysły... Locke, obrażony mylném Kartezego mniemaniem, podaném za zasadę nauki o wrodzonych wyobrażeniach,

---

[1]) „Kniaź Żegota, czyli pan dobry“, powieść. Warszawa, 1784, str. 33.

[2]) „Żydzi, czyli konieczna potrzeba reformowania Żydów w krajach Rzeczypospolitéj“. 1782.

[3]) „Monitor“ z r. 1780, N. 28.

[4]) Trzciński. „Opisanie przyczyn fizycznych trzęsienia ziemi“. Kraków, 1787.

zebrał wszystkie wywody na utwierdzenie prawdy, przez Arystotelesa wyrzeczonéj. Naukę Locke'a posunął daleko Condillac“ [1]).

Do rozpowszechnienia empiryzmu przyłożył się akademik krakowski, ks. Cyankiewicz, przez ogłoszenie przekładu dzieła Locke'a „O rozumie ludzkim“ [2]), oraz zaprowadzenie w szkołach logiki Condillac'a. Wytłoczony w r. 1786 „w drukarni pokojowéj Siemiatyckiéj“ traktat p. t. „Physiologia albo krótko zebrane lekcye elementarne o naturze i własnościach duszy“ główne zasady filozofii empirycznéj rozpowszechniał w formie przystępnéj. „Jako krawiec bez igły, malarz bez pędzla, cieśla bez siekiery nie obejdzie się, tak i dusza twoja bez zmysłów obejśćby się nie mogła, bo to są jéj instrumenta, przez które dochodzi wszystkiego... Przymioty duszy naszéj czy są podobne tym, które zwierzęta mają? Mają zwierzęta ideę ciemną (pies szczeka przez sen), mają jasną (pies rzucony kęs chleba pożera), ale nie mają rozeznawającéj (pies nie wie: z czego mięso, a z czego chleb). Fundamentalna między człowiekiem a zwierzęciem różnica, że człowiek, mając ideę rozeznawającą, przewiduje skutki i zna przyczyny tych skutków, czego zwierz nie może“.

Zawarcie możności poznania w granicach zmysłów i doświadczenia dawało naukom eksperymentalnym znaczenie wyjątkowe. Fizykę doświadczalną uważano za główną zasadę filozofii [3]). „Do tego już stopnia oświecenia i umiejętności przyszedł wiek XVIII, że uwolnił filozofów, aby więcéj nie byli filozofami, lecz przestali na tém, że są fizykami“ [4]). Proces reakcyi przeciwko scholastycyzmowi, błądzącemu po bezdrożach urojeń, sprowadził filozofię do wyłącznego niemal badania zjawisk podpadających pod zmysły.

---

[1]) W przypiskach do poematu „Ród ludzki“. Podobnież rozwodzi się w „Przestrogach dla Polski“ (1790, str. 7) i w dodatkach do przekładu „Epok natury“ Buffona (1786).

[2]) „Logika, czyli myśli z Lokka o rozumie ludzkim wyjęte“. Kraków, 1784.

[3]) Trzciński. „Dyssertacya o wzroście świateł przez ducha obserwacyi i doświadczenia“. Kraków, 1791.

[4]) „Zbiór tygodniowy wiadomości uczonych na R. P., 1784 wydany“. Kraków. Art. „Uwaga względem filozofii obyczajnéj“ (Kwartał I, N. 2).

Władysław Smoleński.

GŁUPI FRANEK.

Niski brzeg Narwi kipiał ptasią wrzawą. Cała ta część jego, która od błot Pełczyńskich do Zajek ciągnie się kręto i obłężnie, brzmiała teraz jak struna ruszona.

Chwila była poranna, niebo czyste; młode, kwietniowe słońce, jeszcze się nie wzniosło nad ziemię, i zapłomieniwszy tylko rąbek widnokręgu, siało przed sobą tę różaność złotą, którą tak chciwie piją wody i powietrze ciche.

Wszystko tu było jasne, przejrzyste, wskróś światłem nabrane. W głębi krajobraz ciemniał. Dymiły tam, jak kuźnia, oparzeliska i mokradła błotne, rozciągające się aż do saméj Biebrzy, dyszały tchem ciepłym jeziorka i kołbiele, z których opary to w górę słupem sinym szły, to opadały poszarpaną płachtą, nie puszczając oczu w głąb zarastających je oczeretów, sitnisk i wikliny.

Z tych-to właśnie oczeretów i sitnisk biła owa roznośna, głusząca wrzawa ptasia. Tutaj-to grały bekasy, chruściele, łyski krzykliwe i biegusy błotne. Ztąd rwały się wrzeszczące czajki, bąki, kurki wodne; tam odzywał się nur, tam darły się krakwy wrzaskliwe, tam podgorzałki, jednostajnym kwakiem świdrujące uszy, tam cyranki lotne. Tam zapadały rybołówki i mewy, tam krążyła wysoko pływająca w powietrzu kania; ztamtąd i czapla, śmigając skrzydłami jak miechem, brała lot ciężki, oporny.

Wrzask tu był tak zmieszany, głosy tak rozmaite, że zupełnie pokrywały szum szorującéj poprzez trzciny rzeki, która sobie z sykiem drogę torowała, tworząc w pośrodku owych kęp i sitnisk małe, ciche, odbijające błękit nieba oka, niby sadzawki, umyślnie dla téj skrzydlatéj hałastry robione.

W téj chwili właśnie, z jednéj z kęp takich porwało się z przeraźliwym wrzaskiem stado dzikich kaczek, które tam były nocą w sitowia zapadły. Stado porwało się, nie odlatywało wszakże, bijąc nad kępą skrzydłami, jakby na jastrzębia.

Zrazu nic widać nie było. Wkrótce przecież, z samego środka oczeretów wynurzyła się głowa ludzka, spłowiałym, roztrzęsionym włosem okryta, mało co różniąca się barwą od pożółkłych zeszłorocznych badyli sitowia.

Głowa ta osadzona była na długiéj, niezmiernie chudéj szyi, a oprócz obfitéj, głęboko spadającéj na czoło konopiastéj grzywy, posiadała dwoje siwych, niezwykle świetlistéj głębi oczu, twarz chudą, śniadawą, i szerokie cienkie wargi, które dziwaczny, pełen żałości i zakłopotania uśmiech, szerszemi czynił jeszcze.

Dokoła głowy, między pożółkłemi badylami sitowia, sterczały gęsto trzciny o brunatnych pałkach, połamane kłąbie tataraków i wielkie pierzaste kiście mietlic, tworząc oryginalne tło dla tych szeroko otwartych oczu, które miały jakieś błyski przebiegłości i przekory, a na dnie których leżał stary i niepocieszony smutek. Oczy te w powiekach, uśmiech na ustach, a głowa między trzciną, tkwiły tak nieruchomie, że kaczki, lot nagle zniżywszy, biły w nią niemal, nakrywając całą kępę wrzaskliwą i trzepocącą się chmurą.

Wyżéj, nad chmurą ową, niby błyskawice, śmigały w powietrzu śniade brzegówki, których gniazda czerniły się w gliniastym ile wyższego brzegowiska rzeki, jak kule, tkwiące w gęsto ostrzelanym murze. Przenikliwe ich głosy wpadały w tępy, uporczywy kwak kaczego stada, jasne, fletowe, wysokie. I one zlękły się niewiadomo czego. Jedna tylko mała pokrzywka, bujająca się na okiści rudego szuwaru tuż prawie przy spłowiałéj gęstwie włosów owéj głowy, świegotała cichutko, kręcąc łebkiem i patrząc to jedném, to drugiém oczkiem na nieobyczajne i krzykliwe ptactwo. Gdyby ciszéj niecо było, możnaby nawet rozumiéć, co ten świegot znaczył.

....Czego się bać? Czego się bać? — zdawała się mówić ptaszyna.

....To jest głowa głupiego Franka.... Tak, to jest głowa głupiego Franka... Nic więcéj... Czego się bać? Czego się bać?...

....Poznaję ją... Wybornie ją poznaję... W czółnie tu leży każdego wieczora, z czółna podnosi się każdego rana.. Czego się bać?... Czego się bać?

....Nic złego nie zrobi... jajek nie wybierze... piskląt nie nastraszy... Czego się bać?

....Tak, to głupi Franek!... Głupi... głupi Franek!... Czego się bać?... Czego się bać?...

Nagle urwała pokrzywka swój świegot przeraźliwym piskiem i jak kłębek spadła na dno oczeretu. Drobne jéj oczko dojrzało wysoko w powietrze wzbitego jastrzębia, który, wisząc nieruchomo na rozciągłych lotach, upatrywał sobie porannéj pastwy.

Gdyby nie to, świegotliwa ptaszyna byłaby może opowiedziała calutką historyę o tym głupim Franku. Byłaby opowiedziała, jak to on tu niewiadomo zkąd nad rzeką wyrósł, niby ten szuwar, albo ta trzcina brzeżna; jak te baby mówią, że go w czapliném gnieździe topielica powiła; jak, ledwo z chłopięcia wyrósłszy, zaraz „głupim“ był i tak się już został; jak do roboty nigdy dobrego rozumu nie miał; jak z rzeki i z podrywki latem żył, a zimą z miłosierdzia ludzkiego. Byłaby może i to powiedziała, jakie to miłosierdzie gorzkie... gorzkie... gorzkie... Jak się dziewczyny z głupiego Franka śmi ją, jak dzieci ze wsi czeredą za nim biegają, jaka zima długa i ciężka w szopie, a nie w izbie! Byłaby powiedziała, jakie słońce dobre i miłosierne, że wraca wiosną, jakby zapomniało czego, wraca i wygrzewa sitowia i kępy brzeżne, i budzi rybki pod wodą, i czerwieni po przylaskach jagody, i głupiego Franka ratuje. I jaka rzeka dobra i miłosierna, że głupiego Franka przygarnia, i jak niegdyś w czaplinėm gnieździe, tak go teraz po kępach i szuwarach tuli... I jaka ziemia dobra, dobra i miłosierna, że na tych pólkach chłopskich, między gospodarskiemi pełnemi kłosami i takie chude kłoski rodzi, które na podpłomyk dla nędzarza idą, na ten chlebek czarny, łzami obmywany, który, choć gorzki... gorzki... o! jak gorzki... duszę przecie trzyma w ciele, i dech żywota w piersiach trzyma, aby do pory, aby do pory...

Ona i to byłaby powiedziała może, jak bardzo ten nędzarz miłuje tę rzekę, tę ziemię i to słońce. Jak ręką chudą, czarną, głaszcze aksamitne pałki trzciny i zielone wstążki tataraków; jak w słońce albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i łzy prósząc z oczu, jak potém nagle na ziemię się rzuca i tak się do niéj tuli, właśnie jak owo dziecko do matczynéj piersi. Ot, zwyczajnie, taki głupi, głupi Franek...

Tymczasem wodzie i powietrzu przybywało coraz więcéj blasków. Migotało to, drżało, mieniło się, jakby rozsnutą w tysiące tęcz drobnych brylantową przędzą.

Obok sterczącéj nieruchomie w oczeretach głowy, ukazała się teraz chuda, czarniawa ręka, dodając oczom zachrony. Ręka ta

drżała do samego ramienia; nie było w niéj widać dobréj siły. A może chłód nocy i wilgotnego szuwaru w czółnie siedział w niéj jeszcze.

Buchnęło wreszcie słońce wielkiém płomieniskiem i rzuciło w rzekę snop ognia, z którego porywając miliardy iskier, zaczęły biedz fale szafirem i złotem.

Brzeg rzeki ucichł nagle, jakby rażony oślepiającém uderzeniem światła; tylko usta sterczącéj w oczeretach głowy zaśmiały się cicho, radośnie, a głowa, zakołysawszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwie, zniknęła nagle w pośród mieniących się nawskróś srebrem, zroszonych kiści mietlic i trzciny, któréj brunatne pałki zapłomieniły się rudo-czerwonawém złotem.

W chwilę późniéj wypełznął głupi Franek z sitniska, otrząsnął się, wyprostował, i wziąwszy na ramię podrywkę na długiéj żerdzi, sporym krokiem wzdłuż rzeki się puścił.

Był to chłop chuderlawy i nędznie odziany.

Szmat starego spencera na grzbiecie niewielce go grzać musiał, bo twarz miał posiniałą i usta mu drżały. Zgrzebna koszula i takież hajdawery, ściągnięte rzemieniem z wytartą kalitką w pasie, a u kostek sznurkiem związane, postoły z wierzbowego łyka, parciana torba przez plecy, oto i cała chudoba. Głowę miał odkrytą.

„Głupi“ na wsi niemal we wszystkich okolicach kraju tém się szczególniéj na pierwszy rzut oka odznacza, że bez czapki zimą i latem po drogach sobie chodzi, jak po własnéj chacie.

Słońce go pali, deszcz moczy, wiatr suszy, mróz szczypie, a on jakoby Panu Bogu wymówić chciał tę nędzę swojéj głupiéj głowy w burzę i w pogodę, we dnie i w nocy, nosi ją pod niebem odkrytą, bezbronną, na ludzki śmiech podaną, zorzom i gwiazdom widną, i z nich też może biorącą nieraz takie nagłe błyski, takie daleko wstecz i naprzód sięgające światła, o których mądrym, w dostatnich baranich czapach schowanym głowom, ani się nie śniło.

Głowa „głupiego“ ze wsi, to studyum niezmiernie ciekawe. Jest to czasem głowa filozofa, czasem głowa poety, a zawsze głowa Łazarza.

W niéj, jak w dziwacznym pryzmacie, odbija się cała nędza twardego chłopskiego życia, i wszystkie sny jego złote, naiwne, dziecięce niemal. Z tych rysów zagasłych, z tych zwiędłych uśmiechów, z tych zmąconych źrenic, tryska nagle, niespodzianie, żywe źródło jakiéj prapiastowéj, gdzieś złotemi żyłami chodzącéj wskróś ziemi myśli, jakiegoś uczucia, wybłyskującego jutrzenném światłem dnia, o którym niewiadomo nawet, czy przyjdzie kiedy.

Głowa „głupiego“ zarasta najczęściéj gęstwą lnianych, wypłowiałych włosów; rzekłbyś, kądziel to rusałczana, z któréj niewidzialna i samemu „głupiemu“ nieznana prządka snuje szarą, niezmiernie długą i splątaną, zagmatwaną nić zadumy nad rzeczami, które niewiedzieć jak do mózgu tego wpadły i pracują tam bezświadomie a nieutrudzenie, to wybuchając, jak płomień nagłe i silne, to leżąc ciche i nieporuszone, jako w roli ziarno leży siewne, na podzimiu pod skibę rzucone.

Głowa „głupiego“, z tą pracującą w niéj na własny ład fantazyą, z tém nieuznaniem porządków świata i istnieniem poza ich karbami, — to retorta, przez którą myśl przechodzi z pospolitych głów rozsądnych do głowy genialnéj.

Lud wiejski, mimo że się z „głupiego“ śmieje, instynktownie przecież otacza go poszanowaniem, zabobonném niemal. „Głupi“, to u ludu tyleż prawie, co „mądry“, mądrzejszy może nawet od innych, tylko w inny sposób, tą mądrością, która nie jest z tego świata.

Czasem „głupi“ nie jest głupi; jest tylko nieszczęśliwy. Wiadomo, „głupich“ najwięcéj „od rodu“, ale i to się znajduje po świecie, że chata komu ze wszystkiém do tła zgorzeje, albo mór gniazdo wybierze do ostatniéj głowy, albo powódź rolę tak spłucze, tak wymuli, jakby jéj nie było; to taki nieraz między „głupich“ idzie, o nic dbania nijakiego nie ma, niczém głowy nie mitręży, tylko po świecie chodzi sobie luzem, poglądając po ziemi i po niebie, póki go tam śmierć nie ugasi kędy.

To, co indziéj jest nerwami, melancholią, zniechęceniem, bluźnierstwem, rozpaczą, — to wszystko jest tu „głupością“.

Czasem „głupi“ jest tak głupi, że nawet nie wie o „głupości“ swojéj. To idyota, to durny. Takiego lud we wzgardzie ma, z bydlęciem go równa. Ale inszy chodzi po gościńcach wiejskich, jak apostoł, jak prorok, jak „opętany aniołem“. Taki „głupi“ ma w sobie coś żywiołowego. Z ziemią gada, z wodą gada, z wiatrem i z ogniem gada.

Niedołężny, głodny, obdarty, imponuje majestatem bezbronności swojéj, swojéj nieodpowiedzialności, bezpośredniém zetknięciem z palcem Bożym, który go już ot na taki żywot naznaczył.

Z pod gęstwiny lnianych swoich włosów, „głupi“ patrzy na świat to szerokiém, obłędném, daleko poza granice wioski wybiegającém spojrzeniem; to w bok, to na stronę rzuca owe skośne błyski oczu, pełnych gryzącego szyderstwa, lub smętnéj ironii; to wreszcie z głęboką melancholią i bezdenném pożądaniem nicości, wbija w ziemię szklistą, osłupiałą źrenicę, jakby patrzył we własny grób otwarty. Miewa on jeszcze niekiedy żywe, roztargnione, ruchliwe spojrzenia

dziecka, któremu od śmiechu do łez tak blisko, jak bliską jest żałość wszelkiego wesela.

Takiém spojrzeniem poglądał w téj chwili głupi Franek na świat boży, idąc brzegiem Narwi. Na wschód, na słońce prawie szedł, głęboko w zroszonych trawach brodząc i uśmiechając się téj błękitnéj pogodzie, co wokół dyszała świeżością zaranną.

Patrząc na jego pierś szczupłą, na wązkie, chłopięce biodra, na żywe i składne ruchy, wziąćby go można za młode pacholę; kiedy się wszakże wiatr od rzeki ruszył i czoło mu z owéj gęstwy lnianych włosów odkrył, ukazywała się na niém żółtość i martwota, głęboko zmarszczkami zbrużdżona, która się przez długie lata wżerać tam musiała.

Już to ogólnym typem „głupich" jest, że niewiadomo, jakie im dać lata. Czasem wyrostek wygląda jak starzec: czasem stary, stary człowiek ma w sobie młodość niespożytą, zgoła niepodlegającą zwiędnieniu.

O takim mówią, że na niego „Święty Jan pojrzał"; jakoż wiadomo jest, że ewangelista ten, orłu przyrównany, orłową téż młodość miał, na skałach prorokując, a dziewiczém ciałem chowając się wieczności.

Żyje to sobie i żyje, a lata mimo lecą, ledwo co nieco tykając takiéj znaczonéj głowy.

Bieda to z głodem trzyma i jakaś skrzydlatość duszna, która temu w żadną przygodę głęboką zabrnąć nie daje, tylko nad owym wartkim żywota pędem górą niesie, tak mało dopuszczając potrzeb, że żaden im brak nie dociska prawie.

Nędzą swoją i „głupością" trzymał się i Franek na świecie. Jak dawno już żył, niewiedzieć; sam sobie lat wyrachować nie umiał. Raz powiadał, że pamięta Francuza, kiedy pod Serock szedł; drugi raz, że sam téż dzieciąteczkiem był, kiedy Herod niewiniątka mordować kazał; trzeci raz powiadał, jako się nie rodził wcale, tylko był i był „tak już sam ze siebie".

Dzieci otwierały gęby, słuchając, baby kiwały głowami, chłopi się śmieli. Ale kto pamięcią sięgnął choćby jak daleko, tyle tylko z onéj ciemnéj studni dobyć umiał, że za jego młodych lat téż „głupi Franek" po światu chodził. Może ten, może inszy, na to przysiądz nie przysięgał żaden, ale że był. Wiadomo, każdy czas ma swoich głupich, a takiéj nędzoty nikt tu rejestrowo nie trzyma, nawet sam Pan Jezus w niebie.

Żartowały z Franka dziewczęta, że taki „topielczuk" to się nie starzeje, bo go matka codzień troistą rosą myje. I prawda. Tylko że nie topielica go myła, ale ziemia-matka rosą swoją codzień myła

jego nędzną głowę, a i te obłoki niebieskie, i te łzy własne. A było ich więcéj jeszcze, niż téj rosy bożéj.

Lubili Franka ludzie, choć podczas i mrukliwy był, i do żartów nieskory; ale jak na niego przypadło, to prawił, jakby z karty czytał, jedno do drugiego przykładając, jedno z drugiego ciągnąc. Na ludzi wtedy nie patrzył, jakoby ich przy nim nie było, ognie mu w twarzy latały, jak te grające o zachodzie zorze, a oczy pilnie na powietrzu kędyś trzymał, jakoby tam oglądał to wszystko, co prawił, tylko mu te rzęsy i powieki drżały.

Wiosną i latem mało go kto na wsi spotkać mógł. Jak tylko pociągnął od rzeki wiatr ciepły, zaraz go zaczuł, choćby łyżkę do gęby niósł, albo w słomie gdzie na wyrkach zagrzebany leżał. Zaraz się zbierał, torbę przez plecy zwieszał, podrywkę na ramię brał i mówił, że „do matki“ idzie. Kija nie nosił nigdy; powiadał, że pies go żaden nie uszkodzi, bo on Świętego Łazarza patronem ma, o którym wiadomo, że mu psy nogi liżą.

„Od matki“ wracał już po dobrym szronie. Chudy był wtedy, zmizerowany, wiatrem i słońcem spalony, kości przez skórę bodły, a koszula i hajdawery strzępami z niego leciały.

Mówią mu ludzie:

— Nie tęgo matka cię wyprawiła we świat...

Na to on:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyla tratwy nieść... tera tyli ziemi szmat obejść.. Oj, nie letki jéj żywot, nie letki! A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnym wrzecionie przędąc...

— Oj, głupi, głupi Franek!—mówiły baby.

A on im:

— Oj głupie wy, baby, nie ja, kiéj nie wiecie, że każda rzecz na świecie służbę ma...

— Oo!..—obruszyła się któraś.—Dzieciakowi ta gadać, żeby rzeka przędła!..

Na to Franek wpadał w złość, w pierś kułakiem tłukł i zaklinał się na godzinę śmierci:

— Żebym tak dobrego skonania nie miał, jeśli łżę! Cóżem to, ślepy, czy co? Nie widziałem to mało sto razy, albo i więcéj, jak na srebrném wrzecionie modre nici przędzie? „Głupi Franek“. Widzita, jakie mądre! Mądremi się powiadają, a nie wiedzą, co każda rzeka wrzeciono srebrne ma i przędzie tak, że się ino w słonku, albo i po miesiącu migoce... A coby się migotało we wodzie, jak nie wrzeciono srebrne.

Baby się śmiały.

— Juści prawda.

— Albo i prawda!

— Niech go, jak ci to zmyślnie przepowiedział!

— Hycel chłop!..

Rozchodziły się, śmiejąc. Ale w myśli zostawał im obraz téj cichéj, niestrudzonéj prządki, która strugi sine na przęślicę wije, i przędzie nici modre, przędzie w dzień i w nocy, ino jéj się wrzeciono jasném srebrem miga.

Inszym znów czasem zapadał w bory, jak jaźwiec, brodząc tam po nich aż do twardéj grudy. Niech jeno drzewo co nieco ożyło, niech brzezina pękać zaczęła, niech po błotach czajki wrzasły, on zaraz manatki zbiera, choćby o północku w bór idzie, a powiada, że go „ojciec“ woła. Szła wiosna, szło lato, szła jesień, a głupiego Franka ani zajrzéć.

Troszczyć się tam o niego i nie troszczył nikt. Każdy dość własnéj biedy ma. Aż dopiero chłopy, po chrust saneczkami jadący, spotykali głupiego, jak się do wsi wracał, zbiedzony, zdziczały, czarny, jak ta święta ziemia, żywicami oblepły, szyszek sosnowych pełno we włosach mający, bardziéj jeszcze obszarpany, niż kiedy „od matki“ wracał.

— A i tak cię to „ojciec“ wypuścił od siebie, jak dziada?—pytają go chłopy.

A Franek:

— Oj bieda i jemu, serdecznemu, bieda! Bieda i służba ciężka! Małoż to on mróweczek wyżywić musi? Mało ptactwa, mało wszelakiego nawietrznego roju? A tera żywice top, a tera grzybom kapelusze funduj, a tera jagodzie każdéj wygódź, a tera kadzidło i mirę szykuj. Trzéj królowie nie pytają, tylko dawaj i już! Dobrze to jegomości albo i organiście, że do kościoła raz tylko po godach zajrzą; ale po boru calutki rok chodzą, a brodami trząsają, co z nich aż perły na ten mech lecą...

Chłopy w śmiech.

— Ooo!.. Głupi! Głupi!.. Królowie ci ta zara po boru będą chodzić! Ale!..

A Franek na to:

— Bodajem ręce, nogi połamał, jeślim ich na własne oczy nie widział! Bodajem się tu z miejsca pod ziemię przepadł! Cóż to? Wódkę piję, tuman na oczach mam, żeby mi się w nich troiło?

To chłop jeden albo drugi do niego:

— I widziałeś króla?

A insi:

— Co będziesz z głupim gadał?

Ale Franek nie dał sobie odebrać słowa:

— Com nie miał widzieć? Bo to raz widziałem? Króla Balcera tom tak widział przed sobą, jak was, gospodarzu, widzę. Patrzę raz, słonko zachodzi, a tu cości ogromnego we złocie stoi. Myślę, dąb nie dąb. Podejdę, pojrzę—król! Płaszcz na nim złotem kapie, korona ino się w oczach mieni od drogości, bogactwo takie, że to ha! Broda po pas, srebrzy się, jako ten mech siwy; jedną ręką w bok się podparł, w drugiéj berlica godna, parada taka, co strach,—zwyczajnie, królewska osoba! A tu dokoła wojsko we złocie, w czerwieni, ino wystawia te piki, te lance, te różne bronie, dwór okrutnie wielki, siła i moc taka, że nieprzeliczona. Aż mi się świat zaćmił, jakem to obaczył.

Niedługo słucham, szepcą... Ten temu, ten owemu słówko po słówku oddaje, jeden do drugiego głowy nachyla, a zmawia się, a radzi... Oho! myślę ja sobie, będzie tu co nowego. Nic. Słonko zaszło, ono wojsko się między drzewa pochowało, król téż; układłem się, śpię. Śpię ja sobie, świata bożego nie wiedzący, aż tu jak nie zahuczy, jak nie zatrzeszczy, jak nie zacznie się tłuc po onym boru, jak nie zacznie szumieć!..

— Niby co?—pyta chłop Franka.

— A cóżby, jak nie to wojsko! Dopierom zmiarkował, że się to tak z wieczora zmawiali na oną batalię... To tak, powiedam wam, się bili, jakby najtęższy wicher przeciw wichru szedł; a tak strzelali, jakby pioruny biły; a te bronie to taki puszczały blask po boru, jak te najtęższe błyskawice. A co strzelą, to w ogniu onym widzę, król Balcer stoi, w płaszczu ze szczerego złota, w złotéj koronie na głowie i brodą trzęsie...

— Baj baju! Wichura była w boru i tyla!—rzecze chłop.

— A ino!—przywtarza drugi.

— Wojskoby to w boru siedziało!.. dodaje inny.

— Świecie! świecie!—woła na to Franek, uderzając w dłonie.— To wy grunty macie, chałupy macie, gospodarzami się opisujecie po wójtach, po urzędach, a tego nie wiecie, że Trzéjkrólowe wojsko w boru je?

Oj naród, naród!.. A kiejże wy z téj ciemnoty na świat przejrzyta, kiéj?.. Już i Pan Jezus po światu chodził, i apostoły chodziły, a wy nic. Jak te owce głupie!

I wodził po nich okiem pełném zdumienia, żałości i gniewu, jak po barbarzyńcach, którymby światła przychylić chciał, jak po zaślepieńcach, którychby nawrócić pragnął.

Chłopi się śmieli.

— Dzita!..

— Dzisz go!..

— Na głupich my u głupiego wyszli!

Ale pacholęta, co tam w podpasanych rzemieniami sukmanach za ojcami biegły u chrustu pomagać, szeroko otwierały oczy, a szeréj jeszcze usta i patrzyły w „głupiego“, jak w tęczę. A kiedy przyszła wiosna i pierwszy grzmot zahuczał na bór czarny jeszcze, śniły się chłopiętom okrutne wojska Trzykrólowe, ich wielkie błyskawicowe miecze, i król Balcer w złotym płaszczu i w złotéj koronie, i niejeden tam wyrostek ukradkiem z za węgła ku lasowi spoglądał, bo juści prawda, że się łomotali ogniście, jakoby wicher przeciw wichru szedł...

Czasem wszelako, ot tak „z dobra woli“, nagła tęskność do ludzi ogarniała Franka. Rzucał wtedy „ojca“ i „matkę“, i jak ot teraz, szedł, gdzie oczy niosły, niewiedzieć naco i poco. A tak się w tych drogach śpieszył, jakby kto najpilniéj go czekał, albo mu jakowe wielkie dobro obiecał. Wiosną szczególniéj, kiedy po szerokich pogodnych zachodach słońca zapachniała w powietrzu świeżo pługiem poruszona ziemia, kiedy niebo, w zorzach stojące, pełne było skowronków, a odwalone krojem skiby pogarbiły pola, kiedy od wygona do wygona rozległo się wołanie oraczy, a ciężkie jarzma wołów skrzypiéć zaczęły po koleśnych drogach, Franek rady sobie dać także nie mógł, tylko się ku wsiom puszczał — za tym zapachem wilgotnéj, świeżo ruszonéj ziemi. Gdzie wiatr wiał, gdzie słońce było, gdzie głos ludzki leciał, gdzie mgła się kładła, gdzie oczy niosły, tam się puszczał.

To lada miętusem, w rowie uchwytanym i na patyku upieczonym, żyjąc, po miedzach, wskróś onych rozorów chodził, głęboko dysząc, jakoby się oną wilgocią i świeżością ziemi skrzepić chciał; a przyszła noc, to na byle grudce nędzną głowę sparłszy, między zagonami legał, a po gwieździstém niebie cichemi oczyma wodził, do samego północka drugi raz nie zasypiając, jakoby mu kto co powiadał właśnie, albo widowisko i cudo jakie przed nim czynił. Budził się po nocy takiéj, zroszony, jak ten kamień polny, na miedzy siadał, kolana rękami obejmował i zadarłszy głowę patrzył jak wrona w słońce, póki go nie obsuszyło, ustami niemo ruszał, jakoby się z kim wysoko rozmawiał, albo temu błękitowi porannemu modlił. Napierał się nieraz chłopom do pługa, żeby mu dali choć z pół dnia orać, choć z jedną skibę odwalić. Ale nie chcieli. „Głupi“ się tego nie powinien tknąć, co na wzrost idzie. Ani się jemu orać, ani siać nie godzi. Baba tylko czasem która dała mu tam w ogrodzie motyką podziubać, to jéj tak dziękował, tak jéj kolana obejmował, jakby mu

kto miskę z najlepszém jadłem wystawił. Tak mu się do ziemi cniło, takie w niéj kochanie miał. Szły deszcze ciepłe, bujne, to im się tylko jako ta wierzba uginał, nic się nie chroniąc, by téż mógł; a tak się zapamiętywał onego perłowego, rzęsnego szmeru po młodéj runi słuchając, że drugiby i gęśli mniéj słuchał, kiedyby mu grały. Szła polem cisza szeroka, okólna; gaje nie wioną sobą, liść młody ledwie gdzie szepnie, nad ziemią skrzydlatość taka, taka lekkość, przejrzystość, że tylko te miedze za miedzami, łąki za łąkami powietrzem w oczach płyną, a Franek na wpośrodku łanu jak urzeczony staje i słucha, jakoby głosy do niego z ciszy onéj mówiły, albo jakby gdzie na anioł pański dzwon bił.

— A i czego ty tak głupi słuchasz? — pytają go pastuchy, co się tam workami od chłodu naodziawszy, pod gruszą w „sitka" grali.

To im zrazu nie odrzeknie, jakby nie do niego.

Aż kiedy mu się uprzykrzą, raz i drugi pytając,

— A nie słyszycie to, smyki—mówi—jak ziemia gada?

— Jakże to?—pytają pastuchy, a w kułak się śmieją, że to im niby z głupiego uciecha.—To ziemia gada?

A Franek ręką po powietrzu wodzi, jakoby co pokazywał w wielkiém oddaleniu, na gęsiarków onych nie patrzy, tylko oczy na onéj błękitności trzyma.

— Wszyściuśko co je, i co było, i co jeszcze za czasami będzie, wszyściuśko to wie ogień, wiater i ta ziemia. Ale że ziemia najmądrzejsza z tych trojga...

— Sitka!—woła cienkim głosikiem mały gęsiarek, rzuciwszy w górę miedziaka.

— Orzeł!—woła drugi.

Franek mówi daléj:

— Bo wiatr i ogień z krzyku są, a ziemia z cichości...

Mały Józek otwiera usta i szeroko wytrzeszcza niebieskie oczęta. Dziwi go to, że ziemia jest z cichości; on zawsze myślał, że jest z błota, albo z piasku.

Franek mówi daléj:

— Bo wiatr i ogień z żywych moc biorą, a ziemia moc bierze z tych umarłych kości. Co ziemia od kości umarłych usłyszy, to żywym powiada.

Po dzieciach idzie dreszcz. Pastuch zatrzymuje w powietrzu rękę, w któréj miedziaka trząsał, żeby mu na orła padł, i z przelotnym strachem na Franka patrzy. Inni także podnoszą głowy.

— A co powiada?—pyta Józek.

Franek oczyma po dzieciach wodzi, a potém nagle utkwiwszy wzrok bystry w zapatrzonym na niego gęsiarku, mówi silnym głosem:

— Powiada, co chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziołów niemocnemu. Powiada, co pocieszenie da smutnemu, sprawiedliwość krzywdzonemu, uzwolenie zawartemu, a zmęczonemu wieczny odpoczynek—amen!

Najstarszy Michałek wybucha na to śmiechem, strach mija, pastuchy śmieją się głośno, hucznie. Jeden tylko Józek siedzi pod workiem swoim z szeroko otwartemi oczami i patrzy za Frankiem, idącym ku Bugajowéj łące.

— Głupi! głupi! głupi! — wrzeszczą za nim chłopcy, jak wronięta.

— A wróć się, głupi, wróć! — krzyczy Michałek — zrobima cię wójtem, kiejżeś taki mądry!..

Franek idzie daléj, ni prędzéj, ni wolniéj, jakby nie do niego.

Wie on, że młodzi i starzy, ba, pastuchy nawet, wołają na niego „ty". Głupiemu nikt nie „dwoi".

„My"—to cząstka gromady, albo rodu, albo zbiorowego rozumu i mienia, to cząstka zbiorowego życia i zbiorowéj siły. Ale „głupi" stoi poza granicą rodu, mienia, pracy i siły. Od tego też jest głupi, żeby rozumu nie miał. On do siwego włosa, do grobowéj deski w małoletności swojéj trwa, rośnie najpierw, rośnie niby ta witka łoziny, potém się pochyla, pochyla, niby ten badyl płonny, ale nie dojrzewa nigdy.

Nie ma on téż sobie za krzywdę żadnego przezwiska. Przywykł. Nie psuje mu to serca do ludzi, że tak albo tak na niego kto zawoła. Idzie między nich, oto i teraz, z wesołém okiem, z tęsknością jakąś, z przyjacielstwem w duszy. Owszem śpieszy się tak, jakby go tam rodzeni jego czekali, jakby mu się bracia ucieszyć mieli. Śpieszy się tak, jakby im sam co najkosztowniejsze dary przynosił i skarby jakie wielkie.

Nic innego przecież w ręku nie miał, tylko chaszczów trochę zielonych i marnego zielska, wskróś którego świeci kaczeniec żółty, lśniący, i srebrzą się gałązki wierzbowe z nawpół roztulonemi baśkami, które „głupi" po drodze łamie, iż to ku palmowéj niedzieli się ma za dzionek czy za dwa. W powietrzu już nawet tu owdzie zalatują jałowcowe dymy, przy których gospodynie obwędzają kawał kiełbasy, albo boczek z wieprzka.

Z lubością wciąga Franek owe aromaty, a śniadą twarz jego rozjaśnia coraz szerszy uśmiech.

Naraz zpochmurniał. Z pośród lekkich wieszających się brzegiem rzeki oparów zaczęły się wysuwać obielone, długim sznurem wyciągnięte domki, których niezwykła schludność, jako téż i sposób budowania, zdradzały osadę niemiecką.

Istotnie, były to na wschód od Wizny leżące Olendry-Gaje, tak samo się przeciwiające swoją nazwą położonym po drugiéj stronie Narwi Gajom-Lachom, jak się przeciwiały plemieniem i obyczajem swoich mieszkańców.

Franek nienawidził Niemców. Flisów nawet na rzece unikał dlatego, że w skarbówce na tratwie najczęściéj Niemiec siedzi.

Nieraz téż, stanąwszy na gościńcu, wołał:

— Uciekajta dzieci, miemiec idzie!

— A czegoż-to uciekać przed miemcem?—pyta go chłop który.

— A bo przed miemcem, jak przed złym wiatrem, niéma lepszéj rady, ino uciekanie.

— Miemiec a śniedź — powiadał,—zarówno naszemu chlebowi przywarę czynią; ale że go śniedź nie tyle uszkodzi.

Spotyka go raz proboszcz.

— Cóż ty głupi?—pyta.—Drwisz, słyszę, bajki prawisz, że to nie żydy umęczyły Pana Jezusa, tylko Niemcy. Zkądże to ty do takich rzeczy przychodzisz?

A Franek pilnie na księdza patrzy, a oczyma mruga, co zwykle czynił, kiedy go co niecierpliwiło.

Proboszcz odsapnął, bo tuszę miał piękną i męczył się mówieniem łatwo, a potém rzekł:

— To ci zapowiadam, żebyś mi takich bajek po wsiach nie puszczał! Rozumiesz? A na naukę do kościoła przychodź, żebyś nie żył jak to bydlę... Rozumiesz? Kto jak bydlę żyje, ten jak bydlę skończy... Rozumiesz?..

Franek uśmiechnął się, rzucił w bok skośne spojrzenie, i pocałowawszy księdza w rękę, rzekł:

— Niech się ta jegomościulek nie frasują o głupiego! O głupim to ta sam Pan Bóg przenajświętszy radzi... Tyla, coby tych mądrych nauczać, o!.. A głupi to ta sobie sam z Panem Jezusem o tém o owém gada, to już ta o niego namniejszy kłopot.. Będzie on i tak wiedział, która dróżka do raju...

Rzucił ramionami ksiądz i obejrzał się, czy téj głupiéj mowy kto nie słyszy; bo o parafian swoich dbał i zgorszenia żadnego nie dopuszczał. Ale co prawda, to i gniewać się bardzo nie mógł, bo cóż tam głupi mądrego wymyśli? Takiemu odpuścić trzeba, boć to samo nie wie, co czyni.

Zaczuwszy tedy Franek owe szwabskie dymy, skręcił w bok nagle i tarniakiem się puścił, żeby drogą nie iść. Nie była to przeprawa dogodna. Karczowany rok rocznie przez Niemców tarniak uparcie się gniazd swoich starodawnych trzymał i każdéj wiosny ostre kły wypuszczał, grożąc stopie, co się tam ważyła bosa, a wzmagając się aż do grudy, kiedy go znów trzebić zaczęto. Ostrężyną też i kocierpą silnie zarastał, tak że się o każdy krok targać z niemi było potrzeba.

Darł się Franek środkiem onych chaszczów, jak dzik, spluwając tylko na strony z tego obrzydzenia, jakie miał do Niemców, o których powiadał, że kiedy ich dyabeł na widłach przenosił z ich tam kraju nad Narew, to po każdym Niemcu widły płukać musiał, aż wielka moc ryb wyzdychała z tego.

Zanim tedy wydobył się z tarniaka, pokaleczył nogi, poszarpał koszulę, podrapał twarz i ręce, a niejedna przygarść jego lnianych włosów została na gęstych głogach i targańcach.

Tak kiedy wóz z sianem w gąszcz leśny się weprze, tu owdzie za nim na krzach chwieją się źdźbła suche, które jako myto po drodze płacić musi zaczepnikom onym. Ale „głupi“ ani dbał o to, wielkiemi krokami prąc się naprzód, póki osady budowanéj długim sznurem nie wyminął i nie zostawił jéj daleko za sobą.

Teraz dopiero pełną piersią tchnął, pojaśniał na twarzy i wesołém spojrzeniem po świecie powiódł; zaraz téż ku rzecze skręciwszy, w miałki bród jéj wstąpił i nogi „po Miemcach“ obmył, jak ów dyabeł widły.

Szedł teraz wolniéj, zadzierając głowę do słońca, jak to czynią dzieci i ptaki. Ale nie szczęściło mu się w téj drodze.

Zaledwie minął bagnistą łączkę, w którą tu Narew głęboko się wrzyna, a która u ludu nazwę Osniołki nosi, kiedy spostrzegł kościstą białą szkapę starego Hamera, jak zdążała ku Olendrom, ciągnąc wózek drożny, domowizny wszelkiéj pełny, obok którego sam stary Hamer, w sukiennéj czapce z podwiązanemi u uszu klapami, szedł i fajkę palił. Aż zamdliło Franka na takie spotkanie. Chciał w bok kiedy zobaczył na wozie wielką malowaną skrzynię, którą u Łuki w Zagajném nie raz, nie dwa widział, na skrzyni kociołek żelazny, co go też z téj tam chałupy znał, bo go sam do kowala nosił, daléj lnu siwego płachtę tak wypchaną, żeby go dwie dobre prządki przez zimę nie sprzędły, wreszcie okrutną kłodę kapusty, która się tylko na strony chwiała w wąskich drążkach, a za nią, z przewieszonym łbem za rozworę i spętanemi powrózkiem nogami kmieciate cielę, które się ulęgło sześć niedziel temu, właśnie kiedy ostatni raz nockę u Łuków nocował.

„Głupi“ stanął i wytrzeszczył oczy, i osłupiał. Nie pytał, nie rozumował, tylko uczuł około serca jakowąś ckliwość.

Wóz przeciągał mimo niego zwolna. Stary Hamer, trzymając fajkę w ręku, przy drabkach szedł i pieniądze wysypane z brudnego mieszka na dłoń liczył. Franka nie widział nawet może. Ten wszakże po dobytku owym, na wozie zebranym, pałającym wzrokiem wodził, szepcąc cicho:

— Patrzajtaż, co ta moc niemiecka dobra ludziom odjęła i ku sobie ciągnie...

I z najwyższém przerażeniem w osłupiałych oczach, nędzną głową trząsł, jakoby na widok spustoszenia od pożaru albo powodzi. Dopiero kiedy cielę, z łbem zwieszonym na wozie leżące, raz i drugi przeciągle bekło, odpadł od Franka strach, a ogarnęła go taka żałość, taki ogień mściwy go przeniknął, że, porwawszy się z onego osłupienia, ku Zagajnemu biegł, jakby tam ratować miał chudobę własną, własną chatę, własne dobro swoje.

Ptakiem prawie przeleciawszy spory kawał drogi, do wsi wpadł, prosto przed chałupę Łuki, która z kraju stała. Rojno tu było jakby na jarmarku. Gasio, niewielki żółty pokurcz, z ostrym jak u lisa pyskiem i spiczastemi uszami, nie wiedział na kogo wpierw szczekać.

Czy na rudego Gotlibowego parobka z Olendrów, który przy pomocy dwóch jeszcze, równie jak on sam rudych wyrostków, na wznak na ręczny wózek przewracał czerwoną oszkloną szafę Łuczyny; czy na oglądającego ladę u sieczkarni Niemca, który sam do siebie mamrotał a fajkę w zębach trzymał; czy na baby, które się z dziećmi u spódnic i u piersi zeszły, a stanąwszy u płotu radziły; czy na dziewkę, pomagającą gospodyni łapać kokosze; czy na targującego je Fryca, zięcia Hamera; czy na siemieniatkę, która mu się z rąk wyrwawszy, z wrzaskiem uciekała; czy na kręcące się pod nogami dzieci, czy wreszcie na psy cudze, które się tu za Niemcami z Olendrów zbiegły, wielkie, silne, kudłate i milczkiem węszące...

Ale głupi Franek tego wszystkiego nie widział nawet. On szukał Łuki, gospodarza chaty. Zobaczył go. Stał w pośrodku podwórka, w czapie na bakier, w rozpiętéj kamizeli. Był to chłop lat czterdziestu może, czarniawy, suchożyły i silnéj budowy, trzymał za rogi byśka, który się wydzierał i, schyliwszy między racice łeb twardy, szeroki, porykiwał groźnie. Przed Łuką stał rozkraczony, z rękami w kieszeniach od rajtuzów, najbogatszy z kolonistów, Gotlib, trzęsąc grubym karkiem i błyskając pod słońce tombakową dewizką i malowaną fajką, która mu się kołysała na opasłym brzuchu.

Dobijali targu. Chłop coraz głośniéj krzyczał, a szamocąc się z byśkiem, jeden róg bydlęcia puścił i przez połę kamizeli rękę Niem-

cowi podawał; Niemiec gębę odął, powieki w pół zasunął, brwi podniósł, i nie wyjmując rąk z hajdawerów, przecząco grubym karkiem kręcił; kiedy nagle wpadł między nich Franek, za Frankiem dzieci, a za dziećmi Gasio.

Dzieci dawno już nie widziały „głupiego". Ze świeżą tedy ciekawością rzuciły się ku niemu; a przytém wyglądał dzisiaj tak uciesznie, tyle różnego zielska miał we włosach, taki był obszarpany, zziajany, brudny.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały piskliwym głosem, któremu odpowiadało jasne, wesołe szczekanie pokurcza. On także zdawał się wołać: Głupi! głupi! głupi!

Ale Franek nie słyszał go nawet. Przyskoczył, chłopa za rękaw szarpnął, i zduszonym ze zmęczenia głosem zakrzyknął:

— Gospodarzu!... gospodarzu! Łuko, Łukaszu!... A to wam miemiec psia wiara skrzynię porwał, i cielę... złodziejska dusza... i kapustę z kłodą...

Mowa mu się rwała, powietrze ustami chwytał.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały dzieci z rosnącą uciechą.

Chłop odwrócił się nagle.

— A ciszéj, kołtuny!—tupnął na dzieci—a pódziesz!...—krzyknął na Gasia, który oblatywał byśka, szczekając i za nogi go łapiąc, jakby się zapamiętał właśnie.

Franek chłopa za rękaw precz targał.

— Gospodarzu! Łuko!... — zaczął znów swoje — A to złodziéj...

Gotlib namarszczył się i cofnął krokiem. Stali niemal tuż przy studni, a głupiemu nie wiadomo, co do łba strzelić może.

— Idź głupi!—oburknął się chłop i odmachnął się gniewnie.

Ale Franek nie ustąpił z miejsca, tylko ścisnął kułak, w pierś zaklęsłą się grzmotnął i wielkim głosem zaklął:

— Bogdajżem się z tego miejsca nie ruszył, i bogdajem nocy nie doczekał, żeli łżę, żelim go u Osmółki z wozem nie widział, złodzieja, a na wozie waszéj skrzyni, kłody i cielaka! Bogdajem.

— Wściorności!—wybuchnął nagle Łuka, niewiadomo na byśka, czyli też na Franka. Baby zaczęły się przysuwać od płota, ten i ów obrócił ku mówiącemu głowę. Franek szeroko otwarte, pełne przerażenia oczy w Łukę wbił, nie pojmując zgoła, dlaczego chłop wszystkiego nie ciska i złodzieja gonić nie leci. Zdawało mu się, że go nie rozumie chyba, nie wierzy mu. Z większą tedy jeszcze siłą grzmotnął się kułakiem w piersi.

— Porwał gospodarzu!... Porwał!... Żebym tak szczęśliwego skonania doczekał, jak złodziej miemiec porwał!...

Gotlib odwrócił głowę, splunął, i znów się o krok cofnął.

Na chłopa uderzyły ognie.

— Co miał porywać, zatracona duszo, co?... Sam przedałem!

Otrząsnął się. Frankowi ręka opadła.

— Głupi! głupi! głupi!... — wołały dzieci, skacząc koło studni.

Franek patrzył na chłopa obłędnie, tępo, pomiarkować się zgoła nie mogąc. Z ustami otwartemi i wyciągniętą szyją stał przez chwilę niemo, aż zaczął głosem ochrypłym, zmienionym:

— Wy, gospodarzu?... Wy jemu przedali?... Wy sami przedali?...

— Psssia... cie! — zaklął chłop, mocując się z byśkiem.

Franek znów go za rękaw pochwycił. Dyszał ciężko, oczy wysiadły mu na wierzch.

— Gadajta!... Gadajta!... Samiśta przedali? Gadajta!...

Następował na chłopa, targając go za rękaw coraz gwałtowniéj.

— Umykaj, pókim dobry!—huknął Łuka—A żebyś ty zmarniał! Chorobna duszo... — Zaklął w tejże chwili na wyrywającego się byśka.

— A dummer Kerl!..—szepnął wzgardliwie Gotlib i ramionami rzucił.

— Co to z głupim gadać!—roześmiała się któraś baba. Insze za nią. Każda się teraz wobec niemca mądrą i polityczną okazać chciała. Nie były zresztą pewne, czy im samym przedawać co nie przyjdzie; ruszały tedy ramionami, poglądając z politowaniem i odwracając głowy.

W téj chwili wszakże, w narzuconym na ramiona kożuchu i z biczyskiem w ręku, przystąpił Filip Bodniak, szwagier Łuki, który gruntu nie miał, furmanił tylko, i niemcom, żałującym i czasu, i koni, z Olendrów się najął. Chłop czerwony był jak burak, zsiadły, ospowaty, baranią czapę ze stroikiem z czoła zsunął, bo ze trzy litkupy miał we łbie i kurzyło mu się z czupryny, a język co nieco plątał. Bodniak, jako że sam gospodarzem na własnym szmacie ziemi nie siedział, do szwagra przykrość jakąś w sercu czuł i rad go poszczypywał słowem, bo zazdrosnych oczu był na cudze dobro. Ten tedy, rozkraczywszy się przed Frankiem, ręce w biodra wparł i, niebardzo pewnie na nogach stojąc, rzekł:

— A i nie wiesz to głupi, co tera chłopy, niby gospodarze, ze wszystkiego się wyprzedają, z domowizny, i téż ze ziemi...

Chwyciła go czkawka, więc urwał.

Franek słuchał jakby ogłuszony.

— Ze ziemi... — powtórzył jak echo.

— Ze ziemi i z gruntu het precz,—ciągnął Bodniak—a idą głupi za morze...

— Za morze... — powtórzył Franek.

— Choć ta i suchoputna droga ponoć je, o trzy dni by nią człek ze Zagajnego zajechał... tyla, co o niéj nie wiedzą...

— Nie wiedzą—powtórzył martwym głosem Franek.

— To ci tera het precz, licytacya... — mówił Bodniak, przełykając dręczącą go czkawkę—i targowica... nie przymierzając, jak w kramie.

Podniósł rękę, czarniawym włosem zarosłą, grubemi żyłami zbrużdżoną, i wodził nią w powietrzu, ukazując palcem zebranych w podwórku. Mętne, tępe oczy Franka poszły za tym palcem. Teraz dopiero zobaczył rudego Gotlibowego parobka, szafę na wózku, i niemca przy sieczkarni, i Fryca z kokoszą w ręku, i baby, i obce psy kudłate, i byśka, i grubego Gotliba.

Wszystko. Patrzył, patrzył, nagle ręce opuścił i głowę na pierś skłonił. Gęstwina lnianych zwichrzonych włosów spadła mu na oczy. Wyglądał tak śmiesznie, że dzieci na nowo wybuchnęły wrzaskiem.

— Głupi Franek! Gługi Franek! Widzita głupiego Franka!..

Jemu się usta zaczęły trząść, kolana zadygotały pod nim, obszarpana koszula podnosiła się coraz szybciéj na wysoko bijącéj piersi. Nagle zaszlochał głośno i błagalnie do Łuki się ozwał:

— Nie przedajta, gospodarzu, pola!... Dlaboga, nie przedajta!.. Dlaboga rety, Maryo!...

Zaniósł się wielkim płaczem, i chwycił połę siermięgi gospodarza.

Chłop trząsał sobą, chcąc się uwolnić od niego, i klął siarczyście.

— Nastąp pokrako!... Chorobna dusza!... A żeby cię...

Zerwał się Franek i do Łuczyny podbiegł. Głębokie łkanie wstrząsało jego nędzną piersią.

— Gospodyni! — wołał przerywanym głosem — Gospodyni!... Nie przedawajta miemcom chałupy! Dlaboga, rety! nie przedawajta chałupy!...

— Do cna ogłupiało chłopisko!—szeptały między sobą baby.

— Bo to nic?...

— Na zwiosnę takiemu najgorzéj...

— A odczepże się, odmieńcze!—krzyczała kobieta—Owarjował, czy co! Adyć go weźta!—Ale nie trzeba go było brać. Sam porwał

się, i wyciągnąwszy przed siebie trzęsące się, łachmanami rękawów ledwo że okryte ręce, ryknął wielkim głosem:

— Rety!... Maryo!... Rety!... Ludzie! Gospodarze!... Nie przedawajta się miemcom!... Dlaboga ludzie!... Nie przedawajta!...

Uderzył w dłonie i złożonemi rękoma trząsł przed głupią swoją głową, a po śniadéj twarzy leciały mu łzy, ciężkie, jasne, gorące.

— A dummer Kerl!—powtórzył Gotlib; poczem ziewnął, splunął, sukienną czapkę na głowie poprawił i do odwrotu się zbierał.

Tknęło to Łukę, który targu o byśka dobić chciał; z całą tedy pasyą zwrócił się do Franka:

— Ustąpisz mi ty na bok, zła duszo, czy nie ustąpisz? Chłopaki! Ruszta się ino!...

Ale chłopaki bawiły się zbyt dobrze całą tą „komedyą“, żeby się ruszać miały. Trącił jeden drugiego łokciem, spojrzeli po sobie, i stali.

Łuka się za Gotlibem puścił.

— Daléj, sąsiedzie! Półzłotka przyczyńcie i będzie zgoda z nami! Ja dziś do zgody, jak do wódki! U mnie tak! Dzień płaci... dzień traci. Daléj, panie Gotlib!... Zgoda!...

Mówił szybko, obficie, głośno, jakby chciał zagadać głupią mowę Franka.

Niemiec odchodził niby. Nie mógł on właściwie odejść, póki Bodniak stał, a z nim i furka jego, z któréj zwrócona łbem do dyszla szkapa wyciągała grubą, w bagnach sieczoną, trawę. Bodniakowi zaś nie spieszyło się wcale ze szwagrowego podwórka.

— No?... pólzłotka! Jakże będzie?—powtarzał Łuka.—Kupujta, póki przedaję!... No?... Jakże?... Co ta będzieta na głupiego patrzéć! Róbma zgodę... Daléj go!...

Ale jeżeli kiedy, to właśnie teraz warto było na głupiego patrzéć. Jako ta rola nagle z wiosennego deszczu schnie, kiedy na nią słońce z wysoka uderzy, tak on po tych łzach bujnych odmienił się w twarzy, tak na niego uderzyła nagła wesołość. Jakoby nie ten, tak się przeinaczył, oczy kułakiem wytarł, jak miał szeroką gębę, tak się szeroko roześmiał, a chwyciwszy chłopakowi, co tam wpodle stał, czapczątko ze łba, sam je sobie na głowę nasadził, w biodra się rękami podparł i krzyknął wesoło:

— Héj ha!... Kiéj przedawać, to przedawać! A duchem!... Nic się nie frasujta, gospodarzu! głupi wam pomoże! Nim słonko zajdzie, poprzedamy het precz wszyściutko do czysta. — Szeroki wybuch śmiechu przyjął tę przemowę głupiego. Niemcy nawet śmiać się zaczęli, zwłaszcza też one rude wyrostki Gotlibowe, u wózka stojące! Łuka poczerwieniał i łypnął gniewnie oczyma; ale kiedy spoj-

rzał na owo ucieszne widowisko, jakie Franek z siebie uczynił, nie mógł wytrzymać i roześmiał się głośno. Głupi tymczasem przed chałupę skoczył. Stały tam i leżały różne sprzęty, z drogi onéj szafie ruszone, jedne na drugich w kupie, jak na targowicy.

Franek się schylił, podniósł z ziemi stary lemiesz, a błyskając nim pod słońce, mówił:

— Panie miemiec! Patrzajta ino, jaki godny lemiesz! Oj nie mało on ziemi skroił... niemało skib odwalił... niemało chleba dobył, ale nam tera nic po nim, bo het precz grunt i gospodarkę przedajem, i ani my, ani dzieci po nas ziemi téj, tego pola, orać już nie będziem! Kupujta lemiesz!... Patrzta, jaki godny!

Śmiech buchnął na nowo w podwórku. Bodniak aż się za boki trzymał, aż mu oczy zachodziły łzami.

Głupi tymczasem chwycił płachtę lnianą, a trząsając nią, wołał:

— Héj!... Płachtę przedaję!... Patrzajta, co za płachta je!... Całuśka, bieluśka, na ołtarzu-by ją można kłaść pod ten chleb janielski! Oj bywał ci w niéj chleb janielski, bywał, ano to ziarno boże pszeniczne a żytnie, co je gospodarz na tém polu siewał... Oj nie mało z niéj ziarna w tę świętą ziemię poszło i niemało dobra z ziarna tego wyrosło... Daléj, kupujta, płachtę siewną, w kruchcie, w dzień Najświętszéj Panienki siewnéj poświęcaną.

I terach śmiech buchnął, ale cichszy jakiś. Łuczyna westchnęła nawet i pogładziła głowę najmłodszego swego, który się jéj fartucha trzymał, szeroko na Franka wytrzeszczywszy oczy.

— Gospodyni!—zawołał nagle Franek.

— A gdzie przęślica? Przedaliśta len, przedajta i przęślicę. Już wy na niéj kądzieli prządać nie będziecie, ani onéj nici szaréj na wrzecionie przy łuczywie puszczać... Nie będziecie przędzy motać, parników zwijać, pasem rachować... Nie będziecie płótna tkać, ani go na téj rosie porannéj bielić, ani z niego koszul dzieciom zrządzać... Co wam po tém? Daléj, gospodyni! Daléj... Dawajta przęślicę... Niech kupują!

W małém podwórku Łuki robiło się coraz dziwniéj jakoś, coraz uroczyściéj. Chłopaki wspinały się jedne przez drugie, żeby na „głupiego" patrzéć, oczy starych przygasiła zaduma, czy troska. Nagle odezwał się głos przejmujący, dziecięcy:

— Bocian! Bocian! O... bocian!...

Kilka głów podniosło się za tym dziecięcym głosem.

Istotnie, nad kalenicą Łukowéj stodółki i nad leżącą na niéj, zeszłorocznym jeszcze szuwarem przytrzęsioną, broną, wzbijał się lotem szerokim pierwszy téj wiosny bocian.

— Bociek!...

— Wojtek!...

— Bocian!...—zaczęły wołać na różne głosy chłopaki, podrzucając czapki i klaszcząc w ręce.

Bocian, jakby na odpowiedź powitaniu temu, zaklekotał wesoło, roznośnie, coraz węższe nad gniazdem zataczając koła.

— Siądzie...

— Nie siądzie!...

— Siądzie!... — odzywały się dziewczęce głosy. Nawet uwaga bab i chłopów oderwała się na chwilę od „głupiego“. Ale Franek, zadarłszy na porówni z innymi głowę, kiwał nią szyderczo, wzgardliwie.

— Oj głupi, głupi! Oj głupi ty, ptaku! — rzekl wreszcie — A i czegożeś tu leciał bez morze, bez wielkie, na gwiazdach noclegujący, na zorzach się budzący, głodu zażywający, nawałności i wojen powietrznych i przestrachów różnych bynajmniéj się nie bojący?... Czegożeś tu do Zagajnego leciał, jakoby ci téż kto ślepia wybrał, drogi nie myląc, skrzydłom nie folgując, a onego wiatru wschodowego, od Narwi wiejącego, o Zagajnem pytając?

Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego, gdzieś bocianięta swoje hodował, i słońcu się radował, i ludzi cieszył, i odpoczynienie swoje miał.

Oj przylecisz ty tu i na bezrok jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie, jak tu i nas i gniazd naszych nie będzie... Miemce tu obsiądą, miemce tu gniazda swoje założą, a ty głupi precz... za morze... za morze!...

Podniósł głos, oczy chłopów znów się na niego zwróciły.

— Panie Gotlib!—zawołał—panie miemiec, bliżéj tu sam, bliżéj!... Jeszcze się tu nie jedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie!

Widzita te jaskółki nad wodą? Widzita tę modrość niebieską?... Widzita ten krzyż nade drogą?... Widzita het one górki, one mogiłki nasze?

Daléj! Wszyściutko przedajem! Kupujta tę modrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki.—Cisnął czapkę, spuścił głowę i zamilkł.

A potém, nad oną kupą domowizny przed chatą klęknąwszy, ręce przy ustach złożył i mówił mocnym głosem:

— Święty Boże! Święty mocny mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Zaszemrały za nim głosy, jako wiatr wiosenny. Chłopi głowy odkryli, baby poklękały, a Franek mówił daléj:

...Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas, Panie!

...Od nagłéj a niespodziewanéj śmierci, zachowaj nas, Panie!
...Od morskiéj i wszelakiéj nawałności, zachowaj nas, Panie!...
...O spokój gniazdom naszym, prosimy Cię Panie!

A jako zawsze głupi był, tak i tę modlitwę teraz na swój sposób zmyliwszy, wstał, świetliste oczy na powietrze podniósł, i między ludźmi przeszedłszy, ku rzece się puścił.

Marya Konopnicka.

HENRYK SCHLIEMANN

i

JEGO ODKRYCIA NAUKOWE.

.IV

Prawdziwość lokalnego tła Iliady potwierdzają przedewszystkiém wykopaliska Schliemanna. Wykazują one, że wyżyna Hissarlik była ongi, w wiekach, które wyprzedziły powstanie utworów Homerowych, siedzibą kultury znacznéj. Na téj saméj wyżynie, na któréj w historycznych czasach znajdowała się akropolia grecko-rzymskiego Ilionu, mieszkali już wiekami wpierw potężni i bogaci dynaści.

Schliemann odkopał na téj wyżynie nie mniéj jak sześć warstw. Najwyższa, szósta, to znane nam miasto historyczne, grecko-rzymskie, za panowania królów lidyjskich założone. W świetnych czasach liczna się w niém mieściła ludność u stoku Akropolii, a na Akropolii wznosiły się wspaniałe budowle, zwłaszcza okazała świątynia Ateny, z któréj się przechowały liczne szczątki. Jedna z metop rzeźbionych przedstawia nam Heliosa z wieńcem promieni wokoło głowy, jak kieruje czwórką swych dzielnych rumaków.

Pokłady niższe pochodzą z epoki przedgreckiéj, t. j. przedhistorycznéj. Piąty aż do trzeciego są spuścizną osad nędznych i nie mają wartości. Najwięcéj zajęcia budzi drugie stratum, bo jeżeli gdzie, to tylko w téj warstwie można rozpoznać świętą Ilios. Warstwa ta wyraźnie się odłącza od pierwszéj, t. j. od osady najda-

wniejszéj, założonéj na pierwotnym gruncie. Odsłoniono ją tylko w części, aby nie zniszczyć nierównie cenniejszego pokładu drugiego. Była to osada mała (46 m. szer.), a mury jéj złożone z nieobrobionych wapniaków. Narzędzia, znalezione w pokładzie, mianowicie siekiery, noże i piły, wyrobione są z kamieni, jak silex, chalcedon, obsidian, jadeit, nephrit. Metalowych wyrobów znaleziono bardzo mało, żelaza wcale nie. Naczynia gliniane w przeważnéj liczbie nie są przyozdobione żadną ornamentyką, a zaledwie w drobnéj części wyrobione na kręgu garncarskim; barwa ich połyskująco czarna.

Gdy po upływie długiego szeregu lat, na miejscu najdawniejszéj, opuszczonéj osady, zakładano miasto drugie, zrównano teren i rozszerzono go znacznie, do 100 metrów szerokości. Na wyżynie wzniesiono zamczysko silnie obwarowane, Pergamos; dolne miasto, rozciągało się na południe, zachód i wschód od Akropolii. Z miasta dolnego zachowało się bardzo mało: nieznaczne szczątki muru, ślady wykucia w skale, niezliczone mnóstwo skorup. Tém więcéj zachowało się z budowli na zamkowéj wyżynie. Najokazalszą jest pas muru, biegnący wokoło całego zamku, zbudowany w dwóch różnych okresach. Obydwa mury skonstruowano według tego samego sposobu i z tego samego materyału. Podstawa składa się z małych kamieni, gliną spojonych i wznosi się na zewnętrznéj stronie pod kątem 45°, na wewnątrz spada prostopadle. Na równym poziomie téj podstawy, szerokiéj u góry około 3½ metra, wzniesiono mur właściwy, około 3 metrów szeroki, z cegieł surowych, wysuszonych na słońcu. W rogach poligonu, w odległości mniéj więcéj 20 metrów, ustawione są wieżowe wyskoki. Jak w Mikenach i w Tiryncie w niektórych ścianach, tak samo i w Troi wkładano wewnątrz muru, dla wzmocnienia go, belki z drzewa, które się naturalnie spaliły, pozostawiając próżne dziury, jakby kanały jakie; te się stały jednym z głównych powodów teoryi kapitana Böttichera.

W dawniejszym murze mieszczą się dwie bramy. Do pierwszéj prowadziła brukowana droga; pierwotnie tylko jedne podwoje ją zamykały; późniéj przedłużono ściany bramy i założono drugie podwoje Z bramy téj przechowały się fundamenta i niektóre szczegóły. Druga brama była daleko węższa; nad nią się wznosiła kolosalna wieża, wysuwająca się znacznie poprzed linią (dawniejszych) murów. Kiedy drugi, południowy pas murów zakładano, zamurowano tę bramę, a otworzono nieco daléj na wschód nową, szerszą nietylko od téj drugiéj, lecz także i od owéj pierwszéj.

Kto tą nową bramą wszedł na zamek, po kilku krokach stanął przed propylaion; składało się ono z bramy i kilku przytykających małych komnat. W odległości dziesięciu metrów od propylaion, znaj-

dują się dwa budynki, najrozleglejsze ze wszystkich, które odkopano na zamkowéj górze. Jeden z nich, niestety, ucierpiał wiele zaraz w jednéj z pierwszych kampanii Schliemanna, w skutek rowu, kopanego z południa ku północy celem odsłonienia pierwszéj osady. Główną część tego budynku stanowi długa sala (20 m. dług., 10 metr. szer.); przed nią mieści się hala kwadratowa, otwarta ku frontowi. Ściany są takie same, jak w wale fortecznym: fundamenta z kamieni, na nich wznoszą się mury z cegły suszonéj na słońcu. Budynek ma formę świątyni *in antis;* uważali go téż pierwotnie Dörpfeld i Schliemann za świątynię. Odkrycie zamków w Tiryncie i w Mikenach przekonało, że budynek służył do celów świeckich; prawdopodobnie było to domostwo księcia. W rozległéj sali zachowała się część okrągłego ogniska, które, według Homera, było najświętszą częścią domu greckiego: salę zatém uważać możemy za t. zw. *megaron.* Pałac był pokryty dachem horyzontalnym z belek, na które glinę nałożono.

Drugi budynek, znacznie węższy, równolegle położony do tamtego pierwszego, składa się z dwóch hal i jednéj sali długiéj; wykonanie jego techniczne takie samo, jak budynku pierwszego. Ściany domostw nie były obrzucone wapnem, lecz tylko gliną; nie widać téż śladów dekoracyi ścian. Podłoga była zwykle z gliny; tu i owdzie natrafiano na żwir lub na żwir zmieszany z gliną.

Nie można nie zauważyć podobieństwa między dwoma głównemi budynkami a budynkami, jakie odsłoniono na argolskiéj ziemi w Mikenach i w Tiryncie. Architekci więc z wielką pochopnością czynili wnioski o pokrewieństwie szczepów, na wybrzeżu azyatyckiém i w Grecyi wschodniéj zamieszkałych. Orzeczenie w téj sprawie niełatwe. Ale to przyznać trzeba, że opisy Homerowe mniéj więcéj się zgadzają z odkopaném Ilion

Przedmioty znalezione w drugim pokładzie, są w przeważnéj liczbie pokrewne tym, które wydobyto z pierwszéj warstwy.

Lanie metalów już się w drugiéj osadzie widocznie rozpowszechniło; miedź mieszano z cyną. Z bronzu wyrabiano igły, siekiery, noże i sztylety. Mieczów wogóle w dawnéj Troi nie znaleziono. Niektóre wyroby, jak bransoleta złota i złote szpilki do włosów, wyszukane w r. 1878, uprzytomniają już kulturę mikeńską.

W drugim pokładzie znaleziono sławny skarb, ochrzczony przez Schliemanna mianem skarbu Pryama. W jednym srebrnym garnku mieściły się dwa wielkie dyademy, złożone z mnóstwa małych złotych łańcuszków; forma tych ozdób mogła archeologów wprawić w zdziwienie, gdyż podobnych na ziemiach helleńskich nigdzie nie znaleziono. Mieściły się nadto w garnku piękne naszyjniki—które Schliemann zestawił z 8,700 małych złotych pierścieni, przedziura-

wionych pryzmatów, kostek i guzików—sześć złotych naramienników, oraz mnóstwo kolczyków różnego kształtu. Znaleziono prócz tego sztaby srebra, które zapewne służyły za przedmiot zamiany w obrocie kupieckim, garnki, kubki i flaszki ze złota i srebra (z tych najwięcéj zajmujące są dwie wazy z przykrywadłami czapkowemi) wreszcie wazę i dwie misy z miedzi.

Wyroby z gliny mają zwykle szczególną wartość archeologiczną. Czém w geologii są muszle, tém w prehistoryi są garnki i skorupy z naczyń. Wyroby ze szlachetnych kruszczów nie wyciskają na tym gruncie, który je ukrywał w swém wnętrzu, téj cechy cywilizacyjnéj, którą go piętnują naczynia z materyału tak pospolitego, jak glina. To, co się znachodzi w wielkiéj ilości, co jest powszednie i zwykłe, wszędzie i zawsze najlepszą jest miarą przeciętnego stopnia kultury i jéj rozległości.

Towar gliniany drugiéj osady trojańskiéj nie ma zalet szczególnych. Glina jest ordynaryjna, wypalenie niedokładne, ściany grube; naczynia po części nawet nie są na kręgu garncarskim zrobione. Ozdobę naczyń stanowią proste lub krzywe linie, wyryte w świeżéj jeszcze glinie, i zagłębienia, palcem wciśnięte; malowniczéj ornamentacyi ani nawet glazury naczynia te nie mają. Na niektórych mieszczą się znaki, które prof. Sayce z Oxfordu uważał za pismo Hittitów; są to niezawodnie tylko kółka i kreski, a nie znaki pisarskie. Oglądając się za podobnie prymitywną ceramiką w świecie greckim, znajdujemy ją w najpierwszéj warstwie zamku tirynckiego, w najdawniejszych grobach, odgrzebanych na wyspach Kykladach, i w najdawniejszych nekropoliach kypryjskich. Tam się téż spotyka formy naczyń, podobne do tych, które w Troi odszukano. Zasób form trojańskich nie jest znaczny, ale jeden i ten sam kształt w różny sposób modyfikowano. Dominuje forma kuli; charakterystycznym jest dzbanek z szyją wąską i długą, do lania płynów nader przydatną, zwany przez niemieckich archeologów „Schnabelkanne“. Łączono téż różnym sposobem kilka naczyń w jedno. Wreszcie usiłowano w naczynia wlać życie: najpierw tylko zaznaczono rylcem twarz ludzką, późniéj plastycznie dorabiano oczy, nos, uszy, piersi, przykrywadła w formie czapek, a wreszcie i ramiona, któremi jedno naczynie trzyma drugie. Niektóre mają formę zwierzęcia: świni, kreta lub t. p. Być łatwo może, że t. zw. *idole*, z kamienia i kości, w znacznéj przynajmniéj części nie były niczém innéem, jak kłębkami, które w podobny sposób, jak garnki i wazy, ożywiono wyryciem twarzy, włosów, ramion.

Wierność poetyczna nie jest fotograficznéem odbiciem rzeczywistości. Zresztą Troja Homerowa w gruzach leżała, a my o téj stolicy, która dała pochop do tworzenia się mitów, i o jéj kulturze,

więcéj niezawodnie wiemy, aniżeli wiedzieli i wiedziéć mogli jońscy, nawet eolscy śpiewacy. Zlokalizowane w Troi i w Troadzie podania wypełniali i przyozdabiali rozmaicie. Przenosili stosunki, obyczaje, urządzenia, kulturę swego czasu i swego kraju bezwiednie i ze świadomością do sławionych bohaterów i ich epoki. Nie jeden téż pałac mogli widzieć—widzieli ich więcéj. Który skopiowali? Ten—ów? Nie! żadnego zosobna; wiele, wszystkie mieli przed oczami i z nich budowali w poematach pałace książąt.

Schliemanna łudziła, powiedzieć moglibyśmy: zaślepiała poezya Spodziewał się wskrzesić świat Homera, uprzytomnić sposób życia Pryama i jego synów, i ich skarby i zbroje. Przekonał się ostatecznie, że był w błędzie. Do tego, co wykopał w Troi, nie możemy przykładać miary innéj nad tę, którą nakazuje umiejętność, archeologia. Jeżeli ztąd i dla tekstu Homerowego wynika pożytek, tém lepiéj, ale Homer nie może być jedynym przewodnikiem.

Obraz kultury bohaterów Homerowych zyskał bezsprzecznie więcéj przez świetne wyniki wykopalisk Schliemanna w Tiryncie i w Mikenach, zyskał zaś mniéj, aniżeli w Troi, przez poszukiwania w innych miejscowościach, bardzo mało także przez poszukiwania w idylicznéj wysepce Odysseja, w skalistéj Itace. Ludność jéj, choć niewątpliwie niepochodząca wprost od Itakezyjczyków Homerowych, zachowała do dnia dzisiejszego niemal ten sam sposób życia i ten sam charakter, a pod wpływem tradycyi, przeniesionéj przez uczonych na wyspę, każdy zakątek, każdy niemal kamień łączy z nazwiskami sławnego bohatera i jego otoczenia. Pokazują dziś na wyspie i dwór Laërtesa, i groty Nimf, w których Ulisses przechował swoje skarby po powrocie do ojczyzny, i spotyka się także licznych Odyssejów i Telemachów, a niewiasty mają imię Penelopy. Mylnie jednak twierdził znakomity filolog niemiecki Hercher, że niéma zgoła żadnéj zgodności między epopeją o przygodach jońskiego herosa a rzeczywistością. W opisach Odyssei przebija znajomość terenu mniéj lub więcéj dokładna. Gell który na początku tego wieku badał Itakę, zaszkodził sprawie, gdy najdrobniejszą wzmiankę Odyssei brał dosłownie. Za nim poszedł Schliemann, a po części i baron Warsberg w swych „Krajobrazach Odyssei" i w pięknie ilustrowaném dziele o Itace.

Schliemann się chlubił, że odsłonił Homerowe miasto i zamek książęcy na górze *Aëtos*, rozdzielającéj Itakę na dwie nierówne części. Miasto Homerowe było wszakże położone nierównie bliżéj morza. A na plateau Aëtosu, do którego prowadzi półgodzinna stroma droga, niéma miejsca ani dla miasta, ani nawet dla pałacu. Odkryte przez Schliemanna fundamenta murów i wieży szczątki pochodzą z jakiegoś obwarowania starodawnego, które zapewne mieszkańcom słu-

żyło za schronienie w chwilach niebezpieczeństwa. Słuszniéj może przenosi młody archeolog niemiecki, Reichs, miasto Homerowe na północno-zachodnie wybrzeże, nad małą zatokę *Polis*, gdzie także odkryto ślady znacznéj osady—począwszy od wybrzeża aż do wsi *Stavros*. Homerowego portu *Phorkys* szukać musimy w zatoce *Molo*, i to prawdopodobnie w téj części, która według miasteczka dzisiejszego nosi nazwę zatoki *Vàthy*. Na samém południu umieszczają źródło *Arethusę* (dzisiaj *Perapegade* nazwane) i skałę *Kruka* i pastwiska *Eumajosa*. Mimo to, nie jest dostatecznie wytłómaczoném, jakim sposobem stać się mogło, że fantastyczne podania ruchbliwego, licznego i możnego szczepu Jończyków zostały zlokalizowane na małéj i nie urodzajnéj wysepce Itace, która w historyi nigdy żadnéj roli nie odgrywała.

V.

W r. 1878 na wiosnę przybyłem w liczniejszém towarzystwie parowcem z Aten do Nauplii. Ztąd wyruszyliśmy w dalszą drogę, lądową, aby zwiedzić właściwą *Argeię*, równinę 3 — 4 mil szeroką i tyleż długą, otwartą tylko ku stronie południowéj, ku morzu, a dobrze zasłonioną górami z trzech stron innych. W téj równinie, którą rzeka *Inachos* niemal środkiem przerzyna, założono w przedhistorycznych czasach miasta: Nauplia, Tiryns, Argos, Mikeny, Mideia.

Tiryns położony jest w odległości zaledwo pół mili od morza, na grzbiecie wapiennym, 300 metrów długim i 100 metrów szerokim, a wznoszącym się zaledwo do 22 metrów ponad powierzchnią morza; była to ongi skalista wysepka, która sterczała z zatoki argolskiéj. Krótki pobyt wystarczył nam w Tirynsie, bo jeszcze gruzy i kamienie w wielkim bezładzie zapełniały zamczysko, i dopiero w sześć lat późniéj odsłonił Schliemann w najwyższéj części akropolii pałac książęcy.

Z Tiryntu wyruszyliśmy do Argos, położonego u stóp potężnéj Larisy, która w geograficznéma i militarném znaczeniu stanowi właściwe centrum równiny; major Steffen zapewnia, że jest to pozycya nadzwyczaj silna i obronna. Podanie przenosi téż do Argos pierwszy punkt zborny Pelasgów, siedzibę mitycznego króla Foroneusa; Danaos miał zbudować zamek larisejski. Jeżeli mimo tego dominującego stanowiska Larisy, Tiryns i zwłaszcza Mikeny wzrosły do wielkiéj potęgi, stało się to niezawodnie wbrew woli i ze szkodą miasta Argos, a nieprzyjaźń ta znalazła także wyraz i w podaniu.

Mikeny są wysunięte najwięcéj na północ; Homer mówi trafnie, że leżą w najdalszym zakątku konie żywiącego Argosu. Wyżyna zamkowa, trójkąt nieregularny (którego szczyt najwyższy dochodzi do 277 metrów) mieści się między dwiema wysokiemi górami: g. *Szara* i g. *Eliasza*, od których ją oddzielają głębokie parowy. Ród odważnych a wojowniczych żeglarzy założył Tiryns i Mikeny, posuwając się z Nauplii daléj ku północy. W górach oddzielających Mikeny od Istmosu Korynckiego, skonstatował Steffen cały system obwarowań i dróg kyklopskich, które miały utrwalić komunikacyę z Koryntem i zatokami koryncką i sarońską. Otóż ta pozycya umożliwiała Mikenom działalność w dwóch kierunkach: ku Istmosowi i ku równinie i zatoce argolskiéj, i zapewniła im przewagę. Położenie to wyzyskano: Mikeny przeistoczono w wielką pozycyę obronną.

Kiedy do Miken zawitaliśmy, przebywał tam jeszcze archeolog grecki, Stamatakis, który pełnił obowiązki komisarza rządowego podczas poszukiwań Schliemanna, a następnie kontynuował je z polecenia archeologicznego towarzystwa ateńskiego. Jego uprzejmości wiele zawdzięczaliśmy podczas kilkudniowych studyów; lepszego Cicerone nie można było sobie życzyć.

VI.

Trzy działy budownictwa reprezentowane są w Mikenach i Tiryncie: 1) budowle forteczne, 2) grobowce, 3) pałace. Świątyń nie było ani tu, ani w Troi; widocznie w téj epoce nie w zamkniętych komnatach, lecz pod gołem niebem ludność cześć bogom składała.

Mury miały przedewszystkiém osłonić władcę, zabezpieczyć jego rezydencyę. Najpierw więc akropolię obwarowano i to silnie, późniéj dopiero i słabiéj miasto dolne. Tak się rzecz miała w Troi, nie inaczéj w Tiryncie i w Mikenach. Obwarowanie dolnego miasta mikeńskiego uwidocznia się dość dokładnie. Pierścień zaś murów, biegnący wokoło akropolii, zachował się niemal w zupełności i w dobrym stanie. I w Tiryncie utrzymał się nieźle wał forteczny, choć nie w pierwotnéj wysokości. Obie te cytadele wzbudzały już w starożytności podziw, tiryнckiéj zwłaszcza nie uważano za dzieło architektów śmiertelnych, lecz za dzieło istot nadziemskich, za dzieło olbrzymich i gwałtownych Kyklopów. Według tych Kyklopów nazwano kyklopskim ten sposób konstrukcyi murów, który spotykamy w Mikenach i w Tiryncie, i w innych miejscowościach płaszczyzny argolskiéj. W pierścieniu mikeńskim odróżniają trojaki styl budowli poligonalnéj: albo kładziono nieociosane bryły jedną na drugą, a tyl-

ko tu i owdzie bryły nieco obrobione, i luki wypełniano mniejszemi kamieniami; albo kładziono przeważnie czworokątne bryły; albo wreszcie mur składano z ciosów wielokątnych i tak je przystosowywano, że wierzchnie nadawały się do dolnych. Całe zamczysko mikeńskie zostało mniéj więcéj w jednym czasie obwarowane. W stylu trzecim dokonano w późniejszych czasach napraw i wzmocnień.

Mur tiryncki jest zbudowany w ten sam sposób: bryły kolosalne, jeszcze większych rozmiarów niżli w Mikenach kładzione są jedna na drugą; mało która jest ociosana; między bryłami umieszczono glinę dla lepszego spojenia. Znajdują się tu głazy o 3 met. długości a 7 m. szerokości.

Mury i budowle takie, jak tirynckie i mikeńskie, mogły powstać jeno w tych czasach, kiedy książęce rody posiadały niepospolite środki, a siłą poddanych rozporządzały według swéj woli. Podziwiać trzeba architektów, jak sobie radę dać umieli przy wyłamywaniu, transporcie, umieszczaniu tak wielkich głazów. W pałacu tiryńckim spotykamy się z głazem, ważącym przeszło 20,000 klgr. Główném narzędziem tych budowniczych była dźwignia, czas głównym pomocnikiem.

Do wnętrza akropolii mikeńskiéj — i tak samo do tirynckiéj — wiodły dwie bramy; w Mikenach jedna niska i wązka na północy, druga wielka, w północno-zachodnim kącie, tam, gdzie wyżyna zaczyna się zwolna pochylać ku równinie argiwijskiéj. Ta druga, to sławna *Lwia brama*, nazwana tak według znanéj rzeźby, która jest górą umieszczona. Składa się ta brama z trzech ogromnych głazów: na dwóch węgarach, nieco pochylonych ku sobie, spoczywa kamień trzeci, a po nad nim architekci, widocznie w tym celu, aby go zbytecznie nie obciążać, zostawili lukę, w kształcie trójkąta. Tę lukę atoli zakryto płytą, stosunkowo cienką, rzeźbioną po jednéj, zewnętrznéj stronie. Dwa lwy, czy też lwice, stoją naprzeciwko siebie; przednie łapy oparły na bazie gładkiéj kolumny, przyozdobionéj oryginalnym kapitelem. Rzeźba ta była do niedawna zagadką; nie przebyta przepaść, zdawało się, oddziela ją od innych pomników sztuki greckiéj. Przepaść tę wypełniły już różne odkrycia. Podobne obrazy lwów, obok kolumny umieszczonych, znaleziono w Menidhi, niedaleko Aten, i we Frygii. Zatém za herb Miken uważać lwów nie możemy, a i symbolicznego znaczenia rzeźby trudno nam się domyślić.

Przeszedłszy przez Lwią bramę, stajemy na dolnym tarasie. W głębi tego obwodu poczynił Schliemann swoje wiekopomne odkrycia, i tutaj najświetniéj się uwydatnił jego dar śledzenia.

Schliemann rozumiał w ten sposób słowa Pauzaniasza, że tutaj muszą się mieścić groby Agamemnona, Elektry i innych. Mimo że mu szczęście posłużyło, nie mogę Schliemannowi przyznać słuszności.

Pauzaniasz nie widział tych grobów, które Schliemann odkrył; były one oddawna zasypane.

W każdym razie Schliemann miał szczęśliwą rękę.

Usunąwszy gruzy, nagromadzone po za Lwią bramą, napotkał w odległości 17 metrów od niéj niskie obejście, czyli kanał, biegnący w kształcie koła, o średnicy mniéj więcéj 20 metrów. Kanał ten stanowią dwa, 1 metr od siebie odstające, równoległe szeregi płyt kamiennych, $1^1/_2$ metra wysokich, dobrze obrobionych i ściśle ze sobą spojonych. Płyty stały pierwotnie prostopadle na skalistym gruncie wyżyny, a gdzie tego była potrzeba – na podmurowaniu; dopiero gruz, walący się z wyższego zamku, spowodował pochylenie się płyt. Z takich samych płyt, co boczne ściany, składało się i wierzchnie nakrycie kanału, a część tych przykrywadeł i po dziś dzień jest na miejscu.

Kopiąc daléj wewnątrz tego obejścia, napotkał Schliemann płyty z kamienia wapiennego, prostopadle stojące i poziomo leżące, jedne rzeźbione, inne nie rzeźbione. Utwierdziły go one w domyśle, że znajdują się tu groby, i niebawem je odszukał — on sam pięć wykopał; archeologiczne towarzystwo jeszcze szósty odkryło.

Są to groby, a raczéj komory, w skale wykute, nie równo głębokie, ani też równo obszerne, a rozstawione mniéj więcéj w 2 szeregach. Ściany były wyłożone kamieniami różnéj wielkości, spód posypany jeszcze krzemykami, i dopiero na tych krzemykach spoczywały trupy. Było ich razem siedmnaście, w poszczególnych grobach po jednym do pięciu — mężczyzni, niewiasty i dzieci. Zdaje się, że groby mężczyzn (II i V), były oznaczone tablicami rzeźbionemi, kobiece zaś i mieszane nie rzeźbionemi.

Że w obrębie akropolii chowano nieboszczyków, raziło to niektórych badaczów, ale dziwném nie jest w owych dawnych czasach, kiedy panowały pojęcia religijne, zupełnie odmienne od tych, które znamy z czasów historycznych. W grobach znaleziono popiół, ale trupów, zdaje się, ogień nawet nie dotknął. Nie podobna więc uznać choćby częściowego spalenia ciał, albo palenia *pro forma*, jak to niektórzy przypuszczali, między nimi i Schliemann. Znakomity archeolog niemiecki, Helbig, i niektórzy inni, słusznie się domyślają, że po pochowaniu nieboszczyków, składano w grobach palne ofiary, a popiół gorący sypano na trupy. Jest także prawdopodobném, że ciała balsamowano.

W grobach widać było wielki nieład: kosztowności obok płyt gruzów; niektóre ciała leżały całkiem nie poludzku skurczone. Schliemann, uważając tę zawartość grobów za pierwotną, nie mógł wierzyć, żeby częściéj otwierano groby, w ten sposób zapełnione.

Przypomniał sobie także tradycyę o Klitemnestrze i Egiście, którzy Agamemnona zabili. Zatém jego zdanie było to: że odrazu pochowano ciała, przynajmniéj w każdym grobie z osobna, że je pogrzebano niestarannie, bez czci i szacunku. Gladstone jeszcze daléj na ten temat fantazyował. Jak w wielu wypadkach, tak i w niniejszym, Dörpfeld zagadkę rozwiązał—a to na podstawie ustnéj relacyi Schliemanna o pewnym szczególe. Groby były zamykane i otwierane według życzenia, zakrywano je bowiem płytami, które spoczywały na jednéj lub dwóch belkach, wsuniętych końcami w pudła bronzowe, które znaleziono w grobach. Belki z czasem zgniły, płyty się zapadły, a ziemia i gruz dostały się także dò grobowców i sprowadziły tam takie spustoszenie. Naturalnie nie nastąpiło to rychléj, jak wtedy, kiedy przestrzeń, objęta wierzchniem obejściem, już była cała ziemią nakryta, aż do wysokości kanału. Obejście zaś nie powstalo równocześnie z grobami, lecz znacznie późniéj, kiedy już groby były zamknięte, bo zachodzi na groby, a miało je widocznie obronić od zniszczenia. Pomylił się Schliemann, twierdząc, że to koło było agorą mikeńską, a kryte obejście służyło radnym za siedzenie. Agora, jak u Feaków według opisu Homera, tak i w Mikenach, znajdowała się niezawodnie w dolném mieście, a nie na wyżynie zamkowéj.

Towarzystwo archeologiczne odkryło w latach 1887 i 1888 w dolném mieście całą nekropolię, 52 grobowce, podzielone na grupy—wspanialsze, lub mniej okazałe, bogaciéj zaopatrzone w narzędzia ze słoniowéj kości i drogich metalów, lub biedniéj wyposażone figurkami z gliny. Jest to widocznie cmentarzysko ludowe; każda gmina, lub raczéj dzielnica, miała swój osobny cmentarz i to w obrębie miasta. Rzecz więc zrozumiała, że i ród najpierwszy, ród książęcy, na swojém własném terytoryum, na wyżynie zamkowéj, gdzie rezydował, chował książąt i innych członków rodu.

Ale po pewnym czasie już książętom nie podobały się skromne pudła grobowe. Stawiali sobie wspaniałe grobowce, a dla tych nie było miejsca na wyżynie zamkowéj; stawiali je zatém w mieście dolném.

Na gruncie mikeńskim odszukano siedm kopulistych gmachów—*tholoi*—z tych najsławniejsze i najlepiéj zachowane są dwa: mianowicie wspaniały gmach, zwany *skarbcem Atreusza* lub téż *grobem Agamemnona*, oczyszczony i dokładnie zbadany już w r. 1878, z polecenia towarzystwa archeologicznego, przez pana Stamatakisa; drugi nieco rychléj, ale tylko w części odkopany przez panią Schliemann. Prócz tego znaleziono aż do téj chwili jeszcze sześć innych takich samych budynków na ziemi greckiéj; z tych najwspanialszym jest *skarbiec Miniasza* w Orchomenos, oczyszczony i zbadany przez Schliemanna.

Skarbiec Atreusza składa się z dwóch części: z wejścia, czyli kurytarza, i gmachu właściwego. Brama, prowadząca do właściwego tholosu, podobna jest do Lwiéj bramy. Ogromne węgary pochylają się także nieco ku sobie, a na nich spoczywa znowu olbrzymi kamień, po nad którym jest luka w kształcie trójkąta; luka ta może była kiedy wypełniona płytą. Po obydwóch stronach bramy stały półkolumny z ciemno szarego alabastru. Ale nie tylko odrzwia, lecz cała fasada była bogato dekorowana. Odszukana część jednego kapitelu przypomina kapitel na rzeźbie lwiéj bramy.

Tholos sam jest kopulistém sklepieniem w kształcie ściętego ostrokręgu. Na linii koła o 15 m. średnicy wznosi się jeden pierścień z wielkich, misternie ociosanych i szczelnie złożonych, kamieni prostokątnych, po nad tym pierścieniem drugi, węższy, i tak coraz węższe, wogóle pierścieni 33; na samym szczycie ogromny kamień zakrywa całe sklepienie. Z zewnętrznéj strony nasypano na kręgi wielką ilość kamieni różnego kształtu i wielkości, a następnie ziemię, w kształcie pochyłego wzgórza. Kamienie i ziemia ciężarem swym utrzymują pierścienie kamienne kopulistego gmachu *in situ*. Ściany wewnętrzne przyozdobione były płytami bronzowemi, które w pewnych odstępach symetrycznie przymocowywano za pomocą bronzowych gwoździ. Z téj pierwszéj sklepionéj izby wchodzi się do komory ciemnéj, niskiéj, wykutéj w skale, w kształcie nieregularnego trójkąta.

Znaczenia tych budynków już starożytni nie znali. Nazywali je skarbcami. W nowszych czasach pojawiły się nowe nazwy. Dzisiaj nie może być już różnicy zdań. Są to grobowce familijne, późniejsze od grobów na tarasie zamkowym.

VII.

Wspaniałe grobowce kazały się domyślać, że książęta rezydowali w wielkich i przepychem napełnionych pałacach. Lecz aż do niedawna nigdzie nie odszukano ich śladów. Tém silniejsze wrażenie sprawiło odsłonienie domu anaktów na tirynckiéj warowni w r. 1884. Dzieło to stanowić zawsze będzie jeden z głównych tytułów sławy i chwały Schliemana.

Za Schliemana przykładem pospieszyło towarzystwo archeologiczne ateńskie, i w r. 1886 odkryło na szczycie zamku mikeńskiego dawny pałac królów mikeńskich; pałac ten, tak co do zarysu, jak co do budowli saméj, najzupełniéj się zgadza z tiryńckim. Wystarczy zatém, jeżeli się przypatrzymy pałacowi tiryńckiemu, który jest najokazalszy i najlepiéj się zachował.

Dwa były wejścia do wnętrza zamku: jedno wąskie, wyłącznie dla pieszych przeznaczone od strony zachodniéj; drugie, główne, od strony wschodniéj, dla wozów i koni urządzone, mimo to dość strome.

Wszedłszy tą szerszą drogą w obręb cytadeli między dwiema wieżami, z których jedna wznosi się jeszcze do wysokości przeszło 7 metrów, i dotarłszy nią aż na najwyższy punkt wyżyny, stajemy w pierwszym dziedzińcu, a zwracając się ku wschodowi, przybywamy niebawem do wielkich propylei, które się składają z przedniego i tylnego westybulu, i przyozdobione są dwiema kolumnami *in antis*.

Przeszedłszy przez tę bramę wchodzimy do drugiego dziedzińca. W północno-zachodnim jego kącie położone są drugie, mniejsze propylee.

Przez podwoje propylei wchodzimy wreszcie do trzeciego, głównego dziedzińca pałacu, do dziedzińca mieszkania mężczyzn. Wszystkie cztery jego ściany otoczone są portykami.

Do ściany północnéj przytyka mieszkanie, przeznaczone dla mężczyzn, a to w ten sposób, że bezpośrednio łączy się duży westybul, utworzony przez dwie kolumny *in antis* i dwie parastady. Z tego przedsionka prowadzi troje podwoi do rozległego przedpokoju, a z przedpokoju wchodzimy szerokiemi drzwiami do wielkiéj głównéj sali, czyli do właściwego megaronu. W środku megaronu znajdowało się okrągłe ognisko; wielkie koło na posadzce w środku sali oznacza niezawodnie miejsce tego ogniska. Otaczały ognisko cztery słupy, podtrzymując prawdopodobnie bazylikę z otworami; temi otworami wciskało się światło i dym się ulatniał.

Z przedpokoju prowadzą małe drzwi, umieszczone w zachodniéj ścianie, do kompleksu izb, połączonych kurytarzami; z tych izb najwięcéj nas może zająć łazienka; jéj podłoga składa się z jednego odłamu *breccia*, dobrze wygładzonego, który waży przeszło 20,000 kgr. Ponieważ łazienka połączona jest drzwiami z przedpokojem, przypuszczać wolno, że przybysza najpierw tutaj w łazience kąpano i olejkami smarowano; potém dopiero prowadzono go do przedpokoju i stąd wpuszczano do sali głównéj, do megaronu króla.

Bezpośrednio do oddziału dla mężczyzn przytyka na wschód drugi oddział, składający się również z dziedzińca i pokojów; niezawodnie było to *gynekeion*, czyli mieszkanie kobiet. Nie było jednak bezpośredniéj komunikacyi między obydwoma oddziałami. Gynekeion miało także swój osobny dziedziniec, otoczony również portykami. W głównéj sali, czyli megaronie, odkryto ślady ogniska w kształcie czworoboku. Kurytarzami przejść było stąd można do szeregu mniejszych i większych komnat, które służyły prawdopodobnie w części za zbrojownie i skarbce. Z jednéj izby prowadziły, jak się zdaje, wschody na wyższe piętro, lub na dach pałacu.

Fundamenta pałacu składają wielkie bryły; mury wyższe aż do jednego metra wysokości składają kamienie mniejsze, zespojone gliną, następnie cegły suszone na słońcu. Dach pałacu tirynckiego był zapewne płaski; składał się z belek obok siebie umieszczonych, na które kładziono pokład wapna.

Wszystkie mury wewnętrzne były obrzucone najpierw gliną, następnie wapnem, a tynk ten dobrze wygładzono i przyozdobiono malaturami, wykonanemi al fresco w kolorach: niebieskim, czerwonym, żółtym, białym i czarnym; koloru zielonego, zdaje się, nie znano. Te same kolory wraz z zielonym zdarzają się na egipskich ściennych malaturach.

Malowany tynk poodpadał ze ścian; kawałki pomieszały się z gruzem, ale właśnie gruz uchronił niektóre przynajmniéj malatury od zupełnego zniszczenia, gdyż powstrzymywał przeciekanie wody. Jedyną komnatą, w któréj znaleziono malowany tynk jeszcze na ścianie, jest wielka sala niewieścia. Przekonać się tutaj więc można naocznie, że malatury nie zakrywały całych ścian, lecz tylko dolne, a może i górne fryzy.

Przeważna ich część—o ile się zachowały—przedstawia rozmaite ornamenta: rozety, kwiaty, linie spiralne i różne kombinacye linii; między niemi motywa, które do dnia dzisiejszego zastosowanie znajdują, jako motywa tapet. Zdarzają się téż kawałki jakiegoś skrzydlatego zwierzęcia, nogi wołu i t. p. Najciekawszą figuralną malaturę ukazuje nam fragment, złożony starannie przez Schliemanna i jego towarzyszów ze siedmiu kawałków (przedstawiony na tabl. XII Schliemannowskiego dzieła o Tiryncie). Szczątki te przedstawiają tęgiego buhaja w profilu, w pędzie szalonym ku stronie lewéj. Rogi zwierzęcia sięgają w górze aż do brzegu fryzu. Łeb niesie on do góry, pysk jego zamknięty; szał i dzikość wyraził malarz w oku, wielkiém, okrągłém. Na grzbiecie byka klęczy jakiś mężczyzna jedną, prawą nogą, ale tak, że tylko kolano i palce dotykają grzbietu zwierzęcia, drugą nogę cofnął w tył tak wysoko, że piętą niemal brzegu fryzu dosięga. Rysunek jest zręczny, formy zaś ciała takie, jakie na wszystkich archaicznych wazach bardzo dawnego pochodzenia: nogi są zbyt cienkie, głowa, w proporcyi do grzbietu, zbyt krótka.

Najprawdopodobniéj przedstawia malatura poskramiacza byków, który popisuje się zręcznością we wskakiwaniu na grzbiet byka, podczas gdy ten w największym jest pędzie. Niektórzy archeologowie przypisywali wprawdzie obrazowi mitologiczne znaczenie; ale najświeższe przypadkowe odkrycia podobnych obrazów i rzeźb w sławnéj Amyklei w pobliżu Sparty i w Mikenach potwierdziły interpretacyą dawną.

VIII.

Schliemann wzruszył spokój zamczyska mikeńskiego i książąt tam pogrzebanych. Spoczywali zapomnieni, nieznani. Nagle świat ujrzał ich przepych i potęgę—to, czém się otaczali za życia i po śmierci—i ze zdumieniem spostrzegł, że w tak dawnych wiekach wysoka kultura ożywiała argolską krainę.

Nie łatwą jest rzeczą dać treściwy przegląd mnóstwa przedmiotów, które Schliemann wygrzebał w Mikenach i w Tiryncie.

Obfitą i zajmującą jest zdobycz naczyń i innych wyrobów z gliny. Należą one przeważnie do klasy téj, którą nazwano właśnie mikeńską, dlatego, że w Mikenach najświetniejsze jéj okazy się pojawiły—nazwano także naturalistyczną według sposobu dekoracyi. Widzimy zatém na wazach mikeńskich przedewszystkiém ornamenta, złożone z linii spiralnych, fantastyczne przeobrażenia wzorów ze świata roślinnego i zwierzęcego, wreszcie zwierzęce figury w wierném naśladowaniu natury. Wobec tego rodzaju ustępują liczebnie naczynia z dekoracyą t. zw. geometryczną, która w archeologii od niejakiego czasu nosi nazwę *Dipylonu*, a nosi z téj przyczyny, ponieważ naczynia, znalezione w Atenach, w grobach przy podwójnéj bramie (Dipylon), przyozdobione są właśnie tą ornamentyką. Styl Dipylonu pojawił się w Grecyi mniéj więcéj przy schyłku drugiego tysiąca lat przed Chr. i wyrugował ostatecznie tak rozpowszechnioną dekoracyą mikeńską.

Wielki przedział rozdziela najpiękniejsze naczynia mikeńskie od mniéj udatnych; różnią się między sobą pod względem kształtności i pod względem technicznego wykończenia. Jedne są wyrobione z wolnéj ręki, przeważna jednak część na kręgu garncarskim. Na jednych ozdoby są nałożone farbami bez połysku, inne mają dekoracyę połyskującą, jakby glazurową w kolorze brunatnym. Uczeni niemieccy, Furtwängler i Löschcke, zajęli się z polecenia niemieckiego instytutu archeologicznego zebraniem i opracowaniem materyału dla wielkiéj publikacyi naczyń krajów morza śródziemnego z epoki przedhelleńskiéj, i poświęcili temu zadaniu niemało trudu i czasu. Ich tedy zdaniem, na wazach bez połysku zdarzają się tylko ornamenta linijne: zatém proste linie, cieńsze i grubsze, jakby pasy, koła, półkola, wężownice i t. d.; natomiast na wazach, mających farbę pokostową, znaleźli wyłącznie przedmioty natury, osobliwie takie, które wpadały w oko mieszkańcom wybrzeża morskiego, jako to: fale morskie, ryby, polipy, korale, ślimaki, muszle, wreszcie trawy i inne ro-

śliny wodne, liście epichu i gałązki drzew, drzewo palmowe i kwiat lilii. Niektóre z tych składników wcześnie wymarły, inne zaś, jak polip, nautilus, niektóre rodzaje ślimaka, palma, stały się płodnem elementami ornamentyki.

Ornamenta na tle bez połysku uważają niemal za powszechną własność wszystkich szczepów indoeuropejskich; malowanie połyskującemi farbami za wynalazek Greków: mikeńskie wazy unaoczniają nam początki tego ważnego wynalazku i dalszy trwały jego rozwój. Można już dziś nawet określić jego stadya: uwydatniają się one w coraz misterniejszém wykonaniu techniczném, delikatniejszéj glinie, piękniejszéj glazurze, rozmaitości barw. Rozszerza się także koło wizerunków: wchodzą w nie ptaki, ludzie i czworonożne zwierzęta; nigdzie jednak nie widać gryfów, sfinksów, lwów albo kwiecia papyrusu.

Wątpliwą jest rzeczą, czy naczynia mikeńskie, nawet dawniejsze, są fabrykatem miejscowym. Wazy mikeńskiego *genre*, zwłaszcza drugiego rodzaju, rozsiane są po całym przestworze dawnego świata greckiego i nawet w dalszych stronach, a zastanawia zgodność ich, nie tylko w stylu, dekoracyi, lecz także w formach i nawet w glinie. Dotychczas nie odszukano miejsca fabryki, i nie jest prawdopodobném, aby wszystkie się rozchodziły z jednéj miejscowości. Wyrabiano je zapewne w kilku osadach na wyspach morza egejskiego, a może w części w Argolidzie, i rozsyłano, jak inny towar kupiecki, w okolice bliższe i dalsze.

Plastyczne wyroby z gliny — ludzie i zwierzęta — są nieudatne, niemal wstrętne. W pomalowanych pstro figurkach z terakoty, w których Schliemann upatrywał boginię Herę o krowich oczach, postać ludzka ledwo jest zaznaczona. Takie same jednak odszukano w najdawniejszych warstwach na zamku w Atenach, i one zatém były artykułem handlowym.

W samych *grobach* mikeńskich znaleziono mało naczyń glinianych, natomiast wielką ilość waz i kubków złotych o pięknych kształtach; niektóre z nich nie mają prawie żadnych ozdób, inne zaś przystrojone są w bogate, młotkiem wykute ozdoby linearne i z dziedziny świata roślinnego lub zwierzęcego. Mieściły się téż w grobach naczynia z innych kruszców, w jednym np. 32 kotły z miedzi, nadto 20 srebrnych waz i dzbanków.

Pod względem artystycznym pierwsze miejsce należy się niezliczonym wyrobom ze złota. Na wyżynie mikeńskiéj odkryto tysiące blaszek, małych okrągłych tarczy, gwiazd, krzyży, liści, których przeznaczenia nawet w części nie znamy. Spora ich liczba przyszyta była do szat nieboszczyków. Liście złote nakrywały rękojeści mieczów lub guziki. Niektóre ozdoby rozrzucono może na to tylko po

grobach, aby pokryć całkiem ciała umarłych. Wszystkie te blaszki i gwiazdy wykuto młotkiem lub wyduszono na formach z kamienia, czyli na t. zw. *matrycach*. Najwięcéj rozpowszechnioną, niemal zasadniczą formą dekoracyi jest linia spiralna w najrozmaitszych odmianach; zdarzają się jednakowoż i rośliny, i postacie zwierząt. Te same motywa: koła, ślimacznice, liście, rozety, gałązki wawrzynu i t. d. powracają i na pięknych dyademach ze złota, które zdobiły skronie pogrzebanych niewiast, na dużych blachach, które przykrywały piersi nieboszczyków, na pasach również ze złotéj blachy, do których były przymocowane miecze, na innych pasach, któremi owijano ramiona mężczyzn, i na różnych szczegółach, które służyły do stroju damskiego. Właśnie z ozdób złotych przeniesiono te ornamenta do naczyń z terakoty; przy tém zaś przeniesieniu, pomnożeniu i nowém ugrupowaniu, szwank one poniosły.

Zauważono zresztą już dawno, że w mikeńskich wyrobach—nieliczne wyjątki pominąwszy—niższe formy organicznego życia lepiéj są wyobrażone, aniżeli wyższe. Ryby są lepiéj wykonane, aniżeli ptaki, ptaki lepiéj, aniżeli czworonożne zwierzęta; najgorzéj wypadły próby wyobrażenia ludzi.

Sześć masek złotych, które znaleziono w dwóch grobach, przykre na widzu sprawiają wrażenie, témbardziéj, że ciężar narzuconych gruzów mocno je pogniótł i w części do niepoznania zeszpecił. Każda maska inaczéj wygląda. Są to więc niezawodnie portrety, wykonane podług odcisków, ale portrety nieudatne. Miały one uwiecznić oblicza nieboszczyków, a zarazem zniszczyć przykry wyraz śmierci i nadać umarłym urok wyższych niejako istot. Używanie masek sepulkralnych sięga tak co do czasu, jak co do przestrzeni poza granice cywilizowanego świata starożytności i należy do tych obrzędów, które świadczą wyraźnie o jedności rodu ludzkiego.

Na grobowych tablicach (stelai) powtarzają się również ornamenta ozdób złotych; w obrazach zwierząt i ludzi, które są na nich wyrzeźbione, ujawnia się atoli szczególna niezręczność, zupełny brak ekonomii artystycznéj. Nie są to wcale wykończone obrazy, lecz tylko zarysy; niekształtne figury i ornamenta nie są modelowane, lecz jeno zaznaczone dłutem. Płyty te wyprzedziły znacznie rzeźbę nad Lwią bramą.

Niewątpliwie słusznem było zdziwienie niektórych archeologów, że tak nieharmonijnie rozwijały się w świecie mikeńskim, w tym samym czasie, różne kierunki poczucia piękna. Nie należy jednak zapominać, że epoka kultury mikeńskiéj obejmowała wieki, że w obrazie tym, który się roztacza przed naszemi oczami, złączone są razem przypadkowo wyroby, w różnych warunkach i czasach wytworzone.

Pamiętać i o tém trzeba, że jedne przedmioty przybywały z dalekiéj obczyzny, inne na miejscu wyrabiano. Płyty grobowe rzeźbili niezawodnie w samych Mikenach miejscowi kamieniarze. Za wzór im służyły misterne rzeźby na mieczach. Z pomiędzy mnóstwa bronzowych mieczy, które włożono nieboszczykom do grobów, ośm było przyozdobionych różnemi wizerunkami. Rzeźby te wykonano na osobnych cieniutkich płytach ze złota lub bronzu, a płyty przykładano do obydwóch stron ostrza. Obrazy rzeźbione przedstawiają się nawet w różnych barwach: na jednym np. miejscu lwy i nagie części ciała ludzkiego wyłożone są złotem, twarze srebrem, inne podrzędne części, jak znaki na tarczach i ozdoby na szatach, jakąś masą czarną. Jeżeli te miecze są obcego pochodzenia, w takim razie z tego samego źródła przywieziono do Miken i inne pięknie rzeźbione przedmioty, zwłaszcza niektóre ozdoby niewiast, jako to: trzy t. zw. wysuwki złote, należące niezawodnie do naszyjnika, niektóre pierścienie i pryzmata rzeźbione.

Ozdób niewieścich pełno w grobach mikeńskich. Jest tam spora ilość pierścieni, są piękne szpilki do włosów, są kolczyki i bransolety różnego rodzaju i różnéj wartości. Naszyjniki księżniczek mikeńskich składały się nietylko ze złotych ozdób, lecz także z drogich klejnotów, z gemm i pereł, i kamieni, jak achat, onyx, lapis ollaris, ametyst.

Pod względem techniki przewyższa wszystkie przedmioty zbioru Schliemannowskiego głowa wołu z lanego srebra. Udatnym wyrobem jest także waza w kształcie jelenia o jednym rogu, wyrobiona z aliażu srebra i ołowiu. Przywieziono je bezwątpienia z obczyzny, jak wiele innych przedmiotów. Z Fenicyi np. pochodzą złote obrazki kobiety z gołębiami na głowie i na ramionach — zapewne bogini Astarty, niemniéj trzy ołtarzyki z gołębiami na dachach fasady, która ma uprzytomniać świątynię tejże bogini w Pafos.

IX.

Domysł a wiedza, zaiste to dwie różne rzeczy — powiedział już poeta grecki.

Domysłów, przypuszczeń, kombinacyi o odkryciach Schliemanna wiele uczyniono i nie zabraknie ich w przyszłości. Ale pewności, wiedzy—mało. Rezultat sumiennych i pilnych porównań i badań jeszcze nie jest znaczny. Nie udało się dotychczas wbić potrzebnéj liczby palów w stały grunt historyi, celem wytyczenia granic i opłocenia terytoryum dawnéj cywilizacyi mikeńsko-helleńskiéj. Rozliczne

szczegóły już są wyjaśnione, ale nie składają jeszcze całości: jeszcze niepodobna oznaczyć stanowczo i z naukową ścisłością pochodzenia téj kultury, nazwać ich twórców i reprezentantów, określić jéj rozległości.

To wszakże pewna, że sztuka i kultura świata Homerowego różni się i późniejszą jest nietylko od trojańskich dwóch warstw najniższych, lecz także od przedmiotów, wydobytych w Mikenach, Tiryncie i Orchomenos. Nader silnie uwydatnia się to przeciwieństwo, tak silnie, że pierwotnie zupełnie nie dostrzegano istniejącego w niektórych względach podobieństwa i związku.

Epopea nie wymienia grobowców: ani owych prostych komór, ani wspaniałych *tholoi*. Ciała palą u Homera na stosie i chowają popioły; w Mikenach nieboszczyków nawet balsamowano, tak jak w Egipcie, zapewne w tém przekonaniu, że życie duszy przywiązane jest do dalszego utrzymania się ciała. Wielka różnica objawia się w ubraniu: w mikeńskich figuralnych przedstawieniach mężczyźni są zwykle nadzy, a nigdy nie mają ani pancerza, ani przyłbicy, ani nagolenic, które są charakterystyczną częścią ubrania bohaterów Homerowych.

Żelazo pojawiło się w Mikenach dopiero przy samym schyłku okresu całego; także i u Homera jest to jeszcze towar drogi, lecz znają jego eksploatacyę, jest ono już przedmiotem obrotu handlowego i widocznie bronz wypiera. Fibule dopiero w roku 1888 na gruncie mikeńskim znaleziono; są one tam rzadkością, w Troi niéma ich wcale. U Homera powszechnym jest zwyczaj noszenia szat, spiętych za pomocą fibuli.

W pierwszych latach po odkryciu zabytków trojańskich i mikeńskich wszystko się tam wydawało niegreckiém: style i ornamentyka, kształty zwierząt i ludzi, oznaki i symbole, ubiór i grzebanie ciał. Wystąpił tedy uczony archeolog, Köhler, w r. 1878 z twierdzeniem, że w grobach mikeńskich mieściły się ciała książąt karyjskich, że wszystkie w mikeńskiéj akropolii odkryte sprzęty należały do Karyjczyków i ich były wyrobem. Karyjczycy i pokrewne im szczepy przemieszkiwały w XII i XI wieku na południowych wyspach Archipelagu, oraz na wschodnich wybrzeżach Peloponezu i Attyki. Teoryę Köhlera podjęli na nowo przed czterema laty młodzi archeologowie Dümmler i Studniczka.

Mniejsza o nazwę, ale czy rzeczywiście tak obcą jest Homerowi kultura mikeńska?

Homer sławi potęgę i bogactwo Troi i Miken i Miniaszowego Orchomenosu; czyż właśnie nie tam Schliemann odkrył centra wielkiéj potęgi i przepychu władców?

Niektóre Homerowe zbroje i naczynia najlepiéj możemy odtworzyć z zabytków mikeńskich; między niemi znajdujemy wzór kubka Nestorowego, a dla obrazów tarczy Achillesa również nigdzie lepszych nie znajdujemy analogii, jak w niektórych wyrobach mikeńskich. Homer zna kolosalne mury i warownie i opisuje bramy i wieże, których w epoce po wędrówkach już w Grecyi nie było. I wnętrza zamków opisuje zgodnie z mikeńską kulturą; ściany pałacu Alkinoja obite są spiżem, jak ściany mikeńskiego „skarbca“.

Homerowe poemata nie reprezentują jednolitéj kultury. Nawet język tych utworów nosi piętno wiekowych przemian. Żaden szczep nigdy nim nie mówił. Różne narzecza pozostawiły w nim niezatarte ślady. Jest on więcéj oddalony od języka ludowego Jonów, aniżeli np. język tragików od gwary ludu ateńskiego. Tak samo rzecz się ma z techniką wierszową, z epitetami. Różne epoki zlewają się tu razem i mieszają w całość: nowe rzeczy stają równorzędnie obok starszych.

W kulturze i sztuce, którą nam poemata odźwierciedlają, nie mógł nie pozostawić śladu ten przewrót stosunków greckich, który nazywamy *wędrówkami doryckiemi*, i stan rzeczy, który się wskutek tych gminoruchów wytworzył w azyatyckich dzielnicach Eolów i Jonów.

Gminoruchy te powstrzymały nagle i zniszczyły kulturę, która się wytworzyła była na wyspach i na wschodnich wybrzeżach kontynentu greckiego. Tiryns i Mikeny upadły, a przynajmniéj zepchnięte zostały do rzędu państw drugorzędnych, poddać się musiały nowemu porządkowi rzeczy, w którym réj wiodło doryckie Argos, i jeszcze przez kilka wieków wlokły żywot nędzny, jako osady bez znaczenia. I Troja upadła, została pognębiona wcześniéj, aniżeli Mikeny; upadła już wtedy, kiedy zaledwie weszła w związek z mikeńską kulturą. Została zburzona, spalona, jak świadczą ślady pożaru na wszystkich niemal przedmiotach drugiego pokładu.

Klęska musiała nastąpić nagle; inaczéj nie byłyby się przechowały tak liczne kosztowności. A po spaleniu już się osada nie mogła pokrzepić i wzmocnić; zastygł ruch, gdy tymczasem na kontynencie, w Mikenach i Tiryncie, daléj jeszcze w tym samym duchu rozwijały się rzemiosła, techniczne zręczności i urządzenia społeczne.

Powstanie podań trojańskich łączą zwykle z kolonizacyą Eolów na wybrzeżu północném Azyi Mniejszéj. Ale być także może, że powstały one wcześniéj, zaraz z chwilą upadku Troi, i że upadek ten sprowadziły rody książęce i szczepy z wysp i wschodnich wybrzeży kontynentu, gdzie kwitła kultura mikeńska, a nie Semici azyatyccy, jak twierdził Müllenhoff.

Terytoryum kultury mikeńskiéj było bardzo rozległe. Stwierdzono ją na całém wybrzeżu wschodniego Peloponezu, w lakońskiéj i argolskiéj krainie, i daléj na północy w Attyce, w Beocyi, i nawet w Tessalii, na wszystkich wyspach Archipelagu, aż na południe do Krety i Rodos; także na wybrzeżu azyatyckiém widnieją coraz więcéj jéj ślady. Czas jéj panowania przenieść należy na drugie millenium przed nar. Chrystusa. Bliższe określenia jeszcze są niepewne; nie pomylimy się znacznie, umieszczając ją w epoce od r. 1400 do 1000, zatém w téj epoce, w któréj umieścić trzeba Homerowych Achajów. Ale nazwą ogólną narodu, który posiadał tę kulturę, nie była nazwa Achajów. Nawet Homer wymienia obok nich wiele innych szczepów: Jonów, Minyjczyków, Karów i innych.

Grecką, we właściwém tego słowa znaczeniu, kultura mikeńska nie była. Zanadto się ona różni od téj, którą znamy z historycznych wieków, i zanadto wyraźnie występują elementa obce. Widać elementa i wpływy egipskie, widać górno-azyatyckie, widać fenickie i zwłaszcza téż lidyjskie i frygijskie, widać je w wyrobach i w budowlach. Jedni z uczonych te, inni inne wpływy silniéj zaznaczają. Z drugiéj znów strony nie można téj kulturze odmówić oryginalności; śledzić w niéj można genetyczny rozwój i postęp: w keramice, w architekturze, w rzeźbie. Adler i inni architekci słusznie zwrócili uwagę na tę okoliczność, że ani wyspy, ani syryjsko-fenickie wybrzeże, ani wogóle azyatyckie krainy nie mogą się pochlubić budynkami, któreby rywalizować zdołały z pałacem tiryenckim lub mikeńskiemi *tholoi*, co się tyczy rozkładu i organizmu budowli. Nawet Ernest Curtius to przyznaje, chociaż jest jednym z twórców i najgorliwszych zwolenników wpływów fenickich.

Nie była więc kultura mikeńska jednolita, pierwotna, niezmieszana. Wyrosła z różnych impulsów i składników, i w ciągu kilkowiekowego okresu zlała się w całość.

Najświetniéj ona reprezentowana w Mikenach, gdzie rządzili władcy potężni i bogaci. W Mikenach wszakże nie powstała, została przeniesiona z obczyzny. Skąd zaś wyszła? gdzież jéj początki? Któryż naród zaszczepił ją na argolskiéj ziemi?

Może w Karyi wyrosła? Prawdopodobniejszém jest, że wyspa Kreta jest jéj kolebką, ale nie ona sama; także inne kraje i szczepy dorzuciły część swoją.

Historya donosi nam o rozległém i silném państwie Minosa na Krecie. Może późniéj przesunęło się centrum jego z Krety do Miken. W każdym razie wolno przypuszczać, że w pewnym okresie nastąpiło polityczne zjednoczenie różnych szczepów, między niemi Karów i Achajów. Równomierne rozszerzenie się kultury po tak rozległém

terytoryum usprawiedliwia wniosek, że nietylko przypadkowo i dobrowolnie stykały się i porozumiewały z sobą narody, w obrębie téj kultury pozostające, lecz, że związek ich był ściślejszy, trwalszy, silniejszy.

Do niedawna znany nam był tylko krótki okres historyi greckiéj. Wiadomości źródłowe, historyczne nie sięgają nawet do wędrówek doryckich. Naród grecki przedstawiał się od samego początku, odkąd wystąpił na widowni świata, już w pełni rozwoju, w posiadaniu oryginalnéj kultury i cywilizacyi. Początki i pierwiastki téj oświaty pokryte były grubą zasłoną, i zdawało się przez czas długi, że nikt tych ciemności rozświecić nie zdoła.

Badania literacko-historyczne o powstaniu Homerowych podań i kompozycyi poematów rzuciły niejeden promyk światła w tę tajemniczą przeszłość, lecz poszukiwania te nie mogły wystarczać. Potrzebowały uzupełnienia i potwierdzenia. Uzupełnić je mogły, oprócz studyów lingwistycznych, przedewszystkiém zabytki i pomniki dawnéj przeszłości.

Opatrzność w swéj niezrównanéj mądrości i przezorności trzymała przez wieki w ukryciu skarby wielkie. Dawniejsze pokolenia aż do początku, może nawet aż do połowy tego wieku, nie byłyby tych zabytków należycie wyzyskały, nie byłyby ich nawet w ten sposób z ziemi wydobyły, jak tego interes nauki wymaga. Obecnie dzień niemal każdy wzbogaca nasze muzea. W miejsce podróży i przypadkowych odkryć wstąpiły wyprawy naukowe i odkopywania miast, cmentarzysk i świątyń. Zdumiewające odkrycia zaprzątają umysły z téj i z tamtéj strony oceanu. Dyletantyzm wyrugowała systematyczna, umiejętna praca. Wynurzają się z głębi ziemi zagrzebane pomniki, zmartwychpowstają artyści zapomniani, pojawiają się nieznane kultury. Odgrzebane zabytki przemawiają do nas i świadczą tak samo o przeszłości, jak pomniki literackie. Tylko mowa ich jest inna od mowy pomników literackich; i trzeba osobnéj wprawy, osobnéj nauki, aby ją rozumiéć. Znajomość téj mowy coraz więcéj się rozszerza i staje się dokładniejszą, i dlatego też coraz gruntowniejszą staje się nasza znajomość przeszłości starożytnych narodów.

Schliemannowskie zdobycze w Itace, Troi, Mikenach, Orchomenos i Tiryncie są bogatą skarbnicą, są wielkiém zbiorowém dziełem wiadomości o najdawniejszym okresie dziejów Hellady. Schliemann dostarczył materyału historycznego, którego nikt nie przypuszczał. Schliemann cofnął w głąb o wieki całe, o wieków siedm lub więcéj, historyę nie-

tylko greckiego narodu, lecz historyę cywilizacyi europejskiéj. Schliemann przedewszystkiém pobudził swym przykładem do umiejętnych poszukiwań w głębi ziemi helleńskiéj, do wykopalisk téj miary, co olimpijskie, pergameńskie, delijskie i ateńskie.

Niech mu będzie za to cześć i sława!

Ludwik Ćwikliński.

KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów, w Marcu 1891 r.

Faktem pierwszorzędnéj doniosłości w naszych stosunkach politycznych zaznaczył się koniec Stycznia — ustąpieniem p. Dunajewskiego z posady ministra skarbu, przeszło dziesięć lat zajmowanéj.

Rozdwojenie pomiędzy Czechami, składającymi część większości parlamentarnéj w izbie deputowanych rady państwa, w toku akcyi ugodowéj w sejmie czeskim, prowadzonéj między Niemcami a Staroczechami, bez udziału zaś Młodoczechów, doszło do tego stopnia, iż nie można było spodziewać się, że Młodoczesi, którzy zyskali na popularności i na liczbie mandatów przez daléj sięgające żądania, będą nadal zaliczeni w skład większości parlamentarnéj, i tak już niezbyt silnéj liczebnie. Skoro w takiém położeniu hr. Taaffe postanowił szukać oparcia u umiarkowańszych żywiołów z dotychczasowéj opozycyi, t. j. lewicy niemieckiéj, która użyczyła już mu była udziału swego do akcyi ugodowéj w Czechach, jasném było, że dr Dunajewski, który w swoim czasie nie brał udziału w konferencyach, poprzedzających akcyę ugodową, nie mógł dłużéj pozostać w ministeryum. Dr Dunajewski ustąpił, kiedy w kwestyi zasadniczéj, jaką drogą pójść nadal w wewnętrznéj polityce państwa, decyzya wypadła nie podług

jego rady, a ustąpił, co nie każdemu jest danėm, właśnie w chwili, kiedy w kierownictwie sprawami skarbowemi doszedł do szczytu powodzenia. Regulacya podatku gruntowego, stworzenie potężnéj sieci kolei państwowych, zniesienie rogatek akcyzowych między Wiedniem a jego przedmieściami, nadewszystko zaś znakomite podniesienie dochodów państwa za pomocą ceł i podatków spożywczych i usunięcie chronicznego deficytu, pomimo znacznego wzrostu wydatków, zwłaszcza wojskowych, oto najgłówniejsze rezultaty działalności p. Dunajewskiego, jako ministra skarbu, któréj nie odmawiają zasłużonego uznania liczni przeciwnicy jego, a z małemi wyjątkami nawet nienawistne mu dzienniki lewicy niemieckiéj.

P. Dunajewski jednak, prócz tego, że z pomiędzy austryackich ministrów skarbu był jednym z najdzielniejszych, a z pewnością najszczęśliwszym, był jeszcze wybitnym mężem politycznym, był jedynym, który w ministeryum hr. Taaffego przedstawiał jasno określone i stanowcze przekonania polityczne i nadawał temu ministeryum wyraźną barwę w kierunku, sprzyjającym samorządowi krajów koronnych i narodowościom słowiańskim W Galicyi miano kilkakrotnie ciężki żal do p. Dunajewskiego, mianowicie z powodu podatku od nafty i dwukrotnego, ostatnim razem nader znacznego, podwyższenia podatku od wódki. Ministrowi skarbu łatwiéj, niż komu innemu, na takie żale zasłużyć, a dłużéj zostają one w pamięci, niż przysługi dodatnie, np. ta, którą p. Dunajewski zaznaczył początek swego ministerstwa, kiedy to zniżył blisko o milion projektowaną dla Galicyi kwotę nowego podatku gruntowego, nadmiernie wyśrubowaną przez poprzednika. Mimo to, w kraju opinia publiczna bez różnicy odcieni, pominąwszy tylko całkiem odosobnione głosy radykalne, oceniła należycie, jakiém było polityczne znaczenie d-ra Dunajewskiego dla kraju i dla dążeń autonomicznych w państwie, i ile pod tym względem kraj stracił na jego ustąpieniu. Zarazem poczytano mu to za zasługę, iż ustąpił, obstając przy zasadach politycznych, których bronił zawsze, jako poseł i jako minister, i zyskał tém nowy powód do uznania i szacunku, nawet u przeciwników.

Ustąpienie p. Dunajewskiego oznacza, nikt o tém nie wątpi, zmianę programu rządowego w polityce wewnętrznéj, lecz jaki ma być ten program, na jakich stronnictwach, czy téż odcieniach parlamentarnych, rząd myśli teraz opierać się stale, lub czasowo, pozostaje dotąd niepewnėm i wyjaśni się chyba dopiero po otwarciu rady państwa w pierwszéj połowie Kwietnia. Owa niepewność co do dalszego kierunku polityki wewnętrznéj potęguje się przez to, że, jak to już przewidywano od dłuższego czasu, stronnictwo lewicy niemieckiéj wychodzi obecnie z wyborów do rady państwa, uszczuplone prze-

dewszystkiém na rzecz antysemitów i partyi klerykalnéj, zatém liczebnie mniéj zdolne do udziału w rządzie, niż przedtém, podczas gdy dotychczasowa zbiorowa większość (prawica) osłabioną będzie przez ubytek Staroczechów niemal zupełny i przez niepewne, dzisiejszemu rządowi jednak raczéj przeciwne, polityczne stanowisko partyi młodoczeskiéj, która zajęła ich miejsce. W takiém położeniu szczególnie ważna rola przypadnie posłom polskim i ruskim, którzy, o ile wnosić trzeba z dotychczasowych oświadczeń, w sprawach ogólnéj polityki iść będą łącznie, a stanowić będą wraz z głosami, które z Bukowiny i ze Szląska do nich się przyłączą, zastęp, liczący co najmniéj sześćdziesiąt i sześć głosów. O tém, iżby ten zastęp wprost wszedł w sojusz z lewicą niemiecką, niéma mowy, pomijając nawet okoliczność, że sojusz taki nie stanowiłby większości; natomiast najprawdopodobniejszém jest porozumienie z frakcyą autonomiczną hr. Hohenwarta i z konserwatywnymi posłami większéj własności, a niewykluczoném traktowanie tych połączonych grup z lewicą, celem utorowania na razie pewnego porozumienia czasowego, któreby mogło prowadzić skutecznie pracę nad zaspokojeniem najważniejszych potrzeb państwowych i społecznych, nie tykając sporów narodowościowych.

Wybory do rady państwa, które pod wpływem opisanego tu położenia politycznego odbyły się w Galicyi z początkiem Marca, poprzedzone były okresem agitacyi wyborczéj bardzo krótkim, w porównaniu z wyborami dawniejszemi. Jest to zwłaszcza w naszych stosunkach korzystném, gdyż im dłużéj trwa agitacya wyborcza, tém więcéj nastręcza się sposobności do rozdziału i waśni pomiędzy tymi których zgodna praca około miejscowych celów społecznych jest niezbędnie potrzebną, i tém więcéj zamącają się wyobrażenia o znaczeniu owych walk u tych, którzy nie dorośli jeszcze umysłowo do zrozumienia politycznych różnic i haseł.

Nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły akcyi wyborczéj i rozbierać różnice poglądów, które były podstawą do grupowania się wyborców. O ile te różnice nie miały cechy narodowéj, nie były one wogóle zasadniczemi, chociaż za takie chciano je wydawać. W szczególności nie można przyznać, żeby o kwestyę zasadniczą chodziło tym, którzy wywieszali w walce wyborczéj sztandar demokracyi, gdyż w państwie, w którém podstawą urządzeń publicznych jest równość obowiązków i praw dla wszystkich, sztandar ten jest prostym anachronizmem. Uważam za nierównie ważniejsze wskazać pokrótce na znaczące objawy, które agitacya wyborcza wyprowadziła na widownię z głębi społeczeństwa, gdzie urabiają się zwolna przyszłe kierunki życia społecznego.

Pierwszym takim objawem, odpowiadającym niewątpliwie usposobieniu najszerszych warstw naszego społeczeństwa, jest złagodnienie sporów narodowych w obrębie naszéj prowincyi, na co obecne wybory w niejednym względzie dostarczyły dowodów. Ze względu na to, że to dopiero początki odmiennego stanu rzeczy, nie byłoby może stosowném więcéj dziś nad tém się rozpisywać. Dalszym faktem znaczącym jest wzrastające pośród ludności wiejskiéj, mianowicie w zachodniéj części kraju, zrozumienie spraw publicznych i zainteresowanie się temi sprawami. Jest to owoc nieustających usiłowań urzędowych i prywatnych na polu oświaty ludowéj, od lat już blisko dwudziestu na coraz rozleglejszą skalę podejmowanych, a zarazem owoc praktyki życia publicznego w samorządzie gminnym i powiatowym. Tém ważniejszém staje się dziś zadaniem dbać o to, aby ta ludność, któréj nauka czytania i pisania otwiera wrota do życia umysłowego, a tém samém do szerszego i bardziéj świadomego rzeczy udziału w życiu publiczném, otrzymywała, w zastosowanéj do jéj potrzeb literaturze peryodycznéj i książkowéj, pokarm zdrowy, na zasadach religijno-moralnych oparty, któryby prowadził tę ludność do coraz jaśniejszego zrozumienia spraw publicznych. Niemniéj ważném jest téż, aby ludzie z klas wykształconych, żyjący wśród ludności wiejskiéj w miasteczkach i po wsiach, nie wytaczali przed nią swoich politycznych i łączących się z niemi osobistych zatargów i nie podkopywali nawzajem wpływu, którego jedynie w interesie wspólnych zadań publicznego dobra używać powinni. Niestety, w tym ostatnim kierunku niejednokrotnie u nas grzeszono właśnie przy agitacyi wyborczéj, a przedewszystkiém ze strony tych, którzy demokracyę i postęp wyłącznie dla siebie reklamują, a zadania społeczne, nad któremi od ćwierci wieku pracują wszystkie odcienie bez różnicy, tak w sejmie, jak w delegacyi galicyjskiéj do rady państwa, ogłosili za swój specyalny program. Dodać jednak trzeba, że usiłowania, z téj strony podejmowane, nie odniosły skutku. Będą one wszakże przestrogą dla tych, którzy z ludem w ciągłéj żyją styczności, że to życie nakłada na nich obowiązki społeczne, które w czasach wolnych od akcyi politycznéj usilnie i wytrwale a rozumnie spełniać trzeba.

Jeszcze jedną charakterystyczną cechę obecnych wyborów wypada mi podnieść. Ruch antysemicki, który w kilku krajach austryackich, szczególnie zaś w samym Wiedniu, trafił na grunt wielce sprzyjający i tak bujnie się na nim rozwinął, iż w czasach obecnych wyborów stanowił tam niemal wyłączne tło walki wyborczéj i dostarczył znacznéj liczby posłów, przyznających się do tego kierunku, znalazł tym razem pewien odgłos i w Galicyi. Kraj nasz, liczący przeszło 11% ludności żydowskiéj, uchronił się był dotąd od wyznaniowego

i społecznego antysemityzmu, a chociaż Galicya pierwsza dała pochop do nowszego ruchu w ustawodawstwie na polu walki przeciw lichwie i rozpajaniu ludności, i wydane dla niéj, na wniosek sejmu galicyjskiego, ustawy z r. 1877 stały się wzorem dla innych krajów, to unikano starannie nadania téj walce cechy wyznaniowéj, względnie rasowéj. Zwalczano wyzyskiwanie, bez względu na to, od kogo ono wychodziło. Przy wyborach do rad gminnych, w których do roku 1869 istniały ograniczenia dla żydów w tym względzie, że naczelnik gminy i przynajmniéj połowa radnych musieli być wyznania chrześciańskiego, agitacya nieraz przybierała cechę wyznaniową, jednak były to przemijające objawy lokalnego znaczenia; natomiast zaś wybory do sejmu, w którym na 151 członków zasiada tylko czterech żydów, i wybory do rady państwa, w których zasiadało dotąd trzech żydów na 63 posłów z Galicyi, nie wykazywały nigdy ani śladu agitacyi antyżydowskiéj. Przy obecnych wyborach do rady państwa wystąpiły w pięciu okręgach miejskich (okręgów miejskich jest ogółem jedenaście) kandydatury żydowskie, jednakże tylko w jednym okręgu, który składają miasta Kołomyja, Śniatyn i Buczacz, przyszło do bardzo zaciętéj, z naruszeniem porządku publicznego połączonéj, walki na tle wyznaniowém między zwolennikami dotychczasowego posła, rabina starowiercy, Blocha z Florisdorfu pod Wiedniem, który został wybrany, a kandydatem połączonych chrześcian, hr. Edmundem Starzeńskim, który o kilkadziesiąt głosów mniéj uzyskał. Także w okręgu miejskim Tarnów-Bochnia, w walce między dr. Rechowskim, dotychczasowym posłem, który ponownie został wybrany, a dr. Goldhamerem, wystąpiła, choć w nierównie łagodniejszym stopniu, cecha wyznaniowa. W obu wypadkach tylko niewłaściwe zachowanie się ludności żydowskiéj stało się powodem, że walka wyborcza ową cechę przybrała i niéma powodu obawiać się, żeby wskutek tych wypadków zaczął się u nas rozszerzać antysemityzm, jaki widzimy w niektórych krajach austryackich; wszakże wypadki te winny służyć za przestrogę i za wskazówkę, że antysemityzm mógłby znaleźć przystęp, zwłaszcza do ludności rzemieślniczéj, że zatém z całą usilnością należy wpływać na podniesienie mas żydowskich pod względem moralności i oświaty, w czém upatruję środek zaradczy najskuteczniejszy, bo uchylający punkt wyjścia agitacyi antysemickiéj.

Nad tym przedmiotem obradowała w roku zeszłym konferencya, z inicyatywy wybitniejszych osobistości wyznania żydowskiego zwołana przez byłego marszałka krajowego, hr. Jana Tarnowskiego. W tym też kierunku ma działać fundacya barona Hirscha, celem utrzymywania szkół rolniczych i przemysłowych dla żydów w Galicyi, do których-to szkół także i chrześcianie w $^1/_4$ będą mieli przy-

stęp. Do tego przedmiotu zastrzegam sobie powrócić jeszcze innym razem.

Z innych spraw publicznych chcę wspomnieć o pracach nad poprawą stanu nauki w naszych szkołach średnich. Kiedy lat temu dwadzieścia trzy, język niemiecki, jako wykładowy, usunięty został z gimnazyów i szkół realnych w Galicyi (z wyjątkiem jednego gimnazyum we Lwowie i gimnazyum w Brodach), pozostawiono w nich system nauczania nietkniętym, a książki polskie i ruskie, jakie wprowadzono, były bądź tłómaczeniami z niemieckiego, bądź ułożonemi na wzór podręczników niemieckich. Potrzebę przystosowania sposobu nauczania i książek szkolnych do odmiennych warunków i potrzeb społeczeństwa podnoszono kilkakrotnie w sejmie krajowym, a Akademia umiejętności przeprowadziła, temu blisko lat dziesięć, rozległe studya nad reformą nauki w szkołach średnich, przy udziale licznych współpracowników z po-za jéj grona. Jednakże trudności kompetencyjne i brak inicyatywy w kołach decydujących wstrzymywały od podjęcia akcyi urzędowéj na tém polu. Dopiero za obecnego namiestnika, hr. Badeniego, który nadzwyczaj żywo interesuje się wszystkiemi sprawami szkolnemi, rozpoczęły się prace nad ułożeniem nowych podręczników i zmianą planów nauki, któremi-to pracami kieruje od jesieni wice-prezydent rady szkolnéj krajowéj, dr. Bobrzyński. Przy udziale profesorów obu uniwersytetów krajowych i najlepszych sił z grona nauczycieli szkół średnich, powołanych w tym celu z całego kraju, odbywają się narady nad planami nauki i nad ułożeniem podręczników, po kolei dla wszystkich przedmiotów nauki. Praca ta, bez rozgłosu, ale wytrwale prowadzona i umiejętnie kierowana, stanie się podstawą dla dalszego rozwoju naszych szkół średnich, a tém samém dla podniesienia ogólnego poziomu wykształcenia w naszém społeczeństwie, z równoczesném przystosowaniem do jego szczegółowych stosunków i potrzeb.

Uniwersytet lwowski w niedługim czasie doczeka się uzupełnienia przez otwarcie wydziału lekarskiego. W najbliższym już czasie wyjdzie cesarskie postanowienie, które zarządzi stopniowe zaprowadzenie tego wydziału, po wybudowaniu, niezbędnych zaraz z początku, zakładów dla anatomii i fizyologii. Wykłady z tych przedmiotów, tudzież z hygieny, odbywają się już od paru lat na uniwersytecie, przyłączone tymczasowo do wydziału filozoficznego; jednakże, dla braku odpowiednich zakładów i pracowni, nie mogą być szerzéj rozwinięte, tak, jak tego dla studyum medycznego potrzeba. Zaprowadzenie wydziału lekarskiego we Lwowie ułatwioném będzie przez ofiarność miasta Lwowa, które zobowiązało się dać ze swéj strony na ten cel 30,000 złr. w gotówce i obszerny grunt miejski, a gdy ten grunt

okazał się nieprzydatnym, postanowiło na zakupno gruntu dać jeszcze 20,000 zł. Również i kraj znaczniejsze poniesie ofiary, albowiem wydział krajowy postanowił przedstawić sejmowi wniosek rozszerzenia domu dla położnic, którego budowa niebawem się rozpocznie, tak, aby można w nim pomieścić klinikę ginekologiczną, tudzież dalszy wniosek przyjęcia na fundusz krajowy połowy kosztów budowy dwóch klinik, t. j. kliniki chorób wewnętrznych i chirurgicznéj. Wyniesie to razem około ćwierć miliona złr., nie ulega jednak żadnéj wątpliwości, że sejm wniosek ten uchwali i złoży nowy dowód, że konkretne propozycye pożytecznych wydatków inwestycyjnych mogą zawsze liczyć na przyjęcie, pomimo znacznego obciążenia budżetu krajowego. Budowy klinik nie opóźnią otwarcia wydziału lekarskiego, ponieważ kliniki potrzebne są dopiero dla ostatnich lat studyum medycznego. Wydział krajowy zgodził się nadto na wszelkie ułatwienia przy określaniu stosunku kliniki i prosektoryum do szpitala krajowego.

Uniwersytet lwowski, którego dotychczasowe pomieszczenie jest nader niedostateczne, zyska w tym roku piękny gmach, przeznaczony na instytut chemiczny i instytut mineralogiczny. Gmach ten, wzniesiony na gruncie ogrodu botanicznego, w jesieni zostanie oddany do użytku, wskutek czego w budynku głównym wygodniéj pomieszczą się inne instytuty naukowe i wykłady.

Pisząc obecnie o uniwersytecie lwowskim, niepodobna nie wspomnieć o jego nekrologii, w ostatnich czasach niestety zbyt obfitéj. Od Grudnia roku zeszłego stracił uniwersytet przez śmierć jednego profesora emerytowanego, d-ra Maurycego Kabata, i trzech profesorów czynnych: rektora urzędującego w tym roku, d-ra Tomasza Staneckiego, profesora d-ra Aleksandra Ogonowskiego i prof. d-ra Ksawerego Liskego.

Kabat był jednym z najznakomitszych i najbardziéj szanowanych adwokatów lwowskich, który już w starszym wieku objął katedrę procedury cywilnéj przy sposobności zaprowadzenia wykładów w języku polskim, a pomimo, że krok ten był z jego strony znaczną ofiarą pod każdym względem, oddał się przyjętemu obowiązkowi z zapałem i obok wykładów także pracami naukowemi zaznaczył swoją działalność. Brał też udział w życiu polityczném, posłując przez szereg lat na sejm i do rady państwa, gdzie należał do najbliższych zwolenników Ziemiałkowskiego.

Drugi z rzędu pracownik, Ogonowski, Rusin, wykładał prawo cywilne w języku ruskim. Ceniony przez wszystkich, którzy go znali, dla zalet charakteru i wytrwałéj pracy, któréj owocem są dwie obszerniejsze prace w języku niemieckim, zmarły, jakkolwiek cichego i skromnego usposobienia, zajmował wybitne miejsce wśród ruskiego

społeczeństwa, jako prezes, lub wydziałowy licznych stowarzyszeń i zakładów. W najnowszym zwrocie, jaki nastąpił w stosunku obu narodowości krajowych, żywy i dodatni miał udział, jednakże choroba sercowa krępowała już jego działalność i nie dozwoliła mu wystąpić na arenie politycznéj.

Rektor Stanecki, profesor fizyki experymentalnéj, był przez długie lata nauczycielem gimnazyum, cenionym przez uczniów, kolegów i przełożonych. Powołany został na katedrę uniwersytecką zbyt późno, ażeby mógł na niéj zaznaczyć swoją działalność pracami naukowemi, do których usposabiały go wrodzone zdolności i szczera miłość nauki.

U.

NOWY FENOMEN LITERACKI.

(MAURYCY MAETERLINCK I DEKADENTYZM SYMBOLICZNY).

Nietylko u nas, ale i tam, gdzie to zjawisko powstało — we Francyi—nie wiedziano nic do niedawna o „dekadentach“. Jak o wolnomularzach, podawano sobie wieści o tym spisku literackim, podziemnym i nie szukającym rozgłosu, o téj kuźni, z któréj wyjść miały zbroje rycerzy nowego Odrodzenia. Ale oto wyszedł już z ukrycia pierwszy legion, liczniejszy niż można było się spodziewać; wystąpiło po za granicami Francyi wojsko posiłkowe belgijskie i stanął na jego czele Maurycy Maeterlinck, którego nazwisko rozniosła po Europie fanfara dziennikarska [1]). Rozgłos ten jest rzeczywiście wypadkiem w rozwoju dekadentyzmu. Sekta francuska zamykała się dotychczas w tak tajemniczéj wyłączności, drukowała tak mało egzemplarzy swych produkcyi, że pisać o niéj, i to po za granicami Francyi — nie było warto. Zgrupowani około paru pism peryodycznych [2]), zasklepieni w swych haszyszowo-literackich klubach, dekadenci dla własnego

[1]) Pierwsze hasło pod koniec roku przeszłego dał Oktawiusz Mirbau, który odrazu zrównał Maeterlincka z Szekspirem. Ogłaszały ten wynalazek liczne dzienniki francuzkie i niemieckie, między innemi „Neuê Freie Presse“. Wstrzemięźliwsze nieco echa odbiły się i w naszych pismach codziennych i tygodniowych.

[2]) „Décadent“, „Chat Noir“, „Scapin“.

tylko użytku wyrabiali wiersze. Kiedy jednak ferment ten przeniknął do Belgii i namnożył tam adeptów, kiedy z pomiędzy tych ostatnich nazwisko Maeterlincka wtargnęło na widownię europejską, podawane z redakcyi do redakcyi, jako fenomenalne i pierwszorzędne, cały kierunek zwraca na siebie uwagę, przybiera znaczenie i rozmiary szkoły. Już i dekadenci francuscy dopominają się o swe zasługi dla literatury, a rozgłos ich i liczba dzieł coraz bardziéj rośnie [1]).

Biorąc więc za główny przedmiot niniejszego obrazu Maurycego Maeterlincka, postaramy się również wykazać na nim ogólne cechy całéj szkoły, a więc doprowadzić czytelnika do źródeł tego prądu, zapoznać z mało u nas czytanym poprzednikiem i naczelnymi przedstawicielami dekadentyzmu we Francyi.

I.

Poprzednikiem tym jest poeta, przez całe bractwo dekadentów za rodzonego uznany ojca—Karol Baudelaire. Rzeczywiście, bez obeznania się z utworami Baudelaire'a niepodobna prawie zrozumieć najnowszych dekadentów - symbolistów, którzy podzielili między sobą i strwonili poczęści bogatą spuściznę wspólnego rodzica.

Tłómacz Edgara Poë, autor „Kwiatów grzechu“ i „Sztucznych rajów“—streszcza w sobie cały ruch literacki, zwany „dekadentyzmem“, ruch, urodzony z gorączki, trawiącéj starą cywilizacyę, chorobliwy już w dziełach Baudelaire'a, a wyrodzony w potworne często kalectwa u jego naśladowców. Poeta ten odłączył się stanowczo i bez wahania prawie od wszelkich szkół literackich, przed nim lub spółcześnie z nim kwitnących: nie jest on realistą w szkolném tego słowa znaczeniu, ani romantykiem, choć ma pewne z romantykami analogie; przynosi oryginalne na sztukę piśmienniczą poglądy i mimowolnie tworzy szkołę. *Mimowolnie*, bo szkoła, która dopiero po jego śmierci (w r. 1867) zaczęła się na niego powoływać,—jest tylko dalekiém echem jego filozofii i estetyki. To téż dekadentyzm Baudelaire'a odróżnić należy od nowszych teoryi tegoż nazwiska.

---

[1]) Ostatnie wiadomości głoszą nawet o zamiarze założenia *teatru symbolicznego* w Paryżu. Paweł Verlaine jest inicyatorem, a w Kwietniu r. b. dane będzie pierwsze przedstawienie próbne. Parę aktów Verlaine'a i Maeterlincka, wiersze Moréasa, Mallarmégo i Du Plessys mają zapełnić program („Figaro“ 31 Marca 1891).

Baudelaire nie wierzy w przyszłość cywilizacyi, a w każdym razie nic go nie obchodzi postęp ani szczęście ludzkości; sądzi natomiast, że w starym, walącym się, a jednak przepysznym gmachu naszego świata, wytworny sybaryta literacki może jeszcze mieszkać wspaniale i prawdziwe wyprawiać sobie uczty. Jak w świecie zmysłowym szukał nerwowych upojeń w haszyszu i opium [1]), tak w literaturze kochał kwiaty o silnéj woni, podlewane krwią zepsutą i oddychające zatrutem powietrzem.

Pessymista do szpiku kości, nie przypuszczał on, żeby człowiek dobrym się urodził, dostrzegał owszem pierwiastek przewrotności na dnie dusz pozornie najczystszych, a przewrotność tę uważał za nieodłączny przymiot natury ludzkiéj, która, według niego, lubuje się w grzechu dla saméj rozkoszy przeciwienia się prawu, bez względu nawet na rozkosz zmysłową i korzyść osobistą. Biograf Baudelaire'a i kolega z „haszyszowego klubu" [2]) Teofil Gautier, zaznacza w autorze „Kwiatów grzechu", obok pessymizmu, jakąś nienawiść do złości i brzydoty ludzkiéj, jakieś „smaganie przewrotności w sobie i w innych";—trudno jednak dopatrzyć się tych cech w utworach Baudelaire'a, którego ulubionéni polem obserwacyi są właśnie wszystkie kapryśne instynkty, nerwowe żądze i zboczenia ludzkiéj natury. Będąc sam chorobliwym wytworem cywilizacyi, B. ani się tego zapiera, ani walczy ze swą dziedziczną czy nabytą chorobą; stwierdza raczéj w sobie wszystkie jéj objawy z pewną smutną lubością, czasem z demoniczną furyą.

Natura to niejednolita: aspiracye idealne znajdziemy w niéj obok rozhukanéj zmysłowości, miłość rycersko-romantyczną obok wyrafinowanéj rozpusty, a nawet przez cyniczne zwątpienie przebija często religijny nastrój, i „w uśpionéni zwierzęciu anioł się przebudza" [3]).

Rozmiłowany w oryginalności naturalnéj i sztucznéj, poeta ten szuka wyjątków i dziwactw w naturze ludzkiéj; wynajduje także styl swój odrębny.

„Naiwność nie jest bynajmniéj cechą XIX-go wieku—mówi Teofil Gautier.—Wiek ten potrzebuje do oddania swych myśli, marzeń i żądań—mowy bardziej złożonéj, niż język, zwany klasycznym. Lite-

---

[1]) Dzieło jego „Les paradis artificiels" osnute jest na wrażeniach, wywoływanych przez użycie haszyszu.

[2]) „Le club des haschichins à l'hôtel Pimodan".

[3]) Baudelaire w wierszu p. t. „L'aube spirituelle":

„Quand chez les débauchés l'aube blanche et vermeille
Entre en société de l'Idéal rongeur,
Par l'opération d'un mystère vengeur
Dans la brute assoupie un Ange se réveille".

ratura podobna jest do dnia: ma ranek, południe, wieczór i noc. Nie sprzeczając się o to, czy mamy przekładać jutrzenkę nad zmrok, należy malować godzinę obecną, nakładając na paletę wszystkie barwy, potrzebne do oddania efektów, które nam godzina ta przynosi... Piewca „Kwiatów grzechu“ kochał się w tém, co niewłaściwie nazywają stylem dekadencyi, a styl ten nie czém innném jest, tylko sztuką, która doszła do najwyższego stopnia dojrzałości, wygrzanéj pochyłemi promieniami słońc, zachodzących nad podstarzałemi cywilizacyami. Styl ten oryginalny, zawiły, kunsztowny, pełen odcieni, wyszukany, rozszerzający ciągle granice mowy, zapożycza wyrażeń ze wszystkich słowników technicznych, bierze barwy ze wszystkich palet, a nuty ze wszystkich instrumentów, usiłuje oddać myśli nawet niemożliwe do wysłowienia i kształty o zarysach mglistych i nieokreślonych, wysłuchuje subtelnych zwierzeń newrozy, wyznań podstarzałéj namiętności, która w rozpustę się przeradza, i dziwacznych przywidzeń, graniczących z szaleństwem. Ten styl dekadencyi jest ostatnim wyrazem Słowa, zmuszonego wszystko wypowiedzieć, wysilonego do ostateczności. Przychodzi tu na myśl ów język wschodniego państwa rzymskiego, pocentkowany zielonościami rozkładu i już trochę cuchnący (marbrée déjà des verdeurs de la décomposition et comme faisandée), owa wyrafinowana wytworność szkoły byzantyjskiéj, ostatniéj formy sztuki greckiéj, rozpływającéj się w zgniliźnie. A jednak taką winna być nieuchronnie mowa ludów i cywilizacyi, u których sztuczne życie zastąpiło naturalne i wyrobiło w człowieku nieznane mu dotąd potrzeby“ [1]).

Wymowna ta definicya, wypowiedziana już w r. 1868, określa bardzo trafnie styl Baudelaire'a, a dla nas jest tém ciekawszą, że zawróciła w głowie wszystkim epigonom ciemnego poety, którzy chwycili się owego wynalazku formy i stosować go zaczęli według miary swoich talentów. Pogoń za oryginalnością, za nowém wrażeniem—jest jedną z twórczych pobudek Baudelaire'a; niemałą téż nagrodą dla autora „Kwiatów grzechu“ była zapewne pochwała Wiktora Hugo: „Uposażyłeś niebo sztuki grobowym jakimś promieniem; stworzyłeś *dreszcz nowy!*“

Obok tych niebezpiecznych poglądów na świat i sztukę, znajdziemy jednak u Baudelaire'a wyższe aspiracye, równie w niektórych utworach poetyckich, jak i w teoretycznych rozprawach. Kochając „sztukę dla sztuki“, B. nie posuwa się jednak do krańcowego rozwinięcia téj zasady estetycznéj. Za twórczą pobudkę uważa on wewnętrzną potrzebę tworzenia. Nie idzie za tém, żeby

1) T. Gautier—życiorys Baudelaire'a.

poezya nie miała wartości moralizującéj przez wzniesienie człowieka nad poziom pospolitych potrzeb—owszem—tak działa każde wielkie dzieło sztuki; jeżeli jednak poeta założy sobie cel moralny, przez to samo zmniejszy siłę swą poetycką i nadweręży wartość dzieła sztuki. Poezya nie może identyfikować się z nauką i moralnością. Postawiwszy tym sposobem poezyę na stanowisku niezależném, B. daje jéj za jedyny przedmiot piękno, piękno życiowe, którego pojęcie dzieli między sobą najzapalczywiéj rozmaite szkoły literackie. Tutaj (w teoryi szczególnie) skłania się B. wyraźnie ku idealizowaniu natury. „Przedziwne to, nieśmiertelne przeczucie piękna,—mówi on,—każe nam uważać ziemię i jéj zjawiska jako podobieństwo Nieba (une correspondance du Ciel). Nienasycone pragnienie tego, co jest ponad nami, co przesłonione jest życiem — to najlepszy dowód naszéj nieśmiertelności. Za pomocą poezyi i muzyki, przez przezrocza poezyi i muzyki dostrzega dusza wspaniałości, znajdujących się po za grobem. A kiedy wyborny poemat łzy nam z oczu wyciska, łzy te nie są dowodem nadmiaru rozkoszy, są przedewszystkiém świadectwem tęsknoty podrażnionéj, porywów nerwowych natury, skazanéj na niedoskonałości, a która chciałaby posiąść już na ziemi raj objawiony. A więc zasadą poezyi jest, mówiąc poprostu i ściśle, dążność człowieka do wyższego piękna i t. d...“

Takie pojęcie teoryi nie zawsze odpowiada charakterowi poezyi Baudelaire'a, która często zanurza się w gorączkowe wizye, a czasem w absolutną brzydotę. Choćbyśmy nawet próbowali wytłómaczyć to zjawisko pociągiem magnetycznym, jaki wywiera wyrafinowane zepsucie na natury bardzo wrażliwe,—pozostanie zawsze pewien rozdźwięk w dziele tego poety, który pierwszy swój zbiór wierszy tak trafném oznaczył mianem: „Spleen et Idéal“.

„Kwiaty grzechu“, „Sztuczne raje“ haszyszowe, „Spleen i ideał!“ Cały prawie poeta streszczony jest w wybornych tych nagłówkach na dzieła, których szczegółowy rozbiór nie leży w zakresie naszego obrazu. Jeżeli jednak szkicowy ten zarys nie odtwarza całkowitéj poetyckiéj fizyognomii Baudelaire'a, wystarczy do odcieniowania wielkiego poety od rzeszy jego potomków.

Cóż Baudelaire winien, że kilkudziesięciu młodych poetów podążyło za nim i po ciemnych jego drogach błądzi teraz, często w bok się rzucając na wązkie i niedostępne dla sztuki ścieżki? Autor „Kwiatów grzechu“ o prozelitów się nie starał, a za swych pośmiertnych naśladowców nie może odpowiadać. To tylko pewna, że przekazując swą spuściznę literaturze, dał ją téż w ręce i literatom, a ci nie przyczynili się bynajmniéj do okolenia aureolą nazwiska mistrza.

Nader powierzchownie pojęli Baudelaire'a dekadenci-symboliści [1]), z których żaden dotychczas nie dorósł go talentem. Znaleźli oni tylko punkt oparcia w chorobliwéj, ale jasno zformułowanéj, filozofii i estetyce, przyjęli je *in verba magistri*, jako odpowiednie swym upodobaniom, a postarali się głównie o danie nowego *wyrazu* swym mglistym aspiracyom poetycznym.

Najrozmaitsze powstały próby odrodzenia poezyi przez dekadentyzm symboliczny, a usiłowania te krążą głównie około wynalazku nowéj formy dla oddania lirycznego nastroju, na który tylko Niemcy posiadają odpowiednią nazwę: „*Stimmung*".

Kiedy poeta opisze noc księżycową wyrazistym wierszem, da nam przez to samo dokładny obraz, a, mówiąc właściwiéj, obudzi intelektualne pojęcie podobnéj nocy. Temu sposobowi opisowemu przychodzi w pomoc czysto liryczny sposób wywoływania wrażeń, nastrojów, stanów duszy, jakie noc księżycowa zwykła z sobą przynosić. Poeta może wspomniéć jedném tylko słowem o nocy i o księżycu, a natomiast szeregiem zdań, obrazów i akcesoryów analogicznych spotęgować wrażenie i obudzić w słuchaczu fizyczny prawie, nocny i księżycowy nastrój. Wtedy słowa i okresy nabierają przenośnego, symbolicznego znaczenia i działają niejako pośrednio na umysł słuchacza.

Z drobnego przykładu możnaby tę poezyę „nastrojową" rozwinąć i wykazać jéj pierwiastki w największych dziełach sztuki. Znajdziemy ją w niektórych scenach „Hamleta", równie jak w lirycznych wierszach Słowackiego i Heinego; możemy nawet, subtylizując nieco, dojść do teoryi, że ta „nastrojowość" nieodłączna jest od istoty liryki. Ale daleko jeszcze ztąd do twierdzenia, jakoby ta cecha stanowiła jedyną wartość i istotę poezyi. A przecież takiém się wydaje ogólnie zdanie nowéj szkoły, wzorującéj się na dziełach Baudelaire'a, który już tę strunę naprężył do krańcowych wysileń. Gdzież jest granica, do któréj dojść wolno? na to pytanie odpowie ten chyba, kto jasno wytknie linię graniczną między kolorytem a bezładną jaskrawością, między subtelnością a zawiłością, między geniuszem a szaleństwem.

Nad wynalezieniem najodpowiedniejszéj formy poezyi „nastrojowéj" pracuje cała szkoła dekadentów. Jest to formalny konkurs, z którego wyszły już liczne, przez adeptów uwieńczone, pomysły. Naj-

---

[1]) Zwali się oni zrazu „décadents", „déliquescents", późniéj „symbolistes". Tytułu „incohérents" nie wszyscy chcą przyjąć, również jak przydomku „poètes maudits". Mimo liczne indywidualne odmiany, zwać ich będziemy ogólnie „dekadentami", dla braku ustalonéj i lepiéj charakteryzującéj nazwy.

większém uznaniem u dekadentów cieszy się następująca estetyczna teorya René Ghila, zawarta w dziełku p. t. „*Traktat o Słowie*“:

„Dla stworzenia dzieła sztuki jednolitego i brzemiennego symbolami, w jedną poezyę instrumentalną, gdzie nutami są słowa, połączyć i zmieszać poezye: wymowną, plastyczną, malarską i muzykalną, a wszystkie jak się zdarzy: oto moje marzenie!“ [1]).

Sztuka nie jest, według téj teoryi, odtwarzaniem ani przetwarzaniem natury; winna tylko za pomocą *symbolów* wywoływać wrażenia i „stany duszy“, a sposobem do osiągnięcia tego celu jest tak zwana *instrumentacya poetycka*. Ta zaś polega na wyszukaniu odpowiedniości między głoskami a barwami, między barwami a dźwiękami instrumentów muzycznych, między temi ostatniemi wreszcie, a uczuciami i „stanami duszy“. Wszystkie te rozmaite i z odrębnych szeregów wzięte pojęcia brać należy jedne zamiast drugich, według chwilowego natchnienia, dla wywołania symbolicznych obrazów i efektów stylowych. Rodzą się ztąd wcale niespodziewane zestawienia pojęć. Naprzykład samogłoski wywołują tak regularnie wrażenia pewnych kolorów, że A jest zawsze czarne, E białe, I błękitne, O czerwone, a U żółte; barwne zaś te litery odpowiadają po kolei dźwiękom: organów, arf, skrzypiec, trąb i fletów [2]).

Że teorya ta nie jest odosobnionym pomysłem R. Ghila, dowodzi sonet kolegi jego i współwyznawcy, Artura Rimbaud, p. t.

SAMOGŁOSKI.

A czarne, E białe, I czerwone, U zielone, O błękitne, samogłoski,
Powiem ja kiedyś wasze skryte pochodzenie.
A—czarny kosmaty gorset much błyszczących,
Które brzęczą wokoło srogich smrodliwości,

Zatoki cieniów; E—prostota tumanów, namiotów,
Strzały lodowców dumnych, króle białe, dreszcze baldaszków;
I—purpura, krew plwana, śmiech ust pięknych
W gniewie albo w pokutném upojeniu;

U—cykle, boskie drgania zielonego morza,
Spokój pastwisk usianych bydłem, spokój zmarszczek,
Które alchemia kładzie na badaczów czoła;

---

[1]) René Ghil—„Traité du Verbe“.—Paris 1887 str. 36: „Pour une oeuvre une et de symboles grosse, en une Poésie instrumentale, où sont des mots les notes, unir et perdre les poésies eloquente, plastique, picturale et musicale, toutes encore au hasard: c'est mon rêve“.

[2]) Tamże—str. 44.

O—najwyższa fanfara, pełna dziwnych zgrzytów,
Milczenia, przenikane przez Światy, Anioły;
O—omega—Jéj Oczu promień fioletowy! [1]).

Zostawiając nie rozstrzygniętą kwestyę, kto właściwiéj zabarwia samogłoski—(bo może czytelnik zauważył, że Ghil uważa O za czerwone, podczas gdy Rimbaud *objaśnia* tegoż O błękitność),—nie wahamy się zaliczyć prozy Ghila i teoretycznego sonetu Rimbauda do téj saméj kategoryi zboczeń nerwowo-umysłowych. Poeta jaskrawiéj tylko jeszcze uwydatnia wartość wynalazku estetyka-dekadenta.

W dziełku Ghila spotykamy się także z typowym okazem prozy dekadentów, którzy, między innemi reformatorskiemi zachciankami, mają téż sobie za posłannictwo gruntowne przerobienie francuskiego języka. Wyżéj przytoczony ustęp może już dać wyobrażenie, o ile język ten odbiega od znanych prawideł francuskiéj składni: jakieś zamiłowanie do nieautentycznego archaizmu, z usiłowaniem zwięzłości połączone, każe autorowi budować zdania na wywrót, opuszczać podmioty i orzeczenia, wytwarzać nowe wyrazy, a unikać najdosadniejszych i właściwych. Tego literackiego „Volapücku“ uczyć się dopiero potrzeba, tak jak naprzód należy poznać teoryę estetyczną, lo-

---

[1]) Oczywiście ten zbiór wyrazów, mających się zlewać w jakąś analogiczną harmonię, po polsku nie ma sensu. Może jednak teorya „instrumentacyi poetyckiéj" stosuje się tylko do języka francuzkiego?—prosimy zatém o sprawdzenie jéj na tekście oryginalnym:

VOYELLES.

A noir, E blanc, I rouge, U vert, O bleu, voyelles,
Je dirai quelque jour vos naissances latentes.
A, noir corset velu de mouches éclatantes
Qui bombillent autour des puanteurs cruelles,

Golfes d'ombre; E, candeur des vapeurs et des tentes,
Lances des glaciers fiers, rois blancs, frissons d'ombelles;
I—pourpre, sang craché, rire des lèvres belles
Dans la colère ou les ivresses pénitentes;

U, cycles, vibrements divins des mers virides,
Paix des pâtis semés d'animaux, paix des rides
Que l'alchimie imprime aux grands fronts studieux;

O, suprême Clairon plein de strideurs étranges,
Silences traversés des Mondes et des Anges;
O — l'Oméga, rayon violet de Ses Yeux!

gikę specyalną i inne maksymy sekty dekadentów, zanim się dojdzie do częściowego zrozumienia ich utworów.

Poszukiwania nowych form językowych i stylowych rozwinięte już zostały w rozmaitych kierunkach. Każdy niemal dekadent dorzuca do wspólnéj skarbnicy jakiś mniéj lub więcéj przez współbraci ceniony i naśladowany przyczynek do reformy języka. *Jan Moréas* w świeżo wydanym (r. 1891) zbiorze wierszy p. t. *„Namiętny pielgrzym“ (le Pélerin passionné)* próbuje wznowić język i składnię XV i XVI wieku, dodając przytém różne własne nowotwory i techniczne wyrazy nowożytne [1]. *Marya Krysińska*, Polka pisząca po francusku, wynajduje w swych *„Malowniczych rytmach“* [2]) nową rzekomo harmonię białych wierszy, któréj zastosowanie znaleźć można nawet w lirycznych utworach Verlaine'a i Maeterlincka. Wszystkie te innowacye przyjmowane bywają zwykle aplauzem w gronie współwyznawców, których téż łączy między sobą godne lepszéj sprawy braterstwo.

W istocie trudno znaleźć książkę, napisaną przez dekadenta, w któréjby nie było powoływań się na powagę jakiegoś nieznanego kolegi po piórze, albo poprostu wzajemnych uwielbień.

Wyżéj cytowany autor „Traktatu o Słowie“ przypisuje naprzykład każdy rozdział swéj książki jednemu z pokrewnych sobie poetów, uosabiających niejako pewne zalety artystyczne w najwyższym stopniu potęgi. Rozdział pierwszy „l'Unité“ poświęcony jest nawet nie poecie, ale jego fikcyi poetyckiéj: „Faunowi Stefana Mallarmé“— za co znów wdzięczny Mallarmé pisze Ghilowi panegiryczny wstęp do „Traktatu o Słowie“.

Podobnie Paweł Verlaine wydaje książkę apologetyczną o sześciu *„potępionych poetach“* [3]), nader ciekawy zbiór krótkich biografii, cytat wybranych i pochwał, które wydają się pisanemi na przekór

---

[1]) Jan Moréas, autor słynnych „Cantilènes" (1886 r.).

[2]) „Rythmes pittoresques Mirages-Symboles-Femmes-Contes—Résurrections''. Paris—Alph. Lemerre 1890.—J. H. Rosny objaśnia w przedmowie do tomu, że pani Krysińska była pierwszą, która „stworzyła nową muzykalność słowa nie śpiewanego". Białe jéj wiersze, wydawane już od r. 1882 w dzienniku „l'Evènement" i „Chat noir", a obecnie w tom zebrane, nie zachowując rytmu, ani rymu, odznaczają się jednak śpiewną jakąś nieregularną prozodyą. Liczne dzienniki francuskie („La Presse", „Chat noir", „l'Evènement", „l'Eclair", „Observateur Français" etc.) dały pochlebne, a niektóre nawet entuzyastyczne recenzye o „Malowniczych rytmach".

[3]) Paul Verlaine „Les poètes maudits" Paris L. Vanier 1888. (Tristan Corbière, Arthur Rimbaud, Stéphane Mallarmé, Marceline Desborde-Valmore, Villiers de l'Isle-Adam, Pauvre Lelian).

wszelkim pojęciom rozsądku i smaku. Oto np. jego zdanie o Arturze Rimbaud:

„Mieliśmy szczęście znać Artura Rimbaud. Dzisiaj, chociaż okoliczności nas dzielą, nie zbraknie nigdy głębokiego naszego uwielbienia dla jego geniuszu i charakteru".

Za wzór stylu i czystości języka stawiając ów znany nam sonet Rimbauda o „samogłoskach", o którym pozwoliliśmy sobie być wcale innego zdania,—mówi daléj:

„Drwiący i z cicha uszczypliwy (goguenard et pince-sans-rire) jest A. Rimbaud w najwyższym stopniu, pozostając zawsze wielkim poetą, jakim Bóg go stworzył. Na dowód „l'Oraison du soir" i „les Assis", przed którymi paść chyba tylko na kolana!"

Cóż to za „Modlitwa wieczorna"? jacy „Siedzący", przed którymi aż klękać trzeba? Trudna na to odpowiedź czytelnikowi naszemu, bo obu tych utworów, należących już nie do zakazanych owoców, ale do brudów literatury, przytoczyć niepodobna. Wrażenia opiłego bursza, satyryczna wycieczka przeciw bibliotekarzowi, który odmówił młodzikowi jakiejś pornograficznéj książki — oto treść tych wierszy wyuzdanych. Gdyby przynajmniéj do innéj jakiéj okazyi zachował Verlaine swoje dytyramby, które przestają być oburzającemi i nie są nawet śmieszne; wskazują raczéj na symptomata obłędu u autora, zarówno jak u krytyka.

Sekta ta literacka używa też czasem braterskiéj biesiady, jako wyrazu czci dla żyjących mistrzów [1]). Ma także i kult umarłych, duchów pokrewnych w przeszłości, jakby jakichś *dii manes et familiares* dekadentyzmu.

Z gorliwością nieprawych potomków poszukują dekadenci przodków, a odnalazłszy ślady filiacyi, domniemanym ojcom nabożne palą kadzidła. Już to od Baudelaire'a wszyscy oni wywodzą się w prostéj linii, na mocy powierzchownego podobieństwa. Drzewo genealogiczne sięga jednak daléj, w odległe wieki: Ghil cieszy się, że już w XVIII, a nawet XVII wieku, P. Mersenne (1588 — 1648) i Boiste (1765 — 1824) przypisywali pewne stałe własności samogłoskom. Wreszcie Maurycy Maeterlinck wynalazł najodleglejszego antenata symbolistów w osobie Jana Ruysbroecka, ekstatyka flamandzkiego z XIV wieku.

Połączeni w bractwo wzajemnéj adoracyi, odszczepieni reakcyjnie od innych szkół literackich, a przedewszystkiém od kierunku naturalistycznego, zamknięci zrazu w tajemniczéj wyłączności, a obecnie

---

[1]) Np. uczta wydana dla Jana Moréas po ukazaniu się „Namiętnego pielgrzyma", albo głośny bankiet dekadentów, któremu przewodniczyli obecni koryfeusze: Verlaine i Mallarmé.

nawołujący coraz głośniéj do reformy poezyi, mają dekadenci francuscy wszelkie pozory uorganizowanéj jakiejś sekty. Każdy niemal członek téj korporacyi piastuje jakąś godność lub funkcyę specyalną. Jest brat od archaizowania, jest siostra od białych wierszy, są śpiewacy i teoretyczni obrońcy, są wreszcie mistrzowie, którzy streszczają poniekąd całego ducha sekty, jak dzisiejsi przywódcy: *Paweł Verlaine* i *Stefan Mallarmé*.

Oprócz wielu apologicznych biografii, których daliśmy próbkę wyżéj, Verlaine wzbogacił już literaturę dziewięciu tomami poezyi lirycznych. Śpiewak często przyjemny, dekadent z upodobania, w stylu zwykle prosty i jasny, nie troszczy się on o jakieś moralne, albo estetyczne uzasadnienie swéj twórczości. Zdawałoby się, że człowiek ten, pozbawiony wszelkich zasad, zarówno sztuki, jak moralności, ten dziwaczny eklektyk, musi pozostać bez wpływu. A jednak mnogością utworów swoich, udatném naśladowaniem Baudelaire'a, zręczném przyswajaniem sobie wszystkich nowych pomysłów retorycznych i gorącą obroną współbraci dekadentów, do których wyraźnie sam się zalicza, zyskał on sobie mir i zachowanie w Paryżu, a nawet większy od innych współczesnych wywarł wpływ na dekadentyzm symboliczny belgijski. Dziwny zamęt panuje w téj dość jednak zimnéj głowie. Naprzykład w zbiorze wierszy, zatytułowanym „*Mądrość*“ („*Sagesse*“) czytamy następujące zdania, skreślone w r. 1880:

„Autor téj książki nie zawsze myślał tak, jak dzisiaj. Błądził on długo we współczesném zepsuciu, biorąc w niém swój udział grzechu i niewiadomości. Od tego czasu smutki bardzo zasłużone ostrzegły go i Bóg dał mu łaskę pojęcia tego ostrzeżenia. Uchylił on czoła przed długo zapoznanym Ołtarzem, czci Wszech-Dobroć i wzywa Wszech-Potęgi, jako posłuszny syn Kościoła, zasługą pośledni, ale pełen dobréj woli... W pierwszéj młodości, lat temu 10 lub 12, ogłosił autor wiersze sceptyczne i żałośnie lekkie. Spodziewa się jednak, że w niniejszych żaden rozdźwięk nie zgorszy subtelnego katolickiego ucha: byłoby to jego najdroższą chwałą, jako téż najwznioślejszą nadzieją“.

Tom ten jest rzeczywiście złożony z samych wierszowanych wyznań skruszonego grzesznika i z hymnów religijnych. Pod względem wartości poetycznéj nie są to oczywiście psalmy dawidowe, jednak utwór ten, zbudowany na wielkiéj moralnéj podstawie, robi wrażenie pewnéj gotyckiéj, trochę zimnéj, trochę ze starych wzorów kopiowanéj, struktury. Moglibyśmy w szczerość téj książki uwierzyć gdybyśmy nie znali innych dzieł Verlaine'a. Darowawszy autorowi dawniejsze jego „żałośnie lekkie“ wiersze, których się odrzeka (może zbiorku p. t. „*Fêtes galantes*“), nie rozumiemy, jak można

z *„Mądrością"* wydać *„Równolegle"* [1]) inny tom wierszy z r. 1889, nacechowany potworną zmysłowością. Widocznie pokusa była zbyt ponętna i poeta do niéj wrócił, ale nam przynajmniéj niech będzie wolno nie brać na seryo filozoficznych zasad Verlaine'a, który ma na zawołanie już to namaszczenie religijne, już to apetyty pornograficzne.

Przypuścić chyba należy, że autor ten, wpatrzony w pojedyńcze cechy dzieł Baudelaire'a, jak np. w jego tęsknotę za ideałem i zmysłowość, porobił w każdym z tych rodzajów osobne książki i, bogatą duszę poety „Kwiatów grzechu" rozłożywszy w teoretycznéj retorcie na grube czynniki, dał się tylko ulotnić subtelnym pierwiastkom twórczości i poezyi. Chociaż więc i w wyżéj cytowanych i w innych tomach Verlaine'a [2]) odnajdą się tu i ówdzie śpiewne i wyraziste liryczne dźwięki, autor ten przedstawia jednak pomiędzy dekadentami *nieharmonijny* odcień, który dał powód do przezwiska *„incohérent"*, stosowanego niekiedy do całéj szkoły.

Inną zupełnie odmianę mamy w wodzu symbolistów, Stefanie Mallarmé. Jego tłómaczenia Edgara Poë, wiersze wydane z godną podziwu bezinteresownością tylko w paruset fotolitografowanych egzemplarzach, nie zyskały mu takiego rozgłosu, jak krótki poemat, zatytułowany *„Popołudnie Fauna"* (*l'Après-midi d'un faune*), który ukazał się w r. 1887. Ta dziwaczna kreacya wyniosła odrazu Stefana Mallarmé na naczelne stanowisko pomiędzy symbolistami we Francyi. Niéma w tym utworze żadnych prawie konturów, więc, żeby go dać tu poznać, wypadałoby albo przytoczyć go w całości, albo zaznaczyć kilka plam nieokreślonych. Skwar letniego popołudnia, ochłodzony nieco leśnym cieniem; próżnowanie jakieś — zmysłowość niezadowolona;— wyobraźnia nasuwa lubieżne obrazy—pogoń za niemi—zawód—lenistwo senne;—rozkosz upojenia winem.— — Tak chyba streścić można ten poemat, który da się tylko odczuć niewyraźnie, ale nie zrozumiéć. Bo, że faun szuka nimf, dawniéj kiedyś widzianych, a nie znalazłszy, usypia, ssąc winogrona, to nie treść żadna, to nic nie znaczy. Nie myślimy także, aby całość miała jakieś przenośne znaczenie, jest to raczéj jedna z najjaskrawszych prób owego impressyonizmu literackiego, owéj poezyi „nastrojowéj", czy symbolicznéj, na którą choruje cała szkoła. Stylista niepośledni, Mallarmé pociąga słuchacza dźwięczną swoją rymowaną mową i często da nam strofę śliczną, czasem sonet jaki (np. „Placet" pisany do księżnéj X.) kunsztowny, a zupełnie jasny. Ztąd wnosić można, że gdyby mistrz raczył częściéj

---

[1]) *„Parallèlement"*, Paris, L. Vanier, 1889.

[2]) *„Poèmes saturniens"*, *„Jadis et naguère"*, *„Amour"* (wszystkie wydane u L. Vanier).

zrozumiale przemawiać do gminu, byłby, co najmniéj, dobrym rymopisem. Nie śmiemy nazwać kapłana symbolizmu operetkowym augurem, a jednak jego szczerość wydaje się podejrzaną. Jest może szczypta mistyfikacyi w jego dziwacznych natchnieniach, którym umie on, skoro zechce, nadać kształty wyraźne i wytworne.

Wiele-by jeszcze można przesunąć przed oczyma czytelników ekscentrycznych fizygnomii paryskiego klubu dekadentów [1], ale do Belgii pójdziemy szukać najwspanialszego okazu, który, mimo swe odmiany indywidualne i lokalne, wyrósł przecie bezpośrednio ze szczepu, przeniesionego z cieplarni paryskich. Dekadentyzm francuski trafił tu na grunt cięższy. Teorye i posłannictwo swoje reformatorskie traktują Francuzi z właściwą sobie pogodą humoru, z zapalczywością, która czasem blagą trąci, nawet newroza ich jest weselszą. Sumienny i smutny flamand inaczéj pojął ten sam zasadniczy kierunek, rozwija teoryę, szerzéj ją stosuje i tworzy dzieła ponure, niezdrowe, ale potężniejsze. Maurycy Maeterlinck wprowadza dekadentyzm symboliczny z liryki do dramatu, prozę swą poświęca teoretycznéj obronie nowéj estetyki, a rad przytém się powołuje na mistrzów, o których była mowa, nie zaś na swych kolegów belgijskich [2]).

---

[1]) Oprócz wyżéj cytowanych. do tejże grupy należą jeszcze poeci: *Jules Laforgue*, *Stuart Merrill*, *Charles Vignier*, *Noël Loumo*, *Anatole Baju*, i wielu innych.

Odróżnić należy poetów dotkniętych, ale nie zupełnie strawionych manią dekadentyzmu, jak *Maurycy Rollinat*, który swemi cmentarnemi obrazami przypomina raczéj Edgara Poë, albo *Jan Richepin*, skłaniający się ku symbolizmowi, ale przedewszystkiém szukający efektów w brutalności wyrażeń i pomysłów. Inną także odmianę dekadenta mamy w powieściopisarzu *Joséphin Péladan*. Cykl jego powieści pod ogólnym tytułem „La décadence latine“ przedstawia upadek spółczesnéj rasy łacińskiéj, a raczéj najwykwintniejszych jéj sfer w Paryżu. Psychofizyolog ten i idealista zarazem, malując „najwyższe zepsucie“, płacze nad dekadencyą społeczną; z dekadentyzmem literackim wiąże go symbolizm i wyszukanie stylowe, ale umysł to filozoficzny, zdrowszy, tylko w swych obserwacyach skłonny do przesady.

Jak Baudelaire'a niepodobna zaliczać do dekadentów, skoro tém samém mianem oznaczamy teraźniejszych symbolistów, tak téż niesłusznem jest wprowadzanie nazwisk Teofila Gautier i braci Goncourt do téj grupy. Niektóre tylko literacko-krytyczne wskazówki tych znakomitych pisarzów nadały się do użytku dekadentyzmu.

[2]) Jest to znów cały zastęp wyznawców Baudelaire'a, zgrupowany około pisma „*La jeune Belgique*“. Kwintessencya dzieł tych poetów wydana w książce p. t. „*Parnasse de la jeune Belgique*“ (r. 1887). Są to: *Maurycy Warlomont (Max Waller)*, *Iwan Gilkin*, *Karol van Lerbeghe*, *Grzegorz Le Roy* i inni.

II.

Nie ubliżając prześwietnéj palestrze wszelkich czasów i krajów, zauważyć jednak można, że powołanie adwokata rzadko się godzi z powołaniem poety. Obok zalet twórczych i poetyckich, Maeterlinck ma temperament adwokata. Wziął on w klientelę estetyczne recepty dekadentów-symbolistów, broni ich, uzasadnia ich prawo do życia. Tendencya, nie społeczna jakaś, ani filozoficzna, ale szkolno-literacka, tak wyraźnie przegląda przez jego prozę i wiersze, że niepodobna uwierzyć, aby hasło „sztuka dla sztuki", wyznawane w teoryi przez wszystkich stronników nowego kierunku, było u Maeterlincka szczerą zasadą.

Schlebiając wymaganiom przeżytéj i zgorączkowanéj części społeczeństwa, a może idąc za wewnętrznym swoim popędem, Maeterlinck pragnie zadziwić świat czémś niebywałém, stworzyć oryginalną roskosz literacką, któraby zapewniła czytelnikom nieznane wrażenia, a autorowi odrębne w literaturze stanowisko. Nic więc dziwnego, że trzyma się on dekadentyzmu symbolicznego, jako najodpowiedniejszego do tych celów kierunku, ale chce go opanować, ująć w system i ogłosić, jako środek uniwersalny dla odrodzenia sztuki.

Nie zadziwi nas zbiór poezyi lirycznych, zatytułowany „*Cieplarnie*" [1]. Oswoili nas już dekadenci francuscy z temi muzykalno-malarskiemi wierszami, w których „Stimmung" zabija sens, bo przez symbole najśmieléj dobrane myśl zaledwie przegląda. Otwórzmy jednak książkę.

CIEPLARNIA.

O cieplarnio pośrodku lasów!
Twe podwoje na wieki zwarte!
I tyle jest rzeczy pod twą kopułą!
I pod duszą moją analogiczną!

Myśli księżniczki, która głód cierpi,
Nuda żeglarza w pustyni,
Muzyka dęta pod oknami nieuleczalnych.

Idźcie w zakątki najcieplejsze!
Jakby kobieta omdlała w dzień żniwa,

---

[1]) *M. Maeterlinck* „*Serres chaudes*" — Bruxelles, P. Lacomblez, 1890.

Pocztylioni weszli w podwórze szpitalne;
Zdala przechodzi strzelec łosiów, dzisiaj chorych dozorca.

Patrzcie przy świetle księżyca!
(O, nic tu nie jest na swém miejscu!)
Jakby waryatka przed sędziami,
Wojenny okręt o wzdętych żaglach na kanale,
Nocne ptaki na liliach,
Hasło pogrzebu o południu,
(Tam, pod temi dzwonami!)
Przystanek chorych śród łąki,
Zapach eteru w dzień słoneczny.

Boże mój! Boże! kiedyż przyjdą deszcze
I wiatr, i śniegi do cieplarni! [1])

---

[1]) Oryginał przytaczamy. Może jest jakiś niepochwytny dla nas koncert samogłosek we francuskim texcie:

SERRE CHAUDE.

O serre au milieu des forêts!
Et vos portes à jamais closes!
Et tout ce qu'il y a sous votre coupole!
Et sous mon âme en vos analogies!

Les pensées d'une princesse qui a faim,
L'ennui d'un matelot dans le désert,
Une musique de cuivre aux fenêtres des incurables.

Allez aux angles les plus tièdes!
On dirait une femme évanouie un jour de moisson,
Il y a des postillons dans la cour de l'hospice;
Au loin, passe un chasseur d'élans, devenu infirmier.

Examinez au clair de lune!
(Oh rien n'y est à sa place!)
On dirait une folle devant les juges,
Un navire de guerre à pleines voiles sur un canal,
Des oiseaux de nuit sur des lys,
Un glas vers midi,
(Là-bas sous ces cloches!)
Une étape de malades dans la prairie,
Une odeur d'ether un jour de soleil.

Mon Dieu! mon Dieu! quand aurons-nous la pluie,
Et la neige et le vent dans la serre!

Po tym wierszu, położonym na czele tomu, tłómaczy się przynajmniéj bezpośrednio za nim idąca „*Modlitwa*“:

Miéj litość nad nieobecnością
Moją u progu mych zamiarów!
Dusza ma blada od niemocy
I od białego próżnowania. [1])

Rzeczywiście tylko próżniactwo myśli, połączone z anormalnym stanem nerwów, może wydać takie wiersze. Niéma tu mowy o wywołaniu nastroju w czytelniku, skoro autor daje nie pomyślane i na wrażenie obliczone obrazy, ale dźwięki tylko i słowa, które mu przeszły przez gorączkowo rozmarzoną głowę, a których wzajemny stosunek nie da się odtworzyć. Żadnego szkieletu, ani cienia rysunku w tym obrazie, zostawiającym przykre wrażenie nieodgadnionéj, bezładnéj pstrokacizny. Maeterlinck posunął się tu do ostatnich krańców symbolistyki, którą możnaby nazwać *luźną*, gdyż nici analogiczne są zerwane i niemożliwe często do nawiązania. Symbol, używany od wieków w sztuce dla zmysłowego uplastycznienia uczuć i idei, ma tam tylko wartość artystyczną, gdzie się tłómaczy łatwo i potęguje wrażenie dzieła sztuki; w przeciwnym razie mąci je tylko i utrudnia.

Ażeby zobaczyć wyraźnie różnicę między właściwą a luźną symbolistyką, dość porównać jaki wiersz Baudelaire'a z wierszem Maeterlincka. W wierszu naprzykład, zatytułowanym „*Latarnie morskie*“ (*Les phares*), Baudelaire tak charakteryzuje głównych malarzy świata:

„Rubens, fleuve d'oubli, jardin de la paresse,
Oreiller de chair fraîche où l'on ne peut aimer,
Mais où la vie afflue et s'agite sans cesse,
Comme l'air dans le ciel et la mer dans la mer;

Léonard de Vinci, miroir profond et sombre,
Où des anges charmants, avec un doux souris
Tout chargé de mystère, apparaissent à l'ombre
Des glaciers et des pins qui ferment leur pays;

. . . .

---

[1]) „Ayez pitié de mon absence
Au seuil de mes intentions!
Mon âme est pâle d'impuissance
Et de blanches inactions“.

Michel-Auge, lieu vague où l'on voit des Hercules
Se mêler à des Christs, et se lever tout droits
Des fantômes puissants qui dans les crépuscules
Déchirent leur suaire en étirant leurs doigts;

. . . .

Delacroix, lac de sang hanté de mauvais anges,
Ombragé par un bois de sapins toujours vert,
Où, sous un ciel chagrin, des fanfares étranges
Passent, comme un soupir etouffé de Weber;
etc.

Symbole są tu wyszukane, analogie dalekie, ale zwłaszcza dla tych, którzy znają wskazanych mistrzów malarstwa, nietylko zrozumiałe, lecz i dobrze oddające wrażenie dzieł tych malarzy. Baudelaire, chociaż ugania się tu nieco za oryginalnością, myśli jednak porządnie i myśl swą i wrażenie przekazuje jasno czytelnikowi.

Gdybyśmy teraz z przytoczonego wiersza wykreślili wszystkie imiona własne, otrzymalibyśmy istny utwór najnowszego dekandenta-symbolisty; zamiast w galeryi obrazów, znaleźlibyśmy się w jakiejś orgii kolorów, dźwięków i kształtów, zrozumiałéj dla tego, kto znał poprzedni ich stosunek, ale chaotycznéj dla niewtajemniczonych. Podobnie dla ocenienia lirycznych poezyi Maeterlincka, trzebaby chyba naprzód autora wypytać, o czém w każdym wierszu chciał właściwie mówić.

Są znowu między „cieplarnianemi" strofami i takie, które usuwają możliwość wszelkiéj myśli, mając jedynie na celu muzykę słowa; naprzykład wiersz p. t.

ENNUI.

Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui,
Les paons blancs ont fui l'ennui du réveil;
Je vois les paons blancs, les paons d'aujourd'hui,
Les paons en allés pendant mon sommeil,
Les paons nonchalants, les paons d'aujourd'hui
Atteindre indolents l'étang sans soleil,
J'entends les paons blancs, les paons de l'ennui
Attendre indolents les temps sans soleil.

Tu już Maeterlinck o sens się nie troszczy, tworzy raczéj przyczynek do „instrumentacyi poetyckiéj" R. Ghila, wykazując może,

że nosowe dźwięki *an*, *aon*, *en*, *ein*, mają specyalność malowania powolności, nudów, ospałości...? Bo jakże inaczéj zrozumiéć to senne łażenie białych pawi?

Kilka typowych kwiatów wybranych z lirycznych „Cieplarni“ Maeterlincka wystarcza do zrozumienia, że autor zastosował tu do ostatnich granic teorye R. Ghila, Rimbauda i innych. Indywidualność belgijskiego symbolisty słabo się tu jeszcze rysuje. Dopiero po przeczytaniu całego tomu, widzimy jasno manierę autora w tych rytmach nieregularnych, w uporczywych powtórzeniach. Ale w teoretycznéj prozie Maeterlinck'a należy szukać objaśnień jego poetyckich utworów, do których rzeczywiście trzeba dodawać komentarz.

III.

Jan Ruysbroeck, flamandzki pustelnik z XIV-go wieku, którego Bossuet uważa podobno za poprzednika kwietyzmu, nastręczył Maeterlinckowi przedmiot do wyczerpującego studyum nad wartością, starożytnością i przyszłością symbolizmu [1]). Pustelnik z Groenendahl zostawił kilkanaście dzieł treści religijnéj. Wnosząc z długich cytat, nie są to ani traktaty teologiczne, ani exegezy Pisma Świętego, nie mają téż nic wspólnego ze scholastyką. „Księga dwunastu mniszek“, „Zwierciadło zbawienia wiecznego“, „Kamień iskrzący“, „Księga siedmiu pałaców“, „Ozdoba wesel duchowych“ i inne — są albo ekstatycznemi rozbiorami nastroju religijnego, albo wskazówkami, jak kontemplować należy i kierować ekstazą. Nie przesądzając wartości dzieł Ruysbroecka, posłuchajmy tylko mówiącego o nim Maeterlincka. Zestawia on pokilkakroć flamandzkiego ekstatyka z dekadentem Verlaine'em, w czém już widoczna estetyczna tendencya zarysuje się natychmiast zupełnie wyraźnie.

„We wszystkich swych dziełach jest Ruysbroeck prześladowany oczywistością uniwersalnego symbolizmu. Zdaje się on twierdzić, jak nie wiem już który filozof angielski, że wszystko, co widzimy, nie istnieje samo przez się i że materya istnieje tylko duchowo“... „Uderza nas również jego subtelność artystyczna, którą okrasza swe emblemata, i godne podziwu zamiłowanie do pewnych efektów barw i obrazów. Zobacz między innemi wytłómaczenie kwiatów duchowych na okryciu ołtarza“.

---

[1]) „Ruysbroeck l'Admirable“ par M. Maeterlinck („Revue générale“, Octobre et Novembre, 1889).

Poszukajmy tych kwiatów duchowych w księdze, zwanéj „Le Tabernacle spirituel“. Oto są:

„Na tych czterech zasłonach, różniących się barwą, rozkazał Pan Beseleelowi i Ooliabowi utkać i wyhaftować na wierzchu, igłą, wiele ozdób. Podobnie wola nasza posłuszna i rozum nasz położą na tych czterech barwach rozmaite ozdoby cnót. Na białéj barwie niewinności położymy róże czerwone, opierając się zawsze wszystkiemu co jest złe. Zachowujemy tym sposobem czystość i krzyżujemy naturę naszą — i są to właśnie róże czerwone, słodko pachnące i bardzo piękne na téj barwie białéj. Wyhaftujemy jeszcze na niewinności słoneczniki, które znaczą posłuszeństwo“, (z powodu że obracają się za słońcem) i t. d. (str. 475).

Cała ta księga Ruysbroecka składa się z szeregu symbolicznych komentarzy. Prawdziwy to skarb dla krytyka-dekadenta.

„Stół ofiarny szczerozłoty, mówi np. R. w tém samém dziele — jest symbolem rozkoszującéj się miłości (l'amour jouissant), bo jest początkiem i końcem wszelkiego dobra i wszelkiego miłosierdzia. Jest on wyższy nad złotą koronę, t. j. nad pocałunek miłosny (l'embrassement amoureux), między Bogiem a nami, bo miłość rozkoszująca się jest ponad wszystkiém i jest bez miary i bez dna, i jest ponad wszystkiemi praktykami miłosnemi, — a ta miłość rozkoszująca się, czyli złota pokrywa (couvercle d'or), ma dwa wymiary i pół na długość. Pierwszy wymiar znaczy“,.. i t. d.

Następują całe serye ryb symbolicznych, drogich kamieni, porównywanych do Chrystusa, „dlatego, że są błękitne“ lub „dlatego że są zielone“ — nie chodzi nam jednak o średniowiecznego pustelnika, który, w prostocie ducha i w dobréj wierze spisując swoje hallucynacye, nie spodziewał się, że go wezmą za autorytet dla szkoły literackiéj przy schyłku XIX-go wieku:

„Nie wiem, czy przeceniam wspaniałość tego dzieła, mówi Maeterlinck, ale uważam je za jedno z tych tak rzadkich po wszystkie czasy, wynikłych z głębin duszy (de l'âme de l'âme), urodzonych z bezpośredniego wejrzenia w istotę prawdy, jakby z nowego najpoufalszego zetknięcia z rzeczywistością, (d'un contact nouveau et comme de muqueuse à muqueuse avec la réalité), z dziewiczéj intuicyi po przez mgły formuł, pozorów, rzeczy zasłyszanych, które odróżniają talent od geniuszu“ (str. 664).

Idą daléj bardzo ciekawe uwagi Maeterlincka o pojęciu autorstwa i o stylu:

„Autor *szczery*, to jest taki, który czerpie bezpośrednio z istoty rzeczy, a nie żyje wyłącznie nowemi tylko kombinacyami pozorów, *nie jest nigdy ciemny, bo zawsze sam siebie rozumie* i sięga daléj, niż

mówi. Ale musi wydawać się ciemnym, ponieważ istnieje tylko o tyle, o ile *niespodziewanego* coś przynosi".

„Ruysbroeck miał w użyciu ten sposób wysłowienia, prawie pierwotny, w którym słowa są rzeczywiście lampami po za ideami, podczas gdy u nas idee mają oświecać słowa; dla tego téż skłaniam się do przypuszczenia, że każdy język myśli zawsze lepiéj od człowieka, który go używa, i jest tylko chwilowém jego sercem" (str. 470).

„Trzeba się także liczyć z tym światem nieznanym, na który te zdania musiały rzucać światło przez podwójne, biedne, rogowe szyby naszych słów i myśli. Słowa, jak już zauważyliśmy, zostały wynalezione do pospolitych użytków życiowych, —i nędzne są, trwożne i zdziwione, jak włóczęgi około tronu, gdy od czasu do czasu jakaś królewska dusza poprowadzi je gdzieindziéj. A z drugiéj strony myśl jest—że kiedy dokładnym obrazem tego, co ją zrodziło, i nie jest-że zawsze cieniem walki, podobnéj do walki Jakóba z aniołem? Biada nam—ktoś to powiedział — jeżeli nie mamy w sobie nic więcéj nad to, co możemy wyrazić i pokazać" ...„Niektóre wyrażenia Ruysbroecka pływają, jak przezroczyste sople lodowe na bezbarwném morzu milczenia, a jednak istnieją — i to wystarcza" (str. 665).

Cierpliwości wreszcie braknie do słuchania takich teoryi! A jednak wysłuchać ich trzeba było, bo Maeterlinck nie dwuznacznie stawia Ruysbroeck'a za wzór swojéj szkole literackiéj, skoro pod sam koniec studyum tak pogląd swój reasumuje:

„Szczęściem jest dla nas, że mieliśmy takiego człowieka; i odkąd go poznałem, sztuka nasza nie wydaje mi się zawieszoną w próżni. Dał on nam grunt pod nogi (il nous a donné des racines). Miał język światłości w ustach. Jest on może największym z tych poetów, o których mówi Goethe, że, siedząc przy warsztacie czasu, tkają Bogu suknię, dzięki któréj dostrzegamy go chwilami".

Tak więc w dyplomie szlachectwa dekadentyzmu symbolicznego znalazł Maeterlinck godne naśladowania zasługi praojców: uniwersalny symbolizm, tajemniczą moc wyrazów, mających oddawać nastroje chorobliwéj hallucynacyi. Trzeba teraz hallucynacyę przenieść na grunt spółczesny i dowieść, jak ważną rolę w życiu, a więc i w poezyi, odgrywają sny i przeczucia. Taką rozprawę znajdujemy w dziełku p. t.: „*Onirologie*" [1]).

Jest to opowiadanie (zapewne prawdziwe?), o dwóch epizodach z życia autora, związanych dziwną nicią analogiczną. M. nie miał jeszcze dwóch lat, kiedy stracił ojca, agenta dyplomatycznego

---

[1]) „Onirologie" nouvelle par M. Maeterlinck, („Revue générale", Juin, 1889).

na wyspie Jawie: pozostawał wówczas w Holandyi, w Utrechcie, z matką, która umarła w parę miesięcy po śmierci męża. Po przejściu nieznanych nam kolei, sierota dostał się do Ameryki do jakiegoś przytuliska sierot w Salem. Tam go znajdujemy, w wieku lat 18-u, smutnego, nędznego fizycznie, już wówczas oddającego się zgubnemu zażywaniu opium. Przyjacielem jego był niejaki Walter, a w domu ciotki tego przyjaciela poznał „kochankę pierwszych dni“, Annę. Opowiada nam właśnie autor o jednym z wieczorów, spędzonych w tym domu:

Po zażyciu opium i po herbacie, wyszedł na przechadzkę z Anną w głąb lasu odwiecznego, „tak starego, że mieli w nim zwyczaj mówić po cichu“. Nic się tam nie działo, tylko drzewa szumiały dziwnie, jakieś źródło biło kryształowe, a Anna upuściła w tę krynicę złotą obrączkę, którą potém z dziwnym dreszczem, może z przeczuciem złowrogiém, wydobyła z wody. Kiedy wracali, światła dalekiego miasta gasły szybko. Młodzieniec, powróciwszy do domu, zaczął czytać poemat Tomasza Hood'a: „Hero i Leander“, w którym bohater zstępuje do głębin morza po swą ukochaną — i przy czytaniu zasnął. Zdało mu się nagle, że tonie w wodzie, ograniczonéj ciasnemi i wysokiemi murami, jakby w studnię jakąś zapada się coraz głębiéj i głębiéj, „przez nieskończone przezrocza, pośród wysiłków nieruchomych, stanowiących jedną z mąk właściwych snom, a nie dających się porównać do niczego w życiu, kierowaném wolą“.

„Byłem w téj chwili, ciągnie daléj, dość bliski śmierci i muszę tu wytłómaczyć bardzo starannie jedno z najdziwniejszych zjawisk snu mojego“. Czy pod wpływem reminiscencyi pewnéj bajki o zwierciedle, które staje przed oczyma tonącego i odbija w jednéj chwili całe jego przeszłe życie, czy dlatego, że wizya taka nieodłączna jest od śmierci przez utonięcie, — „uczułem wrażenie tego zwierciadła, a że umysł śniącego zbliżony jest bardzo do umysłu małego dziecka, niezdolnego do abstrakcyi, u którego każda idea przeradza się w obraz, a każda myśl w czyn przechodzi, — odrazu poczułem w ręku owo zwierciadło i zacząłem pilnie w nie się wpatrywać“.

„Tutaj chciałbym wyrazić moje zdziwienie z powodu nieprawdopodobieństwa wizyi, — *gdyż zwierciadło było prawie puste*, a przecież mogłoby być pełne smutnych wypadków“... Było w niém tylko trochę barw niewyraźnych, dziecinne jakieś rysunki i otwarta rączka dziecka. A przecież powinnoby tam być wiele rzeczy nieznanych, a może *uprzednich* (antérieures).

Po tém wrażeniu, tonący, rzuciwszy okiem na otwór studni, ujrzał na *burzliwém niebie* twarz kobiecą, któréj rysy niewyraźne miały coś pośredniego między twarzą Anny, a inną jakąś, którą tylko

we śnie mógłby sobie przypomnieć. Usłyszał przytém krzyk, „prawdziwy dźwięk senny“, nie działający na ucho, gdyż sen jest zawsze niemy. Po bardzo subtelnych spostrzeżeniach nad dźwiękami, słyszanemi przez sen, — opowiada daléj autor, że został wydobyty ze studni ruchem ręki, podobnym do giestu, którym Anna wydobyła ze źródła pierścionek — i znalazł się na ziemi, w podróży przez dziwny krajobraz podmiejski; uderzyły go szczególniéj dwa wiatraki, jeden bez skrzydeł, rzędy świateł wzdłuż kanałów i burzliwe niebo.

Maeterlinck nazajutrz po tym śnie dziwnym, pisał do Anny, która wyjechała właśnie tego samego dnia z Salem i nie miała już nigdy powrócić; list ten, oddany autorowi po śmierci Anny, przytoczony jest w noweli; opis snu jest treściwszy, a różni się tylko dodanemi szczegółami, że przez sen widziana kobieta zmieniła rysy na starsze i zawołała: „*dziecko jest w studni*“, i że po wydobyciu z wody, autor znalazł się w jakiémś zupełnie mu nieznaném mieście.

Tu następuje rozwiązanie zagadkowego znaczenia noweli.

Po dojściu do pełnoletności, M. dowiedział się, że jest Holendrem i spadkobiercą dość znacznego majątku. Między papierami rodziców, które mu przesłano, znalazł się list, istotnie zadziwiający. List ten, pisany przez matkę do ojca autora, z Utrechtu na wyspę Jawę, podaje następujące szczegóły: Mały Maeterlinck, mający podówczas 4 miesiące i dni dziewięć, wpadł do studni, o czém zawiadomiła matkę starsza jakaś krewna, wołając: „*dziecko jest w studni*“. Matka pobiegła i wydobyła syna z wody.

Maeterlinck, prześladowany szczególną analogią snu młodzieńczeczego z wypadkiem, zaszłym w pierwszych dniach życia, o którym on nie mógł, jak twierdzi, mieć żadnéj wiadomości w Ameryce, zaczął poszukiwać gorliwie dowodów i faktów, tyczących się téj analogii. Oprócz zestawień listów, dat i zeznań, odnalazł dom matki w Utrechcie, odnalazł owe dwa młyny, z których jeden bez skrzydeł wyszukał nawet w gazetach wiadomość, że w dzień, kiedy on wpadł do studni, wyjątkowa burza szalała w pobliżu Utrechtu na morzu, a więc i niebo nad studnią mogło być „burzliwe“.

Dla wyjaśnienia jakichś jeszcze wątpliwości, zwraca się autor z prośbą o dokumenta do czytelników, którzy „oddadzą tym sposobem usługę nowéj nauce (bo nie można wiedzieć, do jakich odkryć doprowadziłaby ewolucya téj specyalnéj własności pamięci, w zastosowaniu do okresu embryonicznego, a może i przedembryonicznego), a razem oddadzą usługę niespokojnemu duchowi, który poświęcił życie swe rozwiązaniu tych zadań“. Na tém koniec i podpis autora.

Opowiadanie zajmujące treścią i obfitością subtelnych spostrzeżeń nad snami; gdyby tylko przez zdrowego człowieka było podane!

Ale nie zapominajmy, że mamy z dekadentem-symbolistą do czynienia, z teoretykiem estetycznym, który wyprowadzi z niego wnioski *sui generis*, jak przytoczone już zakończenie noweli, albo takie np. zdania: „śniący człowiek używa już rzeczywiście tego odkrycia, oczekiwanego dopiero na jawie, a które wkrótce uczyni zbytecznemi *dość dziecinne wynalazki telegrafu i telefonu.* Chcę tu mówić o obcowaniu duchów i o wzajemném przenikaniu się umysłów, które możnaby nazwać „*Telepsychią*"; ta pozwoliłaby w danym razie jednéj duszy obcować dowolnie z inną, istniejącą gdziekolwiek w czasie i przestrzeni, gdy odkryte zostaną spójnie, łączące nas tajemnie, których magnetyzm i telepatya nawiązują pierwsze rozproszone nici".

Ta pogarda dla teoryi pozytywnéj i doświadczalnéj, nad którą ma górować nowa marzycielska hypoteza, jest jedną z cech charakterystycznych Maeterlincka i dekadentów w ogóle. Czytamy daléj w inném miejscu:

„A więc wtedy, téj nocy październikowéj, (kiedy rzeczywiście wpadł w studnię), obcowałem bezpośrednio z Niewidzialném i Niedocieczoném i dusza moja stała się odtąd bladą i chorą, i podległą wszelkim niepokojom i trwogom. Nie będę dzisiaj próbował żadnych wyjaśnień: zaliczam ten fenomen do rzędu tych, których stałe prawa kiedyś zostaną odkryte. Tymczasem nie chcę o nich wiedzieć, jak nie wiem nic o niezliczonych tajemnicach przeczucia, albo dlaczego śmierć, gdy raz weszła do domu, powraca nieodzownie wkrótce potém. Tomasz de Quincey twierdzi, że *rozum jest podrzędną własnością umysłu ludzkiego*, a mnie się zdaje, że nie trzeba mu dowierzać, zwłaszcza w tych strefach wypadków. Zresztą może lepiéj zbytnio nad tém nie zastanawiać się, aby czasem nie rozkiełzać białych rumaków szaleństwa w dziedzinie, którą sławny jeden medyk nazywa dziwacznie: „le grand territoire de la substance grise".

Nerwowa inpotencya choréj myśli wypełza na jaw z tego prawie strasznego wyznania. Poddawać się wrażeniom, nie opanowawszy ich myślą, kombinować wedle przypadku, bez współudziału woli i rozumu, téj „podrzędnéj własności umysłu ludzkiego", — taki sposób myślenia, jak i twórczości artystycznéj, może rzeczywiście przez klub dekadentów zaprowadzić do szpitala waryatów.

Przytoczone tu uwagi zarówno ze studyum o Ruysbroeck'u, jak z noweli „Onirologie", nie wszystkie i nie wyraźnie stosują się do sztuki piśmienniczéj. Zobaczymy jednak, jak szerokie zastosowanie znajdują niektóre z nich w dramatycznych utworach Maeterlincka.

IV.

Teoretyczna znajomość techniki i szkoły, do któréj artysta należy, nie jest wcale niezbędna czytelnikom do odczucia jego dzieła; w przeciwnym bowiem razie doszlibyśmy do wniosku, że sztuka nie ma ogólno-ludzkiego znaczenia, ani wpływu, lecz jest dla specyalistów tylko i dla cechowych braci przeznaczona. Im bardziéj wytrzymuje dzieło sztuki techniczną krytykę wszystkich szkół, tém jest zapewne większe i donioślejsze, ale każdy ogólnie wykształcony człowiek, a nie fachowy literat, ma dlatego prawo sądu o sztuce, że ona dla niego ostatecznie powinna być tworzona. Technika może być sztuczna i trudna, ale tryumfem jéj jest wyrazistość, stanowiąca główną jéj wartość. Taką wyrazistością, tém jasném przekazaniem myśli i uczuć autora czytelnikowi, nie odznacza się bynajmniéj głośny dramat Maeterlincka „*La Princesse Maleine*“. Aby dzieło to zrozumiéć, trzeba koniecznie znać estetyczną teoryę i sposoby autora — i dopiero erudycya pozwala oryentować się w dziwnym tym utworze, złożonym z 5-u aktów w 24-ch odsłonach [1]).

Wątpimy, aby blade i częściowe odbicia lady Macbeth, Hamleta, mamki Julii, Snu nocy letniéj — skłoniły p. Mirbau do nazwania „nowym Szekspirem“ autora „Księżniczki Maleny“, — bo zresztą wszystkie, przez Szekspira stworzone lub stosowane, zasady i tradycye sztuki dramatycznéj, zostały tu przez belgijskiego reformatora wzgardzone. Pierwiastek walki wewnętrznéj, rozterki uczuć, wierzeń i namiętności, stanowiący dotychczas rdzeń dramatu, psychologiczna konsekwencya charakterów, wyrazistość akcyi i celowość każdéj sceny, każdego niemal słowa, — wszystko to w „Księżniczce Malenie“ uznane zostało za zbyteczne. Położono natomiast nacisk na symbolistykę przyrody, na przenośne znaczenie ludzkich słów i działań, głównie zaś na oryginalnie zupełnie pomyślaną formę scenicznego dyalogu.

Dzieło to, pozbawione prawie wewnętrznéj spójni myślowéj, da się raczéj opowiedziéć, niż systematycznie streścić.

Rzecz dzieje się w zamierzchłéj przeszłości bez wskazówek na epokę, gdyż postacie nie są historyczne. Hjalmar, król jednéj dzielnicy Holandyi, przyjechał do Marcellusa, króla drugiéj dzielnicy i władcy na Harlingen—na zaręczyny syna swego, księcia Hjalmara,

---

[1]) M. Maeterlinck. „La princesse Maleine“, drame en 5 actes. Bruxelles. Paul Lacomblez. 1890.

z córką Marcellusa — Maleną. Jednak przy bankiecie król Hjalmar, zmysłowy i dziki starzec, obraził żonę Marcellusa, skąd wielkie powstało oburzenie, zakończone wojną. Zburzono Harlingen, zabito króla i królowę, a Malena z mamką ocalała tylko dlatego, że zamurowana została uprzednio przez ojca w wieży za uporczywą odmowę zerwania swych zaręczyn. O zburzeniu Harlingen dowiadujemy się ze sceny, w której mamka, odwaliwszy kamień z muru więziennego, opowiada księżniczce o spustoszeniu, dostrzeżoném przez otwór w ścianie.

Pożegnawszy na wieki królewską parę w Harlingen, z którą okoliczności nie pozwoliły nam się zaznajomić, przenosimy się na resztę akcyi do Ysselmondy, rezydencyi króla Hjalmara. Tu zjawia się najczarniejszy charakter — Anna, królowa Jutlandu, wygnana ze swego dziedzictwa. Przybyła ona do Ysselmondy zapewne dla szukania pomocy zbrojnéj i opętała wdziękami swemi starego króla; przytém jednak prześladuje młodego Hjalmara wyznaniami dzikiéj swéj dla niego miłości, pomimo, że już go zaręczyła z własną swą córką, Uglyaną. Oczywiście, dla zawiązania jakiéjkolwiek akcyi, potrzebne jest przybycie Maleny, która téż, pod przebraniem służącéj księżniczki Uglyany, dostaje się do zamku. To zmartwychwstanie dawnéj narzeczonéj księcia Hjalmara musi wywołać nienawiść królowéj Anny, krzyżując jéj wszystkie zamiary. Oto dramatyczny zawiązek gotowy. Nie doczekamy się jednak wcale jego rozwoju w jakąś walkę wewnętrzną w duszy królowéj. Zauważmy również sztuczną naiwność w założeniu dramatu: wszystkie plany i zamiary Anny istnieją tu tylko dla uzasadnienia jéj nienawiści do Maleny, gdyż między sobą są poczęści niezgodne (np. miłość dla księcia Hjalmara i plan ożenienia go ze swą córką); nie można téż wcale się domyślić, jaka jest główna pobudka działania Anny: czy żądza wydartéj władzy królewskiéj, (o któréj nikt ani razu nawet ubocznie nie wspomina), czy zazdrość starszéj kobiety do młodszéj, czy chęć opanowania wszystkiego i wszystkich? Autor, unikający starannie monologów, a w dyalogach zajmujący się symbolizowaniem i stylowém nowatorstwem, nie daje nam na te wątpliwości żadnéj odpowiedzi. Przypuściwszy jednak, że główną cechą charakteru Anny jest pragnienie potęgi przez panowanie nad mężczyzną, wykonawcą ślepym jéj woli — że jest ona jakąś daleką krewną lady Macbeth, z którą ją łączą powierzchowne analogie, poszukajmy chyba w innych działających osobach wyraźniejszych dramatycznych pierwiastków, idąc w dalszym ciągu za rozwojem akcyi.

Książe Hjalmar urządził wieczorną schadzkę w parku z Uglyaną, ale Malena wyzyskuje tę sposobność, przychodząc na oznaczone

miejsce zamiast Uglyany. Tu nareszcie będziemy mogli poznać tytułową bohaterkę, która dotąd uporczywemi tylko wyrażała się monosylabami, lub powtarzała za mamką wykrzykniki; tu także ujawni się zapewne, co to za człowiek ten książę Hjalmar, który chodził dotąd po scenie w hamletowym płaszczu z przyjacielem Angusem, skazanym na słuchanie uwag księcia o trwodze, jaką w nim budzi Anna, o nieokreślonych przeczuciach nieszczęścia, a zwłaszcza o burzliwéj pogodzie. Oto ta scena spotkania kochanków, jedna z najciekawszych w dramacie:

LAS W PARKU.

Hjalmar. Kazała mi czekać przy wodotrysku. Chcę ją wreszcie ujrzéć wieczorem... chcę się przekonać, czy noc nie da jéj do myślenia. Miałaż-by ona trochę milczenia w sercu? Nigdy las ten jesienny nie wydał mi się dziwniejszym, jak dziś wieczór; nigdy ciemniejszym, jak dziś wieczór; przy jakiém-że świetle zobaczymy się? Rąk swoich nie dostrzegam! Ale cóż to za błyski wokoło mnie? Wszystkie puszczyki parku tu się zleciały. Precz stąd! precz stąd! na cmentarz! do umarłych! (rzuca na nie ziemią). Czy proszą was na noce ślubne? Otóż mam teraz ręce jak grabarz. O, nie często tu będę wracał. Słuchajmy—idzie! Czy to wiatr? O, jak liście teraz padają wokoło mnie! Oto drzewo, które zupełnie się obnażyło! A jak te chmury miotają się na księżyc! Ależ to liście wierzby płaczącéj, które mi na ręce padają! O, źle się tu wybrałem! Nigdy ten las dziwniejszym mi się nie wydał, jak dziś wieczór! Nigdym tyle wróżb nie widział, jak dziś wieczór! Otóż i ona.

(Wchodzi księżniczka Malena).

Malena. Gdzie jesteś, panie?

Hjalmar. Tutaj.

Malena. Gdzież nareszcie? Nie widzę.

Hjalmar. Tutaj, przy wodotrysku. Zobaczymy się przy świetle wody. Jest tu dziwnie dzisiaj.

M. Tak, boję się... a, znalazłam cię.

H. Dlaczego drżysz?

M. Nie drżę.

H. Nie widzę Cię. Chodź tutaj; tu jaśniéj, i przechyl trochę głowę ku niebu. Dziwną jesteś dziś wieczór! Zdawałoby się, że serce moje rozwarło się dziś wieczór... Ależ zdaje mi się, że doprawdy jesteś piękna! Ależ jesteś dziwnie piękna, Uglyano!... Jest coś wokoło ciebie dziś wieczór... Chodźmy gdzieindziéj, do światła! Pójdź!

M. Nic jeszcze.

H. Uglyano! Uglyano!

(Całuje ją; w téj chwili wodotrysk, poruszony wiatrem, chyli się i spada na nich).

M. Oh! cóżeś uczynił?

H. To wodotrysk.

M. Oh! Oh!

H. To wiatr!

M. Boję się.

H. Nie myśl już o tém; odejdźmy daléj. Nie myślmy już o tém. Ah! ah! ah! cały jestem mokry.

M. Ktoś tu płacze koło nas.

H. Ktoś płacze?

M. Boję się.

H. Ale czyż nie słyszysz, że to wiatr?

M. Ale co znaczą wszystkie te oczy na drzewach?

H. Gdzie znowu? Ach, to puszczyki powróciły (Rzuca ziemią) Precz stąd!

Scena ta trwa bez końca, pełna przepowiedni nieszczęść. Ziemia, którą książę rzuca na puszczyki, spada na księżniczkę; błyska się między drzewami, kret porusza ziemię pod stopami Maleny. Daléj idą epizody, których pominąć nie możemy. Styl i sposób obrazowania dochodzą tu do chorobliwości.

Malena. Czy są mury naokoło parku?

Hjalmar. Tak jest; są mury i rowy naokoło parku.

M. I nikt wejść nie może?

H. Nie; ale jest wiele rzeczy, które wchodzą, nie pytając (qui entrent malgré tout).

M. Krew mi się z nosa rzuciła.

H. Krew ci się z nosa rzuciła?

M. Tak; gdzie moja chustka?

H. Chodźmy do wody.

M. Oh, suknia moja cała już we krwi!

H. Uglyano! Uglyano! czy już koniec?

M. Tak — (Milczenie).

H. O czém marzysz?

M. Smutna jestem!

H. Smutna? o czém marzysz, Uglyano.

M. Marzę o księżniczce Malenie.

H. O kim?

M. Marzę o księżniczce Malenie.

H. Znasz księżniczkę Malenę?

M. Jam jest księżniczka Malena.

H. Co?

M. Jam jest księżniczka Malena.

H. Nie jesteś Uglyaną?

M. Jestem księżniczką Maleną.

H. Jesteś księżniczką Maleną! Jesteś księżniczką Maleną! Ależ ona umarła!

M. Jam jest księżniczka Malena.

(Tutaj księżyc przechodzi między drzewami i oświeca Malenę).

H. Oh! Malena! Ale skąd przychodzisz? jak tutaj doszłaś? Ależ jak tutaj doszłaś!

M. Nie wiem.

H. Mój Boże! mój Boże! mój Boże! mój Boże! — Zkąd ja się dzisiaj wyrwałem! I jaki kamień podniosłaś dzisiejszéj nocy! Boże mój, Boże! z jakiegoż grobu powstałem dziś wieczór! Maleno! Maleno! cóż teraz zrobimy? Maleno!... Zdaje mi się, że w niebie jestem aż po serce!...

M. O, ja także!

(Tutaj wodotrysk dziwnie szlocha i zamiera).

Oboje (odwracając się). Oh!

M. Co się stało? co tam się stało?

H. Nie płacz; nie bój się. To wodotrysk.

M. Co tu się dzieje? Co tu się stanie? Chcę ztąd pójść! chcę ztąd pójść! Chcę ztąd pójść!

H. Nie płacz!

M. Chcę stąd pójść!

H. Zamarł — idźmy gdzieindziéj. — (Odchodzą).

Na tém koniec sceny i drugiego aktu.

W trzecim sytuacya zaostrza się. Książę wprowadza już Malenę do zamku, jako narzeczoną. Królowa daje księżniczce truciznę, ale lekarz dworski, przewidując zbrodnię, przyrządza niewinną jakąś miksturę, która działa tylko osłabiająco. Książę przechadza się w dalszym ciągu po scenie, to z Angusem, to z Maleną. Zarysowywa się tu wyraźniéj jedynie postać starego króla. Zbrodnicza kochanka opanowała go zupełnie; wtajemniczony w jéj knowania, miotany wyrzutami sumienia, Hjalmar, pod wpływem późnéj zmysłowości, zaczyna tracić zupełnie wolę i zbliżać się do szaleństwa, na którém téż skończy. Jest to jedyna osoba w dramacie, logicznie pojęta; nawet hallucynacye i upatrywanie wszędzie złowrogich znaków tłómaczą się w ustach starego Hjalmara, lepiéj uplastyczniają skrajnie rozdrażniony stan jego nerwów i sumienia. Nie brak i w tym

akcie symbolicznych zdarzeń: waryat kopie doły w ogrodzie, błędne ogniki prowadzą na cmentarz i t. d.

Ale dopiero z początkiem aktu czwartego zaczyna się tryumf „nastrojowego“ symbolizmu, kiedy autor wprowadza stanowczo do akcyi burzę i inne zjawiska przyrody, jak coś żyjącego i niezbędnego, coś, czém wszystkie działające osoby są zajęte, czemu nawet zdają się podlegać. Teraz już czytelnik nie potrzebuje śledzić rozwoju charakterów, z których jedne pozostaną zupełnie bierne (Malena, książę) a o drugich nic więcéj się nie dowie, jak to, co z kilku grubych rysów uprzednich poznał lub odgadł. Akt ten poświęcony jest cały zabójstwu Maleny. Anna, znudzona powolném działaniem niewinnéj trucizny, oddala księcia i mamkę od księżniczki, wchodzi z królem do jéj sypialni i dusi ją tasiemką, zarzuconą na szyję. Scena ta odbywa się przed widzem, nieskończenie długa, wstrętna, z akompaniamentem jęków króla i najdziwaczniejszych epizodów symbolicznych. Dla dopełnienia charakterystyki Maleny, daje jéj autor do wypowiedzenia monolog przed śmiercią: bojąc się coraz bardziéj, woła ona rozpaczliwie wiernego swego psa, Plutona, który właśnie, wbrew psiéj naturze, wynosi się z pokoju, a dopiero po dopełnieniu morderstwa drapie do drzwi. Mocno to zastanawia mamkę i księcia Hjalmara, po kilkakrotnie przychodzących słuchać pode drzwiami, jak się ma księżniczka. On, tak wrażliwy na przeczucia, tym razem nic nie rozumie i nie wchodzi do pokoju.

A tymczasem natura rozszalała gra w dalszym ciągu swój koncert analogiczny. Na początku aktu piątego, gawiedź, zebrana na cmentarzu (przed pałacem i podczas burzy?), patrzy na zaćmienie księżyca, widzi jak piorun strąca krzyż z kaplicy; łabędzie odlatują wszystkie, oprócz jednego, który pada krwawy pod oknem księżniczki Maleny. W sali zaś pałacowéj dworzanie czekają na króla. Wchodzi król z Anną i księciem; stary Hjalmar w obłędzie, siwy zupełnie, z krwią na białych włosach. Mają się wszyscy udać do kaplicy — nie idą jednak, tylko pytają króla na wyścigi, co mu jest; król się zdradza każdém słowem, a Anna go strofuje; — do dziwów natury przybywają jeszcze przywidzenia starca, i scena ta trwa długo, fałszywie groźna, niezgrabna, komiczna prawie. Zbliża się wreszcie pożądany koniec. Mamka z księciem Hjalmarem, po długich jeszcze certacyach i domysłach, co robi pies pode drzwiami księżniczki, decydują się wejść do zaklętego pokoju. Zbrodnia wykryta, alarm, stary król wpada z królową Anną i wyznaje głośno, kto zabił Malenę. Książę Hjalmar przebija sztyletem naprzód Annę, potém siebie samego. Król dostaje już na dobre obłędu, a raczéj dziecinnieje, bo, wyprowadzony z pokoju przez mamkę, prosi ją o sałatę na śniadanie.

Ktoś mówi „Jedna jeszcze noc taka, a posiwiejemy wszyscy!“ i na finał krajobraz rozchmurza się trochę: „Wychodzą wszyscy, oprócz siedmiu mniszek, które intonują Miserere, przenosząc trupy na posłanie. Dzwony milkną. Słychać na dworze śpiew słowików. Kogut wskakuje na ramę okna i pieje“. Koniec.

Zdaje się nam, żeśmy we właściwych miejscach dostatecznie wskazali, że autorowi „Księżniczki Maleny“ nie chodziło bynajmniéj o psychologiczne motywy, stanowiące dotychczas istotę dramaturgii. Maeterlinck, będąc z temperamentu lirykiem tendencyjnym i wizyonerem-symbolistą, zbudował dramat jedynie dla dania wyrazu swym subjektywnym poglądom na sztukę i na tajemne obcowanie przyrody z człowiekiem. Przez każdą z osób działających w tym dramacie przegląda melancholiczny sierota z przytuliska w Salem[1]), badacz ekstatyków średniowiecznych, człowiek, który zmysłowemi wrażeniami chce tłómaczyć i zastąpić czynniki intellektualne. Dekadenta - kolorysty mało znać w stylu tego utworu; niéma tu pomieszania barw i dźwięków, ani zawiłości, cechującéj np. „Cieplarnie“, a nawet prozę Maeterlinck'a w studyum nad Ruysbroeckiem.

Za to jest inny wynalazek stylistyczny, zupełnie odmienny. Jest to ów język dziwnie pospolity, sztucznie prosty, pełen powtarzań, wykrzykników i zdań urywanych, którego próbkę daliśmy w wyżéj przytoczonéj scenie. Widocznie uznał autor styl taki za stosowny do dramatu, a że pisze zawsze w celu postawienia nowego wzoru piśmienniczego, więc i tutaj, jak na zawołanie, zmienił zupełnie naturę swego stylu. Ciekawe pod tym względem wzmianki znajdujemy już w studyum o Ruysbroecku: Maeterlinck zauważył u flamandzkiego pustelnika „częste powtarzania, właściwe każdéj literaturze pierwotnéj“ (str. 455) oraz „dziwny nacisk na niektóre słowa pospolite, za pomocą którego uwydatnić można nieznane, a czasem straszne tych słów pozory“ (str. 667). Zwrot ten do pierwotności nie jest odosobnioną tutaj zachcianką Maeterlincka, łączy się on z charakterystyczną cechą dekadentyzmu, o któréj wspomnimy poniżéj.

Jeżeli w jakim rodzaju sztuki piśmienniczéj, to w dramacie niezbędna jest barwność i dobitność wyrażeń, bo jakże inaczéj zrozumiemy człowieka w fikcyi scenicznéj, jeżeli nie ze słów jego, skoro sama forma dramatu wyklucza możliwość przeciągania akcyi, zwracania się w przeszłość i objaśnień od autora. Maeterlinck zaś, który wprawdzie inaczéj pojmuje istotę dramatu, używa ciągle téj roz-

---

[1]) Proszę zauważyć podobieństwo sceny Hjalmara z Maleną przy fontannie z osobistém wspomnieniem rozmowy autora z Anną w nowelli „Onirologie“.

wlekłéj, pospolitéj a jednak nie naturalnéj formy dyalogu, która nużąco działa na nerwy czytelnika uporczywą jednostajnością i wywołuje wrażenia przykrości zamiast grozy, rozdrażnienia zamiast estetycznéj roskoszy.

W chwilach jednak stanowczych czuje i on potrzebę gorętszych i dosadniejszych wyrażeń, ale jakże ubogim ich zapasem rozporządza! Już to piekło, przedsionki piekła, bruki piekielne—zdarzają się do przesytu; za przykład zaś urozmaicenia zwrotów mowy niech posłuży następujące zestawienie:

Hjalmar (akt I sc. 6) „Zdaje mi się, że w niebie jestem aż po serce“.

Lekarz (w akcie III sc. 4) ...wchodzą oni w nędzę aż po wargi...

Król (w akcie V sc. ostatnia). Otom jest w nieszczęściu aż po uszy.

Król (tamże). Jestem w piekle po same oczy!...

A jednak całe to nowatorstwo stylowe, całe pojęcie dramatu bez pojedyńczych odrębności charakterów, zawarte w ogólnych rysach ciążącego nad akcyą przeczucia nieszczęść i grozy, potęgowanéj przez analogiczne wpływy przyrody—wszystko to zmierza do jednego celu. Cel to wszakże szkolny, a nie artystyczny.

„Księżniczka Malena“ jest próbą reformy dramatu na podstawie symbolicznego liryzmu, próbą, naszém zdaniem, nieudatną, skoro do zrozumienia jéj tak wielu potrzeba teoretycznych komentarzy, próbą niewłaściwie także chwaloną. Trzeba się było wstrzymać z pochwałami do ukazania się ostatniego tomu Maeterlincka, złożonego z dwóch dramatycznych obrazków p. t. „*Nieproszony gość*“ (*l'Intruse*) i „*Ślepi*“ (*les Aveugles*) [1]).

Oba te utwory nie są właściwie dramatyczne, są przedewszystkiém „nastrojowe“.

Pierwszy („L'intruse“) cały stworzony jest dla oddania groźnego przeczucia zbliżającéj się śmierci. Obok pokoju choréj położnicy, zgromadzona na scenie rodzina oczekuje siostry miłosierdzia, która dzisiaj wieczorem przyjść obiecała. Późno już — przez drzwi otwarte widać ogród w blasku księżyca... Ktoś idzie, słychać kroki w ogrodzie, słowiki zamilkły, łabędzie się trwożą. Ślepy dziadek niepokoi się, a synowie i wnuczki tłómaczą mu te zjawiska, jak mogą. Coraz jednak dziwniejsze powstają znaki i gwary: słychać dźwięk ostrzenia kosy—czyżby ogrodnik kosił ogród w nocy?—lepiejby drzwi od ogrodu

---

[1]) Tytuł ogólny: M. Maeterlinck. „Les Aveugles“ Bruxelles. P. Lacomblez, 1890.

zamknąć, ale drzwi zamknąć się nie dają.. Idzie ktoś nareszcie, idzie najwyraźniéj,—tylko wchodzi jakby od podziemia; dzwonią na służącą, więc po schodach kroki słychać,—tylko że kroki te jakby podwójne. Tutaj zaczyna staruszek gorączkowo pytać: co się dzieje? kto tam czeka za drzwiami? kto usiadł przy stole? dlaczego gasną lampy? Niepokój udziela się wreszcie całemu zgromadzeniu, dotąd krytycznie usposobionemu względem przeczuć starca. Coraz straszniéj, coraz ciemniéj, północ bije i gwary dziwne dolatują z sąsiednich pokoi [1]).

„Słychać nagle płacz przeraźliwy, na prawo, w pokoju dziecka: i jęk ten trwa, stopniowany w swéj grozie, aż do końca sceny.

Ojciec. Słuchajcie! dziecko!

Wuj. Nigdy dotąd nie płakało!

Ojciec Chodźmy zobaczyć!

Wuj. Światła! światła!

W téj chwiii słychać pośpieszne i głuche bieganie w pokoju na lewo—potém cisza śmiertelna. Wszyscy słuchają z niemém przerażeniem, aż drzwi sąsiedniego pokoju otwierają się zwolna, światło z nich wdziera się na scenę, a siostra miłosierdzia ukazuje się na progu w czarnym swym stroju i skłania głowę, czyniąc znak krzyża, dla oznajmienia, że chora umarła. Zrozumieli i, po chwili wahania i przestrachu, wchodzą w milczeniu do pokoju umarłéj, podczas gdy Wuj przed drzwiami usuwa się grzecznie, przepuszczając naprzód trzy panienki. Ślepy, który sam pozostał, wstaje i rzuca się po omacku naokoło stołu, w ciemności.

Dziadek. Dokąd idziecie? dokąd? zostawiły mnie samego!“

Kto nie czytał, uprzytomni sobie ten obraz z podanego streszczenia, uprzytomni tém łatwiéj, gdy dodamy, że autor zastosował i tutaj swoje dziwaczne, pełne sztucznéj prostoty, rozmowy, bardziéj jednak wyraziste, niż dyalogi z „księżniczki Maleny“, bo zmierzające widocznie i logicznie do jednego celu. Ale, kto nie czytał całości, nie zdoła pojąć, do jakiego przykrego rozstroju nerwów może doprowadzić chorobliwa fikcya literacka. Jeżeli kto przeczyta utwór ten głośno i wieczorem, ręczyć można, że choćby się nie bał strachów ani śmierci, dojdzie do stanu podniecenia, jaki naprzykład wywołuje zła muzyka, obowiązkowo przez dłuższy przeciąg czasu słuchana. To krzyżowanie się krótkich pytań i odpowiedzi, ta mnogość gwarów, niewytłómaczonych niby, a tak przezroczystych w swém symbolicznem znaczeniu, ta pewność przyjścia „nieproszonego gościa“, odgadnięta odrazu z tytułu i kilku pierwszych zdań, — to powolne, spazmatyczne konanie akcyi, która od samego początku ciągle się koń-

[1]) Odtąd cytujemy dosłownie całe zakończenie:

czy—wszyskto to dręczy czytelnika niewymownie. Tylko wrażenie piekielnych monologów Edgara Poë można porównać do téj kaźni, od któréj mrowie przebiega. A choć mrowie to nie ma, zdaniem naszém, wiele podobieństwa ze szlachetnym estetycznym dreszczem,— można jednak przyznać tryumf nielada autorowi, który tak zgnębić potrafił czytelnika.

Temat podobny, transponowany tylko na dalszą od rzeczywistości, a jednak dźwięczną i przejmującą nutę, znajdujemy w „Ślepych", których nie wahamy się nazwać jedyném dziełem sztuki w dotychczasowéj twórczości Maeterlincka. Od formy dramatycznéj odbiegł tu już autor tak daleko, że dyalogowany tekst poprzedził długim opisem wstępnym: ustawia niby tylko aktorów i dekoracye, ale w istocie kreśli już tło do poematu. Bo tak raczéj nazwaćby można ten utwór, którego bohaterem jest przedewszystkiém nędza i niedola ludzka, uosobiona przez ślepotę.

Dwanaścioro ślepych różnéj płci i wieku wyszło ze szpitala, pod wodzą starego księdza, na daleką przechadzkę nad brzeg morza—do nieznanéj części wyspy, na któréj szpital się znajduje. Widzimy ich w odwiecznym jakimś lesie siedzących około księdza, który umarł nagle. Jedyne więc światło tych niezaradnych nędzarzy zgasło, jedyny kierownik w téj dzikiéj puszczy zasnął na wieki,—ale ślepi nie wiedzą jeszcze o swéj ostatecznéj niedoli, myślą, że ksiądz odszedł tylko, powróci i odprowadzi ich do domu.

Tak się obraz ten zaczyna i nic się w nim nie zmienia, oprócz rosnącego z każdą chwilą niepokoju nędzarzy. Bo oto miarkują po głodzie i chłodzie, że dzień jesienny się skończył, a zimna noc zapadła. Nocne ptaki, z łopotem przeciągając, jęczą; wiatr z północy coraz groźniejszy powstaje i morze grzmieć zaczyna coraz bliżéj i bliżéj—słychać już falę szeleszczącą nieopodal w pokrywających ziemię liściach. Zbliżają się wreszcie jakieś pośpieszne kroki i wszyscy na ten szmer zbawczy wytężają ucho. To tylko pies, który śladem poszedł, dopada do jednego ze ślepych; może ich wyprowadzi? Wstają wszyscy, trzymając się za ręce, ale pies, doszedłszy do umarłego księdza, zatrzymuje się. Zwolna, po omacku odkrywają ślepi, że trup pomiędzy nimi siedzi, i teraz zamęt rozpaczy ogarnia całą tę rzeszę skazańców. Chcą jeszcze uchronić się od niechybnéj zatraty; może zakonnice wyszukają ich w tym lesie? ale zakonnice nie opuszczają nigdy szpitala; stary lekarz umarł niedawno; żeby choć stróż latarni morskiéj ich dojrzał! ale on nie schodzi ztamtąd nigdy.

A tymczasem morze ryczy, mróz ścina ziemię i członki ślepych, a wiatr północny śniegiem zaczyna smagać.

Jedna z kobiet, waryatka, ma dziecko przy piersi; to dziecko widzi — więc je chwyta inna kobieta i podnosi, miarkując w którą stronę dziecko głowę zwróci. Zwraca ono głowę tam, zkąd znów słychać kroki jakieś, zrazu ciche, szeleszczące coraz wyraźniéj po zwiędłych, zamarzłych liściach. Już są blisko, już weszły pomiędzy ślepych. „Kto jesteś?“ - pyta młoda kobieta.—Milczenie—a najstarszy ślepiec, który poznał strasznego gościa, woła:

„Miéj litość nad nami!“

I do tych słów ostatnich nic dodawać nie trzeba. Czy głód zamęczy, czy mróz wytępi, czy morze pochłonie tę rzeszę nędznych, a pragnących życia i światła—to obojętne,—ale widzimy, że śmierć stanęła pośrodku nich i teraz włada nad nimi nieubłagana i niechybna, czujemy, że jest bólem nawet dla najbardziéj zbolałych, że, kończąc mękę życia, jest sama męką najsroższą.

Myśl tę czy uczucie wraził nam poeta jasno i przejmująco— chce się nam płakać nad całą tą gromadą skazaną, nad nędzą ludzką, nad sobą samymi.

I to jest poezya, ciemna i straszna, ale prawdziwa, a wywołana temi samemi sposobami, których używał autor przy tworzeniu „Księżniczki Maleny“. Tylko sposoby te logiczniéj pomiarkowane, wydoskonalone i—co najgłówniejsza—stosownie są użyte. Symbole nie rażą nas w tych oderwanych krainach wyobraźni, zwłaszcza, że są przezroczyste i do jednego zmierzają celu, a właściwie nawet cały utwór jest jednym symbolem, któremu się wszystkie zdarzenia pojedyńcze podporządkowują. Powtórzenia wstrzemięźliwiéj użyte, jednostajność stylu i akcyi,--tłómaczą się jednakowém wszystkich osób cierpieniem i niedołęztwem, jedną myślą i grozą, która nad niemi panuje. Wspólne kalectwo czyni ślepych z konieczności podobnymi, zwłaszcza w tém wyjątkowém położeniu. Mimo to, autor starał się, dla urozmaicenia treści, zabarwić indywidualnie pojedyńcze postacie, choć nie mogło to być jedném z głównych zadań tego symbolicznego obrazu: inne tu dostrzegamy pojęcia i pragnienia u młodych i starych ślepych, u kobiet i u mężczyzn, u ślepych od urodzenia i ociemniałych.

Takie nawet psychofizyologiczne odcienie wprowadza autor do swych „Ślepych“. Odnajdujemy tu zalety, których ledwo dopatrzyć się było można w „Księżniczce Malenie“, albo w „Cieplarniach“, odnajdujemy i to wrażenie i nastrój, za którym gonią dekadenci, lepiéj objaśniony tém jedném krótkiém dziełem sztuki, niż rozprawami lub utworami pseudo-poetyckiemi, w których reforma sztuki samą sztukę zabija.

Znając zkądinąd dziwaczne poglądy autora „Onirologii", nie możemy się wstrzymać od pewnych posądzeń, zwłaszcza, gdy przypomnimy sobie wyżéj cytowane słowa tegoż autora, który do fenomenów niewyjaśnionych, a jednak oczywistych, zalicza i ten, „że śmierć, gdy raz weszła do domu, powraca nieodzownie wkrótce potém" (p. wyżéj str. 108). Mieliż-by „Ślepi", w których śmierć zabiera najprzód jedną ofiarę, a potém wraca po resztę, służyć za illustracyę do tego dziwacznego spostrzeżenia?

Tymczasem są jednak najlepszém dziełem Maeterlincka i niezaprzeczonym dowodem jego talentu, który może zwraca się od szkolno-adwokackiéj ku prawdziwie poetyckiéj twórczości. Ale niepokoją nas znów tytuły dzieł, przygotowanych do druku: Wydanie „Ozdoby wesel duchowych Ruysbroecka", „Mała antologia poetów łacińskich z epoki dekadencyi", „Notaty o prerafaelitach" — — Nazwy te same zapowiadają nową seryę teoretycznych apologii, potrzebnych do udostojnienia kierunku literackiego, którego Maeterlinck jest najwymowniejszym rzecznikiem.

Jakieś ciemności, smutek i rozczarowanie ogarniają nas po bliższém wejrzeniu w ten kierunek literacki. Jest w nim jakby szamotanie się z nieuleczalną chorobą, pogoń za czémś nowém i zbawczém, co nie przyjdzie. Niemoc ujawnia się w każdym ekscentrycznym porywie téj szkoły, która, zajmując się głównie sposobami poetyckiego obrazowania, nie posiada w sobie wewnętrznego zapasu siły twórczéj.

Trochę reakcyi przeciw naturalizmowi, pogoń za oryginalnością, mgliste poczucie, że wszystko, co istnieje, jest tylko przenośnią i symbolem, jakieś niewyraźne aspiracye ku nadzmysłowym sferom zagnały dekadentów-symbolistów w ciemność i zawiłość.

Nie zdawszy sobie dostatecznie sprawy, dokąd chcą skierować poezyę, dekadenci schlebiają swym instynktom próżnowania myślą i, mimo idealistycznych zachcianek, poddają się zmysłowym wrażeniom zabarwiania dźwięków, przeczuć sennych, haszyszowych wizyi, podnosząc wrażenia te do godności czynników intellektualnych. Nie chcemy bynajmniéj wyłączać działania przyrody na człowieka z dziedziny poezyi; można jednak zauważyć tu pewną charakterystyczną jednostronność całéj szkoły; Maeterlincka naprzykład pochłania prawie wyłącznie badanie i malowanie refleksów przyrody na umysłową naturę człowieka.

Upodobanie w dziwacznych i wyjątkowych wrażeniach zmysłów trudno na pozór pogodzić ze zwrotem do religijności, bardzo wyra-

żnym np. u Verlaine'a i u Maeterlincka. Co jednak zaczerpnęli oni z religii? nie zasady jakieś filozoficzne lub moralne (filozofia mało obchodzi dekadentów, ani leży na dnie ich estetyki lub obserwacyi życiowéj): lubują się raczéj w objawach niezdrowéj roskoszy ekstazy, która niejednego doprowadziła już do manii i szaleństwa. Jak wiadomo, stan psychiczny, zwany przez alienistów „manią religijną“, obchodzi się bez wszelkiego poczucia moralności, jest zatém wręcz przeciwny istocie religii. Ekstatyczne wycieczki dekadentów są tylko poszukiwaniem nowéj zmysłowéj roskoszy i uwłaczają pojęciu religii, stawiając ją w rzędzie podniecających nerwy sposobów; zażywają jéj dekadenci dla odmiany, zamiast haszyszu lub opium. Niektóre chorobliwe płody średniowiecznéj literatury mistycznéj znęciły téż tych newropatów swą wybujałą symbolistyką; dość tu przypomniéć studyum o Ruysbroecku. Do religijności zwracają dekadentów inne jeszcze wstręty i upodobania: wstręt do naturalizmu i pozytywizmu, więc podnoszenie wielu odrzuconych przez te szkoły pierwiastków; upodobanie zaś tak dziwne i paradoksalne, że bez komentarza zrozumiane być nie może.

Jest to ten pociąg, jaki cała szkoła czuje do pierwotności, do naiwności pewnéj, charakterystycznéj w epoce, poprzedzającéj humanizm i renesans. Natury te zawiłe i chore lubują się w prostocie ducha średniowiecznych mnichów, w naiwności malarzy prerafaelitów, w stylu i języku z przed roku 1550. Mieniąc się pierwszą falangą urojonego odrodzenia, chcieliby dekadenci odzyskać sztucznie trochę téj pierwotnéj świeżości, która cechowała przed czterema wiekami artystów i pisarzy, poprzedników rzeczywistego Odrodzenia. Znęcił ich nastrój, wiejący z obrazów Fra-Angelica, Sandra Boticelli lub Hansa Memlinga, znęciła nieudana szczerość uczucia i prostota sposobów, któremi te ciche i skupione w sobie dusze przekazują widzowi swój nadziemski prawie urok. Jeżeli jednak „Stimmung“ polega na poetyczném dostrajaniu widza lub słuchacza do lepszego odczucia stanu duszy artysty, jeżeli wyrazistość i urok dzieła sztuki poniekąd od téj „nastrojowości“ zależy, to chodzi tu jednak i o rodzaj nastroju, o estetyczną wartość tego „stanu duszy“, którym poeta chce się z nami podzielić.

I tutaj dekadenci w swéj instynktowéj, a nie bardzo wyrozumowanéj, pogoni za przedrenesansową pierwotnością, zapominają o swém pochodzeniu, zapominają, że, zrodzeni z nerwowéj choroby wieku, nie są zdolni oswobodzić się od fatalnego dziedzictwa. Baudelaire panował jeszcze nad swą chorobą, znał ją i zwalczał, w karby myśli i sztuki ją ujmował. Potomstwo jego już tyle siły nie posiada. Próżnując myślą i poddając się bez krytyki swym chorobliwym zmysło-

wym upodobaniom, zakaziło ono swą twórczość. Z newrozy poetów urodziła się poezya newrozy.

Świeże badania medyków nad nędzą nerwową naszego stulecia stwierdziły i odróżniły liczne odmiany chorób, między któremi odnajdziemy wiele cech naszych dekadentów. Naprzykład mania zabarwiania dźwięków, tak zwana *audition colorée*. Jeżeli nauka zauważyła w niektórych indywiduach szczególną tę własność, że dźwięki wywołują u nich jednocześnie wrażenia kolorów, jeżeli można sądzić z pewną podstawą, że zmysły wzroku i słuchu dopełniają się i potęgują wzajemnie—to tenże fenomen znany jest i psychiatrom, jako rodzaj choroby. Mieliśmy przykład na sonecie Artura Rimbaud i dziełku Ghila, jak daleko zaprowadzić może stosowanie téj wyjątkowéj własności zmysłów do poezyi, zwłaszcza, kiedy od dźwięków do kolorów, a od tychże do najróżnorodniejszych pojęć konkretnych lub oderwanych pójdzie autor szukać analogii. Jak każde zboczenie nerwowe, tak i to od wieków zapewne istnieje w zarodku, ale nie zawsze przekonywają nas poszukiwania, czynione po mniéj lub więcéj starożytnych autorach w celu podkreślenia w ich dziełach zabarwionych dźwięków lub pojęć. Sławne, a lubiane przez dekadentów, wyrażenie Wergilego *„per amica silentia lunae“* [1]) tłómaczy się jasno każdemu, nieobdarzonemu specyalnym zmysłem „barwnego słuchania“, każdemu, który nie ma splątanych w mózgu nerwów słuchu z nerwami wzroku, jak to o p. Rimbaud i jemu podobnych wnioskuje doktor Monin [2]). Nie potrzeba także dowodzić, że często spotykane w literaturze „błękitne modlitwy“, „szare tony“, „barwne wyrazy“ są przenośniami myślowemi, a nie fizycznemi wraże[niami]. Ta jednak teorya fizyko-estetyczna zajmuje bardzo poważne miejsce między wynalazkami nowéj szkoły i służy poczęści za uzasadnienie jéj symbolistyki. Upatrzyć-by w tém można jakiś pseudo-naukowy modernizm, chęć postawienia estetyki na podstawie doświadczalnéj nauki nowożytnéj. Przypomnijmy tu „Telepsychią“, odkrytą przez Maeterlincka.

W dyagnozie opiofagów, morfinofagów, haszyszowców, maniaków religijnych, melancholików, monomanów, prześladowanych przez pewne słowa i powtórzenia, odnaleźlibyśmy podobnie różne przywidzenia i zachcianki dekadentów — tak dalece, że czasem zadawaliśmy sobie pytanie, czy nie lepiéj studyum to literackie sprowadzić wyraźnie na pole psychiatryi i z Parnasu zejść do szpitala? Ale nie, dekadentyzm graniczy tylko z psychozą i talent takiego np. Maeterlincka wznosi się czasem do artystycznéj twórczości, choć zwykle sennie tylko i na-

---

[1]) „przez kochaną księżycową ciszę“.

[2]) *Dr E. Monin.* „Les misères nerveuses“, Paris, P. Ollendorff, 1890.

wpół-świadomie ulega nerwowéj gorączce, aż do cofnięcia się autora przed własnemi myślami, „z obawy, aby nie rozkiełzać białych rumaków szaleństwa“. Przebłyski talentu pojedyńczych autorów nie uszlachetniają jednak całego ich kierunku literackiego, bo czémże ostatecznie zasłużył się, co wniósł nowego do literatury europejskiéj dekadentyzm symboliczny?

Sensualizm, zmysłowe uzasadnienie wrażeń intellektualnych, estetyka, budowana z okruchów teoryi Baudelaire'a, apoteoza newrozy— nie nowe to, ani ponętne kierunki zasadnicze. Natomiast liczne pomysły do nowéj formy poezyi, których tu powtarzać już nie będziemy. Bojąc się wogóle prostoty, uwłaczającéj niby sztuce, mają zawsze dekadenci na zawołanie kunsztowną jakąś oryginalność stylową. Są oni w ciągłéj pogoni za „Słowem“, o którém piszą traktaty, cześć mają dla wyrazów, „które istnieją i to wystarcza“, i za reformę poetyckiego języka spodziewają się zapewne laurów u potomności.

Piękna to zaiste i owocna praca—przynieść ojczystéj mowie rozwój i wydoskonalenie, ale po owocach dopiero poznaje się mistrzów słowa, którzy mają prawo tak mówić o sobie:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niéj wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
Potém z niéj łyskać błyskawicą cichą,
Potém w promieniach ją ukazać złotą,
Potém nadętą dawnych przodków pychą,
Potém ją utkać Arachny robotą,
Potém ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on by to zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,

Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potém-by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiéj w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze...
. . . .

Zdaje się, że mając u siebie takie wzory języka i obrazowania poetyckiego, możemy spokojnie patrzéć na reformatorskie zachcianki francuskich dekadentów. Zdaje się także, że źródło to mętne w wielki prąd nie urośnie i mącić nie przyjdzie czystszych wód naszych, a może i tam, gdzie powstało, wsiąknie w jałowy piasek i grunt miazmatyczny, z którego się sączy.

Józef Weyssenhoff.

MĄŻ I PAN.*)

OPOWIADANIE.

Nazajutrz pani Felicya nie pokazała się już Traczewskiemu w szlafroczku; zaraz zrana włożyła suknię.

Kazała też przenieść Władzia z łóżeczkiem z sypialni swojéj do przyległego pokoju.

Żeby uprzedzić wszelkie domysły, sama, nie pytana o to, zaczęła tłómaczyć Traczewskiemu, dlaczego przeniosła malca.

Mówiła tedy, że w tym pokoju więcéj powietrza i światła, bo mebli w nim znacznie mniéj, niż w sypialni, i drzewa ogrodowe nie zasłaniają okien.

Rzeczywiście mebli było tam mniéj, ale też i pokój był mniejszy; drzewa zakrywały okna sypialni, ale tylko w lecie.

Jedném słowem, tłómaczenie było bardzo niezręczne i mogło właśnie dać pole do różnych domysłów.

Traczewski słuchał, kiwał głową, potakując niby, ale chował przytém oczy.

Przed obiadem pani Felicya była bardzo zajęta.

Wszystko tam opierało się o nią.

Przyszedł ekonom, potém zjawił się jakiś żydek, kupiec na groch; trzeba było pogadać z jednym i z drugim, trzeba było zajrzéć tu i ówdzie.

---

*) Dokończenie. Zob. Zeszyt za miesiąc marzec r. b.

Parę godzin przeszło jak nic.

Musiała wreszcie napisać list do męża i odesłać mu konie.

Pan Roman lubił udawać czułego i troskliwego ojca. Gniewałby się bardzo, gdyby furman nie przywiózł wiadomości o Władziu. Narzekałby potém ciągle i wyrzucałby żonie co chwila, że lekceważy sobie jego spokój.

Pani Felicya posyłała mu zwykle szczegółowe raporty przy każdéj sposobności; teraz także opisała dokładnie wszystko, co zaszło w domu od czasu, jak pan Roman wyjechał, a na uspokojenie dodała, że Władzio jest tak jak zdrów i jutro wstanie już z łóżka.

Uporawszy się z tém wszystkiém, pozbywszy się kupca na groch, ekonoma i korespondencyi, która była dla niéj prawdziwą pańszczyzną, powróciła do Władzia.

Nie zastała Traczewskiego.

Był tu przed chwilą, czytał coś Władziowi, ale położył książkę i wyszedł spiesznie, skoro tylko usłyszał kroki pani Felicyi.

Unikał jéj wyraźnie.

„Pan Czesław zły, mamusiu“ — powiedział jéj Władzio, czując instynktem, że pan Czesław nie ten, co zawsze.

Przy obiedzie zamienili kilka słów zaledwie.

Pan Czesław nie był zły, nie miał przecież za co, ani na kogo się gniewać, ale był smutny, zamyślony, roztargniony. Chwilami twarz jego przybierała wyraz jakiegoś skupienia i wysilenia myśli. W spojrzeniu nie było zwykłéj śmiałości i pogody.

Ściemniało się już, kiedy wstali od stołu.

Władzio zaczął czegoś marudzić, a wkrótce potém zasnął. Pani Felicya usiadła tam koło niego, z szydełkową robotą, taką, co to daje się robić nawet po ciemku, Traczewski został sam w jadalni.

Stał w oknie, patrzył przed siebie i myślał. Myśli rwały mu się wciąż i błąkały. Patrzył na smutny wiejski krajobraz zimowy, a tęsknota zabójcza ogarniała go. Dwór, zaryty w śnieg, po okna prawie, cichy, pusty, jakby odcięty od świata, robił wrażenie grobu. Zdawało mu się, że przyszedł tu pogrzebać własne serce.

Mrok padł szybko, nagle, jak to bywa często w zimie, zwłaszcza, kiedy zanosi się na odwilż. Zatarły się wszystkie kontury, wszystko dokoła zlało się w jedną ciemno-szarą wstęgę, opasującą dwór raz wraz zwężającym się pierścieniem.

Wrony obsiadły drzewa w ogrodzie, podrywały się, krążyły i opadały znowu, upatrując sobie miejsca na nocleg, a krakały głośno, jakby się naradzały.

Wszystko to było smutne i rzucało smutek w duszę.

— Jak ja tego nie lubię! — odezwała się pani Felicya półgłosem.

— Czego?—zapytał Traczewski, jakby obudzony ze snu, odwracając się od okna.

Pani Felicya drgnęła. Zapomniała, że Traczewski jest tam. Nie myślała zaczynać rozmowy, mówiła do siebie, jak się to mówi nieraz.

— Ptactwa tego nie lubię... nie lubię tego krakania! — odpowiedziała.

Miała nerwy zmęczone i czulsze niż zwykle, więc nie dziw, że to ją raziło.

Traczewski postąpił ku drzwiom.

— Czy Władzio śpi? — zapytał.

— Śpi — odpowiedziała pani Felicya. Spojrzała na malca, zobaczyła, że zsunął z siebie kołdrę i okryła go.

— Dziwi mnie to nawet, że śpi tak mocno i tak długo—dorzuciła po chwilce.

Traczewski nie opatrzył się nawet, jak dwie godziny przemknęły, tak się zadumał.

— Niéma w tém nic dziwnego—odparł, zatrzymując się na progu. — Znudziło go to leżenie; śpi z nudów!

Przystąpił potém bliżéj i odezwał się głosem drżącym nieco:

— Chciałbym z panią pomówić!

Słowa te przeraziły poprostu panią Felicyę. Serce uderzyło jéj mocniéj.

— Przejdźmy tam na chwilę—dodał Traczewski, wskazując pokój jadalny lekkiém skinieniem głowy.

Poszła, nie ochłonąwszy jeszcze z pierwszego wrażenia.

Traczewski prosił, żeby usiadła i sam usiadł obok. Był wzruszony, ale udawał spokój, jak mógł, wpadł nawet zrazu w jakiś ton żartobliwy, niby wesoły.

— Ponieważ, dzięki Bogu, Władzio nam wyzdrowiał, więc lekarz nadworny nie potrzebny już... — zaczął i urwał nagle.

Nie mógł dłużéj tak mówić, skończył głosem, w którym były łzy.

— Muszę uciekać ztąd, chociaż żal mi pani i Władzia... Nie mogę zostać tu... nie mogę!

Pani Felicya słyszała wyraźnie każde słowo, ale nie rozumiała rzeczywistego znaczenia tych słów.

— Dlaczego? — szepnęła, nie wiedząc co mówi, machinalnie prawie.

Miała w głowie jakąś dziwną gmatwaninę, któréj nie mogła rozwikłać tak odrazu.

Trwało to tylko chwilkę, jedno mgnienie oka. Wnet myśl jaśniejsza błysła w tym chaosie.

Pani Felicya zaczęła rozumiéć.

Zrozumiała, że to nie był wybryk, kaprys, fantazya, że luźne zewnętrzne przyczyny nie wywołały tego postanowienia.

Tylko co pytała Traczewskiego, dlaczego musi uciekać, dlaczego nie może zostać, a teraz żałowała, że rzuciła to pytanie.

Traczewski zwlekał z odpowiedzią.

— Nie mogę zostać tu—odpowiedział nareszcie—bo zagryzłbym się na śmierć, albo... udusiłbym go... To, jak amen w pacierzu!

Była to mowa dosadna.

Pani Felicya spojrzała na niego ze zdumieniem i ze strachem.

— Postanowiłem sobie rozmówić się z panią dzisiaj otwarcie — ciągnął daléj... — Gdybym teraz milczał i krył się z tém, co myślę i czuję, nie darowałbym sobie tego nigdy... całe życie mógłbym żałować. Mam to przekonanie, że pani nie obrażę... Mogę tylko siebie ośmieszyć, ale mniejsza o to! Nietylko serce... sumienie także każe mi mówić...

Zniżył głos znowu prawie do szeptu.

— Zdawało mi się, że mam dla pani tylko wielką życzliwość i przyjaźń... wczoraj spostrzegłem, że panią... kocham...

Ciemno było już, więc Traczewski nie widział, jak biała, delikatna twarzyczka pani Felicyi pokraśniała nagle.

„Wczoraj, wczoraj!"—powtórzyła pani Felicya za nim w duchu

Wieczór wczorajszy stanął jéj przed oczami, jak gdyby w jedném mgnieniu oka cały ten wieczór na nowo przeżyła. Wczoraj ona téż opatrzyła się, że go pokochała...

Czuła i rozumiała, że Traczewski ma słuszność, że trzeba się rozstać, że tu niéma innéj rady, a żal ściskał jéj serce niemiłosiernie. Rozpacz jakaś straszna brała ją na myśl, że znowu zostanie tu sama.

— Po co mi pan to mówisz? — szepnęła i zakryła sobie twarz rękami, zżymając się jak w dreszczach.

— Gdybyś pani była szczęśliwą, a przynajmniéj nie tak bardzo pokrzywdzoną—mówił Traczewski spokojnie na pozór—i gdybym ja, tak, jak teraz, pokochał panią, nie wydałbym się z tą moją nieszczęsną miłością, starałbym się zapomniéć... zapomniałbym zapewne, prędzéj czy późniéj, bo na świecie niéma nic wiecznego, a czas zaciera wszystko... Teraz, gdzie się obrócę, wszędzie ścigać mnie będzie wspomnienie tego dziwnego, potwornego męczeństwa, na które pani jesteś skazaną, Bóg wie za co... Wiem, że pani nigdy, przenigdy nie zdołasz wydobyć się z téj okropnéj niewoli...

— Panie Czesławie, nie męcz mię pan, miéj litość!—westchnęła.

Traczewski zachwiał się nieco w swojém postanowieniu, czuł, że ją rani boleśnie każdém słowem niemal.

Spojrzał na nią i łzy zakręciły mu się w oczach.

Siedziała odrzucona w tył, wsparta głową o ścianę, nie odrywając rąk od oczu, złamana, przygnębiona.

Traczewski słyszał jéj oddech przyśpieszony, a ciężki zarazem. Wahał się, nie śmiał mówić, a chciał wypowiedziéć wszystko.

— Wiem, że panią to boli—zaczął znowu miękko, tkliwie—ale niech mi pani wybaczy!... Życie dałbym z rozkoszą, gdybym mógł życiem mojém szczęście i spokój pani okupić... Panią trzeba gwałtem wyrwać! Trzeba potargać te pęta, w których pani marniejesz! Pani bo masz dziwne pojęcie o swoich obowiązkach... Niéma, rozumie pani, niéma takiego prawa na świecie, któreby skazać mogło niewinną istotę na wieczne, nieustające tortury... Ludzie rozwodzą się! Wiem, że to trudno, że do tego potrzeba sposobów, których pani nie zechcesz się chwycić, ale jest przecież separacya...

Traczewski zapalał się coraz więcéj, głos jego brzmiał silniéj.

Pani Felicya rzuciła się nagle, oderwała ręce od oczu i splotła je jakimś desperackim ruchem.

Ostatnie słowa Traczewskiego obudziły ją z odrętwienia, w które zapadła.

— Dziecko-by mi zabrał — podchwyciła żywo. — Dziecka-by mi nie oddał! Mówił mi to! Niby żartem, mówił mi to już nieraz... „Możesz sobie iść z Bogiem, ja ciebie nie potrzebuję, ale Władzia ci nie dam, bo syn do ojca należy“... Mówił mi to!

Łzy wielkie, jak ziarnka grochu, posypały się jéj z oczu.

— Syn należy do ojca!—powtórzyła zdławionym jakimś głosem.

Traczewskiemu krew biła w skroniach, jak młotami.

„Podły, nikczemny zwierz“—powiedział sobie w duchu, bezwiednie zaciskając zęby i pięści.

— To do niego podobne—odezwał się.—Nie oddałby dziecka, to więcéj, niż pewne... ale sprzedałby!..

Pani Felicya wpatrywała się w niego szeroko rozwartemi oczami.

— Sprzedałby—mówił Traczewski z najwyższą pogardą dla tego człowieka, którego nienawidził całém sercem. — Co on wart bez majątku? Czyż on umie zapracować na kawałek suchego chleba? Wszak tu wszystko pani! Rzucić mu w oczy połowę tego majątku, a chociażby i cały, i kupić sobie wolnosć, spokój, może nawet szczęście... to więcéj warte! On sprzeda!.. Wszystko sprzeda! Sprzeda panią, dziecko, sumienie... duszę!

— Ah! Przestań pan na Boga! — jęknęła pani Felicya z płaczem.

W téj chwili Władzio rzucił się na łóżku, odwrócił się, zobaczył, że niéma nikogo w pokoju, i głośno zawołał: mamo!

Zerwała się i pobiegła na ten głos.

Malec pociągał się, przecierał oczy i oglądał się dokoła.

— Czego chcesz, kochanku? — pytała pani Felicya, pochyliwszy się nad nim.

— Kole mnie tu. Nie mogę oddychać — skarżył się Władzio.

W jednéj chwili zapomniała o wszystkiém, widziała tylko skrzywioną twarzyczkę dziecka, słyszała tylko jego skargę.

— Panie Czesławie! — zawołała i zaraz zwróciła się znowu do Władzia i dopytywała się, gdzie go kole, czy bardzo kole, kiedy kłuć zaczęło.

— Tu, tu i tu — odpowiedział malec, pokazując rączką swoje wązkie, słabo rozwinięte piersi i chude łopatki, a potém sam zadawał jéj pytania jedno po drugiém:

— Czemu świecy niéma? Gdzie pan Czesław? Gdzie mamusia była?...

Pan Czesław stał już przy jego łóżeczku, ale stał w głowach, więc Władzio nie mógł widziéć go. Przechylił się przez poręcz łóżka i pocałował malca całkiem niespodziewanie.

Malec zaśmiał się najpierw, a późniéj skrzywił się i drgnął.

— Kole!...

Traczewski obszedł łóżeczko dokoła i przysiadł na krawędzi.

— Pan Czesław nie gniewa się już? — pytał Władzio.

— Nie! Skąd-że ci przyszło do głowy, że pan Czesław się gniewa? Nie gniewa się i nie gniewał się — odpowiedziała pani Felicya.

Traczewski podniósł go tymczasem i zaczął osłuchywać.

Słyszał znowu w piersi małego ten szmer podejrzany, który go tak przestraszył wówczas, w nocy. Teraz szmer ten wydał mu się jeszcze wyraźniejszym i groźniejszym. Pukał i słuchał i pukał znowu.

— Zawsze lepiéj posłać po doktora — rzekł, podnosząc się. Na twarzy jego malował się wielki niepokój; szczęściem pani Felicya nie mogła tego dojrzéć w pomroce.

— Zdaje się, że niéma nic strasznego, ale kto wie — mówił Traczewski — może to się zbierało, zbierało i zebrało nareszcie... Już sam przebieg taki powolny, łagodny, dowodzi, że nie może być nic niebezpiecznego.

To rozumowanie miało wszelkie pozory słuszności i mogło uspokoić potrosze panią Felicyę.

Traczewski poszedł na folwark wybrać jakie lepsze konie i sprytniejszego parobka. Pani Felicya kazała podać światło i przygotowy-

wała tymczasem te lekarstwa domowe, które już poprzednio niby trochę pomogły Władziowi.

Zaraz się pokazało, co to małe chłopię znaczyło w domu. Nie potrzeba było tam nikogo napędzać, każdy sam się pilnował, każdy rad był dopomódz w czémś, dogodzić małemu i ulżyć pani Felicyi.

Furman, który wykręcał się tak od jazdy, stanowił wyjątek, może dlatego, że to był sługa pana Romana i faworyt, zresztą cała służba kochała panią i przepadała za paniczem. Ekonom sam zaprzęgał konie; parobek, któremu kazano jechać po doktora, nie skończył wieczerzy, rzucił łyżkę i za chwilę był już gotów do drogi; dziewczęta garderobiane uwijały się jak nigdy, kucharz przyszedł zapytać panią Felicyę, czy nie każe czasem ugotować rosołu z kury, żeby panicz miał na każde zawołanie czém się posilić; gospodyni, któréj się zdawało, że każda choroba przychodzi z uroku, czekała długo w kredensie na panią Felicyę, żeby doradzić środek, wypróbowany z praktyki znachorskiéj, mianowicie spędzenie uroku za pomocą węgli rozżarzonych, spuszczanych na wodę; Marcin postawił samowar na wszelki wypadek, dmuchał, dorzucał węgla i łaził po całym domu, podsłuchywał pode drzwiami, zaglądał do pokoju, w którym Władzio leżał, wzdychał i zażywał tabakę zawzięcie raz po raz, co było u niego niezawodną oznaką wielkiego zaniepokojenia.

Traczewski, wracając z folwarku, spotkał Marcina na dziedzińcu pod oknami. Stary wojował z Trusiem.

„Wody, wody na psa!“—pokrzykiwał i uganiał się za nim z patykiem.

— Co to pan Marcin upatrzył sobie do Trusia? — zapytał Traczewski.

Marcin zaniechał gonitwy, rzucił patyk i westchnął głośno.

— Co biedne psisko zawiniło panu Marcinowi?

— Eh, niechaj go cholera! — zaklął stary i splunął.

— Otóż masz! — zaśmiał się Traczewski.

Truś nie bał się widać ani Marcina, ani wody, ani tego patyka, bo podszedł, stanął pomiędzy nimi i poglądał to na jednego, to na drugiego, jak gdyby wiedział, że to o nim mowa.

— Źle, kochany panie dobrodzieju! — rzekł Marcin.

— Abo co?

— A to, że to ścierwo włóczy się pod oknami... Pysk ci w niebo wyceluje i skamli.

— Może wilki czuje!— rzekł Traczewski i przywołał Trusia do siebie.

— Biedny pies, biedny! — mówił, głaszcząc go po łbie i po grzbiecie. — Pędzą psa, biją psa...

A Truś łeb nastawiał i przysuwał się do Traczewskiego, widocznie wdzięczny za opiekę.

— Jakie on tam wilki czuje—mówił tymczasem Marcin.—Gdzie to teraz wilki! W odwilż wilk nie ma już téj śmiałości, do wsi nie podeńdzie. To jest źle, proszę pana... Czemu on jucha wczora nie czuł wilków, abo onegdaj?... Źle jest!...

— Bóg wie, co się Marcinowi roi—odparł Traczewski, domyśliwszy się wreszcie, skąd się to bierze ta zawziętość starego na Trusia.— Głupi przesąd! To nawet nie wypada, żeby pan Marcin, taki człowiek rozumny i wiekowy, mówił o takich bzdurstwach

Jednak dreszcz zimny przeszedł mu po całém ciele, od stóp do głów.

— Wziąć psa do sieni i zamknąć, żeby nie włóczył się pod oknami. Anuż panią przestraszy! — dorzucił wnet.

— A bo on się da? Toć ganiam tu za bestyą i ganiam, i ani weź go przepędzić stąd... To czort nie pies!

— Wezmę ja go do swego pokoju; tam psisko położy się i będzie sobie spał do rana.

— O to, to!—ucieszył się Marcin.

Traczewski poszedł naprzód i wołał psa, ale wołał napróżno.

Truś nie ruszył się z miejsca; słyszał przecież, jak Traczewski naradzał się z Marcinem, więc przewąchał zdradę i stracił wszelkie zaufanie. Przysiadł, patrzył na nich obojętnie, ziewał, oblizywał się i ani myślał ustąpić ze stanowiska, na którém tyle lat wytrwał.

Marcin nie poradził groźbą, a Traczewski nic nie wskórał prośbą, tylko zawrócili psu głowę tak, że w czas obcych ludzi nie poczuł. Opatrzył się, zaczął szczekać i pobiegł do bramy wówczas dopiero, kiedy już jakieś sanki wsunęły się na dziedziniec.

Traczewski i Marcin myśleli zrazu, że to pan Roman wraca, bo z daleka i po ciemku trudno było coś rozpoznać; Traczewski wspomniał już nawet dyabła. Niebawem przekonali się, że to był ktoś obcy. Byli bardzo ciekawi, kogo téż Bóg sprowadza tak niespodziewanie i tak nie w porę. Każdy gość był tu w téj chwili co najmniéj niepożądanym.

Konie były małe, saneczki takie, że dwie osoby ledwie nieledwie mogły się w nich zmieścić. Sunęło się to powoli, noga za nogą.

— Co za licho? — mruknął Traczewski.

Sanki dowlokły się nareszcie i stanęły przed gankiem.

Na przodzie siedział chłop w kożuchu i w siermiędze, zgięty we czworo, z tyłu jakaś jejmość.

Jejmość, owinięta chustkami jak mumia, siedziała wysoko i niewygodnie na kufrze, czy téż na tłomoku, który całe sanie zajmował.

— Bida jakaś — zadecydował Marcin, przypatrzywszy się temu.

Sanie stały już chwilę przed gankiem, a ta pani nie ruszała się z rusztowania, na którém siedziała, i nie odzywała się, tylko obróciła się twarzą do Traczewskiego i Marcina i wyraźnie czekała, aż który z nich przyjdzie do niéj. Była w tém charakterystyczna nieśmiałość gościa, który, jadąc do kogoś, wie naprzód, że ten ktoś nie będzie mu rad.

Marcin podszedł i stanął tuż obok, ale nie odzywał się.

Jejmość wydobyła głowę z chustek, przechyliła się nieco, wsparłszy się na ręku, i przyglądała się Marcinowi.

— A, proszę! — zaczęła piskliwym głosem. — Czy państwo są w domu?

— Pana niéma — odpowiedział Marcin sucho, jak lokaje umieją mówić do ludzi, których sobie lekceważą.

— Niéma! A kiedyż pan wróci?

— Kto to może wiedziéć! Nasz pan jak pojedzie, to sam nie wie, kiedy wróci.

— Aa!

Mogło to oznaczać zdziwienie, mogło téż oznaczać pewne zadowolenie.

— A pani jest?

— Pani jest, ale niby...

— Może śpi? — zapytała, przerywając. Nie obliczyła się widać z czasem, bo nawet na wsi w téj porze jeszcze spać nie chodzą.

— Gdzie zaś śpi—podchwycił Marcin. — Pani dzisiaj pewno całuśką noc oka nie zmruży. Pani zmartwiona taka, że strach! Panicz u nas słabuje; trzeci dzień jak chory. Wczora było niby lepiéj, a teraz znowu gorzéj się zrobiło; tylko co posłaliśmy po doktora.

Stary myślał, że w ten sposób pozbędzie się nieproszonego gościa i dlatego wysypał te wszystkie wiadomości odrazu, jak z rękawa.

— Cóż to małemu? — zapytała.

Marcin ramionami wzruszył.

— No, no — ozwała się po krótkiéj przerwie. — Źle trafiłam, nieszczęśliwie trafiłam! Ale może Bóg da, że to przejdzie!

Zsunęła się ostrożnie i pomaleńku wysiadła z sani. Marcin nie pomagał jéj.

„Niech sobie wyłazi, co mnie do tego“ — myślał, patrząc na nią obojętném okiem.

— Tędy się wchodzi? Czy tu otwarto? — pytała, pokazując drzwi ręką, zatopioną w olbrzymiéj mufce, jakie wówczas noszono.

— Tędy, tędy! — mruknął Marcin, otwierając drzwi z widoczną niechęcią.

Nie wiedziała, kto jest Marcin, nie wiedziała, jak mówić do niego i wahała się chwilkę.

— Proszę z łaski swojéj powiedziéć pani, że przyjechała panna Lucyna, siostra pana...

— Nu, niech pani idzie daléj, tam daléj *świci* się — rzekł na to Marcin i poszedł naprzód.

„Taka ci *siupryza*“ — myślał sobie — „mało było jednego, drugie dyabli przynieśli! Już jak tylko siostra panowa, to musi być nic dobrego“.

Stary nie lubił pana Romana i każdéj rzeczy, która jego była, i każdego, kto mu bliższym był; nie lubił butów pana Romana, złościł się i klął na czém świat stoi, czyszcząc je, nie lubił futra, burki, surdutów paryskich i wszystkiego, jedném słowem, co do niego należało; nic dziwnego, że patrzył na siostrę jego, jak pies na kota.

Tam daléj w małym przechodnim pokoiku było już światło. Panna Lucyna została tam i zaczęła rozbierać się, a Marcin poszedł zawiadomić o jéj przybyciu panią Felicyę.

Pani Felicya widziała siostrę męża raz w życiu na swojém weselu; zapomniała nawet, jak ona wygląda, nie poznałaby jéj, gdyby nie była uprzedzoną.

Załamała ręce, kiedy Marcin oznajmił jéj, że panna Lucyna przyjechała.

Do wszystkiego brakowało jeszcze takiego gościa.

— Co ja z nią zrobię? — pytała Marcina, nie mogąc na razie ukryć swego zakłopotania.

Marcin ramionami wzruszył i mruczał sobie coś pod nosem.

Panna Lucyna pochwyciła bratowę w ramiona, ściskała ją i całowała długo i czule.

— Nic się bratowa nie zmieniła, nic a nic nie zestarzała, zawsze taka milusia, taki cukierek, jak wówczas, kiedy bratowa była jeszcze panieneczką — mówiła, chociaż przy skąpém oświetleniu nie mogła widziéć, czy pani Felicya zmieniła się.

Pani Felicya nie przywykła do komplementów; te słodycze raziły ją.

— Podobno malutki chory? I cóż mu jest? Pewno się zaziębił, bo teraz wszędzie dzieci chorują z przeziębienia... Aura taka, zima w tym roku niegodziwa... Ja tak zziębłam, takie mam dreszcze... Taka droga z mojém zdrowiem, to wielkie ryzyko, szczególnie, że ja ciągle choruję na serce... Najmniejsza fatyga, najmniejsza irrytacya, zaraz humory uderzają do głowy i dostaję takiego silnego bicia serca, że pojęcie przechodzi! zdaje mi się, że umieram...

— Niech-że siostra pozwoli daléj, zaraz będzie herbata, siostra się rozgrzeje — wtrąciła pani Felicya.

Panna Lucyna zdjęła z siebie ostatnie dwie chusteczki i przeszła do jadalni.

— A gdzież malutki?—pytała, idąc. — Niech-że mi bratowa pokaże go! Do kogo téż podobny? do Romcia, czy do bratowéj?

Mówiła, widać, byle mówić, bo nie czekała na odpowiedź i nie dała nawet odpowiedziéć sobie. Zaraz zwróciła się do Marcina:

— Proszę z łaski swojéj kazać zdjąć mój kuferek, tylko ostrożnie, tak, żeby nie przewracać, bo tam na wierzchu są różne drobiazgi, które mogą się potłuc. Pojęcie przechodzi, jaką ja miałam drogę! drugi dzień jadę. Wczoraj dostałam takiéj migreny, że już nie mogłam daléj jechać i konie były zmęczone, więc chłop uparł się nocować! W karczmie, w okropnéj żydowskiéj karczmie, musiałam nocować... Z okien wiało tak, że co miałam, to pozawieszałam i pozatykałam szpary... To mi najwięcéj zaszkodziło, bo dla mnie najmniejsze zaziębienie jest zabójcze...

Był to pytel nieustający, niezmordowany pytel, którego prawie niepodobna było zatrzymać na chwilę.

— Słabowita ta pani, siostra naszego pana, mówi, że ją wszystko boli, a tylko jeden język co ma najzdrowszy—mówił potém Marcin Traczewskiemu — ale mnie się widzi, że ona tym językiem życie obrzydzi naszéj pani do reszty. Już kiedy ją tu licho przyniosło po nocy takiemi saneczkami, to nie bez kozery... jeszcze i z kufrem takim, jak stodoła!...

Traczewski nie pokazywał się, dopóki go nie zawołali na wieczerzę.

Panna Lucyna pytała już bratowę o niego, bo widziała go na dziedzińcu.

— Dla pana to musi być wielka przyjemność uczyć takie dziecko — zaczęła, jak tylko pani Felicya przedstawiła jéj Traczewskiego.—To taki aniołek, takie musi być dobre dziecko! A taki śliczny! Podobny do Romcia, jak dwie krople wody.

— Zapewne dlatego taki śliczny—wtrącił Traczewski złośliwie.

Panna Lucyna nie poznała się na tém i wnet podchwyciła:

— Rzeczywiście Romcio był śliczny! Nie wiem, jak teraz wygląda, bo dawno już nie widziałam go...

— Zawsze ładny i bardzo miły — przerwał jéj Traczewski tym samym tonem.

— Już to panowie macie ten przywiléj—westchnęła panna Lucyna—że lat na was nie znać! Ja jestem o całe dziesięć lat młodsza od Romcia, a ręczę, że on lepiéj ode mnie wygląda.

Sądząc z wyglądu, trudno było zgadnąć, kto z nich dwojga był starszy, ale od pierwszego wejrzenia można było poznać, że to rodzeństwo.

Podobieństwo było uderzające. Panna Lucyna miała te charakterystyczne ostre rysy, miała to zimne, przeszywające spojrzenie. Różnili się za to nieco usposobieniem: pan Roman był milczący, skupiony, mruk, a panna Lucyna rozmowna, tak rozmowna, że mogła, jak Marcin się wyraził, życie obrzydzić ludziom swoim językiem.

To, co mówiła, nie trzymało się jakoś jedno drugiego, nie miało najczęściéj poprostu zdrowego sensu; ale panna Lucyna mówiła ciągle, snuła to wciąż, niby nić z kądzieli, rwała, nawiązywała i ciągnęła bez końca.

Lubiła zajmować ludzi sobą i najwięcéj mówiła o sobie, lubiła téż wtrącać się do wszystkiego.

W parę godzin dała się już poznać z téj strony.

Podczas wieczerzy pani Felicya musiała kilka razy wstać i dowiedzieć się do Władzia, a panna Lucyna zrywała się także za każdym razem i szła za nią.

Ciągle coś radziła i ciągle miała coś do zarzucenia.

— Trzeba okryć tego aniołka, okryć ciepło, bardzo ciepło, żeby się spocił — radziła, nie widząc, jak ten aniołek jest okryty, byle tylko coś poradzić.

— Muszę téż zobaczyć u siebie w kufrze... zdaje mi się, że ja tam mam receptę na proszki! — mówiła, powróciwszy od Władzia.

— Cóż Władziowi pomoże recepta? — zapytał Traczewski.

— Ależ panie, cudowne proszki! W zeszłym roku o mały włos, że nie umarłam... Było to coś podobnego, gorączka i dreszcze, i kolki w piersiach... nasz poczciwy doktor Kopestycki zapisał mi te proszki, i jak ręką ujął.

Chciała przewracać wszystko w kufrze i szukać téj cudownéj recepty, a w Traczewskiego wmawiała, że to dla niego, jako dla medyka, powinno być bardzo ciekawe.

— Pan zaraz zobaczy, co tam jest w tych proszkach, i zapamięta pan sobie, bo to, panie, doktor Kopestycki jest sławny na całą gubernię... tacy, co to już na śmierć *zdekradowani*, jadą do niego...

Nieznośna była, jedném słowem, a szczególnie w takich warunkach, jakie tu zastała.

Godziny wlokły się powoli, zatrute niepokojem wzrastającym wciąż; doktor nie przyjeżdżał, a z Władziem było coraz gorzéj i gorzéj. Objawy zewnętrzne występowały coraz wyraźniéj; około północy pogorszenie było bardzo widoczne i wogóle stan był już nie tylko niepokojący, ale groźny.

Panna Lucyna radziła, żeby natychmiast zaofiarować Władzia do Świętéj Anny. Przytaczała świeży przykład:

— Sewerka, siostra cioteczna moja, straciła dwoje dzieci na szkarlatynę w jesieni, trzecie zaofiarowała do Świętéj Anny i wyszło!

Z tego wysnuła długie opowiadanie, które skończyła wówczas dopiero, kiedy ją sen zmógł. Nie chciała się położyć, ale zdrzemnęła się w krześle, siedząc.

— Zdaje mi się, że od tego przybytku nieraz panią głowa zaboli — odezwał się Traczewski półgłosem.

Pani Felicya wzruszyła ramionami.

— Trzeba przecierpiéć kilka dni — odpowiedziała, oglądając się na siostrę i upewniwszy się, że ta drzemie i nie może słyszéć téj rozmowy.

Nie przyszło jéj dotąd na myśl, że panna Lucyna nie przyjechała w odwiedziny na kilka dni, ale miała zamiar zamieszkać u brata.

Traczewski domyślił się tego odrazu.

— Tu nie na kilka dni się zanosi — rzekł, a zaraz potém dodał, zapominając się: — Zostawić ich tu i uciekać!

Pani Felicya spojrzała na niego prawie z wyrzutem i odwróciła się.

Nie czas było mówić o tém przy łóżeczku chorego dziecka.

Spojrzenie pani Felicyi było wymowne, nie potrzeba było słów.

Traczewski zrozumiał, umilkł i spuścił oczy. Wstyd mu było, że się zapomniał i obraził majestat miłości macierzyńskiéj.

Ale stało się. Przypomniał pani Felicyi rozmowę wieczorną, odświeżył wrażenia, które strach o Władzia zatarł na razie. Myśl taka, przywołana nie w porę, nie daje się potém odegnać, powraca wciąż, uparta, natrętna. Strach o dziecię spętał jéj myśli; jedna wzmianka pobieżna rozkiełznała je.

Pani Felicya przypomniała sobie wszystko, co Traczewski mówił, jak gdyby teraz wszystko to powtórzył słowo w słowo. Słowa te płynęły z serca, trafiły wprost w serce i budziły ją do jakiegoś nowego życia, o jakiém wpierw nie marzyła.

„Czy to możebne, czy to podobne do prawdy? A może Bóg mnie skarze za to?“ — zapytywała się w duchu; oglądała się z trwogą dokoła i zatrzymywała wzrok na dziecku, jak gdyby chciała się przekonać, czy w téj chwili wolno jéj myśléć o sobie.

„Bóg dobry, Bóg sprawiedliwy“ — myślała pochwili — „Bóg karać mnie nie będzie za to, że pragnę zaznać, jeżeli nie szczęścia, to przynajmniéj spokoju na tym świecie... Bóg nie broni przecież szukać szczęścia i spokoju... Może to taka właśnie wola Boża“.

Przyszły jéj na myśl ostatnie słowa Traczewskiego, śmiałe, brutalne: „On sprzeda, wszystko sprzeda“—wzdrygnęła się zrazu, a potém zaczęła rozważać te słowa. Czuła w nich prawdę.

„Żebyż tylko Władzio wyzdrowiał, wyzdrowiał!“ — modliła się w duchu.

Traczewski siedział zamyślony z pochyloną głową i nie patrzył na nią, panna Lucyna drzemała w najlepsze, sapiąc głośno i pochrapując, Władzio był spokojniejszy nieco; nic nie przerywało pani Felicyi tych rojeń, rojeń więźnia, któremu świta nadzieja wyrwania się z pod rygla.

Przerwało je dopiero nad ranem pukanie do drzwi, ruch i rozmowa w sieni. Marcin otwierał drzwi doktorowi i rozmawiał z nim. Poczciwy starowina przesiedział całą noc w sieni, czekał na doktora i trzymał tam Trusia, żeby nie wałęsał się pod oknami i nie wył, jak miał ochotę.

Lekarz, oczekiwany z taką niecierpliwością, przybył nareszcie, a z nim wraz przybyła nadzieja i otucha.

Pani Felicya wybiegła czemprędzéj na spotkanie.

— Nie mogłam się doczekać pana—mówiła, witając go.

Doktor znał ją od dziecka prawie i sprzyjał jéj szczerze.

— Cóż tam, cóż tam takiego strasznego?—pytał niby.—Znamy się oddawna, kochana pani, niejedną beczkę soli zjedliśmy już! Ja wiem, że pani potrafi zrobić z muszki kuropatwę, kiedy chodzi o Władzia!

Pocałował ją w rękę i usiadł.

— Niech-no się ogrzeję trochę, to zobaczymy!

Tarł sobie ręce, żeby prędzéj się rozgrzać, bo mu spieszno było, bo sam był niespokojny.

Ten człowiek był jakby stworzony na lekarza. Od pierwszego wejrzenia budził zaufanie, pociągał i jednał sobie ludzi. Miał twarz rozumną i poczciwą, miał humor spokojny, równy, który orzeźwia upadających na duchu.

Wypytał panią Felicyę, jak to się zaczęło i co na razie robiła, ogrzał się i poszedł do Władzia.

Na wsi trudno o lekarza, ale za to lekarz, jak przyjedzie, to siedzi tak długo, jak może, lub téż, jak potrzeba koniecznie. Tak to bywa zwykle, cóż dopiero, kiedy lekarz jest przyjacielem i widzi, że jest potrzebnym.

Tu nie mogło być nawet mowy o powrocie.

Doktor wziął się do Władzia energicznie, zrobił wszystko, co można było zrobić, potém napisał jeszcze kilka recept i kazał posłać z niemi natychmiast umyślnego. Szepnął na ucho Traczewskiemu,

żeby posłaniec konia nie żałował. Widział niebezpieczeństwo, ale nie wydał się z tém. Uśmiechał się, żartował, na chwilę nie stracił spokoju i pewności siebie.

— Przyznam się, że mnie strach wziął, jak zobaczyłam takie długie recepty— odezwała się panna Lucyna, pochwyciwszy pierwszą sposobność do rozmowy.

Za długo już milczała; milczenie męczyło ją, chociaż często powtarzała, że nie może dużo mówić, bo dostaje bicia serca.

— Słuchać nie mogę, jak to biedactwo oddycha... jak mu tam gra w piersiach; słabo mi się robi.

— Pani dobrodziejka nerwowa! — wtrącił doktor i spojrzał na nią, przymrużywszy oczy.

— Już to prawda, że ja mam nerwy, jak pajęczyna — odpowiedziała, biorąc to na seryo.—Ja patrzę na bratowę i wydziwić się nie mogę, że ona jest zdolna słuchać tego i czekać cierpliwie. Ja bym już ziemię i niebo poruszyła! A serce, to moje największe utrapienie...

— Jak zwykle u niewiast — zażartował doktor.

Pierwszy raz widział pannę Lucynę, ale prędko poznał się na niéj. Żart ten zraził nieco pannę Lucynę, nie zupełnie jednak. Nie przestała jeszcze mówić o sobie, a raczéj o swojém sercu.

— Teraz naprzykład—ciągnęła daléj—jak pan konsyliarz przyjechał, to już zrobiło na mnie pewne wrażenie... już nie mogę się uspokoić... Serce to mi tak bije, bije mocno i przestaje. . już tam jest nie tak, jak potrzeba.

— A w głowie? — zagadnął doktor z miną drwiącą.

— W głowie mam tylko szum— odpowiedziała, nie poznając się na tém.

Z ręką na sercu postąpiła kilka kroków.

— Ot, niech pan konsyliarz sam zobaczy, jaki to anormalny ruch...

Doktor roześmiał się.

— Niestety, pani dobrodziejko, medycyna nie ma żadnych środków na choroby serca, a szczególnie na choroby serca panieńskiego...

Zwrócił się do pani Felicyi:

— Każ mi pani dać szklankę herbaty i dajcie mi przespać się jaką godzinkę! Tłukłem się całą noc i jestem zmęczony, co się zowie.

Tem obraził na siebie pannę Lucynę.

— Nie mam jakoś przekonania do tego doktora—mówiła potém.— Traktuje chorobę lekko, zbywa żartami, błaznuje... Z Władziem jest źle. Ja na miejscu bratowéj przedewszystkiém dałabym wiedzieć bratu!... Jakby Romcio był w domu, to-by się to robiło inaczéj.

— Zapewne — wdał się Traczewski — Władzio dostałby w skórę i wyzdrowiałby bez doktora.

Rzuciła mu za to spojrzenie złośliwe.

— Pan nie łaskaw na brata—rzekła z przekąsem.—Bardzo mnie to dziwi! Romcio posłałby może po Kopestyckiego. On dziwnie szczęśliwie leczy dzieci. Gdyby tu był Kopestycki, to ja byłabym spokojna o Władzia.

Wieczorem doktor wziął Traczewskiego na stronę.

— Trzeba dać znać ojcu, bo nie dobrze jest — powiedział krótko i wyraźnie.

Posłaniec konny wyruszył zaraz na noc w świat, na cztery wiatry, szukać pana Romana.

Straszna była ta noc, a po niéj przyszedł dzień straszniejszy jeszcze.

Świece dopalały się już, a żółte blaski ich topniały w białawém świtaniu, skupiały się coraz więcéj i coraz więcéj raziły oczy. Cienie rozpływały się i nikły powoli, a światło dzienne, jednostajne, równe, kładło się w koło i wydobywało z pomroki szczegóły nieładu, który zapanował w tych kilku pokojach od wczoraj.

Nieład był uderzający. Tu i owdzie stały flaszki z lekarstwami i walały się różnobarwne papierowe kapturki, zdarte z nich ręką niecierpliwą i rzucone w pośpiechu, sprzęty powysuwane z miejsc swoich, zawalone różnemi rzeczami, które ktoś wydobył, widać szukając czegoś innego, i cisnął, szklanki, łyżki z resztkami mikstur, garnuszki, które, Bóg wie jak, dostały się z kuchni do pokojów, na stole do kart wielka miska z piaskiem, w którym tarzały się grube, opite pijawki, bielizna krwią poplamiona i zabawki, któremi Władzio bawił się jeszcze w południe...

Okropne, smutne pobojowisko.

Nikt tego nie sprzątał, nikt nie dbał o to, nikt tego nie widział nawet, chociaż, co żyło, to się uwijało tu, w tych trzech pokojach. Oczy wszystkich były zwrócone na bladą, ściągniętą, wychudłą z dnia na dzień i zmęczoną twarzyczkę małego i wszystkim zachodziły łzami.

Malec nie spał całą noc, nad ranem dopiero zaczął usypiać, ale budził się co chwila; nie skarżył się, nie odzywał się prawie, dyszał ciężko, z wysiłkiem, a spojrzenie miał takie, że serce się krajało od tego. Był nawpół tylko przytomny, a od czasu do czasu zapadał w zupełną nieświadomość.

— Mamo! — szepnął, ocknąwszy się.

Szepnął tylko tak cichutko, że ledwie ustami poruszył, ale pani Felicya posłyszała, czy odgadła, czy téż przeczuła. Przybiegła, cała drżąca, gotowa życie oddać na jego zawołanie.

— Czego chcesz, moja dziecino? — pytała.

Władzio nie odpowiadał. Leżał nawznak, odkrył się i skubał jedną rączką kołdrę. Twarz jego przy białéj koszulce wydawała się żółtą, jak wosk; wzrok błąkał się po pokoju.

— Ciągiem skubie i skubie — mówiła gospodyni, patrząc na to przez drzwi sypialni, i potrząsała głową smutnie, bo wiedziała, że to bardzo zły znak.

Pani Felicya powtórzyła pytanie kilka razy napróżno. Władzio milczał; oczy jego robiły się jakieś dziwne, zachodziły mgłą.

— Władziu, aniołku, duszyczko, kochanie moje, co ci jest? — mówiła pani Felicya.

Wpiła się ustami w jego usta i nagle rzuciła się jak szalona... Przeraziła ją dziwna oporność tych ust, które zawsze umiały całować tak słodko, a teraz nie lgnęły do jéj ust, poczuła jakiś chłód straszny, który zmroził ją całą odrazu, od stóp do głów.

— Ratunku! — krzyknęła. — Ratunku! Weźcie moją duszę!.. Boże, litości, litości... miłosierdzia, mi-ło-sierdzia!

Załamała ręce i ściskała je tak mocno, że posiniały i pobielały. Krzyk zmienił się w ryk jakiś dziki, zwierzęcy.

— Miłosierdzia, Boże! Miłosierdzia!

Zachwiała się na nogach.

Traczewski podbiegł, objął ją ramieniem i podtrzymał.

Czuła widać przy sobie człowieka, który rozumiał ją i z nią razem cierpiał, bo odwróciła się, zarzuciła mu ręce na ramiona i twarzą przypadła do piersi jego.

Patrzył na to doktor i Marcin, patrzyły dziewczęta garderobiane i gospodyni, i nikt nie widział w tém nic zdrożnego.

Tylko panna Lucyna zgorszyła się. Wytrzeszczyła oczy na bratowę.

„Czy to widziane rzeczy, żeby się tak zapomniéć“ — mówiła do siebie półgłosem, nie mając do kogo mówić.

Takie pogwałcenie konwenansów wydało się jéj potworném i oburzyło ją.

„Brat bo także dziwak, żeby zostawiać tak żonę młodą i ładną sam na sam z młodym obcym mężczyzną“ — myślała sobie.

Mogła myśléć o tém w takiéj chwili.

* * *

A tymczasem posłaniec gonił za panem Romanem od dworu do dworu, po świeżych śladach. Znalazł go dopiero w piątym, i to w takim wesołym dworze, w którym bawiono się ciągle, bez względu

na to, czy karnawał, czy post. Tyle tylko, że nie tańczono w post, ale gości zawsze huk, gra wysoka, gospodarz, szlachcic staréj daty, gościnny i serdeczny, choć do rany przyłóż, płeć piękna licznie i godnie reprezentowana.

Tam pan Roman zatrzymał się; tam znalazł go wreszcie posłaniec.

Posłaniec przyjechał z gębą tylko, bo Traczewski nie chciał pisać, przyjechał z wieczora i zastał pana Romana przy zielonym stoliku.

— No, przecież na noc nie pojedziesz—mówił mu gospodarz domu.—W nocy to cię jeszcze wilki zjedzą. W dodatku zanosi się na porządną zadymkę. Przenocujesz i pojedziesz sobie z Bogiem jutro, po dniu. Ja wiem, jak to kobiety umieją przesadzać! Malca głowa zabolała; może się zaziębił, może zjadł coś niezdrowego: zaraz gwałt! Twoja pani rozkochana w jedynaku, to ma duszę na ramieniu... Dobrze zrobiła, że dała ci wiedzieć, ale może tam niéma nic strasznego... Ja głowę-bym dał za to, że to bagatela...

Pan Roman rwał się niby, chciał jechać; odradzano mu i perswadowano. Skończyło się na tém, że zgrał pulę, przenocował i wyjechał dopiero nazajutrz po śniadaniu.

Przed zachodem był już w domu.

Wpadł, jak zwykle, z wielkim hałasem i krzykiem. Marcin nawinął mu się najpierw.

— Jakże tam Władzio, zdrowszy? — zapytał pan Roman.

Marcin słyszał, ale udawał, że nie słyszy, ściągał z niego szubę i milczał.

— Czegoż milczysz, stary ośle?—zaczął pan Roman po swojemu.

Marcin milczał wciąż; ot poprostu nie chciał mówić o tém, rzucił tylko panu spojrzenie, nienawiści pełne.

Kroczewicz rozebrał się i poszedł daléj.

Dziwném wydało mu się to, że żona nie wyszła do niego; wyuczył ją przecież tak, że zrywała się z łóżka, o północy nawet, i biegła drzwi otwierać, uprzedzając służbę.

Pan Roman kręcił nosem i zaczynał się dąsać. W jadalni spotkał siostrę. Była to dla niego niespodzianka taka, że zapomniał języka w gębie, jak to mówią. Korespondował z nią i w każdym liście powtarzał jéj, żeby nie ważyła się przyjeżdżać. Tymczasem przyjechała, wbrew woli jego, jakby na złość jemu, przyjechała.

Panna Lucyna miała widać zamiar powitać go ciepło, już nawet wyciągnęła do niego ramiona i dobyła najsłodszego głosu:

— Romciu!

— Ah!—przerwał pan Roman.—Czemuż zawdzięczam taką przyjemność... taką rozkosz? Zkądżeż to siostrzyczka najdroższa się tu wzięła?

Było w tém tyle sarkazmu, tyle złośliwości! Panna Lucyna nie spodziewała się wprawdzie serdecznego przyjęcia, ale nie spodziewała się téż i takiego.

— Okrutny jesteś, Romciu!—westchnęła—ale ja przebaczam ci!

— Dziękuję!—zaśmiał się pan Roman.—Wiesz, że twoje przebaczenie to mi tak potrzebne, jak dziura w moście!

— Przebaczam ci, bo ręka boska dotknęła cię—skończyła, wznosząc oczy w górę. — Może cię Pan Bóg karze za moje upokorzenia i za twoje okrucieństwo, za to, że nie miałeś nigdy serca dla rodziny i pomiatałeś nami wszystkimi.

W pierwszéj potyczce z siostrą pan Roman zapomniał o Władziu. Siostra przypomniała mu, a przypomniała w sposób podnoszący grozę.

Już to miał do czynienia z przeciwnikiem kutym na cztery nogi; walka była co najmniéj równa.

Pan Roman załypał oczami; nie rozumiał jeszcze dobrze.

— Pan Bóg zabrał ci dziecko! Może to i lepiéj? Kto wie, możebyś ty nie potrafił być dobrym ojcem, tak, jak nie umiałeś być dobrym synem, ani bratem! Bóg wie, co robi!

Wsiadła na niego, a czując, że ma nad nim pewną przewagę, sypała grad pocisków, nie ustając ani na chwilę. Wywracała oczy, wzdychała, dobierała stosowne intonacye po mistrzowsku.

— Co to ma znaczyć?—zapytał pan Roman, oszołomiony tém.

— Co ma znaczyć!—powtórzyła i oczy utkwiła w sufit, potém zakryła sobie twarz rękami, udając, że płacze, a z pod rąk poglądała na brata.

— Gdzież Fela?—krzyknął pan Roman, jak gdyby chciał pociągnąć żonę natychmiast do odpowiedzialności za to, co tu zaszło.

Panna Lucyna wzruszyła ramionami.

— Abo ja wiem! Musi być tam... Z tym, tym... jakżeż on się wabi? Z tym guwernerem!...

Zmieniła ton nagle; zrobiła się czułą i słodką.

— Mój Romciu—mówiła, potrząsając głową, jakby z ubolewaniem.—Tak się gniewasz za to, że przyjechałam bez twego pozwolenia, a jednak może-by to lepiéj było, żeby tu był ktoś z Felą... jakaś osoba poważniejsza... Fela młoda, przystojna... Ja tam nic nie przepowiadam, ale tak mi się zdaje, że z tego wykluje się jakieś zmartwienie, coś niedobrego...

Pan Roman zmarszczył brwi, popatrzył na siostrę przez chwilkę i poszedł szukać żony.

Zastał ją w sypialni samą, spłakaną, znękaną, zrozpaczoną i nawet teraz nie miał dla niéj litości.

— Rychło wczas dałaś mi znać — powiedział jéj. — Gdybym ja był w domu, byłby tu inny ratunek...

Dwa dni zabrały przygotowania do pogrzebu i sam pogrzeb, zaraz potém pan Roman pozbył się Traczewskiego z domu.

— Wielkie nieszczęście spadło na nas, srogi cios — powiedział Traczewskiemu ze zwykłą arrogancyą, zaprawioną na dobitkę sarkazmem, kładąc przed nim na stole paczkę assygnatek. — Mnie pan nie będziesz uczył, żony mojéj témbardziéj... Płacę za cały czas podług umowy i sądzę, że pan nie będziesz miał do mnie pretensyi... Jest to *force majeure!...*

Traczewski odliczył sobie tyle tylko, ile mu się należało rzerzywiście, resztę odsunął od siebie ze wstrętem.

— Nie wymagam i nie przyjmuję żadnych gratyfikacyi — odpowiedział, a kiedy to mówił, takie płomienie biły mu z oczu, że pan Roman spokorniał zaraz.

Przed wyjazdem Traczewski nie śmiał mówić z panią Felicyą. Świeży grób był między nimi; rozdzielił ich. Żegnając panią Felicyę, Traczewski dusił się od łez, ale musiał zachować pozory. W drodze beczał jak dziecko, a co się nazłościł na siebie, na pana Romana, na świat cały, na prawa ludzkie, przesądy, zwyczaje i obyczaje, Bogu tylko wiadomo...

Jeżeli dawniéj dom był dla pani Felicyi czyścem, to teraz stał się piekłem, w całém znaczeniu tego wyrazu. Zdawało się jéj, że ze światła zapadła nagle w jakąś ciemność okropną, nieprzejrzaną, w jakąś noc bez końca, że gdzieś za sobą zostawiła wszelką nadzieję. Życie stało się męką nie do wytrzymania. Chodziła po świecie, a myślą i sercem była w grobie, w tym grobie, który odrazu pochłonął wszystkie jéj roskosze i wszystkie nadzieje, a nawet wiarę w sprawiedliwość i miłosierdzie boże.

Zobojętniała na wszystko i dla wszystkich; nie miała ani łez, ani uśmiechów, ani gniewu, ani nienawiści, ani miłości, ani przyjaźni, ani nic zgoła; płakała tylko, wspominając stracone szczęście; uśmiechała się tylko do tych swoich wspomnień. Zebrała razem wszystko, co zostało po Władziu: ubranie, zbawki, książki i zeszyty, zapisane koszlawemi jeszcze literami, wpatrywała się w to całemi godzinami, widziała Władzia, słyszała jego głos i śmiech dźwięczny, zalewała się łzami, a jednak grzebała wciąż i grzebała w pamięci. Tylko w tym bólu znajdowała jeszcze nieco roskoszy. Czasem przypominała sobie rozmowę z Traczewskim, jak sen. Wówczas jakiś dziwny lęk opanowywał ją. Coraz częściéj przypominała to sobie i coraz wyraźniéj, potém zaczęła rozważać; wreszcie, dowiedziawszy się trafem, że pan Czesław powrócił do Kijowa, bo nie znalazł na razie in-

néj kondycyi, napisała do niego. Namyślała się długo i napisała list długi. Zakończyła prośbą, błaganiem raczéj, żeby raz na zawsze zapomniał o niéj.

Marcin wysłał ten list tak, że nikt o tém nie wiedział.

Od téj chwili pani Felicya zaczęła wspominać pana Czesława bez obawy; wspominała razem dziecko najukochańsze i człowieka, który ją szczerze pokochał.

Tyle tylko chwil jaśniejszych miała w życiu, co z nimi...

Jak pan Roman odczuł ten srogi cios, Bóg raczy wiedzieć, dość, że opłakiwał Władzia bardzo głośno. Zmienił system postępowania o tyle tylko, że nie szwędał się jak dawniéj i więcéj przesiadywał w domu. Był to skutek bezpośredni insynuacyi, które panna Lucyna rzuciła, od niechcenia niby. Pan Roman przestraszył się tego widma, które siostra pokazała mu chyłkiem. Zmiarkował odrazu w lot, że zeszedłby na dziady, gdyby żona chciała wyemancypować się. Nie stało Władzia, więc nie miał już tego postrachu na żonę i sam zaczął się bać. Pilnował tedy żony, ale rościł sobie do niéj nowe pretensye za to właśnie, że go nabawiła tego strachu, za to, że musiał swoje przyzwyczajenia naginać do nowych warunków, i dręczył ją po dawnemu, a może i gorzéj jeszcze. „Zachciało się jéj romansów, widzisz ją“ — mówił sobie w duchu i kipiał ze złości, i szukał sposobów na to, żeby się zabezpieczyć raz na zawsze. Wprawdzie wpierw już oplątał żonę i kazał jéj podpisać różne dokumenty, z mocy których mógł majątkiem jéj rozporządzać podług swego upodobania; ale to nie wystarczało mu. Był sposób dobry, mianowicie: sprzedać majątek i wziąć do ręki gotówkę, ale, żeby to zrobić, trzeba było wpierw oczyścić majątek zupełnie z długów, więc trzeba było poczekać jeszcze kilka lat.

. . . .

Pan Roman wyczekał cierpliwie, potém sprzedał majątek żony i stał się panem położenia. Przeniósł się na mieszkanie do Warszawy, bo potrzebował ciągłéj, nieustającéj kuracyi. Wprawdzie powtarzał wciąż, że mu życie obrzydło, ale bał się śmierci i leczył się bardzo gorliwie, nawet do wód wyjeżdżał kilka razy, jak już nie mógł się wykręcić od tego. Pomimo téj troskliwości o własne zdrowie, zapadał coraz częściéj. Żył wygodnie, ale bardzo skromnie, sobie nie wiele pozwalał, a żonie poprostu skąpił, pożyczał pieniądze i dorabiał a dorabiał, ciułał i ciułał.

Bał się tylko śmierci i niewypłacalności swoich dłużników, zresztą nie dbał o nikogo i o nic na świecie; żeby się świat do góry nogami wywrócił, patrzyłby na to obojętnie, byle tylko sam przytém utrzymał się na nogach.

Mijał tak rok po roku, aż wreszcie minął cały dziesiątek lat od czasu, jak Władzia nie stało.

Czas chyżo mknął nad dolą i niedolą ludzką, niósł jednym pociechę, a drugim utrapienia, co komu było sądzone; panu Romanowi przyniósł niespodziankę nielada.

Zdarzyło się coś nadzwyczajnego, coś, czego pan Roman pojąć nie mógł, co mu się w głowie nie mieściło.

Pani Felicya wyszła z domu zaraz po obiedzie, a o siódméj wieczorem jeszcze nie wróciła. Służąca podała samowar; panna Lucyna, któréj, mówiąc w nawiasie, pan Roman nie mógł się pozbyć z domu w żaden sposób, siedziała już na swojém miejscu, chociaż zwykle zjawiała się ostatnia, a pani Felicyi nie było. Powinna była wrócić przed siódmą, przygotować wszystko i punkt o siódméj zawołać pana Romana; taki porządek zaprowadził pan Roman w domu od dawien dawna, tak się to robiło zawsze; tylko z tym warunkiem wolno jéj było z domu wychodzić, że na czas niechybnie powróci.

— Gdzie u dyabła ona się zawieruszyła? Gdzie ona się włóczy?—powtarzał pan Roman, zrazu zaciekawiony tylko, późniéj zniecierpliwiony i prawie niespokojny.

Zrazu mówił zwyczajnym głosem, potém coraz głośniéj, w końcu krzyczał już, rzucał nożem i widelcem, tłukł pięściami w stół.

— To prawda!—potakiwała panna Lucyna—kto to widział tak siedzićć do póżnéj nocy!

Wówczas tylko spierała się z bratem, kiedy chodziło o jéj własną skórę, kiedy chodziło o kogoś, była potulną i słodką nad wyraz i potakiwała mu.

Ósma biła.

— Nalewaj herbatę! — krzyknął pan Roman.

Panna Lucyna wzięła się do roboty, ale ręce jéj się trzęsły ze strachu.

Przeczuwała wielką burzę i bała się, że sama coś przytém oberwie.

„Co téż to Romcio zrobi, jak Fela wróci“ — przemyśliwała, widząc wielkie rozdrażnienie pana Romana.

Pani Felicya powróciła w pół godziny potém. Weszła przez kuchnię i poszła wprost do swego pokoju.

Pan Roman nie ruszył się od stołu; czekał, aż sama stawi się na sąd.

— Ciekawy jestem! Ciekawy jestem!—mruczał, szczerząc czarne spróchniałe zęby ze złości, jak wilk.

Nareszcie pani Felicya ukazała się. Była jakoś ożywiona, swobodna, prawie wesoła. Prowadziła za rączkę dziecko czteroletnie

może. Był to chłopaczek jak malowany, złotowłosy, biały, z oczyma dużemi, błękitnemi. Szedł, opierając się, i chował się za panią Felicyę, był widocznie dziki trochę i nieoswojony z otoczeniem, w którém się znalazł.

— Gdzieżeś to łaziła? — zapytał pan Roman.

— Byłam na Kruczéj — odpowiedziała z takim spokojem, jak gdyby nic a nic nie zawiniła, jak gdyby jéj wolno było rządzić się według upodobania.

Pan Roman oniemiał ze zdziwienia.

— Czegożeś siedziała tam tak długo? Dziewiąta godzina! Ja tu czekam z herbatą, a ona włóczy się, czort wie gdzie! Tego jeszcze brakowało, żebym na ciebie czekał o głodzie...

— Mogłeś jeść, któż ci bronił?

Chłopak wystraszony cofnął się i schował za nią.

— Nie bój się — mówiła do niego z pieszczotą. — Nie bój się, dziadzio nie zrobi ci nic! Idź, pocałuj dziadzia w rączkę.

Przyprowadziła malca bliżéj.

— Co to za bachor? — zagadnął pan Roman, broniąc się i odpychając go od siebie.

— Późniéj ci powiem — odparła.

Miarka się przebrała widać. Pan Roman wybuchnął.

— Tylko ty, uważasz, nie wyprawiaj ze mną żadnych komedyi! — wrzasnął i uderzył pięścią w stół.

Malec rozpłakał się ze strachu.

— Czy to nie może człowieka porwać pasya ostateczna! — wrzeszczał pan Roman. — Polazła licho wie gdzie i po co, siedziała tam do nocy...

— Spóźniłam się trochę, bo tak się złożyło — tłómaczyła się pani Felicya łagodnie, cichutko, jak zwykle, ale, bądź co bądź, znacznie śmieléj.

— Zkąd-że wzięłaś tego bachora? — nalegał pan Roman.

— Biedactwo! Matka chora w szpitalu. Troje zostało takiego drobiazgu, to ludzie rozebrali... ten najstarszy...

Wypowiedziała to wszystko jednym tchem.

Spojrzał wielkiemi oczyma na nią, potém na siostrę i znowu na nią.

— Cóż ty myślisz robić z nim?

— Wezmę za swoje.

— Co! — krzyknął.

Złość dławiła go, słowa więzły mu w gardle, tak, że przez chwilę nie mógł mówić. Potém wybuchnął śmiechem, złym, wstrętnym śmiechem człowieka, co zwykł deptać i poniewierać.

— Wiesz, że to kapitalne — zaczął po chwilce, uśmiawszy się dowoli — moje własne, rodzone dziecko zabiłaś przez swoje niedbalstwo, przez swoje niedołęztwo... a teraz sprowadzasz mi tu do domu jakiegoś... jakiegoś podrzutka... jakiegoś przybłędę... jakieś śmiecie z ulicy! Co ty sobie myślisz?

Skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na żonę natarczywie.

— Nie przypominaj mi Władzia i nie wyrzucaj mi niedbalstwa! — przerwała. — Zbyt często wspominasz to! Powinienbyś raczéj starać się, żebym ja zapomniała.

— Zapewne! — podchwycił z sarkazmem — ty chciałabyś zapomnieć, ale ja nie dam ci zapomnieć! Nie dam, nie dam, nie dam Zabiłaś mi dziecko! ja tobie tego nie daruję! Gdyby Władzio żył, to ja wiedziałbym dla kogo pracuję, a tak nie wiem; rozumiesz? nie wiem! Zmarnowałaś mi życie przez niedbalstwo...

Udawał rozrzewnienie umyślnie, żeby jéj zrobić przykrość.

— Nie dałaś mi wiedzieć wczas, bo co innego miałaś w głowie... Gdybym ja tam był, to Władzio może-by żył...

Westchnął z głębi piersi i wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem dlaczego to zrobiłaś! — dorzucił z wyraźnym sarkazmem.

— Co to, to racya — wtrąciła panna Lucyna. — Ja odrazu mówiłam, że trzeba dać znać Romciowi! Wszystko się robiło tak, że pożal się Boże, bo bratowa nie posłuchała mnie! Ten doktor nie poznał się i tak leczył, jak dwóch z trzeciego kpi. Taki to doktor, jak z kłaków batog!

Nie mogła darować temu doktorowi i nie mogła wytrzymać, żeby mu łatki nie przypiąć.

— Co ty sobie myślisz? — zaczął pan Roman, nie zważając bynajmniéj na to, co siostra mówiła i przerywając jéj w téj chwili właśnie, kiedy zabrała się do doktora. — Myślisz, że ja będę pracował na jakiegoś znajdę... że ja będę to karmił i poił, i ubierał?

Roześmiał się na całe gardło.

— To się grubo mylisz! Nie pozwolę na to i basta! Zabierz mi to jutro z domu i odprowadź tam, skąd go wzięłaś!

Malec płakał tymczasem, a pani Felicya napróżno usiłowała uspokoić go. Co przycichł, to zaczynał znowu, drażniony wciąż rzucaniem się i krzykiem pana Romana.

— Potrzebne mi te piski! Pamiętaj sobie, żeby mi śladu tego jutro nie było!

— Ależ Romanie, proszę cię... — zaczęła pani Felicya.

— Co tam prosisz, prosisz! — fuknął. — Miałem dziecko własne, swoje i nie mam... nie chcę żadnego znajdy! Mój dom nie jest przytuliskiem, rozumiesz?

Pani Felicya nie odpowiadała na to, ale tymczasem zajęła się dzieckiem. Zawiązała mu serwetę na szyjce, nalała herbaty, studziła ją, drobiła bułkę. Robiła to z najzimniejszą krwią. Już niejedna taka burza huczała nad jéj głową i przemknęła; pani Felicya oswoiła się z tém.

Spokój jéj złościł pana Romana najwięcéj.

— Wynieś mi go zaraz tam do kuchni! Nie potrzebuję tu tego karmnika! — krzyknął z tém swojém grubiaństwem, które obrażało samo przez się.

Malec rozbeczał się na nowo, jak gdyby przeczuł, że to idzie o niego.

— Nie bój się, mój malutki, nie bój się, dziadzio nie na ciebie się gniewa — szeptała pani Felicya, odgarniając mu z czoła włosy, spadające w długich, złotych zwojach.

Pan Roman zerwał się, wielkiemi krokami podszedł do malca, pochwycił go jedną ręką pod ramię i wyniósł tak do kuchni, jak grat jakiś. Trząsł się cały ze złości.

— Tekla! Zaraz mi odprowadzisz tego smarkacza na Kruczą!

Drżącą ręką wydobył z kieszeni kilka sztuk drobnéj monety i rzucił je na stół przed panną Lucyną.

— Weź dorożkę i odwieź go zaraz! Nie róbcie mi jakiegoś przytułku z mego domu!

Bóg wie skąd wzięła się pani Felicyi taka odwaga w téj chwili, dość, że pierwszy raz w życiu postawiła się mężowi.

Łagodnie, ze spokojem niezmąconym i z godnością, ale stanowczo, odpowiedziała na to brutalne znalezienie się męża:

— Proszę nie szarpać i nie straszyć dziecka. Ja mogę razem z nim wyjść z domu, który jest także moim domem; gotowa jestem iść pracować na chleb dla siebie i dla niego, zostawić tobie majątek, który jest moim...

— Ah! To twój dom, to twój majątek! No, no, no! Twój majątek... twój majątek! No proszę, to twój majątek! — bełkotał pan Roman, powtarzając w kółko jedne i te same wyrazy, bo sam nie wiedział, co mówić.—Aż teraz dopiero przypomniała sobie! Cha, cha, cha! Patrzcież państwo, jaka pracowita! pójdzie pracować na chleb dla siebie i dla cudzego jakiegoś śmierdziucha! Trzeba było nie romansować z belfrem i więcéj dbać o własne dziecko! Ty, ty, ty! Nie dałaś mi znać, nie chciałaś, żebym ci przeszkodził w romansach!

Rzucił jéj srogą obelgę bez litości, z taką bezczelnością.

— Ah! To twój majątek! Poczekaj, ja ci pokażę, czyj to majątek... Poczekaj, ja ciebie nauczę, ja ci pokażę, ja ci pokażę...

I tak syczał przez zęby zaciśnięte i zbierał pudełka z tytoniem, fajki i różne drobiazgi, które miał zwyczaj rozkładać koło siebie, kiedy zasiadał do herbaty.

Zebrał to wszystko drżącemi rękami i wyszedł z pokoju; jeszcze raz po raz powtórzył kilkakrotnie:—Ja ci pokażę—trzasnął drzwiami i poszedł do swego pokoju.

— Co to bratowéj po tém— ubolewała panna Lucyna.— Czy to się godziło tak irrytować Romcia? Rozchoruje się jeszcze!

Załamywała ręce i wzruszała ramionami na znak, że boleje nad tém, co się stało, i nie rozumie uporu bratowéj.

Długo świeciło się w pokoju pana Romana.

Pan Roman chodził, otwierał szuflady i skrytki różne, wywlekał jakieś papiery, układał i coś liczył, i coś potém pisał, mazał, darł i pisał znowu.

Służąca poszła tam, żeby zapalić w piecu, to ją napędził do wszystkich dyabłów i siedział daléj w pokoju, wyziębionym już nieco, przez całą dobę prawie. Zawziął się na żonę tak, że zapomniał o sobie; gotował jéj krzywdę jakąś pono, a sobie najpierw zaszkodził.

Nazajutrz nie mógł się zwlec z łóżka! Panna Lucyna dowiadywała się do niego, pytała nawet, czy nie każe posłać po doktora, ale nie chciał ani mówić z nią. Od czasu do czasu dzwonił na służbę i kazał sobie podawać różne rzeczy. Pod wieczór pogorszyło mu się znacznie, był coraz więcéj osłabiony, chwilami tracił nawet przytomność.

Panie nie śmiały się pokazać, posyłały tylko służącą, ale nie kładły się już spać i czekały, co to z tego będzie.

Po północy już służąca zajrzała do pana Romana i wróciła jakaś przestraszona.

— Proszę pani—mówiła —pan leży i oczy otworzył, i nic nie rozumie, tylko czegoś chrapie i dycha tak śmiesznie!...

Pobiegły tam obie, a pani Felicya wyprawiła ją zaraz po doktora.

Dziewczyna była, co prawda, niezbyt zaradna, ale cóż było robić? nie było tam zresztą nikogo.

Tymczasem panna Lucyna poszła do swego pokoju i niebawem powróciła z wielką zapaloną gromnicą, z pękiem szkaplerzy i różańców, niewątpliwie pochodzących z miejsc słynących cudami, z wielką książką do nabożeństwa. Cała w bieli, wysoka, szczupła, z tą swoją twarzą kościstą, wychudłą, żółtą jak wosk gromnicy, z oczami wzniesionemi w górę, wyglądała jak pokutnica z procesyi rzymskich. Uklękła przy łóżku pana Romana w nogach i zaczęła odmawiać głośno modlitwę do Przemienienia Pańskiego.

Głos jéj ponury jakiś wstrząsał do głębi, nie koił, lecz raczéj drażnił.

Zaczynała pełnym donośnym głosem, a kończyła jękiem:

„Jakoś przemienił wieczną noc ślepego i światłem dziennėm go obdarzył... Tak przemień boleść i niedolę naszą!“

„Jakoś przemienił niemoc dzieweczki, córki książęcia...“

„Jakoś przemienił trwogę Apostołów twoich, uspakajając nawałnicę morską...“

„Jakoś przemienił choroby i nędze tylu kalekom, tylu trędowatym, którzy za dotknięciem twéj wszechmocnój ręki zdrowie otrzymywali...“

„Tak przemień boleść i niedolę naszą!“

Skończywszy modlitwę, zaczęła litanię:

„Kyrye eleyson, Chryste eleyson, Kyrye eleyson!“

„Jezu usłysz nas, Jezu wysłuchaj nas!“ — zabrzmiało w ciszy nocnéj.

Pan Roman oprzytomniał nieco, patrzył na nią i patrzył i nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co widział. Ta gromnica płonąca, ta głośna modlitwa przypomniała mu śmierć, śmierć, któréj się tak bał. Patrzył wciąż, chciał się podnieść, chciał przemówić i nie mógł zrazu.

— Czego ty chcesz ode mnie! — odezwał się wreszcie, wielkim wysiłkiem dobywając głosu.

Panna Lucyna modliła się wciąż:

„Od gniewu twego“.

„Od ducha nieczystego“.

„Od śmierci wiecznéj“.

„Przez tajemnicę świętego wcielenia twego—Wybaw nas Jezu!“

Pan Roman uczuł zimny dreszcz na całém ciele; podniósł się trochę i jeszcze patrzył, a w oczach miał wielką trwogę.

— Precz, precz ty dyablico! — wrzasnął i opadł na poduszki, zmęczony tym wysiłkiem.

Wzruszenie wywołało natychmiastowe pogorszenie. Panna Lucyna źle mu się przysłużyła swoją modlitwą. Wyszła, nie skończywszy litanii, zmartwiona bardzo zachowaniem się brata.

W małą godzinkę potém Tekla powróciła z doktorem.

Poszła najpierw do doktora, który leczył pana Romana zwykle, ale nie zastała go, więc wracając, pytała po drodze i tak trafiła do innego.

Panna Lucyna uciekła czémprędzéj, bo była w negliżu; pani Felicya zaprowadziła doktora zaraz do męża. Doktor przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko pana Romana. Spojrzał na niego

uważnie z bliska, jak patrzą lekarze, którym twarz chorego daje czasem pewne wskazówki, i odwrócił się wnet. Chciał zobaczyć panią Felicyę, na którą nie patrzył prawie przedtém. Pani Felicyi nie było tam, wyszła z pokoju męża, nie chcąc przeszkadzać. Patrzył znowu na pana Romana i potrząsał głową.

Był wyraźnie zdziwiony i wzruszony.

Po chwili dopiero zaczął badać chorego. Zbadał puls, zbadał serce, pochylił się nieco, żeby chory mógł go lepiéj słyszéć.

— Czy boli co? — zapytał.

Pan Roman nie odpowiadał, tylko wbił w doktora oczy rozżarzone, niespokojne, wystraszone jakieś. Porwał się nagle i chwycił doktora za rękę; chciał widać coś mówić, ale nie mógł; chciał go odepchnąć, ale nie miał siły. Ruszał ustami i ściskał rękę doktora swojemi długiemi kościstemi palcami, jak kleszczami.

Poznał tego człowieka, chciał go odepchnąć, wypędzić; ale coś mu spętało ręce i odjęło mowę. Za to przytomność powróciła. Widział wszystko, słyszał, rozumiał, pamiętał.

Puścił rękę doktora, ale wciąż patrzył na niego

„Poco on tu przyszedł? Skąd on się wziął?"— myślał.— „Przyszedł mnie ratować! Kto go tu sprowadził?"

Słyszał wyraźnie głos żony z drugiego pokoju. Pani Felicya rozmawiała z panną Lucyną; mówiły o nim.

Nie spuszczał z oka doktora, a myślał tymczasem o żonie. Przypomniał sobie wszystko, dzień po dniu, począwszy od owego balu, na którym poznał ją. Skarby całego świata gotów-by był oddać w téj chwili, żeby mógł odzyskać mowę a stracić pamięć.

Straszny musiał być ten porachunek z własném sumieniem, bo na twarzy pana Romana wyrył się ból okrutny.

— Czy boli co? — pytał znowu doktor, sądząc, że to cierpienie ciała takim kurczem twarz jego ściąga.

Ale to duch cierpiał; serce bolało. Na ten ból nie było niestety żadnego lekarstwa.

Gdyby pan Roman mógł przemówić, wezwałby żonę, tarzałby się w prochu u nóg jéj, błagałby o przebaczenie krzywd, które teraz liczył i liczył i zliczyć nie zdołał; gdyby mógł zwlec się z łóżka, sięgnąłby tam, do téj szuflady, w któréj onegdaj w nocy zamknął swój testament, spisany w przystępie wyuzdanéj, dzikiéj złości, poszarpałby w strzępy ten papier stokroć przeklęty.

Niemy był i jakby przykuty do łóżka, nie mógł ani głosu dobyć, ani ruszyć się. A tymczasem żal szarpał bez litości serce, co nie znało dotąd ani miłości, ani litości i było jak głaz nieczułe i zimne.

Widział grób otwarty przed sobą i wiedział, że teraz jeszcze jedną krzywdę jéj zgotował.

Trwoga bezmierna, rozpacz szalona miotały duchem.

Zebrał wszystkie siły, podniósł się jeszcze raz, wyciągnął rękę, wskazując biurko, ruszał gębą, jak jąkała, kiedy chce koniecznie wymówić słowo, na którém utknął. Ręka trzęsła się, jak liść od wichru; oczy nabiegły mu krwią.

Nagle ciemność jakaś straszna otoczyła go ze wszystkich stron; zbliżała się i chłonęła wszystko w siebie. Coraz to mniéj było światła; coraz mniéj widział; wszystko nikło... Znikły drzwi i ściany, znikały sprzęty jeden po drugim... Ot już tylko twarz doktora widział przed sobą... i ta twarz znikła... Jeszcze trochę światła zostało w jego oczach... jakieś błyskawice, jakieś cętki, gwiazdki... i te zgasły...

Zaciął usta i powalił się, jak kłoda.

Doktor nie miał co tu robić, wyszedł po chwili do salki przyległéj, gdzie pani Felicya czekała na niego.

Spotkali się oko w oko i poznali się dopiero teraz. Zmienili się oboje bardzo; nie lata, ale ciężką walkę znać było na nich. Pani Felicya zwiędła przedwcześnie, Traczewskiemu zawczasu téż zmarszczki zorały czoło.

— Dziwny traf sprowadza mnie w takiéj chwili właśnie—rzekł Traczewski.

— To prawda — potwierdziła pani Felicya z westchnieniem.

— Skończyło się nareszcie!

— Umarł!—krzyknęła i załamała ręce.

Czuła, że mimowoli przyczyniła się do tego, widziała tylko własną winę, zapomniała wszystko, przebaczyła wszystko i żałowała tego człowieka, który był dla niéj biczem bożym.

Łzy zakręciły się jéj w oczach.

— Zapóźno... — zaczął Traczewski.

— Tak, zapóźno — potwierdziła — nie chciał za nic lekarza...

— Nie to chciałem powiedziéć — przerwał jéj pan Czesław, ale nie wytłómaczył się wyraźniéj.

Machnął ręką.

— Niech mu Bóg przebaczy!

Panna Lucyna słuchała téj rozmowy, stojąc we drzwiach uchylonych nieco.

— Umarł, Romcio umarł! — wrzasnęła, zapaliła gromnicę i pobiegła czémprędzéj modlić się przy trupie...

Na wyraźne żądanie panny Lucyny wezwała pani Felicya potém urzędnika i świadków.

Testament znalazł się zaraz, lecz zawiódł oczekiwania panny Lucyny. Pan Roman wyzuł żonę ze wszystkiego, to tylko zostawił, czego nie mógł wydrzéć, dlatego, że prawo ogranicza nieco samowolę; cały majątek przeznaczył na cele dobroczynne, siostrze rzucił marne okruchy.

Pani Felicya nie narzekała jednak, żyła z téj odrobiny i chowała sierotę.

W Traczewskim miała opiekuna i serdecznego przyjaciela.

Pan Czesław był już żonaty od kilku lat...

S. M. Roguski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Wypisy polskie, dla klas wyższych gimnazyalnych i realnych. Część I, ułożona przez **Stanisława Tarnowskiego** i **Józefa Wójcika**. Lwów, 1890.

Mamy przed sobą piękną książkę, oprawną, in 8-vo maj., o 767 str. (wespół z X str. przedmowy i spisu rzeczy), odbitą pięknym, czystym drukiem, i to wszystko za cenę nader umiarkowaną, bo za 1 złr. 75 ct. Przedmowa wyjaśnia cel wydawnictwa i zarazem genezę jego: jest to dzieło, przeznaczone do użytku młodzieży szkolnéj i jest owocem prac komisyi do książek elementarnych, przez galicyjską radę szkolną utworzonéj. Brak dobrych podręczników szkolnych w ogólności, a głównie podręczników do nauki języka i literatury polskiéj, wywołał istnienie téj komisyi.

Piérwszą tedy czynnością jéj było ułożenie podręcznika do literatury: rzeczona komisya ułożyła ogólny plan dzieła, wymieniła pisarzy, mających wejść do Wypisów, oraz ustępy z ich dzieł, rozstrzygając to wszystko kolegialnie większością głosów; uchwaliła nadto właściwe „Wypisy“ połączyć z historyczną charakterystyką okresów, oraz z życiorysami pisarzy poszczególnych.

Wykonanie tak uplanowanego dzieła, (co do tomu pierwszego), wzięli na siebie hr. Stan. Tarnowski i p. J. Wójcik, „którzy każdą część „Wypisów“, kiedy już była gotowa do druku, poddawali pod sąd i uchwałę komisyi“.

Tak starannie obmyślany plan i jego wykonanie, tém bardziéj obiecywały zjawienie się dzieła wysokiéj wartości naukowéj i pedagogicznéj, że do składu komisyi weszli: oprócz autorów „Wypisów“, dr. Wł. Zajączkowski, dr. T. Gertsman, ks. Bazyli Ilnicki, Bol. Baranowski, dr. Z. Samolewicz, dr. Ludwik German; a jako biegli w przedmiocie: dr. R. Pilat, prof. uniw., oraz Fr. Próchnicki i Bol. Szomek, prof. gimnazyalni, — tak liczne przeto grono specyalistów i pedagogów mogło się zdobyć na książkę niepospolitéj wartości.

Zobaczmy, o ile skutek odpowiedział oczekiwaniom?

W mowie będące „Wypisy“, nazwaćby można *metodyczną historyą literatury;* cel piękny, odpowiadający współczesnym wymaganiom dydaktycznym, ale niezmiernie trudny do wykonania wobec niedość jeszcze ustalonych poglądów w nauce literatury, co do zakresu, celu, a nawet środków, do celu wiodących. Niniejsze „Wypisy“ głównie są niezadawalniające pod względem wyboru środków, do nauczania literatury skierowanych.

Sama myśl połączenia w jedném dziele teoryi, czy historyi, z wypisami literackiemi, nową wcale nie jest: pierwsze w tym rodzaju dzieło, obejmujące historyę prozy polskiéj, ułożył jeszcze w r. 1838, Popliński. Dzieło to jeszcze i dziś wartości swojéj całkiem nie straciło, a za dowód może posłużyć, że w rozbieranych przez nas „Wypisach“ czytamy ustęp z mowy abdykacyjnéj Jana Kazimierza, wyjęty z téj książki, (patrz str. 269). Z kolei potém 1840 idzie, tak zwana, „Historya literatury polskiéj w zarysach“, K. Wł. Wójcickiego. Pomimo rażących wadliwości tego dzieła, w chaotycznym układzie planu jego, a głównie w pominięciu wszystkich naszych łacińsko-polskich pisarzy, książka ta przez wiele lat była u nas popularna, z powodu głównie wypisów, dodawanych do każdego z ważniejszych pisarzy. Po upływie lat kilkunastu, wydane zostały we Lwowie (zbiorowo), cztery tomy „Wypisów polskich, dla użytku klas wyższych w C. K. szkołach gimnazyalnych“, z których tom I zawierał gramatykę staropolską, opracowaną przez prof. H. Sucheckiego, oraz literaturę staropolską, t. II — literaturę zygmuntowską, t. III — wiek XVII i Stanisławowski okres, a ostatni olbrzymi tom — literaturę wieku XIX. I nakoniec w r. 1885—1887, wyszła „Złota przędza“, pod redakcyą Piotra Chmielowskiego i kilku współpracowników. To ostatnie dzieło, bardzo starannie uwzględniające wyniki badań naszéj krytyki literackiéj ostatnich czasów, miało specyalne swoje zadanie, nie tyle bowiem przeznaczone było do użytku szkolnego, jak raczéj do użytku w domach prywatnych, zastąpić mając podręczną biblioteczkę literatury krajowéj.

Jak widzimy tedy, obecne „Wypisy“ są piątém z kolei dziełem [1]), zawierającém materyał literatury, łącznie z historyczno-estetyczną twórczością literacką.

Nazwaliśmy je *metodycznemi* dla tego, że w układzie książki głównie przewodniczyła myśl: ile i co czytać można i należy? jako téż z powodu wyjaśnień lingwistycznych i rzeczowych, oraz słowniczka wyrazów archaicznych, na końcu książki umieszczonych.

Spójrzmy teraz, co nam przynosi nowa ta praca, zwracając przedewszystkiém uwagę na część historyczno-krytyczną, (opracowaną przez hr. Tarnowskiego), bo ta jest niejako duszą, ożywiającą cały materyał literacki.

Jeżeli literatura, jak sam hr. T. przyznaje, jest nauką „potrzebną i ważną“, to wykład jéj elementarny szczególniejszego nabiera znaczenia w szkołach, może daleko większego, niż w studyach uniwersyteckich. Każdéj nauki wykład elementarny nie jest łatwy, a témbardziéj literatury, jako nauki nowéj, któréj granice nie są ostatecznie określone. Otóż, przy powyższych warunkach, jedynie dobrym jest taki kurs elementarny, który spoczywa na istotnych podstawach ściśle naukowych, wyraźnie uwydatnionych, w formie tylko swojéj ma być uproszczony, udostępniony dla mniéj rozwiniętych, a raczéj dla rozwijających się dopiero umysłów, a ztąd wypływa wniosek, że tylko prawdziwy specyalista może napisać dobrą książkę elementarną.

Niestety, nie o wszystkich dziełach naszych, dziejom literatury poświęconych, powiedziéć to można: nie odpowiadają warunkom elementarnym nietylko takie książki, jak: T. L. Rycharskiego, Leona Rogalskiego, które od początku do końca obciążone są balastem kompilacyjnym, ale i takie, jak Lewestama lub Sowińskiego, których autorowie, mając dostateczną podstawę naukową i estetyczno-krytyczną, mogliby ułożyć porządną książkę, ale, nie chcąc zadawać sobie wielkiego trudu, kilku czy kilkunastu zaledwo pisarzy opracowali samodzielnie, posiłkując się co do innych przeróbką cudzych dzieł. Nie mając nigdy w ręku dzieła, o którém wzmiankują, pisarze tacy wydają wyroki sumaryczne, zawarte w mdłych ogólnikach, które nikogo i niczego nauczyć nie mogą. Ogólniki te, niekiedy rażącemi błędami przepełnione, plondrują przez cały szereg dzieł, aż dopiero późniéj, okolicznościowo, któremuś specyaliście sprawdzić je wypadnie. Roboty tego rodzaju zdyskredytowały u nas w ostatnich czasach naukę

---

[1]) Nie wspominamy tu o dziele Mecherzyńskiego, bo w niém Wypisy wydane były osobno.

literatury, a w szkolnictwie wprowadziły zamęt, który przez długi przeciąg czasu poprawiać wypadnie.

Zarys literatury pr. T. znakomicie się wyróżnia z pośród mnóstwa owych pism: p. T. ma przedewszystkiém talent przedstawiania charakterystyk, — jakoż większa ich część, czy to ogólniejszych, czy pisarzy pojedyńczych, jest wyjątkowo udatna, z plastyką literacką zarysowana. Nadto, tam nawet, gdzie p. T. najogólniejszy rzuca rys, znać wynik pracy samodzielnéj, znać źródłowość, z pierwszéj ręki czerpaną, — nie kompiluje, nie trawestuje zdań cudzych, ale po swojemu rzecz oświetla i ocenia. Myśl ta stosuje się nietylko do takich pisarzy, jak Kochanowski, jak politycy polscy XVI w., o których pisał poprzednio autor wyczerpujące monografie, — ale i do bardzo wielu innych. A jako dowód prawdziwości słów moich, dość przytoczyć to, co mówi o A. M. Fredrze. Można niekiedy nie podzielać zdań i sądów jego, ale uszanować należy niezachwiane przekonanie autora i gorliwość źródłowego badacza.

A mimo to wszystko, o ile sam autor sumienne robił studya, o tyle, zdaje się, całkiem zapomniał, że pisze nie dla specyalistów, ale dla młodzieży, która dopiero po raz pierwszy ma poznawać początkowe zasady nauki; i styl autora, jak na książkę elementarną, jest zanadto kunsztowny, i w biegu myśli niekiedy żywiołem polemicznym zabarwiony, a co może najważniejsza: autor wcale nie pamięta o *dokładności bibliograficznéj*, która dla elementarnéj nauki literatury jest tém, czém chronologia dla historyi,—bez jednéj czy bez drugiéj nauka staje się fantazyjną opowieścią, w któréj uczeń gruntu nie znajdzie, nie będzie umiał odszukać tego, co mu będzie potrzebne, p. T. bowiem wyjątkowo tylko cytuje rok wydania, a wszystkie prawie tytuły dzieł są zmodernizowane lub skrócone; czyli, że pod tym względem uczeń spotyka te same niedokładności, jakie znajdują się w dziełach Syrokomli, Bartoszewicza lub Spasowicza.

Rzecz to zresztą nie tak trudna do uzupełnienia potrzebnemi szczegółami, bylebyśmy tę odrobinę bibliografii dla literatury elementarnéj raz przecie uznać chcieli.

Ważniejszą ujemną stronę dzieła, nad powyższe pomijanie bibliografii, widzimy w tém, że autor *nie uwzględnia historyi języka* i niewymiernie uwzględnia *historyę oświaty*, a to tak dalece, że cały układ książki nie jest wolny od wyraźnych sprzeczności.

Co do historyi języka, to chcąc mieć przybliżone pojęcie o tém lekceważeniu, z jakiém autor te dzieje traktuje, dość wspomnieć, że niéma nigdzie, ani w przeglądach okresów, ani w wypisach, ani nawet w alfabetycznym spisie autorów, choćby z imienia wspomnianego, nietylko Zaborowskiego, ale nawet J. Parkosza, owego pierwszego

twórcy języka polskiego, o którym przecież powiadają historycy literatury, że pierwszy ze Słowian po Hussie zaczął uprawiać teoryę języka ojczystego. To zupełne zapomnienie o dziejach języka, w całym przeciągu czasów piastowskich i dalszych aż do końca XV w., widzimy w całym ustępie, zatytułowanym: „Początki piśmiennictwa polskiego".

W książce, poświęconéj badaniom języka i literatury, zaprawdę, jest wielce niespodziewaném takie zdanie hr. T.: „piśmiennictwo polskie musi się *zapewne* (!) pomału przygotowywać i wyrabiać przez kazania, przez przekłady ewangelii lub psalmów, wreszcie przez potoczne używanie języka i pierwsze w nim pisane wiersze" (str. 5). Zdaje mi się, że jeżeli młodzież ma naprawdę czegoś się nauczyć, a nie wyręczać się ogólnikami tylko, to zamiast wyrazu „zapewne", należy postawić szereg naukowo zgrupowanych, lubo elementarnie, dostępnie wyłuszczonych, faktów językowych, wyjaśniających to „powolne wyrabianie się". Zdziwienie pod tym względem czytelnika jest tém większe, że autor przemilcza o rozwoju języka w téj właśnie chwili, kiedy ostatniemi czasy wydała sama Akademia Umiejętności tak wiele zabytków, nie licząc innych prywatnych wydawnictw... P. T. z całych dziejów staropolszczyzny pozwala uczniom dowiedzieć się (i to tylko w nagich tytułach): o „Kodeksie Floryańskim", „Biblii ks. Zofii", o „Modlitwach Wacława" i „J. Gałce z Dobczyna" (str. 6).

Nad to nic... aż do Zygmuntowskich czasów! Jakto? Więc uczeń nie ma słyszeć nawet o „Pieśni Bogarodzica", która widnieje przez cały przeciąg naszych dziejów, która z początku jest hymnem narodowym i bojowo-rycerskim marszem, a potém, jako najszacowniejszy skarb umysłowy, ukazuje się w epoce druku na czele najznakomitszych dzieł prawniczych, oratorskich, poetyckich, począwszy od Statutu Łaskiego, aż do Śpiewów historycznych Niemcewicza?...

Wiemy o tém, że pedagodzy galicyjscy widzą jakieś nadzwyczajne trudności w umiejętném zastosowaniu zasad dawnego języka polskiego odpowiednio do poziomu wiedzy ucznia gimnazyalnego. Zdaniem naszém, jest w tém zbyt szkolarska drobiazgowość i przesada, — bo jeżeli nie można uczniowi klasy V-téj uprzystępnić najkardynalniejszych zasad staropolszczyzny, to możeby się to dało zrobić choć w klasie VIII-éj; ale *gdzieś* przecie zrobić należy, gdyż nie każdy uczeń wstępuje na wydział filologiczny uniwersytetu i nie każdy słucha kursu gramatyki porównawczéj, — a że oświecony człowiek wiedzieć przecie powinien, co się działo w literaturze naszéj przed wiekiem XVI-ym, to chyba kwestyi nie podlega. Wykład najkardynalniejszych form staropolszczyzny nie stanowi jakiegoś zadania her-

kulesowego, zrobić to mógłby np. p. Kalina lub kto inny, specyalnie studyujący dzieje języka polskiego. Zresztą, dokładności językowéj, dokładności współczesnéj pisowni, napróżnobyśmy i w samych „Wypisach“ szukali;—a sam wybór ustępów dowodzi, że autorom wcale nie chodziło o rozwój języka, ale jedynie o treść i estetyczną wartość utworów. Na dowód dość przytoczyć choćby Kochanowskiego: nie wymieniono tu ani jednego z pierwotnych utworów śpiewaka Czarnoleskiego, takich np. jak; „Wróżki“, „O Lechu i Czechu“ i in.

Niekrytyczne i niedostateczne uwzględnienie historyi oświaty wypływa z dwu, w istocie najzawilszych i dostatecznie nie rozjaśnionych dotąd, kwestyi w literaturze, to jest: jaki jest stosunek literatury właściwéj (pięknéj) do nauki, oraz jaki jest stosunek łaciny, używanéj przez Polaków do wyrażenia myśli swoich, do języka polskiego. Co do pierwszéj kwestyi, to już na podstawie własnych słów hr. T. powinniśmy brać pod uwagę pewną część piśmiennictwa ściśle dydaktycznego; na stronicy bowiem pierwszéj mówi autor, że w literaturze „daje się poznać dokładnie usposobienie, *sposób myślenia i stopień oświaty* narodu“. A jakże poznać zdołamy to „myślenie“ i ten „stopień oświaty“, jeżeli jednostronnie będziemy mieli zwrócone oko na literaturę piękną? na sielanki, treny, satyry, powieści, na dramata czy krasomówstwo? Zresztą, przecież historya, przecież polityka, są to także „*nauki*“, a te ostatnie są przecie zamieszczone w rozbieranych przez nas „Wypisach“? Wspomniane nadto gdzieniegdzie i prawodawstwo (w przeglądach), ale niekrytycznie: jest np. wspomniane dzieło Ostroroga, oraz Volumina legum, a niéma takich kapitalnych rzeczy, jak Statut wiślicki, Statut litewski, Konstytucye, prawa i przywileje koronne i t. d., z których każde ma niemałe znaczenie w dziejach oświaty, a ostatnie i w dziejach języka. Nie mówię już o zakresie innych nauk, jak rozprawy językowe, filozoficzne, przyrodnicze—wszystkie one są usunięte z książki, nawet tak skromne, jak zamieszczane w dotychczasowych „Wypisach“ wyjątki Etyki Arystotelesowéj Sebastyana Petrycego, jak Ziemiorodztwo Karpat Staszica, Teorya jestestw organicznych Śniadeckiego i in.

Ciekawą przeto niezmiernie jest rzeczą dla krytyka (a zarazem i dla nauczyciela, który podług téj książki wykład prowadzić będzie): jaka w tém wszystkiém myśl przewodniczyła komisyi i autorom „Wypisów“?

Zdaje mi się, że odgadnąć ją możemy, rozpatrując zawartość i wymierność zamieszczonych w książce ustępów prozaicznych. Otóż z trzydziestu blisko pisarzy prozaicznych, najwięcéj spotykamy tu mówców i polityków. Mówcy: (Skarga, Birkowski, Młodzianowski, J. Olszewski, Mijakowski, J. Ossoliński, Jan Kazimierz, J. Sobieski,

A. M. Fredro, Jan Śniadecki); politycy: (Modrzewski, Orzechowski, Górnicki, Starowolski, J. S. Jabłonowski, St. Leszczyński, St. Konarski, S. Staszic, H. Kołłątaj). Potém idą pisarze pamiętników: (Górnicki, Żółkiewski, Pasek, Kitowicz, Koźmian); potém trzéj historycy właściwi: Kromer, J. Bielski, Naruszewicz i wreszcie jeden ustęp o języku polskim Jana Śniadeckiego, jeden z encyklopedyi B. Chmielowskiego i nakoniec jeden, o którym trudno powiedzieć, czy on należy do poezyi, czy do prozy, do historyi, czy do teologii: jest to „Matka świętych" p. Fl. Jaroszewicza.

Statystyka ta jest sama przez się wielce charakterystyczną, większego zaś znaczenia nabierze, skoro spojrzymy na zawartość ustępów. Nie mówiąc o gałęziach wiedzy ludzkiéj, zaledwo tolerowanych i przedstawionych tu w jednym *„egzemplarzu"*, zwraca na siebie uwagę historya, owa „magistra vitae", tak starannie zwykle pielęgnowana w szkolnictwie. Ponieważ pisarze pamiętników, jako wydający sądy indywidualne, często sprzeczne z prawdą, do kategoryi historyi właściwéj zaliczonymi być nie mogą, bo umysł młodzieńczy, zamiast rozjaśnienia prawdy, niekiedy na rozdroże wprowadzać mogą, pozostają tedy w całéj naszéj literaturze, od jéj początku do r. 1822, tylko trzéj przedstawiciele dziejoznawstwa. Czy to nie za mało? Jest tu wprawdzie i Niemcewicz, ale jako poeta (Śpiewy historyczne, elegie, bajki, komedye, powieści). Naruszewicz figuruje w prozie, jako autor Życiorysu i memoryału do Stanisława Augusta,— właściwie historycznych, dwóch najważniejszych dzieł jego wcale tu niéma. Kromera rekomenduje tu (na jednéj karcie) Marcin Błażowski; wreszcie niéma tu nawet pierwszego właściwego historyka, po polsku piszącego, gdyż pod napisem „Bielscy", czytamy tylko króciutkie życiorysiki Marcina i Joachima, a wcale nie widzimy wyjątków z „Kroniki czyli historyi świata", tylko ustęp z „Kroniki polskiéj", to jest ową apologiczną robotę poczciwego zkądinąd syna, który żywo bronił pamięci ojca, że „zawżdy był katolikiem"...

Przy takiém ubóstwie skarbów naszych historycznych, szczególniejszego nabiera blasku ów hojny poczet polityków i krasomówców: miałożby to wszystko znaczyć, że w tym jedynie kierunku kształcić mamy młode nasze pokolenie?

Ponieważ historya literatury jakiegoś narodu jest obrazem rozwoju nietylko języka, ale i myśli jego, ztąd téż myśli te, o ile one są wyrazem ducha narodowego i panujących w pewnym czasie wyobrażeń, mają prawo należenia do dziejów oświaty, a więc i do piśmiennictwa, chociażby były w obcym języku wypowiadane. Jakkolwiek ogólnie na tę kwestyę się zapatrując, skierować się ona może do wszystkich języków cudzoziemskich; to jednak przeważnie pod

tym względem zwracamy uwagę na język łaciński, który przez wiele wieków uważany był za jedyny powszechny środek wypowiadania myśli i uczuć. Komisya lwowska myśli téj nie dała prawa obywatelstwa i starannie usunęła prawie wszystko, cokolwiek Polacy po łacinie wypowiadali. Zrobiła to oczywiście z powodu współczesnego pojmowania nauki literatury w szkołach średnich, zasadzającego się głównie na czytaniu i poznawaniu języka ojczystego w historycznym jego rozwoju. Widzimy tedy w obecnéj książce, w wyjątkach dzieł drukowanych od r. 1548 aż do końca „Wypisów“, to jest do Brodzińskiego włącznie, niejaką sprzeczność z tém, co czytamy w ustępie „Początki piśmiennictwa polskiego“: tam rozwój staropolszczyzny zupełnie był zapomniany; tu jednostronnie i wyłącznie wzięty za podstawę. Tam uczeń nie ma żadnéj możności przekonania się, jakie były szczeble w rozwoju form i wogóle organizmu języka, — tutaj zaś umysł jego nie obejmuje całości oświaty, a autorów, którzy pisali zarówno po polsku, jak i po łacinie, w dziwnym jakimś, połowicznym napotyka zarysie. Nadto plan, ułożony przez komisyę lwowską, stoi w sprzeczności z samym sobą. Znajdujemy wszak w układzie autorów i takich, którzy pisali po łacinie: Modrzewski, Kromer? Na zarzut ten odpowiedzieć można, że obaj *wyjątkowo* zamieszczeni zostali dlatego jedynie, że obaj mieli współcześnie żyjących i współczesnym piszących językiem tłómaczy, a więc krytyczna zasada językowa nic tu na wartości swéj nie traci. Bardzo dobrze! ale w takim razie, słuchając praw logiki, zamiast Kromera i Modrzewskiego, powinny stać imiona: Cypryan Bazylik i Marcin Błażowski, bo język do tych pisarzy należy.

Co więcéj, jeżeli przyjmujemy zasadę, uprawniającą przekłady współczesne, to nie widzimy dobréj racyi stosowania jéj tylko do dwu powyższych pisarzy. Dlaczegóż, pytam się, pominięci współcześni tłómacze innych, bardzo głośnych pisarzy literatury naszéj,— a mamy ich przecież? Hr. T. np. sam wspomina o przekładzie „Castus Joseph“ Szymonowicza, dokonanym w r. 1597. Jeżeli tedy komisya lwowska, wierna zasadzie swojéj, nie chciała dać przekładu jednego z najznakomitszych utworów tego poety — „Joël Propheta“, dlatego, że ten nie był współczesnym; to może chociaż z roboty Gosławskiego dałoby się skorzystać, byle uczeń dowiedział się coś przecie, oprócz sielanek i Lutni rokoszańskiéj, że Szymonowicz, ów poeta laureatus, głośny był w swoim czasie w całéj Europie. Albo znowu Sarbiewski! ta nasza gwiazda poetycka, chluba poezyi polsko-łacińskiéj w. XVII, wyrzucony jest całkowicie z „Wypisów“ tak, że uczeń, kilka lat poświęcając na naukę literatury, nic o nim się nie dowiaduje z téj książki, pomimo że mamy przecie *współczesny* prze-

kład Samuela ze Skrzypny Twardowskiego niektórych Ód Sarbiewskiego.

Wspomniane wyżéj niewymierne uwzględnianie historyi oświaty widoczne jest w innych jeszcze ustępach dzieła. Gwar życia umysłowego, jaki tak rozgłośnie brzmiał u nas na początku XVI wieku, dziwnie blado tu wygląda! Nic nie czytamy ani o pierwszych drukach polskich, ani o licznych przekładach biblii na język polski, ani o dysputantach akatolickich, wyrabiających giętkość językową, ani o licznych szkołach akatolickich,—a w ogólnym obrazie w. XVI nie wspomniano dokładnie, że mieliśmy wówczas cztery uniwersytety i potrojoną (w stosunku do w. XV) liczbę zakładów średnich, czyli że oświata, względnie do zaludnienia kraju, nigdy ani przedtém, ani potém nie dosięgła takiego stopnia rozwoju;—otóż cała ta nasza ruchliwość społeczna, polityczna i literacka, wygląda tutaj tak mdło, że nie daje wcale uczniowi dokładnego o prawdzie wyobrażenia.

Działanie znowu duchowieństwa, zakonnego przedewszystkiém także tu pominięto, niéma nawet ani słówka o Benedyktynach, tych pierwszych, gorliwych krzewicielach chrześciańskiéj kultury naszéj. Wspomniani są ci tylko, których na żaden sposób pominąć nie można, to jest Pijarowie, a przedewszystkiém Jezuici. To téż powiedziano to wszystko, co o istotnych zasługach zakonu tego w w. XVI i na początku XVII powiedzieć można i należy; ale, niestety, starannie pominięto wszystko, cokolwiek ujemną stronę ich działalności odsłaniać mogło; a tak druga połowa w. XVII i cały XVIII musiały być z tego powodu tendencyjnie zabarwione. Jest np. dokładnie wskazana data, kiedy Hozyusz sprowadził Jezuitów do kraju i gdzie ich osadził; a w przeglądzie okresu Stanisławowskiego nic nie wspomniano o bulli papiezkiéj „*Dominus ac redemptor*“... Tymczasem kassata zakonu Jezuitów była dla historyi oświaty naszéj tak doniosłym faktem, jakiego nigdy nie mieliśmy w ciągu naszych dziejów Wprawdzie milionowa fortuna Jezuitów w znacznéj części rozszarpaną została przez złą wolę niektórych zgangrenowanych naszych możnowładców, ale i to, co pozostało, było jeszcze znakomitym zasobem do podźwignienia oświaty naszéj z upadku i postawienia jéj na stanowisku prawdziwie europejskiém. Pomimo tak olbrzymią doniosłość faktów, idących po r. 1773, hr. T. nie uważa za potrzebę wspomniéć nawet, choćby z imienia, o działalności „Komisyi Edukacyjnéj“, oraz o takich przynajmniéj dobroczyńcach oświaty, jak Chreptowicz, Potocki i Piramowicz... Jest natomiast wspomnienie o towarzystwie do ksiąg elementarnych, lubo ono było tylko małą odroślą działań w sprawie organizacyi naszéj oświaty, ogniskującéj się w Komisyi Edukacyjnéj.

Nie stanowi również zalety „Wypisów“, jako książki elementarnéj, i podział na okresy. Czytamy tutaj takie podziały: Okres I od r. 1548 do 1600; okres II: 1600—1648; III: 1648—1696; IV: 1697—1763; V: 1764—1795; VI: 1800—1822.

Mówiliśmy wyżéj, że hr. T. z wielkim talentem wskazywać umie charakterystykę okresów,—ale myśl ta stosuje się do życia politycznego i w ogólności do życia społecznego narodu; natomiast fakta literackie, jakie w tym razie głównie za podstawę służyć powinny, niedość są uwydatnione, a niekiedy wprost naciągane, a przynajmniéj autor dat powyższych rozwoju oświaty i twórczości literackiéj nie usprawiedliwił. I dlatego-to może, oprócz okresu VI, który nazwał „*przejściowym*“, nie umiał dać nazwy drobiazgowym podziałom swoim, omawiając je wprost historyczném mianem. I w istocie! okres drugi niczém się nie różni od okresu pierwszego: téż same tam były podstawy twórczości, ten sam humanizm, téż ideały literackie i społeczne, z wyjątkiem Starowolskiego, który do następnego okresu odniesiony być powinien. Okres IV jest dalszym ciągiem okresu III, bo tu i tam leżało wspólne znamię upadku moralnego i obywatelskiego, upadku czystości językowéj i wyobrażeń literackich, a jeżeli były jakie wyjątki pod względem czystości i naturalności stylu (Morsztyn, Pasek, Drużbacka), to właśnie dlatego, że to były wyjątki stanowisko ich ogólnéj barwy wieku wcale nie zmienia.

Najdziwniéj tu wygląda okres IV. Któż go bowiem wyobraża? Oto, odrzuciwszy pisarzy broszur politycznych (Jabłonowskiego i Leszczyńskiego), postawiwszy na właściwém miejscu, t. j. w epoce Stanisławowskiéj, Konarskiego i W. Rzewuskiego,—nadmieniwszy przytém, że Elż. Drużbacka charakteryzować epoki (1697—1763) téj nie może, pozostają trzéj wyobraziciele (!) okresu IV: ks. Floryan Jaroszewicz ze swoją „Matką Świętych“, ks. Ben. Chmielowski ze swoją „Akademią wszelkiéj scijencyi pełną“ i w końcu ksiądz Baka, przedewszystkiém ks. Baka! ze swoją „śmiercią niechybną, wszystkim pospolitą...“ Z taką trójką literacką uczeń chyba daleko nie zajedzie...

Owe tedy arcydrobne, mniéj więcéj pięćdziesięcioletnie podziały, nie usprawiedliwione są ani „dążnościami i kierunkami“, ani „zmianami w treści i formie“ literackiéj, ani „wpływami, jakie wywierała na społeczeństwo“ twórczość naszych pisarzy, o czém wszystkiém, jako o rzeczach koniecznych do obrazu literatury, na początku książki nadmienia hr. T.; a co więcéj, podziały owe nie dają możności zaprowadzenia ładu wewnętrznego, jaki nieodzownie na dnie książki elementarnéj spoczywać powinien. Przedmowa głosi, że uczniowie często nie mają pojęcia, „do jakiéj połowy wieku który pisarz nale-

ży"; może tedy owe półwiekowe okresy „wymyślone" są po to jedynie, by zaradzić złemu, jakie się w szkolnictwie uwydatniło? Jeżeli tak, to mnie się zdaje, że komisya lwowska i samiż autorowie „Wypisów" celu swego nie osiągną, bo zamiast mnemonicznego ułatwienia okresy owe zagmatwają tylko zwykłe normalne działanie pamięci. Uczeń bowiem przedewszystkiém pamiętać będzie daty okresów i działalność literacką pisarzy poszczególnych do nich będzie stosował. Tymczasem cóż tu widzimy? Oto okres pierwszy kończy się na roku 1600, a zamieszczeni są w nim pisarze, którzy żyją i tworzą po owym roku: Klonowicz lat 8, Grochowski lat 12, a nawet Skarga (o którym przecie sam hr. T. mówi, że po r. 1609 napisał „Wzywanie do pokuty", a w r. 1611 powiedział ostatnie kazanie dziękczynne), całym tuzinem lat życia swego zagmatwać może pamięć ucznia, który, na podstawie podziału okresów, życie Skargi zamknie na wieku XVI. W okresie drugim znowu K. Miaskowski niewłaściwie przyszedł na świat, bo pozwolił sobie żyć (no! i pisać) przeszło lat pięćdziesiąt w okresie pierwszym... Stan. Żółkiewski prawie tyleż lat. Ale co może najbardziéj rażące, to Szymonowicz, ów laureat europejskiéj sławy, ów Szymonowicz, o którym sam hr. T. mówi, że „jest ostatnim wielkim uczonym złotego wieku", „a rodzajem i stopniem wykształcenia należący do epoki humanizmu",—mimo to wszystko wyrzucony został z okresu pierwszego „złotego", nie wiadomo, dla jakiéj racyi? A co do chronologii, to i on pozwolił sobie żyć nie *w swoim* okresie lat 43 i t. d. Nie można się dziwić, jeżeli uczeń, wobec téj plątaniny lat życia pisarzy w stosunku do dat okresów, nie będzie i teraz wiedział, „do któréj połowy wieku który pisarz należał".

Te są, podług naszego zdania, ważniejsze usterki rozbieranego przez nas dzieła; zresztą „Wypisy" mają i swoje strony dodatnie, o których przemilczać nie myślę. Uczeń skorzystać może i z życiorysów, pisanych umiejętnie, a niekiedy obrazowo, i z owych charakterystyk historycznych, zwłaszcza przy uzupełnieniu ich przez nauczyciela,—a przedewszystkiém materyał do czytania i rozbioru jest tu obfity i w znacznéj części nowy, a dobrze wybrany.

Do takich np. nowych, niezużytkowanych ustępów zaliczyłbym: wyjątki z dzieł Piotra Zbylitowskiego, Stanisława Żółkiewskiego, Piotra Kochanowskiego (Orland), Tom. Młodzianowskiego, A. Morsztyna (Psyche), J. Olszewskiego, Wacława Rzewuskiego, Ign. Krasickiego (O narożnéj kamienicy), Ad. Naruszewicza (Memoryał), Kaj. Koźmiana (Pamiętniki), Kazimierza Brodzińskiego (Wstęp do literatury) i inne. Można wprawdzie zarzucić, że, z wyjątkiem drobnych gatunków poetycznych, wszystkie ustępy są kawałkowane, nie dające ża-

dnego pojęcia o całości, układzie i wartości całego dzieła; ale pojmujemy te cząstkowe ustępy w ten sposób, że one są przeznaczone do obrabiania w szkole, gdzie nauczyciel sam może do pewnego stopnia rzecz zaokrąglić,—na domową zaś lekturę nauczyciel przeznacza odczytywanie znakomitszych dzieł całkowitych, które następnie w klasie oświetla krytycznie.

Niezmiernie ważném ułatwieniem, zarówno dla nauczyciela, jak dla ucznia, są dodane na końcu dzieła objaśnienia językowe i rzeczowe, oraz słowniczek wyrazów archaicznych.

Nie zapominamy w końcu nadmienić, że niemałą zaletę, jak na książkę elementarną, stanowi wielce staranna korekta, gdyż bardzo mało spotykamy takich błędów, jaki znajdujemy na str. 109, gdzie mowa o tém, że Kochanowski po raz pierwszy wydał „Treny“ w roku 1850.

Antoni Bądzkiewicz.

Wincenty Kosiakiewicz. *Przy budowie kolei*, powieść. Warszawa 1891. Nakład Gebethnera i Wolffa.—**Teodor Jeske-Choiński.** *Na straconym posterunku*, dramat współczesny w 5 aktach. Warszawa, nakładem „Niwy" 1891.

Zapadły kącik partykularza; gromadka ludzi powszednich, związanych z sobą węzłami prowincyonalnych stosunków; uczucia grające w umiarkowaném tempie i rozwijające się w spokojnych rytmach; dużo pogodnego słońca, rozlanego wśród prostych krajobrazów; uśmiech nie schodzący prawie z oblicza ludzi, za przykładem pogody, która stale rozjaśnia fizyognomię natury—i chwilowe zamieszanie w tym małym światku, wywołane wtargnięciem cywilizacyi w postaci lokomotywy, grupującéj koło siebie namiętności niezbyt gwałtowne, interesa zgoła nie drapieżne, aspiracye niebardzo dalekonośne—oto treść książki p. Wincentego Kosiakiewicza p. t. „Przy budowie kolei“.

Znane już szerszym kołom czytelników właściwości talentu autora „Literatury mojéj żony“, akcentują się w nowéj powieści jeszcze wyraźniéj. Kosiakiewicz patrzy uważnie, widzi dobrze, rysuje bez zarzutu, a maluje z tą obojętnością na wrażenia barw, która go od początku zawodu pisarskiego cechowała. Linie więcéj go interesują, aniżeli koloryt i światłocień; często nie dba o wypukłość ani o pogłębienia. Zdaje się, że gdyby był snycerzem, uprawiałby specyal-

nie płaskorzeźbę; w malarstwie zwróciłby się do *aqua tinty;* literaturę wyobraża sobie zapewne jako artyzm ołówkowy, w którym plastyka polega na kombinacyi odcieni szarych z popielatemi. Wiele wprawdzie dokazać można ołówkiem: wie o tém każdy, kto choć raz w życiu widział Grottgera; ale Grottger był poetą—Kosiakiewicz jest artystą szarego koloru, kombinującym efekta spokojnie, bez sercowych uniesień, przy pomocy zmysłu, który w mózgu ma swoje siedlisko.

Ten zmysł wyrobiła w pisarzu potrosze nowa poetyka literacka, zrodzona z zabobonnéj trwogi przed wszystkiém, coby romantyzm przypominać mogło, w znacznéj zaś części modna filozofia życiowa, złagodzona chłodnym temperamentem. Nie będąc optymistą szczerym, Kosiakiewicz lęka się barwy jasnéj, kolorytu żywego; nie jest zaś dość namiętnym pesymistą, żeby widział czarno; rzuca więc na szare tło rzeczywistości popielate cienie lekkiego zwątpienia i z tych dwóch obojętnych kolorów kombinuje sobie całą paletę, stopniując gammę bladości z wirtuozowstwem, które istotnie na miano artyzmu zasługuje. Czasem na tę paletę padnie promień uczucia i niby błysk słoneczny wywoła barwy tam, gdzie zdawały się nie istnieć. Wtedy malowidło nabiera kolorytu, drgającego w oświetleniu poezyi. Ale, jak gdyby bał się takich chwil, Kosiakiewicz powraca do swego przyćmionego rysunku ze skwapliwością, którą aż bierze ochota komentować.

Komentarz może nie będzie zupełnie prawdziwym — nie przeszkodzi mu to jednak być prawdopodobnym; a w krytyce, która, zapuszczając się w psychologię autora, nie może miéć pretensyi do absolutnéj, niezachwianéj prawdy, prawdopodobieństwo wystarczy, tak jak dostateczném jest w każdéj pracy twórczéj, nie mogącéj oprzéć się na bezwzględnéj prawdzie, któréj nikt z cudzéj duszy nie wyłowi.

Przypuszczam tedy, że Kosiakiewicz równie spokojnie czyta książki, jak patrzy na życie—w takim razie mogło go zastanowić przy czytaniu powieści „Zwierzę w człowieku“: do jakich dziwolągów dojść może pisarz, jedynie dzięki nieokiełznanemu temperamentowi, wtedy nawet, kiedy sobie zakłada odtwarzać życie i tylko życie, prawdę i tylko prawdę.

Zola i Kosiakiewicz malują analogiczne światy, pokrewne sobie stosunki; skądże więc u dziejopisa Rougon-Maquartów ta chodząca na szczudłach „kolosalność“, „potworność“, dlaczego ludzie, rzeczy i wypadki mają tę fizyognomię ponurą, fatalistyczną, naznaczoną piętnem jeżeli nie wzniosłéj tragedyi, to przynajmniéj czarnego melodramatu? czém się to dzieje, że owo „zwierzę“, nabłąkawszy się w różnych kształtach i postaciach wśród labiryntu mieszczańskiéj z czasów drugiego cesarstwa epopei, dopiero w atmosferze przesyconéj dymem lo-

komotywy porzuciło swoje *incognito* i w całéj okazałości wynurzyło się na światło dzienne? Gdzież tu owa, za dogmat naturalizmu ogłoszona, zależność charakterów ludzkich od otoczenia, które je wytwarza, i czy specyalnie w naturze stosunków kolejowych leży konieczność nietylko ujawnienia typowego „zwierzęcia w człowieku", ale wyprodukowania całkowitéj menażeryi ludzkiéj?

Kosiakiewicz, który, nawiasem mówiąc, zna stosunki kolejowe, i to w skutek zbiegu różnych okoliczności, zna je lepiéj niż Zola, musiał prawdopodobnie odrazu znaleźć odpowiedź na te pytania i zamknąć ją w definicyi, sformułowanéj z kompetencyą fachowca w rzeczach kolejowych.

— Chory na oczy!—powiedział sobie zapewne, mając na myśli specyalny rodzaj daltonizmu, na który zapadają maszyniści, zwrotniczowie i dróżnicy: polega on na stopniowym zaniku zdolności rozróżniania barw sygnałowych, w skutek którego chory bierze często jeden kolor za drugi. Przyczyną choroby jest ciągłe nadmierne wytężanie wzroku w dal, a szczególniéj w głębiny ciemności. Zapatrzony w noc, szukający wśród niéj majaczenia migotliwych światełek, między któremi purpurowe najłatwiéj mu dostrzedz, daltonista kolejowy dochodzi niekiedy do tego, że ma w oku dwie tylko barwy: czarną i czerwoną. Coś podobnego dzieje się z Zolą: w mrokach natury ludzkiéj zepsuł sobie oczy i w biały dzień widzi albo czarno, albo krwawo. Przytém, snuł prawdopodobnie daléj swoją dyagnozę Kosiakiewicz, zdarza się czasem, że daltonizm od barw przechodzi do kształtów. Cierpiący na to zboczenie wzrokowe zatraca w sobie poczucie proporcyi w liniach, które, jak wiadomo, po ciemku zmieniają swój stosunek, nadając przedmiotom fantastyczne jakieś kontury, wydłużając jedne zarysy, skracając drugie, odwracając działanie perspektywy świetlnéj, przybliżając to, co było daleko, odsuwając to, co było blisko, i tworząc z tego odmętu nienaturalne, prawie nadnaturalne obrazy. Wszystkie te objawy spotyka się u Zoli i jeszcze coś więcéj, co z téj saméj płynie przyczyny, a sięga głębiéj, bo do saméj istoty przedstawionego przezeń świata kolejowego. W tym świecie, gdzie ruch sił materyalnych ma tyle pozorów życia organicznego, a życie wydaje się tak często uregulowanym z matematyczną ścisłością ruchem mechanizmu, miał Zola więcéj niż kiedykolwiek sposobności zastosowania swéj metody, polegającéj na ożywieniu tego, co martwe i... niestety, na zabiciu niekiedy tego, co żywe. Człowiek u niego funkcyonuje jak maszyna, kombinacyą instynktowych sprężyn,—a prawdziwa maszyna ma duszę; role zmieniają się skutkiem jakiejś transpozycyi motywów, wywołanéj rozszerzonym daltonizmem, który miesza psychologię z fizyologią, a zamiast ludzi i rzeczy, wi-

dzi tylko piętrzące się w chorej wyobraźni symbole. Na kolei przenoszą daltonistów do innych zajęć, gdzie mogą być użytecznymi, nie narażając życia dziesiątków tysięcy podróżnych; w literaturze, ludzie sami myśléć muszą o własném bezpieczeństwie i powierzać losy swoje kierownikom, którzy ich nie wykoleją. Co do mnie, konkludował może Kosiakiewicz, wiem, że nie mam kwalifikacyi do prowadzenia literatury po nowéj a niepewnéj jeszcze drodze. Podróżując pod sterem takiego talentu, jak Zola, miło czasem i z pociągu wylecieć; ja nie chciałbym brać podobnéj katastrofy na swoją odpowiedzialność. Skromniejsze są więc moje wymagania: nie pretenduję nawet do stanowiska zwrotniczego, bo i złe nastawienie zwrotnicy może zmylić drogę i spowodować nieszczęście. Będę sobie „przy budowie kolei"; zobaczę, jak to powstaje, skąd wychodzą nowe tory, którędy przebiegają, dokąd zmierzają; późniéj może tam zacznę od skromnéj pracy drożnika, doglądającego linii i salutującego chorągiewką przed podróżnymi. Potém... niewiadomo co przyszłość kryje. Tymczasem szanujmy wzrok, nie wytężajmy go ani za daleko, ani za głęboko, unikajmy forsowania oczu w ciemnicy, olśniewania ich zbytniemi blaskami jasności, albo grą barw jaskrawych,—może się to na co przyda.

I przydało się, bo na tym skromnym posterunku napisał Kosiakiewicz „Przy budowie kolei". Tło wiadome, ludzie dostrojeni są do otoczenia, aktorowie harmonizują z dekoracyą; obrazek zostawia wrażenie prawdy; zna się, widziało się to wszystko, a talent autora na tém polega, że zetknięcie z tym znanym światkiem sprawia przyjemność.

Kto jest pan Piasecki, inżynier, bohater główny powieści? Człowiek, którego spotykaliśmy tysiąc razy i który zdaje się nie miéć żadnych tytułów na bohatera. Letkiewicz bez fantazyi, ale biorący życie ze strony łatwéj; obowiązkowy, lecz tylko w swoim fachu, bo to mu daje wygodne utrzymanie, nie przywiązujący się jednak do swego zawodu, bo wogóle niełatwo się do czegobądź przywiązuje; obdarzony przyrodzonym talentem ciągnięcia korzyści z każdéj sytuacyi i na każdém stanowisku, lubiący życie w Warszawie, ale umiejący radzić sobie w najgłuchszéj prowincyi, Piasecki prawie że nie wybiega ponad poziom przeciętnych uczuć i aspiracyi. Na gorączkowe wyczekiwania mieszkańców stacyi Janki, od któréj zacząć się ma „nowa droga", na krzyżujące się wśród okolicznéj ludności nadzieje i obawy, patrzy z obojętnym trochę uśmiechem — budowa o tyle go interesuje, o ile leży w zakresie jego obowiązków; zresztą wszystko mu jedno, pracę będzie miał nie tu, to gdzieindziéj; oryentuje się tylko w stosunkach, żeby mu tak tu, jak gdzieindziéj, jak wszędzie, dobrze być mogło. W Jankach urządził się odrazu wygo-

dnie. Sam wesoły, wesołością zdobył sympatyę zawiadowczyni, lubiącéj się rozśmiać, pożartować—no, i dyskretnie poromansować. Figura to wyborna, lekką ręką i z wielkim taktem nakreślona.

Pani „Jula“ nie jest wcale ładną; rysy jéj twarzy odznaczają się tą pospolitością, która wprawdzie nie razi, ale téż i nie pociąga ani jednym szczegółem; ale kiedy ujmie swoją zgrabną zresztą i dość pełną figurkę w sztywną, mocno wykrochmaloną suknię, szeleszczącą przy każdém poruszeniu; kiedy energiczna, żywa, ruchliwa, kręci się po swojém gospodarstwie, lub z żelazkiem w ręku, z rękami po za łokcie obnażonemi, stoi nad deską do prasowania i woła od czasu do czasu: „Marysiu dusza!“ — bije z téj postaci zdrowie, życie, humor i łatwo odgadnąć, w jakim kierunku pójdzie, na czém skończy się znajomość Piaseckiego z panią zawiadowczynią, jakkolwiek autor nic nie podkreśla, żadnych kropek nad *i* nie stawia i delikatnemi tylko rysami tego i owego domyślać się pozwala.

Zupełnie inaczéj wygląda stosunek Piaseckiego do młodéj dziewczyny, u któréj wujowstwa inżynier wynajął sobie mieszkanie. Coś jest w téj Janinie zajmującego, a na usprawiedliwienie tego wdzięku nie dał autor podlotkowi ani piękności, ani naiwności szablonowéj, ani przedwczesnego, po literacku zrobionego, sprytu. Sytuacya Janinki w domu przykra; wuj Orchocki zdaje się nastręczać ją panu inżynierowi w widokach własnéj na przyszłość karyery, a ona usługuje lokatorowi z jakimś łagodnym, nienarzucającym się smutkiem, a z rosnącą stopniowo dla Piaseckiego sympatyą. Zajęty przyjemnym flirtem z panią „Julą“, oddany w samą miarę pracy przy budowie drogi, spędzając zresztą wolne od robót chwile w Warszawie, inżynier ani się spostrzegł, jak siostrzenica Orchockich rozwinęła się z pączka w kwiat śliczny—a gdy wreszcie dostrzegł tę metamorfozę, kiedy domyślił się, ile w niéj bez wiedzy dziewczyny miłość wzięła udziału, uśmiechnęła mu się myśl o możliwości sielanki. Tym sposobem życie ułożyłoby mu się doskonale; inne uciechy miałby przy pani „Juli“, inne przy Janince, co nie przeszkodziłoby mu trzymać w odwodzie panią Łupinkowską, żonę obywatela, któréj majestatyczna piękność imponuje Piaseckiemu, a drażni go kokieterya nieprzystępności. Nie trzeba ztąd wnosić, że pan inżynier ma naturę Don Juana, tylko jest w nim wszystkiego potrosze, w kombinacyi średnio-przeciętnéj, darzącéj go takim spokojem, że pragnąłby mieć w życiu coś dla każdéj swojéj zalety i wady. Instynkta płochości zaspakaja mu pani zawiadowczyni faktami, a p. Łupinkowska aspiracyami; potrzebie poetycznéj rozrywki czynią zadość codzienne wieczorne z Janinką spotkania, a Warszawa ma dlań zawsze w pogotowiu odmianę; że zaś zakochaną w sobie dziewczynę widuje u sie-

bie, że dom pani „Juli“ uważać może za swój własny, że wogóle przyjemności przychodzą mu bez żadnych zachodów, więc się w tém wszystkiém najwięcéj cieszy filister, drzemiący wygodnie na dnie duszy pana inżyniera. Ta prosta historya zmysłów, serca i wyobraźni zwyczajnego człowieka, roztacza się w związku z postępem budowy nowéj kolei, któréj fazy kreślone są z życiem w kilku charakterystycznych scenach. Niéma w nich żadnego przyboru specyalnéj technicznéj wiedzy, autor nie uczy czytelnika, jak się sypie i żwiruje plant, ani mu imponuje inżynierskiemi wywodami o wytrzymałości szyn, albo o trwałości podkładów—ale daje obrazy, w których pewne momenta cywilizacyjnego na prowincyi przekształcenia gromadzą ludzi z ich dążeniami, zabiegami i ambicyami, stanowiącemi przy ogólnym nastroju miejscowéj ludności ciekawą psychologię całego zakątka. Śliczny jest opis wycinania lasu w kierunku projektowanéj linii. Wybrano się na miejsce o świcie. Słońce nie weszło jeszcze; duży starodrzewny las zasłaniał całą dolną stronę wschodniego nieba; światłość, rozpościerająca się nad borem, była mało jeszcze silniejszą od reszty nieba, rozwidnionego już, lecz jeszcze nie napojonego blaskiem. Droga przerznięta była w kierunku zachodu i wschodu i w głębi, na końcu szpaleru, utworzonego przez sosny, widać było krwawą łunę, która jakby usiadła na drodze. Tę ciemno-krwawą łunę rozpraszało słońce, ukryte jeszcze; ścierało z horyzontu czerwoność i rozpościerało swój płaszcz szczerozłoty. Wdali pomiędzy drzewami błyszczała już wielka jasność i powoli na drogę leśną wytaczać się zaczęła duża tarcza słoneczna. Zdawało się, że słońce zastąpiło drogę jadącym i samo puści się teraz pomiędzy stare, milczące, poważne sosny, po ziemi tysiącami kół ujeżdżonéj. W miarę jak bryczki posuwały się naprzód, złota twarz dumnie odrywać się zaczęła od ziemi, unosiła się powoli w szpalerze pomiędzy sosnami, minęła wreszcie najwyższe gałązki drzew i, opuściwszy las, wytoczyła się na szeroką przestrzeń horyzontu.

Drzewa, przeznaczone na śmierć, do nowego zbudziły się życia. Ciepłe dni Maja porozwijały już liście i rozpostarły na czarnych, suchych niedawno gałęziach, koronkowe obłoki zieleni. Gdzieniegdzie na dole, w cieniu od strony północnéj, wpadał w oko jeden i drugi pączek zaledwie rozpęknięty, z delikatnemi młodziuchnemi listeczkami, zwiniętemi w kłębek. Niewielki gaik ze swoją jasną, wesołą zielonością, rosnący w sąsiedztwie grubych, wysokich sosen, ciemnych zdala, ponurych z bliska, czynił pociągające wrażenie młodzieńczego życia. Topór umiejętnego leśnika nie przeszedł jeszcze tędy. Wszystko rosło tak, jak chciało i mogło; jedne rośliny wyrastały tuż obok drugich, inne wciskały się w zagęszczone już miejsca, gałęzie nieraz

tak zachodziły jedne na drugie, że trudno byłoby wskazać, które do którego należą drzewka. Wierzchnia szata, w jaką wiosna ubrała strojnie i suto ten gaik, utworzyła po obu stronach drogi dwie ściany, dwa wały żywéj zieleni.

Na dany znak umilkł gwar, dotychczas między obecnymi głośny, a rozległy się głosy mnóztwa ptaków. Gaik był zamieszkanym i to nawet gęsto zamieszkanym. Ćwierkania wychodziły ze wszech stron zieleni, dalsze i bliższe, cichsze i głośniejsze, i tworzyły, napełniając tę ustroń tysiącami tonów krótkich, energicznych, niewyczerpanych, chór ciągle utrzymywany przez niewidzialnych coraz nowych śpiewaków, nieskończony, nieprześpiewany.

Robotnicy rozstawili się wzdłuż drogi i rozległy się pierwsze uderzenia siekier w pnie drzewne. Rosa, w noc układająca się na liściach drzew tych do spoczynku, stanęła w obronie przeciw téj zbrodni. Perły deszczu, zimne, duże, sypać się zaczęły na rąbiących, po każdém uderzeniu siekiery, że zaś uderzenia te były liczne i szybkie, z góry spadały krople bezustanku, ześlizgując się z liści na liście, i padając wreszcie na ziemię i ludzi, tworzyły głośny szelest. Podobnemi one były do łez... młody bezbronny gaik płakał. Robota szła energicznie. Kilkoletnie roślinki padały pod jedném uderzeniem siekiery. Drzewka stawiały opór, ostrze z siłą wpadało w pień, przecinało korę, którą dobroczynna wiosna zabarwiła ciemnemi a delikatnemi żyłkami zielonemi, zagłębiało się w miąższ drzewa, przepełnionego żywotnemi sokami, z rozbujałéj niedawno ziemi wypitemi, niosącemi pokarm dla całéj istoty, stworzonéj do życia i rozwoju. Jedna rana nie waliła drzewa; — jęk tylko jakiś cichy rozchodził się po lesie, rozpaczliwy szum wydały trzęsące się gwałtownie liście, ale drzewo stało; następowało tedy drugie, i trzecie, i czwarte uderzenie, rana rozszerzała się i pogłębiała, nareszcie drzewko chwiało się i upadało zabite".

Na tło zimowego krajobrazu rzucił autor epizod pełen jędrnéj charakterystyki: zabijanie pali w fundamenta pod most. Odbywa się to nad rzeczką w jarze, który stał się w ciągu robót zimową stolicą kolei. Tu skupiało się teraz całe życie, wszystek ruch. Przez cały dzień ukazywały się na górze sanie, które spuszczały się ujeżdżoną drogą, szybko, gwałtownie, i zatrzymywały się na dole. Dozorcy, ubrani w grube kaftany, w sięgające za kolana buty, wskazywali miejsce, gdzie kamienie mają być złożone. Woźnice zatrzymywali się zazwyczaj, aby posłuchać piosnki, jaką śpiewali robotnicy przy zabijaniu pali i przypatrzyć się żelaznéj *babie*, podciąganéj do góry i spadającéj całym ciężarem i impetem na łeb pala drewnianego. *Baba* nie była dla robotników zwykłą kłodą żelaza, jaką wydawała się

każdemu z przechodniów. Baba była to osoba, miała duszę, żyła. Zrana była lekką, ochoczo i wysoko unosiła się do góry, silnie waliła pale, stękające po każdem uderzeniem, aż echo odbijało się w lesie; odpoczywała niedługo, wnet bowiem śpiewano do niéj:

Ojże babo mocno wal,
A sam w ziemię wlezie pal!

Im bardziéj przecież południe się zbliżało, tém baba robiła się ociężalszą. Wprawdzie zawsze słuchała pieśni, zawsze po wyrazie „pal“ unosiła się do góry, ale coraz niżéj, z coraz mniejszą siłą gnębiła pale, które coraz ciszéj stękały i wcale się nie śpieszyły wejść w ziemię.

Wśród takiéj sceneryi, zmieniającéj się wraz z porami roku i w miarę jak droga wydłuża się i rośnie, zapoznaje nas autor z figurami nieobcemi nikomu, kto się kiedykolwiek bliżéj przyjrzał stosunkom kolejowym. Więc najprzód nieunikniony hrabia Broński, „słomiany“ inżynier, bez specyalnego uzdolnienia, ale gładki, ugrzeczniony, dobrze wychowany, gotów każdemu przysługę zrobić i z téj racyi powszechnie lubiony; daléj pan Pudełko, wzorowy urzędnik, zamiłowany w energii i sprężystości... u innych; dozorca robót Michalik, samouk, robiący ustawicznie odkrycia, które już dawno porobiono, ale niemniéj umiejący lepiéj to, co umie, od wielu teoretyków: przedsiębiorca Walcarek, stary wilk kolejowy, kuty na cztery nogi, mistrz w oszukiwaniu robotników, a jako przeciwstawienie jego, młody dwudziestoletni technik, inteligentny i wykształcony chłopiec, noszący w sobie niewygasłe jeszcze iskry dawnego ognia humanitarności, usiłujący odciągać robotników od pijaństwa i zachęcać ich do oszczędności; wreszcie wzruszający typ inżyniera tułacza, ruchliwego, krzykliwego, z pozoru rubasznego, sympatycznego i niegłupiego przy bliższém poznaniu, który od wielu lat włóczy się co wiosna po świecie szukać pracy przy wielkich przedsiębiorstwach budowlanych; przez zimę mieszka w jedném z miast gubernialnych, gdzie żona prowadzi pracownię strojów; ma pięcioro dzieci, do których co niedziela w komórce przy otwartych drzwiach, jedynie tu przepuszczających światło, pisze listy, pełne ojcowskiéj czułości, do każdego dzieciaka osobno i w oddzielnéj kopercie; wieczorem idzie do Rowka i wysyła sześć listów w jedno miejsce i pod jedném nazwiskiem — tylko imiona są odmienne.

W tych warunkach i w takiém otoczeniu, wśród którego wszyscy ustawicznie się z sobą spotykają a życie prowincyonalne skupia się jeszcze bardziéj, sielanka Piaseckiego długo trwać nie mogła. Wieczorne gawędy z Janiną, odbywające się zawsze w jego pokoju,

wycieczki we dwoje na jednéj bryczce na wieś i do miasteczka, mają charakter zażyłości, dostarczającéj plotkarstwu wdzięcznego materyału. Zatonąwszy w lubém przedświadczeniu, że mu „dobrze", p. inżynier nie wie, że wkoło niego języki pracują — i dowiaduje się o tém dopiero od Janiny, któréj uwagę zwrócił na to pomocnik Piaseckiego, Sanocki, zazdrosny o Janinę. Naiwnéj spowiedzi dziewczęcia słucha p. inżynier z przykrością, nie tyle przez wzgląd na reputacyę Janinki, ile w przewidywaniu, że „piękne dni Aranjuezu" skończyć się muszą. Błysk światła przychodzi nie w porę, niby promień słońca, świecący bez ceremonii w same oczy: przed chwilą właśnie oboje wyznali sobie, że się kochają, i trzeba będzie przerwać tę idyllę!... Chybaby się ożenić? O tém Piasecki nie myślał wcale. Ożenić się! albo mu tak źle z panią „Julą" w rzeczywistości, z panią Łupinkowską w perspektywie? Nie zrobi tego—raczéj zerwie; ale jak? Napisać list? Probuje, lecz mu jakoś nie idzie. Najlepiéj, nic nie mówiąc, wyjechać bez pożegnania. I wyjeżdża do Nizzy... za panią Łupinkowską.

Egoista!... zapewne; tylko nie trzeba przesadzać doniosłości tego zarzutu. Samolubstwo znajduje się w naturze Piaseckiego w nie większéj od innych wad i zalet proporcyi; w tym kierunku, jak i w każdym innym, Piasecki ani za daleko nie dojdzie, ani głęboko nie upadnie; ma w ręku, jak ekwilibrysta, wagę, z którą przez życie przejdzie prawie prosto.

W Nizzy nie znalazł spodziewanego ukojenia, jakkolwiek wolno się domyślać, że pani Łupinkowska nie była dlań okrutną; w Paryżu bawił się bardzo umiarkowanie; coś go pchało z powrotem do Janków, coś, czego nie chciało mu się nazwać po imieniu. Ten stan, zbyt jeszcze spokojny, żeby mu nadać znaczenie wyrzutów sumienia, a zanadto niewygodny, żeby mógł się stać normalnym; ten cichy spór raczéj, niż szamotanie się między niezdecydowanym samolubem, a niewyraźnie zakochanym, przedstawiony jest przez Kosiakiewicza subtelnemi półtonami. Kiedy na uroczystą prośbę o rękę Janinki, przy pierwszém z nią po powrocie spotkaniu, Piasecki dostaje odkosza, doznał niby pewnego zadowolenia, jak człowiek, któremu udało się spełnić obowiązek bez narażenia swobody. Ale ukontentowanie trwa niedługo, a niepokój powraca na wieść o wyjeździe dziewczyny, która instynktem kobiecym odgadła, że nie serce podyktowało Piaseckiemu jego propozycyę.

Janinka pojechała do Warszawy zdać egzamin na nauczycielkę wiejską. Nie lękajmy się—Kosiakiewicz ma poczucie smaku i nie zaprezentuje nam jednego więcéj literackiego egzemplarza bohaterki społecznéj. Dziewczyna zdaje egzamin, bo jéj źle u swoich, bo

może się domyśla roli, jaką jéj przeznaczono; pracuje nie dla apostolstwa, tylko w widokach własnéj niezależności — a uzyskawszy ją, wraca. Tego powrotu pan inżynier doczekać się nie mógł, tak mu pilno było powtórzyć swoje oświadczyny i choćby przebojem zdobyć tę rączkę, któréj mu odmówiono. Kocha — czuje to i już to sam sobie otwarcie mówi; kochanek zwyciężył w nim bez walki, jeżeli bowiem egoizmu miał tylko na swoją potrzebę, to i miłości posiada w sam raz, żeby mu wystarczyło. Więcéj walczy z sobą Janina—bo to charakter, i jéj kapitulacya jest rzeczywiście tryumfem serca, nie bezwładności. Poprzedza to zwycięztwo bardzo ładna scena, w któréj zakochani, przeczuwający już, że muszą do siebie należéć, jadą na lokomotywie.

Lokomotywa, „zwierzę ciężkie i nieruchawe, błyszczące świeżym lakierem", probuje dopiero sił swoich i posuwa się ostrożnie przez krajobraz zimowy, smutny i jednostajny. Las na prawo, las na lewo, las w głębi, w ulicy zaś, z drzew ogołoconéj, wszędzie śnieg leżał, pokrywający wszystko dokoła: trawy i krzewy, zarówno jak rowy i nasypy, piękność dzieł boskich i sztukę z takim mozołem dokonanych dzieł ludzkich. Widać było tylko tor, dwie nici czarne bez początku i końca, które téj pustce i samotni mówiły o świecie innym, dalszym, dalekim. O takim świecie marzyło też dwoje przypadkowych na maszynie podróżnych. Tymczasem pociąg dostał się na pochyłość i zbiegać zaczął szybko, chwiejąc się to na prawo, to na lewo. Janina zachwiała się raz i drugi, co widząc, Piasecki podał jéj ramię. „Niech pani będzie łaskawa oprzéć się o mnie", rzekł — i Janina usłuchała. Jechali daléj w milczeniu. On trzymał jéj ramię przy swoim boku, przy każdém przechyleniu się pędzącego parowozu czując silniejszy nacisk jéj drogiéj rączki. Czuł doskonale, iż nigdy w życiu szczęśliwszym nie był, jak w téj chwili. Ona trochę bała się téj jazdy, nie mówiła nic przecież, oddając się wrażeniom tak nowéj dla siebie podróży i czując, jak ją podtrzymuje ramię, które przedstawia oparcie silne i godne zaufania. Kiedy, zostawiwszy Janinę u wuja, Piasecki siadł z powrotem na maszynę, odrzucił z piersi futro. Czuł wiosnę na świecie.

Podobnego uczucia doznaje czytelnik, zamykając książkę. Przeczytał tom, w ciągu którego przesunęło się kilka widoków natury dość codziennéj, trochę ludzi powszednich, nieco wypadków zupełnie zwyczajnych, i przywiązał się prawie do téj przyrody prostéj, do tych figur, widzianych ledwie przez chwilę, a wypadki nie znudziły go, mimo braku w nich wszelkiéj komplikacyi. Przy całéj powściągliwości charakterystyki, czytający poznał odrębny światek, do którego zaprezentowania autor nie potrzebował ani zapożyczać uczuć od Tro-

glodytów, ani posługiwać się sprężynami kryminalnéj reporteryi. Ludzie jego nie są doskonali, ani téż nie budzą dreszczu zbrodniczych niespodzianek. Czy śpi w nich „zwierzę“?—nikt się o to nie troszczy. Być może, iż egoistyczne instynkta Piaseckiego mają w sobie coś zoologicznego; zapewne, że pani „Jula“, godząca troskliwość dla męża ze względami dla inżyniera i z dobrocią dla hrabiego, może dać do myślenia; kto wie, do czego byłby zdolny Orchocki, jeżeli mógł przeznaczyć własną siostrzenicę na ofiarę inżynierowi; trudno wreszcie ręczyć za Sanockiego, gdyby tak zobaczył na lokomotywie ukochaną Janinkę ze znienawidzonym Piaseckim; ale te wszystkie: „może“, „kto wie“, „prawdopodobnie“, nie tylko że nie szkodzą postaciom i nic im życiowéj prawdy nie ujmują, lecz są raczéj czynnikami artystycznemi, wprowadzonemi do psychologii, która w sztuce musi również mieć swoją perspektywę, swoje dalsze i bliższe plany.

Jako ostateczne wrażenie, zostaje czytelnikowi pamięć owéj podróży dwojga zakochanych, to jest młodości i miłości, słowem poezyi, dążącéj po nowo utorowanéj drodze.

*

* *

Belletrystyka nie ma szczęścia do „posterunków“ społecznych. W powieści Prus postawił rozmiłowanego w ziemi chłopa na „placówce“, z któréj całe rodziny Ślimaków powędrowały do Brazylii; p. Jeske-Choiński wynalazł nowy posterunek dla bohatera dramatu, i ubrawszy w paryski garnitur współczesnego Uriela Acostę, wydał go na łup sfanatyzowanéj tłuszczy żydowskiéj. Jest jednak różnica między intencyami obu autorów i stosunkiem ich do przeprowadzonéj tezy. Dla Prusa Brazylia była niespodzianką, za którą może mieć słuszną do życia pretensyę—bo życie dostarczyło mu przecież wzorów do Ślimaka i dało wiele prawdziwych motywów miłości chłopa do ziemi; tymczasem p. Jeske-Choiński nazwał z góry wyznaczony posterunek „straconym“ i odrazu skazał na ukamienowanie każdego uczciwego wyznawcę starego zakonu, któryby zamarzył o podźwignięciu ciemnéj braci na kulturowe wyżyny; Prus widział swego Ślimaka, p. Jeske-Choiński wymyślił swego Proszowskiego. Obaj zrobili sobie przy tém pewną literacką przyjemność: jeden rozpędził Niemców w małym chociaż zakątku kraju, drugi jest głęboko przekonany, że, jak niegdyś pozytywistów, tak teraz żydów zgnębił doszczętnie; tylko że u Prusa po za tezą została śliczna nowella, u p. Jeske-Choińskiego dramat rozleci się w strzępy, jeżeli z tych pięciu dziennikarskich aktów usuniemy... kwestyę.

Zdawałoby się, że od czasów Shyloka i Uriela Acosty, kwestya żydowska powinna była przybrać na scenie kształty, odpowiednie zmieniającym się stosunkom; w gruncie rzeczy dziś, jak za Szekspira, jak za Gutzkowa, dwa są względem niéj praktykowane sposoby postępowania: albo się ją chwyta za gardło, albo się z nią obchodzi jak z jajkiem; pośrednie, przedmiotowe stanowisko, mało kto chce czy potrafi zająć, i oprócz Orzeszkowéj, nie wiem, czy znaleźlibyśmy na niém choć jeden prawdziwy talent. Pan Jeske-Choiński lubi pierwszy środek, ale aplikuje go z pewną dyplomacyą, bo, żeby wykazać, że żydzi składają się z samych Shyloków, wprowadził między nich Uriela Acostę; tym sposobem i wilk jest syt, i koza cała. „O cóż chodzi?—może powiedziéć autor—dałem przecież dodatniego żyda: ale w tym motłochu „oszustów, lichwiarzy i koniokradów“ każdy uczciwy człowiek zginąć musi... co było do dowiedzenia“. Naturalnie, że Uriel-Proszowski nie myśli o torowaniu drogi Baruchowi Spinozie ani o przefiltrowaniu judaizmu przez filozoficzną retortę: *tempora mutantur*, i jeżeli w jakiéjś żydowskiéj mieścinie przypomina się scena z amsterdamskiéj synagogi, jeżeli Proszowski, wezwany przed sąd kahału, tłómaczyć się musi rabinowi, to nie z żadnego sekciarskiego odstępstwa, tylko z tego, że drobnym chałaciarzom szachrować przeszkadza. Rzecz zatém ma być jakoby postawioną na gruncie ekonomicznym—tak przynajmniéj twierdzi jeden z krytyków, zwracający uwagę na „podścielisko społeczne „Straconego posterunku“, na „owe fale, na których unoszą się zarówno prawdziwe, jak i fikcyjne postacie p. Choińskiego“, i konkludujący, że „szaleniec tylko, albo manekin, wprowadzony przez dramaturga na scenę, nie pojmie, iż zgłodniały tłum wszelkiéj rasy i wiary znajdzie dość kamieni na zdruzgotanie apostołów w rodzaju Proszowskiego, dla zmiażdżenia tych, co usiłują go wyrwać z chlebodajnego błota na niepłodne dla nich wyżyny ideału“.

Musiał się bardzo zdziwić szermierz „młodego konserwatyzmu“, dowiedziawszy się, że malując zgraję żydowską w zapadłym prowincyonalnym kącie, myślał o „zgłodniałym tłumie wszelkiéj rasy i wiary“. *So tief war es nicht gemeint* i bohaterowi p. Choińskiego chyba nie śniło się o „niepłodnych wyżynach ideału“. Roił sobie w najlepszym razie o obcięciu współwyznawcom lichwiarskich procentów, co, według jego rozumienia rzeczy, bynajmniéj nie mogło pozbawić chleba zgłodniałego tłumu. Pragnął, żeby ten tłum w błocie chleba nie szukał i dawał mu, w zamian za pracę, chleb niezbrukany, czysty; ale takiego właśnie ów motłoch jeść nie chce, bo błoto—to zawsze jego żywioł, specyalnie zaś wtedy, gdy idzie o zatopienie w niém „goja“. Taka jest idea p. Jeske-Choińskiego, zredukowana do najprostszych rysów, wzię-

ta ot tak sobie po staremu i postawiona wśród nowéj tylko sceneryi na dawnym gruncie: rasy i religii.

Nowa scenerya ma niby zabarwienie ekonomiczne, o ile zaś teza sama w odmienném przez to przedstawia się świetle, niech zaświadczy treść w kilku zamknięta słowach.

Henryk Proszowski, syn arendarza z Lachowa, dziedzicznego majątku Lachowskich, wychował się w Paryżu, „widział Europę, Amerykę, Afrykę, bił się nawet w Algierze w legionie cudzoziemców; ale nie łokieć i miarka, jak sam powiada, szły za nim przez kraje i morza, więc téż nie liczby i zarobki nakłoniły go do podjęcia, za powrotem do kraju, pracy, która nie przypina nigdy i nigdzie skrzydeł do ramion. Żydem pozostał w silném przekonaniu, że kto chce na Izrael oddziaływać, powinien stanąć na gruncie właściwym. Kupiectwo jest żywicielem, kierownikiem, początkiem i końcem myśli Izraela, przeto przemówi doń tylko kupiec językiem zrozumiałym. Kupcem jest więc Proszowski między swoimi, lecz kupcem, który założył dom komisowy, zakupił prawie wszystkie zboże z okolicy, płaci ceny targowe, daje zaliczki na zwykły procent bankowy, słowem, chce dowieść innowiercom, że żyd może być uczciwym człowiekiem. Pomstują nań za to współwyznawcy,—ale czy za to najwięcéj? Naturalnie, że jątrzy drobnych chałaciarzy utrata faktornego; wszyscy jednak Fruchtbaumy, Cukerwassery, Postbriefy i Buttermilchy zdają się z pewném powątpiewaniem spoglądać na kupieckie uzdolnienie swego współzawodnika i kto wie, czy nie mają trochę słuszności? Istotnie Proszowski w swoich inicyatorsko-reformatorskich rozmachach przypomina nieco Wokulskiego z „Lalki“ i jego „handel z cesarstwem“; projektuje niby i robi mnóstwo rzeczy w wielkim stylu — tylko zapomniał o takim elementarnym pewniku, że się ryczałtem majątku nie topi w jedném przedsiębiorstwie i nie dopilnował, żeby zaasekurowano owe magazyny zbożowe, które całkowitą jego fortunę pochłonęły. Wdzięczny mu jest zapewne za to p. Choiński, bo ma gotowy piąty akt do swego dramatu, ale sądzę, że małomiejskie kupiectwo więcéj lekceważyć musi powiatowego cywilizatora, aniżeli się na niego gniewać.

Wściekłość tłumów, ta prawdziwa, fanatyczna wściekłość, która jedném tchnieniem obala zuchwałego bojownika nienawistnéj kultury, inne ma zgoła źródło: oto Proszowski odebrał im „goja“, oplątanego już misternie w żydowskie sieci, wyratował zbankrutowanego szlachcica od licytacyi, od grożącéj mu ruiny. Robi to wprawdzie syn dawnego arendarza przez wdzięczność dla ludzi, którzy się dobrze z jego rodzicami obchodzili; ale wiadomo, że wdzięczność względem „gojów“ jest zbrodnią, bo „goja“ Adonai oddał Żydowi w wieczne posiadanie. Za to więc, że zaprzaniec wyrwał z matni usidlo-

ną już i szamocącą się nadaremnie zdobycz; że, wezwany przed sąd współwyznawców, nie tylko nie poczuł się do winy, ale sam buntowniczo stanął jako oskarżyciel swego ludu; za to, że na swoją stronę przeciągnął siostrzenicę miejscowego potentata finansowego; za to wreszcie, że oboje przed sumaryczną sprawiedliwością rozjuszonego motłochu schronili się właśnie do ocalonych przez siebie Lachowskich: za to zginie on, z dymem pójdzie jego majątek i trupem padnie jego kochanka, słowem, runie reformator, zmiażdżony na proch między ambicyą i chciwością Izydora Krongolda, żyda kosmopolitycznie wypoliturowanego, sięgającego po szlacheckie gniazdo i wojującego z ukrycia fanatyzmem ciemnéj rzeszy; między zazdrością córki jego, Anieli Korngold, która, wyciągnąwszy rękę po Proszowskiego, trafia na nieprzebytą przeszkodę, na miłość jego do siostrzenicy Korngolda, Sary; wreszcie między zawziętością hałastry, użytéj przez zręczną rękę za ślepe i posłuszne narzędzie.

Głód zatém najmniejszą tu odgrywa rolę, ale natomiast, głównie działającą, wyłączną prawie sprężyną jest rasowa i wyznaniowa nienawiść, i na téj nienawiści zbudował p. Jeske-Choiński sztukę, poczynając sobie w budowie bardzo naiwnie i bez wielkich zachodów. Bohaterowie w jego sztuce dzielą się na dwie kategorye: po jednéj stronie stoją charaktery czarne jak smoła, po drugiéj ideały białe jak gronostaje; czarnych dostarczyły autorowi pisma humorystyczne, ideałów—własna wyobraźnia... niemniéj humorystyczna. Uszykowawszy tak przeciwników, rozdzielił między nich role w ten sposób, że pierwsi działają, a drudzy deklamują. Cokolwiek zrobią tamci, jest piekielne, cokolwiek powiedzą ci, jest niebiańskie; powstaje stąd polemika w pięciu aktach, zakończona naturalnie zwycięztwem złego czynu i pognębieniem dobrego frazesu, a wszystko obmyślane jest tak, żeby ten tryumf był sensem moralnym dzieła. I istotnie: nienawiść górą!—takie wrażenie odebrałby czytelnik po ostatniéj scenie „Na straconym posterunku“, gdyby mógł w sztuce wziąć cokolwiek na seryo. Ale jak tu nie ruszyć ramionami na tego bohatera gazeciarskiego, który, wchłonąwszy w siebie za granicą wszystkie pierwiastki cywilizacyi chrześciańskiéj, łudzi się, że jest żydem, a do walki z ciemnotą i fanatyzmem przygotował się... przeczytawszy Uriela Acostę? jak poważnie traktować szablonową charakterystykę prowincyonalnéj sfery kupieckiéj, którą się co niedziela spotyka w „Kuryerze Świątecznym“? jak nie uśmiechnąć się na widok tego szlachcica, tłómaczącego się przed żydowskim kapitalistą, „że nie przez lekkomyślność stracił majątek“, albo na widok téj szlachcianki, błogosławionéj przez bohatera za to, że, kiedy był brudnym jeszcze bachurkiem, „całowała go w oczy, włosy, czoło“? jak nie zostać obojętnym

wobec konwencyonalności i bezkrwistości tych figur, z których żadna nie żyje, jakby umyślnie dlatego, żeby to, co ma pozory realnego życia, jeszcze się bardziéj krzycząco wydało? jak tu nie zachować się odpornie wobec pustéj retoryki sceny w kahale, do tego stopnia zapożyczonéj z Gutzkowa, że się w niéj nawet znalazła heroina z rodziny Judyty? albo wobec melodramatycznego patosu zakończenia na kirkucie żydowskim, gdzie każda scena jest obliczoną na pospolite teatralne efekta? Wszystko to wygląda jaskrawo, trywialnie, brzmi fałszywie, a trzyma się jedynie pewną swadą polemiczną autora, zastępującą mu temperament dramaturga; chłód wieje z téj roboty, w któréj nie odzywa się ani jedna nuta szczerego uczucia, ani jeden wykrzyk rzetelnéj siły dramatycznéj, ani jedno westchnienie prawdziwéj poezyi; w któréj miłość, nienawiść, rozpacz i apostolstwo przemawiają stylem nastrojonym na ton jednakowo banalny. Ze stanowiska literackiego i artystycznego „Na straconym posterunku“ ma znaczenie tak zwanéj „bomby“, która byłaby dobra dla niedzielnéj publiczności, gdyby nie jéj intencye społeczne. Co do tego „podścieliska społecznego“ nie chcę określać go bliżéj! Niechby mię wyręczył Proszowski, który, żeby odróżnić się od Uriela Acosty, nie palnął sobie w łeb; jeżeli autor chce nas przekonać, że jego bohater żył rzeczywiście, niech się stara z nim spotkać; może ten idealny Żyd przekona go, poparłszy swoje dowodzenia własném doświadczeniem w kahale, że nie wywłóczy się niezagodzonych antagonizmów społecznych przed sanhedryn zbiorowych namiętności, bo o bezmyślny kamień łatwo, ale o rozumny czyn — bardzo trudno.

W. Bogusławski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Udekorowanie prezydenta rzeczypospolitéj francuskiéj najwyższym w Rossyi orderem św. Andrzeja nastąpiło w tak niedługim czasie po nieudanéj próbie zbliżenia się Niemiec do Francyi, że mimowoli nasuwa zestawienie tych dwóch wydarzeń. Oczywiście, Rossya nie ma tego Francuzom za złe, że, pomimo podróży cesarzowéj Fryderykowéj do Paryża i pomimo wszelkich innych ponęt, zachowali się odpornie. Ale tak wysokie odznaczenie pierwszego w respublice dygnitarza mogło nie być jedynie nagrodą za powściągliwość w tym kierunku; to téż prasa, zarówno francuska, jak zagraniczna, szła daléj i komentowała je, jako dowód istniejącej już ścisłéj zażyłości między Francyą i Rossyą, albo nawet wprost jako dowód gotowego lub bliskiego zawarcia sojuszu. Czy miała racyę w tym względzie, nie wiemy. Możemy jednak określić przystępne dla oka skutki zaszczytu, jaki p. Carnota spotkał. Niemiecko-francuska próba pojednania miała krótką wprawdzie, ale dość skomplikowaną historyę, złożoną z trzech części. Najprzód kroki przygotowawcze Niemców spotkały się z dobrém i, zdawało się, do zgody podatném usposobieniem, tak w rządzie francuskim, jak w publiczności, i to była część pierwsza. Zachęceni powodzeniem usiłowań próbnych, Niemcy przyspieszyli tempo swoich zabiegów, w następstwie czego scena się zmienia. Francuzi niespodzianie przypominają sobie dawne czasy i dawną do Niemców nienawiść i, zamiast raptownéj zgody, następuje zerwanie, uwieńczone przywróceniem złagodzonych już rygorów paszportowych na

granicy francuskiéj; to była część druga. Po niéj nastąpiła część trzecia, jeśli nie najważniejsza, to z pewnością najciekawsza. Kiedy Niemcy, dość szorstko odepchnięci, cofnęli się za swoje alzackie szańce, przebąkując o wojnie, zaczęto sobie w Paryżu zadawać pytanie: czy było dobre to, co się stało? I, o dziwo, odpowiedzi nie zgadzały się w treści. Dla jednych odprawa, dana Niemcom, stanowiła szczyt patryotyzmu i mądrości politycznéj, inni widzieli w niéj tylko szowinizm i polityczną bezmyślność, a echem tych ostatnich stał się jeden z najpopularniejszych we Francyi dzienników „Figaro“, który w kilku artykułach dowodził, że zachowanie się rodaków jego w stosunku do Niemicc nie ma sensu, że należy się zdecydować stanowczo albo na pokój, albo na wojnę, i jeśli się wojny nie pragnie, o trwałym ze zwycięskim sąsiadem pokoju pomyśléć. Nie chcemy wojny, powiada „Figaro“, a zachowujemy się tak, jakbyśmy jéj pragnęli. Jakoż, według zdania tego dziennika, choć nie można być pewnym, czy Niemcy zgodziliby się oddać dwie prowincye, zabrane w roku 1871, patryotyczny obowiązek nakazuje nie usuwać się zasadniczo od pokojowych z nimi układów, aby potomni nie mieli prawa powiedzieć o dzisiejszém pokoleniu, że mogło bez rozlewu krwi przywrócić dawne granice ojczyźnie, a nie potrafiło. Za „Figarem“ nie wiele poszło dzienników, inne bowiem, które podzielały jego zdanie, albo nie śmiały wypowiedziéć go otwarcie, albo ograniczyły się do wyrzucania rządowi, że się pozwala teroryzować ulicy w sprawach, dotyczących losów i przyszłości kraju. Niemniéj już sam fakt zadęcia w taką dudkę przez jeden wielce rozpowszechniony dziennik nie jest bez znaczenia, gdy się zwłaszcza przyjmie za dobrą monetę zapewnienie jego, że tak samo myśli wielu najpoważniejszych we Francyi ludzi. Jakoż zdarzyło się, że znakomity historyk, Ernest Lavisse, napisał wkrótce potem broszurę o kwestyi alzacko-lotaryńskiéj, zabarwioną pojednawczo, i nowe hasło: „*entamer la conversation*“, stało się ogniskiem krystalizacyjném dla nowych idei, nie na dziś zaraz, ale na przyszłość, w któréj nadarzyć się może jeszcze raz okazya pogadania z Niemcami w sposób pokojowy o Alzacyi i Lotaryngii i o zgodzie.

Coby się było daléj stało, można zaledwie zgadywać. Tymczasem jednak następuje udzielenie p. Carnotowi orderu św. Andrzeja, które sprawia wielkie we Francyi wrażenie. Umysły zostały głęboko poruszone, uwaga publiczna zwraca się ku Rossyi, patryotyczna pewność siebie odrazu potężnie wzrasta. Społeczność mówi sobie, że kiedy tak, więc Francya nie jest odosobnioną, więc ma przyjaciół, na których może liczyć. To téż krok ten rządu rossyjskiego zadał daleko potężniejszy cios nadziejom ugodowym niemieckim, niżby to były w stanie uczynić całe legiony Deroulède'ów, trafił bowiem do

przekonania tego decydującego w rzeczach patryotycznych czynnika, którym jest opinia publiczna. Ta ostatnia, wskutek odznaczenia p. Carnota, stanie się dziś mniéj przystępną dla pokus ugodowych z Niemcami, niż była kiedykolwiek. Utwierdzi się ona w wierze, że przy pewném już teraz poparciu zewnętrzném, którego ów order wysoki jest jakby gwarancyą, rzeczpospolita nie potrzebuje się uciekać do niemiłych z Niemcami pertraktacyi. Otrzymała ona niejako czek na odbiór zabranych terytoryów w stosownym czasie własnemi siłami. W takich warunkach będą musieli zamilknąć pionierzy ugody, zarówno w prasie, jak w rządzie.

Z tego punktu widzenia uważane, odznaczenie prezydenta Carnota posiada wybitną doniosłość polityczną, niezależnie od pytania, czy jest ono lub nie jest dowodem przymierza. Jest w każdym razie wskazówką ścisłéj solidarności politycznéj obu państw, tém ważniejszą, że mamy w niéj pierwsze jawne i wieczyste stwierdzenie w drodze urzędowéj francusko-rossyjskiéj przyjaźni. Dotychczas mówiła o niéj prasa, obecnie odezwał się rząd cesarski, na którego słowo Francuzi dawno oczekiwali. Czekali długo i może dlatego, że byli trochę znużeni, zaczęli się zwracać myślą ku idei zgody z Niemcami. Zwrot ten został obecnie zatamowany, jeśli nie na zawsze, to na długo.

Rozumieją to Niemcy, którzy też przyjęli wiadomość o dekoracyi prezydenta rzeczypospolitéj tak poważnie, jak na to zasługiwała. Niektórzy uczuli przytém zdwojony żal, że dość jeszcze wcześnie przedsięwzięta próba pojednawcza spełzła na niczém i szukają winnych. „Kreuzzeitung“ po długim, jak widzimy, namyśle, przyszła obecnie do wniosku, że właściwie nie Déroulède, ale sam p. Freycinet był sprawcą agitacyi przeciwko udziałowi malarzy francuskich w wystawie, tenże p. Freycinet bowiem chciał wykopać dołek pod kolegą swoim Ribotem, po którym pragnąłby objąć tekę spraw zagranicznych. „Kreuzzeitung“ pozwala sobie na małe proroctwo i oświadcza, że chwila, w któréjby Freycinet dopiął tego celu, byłaby dla pokoju europejskiego fatalną. Być może, iż stawszy się z ministra wojny ministrem spraw zagranicznych, byłby Freycinet wojowniczym ministrem. Właściwie jednak, pokój, niezależnie od osób i od zmian w fotelach ministeryalnych, ani na mgnienie oka nie przestaje być bliskim swojéj fatalnéj chwili, bez względu na hymny pochwalne, jakie się ku czci jego śpiewa. Ostatnie więc ewolucye w stosunkach międzynarodowych nie mają innego znaczenia nad to, że w dylemacie francusko-niemieckim, brzmiącym: zgoda, albo wojna, oddalając rozwiązanie od pierwszéj, zbliżają je ku ostatniéj.

Śmierć Windthorsta, dymisya ministra oświaty i wyznań Gosslera, jaskrawe odwrócenie się cesarza Wilhelma od ks. Bismarcka, o którym w dniu narodzin zupełnie zapomniał, nareszcie tego ks. Bismarcka kandydatura poselska i szafowanie bez kontroli funduszami welfickiemi — oto, co zajmowało lub zajmuje umysły w Niemczech. Wydarzenia te nie wszystkie są jednéj wagi. Zgon przywódcy centrum, którego talentom i charakterowi oddali hołd pośmiertny nawet nieprzyjaciele, zubożył Niemcy o człowieka, jednego z najwybitniejszych, jakiego posiadały, jednego z tych, którzy w epoce ogólnego zamętu pojęć etycznych i politycznych byli w słowie i czynie negacyą wszelkiéj negacyi, szermierza wielkiego, przez to, że obok rozumu posiadał sumienie, obok talentów prawość, których-to przymiotów jaskrawego rozbratu wzorem jest żyjący jeszcze olbrzym dziejów współczesnych, a wiekuisty przeciwnik Windthorsta — ks. Bismarck. Choć jednak dla przyjaciół nieboszczyka strata to wielka, znajdują niezawodnie pociechę w tém, że zaskoczyła ich w chwili, kiedy mogą już powiedzieć, że wygrali kampanię. Usunięcie Gosslera z urzędu jest niejako przypieczętowaniem zmiany systemu w rządach, która się rozpoczęła dymisyą byłego kanclerza i stopniowo potém coraz silniéj była akcentowaną. Jeśli jednak zgon pozbawił Windthorsta możności napawania się widokiem tryumfu swoich zasad, ujawniającego się coraz bardziéj we wszystkich sferach życia publicznego Prus, oszczędził mu téż i téj przykrości, jakąby niezawodnie uczuł, patrząc na coraz niższe staczanie się po pochyłości potężnego niegdyś swego przeciwnika, Bismarcka. Ze stanowiska interesów frakcyjnych nic to nie może szkodzić przeciwnikom Bismarcka, że się ten dyskredytuje. Sumienie narodowe jednak obruszać się musi na widok małości duszy w człowieku, któremu los pozwolił odegrać wielką rolę w historyi swojéj ojczyzny. Moralna jego historya wchodzi właśnie teraz w okres krytyczny, z powodu wytoczenia na forum sprawy funduszów welfickich, ze skonfiskowanego majątku byłego króla hanowerskiego powstałych, z któremi ks. Bismarck przez lat dwadzieścia robił, co sam chciał, a jest przypuszczenie, że to, co chciał, nie licowało z zasadami prywatnéj i publicznéj etyki. Miarę wrażenia, jakie sprawiły w publiczności niemieckiéj odkrycia w tym przedmiocie, ztąd powziąć można, że poseł Liebknecht, po ukończeniu wakacyi parlamentarnych, ma jakoby wystąpić na sejmie z wnioskiem wytoczenia byłemu kanclerzowi procesu. Że w takich okolicznościach cesarz Wilhelm, dla którego uczciwość nie jest i nigdy zapewne nie będzie wytartym szelągiem, przestał dbać o utrzymywanie nawet pozorów dobrego osobistego stosunku z byłym swoim pierwszym ministrem, jest aż nadto zrozumiałe.

W tych dniach zbierze się austryacka rada państwa, w ubiegłym miesiącu wybrana. Co się tycze wyborów owych i wyniku ich, to sytuacya wewnętrzna monarchii rakuskiéj była tak jasną po rozwiązaniu poprzedniego parlamentu, że wszystkie niemal przewidywania, wówczas już czynione, z matematyczną niemal ścisłością obecnie się sprawdzają. Większość utworzyła się z lewicy niemieckiéj, z koła galicyjskiego oraz z klubu hr. Hohenwarta. Jest to większość, oparta na tymczasowém porozumieniu, które zatém nie zobowiązuje stanowczo uczęstników. Uchwali ona budżet i wogóle poprze rząd w załatwieniu niezbędnych do prawidłowego funkcyonowania machiny państwowéj czynności. Przez ten czas zaś wyjaśni się, czy i o ile zawarcie trwalszego paktu między jéj uczęstnikami okaże się możliwém. Z tych żaden nic nie traci, każdy téż na razie nic nie zyskuje. Wszystkie koszta zmiany, zaszłéj w stosunkach parlamentarnych, ponoszą Czesi. Już przed dwoma miesiącami było to łatwe do przewidzenia; rzeczywistość atoli przewyższyła wszelkie przewidywania. Po zniknięciu zapełném z widowni staroczechów, naród czeski, reprezentowany przez młodoczechów, nie tylko przestaje wywierać wpływ bezpośredni na sprawy wewnętrzne w państwie, ale nawet swoich własnych interesów nie będzie mógł bronić inaczéj, jak tylko przez życzliwe pośrednictwo należących do większości autonomistów. Wyłączeni z większości, niedopuszczeni do delegacyi wspólnych, stają się reprezentanci narodu czeskiego w parlamencie czynnikiem, pozbawionym znaczenia. Wobec tego jedno z dwojga: albo naród czeski wszedł na polityczne manowce, albo téż tylko wybrał sobie niestosownych, zbłąkanych na manowce, przedstawicieli. Wolelibyśmy przyjąć to ostatnie przypuszczenie, wobec którego otwiera się alternatywa jakiéjś rehabilitacyi młodoczechów w oczach innych stronnictw autonomicznych, przez co spadłby z nich ciążący dziś na nich interdykt, albo ich rychłe zejście z widowni, jako żywiołu nieudolnego do dźwigania ciężaru, który wziął na swoje barki. Jakoż koło galicyjskie, nie wchodząc odrazu w stałe przymierze z lewicą, postąpiło tak, jak gdyby chciało dać narodowi czeskiemu i jego reprezentantom czas do rozpatrzenia się w nowych warunkach i przystosowania się do nich; postąpiło tak, jakby chciało powiedzieć, że się nie wyrzeka na zawsze wspólnego z Czechami działania, lecz je tylko uważa za przerwane chwilowo, a nie wyrzeka się, pomimo przykrego położenia, w jakiém samo postawione zostało przez dziwne w polityce czeskiéj skoki i obroty, i pomimo uczciwéj zapłaty, jakąby wziąć mogło za stanowcze przechylenie się ku nieprzyjaciołom Czechów. Od tych ostatnich będzie zależało, czy zrozumieją wskazówkę i skorzystają z niéj, lub téż czy zmuszą inne grupy byłéj prawicy, a w ich liczbie i koło polskie, do zupełnego nieoglądania-

nia się na nich i nieliczenia się z nimi. Podczas obecnego prowizoryzmu parlamentarnego żadna wielka krzywda jeszcze stać im się nie może; rządy będą autonomiczne, bo Galicyanie i klub Hohenwarta nie pozwolą, aby były centralistyczne. Czy jednak takie bezpieczeństwo od krzywd mogłoby się dla Czechów przedłużać w nieskończoność, przy takiéj, jak obecna, ich pozycyi, to wielkie pytanie.

W Sofii zdarzył się doniosły polityczny wypadek: Minister Belczew, idący pod rękę ze Stambułowem, padł ugodzony kulą morderców, którzy mierzyli właściwie w Stambułowa. Wskutek tego zamachu dokonano wielu aresztowań, zabójcy jednak nie zostali dotychczas wykryci.

Ciężka zima, która przez trzy miesiące dręczyła Europę od Urala aż do Kadyxu i Lizbony, nareszcie popłynęła do morza wraz z lodami rzecznemi. I Wisła spławiła tę dręczycielkę do Gdańska, bez zachowania formalności celnych na dwóch granicach. Wiśle wiele się wybacza. Co rok bierze ona sporą daninę w naturze od mieszkańców nadbrzeżnych i nikt jéj za to nie złorzeczy. Stało się to już powinnością, z góry przewidywaną, więc czekamy na klęskę z założonemi rękami i patrzymy na nią przestraszeni. ale nieruchomi, jak przesądny chłop na palącą się od pioruna stodołę, któréj nie wolno gasić. Gdyby jednak dało się obliczyć, ile były warte chałupy, zasiewy, narzędzia gospodarskie, inwentarz żywy, zapasy produktów rolnych, zabrane przez wodę w ciągu długiego szeregu lat, suma ogólna z pewnością przewyższyłaby koszta, niezbędne dla uregulowania nie tylko koryta Wisły, ale i jéj wartkich dopływów. Owo pogodzenie się z losem dziwnie wygląda wobec tryumfów techniki nad największemi trudnościami. Podczas, gdy sobie drwimy z nieprzebytych dawniéj łańcuchów gór i siłą pary przesuwamy się nad ich szczytami lub się dostajemy na drugą stronę przez tunele, podczas, gdy już z dobrą wiarą przyjmujemy projekt unieruchomienia piasków Sahary, a po wąskich, małych rzeczkach zachodnio-europejskich pływamy w wygodnych sporych parostatkach, nie dziwiąc się nawet temu udoskonaleniu komunikacyi, nasza Wisełka szara nie zna hamulców na swe kaprysy, a skromne statki Fajansa i Górnickiego utykają co parę wiorst na mieliznach szerokiéj rzeki. Jacyś przedsiębiorcy niemieccy projektują wprowadzenie bezpośredniéj komunikacyi parostatkowéj z Warszawy aż do Gdańska. Nie znają oni chyba niedomagania naszéj rzeki i krótkiego kresu żeglugi, a jeśli znają, to może się uzbroją w cierpliwość długoletnią i będą czekali na uregulowanie koryta.

Prawdopodobnie w niedalekiéj przyszłości dojdzie do uregulowania taksy jazdy kolejowéj, na warunkach, o wiele dogodniéjszych dla publiczności. Przykład dały Węgry, które w roku przeszłym wprowadziły na swoich kolejach taryfy strefowe i tym sposobem uczyniły jazdę przystępniejszą dla ogółu, a sobie przysporzyły zysków, skutkiem ożywienia się ruchu pasażerskiego. Obecnie prywatne koleje austryackie wprowadzają (od 1 Kwietnia) ten sam system. Podział jest taki, iż pierwsze 50 kilometrów obejmuje pięć stref po 10 kilometrów, następnie 30 kilometrów dwie strefy po 15, i mniéj więcéj w tym stosunku idzie dalszy podział, tak iż po za 200 pierwszemi kilometrami strefy obejmują już po 50 kilometrów. Opłata jednostkowa za kilometr wynosi dla pociągów pocztowych, osobowych i mieszanych w III kl. 1 krajcar, w II kl. 2 kr. w I-éj 3 kr.; w pociągach pośpiesznych o 50% drożéj. Tak więc za 16 stref od stacyi Granica do Wiednia opłata biletu III-ej klasy wynosi tylko 4 guldeny, II-ej 8, I-éj 12. Przy biletach strefowych zniesiono dawniejsze prawo bezpłatnego przewozu 25 kilogramów pakunków za jednym biletem osobowym. Natomiast opłata bagażowa wynosi za każde 10 kilogramów i każdy kilometr 0.2 krajcara z oznaczeniem najniższéj opłaty na 10 kr. Kto więc zechce wziąć z sobą skromny pakunek 30 kilogramów, zapłaci od Granicy do Wiednia 2 guldeny 25 kr., czyli przeszło połowę wartości biletu III-ej klasy. W tém się kryje największe źródło zysków kolei; dla większości zaś podróżnych, którzy muszą jeździć z pakunkami, taryfa strefowa o wiele będzie droższą od poprzedniéj. Zwróciła na to uwagę prasa galicyjska i żąda zniżenia opłaty za bagaż. Za Austryą pójdą wkrótce Niemcy, a więc jest nadzieja, że w niedalekiéj przyszłości system taryf strefowych zapanuje w całéj Europie, a i prasa russka gorąco już zachęca do téj zmiany. Przyczém zwraca uwagę na wysoką taksę jazdy kolejowéj, która ujemnie wpływa na interesa mieszkańców. Skutkiem tego wogóle ruch osobowy na kolejach russkich w stosunku do zachodnio-europejskich jest bardzo słaby. Niedowierzanie nowemu systemowi przypisać należy obawie strat, ale już dziś powinna ona ustąpić wobec świetnych rezultatów na kolejach węgierskich; w Rossyi, przy jéj olbrzymich odległościach, wzrost dochodów byłby jeszcze większy.

Wogóle nietylko sprawa pasażerska, ale i transport towarów na niektórych kolejach pozostawia wiele do życzenia. Ucierpiała na tém sława zboża z prowincyi czarnoziemnych na główniejszych rynkach zagranicznych. Kupcy dostali zboże zepsute, skutkiem trzymania go pod gołém niebem i przewozu w wagonach odkrytych.

Dziś opinia tych samych wytwórców zyskała znowu nieco lepszą markę za granicą; starają się oni zawiązać bezpośrednie stosunki z główniejszemi rynkami zbytu na Zachodzie. Jeszcze w roku zeszłym, na zjeździe rolniczym w Kijowie, p. Edward Jełowicki podał projekt w tym przedmiocie, który obecnie w czyn wchodzi. Utworzono odpowiednią komisyę i wydelegowano jéj członka sekretarza, p. Hanienkę, właściciela ziemskiego z gub. Kijowskiéj, do Francyi. Misya uwieńczona została poniekąd pomyślnym skutkiem. Grupa wytwórców, nigdy przedtém nie badająca dokładnie warunków obcych, przychodzi obecnie do przekonania, że otaczanie się pośrednikami i korzystanie z ich mylnych, obrachowanych na własny zysk, wskazówek, może doprowadzić tylko do ruiny. P. Hanienko przywiózł ciekawe wiadomości z Francyi. Przedewszystkiém zbadał interesa i wymagania młynarzy francuskich. Skutkiem przesilenia ogólnoeuropejskiego, tudzież warunków taryfowo-celnych, połączyli się oni w r. 1886 w jeden związek, liczący dziś 2,972 członków. Prócz tego powstało jedenaście mniejszych syndykatów, z których dziewięć zawiązało bezpośrednie stosunki z powyższym związkiem. Stowarzyszenie to chętnie przyjęło propozycyę kijowskiego Towarzystwa rolniczego, a kiedy p. H. przywiózł próbki pszenicy, przemysłowcy francuscy kiwali z niedowierzaniem głowami, powątpiewając o prawdziwości pochodzenia jéj z Rossyi. Najlepsze zaś gatunki sandomierki uważali dotąd za produkt niemiecki, dlatego, iż jest przywożony morzem z Królewca. Obowiązkiem wytwórców naszych powinno być sprostowanie tych błędnych mniemań, témbardziéj, że się nastręcza do tego sposobność wyborna. Młynarze francuscy są to przeważnie przemysłowcy mniejsi, posługujący się kredytem i niemający środków na nabywanie znacznych partyi zboża na zapas. Kupują odpowiednio do eksploatacyi swych młynów. Wynikiem tego jest posługiwanie się spekulantami, którym nie chodzi o jakość towaru, lecz o ilość i terminową dostawę zamówionéj partyi; chcąc dotrzymać zobowiązania, mieszają gorsze gatunki do lepszych. Robią to samo spekulanci w Odessie. Tym więc sposobem dobry gatunek pszenicy nigdy nie dojdzie rąk odbiorców zagranicznych. Na bezpośrednim stosunku zyskają i wytwórcy, i odbiorcy. Względnie do cen, panujących na rynku marsylskim, młynarze płacą drogo. Nasi zaś rolnicy, gdyby oddawali pszenicę po cenach marsylskich, jeszczeby zyskali na tém przeciętnie po 14 kop. na pudzie. Ostatecznie można powinszować p. Hanience dobrego wywiązania się z przyjętéj misyi. Rezultatem jéj było to, iż głośna stara firma „A et R.“ przyjęła generalną agenturę kijowskiego Towarzystwa rolniczego na całą Francyę. Przytém zobowiązania bardzo są korzystne dla wytwórców naszych; firma bo-

wiem będzie przyjmowała wyłącznie zboże powyższego Towarzystwa, które ze swéj strony powinno się udawać tylko do jéj pośrednictwa.

Ważnym jest warunkiem odbieranie pszenicy w Odessie przez agenturę, gdzie ta, w miarę odbioru, płacić będzie właścicielom gotówką. Zbyteczném jest dodawać, iż w interesie wytwórców powinno być dostarczanie zboża w dobrym gatunku, bez wszelkich domieszek. Tak więc są już zrobione wszelkie ułatwienia handlowe do tego stopnia, iż Towarzystwu rolniczemu pozostaje pod tym względem jedna tylko czynność—kontrola zboża w Odessie.

Ważną wskazówką dla wytwórców powinno być stanowisko Francyi w dziedzinie handlu i gatunki zboża przez nią poszukiwane. W handlu zbożowym stanowi ona właściwie rynek pośredniczący, z tego powodu jest tam równie znaczny dowóz, jak i wywóz. Północna część kraju poszukuje głównie miękkiéj, białéj pszenicy, obfitującéj w krochmal, i zwraca się po to do Australii, Ameryki, Indyi Wschodnich, najmniéj do Niemiec i Rossyi. Tymczasem, według znawców, sandomierka doskonale może współzawodniczyć z ziarnem australskiém. Południowa poszukuje gatunków czerwonych, twardych, które otrzymuje z Rossyi i Ameryki, przyczém do téj ostatniéj większe ma zaufanie. Rolnicy nasi powinni skorzystać z tych wskazówek i uprawiać odpowiednie odmiany. Stosunki zawiązane i zapowiadają się korzystnie, chodzi teraz o ich wyzyskanie. Czy nasi rolnicy spełnią to zadanie w zupełności, trudno przesądzać. Najważniejszym tu warunkiem powinna być rzetelność, któraby ochroniła wytwórców od takiéj porażki, jakiéj ongi doznali w Paryżu z wędliną źle przyrządzoną. Z góry można przewidziéć, że usiłowanie pojedyńczych ziemian w wielu wypadkach może być bez skutku. Wiadomo, jak się oni dziś urządzają ze sprzedażą zboża. Cierpiąc na wieczny brak gotówki, związują się z podagentami większych pośredników, sprzedają im zboże za bezcen, czasem na pniu. Tutaj zaś trzeba będzie dostawić do Odessy i tam dopiero można otrzymać gotówkę od agentury francuskiéj; ale pytanie: jakim sposobem większość ziemian zrobi to bez pobrania zaliczeń, które dałyby możność dostawy? Ani młynarze francuscy, ani agentura generalna zrobić tego nie mogą. Wszelkie więc ułatwienia w tym względzie ciężyć powinny na Towarzystwie rolniczém, które się podjęło tak wielkiego zadania. Ponieważ nie rozporządza ono takiemi środkami [1]), żeby ogólną dostawę pszenicy wszystkich wytwórców wziąć na siebie, powinno się

---

[1]) Chyba, że przyjdzie tu z pomocą olbrzymi kapitalista, Tereszczenko, który przez Towarzystwo rol. został zaproszony do komitetu wywozowego, w którego skład wchodzą także: E. Jełowicki, E. Mańkowski, G. Zaleski i O. Glinka.

starać o wszelkie możliwe ulgi i ułatwienia. Czy w tym razie nie można wejść w układy z budowanemi obecnie dziewięciu elewatorami na stacyach węzłowych kolei Południowo-Zachodnich. Wszakże, o ile wiemy, elewatory te mają być wzorowane na amerykańskich, a więc będą posiadały charakter banków zbożowych, udzielających znaczne zaliczenia na zboże dostarczane. I tu wytwórca staje się bezpośrednim dostawcą produktu na rynki zagraniczne, a zyskuje wiele na filialném znaczeniu takich instytucyi, nie potrzebując transportować ziarna na główny rynek krajowy, dla wielu znacznie odległy.

Jak dla rolników gwałtownie jest potrzebna gotówka, najlepszym dowodem są tranzakcye, zawierane na tegorocznych „kontraktach". Ziemianie sprzedają znaczne partye pszenicy *przyszłego* urodzaju, a więc na pół roku przed zbiorem. Pod tym względem „kontrakty" tegoroczne, odbywające się w Lutym i Marcu, miały dla wytwórców zbożowych wielkie znaczenie. W ogóle jednak ten wielki jarmark doroczny szlachecko-kupiecki w Kijowie z rokiem każdym słabnie coraz bardziéj. Dawniéj posiadał on charakter jakiéjś uroczystości wspaniałéj, był przedmiotem popisów bogactwa, tonu i szyku, dziś jest zwyczajnym tylko jarmarkiem, na którym się obrabiają przeważnie sprawy giełdowo-kupieckie. Skupienie gotówki w rękach kilku wielkich kapitalistów ściąga tam chmary poszukiwaczy pieniędzy. Obok rolników pierwsze miejsce zajmują na zjeździe przedstawiciele przemysłu cukrowego; jednych zaś i drugich pod względem liczebnym przewyższają ogromne zastępy poszukiwaczy posad. Są to gracze ryzykowni, którzy stawiają ostatni grosz zaoszczędzony po to, aby odjechać z niczém. Różnorodne to i różnobarwne tłumy rozbitków losowych, niewybrednych w poszukiwaniu pracy. Są między nimi ludzie o elementarném i uniwersyteckiém wykształceniu, młodzi i starzy, sterani niepowodzeniem, nad grobem stojący. Wszyscy jadą z nadzieją zdobycia jakiéj takiéj posady, a wracają zgoryczeni i zrozpaczeni. Bardzo niewielki procent jest szczęśliwych graczów. Na kontraktach i zjazdach rolniczych o wielu nieraz rzeczach radzono, najmniéj o położeniu oficyalistów wiejskich. Jeśli się nie mylimy, rok temu trochę więcéj o nich rozprawiano, ale się tylko na dobrych chęciach skończyło. Ktoś wspominał o pośrednictwie w pracy. Najodpowiedniejsza to byłaby rola dla Towarzystw rolniczych, jako biur centralnych, do których właściciele ziemscy nadsyłaliby dane o ludziach poszukujących pracy i o ich uzdolnieniach. Wogóle ujęcie téj sprawy w karby jakiéjś organizacyi stałéj bardzo byłoby pożądaném, zarówno względem oficyalistów, jak i robotników wiejskich. Byłoby to załatwieniem przynajmniéj cząstki kwestyi, t. j. pomocą w wyszu-

kiwaniu pracy. Drugą zasadniczą stroną sprawy jest położenie materyalne tych, którzy już zdobyli sobie pracę i — zapewnienie bytu w razie starości lub kalectwa. Przed trzema laty przedmiot ten obudził szersze zainteresowanie, dzięki konkursowi, ogłoszonemu przez studentów Instytutu rolniczego w Nowéj-Aleksandryi (Puławach), którego owocem pozostała ku wiecznéj pamięci broszurka p. Zdziarskiego, zawierająca sporo faktów i wniosków, godnych zastosowania w praktyce. Na tém się skończyło. Jedną trzeba tylko oddać sprawiedliwość, że się u nas o tych sprawach od czasu do czasu sporo mówi w gazetach i przeżuwa się różnorodne projekty. Gdy nie można robić, trzeba wzdychać; a dlaczego nie można robić, o tem znowu dużoby się dało powiedzieć. Jedną z klęsk wszelkiego rodzaju pracowników wiejskich i miejskich jest lichwa, jako wynik niedostatecznych środków utrzymania. Rozrosła się ona już dziś do tego stopnia, że wiele jéj ofiar nie zdołałoby uratować nawet podwojenie płacy. Że walka jednak z tą klęską może być skuteczną przynajmniéj w pojedyńczych instytucyach, dowiódł tego p. Stanisław Skarzyński, radca komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Dzięki usilnym staraniom, projekt jego doraźnéj pomocy pracownikom téj instytucyi przez wyasygnowanie 50,000 rs. na spłatę długów lichwiarskich, uzyskał już zatwierdzenie. Pożyczki mają być udzielane w stosunku rocznéj pensyi, ze spłatą ratami w ciągu lat dziesięciu. Projekt inicyatora uzupełniono w ten sposób, że dla pewności zwrotu za każdego kolegę solidarnie poręczają wszyscy pracownicy biura. Godném uwagi jest zastrzeżenie, że z pożyczki nie mogą korzystać jedynie urzędnicy, którzy ukończyli 30 lat służby, ze względu, „że zwrot sumy oznaczonym jest na lat 10, a wysłużenie całkowitéj emerytury sięga lat 40-tu“. Czyż dla téj kategoryi pracowników nie można obmyślić innego rodzaju spłaty, albo téż przelać amortyzacyi na emeryturę? Wyłączenie takie ludzi, którzy trzydzieści lat spędzili na ciężkiéj pracy, jest wielce niesprawiedliwém i trudno przypuszczać, iżby ten punkt przy ostatecznéj redakcyi pozostał w takiéj formie, w jakiéj jest obecnie.

Na usunięcie lichwy śród włościan nie znaleziono dotąd środka, a jest ona straszną i odbywa się bezkarnie przez lat dziesiątki. Kto się zbliska przyglądał chłopom naszym, nieraz miał sposobność widzieć śród nich tak zwanych *zjadaczów* braci własnych: cieszą się wyjątkową zamożnością, pożyczają oni sąsiadom pieniędzy z warunkiem pobierania procentu w naturze. Tym sposobem stopniowo zagarniają zbiory, a potém stają się panami gruntu dłużnika i w końcu zupełnie go wydziedziczają. Taki typ lichwiarzy, przyczyniający się

do wytwarzania włościan bezrolnych, jest u nas, niestety, dość rozpowszechniony, obok licznych zastępów innego gatunku wyzyskiwaczy. Skutkiem takich warunków daje się zauważyć ciekawy objaw w gospodarstwie włościańskiém: z jednéj strony wzrastają obszary zabiegliwych, sprytnych, korzystających z ciemnoty i niedołęztwa sąsiadów, z drugiéj — podziały w łonie rodziny, dochodzące do paromorgowych przestrzeni (pomimo normy prawnéj, któréj przekroczyć nie wolno), w większości wypadków prowadzą do wydziedziczenia. Tam, gdzie niéma zamiłowania do uprawiania rozmaitych gałęzi drobnego przemysłu wiejskiego, fakty takie są częstsze. Wobec tego przyklasnąć należy p. Edmundowi Jankowskiemu, który podał projekt udzielania nagród za dobre prowadzenie ogrodów włościańskich. Zadanie to ma przyjąć na siebie Towarzystwo ogrodnicze i nie powinno zwlekać z wprowadzeniem go w czyn. Sprawy takie są zawsze pilne, a dziś, jak słusznie zauważył inicyator, nadarza się po temu chwila odpowiedniejsza niż kiedy bądź; dziś szczególnie trzeba użyć skutecznych środków, przywiązujących lud do roli. Jest jedna tylko obawa, że projekt piękny przez czas dłuższy pozostanie tylko pobożném życzeniem, z powodu skromnych funduszów instytucyi. Nie chodzi tu o nagrody pieniężne; o wiele skuteczniejszém być może udzielanie sadzonek i wszelkich środków w naturze, potrzebnych do wzorowego prowadzenia ogrodów. Dziś jeszcze Towarzystwo nie posiada własnego ogrodu, nie może więc natychmiast rozwinąć działania w kierunku pomocy dla włościan. Przedewszystkiém więc powinno się zająć wzmocnieniem własnych środków.

W W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich, pomimo bardzo nieprzyjaznych warunków, własność włościańska na trwalszych stoi podstawach, niż szlachecka, i odznacza się większą odpornością na nacisk kolonizacyi niemieckiéj. Według ostatnich wykazów, komisya kolonizacyjna do końca r. 1890 ogółem zakupiła 82 większe majątki, obejmujące 48,666 hektarów, za 29,376,916 mar. 20 fen., i — 32 zagrody włościańskie, obejmujące 1,334 hektarów, za 904,294 mar. 80 fen. Przypatrzmy się trochę rezultatom działalności téj wielkiéj instytucyi, gdyż są one bardzo ciekawe. Na wstępie sprawozdania komisya uskarża się, iż rok ubiegły był wielce dla niéj niepomyślnym pod względem gospodarczym, do czego się przyczyniły klęski elementarne. Kulą u nogi dla komisyi są majątki, pozostające „w okresie przygotowawczym do kolonizacyi“, (administrowane według systemu dawnych właścicieli). Dwadzieścia majątków téj kategoryi przyniosło straty ogółem 109,995 mar. 55 fen. Suma ta nie obejmuje procentów od kapitału, wydanego na zakupno. Włącznie z niemi

straty wynoszą 503,195 marek 55 fen. Nie wielką pociechę dla komisyi przyniosły także 24 majątki drugiéj kategoryi, „znajdujące się w stadyum kolonizacyi". Przyczyniły one wydatków skarbowi państwa 364,000 marek. Trzecia kategorya, majątki zakupione w r. 1889/90, za rok gospodarki od 1-go lipca r. 1889 do tejże daty r. 1890, przyniosły straty przeszło 55,000 marek. Tak więc rezultatem finansowym gospodarstwa komisyi kolonizacyjnéj jest 873,000 marek czystéj straty pruskiego skarbu państwa. Dodajmy do tego etat komisyi, któréj wydatki wynoszą 206,000 marek rocznie, a otrzymamy pokaźną sumę 1,080,000 marek, straconych w r. z. na cele kolonizacyjne w Poznańskiém. P. A. Donimirski w „Niwie" przypuszcza, iż suma ta w rzeczywistości jest jeszcze większą. Jeszcze są ciekawsze rezultaty kolonizacyi pod względem germanizacyjnym. Dotychczas osiedlono razem 690 rodzin kolonistów, z tych wszakże 183 pochodzą z Poznańskiego, 150 z Prus Zachodnich; tak więc 333 rodziny nie stanowią przyrostu ludności niemieckiéj w tych prowincyach. Daléj 11 pochodzi z Prus Wschodnich, 78 ze Szląska, czyli także z prowincyi, zamieszkałych przez ludność mieszaną, stanowią więc one tam ubytek ludności niemieckiéj. Po strąceniu powyższych 424 rodzin z ogólnéj liczby 690, pozostaje tylko 266 rodzin z zachodnich krajów niemieckich. Dla takiéj szczupłéj garstki, wzmacniającéj germanizacyę w Poznańskiém i Prusach Zachodnich, stracono cztery lata zabiegów i kilka milionów marek. Widzą jasno tę bezowocność wielkiego dzieła wyższe sfery rządowe i są usposobione do zmiany chorągiewki.

Zdaje się, że i sprawa szkolna wchodzi w pomyślniejszy okres dla ludności polskiéj w Poznańskiém. Za czasów Gosslera prowadzony był system *wsiąkania*, czyli przesiedlania nauczycieli, urodzonych w Poznańskiém i na Szląsku, w okolice czysto niemieckie, i naodwrót. Nauczyciel niemiec, przybywający do prowincyi słowiańskich, nie umiejąc wcale po polsku, miał zmuszać dzieci do przyswajania mowy niemieckiéj, Polak zaś, wysiedlony do kraju czysto niemieckiego, powinien był się wynarodowić. Tymczasem zawód! Dzieci polskie nie nauczyły się wcale po niemiecku, po polsku zaś nie umieją czytać i pisać. Dzięki więc niefortunnéj próbie germanizacyi w zakresie oświaty, wzrosła liczba analfatetów. Trzeba było jakoś temu zapobiédz nieznacznie. W tym celu dano nauczycielom prywatnie do zrozumienia, że, jeśli życzą powrotu do stron rodzinnych, znajdą poparcie w Berlinie. Jakoż powoli zaczynają już wracać, a prasa miejscowa cieszy się z tego faktu, widząc w nim zaniechanie germanizacyi. Ileż-to minęło już takich przebłysków nadziei! I w tym wy-

padku pesymiści upatrują tylko chęć pozbycia się analfabetów z armii. Pod względem systemu szkolnego, w opinii niemieckiéj odbywa się na korzyść ludności polskiéj pewien przełom, ale tylko idealny. Posłowie poznańscy, Cegielski i Dziembowski, niedawno, podczas obrad parlamentarnych, skorzystali ze sposobności, podając wniosek, iżby dla prowincyi polskich język wykładowy w szkołach był polski. Pomimo ogólnego zawieszenia kwestyi szkolnéj, z powodu nowego projektu przekształcenia odpowiedniego prawa, wnioskodawcy zostali przyjęci względnie dość przychylnie. Uznano powszechnie pedagogiczną słuszność ich żądań, które nawet doczekały się poparcia... teoretycznego ze strony jednego z głównych działaczy niemieckich z Poznańskiego, barona Unruhe-Bomst. Najcharakterystyczniejszém jest to, że skłonność do ustępstw na rzecz języka polskiego wynika z walki z socyalizmem. Ponieważ przekonano się, że socyaliści w agitacyi swojéj posługują się językiem polskim, zaś kontragitacya w niemieckim pozostaje bez skutku, należy więc dla przeciwdziałania stanąć na gruncie przystępniejszym. Ciągłe alarmowanie w tym kierunku wpływa na ożywienie kwestyi języka polskiego w szkole: ze Szląska np ciągle się rozchodzą wieści, że socyalizm, zasiewany w polskim języku, kiełkuje na dobre, że usiłowania antysocyalistycznego „Verein für das Katolische Deutschland“ poszły na marne, gdyż pism i broszur tego stowarzyszenia ludność polska czytać nie chce. Wobec tego „Gazeta Toruńska“ wystąpiła przeciw ściąganiu składek na tę instytucyę jałową. Agitacya socyalistyczna najobfitsze owoce wydała na Górnym Szląsku, w obwodzie przemysłowym, w powiatach: tarnogórskim, bytomskim, zaberskim, katowickim i rybnickim. Że lud roboczy w kopalniach tamtejszych, fabrykach i hutach, ma powody do niezadowolenia, przyznają to nawet ludzie najmniéj skłonni do ustępstw pod tym względem. Według danych statystyki urzędowéj, robotnicy górnoszląscy, w porównaniu do innych prowincyi niemieckich, najdłużéj pracują, a najmniéj zarabiają. Jeden z korespondentów wrocławskich łatwe zaszczepianie się socyalizmu śród robotników tamtejszych przypisuje także przyczynom moralnym: germanizacyi przez urzędy, sądy, szkołę, i — dziwnie niejasne stanowisko władzy kościelnéj względem sprawy językowéj. „Lud nie wierzy rządowi — powiada korespondent — i z natury jest podejrzliwy; wszystko, co tylko w jakimbądź stopniu z rządem stoi w styczności, uchodzi w jego oczach za narzędzie niemczenia. Nie ma chłop nasz ufności do urzędów, sądów, do szkoły, a ponieważ trwa to już długie lata, władza przeto wszelka nie cieszy się tém, co stanowi jéj istotę i powagę bez zmazy. Lud całkiem także nie wierzy duchowieństwu. Od czasu gdy nastąpił *aditus ad pacem* w stosunkach kościelno-politycznych w Niemczech,

zszarzała się i zaciemniła poprawna i wzorowa postawa duchowieństwa górnoszląskiego, mianowicie względem ludu".

Po za rozmiarami zarobków i godzinami pracy, ważną kwestyą i zawsze na dobie są warunki zdrowotne ludności roboczéj, a więc jéj mieszkania. Sprawa ta od lat kilkudziesięciu za granicą posuwa się naprzód w czynie; u nas także *mówiono* o niéj jeszcze przed laty 40-tu [1]), a zrobiono dotąd bardzo niewiele. W r. 1862 kółko ludzi „dobréj woli" zawiązało spółkę budowy domów dla robotników i rzemieślników, z kapitałem, wynoszącym 93,150 rs. Wybudowała ona dwa duże domy na rogu ulicy Czerniakowskiéj i Szaréj, następnie jeden na Siennéj i Pańskiéj; ten ostatni sprzedała z zyskiem. Dziś spółka posiada trzy domy i cztery place. Jakiż pożytek przyniosła ludności ubogiéj? Kamienice te zbliżone są do typu wielu innych domów w Warszawie, brudnych, zaniedbanych; lokatorowie nie mogą wyjednać uwzględnienia najniezbędniejszych swych potrzeb; o odświeżaniu izb niéma i mowy; komorne regulowane jest miesięcznie, chociaż dla ubogiéj ludności roboczéj o wiele korzystniejsze byłoby ściąganie opłaty tygodniowo. P. Adolf Suligowski, który dobrze zbadał stan spółki, twierdzi [2]), że strona ekonomiczna interesu rozwinęła się bardzo pomyślnie. A jednak, pomimo to, wspólnicy usiłują pozbyć się nieruchomości. Zdumiewający to fakt zniechęcenia po dwudziestu kilku latach pomyślnego rozwoju przedsiębiorstwa! Tyle tylko korzyści z owego doświadczenia na naszym gruncie, że budowa domów dla ubogiéj warstwy ludności przedstawia u nas dobry interes, który powinien zachęcić do czynu kapitalistów, zajmujących się obcinaniem kuponów. Należałoby tylko nie traktować téj sprawy wyłącznie, jako interesu dobrze procentującego, ale obok téj strony podstawowéj położyć większy nacisk na administracyę, na uwzględnienie potrzeb lokatorów i na stronę zdrowotną. P. Suligowski do przyczyn zniechęcenia wspólników zaliczył zamknięcie działalności spółki z góry przez kontrakt w granicach 150,000 rs. Jeśli kiedy u nas powstaną takie przedsiębiorstwa, członkowie ich powinni zwrócić uwagę na tę okoliczność i otwierać zawsze jak największy wstęp dla nowych wspólników i nowych kapitałów. W r. 1873 z inicyatywy dwóch budowniczych powstała myśl założenia towarzystwa dla wykonywania rozmaitych robót budowlanych w Warszawie i gub. warszawskiéj. Ustawa otrzymała już zatwierdzenie rządu i obejmowała bardzo sze-

[1]) Początek dała „Biblioteka Warszawska", drukując w r. 1849 tłómaczoną z francuskiego rozprawkę o mieszkaniach dla robotników.

[2]) „Kwestya mieszkań". Warszawa, r. 1889.

roki zakres działalności, ale z charakterem czysto spekulacyjnym. Sprawy mieszkań dla niezamożnych bezpośrednio ustawa wcale nie poruszyła. Projekt runął, jak wiele innych, z powodu wymagania zapisu wielkiéj ilości akcyi w ciągu sześciu miesięcy, pod rygorem rozwiązania. Rozumie się, zapisy nie dosięgły pożądanéj skali i projekt upadł raz na zawsze. Po za tém, są u nas pojedyńcze fakty urządzania przez niektórych przemysłowców wzorowych mieszkań dla swych robotników; chodziły także niedawno pogłoski o nowém jakiémś przedsiębiorstwie budowlaném. Jako objaw zainteresowania się mieszkaniami ubogiéj ludności, jest odbyta w ubiegłym miesiącu tak zwana ankieta mieszkaniowa. Szkoda tylko, że to się zrobiło dość powierzchownie; na szematach przekreślono bardzo ważną rubrykę — wymiar mieszkań, który przecież powinien być ważną wskazówką w zestawieniu z liczbą osób, zamieszkujących szczupłe lokale. Pominięto ów szczegół dlatego, żeby nie robić trudności lokatorom. Ale skoro rewizyi podjęła się pewna liczba młodzieży bezinteresownie, nie szczędząc czasu drogiego, można byłoby część obowiązku włożyć na gospodarzy mieszkań, mianowicie dokonanie wymiaru, który przecież nie jest znowu tak trudną rzeczą. Drugą omyłką w téj robocie było pominięcie ekspertów niezbędnych, jak budowniczych i inżynierów. Zaledwie kilku doktorów figurowało na liście komisyi. Zarówno w rzeczach przygotowawczych, jak i w saméj budowie i urządzeniu domów dla robotników i w ogóle ubogiéj ludności, powinniśmy brać przykład z doświadczonego w tym względzie Zachodu.

W Anglii towarzystwa budowlane szybko urosły i rozwinęły ogromną działalność, dzięki żywemu udziałowi całego społeczeństwa, szczególnie klasy zamożnéj. Najstarsze towarzystwo, powstałe w r. 1841, rozporządza kapitałem 186,325 fst. i dziś posiada znaczną ilość domów z wzorowemi mieszkaniami, w których mieszka 1,443 rodzin robotniczych, złożonych z 7,165 osób. Inne towarzystwo: „Improved industrial dwelling Company“, założone w r. 1863, z pierwotnym funduszem 50 tysięcy f. szt., dziś ma kapitału około 500,000 i dostarcza zdrowych mieszkań dla 24,000 osób. Nadto istnieją towarzystwa, urządzające domy i mieszkania dla warstwy najbiedniejszéj. Między innemi największą działalnością się odznacza: „Artizans, Labourer's and General Dwellings Company“, budujące drobne domki w okolicach podmiejskich. Rozpoczęła działanie z funduszem 250 tys. f. szt., dzisiaj zaś posiada już 1,750,000. Do r. 1885 pobudowało ono 6,200 domków. Zawiązywanie się takich towarzystw z początku przyjęto z nieufnością i nie wróżono im powodzenia, ze względu, iż komorne od nędzarzy jest bardzo niepewne. Tymczasem ani jedno z nich do-

tąd się nie zachwiało i ani jedno nie daje mniejszego procentu, jak 5%. Rozumie się, że zrazu był cel tylko filantropijny, z czasem jednak liczba takich przedsiębiorstw zaczęła wzrastać, a niektóre z nich znane są nawet z wyzysku i niedbalstwa względem lokatorów. Istnieją jeszcze stowarzyszenia robotnicze dla budowy domów „building societys", w których biorą udział sami tylko robotnicy. Z drobnych wkładów miesięcznych powstaje fundusz pożyczkowy na kupno lub budowę domów dla członków. Stowarzyszenia takie ogromnie się rozpowszechniają; w r. 1871 liczono ich w całéj Anglii około 2,000. Z tych 1,024 ogłosiły rezultaty działalności i wykazały ogółem 212,000 członków. Dzięki takiéj działalności społecznéj, ceny mieszkań mniejszych w Londynie znacznie są niższe, niż w Warszawie. We Francyi ruch w tym kierunku jest mniejszy, ale również zasługuje na uwagę. W Paryżu Jouffroy Renault zbudował 96 domów dla robotników, de Madre — 85, w których mieszka 7,000 ludzi, i Blondel — 20. Nie zasypiają téj sprawy także większe miasta prowincyonalne. Z towarzystw budowlanych, które względnie są nieliczne, zasługuje na uwagę „Société anonyme des habitations ouvrières de Passy Auteuil". W Niemczech panuje ruch we wszystkich powyższych kierunkach, chociaż nie zawsze z takiém, jak w Anglii, powodzeniem. To samo ożywienie w mniejszych lub większych rozmiarach widzimy w Austryi, Belgii, Holandyi, Danii, Szwajcaryi, Szwecyi i Norwegii. W Kopenhadze stowarzyszenie, założone w r. 1865 przez 230 robotników fabryki maszyn, w rezultatach działalności prześcigło nawet angielskie. Zaczynając z bardzo małemi środkami, po ośmnastoletniéj działalności, wybudowano lub przyczyniono się do wzniesienia około 500 domków robotniczych. Stany Zjednoczone pod względem zabiegów w tym zakresie nie ustępują Anglii, a nawet ją prześcigają w niektórych urządzeniach i pomysłach. W Filadelfii, liczącéj 800,000 mieszkańców, stowarzyszenia ułatwiły 50,000 ludzi ubogich posiadanie własnych domków.

My od takich udogodnień dla warstw pracujących jesteśmy jeszcze bardzo dalecy. W każdym jednak razie najsłabsze objawy w tym kierunku miło jest powitać. Miejmy nadzieję, że ankieta mieszkaniowa w Warszawie jest wstępem do jakichś robót. Nie wywoła ona zawiązywania towarzystw na wzór zagranicy, ale przynajmniej wpłynie na stworzenie środków zaradczych w kierunku udoskonalenia mieszkań istniejących. I w tym względzie powinniśmy się udać po wzór do Anglii. Wielkie tam zasługi na tém polu położyły kobiety, dzięki inicyatywie energicznéj mis Oktawii Hill. Nabywa ona domy zaniedbane, urządza w nich mieszkania możliwie zdrowe i dogodne

i wynajmuje ludziom ubogim. Przedsiębiorstwo téj kobiety wydało zdumiewające rezultaty. Po dwudziestokilkoletniéj działalności, są środki nie tylko na udogodnienia w lokalach, ale nawet na czytelnie i udzielanie zapomóg w razie wielkiéj biedy. Dodajmy, że wszystko to się robi za pożyczone pieniądze, pomimo opłacania 5% wierzycielom. Dzięki temu, w 57 budynkach mieszka wygodnie około 12 tysięcy osób. Dzielna mis Hill wciągnęła do téj działalności bardzo wiele kobiet, które nieocenione usługi oddają ludności ubogiéj. W Londynie istnieje stowarzyszenie pod nazwą: „Ladies sanitary association“, opiekujące się niezamożną ludnością. W tym celu powstało jeszcze kilka innych stowarzyszeń.

Nie potrzeba dowodzić, iż grzeszymy brakiem energicznéj inicyatywy i tchórzliwością w lokowaniu kapitałów. Gdyby jakaś siła usunęła te przeszkody, znaleźlibyśmy bardzo dobry grunt do działalności w powyższym zakresie. Zdaniem naszém, najłatwiejszém byłoby nabywanie domków zaniedbanych, lub budowanie nowych w okolicach podmiejskich, na co wystarczyć mogą skromniejsze środki. Ale mieszkanie w tak odległych miejscowościach jest niemożliwe dla robotników, pracujących w środku miasta. I tu więc należałoby wziąć przykład z innych, — uprzystępnić komunikacyę tramwajową dla ludności robotniczéj, któréj potrzeby tego rodzaju wcale nie są u nas uwzględniane, czego najlepszym jest dowodem brak dotąd linii tramwajowych na Solcu, Książęcéj, Czerniakowskiéj i innych dzielnicach fabrycznych.

Na działalność filantropijną nie możemy narzekać; jest ona u nas dość rozwinięta, tylko brak nam często zrozumienia potrzeb. Ztąd pochodzi załatwianie spraw mniéj pilnych obok zupełnego zaniedbania niedomagań społecznych, które należałoby jaknajrychléj usunąć. Nieraz mieliśmy już przykłady, że się znajdują nawet *setki tysięcy* rubli ryczałtowo na cele filantropijne. Znalazły się także pieniądze dość znaczne na podróż ks. Chełmickiego i Glinki do Brazylii, w celu przywiezienia do kraju garstki wychodźców, a pozostałym — udzielenia pociechy moralnéj. Wiadomo, jak wielkie wrażenie robi na naszym ludzie sutana, można więc sobie wyobrazić, jak ona podziała w położeniu wyjątkowém, na znękanych, śród obcych żywiołów i obcych warunków, ludzi, pozbawionych opieki materyalnéj i moralnéj. Jeśli wieść, przesłana z Bremy telegraficznie przez nowych delegatów, oparta jest na pewnych podstawach, wychodztwo do Brazylii musi ustać zupełnie. Wiadomość głosi, iż rząd brazylijski wydał przepisy, wstrzymujące zupełnie napływ polskich emigrantów. Skutkiem tego „Lloyd“ przestał ładować oczekujących w Bremie wy-

chodzców na swoje statki. Mniéj więcéj związaną jest także z wychodztwem wyprawa d-ra J. Siemiradzkiego do Argentyny. Ma ona na celu badania ekonomiczne i przyrodnicze. Z inicyatorem wyjeżdżają w Maju jako uczestnicy: pp. Antoni Hempel z Płockiego i Mieczysław Korwin z Sanockiego; późniéj na gruncie amerykańskim przyłączy się brat inicyatora, Konstanty. W Rio Janeiro z polecenia Towarzystwa Św. Rafała, opiekującego się wychodźcami katolickimi, dr. Siemiradzki wyszukać ma osobę potrzebną na zamianowanie jéj agentem Towarzystwa na Brazylię. Dotąd bowiem posiada ono przedstawiciela zaufanego tylko w Rio Grande do Sul i w Buenos Ayres. Daléj wyprawa zwiedzi plantacye kawy w prowincyi San Paulo, kolonie polskie w Paranie, tudzież ważniejsze kolonie rolnicze w prowincyi Rio Grande do Sul. S-ta Catarina będzie pominięta, gdyż wyczerpujące o niéj dane zawierają badania niemieckie. W Październiku wyprawa ma nadzieję dotrzéć do Buenos Ayres, skąd przez stepy uda się karawaną do prowincyi Neuqueu w Rio Negro, gdzie podobno najbardziéj napływa ludność rolnicza od granicy chilijskiéj. W Maju, z nadejściem zimy, (t. j. po roku), wyprawa powróci do Buenos Ayres, zkąd się uda na północ do prowincyi Mendoza, Cordoba Jujuvy i Gran Chaco. Jak widzimy, zakres badań jest wielki, pozostaje więc tylko życzyć wytrwania i jak największych plonów, któreby mogły jakiś pożytek przynieść ogółowi.

Pisma nasze, podając skrzętnie szczegóły o wychodztwie, między innemi zaznaczyły nikczemny podstęp dostawców, którzy oddzielali kobiety, o ile to się im łatwo udawało, pod pozorem niby jakichś przepisów, i zamiast do Brazylii, dostarczali ich dla sprzedaży na inne rynki amerykańskie lub azyatyckie. Niedawno zaś wykryto szajkę takich handlarzy w Rzeszowie, wywożących dziewczęta przeważnie do Konstantynopola. Nie pierwsze to są u nas wypadki. Do jakich zaś potwornych rozmiarów i potęgi przedsiębiorczéj dochodzi to kupczenie ciałem młodych dziewcząt, wyświetlił niedawno p. Stefan Barszczewski, w korespondencyi z Buenos-Ayres do „Kuryera Warszawskiego“. Niéma parowca z Hamburga lub Bremy, twierdzi on, — któryby tego towaru nie dostarczył kilku sztuk, a parowców takich do Buenos-Ayres przybywa rocznie do stu i więcéj. Istnieją tam rozmaite firmy handlowe z towarami europejskiemi, cieszące się ogromném powodzeniem, kredytem i akuratnością, sprzedające towary po cenach stałych targowych lub nawet niższych. Dla kupców tych towary łokciowe, kawa lub cukier, są przedmiotami dodatkowemi, głównym zaś towarem — dziewczęta. Posiadają oni wielu agentów, odbywających nieustanne podróże do Europy i płatnych bardzo grubo, od sześciu do dziesięciu tysięcy franków rocznie, nie licząc kosztów

i prowizyi. Ci znowu na własną rękę posiadają subagentów w Rossyi, Królestwie, Galicyi i Prusach. Otrzymują oni wynagrodzenie od głowy i podług „gatunku". Innego rodzaju kupcy mieszkają w Europie pod pozorem jakiegoś fachu legalnego. Ci nie posługują się agentami, lecz prowadząc dostawę bezpośrednio, ciągną znaczne zyski. „Komiwojażerów" sprytnych, gładkich, wszędzie jest pełno. Starają się oni w roli dandysów, donżuanów albo ludzi towarzyskich, zaczepiać młode kobiety, a wprawne oko najczęściéj upatrzy pewną zwierzynę, czy to w mieście, czy w wagonie. O dobrodziejstwach Ameryki rozpuszczają podobne wieści, jak śród ludu o Brazylii. Jest więc i królowa dobra, opiekująca się kobietami i skazująca na śmierć ich krzywdzicieli, pieniędzy tam jak lodu, wygód wszelkich moc niezliczona. Ofiarom zwerbowanym agenci i kupcy pokazują pieniądze amerykańskie w złocie, biżuterye, koszule jedwabne, suknie, słowem najponętniejsze rzeczy dla kobiet. Jakże to nie ma zachęcić ubogiéj szwaczki, zarabiającéj w kraju za kilkanastogodzinną pracę parę rubli miesięcznie? W Ameryce rozpocznie się rajskie życie, robotnica chodzić będzie w jedwabiach, atłasach i błyskotkach, więc nie potrzeba z sobą ani ubrania, ani żadnych rzeczy zabierać. Jeżeli partya zwerbowanych dziewcząt jest większa, przemyca się je przez granicę; jeżeli zaś tylko dwie, trzy lub cztery, jadą z agentem za paszportami fikcyjnemi. W drodze nie wolno im rozmawiać z nikim i należy się trzymać ściśle wskazówek agenta, pod groźbą kary policyjnéj. Jeżeli dziewcząt jest więcéj, niż trzy lub cztery, to przed Hamburgiem wsiada do pociągu kilku żydów, zawiadomionych telegraficznie, i rozdziela pomiędzy siebie po jednéj lub dwie, dla zmylenia czujności policyi. W Hamburgu lub Bremie zatrzymują się w uprzywilejowanych hotelach i meldują: N., kupiec z żoną, baron N., z żoną i siostrą żony. W mieście ofiary nie są ani na chwilę puszczane same, muszą być nieme. Im bardziéj się oddalają od kraju i wchodzą w otoczenie zupełnie obce dla siebie, tém większa jest pewność i silniejsza wola agentów. Na parowce dziewczęta jadą w powozach zamkniętych, zaś przez ocean odbywają podróż prawie zawsze drugą klasą, pod ciągłą opieką kupca lub agenta, który się troszczy o ich wygody, a jednocześnie trzyma je pod ciągłą groźbą zwrócenia do kraju i kary za samowolne przekroczenie granic, w razie nie stosowania się do jego instrukcyi. Po przybyciu do Buenos-Ayres, znowu je wiozą w zamkniętych powozach do hotelów pokątnych albo wprost do domów rozpusty. Do ostatniéj chwili dziewczęta nie wiedzą, po co jadą. Dopiero na miejscu otwierają się im oczy i rozpoczyna straszne piekło moralne i fizyczne. Za najmniejsze nieposłuszeństwo są bite, katowane. Skarg ich i jęków nikt nie słucha i nie rozumie. Morzone głodem,

zamykane w piwnicach, dochodzą do stanu zupełnego znieczulenia, samobójstwa lub obłędu, z rozpaczy piją i poddają się ostatniemu rozpasaniu. Przed paru miesiącami panna N. z Warszawy, dowiedziawszy się na okręcie, po co jedzie, skoczyła do morza koło Montevideo. Towar ponętny dochodzi do cen wysokich, targ się rozpoczyna najmniéj od tysiąca, a kończy się na pięciu tysiącach pesos (dolarów), czyli siedm i pół tysiącach rubli. Liga handlarzy i agentów wyrobiła sobie taką potęgę i spryt, że policya amerykańska, wielka liczebnie, jest zupełnie wobec nich bezsilną. Zresztą jakże nie ma być słabą, skoro komisarze policyjni otrzymują od 3 do 5,000 pesos miesięcznie za ułatwienie wylądowania i zaniechanie rewizyi. Nadto kupcy i agenci mają swoją własną policyę, nadzwyczaj sprytną i przebiegłą. Obecnie stał się pewnym hamulcem dla tego wstrętnego handlu szef policyi w Buenos-Ayres, dr. Daniel Donovan, który usiłuje przekupstwo wyplenić. Dzięki jego zabiegom, dziesiątki ofiar znalazły już wolność. Ratują je także, o ile mogą, zamieszkali tam Polacy. Jeden z nich, p. Z., specyalnie w tym celu zaciągnął się do szeregów policyi, inżynierowa zaś R. wyszukuje pracy dla uwolnionych i opiekuje się niemi. Pod tym względem także muszą być zachowane największe środki ostrożności, gdyż na każdym kroku można spotkać podstęp organizacyi kupieckiéj, która stara się na nowo usidlić ofiarę, nastręczając jéj niby pracę poszukiwaną. Myśl ratowania tych nieszczęśliwych kobiet podobno już u nas w kraju w czyn się przyobleka. Krążyły niedawno pogłoski o ofiarowaniu kilku tysięcy rubli na ten cel przez jednego ze znanych magnatów. Nie wątpimy, że ks. Chełmicki i p. Glinka zajmą się także tą sprawą szczerze na miejscu targowiska. Przydałyby się także środki zapobiegawcze: rozpowszechnianie jak najszersze wiadomości o istotnym stanie rzeczy za pomocą kazalnic, prasy, tudzież właścicieli, przełożonych, zarządzających szwalniami i w ogóle wszelkiemi zakładami i pracowniami kobiecemi. Takie przeciwdziałanie, nie wymagające kosztów, lecz tylko trochę dobréj woli, mogłoby o wiele pożądańszy skutek wywrzéć, niż przekonywanie, stosowane do wychodźców, gdyż tu się natrafia na grunt mniéj pod tym względem odporny, a chętniéj przyjmujący rozumne argumenty, z powodu stosunkowo większéj inteligencyi pracownic miejskich, łatwiéj mogących odróżnić fałsz od prawdy, drogą najprostszych przedstawień logicznych.

Wszystko to jednak można uważać jako środki tymczasowe. Zło tkwi głębiéj w podstawach naszego bytu i tam trzeba sięgnąć dla wyplenienia jego. Upadek kobiety istnieje od początku rodu ludzkiego, tylko z wiekiem każdym przechodzi on rozmaite postacie, sto-

stosownie do rozwoju cywilizacyjnego ludzkości i jest oceniany względnie do pojęć etycznych, bardzo giętkich. Nie bierzmy *upadku* w ścisłém, utartém pojęciu, jako tylko *„utraty cnoty“*. Fakty nam dowiodły i ciągle dowodzą, że kobiety nie tylko umieją stawać do walki na gruncie dotąd uprzywilejowanych gałęzi pracy męskiéj, ale nieraz w rozmiarach i stopniach zbrodni o wiele prześcigają silniejszą połowę. Daleko nie szukajmy: mieliśmy niedawno Skublińską, ściągającą do sal sądowych pierwszéj i drugiéj instancyi rozgorączkowane żądzą wrażeń tłumy inteligencyi i nieinteligencyi. W przeszłym roku powtórzyło się w Wilnie to samo, a obecnie rozstrzygnięto podobną sprawę w Mińsku gubernialnym, gdzie rozmiary zbrodni ilościowo i jakościowo podobno prześcignęły czyny Skublińskiéj. Potworami tymi są izraelici, małżonkowie Szulkinowie. Że tu kobieta celowała, najlepszym dowodem jest stopień kary: mąż skazany na 12 lat ciężkich robót, żona — na 15. Pomimo twierdzenia akademika Fayeta, iż moralność kobiety podług przestępstw jest pięć razy lepszą od moralności męskiéj, dane porównawcze kryminalności kobiet w różnych krajach przeczą temu. Im ludność bardziéj zgęszczona, im kultura wyższa, tém procent przestępstwa kobiet jest większy. Wykaz statystyczny z okresu dziewięcioletniego w Królestwie Polskiém świadczy, iż mniejszy udział kobiet był w rozboju i rabunku (7.66%) i oszustwie (9.11%), tudzież fałszerstwie pieczęci i dokumentów (11%) większy w uszkodzeniu na zdrowiu, gwałcie publicznym (11—12%) w kradzieży prawie równy normalnemu, t. j. udziałowi w ogólnéj liczbie przestępstw (15%); znacznie zaś go przewyższa w występkach przeciw dobréj sławie, w przeniewierzeniu, zabójstwie, podpalaniu (15—26%); w wykroczeniach przeciw obyczajności prawie dorównywa udziałowi mężczyzn (38.8%); wreszcie przewyższa tych ostatnich w występkach przeciw obowiązkowi względem dzieci (74.2%); w dzieciobójstwie, spędzaniu płodu i podrzucaniu dosięga 98.24%. We Francyi ogólna kryminalność kobiet jest prawie ta sama, co u nas. W Cesarstwie udział kobiet w ogólnéj liczbie przestępstw jest najmniejszy w stosunku do całéj Europy. Za to w występkach przeciw obyczajności kobiety dorównywają mężczyznom, przewyższają zaś w mężobójstwie i ojcobójstwie (52%); w dzieciobójstwie dosięgają najwyższéj cyfry w stosunku do innych przestępstw (86.7%). Wogóle dowiedzioném jest, że kobiety więcéj popełniają przestępstw (szczególniéj zabójstw) rozmyślnych, niż nierozmyślnych [1]). Zbytecznémby łoby dowodzić, że podścielisko ekonomiczne ważnym tu jest czynnikiem. Bardzo często daje się u nas słyszéć zdanie, że kobiety coraz

---

[1]) Buczyński. „Zarysy stanu moralnego“. Warszawa, 1886.

częściéj wypierają mężczyzn z ich uprzywilejowanych gałęzi pracy. W rzeczy saméj dzieje się nienormalna zmiana roli. Zarówno u nas jak na Zachodzie i w Ameryce, na porządku dziennym są wypadki większéj samodzielności kobiet, niż mężczyzn; ci ostatni, nie mogąc znaleźć pracy, stają się ciężarem, żyją z trudów i zabiegów *głowy rodziny*—kobiety. U nas objaw ten najczęstszym jest w warstwach wyrobniczych. Dzieje się także odwrotnie: mężczyźni wciskają się w zakres prac kobiecych. W Paryżu ogromny procent mężczyzn zajmuje się dziś praniem, pończosznictwem, krawiectwem damskiém, szyciem bielizny, modniarstwem, gorseciarstwem, wyrobem czepków i t. d. Za to kobiet coraz więcéj można spotykać trudniących się drukarstwem, tapicerstwem, białoskórnictwem, garbarstwem, rymarstwem, siodlarstwem, wyrobami metalicznemi i mechanicznemi [2]). Charakterystyczną jest u nas dążność do zajmowania wyższych stanowisk ludzi bez uzdolnień gruntownych i jednocześnie—chwytanie się najprostszych, najcięższych zarobków przez ludzi z wyższém wykształceniem. Obok tego daje się słyszéć nieraz narzekanie na brak fachowców i skutkiem tego nasi przedsiębiorcy udają się po siły odpowiednie za granicę. To samo i w gałęziach pracy kobiecéj w miastach i na wsi. Niewątpliwie z czasem te braki wyrównają szkoły przemysłowe, obecnie zakładane; ale po pierwsze: nie mogą one powstać odrazu we wszystkich gałęziach wiedzy technicznéj; powtóre: na wytworzenie tą drogą nowych pracowników potrzeba sporéj liczby lat. Usuwanie więc zła musi się odbywać powoli. Z dziedziny fachowego kształcenia kobiet w zakresie gospodarstwa wiejskiego z przyjemnością witamy nową szkołę gospodyń o 14 wiorst od Warszawy, w Chyliczkach.

Ma to być filia zakładu rękodzielniczego w Warszawie, przy ul. Pięknéj hr. Cecylii Platerówny. Założycielka wybrała i nabyła bardzo odpowiedni folwark (za 30 tysięcy rs.), z ogrodem owocowym i warzywnym, cieplarnią, sporym stawem zarybionym, inspektami, inwentarzem żywym, dobrze zachowanemi budynkami i t. d.; słowem są wszelkie warunki, bardzo przyjazne dla praktycznéj nauki różnorodnych gałęzi drobnego gospodarstwa wiejskiego. Obok przedmiotów obowiązkowych, pensyonarki będą się uczyły na żądanie: pszczelnictwa, ogrodnictwa, warzywnictwa, farbierstwa i tkactwa domowego. Podobno zakład ma na celu przyjmowanie biednych uczennic. Bardzo to piękne, tylko wielka szkoda, że nie uwzględniono ich środków. Najniższe wpisowe ma być 100—200 rs. rocznie, co przy

---

[2]) Mücke. Stand und Entwickelung der Industriebevölkerung.

całkowitym kursie czteroletnim uczyni 800—1,200 rs., sumka wcale pokaźna, jak na naukę dziewczęcia *ubogiego*, którego ojciec, jako np. podrzędny oficyalista, pobiera pensyę, nieprzewyższającą nieraz rocznéj opłaty wpisowéj. Miejmy nadzieję, że po otwarciu szkoły rzeczonéj nastąpią jakieś wyjątkowe prawa dla tego rodzaju uczennic, témbardziéj, że szlachetna założycielka nie potrzebuje miéć na celu zysków, umiejętne zaś gospodarowanie w tak wzorowym majątku, jak Chyliczki, może zapewnić dochody na pokrycie wszystkich kosztów utrzymania zakładu i dać pewien procent na amortyzacyę włożonego kapitału.

Śmierć zabrała nam osobistość wielce popularną.

W Warszawie zgasł dr. Wilhelm Lubelski, człowiek znany z uczynności. Gdzie tylko widział nędzę, tam chętnie śpieszył z pomocą. To téż ze łzami witano go na poddaszach i w suterenach. Nieraz zaczepiał na ulicy ludzi mizernie wyglądających nieznajomych i badał troskliwie stan ich zdrowia. Nadzwyczaj czynny i ruchliwy, zajmował się gorliwie rozwojem Towarzystwa lekarskiego. Będąc naczelnym ordynatorem oddziału obłąkanych w szpitalu Dzieciątka Jezus, miał czas na inne prace i usługi publiczne. Kilkakrotnie brał udział w międzynarodowych zjazdach lekarzy, a podczas wystawy w Paryżu był wybrany na prezesa kongresu lekarskiego. Trzydzieści pięć lat spędziwszy w murach Warszawy, zjednał wielką sympatyę jéj mieszkańców. Każdy bez wyjątku znał tę postać w naszém mieście. Pozostawił w spuściźnie kilka dziełek z medycyny popularnéj.

Jeden ze starszych poetów francuskich, „pogrobowców romantyzmu“, Teodor de Banville, zakończył życie w połowie ubiegłego miesiąca. Był to pewnego rodzaju mistrz formy, którą starał się pokrywać ubóstwo natchnienia i polotów twórczości. Szczęśliwy przez całe życie, opływający w dostatki, wesoły, zaznaczył piętno téj pogody i humoru we wszystkich poezyach swoich. Przed laty pięćdziesięciu pierwszy zbiorek p. t. „Karyatydy“, odrazu zwrócił uwagę powszechną wytwornością języka i formy. Następnie puścił w świat drugą wiązankę p. t: „Stalaktyty“, również cieszący się powodzeniem. Poeta probował także szczęścia na polu twórczości dramatycznéj i beletrystyki. Sceniczne jego utwory nie cieszyły się długotrwałém powodzeniem i przesunęły się jak efemerydy na deskach Komedyi francuskiéj, Odeonu i Wodewilu. Dwie sztuki: „Gringoire“ i „Pocałunek“, grane były także i u nas, pierwsza w oryginale, w odtworzeniu Coquelina, druga w przekładzie A. Langego. Obrazki prozą—są

to przeważnie szkice paryskie, barwnie pisane. Poeta umarł w 68-ym roku życia.

W dniu 7-ym Marca zgasł zasłużony i głośny uczony Franciszek Miklosicz, profesor niemiecki, który dla ubóstwa i braku popularności ojczystego, słoweńskiego języka, pisał po niemiecku. Pomnikowém jego dziełem jest „Gramatyka porównawcza języków słowiańskich", w czterech dużych tomach. Daléj idą równie ważne prace „Słownik starosłowiańsko-grecko-łaciński", „Słownik wyrazów, zapożyczonych w języku słowiańskim" i wiele innych. W ogóle w ciągu długoletniéj swéj działalności Miklosicz napisał, oprócz wielu artykułów, kilkadziesiąt dzieł wielkich w zakresie historyi filologii słowiańskiéj, wymagających olbrzymiéj pracy i badań uciążliwych. Uczony ten stworzył szkołę poważnych slawistów. Pomimo ciężkiéj pracy, Miklosicz doczekał się późniéj starości; umarł w 78-m roku życia.

Z dniem 1-ym Kwietnia zeszedł także ze świata jeden z organów naszéj prasy—*Życie*, zaledwie po czteroletniém istnieniu. „Ciągły ubytek prenumeratorów—mówi pismo w ostatnim numerze—przekonał nas, że zadanie krzewienia dobrego smaku w zakresie literatury jest zawczesne i nie pora na systematyczną a usilną pracę w tym kierunku. *Życie* nie zdołało sobie wywalczyć trwałego gruntu dla przyszłości i dlatego dzisiaj zamilknąć musi, nie bez gorzkiego żalu ze strony tych, którzy z zajmowanego stanowiska ustępują... Taki los, jak wielu, bardzo wielu naszym poprzednikom, przypada obecnie i *Życiu* w udziale. Znika ono z powierzchni ziemi, zostawiając po sobie cztery roczniki, które były w tych ciężkich dla poezyi czasach schronieniem gościnném dla wszystkich poetów swojskich, które zawierają kilka wybitnych oryginalnych utworów powieściowych... Te roczniki, wzmianka w bibliografii i pamięć u dobrych ludzi, — oto wszystko, co pozostanie po naszéj działalności"...

W dniu 25 Września 1876 r. postanowiono wprowadzenie do Królestwa Polskiego Kodeksu Kar Głównych i Poprawczych Cesarstwa.

Niektóre jednak przepisy karne, specyalnemi ustawami objęte, a w téj liczbie i kary za przemytnictwo, moc obowiązującą zachowały.

Kary pieniężne z Ustawy Celnéj były u nas łagodniejsze, mianowicie wynosiły podwójną sumę cła należnego, gdy tymczasem z Kodeksu równają się pięć razy wziętéj opłacie cła.

W dniu 27 Stycznia r. b. zyskało zatwierdzenie zdanie rady państwa co do zrównania Królestwa Polskiego z Cesarstwem pod względem kar za pogwałcenie, lub obejście przepisów Ustawy Celnéj.

Pozostały jednak artykuły 1621 i 1622 Ustawy Celnéj, obostrzające karę za przemycanie wydaleniem winnego na odległość 100 wiorst od granicy, jeśli jest żydem—21 wiorst, gdy nim nie jest.

Kary osobiste o wiele surowsze.

Jeżeli surowość kar rzeczywiście odstrasza od występku, to przemytnictwo ustać powinno.

Olbrzymiego dzieła podjęła się Rossya — budowy kolei Trans-Syberyjskiéj. Chcąc wyrobić dokładne pojęcie o rozmiarach téj roboty i o jéj skutkach w przyszłości, trzeba się przyjrzéć obszarom Syberyi i ocenić jéj znaczenie społeczno-ekonomiczne w stosunku do innych państw, azyatyckich i europejskich. Ludność obu tych części świata obejmuje około 1,190 milionów, z czego 970 milionów mieści się w trzech grupach: państwa zachodnio-europejskie (prócz Rossyi) 260 milionów, Indye angielskie 240 milionów, Chiny i Japonia 470 milionów. Grupy te prowadzą między sobą handel, którego suma obrotów rocznych obliczona jest na miliardy rubli. Dotąd cały handel skierowywany jest drogą morską przez morze Śródziemne, Suez, ocean Indyjski. Najwłaściwsza zaś droga pośrednia lądowa idzie przez Rossyę, która ma z jednéj strony państwa zachodnio-europejskie, z drugiéj na przestrzeni 13,000 wiorst graniczy przez Herat z Indyami i przez Mandżuryę z Chinami. Te dwa obszerne państwa, Indye i Chiny, obejmują 710 milionów ludności, wytwarzającéj herbatę, kawę, ryż, jedwab, bawełnę i t. d. i pochłaniającéj mnóstwo wyrobów przemysłu europejskiego. Z tego ogólnego obrazu możemy miéć pojęcie, jaki przewrót w stosunkach handlowych może zrobić koléj Trans-Syberyjska. Długość jéj wyniesie przeszło 4,000 wiorst, przetnie zaś ona miejscowości żyzne, czarnoziemne i obszary obfitujące we wszelkie bogactwa przyrodzone. Tym sposobem Rossya europejska i Syberya osiągnie olbrzymie korzyści; przedewszystkiém wielce się ułatwi sprawa kolonizacyi wewnętrznéj. Jak wiadomo, obecnie masy zubożałéj ludności ze wszystkich gubernii Cesarstwa skierowywane są do głębi Syberyi; zbyteczna jest dodawać, jakie to sumy pochłania ta odległa wędrówka. Po ukończeniu nowéj kolei, ludność bezrolna łatwo będzie się mogła przenosić na dziewicze bogate przestrzenie syberyjskie. Upadający w wielu kopalniach przemysł kruszczowy, skutkiem pierwotnéj eksploatacyi, znacznie się podniesie przez udoskonalenia techniczne, związane z ułatwioną komunikacyą. Wogóle puste przestrzenie zaludnią się, zakwitnie przemysł i handel,

powstaną miasta. Dodajmy jeszcze, że nową kołeją wielce się interesują Anglicy i marzą o połączeniu dróg indyjskich przez Herat z koleją Zakaspijską i następnie z Trans-Syberyjską. Można więc wyobrazić, jak olbrzymie podboje zrobi kultura europejska w państwach azyatyckich za pośrednictwem tych roznosicielek cywilizacyi. (Jak olbrzymie znaczenie będzie miała koléj Syberyjska pod względem strategicznym, łatwo zrozumieć). W krajach barbarzyńskich, gdzie dotychczas (np. w Chinach) istnieje tylko przemysł drobny, dający wyroby ręczne, zapanują o wiele doskonalsze i tańsze towary fabryczne europejskie i wywołają na razie klęskę ekonomiczną śród wytworców miejscowych; następnie powstaną fabryki, banki i wogóle wszelkie instytucye, jako nieodłączne części składowe systemu kapitalistycznego. Rozwój społeczny i ekonomiczny popłynie teraz drogą utartą z ogromnym pośpiechem. Ogólny koszt budowy kolei Syberyjskiéj obliczono na 350 milionów. Roboty będą prowadzone bardzo tanio, siłami skazańców zdrowych i młodych, których już jeden transport odpłynął niedawno z Odessy do Władywostoku. Czas trwania budowy obliczono na lat sześć, rozpoczęto zaś roboty od krańców Syberyi wschodniéj, kraju Ussuryjskiego, dokąd wszelkie środki transportowane będą morzem z portu odesskiego. Po kilkakrotnéj zmianie ostatecznie zatwierdzono następujący kierunek kolei: Złotoust, Kurhan, Omsk, Tomsk, Kańsk, Irkuck, południowe pobrzeże Bajkału, Posolsk, Czyta, Srieteńsk. Daléj linia Amurska ma się zaczynać w Chabarówce i kończyć we Władywostoku. Są pesymiści, którzy widzą tylko ujemne strony nowéj kolei, jak np. nadmierny napływ Chińczyków do Rossyi europejskiéj i trudność utrzymania w porządku tak olbrzymiéj linii na przestrzeniach, które przez długie lata były tylko gniazdem występku.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— Na posiedzeniu wydziału filologicznego krakowskiéj Akademii Umiejętności, odbytém w dniu 9 Marca r. b., przewodniczący, prof. K. Morawski, zdawał sprawę z dzieła hr. K. Lanckorońskiego p. t. „Miasta Pamfilii i Pizydyi". Praca ta jest wynikiem kilkakrotnych podróży i ekspedycyi archeologicznych, odbytych pod przewodnictwem i kosztem Karola hr. Lanckorońskiego, do dwóch południowych prowincyi Azyi mniejszéj: Pamfilii i Pizydyi. Uczestnicząc w 1882 r. w wyprawie austryackiéj do Lykii, hr. Lanckoroński po raz pierwszy wówczas zwiedzał te kraje i, uderzony nietylko nadzwyczajną ich pięknością, ale zarazem niezwykłą konserwacyą ruin, jakiemi są przepełnione, postanowił zbadać naukowo tak kraje, jak ruiny. Przez dwa lata z rzędu, t. j. w 1884 i 1885, prace na miejscu były prowadzone i obecnie rezultaty onych w trzech jednocześnie wydaniach: niemieckiém, francuskiém i polskiém, opuszczają prasę. Dzieło jest obrachowane na dwa tomy: pierwszy, stanowiący przedmiot sprawozdania, obejmuje miasta Pamfilii, drugi poświęcony będzie Pizydyi. W wewnętrznéj swéj treści książka hr. Lanckorońskiego składa się z czterech części: pierwsza obejmuje napisany przez samego wydawcę wstęp, t. j. rzut oka na położenie geograficzne i historyczne badanego kraju; część druga, właściwie archeologiczna, opracowana przez Petersena, dyrektora instytutu archeologicznego niemieckiego w Rzymie, przedstawia naukowo zdobycze obserwacyi, pomiarów

i zdjęć topograficznych i architektonicznych; w trzeciéj części, obrobionéj przez Niemana, architekta wiedeńskiego, który już przedtém brał czynny udział w ekspedycyach austryackich na wyspę Samotrakę i do Lykii, mamy rekonstrukcye pomników architektury, z wytłómaczeniem i fachową analizą składających ją szczegółów; w czwartéj nakoniec — *Corpus inscriptionum*, zawierający 108 napisów, po większéj części po raz pierwszy lub w poprawniejszéj wersyi ogłoszonych.

Wszystkie trzy edycye książki są identyczne i pod względem wykwintności wydawniczéj w zupełności sobie równe.

Dr. K M. Górski odczytał ustępy z pracy swojéj „O Franciszku Karpińskim", a mianowicie: *Dziecinne i szkolne lata Franciszka Karpińskiego*. Zamierzając ten fragment umieścić w najbliższym zeszycie „Biblioteki", poprzestajemy tymczasowo na téj krótkiéj wzmiance.

Sekretarz wydziału złożył pracę D-ra Mikołaja Bobowskiego p. t.: *Polska poezya religijna od najdawniejszych czasów aż do końca XVI wieku*. Książka ta zawiera wstęp, w którym autor stara się dowieść, że początku poezyi religijnéj szukać należy nie wcześniéj, jak w XIV wieku i że wytworzyła się pod wpływem Zachodu; oraz zbiór tekstów pieśni religijnych z objaśnieniami. O pracy Dr. Bobowskiego członek korespondent, Dr. Tretiak, przysłał uwagi na piśmie, na posiedzeniu zaś ściślejszém wydziału uchwalono dzieło to drukiem ogłosić.

Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego, odbytém w dniu 20 Marca pod przewodnictwem Dr. Janczewskiego, członek J. N. Franke zdał sprawę z pracy Dr. Michała Kozłowskiego p. t. *Teorya drgania błony, złożonéj z dwóch pasków kształtu prostokątnego różnego gatunku*, i złożył rozprawę p. t. *Zasady ogólne mechaniki ciał sztywnych na podstawie spółrzędnych jednorodnych ruchu i siły*.

— *Józef Kallenbach* wydał z autografu i wstępem poprzedził „Pamiętnik Jana Golliusza, mieszczanina polskiego (1650—1653)". Kraków 1891.

Nie są to, zastrzega we wstępie wydawca, pamiętniki na urząd pisane, odznaczające się powściągliwością w zwierzeniach, wymuszoną powagą, częstokroć chłodem, — lecz wspomnienia, pisane „sobie, nie komu", kreślone bez pretensyi, ale téż bez obłudy. Takie pamiętniki, wchodząc nieraz w głębinę duszy ludzkiéj, stają się najwierniejszém zwierciadłem autora. Do téj kategoryi pamiętników zalicza p. Kallenbach skromne i nieudolne zwierzenia młodego mieszczanina polskiego, które, dziwném losu zrządzeniem, za morzem znalezione, dziś po raz pierwszy z ukrycia na świat wychodzą. W stosunku do wcale licznych pamiętników szlacheckich polskich z XVII

wieku, mają wspomnienia Jana Golliusza znaczenie odrębne: mówią nam szczerze i poprostu o doli mieszczan w Polsce, o cichém ich życiu, skromnych zabiegach, skutecznem dążeniu do oświaty i ogłady. Jakim sposobem manuskrypt Golliusza dostał się do Anglii, zapewne nigdy się nie dowiemy. Rękopis ten oznaczony: „Bibl. Sloan. 1861“, był tam jednak już w 1753 r. W tym bowiem roku nabyto na własność Anglii bogate zbiory książek i manuskryptów, które Sir Hans Sloane zgromadził; nasz zaś rękopis, według sygnatury bibliotecznéj, znajdował się w zbiorach Sloane'a. Książka cała jest doskonałym wzorem licznych w XVII wieku „Silvae rerum“. Z całego rękopisu wyziera po półtrzecia wieku pogodna, dobroduszna twarz mieszczanina zamojskiego. Młodość miał szczęśliwą, poznał kawał świata, nabył wiedzy za granicą, uczył się i jak mógł na życie pracował. Trochę ociężały w ruchach i myśli, trochę powierzchowny w naukach, trochę próżny w stosunkach towarzyskich, ale z sercem złotém, zamiłowany w pracy, oszczędny, zapobiegliwy, słowem typ polski z XVII wieku, tém godniejszy, aby myśli jego i uczucia przed nami ożyły, że wychowany przez rodziców, zupełnie jeszcze po niemiecku myślących, Jan Golliusz wyrósł na Polaka.

Wydawnictwo p. Kallenbacha wyszło nakładem Akademii Umiejętności, jako osobna odbitka z VII tomu Archiwum dla dziejów literatury i oświaty w Polsce.

— *Dr Bronisław Czarnik* wydał i wstępem opatrzył „Memoryał J. N. Kamińskiego (1829)“ o stanie teatru lwowskiego.

Wiadomo, czém był dla sceny polskiéj we Lwowie Kamiński. Autor, aktor, tłómacz, dyrektor, miał wiele w swéj działalności rysów pokrewnych z Wojciechem Bogusławskim i w tém jest do niego podobny, że wielkim jego zasługom nie odpowiadało powodzenie. Ratując się od ruiny finansowéj, prosił obywateli, aby pod swój zarząd wzięli scenę narodową i na żądanie właśnie jednego z nich, p. marszałka Wasilewskiego, napisał swój memoryał.

Ciekawy ten dokument jest nietylko przyczynkiem do biografii i charakterystyki Kamińskiego, człowieka, który całe swe życie poświęcił pracy publicznéj, ale rzuca światło na ówczesne polityczne stosunki Galicyi. Nic bardziéj zajmującego nad rozmowy Kamińskiego z cesarzem i Metternichem o sprawach teatru polskiego. Kiedy władze zabroniły dawania polskich przedstawień, cesarz Franciszek napisał własnoręcznie na petycyi Kamińskiego: *Ich bin nicht der Meinung die polnische Sprache und das polnische Theater aus Galizien zu verdrängen.* („Jestem tego zdania, że nie należy wypierać z Galicyi języka polskiego i teatru polskiego“). Na posłuchaniu zaś rzekł mo-

narcha do Kamińskiego: *Ich glaube, mein Kind, für euch schon etwas gethan zu haben.* („Zdaje mi się, moje dziecko, że już coś dla was zrobiłem"). *Ihre Majestät haben uns unter Ihren hohen Schutz genommen, aber...* („Wasza cesarska mość wziąłeś nas w swoją najwyższą opiekę... ale"). Tu, roześmiawszy się, przerwał monarcha Kamińskiemu temi słowy: *aber kein Geld gegeben, nicht wahr?* („ale nie dałeś pieniędzy, nie prawdaż?"). *Es würde mich freuen,* mówił daléj cesarz Franciszek, *wenn das polnische Theater und durch dieses die Landsprache eine reine Lebenskraft schoepfen könnte—wenn Galizien sowie mein Boehmenland um ihr Nationales besorgt sein wollte—gut, gut, mein Kind, ich werde schon trachten für euch etwas zu thun.* („Cieszyłoby mnie, gdyby teatr polski stał się źródłém prawdziwéj siły żywotnéj narodu, a z teatru czerpał tę siłę język krajowy—gdyby Galicya, jak moje Czechy, zechciała się troszczyć o swoją narodowość—dobrze, dobrze, moje dziecko, będę się starał coś dla was uczynić").

Do memoryału dołączył Kamiński projekt nowego towarzystwa dramatycznego, uorganizowanego na zasadach akcyjnych.

Broszura Dr. Czarnika jest odbitką ze sprawozdania zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1890.

— *W. Stodółkiewicz.* „O rozwoju życia i główniejszych jego przejawach". Warszawa, druk Emila Skiwskiego 1891.

Autor, idąc za przykładem prof. Szokalskiego w dziele jego „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie", pragnie na ogólnéj podstawie teoryi rozwoju poruszyć najpoważniejsze zagadnienia bytu; mimo więc, że doniosłość hipotez wobec dzisiejszego stanu nauki jest „nieco zachwianą", probuje na tle hipotezy przedstawić życie duchowe człowieka i całéj ludzkości i mówi w swojéj książce: o rozwoju świata, o młodzieńczości człowieka, o psychologicznych objawach życia w człowieku, o rozwoju życia społecznego, o główniejszych objawach rozwoju narodów europejskich w okresie historycznym, wreszcie stara się „przedstawić w głównych zarysach nieustannie wahający się postęp w rozwoju osobniczym, społecznym i historycznym i wskazać, dokąd taki postęp zmierza".

— Pseudonym *Filograf* wydał dwie broszury: „Racyonalne słówko o „racyonalnéj" grafice polskiéj" i „Jeszcze o praktycznym sposobie ustalenia pisowni polskiéj". (Warszawa, druk Józefa Filipowicza 1891).

Pierwsza zawiera najprzód ocenę nowéj „racyonalnéj" grafiki Edwarda Bogusławskiego, a następnie zdanie Filografa o możliwości

przyjęcia przez naród nowéj grafiki „racyonalnéj"; druga podaje wyjaśnienie ogłoszonego dawniéj przez Filografa „praktycznego sposobu ustalenia pisowni polskiéj", zestawienie owego sposobu z werdyktem krakowskiéj Akademii umiejętności, czyli porównanie *pisowni pragmatycznéj* Filografa, t. j. pisowni *Deputacyi* ortograficznéj z 1830 r., potwierdzonéj lub poprawionéj na mocy aksyomatu pragmatycznego (*non est imponenda obligatio nisi de ea certo constet)* z pisownią akademicką, wreszcie replikę krytykom, którzy wypowiadali sąd swój o „Praktycznym sposobie".

— *Michał Rowiński.* „Uwagi o wersyfikacyi polskiéj, jako przyczynek do metryki porównawczéj.—Warszawa, druk Józefa Jerzyńskiego 1891.

— *Józef Długosz*, adwokat przysięgły, „Prawo czynszowe". T. I. Odessa, w drukarni Sztabu odeskiego okręgu wojennego 1891.

— „Zbiór praw obowiązujących w gub. Królestwa Polskiego". T. X. 1889, półrocze drugie, całkowitego zbioru T. XL. 1891.

— *St. Windakiewicz.* „Siedem dokumentów do życia Janickiego". Pochodzą od r. 1540 do 1543, a zebrane z akt biskupstwa krakowskiego. Dwa z tych dokumentów dotyczą przeniesienia Janickiego z Koniuszy, gdzie miał ubogie probostwo, do Sołaczowa pod Olkuszem; trzeci jest aktem dzierżawy dochodów proboszczowskich kmieciowi z Sołaczowa Janowi Pyczkowi; czwarty dotycze sporu o opłaty mszalne między proboszczem a parafianami; piąty ustępuje Maciejowi Pyczkowi i jego sukcesorom karczmę proboszczowską.

— *St. Windakiewicz.* „Informacye o aktach uniwersytetu bonońskiego".

Przedewszystkiém autor to tylko czerpał, co się odnosiło do polaków. Każdy uniwersytet włoski prowadził tak zwane akta, które były trojakiego rodzaju: profesorów, uczniów i stowarzyszeń akademickich, w odrębnym, a właściwym każdéj korporacyi charakterze prowadzone. Stąd téż z takich aktów poznać można nietylko działalność naukową uniwersytetu, ale poniekąd życie młodzieży owoczesnéj. Materyał do dzieła swego czerpał autor z archiwum państwowego i arcybiskupiego.

— *Ludwik Jenike.* „Stefan Czarniecki", urywek historyczny przez... Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1891, str. 168.

Treściwie opowiedziane dzieje Stefana Czarnieckiego. Autor starał się fakta znane i nieznane objaśnić za pomocą źródeł.

— „Pamiętnika Fizyograficznego“ tom X wyszedł z drukarni J. Sikorskiego i zawiera w dziale *meteorologii i hydrografii*: „Spostrzeżenia meteorologiczne, dokonane w ciągu roku 1889 na stacyach meteorologicznych, urządzonych staraniem sekcyi cukrowniczéj Warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu“; A. Pietkiewicza „Jednoczesny stan pogody oraz jéj zmiany na pewnéj przestrzeni“ i „Wykaz spostrzeżeń fenologicznych, nadesłanych do redakcyi „Wszechświata“; w dziale *geologii z chemią*: J. Morozowicza „Przyczynki do petrografii krajowéj“, St. Kontkiewicza „Badania geologiczne w pasmie formacyi Jura między Częstochową i Krakowem“; w dziale *botaniki i zoologii:* K Łapczyńskiego „Zasiągi roślin krzyżowych w Królestwie Polskiém i w krajach sąsiednich“, K. Drymmera „Rośliny najbliższych okolic Kielc“, tegoż „Dodatek do spisu roślin powiatu Kutnowskiego“, B. Eichlera „Spis Desmidyi zebranych w okolicy Międzyrzecza“, F. Kwiecińskiego „Spis mchów zebranych w 1888 r. w okolicach m. Białéj (gub. Siedlecka)“, tegoż „Spis roślin skrytokwiatowych naczyniowych i jawnokwiatowych, zebranych w 1887 r. na gruntach majątku Woroniec (gub. Siedlecka, pow. Konstantynowski)“, F. Błońskiego „Wynik poszukiwań florystycznych skrytokwiatowych, dokonanych w ciągu lata 1889 w obrębie 5 powiatów Królestwa Polskiego“, Wł. Kozłowskiego „Przyczynek do flory wodorostów okolic Ciechocinka“, M. Twardowskiéj „Ciąg dalszy spisu roślin z okolic Szemchowszczyzny i z Weleśnicy“, A. Wałeckiego „Przyczynek do fauny ichtyologicznéj“, A. Landego „Materyały do fauny skorupiaków widłonogich Królestwa Polskiego“, H. Lindenfelda i J. Pietruszyńskiego „Przyczynek do fauny pijawek krajowych“; w dziale *antropologii:* T. Dowgirda „Wiadomość o wyrobach z kamienia gładzonego, znalezionych na Żmujdzi i Litwie“.

— *A. Wallace.* „O cudach i nowoczesnym spirytyzmie“, z trzeciego wydania oryginału przełożył J. K. Potocki. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1891.

Autor niniejszego dziełka jest znanym i uczonym przyrodnikiem. Na sprawę spirytyzmu zapatrywał się z początku nader sceptycznie. Wielka jednak ilość faktów, zgromadzonych przez ludzi poważnych, nieposzlakowanéj wiary i nauki, poświęcających się badaniu spirytyzmu tylko w celu poznania rzeczy nieznanych i wytłómaczenia ich, skłoniły Wallace'a do krytycznego roztrząsania opisywanych zjawisk. Nie mając żadnéj podstawy do zaprzeczenia wiarogodności całego szeregu zjawisk, które jedni zaliczali do kategoryi oszustwa, inni do rzędu zjawisk nadprzyrodzonych, przy pomocy krytyki przyszedł do przeświadczenia o ich prawdziwości. Indukcya doprowadziła go do wia-

ry: 1° w istnienie pewnéj liczby umysłowości nadludzkich rozmaitych stopni i 2°, iż niektóre z owych umysłowości, jakkolwiek zazwyczaj niewidzialne i nienamacalne dla nas, mogą oddziaływać i oddziaływają na materyę, oraz wpływają na nasze umysły. Słowem, spirytyzm, według zdania Wallace'a, dostarcza nam takich dowodów istnienia istot eterycznych oraz ich władzy oddziaływania na materyę, iż muszą one wywołać przewrót w filozofii. Dowodzi on rzeczywistości istnienia form materyi, tudzież rodzajów bytowania, niedających się pojąć dawniéj; uznaje życie ducha bez mózgu oraz intelligencyę, oddzieloną od tego, co się nazywa ciałem materyalném, a w ten sposób stara się usunąć wszelkie uprzedzenia przeciwko dalszemu istnieniu, z chwilą, gdy ciało fizyczne ulegnie już rozprzężeniu i rozkładowi.

— *Henryk Wernic.* „Praktyczny przewodnik wychowania“ przez... Warszawa. Nakład księgarni G. Centnerszwera. 1891, str. 353.

Mając na względzie, że dotychczasowe podręczniki sprawę wychowania traktowały zwykle ogólnikowo, niezbyt zwracając uwagę na wiek, rozwój umysłowy, a często charakter dziecka, stąd dobre niekiedy środki doradcze nie przynosiły spodziewanego pożytku, autor postanowił bardziéj różniczkować przepisy wychowawcze. Plan więc jego pracy jest nader szczegółowy, ażeby ułatwić rodzicom i wychowawcom wynalezienie odpowiednich wskazówek lub nawet sposobu postępowania w pewnéj sytuacyi.

Zastanowiwszy się pokrótce we wstępie nad tém, jaki stosować system w wychowaniu—łagodny czy surowy, autor przystąpił do systematycznego wykładu. W tym celu pracę swoję podzielił na trzy działy: w pierwszym zastanowił się nad wychowaniem fizyczném, w drugim — moralném, trzeciemu dał tytuł: okresy wychowania. W pierwszym dziale autor położył główny nacisk na higienę wieku dziecięcego, mówiąc o pożywieniu, oddychaniu, cieple, pielęgnowaniu skóry, odzieży, śnie, zabawach, hartowaniu, chorobliwym wpływie zbyt silnych wrażeń na nerwy, nieco o chorobach dziecięcych i pielęgnowaniu chorego dziecka. Drugi dział obejmuje niektóre przepisy postępowania przy wdrażaniu dziecka do posłuszeństwa, prawdomówności, przyzwyczajaniu do pracy i t p., wreszcie o kształceniu umysłu i serca, charakteru, o poprawianiu niektórych błędów. W końcu w dziale trzecim, ostatnim, daje przepisy stosownego do wieku kształcenia dziecka i umiejętnego używania rozrywek.

— *O. v. Leixner.* „Wiek XIX“, obraz ważniejszych wypadków na tle cywilizacyi w dziedzinie historyi, sztuki, nauk i polityki, z li-

cznemi illustracyami, opracował według oryginału Fr. Rawita. Tomu I zeszyt I. Warszawa. Nakład i własność Gebethnera i Wolffa. 1891.

Jest to streszczenie pracy niemieckiego autora z dodaniem rzeczy polskich, pominiętych zupełnie prawie w oryginale. Zeszyty pięcioarkuszowe ukazywać się będą miesięcznie.

— *Léon Maury*. „Essai sur les origines de l'idée de progrès". Paris. 1890.

Autor dowodzi tam, iż idea postępu sięga korzeniami swemi chrystanizmu. Zastanowiwszy się pokrótce nad znaczeniem poglądów na moralność i naukę w świecie starożytnym, przechodzi do badania cywilizacyjnéj roli chrześciaństwa. Następnie zatrzymuje się nad doktrynami pozytywizmu i ewolucyi i analizuje poglądy Augusta Comte'a, Spencera, jako też pisarzy o kierunku anti-chrześciańskim: Leopardiego, pani Akerman i Richepin'a. W końcu, w rozdziale traktującym o pessymizmie, dowodzi, że pessymistami są równocześnie ludzie bezwyznaniowych zasad.

— *Marcil René*. „Kobiety myślące i kobiety piszące", spolszczyła M. Ch. 1891.

— *Darwin Karol*. „Autobiografia Karola Darwina, życie i wybór listów", wydane przez syna, Franciszka Darwina, z oryginału przełożył dr. Józef Nusbaum. Warszawa. 1891.

— *Wiśniowski T.* „Mikrofauna iłów ornatowych okolicy Krakowa". Część II. Gąbki górnego Kelloweyu w Grójcu, oraz nowe otwornice tych samych warstw (z jedną tablicą). Kraków, 1891.

— „Zbiór wiadomości do antropologii krajowéj, wydany staraniem komisyi antropologicznéj Akademii umiejętności w Krakowie". T. XIV, z 3-ma tablicami. Kraków, 1890.

— *Piotrowski Gustaw*. „O wahaniu wsteczném przy pobudzaniu różnych miejsc tego samego nerwu". Kraków, 1891.

— *Nosicki Al. dr.* „O wzorowym sposobie hodowania karpia w stawach, zaprowadzonym przez Tomasza Dubischa", napisał... Kraków, 1891.

— *Henryk Waśniewski*, weterynarz. „Hypnotyzm u zwierząt", napisał ... Odbitka z „Gazety rolniczéj". Warszawa. 1890.

Autor dowodzi, że zwierzęta w ogóle, nie wykluczając domowych, podlegają wpływowi hypnotyzmu na zasadzie poddawania i tłómaczy za pomocą suggestyi tak zwaną tresurę zwierząt, która ma polegać

na poddawaniu jednéj i téj saméj myśli, aż do otrzymania pożądanego rezultatu. Dla usprawiedliwienia swojéj tezy, autor sięga do rzymskich lekarzy zwierząt i szuka genezy kuracyi hypnotycznéj w zamawianiu chorób, lub téż wpatrywaniu się w chore osobniki.

— „Gospodarz wiejski", czasopismo rolnicze dla włościan, pod redakcyą Władysława Szybińskiego. Lwów. 1890.

Jest to pierwszy rocznik pisma, poświęconego wyłącznie gospodarstwu wiejskiemu włościan. Artykuły pisane są w przedmiocie spraw społecznych i ekonomicznych, przemysłu domowego, rolnictwa, hodowli zwierząt domowych, weterynaryi, sadownictwa, pszczelnictwa i t. p. Polityka, belletrystyka i poezya są zupełnie wykluczone.

— Towarzystwo Ogrodnicze warszawskie wydało w drukarni J. Sikorskiego w Warszawie szóste z kolei sprawozdanie ze swéj działalności p. t.: „Rocznik Towarzystwa Ogrodniczego warszawskiego za rok 1890".

— *Edmund Jankowski.* „Ogrodownictwo przemysłowe", tom VI Biblioteki „Ogrodnika polskiego", ozdobiony 58 rycinami. Warszawa, w drukarni J. Sikorskiego 1891.

Pisząc tę książkę, autor miał na celu wskazać młodzieży, poszukującéj zajęcia, kilka dróg nowych, na którychby znaleźć mogła chleba kawał, i dowieść jednocześnie, że ogrodnictwo nietylko jest miłą rozrywką, ale także źródłem zysków być może. Siedm działów składa się na dziełko p. Jankowskiego: przemysł warzywniczy, rośliny aptekarskie i niektóre przemysłowe, hodowla nasion, handlowe szkółki drzew, przemysł owocowy, przemysł roślinny i kwiatowy, eksploatacya.

— *H. Merczyng.* „O biegu w rurach wody, nafty i ropy"—odbitka z „Przeglądu Technicznego". Warszawa, druk J. Sikorskiego 1891.

Praca powyższa premiowaną była przez konferencyę Instytutu Inżynierów Komunikacyi.

— *Franke Jan Nepomucen.* „Poradnik dla obsługi i nadzoru maszyn i kotłów parowych dla użytku maszynistów kotłowych, gorzelników, właścicieli maszyn parowych i techników", napisał... Wydanie II, przejrzane i znacznie powiększone, z 70-ciu rycinami w tekście. Lwów, 1891.

— *Ks. W. Cz.* „Podręcznik praktyczny gramatyki języka polskiego dla młodzieży szkolnéj", ułożył... Kraków, 1891.

— *Plato v. Reusner.* „Najnowszy elementarz polski czyli początkowa nauka czytania“, ułożył i wydał... Warszawa, 1891.

— *Adolf Dygasiński.* „Czy jechać do Brazylii?“, str. 13, 1891.

— *Grajnert Józef.* „Do Brazylii po dyamenty czyli ciekawe przygody Florka Kurzawy w stepach i puszczach brazylijskich“, napisał... Warszawa, 1891.

— *Tarczyński H. B.* „U nas a w Brazylii“. Powieść prawdziwa z 11 obrazkami. Nakład autora. Warszawa 1891. Wydanie popularne.

— *Karol Hofman.* „Listy ex-aktora do ex-aktora (I—VI)“, napisał... Radom. W drukarni A. Kurzątkowskiego. 1891, str. 81.

Kilka uwag o położeniu teatrów prowincyonalnych, skreślonych nader żywo.

— *Józef Łoziński.* „Nie pierwszy“, fragment sceniczny w 1-ym akcie przez... Warszawa, 1891.

— *Kasprowicz Jan.* „Świat się kończy“, dramat z życia ludu wielkopolskiego w 5-ciu odsłonach. Lwów, 1891.

— *Bronisław Grabowski.* „Boruta“, dramat z podań ludowych w pięciu aktach z prologiem. Kraków, 1891.

Boruta—dyabeł obrał sobie siedzibę w zamku Łęczyckim, gdzie za okutemi drzwiami, według podania ludowego, ukrywał skarby i nęcił niemi ludzi chciwych, którzy je zdobywali, zaprzedając własne dusze. Boruta uwija się, jako szlachcic, po okolicy, hula i pije z bracią szlachtą, co mu ułatwia zdobywanie dusz. Autor pod szczególną opiekę Boruty oddał szlachcica Łońskiego, którego przyjaźń z szatanem i zatargi z bracią szlachtą stanowią treść dramatu.

— *Klemens Junosza.* „Wybór pism“ w X-ciu tomach. T. I. Nakład autora. Warszawa, 1891, str. 291.

Tom I obejmuje następujące nowelle: Nieruchomość Nr 00, Córeczki pani Maciupskiéj, Pan Metr, Mała Patti, In minus. Każdy tom składać się będzie z 15—20 arkuszy druku. Zapisujący się odrazu na wszystkie tomy płaci 6 rs. w dwóch ratach: przy zapisie rs. 3 i przy III-cim tomie rs. 3. Na przesyłkę po 15 kop. za tom. W Warszawie tom każdy 1 rs. Skład główny w redakcyi „Wieku“, Nowy-Świat Nr 61.

— *Julian Łętowski.* „Na bożym świecie", nowelle i obrazki. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.
Mieści w sobie następujące utwory: Marta, Konkurencya, Wysoka stawka, Zmarzlak, Lew na pokucie.

— *J. Stasiak.* „Opowiadanie o Krzysztofie Kolumbie i o tym, kto pierwszy był w Ameryce", napisał... Warszawa, 1891, str. 63.

— „Ali-Baba i 40-tu rozbójników", opracował po części według niemieckiego oryginału, a po części według podań ludowych *Z. Z.* Warszawa, 1891, str. 45.

— *Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiéj* wydała dwie komedye Plauta: *Miles gloriosus* i *Menaechmi*, w tłómaczeniu Jana Wolframa, z rękopismów po nim pozostałych. Przekład poprzedzony jest wstępem Piotra Chmielowskiego.

— Jako odbitka z Kalendarza lubelskiego na rok 1891, wyszła broszurka p. t. „Wydawnictwa peryodyczne w Lublinie" przez Rafała Lubicza.

— *Sewer Sterling.* „Dziecko". Warszawa. 1891.
Malutka broszurka, w któréj autor wyłożył hygienę dziecka w pierwszych miesiącach.

— *Wyboru pism J. I. Kraszewskiego* wyszedł oddział VII, obejmujący „Utwory dramatyczne". Jest to właściwie tom literatury polskiéj, należący do „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj" a zawiera trzy komedye: „Miód Kasztelański", „Ciepła wdówka", „Kosa i kamień" oraz dwie anegdoty dramatyczne: „Panie Kochanku" i „Radziwiłł w gościnie". Sztuki te są poprzedzone wstępem krytycznym, napisanym przez Władysława Bogusławskiego.

— *Didon W. O. Z. K.* „Jezus Chrystus", z 20-go wydania francuskiego za upoważnieniem autora przełożył biskup Henryk Piotr Kossowski. Zeszyt I. Przedpłata za całość (25 zeszytów) rs. 4, z przesyłką rs. 5.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

OGŁOSZENIA.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości pp. artystów malarzy, iż stosownie do § 1 regulaminu Wystaw corocznych konkursowych Towarzystwa, w m. Styczniu 1892 roku odbędzie się **konkurs malarstwa.** Do przyjęcia na konkurs kwalifikują się obrazy olejne, akwarele, miniatury, pastele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich i jeżeli przytém nie były umieszczone na wystawie czy to w Towarzystwie, czy innéj w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu wszelkie kopie i dzieła artystów, zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy konkursowéj. Dzieła na konkurs nadsyłane mają być w ramach. Rysunki, ujęte w jedną ramę, za jedno dzieło uważane będą. Deklaracye w formie zwyczajnéj korespondencyi pod adresem Komitetu Towarzystwa przesyłać należy przed 3 (15) Grudnia 1891 roku. W deklaracyi winna być zamieszczona treść dzieła, cena, dokładny adres artysty z krótką wiadomością o tém, gdzie i kiedy się urodził i w jakiéj szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Dzieła konkursowe nadesłane lub dostarczone być winny do lokalu Towarzystwa najpóźniéj 19 (31) Grudnia 1891 roku do godz. 6 wieczorem. Komitet przeznaczył na konkurs powyższy trzy nagrody pieniężne: po rubli 600, 300 i 200 za dzieła, mające istotną wartość artystyczną. Koszt transportu dzieł, par petite vitesse, z opłatą cła od przysłanych z za granicy, o ile dzieła te przyjęte zostaną przez cenzurę rządową i delegacyę sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy konkursu, na żądanie, wysyła franko lub wydaje na miejscu bezpłatnie kancelarya Towarzystwa.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém ogłasza niniejszém, iż w ciągu r. b. 1891 wakować będą następujące **stypendya:**

1) z funduszu imienia Józefa **Simmlera**, stypendyum rs. 240, dla młodzieńca rodem z Królestwa Polskiego, bez różnicy wyznania, posiadającego rzeczywisty talent i pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarskiéj. Stypendyum przyznane będzie temu z kandydatów, który pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiéj wykona studyum olejne z natury, oraz szkic kompozycyi na zadany temat. Ze współubiegających się, jednakowéj kwalifikacyi,

pierwszeństwo mieć będzie Simmler, krewny zmarłego artysty malarza Józefa Simmlera.

2) z zapisu Heleny Korwin-**Szymanowskiéj**, stypendyum rs. 150, dla młodzieńca, urodzonego w Królestwie Polskiém, wyznania rzymsko-katolickiego, ubogiego, moralnéj konduity, pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarskiéj lub rzeźbiarskiéj. Stypendyum przyznane będzie temu, kto pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiéj wykona na temata wyznaczone prace, za dostateczne uznane. Ze współubiegających się jednakowego uzdolnienia, Szymanowscy herbu Ślepowron, przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głogowy będą mieli pierwszeństwo do stypendyum.

3) z zapisu Ignacego **Ciszewskiego**, stypendyum rs. 215, dla młodzieńca, poświęcającego się sztuce rzeźbiarskiéj, według wyboru Komitetu Towarzystwa.

Kandydaci, pragnący się ubiegać o powyższe stypendya, winni najpóźniéj do dnia 1 Września r. b. 1891 uczynić podanie do Komitetu Towarzystwa, na papierze bez stempla, z załączeniem: metryki urodzenia, świadectwa zamieszkania, świadectwa stanu majątkowego i świadectwa dobréj konduity; zaś kandydaci Simlerowie, Szymanowscy i Kossowscy, oprócz powyższych dowodów, i legitymacyę swego pochodzenia. Co zaś do stypendyum Ciszewskiego, kandydaci winni przedstawić Komitetowi obok wzmiankowanych dowodów i odpowiednią własną pracę, o ile takowa nie była umieszczona na wystawie Towarzystwa przed podaniem się na stypendystę. Gdyby który z kandydatów pragnął uzyskać jedno z powyższych stypendyów dla kształcenia się za granicą, winien przedstawić świadectwo naczelnika gubernii o pozyskanie pasportu na pobyt za granicą.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém ogłasza niniejszém dla pp. artystów malarzy i rzeźbiarzy polskich **konkurs imienia Józefa Kuryerowa**, niegdy obywatela m. Warszawy, z nagrodą pieniężną w kwocie rubli 360. Nagroda powyższa, stosownie do woli zapisodawcy, przyznana będzie przez Komitet Towarzystwa autorowi obrazu olejnego lub rzeźby, oryginalnych, osnutych głównie na swojskim temacie i wybitnie odznaczających się pod względem artystycznym. W braku takiego dzieła, Komitetowi przysługuje prawo rozdzielenia powyższéj kwoty na dwie nagrody, I-ą i II-ą, dla najlepszych z dzieł przedstawionych, oryginalnych i tematu swojskiego. Dzieło nagrodzone pozostaje własnością autora. Pragnący ubiegać się o nagrodę imienia Józefa Kuryerowa, winni

nadesłać po jednym obrazie olejnym w ramach lub po jednéj rzeźbie, które nie były umieszczone na wystawie Towarzystwa lub innéj w Warszawie, do lokalu Towarzystwa, w czasie pomiędzy 1-m a najdaléj 15-ym Marca 1892 roku, przy załączeniu własnoręcznie napisanéj i podpisanéj deklaracyi, w formie zwyczajnego podania na imię Komitetu Towarzystwa, w któréj mają być wymienione: tytuł dzieła, data i miejsce urodzenia autora, miejsce obecnego jego pobytu i krótka wiadomość, gdzie i w jakiéj szkole kształcił się na artystę. Rozstrzygnięcie konkursu przez Komitet, zgodnie z wolą zapisodawcy, nastąpi w dniu 19 Marca 1892 roku. Dzieło przyjęte do konkursu przez Komitet i Cenzurę rządową i umieszczone na wystawie Towarzystwa, nie może być z tejże wycofane przez właściciela przed upływem miesiąca po wystawieniu. Koszt transportu, par petite vitesse, i cła od obrazów z za granicy nadesłanych i na konkurs przyjętych, ponosi Towarzystwo. Co do rzeźb, Towarzystwo ponosi koszt transportu, par petite vitesse, tylko do wysokości 10 pudów wagi przesyłki brutto, oraz cła, za wyłączeniem cła od rzeźb w bronzie.

ZIEMIA I JÉJ ODŁUŻENIE

w Królestwie Polskiém.

Obniżka cen na produkty rolne, podrożenie robocizny i konieczność płacenia odsetek od zaciągniętych w przeszłości zobowiązań, coraz głębiéj i głębiéj pogrąża majątki w otchłań ciężarów i kłopotów.

W obecnéj chwili rzeczy doszły do tego punktu krytycznego, że przedsięwzięcie środków zaradczych stało się niezbędném. Nietylko w naszym kraju, w którym wskutek owarowania zachodniéj granicy cłami ochronnemi warunki są wyjątkowo złe, ale nawet w tych państwach, gdzie, jak w Niemczech, ludność, nietrudniąca się rolnictwem, płaci corocznie na rzecz ziemian daninę, wynoszącą miliony rubli, — nawet w tych państwach stało się widoczném, że tylko nadzwyczajne wysiłki mogą przynieść ratunek i to nie wszystkim nawet, lecz niektórym tylko kategoryom właścicieli ziemskich.

Ażeby jednak dokładnie zrozumiéć charakter i rozmiary klęski, ażeby wyciągnąć korzyść praktyczną i trafić na właściwe środki zaradcze, nie dosyć jest wiedziéć o istnieniu faktu niedoli ziemian, trzeba znać szczegóły. Te zaś posiadać można li tylko przez zestawienie możliwie dokładnych i możliwie szczegółowych danych statystycznych. To pierwszy warunek do postawienia ścisłéj dyagnozy, jeżeli ta ma przynieść przyszłości pożytek.

Przedewszystkiém nie należy łudzić się nadzieją, że ciężkie czasy dla rolników naszych są klęską wypadkową, złém przemijającém i przywiązaném do jednego miejsca wskutek szczególnych okoliczności. Absolutne lub względne obniżanie się dochodów z ziemi stanowi zjawisko powszechne, od przyczyn wyjątkowych lub chwilowych tylko w drobnéj cząstce zależne.

ZIEMIA.

Królestwo Polskie pod względem wytwórczości jest krajem wyłącznie niemal rolniczym, a ponieważ reforma włościańska zastała przed 30 laty obywatelstwo nasze i włościan w położeniu prawdziwie opłakaném, więc zbadanie stanu własności ziemskiéj u nas samo przez się jest już zagadnieniem ciekawém i poważném.

Badania w téj mierze mogą miéć téż i praktyczne znaczenie, gdyż z Najwyższego rozkazu ustanowiona została specyalna komisya w celu przyjścia w pomoc rolnictwu.

Powszechna niemal zniżka cen i wynikające stąd przesilenie ekonomiczne wystąpiły między innemi także jako konieczny skutek wciąż wzrastającego popytu na złoto. Pieniądz droższy — wszystko więc tańsze. Popyt zaś na złoto spotęgowany został przez demonetyzacyę srebra, więc coraz większą potrzebę złota z jednéj strony, a z drugiéj przez zmniejszoną jego w osatnich latach produkcyę. U nas wpływy tego zjawiska nie uwydatniły się dosyć wyraźnie i mogły ujść baczności niejednego oka, a to z tego powodu, że przysłaniały je odpowiednie wahania się kursu pieniędzy papierowych. Musimy więc dla należytego wyjaśnienia rzeczy uciec się do cyfr, na które czynnik ten nie oddziaływał, a więc zapożyczyć je ze stosunków zagranicznych.

Początek zjawiska sięga piątego dziesięciolecia wieku bieżącego, t. j. chwili wielkiego napływu złota z Kalifornii i Australii, oraz wytworzonego przez to niezwykłego popytu na towary wszelkiego rodzaju. Cyfry, zebrane przez statystyków, które zaraz przytoczymy, wyraźnie wskazują naprzód wzrost, następnie wielkie wahanie się, a potém wyraźną tendencyę ku zniżce.

Z pomiędzy wielu metod statystycznych, używanych do wykazania liczbami zmian w cenach, największém uznaniem i rozpowsze-

chnieniem cieszy się metoda Stanleya Jevonsa. Jest ona istotnie najlepszą i my téż uciekniemy się do jéj pomocy. Średnią cenę kilku najważniejszych produktów w okresie 1845 — 1850 uczony angielski wziął jako punkt wyjścia, oznaczył przez 100 i używał w charakterze miary stałéj do porównania z cenami tychże produktów w latach następnych, zalecając robić obrachunek co rok 1 Stycznia i 1 Lipca. Projekt Stanleya Jevonsa wykonany został przez angielskiego „Economista“. Z tego téż źródła czerpiemy dane do poniższéj tabliczki:

lata	ceny przeciętne 22 głównych produktów	lata	ceny przeciętne 22 głównych produktów
1845—1850	100.00	1885	95.36
1861	123.95	1886	92.00
1871	117.73	1887	93.54
1876	123.23	1888	101.35
1881	108.00	1889	99.41

Widzimy, że w porównaniu z latami 1845—50, od których naszą rachubę rozpoczęliśmy, ceny roku 1871 okazują zwyżkę blisko o 18% ceny pierwotnéj; w następném dziesięcioleciu t. j. od roku 1871—1881 znajdujemy zniżkę przechodzącą 9%; w roku 1886 zniżka dochodzi do maximum, ceny są o 25% cyfry pierwotnéj niższe, aniżeli w roku 1871, o 8% zaś niższe, niż w okresie 1845—50. Od 1887 roku rozpoczyna się zwyżka i następuje wyrównanie z okresem wziętym jako punkt wyjścia.

Daleko jaśniéj zaszłe zmiany wystąpią, jeżeli zamiast liczb ogólnych weźmiemy ceny poszczególnych grup produktów.

Znany statystyk niemiecki, Soetbeer, zestawił w podobny sposób zmiany cen dla 8 grup towarów, zawierających 114 produktów. Liczby wzięte zostały częścią (dla 100 produktów) z notowań, dokonanych w Hamburgu, częścią z dokonanych w chwili wywozu z Anglii. Dane te są dla nas ważniejsze z tego względu, że, dotycząc Niemiec, i nas niemal bezpośrednio obchodzą, a przytém nie mącą ich zmiany ceł wchodowych, których, przybywając do wolnego miasta, towary do rachunku wciągnięte, nie opłacały. Tu za 100 przyjętą została przeciętna cena z lat 1847—1850. Dalszy rachunek odbywa się jak poprzednio:

Grupy	1847—50	1871—75	1881—85	1887	1888
I. Produkty rolne . .	100	144.90	130.77	96.28	98.54
II. Produkty zwierzęce	100	154.57	150.65	130.86	129.73
III. Towary z Południa	100	131.50	134.41	121.70	118.21
IV. Towary kolonialne bez bawełny. . .	100	130.72	119.91	116.59	115.86
V. Produkty mineralne	100	116.90	74.23	72.50	75.70
VI. Włókna	100	117.17	96.65	81.42	80.98
VII. Różne	100	114.98	91.11	77.30	74.31
VIII. Eksport z Anglii: wyroby bawełniane, lniane	100	126.44	103.28	95.98	94.43
Ogółem 114 produktów .	100	133.29	117.68	102.20	101.93

Okazuje się, że ceny z okresu 1871 — 1875, ogółem biorąc, poszły w górę przeszło o 33%, w stosunku do cen 1847—50. Produkty rolne w tym samym okresie dają zwyżkę blisko 45%. W okresie 1881 — 85 zwyżka cen na produkty rolne wynosi już tylko 30%, w r. 1887 spotykamy już zniżkę o 4%, czyli różnica z okresem poprzedzającym wynosi na gorsze 34% ceny pierwotnéj. W r. 1888 daje się zauważyć zwrot ku lepszemu, ale nieznaczny, bo reprezentowany przez 2%.

Produkty zwierzęce w okresie 1871—75 poszły w górę o 55%; w r. 1881 zwyżka stanowi jeszcze 50%, a w latach 1887 i 1888 obniżają się do 30%, w porównaniu więc z produktami rolnemi widzimy różnicę, wynoszącą na korzyść pierwszych 32%.

Co się tyczy ogólnéj przeciętnéj ceny wszystkich towarów, rachunkiem objętych, to w ostatnich dwu zanotowanych latach przewyższa ona o 2% cenę z okresu 1847 — 50, lecz niższą jest o 31% od ceny 1871—1875.

W jak opłakaném położeniu znajduje się więc własność ziemska w tych państwach, które dla podtrzymania cen na produkty rolne nie ustanowiły, jak Niemcy, ceł wchodowych, pokażą nam następujące obliczenia.

W Wielkiéj Brytanii w r. 1876 dochody z własności ziemskiéj, według zestawień sekretarza stanu Giffena, wynosiły 69½ milionów funtów sterlingów, — zaś w dziesięć lat późniéj, w roku 1886, tylko 63 miliony, to jest spadły o 6½ milionów funtów, zatém blisko o dziesiątą część.

James Caird twierdzi, że ostatnia cyfra dochodów powinna być zmniejszona jeszcze przynajmniéj o $^1/_3$ część, a to dlatego, że większość dzierżawców nie wypełniła przyjętych zobowiązań. Według więc tego statystyka, dochody z własności ziemskich uległy obniżeniu w ciągu dziesięciolecia blisko o 45%. Nie dziw, że i odłużenie własności ziemskiéj wzrosło niepomiernie.

Lord Reay oblicza, iż w Anglii w r. 1866 ciężary stanowiły 33% wartości majątków ziemskich, w dziewiątym zaś lat dziesiątku doszły do 58%.

Ale same te liczby nie uwydatniają jeszcze należycie zjawiska; ujrzymy je we właściwém świetle dopiero po zestawieniu z wzrostem dochodów ze źródeł innych, (które oczywiście wzrastać mogły pomimo obniżki cen na produkty): dochody np. z domów w 1875 roku stanowią tylko 94.6 mil. funtów sterlingów, w dziesięć lat późniéj — 128.4 mil.; *nadwyżka równa się 33.8 milionów!*

Znajdujemy więc w rolnictwie bezwzględny upadek renty znaczny, stosunkowo z innemi źródłami dochodów—olbrzymi.

Ażeby lepiéj uwydatnić słuszność twierdzenia, weźmy jeszcze, nie opuszczając granic Wielkiéj Brytanii, większą przestrzeń czasu i większą ilość gałęzi gospodarstwa krajowego.

Dla przeprowadzenia porównania, za punkt wyjścia i za miarę przyjmiemy dochody z roku 1850 i oznaczymy je przez 100. W 1880 roku, a zatém w okresie, kiedy obniżka cen na produkty rolne nie doszła jeszcze do dzisiejszego poziomu, dochody z własności ziemskiéj wyraziły się przez 123 (zamiast 100 z r. 1850). Jednocześnie dochody z domów dały 238, z przemysłu i rzemiosł—228, z dróg żelaznych—295. Liczby powyższe wykazują, jak powoli wzrasta wogóle dochód z ziemi. W ciągu lat 30 przyrost nie wynosi nawet ćwierci sumy pierwotnéj, tymczasem w innych gałęziach tenże dochód powiększa się dwa, nawet trzy razy.

Lecz jeżeli pod uwagę weźmiemy nie kraj jeden i nie jedną drogę handlową, lecz świat cały, dla obliczeń statystycznych dostępny, to wyniki obrachunków wypadną nieco odmienne. Okaże się mianowicie, że chociaż obniżka cen na produkty była, jak powiedzieliśmy, *niemal* powszechna, to jednak niektóre rodzaje wytwórczości, i to nawet związanéj bezpośrednio z rolnictwem, potrafiły oprzéć się skutkom przesilenia. Naprzykład, ceny na produkty hodowli zwierząt domowych nietylko nie spadły, lecz przeciwnie poszły w górę i to poszły bardziéj, niż spadły ceny wszystkich prawie gatunków zboża.

Ażeby doniosłość tego zjawiska ocenić, przedewszystkiém poznać należy, jakie znaczenie ma ziarno wśród ogólnego zapotrzebowania

produktów rolnych na rynku wszechświatowym. Weźmiemy do porównania te produkty, których obrót w handlu powszechnym w całéj Europie i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj wynosi najmniéj $^1/_2$ miliarda marek rocznie, — okazuje się, iż wogóle wartość rocznéj konsumcyi tych produktów dosięga 89 miliardów marek.

Poniżéj w dopisku podajemy dokładne zestawienie cen na wszystkie produkty w dwu okresach 1861—70 i 1882—85, wraz z podaniem cyfry obrotu rocznego w miliardach marek [1]). Tu pod uwagę weźmiemy tylko wytwóczość rolną.

Obrót roczny	pszenicy	wynosił	9 miliardów,	obniżka 21%
„ „	żyta	„	5 „	„ 14%
„ „	jęczmienia	„	3 miliardy,	„ 3%
„ „	kartofli	„	3 „	„ 3%

Po obrachowaniu w markach rezultatu powyżéj wskazanych obniżek okazuje się, że spadek cen w drugim okresie téj spożytéj ilości utworzył sumę 2,450 milionów marek.

---

[1]) Cyfry zestawiamy na zasadzie obliczeń, podanych przez Wasseraba w dziele „Preise und Krisen“, Monachium, 1889.

Zestawiając wedle danych hamburskiego Biura Statystycznego, uważanego powszechnie za wielką powagę, otrzymamy tablicę następującą: kolumna pierwsza podaje znaczenie każdego produktu w handlu wszechświatowym w miliardach marek, druga wskazuje ceny przeciętne w markach w dwóch wymienionych okresach, wreszcie trzeci oznacza porównawczą zwyżkę lub spadek cen:

	Znaczenie w handlu wszechświatowym w miliardach marek.	Ceny przeciętne 1861—70 w markach.	1882—85		Różnica w procentach: Zwyżka.	Spadek.
Pszenica	9	21.87	17.18	za 100 kilogramów	—	21.44%
Żyto	5	16.47	14.18	„ „ „	—	13.90
Kukurydza	2	16.66	17.87	„ „ „	7.26	—
Kartofle	3	5.75	5.58	„ „ „	—	2.96
Jęczmień	3	17.43	16.92	„ „ „	—	2.93
Len	2	150.03	130.12	„ „ „	—	13.27
Pakuły	2	70.02	62.02	„ „ „	—	11.42
Tytoń	1	133.77	119.38	„ „ „	—	10.76
Wełna	4	342.75	227.32	„ „ „	—	33.70
Mięso wołowe	$7^1/_2$	0.89	1.15	za 1 kilogram	29.21	—
„ wieprzowe	$5^1/_2$	1.03	1.07	„ „ „	3.88	—
„ baranie	3	1.01	1.48	„ „ „	46.53	—
Mleko	2	8.50	12.00	za 100 litrów	41.19	—
Masło	2	185.50	227.50	za 100 kilogramów	22.68	—
Sery	1	107.46	112.65	„ „ „	4.83	—
Jaja	1	4.46	5.29	za 500 sztuk	18.60	—
Cukier kryszt.	1	66.10	49.62	za 100 kilogramów	—	24.93
Spirytus	1	42.11	37.91	za 1 hektolitr	—	10.00
Wino	4	48.35	70.02	„ „ „	44.82	—

Następnie obniżył ceny:

Wełny	przy obrocie	4	miliardów	marek	o 34%
Lnu	„ „	2	„	„	o 13%
Pakuł	„ „	2	„	„	o 11%

Co wyniesie 1675 milionów marek.

Przeciwnie w górę poszły ceny następujących produktów:

Kukurydza	przy obrocie	2	miliardów	marek	o 7%
Mięso wołowe	„ „	7½	„	„	o 29%
„ wieprzowe	„ „	5½	„	„	o 4%
„ baranie	„ „	3	„	„	o 46%
Mleko	„ „	2	„	„	o 41%
Masło	„ „	2	„	„	o 23%
Sery	„ „	1	„	„	o 5%
Jaja	„ „	1	„	„	o 19%

Tu zwyżka daje w sumie 5,535 miliardów marek, czyli ze znacznym procentem pokrywa straty, wyżéj zaznaczone.

Jeżeli zaś do rzędu produktów gospodarstwa wiejskiego dodamy wino (pominiemy zaś cukier i spirytus, jako wytwory raczéj fabryczne i w wartości swéj zależne od systemu poborów akcyzy), to otrzymamy zwyżkę przy obrocie 4 miliardów marek w cenie o 45%, co daje 1,760 miliardów marek.

Zatém ogólna zwyżka na produktach gospodarstwa wiejskiego wyniosła 7,295 miliardów marek, gdy tymczasem suma zniżek tworzy 4125 miliardów. W ogólném więc zestawieniu obrotów gospodarstwa wiejskiego bilans zmian, zaszłych w cenach, okazuje nie spadek, ale wzrost o 3,170 miliardów marek. Stąd wniosek oczywisty, że gospodarstwa, które podniosły wytwórczość produktów zwierzęcych i wina w ostatecznym rezultacie wcale strat z powodu zmian w cenach w ciągu lat ostatnich nie doznały. Myśmy z tego ruchu cen nie skorzystali i skorzystać nie mogliśmy z przyczyn, które poniżéj postaramy się wykazać. Pozostajemy wciąż przy przeważającéj produkcyi ziarna, wełny, cukru i spirytusu, t. j. tych mianowicie produktów, których ceny najbardziéj się obniżyły.

Zobaczmyż z jakiemi skutkami odbywa się działalność nasza na tém polu.

Głośne skargi i narzekania ziemian na upadek cen zboża i wogóle na ciężkie, bardzo ciężkie czasy, dały znać ogółowi, że rolnictwo przebywa bolesne i trudne przesilenie. Rząd polecił przeto osobnéj komisyi pod przewodnictwem towarzysza ministra spraw wewnętrznych, Plewego, wynaleźć środki, jakie mogłyby być przedsięwzięte celem podtrzymania téj najważniejszéj siły wytworczéj w państwie. Komisya utworzona została właściwie wskutek upadku cen zboża i za najbliższe zadanie miała zbadać to mianowicie zjawisko.

Posypały się najrozmaitsze projekty: wykazywano konieczność zmniejszenia rozchodów pobocznych, domagano się kontrolowania handlu zbożowego za pośrednictwem brakarzy, wyznaczonych z ramienia rządu, dowodzono nawet możliwości starań dyplomatycznych celem zniesienia w państwach ościennych ceł, wywołujących u nas obniżkę cen przy zakupach zboża do tych krajów, które cła zaprowadziły.

Zostałem i ja powołany do wypowiedzenia w téj mierze zdania. Nie przeczyłem, ażeby w niektórych wyjątkowych razach środki powyższe nie miały znaczenia, ale zwróciłem uwagę, iż one kwestyę traktują nieco powierzchownie i wciskają w zbyt ciasne ramy.

Obniżka cen w danym wypadku jest zjawiskiem wszechświatowém, na razie usunąć się niedającém. Istotę rzeczy stanowi to, że nietylko ceny, ale i samo rolnictwo upada: zmniejsza się urodzajność ziemi, hodowane są najmniéj cenne rodzaje zboża.

I.

Przedsięwzięte przezemnie badania doprowadziły mnie do wniosku, że sposób prowadzenia gospodarstw jest nieracyonalny i że jeżeli nie zostaną przedsięwzięte środki dla podniesienia kultury, rolnictwo upaść musi.

W jaki sposób jednak można robić ulepszenia, t. j. ponosić nowe nakłady, kiedy w gospodarstwach naszych ledwie koniec z końcem daje się związać, kiedy „przesilenie" w tém się przedewszystkiém objawia, że dochód z ziemi pozwala zaledwie na pokrycie wydatków produkcyi, na opłacanie dłużników i na podatki? W ten sposób dotarliśmy do rdzenia kwestyi: ulepszenia są niezbędne, lecz czy są możliwe wobec tego, że większości rolników brak nawet środków obrotowych? Istnieją wprawdzie różne postacie kredytu, z którego korzystają posiadacze majątków większych; ale zaciągane pożyczki obracane były przedewszystkiém—jak tego dowodzi doświadczenie krajów innych, na dojście do własności ziemskiéj lub jéj zatrzymanie w swojém ręku, więc na kupno ziemi, na spłacenie części współsukcessorów, na procenty, podatki, wreszcie na pokrycie strat wypadkowych i t. d. Nie dość na tém. Przypuściwszy nawet, że towarzystwa kredytowe udzieliłyby rolnikom mniejszym i większym pożyczkę powtórną, tak wysoką, jak pierwsza (choć w wielu wypadkach przeniosłoby to wartość majątku), kto nam zaręczyć może, iż ta pożyczka poszłaby w większym stopniu, niż dawna, na zaprowadzenie ulepszeń? W każdym razie rachować na to niepodobna; może w kilku zaledwie jakichś wyjątkowych wypadkach miałoby to miejsce.

Zestawiwszy na zasadzie danych o odłużeniu własności [1]) powyżéj wykazaną *potrzebę* środków *z brakiem* odpowiedniego kredytu, postawiliśmy dwa postulaty:

1°. Niezbędny jest kredyt specyalny na melioracye w gospodarstwach rolnych, bez niego przesilenie coraz bardziéj zaogniać się będzie, wywołując różne niepożądane skutki, a nawet klęski społeczne, jak np. emigracyę, gdyż biedna ludność, nie znajdując zarobku przy intensywniéj prowadzonych gospodarstwach, pozostanie bez środków do życia;

2°. Za konieczny warunek uważać należy, aby sama organizacya kredytu uniemożliwiała użycie sum pożyczkowych na inne niegospodarskie potrzeby właściciela.

Na pamięci mieć przytém trzeba tę ważną trudność, że, przy istniejącém odłużeniu i wobec obowiązującego prawodawstwa, znalezienie odpowiedniego zabezpieczenia dla potrzebnéj pożyczki w większości wypadków byłoby niemożliwe. Wszystko to razem wzięte doprowadziło nas do ostatecznego wniosku, iż zadaniem główném komisyi, ustanowionéj dla obmyślenia pomocy rolnictwu, winno być szukanie sposobu, aby fundusze na melioracye majątków w pewnych określonych warunkach mogły być uzyskane, bez względu na wysokość uprzedniego odłużenia dóbr.

Instytucya, udzielająca pożyczek na przeprowadzenie ulepszeń, musi mieć naturalnie pewność, że zamierzone melioracye dadzą się uskutecznić z pożytkiem i że właściciel aż do zwrotu zaciągniętéj pożyczki podtrzymywać będzie dokonane ulepszenia. Fatalna sytuacya rolnictwa wywarła nacisk na instytucye prawodawcze we wszystkich niemal krajach. Jedném z ułatwień dla właścicieli ziemskich przy uzyskaniu kredytu było udzielanie pożyczek pod zastaw ruchomego inwentarza gospodarczego, żywego i martwego, chociaż inwentarz pozostawał nadal w rękach rolnika. Ażeby umożliwić ten rodzaj kredytu, w wielu krajach (jak to niżéj przytoczymy), zmieniono artykuły prawa o zastawach i o pierwszeństwie w porządku egzekucyi. Uczyniono również zadosyć w niektórych państwach zachodnich zapotrzebowaniom kredytu długoterminowego na melioracye gruntowe.

Jako przykład przytoczyłem Anglię, w któréj początek utworzenia kredytu melioracyjnego dało państwo. Już w piątym lat dziesiątku naszego wieku wyasygnowało ono znaczne sumy na ulepszenia w gospodarstwach rolnych. Czuwanie i dozór nad urzeczywistnieniem téj myśli poruczone zostały komisarzom obwodowym. Prócz tego państwo pozwalało prywatnym towarzystwom kredytowym udzielać

---

[1]) Przytoczymy je tu w dalszym ciągu pracy.

pożyczek na melioracye pod kontrolą tychże komisarzów i z prawem ściągania spłat amortyzacyjnych wraz z podatkami rządowemi.

Drugą gwarancyą dla pożyczki melioracyjnéj był przepis, że należność tego rodzaju posiada w razie egzekucyi pierwszeństwo przed wszelkiemi innemi zobowiązaniami i długami hypotecznemi. Przy udzielaniu przywileju tego w Anglii kierowano się względem, iż melioracye podniosą wartość majątku, przeto wierzyciele inni posiadać będą pewność tęż samą, co dawniéj, lub większą nawet [1]).

W dalszym ciągu pracy mojéj przytoczyłem przykład bliższy, mianowicie pożyczki, dawane przez Bank polski na kupno maszyn rolniczych, na podniesienie gospodarki, na zaprowadzenie wyższych ras bydła, na budynki z materyałów niepalnych, na przeprowadzenie dróg i t. p.

W Prusach prawo o bankach pożyczkowych dla popierania kultury rolnéj wydano dopiero w dniu 13 Maja 1879 r., ale fundusz

---

[1]) Pragnący uzyskać pożyczkę na melioracye zwracał się do komisarza rządowego. Ten przekonywał się osobiście, czy zamierzone ulepszenia powiększą dochód roczny z majątku o sumę znaczniejszą, niż wynosić będzie roczna rata melioracyjna nowéj pożyczki. W razie pomyślnego rezultatu badania, komisarz zatwierdzał plan robót i wydawał „rozporządzenie tymczasowe", które było pozwoleniem uzyskania całkowitéj sumy z gwarancyą kontroli rządowéj nad przeprowadzeniem robót i spłatą rat. Z takiém „rozporządzeniem" właściciel ziemski albo udawał się do jednego z towarzystw specyalnych i dług zaciągał, albo téż poruczał samemu towarzystwu wykonanie prac melioracyjnych; mógł też uciéc się do pomocy prywatnego przedsiębiorcy, albo załatwić wszystko osobiście i na koszt własny.

Po zupełném ukończeniu robót i powtórném sprawdzeniu przez komisarza, sporządzał się „akt ostateczny" (absolute Order) o zaciągnięciu pożyczki na majątek.

Akt taki stanowi rodzaj listu zastawnego, t. j. może być zrealizowany. Jeżeli właściciel sam dokonał robót, otrzymuje „Order" do ręki, może go sprzedać i w ten sposób wrócą mu się koszta amelioracyi. W razie przeciwnym „Order" należy do towarzystwa, które uzyskuje prawo, jako wynagrodzenie za pośrednictwo, powiększyć należność o 5%. W obu wypadkach oczywiście majątek zostaje obciążony długiem odpowiednim, spłacanym ratami amortyzacyjnemi.

Kredyt melioracyjny w Anglii warunkuje się terminem nieprzenoszącym 31 lat. W wypadku robót kosztownych, które tylko po upływie większego przeciągu czasu opłacić się mogą, jak: drenowanie, budynki mieszkalne dla dworu i służby, udzielany bywa termin dłuższy. Pożyczki zaś, zaciągnięte na inne rodzaje robót, amortyzują się w czasie krótszym.

Specyalne przepisy zapewniają fermerom zwrot przez właściciela, po wyjściu kontraktu, nakładów na ulepszenia w majątku.

Tym sposobem nietylko właściciele, lecz nawet dzierżawcy (długoterminowi naturalnie) uciekają się w Anglii do pomocy towarzystw kredytowych celem przeprowadzenia robót melioracyjnych za pozwoleniem i pod kontrolą komisarza rządowego.

rządowy rocznie asygnowany na cele melioracyjne istniał już od 1850 r.

Bilans funduszu tego w r. 1875 wynosił gotowizną 213,266 marek i w wierzytelnościach 9,058,771 marek. Na mocy prawa dotacyjnego z r. 1875 cała akcya melioracyjna wraz z zarządem funduszu powyższego powierzona została stanom prowincyonalnym.

Wedle wspomnionego prawa z r. 1879 banki pożyczkowe udzielają pożyczek w gotówce albo w obligach, płatnych po cenie nominalnéj na okaziciela, i noszących nazwę: rolniczych listów rentowych (Landes-Kultur-Rentenbriefe) [1]).

---

[1]) Banki zakładane być mogą w celach następujących:

1. Popierać ulepszone systemy uprawy, zwłaszcza zaś roboty, tyczące się osuszania i nawodnienia (drenowania); przeprowadzać i ulepszać drogi, hodować, lub, jeżeli chodzi o urządzanie nowych osad, trzebić lasy.

2. Utrwalać brzegi rzek, a już utrwalone ochraniać.

3. Wznosić, rozszerzać i utrzymywać tamy, groble, oraz przeprowadzać wszelkie, mające z tém związek, roboty ochronne i melioracyjne.

4. Urządzać, eksploatować i utrzymywać wodociągi oraz rezerwoary wodne, jak również dokonywać roboty inne, tyczące się żeglugi.

Pożyczki umarzają się ratami. Od pożyczek płaci się przynajmniéj 4% rocznie. Dłużnik winien w księdze hypotecznéj lub kadastralnéj odnotować pierwszeństwo pożyczki przed wnioskami następnemi lub sumami hypotecznemi i wtedy może domagać się u władz odnośnych uznania prawa pierwszeństwa, pod warunkiem przedstawienia ścisłego planu i kosztorysów.

Komisye, ad hoc ustanowione (a mianowicie Auseinandersetzungsbehörden), badają, czy przeprowadzenie robót projektowanych może sprowadzić trwałe podniesienie się wartości majątku, w jakim rozmiarze i przy jakim nakładzie. Każda komisya składa się z dwóch właścicieli ziemskich, wybieranych przez komitet prowincyonalny z pomiędzy członków towarzystwa prowincyonalnego na określoną liczbę lat, oraz z jednego eksperta przysięgłego, mianowanego przez „Auseinandersetzungsbehörde". Prawa komisyj mogą być na mocy statutów przelane na ziemskie lub szlacheckie okręgowe instytucye kredytowe, których listy zastawne wydawane są przy udziale urzędników, pozostających bezpośrednio lub pośrednio w służbie rządowéj i posiadających odpowiednie kwalifikacye w charakterze sędziów, notaryuszów i t. d. Jeżeli komisya przekona się, że projektowane roboty podniosą wartość majątku, przynajmniéj do wysokości użytego nakładu, w takim razie wzywa przez ogłoszenia wszystkich, posiadających prawo po temu, ażeby w ciągu 6 tygodni, o ile nie zgodzą się na wymagane prawo pierwszeństwa hypotecznego, wnieśli na piśmie protest. Ogłoszenia drukowane są w gazecie urzędowéj.

Prawo nakazuje osobom, zainteresowanym bezpośrednio i wpisanym do księgi hypotecznéj, ażeby rozesłane były ogłoszenia w listach rekomendowanych w ciągu pierwszych dwóch tygodni. Po upływie terminu komisya postanawia, jakie pierwszeństwo hypoteczne należy przyznać pożyczce na roboty melioracyjne. W postanowieniu winny być wyłożone motywy decyzyi. Protesty miejsca mieć nie mogą; wreszcie bank zawiadamia dłużnika, na którym numerze hypotecznym będzie zabezpieczoną pożyczka.

II.

W Rossyi konieczność urządzenia kredytu melioracyjnego w zasadzie została już uznaną. Rada państwa, rozpatrując ustawę banku szlacheckiego, poleciła ministrom finansów i dóbr państwa wypracować plan organizacyi kredytu na zaprowadzenie ulepszeń w gospodarstwach rolnych.

Wszystkie przytoczone i rozważone fakty i względy przyprowadziły mnie do wniosku, że jeżeli nawet państwowy kredyt melioracyjny w Rossyi ma kiedyś dojść do skutku, to nic bynajmniéj nie przeszkadza, ażeby dzisiaj, bez odkładania rzeczy do dalszéj przyszłości, powstały instytucye celem udzielania takich kredytów siłami istniejących ziemstw, towarzystw i ze środków prywatnych. Ale jednocześnie, cokolwiek rząd postanowi, czy kredytowi melioracyjnemu nada formę instytucyi centralnéj państwowéj, czy pozwoli na urządzenie instytucyj miejscowych, operacye w tym jedynie razie odbywać się mogą porządnie i prawidłowo, jeżeli kontrola rządowa czuwać będzie nad rzeczywistém wykonaniem robót projektowanych i nad regularną spłatą rat amortyzacyjnych. W niektórych krajach, jak już wspomnieliśmy, w Anglii, Prusach, Rumunii, ściąganie rat dokonywa się jednocześnie z poborem podatków rządowych.

Nie powinien być również pominięty ten środek gwarancyjny, który przyjęto wszędzie, a który polega na przyznaniu w razie egzekucyi pożyczcze melioracyjnéj prawa pierwszeństwa przed wszystkiemi innemi zobowiązaniami właściciela. Wprowadzone zaś to być może i powinno dlatego, że wierzyciele, zepchnięci na dalszy numer w hypotece, w istocie nic na tém nie stracą. Pożyczka w takim tylko razie ma być udzieloną, jeżeli melioracya podniesie wartość majątku o sumę większą niż sama kosztuje, to jest, jeżeli pożyczka więcéj da, niż zabierze; wszelkie więc zabezpieczenia przez jéj zjawienie się, nawet na pierwszym numerze, tylko wzrosnąć mogą.

Na podstawie postanowienia i po zaświadczeniu, że roboty wykonane są należycie, prawo pierwszeństwa wpisane zostaje do księgi hypotecznéj. Protesty przeciwko zaświadczeniu nie są dopuszczalne.

Banki rentowe wolne są od opłat stemplowych. Wpisy ostrzeżeń do księgi hypotecznéj lub kadastralnéj dokonywane są również bezpłatnie.

Raty oraz wydatki na utrzymanie melioracyj w porządku, wskazanym przez ustawę, mogą być egzekwowane w drodze administracyjnéj.

Do chwili obecnéj założone zostały trzy takie banki: dla W-go Księstwa Poznańskiego w Poznaniu, dla Szląska we Wrocławiu i dla Szlezwigu w Kielu.

W Cesarstwie dobra nie posiadają hypotek, tam więc kwestya przedstawia się inaczéj i daleko prościéj niż u nas. Królestwo, wskutek swojéj odrębności pod tym względem, musi téż być odrębnie traktowane i odrębnie zbadane.

Na pierwszém miejscu, gdy chodzi o możliwość kredytu melioracyjnego, staje potrzeba szczegółowego poznania stanu istniejącego już odłużenia hypotek ziemskich.

Pierwotna praca moja wywołała bardzo gruntowne uwagi ze strony pp. ministrów dóbr państwa i finansów, którzy, jak to wyżéj nadmieniliśmy, mieli sobie Najwyżéj poruczone zorganizowanie w Rossyi kredytu melioracyjnego; wskutek tego początkowe ramy studyum musiałem rozszerzyć. W ostatecznéj postaci praca ta wyszła z pod prasy w końcu roku zeszłego w Petersburgu pod tytułem: „Kredyt melioracyjny i stan rolnictwa w Rossyi i państwach zagranicznych“.

Obecnie kwestyę rozpatruje oddzielna, specyalna dla kredytu melioracyjnego Komisya, utworzona pod przewodnictwem ministra dóbr państwa, a złożona z wyższych przedstawicieli ministeryów spraw wewnętrznych, finansów i dóbr państwa.

Przypuszczać nawet niepodobna, aby przy organizacyi kredytu melioracyjnego w całém państwie, Królestwo zostało pominięte. Naprzód, posiadało już ono niegdyś kredyt podobny w Banku Polskim. Słuszna aby był przywrócony, gdyż to nie zbytek, bez którego obejść się łatwo. Potrzeba zaś każda tam, gdzie już była zaspakajaną dawniéj, a obecnie nie jest, daje się silniéj we znaki, niż tam, gdzie o niéj dotąd nie pomyślano. Z drugiéj strony Królestwo ma już niejako tradycye odpowiednie, da więc prawodawcom wskazówki, a przez to rękojmię bardziéj skutecznego załatwienia sprawy; wreszcie prawdopodobnie potrafi ono lepiéj, przynajmniéj w pierwszéj chwili, korzystać z nowych urządzeń. Powtóre, rolnictwo w Królestwie w czasach ostatnich ucierpiało więcéj, niż w innych częściach państwa. Przedewszystkiém ciosem bardzo dotkliwym było zaprowadzenie ceł zbożowych w Niemczech. Następnie wielkie straty wynikły wskutek współzawodnictwa gubernii Cesarstwa, znacznie taniéj produkujących najważniejsze produkty rolne. A zatém tu więcéj, niż gdziekolwiek indziéj, należy wyciągnąć dłoń pomocy, aby zrównoważyć szkody, nie z własnéj poniesione winy.

III.

Właściwie, gdy mowa o widokach i środkach rozwoju jakiejś gałęzi gospodarstwa społecznego, najistotniejszą i ostateczną kwestyą do rozstrzygnięcia jest pytanie, z jakiemi siłami i przy jakich warunkach przystępuje ta gałąź do współzawodnictwa z różnymi konkurentami? Chodzi więc o porównanie zasobów z ciężarami, okoliczności pomyślnych z utrudnieniami, bądź wypadkowemi, bądź stałemi. A więc wszystkie powyżéj zaznaczone warunki nie powinny być oceniane pojedyńczo, lecz zestawiane razem, t. j. cena ziemi i jéj produktów, podwyżka lub obniżka szacunków, wysokość stosunkowa kosztów produkcyi z łatwością zbytu, a wreszcie z opodatkowaniem. Dopiero suma tych wszystkich warunków daje nam możność wytworzenia sądu o teraźniejszości i przypuszczalnych przewidywań co do przyszłości.

Do jakiego stopnia zmniejszyła się w ostatnich czasach zyskowność przedsiębiorstw rolnych w Królestwie, wykaże nam kilka cyfr, wyrażających przeciętne ceny ziarna w portach państwa rossyjskiego i w Warszawie.

Przeciętne ceny we wszystkich portach państwa w kopiejkach metalicznych wynosiły:

w okresie	za pud pszenicy	za pud żyta
1852—56	67	52
1857—61	82	54
1862—66	73	53
1867—71	90	69
1872—76	98	64
1877—81	89	65
1882—85	71	57
1886—88	62.2	44
1889—90	66.6	43.3

A więc do roku 1876 ceny na pszenicę idą w górę, od téj daty upadek jest prawie stały, początkowo powolny, potém nagły i bardzo znaczny. Toż samo prawie powiedziéć można o cenach żyta: ogólny przebieg zjawiska jest ten sam, rozpoczęło się ono tylko o lat kilka późniéj. Przyjąwszy rok 1876 za pierwszy rok przełomu, otrzymamy ogólną obniżkę do r. 1890, t. j. za lat 14, następującą:

na pszenicy	32%
„ życie	40%
„ owsie	34%

Dla Warszawy obliczenie dokonaliśmy według średnich miesięcznych cen rzeczywistych zakupów, dokonywanych przez jeden ze znaczniejszych młynów miejscowych. Ceny za pud w kopiejkach metalicznych były następujące:

w okresie	pszenica	żyto
1872—76	106	75
1877—81	97	70
1882—85	85	57
1886—88	66	43
1889	71	51
1890	75	58

Obniżka cen pszenicy w Warszawie i w portach szła równolegle od 1876 roku, obniżka żyta w portach rozpoczęła się dopiero po 1881 roku, t. j. wtedy, kiedy, z pobudowaniem dróg żelaznych w Rossyi i przez obniżkę taryf, dowóz stał się łatwiejszym. Do owego czasu różnica cen na żyto między Warszawą a portami wynosiła 11 kop.; w pięcioleciu 1877 — 81 r. już tylko 5 kop.; po wprowadzeniu ceł w Niemczech, w okresie 1882— 85, nietylko różnica znika (57 i 57 kop.), lecz nawet w latach 1886 — 88 cena w Warszawie jest niższą o kopiejkę na pudzie.

Niezmierna doniosłość przytoczonych cyfr dla rolników kraju naszego dopiero wtenczas stanie się widoczną, kiedy zwrócimy uwagę, iż: 1) produkcya w Królestwie o wiele jest droższa, gdyż cena ziemi, pomimo mniejszéj urodzajności gleby, jest wyższa, podatki, oraz inne ciężary są większe, a jednocześnie 2) żyto, dziś najmniéj popłatny towar, stanowi u nas główny wytwór rolnictwa: po potrąceniu posiewów, produkcya żyta u włościan wynosiła 19.4 milionów pudów, u właścicieli większych 15.3 milionów pudów; pszenicy zaś włościanie produkowali tylko 3.5, właściciele posiadłości większych 8.5 mil. pudów. Królestwo więc znalazło się w bardzo trudném położeniu producenta, zmuszonego sprzedawać swój towar po równéj, a nawet niższéj cenie, niż szczęśliwszy współzawodnik, wytwarzający z mniejszym nakładem.

Porównania, które w téj mierze uczynić zamierzamy, posłużą nam do możliwie dokładnego zaznajomienia czytelnika naszego ze stosunkami rolnemi w Cesarstwie, przynajmniéj w ogólnych zarysach. Ogromny, a z rokiem każdym wzrastający rozmiar ruskiéj produkcyi rolnéj, wywiera wielki wpływ na kształtowanie się cen zbożowych u nas i za granicą. Siły, zasoby, nawet cała przyszłość tych kolosalnych obszarów pod względem rolnym kryje się dziś jeszcze przed okiem badacza, niby wielka niewiadoma. Pierwszorzędne jednak ich znaczenie dla naszego rolnictwa już teraz wątpliwości podlegać nie może. Każdy też, kto zechce wytworzyć sobie poważne zdanie o przy-

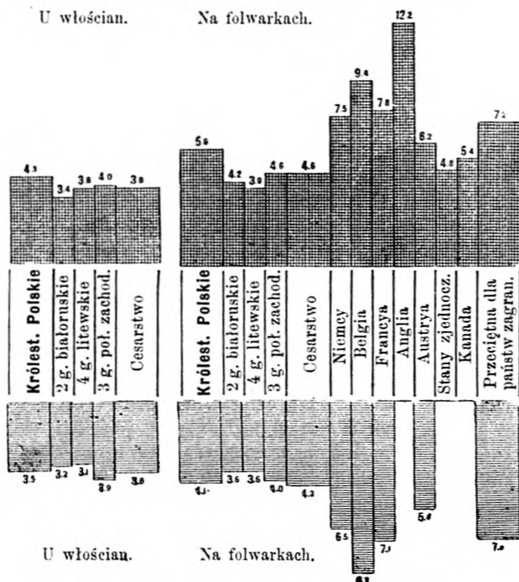
szłości głównéj naszéj produkcyi narodowéj — o rolnictwie, obejść się nie może bez poznania obecnego stanu, oraz możliwego rozwoju kultury rolnéj w Cesarstwie.

Przedewszystkiém zbadania wymaga pytanie: czy i o ile koszta produkcyi ziarna w Królestwie wyższe są od takichże kosztów w różnych okolicach Cesarstwa? Przy innych warunkach jednakowych, od tej okoliczności zależy wprost zysk lub strata rolnika i pracy, a więc w ostatecznym rezultacie dobrobyt stanu ziemiańskiego, jego siła odporna w ciężkich czasach, a wreszcie i przyszłość.

IV.

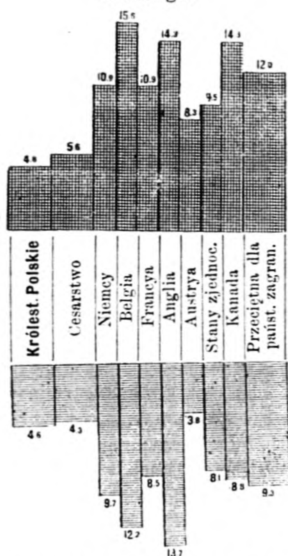
Koszt produkcyi ziarna jest przedewszystkiém zależny od urodzajów. Poniżéj zestawiamy graficznie, w czterech figurach, szereg cyfr, oznaczających urodzaj w korcach z morgi pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia w Królestwie, w różnych częściach Cesarstwa i w państwach zagranicznych:

Urodzaj pszenicy w korcach z morgi.



Urodzaj żyta w korcach z morgi.

Urodzaj owsa w korcach z morgi.



Urodzaj jęczmienia w korcach z morgi.

Prosty rzut oka na zestawienie powyższe przekonywa, że różnice wypadają wszędzie na niekorzyść Królestwa i Cesarstwa w porównaniu z państwami zachodniemi. W Anglii szczególniéj i w Belgii urodzaje wielokrotnie przenoszą wydajność nawet bogatego czarnoziemu Cesarstwa. Przeciętnie w państwach zagranicznych otrzymują z jednakowych obszarów ziemi od 34°/₀ do 64°/₀ plonów więcéj, niż u nas i w Cesarstwie. A więc istnieje czynnik niezależny od warunków naturalnych, który rolnikowi zapewnia bogatszy zbiór owoców z pracy jego; na ten też czynnik zwrócić należy uwagę i jego wpływ spotęgować. A jest nim wyższy rozwój kultury rolnéj.

Zresztą, nie uciekając się nawet do porównań z państwami zagranicznemi, gdzie podejrzewać można działanie jakichś odmiennych warunków i urządzeń, zawisłych od odmiennego administrowania krajem, prawdę twierdzenia naszego, że urodzajność zależy nietylko od klimatu i od rodzaju gleby, lecz w wyższym jeszcze stopniu od kultury, udowodnić możemy na przykładzie bliższym.

W guberniach Kurlandzkiéj i Inflanckiéj, pomimo północnego klimatu, pomimo przyrodzonego ubóstwa gleby, urodzaje na pszenicę jarą większe są niż w Królestwie o 11°/₀, na ozimą o 20°/₀, na żyto o 38°/₀, na owies o 14°/₀, na jęczmień o 20°/₀, na kartofle o 4°/₀.

Jeżeli porównać urodzajność w gub. Kurlandzkiéj i Inflanckiéj z przeciętnemi urodzajami w Rossyi, to okazuje się, że w guberniach tych urodzaje były wyższe od przeciętnych:

dla pszenicy ozimėj	o	. . . .	20°/₀
„ „ jaréj	„	. . . .	25°/₀
„ żyta	„	. . . .	18°/₀
„ jęczmienia	„	. . . .	31°/₀
„ owsa	„	. . . .	45°/₀
„ kartofli	„	. . . .	00°/₀

Przyczyna tego zjawiska jest bardzo prosta: sposób prowadzenia gospodarstwa jest tam racyonalniejszy.

Otóż jeżeli przypuścimy, że urodzaje mogą wskutek podniesienia kultury powiększyć się tylko o jedno ziarno, wówczas dochody, wynoszące w Cesarstwie 1098 milionów, wzrosłyby do 1358 milionów, a dochody Królestwa, wynoszące 88 milionów rubli, doszłyby do 107.6 milionów, czyli przyrost stanowiłby dla nas 19.6 milionów.

Porównanie urodzajów naszych z państwami zagranicznemi dowodzi, że przypuszczenie nasze o możliwości podniesienia plonów o jedno ziarno jest jeszcze zbyt umiarkowane i że nasze urodzaje nazwać wypada po prostu nędznemi. Lecz jeszcze nędzniejszemi okażą się urodzaje w Cesarstwie, jeżeli zauważymy, że pług zagarnia tam co rok wiele gruntów dziewiczych; jedyna to przyczyna, dzięki któréj urodzaje nie wypadają jeszcze gorzéj. Zbytecznem byłoby dowodzić, że położenie takie jest niemożliwem wobec tego, że wszyscy już wiedzą i rozumieją, iż jedynym środkiem do walki z konkurencyą Ameryki, Australii i innych krajów zamorskich, jest podniesienie wydajności.

Zresztą, gdyby w gospodarstwie wiejskiém Cesarstwa nie nastąpił rychło zwrot ku lepszemu, to i obecne szczupłe urodzaje zaczęłyby się zmniejszać. Niéma wątpliwości, że wzrost produkcyi ziarna, który ujawnił się w ogólnéj sumie w ostatnich latach w Rossyi, należy w całości przypisać rozszerzeniu obszarów uprawianych w guberniach czarnoziemnych, a zwłaszcza stepowych, skutkiem czego wzrosła produkcya i rezultaty przeciętne wypadły pomyślniéj. W rzeczy saméj statystyka uczy nas, że rozszerzenie to nastąpiło w bardzo znacznych rozmiarach.

Łatwo o tém się przekonać, porównawszy grunta uprawne w 1866 i 1881 r.

Licząc na 100 dziesięcin ogółem wypadało obszaru uprawnego:

Prowincye	Gruntów ornych			Łąk		
	1866	1881	w 1881 więcéj lub mniéj	1866	1881	w 1881 więcéj lub mniéj
Południowo-Zach.	47.6	50.5	+ 2.9	12.7	17.1	+ 4.4
Białoruskie . . .	38.2	26.8	— 11.4	9.4	17.2	+ 7.8
Litewskie . . .	46.5	38.6	— 7.9	13.3	24.2	+ 10.9
W Rossyi Europ.	20.9	26.2	+ 5.3	12.2	15.9	+ 3.7

Dla Królestwa możemy zestawić tylko rok 1870 z rokiem 1886-m. Otóż ziemi ornéj było:

w roku 1870	54.7%
„ „ 1886	55.3%

a zatém nieco tylko więcéj niż o ½%. Jednak, dla wyprowadzenia z cyfr tych słusznych wniosków, należy przy rozpatrywaniu grunta orne dzielić na dwie kategorye, a mianowicie na grunta włościańskie i nie-włościańskie, wówczas otrzymamy następujące rezultaty:

	włościanie	nie-włościanie	skarb i instytucye
Cesarstwo	69%	27%	4%
Królestwo	53%	42%	5%

Nie potrzeba być prorokiem, ażeby przepowiedzieć, że ekonomiczny dobrobyt Rossyi będzie z biegiem czasu podupadał, jeżeli stan obecny nie ulegnie zmianie. Rossya jest krajem wywożącym swe produkty gospodarstwa wiejskiego, a zatém krajem eksportującym przyrodzone zasoby swych gruntów.

W ciągu lat dwudziestu wywiozła ich Rossya niemal za 860 mil. rubli. Dane statystyczne za trzy ostatnie lata wzmacniają jeszcze wniosek powyższy. W rzeczy saméj, wraz ze wzrostem ilościowym wywozu zboża naturalnie wzrastać muszą straty przyrodzonych zasobów gruntu.

W okresie 1887 po 1889 r. wywożono przeciętnie co rok:

3536	tys. pud. kwasu fosfor.	po 2 r. 56 k.	9052	tys. rubli
2099	„ „ „ potasu	„ 5 „ — „	10495	„ „
889	„ „ wapna	„ — „ 40 „	355	„ „
7696	„ „ azotu	„ 7 „ 68 „	59105	„ „
		Ogółem	79007	tys. rubli

A zatém straty w ciągu ostatnich trzech lat dochodzą do olbrzymiéj cyfry 237 mil. rubli, a ogółem w ciągu 23-letniego okresu wywieziono materyj użyzniających, t. j. przyrodzonych zasobów gruntu, przeszło za 1 miliard rubli.

Królestwu pod tym względem nic zgoła zarzucić nie można.

Dla sterkoryzacyi pól w Królestwie, hoduje się zupełnie dostateczna ilość inwentarzy i otrzymany nawóz nie marnuje się, jak w wielu miejscowościach Cesarstwa.

Na 1000 dziesiatyn gruntów ornych w Cesarstwie w roku 1870 utrzymywano sztuk bydła [1]) 574, w 1880 r. widzimy już tylko 540,

---

[1]) Przy zamianie liczyliśmy, iż 10 owiec, 12 kóz, 4 świnie, ⅔ konia równa się jednéj sztuce bydła.

a zatém upadek bezwzględny; chociaż, jak widzieliśmy, dochód gruntów w tym czasie urósł znacznie.

W Królestwie przeciętnie w roku 1870 było bydła sztuk 702, w 1888 r. sztuk 955, a zatém przyrost znaczny, wynoszący przeszło 36%.

Normalna ilość potrzebnego bydła dla wynawożenia 1000 desiatyn wynosi według obliczeń naszych—666 sztuk. Otóż przyjmując tę ilość za 100, okaże się, że Cesarstwo utrzymuje o 19% mniéj bydła niż norma, Królestwo zaś o 49% więcéj niż norma.

Rezultaty te zasługują na tém większą uwagę, że, jak to zaraz postaramy się wykazać, właściciele rolni w Królestwie, z powodu trudniejszych warunków naturalnych i z powodu większych ciężarów państwowych, produkują ziarno daleko drożéj.

V.

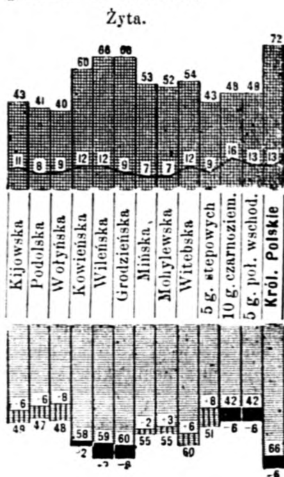
Na zasadzie danych urzędowych Departamentu Rolnictwa [1]) zrobiliśmy zestawienie graficzne. Na figurze pierwszéj wysokość pasków oznacza koszta produkcyi 100 pudów pszenicy i żyta w rublach; linia zaś łamana, którą tam widzimy, daje nam rozmiary najczęściéj spotykanéj w danéj miejscowości renty, t. j. opłaty dzierżawnéj za 100 pudów, również w rublach. Na figurze drugiéj znajdujemy dochód ogólny, otrzymywany ze sprzedaży 100 pudów pszenicy i żyta. Jednocześnie na téjże figurze za pomocą odcięć oznaczyliśmy zyski lub straty, otrzymane po odjęciu kosztów produkcyi (t. j. po odcięciu pasków figury pierwszéj). Podobne dwa graficzne zestawienia zrobiliśmy téż dla kosztów i dochodów z produkcyi owsa i jęczmienia. Rzut oka nawet powierzchowny wystarcza, aby poznać, o ile w okresie lat od 1885—1888 różniły się koszta produkcyi rolnéj w Królestwie i w różnych guberniach Cesarstwa.

---

[1]) Sielsko-choziajstwiennyja i statisticzeskija swiedienija po materyjałam, połuczennym od choziajew. Wypusk III, 1890.

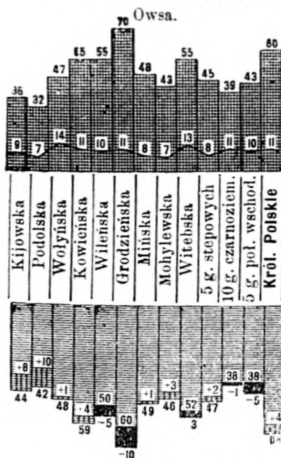
Koszta produkcyi 100 pudów w rublach:

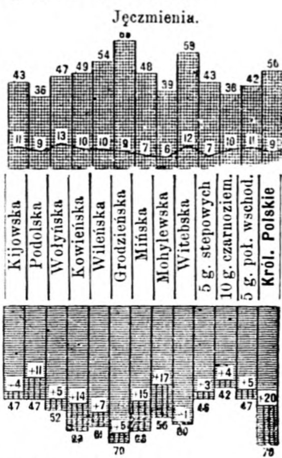




Dochód ze 100 pudów w rublach.

Koszta produkcyi 100 pudów w rublach





Dochód ze 100 pudów w rublach.

Z powyższego widzimy przedewszystkiém, że koszta produkcyi żyta są u nas nietylko wyższe, ale znacznie wyższe niż w jakiéjkolwiekbądź części Cesarstwa. W gubernii Grodzieńskiéj, najbardziéj zbliżonéj pod tym względem do Królestwa, wyprodukowanie 100 pudów kosztuje prawie o 6 rs. taniéj. W porównaniu z 5 gub. stepowemi, różnica na niekorzyść Królestwa sięga 29 rs., w porównaniu z gub. Podolską—aż 31 rs. To téż kiedy na 100 pudach żyta czysty dochód wynosi w guberniach stepowych blisko 9 rs., w gub. Podolskiéj—6, w Wołyńskiéj przeszło 8, w Witebskiéj przeszło 6, w Królestwie strata sięga 6 rubli. Stratę znajdujemy jeszcze w kilku miejscowościach, mianowicie w gub. Kowieńskiéj, Grodzieńskiéj i Wileńskiéj.

Opłata od użytkowania gruntu pod żyto (renta) u nas należy do wyższych, ale najwyższą nie jest. Wynosi w stosunku do 100 pudów rs. 13, kiedy w gub. czarnoziemnych znajdujemy aż cyfrę 16. Najmniejsza renta praktykowana jest w gub. Mińskiéj i Mohylewskiéj (7 rs.).

Pod względem kosztów produkcyi toż samo mniéj więcéj, co o życie, powiedziéć można o drugim rodzaju zboża, stanowiącym podstawę bytu znaczniejszéj części właścicieli większych własności — o pszenicy. Tylko tu gub. Wołyńska stanowi wyjątek, gdyż ceny produkcyi w niéj są o 62 kopiejki na 100 pudach wyższe niż w Królestwie. Więcéj takich wypadków nie znajdujemy, natomiast różnice z innemi guberniami są na niekorzyść Królestwa równie znaczne, jak przy życie. W 5 guberniach wschodnich i północno-wschodnich, oraz w gub. Kijowskiéj, różnica sięga 27 i 28 rs. na 100 pudach.

Na pszenicy w żadnéj części państwa rolnik straty nie ponosi, tylko podczas gdy w gub. Kijowskiéj czysty dochód wynosi 35 rs., w guberniach stepowych—32, w Kowieńskiéj 30 i w Witebskiéj 31, w Królestwie dochód ten stanowi zaledwie 17. Jedna tylko gubernia znajduje się pod tym względem w położeniu gorszém, mianowicie Wołyńska; tam były koszta najwyższe i zysk téż jest najmniejszy, gdyż wynosi na 100 pudów tylko 1 rs. 38 kop.

Renta w Królestwie jest nieco wyższa niż średnia, wynosi 11, podczas gdy maximum jéj sięga 13, minimum—8.

Znacznie inaczéj rzecz się ma z owsem i jęczmieniem. Tu otrzymujemy dla Królestwa liczby, wyrażające koszt produkcyi średni, mianowicie 60 i 50 rs., kiedy w gub. Podolskiéj, gdzie produkcya jest najtańsza, dla owsa mamy 32, dla jęczmienia—36, w najdroższéj zaś gub. Grodzieńskiéj odpowiednie cyfry są: 70 i 65. Dochód czysty ze 100 pudow jęczmienia w Królestwie (rs. 4), zaliczyć można do średnich, bo najwyższy zysk (w gub. Podolskiéj) wynosi 10 i tyleż wy-

nosi najwyższa strata (w gub. Grodzieńskiéj). Czysty zysk na owsie w Królestwie większy jest niż gdziekolwiekbądź indziéj, bo wynosi aż 20½ rs. na 100 pudach. Taki rezultat przypisać należy po części wysokim cenom, po części zaprowadzonym płodozmianom. W najbliżéj pod tym względem stojącéj gub. Mohylewskiéj znajdujemy rs. 17. Straty na jęczmieniu niéma nigdzie, tylko w gub. Witebskiéj dochód bliski jest bardzo zera, bo wynosi tylko 27 kop. Rentę w Królestwie, padającą na produkcyę owsa i jęczmienia, nazwać można średnią.

Niski koszt produkcyi w większéj części wskazanych okolic Cesarstwa pochodzi ztąd głównie, że tam ziemia nie sterkoryzuje się jeszcze, a zatém rubryka rozchodów na nawóz odpada.

K. von Komers, tłómacząc zasady zachowania żyzności ziemi, oblicza, że wydatki na zwrot zabranych ziemi części pożywnych wynosić powinny 20 do 33% dostarczonego w Austryi dochodu, czyli w przybliżeniu dla pszenicy 20 do 25 kop. metalicznych na pudzie.

Dr. Drechsler wyrachował, że koszt wynawożenia hektara pszenicy wynosi w Niemczech 172 franki, po potrąceniu zaś za wartość słomy 72 franków, pozostanie 100 franków obciążających ziarno, a ponieważ zbiór z hektara daje przeciętnie 2,400 kilogramów, przeto koszt wynawożenia na pud ziarna wynosi 66½ centyma, czyli około 20 kop. metalicznych [1]).

Nadto przyczyną taniości produkcyi w Rossyi (jeżeli zwrócimy uwagę na cyfry wyżéj przytoczone) jest po części niskość renty, która, ma się rozumiéć, pozostaje w związku z szacunkiem dóbr. Ziemia w Rossyi była tak tanią, że spadek cen na produkty rolne nie wywarł wpływu na jéj wartość.

Można się było oczywiście spodziewać zniżki—tymczasem spotykamy się ze zjawiskiem wprost przeciwném: cena ziemi w całym okresie od roku 1882—1887 wciąż idzie w górę. W roku 1882 desiatyna, biorąc przeciętnie dla całego państwa, kosztowała 32 rs, w r. 1887 cena jéj doszła do 42 rs. i 60 kop., t. j. podskoczyła blisko o 40%.

W pojedyńczych, branych przez nas guberniach, szacunki zmieniają się w sposób następujący:

---

[1]) Dla stosunków kraju naszego, licząc 6-letni płodozmian, wypada wartość gnoju.

	Pszenica na korzec	Żyto na korzec	Kartofle na korzec	Jarzyny na korzec	Koniczyna na centnar
owczego	1.75	1.00	0.35	0.70	0.75
krowiego	1.50	0.86	0.30	0.60	0.50

	Cena desiatyny w 1882 r.	1887 r.		Przyrost w %
Kowieńska	42 rs.	68 rs.	+	62
Wileńska	26 „	38 „	+	46
Mińska	13 „	13 „	+	0
Grodzieńska	27 „	41 „	+	52
Witebska	11 „	22 „	+	100
Mohylewska	12 „	20 „	+	67
Wołyńska	24 „	32 „	+	33
Podolska	80 „	84 „	+	5
Kijowska	74 „	89 „	+	20

Tymczasem w Królestwie nietylko nie znajdujemy przyrostu, lecz przeciwnie spotykamy się z obniżką ceny ziemi i to z obniżką znaczną, bo wynoszącą aż 29%, wynika to z następującego obrachunku: w r. 1882 za desiatynę (bierzemy dla łatwiejszego porównania tęż samą miarę) płacono 116 rs., w r. zaś 1887 już tylko 82 rs. Jeżeli porównamy przeciętny przyrost dla wszystkich dziewięciu rozpatrywanych gubernii, który wynosił 43% z obniżką dla Królestwa (29%), to otrzymamy różnicę bardzo wysoką, bo aż 72% sięgającą [1]).

Powyższe cyfry bardzo wymownie świadczą o różnicy warunków, w jakich znajduje się w téj chwili rolnictwo i stan ziemiański w różnych częściach państwa i w jaki sposób przesilenie rolne u nas się odbiło. W guberniach przytoczonych tylko w jednéj Mińskiéj (która, jakeśmy to widzieli pod niektóremi względami, pozostaje w całém państwie w warunkach najniepomyślniejszych), zwyżka cen ziemi nie miała miejsca, spadku—prócz Królestwa—nie napotykamy nigdzie. W niektórych guberniach wartość ziemi podskoczyła bardzo znacznie: w Witebskiéj o 100%, w Mohylewskiéj o 67% i t. d.

Ulegać wątpliwości nie może, że wpływ na obniżkę wartości ziemi w Królestwie wywarło również niepomierne opodatkowanie.

W urzędowych danych Departamentu Rolnictwa znajdujemy bardzo ciekawe i cenne wskazówki co do stopnia obciążenia produkcyi rolnéj podatkami. Są tam mianowicie wyrachowania, ile w różnych prowincyach i guberniach wypada podatku z desiatyny. Na podstawie tych danych wyliczyliśmy wysokość podatków, opłaca-

---

[1]) Szczegółowe dane, na zasadzie których zrobiliśmy obliczenia powyższe, przytoczone zostaną w dalszym ciągu pracy.

nych przy produkcyi dwóch najważniejszych przedstawicieli zboża ozimego i jarego: żyta i owsa.

Spotykamy tu cyfry dość od siebie odległe. Najniższe absolutnie podatki płaci gub. Mińska: z desiatyny żyta 36 kop., z desiatyny owsa 18 kop. Najwyższe—gubernie czarno-ziemne: z desatyny żyta 87, owsa 42. W Królestwie odpowiednie liczby wynoszą 3 rs. 80 kop. i 1 rs. 90 kop. Czyli, biorąc bezwzględnie, podatki rolne w Królestwie są większe przeszło 4½ razy niż najwyższe, a przeszło 10 razy niż najniższe w Cesarstwie.

O wysokości podatków sądzić można o tyle tylko, o ile porównywamy je z dochodami odpowiedniemi. Otóż w guberniach czarnoziemnych podatki stanowią 2.4% (żyto) i 1.5% (owies) dochodu brutto; w guberni Mińskiéj 1.0% i 0.7%, w Królestwie 8% i 4.7%. Czyli w porównaniu z dochodami podatki u nas są kilkakrotnie wyższe niż najwyższe w Cesarstwie [1]).

Lecz do wyżéj przytoczonych danych względem opodatkowania dołączyć należy uwagę, iż liczby, oznaczające wysokość podatków w Królestwie, stosują się tylko do posiadłości folwarcznéj. Włościanie płacą mniéj i nieraz znacznie mniéj. Podatek naprzykład gruntowy własności włościańskiéj stanowi 96½% folwarcznego, podatek podymny 36%, drogowy 58%.

---

[1]) Oto szczegółowy wykaz wysokości podatków i ich procentowy stosunek do sumy dochodowéj:

	Podatek z desiatyny żyta w kopiejkach	% stosunek do odpowiedniego dochodu brutto	Podatek z desiatyny owsa w kopiejkach	% stosunek do odpowiedniego dochodu brutto
Królestwo Polskie	380	8.0	190	4.7
Gub. Kijowska.	60	1.1	30	0.7
„ Podolska.	70	1.6	35	0.8
„ Wołyńska	74	2.1	37	1.6
„ Kowieńska	50	1.3	25	0.7
„ Wileńska	48	1.4	24	0.9
„ Grodzieńska	46	1.5	23	1.1
„ Mińska	36	1.0	18	0.7
„ Mohylewska	46	1.2	23	0.8
„ Witebska	48	1.1	24	0.8
5 gub. stepowych	47	1.3	24	0.8
10 „ czarnoziemnych . . .	87	2.4	42	1.5
5 „ wschodnich i południowo-wschodnich . . .	51	2.1	26	1.2

W sumie włościanie, wedle obliczeń urzędowych, w r. 1872 płacili o 44% podatków mniéj, niż właściciele posiadłości większéj [1]. Lecz jeżeli dla porównania z Cesarstwem wziąć nawet podatki mniejsze, płacone przez włościan, to i wówczas podatek z desiatyny żyta, w posiadłości włościańskiéj wynoszący 2 rs. i 36 k., około trzech razy większym jest, niż najwyższy z wymienionych na tabliczce naszéj podatków w Cesarstwie.

VI.

Dane powyższe nasunąć mogą pytanie: jakie wobec tych różnic wysnuć można wnioski co do przyszłości rolnictwa u nas i gdzieindziéj? Do otrzymania odpowiedzi pomogą nam liczby, zaczerpnięte ze statystyki rolnéj krajów obcych.

W artykule, pomieszczonym w „Journal des Economistes“ (Kwiecień 1891), na zasadzie wyżéj wzmiankowanych materyałów Departamentu Rolnictwa, Jan Maklaschevsky porównywa koszta produkcyi w Rossyi z kosztami w Niemczech, według obliczeń d-ra Drechslera [2]) i przychodzi do następujących rezultatów:

Koszt produkcyi tysiąca kilogramów we frankach łącznie z rentą wynosi:

	Pszenica	Żyto	Owies
w Niemczech	206	185	172
w Rossyi	141	103	98

W tych cyfrach mieszczą się renty z ziemi, które na 1,000 kilogramów ziarna wynosiły we frankach:

	Pszenica	Żyto	Owies
w Niemczech	57	41	38
w Rossyi	28	28	25

[1]) Rachunek był zrobiony dla 76 osad, liczących 814 morgów.

		włościanie płacili	obywatele płacili
podatku	gruntowego	194	201
"	podymnego	162	447
"	kwaterunkowego	15	16
"	drogowego	49	84
	Razem	420 rs.	748 rs.

Od tego czasu wysokość podatków włościańskich zmianie nie uległa. Pewne zaś podatki, przez obywateli opłacane, podwyższone zostały przez ukaz 7 (19) Lutego 1883 r.

[2]) Die Productionskosten der Hauptgetreidearten. Tübingen, 1889.

Widzimy więc, jak nieznaczną jest renta, pobierana w Rossyi, w porównaniu z rentą, opłacaną w Niemczech.

Musimy tu zwrócić uwagę, że gdy chodzi o wnioski i rachuby co do przyszłości rolnictwa, to liczby, świadczące o taniości produkcyi, oceniać należy bardzo ostrożnie. Ostrożność taką szczególnie zalecać wypada, kiedy mowa o guberniach stepowych, czarnoziemnych i wschodnich, tych głównych dostarczycielkach na rynki europejskie ziarna ruskiego. Rolnik tamtejszy wydobywa z ziemi nagromadzone siły, a w zamian nie zwraca jéj prawie nic w postaci nawozu. Szczegółowe rachunki, wyżéj przytoczone przez nas z dzieła o „Kredycie melioracyjnym", wykazują, że w ostatnich 23 latach gubernie Cesarstwa pozbyły się materyi użyzniających za miliard rubli. Od roku 1887 do 1889 coroczny wywóz produktów, odjętych potrzebom ziemi, sięga 79 milionów. Natomiast Królestwo Polskie gospodarstwa rabunkowego nie prowadzi i ziemię użyznia nawet po nad normę.

Horoskop jednak, stawiany dla rolnictwa ruskiego na przeciąg czasu niezbyt długi, wypadnie bardzo pomyślnie, gdyż, nie zatracając tymczasem nic na nawóz, może ono wytwarzać taniéj, aniżeli główne konkurujące z nim na rynkach wszechświatowych państwa.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki koszt produkcyi puda pszenicy, łącznie z rentą, wynosi 42 kopiejki metaliczne. Za dostawę z New-Yorku do Londynu płaci się stosownie do konjunktur frachtowych 9 do 12 kop. za pud.

Indye Wschodnie są daleko niebezpieczniejszym konkurentem. Koszt produkcyi puda pszenicy dochodzi tam ledwie do 30 kop. metalicznych. Natomiast dostawa jest znacznie droższą. Frachty z Kalkuty, Bombaju, Keraczy do Londynu wynoszą prawie dwa razy tyle co z Ameryki, a mianowicie około 22 kop. od puda.

W obliczeniach urzędowych zostało przyjętém, że produkcya i dostawa zboża z Cesarstwa może być dokonywaną o 2 kop. metaliczne na pudzie taniéj, niż z Indyi Wschodnich, i o 8 kop. taniéj, niż ze Stanów Zjednoczonych.

Przewaga ta jednak znika wskutek tego, że ceny płacone za pszenicę ruską są niskie. Natomiast nasza pszenica wyżéj jest szacowana.

W roku 1888 i 1889 na londyńskim rynku zbożowym płacono przyjmując cenę ruskiéj oziméj pszenicy za sto:

Za ruską ozimą	100 [1]
„ amerykańską	126

---

[1]) Z ruskich pszenic wyżéj od oziméj szacowane były: samarska o 15%, saksonka o 19%, kubańska o 22%.

Za bombajską 126
„ gdańską 130

Lecz ta różnica na korzyść naszą jest, niestety, nader drobną, gdyż na pudzie wynosi zaledwie parę kopiejek, bynajmniéj więc nie pokrywa różnicy, wynikającéj na niekorzyść Królestwa z wyższych kosztów produkcyi i znacznie większego opodatkowania, a przytém straty, wynikające z powodu nałożenia ceł ochronnych w Niemczech i państwach innych, są u nas o wiele znaczniejsze, niż w Rossyi.

Kwestya stosunku strat, ponoszonych, dzięki cłom wchodowym, przez wytwórców Królestwa i przez zagranicznych spożywców, dotychczas dostatecznie wyjaśnioną nie została, sądzimy przeto, że nie bez interesu będzie podać w téj mierze pewne obliczenia.

Oczywiście wysokość strat, z nałożenia ceł pochodząca, zależną jest od tego, jaka miejscowość potrzebuje naszych produktów rolnych. Otóż cały wywóz z państwa w okresie 1883 — 87 roku rozpada się na następujące części składowe: do Niemiec 25%, do Wielkiéj Brytanii 24%, do Holandyi 12% do Francyi 10%, do Włoch 7%, do Belgii 6%, do Szwecyi 5%, do Austryi i Hiszpanii po 3%, do Szwajcaryi i Grecyi po 2% i do Danii 1%.

Gdyby przyjąć przypuszczenie, że cła od wywożonego zboża opłaca Rossya w całości, to straty, wynikłe ztąd w r. 1888, wynosiłyby:

wskutek ceł niemieckich	12.4 mil. rub. met.
„ „ francuskich	11.8 „ „ „
„ „ włoskich	15 „ „ „

Ale tak się bynajmniéj nie dzieje, aby cały ciężar strat spadał na kraj wytwarzający.

Przekonać się o tém możemy, jeżeli porównamy ceny zboża w różnych państwach, w takich mianowicie, które się odgrodziły cłami, i w takich, które się dotychczas do tego środka nie uciekły.

Okaże się, że odbiorcy płacą następujące części ceł wchodowych:

	Pszenica	Żyto	Owies	Jęczmień
w Niemczech [1]	41%	82%	60%	60%
we Francyi [2]	100%	—	90%	—

Zastanówmy się nieco nad temi cyframi. Producenci rosyjscy pszenicę wywożą wprost do Anglii przez Królewiec i w nieznacznéj

[1] Dla Niemiec obrachunek zrobiony został przez porównanie cen Berlina z cenami w Antwerpii.

[2] Dla Francyi wzięte były do porównania ceny, notowane w Marsylii.

części przez Petersburg, albo téż do Francyi i Włoch przez porty morza Czarnego. Nasz producent nie ma równéj dogodności transportu, nie zaopatruje on téż w ziarno krajów wolnych zupełnie od ceł, ani Francyi, gdzie całość niemal ciężaru oclenia spada na odbiorcę. Wiele okolic musi koniecznie wywozić produkcyę swą do Niemiec, a więc wskutek tego opłacać wyższą część cła, nałożonego na pszenicę, gdyż aż 59%, i znaczną część opłat, obciążających eksport na jęczmień i owies (40%). W takich warunkach niekorzystnych znajdują się te wszystkie miejscowości Królestwa, które nie mogą korzystać z portu gdańskiego. Najmniéj dotkliwe dla wytwórców, a wskutek tego najcięższe dla odbiorców, są cła na żyto, gdyż pierwsi stosunkowo płacą niewiele, tylko 18%.

Nad sensem i skutkami powyższych wyników obrachunku rozwodzić się nie będziemy, gdyż są one same przez się wyraźne, a praca nasza już i tak rozszerzyła się po za miarę w artykułach miesięczników przyjętą. Zwrócić tylko jeszcze musimy uwagę, że, wskutek okoliczności przytoczonych, pszenica w ostatnich latach była u nas droższą od żyta o 50% do 65%. Tymczasem we Francyi różnica wynosiła tylko 30% do 45%, w Niemczech zaś nawet 22% do 35%.

Nałożenie ceł wchodowych tak ukształtowało w czasach ostatnich stosunki, iż największe zapotrzebowanie istnieje na pszenicę i wskutek tego najkorzystniéj jest ją produkować. Przyczyny tego bardzo łatwe do zrozumienia: pszenica znajduje odbyt wszędzie, żyto zaś nasze idzie głównie do kraju, który zaprowadził najwyższe cła ochronne. Jęczmienie znowu i owsy wywożone są przeważnie w gatunkach bardzo poślednich i dlatego nie znajdują chętnych nabywców.

Całkowite wyjaśnienie sytuacyi ekonomicznéj wymagałoby jeszcze rozbioru wpływów, jakie wywiera budowa dróg żelaznych w Państwie Rossyjskiém, wobec przyjętéj obecnie polityki ustanowienia opłat przewozowych; musimy jednak ograniczyć się tylko do zwrócenia uwagi na tę okoliczność, ażeby zbytnio nie oddalać się od przedmiotu.

VII.

Zniżka cen na zboże w życiu codzienném czućby się u nas dała dotkliwiéj jeszcze, gdyby jéj nie maskował jednoczesny spadek kursu pieniędzy papierowych, które stanowią miarę wartości w stosunkach i obrotach wewnętrznych: ale wraz z polepszeniem się kursu, trudność położenia producentów zboża wzrastać będzie.

Nasuwa się pytanie: jeżeli niski kurs rubla podniósł ceny zboża naszego na rynkach zewnętrznych i wewnętrznych, to jakim sposobem rolnicy zagraniczni, pozbawieni podobnego poparcia, mogli przetrzymać gwałtowną zniżkę cen zboża?

W odpowiedzi zaznaczyć należy, że w niektórych państwach, jak to wykazaliśmy, ceny były sztucznie utrzymane na dość wysokim poziomie przez opodatkowanie na rzecz produkcyi krajowéj ziarna zagranicznego.

Główna wszakże przyczyna większéj wytrzymałości zagranicznych gospodarstw wiejskich nie na samych tylko protekcyjnych cłach polega, lecz wynika niejako z istoty rzeczy, z tego mianowicie, że na zachodzie system kultury rolnéj jest inny i odłużenie właścicieli ziemskich mniejsze, aniżeli u nas.

Obraz odłużenia majątków ziemskich dowodnie nas przekona, do jakiego stopnia niezbędném jest przedsięwzięcie środków zaradczych w celu uchronienia gospodarstw rolnych od ruiny.

Rolnictwo w Królestwie do drugiéj połowy siódmego dziesięciolecia ulegało prądowi kommasacyjnemu; wytwarzały się coraz nowe większe i mniejsze folwarki. Przed ukazem z dnia 19 Lutego 1864 roku, nadającym własność włościaństwu, wyzucie się z „ojcowizny", rzadko bardzo miało miejsce. Od owego dopiero czasu powstał prąd rozdzielania własności nietylko w celu odprzedaży gruntów dla zaokrąglenia przestrzeni i skoncentrowania sił rozporządzalnych na mniejszych obszarach, lecz i dla kompletnéj rozprzedaży dóbr większych.

Nawet bez szczególnych badań było oczywistém, że zjawisko to pozostaje w ścisłym związku ze zmianami, które zaszły w większych dobrach pod względem obniżenia wartości z przyczyny zmniejszenia się wysokości dochodów, co naturalnie spowodować musiało stosunkowy a częstokroć i absolutny wzrost odłużenia.

Lecz zupełnie prawie nie zostało wyjaśnioném, w jakich warunkach powstają i istnieją dziesiątki tysięcy osad, pochodzących z wyżéj wspomnianych rozprzedaży, oraz czy rzeczywiście i o ile własność większa zmuszoną jest parcelować posiadane obszary?

Znikanie majątków dziedzicznych i w ogóle większéj własności nie może być dla kraju obojętném. Na dużych fortunach spoczywają niedające się niczém zastąpić obowiązki społeczne i narodowe.

A więc szukanie środków podtrzymania własności większéj ukazuje się nam jako proste następstwo skonstatowanych faktów.

Oprócz więc celów praktycznych, o których mówiliśmy wyżéj, t. j. udowodnienia potrzeby zorganizowania kredytu melioracyjnego

w Królestwie Polskiém, istniały pobudki natury etycznéj do podjęcia badań nad obciążeniem dóbr ziemskich w kraju naszym.

A że jednocześnie rozstrzygać się miał projekt ograniczenia praw żydów co do nabywania ziemi, mieliśmy nadzieję, że, podzieliwszy ciężary hypoteczne na kategorye, zdołamy rzucić nieco światła na kwestyę wielkiéj dla kraju doniosłości, mianowicie: jaki wpływ na stan i rozwój własności ziemskiéj i kredytu hypotecznego wywrzéć mogą nowe oczekiwane ograniczenia, albowiem jasném jest, że od stopnia udziału żydów zarówno w posiadaniu, jak w odłużeniu własności ziemskiéj, zależy, rzecz prosta, rozmiar dających się przewidywać skutków.

Praca obecna jest więc wynikiem różnorodnych potrzeb i pobudek. Niemniéj przeto nawet dla ludzi, których mało interesuje wyłącznie sprawa odłużenia hypotecznego własności ziemskiéj, będzie ona miała tę wartość, że po raz pierwszy oprze kwestyę na podstawie cyfr, bezpośrednio ze źródła zaczerpniętych, i traktować ją będzie w związku z ogólnym ekonomicznym stanem kraju, co da nam możność dowiéść, że przyczyny odłużenia nie tkwią jedynie w indywidualnych własnościach ziemian naszych, lecz są pojedyńczym przejawem wielkiego procesu, ogarniającego Europę całą.

Tylko u nas, jako w kraju wyłącznie niemal rolniczym, a zatém zniżką cen mocniéj dotkniętym, klęska musiała przybrać rozmiary potężniejsze. Dołączyło się i to, że rolnictwo nie zdołało przyjść jeszcze po niedawném uwłaszczeniu włościan do równowagi i do jakiegoś stanu normalnego.

Ażeby otrzymać materyał, przydatny do wywodów, całą istotę odłużenia ziemi rozpatrywać będziemy najpierw ze stanowiska czysto ekonomicznego, a następnie społecznego, postaramy się przytém dowiéść cyframi, tymi jedynie wiarogodnymi świadkami, że odwrócenie wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego krajowi ruiną, nie jest niemożliwém przy umiejętném wyzyskaniu zasobów jeszcze istniejących, i przy zapewnieniu sobie pomocy prawodawstwa i administracyi państwowéj.

ODŁUŻENIE.

I.

Zdawało się, iż zebranie danych, potrzebnych do wykonania zamiaru, przeszkód nadzwyczajnych nie napotka, tymczasem z 84 powiatów Królestwa do ksiąg hypotecznych z trudem i przeszkodami mogliśmy się dostać tylko w 64 [1]).

Wiadomości nasze dotyczą 9,429 dóbr. Do rachunku nie weszły ordynacye, majoraty donacyjne, dobra poklasztorne, dotychczas w rękach rządu zostające i t. p., rodzaje własności, których hypoteki nie mogą być obciążone na równi z dobrami innemi, wskutek tego psułyby ścisłość obrachunku; dóbr takich jest stosunkowo niewiele, ale obszary zajmują one przeważnie znaczne [2]).

Wszystkie wierzytelności hypoteczne dzielimy na następujące rodzaje:

---

[1]) Powiaty, w których można było poczynić wypisy z ksiąg hypotecznych tworzą 7 całkowitych gubernii: Kaliską (8 powiatów), Piotrkowską (8 powiatów), Płocką (8 powiatów), Suwalską (7 powiatów), Siedlecką (9 powiatów), Radomską (7 powiatów) i Kielecką (7 powiatów). Prócz tego 2 powiaty: Włocławski i Łowicki, należące do gubernii Warszawskiéj i 8 do Lubelskiéj (brakuje w téj gubernii powiatu Janowskiego i Zamojskiego). Razem więc otrzymujemy 64, co stanowi blisko 80% ogólnéj liczby powiatów. Ale nie wszystkie dane są jednéj treści. Dla 50 powiatów cyfry dotyczą wszelkich dóbr, niezależnie od wyznania właściciela. Dla 14 zaś, tworzących gubernie Kielecką i Radomską, mamy tylko wiadomości o majątkach, posiadanych przez żydów, lub na których żydzi mają swe ubezpieczenia. Ostatnie przeto dane posłużą nam, łącznie z innemi, tylko do dokładnego wyświetlenia pochodzenia długów i zbadania stosunków kredytowych, o ile w nich biorą udział żydzi.

[2]) Wypisy z ksiąg hypotecznych, z których korzystamy, dokonane zostały dla każdego pojedyńczego majątku na oddzielnym arkuszu jednostajnego kwestyonaryusza. Znajdujemy tam: nazwisko właściciela, obszar w morgach (jeżeli ten w księgach był podany), wysokość długu wraz z wymienieniem wierzyciela i zajmowanego miejsca hypotecznego, pochodzenie wierzytelności, jak również wysokość kaucyi i ewikcyi na dobrach opartych. Przy majątkach, które zmieniały właścicieli w ostatnich czasach, znajdujemy również sumy szacunkowe z wymienieniem daty, w któréj szacunek został ustanowiony; ponieważ jednak szacunki czasów dawnych nie mogą służyć do żadnego porównania, a obecnie podawane nie pozostają bynajmniéj w żadnym stałym stosunku do obszarów i w wielu razach rzeczywistéj wartości nie przedstawiają, na teraz więc z tych danych korzystać będziemy li tylko dla ilościowego uwydatnienia ruchu przechodzenia własności ziemskich z rąk do rąk.

I. Dług Towarzystwa Kredytowego, który do pewnego stopnia poinformować nas może o wartości dóbr, a więc przy porównaniu z ciężarami innemi posłuży za kryteryum do ocenienia stopnia odłużenia majątków.

II. Długi prywatne, co do których niewiadomo, z jakiego powodu zostały zaciągnięte i na jaki cel użyte.

III. Długi, powstałe z niedopłacenia szacunku. Ten rodzaj wierzytelności dać nam może niejakie pojęcie o ruchu własności, jak również o liczbie tranzakcyi.

IV. Długi, pochodzące z zahypotekowań posagów.

V-ty rodzaj długów stanowią należności skarbowe, pochodzące ze sprzedaży dóbr rządowych i poduchownych, oraz sumy bankowe.

VI. Kaucye i ewikcye, na hypotekach majątków oparte.

Z drugiéj strony materyał nasz statystyczny, lub ściśléj majątki, o których mowa, dzielimy naprzód na dwie kategorye: *majątki nierozparcelowane* i *majątki rozparcelowane*. Ostatnich w wykazach naszych znajdujemy 1,465, czyli 15% ogólnéj liczby.

Przyczyna tego podziału jest całkiem zrozumiałą: dobra obu kategoryi różnią się zasadniczo nietylko co do swego charakteru gospodarczego, ale i ze względu na stan odłużenia.

Przy parcelacyi zwykle odbywają się spłaty różnych ciężarów hypotecznych. Co ważniejsza, wytworzyły się nowe formy współek i nowe stosunki, niemały dla nas przedstawiające interes. Tam, gdzie wskutek niemożności, czy niechęci spłaty jednorazowéj Towarzystwa, lub dla zabezpieczenia pozostałéj części szacunku na rzecz dawnego właściciela, hypoteka pozostaje nadal w rozparcelowanym majątku wspólną, powstaje ciekawy pod względem ekonomicznym i społecznym nowotwór, w kraju naszym do roku 1870 nieznany wcale, lub znany mało—spółka kredytowa z solidarną odpowiedzialnością.

Pomiędzy spólnikami napotykamy ludność rdzennie miejscową, w połączeniu z kolonistami niemieckimi i bardzo często z żydami Przypuszczanie żydów do spółki przez pierwotnych właścicieli parcelujących się majątków, a częściéj jeszcze przez nowonabywców, bądź w celu uzyskania możności przeprowadzenia parcelacyi, bądź dla zaspokojenia tym sposobem należności żydowskich, lub wreszcie dla łatwiejszego dopełnienia form przepisanych, stanowi zjawisko nie pozbawione znaczenia.

Wreszcie kwestya parcelacyi stoi dziś na porządku dziennym: jedni widzą w niéj ostatni ratunek posiadłości większych, inni potępiają jako zatracenie wyższéj kultury rolnéj. Wszelki więc promyk

światła, który to zagadnienie palące chociaż trochę rozjaśni, jest wielce pożądany.

W pierwszéj kategoryi rozróżniamy i obliczamy oddzielnie: *majątki chrześciańskie i majątki żydowskie.* Ostatnich znajdujemy 500, czyli 5% ogółu dóbr.

Wszelkie zaś posiadłości, zarówno rozparcelowane, jak i nierozparcelowane, chrześciańskie i żydowskie, rozpatrywać będziemy nie hurtownie, lecz zgrupowane wedle wielkości. Taki podział okazuje się niezbędnym,—obliczenia na zasadzie danych przeciętnych nie mogą doprowadzić do wniosków ścisłych i słusznych.

Pierwsza grupa obejmuje posiadłości bardzo drobne, bo nieprzenoszące 60 morgów; druga—majątki małe, liczące od 60 do 600 morgów; trzecia—średnie od 600 do 1,500 morgów; w czwartéj grupie pomieściliśmy majątki większe, liczące od 1,500 do 3,000 morgów; w piątéj wreszcie dobra bardzo znaczne, przenoszące 3,000 morgów.

Nadmienić winniśmy, że z majątków ostatniéj grupy żaden nie uległ parcelacyi.

Ponieważ jednak z ksiąg hypotecznych nie zawsze dojść można było, jaki jest rzeczywisty obszar dóbr, więc zjawiła się konieczność utworzenia jednéj jeszcze grupy zbioroweéj dla 2,672 majątków z *przestrzenią nieokreśloną.*

Ponieważ dobra, wchodzące do rachunku, znajdują się w różnych częściach kraju, od najdaléj na północ wysuniętych, aż do najbardziéj południowych, od krańcowo zachodnich do krańcowo wschodnich,—ponieważ jedne z nich korzystają z dobrodziejstw udoskonalonéj komunikacyi wodnéj i lądowéj, inne pozbawione są nawet dróg bitych,—jedne posiadają ziemię lepszą, inne gorszą,—słowem, ponieważ nie są to obszary pod żadnym względem wyjątkowe, możemy więc wnioski, na ich podstawie wyciągnięte, z wielkiém prawdopodobieństwem stosować do całości kraju naszego.

II.

Jakkolwiek dane, wyjęte z hypotek, są niewątpliwie najpewniejsze, gdy chodzi o ocenę stanu majątkowego właścicieli i stopnia pomyślności ziemian, to jednak nie należy ich uważać za bardzo dokładne i niezawodne zwierciadło rzeczywistości.

W żadnym kraju nie zdołano dotychczas otrzymać cyfr ścisłych i pewnych co do długów hypotecznych.

Tam, gdzie prowadzenie ksiąg posunięto do ostatnich, zdaje się, granic doskonałości, jak we Francyi, niedokładności do reszty wy-

plenić się nie dały. Długi dawno spłacone figurują wciąż i nikt nie myśli domagać się ich wykreślenia; dużo także jest sum fikcyjnych wpisanych do hypoteki dla obejścia praw innych wierzycieli. Pożyczki, pozaciągane w Towarzystwie Kredytowém i innych instytucyach, umarzają się corocznie, a suma pierwotnego długu zostaje pomimo to niezmienioną. Z drugiéj strony, jedne i te same ciężary zapisane są na kilku pozycyach, i przy obrachunku, pomimo najstaranniejszych przeglądań hypoteki, mogą być dodawane, przez co oczywiście powiększa się wysokość istotnego obciążenia majątku.

Jak wielkie mogą ztąd powstać różnice, przykład znajdujemy właśnie we Francyi. W r. 1877 przeprowadzono tam badania nad odłużeniem własności ziemskiéj. Obciążenia hypoteczne, nie licząc ewentualnych zobowiązań i długów, zaciągniętych w banku ziemskim (Credit foncier), wynosiły w owym czasie 19,278 milionów franków Suma ta obejmowała 5,741 milionów zobowiązań, które utraciły wartość, a nie zostały z przyczyn, wyżéj wskazanych, z ksiąg. usunięte, czyli że rzeczywiste odłużenie wynosiło tylko 70%, figurującego w hypotekach.

Lecz błędem byłoby mniemać, że równie korzystny stosunek zachodzi u nas, t. j że i w kraju naszym dobra dźwigają ciężary znacznie mniejsze, niż cyfry wykazują.

Przedewszystkiém zwrócić należy uwagę, że niedokładności, z zaniedbań pochodzące, zdarzają się głównie w księgach drobnéj własności, my zaś rozpatrujemy przedewszystkiém posiadłości średnie lub większe, mające hypoteki gubernialne.

We Francyi posiadłość ziemska nadzwyczaj jest rozdrobnioną. Ilość właścicieli i współwłaścicieli obliczają tam na 8 milionów. Mająteczki, nie przenoszące 2 hektarów, tworzą 74%, mająteczki zaś od 2 do 6 hektarów 15%,—czyli 90% ziemi znajduje się w kawałkach, nie dochodzących do 12 morgów. Powtóre: we Francyi pożyczki, zaciągnięte w „Credit foncier", nie odgrywają zbyt wielkiéj roli, gdyż stanowią mniéj niż 5% odłużenia ogólnego.

U nas zaś w księgach hypotecznych panuje jak gdyby ścisk; nieusunięte zobowiązanie zajmowałoby miejsce, potrzebne dla innych, nowych, to téż wszelkie możliwe wykreślenia są bezwarunkowo czynione. Wreszcie nie tak dawno, z powodu wydawania właścicielom listów likwidacyjnych, jako wynagrodzenia za odpadające grunta włościańskie, miała miejsce regulacya wpisów hypotecznych. Z drugiéj strony w ostatnich czasach znaczne sumy wskutek subhastacyi pospadały z hypotek, a nie są wykreślone jedynie z powodu nieujawnienia w hypotece skutków klasyfikacyi. Niemała jest także liczba wpisów fikcyjnych dla obejścia praw innych wierzycieli, lecz, bądź co bądź, są to wyjątki, w ogólnéj masie małe mogące dać różnice.

Wszystko to prowadzi do wniosku, iż, odrzucając z odłużenia, wykazanego w hypotekach, 10% na możliwe niedokładności, wielkiego błędu-byśmy nie popełnili.

Zresztą wprowadzenie poprawek dla celów pracy naszéj nie ma szczególnego znaczenia, albowiem liczby, które posiadamy, dać mogą tylko pewien przybliżony obraz rzeczywistości, a nam o to mianowicie chodzi. Inna jeszcze okoliczność wpływa na to, że nawet nie wprowadziwszy jakiéjś poprawki, otrzymamy w rachunku sumę odłużenia nie wyższą jak jest w rzeczywistości.

Tak zwane kaucye i ewikcye w bardzo wielu razach nie różnią się co do charakteru od stałych obciążeń hypotecznych i na równi z długami zwyczajnemi do porównawczych rachunków odłużeń, przynajmniéj w pewnéj części, mogłyby być wciągnięte.

W praktyce większą część kaucyi uważać należy za zobowiązania, które w przyszłości zamienione zostaną na czyste wpisy. Żydzi, zarówno jak i chrześcianie, nawet instytucye bankowe, udzielają pożyczek z ubezpieczeniem hypoteczném nie w formie intabulatów, lecz w formie kaucyi i ewikcyi.

Warszawskie towarzystwo wzajemnego kredytu otworzyło kredyt właścicielom ziemskim z zabezpieczeniem kaucyjnem na ich majątkach na sumę 989 tysięcy rubli. Banki handlowy i dyskontowy również posiadają nie mało takich wpisów, jako gwarancyę sum wypożyczonych.

Cukrownie zaliczenia, wydane na plantacyę buraków, zabezpieczają najczęściéj w formie kaucyi. Z bilansu cukrowni akcyjnych widzimy, że 15 zakładów tego rodzaju, przerabiających 46% całości użytych buraków, wydały 1,596 tysięcy rs. zaliczeń na buraki. Jeżeli zrobimy przypuszczenie, że i pozostałe fabryki w téj saméj proporcyi wydają zaliczenia, wówczas otrzymamy pokaźną sumę 3,492 tys. rub. wszystkich zaliczeń. Nadmienić wypada, iż oprócz właścicieli zaliczenia otrzymują téż i włościanie. Wysokość zaliczek udzielanych ostatnim jest nieznaczną i wziąć ją można najwyżéj za 10% normy, przyjętéj dla większych właścicieli.

Wpisy, czynione na korzyść żydów, aczkolwiek głównie bywają wynikiem tranzakcyi, które stałego odłużenia majątku pociągać za sobą nie powinny, w większéj części wypadków stanowią proste długi. Mamy nawet wśród danych naszych dokładne w téj mierze wskazówki.

W gubernii Kieleckiéj na rzecz żydów zapisano milion i blisko dwieście tysięcy rubli kaucyi i ewikcyi. Pochodzenia zaś tych zobowiązań były następujące:

a) zaliczenia za sprzedane lasy wynosiły 74.4%
b) ewikcye za sprzedaż gruntów 4.6%
c) ewikcye za wykonanie umów dzierżawnych. . . . 2.8%
d) ewikcye za różne sprzedane żydom produkta rolne. 2.8%
e) kaucye na otwarty kredyt wekslowy 4.0%
f) kaucye i ewikcye bez określonego tytułu 10.9%
g) tytułem posagu 0.1%
h) kaucye na przypuszczalne koszta egzekucyi . . . 0.4%

W dobrach parcelowanych znowu właściciele zasobniejsi, broniąc się od ewentualnych strat, mogących wyniknąć ze współki z ludźmi mniéj zamożnymi, ubezpieczają się w ten sposób, że robią wpisy na hypotekach pod rozmaitemi pozycyami. W wielu wypadkach w charakterze nabywców danéj przestrzeni figuruje tylko kilka osobistości, które następnie rozdzielają nabyte dobra na cząstki i ubezpieczają nabywców za pośrednictwem kaucyi i ewikcyi.

Jednocześnie spotykamy téż wpisy, niemające tak doniosłego znaczenia. Weszło w zwyczaj dla zapewnienia sobie zwrotu ewentualnych kosztów, w razie egzekwowania pożyczek hypotecznych, zabezpieczać się przez zapisanie na hypotece w postaci kaucyi 10% sumy wypożyczonéj.

Znajdujemy téż wpisy na zabezpieczenie akcyzy i t. p. Tego rodzaju tymczasowe obciążenia mogą przybrać rozmaity charakter, zależnie od tego, jakim trybem potoczą się interesy właściciela — mogą zniknąć bez żadnego śladu i wpływu, lecz również mogą na równi z prostym długiem obciążyć hypotekę. Obliczyć mniéj więcéj nawet, jaka część przyjętych zobowiązań, a zawarowanych w formie kaucyi i ewikcyi, bywa spełnianą, a jaka z powodu nie zupełnego wykonania zobowiązań staje się prostym długiem, niéma sposobu. Co więcéj, bywają wypadki (we właściwém miejscu zwrócimy na nie uwagę), że ciężar kaucyi i ewikcyi dotkliwiéj daje się we znaki właścicielowi i majątkowi niż zwyczajna, otwarta pożyczka, bo pod postacią niewykonalnych tranzakcyi odbywają się operacye lichwiarskie.

Słowem, praktyka wytworzyła tu tak wielką rozmaitość, że nietylko rozklasyfikować wszystkich używanych kombinacyi niepodobna, lecz nieraz trudno przeniknąć ich sens rzeczywisty. Dla statystyka zadanie to nie do rozwiązania; przeprowadzić rozróżnienia jakiegoś niéma sposobu, — opuścić wszystkie sumy, figurujące pod tytułem ewikcyi, byłoby również błędem. Miarkując z różnych wskazówek, najtrafniejszém i najbardziéj zbliżoném do prawdy wydaje nam się przypuszczenie, że w ogólnéj cyfrze kaucyi i ewikcyi trzecia część stanowi ewikcye rzeczywiste, znaczenia ciężaru hypotecznego niemające, resztę zaś uznać zdaje się można za należność zwyczajną.

Pomimo zastrzeżeń powyższych, poprawek ani strąceń do obrachunku ostatecznego nie wprowadzimy; zastrzeżenia te konieczne były dla zrozumienia charaktu i znaczenia cyfr, opierają się one jednak na danych statystycznych w części tylko, głównie zaś przypadło posługiwać się przypuszczeniem. Uważamy zaś, że operacye obrachunkowe właściwiéj jest wykonywać nad liczbami rzeczywistemi, chociażby dokładność ich podlegała wątpliwości.

III.

O wysokości i znaczeniu obciążeń wtedy dopiero miéć możemy pojęcie, kiedy znamy wartość dóbr. Inaczéj oczywiście suma długu, mała czy duża, nic nam nie mówi.

Szacunki hypoteczne, gdzieniegdzie w księgach zaznaczane, z przyczyn wyżéj wyłożonych, zadowolnić nas nie mogą, a zresztą nie wszędzie znaleźć je można. Przyjąć jakiejś przeciętnéj wartości morgi niepodobna, gdyż ta bynajmniéj ustanowioną nie jest; widzieliśmy, jak różne wypadały sumy, stosownie do tego, co wzięte było za zasadę obrachunku; która zaś z cyfr w istocie bliższą jest prawdy—przypuszczać można, ale decydować trudno. Powtóre: wartość ziemi zmienia się bardzo, zależnie od miejsca położenia, od gleby, od środków komunikacyjnych, od bliskości i rodzaju warsztatów, przerabiających produkty rolne.

Przyjęcie wartości morgi, zmiennéj dla każdych dóbr lub każdéj okolicy, dla każdego wreszcie obszaru, mniéj jeszcze jest możliwém, zarówno ze względów rachunkowych, jak i wskutek zupełnego braku danych.

Pozostaje nam tylko jeden sposób ustanowienia przybliżonego szacunku dóbr—mianowicie: należność Towarzystwa Kredytowego.

W zasadzie pożyczka, udzielana przez Towarzystwo Kredytowe, równać się powinna połowie wartości majątku.

Wysokość ta jednak do rachunku bez modyfikacyi wprowadzoną być nie może. Bo naprzód przy taksacyi majątku zachodzą często różne znane ograniczenia, które nie dozwalają pożyczce dojść do teoretycznego maximum. Ogólna więc wartość majątków przewyższa oczywiście podwójnie wziętą należność Towarzystwa. Z drugiéj jednak strony wartość majątków spadła, i wskutek tego pożyczka Towarzystwa dziś w stosunku wartości dóbr znaczy więcéj, niż kiedy była udzieloną. Zważywszy to wszystko, dochodzimy do przypuszczenia, że w większości wypadków należność Towarzystwa stanowi

tylko 40% wartości dóbr, to jest, że szacunek równa się dwa i pół raza wziętéj pożyczce Towarzystwa Kredytowego.

W „Zbiorze wiadomości statystycznych“ Towarzystwa Kredytowego (r. 1881, str. 199), zrobiony był w chwili drożyzny na ziemię (w r. 1879) obrachunek, celem oznaczenia przeciętnéj wartości włóki [1]).

Średnio z trzech źródeł wypadło tam 1021 rs., czyli 34½ rs. na morgę.

Sprobujmy obrachować, jaka suma szacunku wypadnie w każdéj z przyjętych przez nas grup posiadłości, jeżeli za podstawę obrachunku weźmiemy powyżéj uczynione przypuszczenie, mianowicie, że dług Towarzystwa stanowi 40% wartości dóbr. Weźmiemy naturalnie te tylko majętności, które korzystały z kredytu w Towarzystwie. Rozkładając całą należność tego rodzaju na morgi, otrzymamy liczby następujące:

W dobrach, posiadających:

mniéj niż 60 morgów, dług Towarzystwa na morgę wynosi 29 Rs., zatém wartość włóki 2175 rs.
od 60 do 600 „ „ „ „ 26 „ „ 1950 „
„ 600 „ 1500 „ „ „ „ 22 „ „ 1650 „
„ 1500 „ 3000 „ „ „ „ 17 „ „ 1275 „
więcéj niż 3000 „ „ „ „ 13 „ „ 975 „

Przeciętnie w dobrach wszelkiego rodzaju, niezależnie od przestrzeni, dług Towarzystwa na morgę wynosi rs. 20, czyli wartość włóki wypadnie 1500 rs.

Powyższe liczby zdają się dowodzić, że szacunek ziemi jest ododwrotnie proporcyonalny do rozmiarów majątku, i im dobra większe, tém jednostka ziemi warta jest mniéj. W kategoryi najwyższéj otrzymujemy cenę włóki przeszło dwa razy niższą, niż w kategoryi najniższéj, i o 600 rs. blisko niższą od przeciętnéj. Pamiętać jednak należy, że ten układ liczb pochodzić może z dwóch przyczyn: tak samo wywołać go mogła istotnie mniejsza wartość gruntu w większych obszarach, jak i odmienny sposób taksowania przez delegatów Towarzystwa, dla dóbr dużych mniéj korzystny. W majątkach dużych łatwiéj o nieużytki—to prawda; im posiadłość mniejsza, tém usilniéj właścicielowi chodzi o zużytkowanie każdéj piędzi ziemi. Ten więc

---

[1]) 1) Maximum wartości włóki, otrzymane w Towarzystwie Kredytowém wedle przepisów z r. 1869 z pomnożenia podatku gruntowego przez 112. 884 rs.
2) Wartość włóki wedle przepisów z r. 1872 . . . . 964 „
3) Wartość hypoteczna włóki zmniejszona o 25% . . . . . . 1216 „

wzgląd istotnie obniża szacunek włóki w posiadłościach dużych. Przy znacznych obszarach nie niskość szacunku, lecz podatek gruntowy najczęściéj staje na przeszkodzie do przyznania wyższych pożyczek. Ale są téż i okoliczności, wywołujące skutek wprost przeciwny. W dobrach rozległych kultura ziemi nierzadko bywa wyższa, sposób prowadzenia gospodarki intensywniejszy; tam wydajność podnoszą płodozmiany, lepsze nawozy, rozumniejsza gospodarka i fachowa znajomość rzeczy, tam wreszcie pracują maszyny. W obec tego trudno się zgodzić, ażeby różnica, jeżeli nawet istnieje na niekorzyść posiadłości większéj, była istotnie tak znaczną, jak to z danych naszych wypada. O wiele prawdopodobniejszém wydaje nam się przypuszczenie, iż działa tu głównie metoda taksacyi, przez Towarzystwo Kredytowe przyjęta. W saméj rzeczy, do szacunku obliczonego przez Towarzystwo nie wchodzą obszary leśne, których w dobrach dużych, i absolutnie, i stosunkowo, jest znacznie więcéj. W ten sposób odpadają w rachunku przestrzenie znaczne, których wartości w żaden sposób za zero uważać niepodobna. Las, dopóki istnieje, ma wartość niemałą, po wytrzebieniu daje „nowinę", znacznie żyźniejszą od gruntu, przez wiele lat obsiewanego.

Wobec względów powyższych, dla grup z obszarami większemi dług Towarzystwa prawdopodobnie nie wynosi 40% wartości. Dla grupy IV (1,500—3,000 morgów) bodaj czy go uważać nie należy za jakieś 30%, wtedy cena włóki wypadłaby 1,700 rs., a dla posiadłości po nad 3,000 morgów nawet za 25% i wtedy wypadnie 1,560 rs. na włókę.

Natomiast przyjąć należy pod uwagę i następujące okoliczności: serwituty ciążą w daleko szerszych rozmiarach na majątkach téj kategoryi. Przestrzenie leśne, znośnie nawet zakonserwowane, przeważnie znajdują się tylko w dobrach magnackich nieodłużonych. Sprzedaż dóbr większych w dzisiejszych okolicznościach jest znacznie trudniejszą, aniżeli posiadłości średnich. Z powyższych względów, pomimo uczynionych uwag, dla uproszczenia porównań używać będziemy we wszystkich grupach własności przypuszczenia, że długi towarzystwa wynoszą 40% wartości posiadłości.

IV.

Całkowite odłużenie hypoteczne, licząc długi wszelkiego rodzaju i wpisy kaucyjne o tyle, o ile zawierają one wyraźne zobowiązania, sumami oznaczyć się dające, ogółu 9,429 dóbr, łącznie z przestrzeniami wiadomemi i niewiadomemi, żydowskiemi i parcelowanemi, w 50 badanych powiatach, składa się przy naszym podziale z następujących pozycyi:[1]).

Dług Tow. Kredyt. .	73.7 mil. rubli, co stanowi	37.6%	ogółu ciężaru.
Długi prywatne . .	70.7 " " " "	36.0%	" "
Reszty niedopłaconych szacunków . . .	9.5 " " " "	4.9%	" "
Reszty posagów . .	11.0 " " " "	5.6%	" "
Kaucye i ewikcye .	26.5 " " " "	13.5%	" "
Należności Skarbu i Banku.	4.8 " " " "	2.4%	" "
Razem	196.2 mil. rubli, co stanowi	100	ogółu ciężaru.

Wśród tych pozycyi należność Towarzystwa Kredytowego i długi prywatne, wprost zaciągnięte, niemal są równe. Razem wzięte te dwie pozycye dają prawie $^3/_4$ wszystkich ciężarów hypotecznych.

Jeżeli zaś dodamy do siebie wszystkie rodzaje długów prywatnych, a więc zaciągniętych wprost, reszty szacunków i reszty posagów, to okaże się, że stanowią one $46^1/_2$%, t. j. sięgają połowy całości, a znacznie przewyższają należność Towarzystwa.

Dla tém łatwiejszego porównania między sobą obciążeń, należących do różnych pozycyi, weźmy za miarę dług Towarzystwa i oznaczmy go przez 100, wtedy całość obciążenia wyrazi się liczbą 266.

Długi prywatne wszelkiego pochodzenia większe są od pożyczek, zaciągniętych w Towarzystwie o $^1/_4$ część (124%).

Kaucye i ewikcye wynoszą prawie $^1/_3$ długów Towarzystwa (36%). Należność zaś Skarbu i Banku stanowi tylko 6% długów, zaciągniętych w Towarzystwie.

W takim razie, jeżeli przyjmiemy, że długi Towarzystwa wynoszą 40% wartości dobr i oznaczymy dług Towarzystwa przez 100, to, gdybyśmy dla ogółu obciążenia otrzymali byli tylko liczbę 250, jużby to znaczyło, że dobra ziemskie pogrążone są w ciężary do wysokości swego szacunku, tymczasem otrzymaliśmy aż 266! Odtrąci-

[1]) Zwracamy uwagę, że w ciągu całéj pracy, ażeby nie utrudniać czytania, opuszczamy końcowe cyfry. Sumy ogólne, wynikłe z dodawania wszystkich cyfr, zostawiamy niezmienionemi.

wszy nawet, zgodnie z wyżéj zamieszczoném omówieniem, od długów prywatnych $^{1}/_{10}$ i od kaucyi $^{1}/_{3}$, otrzymamy sumę, wynoszącą 104 miliony rubli, t. j. stanowiącą prawie $1^{1}/_{2}$ raza wziętą należność Towarzystwa, czyli równą szacunkowi.

Z powyższego się okazuje, że nawet uwzględniwszy dokonywane amortozacye, otrzymamy jeszcze odłużenie przerażająco wysokie, szczególniéj jeżeli sobie przypomnimy, że w latach ostatnich zdarzają się często licytacye, na których majątki sprzedawane są nie o wiele wyżéj nad należność Towarzystwa.

Dla dóbr, których rozległość jest nam znaną, wszystkie powyższe pozycye odłużenia dają sumę 150,210,100 rs., czyli w majątkach, zarówno korzystających, jak i nie korzystających z kredytu w Towarzystwie, na morgę wypada przeszło rs. 44 ciężarów wszelkiego rodzaju [1]).

Zredukowawszy, z powodów wyżéj wskazanych, poprzedzającą wysokość obciążeń przy długach o $^{1}/_{10}$ część, przy kaucyach o $^{1}/_{3}$ część, otrzymamy rozkład wszelkich zobowiązań na jednostkę przestrzeni, najbardziéj, jak nam się zdaje, do prawdy zbliżony, rsr. 38 kop. 50 na morgę [2]).

Towarzystwo Kredytowe, jak to wyżéj przytoczyliśmy, w r. 1879 przeciętną wartość włóki obliczało na $34^{1}/_{2}$ rs. za morgę. Szacunek powyższy na owe czasy stanowczo był za niski, nawet w chwili obecnéj uważać go należy za zbyt słaby.

Lecz gdybyśmy przeciętną wartość morgi podnieśli nawet do 50 rs., to i tak otrzymamy, że przy najoględniejszym rachunku obciążenie sięga już $^{4}/_{5}$ wartości. Odrzućmy jeszcze kaucye, ewikcye i należności Skarbowe, to sama pożyczka Towarzystwa Kredytowego i długi prywatne wszelkich pochodzeń, po odtrąceniu $^{1}/_{10}$ części, wyniosą jeszcze na morgę rs. 34.5, t. j. akurat jéj szacunek, otrzymany

---

1)

Dług Tow. Kredytowego	na morgę rs.	17.8
Długi prywatne	" " "	16.0
Reszty szacunku	" " "	2.1
Posagi	" " "	2.6
Kaucye i ewikcye.	" " "	5.0
Należności Skarbu i Banku	" " "	0.7
	Razem . . rs	44.2

2)

Dług Tow. Kredytowego	na morgę rs.	16.0
Długi pywatne	" " "	14.4
Reszty szacunku	" " "	1.9
Posagi	" " "	2.3
Kaucye i ewikcye.	" " "	3.3
Należności Skarbu i Banku	" " "	0.6
	Razem . . rs.	38.5

z obrachunku Towarzystwa i znacznie więcéj niż $^1/_2$ ($^7/_{10}$) przypuszczalnéj wartości, podniesionéj do możliwego, jak dzisiaj, maximum.

Takby się rzecz przedstawiała, gdyby cała ziemia solidarnie i równomiernie odpowiadała za długi, na nią zaciągnięte. Ponieważ jednak pewna ilość mórg wolna jest całkiem od ciężarów, inną znowu obarczają one nieznacznie tylko, więc na pozostałe przypadną sumy, przenoszące nieraz kilkakrotnie wartość.

V.

Dla przybliżonego obrachunku stopnia odłużenia i rozkładu ciężarów na dobrach i na obszarach, pod uwagę wziąć należy tylko dobra nierozparcelowane z przestrzenią oznaczoną, gdyż parcelowane znajdują się w warunkach niezupełnie zwykłych i w znacznéj liczbie wypadków pewne należności pospłacały.

Jeżeli pożyczki i zobowiązania inne nie są wyższe od należności Towarzystwa Kredytowego, w takim razie można uważać, że z pewnością we wszelkich rodzajach posiadłości ogół długów nie wyrównywa szacunkowi. Jeżeli zaś ciężary inne przenoszą pożyczkę Towarzystwa, lecz mniéj niż $1^1/_2$ raza [1]), to obciążenie sięga mniej więcéj wysokości szacunku. Własność taka podobną jest do ciała, pływającego w wodzie i całkiem w nią pogrążonego — lada wstrząśnienie, lada ciężarek wypadkowy, a spadnie na dno. Nadmienić winniśmy, że, zdaniem naszém, położenie majątków większych w tym wypadku, z przyczyn, wyżéj wskazanych, nie jest jeszcze krytyczne.

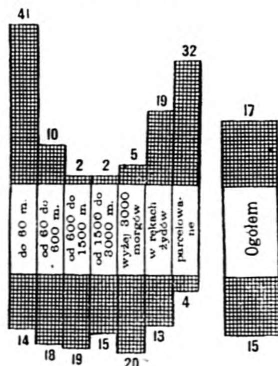
Nie chcąc nużyć czytelnika zbyt długą litanią liczb, proponujemy rozejrzéć się w następujących czterech figurach, z których pierwsza *a*) przedstawia procentowy stosunek majątków bez długu; druga *b)* takiż stosunek dóbr, obciążonych tylko pożyczką Tow. Kredyt.; trzecia *c*) procentowy stosunek majątków obciążonych długami innemi, których ogół nie przenosi pożyczki Tow. Kredytowego, i nakoniec czwarta *d)* takiż stosunek dóbr, obciążonych długami innemi, których wysokość przenosi pożyczkę Towarzystwa.

---

[1]) A więc cała suma odłużenia, t. j. pożyczka Towarzystwa, oraz wszelkie inne należności i zobowiązania, razem wzięte nie przenoszą $2^1/_2$ saméj tylko pożyczki Towarzystwa. Ile razy daléj użyjemy wyrażenia „ogół długów przenosi 2, 3 razy pożyczkę Towarzystwa“, będzie to miało takie znaczenie.

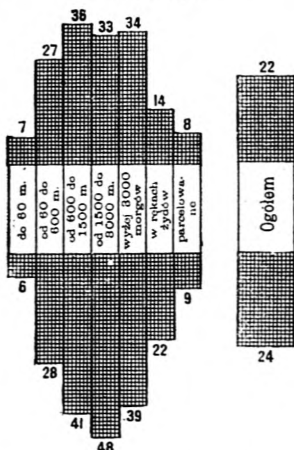
Procentowy stosunek ilości dóbr:

a) bez długu.



b) obciążonych tylko pożyczką Tow. Kredytowego.

c) obciążonych długami innemi, których wysokość nie przenosi pożyczki Tow. Kredytowego.



d) obciążonych długami innemi, których wysokość przenosi pożyczkę Tow. Kredytowego.

Przedewszystkiém uderza to, że z czterech rozpatrywanych wypadków odłużenia, największą liczbę otrzymujemy dla najgorszego, mianowicie 24% ogółu dóbr jest obciążonych dwa lub przeszło dwa razy więcéj, niż wynosi pożyczka Towarzystwa. W takim zaś razie—jak wiemy—zachodzi obawa, że długi są bardzo bliskie szacunku, lub nawet go przenoszą.

Z pozostałych trzech wypadków znowu najliczniejszy jest najgorszy: 22% ogółu dóbr dźwiga, prócz pożyczki Towarzystwa Kredytowego, obciążenia inne. 17% nie ma wcale żadnego ciężaru,—15% tylko należność Towarzystwa. Brakujące 22% tworzą dobra, wolne od pożyczki Towarzystwa, ale obarczone długami innych kategoryi.

Jedno spojrzenie na figurę pierwszą *a*) przekonywa, że dość znaczny stosunek dóbr całkiem nieodłużonych wypadł jedynie dzięki

obecności grupy pierwszéj, t. j. majątków najdrobniejszych, gdyż blisko połowa (41%) ich wolna jest od wszelkiego obciążenia; już w grupie drugiéj otrzymujemy takich szczęśliwych dóbr ledwie jedno na dziesięć; wśród posiadłości średniéj i dużéj—jedno na pięćdziesiąt i wśród posiadłości największych—jedno na dwadzieścia.

To téż gdybyśmy pod uwagę wzięli nie ilość majątków, lecz ilość mórg, to okazałoby się, że wolnych od wszelkiego długu jest nie 17%, ale tylko 5%.

Dla dóbr rozparcelowanych otrzymujemy w tym wypadku dość wysoką liczbę procentową (32%), która ztąd pochodzi, że majątki parcelowane przeważnie należą do grup drobniejszych. W pozostałych wypadkach odłużenia dla téj saméj przyczyny widzimy liczby bardzo nieznaczne. Średnia ilość dóbr tego rodzaju, będących w rękach żydów, na pierwszéj figurze, zarówno jak i na innych, (z wyjątkiem przedostatniéj), bliską jest przeciętnéj liczby dla ogółu dóbr.

Na figurze drugiéj *b*) nie widzimy tak wielkich różnic; wszystkie liczby w wyszczególnionych pozycyach (z wyjątkiem dóbr parcelowanych) bliskie są cyfry przeciętnéj. Widzimy z nich, że wśród majątków drobnych (60—600 morgów) średnich i największych piąta część prócz należności Towarzystwa niéma obciążeń innych.

W miarę posuwania się daléj, na dwu ostatnich figurach, paski środkowe, które na pierwszéj były najniższe, na drugiéj równe mniéj więcéj wysokości przeciętnéj, wydłużają się i znacznie przenoszą wszystkie inne. To znaczy, że w tych wypadkach odłużenia znajduje się przedewszystkiém posiadłość średnia, większa i największa. Majęteczki najdrobniejsze reprezentowane są przez liczby bardzo nieznaczne 6% i 7%. Z majątków drobnych przeszło ćwierć należy do kategoryi trzeciéj (27%) i przeszło ćwierć do czwartéj (28%). Czyli dóbr téj grupy dość poważna część znajduje się w położeniu krytycznem lub bliskiém krytycznego.

Na figurze trzeciéj *c*) środkowe paski są niemal równe, gdyż wynoszą 36%, 33% i 34%, a więc trzecia część posiadłości średniéj i wielkiéj znajduje się w tém położeniu, że długi nie sięgają wartości, ale prawdopodobnię dochodzą do połowy i przekraczają ją nieco.

Na figurze czwartéj *d*) najbardziéj wysunęła się posiadłość duża (nie największa), 48% jéj t. j. prawie połowa dźwiga obciążenie, przeszło dwa razy przewyższające wysokość pożyczki Towa-

rzystwa. Potém idzie posiadłość średnia 41% i fortuny magnackie 39% [1]).

Pożyczkami Towarzystwa obciążony jest następujący % dóbr:

w majątkach	u chrześcian	u żydów
do 60 morgów	27.3%	4.8%
„ 600 „	74.1%	54.1%
„ 1500 „	95.8%	81.3%
„ 3000 „	95.1%	83.3%
Wyżéj nad 3000 „	92.8%	90.0%

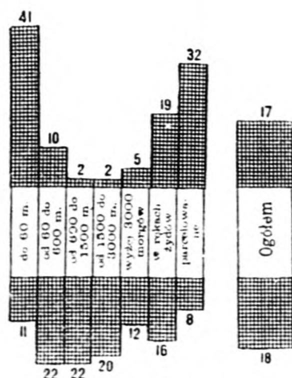
Jeżeli liczby powyższe zestawimy z cyframi figury pierwszéj, to jest z procentem majątków wolnych w każdéj grupie od długu wszelkiego, to przekonamy się, że część pewna majątków, chociaż nie zaciągała wcale pożyczek w Towarzystwie Kredytowém, dźwiga pomimo to należności inne, wskutek tego nie całe obciążenie hypoteczne porównywać należy z długiem Towarzystwa, lecz tylko to, które z niém ciąży na jednych i tych samych dobrach. Część więc powyżéj przytoczonych sum przy porównaniu z wybraną przez nas miarą odpaść musi, a ogólny stan odłużenia okaże się korzystniejszym.

O ile jednak chodzi nam nie o to, jaką część szacunku tworzy odłużenie, lecz o porównanie różnych rodzajów należności, o dowiedzenie się, w jakim stopniu jaka posiadłość korzysta z istniejących źródeł i form kredytu, to wypadnie nam porównywać całą masę ziemi, posiadającéj hypoteki, z całą sumą długów. Poniżéj zamieszczone figury dają nam graficzne wyobrażenie, jakiéj wysokości suma przypada na jedną morgę w przyjętych grupach własności.

[1]) STOSUNEK ILOŚCIOWY DÓBR:

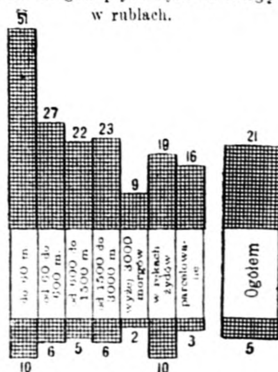
Kategorye dóbr	bez długu			obciąż. tylko dług Towarz. Kredytowego			obciąż. długami nieprzen. 2 razy poż. Tow. kred.			obciąż. długami przen. więcéj niż 2 r. poż. Tow. Kr.		
	chrześ.	żydów	parcel.	chrześ.	żydów	parcel.	chrześ.	żydów	parcel.	chrześ.	żydów	parcel.
do 60 morgów . . .	41	35	55	14	1	1	7	—	1	6	4	6
od 60 — 600 . . .	10	19	25	18	16	5	27	15	9	28	23	8
„ 600 — 1500 . . .	2	4	12	19	20	4	36	25	22	41	36	20
„ 1500 — 3000 . . .	2	—	14	15	25	—	33	21	29	48	37	43
wyżéj 3000	5	—	—	20	10	—	34	20	—	39	60	—
Przeciętnie .	15	19	32	17	13	4	25	14	8	27	22	9

% majątków bez długu.



Suma długu Tow. Kred. i Skarbu na morgę w rublach.

Suma długów prywatnych na morgę w rublach.



Kaucye i ewikcye przypadające na morgę w rublach.

Pierwszą figurę powtarzamy tu po raz drugi, aby czytelnik, rozglądając się wśród liczb, widział odrazu, jaki procent dóbr w każdéj grupie pozostaje wolnym od wszelkiego zobowiązania, gdyż ta okoliczność wpływa bezpośrednio na wysokość odlużenia morgi w każdéj kategoryi.

Naprzykład wyżéj widzieliśmy, że przeciętnie Towarzystwo daje na morgę własności najdrodniejszéj rs. 29, tutaj zaś znajdujemy tylko 11; pochodzi to ztąd, że 41% tych mająteczków nie zaciągnęło pożyczki żadnéj, na pozostałe więc przypadają sumy znaczniejsze. Chociaż więc posiadłość mniejsza niż 60 morgów, pojedyńczo biorąc, zaciąga w Towarzystwie na morgę pożyczki najznaczniejsze, to jednak w sumie jest ona najmniéj odlużoną.

Należności skarbowe napotykamy przeważnie w dobrach poduchownych; pod niektóremi względami zbliżają się one do pożyczek Towarzystwa i dlatego te dwa rodzaje długów połączyliśmy w jedną kategoryę.

Na figurach tych, tak samo jak na poprzednich, cyfry, otrzymane dla dóbr żydowskich, są mniéj więcéj bliskie liczb przeciętnych z ogółu majątków. Tylko ewikcye i kaucye ciążą na posiadłości żydowskiéj znacznie wyższe. Pochodzi to zapewne w części ztąd, że pod tym tytułem figurują zwykłe długi, co jest témbardziéj prawdopodobne, że i wysokość pożyczki Towarzystwa, i długi prywatne są

w dobrach żydowskich o 2 ruble na mordze niższe od przeciętnych, w części zaś jest może wynikiem téj okoliczności, że żydzi więcéj zawierają umów, tranzakcyi i t. d., które wymagają zabezpieczenia w formie kaucyi.

Własność drobna, średnia i większa, a więc dobra od 60 do 3,000 morgów, obciążone są niemal jednakowo i liczby dla nich wypadające zbliżają się mocno do przeciętnych.

Co więcéj—należność Towarzystwa i długi prywatne w jednakowéj prawie sumie przypadają na morgę. Różnica cokolwiek znaczniejsza istnieje tylko w majątkach drobnych (od 60—600 morgów), gdyż tam pożyczki prywatne są na morgę o 6 rs. wyższe.

Do szczególnéj wysokości dochodzą długi prywatne w grupie pierwszéj. Obok 11 rs. pożyczki Towarzystwa spotykamy aż 51 rs. pożyczek prywatnych. Ewikcye dla téj grupy znajdujemy téż wysokie, bo o 5 rs. przenoszące liczbę przeciętną; równają się one obciążeniu temu w dobrach żydowskich, a wyższe są niż we wszystkich innych grupach dóbr. Taki rezultat pochodzi zapewne ztąd, że do grupy mająteczków najdrobniejszych należy wielka liczba osad fabrycznych, młynów i t. d., t. j. posiadłości, których szacunek nie jest wcale proporcyonalny do obszaru i które w sposób całkiem inny uzyskują, kredyt niż posiadłość ziemska. Powtóre: własność grupy powyższéj nie może w takim stopniu korzystać z pożyczek Towarzystwa, jak dobra większe, z konieczności więc ucieka się do źródeł innych. W sumie różnice z następującemi grupami nie są tak znaczne. Ogół obciążenia, wynoszący 62 rs. na morgę prostego długu i 10 rs. kaucyi, uważać nawet należy za stosunkowo niższy, niż w grupie drugiéj, chociaż tam znajdujemy tylko 49 rs. długu prostego i 5 rs. kaucyi. Wnosić zaś tak należy ze względu na obecność w grupie pierwszéj osad fabrycznych, oraz ze względu na większą ilość budynków na téj saméj liczbie morgów.

W dobrach średnich cały dług na morgę wynosi 44 rs. i 5 rs. kaucyi. W dobrach większych otrzymujemy niemal téż same cyfry: 43 rs. długu i 6 rs. kaucyi. Takiego wyniku za pomyślny uważać niepodobna, wobec tego, że prawdopodobna wartość morgi sięga ledwie 50 rs.

Znacznie lepsze cyfry znajdujemy w majątkach większych; tam wszystkie rodzaje zobowiązań znacznie drobniejszemi sumkami ciążą na jednostce obszaru. Pożyczka Towarzystwa wynosi tylko 12 rs., należności prywatne tylko 9, czyli długi proste razem 21 rs., a kaucye ledwie 2 rs. Ten więc sposób porównania prowadzi do wyników innych całkiem, niż poprzednie, a dla majątków ostatniéj grupy pomyślniejszych. Stwierdza to nasze wyżéj wyrażone twierdzenie, iż

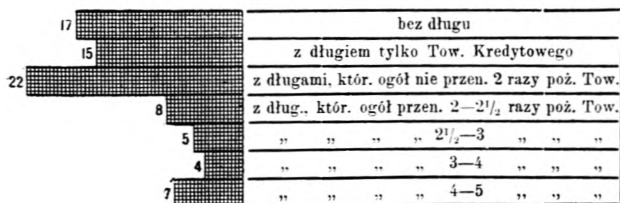
pożyczki Towarzystwa, udzielane dobrom największym, wskutek wyłączenia z taksy obszarów leśnych, są w stosunku do ich rzeczywistéj wartości zbyt małe. Gdy więc pożyczką Towarzystwa mierzymy ogół ciężarów, należy jéj nadać tutaj znaczenie o wiele mniejsze, niż gdy chodzi o majątki grup poprzedzających. Mały stopień obciążenia wypadł w części (drobnéj zresztą) zapewne i dlatego, że majątków największych stosunkowo znaczny procent jest nieodłużonych (5%, kiedy w poprzedzających grupach tylko 2%).

Takie są liczby przeciętne dla każdéj grupy dóbr. Jak zwykle jednak, tak i w tym wypadku, polegać na nich zbytecznie niepodobna. Cóż z tego, że nam ta cyfra średnia wypada nie zbyt duża, jeżeli ciężary nie rozłożyły się równomiernie, lecz skupiły się w kilku, w kilkunastu, w kilkudziesięciu punktach, i przy ogólnym dobrym stanie tego rodzaju własności grożą jednak katastrofą subhasty znacznéj liczbie majątków i rodzin. Nie zbawi to właściciela zadłużonych dóbr, że sąsiad jego nawet uciekać się do Towarzystwa Kredytowego nie potrzebował. Poznać stan własności ziemskiéj, znaczy przedewszystkiém—dowiedziéć się, ile jéj cząstek wszelkiego rodzaju zawisło nad przepaścią bankructwa i ile stanęło na pochyłości, do téj przepaści prowadzącéj. Téż same okoliczności, które na drogę nieszczęścia popchnęły dotychczas dziesiątki majątków, *mogą* z biegiem czasu popchnąć setki i więcéj. Ta *możność* jest groźbą, z którą się rachować bardzo potrzeba.

Zanim jednak przejdziemy do szczegółowych badań, rozejrzyjmy się do końca w liczbach ogólnych. Poznanie ich dokładne jest niezbędne dla ocenienia doniosłości każdego pojedyńczego wypadku.

Ogół majątków z przestrzenią określoną, t. j. 6,757 dóbr, pod względem odłużenia rozpada się na stopnie, porównane na poniższéj figurze.

Procentowy stosunek 6,757 dóbr z przestrzenią okresloną.



Takież same zestawienia dla 2,672 majątków z przestrzenią nieokreśloną utworzy figurę następującą [1]).

Procentowy stosunek 2,672 dóbr z przestrzenią nieokreśloną.

bez długu	26
z długiem tylko Tow. Kredytowego	11
z dług., któr. ogół nie przen. 2 razy poż. Tow.	10
z dług., któr. ogół przeni 2—2½ razy poż. Tow.	4
„ „ „ „ 2½—3 „ „ „	4
„ „ „ „ 3—4 „ „ „	2
„ „ „ „ 4—5 „ „ „	5

Obie powyższe figury są do siebie w górnéj części całkiem niepodobne. Kiedy na pierwszéj wysuwa się najbardziéj ilość dóbr, obciążonych, prócz pożyczki Towarzystwa, jeszcze długami innemi, których wysokość mniejszą jest od téj pożyczki, stanowi blisko czwartą część ogółu, na figurze drugiéj takich wypadków mamy ledwie część 10-tą, natomiast najczęściéj zdarzają się majątki całkiem bez odłużenia. Ta najgłówniejsza różnica zdaje się pochodzić ztąd, że wśród dóbr z przestrzenią nieokreśloną większość znaczną stanowi własność drobna, wśród któréj, jak widzieliśmy, mająteczki całkiem nieodłużone tworzą aż 41%. Po za tém stosunek pomiędzy pozycyami jest na obu figurach dosyć bliski, tylko liczby dla dóbr z przestrzenią nieoznaczoną są mniejsze; pochodzi to z téj saméj przyczyny, t. j. ta część posiadłości składa się przeważnie z majątecżków drobnych, wśród których wysokie obciążenie spotyka się rzadziéj.

Toż samo zestawienie, jakie zrobiliśmy wyżéj dla dóbr, zrobić możemy dla obszarów. Otrzymamy liczby następujące:

			ogólnéj przestrzeni
Bez długu	168,714	morgów, t. j.	5.0%
Z długami wyłącznie Tow. Kredytowego	587,273	„ „	17.3%
Z długami, których ogół[2]) nie przenosi 2 razy należności Towarzystwa. . .	1,081,746	„ „	31.9%

---

[1]) Brakujące na pierwszéj figurze 22%, a na drugiéj 38% dóbr, które nie mają pożyczki Towarzystwa, lecz odłużone są należnościami prywatnemi: ponieważ przedtem przy obrachunkach opuszczaliśmy je, przeto i teraz ich niewprowadzamy.

[2]) Z pożyczką Towarzystwa włącznie.

		ogólnéj przestrzeni
Z długami, których ogół przenosi 2—2½ raza należności Towarzystwa	411,383 morgów, t. j.	12.2%
Z długami, przenoszącemi tę należność 2½ do 3 razy	304,028 „ „	9.0%
Z długami, przenoszącemi tę należność 3—4 razy	257,282 „ „	7.6%
Z długami, przenoszącemi tę należność 4—5 razy	367,134 „ „	10.8%

Ponieważ właściciele w Królestwie opłacają podatek gruntowy od 10,717 tys. morgów, zatém, przyjąwszy ten sam procentowy stosunek dla całego kraju, jaki otrzymaliśmy wyżéj dla 50-ciu powiatów, dostaniemy dla całego Królestwa następujący podział:

Bez długu morgów:	
Z długiem wyłącznie Towarzystwa Kred. . .	536 tys. mor.
Z długami, których ogół nie przenosi należności tegoż Towarzystwa 2 razy	1,854 „
Z długami, których ogół przenosi 2—2½ raza należności Tow. Kredytowego.	3,419 „
Z długami, których ogół przenosi tę należność 2½—3 razy.	1,307 „
Z długami, których ogół przenosi tę należność 3—4 razy	814 „
Z długami, których ogół przenosi tę należność 4—5 razy	1,157 „

Połączywszy w jedną całość przestrzenie, co do których niéma najmniejszéj wątpliwości, że odłużenie nie wyrównywa szacunkowi, t. j. 1) przestrzenie wolne od wszelkiego obciążenia, 2) obciążone li tylko pożyczką Towarzystwa Kredytowego i 3) obciążone również i długami innemi, ale których wysokość nie przenosi należności Towarzystwa, otrzymamy pokaźną cyfrę 5,809 tys. morgów, czyli 54.2% ogólnego obszaru. Przestrzeni z odłużeniem, prawie wyrównającém lub nieco przewyższającém szacunek, t. j. takich majątków, które porównywaliśmy do ciał, pływających w wodzie i całkiem w nią pogrążonych, mogących zatém za lada wstrząśnieniem upaść na dno, znajdujemy 1,307 tys. morgów t. j. 12.2% ogólnego obszaru.

W położeniu jeszcze gorszém, bo krytyczném lub bliskiém krytycznego, pozostaje 2,936 tys. morgów t. j. 27.4%. Z tych 2,936 tys. morgów nad przepaścią subhasty i bankructwa zawisło conajmniéj 1,157 tys. morgów t. j. 10.8%, gdyż ich obciążenie przenosi pożyczkę Towarzystwa 4 do 5 razy i więcéj.

Stoimy więc przed faktem wielkiego, ba, nawet nadmiernego odłużenia własności ziemskiéj.

Przytoczone powyżéj dane porównawcze, co do kosztów produkcyi, opodatkowania i warunków zbytu produktów, musiały, lub przynajmniéj mogły nas przekonać, że nadmierne odłużenie występuje jako naturalny, a nieraz nawet jako konieczny, kres działania wszystkich wpływów i czynników.

Zmniejszone dochody z ziemi potęgują niewątpliwie ciężar długów. Pochodzi to ztąd, że wartość przedsiębiorstwa zależną jest od zysków, jakie z niego ciągnąć można. Choćby więc ilość długów, bezwzględnie biorąc, pozostała tąż samą, jaką była dawniéj, (następnie wykażemy, że tak nie jest, bo w ostatnich czasach znakomicie urosła) to i tak, wskutek obniżonéj wartości majątków, obciążenie ich stałoby się stosunkowo większém i dotkliwszém.

Wzrastająca potęga ciężarów, przytłaczających własność ziemską, będąc skutkiem zmniejszonych zysków, musi jednocześnie stanowić przyczynę, że rola coraz gorzéj procentuje. Osłabiając siłę kapitalistyczną przedsiębiorcy, nie pozwala ona rozwijać się i doskonalić warsztatowi rolnemu, a nawet niejednokrotnie wywołuje wprost dewastacyę i upadek.

Lecz przytoczone przez nas dane nie wystarczają do dokładnej oceny doniosłości i skutków odłużenia.

Rozmiary klęski, mogącéj w razie dalszego trwania nieprzyjaznych warunków produkcyi, spaść na społeczeństwo, wówczas dopiero będziemy w stanie ująć w obraz, cyfrowo dający się przedstawić, oraz, opierając się na doświadczeniu krajów innych, wskazać środki zaradcze, kiedy, zamiast liczb przeciętnych, rozpatrzymy odłużenie dóbr różnych typów, własności drobnéj, średniéj i wielkiéj, poznamy przyczyny różnych kategoryi długów i niemniejszéj doniosłości szczegóły, rzucające światło na warunki bytu i przyszłość pracy na roli w kraju naszym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jan Bloch.

ŹRÓDŁA
do dziejów literatury i oświaty polskiéj.

II.

Bezimienny poeta z czasów Zygmunta Augusta.

Poezya, na grunt polski późno przeszczepiona, długo jeszcze pełzała po ziemi niskim, niepozornym krzewem; ale gleba użyźniała się szybko i w ożywczych prądach humanizmu i reformacyi nagle ów krzew wystrzelił w drzewo, którego szczyt po-nad wszystkie słowiańskie się wychylił. I cień tego drzewa sięgał daleko i szeroko, za granice etnograficzne i państwowe nawet, na całą wschodnią Ruś i na Wołoszczyznę, a obfity plon jego do dziś jeszcze nie wyczerpany zupełnie; z ukrycia, w które tyle szlachetnych płodów zapadło, wydobywamy je powoli, a nie jeden straciliśmy pewnie za zawsze.

Dotąd bowiem, przez lat z górą trzydzieści, obracała się historya téj dawnéj poezyi niemal wyłącznie w tém kółku, które Wiszniewski i Maciejowski zakreślili; dziś zaś wiemy, że, nim przystąpimy do nowego, wyczerpującego obrobienia téj drogiéj nam wszystkim spuścizny, zakres ów stanowczo rozszerzyć należy, wciągnąć weń nieznanych przedtém autorów, zapomniane dzieła, prądy i wpływy,

o których dawniéj nie myślano. Otóż zadaniem naszém: przygotowywać pracę dla przyszłego historyka, wskazywać nowe źródła, o ileśmy je widzieli a w pośpiechu poznali, uprzątać z drogi główne trudności, a jeżeli się uda, i w szerszych nieco kółkach budzić interes dla tego rodzaju badań.

Dziś zapoznamy czytelnika z rówieśnikiem Kochanowskiego, z poetą, choć mniejszéj siły, gdyż na większą kompozycyę się nie zdobył, za to nader ciekawym ze względu na obrazy, jakie z potocznego życia szlacheckiego kreślił, na szczegóły wyraziste, które pilniéj a trafniéj podpatrywał, niż inni poeci czasów Zygmuntowskich. Nie tu miejsce na wydanie go w całości, ale możemy tymczasem scharakteryzować tego poetę, podać kilka prób jego pióra i wyznaczyć mu stanowisko w literaturze.

Zbierzmy najpierw rysy biograficzne. Niestety, utykamy zaraz na początku: nazwiska z całą pewnością dotąd nie wyśledziliśmy. Z rozrzuconych w wierszach poety napomknień wnioskujemy, że to małopolski ziemianin, dworzanin u wielkiego pana, (jednego z Tęczyńskich?), wysyłany przezeń nieraz w różne strony; z Janem Tęczyńskim, zdaje się do Szwecyi jechał, przynajmniéj był pierwszym Polakiem, który wrażenia podróży morskiéj opisał; wychowanie otrzymał był, jak większość ówczesnéj młodzieży; dowodów pobytu za granicą, zresztą wcale prawdopodobnego, nie odszukaliśmy. Widzimy go już gorliwym protestantem, chociaż na katolickie obrzędy i zwyczaje nieco rzadziéj i z mniejszą nieco zawziętością, niż inni współwyznawcy, np. Rej, napada; protenstantyzm i w piśmie nawet nie zrobił z niego świętoszka, tak np. podobała mu się bardzo lubieżna elegia piąta pierwszéj księgi Owidyusza, że ją aż wytłómaczył przed innymi, których późniéj ta sama elegia skusiła; kochał się gorąco, może we fraucymerze owego dworu, gdzie służył; częsty odjazd trapił go a skargi w wierszach wylewał, które bogdance posyłał; późniéj się ożenił, czy z ową ukochaną, nie wiemy; miał rodzinę. Z przyjaciół wymienia, jak się zdaje, Piotra Kłoczowskiego, którego już z fraszek Kochanowskiego znamy, w wierszu bowiem, oznaczonym literami początkowemi (P. Cloc), czytamy:

Jam już w Kłoczowie tak wszystek przebywał,
Rozmowym z tobą swoje zwykłe miewał;
Dobrejeśmy tam myśli używali,
Warcabyśmy téż częściuchno grywali.

W innym wierszu, oznaczonym J. C., może zwraca się do Jana Kochanowskiego; nowiny, których mu miał udzielić, odkłada na późniéj. Wiersze pisał w Lublinie, Warszawie, Połogórach (na Rusi

Czerwonéj); między latami 1562 a 1570, opisuje np. napad Tatarski z Listopada 1566 r.; wiersz „Epitaphium o śmierci L." odnieślibyśmy do zabójstwa, popełnionego na kasztelanie Sieradzkim Janie Lutomirskim r. 1567; wiersz z napisem „Kiedy P. Te na morze wsiadał" odnosi się oczywiście do Tęczyńskiego i podróży szwedzkiéj; wspomina nakoniec o Reju, jako żyjącym.

Literacka po nim spuścizna, wyłącznie wiersze, mieści się na kilkudziesięciu kartach cennego rękopisu in folio, przechowanego starannie w jednym z najbogatszych zbiorów krajowych; nie jest to oryginał autora, tylko kopia, sporządzona w kilka lub kilkanaście lat późniéj, przed lub około r. 1580. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że tym wierszom brak początku, w istocie zaś szyk pierwszych dziewięciu kart pomylony; zbiór zaczynał się od dzisiejszéj str. 9 rękopisu.

Główna treść tych wierszy — fraszki, jak je sam autor zatytułował; ale jego fraszki odmienne zarówno od fraszek Kochanowskiego, jak i od fraszek (apoftegmatów, figlików) Reja. Wyróżniają się one raz samemi rozmiarami: fraszki Reja liczą po osiem wierszy i bardzo był pan Mikołaj dumny z tego, że tyle sensu w tak niewielu słowach zgęścić potrafił; fraszki Kochanowskiego bywają nieco krótsze a częściéj nieco dłuższe; nasz autor obok krótszych i dłuższych daje „fraszki" po trzysta lub czterysta wierszy; nie są to więc już fraszki, to znaczy, sztrychy jakiegoś żartu lub dowcipu, sylwetki jakichś osób lub zdarzeń, zarysy jakichś uczuć lub myśli, ale całe obrazki, idyle—w prawdziwém tego słowa znaczeniu, t. j. nie ograniczone do życia pasterskiego, jak je jeszcze u Teokryta widzimy. A obok rozmiarów wyróżnia je i treść: w figlikach Reja niewiele oryginalnych, t. j. polskich,—znajdują się bajki, nowelle, facecye i t. d. Ezopa, Bocaccia, Poggia, Paulego, i nie zostałoby wiele piórek na Reju, gdyby każdy z wymienionych własne poodbierał; u Kochanowskiego również wiele przywoźnego towaru, mianowicie z antologii; u naszego zato autora niéma prawie nic obcego, wszystko on na własne oczy widział lub mu dobrzy towarzysze opowiedzieli, jak to już z pierwszéj fraszki, niby epigrafu do reszty, wynika:

Aby tém snadniéj płynęły te fraszki,
Muszę się przysiąść do téj waszéj flaszki;
A wy co wiecie, wszystko powiadajcie;
Czego nie wiecie, pisać mi nie dajcie.

Fraszki naszego autora możemy więc raczéj porównać z fraszkami w „Ogrodzie nie plewionym" Wacława Potockiego, w których tyle nieraz obszernych idyl życia ziemiańskiego się przechowało.

Treści pojedyńczych fraszek wyszczególniać nie myślimy: między krótszemi bowiem wiele tak swawolnych, że je tu milczeniem zbyć wypada; wymienimy więc tylko fraszkę drugą:

NA POLAKI.

Siła dziś na się nieprzyjaciół macie,
Dobrze walecznych, a wżdy nic nie dbacie.
Choć się źle dzieje, wszystko u was fraszka —
Być jeno w gardle nie uwisła flaszka!

Marna przestroga! Z fraszki „O sobótce" choć początek:

Niewiasty na wsi sobótkę nieciły,
Sobie i innym myśl dobrą czyniły,
Więc jedne stare piosneczki śpiewały,
A drugie zasię przez ogień skakały i t. d.

„Jednanie z ciotką" dłuższy ciekawy obrazek waśni familijnéj jak ją zagodzić chciano; w innéj fraszce „O trafnym i chytrym mataczu, który potém i we złodziejstwie był doznan", opowiada o oszuście, który się w Lublinie za szlachcica udawał i ludzi okradał Fraszka „O zdechłym pawie i o nieżywéj jałowicy", wyraża specyały, któremi dwaj gospodarze swoich gości karmili, co sobie potém ku obrzydzeniu tychże gości nawzajem wyrzucali. Fraszka „O indulcie papieskim" zawiera najostrzejszą inwektywę, pełną zwrotów, przypominających żywo komentarz Reja do Apokalipsy z r. 1565 i inne. Ale przejdźmy do najciekawszéj i najdłuższéj fraszki „O wtargnieniu nieprzyjacielskiém w ziemie Ruskie, a o gotowości i o sprawach naszych wiersze"; opowiedziawszy treść damy próby.

Rzecz dzieje się w Lubelskiém, w Grudniu 1566 r., jak z różnych szczegółów wnioskujemy. Młodzież szlachecka, zebrana u brata - gospodarza, ma właśnie wyruszyć kulikiem lub kuligiem, jak to na Litwie nazywano, w sąsiedztwo, gdzie panny; poeta zaczyna przemową gospodarza, wzywającego do wyjazdu, wyliczającego, co z ubioru wziąć należy, i uczącego służących. Ale nagle ów gospodarz przerywa mowę, bo widzi pacholę, śpieszące mimo dworu, i każe je przywołać. Chłopiec wstępuje na dwór, idzie do izby, z nim razem patrzymy na wszelkie szczegóły w postawie i ruchu owego gwarnego tłumu; uprosiwszy milczenie, całkiem rozżalony przekłada, z czém go Ruscy panowie do szlachty okolicznéj wysłali; powtórzyły się bowiem stare dzieje, Tatarzy wpadli a tu wojsko rozpuszczone. Pacholę wyjmuje list wierzytelny; nowy swar i wrzask, gdyż pismo wszyscy razem

czytać chcą, nareszcie jednemu to zlecają. Nowiny tego listu nie wesołe: trzech carzyków tatarskich—ale tu udzielmy już słowo kronice Bielskiego—„na Podolu i Rusi wiele wsi i miasteczek popustoszyli a wojewodę ruskiego i hetmana, Sieniawskiego, który się w Międzybożu zamknął, wielką mocą dobywali". Otóż skargi na króla, od którego pomocy niéma, który sam na kresy nigdy nie zjedzie—czego od niego od saméj młodości szlachta, mianowicie ruska, ustami Orzechowskiego się domagała — ciągle tylko sejmuje, egzekucyą grozi, a prawdziwych zasług nie nagradza, starostwa tylko między własne otoczenie rozrzuca. Ulitowawszy się braci, któréj Tatarzy „na szyję czymbory (arkany, powrozy) wdziewają", chcą nasi zaraz w pomoc ruszać, ale cóż po dobréj woli, kiedy nikt ani koni, ani zbroi nie ma! Więc żebrać i pożyczać po całéj okolicy; nareszcie gotowi i jadą; pierwszy nocleg odbyli w Krasnym Stawie w ziemi chełmskiéj, daléj ruszyli na Tyszowce, oczywiście by na Bełz i Busk ku Zbarażowi na Podole pociągnąć. Ale na drodze spotykają draba, od którego się dowiadują, że Tatarzy, sześć włości w tamtéj ziemi wypaliwszy, a nie zdobywszy Międzyboża, już wrócili. Drab ten należał był do wojska, które, wbrew radom hetmana, rozpuszczono, czém granicę odkryto: słusznych przedstawień hetmana na radzie nie słuchano.

Król na tę mowę czapeczki poprawiał,
Do jutra tę rzecz każdy raz odkładał;
Czasem téż z gniewu pilnie główką trząsał;
Iż z tém uczęszczał, nie darmoć się dąsał.

Hetman obowiązek wypełnił, cóż kiedy ci nowi panowie, nie tak jak starzy, co prawdą stali, króla do niczego nakłaniać nie chcieli; wrócą téż Tatarzy w zapusty i zagrają nam do tańca. Nie było co robić, rozeszła się szlachta smutna do domu, wróżąc sobie, że co dziś podolskiéj ziemi się stało, jutro miało się na nich samych obruszyć. Oto treść wiersza, pisanego, jak na boku zaznaczono, „na Gołogórach", pełnego życia, prawdy, dosadnych szczegółów, z którego trzy ustępy, przemowę gospodarza, scenę z pacholęciem i ruszanie w drogę, przytaczamy, modernizując tylko pisownię i niektóre formy oryginału, tudzież objaśniając kilka mniéj zwykłych wyrażeń.

„Nużeż Panowie! za téj sannéj drogi [1])
„Zaprzężmy w sanki, włóżmy chomąt z rogi
„Na tego konia, choć brudnosiwego,
„A nawieszajmy cymbałów u niego;

---

[1]) W rękopisie: za téj saméj drogi.

„Niechaj się ich dźwięk po uszach rozlega,
„Na dziwy, kto chce, niech ku nam wybiega.
„Sami kosztowne szaty na się wdziejmy,
„Po czterech jezdnych wżdy przed sobą miejmy,
„Kiedy do któréj panny przyjedziemy,
„Przedniejsze miejsce pewnie mieć będziemy;
„A odmiennych szat kiedy nabierzemy,
„Między panięty tak wszędy ujdziemy,
„Bo byśmy w izbach z kołnierzmi zgorzeli,
„Gdybyśmy z sobą tych letnich[1]) nie mieli.
„A kiedy w tańcu przyjdzie nam wieść szyki,
„Musimy z siebie zdjąć i kaftaniki.
„Trzeba azuki[2]), trzeba jednoradka[2])
„Bo wiecie, u nas za nic dziś karwatka[2]);
„Lepiéj, że sobie w ciżmach[3]) pojedziemy,
„A tam na miejscu trzewiki wzujemy.
„Bowiem w kowaném[4]) chocia skoczyć snadnie,
„Ale w trzewiku nie tak prędko padnie.
„Z torbą koszulę wziąć-by nam i szczotkę,
„Tu mimo jadąc kupić by téż kłódkę;
„Bo gdzie nam dadzą osobne złożenie,
„Dobrze, że będziem mieć swoje zamknienie.
„U tych tu sąsiad ze trzy dni zmieszkamy
„A czwartego zaś indziéj się udamy.
„A wy, służkowie, nie bądźcie świniami:
„Kiedy się już zabawim z pannami,
„Aby rozsiodłać, taki wam znak damy;
„Gdy się pełnemi zewsząd ostawiamy,
„Patrzcież, byście się owsa domówili,
„Żebyśmy jeżdżąc konie potuczyli.
„Siądź gdzie kto raczysz; od panny Barbary
„Ja nie odstąpię nikomu prze dary;
„Z tą i rozmawiać, i tańcować będę;
„Równia mi niemasz, gdy podle niéj siędę.
„Wy się téż drugim pannom zalecajcie,
„Tańcujcie, pląszcie a czasem śpiewajcie,

---

[1]) t. j. szat.
[2]) azuka lub hazuka, słowo obce, i jednoradek, nazwy dłuższych zwierznich ubiorów, im przeciwstawiona karwatka, niby kurtka.
[3]) półbóty węgierskie.
[4]) t. j. bucie.

„A który nam dziś myśl dobrą zepsuje,
„Niechaj że się sam za wszystkich frasuje.

Wrócił się nazad, mniemał by wesele,
Bo przy tych sankach było ludzi wiele,
Którzy się niczém inszém nie bawili,
Jedno by zwykłéj biesiady użyli.
Ten chłopiec pany iż widział ubrane,
Sług dość za nimi, sanki malowane,
Kobierce na dół do ziemi zwieszone,
Na których były pstre barwy mienione,
On koń poryza [1]) a nogami pląsze,
Zadniemi bije a zębami kąsze;
Ci, co na dole, z tym koniem igrają,
A drudzy w okniech leżąc wyglądają,
Na które śniegiem młodzieńcy ciskają
A oni się im w stronę umykają.
Widząc on chłopiec, iż ich wielka rota,
Uwiązał swego konika u płota,
Bo w stajni próżnéj nie było przywory,
Musieli drudzy swe wieść do obory.
A iż był uziąbł, szedł prosto do izby,
Nie spodziewając się tam takiéj ciżby.
Gdzie pierwéj oczy obrócić, nie wiedział,
Bo w takiéj zgrai, gdzie kto chciał, tam siedział.
Jedni się wadzą, drudzy piwo piją,
Miasto śpiewania na ośm głosy wyją,
Szklenice tłuką, czasze przewracają,
Jedno wżdy dla kart przed sobą ścierają.
Drudzy, chociaż się bawią w zalecanki,
Przecież ochotnie wytrząsają dzbanki.
Drudzy dla trunku suropieczki [2]) jedzą,
Z czém ten przyjechał, bynajmniéj nie wiedzą;
Wszakoż się jednak po cichu pytali,
Czyj-by był, bo go tam wszyscy nie znali.
On, że się kwapił, nie czekał pytania.
Aczkolwiek u nich mowa była tania,

---

[1]) rży.
[2]) zraziki z surowego mięsa wołowego, ostro zaprawiane.

Sam k nim wystąpił a list w ręku nosił,
Sobie słyszenie w tym wrzasku uprosił.
Niż począł mówić, z okna zawołali,
Aby się tamci szaleńcy zbiegali,
Żeby się społem nowin wywiedzieli,
Przeto do izby tém prędzéj bieżeli.
Wszakoż niżli się wszyscy uciszyli,
Jeszcze się drudzy po razu napili.
Ten chłopiec, acz był już dawno gotowy,
Wszakże dla inszych powściągał swéj mowy,
Żeby się zaraz u wszystkich odprawił,
Swoją powieścią nie długo się bawił.
Téj krótkiéj mowy dawał tę przyczynę,
Bowiem iż przyniósł żałosną nowinę,
K temu, że jeszcze miał i daléj biegać,
Musiał to słowy krótkiemi powiadać,
Co mu panowie na prędce zlecili,
Kiedy go ztamtąd w ten kraj wyprawili.
Gdy tak o sobie uczynił obmowę,
Z płaczem przerzekłszy zwiesił na dół głowę,
Bliżéj przychodząc oczy swe ocierał;
Tak mówiąc, usta z nienagła otwierał:
„Niechaj nikt z tego dla Boga nie szydzi,
„Że mię na twarzy niewesołym widzi;
„Ani mię wasza krotofila ruszy,
„I owszem więcéj ciało na mnie suszy.
„Bo wasi bracia zły dziś taniec mają,
„Pewnie nie takich biesiad używają...
„Płaczu tam wiele, nie mniéj narzekania,
„Strasznego krzyku, ciężkiego wzdychania;
„Skoczyłby drugi od panny Barbary,
„Chociaby w mili upatrzył Tatary.
„Bowiem tam szpetnie troki[1]) obłapiają;
„O zalecanie wielkie mało trwają[2]);
„Szablą swą, miasto tych kuflów, szermują;
„Tam wyniszczywszy, do was się gotują...
„Jakoż i teraz Waszmości wszech proszę,
„O czém téż z sobą list wierzący noszę,

[1]) trokami, arkanami.
[2]) dbają.

„Żebyście ich tak prędko ratowali,
„Podolskiéj ziemi wyniszczyć nie dali.
„List otworzysty sobie przeczytajcie,
„Méj bardzo pilnéj drodze nie mieszkajcie,
„Bo téż do inszych tam daléj pobieżę,
„W dziesięciu milach troszkę się przeleżę".
Biesiadniczkowie on list w ręce wzięli
I wszyscy razem czytać go poczęli,
Jeden drugiego onym hukiem głuszy.
A drudzy przecież nie siedzą na suszy,
Bowiem się pilnie za czaszę trzymają,
Usz nakładając, szyje wyciągają.
Będąc tak wszyscy chwilę w onéj ciszy,
Listu tam tego nikt dobrze nie słyszy,
Zawołał tam ktoś, stojąc u komina:
„Acz to już wszystkim nietajna nowina,
„Co się snadź teraz w ruskich ziemiach dzieje,
„Z czego się iście tu żaden nie śmieje,
„Lecz z tego listu słówka nikt nie słyszy,
„Bo wszyscy mruczą, jak w kościele stryszy[1]).
„Niechaj czcie[2]) jeden, rychléj w posłuch pójdzie,
„Słowo najmniejsze każdego tu dójdzie".
Tak że się stało, jednemu list dali,
A sami, siedząc na stronie, słuchali.
Ujrzał na datę, która świeża była,
Pilność onego chłopiątka znaczyła.
A kiedy już sam w swoich rękach trzymał,
Bez pomocników tak czytać poczynał.

Ledwie się w liście czytanie skończyło,
Mowy tam dosyć rozmaitéj było.
Bo tuż za stołem wnet każdy hetmanił,
Sam swe wynosił, inszych zdanie ganił.
Drudzy téż z żalu plecami ruchali,
Wszakoż się w takim smutku napijali.
Wywodzili to szerokiemi słowy,
Że każdy z chęcią chciałby być gotowy;

---

1) dziadowie, żebracy.
2) czyta.

Jakoż tam jechać nic nie odmawiali;
Jedno wżdy swoje przyczyny dawali.
Koni iż jedni pocztowych[1]) nie mieli,
Na lada szkapach puścić się nie śmieli.
Drugim się uzdy, siodła zodzierały,
Podkłady od nich precz poodpadały.
Pancerze, miecze rdza drugim pojadła
A zbroja prochem od trzech lat przepadła.
Szyszaków, przyłbic, ile jedno mieli,
U płatnerza[2]) ich tak rok zapomnieli.
Oszczepy drudzy wszystkie połamali,
Kiedy z sąsiady do czapek ciskali.
Były téż cztery nieprawie[3]) złamane,
Cóż było po nich, gdy nienawiązane.
A rusznic stolarz jeszcze nie naprawił,
Co je był szypląc[4]) woźnica pokaził.
W wojennych tarczach wyżłowie legają,
Na drzewiech dętych[5]) lada co wieszają.
Kordy i szable drudzy precz oddali,
Co się przy pełnéj wczoraj darowali.
Drudzy sobie szat drogich nasprawiali,
Na które wszystkie pieniądze udali.
Za jedne same tak wielkie kołnierze
Mogliby kupić po cztery pancerze;
Bo chcąli k niemu wygodzić azukę,
Muszą rozkroić aksamitu sztukę;
Czasem się im zda, że to kołnierz mały.
Takie dziś kroje u naszych nastały:
A téż już sukna i proste zdrożały,
Bo takie zbytki przed tém nie bywały,
A wżdy on myśli utersynu[6]) kupić,
By mu nakoniec i kmiotka obłupić.
A jeśli mu co tych pieniędzy zbędzie,
Tamże pod wiechą z pachołki zasiędzie;

---

[1]) do pocztu, szeregu, wojennych.
[2]) zbrojownik robiący pancerz i t. d.
[3]) nie całkiem.
[4]) dłubiąc.
[5]) od kopij.
[6]) gatunek drogiego sukna.

Da z miasta jadąc ostatni grosz w bramie.
W gospodzie kresek pół kopy na tramie —
To jedno chytre szynkarki bogaci,
W tém się nie czuje, że na tém przytraci.
Czasu potrzeby brata nie ratuje,
Bo swojém dobrem niedobrze szafuje.
Chłopca, iż prosił, tedyż odprawili.
Sami, że jeszcze gotowi nie byli,
Zbrój, koni, przyłbic sobie pożyczali,
Których u sąsiad ledwie dostawali.
I to tam była zbierana drużyna,
Gdyż to jest zawżdy u nas nie nowina,
Bawić się z sobą pilnie w zalecanki
A jeździć niemal co dzień w pożyczanki.
Ci, co na miejscu doma zostawali,
Tym na tę drogę, co mieli, dawali,
Którzy wżdy jednak ochotnie bieżeli,
A w Krasnym Stawie pierwszy nocleg mieli.
Panowie się téż z swym dworem ruszyli.
Tym się gościńcem wszyscy obrócili,
Na którym draba jednego potkali,
Iż kiedyś służał, po barwie to znali;
Bo miał na sobie suknią szachowaną,
Ale już prawie na poły zedraną.
Pytali, zkąd szedł, co słyszał nowego,
Zwłaszcza z tamtego kraju Podolskiego?
Powiedział: „Moi łaskawi panowie!
„Ktoby się ludzkiéj chciał przeciwić mowie!
„Siła się nowin i różnych odkrywa,
„Lecz tak w mór, w walkę pospolicie bywa.
„Ale dziś chłopiec, nie wiem czyj, przybieżał,
„Który téj nocy tu w Tyszowcach leżał;
„Twierdzi to, że się Tatarzy wrócili,
„Sześć włości w tamtéj ziemi wypalili;
„Plonów i ludzi moc wielką nabrali,
„Który przed sobą wielkiém stadem gnali.
„Pan Hetman się snadź na zamku osiedział,
„O takich gościach podobno nie wiedział.
„Ale się nasze proroctwo spełniło,
„Które nietajne u wszech ludzi było.
„Bośmy to wszyscy w głos wtenczas mówili,
„Gdy nas z Podola razem rozpuścili,

„Że wrychle mieli Tatarzy wojować
„A ziemię tamtę do gruntu zepsować.
„Nie chcieli drudzy téj praktyce wierzyć,
„Woleli się snadź tak sami dowiedzieć
„Za wielką szkodą Rzeczypospolitéj
„A z wyniszczeniem téj ziemi obfitéj..."
Zatém się nasi do domów wrócili,
Z takich złych nowin bardzo się smucili.

Szczegółów codziennego życia, ubioru i t. d, w jakie ten wiersz obfituje, nie będziemy podawali dokładniéj; zwrócimy tylko uwagę na ową opłakaną niegotowość do wojny, którą współcześni szlachcie wyrzucali. Znane są wiersze „Satyra" Kochanowskiego o owych przyłbicach, w których kwoczki siedzą, o granatach przekutych na pługi i t. d.; Marcin Bielski w wierszach przy „Sprawie rycerskiéj" (1569) tak samo się skarży:

Ale wy to w obyczaju pospolicie macie,
Kiedy na wojnę jeździecie, szable przegrawacie,
I zbroiczka u płatnerza leży zardzewiała,
Może każdy dobrze baczyć, iż to rzecz niemała.
Lepsze konie do rydwana Pani zaprzęgacie,
Niżli kiedy trzeba pod swój żywot go nie macie.

Wracamy do naszego autora. Następująca w rękopisie fraszka, nieco krótsza, „Biesiada o dobrym gospodarzu, a naprzód sam gospodarz mówi", roztacza równie ciekawy obraz, choć nieco mniejszych rozmiarów. Treść jéj taka: dzień zimowy, pan domu oczekuje licznych gości i wydaje ostatnie dyspozycye, przerwane gwarem wjeżdżających; następują witania, rozgoszczenie się i biesiada do późnéj nocy. Na drugi dzień roztrząsają przybyli sprawy; wyjeżdżają, by pogodzić dwóch ziemian w sąsiedztwie; uraczywszy się przytém hojnie, wracają do pierwszego gospodarza i biesiadują de novo. Dotąd odbywało się wszystko statecznie, ale chmiel zaczyna niejednego rozbierać, burdę wywołuje sąsiad, poważany bardzo, gdy trzeźwy; inni starają się usilnie zajście zatrzéć, nakoniec udaje się poecie wyprowadzić „żubra", bo tak gwałtownego niespokojnika nazywają; dłuższy epizod o słudze, głupim Maćku, któremu ciemierzycy do trunku wsypano, o jego słabości i kuracyi. Poeta wraca do „żubra" i przestrzega:

Abyś się téż ty tém przezwiskiem karał
A inakszemi sprawami się parał [1]).
Jeślić się trafi, że zalejesz krzeczka [2]),
Przecież nie szaléj, siedź jako dzieweczka,
A kiedy się już umysł w tobie mieni,
Idź ty za dnia spać, niech siedzą pijani.
Tak ujdziesz wszędy i między dworzany
Będziesz miał miejsce i z wielkimi pany.

Zajmujący początek tego wiersza przytaczamy w całości:

„Dziś jeśli kiedy serca mi przyroście,
„Bo widzę do mnie jadą wdzięczni goście,
„Których się z ganku napatrzyć nie mogę;
„Ale wnet z schodu zabieżę im drogę,
„Że ich na dworze tym wolniéj przywitam,
„O dobrém zdrowiu każdego z nich spytam.
„A wy tu dzieci w piecu przypalajcie,
„Nam społem wszystkim dobrą myśl działajcie.
„A ty Bandyszel biegaj do Marcinka,—
„Wszak to jest moja serdeczna dziecinka—
„Niechaj się w kuchni tym prędzéj zawinie;
„Żebyśmy jedli, niż godzina minie.
„Drudzy tu niechaj gotują do stołu;
„Jeśli ryb mało, niech rozsieką wołu.
„Sam na instrument gotuj sobie struny,
„Żebyś wybijał z myśli ludzkiéj dumy.
„Ty chłopie rzędem postawiaj szklenice.
„Ale tu jeszcze nie widzę miednice.
„Ty Stachu często nie chodź do komórki,
„Koniom zarazem daj owsa po dziurki.
„Nie wiem, com chciał rzec—a w piekarni mają?
„Aleć już ono we wrotka wjeżdżają!
„Już się ostatka sami domyślicie;
„Jak ja rad gościom, to już dawno wiecie.
„Każcie z schodu zmieść, bo tu na nim ślisko;
„A latać na dół jest nie bardzo nisko.
„I mnie się noga mało nie zemknęła,
„Aliż się ręka poręcza ujęła.

---

[1]) bawił.
[2]) że się upijesz.

„Alleć ono są arcydylektowie [1])!
„Witajcież moi łaskawi panowie,
„Których ja zawżdy mile oczekiwam
„A stąd niemałéj radości używam.
„Bo kiedy już was panów swych nie widzę,
„Samym się sobą w tém dworzyszczu brzydzę.
„Pójdźmyż do izby, niż będzie gotowo,
„A rzeczcie sobie jakie dobre słowo.
„Dodaj gorzałki, mów: Boże daj zdrowie!
„Aczci nie każdéj jest przyjemną głowie.
„Kto ją rad lubi, niech pije po kurek,
„A komu przykra, może w inny trunek [2]).
„Są téż i księgi, jeśli kto chce czytać;
„Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać,
„Póki się nam jeść w kuchni nie zgotuje;
„Jest kreda, kto chce, niech ściany maluje.
„Niech to wątpienia nie czyni nikomu,
„Wszystkim Waszmościom radem w swoim domu!“
Za tém się jedni do kredy rzucili
A drudzy zasię w pozwy uderzyli;
Ci swoje rymy po ścianach pisali,
Drudzy wczas sobie pozwy gotowali.
Te sprawy jako skoro odprawiono,
Za tém wnet obrus po stole rzucono;
Kladą talerze, chleby podkrawają
A gorzałeczki przed się dodawają.
A w tém przed nimi głosem powiedziano:
„Wiedzcie, potrawę już na misę dano!“
Wnet się z rękami rzucili do wody
A każdy swojéj jął pociągać brody.
Bez-ceremonij potém za stół siedli,
Pierwszą potrawę bardzo smaczno jedli.
Jednemu zatém wilkom [3]) przyniesiono,
Ale iż prosił, zaś ją odpuszczono;
Bo tego wszystkim gospodarz pozwolił:
Pij, co kto raczysz, a tém ich zniewolił,
Bo każdy z cnoty do pełnéj się spieszył,
Jakoby swego sąsiada ucieszył;

---

1) arcymili.
2) w rękopisie: wierny trunek.
3) z niem. willkommen, pełna, czasza powitalna.

Tak że się wszyscy czyście uraczyli
A myśli na wszém spokojnéj użyli.
Acz ich pobudzał Bachusów synaczek,
Burzliwy, mściwy, niespokojny żaczek,
Hojnie swe dary między nich szafując,
Ale wżdy jednak był kto go hamując [1]);
Tak od nich wtenczas odszedł ze sromotą
A nasi wcale zostali z swą rotą.
Szli do poduszki za dnia, którzy chcieli,
A drudzy przecie i w nocy siedzieli.
Przyszedł sen do nich i tak ich pomorzył,
Aż każdy przed nim głowę swą ukorzył.
Noc wtenczas jakaś bardzo długa była,
Z onym snem mocnie za pasy chodziła;
Będąc zwyciężon, precz ztamtąd uciekał
A dnia białego już więcéj nie czekał;
Bo go gorącym ogniem wyświecili,
Który tam sobie w kominie niecili.
Sen nieboraczek, gdy tak moc swą stracił,
Tedyż się zasię z zwierzęty pobracił;
Bo aż u bydła przeleżał w oborze,
Gdyż go panowie nie chcieli w komorze.
Którym wnet one przyrodzone siły
Zarazem do nich wszystkie przystąpiły;
Oczy przejrzały, język począł mówić
A słowa się ztąd zaś poczęły mnożyć.
Z onych rączych słów wnet im rzecz urosła
I w posłuch potém między nimi poszła:
Rzekł jeden naprzód: „Rad-bym z serca wiedział,
„Żeby mi to kto dowodnie powiedział:
„Jako się nasza skończyła biesiada;
„Nie była-li tam na wet [2]) jaka zwada?
„Bo mnie za światła wino spać kazało;
„Daléj nic nie wiem, co się po mnie działo“.
Do téj powieści, gdy się wszyscy śćkali [3]),
Tak, iż zaledwie losów nie miotali,
Co najmniejszemu wystąpić kazano
A wolnie mówić urząd mu ten dano,

[1]) ale przecież znalazł się, kto go hamował.
[2]) na koniec.
[3]) cisnęli.

Który go na się zaledwie przyjąwszy,
To dozwolenie u nich sobie wziąwszy,
Ich wszystkich sprawy w pośrodek wystawił;
Taką powieścią uszy ich zabawił.
Gdyż się to wszystkim wobec podobało,
Aby w sąsiedztwie wszystko złe ustało,
Które się działo o zalanie wody,
Wnet się rzucili społecznie do zgody.
Domy obudwu sąsiad nawiedzili,
Same osoby łatwo pomierzyli [1]);
Różnicom się też czas inszy naznaczył.
Tak to łaskawie Pan Bog zdarzyć raczył.
Sobie, gdy słowne przyrzeczenie dali,
Sami się na myśl tém lepszą udali;
Jedli u tego i ochotnie pili;
Z tém się do swego pierwszego wrócili
I gospodarza tegoż z sobą wzięli.
Tu znowu sobie biesiadę zaczęli.
Ale, iż Bachus odmienił im zmysły,
Tak i sprawy ich nie jednako wyszły.
Bo jedni czystym statkiem narabiali [2]);
Drudzy przyczynę do gniewu dawali.
Ujrzałby tam był człowieka czystego,
Prze swe godności u ludzi wziętego,
A on na głowie rogi przyprawuje,
Któremi bóść chce, k temu się gotuje,
Karku miąższego [3]), głowy zawiązałéj [4]),
Ciała grubego; a co jeszcze daléj,
Czego na stole dosięże rękami,
To się rozleci. Tedyż między nimi
Ten kołnierz ściera, ten ręki umyka,
Jeden drugiego, siedząc, łokciem tyka:
Patrz, dyable, że tu nie będzie bez czego,
Ten nasz rogala zrobi tu co złego.

Ten sam temat obrobił poeta w jednéj z poprzedzających fraszek „O tym, co się po pijanu rad wadził“, w któréj tak samo prze-

---

[1]) pogodzili.
[2]) zachowywali statek, powagę.
[3]) grubego.
[4]) krępéj, siadłéj.

strzega, by iść przed burdą spać. Jesteśmy widocznie w czasach, w których trzeźwość coraz rzadszą się staje; wynika to może mniéj z poetów i moralistów i ich skarg, niż np. z tego już faktu, że szlachcica, który tylko wodę pijał, pana Jana Jarzynę, Bielski aż w kronikę wciągnął (pod r. 1561). Ciekawemi szczegółami w tym wierszu są: owa gotowość szlachty pieniaczéj do pisania pozwów, daléj owe nam dziwne kreślenie rymów kredą po belkach drewnianego dworu; skłonność do żartów i przycinków musiała być zawsze wielką u tych tak towarzyskich ludzi, więcéj uderza obiór formy wierszowanéj; wreszcie owe mycie rąk przed samym obiadem, konieczne w czasach, gdzie z rana nie zawsze się myto, a nieraz i do misy palcami sięgano. W następnéj fraszce „Do dobrego towarzysza", poeta, wyjeżdżając do domu, żegna Warszawę i tego, z którym razem wielkiemu panu służył; wychwala jego protestancką wiarę:

Sprawy te zbożne a k temu chętliwe
Do chwały Bożéj i nauki jego,
Nad co człowieku nic potrzebniejszego.

Poetę konie „doniosą aż do moich śmieci" (w rękopisie mojéj śmierci),

Gdzie dziewka mieszka i niedrobne dzieci.
Teraz u Czerska muszę przewóz minąć,
Jechać ku Warce, przyjdzie się ochynąć [1]),
Acz ci się tam, słyszę, twarde kijce rodzą,
Mazurowie swe święta tam obchodzą.
Musi tam zbywać ostatka milczeniem,
Swoją gębusię zasznurować śpieniem [2]).

Widocznie musiały się wtedy fatalnie kończyć dysputy o religię z Mazurami, którzy je chyba nasiekanemi argumentami rozstrzygali. Daléj poleca się łaskawéj pamięci, wspomina i przestrzega „naszych", których „przechadzki" po Warszawie słyną, i dodaje żartobliwie:

Mnie Cerberowie od was wystraszyli,
Którzy się często nade mną srożyli,
Szczekając głosem, grożąc mi zębami i t. d.,

na samo wspomnienie wstrząsa nim strach. Co to za psy i kiedy go tak straszyły, o tém rozprawia szeroko w innéj fraszce „O psiech, co je Cerberii zową", opowiadając o sobie i o owym przyjacielu:

---

[1]) zanurzyć.

[2]) sprzączka, szpilka.

W jednéj gospodzie dwaj z sobą mieszkali,
A bardzo radzi statkiem narabiali.
Jedna była myśl ku słowu bożemu,
Chęć téż jednaka służyć panu temu,
Którego na dwór pański prowadzili...

Ale co niezwykłe, każdy z tych dobrych przyjaciół bywał najlepszéj myśli, kiedy drugi w śmiertelnym strachu dygotał i ani probowali nawet ratować się nawzajem. Gdzie i kiedy to się działo — materya to zbyt delikatna, by o niéj tu mówić, ale powtarzała się w polskich stosunkach aż do naszych czasów; mówi o niéj np. ksiądz biskup Łętowski w swoich Miscellaneach (1866), opowiadając, jak jego, wtedy jeszcze żołnierza, w krytycznéj chwili bezbronnego, ogromny brytan przeraził. Tak samo nasi towarzysze, zmierzając do celu swéj wędrówki, przemykali się między groźnemi psami, których poeta odmalował, jakby i sam Potter lepiéj nie potrafił:

Nie wiem, jako się tam było nie lękać,
Kiedy łańcuchy dwaj poczęli brzękać [1]),
Ogromne głosy z siebie wypuszczając,
Na gościa grubą szyję wyciągając,
Ziemi się twardéj spierając nogami
A na przychodnia zmierzając zębami,
Ognistém okiem ustawnie błyskając,
Skry pałające z niego rozżarzając.
Jeden był biały, drugi płutowaty [2]),
Pojrzéć tak miło, jako na dwa katy,
Kiedy się owo ćwiertować gotują,
Około człeka biednego mistrują...
Nie łza [3]) tam było, jedno tędyż mykać,
Tym się zwierzętom opatrznie umykać;
Bo jeden, z płota wisząc, zębem dzwonił,
Drugi cię, krzycząc, ustawicznie gonił...

W dalszym ciągu żarty z hakowicą, podobne do znanéj zagadki u Kochanowskiego.

---

[1]) kiedy łańcuchami (w rękop.) dwa poczęli lekać.
[2]) plamisty.
[3]) nie można.

Wszystkie te fraszki mieszczą się na str. 31 — 119 rękopisu, ale i z poprzedzających wierszy możnaby tu niejeden zaliczyć, np. „O chrzcinach grubą chłopską mową“ (kilku szlachty bierze z daleka udział w wiejskiéj zabawie), lub owo tłómaczenie elegii Owidyusza i innych. Daléj (od str. 120) następują wiersze i napisy na sprzęty i części domu, na łyżki, komin, piec (z przycinkiem do Łaskiego), zapiecek „piekiełek“ i t. d., jakim podobne u Reja w Żywocie (1568) czytamy. Rej sam naśladował je z innych, łacińskich źródeł, np. z przedrukowanego w Krakowie (r. 1539) zbiorku autora Francuza (Aediloquium seu disticha partibus aedium... adscribenda. Autore Gotofredo Torino Biturgico). Pisał je nasz autor dla szwagra i jego nowego domu, a zakończył następnym wyrazem skromności autorskiéj:

Jeśliś chciał wierszów, mogłeś ich mieć dosyć,
Jedno byle tych dwu mistrzów poprosić,
Kochanowskiego, Mikołaja Reja;
Nie omyliłaby cię w nich nadzieja.
Bo-by tam były mądre i ozdobne,
Twoich nowych ścian prawie dobrze godne.
Mnie żeś rozkazał, piszę jakom umiał,
Za które mniemam, że się będę sromał.
Przyjmij za wdzięczne, jako od prostego
Poety, z wierszów nic niećwiczonego i t. d.

Potém idzie odpis Sobótek Jana Kochanowskiego i kilka nowych fraszek; od str. 147 inna już ręka i inna treść.

Początek rękopisu (str. 5 — 30) mieści obok kilku rzeczy, któreśmy nadmienili, pieśni miłosne, należące do najdawniejszych w literaturze polskiéj, mało co późniejsze od wierszy Kochanowskiego do Lidyi. Ale gdy w swych wierszach Kochanowski całą skalę uczuć miłosnych przebiegał, od pierwszego poznania i pragnienia do zdrady i wzgardy kochanki, nasz autor niemal wyłącznie nad rozstaniem z kochanką boleje. Pieśni noszą jeszcze łacińskie tytuły: pierwsza, na str. 9 i 10, „ad am.“ (amasiam, t. j. do kochanki), następne, na str. 5 i dalszych, „ad eandem“ (do tejże); treść pierwszéj: każdy affekt, cóż dopiero miłosny, poznać z twarzy i postawy; mnie miłość rozumu i zmysłów pozbawia, już teraz, w twoich oczach; cóż dopiero pocznę, gdy mi cię opuścić wypadnie; ale bądź pewna méj stałości. Następne podobne w tonie lub treści; brak rysów indywidualnych zastępują utarte ogólniki miłosne; uznajemy gładkość wiersza, widzimy silenie się na koncepty, ale nic nas nie przekonywa o głębokości uczucia. Najkrótsza i najprostsza następna pieśń:

Abym się nie wydał tak nazbyt niedbały,
Piszęć, najmilsza, listeczek ten mały.
Srzerzejem pisał niedawno przez posły,
Jedno nic nie wiem, jeśliże cię doszły.
Toż tęż pociechę między sobą mamy,
Pisać do siebie, niż się oglądamy.
Aleć bym raczéj te listy sam czytał,
Ciebie, me serce, co najrychléj witał.

Inna, z większą pretensyą napisana, miejscami, mianowicie ku końcowi, wcale udatna, podczas, gdy początek, o zabraniu serca, do najwięcéj zużytych motywów należy:

Puść mi wżdy serce, wszak się nie wydziera,
Oto zemdlone w rękach twych umiera.
Ty tylko sama możesz go domorzyć,
Przez cię téż samę snadnie mu zaś ożyć.
Poszlij je kiedy raz w gościnę ze mną
A nie czyń takiéj srogości nade mną.
Wspomnij, żeć to jest własne serce moje,
Któreś ty wzięła, mniemając by swoje.
I dałaś mu tam u siebie mieszkanie,
Jako wesołe, niestetyż mnie na nie!
Z jednéj okowy, z drugiéj strony pęto,
Prawie je zewsząd żelazem ujęto,
Tak, że się nikam [1]) nic nie może ruszyć,
Musi się wrychle w téj niewoli skruszyć.
A większy by dziw, by się mu nie padać [2]),
Gdyż samo z sobą nic nie umie władać.
Tę twoję srogość czas-by już miarkować,
Ucz się inaczéj więźniów takich chować,
Boć się po woli tak dlatego dało,
Aby twą łaskę całą zawżdy znalo.
Ty już wiedz, jako masz mu za to płacić,
Źle-by tak marnie więźnia tego tracić.
Bowiem ci ta złość najmniéj nie przystoi,
A téż się ciebie nic żaden nie boi,
Bo się tak stawisz najlichszéj osobie,
Każdego snadnie przywabisz ku sobie.

---

[1]) nigdzie.
[2]) pękać.

Jedno promyki, coć się w oczach błyszczą,
Te serca ludzkie niepomału niszczą.
Temi więc wszystkich do śmierci zabijasz,
Acz jednych trafiasz a drugich téż mijasz.
O mię się jednak nakoniec oparły,
A mimo wszystkich do mnie się tak wdarły,
I miecąc ogień, przed niém sobie siedzą,
A kiedy przestać, ani o tém wiedzą.

Nakoniec jeszcze z jednéj pieśni kilka rysów rozmowy poufałéj kochanków:

Możesz pomnieć, com ci raz powiedział,
Że w tém więzieniu ciężkiém będę siedział,
Dokąd cię, miła, zdrową nie oglądam,
Nad co ja sobie nic więcéj nie żądam.
Bowiem zdrowie twe droższe niżli skarby;
Twarz twoja milsza, aniż wszystkie farby;
Nie jest rzecz u mnie tak bardzo kosztowna,
Która-by była kiedy tobie równa.
Ale na ten czas trudno pisać o tém,
Bo się skróciło; powiem ci sam potém.
A iż nic nie wiem, rychło-li przyjadę,
Przeto téż czasu pewnego nie kładę.
Jedno się wedle téj praktyki sprawuj,
Czom cię nauczył, a nosek nie żałuj [1]).
Kiedy się będą już prawie dodzierać,
Możecie nas więc bezpiecznie wyzierać.
Jeno w téj łasce niechaj cię zastanę:
Bo gdzie inaczéj wolałbym wziąć ranę.
I ty-byś sama skarania nie uszła;
Bo to nie czary, ani żadne gusła i t. d.

Chociaż już u Kochanowskiego, mianowicie w jego łacińskich erotykach, wiele jest konwencyonalności, przecież dzieje jego serca, jego roskosze i bóle, nie urojone; u późniejszych pisarzy polskich, u Szarzyńskiego, u Hieronima Morsztyna i innych, przeważa zato zupełnie czcza deklamacya miłosna, waryacye jednego tematu, odegrane bez głębszego uczucia i życia. U naszego autora, jakby pierwsze ślady téj gry słów miłosnych, przejętéj z liryk obcych, od Petrarki i innych.

---

[1]) w rękop. noszek, nie nóżek, lecz pończoch lub trzewików.

Przytaczamy jeszcze wiersze, pisane z powodu morskiéj podróży, odbytéj najprawdopodobniéj z Janem Tęczyńskim w r. 1561 lub 1562. Najdawniejszy to opis żeglugi po Wiśle i rozrywek nad brzegami jéj, daléj morza z wszelkiemi przygodami, z chorobą morską i strachem przed wodą bezbrzeżną a burzliwą:

Na miłéj Wiśle służyły nam żarty;
Jedliśmy, pili, grając sobie w karty.
Mało było znać niepogodnéj chwili,
Użyliśmy tam czystéj krotofili.
Bo skorośmy się do lądu przybili,
Z szkut [1]) się zarazem wszyscy wytoczyli.
Jedni się tedyż rozbiegli po lasu
A drudzy darmo nie trawili czasu.
Okazał każdy, co więc przed tém umiał;
Drugi zaś patrzył, jeśli nie rozumiał;
Trudno jednemu we wszystko ugodzić,
Nie może się człek ze wszystkiém urodzić.
Jednak tam każdy wedle swéj chybkości
Dawał ludziom znać, iż ma całe kości.
Ten to miał łatwo z swego przyrodzenia,
Drugi dostąpił z długiego ćwiczenia.
Były muzyki i piękne śpiewanie,
Na wdzięcznych lutniach osobne igranie.
Na wszystkiém wczasie takeśmy się mieli,
Żebyśmy lepiéj już nigdy nie chcieli.
Ale rzecz żadna trwać długo nie może
Prze różne sprawy nad zrządzenie Boże.
Po oném naszém miłém dobrém mieniu,
Prawie spokojném, łagodném płynieniu,
Puściliśmy się na okrutne wały,
Które okrętem i nami miotały,
Zdrowe natury w chore odmieniły;
Kto się przypatrzył, znaki tego były.
Jedni pożółkli a drudzy pobledli,
Ci tém miotali, co po ranu jedli,
Leżeli insi, drudzy się taczali;
Byli, co mówiąc, rzewno narzekali:
„Niestetyż, że nas krom wszelakiéj winy
„Zawiedli nędznych tu w takie krainy,

---

[1]) ze statków, okrętów.

„Gdzie ludzi niemasz, nie widać i brzegu,
„Tylko się znaczą z gwiazdecznego biegu.
„Rostoczą żagle, w którą stronę jadą,
„Czasu, kiedy być, pewnego nie kładą".
To mówiąc z płaczem, często wyglądają,
Ale wyjrzenia po myśli nie mają.
Bo na téj wodzie działają się góry
A z drugiéj strony ciemnéj pełno chmury.
Ziemia daleko, ptak się nie ukaże.
Bowiem każdego niepomału karze,
Temu najwięcéj ciężką kaźnią grozi,
Co Boga bluźni, a po niéj się wozi.
Lecz, że my wszyscy dobrze się czujemy,
Który Bóg nasz jest, w piśmie o tém wiemy,
Prośmy dziś Jego najświętszéj dobroci,
Niechaj nam wałów burzliwych ukróci,
Żebyśmy mogli skały i szturm minąć,
Sami do brzegu we zdrowiu przypłynąć.

Myśl ostanią rozwija poeta szerzéj i protestanckie poglądy silniéj uwydatnia w osobnym wierszu, pisanym, gdy okręt już w skały wjeżdżał; wspomniawszy o poganach, którzy w danym razie do bałwanów i ofiar się udawali, prawi daléj:

Ale z czasem zaś wszystko ustało,
Lecz coś inszego krom tego zostało.
Jedni dziś zwykli przed obrazy klękać,
Kogoś innego, nie Boga się lękać.
Domowych bożków darmi ubłagają,
Panu przystojnéj chwały nie działają.
Bowiem woskowe świeczki k'ścianam lepią,
Lud prosty zwodzą, a sami się ślepią.
Więc na rozliczne odpusty biegają,
To za osobną swą odpłatę mają:
Im kto najwięcéj klasztorów nawiedzi,
Będzie przesłuchan zausznéj spowiedzi,
Ten się spodziewa sowitéj nagrody
Za one wszystkie podróżne swe szkody.
A komu się z nich lepiéj kędy zdarzy,
Już więc nie proste, lane świece żarzy.
Wy pewnie wiecie, że ci wszyscy błądzą.
Którzy się tak źle, niepobożnie rządzą,

Bo nasz Pan nie chce mieć inszéj ofiary,
Więcéj w tém patrzy w nas statecznéj wiary,
Którą tak mocno słowem swym funduje,
Że góry znosi, a drugie buduje.
My tedy bacząc, że te wszystkie rzeczy
U Pana Boga nie są w żadnéj pieczy,
Serca mu nasze szczerze ofiarujmy,
Za dobrodziejstwa obfite dziękujmy.
Gdyż wiara nasza jest od innych różna,
K' temu modlitwa nie jest nigdy próżna,
Która z uprzejméj, cnéj myśli pochodzi,
Ta wszystkie chóry niebieskie przechodzi,
Przez tę my łaski Pańskiéj dostąpimy,
Dobrze to z Jego obietnicy wiemy.

Ale dosyć prób i wypisów; streśćmyż nareszcie sąd o autorze, czém był dla literatury XVI wieku? czém dla nas zostanie? Co do cech zewnętrznych, forma jego wiersza niezbyt go zaleca: rymy słabe, słabsze niż u Kochanowskiego, takie niemal jak u Reja, to znaczy, że gramatyczne przeważają, a niedokładnych wiele. Widzimy, że autor trzyma się wyłącznie jednéj miary, u współczesnych bynajmniéj nie tak zwykłéj, mianowicie wiersza jedenastozgłoskowego; tylko w tłómaczeniu z Owidyusza użył czternastozgłoskowego. Język jego dziwnie przejrzysty i płynny; czytając tak te jasne i potoczyste wiersze, ledwie uwierzysz, że je przed trzystu trzydziestu laty spisano; gładkością swą prześcigają niemal wszystkie XVI wieku; zato raczéj brak owych jędrnych, zwięzłych, energicznych zwrotów staropolskich. Mdlejszy tu język, niż u Reja lub Kochanowskiego, a łatwe wysłowienie staje się płytkiém, prozaiczném, przytém rozwlekłém; nierzadkie są wtręty, słowa bez znaczenia, które tylko wiersz wypełniają, ale ten brak dosadnego, treściwego skupienia, tłómaczy się niemal samym wyborem tematów, wziętych z życia codziennego, jakby wymagających formy powszedniéj, niewyszukanéj, nieco zaniedbanéj.

Inna miła niespodzianka — brak mitologii i klasycznych reminiscencyi, tych, zdawałoby się, niezbędnych akcesoryów XVI wieku, które nas u Kochanowskiego tak rażą; na kilka tysięcy wierszów, nazwanie groźnych psów Cerberami, wzmianka o Bachusie, przetłómaczenie jednéj elegii, otóż i wszystko, co łaciną i szkołą trąci, jeśli pominiemy łacińskie nagłówki kilkunastu wierszy, jakich i Kochanowski używał, wskazując tém niemal na obcy pień, od którego się owe pierwsze wiersze polskie odszczepiały. Widoczny tu wpływ Reja,

a może i protestantyzmu, który, jako reakcya przeciw zęświeczczeniu i spogańszczeniu, starożytności klasycznéj mało dowierzał.

Jeszcze ciekawsze i przyjemniejsze—ów wyłączny wybór tematów swojskich, codziennych, od grubych żartów na Wąwelnicę i różnych szlacheckich anegdot i trafów humorystycznych, do całych obrazków, jak we „Wtargnieniu“ lub w „Biesiadzie“. Ci, którzy od Kochanowskiego i klasycyzmu liczą zwichnienie narodowéj poezyi, zapowiadającéj się w Reju, mogliby się na te wiersze powołać, jako na dowód, że na torach Rejowych można było artystycznie tworzyć. Ale pominąwszy niesłuszność wymagania, aby literatura, odżywiona światłem zachodu, właśnie najsilniejszemu prądowi tegoż zachodu się oparła, nie wolno nam o tém zapomnieć, że mamy przed sobą tylko fraszki, najniższy rodzaj poezyi, dla którego wymagań wielkiéj sztuki prawie niéma; pytanie jeszcze, czy poeta, który we fraszkach był narodowym, potrafiłby i w epopei pozostać narodowym, nie mówiąc o dramacie. Takie fraszki popłacały wtedy bardzo; pisał Rej coś podobnego, pisali je Kochanowski i nasz autor, a i inni na tém polu sił probowali, które widać wcale modne było: gniewał się na ich brak statku, na wietrzność i płochość zgrzybiały Marcin Bielski i taką w swéj „Sprawie Rycerskiéj“ (r. 1569) do Kochanowskiego i towarzyszy wypalił admonicyę:

Dosyć się insi w Polsce błazeństw napisali,
I koło nich rozumy doma uwikłali.
Gdzie pojrzysz, ali fraszki, a dziś są też w cenie,
Z których snadnie prostaka do sieci przyżenie [1]).
I tych się naczytawszy, ali pieprz zawinąć;
Żeś dał pieniądze w ten dzień, źle możesz wspominąć.
I składaczowi [2]) za to sławy nie przyrośćie,
Jeszcze za próżne słowa źli go wezmą goście.

Ale sarkanie Bielskiego niesprawiedliwe: i we fraszkash można przestrzédz i nauczyć, jakby i zgryźliwa satyra lepiéj nie zdołała, a przekonał o tém właśnie nasz autor. Bo czyż można nieprzygotowanie do wojny np. dosadniéj odmalować, aniżeli on to we „Wtargnieniu“ uczynił? albo sprośność i złe skutki pijaństwa? Do iluż z tych fraszek nie dałoby się zastosować „haec fabula docet“. A owe zwroty przeciw katolicyzmowi, albo owe wyrzuty przeciw królowi, radzie i egzekucyi, albo owa przestroga do Polaków na początku fraszek? Formą żartu wiele prawdy, nauki i przestróg okryć się dało; więc

---

[1]) nagoni.
[2]) poecie.

i pod tym względem Fraszki naszego autora objaw wcale pocieszający.

Nakoniec, widać w tych fraszkach niezaprzeczony talent epicki, którego brak u pisarzy Zygmuntowskich widoczny. Oni oddają uczucia i myśli, oni płaczą i cieszą, chwalą i ganią, uczą i grożą, karzą i straszą; ale nie kształtują ani malują; sztuka ich napoły retoryczna, przemawiająca nie do wyobraźni, lecz do rozumu i serca, nawet do niezbędnych obrazów, do porównań czerpie tylko z odwiecznych, gotowych zasobów; oni zmysłami własnemi niczego nie obserwują. Czytając zaś naszego autora, widzimy wszystko jak najdokładniéj; barwy, kształty i ruchy narzucają się wyobraźni i wywołują niezatarte wrażenia: czy owe straszne brytany, czy szlachta, stojąca około konia lub rzucająca się śnieżkami, czy gwarna izba i tłumy biesiadników, czy ten król poprawiający czapeczkę, a potrząsający główką, czy owi dworzanie wysypujący się ze statku na lesisty brzeg Wisły, gdzie wyprostowują członki i bawią się harcami i muzyką. To dobieranie szczegółów charakteryzuje autora, świadczy o bystrym wzroku, przed którym nic nie ujdzie, o zajęciu się drobnostkami i śmiesznościami, które ludzi malują; a co za tém mimowolnie idzie, opisy tego wszystkiego, co tak dobrze widział, zaprawia autor dobrodusznym uśmiechem, nader rzadkim w literaturze owych czasów, w któréj satyryk, nie humorysta rej wodzi. Z humorem np. opowiada, jak biesiadniczkowie z każdéj pauzy korzystają, by się do kufli dobierać, jak oni ów list czytają, jak dwóch szlachciców w Lubelskiém słudzy ich, którymi się chełpili, szpetnie w pole wywiedli i t. p.

Nie mylimy się, twierdząc, że to niezupełnie pospolity poeta, nie jeden z tych, co tylko rymy po ścianach kreślili; zbierał on swe utwory, które godne były, by je czytano i przepisywano. Byłożby to prawdopodobném, żeby tak wybitny autor mógł przéjść zupełnie niepostrzeżonym, żeby żaden ze współczesnych nie wymienił ani razu jego nazwiska nawet? W owéj najwcześniejszéj dobie poezyi polskiéj, gdzie prawdziwych talentów tak mało jeszcze liczono, miałżeby on zniknąć bez śladu wspomnienia? Nie mogliśmy temu wierzyć, mimo to, nie chcąc zdania naszego z góry czytelnikowi narzucać, zachowaliśmy je aż na koniec, jakby tylko do przypisku. Mniemamy, że nasz autor, to *Stanisław Porębski*, ale czy ten sam, który r. 1559 był na wydziale prawniczym w Padwie, wątpimy. Otóż między swemi fraszkami wystosował Kochanowski jednę do St. Porębskiego:

Jeśli co ważne jest świadectwo moje,
Porębski złoty! skotopaski twoje
W téj wadze u mnie, żeby się mógł do nich
Teokryt przyznać. Tak ja trzymam o nich.

Jedyna to, ile wiemy, wzmianka o autorze, o którym nawet Starowolski niczego nie zapisał; jego skotopaski, t. j. bukoliki, sielanki, znane w odpisach, nie przedrukowane, zaginęły może niepowrotnie. Fraszka Kochanowskiego, napisana w jedenastozgłoskowym wierszu, którym nasz autor zawsze się posługuje; Kochanowski nazywa go „złotym“, odnosimy to tylko do autora, do stylu — nasz autor i jego styl, jak widzieliśmy, również téj nazwy godzien; Kochanowski porównywa go nie z Wergiliuszem, lecz z Teokrytem, pewnie nie bez przyczyny: szesnaste stulecie różnicę między tymi dwoma pisarzami dobrze znało, Szymonowicz np. stawia Teokryta nad Wergiliusza; idyle Sycylijskiego poety nie były tylko sielankami pasterskiemi—i obrazki miejskie w nie wchodziły, może więc i między skotopaskami Porębskiego znajdowały się obrazki szlacheckie, jak „Biesiada“ lub „Wtargnienie“. W rękopisie naszych fraszek następują po nich „Sobótki Jana Kochanowskiego“, odpis nie z druku, ale jeszcze z rękopisu, którym się może Kochanowski Porębskiemu za przesłanie skotopasek odwdzięczył. Fraszki i skotopaski Porębskiego, niekatolika, jeźli się nie mylimy, tém łatwiéj zaginąć mogły w czasach reakcyi.

Oto wskazówki, które nas na ten domysł wprowadziły. Czy przyszłość go sprawdzi, czy też zupełnie odrzuci, zawsze pozostaną te poezye cennym nabytkiem dla literatury XVI wieku. Jesteśmy przekonani, że dla korzystnego o nich zdania, jakieśmy się uzasadnić starali, całkowite ich wydanie jeszcze silniejszą podporą się stanie.

A. Brückner.

„WYDZIEDZICZONY”.

I.

Siedział i pisał...

Przed nim stoi mała lampka, która zaledwie na ćwiartkę papieru rzuca jaśniejsze światło· Oświeca także ukośnie kilka książek i dwa stosy starannie powiązanych papierów.

Mężczyzna, który pisze, jest młody, ma twarz bladą i zmęczoną. Jaśniejsze światło lampy pada na profil kształtny, oświeca czoło wypukłe, pod którém błyszczą oczy głęboko osadzone. Cała przestrzeń niewielkiego pokoju chowa się w półcieniu. Jak przez mgłę jesienną widać małą sofkę, służącą oraz za skład różnych ubiorów, przed nią stolik, parę fotelików i kilka krzeseł. Ściany szare, bez żadnych ozdób, jednostajne, przypominają koloryt pustyni.

Po lewéj stronie biurka, korzystając z jaśniejszéj smużki światła, siedzi młoda kobieta, zajęta robótką szydełkową. U jéj nóg na małym stołeczku siedzi chłopczyna, opierając głowę o kolana matki. Twarz młodéj kobiety po nad smugą światła tonie w półcieniu. Jest blada, otoczona bujnemi włosami, które na ramionach przybierają w promieniach światła jasną, złocistą barwę. Oczy, do połowy rzęsą przykryte, mają wyraz rozmarzenia, z ust napół otwartych wychodzi cicha, niedosłyszana skarga. Najjaśniéj oświecone są ręce z włóczką czerwoną. Są one małe i mają ruchliwość rąk pracowitych.

Ta sama jasna smuga oświeca głowę chłopczyny. Bujne, złote kędziorki rozsypały się na łonie matki, jak garść dojrzałych kłosów pszenicznych, a na okrągłéj twarzy błyszczała para dużych, szafirowych oczu. Oczy te zwrócone były na twarz piszącego młodego mężczyzny, jakby czegoś z upragnieniem oczekiwały.

Kilkakrotnie zwracały się te oczy z jakąś prośbą do matki, ale podniesiona ręka młodéj kobiety nakazywała milczenie.

Młody mężczyzna przestał pisać i spojrzał na zegarek. Była godzina jedenasta. Wstał i wyprostował się po pięciogodzinnéj pracy Był średniego wzrostu, szczupły, z piersią od pracy zapadniętą. Po bladéj twarzy przebiegał chwilami rumieniec.

Chłopczyk złotowłosy porzucił teraz ciepłe łono matki i przybiegł do ojca.

— Tatku,—zawołał, obejmując jego kolana,— tatko pójdziesz teraz do miasta i przyniesiesz mi ciasteczko z cukierni, bo mi się bardzo chce jeść! Prawda tatku, że przyniesiesz?

Młody mężczyzna spojrzał przed siebie okiem zamglonêm, jakby nic przed sobą nie widział. W jego wyobraźni majaczyły jeszcze resztki tego, o czém przez kilka godzin śnił, marzył i pisał. Patrzał na to, jak na ulubione dziecię swoje, i byłby długo małego Romcia nie obaczył, gdyby głos młodéj kobiety nie był go do rzeczywistości przywołał.

— Ojczulko przyniesie ci ciastko,— ozwała się głosem macierzyńskim,—ale potrzeba, aby Romcio był grzeczny i spać poszedł. Gdy się obudzisz, będziesz miał ciastko pod poduszką.

— Mateczka zawsze tak mówi,— odparł chłopiec smutno,—a jak się przebudzę, pod poduszką nigdy nic nie mam!

Młody mężczyzna chwycił teraz chłopczyka pod ramiona i podniósł go do góry. Ucałował namiętnie jego różową twarzyczkę, przycisnął do zapadłéj piersi, i złożył na łonie młodéj kobiety.

— Może masz co dla niego? — zapytał, całując czoło młodéj kobiety.

Młoda kobieta podniosła czoło do ust męża, ale oczy szybko przymknęła, aby mu łez swoich nie okazać.

— Może co znajdę,— wyszeptała cicho.

— Mama nic nie da,—zawołał chłopczyk,—bo mama nic nie ma. Szukałem wszędzie: w szafie, w pudełkach i w kuferku. Nigdzie nic nie było!

Ojciec pogłaskał chłopczyka po włosach.

— To twoja wina, Romciu,—rzekł z namaszczeniem,—żeś nic nie znalazł. Jeżeli mały chłopczyk jest niegrzeczny, to Bozia tak zrobi, że on ani ciastka, ani orzechów nie widzi.

— Ja byłem grzeczny, tylko trochę płakałem, bo mi się jeść chciało!

— A nie będziesz dzisiaj płakał?

— Nie.

— To jak się obudzisz, będziesz miał coś pod poduszką.

— Podziękuj Romciu ojcu—rzekła matka, pochylając się nad robótką, aby ukryć oczy, łzami zalane.

Mały Romek pobiegł do ojca i w rękę go pocałował.

— A teraz do pracy!—zawołał szczęśliwy ojciec, ściskając ukochanego jedynaka.

Uściskał żonę, wziął ze sofy wyszarzały paltot i wyszedł.

II.

W ubogim pokoju zapanowała teraz cisza. Kroki ojca rodziny, idącego o północy do pracy, przebrzmiały już w wilgotnych murach domu, a nawet ciężka brama już się za nim zatrzasnęła.

Młoda żona mogła teraz rozrządzać całą lampą. Dokończyła robótki; małego Romcia, który, jak ojcu przyobiecał, z grzeczności zasnął na jéj łonie, zaniosła do łóżeczka i tam go złożyła. Patrząc na jego różową buzię, która płonęła marzeniem o tém, co po przebudzeniu miał znaleźć pod poduszką, zalała się łzami i śpiesznie na palcach odeszła.

Siadła na krześle przy biurku. Podparła głowę i zamyśliła się.

Myśli jéj, jak zawsze, tak i teraz, wybiegły w jedną stronę

Myślała o pierwszych chwilach swego szczęścia, o pierwszych i późniejszych łzach swoich.

Była to zwykła dziejów ludzkich historya. On był młodzieńcem, ona młodą dziewicą. Któż w młodości nie był poetą? Któż nie uczuwał wtedy w duszy owych szlachetnych porywów, które miały ludzkość pchnąć na nowe tory, a imię wielkiego człowieka wynieść ad astra? Któż nie miał w sercu swojém tego świętego ognia, jakim chciał całą ludzkość do wielkich czynów zapalić?

Marzył o tém także Konrad Żalski w mundurze studenckim. Koledzy wiedzieli, że te marzenia przelewał w wiersze i nazwali go nawet Alfem, który krzyżackie hordy rozgromił. Znalazła się także Aldona, któréj Żalski swe wiersze czytywał, a która za te wiersze oddała mu całe serce.

Była wielka miłość, było dwoje kochanków, były w przyszłości poemata i sława, ale dotąd—nie było chleba!

Ale od czegóż młodość?...

Tak myślał młody marzyciel. Siadł i napisał poemat o dziesięciu*długich pieśniach. Przyjaciel z ławek szkolnych, a chwilowo reporter jednego z pism brukowych, zamieścił między legendą o wężu morskim a kradzieży przy ulicy Okopowéj sensacyjną wiadomość o nowym poecie i jego poemacie w dziesięciu długich pieśniach. Dodał sporo pieprzu i soli, napomknął skromnie o lutni po Bekwarku i jéj nowożytnym spadkobiercy.

Codzienni czytelnicy ucieszyli się nową gwiazdą literacką, senat literacki przecierał oczy, chociaż gwiazdy jeszcze nie widział.

Świeciła ona za różowym obłoczkiem, a blask jéj upajał młodą Aldonę i kilku przyjaciół.

Poematu o dziesięciu pieśniach żaden nakładca jeszcze nie wydrukował. Odczytywano go sumiennie w małém kółku najserdeczniejszych przyjaciół. Młoda Aldona widziala w tym poemacie arcydzieło, a bladego autora uwielbiala aż do szału. Pojedyńcze pieśni umiała na pamięć i powtarzała je, idąc na spoczynek lub budząc się ze snu.

Wobec tak gorącéj miłości trudno było czekać na księgarza i uznanie senatu literackiego. Nastąpi to samo z siebie.

Alf i Aldona pobrali się. Drobne oszczędności, pozostałe po babce Aldony, długoletniéj emerytce, wystarczyły na skromne mieszkanko i skromniejsze jeszcze obiadki dla dwojga kochanków.

Matka małego Romcia dobrze przypomina sobie owe szczęśliwe chwile. Były dwa pokoiki z kuchenką. Okna wychodziły na mały ogródek w dziedzińcu. Górą świeciło niebo, przelatywały wróble, a na dole płynęły obfite rynsztoki, śród których toczyły walkę o byt psy bez służby i wychudłe szczury.

Widok taki urozmaicał szczęśliwe chwile młodego małżeństwa, a marzenia i plany na przyszłość rosły po każdym niedojedzonym obiedzie, gdy pieczeń była za twarda, a legumina miała woń odrażającą.

Śród tych uciech i rozkoszy nie spuszczał Żalski wielkiego celu z oka. W chwilach wolnych od pieszczot i trosk o przekąskę do herbaty, zasiadał przy stole i pisał. Stosy papieru piętrzyły się coraz wyżéj, kilka flaszek atramentu wsiąkło w te stosy, przyjaciel-reporter przemycał na utrapienie redaktorów sensacyjne wiadomości o wielkich dziełach, leżących dotąd w ukryciu; ale dotąd nie było nakładcy, a senat literacki nie śpieszył się wcale, choćby tylko z przedmową do tych dzieł ukrytych. Na wszystkich wielkich ludzi patrzano zrazu obojętnie.

Przyjaciel-reporter robił, co mógł. Był genialny w zaciekawianiu publiczności. Po każdéj herbatce, wypitéj u nieznanego dotąd

autora, zamieszczał między różnemi wypadkami, że pan Konrad Ż., utalentowany poeta, zbiera materyały do wielkiego dzieła — że już zebral—już pisze—jest w połowie pracy—kończy—skończył! Odczytanie téj pracy w gronie znawców zjednało autorowi niesłyszane dotąd oklaski!

Gdy to nic nie pomogło, przyjaciel-reporter probował innéj drogi. Doniósł, że mały Romcio, syn znanego p. Konrada Ż., który pracuje nad obszerném dziełem, bawiąc się w dziedzińcu, o mało co nie wpadł w otwarty kanał. Daléj donosił, że p. Ż, wracając późną nocą do domu, został napadnięty przez rabusiów, którzy jednak nic mu nie wzięli, dowiedziawszy się od niego, że na dzieło swoje: „Siłą i mocą" nie znalazł jeszcze nakładcy. Wszystko to jednak niewiele pomogło.

Stanęła wreszcie walna narada przy chudéj herbatce. Przyjaciel-reporter poznał antykwarza, któremu przyobiecał reklamę dla jego książek. Namówił go do wydania małego dziełka, które może narobić hałasu. Przyrzekł, że sam w większéj części przyczyni się do tego. Właśnie o téj nowinie zdawał sprawę szczęśliwym małżonkom.

Wielka była radość przy cienkiéj herbatce i bułkach groszowych. Nawet mały Romcio skakał po pokoju. Pani Żalska chciała wybrać poemat: „Do śmierci twoim", ale Żalski był za podnioślejszym tematem. Wybrał: „Na skrzydłach Ikara".

Poemat odczytano jeszcze raz i, mimo protestów małego Romcia, który długiego czytania nie chciał słuchać, uznano go za najlepszy. Żalska płakała ze wzruszenia.

Za miesiąc jeszcze większa była radość przy herbatce. Przyjaciel-reporter czytał swoje sprawozdanie o wyszłym poemacie: „Na skrzydłach Ikara" przez Konrada Ż.

Przygodny recenzent zaczął od stromych dróg, jakiemi zwykli chadzać geniusze, przeszedł potém na urwiska i potoki, które przebywać muszą nieznani autorowie, zanim laurem głowę swoją uwieńczą... schwytał wreszcie Ikara za skrzydła i kazał czytelnikom dobrze mu się przypatrzyć. Mówił o tęczach wyobraźni i brylantach myśli podniosłych, o „pogłębieniu światła a wydatności cieni", o typach zbiorowych a wyjątkowych indywidualnościach, o śmiałych, szerokich rysach a drobiazgowém, jak koronka norymberska, wykończeniu—słowem, był tam zbiór tanich superlatywów, jakiemi posługuje się zwykła brukowa reklama. Reklama ta padła jednak na ziemię urodzajną.

Autor Żalski odciągnął coś z tych superlatywów na rachunek przyjaźni recenzenta, zostawił jednak tyle, że i nałogowy pijak mógł

się tém upoić. Oczy mu zabłysły jak dwie pochodnie, zapadła pierś podniosła się jak pancerz rycerza. Żalska mogła już tylko łzami okazać radość za pasowanie męża na genialnego autora. Nawet Romcio nie krzyczał, tylko ciekawie wpatrywał się w twarz ojca, niezwykle rozpromienioną.

Jakkolwiek głos recenzenta w małém pisemku był głosem wołającym na puszczy, Żalski uwierzył w swoje namaszczenie i z gorączką zabrał się do pisania nowych dzieł. Zachęcała go do tego młoda małżonka, któréj swe utwory czytywał. Widziała w każdym z nich skończone arcydzieło.

Arcydzieła te jednak nie mogły znaleźć ani nakładców, ani chętnych redaktorów. Nawet na konkursach nie miały powodzenia.

Nie odstraszało to jednak młodego autora. Goethe miał powiedzićć, że geniusz, to wytrwałość w pracy. Niepoznany autor nie upadł na duchu, ale postanowił wytrwać na posterunku. Pisał, rozsyłał po redakcyach, a zwrócone manuskrypta związywał szpagatem i na bok odkładał.

Przy biurku, na którém owe manuskrypta leżą, siedzi właśnie żona autora. Wzięła do ręki pierwszy gruby fascykuł i przeczytała napis: „Siłą i mocą".

Znała tę powieść bardzo dobrze. Czytał jéj mąż kilka razy, a ona sama odczytywała kilkanaście razy. Płakała zawsze przy niéj, redaktor jednak był człowiekiem z kamienia. Przylepiona na tytule, wycięta z dziennika karteczka, opiewa:

„Odpowiedzi od redakcyi: Panu Konradowi Ż.: „Siłą i mocą" nie można odrazu wtargnąć na Parnas. Są tam rzeczy niezłe, a nawet i nowe, ale wiele banalnych. Dzisiaj limoniada nie popłaca, potrzeba pieprzu, octu i oliwy. Autor nie powinien ustawać w pracy".

Żona autora otarła łzy z oczu i wzięła drugi manuskrypt, który miał napis: „Duch wieku". Na wyciętéj z dziennika kartce stało: „O duchach bezcielesnych dzisiaj się nie pisze. To, co między nami żyć ma, musi się nam w pewnych kształtach objawić. Asmodeusz przypomina Fausta, a cały utwór zakrawa więcéj na traktat filozoficzny, niżeli na obraz wieku. Autor ma widoczny talent, niech daléj pracuje".

Kobieta westchnęła i wzięła trzecią paczkę papierów do ręki. Był to dramat, wysłany na konkurs. Powrócił z notatką, „że mógłby mieć tylko wartość literacką, ale nie jest sceniczny. Wiersz gładki, myśli podniosłych bardzo wiele, ale brak ruchu i intrygi. Niech się autor zapozna z techniką sceniczną, a będzie mógł coś dobrego napisać".

Złożyła z westchnieniem ten dobrze jéj znany manuskrypt, i przeszła do czwartego, piątego, szóstego...

I cóż po tém wszystkiém zostało?

Fundusik po ś. p. babce wyczerpał się, a biedny autor musiał przyjąć skromną posadę korektora nocnego w drukarni, w któréj wychodziło poranne wydanie jednego z pism codziennych. Oboje wierzyli, że ta posada jest tylko tymczasową, i że po pierwszém uznaném dziele nadejdzie sława, a z nią i lepsze czasy.

Tymczasem potrzeba było cierpieć głód, chłód i nędzę — czyli, jak się wyrażał Konrad, potrzeba iść „per aspera ad astra!“

Blada kobieta otarła łzy po tych wspomnieniach, wzięła lampę i jeden z manuskryptów, i cicho weszła do drugiego pokoiku, w którym na białéj poduszce leżał uśmiechnięty Romcio.

Marzył o tém, co znajdzie pod poduszką, gdy się obudzi.

III.

Mała izdebka w suterenie. Nad dużym stołem zwieszona lampa oświeca stosy papierów. Na szarych ścianach tworzy wilgoć różne fantastyczne obrazy. Przez szklane napół otwarte drzwi zalatuje przygłuszony huk maszyn drukarskich i przytęchła woń pokostów i smarowidła.

Przy stole, pochylony nad korektą, siedział Żalski. Pisze, kreśli, zagląda do manuskryptów, i znów maże i pisze. Zapadłe jego oczy świecą się, jak dwa robaki świętojańskie, a górne powieki zapadają od znużenia. Wkoło niego leżą na ziemi zapasy papieru, makulatury i pocięte nożycami dzienniki. Osmolony, jak kominiarz, chłopak przybiega co chwila z odbitką, z któréj czuć przerażającą woń drukarską. Żalski wciąga tę woń w swoją pierś zapadłą, czyta, kreśli, poprawia.

Około drugiéj po północy wchodzi do izdebki jeden z reporterów, który ostatniemi wypadkami miał zapełnić pół kolumny pisma. Minę miał desperacką.

— Jak widzę, potrzeba zdechnąć przy téj pracy,—ozwał się, rzucając zagasły papieros—no, nic i nic! Dorożkarz nikogo nie przejechał, nikt nogi nie złamał, żaden kanał nie zawalił się, a nawet pożaru nie było! Jak tak daléj pójdzie, to nie wiem, co robić?

— Pisz pan artykuły literackie,—odparł smutno Żalski.

Reporter machnął ręką.

— Nie zda się psu na buty! Dziś lada łobuz powiada, że jest literatem! Ja tam nie miałem pretensyi do literatury, ale w mojéj

reporterskiéj rubryce często o literaturę zawadzę. Ot i dzisiaj potrzeba coś literackiego wykoncypować.

— Cóż takiego?

— Oto zmyśliłem następujący wypadek: W powiecie X. odbywały się u państwa Y. zaręczyny córki. Pan młody wybrał się właśnie saniami na tę uroczystość, gdy nagle za lasem napotkał gromadę wilków. A że miał dubeltówkę i rewolwer, rozpoczęła się walka zacięta. Wilki nie chciały ustąpić, a narzeczonemu także pilno było do narzeczonéj. Już kilka wilków położył trupem, już ostatni wystrzelił nabój, już wilk, biegnący tuż przy sankach, wyszczerzył do niego zęby—gdy nagle sanki się wywróciły!... Pan X. uczuł, że siedzi na wilku, a że to był człowiek, który z każdéj okoliczności umiał skorzystać, wziął wilka za kudły i hajże za końmi! Wilk, na którego grzbiecie nikt jeszcze nie siedział, zgłupiał formalnie i dał się jak ciele powodować. I tak narzeczony przyjechał do panny na wilku. Odtąd powinien być zmieniony Fredrowski wiersz:

Jeśli nie chcesz mojéj zguby,
Krokodyla daj mi luby!

na wiersz:

Za tego pójdę z pomiędzy kilku
Który przyjedzie do mnie na wilku!

Blady Żalski zaśmiał się.

— Czemu pan nie pisze humoresek?

— Pisało się, pisało — ale to do niczego! Jedną wydrukują, a pięć rzucą do kosza. Czytałeś pan moją nowelkę: „Koń bez ogona“ przez Gamajdę? Podobała się powszechnie.

— Zdaje mi się, że pod tym pseudonimem pisze kto inny.

— To ja panie, ktoś mi tylko sławę odbiera.

Otworzyły się znowu drzwi izdebki. Wszedł drugi współpracownik. I ten nie miał dobréj miny.

— Czy na jutro fejleton zajęty? — zapytał, nie zdejmując kapelusza.

— Zajęty,—odpowiedział Żalski.

— Któż tam wlazł znów?

— Zawsze nasz stary.

— Stary, ale jary,—mruknął pierwszy reporter.

— Zawsze młody i niewyczerpany! Z każdym dziesiątkiem lat przybywa mu ognia i fantazyi!—dodał Żalski.

Desperat rzucił kapelusz na stół.

— Dokąd ten stary wyga będzie zasypywał wszystkie fejletony? — zawołał, zapalając papieros,—czas ostateczny, aby poszedł

sobie „ad patres!“ Człowiek przez niego nie ma ani kąta w żadném piśmie.

— Oby żył i pisał jak najdłużéj! Czytają go i lubią!

— Głupia publika! Wszak to taka nędzota, co on gryzmoli!

— To pisz pan lepiéj!

— Dlaczegoż nie?... Tymczasem przetłómaczyłem z duńskiego głośną powieść pod tytułem: „Trup bez paszportu!“ Powiadam wam, że ciarki biegną po grzbiecie, gdy się to czyta!

Żalski uśmiechnął się, reporter ciekawie spojrzał na tłómacza.

— Czyby nie można — zapytał — urządzić z téj wiadomości małego artykuliku reporterskiego... tak... na pół rubelka?

— I owszem — odrzekł tłómacz z duńskiego—mogę nawet dać panu tytuły rozdziałów: „Śmierć za życia“, — „Życie po śmierci“,— „Grobowiec i policya“,—„Policya za grobem“— i—„Nieboszczyk bez paszportu“. W końcu jako epilog: „Sąd przedostateczny i wyrok banicyi na ziemię!“

— Ależ to łysemu włosy na głowie stają!—zawołał Żalski.

— Emerytom na perukach powstaną włosy, gdy będą czytali! odparł tłómacz z duńskiego—ale cóż z tego, kiedy ten stary gryzmoła wszystkie fejletony zapełnia!... Ale dam ja jemu! Już gotuję artykuł pod tytułem: „Sieczka zamiast chleba!“

— Sieczką tą wypasło się nieźle dwa pokolenia, a jak chleb twój będzie z zakalcem... albo, co gorsza, wzięty z pierwszego lepszego straganu?

— To się dopiero okaże,—odparł zdesperowany literat bez miejsca w fejletonie.

Chłopiec drukarski przyniósł nową korektę dla Żalskiego; reporter usiadł, aby artykulik o powieści duńskiéj napisać, a tłómaczowi duńskiemu nie pozostało nic innego, jak z „Trupem bez paszportu“ udać się do domu na spoczynek.

Może łaskawe nieba spuszczą na niego sen rozkoszny, że stary, a tak płodny autor, pożegnał się dzisiaj z tym światem i z fejletonem wszystkich polskich dzienników!

IV.

Właśnie biła czwarta godzina po północy, gdy nowy gość zjawił się w podziemnéj izdebce. Żalski, który już korektę był ukończył, powstał na powitanie tego gościa.

Był to jeden z redaktorów pisma, który zwykle literackie sprawy załatwiał. Już sama postawa jego wskazywała, że godny był ta-

kiego stanowiska. Miał głowę do góry podniesioną, włos szpakowaty, czoło jakby w gniewie zawsze zmarszczone. Nazwiskiem swojem nie ozdobił żadnéj książki, ale zato mówił o wszystkiém, dawał rady, na konkursach ferował wyroki.

Żalski z uszanowaniem zbliżył się do niego.

— Przyszedłem podpisać numer, czy już gotów? — zapytał redaktor.

Żalski podał mu świeżą odbitkę. Redaktor rzucił okiem na zadrukowany papier i podpisał.

— Czy pan redaktor przeczytał mój manuskrypcik? — zapytał Żalski z pewną obawą w spojrzeniu.

Redaktor potarł ręką po szerokiém czole.

— Przepraszam pana,—rzekł po chwili,—nie miałem na to czasu. Ale coś trochę tu i owdzie przeczytałem i mogę panu dać tymczasem odpowiedź.

Zrobił dłuższą pauzę, a potém mówił daléj:

— Już to pan zawsze w jedném kole się obracasz. Chcesz pan ludzkość zaprowadzić na jakieś wyżyny, na których nawet trawa nie rośnie, a cóż dopiero mówić o chlebie, którego każdy człowiek potrzebuje. Wyleciawszy raz pod obłoki, bujasz pan sobie tam, jak skowronek, i chcesz aby wszystkie kury, kaczki i gęsi, a nawet cielęta i barany do pana pod obłoki przyleciały!... Na to trudna rada. Ludzkość nie potrzebuje dzisiaj uwieńczonych w laury przewodników z kagańcem Pompejańskim w ręku, bo ona sama zbitą masą naprzód postępuje! Ludzie talentu mają dzisiaj w literaturze inną rolę. Obowiązkiem ich jest zbierać i opatrywać tych nieszczęśliwych, którzy w pochodzie ludzkości z sił opadli, lub z powodu niedostatku i ran na nędzny żywot są skazani. Do tych należą biedni, ze wszystkiego, czego do życia potrzeba, wydziedziczeni, słowem nędzarze! Takich bohaterów nędzy i ubóstwa, takie wydziedziczone dzieci ludzkości, bierze dzisiaj nadobna literatura w opiekę. Milionowy bogacz, Wiktor Hugo, tylko o nich myślał i pisał. I my nie powinniśmy w tyle po za tym szlachetnym prądem pozostać! Dlatego radzę panu, abyś, zamiast szamotać się z równymi sobie i ich w górę podnosić, raczył zejść do owych nizin, na których jęczą i płaczą nędzarze. Pióro pana niech dla nich wywalczy jałmużnę u możnych, niech będzie dla nich opiekunem, który słuszną ich sprawę przełoży bogaczom tego świata! To będzie dla pana laurem niepożytym, który i po śmierci nie zwiędnie!

Gdy Żalski te słowa usłyszał, zdawało mu się, że nagle otworzył się przed nim nowy horyzont, którego dotąd nie widział.

Po wyjściu redaktora usiadł na krześle, aby zamarzyć o tém, co się teraz jego oczom odsłoniło. Nie były to owe mrzonki, jakiemi karmił się od lat młodzieńczych, ale były to tak zwane dokumenta życia, o których już nieraz tu i owdzie czytał.

Dawniéj nie zwracał jakoś na to uwagi; ale dzisiaj, o czwartéj godzinie po północy, przy dojmującym głodzie, po rozmowie z redaktorem zaczęły przed jego oczyma wyrastać jakby z mgły niewidziane dotąd obrazy. Zwieszona u sufitu lampa dopalała się już. Światło jéj żółto-czerwone drgało po pyłkach dymu zawieszonych w powietrzu. Sprawiało to jakiś ruch niezwykły, który różnym sprzętom izdebki nadawał kształty fantastyczne. Przed nim przez szklane drzwi widać było przestrzeń długą, zaludnioną przez czarne ruszające się postacie W świetle lamp, w górze przyćmionych, ruszały się te ciemne duchy, wyciągały ręce po trzcionki i odchodziły z niemi do dalszych izb, z których zalatywał turkot maszyn i gwar rozkazów. W głębi widać było obracające się koła i jakieś olbrzymie, podnoszące się regularnie ramiona. Za oknem na ulicy panowała cisza grobowa.

Wszystko to usposobiało młodego autora do marzeń na temat słów niedawno słyszanych. Siedział długo i patrzał przed siebie okiem rozjaśnionėm. Widział przed sobą ubogich i nędzarzy, których odtąd miał być opiekunem. Miał dla nich u bogaczy zbierać współczucie i jałmużnę, miał ich pocieszać, rany i trąd ich goić, miał dla tych „wydziedziczonych“ wyjednać u świata choć część tego dziedzictwa, jakiém Bóg każdego człowieka, który na świat przychodzi, wyposaża.

Dumny jak bogacz wyszedł z izdebki.

Biła już piąta godzina, gdy wrócił do domu. W pokoiku, w którym spał mały Romcio, świeciło się jeszcze. Matka Romcia siedziała przy małym stoliczku i szyła. Gdy usłyszała, że się drzwi otwierają, schowała szybko robotę pod stół i nakryła ją starą gazetą. Sama zaś wzięła do ręki leżący przed nią manuskrypt.

Do pokoiku wszedł Żalski. Miał twarz niezwykle ożywioną. Spojrzał na żonę i czoło zmarszczył.

— Cóż ty znowu szyjesz? — zapytał.—Mówiłem ci raz, daj pokój tym zarobkom. Zdrowie stracisz, a robota twoja i na doktora nie wystarczy. Zostaw to mnie, abym ja na ciebie i na dziecko pracował!

Młoda kobieta westchnęła.

— Nie, mój drogi! — odpowiedziała — ja nie szyłam. Czytałam manuskrypt i na ciebie czekałam.

— Miałaś dobre przeczucie, bo przychodzę bogatszym, niż wyszedłem.

W téj chwili obudził się Romcio. Wyciągnął rączęta do ojca.

— Czy tatko mi co przyniósł?

— Przyniosłem ci skarby Golkondy, — odpowiedział rozpromieniony ojciec, całując Romcia w różowe rączki,—ale teraz śpij, synku!

Mały Romek nie dał się długo prosić. Obrócił główkę do ściany i zasnął, jakby chciał słodko pomarzyć o skarbach dotąd niesłyszanych. Zato matka na jawie chciała coś o nich się dowiedzieć.

— Cóż tam znowu mówiłeś o skarbach?—zapytała.

— Tak jest, skarby posiadłem niewyczerpane, skarby zakopane, na które dotąd nie zwracałem uwagi.

Młoda kobieta spojrzała z obawą na męża. Przypuszczała, że z nadmiaru pracy umysł jego zamroczył się.

— Nie rozumiem nic!—wyszepnęła z cicha.

Żalski usiadł przy żonie i ucałował jéj rękę.

— Nie wiem, czy mnie dobrze zrozumiesz, bo tylko w krótkości mogę ci powiedzieć. Rozmawiałem dzisiaj z redaktorem: mojéj pracy nowéj jeszcze nie czytał, ale wogóle mówiliśmy o moich dawnych pracach. Zwracał moją uwagę, że dzisiaj przeważnie literatura zajmuje się biednymi. Otóż żądał redaktor, abym i ja o biednych pisał!

— O biednych?

— O biednych, wydziedziczonych!

— Wydziedziczonych?

— Są to biedni, wydziedziczeni ze wszystkiego, czego do życia potrzeba. Chcą pracować, a pracy nie mają; chcą służyć, służby nie mogą znaleść; chcą noc przespać, a nie mają gdzie głowy położyć!...

Młoda kobieta westchnęła.

— Widzisz—zaledwie podniosłem rąbek téj opony, która nędzę biednych i wydziedziczonych osłania, a już wzdychasz! Cóż dopiero gdybyś zobaczyła całą rodzinę tych paryasów ludzkości?... Patrz—mówił daléj z rozsnącym zapałem, wskazując ręką na ciemny kąt pokoiku, w którym właśnie słychać było oddech małego Romcia—patrz, jak tam w małéj izdebce czuwa biedna rodzina przy pracy... stary ojciec przez okulary dłubie w jakiémś drzewie... wynędzniała matka szyje... córka w żałobie po mężu haftuje; ale ta praca zaledwie tyle im przyniesie, że umrzéć nie mogą!... Tylko tam, za tą starą szafą, spi mała dziecina, jedyna młodéj wdowy pociecha—spi i marzy we śnie... nie o słodkich bakaliach, ale o kawałku białego chleba!

Młoda kobieta spojrzała ze łzami na męża.

— Masz łzy w oczach, ależ to jeszcze nie cały obraz. Wyobraź sobie, że do téj rodziny wtargnie choroba. Ojca rodziny powali na łoże, matka z saméj troski z sił opadnie, a pozostała wdowa nie zarobi dla swego dziecka na bułkę! A gdzież lekarz, lekarstwa, poży-

wienie dla chorych rodziców, węgiel na opalenie izdebki i czynsz dla gospodarza?... Powiadam ci, to najstraszniejsza tragedya ludzkości, któréj nie można wyśnić i wymarzyć, ale potrzeba ją na własne oczy obaczyć!

Żalska wybuchnęła płaczem.

— Co ty mówisz, Konradzie! — zawołała ze łkaniem — bój się Boga! nie mów tak, bo mię zabijesz!

Żalski uśmiechnął się z pewném zadowoleniem.

— Żaden z moich manuskryptów tak cię nie wzruszył, a to jest dowodem, że redaktor miał słuszność. O biednych i dla biednych potrzeba pisać i pracować! Potrzeba dla nich u szczęśliwszych żebrać współczucia i jałmużny; potrzeba dla téj małéj śpiącéj dzieciny wyprosić kawałek białego chleba!... A to szczytne zadanie wzięła na siebie dzisiaj nadobna literatura, któréj kapłanem i ja jestem!

Żalski wstał i przeszedł się kilka razy po pokoiku, zaledwie pięć kroków długim. Zapadła pierś jego podniosła się, twarz się wypełniła. Żona patrzała smutno.

— A komuż więcéj przystoi opieka nad biednymi, jeżeli nie kapłanom?—mówił daléj Żalski, kręcąc się po małym pokoiku.—Tak jest; opiekunami jesteśmy tych nędzarzy, a raczéj powinniśmy być nimi, my wszyscy, którym dostał się ten zaszczyt szermierzyć słowem Bożém w imię Boga i cierpiącéj ludzkości! Zaraz od jutra zapiszę się do cechu obrońców biednych i wydziedziczonych, i téj zaszczytnéj obronie poświęcę wszystkie moje siły. Będę pisał dla biednych i nędzarzy, będę kołatał do drzwi możnych i szczęśliwych, będę żebrał współczucia dla nich i jałmużny!

Żalska z niepokojem zbliżyła się do męża. Położyła mu ciepłą rączkę na ramieniu i spojrzała w jego oczy dziwnie rozpłomienione.

— Niezadługo świtać zacznie, mój drogi,—mówiła do niego, powstrzymując łzy,—może się udasz na spoczynek. Pracowałeś zanadto, a to rozdrażniło cię. Zasłonię ci okna, abyś dłużéj mógł odpoczywać.

Wzięła chustkę wyprawną i, w braku firanki, zaczęła okno zasłaniać. Żalski tymczasem mówił jakby do siebie:

— Chodzi tylko o to, aby się dobrze wywiązać z tego zaszczytnego opiekuństwa. A do tego potrzeba studyów naocznych, bo to powinny być owe żywe „dokumenta życia“ o których dzisiaj tak wiele piszą. Potrzeba tych „wydziedziczonych“ i ich nędzę gdzieś wyszukać i na własne oczy obaczyć.

I rozmarzony tym przyszłym spodziewanym obrazem nędzy ludzkiéj, uściskał żonę i na złotych włosach małego Romcia złożył gorący pocałunek.

V.

Od tego dnia rozpoczął Żalski prawie nowe życie. Manuskrypta swoje związał i umieścił na szafie, książki z biurka pousuwał, a natomiast położył świeżą librę papieru, na którym miał pisać o biednych i wydziedziczonych.

Dla téj pracy szukał teraz materyałów, czyli „żywych dokumentów“ życia. Wychodził codziennie na miasto, potrzał na snujące się tłumy, ale nigdzie nie znalazł tego, czego szukał. Wprawdzie tu i owdzie spotkał żebraka, ale żebrak nie wyobraża jeszcze człowieka „wydziedziczonego“. Często żebrze on z nałogu tylko, a częściéj dla łatwego zarobku praktykuje to „złote rzemiosło“. Spostrzegł także, że stróże porządku nie puszczają do śródmieścia ludzi w łachmanach, aby szczęśliwszym od nich nie psuć dobrego humoru. Muszą więc gdzieś się ukrywać. Zaglądał w okna suteren, ale te były pyłem pokryte, — patrzał na poddasza, ale te były za wysoko, aby coś zobaczyć. Zmienił plan i zaczął chodzić po przedmieściach. Miasto, myślał sobie, podobne jest do żyjącego organizmu: wszystkie męty i choroby wyrzuca na zewnątrz.

Przedmieścia dostarczyły mu już więcéj materyału, ale jeszcze nie tyle, ile żądał. Wchodził do szynków, w małych domkach umieszczonych, ale tam spotykał nałogowych próżniaków i pijaków. Wpawdzie nałóg taki mógł mieć ciekawe powody, ale on nie chciał domyślać się nędzy, pragnął obaczyć ją na własne oczy.

Nastąpiły właśnie roztopy śniegu i lodów. Po mieście szalały śnieżyce z deszczem, w nocy gasły latarnie od wiatru.

W jednéj z takich nocy wychodził Żalski z domu do pracy w drukarni. W pokoikach było zimno, bo od kilku dni nie palono w piecu Mały Romek miał na sobie dwie letnie bluzki, ale mimoto był cały siny od zimna, a małe rączęta miał już od dawna odmrożone. Młoda matka, wyprawną chustką okryta, dygotała także od zimna.

Żalski miał czoło zmarszczone i usta zaciśnięte. W domu od tygodnia nie było węgla Przy cienkiéj herbatce zjadł tylko bułkę groszową, a drugą podzieliła się matka z Romciem.

Nie o to mu jednak teraz chodziło. Już dawno rozpisano konkurs na mały obrazek z życia warstw pracujących. Termin konkursu upływał za parę tygodni. Żalski chciał właśnie na ten konkurs posłać obrazek o biednych i wydziedziczonych, ale dotąd nie mógł należytego znaleźć materyału. Nie chciał zmyślać, ale pragnął malować z natury—nie przy biurku, ale „en plein air“ w jakiém podwórzu.

Martwił się, że termin przeminąć może, a on nic nie napisze. Zabierając się do wyjścia, spojrzał w okno.

— Śnieg pędzi z deszczem na wyścigi — rzekł niby do myśli swoich—na takiém tle chciałbym obaczyć nędzę ludzką.

Żona uśmiechnęła się, a łzy zadrżały w jéj w oczach.

Wyobraź sobie nędzarzy wśród takiéj zadymki—mówił daléj Żalski,—w izbie zimno, bez dostatecznéj strawy, a na dworze burza!

— Idź, idź,—ozwała się żona,—bo już północ bliska.

I szybko odwróciła się, aby łez jéj nie widział. Mały Romcio, jak codziennie, tak i teraz, zapytał:

— Czy tatko przyniesie mi ciastko z cukierni?

— Dobrze, dobrze—odrzekł ojciec,—ale bądź grzeczny i idź spać.

I wyszedł.

W izdebce drukarni, jak zwykle, zwieszona od sufitu lampa oświecała stosy papierów na dużym stole. Ta sama wilgoć podziemia malowała na szarych ścianach fantastyczne obrazy, te same stosy makulatury leżały na podłodze. Przez szklane drzwi widać było w perspektywie te same lampy z ciemnemi daszkami, te same czarne postacie zgięte przy pracy. Turkot maszyny drukarskiéj łączył się z burzą, która szalała za oknem.

Żalski siadł przy stole, a osmolony jak kominiarz chłopak przyniósł mu korektę.

Był to długi opis toalet z wczorajszego balu. Salonowy sprawozdawca wyliczał całe szeregi technicznych nazw tkanin jedwabnych, ubierał je jak modniarka w koronki, wstążki i girlandy z kwiatów, nazywał barwy wyrazami specyalnemi, jak je fabrykant i modniarka nazywają — słowem, roztoczył obraz całego magazynu, z jakim tylko „le Printemps“ albo „Belle jardinière“ konkurować mogą. Potém następował opis wdzięków hożych tanecznic i ich klassyfikacya z nominacyą królowych i królewien

Dziwnie nieprzyjemną była ta robota dla Żalskiego. W oczach mieniło mu się od koronek i trenów, od jedwabi i brylantów, od bengalskiego światła wyrzucanych przez wodotrysk zamorskich pachnideł; a tam za oknem pędził śnieg na wyścigi z deszczem, kaszlały konie dorożkarskie, wiozące z hulanki gości pijanych... Mieszało się to dziwnie jakoś z opisem balu.

O pierwszéj po północy wszedł, jak zwykle, reporter. Miał dzisiaj lepszą minę i palił cygaro.

— Dzisiaj chwała Bogu lepiéj idzie — zawołał od progu,—przecież człowiek coś zarobi. Czy będzie miejsce choć na pięćdziesiąt wierszyków?

— A cóż masz pan?—zapytał Żalski.

— Cztery przejechania przez dorożki z połamaniem nóg i żeber, pięć kradzieży z włamaniem i bez włamania, trzy śluby, a dwa samobójstwa i dwie śmierci od zmarznięcia! A do tego wszystkiego jedenaście wieczorów tańcujących.

— To za wiele na jeden numer, - odpowiedział Żalski z uśmiechem.—Opis z wczorajszego balu zajmuje całą kolumnę.

— To wyrzuć pan kilka sukień z trenami, bo one już dzisiaj i tak są do niczego!

— Prawda, że do niczego, — westchnął Żalski,—a ileż-to biednych mogłoby za to mieć ciepłą strawę!

— Marzną z głodu!

— Niech pan o tém zmarznięciu szerzéj napisze, a ja na to pięć toalet paryskich wyrzucę!

Żalski odetchnął swobodniéj, bo zdawało mu się, że już dla biednych coś zrobił. Reporter był także kontent, chwycił za pióro i zaczął szybko pisać. Przeraźliwy skrzyp pióra tworzył dla Żalskiego najpiękniejszą muzykę. Patrzał z uśmiechem, jak rosły wiersze, liczył je w milczeniu, bo to wszystko dla biednych!

W końcu musiał powstrzymać szlachetny zapęd reportera.

— Desyć, dosyć, — zawołał — na więcéj nie mogę pozwolić! a gdzież ja to wszystko umieszczę?

— Szaśnij pan jeszcze z dziesięć toalet!

— Nie mogę; i tak będzie redaktor mruczał. Egzemplarze z opisem balu rozkupują więcéj, niżeli karty objadowe dla biednych.

Reporter zrobił dzisiaj dobry interes. Opis balu został na korzyść biednych znacznie obcięty, bo Żalski wcale się nie upierał z niemałém zadziwieniem towarzysza. A gdy redaktor do podpisu przyszedł, przedłożył mu Żalski numer tak zręcznie, że defraudacyi popełnionéj na strojach owych nie spostrzegł.

Zadowolony, że przecież coś udało mu się zrobić dla nędzy ludzkiéj, wyszedł z izdebki na ulicę.

VI.

Właśnie biła godzina czwarta. Na ulicy było ciemno. Latarnie gazowe żarzyły się w dali, jak węgle. Gęsty tuman śniegu sunął się po ulicy, a blaszane godła, wiszące nad sklepami, skrzypiały przeraźliwie. Wiatr odrywał z dachów wiszące sople lodu i rzucał je w okna i bramy przeciwległych domów.

Żalski postawił kołnierz palta do góry, schował ręce w rękawy i zgięty we dwoje, jakby szedł z wiatrem w zapasy, puścił się środkiem ulicy. Śnieg zasypywał mu oczy, wiatr odwijał poły.

Śród różnych głosów nocnéj zamieci dochodziły do jego uszu kiedy niekiedy głosy ludzkie. Dorożki wiozły ochoczych biesiadników, którzy gwarzyli głośno i śpiewali wesołe piosenki. Z okien jasno oświeconych zalatywały tony muzyki zapustnéj, a głośna komenda przewodnika tańców dochodziła aż na ulicę.

Żalski biegł daléj walcząc z deszczem i śniegiem. Mijał latarnie, skręcał z jednéj ulicy w drugą, myśląc ciągle o biednych, którzy śród takiéj burzy nie mają czém się ogrzać.

Właśnie mijał duży plac, na którym zaczęto budować kamienicę. Robotników zaskoczyła wczesna zima a niedokończone mury musiały czekać wiosny. Wkoło murów wznosiły się rusztowania, okna i drzwi stały otworem. Wiatr huczał przeraźliwie, obsypane śniegiem sztandary wyglądały jak białe duchy.

Zdawało się Żalskiemu, że wśród wycia wiatru i skrzypu rusztowania słyszy jakby płacz małego dziecka...

Zatrzymał się i słuch wytężył...

Wiatr huczy śród murów otwartych, sztandary jęczą, rusztowanie skrzypi—od czasu do czasu słychać płacz dziecka.

Gdzieżby to dziecko było? Pustkowie wszędzie, nigdzie drzwi ani powały! Może to dziecię przez wyrodną matkę podrzucone?... Może ono walczy ze śmiercią głodową?...

Zbliżył się do pustkowia i zaczął rozpatrywać. Ciemność nocna i zamieć śnieżna zakrywały przed nim jakąś tajemnicę niewyjaśnioną. Szedł ostrożnie naprzód po omacku. Napotykał rowy i kładki, progi i belki. Szedł coraz daléj, a coraz wyraźniéj słyszał głos małego dziecka.

Wreszcie obaczył przez szparę światło. Były to drzwi tymczasowe, z desek zbite. Poczuł dym wychodzący przez szpary.

Zapukał w te deski. Za deskami usłyszał jakiś ruch zagadkowy, a światło w szparach zagasło.

— Czy jest tam kto?—zapytał.

Nikt nie odpowiedział. Zapytał raz drugi i trzeci. Żadnéj odpowiedzi. Przyłożył ucho do szpary — zdawało mu się, że słyszy chrapliwy oddech ludzki i przytłumiony płacz dziecka.

Cóżby to było? Może w téj chwili popełnia się jaka zbrodnia?

Chciał deski wybić i wtargnąć pomiędzy złoczyńców — ale nie miał światła. Cóżby on zrobił tam w ciemnościach?

Przyszło mu na myśl, że to mogą być biedni, którzy się tam skryli, a z obawy, aby nie byli wyrzuceni, zagasili światło. Ten domysł wydał mu się prawdopodobnym.

— Słuchajcie ludzie—zawołał przez szparę—ja wam nic złego nie zrobię, jestem waszym przyjacielem i opiekunem.

Za deskami dały się słyszéć głosy ludzkie. Widocznie naradzano się, co uczynić.

Żalski przemówił jeszcze raz i drugi, biorąc Boga na świadka, że ma jak najlepsze zamiary.

Po niejakim czasie zabłysło światło i drzwi się otworzyły.

Żalski ujrzał teraz to, czego szukał.

W podziemiu jeszcze nie otynkowaném paliło się na środku kilka wiórów drzewa. Przy tym ogniu siedziała na ziemi kobieta, trzymając na kolanach małe dziecko. Młody chłop w podartym kożuchu stał przy drzwiach, patrząc podejrzliwém okiem na mniemanego opiekuna ubogich.

Opiekun ubogich był teraz w dziwném położeniu. Nie wiedział, czy się ma cieszyć, że znalazł „żywy dokument“ do nowelli na konkurs, czy się smucić, że ujrzał tak wielką nędzę ludzką?

— Co wy tu porabiacie, moi kochani?—zapytał z litością.

— Ot, proszę pana opiekuna—odpowiadał chłop powoli—przyśliśma do miasta na zarobek, bo już śniegi tajać zaczęły. Zarobku niéma, a człek nie ma się także gdzie przytulić!

— A dlaczego porzuciliście chałupę waszą?

— Rozwaliła się wśród zimy, a naprawić niéma za co. I tak mieli ją na wiosnę sprzedać za dług na licytacyi.

— A macie grunt?

— Nie mamy gruntu, żyliśmy z zarobku.

— Nie macie żadnego dziedzictwa?

— Żadnego! Była chałupa, a ta zawaliła się, nim ją żyd zdołał zabrać! Jesteśmy jak sieroty na świecie!

— Wydziedziczony! — rzekł Żalski, jakby do myśli swoich.

— Tak, panie opiekunie—odpowiedział chłop, skrobiąc się w głowę,—jesteśma bez dziedzictwa, bez dachu i bez chleba!

Żalski spojrzał z litością na jednego z owych „wydziedziczonych“, o których mówił mu redaktor. Zbliżył się do płonących wiórów. Kobieta usiłowała powstać, aby „opiekuna“ ubogich w rękę pocałować, ale opiekun nie dopuścił do tego.

— Nie podnoście się, kobieto,—rzekł dobrotliwie,—bo mała dziecina płakać będzie. Jak dawno żyje na świecie ten robaczek?

— Dwa lata, panie opiekunie—odpowiedziała biedna matka.

— Czy już sam je?

— O, je, byle tylko co było!

— A dzisiaj jadł?

— Tylko na południe kąsik chleba!

— Toście biedni ludzie! Wydziedziczeni!

— Biedni, proszę pana opiekuna, bardzo biedni!

Mała dziecina uśmiechnęła się do mniemanego opiekuna, wyciągając do niego zsiniałe od zimna rączki.

Żalski wziął te rączki i chuchnął na nie kilka razy.

— Olesia umie już brać dyski,—ozwała się matka z uśmiechem.

Żalski uśmiechnął się także i machinalnie włożył rękę do kieszeni, ale w kieszeni nic nie było!

— Moja żona nazywa się także Olesia,—odpowiedział, chcąc ją tém pocieszyć za doznany zawód.

— Czy pan opiekun ma także dziatki?

— Mam synka, który nazywa się Romcio.

— Możeby pan opiekun jaką starą sukienkę miał na zbyciu?

— Obaczę, jeżeli będzie... Cóż myślicie teraz zrobić?—zapytał zwrócony do chłopa, który ciągle mierzył okiem mniemanego opiekuna.

— A cóż mamy robić? — odpowiedział chłop smutno — potrzeba wyczekiwać zarobku.

— I tu chcecie mieszkać?

— Jeżeli kto nas stąd nie wypędzi.

— Jakże w takiém zimnie, bez pieca, bez drzwi i okien?

— Cóż robić? Biednemu zawsze wiatr w oczy!

— Ja was teraz pożegnam, ale przyjdę do was — jutro, pojutrze... bądźcie przekonani, że wasz los bardzo mię obchodzi.

Podał im rękę, na skostniałe paluszki Olesi kilka razy chuchnął i wyszedł.

Pozostali „wydziedziczeni“ patrzali długo na siebie, nie mogąc sobie zdać sprawy z tych szczególnych odwiedzin.

Tymczasem biegł Żalski dalej śród śnieżnej zawiei. Nie słyszał już muzyki z okien jasno oświeconych, ani wesołych piosnek pijanych biesiadników, wracających do domów.

Widział tylko przed sobą „żywy dokument“ nędzy ludzkiéj, któremu już dawał w duchu tytuł: „*Wydziedziczony*“!

W domu wszyscy już spali. W zimie nie można było do późna w nocy czuwać. Żalski nie czuł wcale zimna. Rozgrzewała go myśl, że znalazł żywy dokument nędzy, że napisze nowellę na konkurs pod tytułem: „Wydziedziczony“, i że otrzyma pierwszą nagrodę. Po ogłoszeniu nagrody posypią się zamówienia wszystkich redakcyi, na wyścigi zbiegną się do niego redaktorowie i wydrukują wszystko, co tam leży na szafie, szpagatem powiązane. Nastaną lepsze czasy. Olesia dostanie futro dawno upragnione, a Romcio białą karazyję krakowską, czerwono wyszywaną!

O tém wszystkiém słodko zamarzył Żalski, a tymczasem wsunął się pod stary kocyk, położywszy na nim dla zwiększenia ciepła wszystką odzież swoją. We śnie marzył daléj o nowelli na konkurs i futrze dla Olesi.

VII.

Żalski był jeszcze w pierwszym śnie, gdy żona jego wyszła cicho do kuchenki. W kuchence czekała na nią, jak zwykle, stróżowa, która na targu kupowała codziennie potrzebne wiktuały.

Dzisiejsza narada nie trwała długo. Gospodyni poruszyła kilka projektów, ale stróżowa wprost odpowiedziała, że nie są do wykonania. W sklepiku wiktuałów nie chcą już nic dać na kredyt, piekarz każe sobie zapłacić za ubiegły miesiąc, a rzeźnik nie chce nawet mówić do niéj! Zresztą wszystko nie zdało się na nic, gdy węgla niéma! Żalska stała z załamanemi rękami czas niejaki. Weszła na palcach do pokoiku, w którym spał mały Romcio.

Romcio miał twarz uśmiechniętą i ruszał ustami, jakby zajadał słodkie ciastko, które wczoraj ojciec mu przyobiecał. Żalska pochyliła się nad nim, patrząc na twarz dziecka, słodko rozmarzoną. Po chwili zdjęła powoli z niego wyprawną chustkę, którą był nakryty. Chłopczyna skurczył się, czując przez sen zimny prąd powietrza...

Żalska zdjęła z siebie kaftanik i nakryła go, a chustkę wyprawną zwinęła i wyszła z nią do kuchenki.

— Dajcie tę chustkę na zastaw,—rzekła do stróżowéj—i przynieście węgla i co na objad.

Stróżowa obejrzała chustkę wyprawną, oszacowała ją w duchu i wyszła po sprawunki. Żalska wróciła do Romcia, który z zimna kurczył się coraz więcéj. Zaczęła go okrywać, ale łzy przeszkodziły temu. Musiała odejść, aby dziecka płaczem swoim nie zbudzić.

Po kilkogodzinnym wypoczynku zbudził się Żalski i szybko zaczął się ubierać. Gdy mu żona herbatę przyniosła, ucałował jéj rękę i rzekł:

— Straszna noc była, moja Olesiu, chociaż i dzisiaj nie jest lepiéj. Wiatr dmie wszystkiemi szparami, a nawet płatki śniegu do pokoju zapędza! Wyobraź sobie teraz, jak to musi być biednym wśród takiéj zawieruchy!... Wracając do domu, widziałem na własne oczy, jak matka, dziecko i ojciec literalnie zamarzali od zimna! Serce kraje się z bolu, patrząc na taką śmierć powolną.

Tu opowiedział w krótkości, co w podziemiu był obaczył.

— Słuszną jest, aby literatura nadobna wzięła w opiekę tych biednych, wydziedziczonych. Któż może silniéj od nas zakołatać do serc ludzkich za nimi? Nasze potężne słowo może przynajmniéj dla nich wywalczyć ciepłą strawę! Czy nie masz dla dziecka téj biednéj kobiety jakiéj staréj sukienki?

— Może się co znajdzie—szepnęła młoda kobieta.

— A ja zaraz wezmę się do roboty. Dla biednych, tylko dla biednych będę pracował. Gdybyś widziała to podziemie z czerwonych cegieł, te sine rączęta małéj dzieciny i niemą rezygnacyę nieszczęśliwéj matki...

Żalska otarła oczy.

— Widzisz—zaledwie kilka słów powiedziałem, a już płaczesz a cóż dopiero, gdy cały obraz nędzy ludzkiéj roztoczę przed oczami czytających tłumów?... Ręczę ci, że setki złotych posypią się, aby biednych wydziedziczonych ogrzać i nakarmić. To nasz zaszczytny obowiązek, to dzisiejsze rzemiosło rycerskie! Zabiorę się zaraz do roboty, napiszę nowellę o wydziedziczonych. Spodziewam się, że i na konkursie nie pominą jéj milczeniem! Biedni, ze wszystkiego wydziedziczeni, to wielki i wspaniały temat!

Z małego pokoiku ozwał się płacz Romcia. Żalska pobiegła do niego.

— Zimno, mamo, bardzo zimno! — szlochał chłopczyna — a gdzie chustka?

— Zapewne spadła za łóżeczko,—odrzekła matka, biorąc chłopczynę na ręce.

Ogrzany ciepłem macierzyńskiém, przestał Romcio płakać, a nawet rozśmiał się, gdy mu ojciec kawałek cukru podał.

— Biedna ta kobieta pod ziemią — rzekł do żony, — czy wiesz, Olesiu, że jéj mała córeczka ma zaledwie dwa lata i na cały dzień tylko kawałeczek chleba zjadła! A jak to biedactwo zmarzło, posiniało od zimna!... Straszną jest nędza ludzka!

Długo jeszcze rozmawiał Żalski o cierpieniach biednych. Obiecywał wziąć ich w opiekę i choć w literaturze przynajmniéj być ich opiekunem. A gdy mały Romcio ciepłéj chustki do okrycia zażądał, przycisnął go serdecznie do piersi i w złotą główkę pocałował.

— A teraz wyjdę na miasto i wstąpię do moich biednych wydziedziczonych. Muszą mi opowiedzieć swoje przygody od rozwalenia się chałupy aż do dnia wczorajszego. Pisząc o biednych, nie potrzeba zmyślać, bo żywy materyał znajdzie się zawsze pod ręką.

Ucałowawszy żonę i Romcia, wyszedł z domu.

Na ulicy było jeszcze wietrzno. Z chmur potarganych wiatrem wysypywały się jeszcze resztki śniegu, a w przestankach siekł deszcz gęsty.

Żalski szedł szybko, myśląc o biednych swoich w podziemiu. Chciał ich słowem swojém ogrzać i pocieszyć. Wyobrażał sobie, jak długą wydawała się im noc w podziemiu, jak dokuczliwe trapiło ich zimno, jak mała Olesia chleba wołała!...

Już ujrzał z dala czerwone mury, otoczone białemi sztandarami. Serce jego uderzyło boleśnie, że w tych pustych murach, jak kret w norze, żyją biedni wydziedziczeni o chłodzie i głodzie!

Z pewném zadowoleniem, jakby im niósł chleb i pieniądze, poszedł na wąską kładkę, która prowadziła przez rów śniegiem zasypany. Z kładki skoczył na próg, a z kurytarza spuścił się do jamy, z któréj było wejście do podziemia.

Ale cóż widzi przed sobą? Drzwi zbite z desek leżą zerwane z zawiasów na ziemi. Pojedyncze deski z nich wydarte walają się pod ścianą. W podziemiu niéma żywéj duszy. Popiół z ogniska szerokim butem na wszystkie strony rozrzucony. Kilka desek, któremi okienko podziemia było zabite, wydarto i połupano. W kącie na kupie piasku odciśnięte ślady spoczywających tu ludzi. Widać daléj, że jakaś zła ręka zwlokła tych ludzi z piasku, a nawet znać bose stopki małéj dzieciny!

Cóż to się stać mogło? Żalski powiódł okiem smutno dokoła. Wydarto mu biednych wydziedziczonych. Jakaś okrutna ręka wywlokła ich z tego schroniska, porozbijała drzwi i odsłoniła okno wiatrom i śnieżycy, aby żaden inny nędzarz tu się nie zagnieździł! Cóż się stało z biednymi? Czy wypędzeni na ulicę wśród wichru i śniegu znaleźli jaki przytułek? Czy znalazł się jaki szlachetny człowiek, który im nie dał zginąć z głodu i z zimna? Co się stało z małą dzieciną i biedną matką?

Na te pytania nie miał Żalski odpowiedzi — może nowella jego kiedyś odpowie.

VIII.

Od tego dnia wychodził Żalski z domu zawsze w nadziei, że swoich biednych gdzieś spotka. Zaglądał na podwórza, czy nie żebrzą, w pustych murach niedokończonéj kamienicy przeszukiwał wszystkie zakątki, ale wszystko nadaremnie.

Wieczorami przy cienkiej herbatce rozmawiał z żoną o nieszczęśliwéj rodzinie, wyrzuconéj jak kret z podziemnéj nory na śnieg i wiatr z deszczem. Stawiał rozmaite przypuszczenia. Prawdopodobnie dziecina zmarła a rodzice nie mieli jéj za co pochować. Może zakopali ją gdzie w śnieg, skąd wygrzebią młode ciałko wrony, szczury lub psy zgłodniałe... a może zmarzła biedna matka a strapiony ojciec obnosi małą Olesię po przedmiejskich podwórkach, błagając dla niéj kęsa chleba!... Mógł się także ojciec z rozpaczy utopić, a biedna matka wałęsa się z sierotą po ulicy, szczwana przez stróżów porządku...

Żalska najczęściéj płakała przy takiéj rozmowie. Żalski prawił jéj wtedy, jak strasznym jest cały obraz nędzy ludzkiéj, jeżeli nieco podniesiony rąbek zasłony już łzy z jéj oczu wyciska! Téj nędzy poświęci on swoje pióro, dla niéj będzie pracował, jako przyjaciel i opiekun wszystkich wydziedziczonych! A słowa te napawały serce jego takiém zadowoleniem, jakiego doznaje człowiek bogaty, rozdając między biednych hojną jałmużnę! Nawet mały Romcio nie psuł mu tego zadowolenia: gdy o bułkę lub łyżkę mleka prosił, którego w domu nie było, pocałował go w głowę i radził mu spać się położyć, bo we śnie może miéć wszystko, czego zapragnie.

Romcio często usłuchał ojca, ale matka odwracała się szybko, aby opiekunowi biednych nie psuć literackiéj fantazyi. Miała nadzieję, że może ta fantazya kiedyś lepszy plon przyniesie.

Przez kilka dni szukał jeszcze Żalski swoich biednych wydziedziczonych, ale nigdzie ich nie znalazł. Tymczasem dojrzał w jego duszy temat do nowelli na konkurs.

Siadł i zaczął pisać. Praca szła raźno, bo pisał z natchnienia. Tylko Romcio przerywał mu czasem to natchnienie, prosząc o kawałek chleba lub skarżąc się na matkę, że nie okrywa go ciepłą chustką. Niemniéj i żona psuła mu czasem fantazyę swemi łzami, o których jednak był przekonany, że płyną dla biednych i wydziedziczonych. Przedsięwziął sobie, że jéj już nic o swojéj nowelli opowiadać nie będzie. Słaba kobieta miała zaraz łzy na zawołanie, a w takim razie i jemu robiło się ckliwo, jak o tém świadczy kilka plam wodnych na manuskrypcie. Utwierdzało go to tém bardziéj w przekonaniu, że biedni wydziedziczeni, to wielka, paląca rana dzisiejszego społeczeństwa.

W miarę, jak nowella konkursowa postępowała, stawał się Żalski weselszym, a nawet i zdrowszym. Nietylko bowiem wierzył, że nowella jego na konkursie może nagrodę otrzymać, ale był także przekonany, że pisząc dla biednych, bierze ich w swoją opiekę.

Pewnego dnia, po cienkiéj herbatce i bułce groszowéj, zaczął, mimo swego postanowienia, z żoną o nowelli rozmawiać. Właśnie skończył był rozdział, jak bohater nowelli, głodny i zmarznięty, szuka noclegu w podziemiu niedokończonéj kamienicy. Chciał się z żoną podzielić wrażeniem tego rozdziału, gdy mały Romcio wniósł zażalenie, że kawałek bułki był dzisiaj bardzo mały i że jest jeszcze głodny.

Żalski nie słyszał tych słów, bo właśnie myślał o zimném podziemiu. Zaczął o niém mówić, jak tam zimno było i ciemno, jak wiatr ze śniegiem hulał pod sklepieniem, a jak głodne było dziecko, dla którego matka już nie miała pokarmu...

A gdy żona rękę podniosła, aby łzy z oczu otrzéć, spostrzegł opiekun ubogich, że nie miała ślubnéj obrączki na palcu.

— A gdzież pierścionek twój, Olesio? — zapytał z jakiemś niedobrém przeczuciem.

— Zdjęłam go przy myciu i zostawiłam na stoliku—wyszepnęła młoda kobieta, przyciskając twarz do piersi męża.

Żalski uściskał żonę i w głowę pocałował.

— Dziękuję ci za tę gorącą odpowiedź dla serca mego — zawołał ze wzruszeniem—czułem bowiem przez odzież gorące czoło twoje!

Młoda kobieta zaczęła szlochać.

— I za te łzy dzięki ci, bo to jałmużna dla moich biednych!... I mnie w téj chwili przyszło na myśl, że byłbym bardzo biedny, gdybym kiedy twą miłość utracił! Myśl ta uderzyła mię nagle, gdym ślubnéj obrączki na twoim palcu nie ujrzał! Nie wiem dlaczego, ale zdawało mi się, żeś mię kochać przestała.

— Skądże tak smutne myśli, mój drogi?—zapytała z wyrzutem młoda kobieta — czyż nie czujesz, jak gorącą jest moja miłość dla ciebie?

— Jest gorącą — odparł Żalski, przyciskając rozognioną twarz żony do piersi—jest gorącą, jak słońce lipcowe, które i z pustéj gleby wyciąga zielone roślinki!...

A wskazując na manuskrypta, powiązane szpagatem, mówił daléj:

— Oto zielone roślinki, kwiaty i głogi o czerwonych owocach, które gorące tchnienie twojéj miłości do życia wywołało. Bez ciebie byłbym pozostał glebą jałową; a tylko tobie zawdzięczam, że życie moje nie poszło na marne, że coś dla ludzi uczynić mogę!

Młoda kobieta z rozkosznym płaczem zarzuciła ramiona na szyję zacnego męża i byli przez kilka chwil tak szczęśliwi, jak niegdyś, gdy on zwał się Alfem a ona Aldoną!

Mała tylko chmurka wcisnęła się na to niebo małżeńskie. Romcio powtórzył kilkakrotnie skargę swoją, że bułka dzisiaj była za mała. Sprostował także słowa matki o ślubnym pierścionku, utrzymując, że widział dzisiaj rano, jak matka ten pierścionek stróżowéj dawała.

Opiekun biednych nie słyszał już tego, bo czas było odejść do nocnéj pracy.

Na ulicy było jeszcze dosyć ludno. Żalski szedł zamyślony, machinalnie wymijając ludzi. Myślał o swojéj nowelli i uśmiechał się z zadowoleniem, jak się uśmiecha bogacz na widok swego złota.

Nagle przeszła mu drogę kobieta z dzieckiem. Była biedno ubrana, a dziecko płakało. Zdawało się Żalskiemu, że to jego znajoma z owego podziemia. Przyspieszył kroku, kobieta nagle weszła do sieni i w ciemnościach zniknęła.

Żalski wszedł za nią. Kamienica była stara, posadzka w sieni wydeptana, a mała świeczka w zakopconéj latarce, zawieszonéj u sklepienia, była podobna do gwiazdki na zamgloném niebie. Żalski chodził z kąta w kąt, zaglądał i nasłuchywał, ale nadaremnie. Na dole były jakieś składy, obdarte mury odpychały wonią wilgoci i stęchlizny, jakby ludzie nigdy w nich nie mieszkali.

Z piwnicy, do któréj wchodziło się z dziedzińca, doszedł do jego uszu głos ludzki. Zeszedł ostrożnie po schodach i otworzył drzwi.

I cóż tam obaczył? Jeżeli w owém podziemiu znalazł kilka „żywych dokumentów“ ubóstwa, to tutaj miał przed sobą całe archivum!

W niewielkiéj suterenie mieściło się pięć, czy sześć osobnych rodzin. Na ziemi leżały brudne sienniki i pomierzwione okłoty słomy. Jedne kobiety karmiły dzieci, drugie prały jakieś cuchnące szmaty, a inne gotowały przy płonących polanach różne strawy. Mężczyźni palili fajki lub suszyli przy ogniu swoje łachmany. Jakiś starzec siedział na sienniku i naprawiał buty, drugi łatał płaszcz podarty. Gęsta mgła napełniała biedną izdebkę, a woń czosnku i cebuli wgryzała się do oczu. Prócz tego był gwar, jak na jarmarku.

Gdy Żalski wszedł do izdebki, uciszyła się cała drużyna. Na niektórych twarzach pojawił się nawet przestrach, jakby gość niezwykły mógł czém zagrażać.

Żalski obejrzał się wkoło, szukając znajoméj. Poznał kobietę z dzieckiem, którą był ujrzał na ulicy, ale ta nie była jego znajomą.

Korzystając jednak z przypadku, który go tu wprowadził, chciał się bliżéj tym ludziom przypatrzyć. Pozdrowił więc wszystkich uprzejmie, mówił o biednéj z dzieckiem, któréj szuka, i wypytywał, czy jéj kto nie zna. Powiedział także, że jest przyjacielem i opiekunem biednych. Na te słowa kilka par oczu zwróciło się z niemą prośbą do niego, a równocześnie wysunęło się z łachmanów kilka małych rączek po jałmużnę.

Żalski wsunął rękę do kieszeni, ale stamtąd jéj nie wyjmował. Zato wypytywał z wielkiém współczuciem o losy biednych wydziedziczonych. Biedni spowiadali się ze swych trosk, w mniemaniu, że „opiekun“, jeżeli nie dziś, to jutro im dopomoże.

Żalski słuchał ich, pocieszał i obiecywał miłosierdzie ludzkie, na które każdy biedny zasługuje.

Tymczasem wkoło dużéj przewróconéj paki stanęło kilkoro dzieci. Patrzały z niecierpliwością na ogień w kominie, jakby stamtąd czegoś oczekiwały. Jakoż wkrótce wyszła od komina kobieta z dużą dymiącą rynką i jéj zawartość wyrzuciła na pakę.

Woń mąki kukurudzianéj rozeszła się po izdebce, a mniéj szczęśliwi lokatorowie wciągali tę woń przez nozdrza aż do głębi swoich głodnych żołądków. Niektórzy ruszali nawet żuchwami, jakby coś jedli.

Opiekun ubogich uczuł także tę woń, a zęby jego mimowoli zaruszały się. O cienkiéj herbatce i bułce groszowéj już dawno zapomniał. Zaprażona mąka kukurudzy wyglądała smacznie, jak bryła szczerego złota.

— Czy to smakuje dzieciom?—zapytał, nachylając się nad paką.

— Czemuż nie? — odpowiedziała kobieta — niechno pan opiekun sprobuje! Biedne jedzenie, ale niezłe.

Żalski odkroił kawałek i wziął do ust. Smakował mu, jak kawał tortu, po jego bladéj herbatce i bułce groszowéj. Miał ochotę powtórzyć próbę, ale powstrzymał się. Pomyślał o Romciu, któremu-by także to jadło dzisiaj smakowało...

— Wyborne jedzenie! — zawołał, patrząc miłościwém okiem na żółtą leguminę.

— Może pan opiekun jeszcze kawałek sprobuje—zapraszała gościnna gospodyni.

— Dziękuję kobieto — odpowiedział, patrząc ciągle na pakę — muszę iść jeszcze do pracy... a wy, dziatki, spożywajcie zdrowe, bo to jest smaczne i posilne.

I szybko wybiegł z izdebki, bo jakieś niemiłe myśli zaczęły mu się cisnąć do głowy.

W drukarni zastał już reportera, który palił hawańskie cygaro. Był to znak, że miał dzisiaj żniwo obfite.

— Zapewne wiele przejechań przez dorożki i kradzieży? — zapytał Żalski.

— Coś lepszego—odparł z dumą reporter—żona pewnego urzędnika zagłodziła się na śmierć!

— Czy z miłości dla trzeciéj osoby?

— Tak... z miłości dla swego dziecka! Chciała zebrać potrzebne pieniądze na jego kuracyę!

— Zacna kobieta!... Potrzeba o tém dłuższy artykuł napisać!

— Ja także tak myślę... czy można na rubelka?

Żalski nie słyszał tego, bo już wziął się do korekty.

IX.

Od tego dnia przystąpił Żalski do roboty. Nie szukał już swoich biednych znajomych. Miał ich już dosyć w swojéj wyobraźni i codziennie z nimi obcował. Siedział godzinami przy stoliku i pisał. Libra białego papieru zmniejszała się coraz więcéj, a natomiast po drugiéj stronie rosły stosy manuskryptu. Trawiła go jakaś gorączka wewnętrzna, widocznie spieszył się z pracą. Do żony mawiał, że chce na termin konkursowy skończyć, chociaż wewnątrz słyszał jakiś głos tajemniczy, który z innych powodów kazał mu się spieszyć.

Nowella konkursowa rosła widocznie pod piórem gorączkowém. Cieszył się z tego autor i patrzał z roskoszą na zapisane karty, jak bogacz na rulony swego złota.

Żona podzielała z nim na pozór te roskosze autorskie, ale dotychczasowe doświadczenie wstrzymywało ją od wielkich nadziei. Bladła z każdym dniem więcéj, stawała się spokojną i zamyśloną. Małego Romcia ściskała coraz namiętnéj i trzymała go długo w swoich uściskach, jakby mu po za uściskiem macierzyńskim jakie niebezpieczeństwo groziło.

W tak posępnéj atmosferze domu pobladł także i Romcio. Stracił wesoły humorek, nie chciał się bawić żołnierzami, ani pałaców z klocków układać. Chciał tylko z matką rozmawiać, a wtedy stawiał jéj takie pytania, na które trudno było odpowiadać.

Pewnéj nocy umarł w tym samym domu lokator, który miał liczną rodzinę. Mówiono o tém i żałowano pozostałych sierot, które na jutro nie mają chleba.

Romcio słuchał tych rozmów. O szaréj godzinie, gdy ojciec po całodziennéj pracy wybiegł na świeże powietrze, zapytał Romcio matki, coby się z nim stało, gdyby ojciec umarł? Matka rozpłakała się, przytuliła Romcia do piersi, ale na jego pytanie nic mu nie odpowiedziała.

W młodéj główce Romcia raz poruszona myśl pracowała daléj. Ujrzawszy raz, jak matka ślubną obrączkę na kupno wiktuałów stróżowéj dawała, zaczął Romcio w tym kierunku daléj myśléć. Szczebiotał do matki, że już wie, jakby to było, gdyby ojciec umarł. Najprzód włożyliby ojca do trumny, a matka i on płakaliby tak samo, jak płakały dzieci i matka po nieboszczyku lokatorze. Po pogrzebie zaś dałaby matka drugi pierścionek stróżowéj i byłby objad!

Żalska nie dała daléj mówić chłopczynie, zamknąwszy mu usta namiętnym pocałunkiem.

Mały Romcio odzywał się teraz często w ten sposób, a matka czuwała tylko nad tém, aby wobec ojca tak się nie odzywał.

Pewnego dnia skończył Żalski większy rozdział swojéj nowelli, z czego był bardzo zadowolony. Odłożył pióro, wziął Romcia na kolana i zaczął go huśtać.

— Jak dorośniesz,—rzekł do niego,—to ci kupię małego konika.

— Jabym wolał teraz ciastko lub bułkę — odpowiedział Romcio.

Żalska była dzisiaj także weselsza. Niemile dotknęły ją słowa małego Romcia. Obawiała się, aby jeszcze czegoś nie powiedział, z czém w ostatnich dniach często się odzywał. Zwróciła mowę na nowellę i pytała męża, jak daleko postąpił.

Żalski rad był, że go o to pyta. Świeżo napisany rozdział stał mu jeszcze żywo przed oczyma. Był z niego zadowolony i chciał się tém zadowoleniem z żoną podzielić. Zatrzymawszy Romcia na kolanach, wziął manuskrypt do ręki i zaczął czytać. Romcio z uwagą patrzał na ojca.

Bohaterem nowelli był ojciec biednéj rodziny. W zimie zawalił śnieg chatę, a żyd zabrał zwaliska za długi. Biedna rodzina przyszła do miasta na zarobek, ale zarobku nie znalazła. Ojciec rodziny umarł z głodu i na pastwę głodu zostawił także osierociałą rodzinę.

— Czy nas tatko także tak zostawi?—zapytał Romcio.

Żalski opuścił manuskrypt i spojrzał na syna.

— Coś powiedział, moje dziecko?—zapytał zamyślony.

— Nie przeszkadzaj, Romciu, — wtrąciła matka, siląc się na uśmiech, — gdy ojciec czyta, nie trzeba przeszkadzać.

Żalski patrzał ciągle na syna.

— Zkąd ci przyszło to zapytanie, mój Romeczku?—zagadnął po chwili.

— Ot, słyszał jak o nieboszczyku lokatorze mówili, — odpowiedziała Żalska—możebyś chciał daléj czytać?

Żalski czytał daléj. Opis nędzy pozostałéj wdowy z dzieckiem był wspaniały. Żalska zaczęła łzy ocierać.

— Zdaje mi się,—ozwał się Żalski z zadowoleniem,—że rozdział wypadł dosyć dobrze, jeżeli ty płaczesz. Gdy czytelnicy moi z takiém samém wzruszeniem czytać będą, to już dla biednych coś zrobiłem. Łzy czytelników przemienią się dla nich w złoto, albo przynajmniéj w szeleszczące papierki.

I spojrzał przed siebie szczęśliwy autor z taką rozkoszą, jakby rozdał miliony między ubogich.

Tymczasem mały Romcio, widząc matkę płaczącą, zaczął także płakać. Żalski podniósł mu główkę do góry.

— A dlaczego ty płaczesz, mój złoty aniołku? — zapytał z pewném zdziwieniem, — wszak z tego, com czytał, nie wszystko zrozumiałeś.

— Ot, jak zwykle małe dziecko—odpowiedziała szybko Żalska, ocierając oczy.

— A mama płacze także,—szlochał Romcio,—choć mama większa ode mnie.

— Mama co innego—odparł Żalski,—ale ty, aniołku, powinieneś śmiać się, skakać i śpiewać! Czyś ty widział, aby zdrowe i grzeczne dzieci płakały?

— Widziałem—mówił przez łzy Romcio,—widziałem przedwczoraj, jak przy pogrzebie tego pana z dołu małe dzieci wraz z matką płakały.

— A dlaczegoż ty teraz płaczesz?

— Stróżowa mówiła, że i ja z mamą będziemy tak płakali, gdy tatko umrze.

— Przecież ja żyję, moje dziecko, a gdy nie będziesz płakał, to ci przyniosę ciastko z cukierni.

Romcio uspokoił się obiecanką, Żalska wyszła do kuchenki. Autor, podrażniony tém, co słyszał i widział, obrócił się do biurka i zaczął daléj pisać.

Od tego czasu jeszcze pilniéj pracował, niż przedtém. Żonie odczytywał czasem niektóre ustępy, ale wtedy tylko, gdy Romcia nie było. Chłopczyna psuł mu widocznie swemi pytaniami fantazyę literacką, bo jako dziecko nie mógł tego zrozumiéć, co ojciec czytał. Za to prawdziwą było dla niego biesiadą, gdy przyszedł przyjaciel-reporter. Był on pod przysięgą honorową we wszystko wtajemniczony. Wiedział o piszącéj się na konkurs nowelli i wspólnie z autorem podzielał nadzieję, że nowella będzie uwieńczona nagrodą. I Romcio był kontent z jego odwiedzin, bo przyjaciel domowy zawsze mu coś przyniósł. Wtedy nie mieszał się już do rozmowy, ani w czytaniu nie przeszkadzał.

Gdy nowella była skończona, owinął ją autor białym papierem, na którym grubemi literami wypisał tytuł:

„*Wydziedziczony*“.

Czas niejaki przypatrywał się temu tytułowi zbliska i z daleka, a potém z lewéj i z prawéj strony.

Tytuł bardzo mu się podobał. Powtórzył go kilka razy cicho i głośno i przekonał się, że na modulacyi głosu nic a nic nie stracił. Wybierał nawet w duchu trzcionki do niego, któreby godnie tematowi nowelli odpowiadały. Miały one być długie a chude, jako najbardziéj odpowiednie charakterystyce głodu i nędzy.

Gdy się już z tém wszystkiém uporał, zawołał żony i okazał jéj wspaniale wypisany tytuł nowelli. Żalska uśmiechnęła się smutno. Autor tłómaczył jéj, jak ten tytuł w druku będzie wyglądał i jakich każe dobrać trzcionek. Chodzi tylko o to, aby manuskrypt był przed terminem komitetowi konkursowemu przez kogoś doręczony.

Wybrano do tego przyjaciela-reportera i uchwalono, aby w tym celu zaprosić go na herbatkę.

Zaraz nazajutrz przybył przyjaciel domowy. Romcio dostał paczkę pierników i chłopczyka, który koziołki wywracał. Tym sposobem okupiono jego milczenie na cały wieczór.

Bezpiecznie mogli wszyscy zasiąść do herbatki, a potém wziąć się do czytania nowelli.

Żalska wystąpiła z herbatką nie codzienną. Oprócz bułek były także grzanki z lukrem i talerzyk cienko pokrajanéj szynki. W odwodzie leżały trzy serdelki. Kilka misternych płatków sera uzupełniało zastawę herbacianą.

Autor odczytał nowellę z należytą werwą. Twarz jego gorzała, oczy płonęły, a pierś zapadła podniosła się wysoko.

Żalska płakała przy smutnych ustępach, przyjaciel bił brawo i, zamiast dymu z trybularza, obkadzał autora sinym dymkiem „przyjacielskich papierosów“ z fabryki Polakiewicza.

Sukces był powszechny, przyjaciel obiecywał na pewno nagrodę konkursową „Wydziedziczonemu!“...

Po dłuższéj naradzie, zgodzono się na dewizę: *Sursum corda.* Przyjaciel własnoręcznie napisał tę dewizę na kopercie, w któréj zapieczętowano bilet autora.

X.

Żalski uspokoił się teraz. Opuściła go gorączka autorska, bo dzieło już było dokonane. Doznawał błogiéj roskoszy, jakiéj doznaje człowiek zacny po spełnieniu dobrego uczynku, lub robotnik po ciężkiéj pracy.

Do tego uczucia domieszało się jeszcze inne, niemniéj przyjemne. Nie tylko bowiem spełnił on dobry uczynek, wziąwszy biednych w opiekę, ale położył także podstawę do swojéj sławy autorskiéj.

Już dzisiaj, bez względu na wyrok konkursu, czuł się wyższym. Z wyższego stanowiska patrzał na płynące pod oknem rynsztoki, na ulicy nie lada komu ustępował, a gdy spostrzegł, że ktoś kapelusza uchyla, był pewnym, że to ukłon dla niego. Przyjaciołom swoim inaczéj rękę ściskał, a znajomym obiecywał protekcyę. Na-

wet żonę, gdy się nie zapomniał, tylko w czoło całował, a małego Romka po głowie głaskał.

Od tego przyjętego dzisiaj zwyczaju odstępował tylko w chwilach wyjątkowych. Najczęściéj działo się to przy wieczornéj herbacie, gdy żona oparła głowę o jego ramię, a mały Romcio na kolanach mu usiadł. Wtedy zdawało mu się, że jest Alfem, że przy nim siedzi Aldona, jak to w miodowych miesiącach bywało, a mały Romek był w jego oczach owym różowym skrzydlatym chłopczykiem z łukiem i sajdakiem strzał na plecach!...

Wtedy zapominał nawet o swoich biednych wydziedziczonych, zapominał o wyższém swojém stanowisku, ściskał i całował swoją Aldonę i Romka, jako szczęśliwy ojciec i małżonek. Po takich chwilach szczęścia domowego wracał znowu do swojéj powagi.

A ta powaga, wywołana wewnętrzną dumą, słusznie mu się należała. Napisał dzieło nietylko piękne, ale także i szlachetne. Nie przebrzmi ono bez pożytku dla społeczeństwa. Nieobliczone korzyści mogą spłynąć dla biednych. Będzie ono podobne do zawieszonéj na murze świątyni skarbnicy, do któréj będzie się sypała jałmużna dla biednych.

Takiem uczuciem napawał się dzisiaj autor. Był dumny z tego, co zrobił. Patrzał daleko przed siebie, a często nawet tak daleko, że ani żony, ani Romka przy sobie nie widział.

Przez kilka dni był spokojny, jak człowiek, który po pracy odpoczywa. Cieszył się tym spokojem i często mówił do żony i do przyjaciół, jak mu przyjemny jest ten odpoczynek po pracy i to uspokojenie.

Siadywał godzinami na sofie, założywszy ręce na głowę. O niczém nie myślał i nie marzył. Patrzał przed siebie okiem bez wyrazu, jakby zasypiał. Nie widział nawet Romcia, który stał przed nim i czekał, aby go wziął na kolana. Ożywiał się tylko więcéj późnym wieczorem, gdy czas nadchodził nocnego obowiązku w drukarni. Wtedy wzmagała się w nim jakaś gorączka, w pośpiechu zarzucał odzież na siebie i chwiejącym się krokiem wychodził z domu.

W drukarni pracował, jak zwykle, tylko coraz mniéj opierał się zachciankom reportera, który teraz całe kolumny zapełniał swemi konceptami. Do domu powracał późniéj, bo teraz nie mógł tak prędko chodzić, jak pierwiéj. Często przystawał, aby odpocząć i przyjść do siebie.

Po niejakim czasie nie wystarczało mu całodzienne wysiadywanie na sofie. Pokładał się często, skarżąc się na znużenie. Leżał godzinami z opartą na poręczy głową i wpatrywał się w arabeski, malowane na suficie.

Zrazu wzięła to żona za zwykły odpoczynek. Wiedziała, co to jest praca autora. Wiedziała, że autor, pracując, pisze krwią swoją w literalném znaczeniu tego słowa. A téj krwi ubywało mężowi coraz więcéj. Wychudł i pożółkł, a oczy jego gasły, jak gasną gwiazdy za mgłą jesienną. W takim razie uważała wypoczynek za konieczny. Był on lekarstwem, które miało mu utracone siły przywrócić.

Żalski także sądził, że tylko odpoczywał. Mawiał nawet do żony, że, jak sobie odpocznie, weźmie się znów do pisania. Odpoczynek ten jednak trwał za długo. Nie wystarczało mu teraz bezczynne leżenie na sofie, ale zaczął zasypiać. Spał całemi godzinami, a gdy go żona zbudziła, bywał jakby nieprzytomny i długo nie wiedział, gdzie się znajduje.

Pewnego dnia, zbudziwszy się ze snu, nie chciał wstać, ani się ubrać. Powiedział żonie, że mu lepiéj jest leżéć w łóżku, aniżeli na sofie. Leżał przez cały dzień i wstał dopiero nad wieczorem, aby pójść do nocnéj pracy w drukarni.

Na drugi dzień także z łóżka nie wstawał, ale nie wstał i nad wieczorem i do nocnéj pracy w drukarni nie poszedł.

Rano przyszedł reporter dowiedziéć się, co się dzieje z autorem „Wydziedziczonego"—i zastał żonę płaczącą.

Żalski leżał blady, z oczami zapadniętemi, ale był dosyć wesołym. Z uśmiechem podał wychudłą rękę przyjacielowi, który go pytał o zdrowie.

— To nic—odpowiedział—zmęczyłem się pracą. Być może, że biednym dałem za wiele!... Wypocznę sobie, a siły przyjdą do równowagi.

Mały Romek stał przy łóżku i patrzał na ojca.

— To mnie tatko ciastka nie chciał dać,—rzekł do ojca—a biednym dał tatko za wiele! Pocóż im było tyle dawać?

Matka obróciła się szybko do okna, przyjaciel spojrzał na podłogę; a Żalski zawołał na syna, aby do niego się zbliżył.

— Biedni—rzekł do niego, całując go w głowę—biedni, ze wszystkiego wydziedziczeni, są zawsze głodni, a w zimie dokucza im jeszcze i zimno!

— A ja nie jestem często głodny?—odparł blady chłopczyna—a mama nawet oddawna nie nakrywa mię swą ciepłą chustką?

Jaśniejsze światełko mignęło w oczach Żalskiego.

— Gdy mama dostanie futro—rzekł z weselszym uśmiechem—to ty będziesz miał znów ciepłą chustkę.

Reporter odkrząknął kilka razy, bo coś go za gardło ściskało. Zaczął mówić o dwóch pożarach, które były téj nocy, i o różnych wypadkach, jakie się przytém zdarzyły. Żalska wróciła od okna, aby

słuchać jego opowiadania. Miała już suche oczy, a nawet weselszy uśmiech na twarzy. Romcio słuchał także ciekawie opowiadania o nocnych pożarach i nie pytał już więcéj ojca, dlaczego biednym „wydziedziczonym“ dał za wiele, a jemu za mało?

Skończywszy o pożarach, napomknął przyjaciel-reporter o doktorze X., który wybiera się do Żalskiego z wizytą.

Żalska zrozumiała domowego przyjaciela, ale zdaje się, że i Żalski coś zrozumiał.

— Pocóż on się do mnie wybiera? — zawołał — przecież ja nie chory! Odpoczywam tylko po dłuższéj pracy i nic więcéj.

— On dawno już chciał cię odwiedzić, tylko nie wiedział, gdzie mieszkasz. To bardzo zacny człowiek, czyta wiele.

— Zapewnie czytał „Na skrzydłach Ikara?“

— Ma nawet książkę w domu. Widziałem ją leżącą przy jego łóżku. Widać, że wieczorami czytał.

— Zacny, poczciwy człowiek! Chciałbym, aby mnie odwiedził. Gdy wstanę, jutro albo po jutrze, pójdę do niego.

Jeszcze o tém i o owém rozmawiał przyjaciel, potém pożegnał się i odszedł. Przy drzwiach dał jakieś znaki Żalskiéj, które ona zrozumiała i z wdzięcznością przyjęła.

Za pół godziny przyszedł znów, ale nie sam.

— Doktor X., kochany Konradzie—zawołał do drzemiącego przyjaciela—spotkaliśmy się na Nowym-Świecie.

Żalska powitała doktora badawczém spojrzeniem. Konrad chciał podnieść się z łóżka, ale nie mógł. Wyciągnął tylko do doktora chudą rękę.

Doktor zaczął od śmiechu, bo coś śmiesznego zobaczył na ulicy, przeszedł potém do politycznych anegdot o Bismarcku, a zboczywszy nieco do teatru i koncertów, zaczął mówić o literaturze i najnowszych publikacych. Przyszła koléj i na Ikara, do którego miał zawsze żal, że go nie wezwał na konsylium, gdy mu się skrzydła opaliły.

Żalski słuchał z uśmiechem wesołéj rozmowy, dziękował doktorowi za łaskawe względy dla Ikara, którego autor także sobie skrzydła dobrze zmachał. Dodał jednak prędko, że to nic, że tylko odpocznie sobie, a wszystko przeminie.

Doktor był także tego zdania, śmiał się z rozstrzępionych nieco skrzydeł Ikara, i wyraził nadzieję, że po wypoczynku przyjdą do dawnego porządku. Przytém brał go za rękę i ściskał długo, jakby tętna jego serca liczył.

Romcio wpatrywał się ciekawie w człowieka, o którym mu powiedziano, że czuwa nad tém, aby ludzie nie umierali.

— Ale tatko nie umrze? — zapytał nagle wśród pauzy.

Doktor chwycił go pod ramiona i podniósł do góry.

— Wszyscy ludzie umierają — zawołał, śmiejąc się — ale dopiero w starości. Tatko nie umrze teraz, ale wtedy, gdy ty szkoły skończysz, a on się mocno postarzeje!

Głośna rozmowa wszystkich przerwała dalsze pytania Romcia. Doktor pożegnał chorego Ikara i przyobiecał wkrótce przyjść do niego.

W sieni powiedział żonie, że stan chorego jest niedobry. Wskutek niezwykłéj pracy, przy niedostateczném odżywianiu się, nastąpił w całym organizmie szybki ubytek sił żywotnych.

Żalska długo chodziła po sieni, aby ze łzami nie powrócić do męża.

XI.

Od tego czasu Żalski już nie wstawał z łóżka. Wypoczynek jego, jak mniemał, przedłużał się. Mawiał, że za kilka dni wstanie i znów do pracy się zabierze.

Mijały dnie i tygodnie, a Żalski nie wstawał. Drukarnia wzięła innego korektora. Autor wydziedziczonych stracił skromny zasiłek, jaki mu nocna robota w drukarni dawała.

Żalski nie wiedział o tém. Przyjaciel-reporter zbierał między kolegami grosz wdowi i cichaczem żonie jego doręczał. Wesoły zawsze wobec pacyenta, doktor przyczyniał się także do tego. Wszystko to jednak, przy zwiększonych potrzebach chorego, nie wystarczało. Żalska bladła od łez i czuwania, Romcio mizerniał także z każdym dniem. Nie pragnął już ciastka, kontentował się kawałkiem chleba. Nędza, wyjątkowa nędza rozpostarła teraz swoje panowanie.

Żalski najczęściéj drzemał, a chociaż czasem spojrzał na żonę, nie widział, że zbladła, że w uszach nie ma kolczyków, ani cieplejszego ubrania na sobie. Nie widział również, że Romcio pożółkł i że głód patrzał z jego zapadłych oczu. Żonę często w rękę całował, a Romcia tylko po głowie głaskał, bo już nie mógł do niego się nachylać.

Gdy o swojéj niemocy i przedłużającym się wypoczynku mówił, uśmiechał się smutno i dodawał:

— To przejdzie!... Ubogim dałem za wiele... ale to nic. W naturze nic nie ginie. Mnie ubyło trochę sił, zato biednym wydziedziczonym przybędzie może chleba. Gdy ludzie przeczytają „Wydziedziczonego“, otworzą rękę dla nich! Nic w naturze nie ginie! Tu ubyło, tam przybędzie!

I rozśmiał się smutnym, bezdźwięcznym śmiechem, ucałował rękę żony, a Romcia pogłaskał.

Nikł prawie w oczach. Ciała z każdym dniem ubywało, zostawały tylko kości, żółtą skórą powleczone.

Żalska po całych dniach płakała, Romcio siedział w kącie i o nic nie pytał. Patrzał smutnemi oczyma to na ojca, to na matkę, i zapadał w jakąś zadumę, która od młodéj jego twarzyczki dziwnie odbijała.

Do codziennych umartwień Żalskiéj przyczyniła się jeszcze pewna drobna na pozór niewygoda. Stróż kamieniczny, uciuławszy sobie nieco grosza, zapragnął przenieść się na wyższe stanowisko posługacza w aptece. Stróżowa poszła za mężem, a Żalska straciła tym sposobem sługę, obeznaną z jéj stosunkami. Umiała ona pomódz jéj w różnych kłopotach, znała kramy i przekupki, u których można było wziąć coś na kredyt. Często nawet kupiła za swoje, gdy tego nagła potrzeba wymagała.

Teraz nastał nowy stróż. Żona jego przyjęła wprawdzie służbę u Żalskich, miała dobre serce i jaknajlepsze chęci, ale brak jéj było wielkomiejskiego sprytu, jaki posiadała jéj poprzedniczka. Przybyła ona niedawno ze wsi wraz z mężem i po różnych tarapatach dostali się do kamienicy. Żalska musiała zrazu z nią po zakupno wychodzić, ale po kilku dniach poczciwa i usłużna kobieta włożyła się jakoś do swoich nowych obowiązków. Dowiedziawszy się, że mąż Żalskiéj jest obłożnie chory, przychodziła nawet częściéj do kuchenki, aby biednéj gospodyni w czém dopomódz. Spostrzegłszy, że w domu bieda i nędza, przyniosła czasem Romciowi kawałek kołacza albo czerwone jabłuszko. Pocieszała płaczącą Żalską, a jeśli to nie wystarczało, to z nią razem płakała. Przyniosła do kuchenki dwuletnie dziecko swoje, a Romcio dziwił się bardzo, że mała dziewczynka nazywa się Olesia, tak samo, jak jego matka.

Żalski coraz więcéj z sił opadał. Często mówił, jakby nieprzytomny, miewał różne wizye i halucynacye. Osobliwie w nocy napadały go jakieś mary, z którémi rozmawiał.

Pewnéj nocy był jakoś bardziéj niespokojny. Co chwila wołał żony i chciał, aby przy nim siedziała. Opowiadał jéj, jak raz był na wspaniałym obiedzie i jak mu tam wszystko smakowało. Wyliczał rozmaite potrawy i opisywał, jak wyglądały. Przytém połykał ustawicznie, jakby rzeczywiście jadł te potrawy.

Po niejakim czasie zapytał żony, czy nie ma jakiéj przekąski, bo czuje, że jest głodnym. Zjadłby nawet kawałek chleba z masłem.

Żalska wyszła do kuchenki, ale po to tylko, aby tam płakać. Zeszła na dół do stróżowéj i zapytała, czy nie ma chleba i masła. Stróżowa obiecała przynieść za chwilę.

Gdy Żalska odeszła, ukroiła stróżowa z dużego bochenka kromkę chleba, rozwiązała garnek z masłem i dosyć grubo nasmarowała. Zawiązała garnek, a z kromką chleba chciała właśnie wyjść z izdebki, gdy małe dziecko się obudziło. Wzięła je na ręce, aby nie płakało, i wyszła z niém na górę, do kuchenki.

W kuchence nie było nikogo. Otworzyła drzwi do pokoju. Uszedłszy parę kroków, spojrzała na łóżko i nagle stanęła, jak wryta.

Żalska, myśląc, że daléj iść nie chce, zbliżyła się do niéj, wzięła chleb z jéj ręki i podała mężowi.

Tymczasem odetchnęła stróżowa i zawołała:

— Toż to nasz pan opiekun!

A wybiegłszy na kurytarz, zawołała na schodach:

— Grzegorzu, Grzegorzu, pójdźta tutaj!

Za chwilę wszedł do pokoju rosły chłop, w długim, nowym kożuchu.

— Patrz — zawołała stróżowa, wskazując na łóżko — to ten pan opiekun, co to był owéj nocy u nas w téj piwnicy nowego domu... co to na zimne rączki Olesi kilka razy chuchnął!

Łzy nie dały jéj daléj mówić.

Stróż patrzał zdziwiony na chorego, który trzymał chleb z masłem w ręku. Nie mógł on pojąć, co znaczy ten tytuł opiekuna przy takiém ubóstwie. Wszak on w podziemiu mówił, że jest opiekunem biednych! On taki biedny! Taki nędzarz!...

Ale jakiś instynkt lepszy kazał mu zbliżyć się do łóżka i „opiekuna biednych“ w rękę pocałować.

Żalski patrzał chwilę na dawnych znajomych, ale ich już nie poznał. Zdawało mu się, że to bohaterska rodzina biednych wyszła z jego nowelli konkursowéj... że to piąty rozdział tejże nowelli stanął mu teraz przed oczyma!...

. . . .

Nazajutrz zbudził się w gorączce. Mówił o bohaterach swojéj nowelli, którzy go téj nocy nawiedzili. Dali mu kromkę chleba z masłem, a to uważał za znak, że „Wydziedziczony“ otrzyma konkursową nagrodę.

Przed południem wpadł przyjaciel-reporter z wiadomością, że „*Wydziedziczony*“ dostał pierwszą nagrodę!

Żalski usłyszał jeszcze ten wyrok, a nawet twarz jego zarumieniła się uczuciem szczęścia—ale był to ostatni wybłysk życia.

Jeden z dzienników, zamiast nekrologu, zamieścił w czarnych ramkach:

„Wydziedziczony pracował dla „Wydziedziczonych“!

„Pozostawił żonę i dziecko bez chleba!“

JAN ZACHARYASIEWICZ.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

W chwili, kiedy trzeci tom pamiętników barona Haussmana miał się ukazać w druku, umarł nagle zasłużony autor. Krzepki ten starzec trzymał się dzielnie, mimo lat z górą ośmdziesięciu; złamała go śmierć żony, która o parę miesięcy poprzedziła go do grobu. Był to człowiek wielkiego hartu ducha, niezmordowany w pracy. W dzisiejszych czasach ogólnego upadku charakterów, osobistość taka zasługuje tém więcéj na uwagę.

O pierwszym tomie pamiętników mówiliśmy już w roku zeszłym. Tom drugi dokładném jest obliczeniem prac, dokonanych w ciągu lat siedmnastu, od czasu jak Haussman objął prefekturę Sekwany, do dnia, gdy usunął się dobrowolnie od obowiązków, za ministeryum Oliwiera i rozszerzeniem parlamentarnego systemu.

Olbrzymie te prace pochłonęły trzy miliardy franków, ale też przeistoczyły całkiem postać Paryża. Stary gród, zbudowany niegdyś na bagnach (zkąd poszła odwieczna nazwa „Lutecya“ i późniejsza „Marais“, nadana całéj dzielnicy), przeistoczył się nagle nietylko w najpiękniejsze, ale, co więcéj, w najzdrowsze miasto, co poświadcza porównawcza statystyka śmiertelności. Uznają to dziś wszyscy; inaczéj jednak było, kiedy tysiące kamienic i pałaców waliły się pod taranami na hasło prefekta Sekwany.

— Gdzie się przytulimy—wołał podżegany lud—skoro burzą nasze zaułki i poddasza?

— A wiecie wy, czemu w miejsce krętych uliczek wyciągają dziś te szerokie aleje i bulwary?—szeptali podżegacze;—oto aby, w razie oporu, działami rozpędzać zbiegowiska.

Inni w burzeniu starych pomników widzieli chęć zatarcia odwiecznych tradycyi, nie pomnąc, że więcéj zatarła ich konwencya, niż wszystkie tarany haussmanowe.

Przeciw tym groźnym prądom walczył prefekt z godną podziwienia wytrwałością. Potężne wsparcie znajdował on w Napoleonie, co tém więcéj rozjątrzało licznych przeciwników cesarstwa.

Nie możemy zatrzymywać się nad wyliczaniem prac niezmordowanego prefekta; najwymowniejszém świadectwem jego zasług był oddany mu hołd przez jednego z zagorzałych niegdyś przeciwników, przez Juliusza Simona, ministra z pierwszych czasów respubliki. Świadectwo to, równie zaszczytne dla tego, który oddał je, przyznając się do winy, jak i dla tego, którego zasługi tak wysoko zostały uznane, głęboko poruszyło Haussmana. Zamieścił je we wstępie do drugiego tomu pamiętników; powtórzymy je za nim. Simon w krótkich słowach pokazuje całą doniosłość olbrzymich prac, któremi Haussman zasłużył na wdzięczność narodu.

W rozprawie, ogłoszonéj w r. 1882, Simon wyrzuca, tak sobie, jak i drugim, pośpieszne i nieoględne sądy. Szydzi on sam z siebie, że za czasów cesarstwa, niechętny rządowi, stawał, bądź co bądź, jeżem przeciw temu nawet, co zasługiwało na najwyższe uznanie. Oburza go śmiałość, z jaką protestował przeciw działaniom prefekta, ze względu na koszta, jakie pociągały za sobą.

„Co mnie dziś obchodzą, mówi on, rachunki pana Haussmana? Postanowił przeistoczyć Paryż, zbudować przepyszną stolicę dla Francyi i osiągnął cel zamierzony. Kiedy objął administracyę miasta, dwa miejsca tylko, Bulwary i Tuilleries, przynęcały publiczność; pola Elizejskie bywały częstokroć topieliskiem, lasek Buloński leżał na krańcu świata.

„Cały Paryż składał się z pagórków i dolin. Ciasne, cuchnące uliczki, bez powietrza i światła, krzyżowały się w rozmaitych kierunkach. Uliczka Lanterne, położona w samym środku miasta, przy pałacu sprawiedliwości, przecięta w połowie kamiennemi schodkami, tak była wąska, że dwóch przechodniów zaledwie wyminąć się w niéj mogło.

„Nie więcéj, jak trzydzieści lat temu, brakowało nam wody. Latarnie gazowe poczęły się dopiero pojawiać, a i to w małéj liczbie. Nie mieliśmy wygodnych targowisk, brakło nam téż kościołów.

Wiele najpiękniejszych i najdawniejszych pozamieniano na magazyny, na koszary lub na biura rządowe. Inne ukryte były pośród domostw rozsypujących się w gruzy. A przecież istniała już kolej żelazna, codzień napływała nią do Paryża cała powódź cudzoziemców, którzy nie mieli gdzie pomieścić się ni przechadzać swobodnie.

„Baron Haussman wykonał w ciągu lat dziesięciu olbrzymie prace, na jakie nie starczyłoby innym lat pięćdziesiąt. Rozwalał całe dzielnice miasta.

„Sprowadzi nam morową zarazę!“—wołało tysiące głosów. On nie zważał na krzyki, prowadził rozpoczęte dzieło, z godną podziwienia wytrwałością, dawał nam powietrze, zdrowie i życie. Tu wyciągnął długą ulicę, tam aleję lub bulwar wysadzany drzewami, tu znów skwer wysłany murawą, pełen kwiecistych krzewów, sprowadził całą rzekę Vannes, zasilił Paryż dostatkiem świeżéj wody. Wykopał przepyszne kanały, pobudował szpitale, koszary i teatra. Wydobył z błota pola Elizejskie, na dwóch krańcach Paryża urządził dwa rozkoszne gaje, Buloński i Winceński. Dziełem jego ogromne halle centralne. Rozpowszechnił użycie gazu, pomnożył linie omnibusów, rzucił na Sekwanę mnóstwo statków parowych, czém ożywił rzekę i ułatwił komunikacyę. Ozdobił stolicę olbrzymim wieńcem zielonych drzew i kwiatów, zaludnił posągami. Dzieło jego zdumiewa nas bardziéj, niż zdumiewały wydane na nie sumy. Całém pragnieniem naszém, aby Rzeczpospolita dokonała prac podjętych przez rząd samowolny“.

Łatwo pojąć, jak miłém było Haussmanowi chlubne świadectwo, oddane mu publicznie przez politycznego przeciwnika. Żałował tylko, że Juliusz Simon, pokazując pożytek z prac dokonanych, nie wspomniał o cesarzu Napoleonie, który był prawdziwym ich inicyatorem.

„Ten marzyciel, jak go nazwano, mówi Haussman, nie dość, że sam kreślił plany, realizowane przeze mnie, ale, co więcéj, popierał usiłowania moje z żelazną wytrwałością. Co do mnie, byłem po prostu wykonawcą jego myśli i woli“.

W tydzień po wyprawieniu naszéj lutowéj korespondencyi, wybuchła tu burza Thermidorowa. Chmura, zebrana nad teatrem, sypnęła gradem w prasie tutejszéj, a zakończyła się, jak wiadomo, piorunem na radzie ministrów. Sprawa ta należy już do przeszłości, a przecież niepodobna, aby pozostała bez oddźwięku w kronice naszéj.

Zbytecznem byłoby powtarzać szczegółowo treść znanéj sztuki Wiktoryna Sardou. Węzeł dramatu bardzo prosty: Wypadki krwawéj rewolucyi rozdzieliły parę zaręczoną. Młodzian pochwycił oręż, pośpieszył walczyć w obronie Rzeczypospolitéj; panienka, sierota bez rodziców, czekała rok cały; mylnie uwiadomiona, że narzeczony poległ, w głębokiéj tajemnicy wykonała śluby zakonne. Ukrywa się w Paryżu, za obrębem murów klasztornych, te bowiem, opuszczone i zamknięte, przygarnąć jéj nie mogą. Młodzian tymczasem nie zginął, okryty chwałą przywozi trofea, zdobyte w bitwie pod Fleurus. Spotyka się młoda para. Marceli słyszéć nie chce o ślubach, wykonanych, jak mówi, nieprawnie, z pogwałceniem danego mu słowa. Przełamuje wreszcie opór sieroty: połączą się niebawem.

Inaczéj się stało. Oskarżono dzieweczkę przed trybunałem rewolucyjnym, że nosi krzyż na piersi. Zamknięto ją w więzieniu; wyrok już zapadł. Daremne zabiegi narzeczonego. Nadszedł 9-ty Thermidora; Robespierre, ugodzony śmiertelnie, ale pozostał niemniéj okrutny Fouquier Tinville. Powleczono ofiarę pod gilotynę. Ostatnie to ofiary: śmierć Robespierre'a powstrzymała gwałty w krwią przesiąkłym Paryżu.

Sardou jaskrawo odmalował te gwałty; skreślił historyę tych nieszczęśliwych czasów w rozmowie dwóch przyjaciół. Jeden z nich, to ów Marceli, tylko co przybyły z trofeami, zdobytemi pod Fleurus drugi, to aktor Labussiere, który zaciągnął się w służbę trybunału rewolucyjnego, w celu, by niszczyć powierzone mu dokumenta i niejedną ofiarę oswobodzić od śmierci. Postać to ściśle historyczna.

Powtarzamy ten dyalog, on bowiem wywołał całą burzę dzisiejszą.

— Szczęśliwiści wy, żołnierze, mówi Labussiere, widzicie tylko wielką stronę rewolucyi, tryumfy zastępów naszych, trójkolorowy sztandar, powiewający zwycięsko. Powracaj-że co żywo do armii! to, co tu zobaczysz, doprowadza do rozpaczy każdą duszę prawdziwie republikańską.

— Prawdę mówiąc, niestety, odrzecze Marceli, byłem na zgromadzeniu konwencyi narodowéj; próżno szukałem tam dzielnych przewódców, gorliwie zajętych sprawą publiczną. Wszystko znikło, rozpierzchło się, niejeden krew wytoczył. Znalazłem tylko tłum, drżący i bezsilny wobec małéj garstki nieludzkich terrorystów. Przebiegłem miasto: ludzie roją się, ale milczą, istne widma grobowe. W każdéj bramie stosy sprzętów, wystawionych na sprzedaż Ogród Tuilleryjski zasadzony kartoflami, pola Elizejskie pełne włóczęgów i żebraków. W szopkach dla zabawy dzieci wystawiona maleńka gilotyna! A cóż to dopiero, kiedy zegar uderzy czwartą: przerażający obraz!...

Wózki ciągną wybrzeżem, pełne mężczyzn i niewiast, starców i niedorosłéj dziatwy! a wkoło nich przyklaskują najemne tłuszcze. Wiedźmy tańczą karmaniolę, przyśpiewując chórem bezecne zwrotki. I tenże-to sam Paryż, nasz piękny Paryż, niedawno pełen radości i nadziei! I onże chce znosić to wszystko!

— Biedny lud, odrzecze Labussiere, ciemny i łatwowierny, ale gotów zawsze do bohaterstwa, cierpi tę nędzę, bo widzi kraj zagrożony w granicach. Powiedziano mu, gdy pierwsze głowy spadły pod gilotyną: „To zdrajcy! zmawiali się z nieprzyjacielem, aby złamać głodem twój opór. Zniszczmy ich, a powróci wiek złoty!“ I lud im uwierzył. Tak ubiegały tygodnie i miesiące. Wózki przewoziły setki coraz to nowych ofiar, a im obfitsze było żniwo głów, tém nędza była większa i tém dalszy wiek złoty! Lud dziwi się, porusza!... A potém, pierwsze ofiary nosiły górą głowę, z milczenia ich wnoszono, że winni. Dzisiejszym ofiarom zabrakło cierpliwości: szarpią się, wzywają pomsty ludu! Niedawno oto, na placu rewolucyi, w dniu uroczystości narodowéj, ośm wołów ciągnęło wóz „sztuk i rzemiosł“; wtém stają woły, nie chcą postąpić kroku, odurzone wonią krwi, jeszcze nie wsiąkłéj w ziemię. Lud struchlał na ten widok, odczuł naukę, jaką bydle dało człowiekowi. Pręgierz utracił popularność, przeniesiono go na plac Bastylii, a ztamtąd daléj ku rogatkom. Na widok wózków, ciągnących przedmieściem Św. Antoniego, drzwi i okna domów zamykały się nagle, kobiety uciekały z głośnym płaczem. Pomyśl-no tylko!... W ciągu pięćdziesięciu dni tysiąc trzysta ofiar przeciągnęło przedmieściem. Cały plac, to krwawa kałuża!

Obraz ten, którego małą zaledwie przytoczyliśmy cząstkę, wypowiedziany przez Coqulina z właściwą mu werwą, obudził protestacyę kilku młodych zapaleńców na pierwszém przedstawieniu; na drugiém powtórzyły się gwizdania i wykrzyki. Z rozkazu ministra spraw wewnętrznych „Thermidor“ usunięty został ze sceny. Zarząd teatru, opierając się na upoważnieniu, podpisaném przez ministra oświecenia, dopominał się praw swoich. Sprawa przeszła do izby. Członek Clémenceau energicznie przemówił za potwierdzeniem zakazu, ze względu, że Francya przyjmuje na siebie całkowitą puściznę wielkiéj rewolucyi (*en bloc*), nie wyłączając z niéj robespierrowskiego terroryzmu! Większość nie chciała wdawać się w szczegóły, zagłosowała jednak ufność w działanie ministeryum!

Gdy piszemy, sprawa niezupełnie jeszcze skończona. Sardou, jak mówią, wchodzi w układy z administracyą. Żądają od niego usunięcia ustępów najdrażliwszych, a zarazem wzmocnienia pocisków na emigracyę, która, jak wiadomo, wspólnie działała z nieprzyjacielem kraju. Nie wiadomo, czy autor ustąpi; oświadczył jednak sta-

nowczo, że w rewolucyi widzi dwie fazy całkiem odrębne: o ile jest zwolennikiem pierwszéj, o tyle druga budzi w nim oburzenie i zgrozę.

Rok bieżący w samym początku ciężko dotknął sztukę francuską. Dwie gałęzie jéj: rzeźba i malarstwo, któremi Francya chlubi się dziś przed światem, poniosły niepowetowaną stratę, przez śmierć czterech pierwszorzędnych artystów. Zmarli naprzód dwaj mistrze dłuta: Delaplanche i Aimé Millet, za nimi poszedł wytworny kolorysta Chaplin, nakoniec zamknął oczy najsłynniejszy z mistrzów pędzla, Meissonier. Wszyscy czteréj nazbyt przeważne miejsce zajęli w sztuce współczesnéj, abyśmy mogli pominąć ich milczeniem.

Od lat wielu, na każdéj wystawie majowéj, tak grupy, jak symboliczne figury Delaplanche'a, radowały oko znawców i jednały artyście zasłużone nagrody, aż do najwyższéj, to jest medalu honorowego. Z pomiędzy tych grup wspomnijmy jedną, prawdziwe arcydzieło, pod tytułem „Wychowanie macierzyńskie“. Szkoła ludowa istniała już w malarstwie: stworzył ją Franciszek Millet, wprowadzając lud wiejski do obrazów; w ślady mistrza poszli: Juliusz Breton, L'Hermitte i wielu innych. W rzeźbie tymczasem panował klasycyzm. Mistrze dłuta nie śmieli zerwać z tradycyą grecką, piękność plastyczna była dla nich najwyższym ideałem. Delaplanche, jeden z pierwszych, podjął przedmiot z życia codziennego; dowiódł on, że prawda ma téż właściwą sobie piękność, niezależną od formy, ale wyższą, uduchowioną. Grupa jego składa się z matki, prostéj kobiety, odzianéj ubogo, i z małéj dzieciny u jéj kolan, składającéj litery na książeczce. Prześliczna ta grupa, pełna prostoty i głębokiego poczucia, odlana ze spiżu, zdobi jeden z paryskich skwerów przed kościołem Św. Klotyldy.

Delaplanche utorował artystom nową drogę; umarł w pięćdziesiątym czwartym roku, w chwili gdy twórczy talent mistrza najwyżéj się rozwinął i zapowiadał bogate jeszcze plony.

Starszy wiekiem, Aimé Millet, skończył już od lat kilku zawód swój artystyczny. Niegdyś uczeń Dawida z Angers, niezmordowany ten pracownik przyczynił się wielce do ozdoby Paryża Na cmentarzach tutejszych odznaczają się pomniki grobowe, wykute jego dłutem, mianowicie pomnik Henryka Murget. W galeryi teatru Francuskiego uderza w oczy posąg Georges Sand w siedzącéj postawie Do najpiękniejszych jego prac należy olbrzymi posąg Wercyngeto-

ryksa, wzniesiony na gruzach Alezyi, słynnéj zwycięztwem bohatera galskiego nad kohortami Cezara.

W Lutym umarł Chaplin, słynny z kolorytu i wytworności pędzla. Wykonane przez niego portrety młodych kobiet, pełne świeżości i wdzięku, fantastycznie owiane przejrzystą draperyą, bywały przez długie lata ozdobą każdéj dorocznéj wystawy. Oko spoczywało na nich chętnie, jak spoczywa na różach świeżo rozkwitłych. Dzisiejsi realiści żartowali z tego kierunku sztuki, zwali ją sentymentalną; artysta nie zważał na te żarty. Miłośnik piękna, realizował je według własnych pojęć; idealizował prawdę i między Paryżankami zagorzałe miał zwolenniczki.

Nie pogrzebano jeszcze Chaplin'a, kiedy zmarł Meissonier, jeden z najpierwszych mistrzów tegoczesnych. Ośmdziesięcioletni ten starzec zachował do końca życia siłę młodzieńczą i wielką miłość pracy. Ostatnie utwory jego nie ustępowały dawniejszym, liczba ich wzrastała bez ustanku, a miłośnicy sztuki z obu półkuli świata rozchwytywali je gorączkowo. Żaden zapewne z artystów nie zebrał za życia tak obfitych plonów swéj pracy.

Urodzony w Lyonie 1811 r., syn zamożnego kupca, Ernest Meissonnier miał z woli ojca odziedziczyć po nim sklep korzenny i prowadzić daléj korzystny handel. Nie odpowiadało to chłopakowi, wrodzony popęd pchał go ku innéj stronie. Wcześnie pochwycił pędzel. Kreślił nim coraz to nowe szkice, malował wszystko, co mu wpadło pod oczy. Ojciec poglądał na to z trwogą, surowo gromił syna; ale, w miarę stawianego mu oporu, młodzian coraz to silniéj miłował sztukę, wszystko poświęcał dla niéj. Napróżno zacięty ojciec, chcąc go zmusić do posłuszeństwa, odmawiał mu zasiłków na konieczne potrzeby życia. Przez lat kilka młody artysta walczył w Paryżu z nędzą. Dnie całe pracował pod kierunkiem Cogneta: wieczorami, aby zarobić na chleb, ilustrował książki dla wydawców.

Pojawił się po raz pierwszy w Salonie 1834 r. z małym obraskiem „Mieszczan flamandzkich“. W rok potém wystawil „Grę w szachy“. Wielka to była śmiałość, w czasach panującego wszechwładnie klasycyzmu, wystąpić z rodzajowym obrazkiem, schwyconym prosto z życia. Pierwsze téż prace Meissoniera przechodziły nie spostrzeżone wśród ogromnych płócien historycznych i mitologicznych, zapełniających Salon. Nie zrażało to jednak artysty; pewny przyszłości, szedł wytrwale obraną drogą.

Nastąpiła chwila pamiętnego przełomu w sztuce. Delacroix wystąpił jako zagorzały zapaśnik romantyzmu. Zamknięty w pracowni swojéj, Meisonnier, nie mieszał się do walki. Cały rozmiłowany w mistrzach holenderskich XVII wieku, jak Metzu, Terbourg i inni, nie

szedł na oślep ich torem, ale usiłował sprostać im w technice i wytworności pędzla.

Wybiła wreszcie godzina dla artysty, obrazki jego zwróciły powszechną uwagę. Wybierał do nich najrozmaitsze przedmioty: to charakterystyczne sceny z życia filozofów i artystów, dworskich panów i mieszczan ośmnastego wieku, wykonane z najściślejszą prawdą, w odpowiedniém ich otoczeniu, to znów zacięte bójki uliczne, pełne dramatycznéj werwy, walki na barykadach.

Sława mistrza wzrastała, obrazki jego obsypywano szczodrze złotem. Wielkie to powodzenie stało się dla innych zachętą. Sypały się rodzajowe sceny, na każdéj wystawie liczono je setkami. Meissonier, rzec można, utworzył rodzajową szkołę we Francyi.

Około pięćdziesiątego roku życia, artysta, czując się w pełni twórczéj siły; nowe otworzył sobie pole. Wykarmiony od dziecka tradycyą zapasów napoleońskich, odczuł głęboko młodzieńcze wrażenia, wówczas, gdy poeci i historycy poczęli na wyścigi sławić zwycięzcę z pod Marengo i Austerlitz, opłakiwać pokonanego olbrzyma pod Waterloo, jeńca ze Św. Heleny. Postanowił odtworzyć pędzlem wielką historyczną epopeję. Zabrał się do dzieła z niesłychaną pracą i sumiennością. Zbudował w tym celu pracownię w Poissy, w bliskości konsystującéj kawaleryi. Tu znalazł dzielną pomoc w pułkowniku Depressoir. Na żądanie artysty, przyjaciel ten przed oczyma jego powtarzał raz po raz szarżę kirasyerów; tym sposobem wtajemniczył go w obroty wojskowe rozmaitego rodzaju.

W ciągu ostatnich lat trzydziestu, oddany wyłącznie epoce napoleońskiéj, Meissonier rzucał w świat coraz to nowe arcydzieła. W obrazach: „Rok 1805“, „Bitwa pod Friedlandem“, „Bitwa pod Jeną“, ukazał typową postać Napoleona w chwilach najwyższego tryumfu, w obrazie „Rok 1814“ ukazuje ostatnie wysiłki bohatera.

Obraz ten nazwano słusznie żywą kartą, wyrwaną z dziejów téj epoki. Widzimy tu cesarza z głową pochyloną, przygnębionego brzemieniem niezrównanéj boleści, jak z całym sztabem zmordowanych marszałków i generałów brnie po śniegu, snadź dąży na nowe zapasy, ale, niestety! bez nadziei zwycięztwa.

Wspaniały ten obraz, wykonany przed laty kilku, jest dziś własnością pana Chauchard, właściciela najpiękniejszéj galeryi prywatnéj w Paryżu, która, jak mówią, ma wzbogacić kiedyś narodowe muzeum w Luwrze. Nabył go niedawno za 850,000 franków.

Utwory Meissoniera, pomimo ogromnéj ich liczby, dochodziły ceny bajecznéj, przebiegając z rąk do rąk znawców. Niéma roku, jak na publicznéj sprzedaży galeryi p. Secretan siedm maleńkich obrazków rozchwytano za 500,000.

Z pomiędzy prac swoich Meissonier w szczególny sposób oceniał tak zwaną „Barykadę“, a bardziéj jeszcze pierwotny szkic do tego obrazu, wykonany z natury, podczas krwawych zapasów czerwcowych w roku 1848. Na kilka tygodni przed śmiercią, pisał do malarza Stevensa o tym szkicu. Ten list charakterystyczny przytaczamy w całości:

„Pytasz mnie, co myślę o rysunku „Barykady“, który jest w posiadaniu twego brata? Trudno artyście mówić o własnéj pracy,—ale co do tego rysunku, odkładam na bok wszelką skromność, wyznaję bez ogródki, że gdybym był dosyć bogatym, odkupiłbym go teraz. Nakreśliłem go pod okropném wrażeniem sceny, którą tylko co miałem przed oczyma. Wierz mi, takie rzeczy wnikają nam w głąb duszy, a jeśli chcemy je odtworzyć, to nie po to, aby wykonać jakieś nowe dzieło, ale że poruszeni byliśmy aż do wnętrza i czujemy potrzebę upamiętnienia strasznéj chwili.

„Byłem wówczas kapitanem artyleryi w gwardyi narodowéj. Biliśmy się od trzech dni, widziałem ludzi poległych i rannych w mojéj bateryi. Insurgenci otoczyli ratusz, gdzie miałem właśnie posterunek, a kiedy zdobyto ową barykadę w pobliskiéj uliczce, widok jéj stanął mi przed oczy, w przerażającéj swéj ohydzie. Obrońcy jéj porozstrzelani, inni, wyrzuceni przez okna, zasłali ziemię stosem trupów. Krew toczyła się strumieniem, jeszcze ziemia jéj nie wypiła.

„Tam posłyszałem przerażające słowo, które określa wymownie całą grozę ulicznych wojen.

— Byliż ci ludzie wszyscy winni?—zapytał mer oficera gwardyi narodowéj.

— Panie merze—odrzekł oficer—nie było czwartéj części niewinnych między nimi!

„Delacroix spostrzegł ten rysunek w pracowni mojéj, oglądał go, głęboko poruszony. Tegoż wieczora posłałem go wielkiemu artyście“.

Wkrótce miłośnicy sztuki będą mieli obfite żniwo. Obrazy, nagromadzone w pracowni artysty, wystawione będą na sprzedaż publiczną. Oceniono je mniéj więcéj na dwa miliony franków.

Ukazały się nakoniec dwa pierwsze tomy pamiętników Talleyranda. Rozpoczęte przed siedmdziesięciu laty a wykończone przed pięćdziesięciu kilku, pamiętniki te, przechodząc z pod jednéj straży pod drugą, dostały się nakoniec w ręce księcia de Broglie, który, pod naciskiem opinii publicznéj, musiał je nareszcie ogłosić. Mówiliśmy

już o kolejach, jakie przechodził ów rękopis, o przyczynach zwłóczących wydawnictwo—powtórzenie tu byłoby zbytecznèm.

Pamiętniki obejmują tomów pięć. W dwóch pierwszych, pisanych za restauracyi, Talleyrand przebiega nasamprzód dziecinne swoje lata, kreśli obraz wytwornego społeczeństwa francuskiego w ostatnich czasach monarchii. Ta część na szczególną zasługuje uwagę. W dalszéj opowieści z czasów dyrektoryatu, z epoki napoleońskiéj aż do powrotu Burbonów, nić łącząca wypadki przerywa się co chwila, są to raczéj przygotowawcze notaty, wspomnienia kreślone dorywczo, niżeli właściwe pamiętniki.

Długo oczekiwane dzieło zawiodło publiczność tutejszą. Spodziewano się ważnych objaśnień historycznych od męża stanu, który przez pół wieku, wtajemniczony w sprawy wstrząsające światem, brał w nich stały i czynny udział. Znaleziono tymczasem same tylko znane powszechnie fakta. Jednèm słowem, ta rozgłaszana tylokrotnie publikacya stwierdza słuszność przysłowia naszego: „Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu“.

Zdaniem powszechnèm, sam tylko początek pamiętników ma rzeczywistą wartość; nie dość bowiem, że wiernie maluje epokę przedrewolucyjną, ale niemniéj wielką ma wagę pod względem psychologicznym, pokazując, o ile pierwsze wpływy działają na rozwój umysłowy i moralny człowieka. „Młodość, rzekł wielki nasz poeta, jest rzeźbiarką, Co wykuwa żywot cały: Choć ubieży sama szparko, Rzut jéj dłuta wiecznotrwały“.

Przytaczamy dosłownie początek pamiętników:

„Urodziłem się, mówi Talleyrand, w roku 1854. Rodzice moi nie byli bogaci, mieli jednak wysokie stanowisko u dworu, co mogło zapewnić przyszłość ich dzieciom. Babka była damą honorową królowéj (Maryi Leszczyńskiéj), król okazywał jéj szczególne poszanowanie. Przebywała zawsze w Wersalu. Miała pięcioro dzieci; pierwsze ich wychowanie dość było zaniedbane, jak zwykle rodzin ściśle połączonych z dworem. Dalsza edukacya polegała głównie na ogładzie światowéj. Zewnętrzna postać jednała im ogólne względy.

W obejściu babka szlachetna była i uprzejma, ale zimna i zamknięta w sobie. Szanowano ją z powodu pobożności. Troskliwa o przyszłość licznéj rodziny, czuwała nad ustaleniem jéj losu.

Ojciec mój tak samo jak babka pojmował wychowanie dzieci wielkich domów; moje też zupełnie było zaniedbane. Nie pochodziło to wcale z obojętności, ale z usposobienia umysłu powszechnego w tych czasach. Wymagano tylko, by czynić to, co drudzy, i takim być, jak drudzy.

Moda troskliwości rodzicielskiéj nie pojawiła się jeszcze, inna ogólnie panowała. Chowałem się na przedmieściu paryskiém; do czwartego roku życia byłem u kobiety, któréj mnie powierzono. Wówczas to spadłem z komody i wybiłem sobie nogę. Przez kilka miesięcy opiekunka moja nie wspominała nic o tém. Pokazało się to dopiero, kiedy rodzice mieli mnie posłać do Perigord, na żądanie prababki mojéj, pani de Chalais. Wypadek był już zbyt dawny, wszelkie zaradcze środki okazały się bezskutecznemi; osłabła nawet druga noga, na któréj się wyłącznie opierałem. Pozostałem kaleką.

„Ów smutny wypadek wpłynął na całe życie moje. Rodzice, widząc, że nie jestem zdolny do służby wojskowéj, obmyślili mi inne stanowisko, zdaniem ich korzystne dla *familii*. W wielkich bowiem domach kochano *familią* więcéj, niż jednostki, zwłaszcza młode jednostki, nieznane rodzinie. — Przykro mi zatrzymywać się nad tém... zostawmy to lepiéj.

„Pod opieką poczciwéj kobiety, pani de Charlemagne, wyprawiono mnie w drogę powozem pocztowym, który krążył między Paryżem a Bordeaux. Po siedmnastu dniach podróży, stanąłem wreszcie w Chalais“.

Tu chłopiec po raz pierwszy w życiu odetchnął ciepłą atmosferą życia rodzinnego. Wspomnienie prababki, to jedyny prawdziwie rzewny ustęp w pamiętnikach zimnego dyplomaty.

„Podobałem się prababce,—mówi on.—Była to kobieta wyższa; przypadł jéj działem rozum Mortemarhów, od których pochodziła. Ona pierwsza z rodziny mojéj okazała mi uczucie. Pokochałem ją i czułem się szczęśliwym. Dzięki jéj za to... Pamięć jéj pozostała mi drogą! Ileż razy w życiu obracałem się myślą do niéj, ileż razy czułem z goryczą, jak wielkiém jest dobrodziejstwem w życiu szczera miłość w rodzinie własnéj“.

W ósmym roku życia oddano chłopca do kollegium w Harcourt. Ojciec nie wspominał wcale, jaką przysposabia mu przyszłość. Kiedy ukończył z powodzeniem wstępne klasy, wyprawiono go do Rheims, gdzie stryj jego, Aleksander, był koadjutorem arcybiskupa.

„Aby mnie zachęcić do stanu duchownego,—mówi Talleyrand,— posłano mnie prosto z kollegium do pierwszego arcybiskupstwa we Francyi. Nie zawieziono mnie po drodze do rodziców. Nigdy w życiu, jak zapamiętam, nie przepędziłem całego tygodnia pod dachem domowym. Ten pobyt w Rheims, który miał być dla mnie ponętą, stał się raczéj prawdziwém wygnaniem.

„Troskliwe starania, jakiemi byłem tu otoczony, dążyły do tego, aby mnie przekonać, że, z powodu kalectwa niezdolny do wojskowości, muszę koniecznie wstąpić do stanu duchownego: przed człowie-

kiem mego rodu i imienia nie było innéj drogi. Ale co tu czynić z bujną wyobraźnią i bujnym umysłem, jakie dostrzeżono we mnie? Wypadało zniewolić mnie ponętą publicznych spraw, zapewniających wpływ i znaczenie. Dawano mi téż do czytania odpowiednie dzieła, bądź pamiętniki kardynała Retz, bądź życiorysy Richelieu'go, Xymenesa albo Hinkmara, dawnego arcybiskupa z Rheims. Rodzice nie pytali, jaką pójdę w przyszłości drogą, bylebym przestąpił próg duchownego życia.

„Nacisk ten zamącił myśl moją, ale nie miałem żadnych środków obrony; musiałem, rad nie rad, iść za planem rodziców moich.

„Po całorocznym pobycie w Rheims, uległem nakoniec; pozwoliłem umieścić się w seminaryum Ś-go Sulpicyusza. Miałem naówczas lat szesnaście; czułem się bezsilnym i oburzonym, ale nie śmiałem tego przyznać. Unikałem wszelkich stosunków z towarzyszami. Do wszystkiego ogarnęła mnie dziwna niechęć. Miałem żal do rodziców, do przełożonych, do instytucyi, a szczególniéj do społecznego konwencyonalizmu, któremu poddać się musiałem. Przez pierwsze trzy lata pobytu mego w seminaryum, zamknięty sam w sobie, nie rozmawiałem z nikim. Oskarżano mnie o pychę, przyjmowałem w milczeniu te zarzuty. Całe dnie spędzałem w bibliotece, świeżo wzbogaconéj przez kardynała Fleury; czytałem wielkich historyków, życiorysy znakomitych mężów stanu, moralistów, poetów; chciwie pożerałem opisy dalekich podróży".

Talleyrand ukończył nauki w seminaryum w roku 1775. Było to w czasie koronacyi Ludwika XVI. Rodzice wysłali go do Rheims na tę uroczystość. Dopełnił obrzędu koadjutor, stryj młodego seminarzysty, w zastępstwie złamanego wiekiem arcybiskupa.

O swém kapłańskiém wyświęceniu Talleyrand wcale nie wspomina. Znajdujemy tylko przypisek pana Bacourt, jednego ze stróżów rękopisu, odnoszący się do téj chwili.

„Książę Choiseul Gouffier, przyjaciel Talleyranda—mówi Bacourt, —opowiada, że był u niego wieczorem w wigilią wyświęcenia; zastał go w stanie gwałtownéj walki, zalanego łzami. Choiseul usiłował odwrócić go od spełnienia ofiary, która tak była mu ciężką, ale wstrzymywała go bojaźń matki. „Zapóźno już, zapóźno! cofnąć się nie mogę!"—powtarzał uniesiony rozpaczą.

Niewiadomo, czy to wyświęcenie nastąpiło zaraz po ukończeniu nauki w seminaryum, czy też po odbyciu wyższych kursów teologicznych w Sorbonie. O tych kursach tak mówi Talleyrand:

„W r. 1775 wszedłem do Sorbony; przebyłem tam dwa lata, zajęty nie samą tylko nauką teologii. Ambicya popychała mnie naprzód, a pamięć kardynała Richelieu, którego piękne mauzoleum zdobi

kościół Sorboński, dodawała mi bodźca. Znałem w tych czasach jedynie piękną stronę ambicyi, pragnąłem dobrze czynić.

„Opuściwszy Sorbonę, byłem wolny; rozpocząłem życie pod własnym jedynie kierunkiem.

„Zamieszkałem w małym ale wygodnym domku. Wtedy począłem zbierać wyborowa bibliotekę, która później do wielkich przyszła rozmiarów. Towarzystwo moje składało się z ludzi już zasłużonych, lub téż pełnych talentu i ambicyi, śmiało patrzących w przyszłość

„Mój pokój, w którym zbierano się porankiem na jakie takie śniadanie, przedstawiał szczególną mieszaninę ludzi znakomitych. Między innymi bywał tam książę Lauzun, Mirabeau, ksiądz Delille, Champfort, Rulhière, Choiseul, Ludwik de Narbonne. Jedni drugich spotykali z przyjemnością. Rozprawiano o wszystkiém: o polityce, o handlu, o administracyi, o stanie finansowym, nie zaniedbywano tu i dziennych wiadomostek".

Talleyrand mianowany został na lat pięć agentem duchowieństwa; obowiązkiem jego było załatwiać sprawy kościoła z rządem. Tym sposobem wszedł w bliższe stosunki z ministrami i naczelnikami administracyi, jak Turgot, Malesherbes, Maurepas-Calonnes i inni. Wzywany przez nich na obiady i wieczorne zebrania, przyjął postawę zimną i niedostępną, aby odróżnić się od tych, którzy dowcipném słówkiem zdobywali oklaski. Zamknięty w sobie, przenikliwym wzrokiem poglądał dokoła, bystrém uchem chwytał każde słowo. Znajdujemy w pamiętnikach żywo skreślony obraz tego wielkiego społeczeństwa, w ostatnich latach jego niezrównanéj świetności.

„Bywałem wszędzie,—mówi Talleyrand,—przez lat dziesięć pilnie badałem ów wielki świat, przeistaczający się pod okiem mojém. Ludzie rozumu i talentu śmiało wchodzili w progi salonów, do których wstęp dawały dotąd wyłącznie rodowe przywileje. Delille siadał u stołu obok królowéj, w domu pani de Polignac. Znikła hierarchia, dawny porządek ustępował widocznie. Młodzież krytykowała wszelkie działania ministrów; każdy krok króla i królowéj roztrząsany był w salonach paryskich i surową ściągał nieraz naganę. Młode kobiety rozprawiały o wszystkich działach administracyi.

Wielka była naówczas potęga tego społeczeństwa; pod lekką i różnolitą jego formą historycy nie dopatrzyli pierwszego zarodu tegoczesnéj cywilizacyi; nieraz o tém myślałem. Oto kilka uwag w tym względzie.

„Zamiast jednéj szlachty było ich siedm czy ośm: szlachta rycerska i sądowa (d'éppée et de robe), dworska i prowincyonalna, dawna i nowa, wysoka i drobna. Jedna podnosiła głowę nad drugą,

tamta znów domagała się praw równych. Obok tych pretensyi, plebejusz występował też ze swojemi, uważał się za równego z prostym szlachcicem, gdyż łatwo mógł nim zostać. Częstokroć wyższy majątkiem i rozumem, mierzył się nawet z utytułowanymi panami.

„Szlachta nie mieszkała już po feudalnych zamkach, wojna przestała być główném jéj zajęciem, nie żyła wyłącznie w kole rycerskich druhów i domowników. Nowy życia sposób rozbudził nowe upodobania, za niemi poszły nowe potrzeby. Wśród częstéj bezczynności, szukała szlachta w uciechach i rozrywkach środków na odpędzenie nudy. Plebejusz bogaty, światły, niezależny, żył z nią na równéj stopie. Wzajemny stosunek wzmacniał się coraz bardziéj“.

Badając ostatnie lata, poprzedzające rewolucyę, Talleyrand maluje postacie najwybitniejszych osobistości, między innemi Sieyes'a, Lafayette'a, księcia Orleanu. Obraz tego ostatniego ostrém nakreślił piórem, pokazuje w nim człowieka lekkomyślnego, zagrzęzłego w rozpuście, obłudnika i samoluba, za nic waży rolę, jaką ten książę odegrał w wielkiéj rewolucyi. Zdaniem Talleyranda, działania pojedyńczych osób mało wpłynęły na dokonany przewrot.

„Jeśli historycy,—mówi on,—zechcą szukać przewódców rewolucyi francuskiéj, podejmą trud daremny: nie miała ona twórców ani kierowników, posiew jéj rzucili pisarze, którzy w wieku światłym i przedsiębierczym, chcąc obalić przesądy, podkopali zasady religijne i społeczne. Dopomogli im do tego niedołężni ministrowie, którzy roztrwonili skarb z niezadowoleniem całego ludu“.

Po tych przedwstępnych uwagach, czytelnik niecierpliwie czeka obrazu saméj rewolucyi, lecz zupełnego doznaje zawodu. Siedmioletni okres od 1789 do 1796 roku pominięty milczeniem. Talleyrand w r. 1792 udał się do Anglii z missyą rządową w sprawie porównania miar i wag, ztamtąd wydalony jako emigrant, popłynął do ameryki, gdzie pozostał dwa lata z górą, zajęty badaniem handlu i rolnictwa. Trzy lata przecież, i to najburzliwsze, przebył w samém ognisku rewolucyjném. O czynnościach stanów generalnych, o konstytucyi cywilnéj duchowieństwa, niéma żadnéj wzmianki w pamiętnikach.

„Niepodobna mi,—mówi on,—opowiadać wypadkowe jéj epoki, nie znam ich dokładnie, wątek ich zerwany w myśli mojéj. Wczorajsze wypadki stają się problematycznemi, nawet dla ludzi, którzy brali w nich pewien udział. Gwałtowny pęd, z jakim następowały po sobie, niszczył je własną siłą. Wyznaję, że bez najmniejszego żalu patrzyłbym na zatarcie szczegółowych wspomnień téj wielkiéj klęski; nie mają one żadnego dla historyi znaczenia“.

Po upadku Robespierre'a i ustanowieniu Dyrektoryatu, dzięki zabiegom pani de Staël i Józefa Chenier, Talleyrand powrócił do Fran-

cyi w roku 1796. Zjednał sobie od razu względy Barras'a i niebawem otrzymał z rąk jego tekę ministra spraw zagranicznych. Wkrótce potém Bonaparte w pełnym blasku chwały, zdobytéj we Włoszech, po dwuletniéj kampanii, uwieńczonéj traktatem w Campo Formio, przybył w tryumfie do Paryża. Talleyrand nie znał go jeszcze; zobaczmy, jak opisuje to pierwsze spotkanie.

„Wieczorem zaraz po przybyciu, Bonaparte przysłał do mnie adjutanta z zapytaniem, o któréj godzinie może się widzieć ze mną. Odpowiedziałem, że go czekam. Dał mi znać, iż przybędzie nazajutrz o jedenastéj rano. Uwiadomiłem o tém panią de Staël, która o 10-éj była w moim salonie. Było tam kilka innych osób, między innemi Bougainville. Oznajmiono generała; wyszedłem przeciw niemu; mijając salon, przedstawiłem mu panią de Staël, na którą nie wiele zwrócił uwagi; z pomiędzy wszystkich wyróżnił tylko Bougainville'a, zagadnął go bardzo uprzejmie.

„Zachwyciła mnie piękna jego postać. Dwadzieścia wygranych batalii podniosło urok młodych rysów; cerę miał bladą, oko pełne wyrazu; przeszliśmy do gabinetu mego, przy pierwszém spotkaniu okazał mi zupełną ufność. Mówił bardzo życzliwie o mojéj nominacyi na ministra spraw zagranicznych, rad był, że mógł we Francyi znosić się z osobą innego rodzaju, niż dyrektorowie respubliki.

— „Jesteś pan,—rzekł,—bratankiem arcybiskupa w Rheims, który jest obecnie przy Ludwiku XVIII. I ja, dodał, mam téż stryja archidyakonem; on mnie wychował. W Korsyce archidyakon znaczy tyle, co biskup we Francyi. Weszliśmy do salonu,—tłumnie był napełniony.

— „Obywatele,—rzekł do obecnych Bonaparte głosem donośnym,— miłe mi wasze powitanie; prowadziłem wojnę, jak mogłem najlepiéj, i, jak mogłem najlepiéj, zawarłem pokój. Niechże Dyrektoryat umie z tego korzystać, dla szczęścia i chwały rzeczypospolitéj.

„Z ministeryum udaliśmy się razem do Dyrektoryatu.

„Nakoniec zawiści, napotkane w rządzie, uprzykrzyły Bonopartemu pierwsze tygodnie, spędzone w stolicy. Wyprawiłem wielki festyn na cześć zwycięstwa we Włoszech i chlubnie zawartego pokoju. Nie szczędziłem nic, by uświetnić i spopularyzować uroczystość. Nie mało napotkałem trudności, gdyż żony dyrektorów nadzwyczaj były pospolite, a z konieczności pierwsze miejsce im przypadało. Ozdobiłem wspaniale apartament, wszyscy go podziwiali.

— „Musiało to grubo kosztować, obywatelu ministrze! — zagadnęła pani Merlin, żona Dyrektora.

— „Nie tyle przecież, co Peru—odrzekłem tymże samym tonem.

„Mnóstwo podobnych uwag krążyło nazajutrz po Paryżu".

Nie zatrzymuje się Talleyrand nad dniem 18 Brumaire'a. W chwili tryumfu Bonapartego nie był on już ministrem, ale pierwszy konsul

powołał go znów do gabinetu. Rzecz dziwna, że aczkolwiek miał w ręku sprawy zagraniczne, pomija również wypadki, które, po zawarciu pokoju w Amiens r. 1802, zapewniły Francyi hegemonię w Europie, podnosi za to działalność pierwszego konsula w urządzeniu wewnętrznem kraju.

„Nie dość,—mówi on,—że Bonaparte powściągnął burzliwe stronnictwa; chciał jeszcze przywiązać je do siebie, co też udało się poniekąd. Nie wyłączał on od służby swojéj ani dawnych emigrantów, ani też dawnych Jakobinów. Przygarnięci przezeń Jakobini zapomnieli o swéj nienawiści do samowładztwa, zniewoleni emigranci mniéj utyskiwali nad tém, że władza przeszła w inne ręce.

„Pamiętam zdziwienie moje na widok wychodzącego z gabinetu konsula jednego z najzagorzalszych Jakobinów. Spostrzegł ten podziw Bonaparte.

— Nie znasz, jak widzę, Jakobinów,—rzekł do mnie,—są ich dwa odmienne gatunki: *ocukrowani* i *osoleni*. Ten, którego spostrzegłeś, to *osolony* Jakobin. Z tych czynię, co chcę. Wybornie użyć ich można do podtrzymania śmiałych kroków nowéj władzy. Niekiedy trzeba ich powściągnąć; garstką złota łatwo dokonasz tego. Ale z Jakobinami *ocukrowanymi* trudniéj poradzić. Z swoją metafizyką gotowi dwadzieścia rządów doprowadzić do zguby".

Aby odosobnić Ludwika XVIII i odebrać mu pozór królewskości, jaki dawała mu liczna emigracya, pierwszy konsul pozwolił wielu emigrantom powrócić do Francyi. Jeśli znaczna część ich pochyliła głowy przed władzą, drudzy jednak trwali w głuchym oporze. Mamy na to dowód w pamiętnikach.

„Dnia jednego,—mówi Taylerand,—cesarz, który w tych czasach okazywał mi wielką ufność, żądał, abym odczytał mu dzienną korespondencyę. Zaczęliśmy od listów ambasadorów zagranicznych. Te mało go obchodziły, gdyż najważniejsze sprawy odbywały się koło niego. Przeszliśmy do raportów policyjnych. Z tych zajął go szczególnie długi raport pani de Genlis, pisany cały jéj ręką. Mówiła o duchu opozycyjnym w Paryżu, przytaczała ubliżające rozmowy, prowadzone na arystokratyczném przedmieściu. Z pomiędzy wielkich rodzin wymieniła pięć czy sześć, które niczém zniewolić się nie dały. Szydercze pociski, przytoczone przez panią de Genlis, doprowadziły Napoleona do szalonego gniewu. Krzyczał, rzucał się, klął na czém świat stoi.

— Ha!—wołał piorunującym głosem,—oni myślą, że mocniejsi ode mnie, ci panowie z przedmieścia Św. Germana, zobaczymy wnet, zobaczymy!—Jakoż pokazało się to po stanowczém zwycięstwie nad Austryą. Napoleon widział w tém nowy tryumf, kiedy panie de

Montmorency, de Mortemart i de Chevreuil, przyjęły obowiązki dam honorowych przy boku Józefiny.

Opowiada Talleyrand, jak, po swietnéj bitwie pod Jena, zwycięzca wchodzi w tryumfie do Berlina, jak pędzi do Warszawy, gdzie zatrzymał się dwukrotnie.

„Chwili spoczynku,—mówi on,—użył cesarz na zorganizowanie Księstwa Warszawskiego. Znając dobrze bujną wyobraźnię mieszkańców tutejszych, starał się wszelką siłą, podczas trzytygodniowego pobytu w Warszawie, rozbudzić w nich rycerskiego ducha. Wyprawiał raz po raz festyny, bale, koncerta, rozwinął wielką okazałość, wspominał co chwila Jana Sobieskiego“.

Za powrotem do Paryża, po tylżyckim pokoju, Talleyrand ustąpił z ministeryum; cesarz zamianował go wielkim wice-elektorem. Była to, jak mówi, zaszczytna i korzystna synekura. Wolny od obowiązków, badawczém okiem śledzi każdą czynność cesarza, naganiając na każdym kroku. Ciąg opowieści zrywa się coraz bardziéj, niéma tu ścisłego rozumowania, są tylko wybuchy gniewu, pociski, rzucane mimochodem, niby zatrute strzały. Nie zapiera się nawet dyplomata, że podczas zjazdu erfurckiego znosił się z obcemi mocarstwami, wbrew widokom cesarza, którego posiadał zaufanie. Pełen nienawiści, usiłuje nawet poniżyć geniusz Napoleona, przedstawia go nieukiem, kładzie w usta jego niedorzeczności, które, jak mówi, skandalizowały Goethego, Müllera i Wielanda. Inaczéj przecież Goethe wyrażał się o literackich sądach Napoleona, w poufnych a ogłoszonych późniéj rozmowach z Müllerem i Erckmanem. Wreszcie pamiętnik ze Świętéj Heleny wymownie świadczy, jak wysoko Napoleon pojmował historyę i literaturę.

Drugi tom obejmuje czasy restauracyi, dokumenta i korespondencye, dotyczące kongresu wiedeńskiego, na którym Talleyrand występował jako minister spraw zagranicznych i pełnomocnik Ludwika XVIII.

Na drugim tomie kończy się pierwsza część pamiętników. Ta część redagowaną była za restauracyi. Obłudny dyplomata odgrywa tu rolę wiernego i nigdy niezachwianego stronnika linii Burbonów. Przedstawia on napoleońską monarchię, jako chwilę konieczną, ale przejściową. Jeśli, jak mówi, wypadało mu posługiwać się nią, to dlatego jedynie, aby zwrócić umysły do dynastyi legitymistycznéj.

Po piętnastoletniéj przerwie, ośmdziesięcioletni Talleyrand zabrał się do drugiéj części pamiętników. Trzy tomy, dotąd nie wydane, poświęcone monarchii lipcowéj.

Widzieliśmy dopiero zuchwały sąd Talleyranda o Napoleonie, jako o krytyku literackim, którego *niedorzeczności* skandalizować miały w Erfurcie Goethego i Müllera. Otóż przed ukazaniem się jeszcze pamiętników, na jedném z ostatnich posiedzeń w Akademii nauk społecznych, Józef Bertrand odczytał ciekawy ustęp, świeżo odkryty w papierach Goethego, a dotyczący właśnie spotkania z Napoleonem i rozmowy, jaką w Erfurcie prowadzili.

Było to 2 Października 1808 roku. Wezwany przez cesarza słynny poeta udał się o jedenastéj z rana do pałacu, gdzie mieszkał Napoleon. Zobaczmy jak sam opisuje to posłuchanie.

„Gruby szambelan Polak (?) prosił mnie, abym zaczekał chwilę. Przedstawiono mnie tymczasem Talleyrandowi Wkrótce powołano mnie do gabinetu cesarskiego. W tejże chwili wszedł tam oznajmiony Daru. Zatrzymałem się... powołano mnie poraz drugi. Wchodzę.. Cesarz siedzi przy wielkim stole okrągłym, kończy śniadanie. Po prawéj stronie stołu, trochę opodal, stoi Talleyrand. Napoleon daje mi znak ręką, abym się zbliżył. Stoję przed nim w przyzwoitém oddaleniu. Popatrzył na mnie z uwagą, poczém rzekł. *Vous êtes un homme.*

Zwrócił rozmowę na Werthera, mówił, że go zbadał do gruntu.

Po rozmaitych bardzo trafnych uwagach, wskazał mi jeden ustęp.

— Dlaczego,—pyta,—pan tak rzecz obróciłeś? to niezgodne z naturą ludzką.

I długo rozwijał myśl swoją. Uwagi jego nadzwyczaj były sprawiedliwe.

Goethe nie wspomina, jaki to ustęp Werthera krytykował Napoleon; wiadomo to jednak z innéj strony. Bertrand powtarza za Müllerem, że cesarz naganiał Goethemu, dlaczego pokazał Werthera, przywiedzionego do samobójstwa nietylkko nieszczęśliwą miłością, ale zarazem zgryzotą wskutek upokorzonéj dumy. Tym sposobem, mówił Napoleon, osłabiłeś pan ideę, jaką czytelnik powziął o szalonéj miłości Werthera do Charloty.

„Słuchałem go spokojnie,—mówi Goethe,—rzekłem wreszcie z wesołym uśmiechem.

„Nikt mnie jeszcze z téj strony nie podchwycił. Krytyka bardzo słuszna, przyznaję sam, że ten ustęp niezgodny z prawdą. Ale— dodałem, — należy przebaczyć poecie, jeżeli niekiedy używa sztucznych środków, trudnych do spostrzeżenia, aby otrzymać efekt, jakiegoby nie osiągnął, trzymając się drogi prostéj i naturalnéj.

Odpowiedź ta zadowoliła cesarza. Wpadł potém na przedmiot dramatu. Spostrzeżenia jego były znakomite; snać badał do gruntu sztukę tragiczną i sądził ją w niepospolity sposób.

Utyskiwał on, że teatr francuski oddala się od natury i prawdy. Wyrażał się surowo o sztukach, w których fatalizm odgrywa pierwszą rolę. Mówił, że są zabytkiem epoki pozbawionéj prawdziwego światła. „Za dni naszych,—dodał,—co nam prawić o fatalności? Polityka, oto prawdziwy fatalizm!“

Powieść Emila Zoli „L'Argent“, drukowana w odcinku „Gil-Blasa“, wyszła w osobnéj książce. W przeciągu miesiąca rozbiegło się po świecie ośmdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Czy nowe dzieło poprowadzi autora w progi akademickie, na miejsce zmarłego Feuilleta, trudno to dziś odgadnąć. W tych dniach jednak zatryumfował on w inném miejscu. Towarzystwo literackie, złożone z sześciuset członków, obrało go na prezydenta.

Tak w ostatnim utworze, jak i we wszystkich poprzednich, Zola nagromadził niezliczoną moc autentycznych dokumentów, naszkicował setki typowych postaci, z właściwą sobie werwą, zaprawił opowieść mnóstwem scen skandalicznych i zakończył rzecz całą paradoksem: „Pieniądz, to nawóz, na którym kiełkuje przyszła ludzkość“.

Głównym węzłem powieści jest pamiętny krach, który przed laty kilku zrujnował we Francyi tysiące rodzin: bankructwo kompanii generalnéj pod dyrekcyą Bontou. Nienawistny cesarstwu autor dopuścił się anachronizmu: katastrofę z r. 1882 cofnął do roku 1867, do roku wielkiéj wystawy, w którym Francya wystąpiła wobec Europy, otoczona najświetniejszą aureolą. W utworach wyobraźni anachronizm taki mógłby być dozwolony, ale, przy tylu nagromadzonych dokumentach, w powieści, opartéj na rzeczywistéj podstawie, nic go nie może usprawiedliwić. Ztąd bezstronna krytyka czyni autorowi słuszny zarzut; przyklaskują mu tylko zagorzali przeciwnicy Cesarstwa.

Oto w kilku słowach wątek głośnéj powieści:

Saccard, brat potężnego ministra, zupełnie zrujnowany, przemyśla o nowéj spekulacyi. Inżynier Hamlin podsuwa mu myśl nową. Potrzeba odbudować Królestwo Jerozolimskie, pomieścić tam Ojca Świętego przy grobie Zbawiciela. Zrazu można poprzestać na samém mieście Jeruzalem i na portowéj przystani w Jaffie. Syrya, ogłoszona niepodległą, połączy się późniéj z nowém królestwem. Wypada zatém odbudować leżące w gruzach miasto, połączyć je siecią dróg żelaznych, otworzy to szerokie pole przedsiębiorstwom.

Pobożni ludzie dają się złapać na tak ponętną wędkę: podpisują na gwałt zobowiązania. Chciwi zysku spekulanci przystępują również

do spółki. Powstaje kompania generalna. Akcye rosną z każdym dniem, w oka mgnieniu dochodzą bajecznéj wysokości.

Dramat cały odbywa się w obrębie giełdy paryskiéj i pod jéj kolumnadą. Autor wprowadza czytelnika w to rojowisko owadów, chciwych łupu, w walce zażartéj o byt, rozpychających się gwałtem, depcących wzajem po sobie. Każdemu z nich nadaje osobną fizyognomię. Wśród tych niezliczonych typów, wziętych z rzeczywistości, jaskrawo odbija postać głównego przedsiębiorcy, spotęgowana fantazyą autora. Ów Saccard rozpoczął zawód od oszustwa i kradzieży. Zola nazywa go „Napoleonem spekulacyi, upoetyzowanym milionerem“. Zapragnął on być „królem miłosierdzia“, połączyć się z księżną Orviedo, która trzysta milionów przeznaczyła na dobre uczynki. Złączone ich skarby, umiejętnie pomnożone, miały stać się dla ludzkości nieprzebraném źródłem dobrobytu i szczęścia.

Postać księżnéj Orwiedo wzięta z rzeczywistości. Autor ukazał w niéj zmarłą przed laty kilku księżnę Galliera, która w rzeczy saméj rozrzuciła na artystyczne i filantropijne cele trzysta milionów, zyskanych przez męża w różnego rodzaju spekulacyach.

Piękne zamiary Saccarda rozbiły się o twardą zaporę. Podczas kiedy gmach, zbudowany na piasku, coraz więcéj podnosił czoło, wystąpił do zapasu potężny „król bankierów i bankier królów, miliard chodzący“, jak go nazywa autor; w oka mgnieniu sztuczna budowa rozsypała się w gruzy, pod któremi padło tysiące ofiar. Saccard przesiedział kilka miesięcy w więzieniu, zkąd uciekł do Holandyi; przemyśla tam o nowych spekulacyach.

Zola pracuje obecnie nad powieścią pod tytułem „Wojna“. Będzie to krwawy obraz klęsk 1870—71 roku. Szerokie pole znajdzie tu autor do jadowitych pocisków na wstrętną mu epokę Cesarstwa. Mnóstwo już zebrał dokumentów, raportów, map i planów wojskowych, setki dzieł wydanych we Francyi i Niemczech. Raz po raz objeżdża pola bitwy pomiędzy Belfortem a Sedanem.

W powieści żadna nie wystąpi kobieta, co stanowi prawdziwą oryginalność. Główna rola przypada tu dwom wieśniakom: obaj służą w pułku 7-go korpusu generała Douay; jeden z nich jest sierżantem, drugi prostym żołnierzem. Dwaj towarzysze, dzieląc razem niebezpieczeństwa i trudy, pokochali się jakby rodzeni bracia.

Rzecz rozpoczyna się 20 sierpnia 1870 roku. Pułk nie spotkał się jeszcze z nieprzyjacielem, stoi pod murami Belfortu. Noc czarna, w powietrzu krążą jakieś straszne widziadła, zapowiadające klęskę.

Nadchodzi rozkaz, wojsko maszeruje na Sedan. Tu występuje Napoleon, bezsilny, złamany chorobą. Wodzowie obradują bez niego, ministrowie nie pozwalają mu powracać do Paryża.

Klęska pod Sedanem ma być odmalowana z najściślejszą dokładnością.

W ostatnim obrazie autor ukazać ma Paryż w płomieniach, ulice zalane potokiem krwi francuskiéj. Dwaj wiarusy, bratnią dotąd połączeni miłością, pchnięci wypadkiem w dwa przeciwne obozy, spotykają się na barykadzie. Walka wre, szał ogarnia umysły, brat godzi bezwiednie w pierś brata, powala go trupem na ziemię.

Powieść ledwie że naszkicowana, ale usłużni przyjaciele rozgłaszają po pismach jéj wątek, aby ułatwić autorowi kandydaturę akademicką.

Wobec niesłychanego ubóstwa sceny paryskiéj i widocznego wyczerpania sił w tym kierunku, sprawił tu niejakie wrażenie dramat p. Stanisława Rzewuskiego, przedstawiony w teatrze Porte St. Martin, pod tytułem „Cesarzowa Faustyna". Przedmiotem pięcioaktowéj sztuki spisek chciwéj władzy małżonki Marka Aureliusza przeciwko cesarzowi, podczas gdy ten walczył nad Dunajem. Rzecz kończy się tryumfem Aureliusza i samobójstwem Faustyny.

Podnoszą tu śmiałość, z jaką autor wyprowadza na scenę tłum ludu, nie ów tłum bezmyślnych figurantów, jakim się dotąd posługiwano, ale plebs, drgający życiem, świadomy siły swojéj. Słuszną jednak uczyniono uwagę, że wobec tego zbiorowego ciała nikną główne osobistości: wspaniała postać Marka Aureliusza dziwnie jakoś maleje, sama nawet Faustyna w bladych przedstawia się tu barwach.

Autor chciał widocznie pokazać przewagę plebsu nad władzą reprezentowaną przez Aureliusza i Faustynę; odpowiada to jego realistycznym ideom, zaznaczył to w samym tytule, zowiąc utwór swój *dramatem realistycznym.* Takiego zalecenia nie użył dotąd żaden z francuskich, najwięcéj postępowych, autorów.

Przepyszna wystawa przyczynia się wielce do powodzenia sztuki.

DZIECINNE I SZKOLNE LATA KARPIŃSKIEGO.[1]

Nie łatwo dzisiaj mówić o Karpińskim. Życiorys trzeba opierać na bałamutnych nieraz pamiętnikach, które się zrzadka dadzą dokumentami poprzéć lub sprostować, a przy literackiéj ocenie trudno się zdobyć na odpowiednie i zupełnie słuszne stanowisko. Uczuciowość Karpińskiego jest dla nas zbyt obcą i daleką, abyśmy ją bez wysilków i zastrzeżeń odczuć mogli, a z drugiéj strony nadto jeszcze bliską, aby ją z ciekawością, jak zatracony, nieznany już objaw ludzkiego ducha, studyować.

Popularność jego ogromnie upadła. Wystarczy otworzyć jakiekolwiek czasopismo polskie, zwłaszcza warszawskie, z epoki między dwudziestym a czterdziestym rokiem naszego stulecia, aby się przekonać, jak wielką bywała admiracya dla Karpińskiego. Wiadomości o nim, anegdoty z jego życia, czasem niewydane wiersze spotykają

---

[1]) Praca niniejsza jest ustępem z dłuższéj, rozpoczętéj całości. Autor ośmiela się prosić osoby, posiadające listy poety, autografy pism lub pamiątki, odnoszące się do niego, aby zechciały przesłać one do redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ w oryginałach lub wiernych odpisach i pozwoliły w ten sposób uzupełnić chociaż materyał biograficzny, składający się z niedrukowanych korespondencyi i dokumentów, użyczonych nader łaskawie przez pp. Cieńskiego, Przybysławskiego i Puzynę, oraz publiczne biblioteki i archiwa.

się wtedy nieustannie na kartach pism literackich, równocześnie nieraz z przedrukiem pierwszych ballad Mickiewicza. Euzebiusz Słowacki mówi o nim z równym niemal podziwem, co pokrewniejszy Brodziński. Mickiewicz sam, nietylko w kursach literatury, daje dowody, jak się z nim zrósł, jak go cenił. W Wilnie improwizuje na nutę „Filona", dobrze znajomą i miłą; w przedmowie do „Pana Tadeusza" wspomina, jak za lat jego dziecinnych

przy wiejskiéj zabawie
Czytano nieraz pod lipą na trawie
Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie;
A przy stoliku drewnianym pan włodarz,
Albo ekonom lub nawet gospodarz
Nie bronił czytać i sam czytać raczył,
I młodszym rzeczy trudniejsze tłómaczył,
Chwalił piękności, a błędom wybaczył.

Z podobną umiarkowaną krytyką nie spotyka się dziś prawie Karpiński. Nienawidził go Julian Bartoszewicz, sądzi go bardzo surowo p. Walery Przyborowski. Czytamy nieraz w pamiętnikach z końca przeszłego i początku bieżącego wieku, jak panny, licznie wychowywane na wielkopańskich dworach, zwykły były śpiewać chórem jego pieśni. Zeszedł on już dziś zupełnie z dworów do dworków. Czasami, gdzieś, na ustroniu, po zaściankach, śpiewają jeszcze w letnie wieczory „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły", ale z drugiéj strony niewielu znajdzie się i dziś takich, którzyby oddawna nie znali, nie umieli na pamięć choć jednéj strofy z pieśni kościelnych „Kiedy ranne wstają zorze..." lub „Wszystkie nasze dzienne sprawy..." I niéma z pewnością w całym kraju kościoła, gdzieby nie zanucono raz na rok „Bóg się rodzi, moc truchleje..." Pieśń ta, tak umiejętnie pisana, złożona ze śmiałych antytez, rzekłbyś tak literacka, a jednak bardzo prosta, pozyskała sobie to, czego jéj autorowi niejeden wielki pisarz pozazdrości; popularność we wszystkich sferach społecznych, uznanie u ludu. Wcześniéj od arcydzieł „zbłądziła pod strzechy".

Wydobył więc Karpiński choć kilka takich tonów, które całe społeczeństwo za swój śpiew uznało. Zdobył sobie nadto ogólną jego sympatyę w epoce, która w swojéj poezyi nie znajdowała uczucia. Ciągnie się rzeczywiście od dworu Stanisława Augusta do klasyków księstwa warszawskiego tradycya literatury rozsądnéj, poprawnéj, jasnéj; rzuca na nią odblask racyonalistyczne francuskie piśmiennictwo. Jest we wszystkich tych poetach choć kropla krwi Voltaire'a. Tymczasem budzą się inne potrzeby w społeczeństwie: pragnienie odrobiny uczucia i nawet, przez reakcyę, sentymentalnych tonów. Wszak

obok racyonalizmu idą i inne kierunki z Zachodu, że wspomnę tylko dwa zupełnie różne imiona, w XVIII w. Jana Jakóba Rousseau, z początkiem naszego – Chateaubrianda. Karpiński nie godzi się z panującym gustem w literaturze ojczystéj. Źle mu na dworach oświeconych panów i w Warszawie za czasów Stanisława Augusta, jak źle było autorowi „Nowéj Heloizy" wśród encyklopedystów i w Wersalu. Starość przepędza on we wsi samotnéj i dalekiéj, nie należy do piśmienniczego ruchu księstwa warszawskiego, nie chce porzucić swéj niepodległości dla urzędu w wileńskiéj akademii. Od lat najmłodszych, których obraz dać dzisiaj zamierzam, okazuje się skłonnym do marzeń i uczuciowości. Jest w nim znowu kropelka téj krwi, którą wrzał drugi koryfeusz XVIII w., Rousseau. Po za nim jednak trudno wykazać wpływy, którym ulegał. Łatwiéj mu wynaleźć potomstwo literackie, niż przodków.

I.

Pierwszą zaraz trudność sprawia data urodzenia. W pamiętnikach, pisanych w pierwszych latach bieżącego wieku, podaje sam Karpiński dzień 4 Października 1741 r. [1]) Téj samy daty, którą zapewne z pamiętnika zaczerpnął, trzyma się i ksiądz Antoni Korniłowicz, pierwszy biograf poety i powiernik lat jego ostatnich [2]). Przy dniu i miesiącu możemy zapewne i my pozostać: przypada na 4 Października Św. Franciszek z Assyżu i prawdopodobną jest rzeczą, że sobie nasz poeta sam przyniósł, jak to mówią, imię chrzestne i patrona. Ale co do roku, zachodzićby mogły pewne wątpliwości. Znaleziona przez J. I. Kraszewskiego genealogia, którą Karpiński w księdze powiatu prużańskiego zapisał, przyznaje mu w dniu 1 (12) Stycznia 1798 r. lat 54 [3]). Jeżeli je zatém skończył 4 Października 1797 r., to musiałby się w 1743 r. urodzić. Temu sprzeciwia się znów akt, w urzędzie parafialnym w Otyni pod Kołomyją przechowany: 19 Grudnia 1743 r. urodził się rodzicom Karpińskiego syn Tomasz. Metryki Franciszka nie zdołano odszukać [4]).

---

[1]) „Pamiętniki", str. 1115. Dzieła Karpińskiego cytujemy według wydania J. K. Turowskiego. Pierwszą wzmiankę o „Pamiętnikach" znajdujemy w liście do Fr. Dmochowskiego z 30 Maja 1805 roku, ogłoszonym w „Rozrywkach dla dzieci" (wyd. II. Tom VI, str. 306): „Tego roku dokończę ostatniego dzieła mojego pod tytułem: „Historya ludzi, z któremi żyłem".

[2]) „O życiu Franciszka Karpińskiego". W Wilnie, 1827, str. 1.

[3]) J. I. Kraszewski: „Obrazy z życia i podróży". Tom I. Wilno, 1842, str. 117

[4]) Poszukiwań podjął się łaskawie proboszcz w Otyni, ks. Paweł Korwin Jastrzębski, któremu na tém miejscu składam najserdeczniejsze podziękowanie.

Nie przywiązujemy do téj sprawy nazbyt wielkiéj wagi i dokładna data wydania głównych dzieł pisarza wydaje się nam od roku urodzenia donioślejszą. Chronologia jest niezbędną przy studyowaniu wpływów i wzajemnego oddziaływania autorów na siebie; wobec dat, bez ściśle literackiego znaczenia, staje się tylko sługą ciekawości. Bo ludzi téj miary, co Karpiński, nie czepia się owa wielka miłość, dla któréj nie masz drobiazgów, każdy szczegół staje się faktem, każda pozostałość relikwią. Tam, gdzie są sfinksowe zagadki, każda drobnostka może wydawać się kluczem. Karpińskiego nie podziwiano nigdy do tego stopnia, nawet w epoce najżywszéj dla niego sympatyi, w pierwszym dziesiątku lat po jego śmierci. Żył on czas jakiś na dworze księcia jenerała ziem podolskich, ale nie słychać, aby but jego prawy złożono w Sybilli, a o zgubiony lewy były skargi.

Rok urodzenia jest szczegółem, ale stan literatury za lat młodości jest tłem niezbędném, faktem, którego w obrazie działalności pisarza pominąć niepodobna. W latach, kiedy nad kołyską poety śpiewano ruskie dumki, następowała w Warszawie reorganizacya wychowania i Konarski zakładał ów konwikt szlachecki, od którego fundacyi zwykliśmy zwrot ku lepszemu w oświecie i literaturze ojczystéj datować. Reforma pijarskich szkół stolicy nie wpłynęła zapewne na stan prowincyonalnego, na głębokiéj Rusi położonego, jezuickiego collegium, w którém Karpiński odebrał wychowanie; ale ruch, który wyszedł ze szlacheckiego konwiktu, rozwinął się i rozszerzył. Kiedy po latach, jako blisko czterdziestoletni mężczyzna, zajechał Karpiński po raz pierwszy do Warszawy, zastał tam nowe pojęcia i stosunki, myślom zmarłego już Konarskiego nie obce. Ujrzał się w kole ludzi, których widnokrąg znacznie się rozszerzył i którzy, gruntowną a poważną pracą nad potrzebami własnego społeczeństwa zajęci, obracali się ciągle ku Zachodowi i nauczyli się kwestye umysłowe na wzór francuski rozstrzygać, jeżeli się wprost o światło i radę nie udawali do Francyi. Podręczniki szkolne pisywali dla komisyi edukacyjnéj Francuzi, i Francuzów pytano się o zasady politycznego i społecznego ustroju. Kiedy się Karpiński rodził, żył już od lat dziesięciu Stanisław August Poniatowski, a od lat kilku Krasicki.

Potrzeba było pomocy z zewnątrz, bo w kraju był stan opłakany, a opłakiwany skądinąd tak często, że wystarczy mi tutaj położyć nacisk na jednę tylko okoliczność. Oto, od chwili, gdy się zaczęła nasza literatura chylić do upadku, istniały w niéj dwa odrębne żywioły, a teraz, koło roku 1740, pozostał na widowni tylko jeden z nich, mniéj żywotny i mniéj świeży. Żywioł szlachecki umarł, wegetował tylko szkolny.

Bo już od Kochanowskiego, który był i humanistą, i rolnikiem, o dwór się ocierał i towarzyszył wojennym wyprawom, ciągnie się na kartach naszego piśmiennictwa cały szereg poetów, ziemian i obywateli zarazem. Ze swego dworku sądzą o polityce w wierszowanych rozprawach, albo, wróciwszy z pospolitego ruszenia, powitawszy syna, który wojował na Wschodzie, opisują ostatnie walki rymem, i dla ciekawości współczesnych, i dla wiekuistéj pamięci. Rodzaj poetycznych gazet, nieraz bardzo dokładnych i suchych. Część ich ukazuje się odrazu drukiem, część druga, może nie o wiele drobniejsza, pozostaje w autografach, w odpisach i czeka niekiedy do dziś dnia na wydawcę. Autorowie tych rymowanych relacyi żyją tém samém życiem, co reszta społeczeństwa, wpływają na nie słowem i piórem, zawsze gotowi do szabli i do rady, oddani wierszowaniu pośród wiejskich wczasów. To też pieśni ich długie, nie obliczone z góry na artystyczną całość, ale rosnące zwolna, w miarę, jak dwuwiersz do dwuwiersza, oktawa przybywała do oktawy, rapsody ich rozwlekłe mają przynajmniéj zaletę życia, rytm bojowy, myśl patryotyczną i szczerą, wielką zazwyczaj podniosłość chrześciańskiego ducha. Tętni z nich serce szlacheckie i szlachetne, czuć w nich przewodnią myśl wieku, zapał do walk z półksiężycem rycerski i pobożny, słychać w nich pobudkę wojskową, widać niekiedy obrazek z obozowego życia, albo czasami, jak u Herakliusza Lubomirskiego, wśród biblijnéj jakiéj powieści, bardzo przedmiotowy, ale świeży obrazek z przyrody. Różne tony i nastroje. To chwila szczytnego uniesienia, to znowu wyliczenie nazwisk bohaterów, które jest dla nas prostym „imion spisem“, lecz dla współczesnych było pewno „obrazów wspaniałych zarysem“. To mitologii za wiele, to znów, na szczęście, choć trochę rzeczywistego życia. Ale ogółem wziąwszy, jakby różnorodne ustępy z jakiego epickiego cyklu. Można prawie przypuścić,—a jeżeli ta hypoteza jest sama w sobie zupełnie bezpłodną, to jednak charakter tych poematów objaśnia,—możnaby przypuścić, że w innych warunkach, np. w epoce, gdzie pieśni nie spisane obiegają z ust do ust, przekształcają się w nich i nawiązują ze sobą, zrosłyby się były te niezliczone próby epickie w jakąś całość. Powstałaby jaka olbrzymia epopeja, albo cały ich szereg, a Sobieski byłby pewno dla nich Karolem W. i Rolandem, a Turcy Maurami.

Na chwilę nawet niczego podobnego o drugim kierunku przypuścić nie wolno. Co zupełnie martwe, to w organizm się zrosnąć nie może. Poemata, wypracowywane po klasztorach i szkołach, nie mogły pochwycić tętna narodu, bo układano je prawie zawsze w języku nieżywym i obcym. Jeżeli rozpowszechniona szeroko łacina nie była dla czytelników przeszkodą, to musiała pozostać dla pisarzy zaporą.

Zdarza się nieraz poetom lub artystom, że za młodu, w epoce największéj wrażliwości, zbliżą się raz do wielkich mistrzów, zdają się im nawet dorównywać. Przez chwilę rokują ogromne nadzieje, a pamięć téj chwili budzi potém wśród publiczności wyrzuty, a w sercu dawnego laureata bolesne poczucie niemocy. Bo, że kto raz coś obcego odtworzył, to jeszcze nie dowód, aby się twórcą urodził. Taką chwilę wrażliwości miało i społeczeństwo nasze, kiedy pisarze nasi, uderzeni pięknością klasycznéj literatury, zechcieli sami śpiewać, jak Rzymianie. Piękny był to, świeży, ufny w siebie zapał. Młoda admiracya nie zwykła ducha od formy odróżniać, ani treść dla niéj bez kształtu nie istnieje: nie wiem nawet, czy nie w kształcie przedewszystkiém się kocha. Poeci odrodzenia zaczęli pisać nietylko w myśl łacinników, nietylko ich obrazami, jakby z religijną ich wiarą, ale nawet ich mową. Jak gdyby chodziło im o przekonanie się, czy ze starego bardonu da się dźwięk jeszcze wydobyć. Zabrzmiał czysty, dźwięczny, głośny, i z faktu tego wyciągnięto wniosek równie fałszywy, jak nieunikniony. Uwierzono odtąd w możliwość tworzenia poezyi łacińskiéj, ile razy się społeczeństwu nowoczesnemu podoba. A chciało jéj nieustannie, bo mecenasi ukołysali się pochlebstwami humanistów i rytmem. Kiedy pieśń bladła wskutek ciągłego powtarzania i naśladowania się nawzajem, zwrócono się znowu ku starożytnym wzorom, z których poprzednicy zaczerpnęli natchnienia. Wierzono bowiem naiwnie, że tajemnica wielkości Wergilich i Horacych da się podchwycić, podpatrzyć, i że wtedy będzie niejako można na podstawie przepisów i za pomocą formułek stwarzać arcydzieła. Zapisano setki takich sposobów i wierzono do tego stopnia w ich skuteczność, że wciągnięto je do nauki szkolnéj. Poezya zamieszkała w szkole. Gdy spowszedniała w ten sposób zupełnie i przestała już łechtać ucho mecenasów, a tego przedewszystkiém od niéj wymagano, wprowadzono nieco realizmu, ścisłości w opisach, dokładności w obrazach walk i wojen; ale żywioł ten mógł tylko zamęt wywołać w świecie téj literatury konwencyonalnym i sztucznym. Do rzeczywistego realizmu nie zbliżyli się nigdy łacińscy wierszopisowie, brali bowiem suchą dokładność za artystyczną prawdę. Adepci szkolnéj muzy zaczęli się wtedy uciekać do coraz nowszych i coraz nieszczęśliwszych fortelów. Zapanował zupełnie koncept, anagramat, akrostych, gra wyrazów; na oznaczenie poetyckiego talentu używać poczęto wyrazu „dowcip“. W XVIII w. mowa często o „dowcipach *uczonych*“. Wpływała bowiem ciągle na poezyę szkoła. Erudycya była już dawno towarzyszką muzy, została teraz jéj panią. Im więcéj staram się znaleźć określenie baroku, tém więcéj przedstawia mi się on, jako pomieszanie artystycznych środków, zatrata granicy mię-

dzy dziedziną jednéj sztuki a drugiéj, jako wieża Babel artystycznych języków. Obrazy udają płaskorzeźbę, snycerz chciałby oddać ruch i barwę płomienia, powiewność szat, z któremi wiatr igra. Na grobowcu Klementyny Sobieskiéj w Rzymie jest draperya z barwnego marmuru, tak ułożonego i dobranego, aby za kawał tkanéj materyi mógł uchodzić. Drogocennych marmurów użyli jezuici w Wenecyi na naśladowanie w mizerny szlaczek tkanych fałdów. Po wszystkich niemal naszych kościołach klęczą pustelnicy w grotach, gdzie liść gipsowy wyrasta ze szczelin udawanych głazów. Wszędzie nie o piękność linii i kształtu, nie o wielką twórczość, ale o pewne zbliżenie do rzeczywistości, ale o koncept chodzi. Ma i literatura swój barok i nie wiem, czyby nie najlepiéj tą nazwą cały jéj nasz okres charakteryzować. Bo jeżeli w historyi sztuki przypomina ten wyraz, obok upadku, fałszu i przesady, także wiele siły, werwy, pysznego realizmu, to wszystkie te zalety odnajdą się po części i w literaturze naszéj, ale po stronie polskich, szlacheckich wierszopisów. W łacińskich, szkolnych, szukać ich nie trzeba. Różne strony duchowego życia wkraczają nawzajem w swe zakresy i powstaje nawet jakaś forma ohydna, którą historycy literatury nazywają „stylem nakamiennym“, a która, będąc prozą i posiadając nawet jéj okresy, ma zarazem jakby rytm jakiś odrębny, zapożyczany od wiersza. Erudycya posiłkuje poezyę i średniowieczny traktat o cnotach i władzach kamieni przechodzi do arsenału panegirysty. Dawniéj śpiewał jeszcze czyny bohatera, dzisiaj tłómaczy symbolicznie, a z konceptem, co znaczy złoty księżyc, a co szafirowe pole w klejnocie jego szlacheckim. Nam trudno dzisiaj pojąć, jak mógł ówczesny wierszopis rokować nieśmiertelność sobie i swemu bohaterowi, jak mógł wierzyć, że pamięć ludzką zapewni zwrot retoryczny, nie w chwili natchnienia nasunięty, ale wśród przepisów odszukany, jak powstać mogła wiara w jakąś poezyę, bez serca i zachwytu. Przeszło po nas tyle wpływów wprost przeciwnych i nikt nam z duszy nie wymaże ani rady Fausta, że marne są to słowa, co z duszy nie płyną i do serc nie wchodzą przebojem, ani wiersza z ballady „Miéj serce i patrz w serce“. Wytężenia imaginacyi potrzeba, aby sobie cały ten świat odmienny, świat szkolnéj poetyki wystawić. I byłoby to pewno zajmujące i wdzięczne studyum, gdyby kto umiał zupełnie wyjść z pojęć dzisiejszych, zechciał zagłębić się w dusze zapomnianych pisarzy XVII wieku i napisał objektywną psychologię panegiryzmu. Dla nas byłaby to niejako książka o duszy ludzi kopalnych.

Wśród takich warunków przychodził na świat Karpiński, nazwany późniéj poetą serca. Takie czekały na niego literackie prądy i przykłady. Kochowscy i Potoccy leżeli blisko od pół wieku w gro-

bie, szlacheckich rapsodów nie było, wychodziły z druku same mowy pogrzebowe, przygodne kazania i oracye, mało życiorysów świętych, ale dużo ich pochwał, trochę kalendarzy. Drużbacką broni sama płeć od nawyknień pisarskiego cechu i spotykamy w tomie jéj poezyi kilka, kilkanaście wierszy świeższych, jakby ukradkiem wyzwolonych od ogólnego szablonu Janocki zapisuje też, że „poezya polska nic nie ma równie wytwornego", jak jéj „Cztery pory roku". Po za tém objawia się tu i owdzie zajęcie się literaturą w kole światlejszego duchowieństwa, albo w pałacach wielkich panów, którzy rymują jeszcze chętnie, kiedy szlacheckie społeczeństwo wyczerpało już poetyczne swe siły. W Nieświeżu układa księżna Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa dziwaczne swoje sztuki i każe je grywać u siebie. Pisuje wiersze ks. Ulryk Radziwiłł, koniuszy W. Księstwa Litewskiego; po r. 1750 próbuje Wacław Rzewuski, hetman naówczas polny, późniéj wielki koronny, sił swoich na polu tragedyi i komedyi. Równocześnie pisze tragedye Konarski, a Bohomolec wydaje swój teatr szkolny, gdzie nie brak francuskich reminiscencyi, ale cel nawskroś pedagogiczny nie pozwala na kobiece role, a więc na akcyę naturalną i żywą. Kanonik Minasowicz tłómaczy francuskie tragedye z końca przeszłego i z początku XVIII stulecia, a biskup Załuski układa nawet nawpół oryginalne. Czuć chęć ogólną stworzenia sobie literatury dramatycznéj, bo głównie za jéj pośrednictwem wyraża właśnie myśli swoje Francya.

Tam czekają inne dzieła, inne prądy na Karpińskiego. Kiedy mu lata płyną cicho i pobożnie w rodzicielskim dworku, w jezuickich zakładach, zaczyna już inny wychowaniec jezuitów zarzucać świat książkami i osobą swoją zajmować. Minęła dla Voltaire'a, jak dla Francyi, epoka regencyi, pusta i światowa, nastąpiła działalność energiczniejsza, wojna otwarta na różnorodnych polach. Teatr, rozprawy przyrodnicze, historya, powieść, wierszyk i epiczny poemat dają mu sposobność do rozpowszechniania wolnomyślnych pojęć, które przywiózł z Anglii, a którym odtąd przybyło zaciekłości i siły. Głosi filozoficzne idee, deizm, tolerancyę religijną, moralność, opartą na wspólném wszystkim ludom poczuciu sprawiedliwości, zapowiada przyszłość pełną cywilizacyi i oświaty, gdzie prosty rozsądek będzie rządził, stał obok tronu, albo siedział na tronie. Bo o przewrocie społecznym nie myśli, chce tylko wolności słowa i sumienia dla oświeconych, przestaje zresztą chętnie z królami, dopóki, według własnych słów, królem u siebie nie został. Zawiązuje stosunki z Fryderykiem II, siada u jego stołu w Potsdamie wśród koła ludzi, którzy, jak on, zwalczają istniejące religijne pojęcia. Z rozmowy, prowadzonéj w tém gronie, wyjdzie potém jego „Dykcyonarz filozoficzny", istny podręcznik

dla wrogów chrystyanizmu. Tymczasem gotują się Diderot i d'Alembert do wydawnictwa „Wielkiéj Encyklopedyi", La Mettrie ogłasza materyalistyczne swe prace, Diderot sceptyczne swe broszury. Voltaire siedzi wśród nieśmiertelnych francuskiéj akademii i racyonalistyczny kierunek góruje w duchu umysłowym Europy. Naraz budzą się jednak głosy odmienne. Oto już woła Vauvenargues, że wielkie myśli z serca pochodzą, że może częściéj uczuciem, niż rozsądkiem dochodzi się do prawdy, i we fragmentach filozoficznego systematu mówi o Bogu inaczéj, niż w Potsdamie o nim mówią, jakby z tęsknotą i miłością. Umiera on młodo: był to, jak powiedział Sainte-Beuve, Voltaire'a dobry duch — i uleciał. Ale tu zaraz, w dwa lata po jego śmierci, rozpoczyna nowy człowiek tę samą kampanię. Wśród gromady salonowych filozofów, upojonych zdobyczami cywilizacyi i wiedzy, powstaje silny głos potępienia na oświatę, umiejętność, sztukę, społeczeństwo obecne, rafinowaną jego i fałszywą ogładę. Bóg nie jest dla Rousseau'a jedynie wielkim zegarmistrzem, potrzebnym do utrzymania porządku we wszechświecie i ładu społecznego na ziemi, jak dla Voltaire'a. On wierzy w niego sercem, wierzy nawet w szlachetność natury ludzkiéj, chociaż ogląda jéj upadek i cofa się myślą do czasów, kiedy była jeszcze prostą, piękną, zdrową. Gdzie inni widzą machinę, on przeczuwa duszę: w człowieku i w naturze Tuła się po świecie, biedny i samotny, ale pocieszany zarazem widziadłami wiecznie czynnéj wyobraźni. Przymiera głodem w wędrówkach, ale przypatruje się i ludzkiéj nędzy, i piękności świata, zasypiając i budząc się pod gołem niebem. Nie swojsko mu z markizami, wśród których się Voltaire obraca; u alpejskich górali znajduje gościnność i widzi jedyne szczęście na ziemi: brak potrzeb i serce spokojne. Urok jego słowa jest tak wielki, że odrazu wstrząsa całym światem współczesnym i wpływ swój na najdalszych i najodmienniejszych czytelników wywiera. Trochę zalet i wad téj plebejuszowskiéj natury dostało się aż do duszy Karpińskiego, szlacheckiego proletaryusza. Kierunek racyonalistyczny dotknął się go zaledwo; Roussseau — oto wielkie imię, które nam tajniki jego serca otwiera.

Ale i do salonów dotarł wpływem swym Jan Jakób. Jak w barokowéj literaturze naszéj nie może się wybić na samodzielność, ani odświeżyć stanu poezyi żaden, choćby najzdrowszy, pomysł i kierunek, ale owszem każdy zwrot ku realizmowi wywołuje tylko większe w państwach uczonéj muzy zamięszanie; tak ogarniała we Francyi wszystko potęga salonu, sztuczne i wykwintne rococo. Zanim się powołają na Rousseau'a krwawi mężowie rewolucyi, bawią się wielkie damy, przejęte jego uczuciem dla prostoty, natury i ludu, wśród sal zwierciadlanych, w bladą i nudną sielankę.

II.

Największy polski sielankopisarz XVIII wieku urodził się we wsi Hołoskowie [1]), na téj Rusi Czerwonéj, która musi budzić jakąś ochotę do śpiewania wsi, ludu, krajobrazu, skoro z niéj i Szymonowicz, i Zimorowicze pochodzą. Tylko Gawiński urodził się w Małopolsce. Takie to jednak czasy, że postacie ludowych obrazków Karpińskiego nie mają nic odrębnego, nic specyficznie ruskiego, czy polskiego. Są to raczéj ci ludzie pierwotni, nie zepsuci i czuli, o których Rousseau marzył, ale ich także nie widział. A kiedy odezwie się czasem u Karpińskiego śpiew ludowy, to znowu w ton mazurka, a nie w ton ruskiéj dumki. Nie spotykamy u niego żadnych szczegółów, żadnych wspomnień rodzinnéj strony. Nie istniała może dla niego poezya téj ziemi gładkiéj, tęsknéj, od południa zamkniętéj linią gór sinawych, ziemi, którą nas nauczyli odczuwać poeci naszego stulecia i na którą patrzymy oczami Grottgera.

Powitała go jednakże Ruś fantastyczną, oryginalną postacią, o któréj pieśni podobno dotąd prawią. Wróżki nie przyszły na chrzest poety, ale przysłały nawskroś romantyczną figurę. Wódz opryszków, Oleksa Dowbosz lub Doboszczuk, wchodził do domu w Hołoskowie w chwili urodzenia Karpińskiego. Był to jeden z tych hersztów, którzy oddawna grasowali w okolicy i mieli taką siłę, że oni-to nie dozwolili rozwinąć się handlowi Stanisławowa, którego kupcy Ormianie zaczynali się już byli bogacić. Bronił zapewne zbójców, jak często w górach, lud okoliczny, w którym budzili razem przychylność, po dziw i trwogę. Przemawiali do jego wyobraźni. Następca Doboszczuka w dowództwie bandy, Wasyl Bajurak, schwytany i oddany pod sąd, przyznawał się do wszystkiego dobrowolnie. Wzięty na tortury, gdy więcéj z niego wydobyć chciano, zaciął zęby i zamilkł [2]). W 1754 r. był Karpiński, naówczas student, przy jego egzekucyi i widział, jak idąc na ścięcie, kazał sobie dać piszczałkę góralską, na któréj dumy wygrywał. Legenda idealizowała jeszcze twardych tych ludzi, ale Doboszczuk obszedł się rzeczywiście z dworem w Hołoskowie, jak istny opryszek z góralskiego podania. Na wieść o zamierzonym napadzie, opuścił ojciec Karpińskiego dom i chorą żonę, rozkazując, aby dla zbójców jedzenia i wódki nie brakło. Obecna przy

---

[1]) „Pamiętniki“, str. 1115.

[2]) Por. A. Szarłowski „Rys historyczny m. Stanisławowa“. Stanisławów. 1887, str. 139. Przypisek z). Tamże podany rok 1754.

urodzeniu baba wzięła niemowlę na rękę i tak poczęła opryszków o litość zaklinać. Doboszczuk udobruchał się, kazał towarzyszom jeść i pić i poprosił, aby na pamiątkę dano chłopcu na chrzcie jego imię, Aleksy. Babie zaś dał trzy dukaty, aby pamiętała zbója, i po chwili nie było po całéj bandzie ani śladu. Zupełnie, jak w podaniach: zbójcy miewają wspaniałomyślne chwile i fantastyczne pomysły, szukają chętnie przy uczcie zapomnienia, a radziby znów wśród ludzi pamięć swą przechować. I mają złoto brzęczące za pasem [1]).

Tak powitało życie Karpińskiego strofą z ballady. Roztoczyło potém nad nim ciche skrzydła spokojnego, wiejskiego dzieciństwa. Jak ono przeszło, trudno dziś sobie wystawić. Pamiętniki rozliczne mówią dużo o życiu na dworach pańskich, wśród bardzo zamożnéj szlachty. Możemy sobie zrekonstruować taki dworzec, porządek dnia, życie codzienne i odświętne, wygląd sal, liberyę służby. W pierwszych rozdziałach wspomnień spotykamy często wzmiankę, że dom rodziców autora należał do najgwarniejszych, najdostatniejszych w okolicy; zapisywano chętnie dziecinne wspomnienia pewnéj wystawności i popularności. Ale co działo się w dworku szaraczkowego szlachcica, w domu takiego Andrzeja Karpińskiego, administratora jednéj wioski u Potockich? [2]) Życie musiało płynąć spokojnie, bez innych wrażeń, jak gospodarskie powodzenia lub straty, zbyt częste deszcze, zbyt uporczywa pogoda. Przychodziły święta, religijne obrządki i wrażenia, a jednostajnym dniom dodawał czasami jakiegoś trwożliwego czaru zabobon, który Goethe gdzieś poezyą codziennego życia nazywa. Dzień zaczynał się wcześnie, wcześnie kończył; rano opowiadano sobie o snach poprzedniéj nocy.

O skromnym dworku, który do dziś dnia w Hołoskowie stoi, wiemy tylko tyle, że posiadał obicia, bo Karpiński zapisuje w pamiętnikach, że matka jego widziała jakąś duszyczkę w bieli, która szczeliną okna wkradła się do izby i skryła za obicie. Może za owo płócienne, które do dziś dnia istnieje w pokoju, gdzie się poeta urodził.

---

[1]) Por. ciekawą charakterystykę skłonnego często do rycerskich uczuć i postępków Dowbosza w rozprawce prof. d-ra Juliana Celewicza: „O Oleksie Dowboszczuku", ogłoszonéj w XI tomie „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego", rok 1887, str. 1—32.

[2]) W metryce Tomasza Karpińskiego, znajdującéj się w Otyni, czytamy: „filius administratorum bonorum Hołosków". Że była to mała wioska, zaliczona do otyńskiego klucza, świadczą poszukiwania prof. F. Próchnickiego (Sprawozdanie Dyrektora c. k. Gimnazyum lwowskiego im. Franciszka Józefa za rok szkolny 1876. Lwów 1876, str. 1 i 2).

Rodzina była szlachecka, pochodziła z ziemi nurskiéj i używała herbu korab' [1]), który widziałem na dwóch odmiennych pieczątkach dwóch własnoręcznych listów Franciszka. Pradziad poety zwał się Piotr, żonaty był z Teresą Zielińską i z ziemi nurskiéj miał się podpisać na akcie elekcyi Augusta II. O dziadzie, Krzysztofie Mikołaju, i babce, Maryannie z Winnickich, nie wiemy nic, prócz imion. Ojciec Franciszka zwał się Andrzéj, matka Rozalia, z domu Spendowska [2]). Rodzeństwo było liczne. Wiemy o trzech braciach Franciszka: Antonim, o kilka lat starszym, Kajetanie zmarłym w wieku lat sześciu, a starszym o rok od poety, wreszcie o urodzonym w 1743 r. Tomaszu, którego żadnych śladów, prócz metryki, nie posiadamy. I sióstr było pewno trzy: Maryanna za Zankowskim, Zuzanna, poślubiona Kowalskiemu, wreszcie trzecia, niewiadomego imienia, za Kozierowskim.

Ojciec, opuszczający chorą żonę na wieść o napadzie opryszków, był mimo to jakimś rodzajem szlacheckiego Katona. W potrzebie umiał się rąbać, wyrządzoną zniewagę kazał synowi we krwi wroga obmywać. Dzieci czciły go jeszcze więcéj od matki, bo się go więcéj bały. Jak wszystkie dzieci podówczas. Będąc przy starszych, jak wspomina, młodszy nieco od Karpińskiego, Jan Duklan Ochocki, „ani usiąść, ani się nawet oprzéć nie było wolno“. „Wobec rodziców—cytuje Heleniusz z dawnego pamiętnika—niewolno było usiąść. Stać należało w postaci nieruchoméj, milczącéj. Broń Boże oprzéć się o co, zgarbić, opuścić się...“ [3]). Temi samemi niemal słowami wspomina o swojém wychowaniu Karpiński. Kiedy już jest u Jezuitów w Stanisławowie, pilnuje go ojciec podczas mszy szkolnéj i uderza publicznie za śmiech i żarty w kościele. Znaną jest powszechnie anegdota o policzku, danym nagle Franciszkowi przez ojca, który chciał doświadczyć pokory dorastającego już, jeżeli nie dorosłego, młodzieńca. Wiadomo, jak go potém ze łzami przepraszał i jak, klękając na środku pokoju i wznosząc ręce w górę, wołał nieco patetycznie: „Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, pobłogosław to dziecię moje; niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie“ [4]).

Człowiek ten, nieco dziwny, „groźny“, był zarazem najuczciwszym, miłującym prawdę człowiekiem. Ojciec pięknéj córki a sługa Potockich, gdy jeden z nich, Jan, starosta guzowski, późniejszy kasztelan lwowski i ojciec słynnego Prota, zaczyna się do panny Ma-

---

[1]) Por. K. Łodzia-Czarniecki: „Herbarz polski“. Tom I. Gniezno 1875—1881.

[2]) J. I. Kraszewski l. c. str. 117.

[3]) „Rozmowy o polskiéj koronie“. Kraków 1873, tom II, str. 223.

[4]) „Pamiętniki“, str. 1127, 1128.

ryanny Karpińskiéj zalecać, umie go z godnością poprosić, aby i jego nadworna kapela, i on sam, zaprzestali odwiedzin w domu ubogiego szlachcica. Kiedy znów podczas sejmiku pada pijany szlachcic przed innym Potockim, Mikołajem, starostą kaniowskim, wołając: „Ty jesteś Bóg w Trójcy Świętéj jedyny, weź syna mojego do konwiktu“, nie widzimy, aby Andrzéj Karpiński ostrzegał syna przed służalstwem, ale przed pijaństwem, którego pokazuje mu skutki. Zresztą wcześnie „umiał się gorszyć“ Franciszek i za niemałą to sobie chlubę poczyta.

O stanie umysłowym p. Andrzeja wiemy bardzo niewiele. Nader troskliwy o dobro dzieci, oddaje syna starszego, Antoniego, a potém i Franciszka, do szkół, ale muzyki i francuszczyzny uczyć się nie pozwala. Dba widocznie o to, aby dzieci nie chciały się wynosić nad stan i nad poziom drobnéj szlachty. Może starając się o dobre wychowanie, spodziewa się, że synowie zostaną księżmi, że wyjdą Bogu na chwałę i że rodzinie bieda nie dobodzie. Antoni poświęcił się stanowi duchownemu i był komendarzem kościoła w Otyni, do którego parafii należał Hołosków; Franciszek zaś chodził na teologię i o mało że nie wdział sutanny, a nawet jezuickiego habitu. Zresztą wiemy tylko o jednéj książce, którą Andrzéj Karpiński czytywał: był nią kalendarz, w którego przepowiednie wierzył równie ślepo, jak we wpływy planety, pod którą człowiek się rodzi. Nie bez lekkiego uśmiechu opowiada o tém Karpiński, człowiek wykształcony i syn, bądź co bądź, tego wieku oświecenia, którego złym był synem. „Z tych wszystkich zabobonów—mówi on w jedném z tych ulubionych zdań, gdzie jednozgłoskowe wyrazy stają na końcu—z tych wszystkich zabobonów, im bardziéj im w tamtych czasach wierzono i obawiano się, tém więcéj my z nich dzisiaj śmiejemy się“. A daléj charakterystyczniejsze jeszcze słowa: „Ojcowie nasi, jak dawniéj Grecy, albo Rzymianie, wszystko prawie w urojonych cudach widzieli“. Tu czuć już pełny wiek XVIII w tém zestawieniu starożytnych i dzisiejszych pojęć. W książce swéj o wyroczniach wykazuje podobnie Fontenelle, nietylko całą fantastyczność podań o dziwach pogańskich, ale nasuwa czytelnikom swym i myśl, że nie pewniejszemi są może i chrześciańskie cuda. Wszystko delikatnie, mimochodem, półsłówkiem, bo Fontenelle nie lubi z nikim zadrzeć i nie ma bynajmniéj „powołania do męczeństwa“. A kiedy młody Voltaire pisze swego „Edypa“, nietylko pogańskich kapłanów o korzystanie z ludzkiéj łatwowierności oskarża. Zdaje się, że również do zabobonu zalicza Karpiński nietylko wróżby cyganek z ręki, z wosku i z „fasolów“, nietylko lunatyków, wychodzących przez szparę, i całą Łysą Górę z czarownicami, nietylko nawet zapisujących się dyabłu i opętanych. Czytając cały

ustęp pamiętników, czuje się co więcéj, że ironia autora nie ogranicza się nawet do dusz czyscowych, ukazujących się ludziom, ale się odnosi może i do widzeń niebiańskich. Bo ojciec Karpińskiego widział Matkę Bożą na niebie, w żółtym robronie, w wigilię Bożego Narodzenia, w tajemniczéj owéj chwili, gdy, jak wiadomo, bydło w oborach ludzką mową przemawia. Innym razem zawołał mu Św. Józef z obrazu wyraz: „Cnota". O tém, że matka jego miała doznać cudu od Matki Boskiéj w Otyni, wiemy nie z pamiętników, ale z zapisków kościelnych. Po za tém straszyło w Hołoskowie nieustannie.

Nie powinny te duchy zanadto obniżać naszego sądu o dworku szlacheckim. Zmądrzały, zestarzały Doświadczyński, z którym się na niejednym punkcie indentyfikuje już sam Krasicki, pozostaje niechętnie w pokoju bez światła. A jakże się dziwić pani Rozalii Karpińskiéj, że widuje upiory, skoro księżnéj Izabelli Czartoryskiéj nie daje spać obawa, że zmarły świeżo szwagier jéj męża, ks. marszałek Lubomirski, gotów dotrzymać słowa i odwiedzić ją po śmierci [1]. Bo wśród zabobonów i niskiego stanu oświaty panowała w hołoskowskim dworku istotna dbałość o moralność, prawdę i cnotę. Istniała pod tym niskim dachem świadomość, że tylko czyste uczynki, czyści ludzie wyjść z pod niego mogą i powinni. Kiedy Andrzéj Karpiński umierał u księdza Antoniego w Otyni, zwrócił się raz jeszcze do żony: „Powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świecie". Skonał dnia 17 Maja 1761 r., mając lat 64 [2]. Matka przeżyła męża o lat przeszło szesnaście i umarła w Chocimierzu d. 5 Stycznia 1778 r., doczekawszy się wieku lat około ośmdziesięciu, jak twierdzi akt zejścia [3]). O śmierci jéj wcale syn nie wspomina i mówi o niéj wogóle mało w pamiętnikach. Wiemy, że była, jak mąż, i zabobonną, i pobożną. Wróciwszy w kościele w Otyni do zdrowia, stwierdziła to na akcie znakiem krzyża, bo pisać nie umiała. Istnieje tam bowiem obraz, słynący cudami, przedstawiający Matkę Bożą Wniebowziętą. Malował go w r. 1710, na obstalunek Jana Kamińskiego, „uczciwy i pobożny malarz z Żukowa, zwany Kazimierz Ładoński". W książeczce, opisującéj cuda przed tym obrazem od r. 1753 doznane, znajduje się następujący fakt, zapisany przed rokiem 1760, jako cud szósty [4]).

---

[1]) „Mémoires du prince Adam Czartoryski". Paris, Plon, 1887. Tom I, str. 19.

[2]) Z aktów kościelnych w Otyni, odpisane przez proboszcza ks. P. K. Jastrzębskiego.

[3]) Z aktów kościelnych w Chocimierzu. Wiadomości téj udzielił mi uprzejmie ks. Ziembowicz, proboszcz miejscowy.

[4]) Odpis tégo ustępu zawdzięczam przyjacielowi memu, d-rowi Piotrowi Bieńkowskiemu.

„JPani Rozalia Karpińska, wdowa cześci y wiary godna poprzysiąc prawdę ninieyszą żądaiąca: Jako chorując niebesspieczno na kolki, parcia niezwyczayne tudziesz y dyssenteryą śmierci się równaiącą: y w moment skonania swego oczekuiąca: y iuż w drogę Wieczności dysponowana. W tym tedy razie y terminie ofiarowała się do N. Matki Otyniń: y na Mszą dawszy, kazała się zaprowadzić usilnie do kościoła, aby tam krzyżem padła przed Osławionym Obrazem: Jak się tylko Msza Ś. Skończyła, tak y Pani zaraz się lepiey mieć poczęła: y wkrótce do zupełnego zdrowia przyszła: a będąc na Dziękczynienie BOGU y Matce Nays: w kościele ten cud zapisać upraszała; który krzyżem S. podpisała".

W domu rodzicielskim oglądał za młodu Doświadczyński trzy tylko książki, wszystkie trzy do nabożeństwa, a dwie ostatnie z nich do dziś dnia przedrukowywują dla użytku wiernych. Były to „Heroina chrześciańska, świątobliwemi aktami y wdzięczną rozmaitoscią Modlitw nayprzednieyszych uzbroiona", „Głos synogarlicy na pustyni świata tego jęczącéj", wreszcie „Złoty ołtarzyk wonnego kadzenia przed stolicą Bożą". W hołoskowskim dworku nie było może i takich dzieł, skoro pani domu pisać nie umiała, i chyba Andrzéj Karpiński, który czytywał kalendarz, brał jaki tom podobny do kościoła.

Bo o książki do nabożeństwa trzeba się w każdym razie przedewszystkiém pytać w tym domu pobożnym, w okolicy, gdzie cuda co chwila ożywiają wiarę. Na dziesiątek lat przed obrazem w Otyni zaczyna słynąć M. Boska ormiańskiego kościoła w Stanisławowie [1]). W roku 1742 i 1743 zapisano wielką ilość cudów. Zaczęło się od łez, wylewanych przez obraz, nastąpiły niebawem uzdrowienia ciężko choréj kobiety, mieszczanina z Tyśmienicy, okolicznéj szlachcianki. Gwiazdy jęły się potém ukazywać nad czołem, koło twarzy Madonny; ksiądz ujrzał ją podczas mszy w błękitnym obłoku. Lampa zgaszona przed obrazem zapala się sama, dziwne światła błyszczą na ręku Matki i Dzieciątka. Paralitycy chodzą, dotknięci rakiem i chorobą Św. Walentego odzyskują zdrowie. W r. 1753 sprawdza te wieści o cudach arcybiskup ormiański ze Lwowa. Nie ustają one, spotykamy o nich zapiski w 1760, 1762, 1763 roku. Wcześniéj jeszcze pozbywa się ciężkiéj febry ks. Gaspar Balsam, jezuita, prefekt szkoły stanisławowskiéj, pod którym Karpiński odbywał pewno nauki. Na rok przedtém, w 1748 r., postanawia właściciel Stanisławowa, Józef Potocki, hetman w. kor., otoczyć kościół ormiański odpowiednią

---

[1]) Por. w całéj téj sprawie cudów monografię ks. Sadoka Barącza: „Pamiątki m. Stanisławowa", Lwów 1858, str. 98–108.

mu czcią i wspaniałością i czyni to w bardzo charakterystyczny na epokę sposób. Oto ma odtąd kahał miejski płacić rocznie tysiąc złotych polskich na dalszą budowę kościoła. Hetman zaś funduje tém msze wieczyste za siebie i rodzinę.

Nietrudno sobie wystawić, jakie wrażenie wywierały te cuda w Hołoskowie, jak działać musiały na wyobraźnię Franciszka. Jak naraz przybywały nowe wieści do zaścianka i jak się ludzie kupili około tego, co powracał z miasta. Ile drgało pobożności i grozy w duszy każdego, co próg ormiańskiego kościoła przestąpił. I jak była widoma opieka Matki Bożéj nad miastem i okolicą, objawiająca się nareszcie i we wsi rodzinnéj. Nie wspomina o tem wszystkiém Karpiński w pamiętnikach, ale niepodobna nie przypuścić, że w cichéj egzystencyi Hołoskowa nie brakło ani wstrząśnień, ani podniety dla wyobraźni. A nasz Karpiński miał właśnie naturę nawskróś wrażliwą i imaginacyi pełną. Jedną z tych natur, dziś u nas tak częstych, a wówczas prawie nieznanych, miękkich, zwróconych na wewnątrz, wpływom różnorodnym uległych, a badających się jednak ciągle, zapalnych a słabych, czułych a refleksyjnych, jedną z tych natur, które może w chwilach przełomów dziejowych się rodzą.

III.

Czytając w historyi humanizmu Voigta znakomity portret duchowy Petrarki, niepodobna mi nie myśléć o Rousseau i nie zauważyć, że w przeddzień odrodzenia i w przeddzień rewolucyi zjawiają się dwaj ludzie, o których kolejno mówiono: oto pierwszy nowożytny człowiek. Ten sam u obydwóch indywidualizm, potrzeba mówienia o sobie, połączona ze świadomością, że natura ich jest od reszty ludzkości odmienną. To samo głośne analizowanie się, może na to tylko, ażeby się z obcych sądów dowiedziéć, co się właściwie dzieje we własnéj duszy. Czują oni w sobie aspiracye, których otoczenie nie miewa, jakąś tęsknotę, która ich samych dziwi, nieokreślone poczucia, które dopiero po nich staną się ogólnemi. A w życiu codzienném rozbijają się zbyt często o przeszkody, z których nie zawsze wychodzą bez skazy. Tém większą staje się dla nich ta dwoistość zagadką. Jeden z nich studyuje samego siebie, wylewa swą duszę w listach zwróconych do współczesnych, minionych i przyszłych pokoleń, drugi pisze monografią o sobie w odrębnéj książce, a raczéj w kilku książkach, bo wierzy mocno, że z téj formy, w któréj jego odlano, inny już człowiek nie wyjdzie.

Wpływ obydwóch tych ludzi na społeczeństwo europejskie konstatowała już nauka po sto razy; dlaczego zjawili się w danéj epoce, tego oznaczyć nie zdoła. Można tylko stwierdzić, że w pewnych okresach zdarza się większa ilość tych natur dwoistych, złożonych z działającéj i obserwującéj ją osoby, wrażliwych i sprzecznych, jakby sprzecznością własną zadziwionych. Druga połowa XVIII w. zna kilka takich postaci, żyjących prawie równocześnie. Bez względu na różnicę ich sławy i znaczenia, wymieniam je tu jednym tchem: Rousseau, Goethe, Karol Filip Moritz i Karpiński. Nie radbym, aby z tego zestawienia nieporozumienie wynikło. Nie porównywam tu oczywiście ani talentów, ani doniosłości tych pisarzy. Mogę ich wszelako jako ludzi obok siebie postawić, jeżeli ma jeden drobny rys u takiego Goethego przyczynić się do objaśnienia całéj Karpińskiego natury. Szukając przykładów, trzeba wybierać indywidualności pierwszorzędne i znane. Dlatego w ciągu całéj téj pracy o małym pisarzu nie zawaham się największych poetów wprowadzać.

Goethe najmniéj nas tutaj obchodzi. Olbrzymia zdolność utrzymywania równowagi moralnéj, wiedza głęboka i rozległa w harmonii z artystyczną działalnością, pierwszorzędny poetycki talent, nadają osobną cechę jego indywidualności, która tak ludzi przerasta, że za punkt porównania służyć prawie nie może. W ciągłéj artystycznéj twórczości znajduje ujście wewnętrzna niezgoda, chorobliwość autokrytycyzmu. Mówi gdzieś Heine, że, tworząc, można wyzdrowiéć, a sam Goethe nieraz powtarza, jaką mu ulgą była twórczość. „Bo kiedy człowiek milknie pośród męki, mnie dał Bóg jakiś powiedziéć, jak cierpię“. Rousseau jest znów najwspanialszym okazem, na którym można studyować chorobę. Autokrytycyzm spotyka się u niego z nader żywą wyobraźnią i w tém połączeniu dopiero staje się zgubnym. Bada się tak długo, aż poczyna się uwielbiać, wraz z wadami, wraz z przewrotnemi skłonnościami: taki jest prawie zawsze skutek ciągłego studyum nad sobą samym. Wszak przywiązujemy się do obcych ludzi, do martwych przedmiotów, których zbadaniu poświęcamy czas i trudy. Nie będąc centrem świata, staje się Rousseau we własnéj wyobraźni i w nieograniczonéj dumie przynajmniéj celem wszystkich nienawiści, prześladowań i zasadzek.

Bez porównania drobniejsze stanowisko zajmuje w dziejach swego narodu Karol Filip Moritz, estetyk i moralista. Pobyt w Rzymie równocześnie z Goethem i wspólne studya nad wierszowaniem rzucają trochę światła na jego postać i nazwisko. Nie zajmował on świata swą osobą i nie pisał autobiografii, jak Goethe i Rousseau, mając w prostéj i jasnéj swéj duszy poczucie, że osobistość jego współczesnych interesować nie może, że zaciekawią ich co najwyżéj

jego dzieła. Czuł jednak, że posiada skarby w psychologicznych obserwacyach, robionych nad sobą samym. Od dzieciństwa nauczył się patrzéć chłodno w głąb własnéj duszy, analizować każde uczucie, zdawać sobie sprawę z każdego moralnego odruchu. Spostrzeżenia te, bardzo ciekawe zwłaszcza na epokę i bardzo indywidualne zarazem, zamknął on w czterech księgach niedokończonéj powieści, ogłaszanéj tomikami między 1785 a 1790 r. Nazwał on ją, jak na te czasy bardzo oryginalnie, powieścią psychologiczną, i zatytułował „Anton Reiser“ od nazwiska bohatera, w którego osobie i dziejach własny swój charakter i własne swoje losy przedstawił. Książka ta rozwlekła i długa jest jedną z najciekawszych, jakie się czytać zdarza[1]). Naprzód dla pojęcia powieści, którą na sto niemal lat przed braćmi Goncourt autor uważa za historyą tych, o których historya nie mówi. Jest więc ścisłość w opowiadaniu i poszanowanie szczegółu. Zdarzeń niéma żadnych w dziejach Reisera, tylko powolny rozwój słabego, wrażliwego charakteru. Powtóre: zadziwiają w téj stuletniéj dziś książce spostrzeżenia tak subtelne, procesa duchowe zanotowane tak jasno i objektywnie, że niejedna jéj stronnica przedstawiałaby i dziś dla psychofizyologa zajęcie. Że wspomnę tylko o poczuciu barw, wywołaném przez pewne brzmienia i dźwięki, która to kwestya zaciekawia dziś najmłodszą generacyę poetów we Francyi a zarazem uczonych całego niemal świata[2]) Rysem charakterystycznym Reisera jest zdolność wyjścia z samego siebie, patrzenia na siebie z oddali. Odrywa się on do tego stopnia od własnéj swéj osoby, że na świat zewnętrzny, otaczający go, patrzy, jak na widok w Camera obcura. Doświadcza „owego osobliwszego uczucia, którego się doznaje, ile razy dochodzi się do świadomości, że się w téj chwili jest właśnie na tém miejscu a nie na innémm, że to jest właśnie nasz rzeczywisty świat, o którym myślimy tak często, jako o oderwanym przedmiocie“ [3]).

Podobnych subtelności nie należy u Karpińskiego szukać. Brak mu tutaj, jak zawsze, zupełnéj świadomości, i rys ten jest dla niego, jako dla polskiego pisarza, wysoce charakterystycznym. Poeci u nas są tylko „z Bożéj łaski“, nie hodują swego talentu, nie poświęcają mu się wyłącznie, nie filozofują o nim. Korespondencya pisarzy niemieckich w XVIII wieku, i to najdrobniejszych i najbardziéj skro-

---

[1]) Istnieje nowe wydanie, stanowiące 23 tom wydawnictwa Bernarda Seuffert'a „Deutsche Litteraturdenkmale des XVIII und XIX. Jahrhunderts“. Heilbronn. 1886.

[2]) Por. w wydaniu 1886 r. str. 46.

[3]) Tamże, str. 255.

mnych obraca się około estetycznych kwestyi i daje nam dziś poznać cele i zamysły autorów. U nas gdzie szukać podobnych objaśnień: czy we fragmentach korespondencyi Krasickiego, które Kraszewski ogłosił, czy w kilkunastu znanych listach Karpińskiego? Nie dziw nawet, że nikt listów takich nie chował, kiedy nie poruszały żadnéj sprawy ogólniejszéj i trwałéj — Karpiński, pisząc autobiografię, jak Goethe, zaledwo wspomina o kilku swoich wierszach, kiedy „Poezya i prawda“ jest właściwie tylko historyą twórczości. Natomiast – i tém się Karpiński do Rousseau'a i Moritza zbliża — jest on pierwszym u nas pisarzem, który nie tylko szczegóły ze swego życia, ale i obraz rozwoju swojéj duszy daje, wspomina nie tylko o tém, co widział, ale i o tém, co się w nim samym działo. Rękopis pamiętników nosi wprawdzie tytuł „Historya mego wieku i ludzi, z któremi żyłem“, ale obok ciekawych przyczynków do dziejów epoki zawierają one przedewszystkiém dużo rozrzuconych, jakby bezwiednych rysów, objaśniających naturę piszącego. Mało tam wiadomości o pisarzu, ale dużo o wewnętrznym człowieku. I być inaczéj nie mogło. Literatura nie była dla Karpińskiego potrzebą życia, nie znajdował w niéj zaspokojenia, nie zwrócił nigdy sił swych do wyraźnego, niezmiennego celu. Nie miał zapewne talentu Goethego, ale nie posiadał téż téj woli, tego wytrwałego pragnienia ulżenia sobie pieśnią, a zwłaszcza pozostawienia współrodakom dzieł zaokrąglonych i dobrych. Żył trochę z dnia na dzień, tułał się dużo za młodu, narzekał na starość, marzył dużo, ale o sobie, nie o jakichś po za nim będących ideałach, o życiu spokojném, a nie o życiu wielkiém. Z mgły takich marzeń skropliło się coś w poezyę. Bywa ona najlepszą, kiedy jest najbardziéj subjektywną i szczerą. Nie sądzę, by wiele dbał o nią: ogłaszał ją pod tytułem zabawek. I dzieła jego tworzą w dziejach literatury rozdział mniéj ciekawy, niż ten, który w historyi cywilizacyi i umysłowości stanowi jego osoba.

Natura była oczywiście wrażliwa, na drobiazg nawet w życiu czuła: dowodem pamiętniki. Głucha poezya kraju pozostała może nie bez wpływu; religijne życie tak rozbudzone w domu i w okolicy musiało ożywiać wyobraźnią i podsycać dalekie, nieokreślone pragnienia. Nie trzeba zapominać, że cuda, częste cuda, grają w wychowaniu Karpińskiego rolę. Spotykamy się też z objawami wysokiéj religijnéj egzaltacyi u ucznia jezuickiego collegium. Składał on je potém sam na karb téj „krwi żywéj“, która go pchała do studenckich swawoli i, zapalając ambicyę, wiodła do pilności i nauki. Pojętny był ogromnie, a kiedy uległ silnemu wrażeniu, wyobraźnia wiodła go bardzo daleko. Pod wpływem żywotów świętych pustelników opuszcza Stanisławów i idzie do lasu żyć, jak oni, żołędziami. Przed obrazem

św. Sebastyana, który się do dziś dnia znajduje w kościele farnym, przychodzi mu myśl oddania życia za wiarę. Mógłby naprzykład zginąć w Chocimiu, który jest w ręku Turków a nie daleko leży od Stanisławowa. W jego wyobraźni odgrywa się cała scena: stanie na środku miasta i będzie lżył Mahometa, tak śmiało i tak uporczywie, że Turcy będą musieli go zabić. Ale od tych fantasmagoryi do rzeczywistości daleko: chcąc wytrwałości swéj doświadczyć wbija sobie szpilkę w nogę i ból ten leczy go z podobnych zachcianek [1]). Tak samo wędruje Antoni Reiser na puszczę i kłuje się szpilkami [2]).

Innym razem przyłącza się do tych pobożnych projektów Karpińskiego i artystyczne pragnienie. Natura muzykalna raczéj, niż plastyczna, jak Reiser, jak Rousseau, radby się uczyć muzyki, na co ojciec nie zezwala. I marzy się chłopcu, żeby to uciec do Częstochowy, dostać się do kapeli kościelnéj i przepędzić tam lat kilka na służbie Matki Bożéj i na ciągłéj muzyce. Znalazł się szczęściem mądry ksiądz, co mu te plany wybił z głowy. [3])

Religijnemi uczuciami u dzieci nie zawsze można kierować, a mogą one dziwnie wybujać w tym wieku. Chorobliwe usposobienia wytwarzają się nader często wśród otoczenia bardzo religijnego, a zwłaszcza skłonnego do skrupułów. Antoni Reiser chowa się w domu, przejętym pietystycznemi pojęciami pani Guyon, owéj krzewicielki kwietyzmu, z którą wojował Bossuet, a któréj Fénélon sprzyjał. Goethe, za młodu daleki od pogody lat dojrzałych, ulega długo różnym mistycznym i pietystycznym wpływom. Nie wystarcza mu ogólnikowa spowiedź protestantów, chce o sobie samym, o wątpliwościach i sprzecznościach własnéj duszy porozmawiać z kapłanem. Pełnia wewnętrznego życia wyrobiła w nim silne, nie tak częste u jego współwyznawców, zajęcie się stanem własnéj moralnéj istoty. Niepokój swój i autokrytycyzm wyhodował Petrarka na św. Augustynie. W nowszych czasach, w dzieciństwie Lwa Tołstoja budzi się studyum nad sobą samym w dniach religijnych wrażeń i religijnych obowiązków. Pewien religijny nastrój charakteryzuje całą młodość wielkiego poety-psychologa. [4])

Bo i u dzieci mogą następować po dniach oddania się Bogu i egzaltacyi dni wewnętrznéj posuchy i chłodu, mogą kolejno przychodzić dni przypływu i odpływu uczucia. Nie rzadki to objaw, że pierwsze wbiją w dumę, że drugie wywołają pewną sztuczność, pe-

---

[1]) Por. „Pamiętniki", str. 1123 i nast.

[2]) Por. wydanie 1886 r. str. 15.

[3]) Por. „Pamiętniki", str. 1124.

[4]) Por. rozdział XII z „Dzieciństwa" i VI—VIII z „Młodości" w Pamiętnikach hr. L. Tołstoja.

wne wymuszanie zapału, że i te i tamte pobudzą do studyowania samego siebie, do zamknięcia się serca w sobie samém. Najniebezpieczniejszém jest to, że wobec zwykłych przykrości życia uważa się jaki egzaltowany duch za męczennika i cierpi cicho dla sprawiedliwości. [1]) Widzi wokoło siebie samych wrogów i prześladowców, wzywa Boga na świadka urojonych napaści. Miłość własna zrasta się z wiarą i daje jéj silną a niezbyt pożądaną podporę. Dlategoto może pozostał Rousseau deistą, Reiser nie zachwiał się w wierze i Karpiński wytrwał w religijnych uczuciach, chociaż niewiele do kościołów uczęszczał i poprzestawał na rozmowie z Bogiem sam na sam. [2])

Tu niepodobna jednak pominąć pewnéj okoliczności, która na cały wewnętrzny rozwój Karpińskiego, jak go tu szkicujemy, nowe światło rzuca. Otóż w roku 1788 były już wyszły z druku obie części „Wyznań“ Rousseau'a i można chyba bez wahania przypuścić, że je Karpiński czytał, zanim rozpoczął pisanie swoich pamiętników, o których pierwszą wzmiankę w r. 1805 spotykamy. Nie posiadamy żadnych pozytywnych dowodów, że „Wyznania“ wywarły silne wrażenie na jego umysł i że się niemi przejął bezwiednie, kreśląc swoje życie i przedstawiając swój charakter. A jednak jeżeli po za filologiczną krytyką w najściślejszém znaczeniu wyrazu istnieje i pewne poczucie „stylu“ w najszerszym słowa zakresie, jeżeli „logos“ i „wyraz“ i „myśl“ oznacza, jeżeli najwyraźniejsze choć subjektywne poczucia mają jakiekolwiek przy odtwarzaniu literackich postaci prawo; to zmuszeni będziemy przyznać, że ton pamiętników Karpińskiego jest słabém echem tego, który słyszymy w „Wyznaniach“, że autobiografia polska jest bladém francuskiéj odbiciem, że niejeden szczegół u naszego pisarza dlatego tak wysunął się naprzód w jego wspomnieniach, iż były rysy analogiczne u Rousseau'a. Ze wszystkich win popełnionych najtrudniéj się chyba ludziom do kradzieży przyznawać. Jan Jakób kładzie pewien nacisk na to, że okradał swego majstra rytownika i zabrał cudzą srebrną wstążkę, służąc u hrabiny de Vercellis. Autobiografia jego ma być ściśle objektywnym obrazem jego duszy i losów, nie zaś apologią ani oskarżeniem. Taki jest cel, takie założenie jego pisma. Antoni Reiser, nisko upadający moralnie przez biedę i ludzką niedbałość, kradnie jakieś jabłka i uważa to za czyn pełen odwagi i rycerskości; ale wszak Moritz tego o sobie samym nie opowiada, nie wyznaje grzechu publicznie przed światem,

---

[1]) Por. uwagi Reisera, str. 26.

[2]) „Pamiętniki“, str. 1270.

ale kreśli nibyto fantastyczny portret Reisera [1]), Karpiński zaś był najuczciwszym z ludzi, ale, dzieckiem będąc, zabrał parobkowi scyzoryk. Trzeba zajrzéć do pamiętników, aby ocenić, jaką wagę temu wspomnieniu z dzieciństwa nadaje. [2]) Sądzę, że jest w tém odrobina reminiscencyi.

Kiedy, powracając z Lipska do Frankfurtu, wstąpił młody Goethe do Drezna i po raz pierwszy przyjrzał się flamandzkim obrazkom, doznał dziwnego złudzenia. Izba szewca, u którego mieszkał, wydała mu się malowaniem Adryana van Ostade. Poznał jego typy, układ obrazu, oświetlenie. Pierwszy raz w życiu doznał on wtedy — jak mówi — rozkoszy spoglądania na rzeczywistość oczyma jakiegoś artysty. Miał on od razu świadomość tego faktu. Coś podobnego zaszło, jak sądzę, i w chwili, kiedy Karpiński zasiadł do pisania pamiętników. Tylko nie zdał sobie z tego sprawy. Ale my, chcąc dziś z nich korzystać, jako z najważniejszego do historyi naszego poety dokumentu, nie powinniśmy przestać myśléć, że mu do ucha szeptał jakiś duch niewidzialny, że niektóre szczegóły wysuwał dowolnie na pierwszy plan, że na całą młodość Karpińskiego kazał mu patrzéć oczyma starca, który czytał „Wyznania." Był to bowiem sam Rousseau.

IV.

Ażeby zresztą wartość naszych pamiętników określić, musimy tu z góry zaznaczyć, że chronologia ich i ścisłość okazują się nieraz wątpliwemi. Ile razy udało się p. Próchnickiemu, dr. Władysławowi Wisłockiemu, albo i mnie nareszcie sprawdzić na podstawie autentycznego dokumentu dokładność dat u Karpińskiego, tyle razy schwytano go na błędzie. Nie można swoją drogą wątpić o autentyczności pamiętników, bo i fakt, że przyjaciel poety, ks. Antoni Korniłowicz, nieustannie z nich korzysta w swojéj biografii, powołując się na własne słowa Karpińskiego i na autentyczne rękopiśmienne pozostałości po poecie [3]), i sam manuskrypt, przechowany w bibliotece ordynacyi Krasińskich, nie pozwala na żadne podobne hypotezy. Jest to to samo pismo, które znamy z autografu „Filona i Laury" w bibliotece Jagiellońskiéj i z podpisanych listów w zbiorach XX. Czartoryskich, pp. Cieńskich i p. Romana Puzyny. Wiek, w którym się Karpiński do spisania pamiętników zabierał, tłómaczy aż nadto pomyłki, które

---

[1]) Por. w wydaniu 1886 r. str. 201.
[2]) Por. „Pamiętniki" str. 1117, 1118, 1120, 1271.
[3]) Przedmowa.

w nich zaszły. Szczególnie na niedokładne i sprzeczne ze sobą wiadomości z lat szkolnych skarżyli się dawno biografowie; odkąd przybyło parę dat pewnych, opartych na aktach zejścia krewnych lub znajomych poety, powstał zamęt, z którego wybrnąć nie zdołamy. Daty te bowiem autentyczne zachwiały wiarę w dokładność wspomnień Karpińskiego, a nie wystarczają bynajmniéj na zrąb samodzielnéj budowy. Musimy téż poprzestać na ogólnym obrazie lat jego szkolnych, nie śledząc jego losów rok po roku.

Używając astrologicznego języka owych czasów, możnaby bez przesady powiedzieć, że się Karpiński urodził pod konstelacyą Pilawy. Dzieciństwo spędził we wsi, należącéj do Potockich, pierwszą młodość w miasteczku, które założyli i które było ich własnością. W połowie XVII w. zamienił Jędrzéj Potocki dwie wsie na miasto i nazwał je Stanisławowem. Łaciński kościół podniósł do godności kolegiaty, którą dopiero za czasów austryackich utracił; założył przy nim kolonię akademii krakowskiéj, zwaną zazwyczaj akademią stanisławowską, i zobowiązał trzech kanoników do stałego w niéj wykładu. Na początku XVIII w. sprowadzili się jezuici i objęli w 1718 r. zarząd owéj szkoły, którą zamienili na zwykłe swoje pięcio-klasowe collegium, dodając mu jednoroczny kurs filozofii i naukę francuskiego i niemieckiego języka. Miasto podnosiło się szybko, dzięki zwłaszcza handlowym zabiegom Ormian, którym z czasem poczęli stawiać rozbójnicy zaporę. [1]) W r. 1732, roku śmierci żony Józefa Potockiego, który jéj wyprawił świetny, cztery dni trwający pogrzeb, liczyło miasto przeszło trzy tysiące mieszkańców, z których połowę stanowili żydzi. [2])

Antoni Karpiński był już od kilku lat w Stanisławowie, kiedy ojciec odwiózł tam Franciszka, aby i on „pomału do szkoły przywykał“, co zapewne ma znaczyć, że się przyszły sielankopisarz miał przysposabiać w mieście do collegium, które przygotowawczéj klasy nie posiadało. Liczył on wtedy ósmy rok życia i umiał już czytać i trochę pisać. Było to zimową porą. Chłopiec uczepił się sani, wracających do Hołoskowa, i byłby był do domu powrócił, gdyby się kaszlem nie zdradził w pół drogi. Uciekał przed słynną srogością jezuickiéj szkoły, ale z ojcowską się spotkał. „Tak zaraz do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście rózeg, danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu, interes ten zakończyło.“ Ażeby sobie dzieciństwo Karpińskiego i współczesnych mu uprzytomnić, trzeba sobie

---

[1]) A. Szarłowski, l. c. str. 4, 11, 12. — X. Sadok Barącz: l. c. str. 27, 28, 87, 88.

[2]) Por. drugą pracę A. Szarłowskiego: „Stanisławów i powiat stanisławowski“, 1887, str. 114, 115, 125 f).

wyobrazić jakieś życie, przerywane od czasu do czasu podobnemi zadatkami rozumu.

Oddano go pod opiekę „dyrektora", umieszczono zapewne u téj gospodyni, którą mimochodem wspomina, bo trudno przypuścić, aby mu ubogi ojciec dodawał szafarkę z domu, jak to Doświadczyńscy dla swego Mikołaja czynią. Dyrektor, p. Nadziejowski, był zapewne także tylko ubogim, starszym nieco studentem, który za parę złotych na kwartał przyjął Franciszka do grona chłopców, podległych jego opiece [1]. Przez jakiś czas przynajmniéj mieszkał Karpiński gdzieś obok kościoła kollegialnego, który dziś zowie się farnym. Miał okna zwrócone ku kracie grobowców i patrzéć na nie obawiał się przez czas długi, że go świeżo zmarły kolega odwiedzi, jak to sobie byli wzajemnie, i to w najuroczystszy sposób, zaprzysięgli. Z tego-to domu rzucał więc na ulicę grosze, przywiązane na białym włosieniu, i wciągał je dopiero oknem, kiedy się przechodzień po nie schylał. Ztamtąd uciekał do owéj dąbrowy, by żyć jak pustelnicy, zapewne do téj saméj, do któréj chodziło się lipową aleją na szkolne majówki, na rekreacye, gdzie się bito w palcaty [2]. Mógł więc widziéć z okna swego domu, jak w dzień zaduszny wynoszono z podziemia kollegiaty szkielety, przy których potém odbywało się kazanie [3]. W wielki piątek patrzał na procesyę, która biczując się obchodziła stacye na rynku; późniéj, pod wieczór wciągano słomianą figurę na wieżę, ukazywano ją z góry jako Judasza i rzucano pospólstwu na pastwę [4]. Czasem okropne widowisko gromadziło cały Stanisławów: ścinano jakiego złoczyńcę. Bajurak był pierwszym, na którego egzekucyę zaprowadził Karpińskiego ojciec. I stanąwszy z nim tuż obok miejsca, gdzie spełniano wyrok, przypomniał mu jeszcze ów zabrany przed laty scyzoryk.

Największe widowisko i najsilniejsze wrażenie sprawił Karpińskiemu obchód w rodzinie Potockich. Zobaczył on wtedy dużo wojska, które „w tamtym wieku, jak mówi, na koronacyach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach" widywano. Wystąpiło ono teraz z okazyi śmierci hetmana. Dnia 19 Maja 1751 r., umarł Józef Potocki, a 15 Sierpnia tegoż roku przywieziono ciało jego do Stanisławowa, gdzie, po olbrzymich przygotowaniach, mogło nareszcie ledz w familijnych grobach kollegiaty [5]) O pogrzebie, który wtedy wypra-

---

[1]) Por. Kitowicz „Opis obyczajów"... rozdz. II § 3.

[2]) X. S. Barącz, l. c. str. 152.

[3]) Tamże, str. 154, 155.

[4]) Tamże, str. 95, 95.

[5]) Por. u X. S. Barącza, l. c. str. 110—144: „Dyaryusz czterodniowego pogrzebu ś. p. imci pana Józefa z Potoka... na Stanisławowie... Potockiego..."

wiono, pozostała długo pamięć i doszły nas rozliczne relacye, a Karpiński wspomina o nim obszerniéj, niż o jakimkolwiek innym fakcie swego dzieciństwa. Rok był wtedy zaledwo upłynął od jego przybycia do Stanisławowa, czy też od wstąpienia do collegium. „Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki i prawdziwie podobnéj ludności to miasto i potém nie widziało i może widzieć nie będzie". Przybyło rzeczywiście siedmiu arcybiskupów i biskupów, siedmiuset księży zakonnych, nie licząc sufraganów i świeckiego duchowieństwa. Była to więc ogromna liczba, chociaż w téj epoce widywał Ochocki „na procesyach pogrzebowych po ośmiuset razem zakonników, a na Boże Ciało, przy biskupie celebrującym, po półtora tysiąca" [1]). Wśród licznego i wspaniałego zgromadzenia, na które zdziwionemi oczyma patrzał mały Karpiński, a w którém znalazła się i kasztelanowa kamieńska, Kossakowska, późniejsza dziedziczka Stanisławowa, przesuwali się ludzie, z którymi miał nasz poeta wejść w bliskie osobiste stosunki. Nie przypuszczał pewno wtedy, że w domu Bielskiego, łowczego nadwornego koronnego, będzie częstym i mile widywanym gościem, że pocznie sielanki układać dla siostry jego żony, a synowéj téj wojewodziny poznańskiéj, która także była obecna na pogrzebie. Wtedy bywał wprawdzie Jan Potocki u jego ojca, mieszkającego w Stanisławowie, czy może przybyłego tylko na pogrzeb, ale różnica pozycyi była zbyt wielka, aby to na pannę Maryannę Karpińską nie miało rzucić podejrzeń i plotek.

Dla nas nie jest cały ten obchód bez interesu. Widzieliśmy już, jaką musiała być atmosfera tego miasteczka, gdzie życie płynęło spokojnie, przerywane niekiedy religijnym obrzędem, pełnym grozy, lub fantastycznemi, dzikiemi zabawami tłumu, wieścią o nowym cudzie, dreszczem opowiadania o torturach i przerażeniem na widok egzekucyi. Opis pogrzebu przekonywa nas o artystyczném barbarzyństwie zakątka i epoki, w których Karpińskiemu spędzić młodość wypadło. Dokładny opis uroczystości, przechowany przez współczesny dyaryusz [2]), świadczy, jaki na pogrzebie, wyprawionym przez jedną z najpotężniejszych, a więc zdawałoby się i najświatlejszych rodzin kraju, panował barok w architekturze i dekoracyi, jaki barok literacki.

Cały kościół wybito karmazynowym adamaszkiem, wszelako w ten sposób, aby architektura głównéj nawy i kaplic nie ginęła pod draperyą. Pozostało nawet tyle poczucia smaku, że odznaczono gzymsy galonem i frędzlami. Pilastry pokryto oliwnemi lampami, które wraz

---

[1]) J. D. Ochocki, „Pamiętniki", tom I, str. 33.

[2]) Umieszczony w dziele X. S. Barącza.

z całą tą wspaniałością nie uszły ani uwagi młodego, ani pamięci starego Karpińskiego, tak, że się słowa pamiętników zgadzają się wyjątkowo z opisem dyaryusza. Całość dekoracyi musiała przypominać te ozdoby, makaty po ścianach, światła biegnące po łukach, któremi w dnie świąt uroczystych stroją do dziś dnia włoskie, a zwłaszcza rzymskie kościoły. Niéma w tém jeszcze żadnego wyraźniejszego symptomu upadku. Jest tylko owo zamiłowanie do przepychu, charakterystyczne w epoce, która prostoty i szlachetności linii odczuć już nie umie, gmachy swoje zbytkiem ornamentów, fałszywemi marmurami i złoconym gipsem przeciąża, a w poezyi buduje rada świątynie sławy z rubinów, szmaragdów i złota. Właściwy katafalk jest już natomiast czystém dziełem konceptu: przedstawia on fortecę z czterema bastyonami,—wszakże wojownikiem był umarły. Fortecę obito szafirową materyą w złote żyłki, bo takie były barwy na Pilawie. Na bastyonach posągi czterech Potockich, którzy byli hetmanami koronnymi. Pomiędzy nimi trumna ze wszystkiemi oznakami godności nieboszczyka. Ponad całym tym monumentem spuszczał się wielki namiot z karmazynowego aksamitu, upięty figurami aniołów i Famy z długiemi napisami w dłoni. Postacie, według pojęć ówczesnéj rzeźby, przechylone i sztuczne; napisy w barokowym, nakamiennym stylu. Jak we wszystkich świątyniach sławy, które się roją w wyobraźniach poetów ówczesnych, pełno po ścianach obrazów, opowiadających wielkie czyny zmarłego, albo przedstawiających portrety monarchów lub świętych, których jakaś panegiryczna genealogia zaliczyła do krewnych hetmana.

Jak na pogrzebie jego żony, tak i przy złożeniu zwłok Józefa Potockiego, trwała uroczystość całe cztery dni, zapełnione wręczaniem panegiryków, mowami i stypami. Ze stu dwudziestu armat wystrzelano wtedy cztery tysiące siedemset kamieni prochu [1]). Ostatniego dnia kruszono kopie i insygnia. Karpiński, który się już wtedy tą „uroczystością trupową“ zgorszyć umiał, opowiada ze zgrozą, jak pijani rycerze wpadali konno po drewnianym pomoście do kościoła i zwalali się z rumaków, rzucając strzały, łamiąc dzidy, buńczuki i sztandary. Dyaryusz wymienia znów między nimi dwóch późniejszych dobrych Karpińskiego znajomych: jednym był Potocki, starosta szczerzecki, który go potém w Wiedniu protegował, drugim Aleksander Roszczyc, towarzysz znaku pancernego wojewody kijowskiego. Za lat blisko jedenaście, po wielkim pogrzebie hetmana, kiedy się znowu szlachty i wojskowych trochę zjedzie, a nie będzie ko-

---

[1]) Baliński, „Starożytna Polska“. Tom II, str. 718.

mu nad trumną Roszczyca przemówić, znajdzie się student, Franciszek Karpiński, który go w imieniu przyjaciół i rodziny pożegna.

Bezbarwniejsza i mniéj efektowna od całéj téj dekoracyi kościoła była poezya, która towarzyszyła jego wyzłacanym postaciom. Collegium jezuickie wystąpiło z panegirykami, z których jeden, łaciński mieliśmy w ręku [1]). Po wierszu na herb Pilawę, po długiéj przedmowie do spadkobiercy, o którego tu podobno więcéj niż o zmarłego chodziło, następuje poemat, nawpół tylko dla nas zrozumiały. Nie jest on jeszcze właściwą pochwałą hetmana: ostatni jego dwuwiersz służy niejako za motto do całego prozaicznego dzieła. Wysnuwa się z niego ogromny penegiryk, jak kazanie z wiersza Ewangelii. Dwuwiersz zawiera jednak myśl niezbyt głęboką: „wielkim był w boju wojownikiem, wielkim w pokoju senatorem, ale największym był on swoją wiarą“ [2]). I ztąd trzy pochwały. Jedna prawi o zasługach wojennych, druga o pokojowych, trzecia o religijnych uczuciach hetmana. Ktoby na blisko stu stronicach broszury in-folio szukał wiadomości o życiu zmarłego, nicby tam prawie, prócz mitologicznych porównań, nie znalazł.

Autorem barbarzyńskiego dzieła był jednak jeden z tych Jezuitów, u których Karpiński pobierał nauki. Budzi się trudna do zaspokojenia ciekawość, czego się od nich mógł nauczyć.

Wiadomo, że celem wychowawczych usiłowań zakonu była już w w. XVI „pobożność wymowna i uczona“. Uczoność jéj upadała, ale rósł i potężniał atrybut drugi. Nauka nie mogła kwitnąć w szkołach, gdzie przestrzegano najpilniéj, aby się nic nowego do wykładu nie wkradło, gdzie już wola założyciela skazywała nauczycieli na rutynę [3]). Wybujała natomiast, zwłaszcza u nas, retoryka. Kitowicz zowie ją naiwnie „sztuką dobrze i *długo* w jakiéj materyi mówienia“ i dodaje: „co jako każdemu człowiekowi, w jakimkolwiek sposobie życia zostającemu, jest wielce potrzebne, tak też edukacya młodzieży szkolnéj to za najpierwszy cel miała i do niego wszystkie swoje usiłowa-

---

[1]) Luctus Multiplex /Ex unica jactura/ Viri toga, sago, religione /maximi/; celsissimi Domini, Domini /Josephi/ in Zbaraż & Niemirów /Potocki/...... Funebri ejusdem laudatione Nonnihil delinitus /a dolentissimo, gratisque sui Fundatoris devinctissimo/ collegio Stanislaopoliensi Societatis Jesu... 1751... Leopoli. (Folio, str. 84, nieliczb.).

[2]) Magnus erat sago bellator, pace senator, Maximus ille tamen religione fuit.

[3]) Por. F. Paulsen, Geschichte des gelehrten Unterrichts auf den deutschen Schulen und „Universitäten“. Leipzig. Veit & Comp. 1885. Str. 261—290, a zwłaszcza 285, 288.

nia zmierzała“ [1]). Przegadano téż u nas wielką część XVIII wieku i kiedy w całéj zachodniéj Europie świat się rwał do nowych myśli, do filozoficznych zagadnień i naukowych dociekań, albo w muzyce w Niemczech i Włoszech, w nieustannéj tradycyi rzeźby i malarstwa potrzeby i ideały swoje wypowiadał, wtedy była dla nas filozofią, poezyą i sztuką retoryka. Ssała siły żywotne narodu, rozdawała jedyne laury, o które po za wojennemi dbano jeszcze w szlacheckiém społeczeństwie. Nie myślimy bynajmniéj winić o to wyłącznie Jezuitów.

Łacina stanowiła podstawę nauki, zarówno u nich, jak i po innych szkołach. Nauczyli jéj Karpińskiego. Posiadamy list jego łaciński, pisany w 1801 r. w odpowiedzi na zawezwanie do akademii wileńskiéj na posadę sekretarza [2]). Jest to utwór wybornego łacinnika, posiadającego zupełną swobodę pióra i tę pewność ręki, któréj już i wdzięk stylu towarzyszyć może. Niéma podobno wśród polskich pism Karpińskiego kawałka równie dobréj prozy i przychodzi mi nieraz do głowy, że kiedy nie miał pisać wiązaną mową, myślał nasz poeta po łacinie. Pan Tretiak wspomina mimochodem o języku pamiętników „oszpeconym francuską składnią“ [3]), a my czujemy raczéj łacinę w toku okresów, a zwłaszcza w wyrażeniach i zwrotach, podobnie jak u Krasickiego, nawet w klasycznym Podstolim, tłómaczymy sobie nieraz mimowoli parę wyrazów na język francuski i tam dopiero bardziéj im swojsko ze sobą. W pamiętnikach zaś naszego poety jest zawsze niemal skłonność do wielkiego, cycerońskiego okresu, o którego początku, co prawda, zbyt często autor pod koniec zapomina. Powstają ciągłe anakoluty, ale zakrój jest łaciński. Nieustanne gromadzenie imiesłowów, strony biernéj, absolutnie używanych superlatywów przypominają łacinę. Kiedy powiada że „krzyżyk bursztynowy z szyi jéj śpiącéj odwiązał“, to czuć w tem zwrot „dormienti ei“; kiedy w najróżnorodniejszy, czasem dziwny sposób, przysłówka „tak“ używa, pytamy czy stoi zamiast „adeo“ lub „itaque“. O Józefie Ponińskim i żonie jego, w któréj się kochał, pisze: sam (ipse) był synem wojewody poznańskiego... Żona przy wzroście hożym, ciele najbielszém, twarzy nie wiele (haud multum) przyjemnéj, ręce najpiękniejszéj i z czytania ksiąg wiadomości niepospolitéj ustawicznie dysputować lubiła“. Jakby się to zdanie ze swemi superlatywami, z czasownikiem stojącym na końcu, dało z łatwością na łacinę przełożyć, i jak się te określenia pani Ponińskiéj proszą, aby je

---

1) „Opis obyczajów“... Rozdział II, § 3.
2) Przytacza go Korniłowicz, str. 50.
3) „Tydzień“ Lwowski z 11 Marca 1877, str. 420.

ablatiwem qualitatis wyrazić. W ostatniém dziele Karpińskiego nie brak także podobnych zwrotów; przytoczę tylko „brzegi łona arabskiego". Łaciński wyraz „sinus" oznacza bowiem raz „łono", raz „zatokę" [1]). Zbyt długi ten wywód ma tylko za cel dowieść, że w każdym razie wyniósł nasz poeta znajomość łaciny ze szkół jezuickich, że przeszła mu ona nawet niemal w krew i kości. Gramatyla Alvaresa, ów okrzyczany i rzeczywiście więcéj jeszcze od naszych podręczników na wyłączną pamięć a nie na pojęcie obliczony Alwar, wydał, jak prawie zawsze, pożądane skutki. Czego się po za łaciną nauczył, trudno oznaczyć. Wiemy już, że ojciec nie pozwalał na naukę francuskiego języka, który zarówno jak niemieczczyznę wykładano w Stanisławowie; obydwa te języki poznał jednakże nasz poeta, być może, że się jednego we Lwowie i u pani Ponińskiéj, drugiego w Wiedniu poduczył.

Karpiński należy do wyjątków śród wychowańców jezuickich, gdyż wspomina wprawdzie raz Alwara i rymuje z tym wyrazem „kara" ale nie narzeka ani na książkę, ani na szkoły. W ogóle wznosi się z pamiętników XVIII w., jeden krzyk oburzenia i zgrozy na wychowawczą metodę jezuitów. Wybicki, który dużo podróżował i miał ciekawość do nauki, twierdzi, że członkowie zakonu byli o wiele oświeceńsi za granicą, niż u nas, i że w Polsce musiała ich pedagogia najgorsze wydawać rezultaty. „Bałwochwalcami tylko dzikiego Alwara zostali, obciążając nasze głowy tą niezrozumiałą tajemnicą łaciny" [2]). A jak w szkole przygniatali umysł złą nauką, tak odbierali postępowaniem swém nieludzkiém wesołość, młodość, nawet konieczną do nauki swobodę. „Myśléć nie kazano"—mówi raz z goryczą, a innym razem woła jak istny syn XVIII-go w., chociaż bynajmniéj religii nie wrogi: „Trzeba było być koniecznie zimnym, ponurym, milczącym i, jak zwykle mnichy, aż do podłości pokornym" [3]). Bo to nie tylko ojcowie obchodzili się z chłopcem srogo, ale uciemiężali go dyrektorowie, ród niecywilizowany i ciemny. To téż wspomnienie szkolnych czasów przejmuje go ciągłą trwogą i oburzeniem.

---

[1]) Wypada jednakże nadmienić, że i u dawniejszych pisarzy spotykamy wyraz „łono" w znaczeniach widocznie od łacińskiego „sinus" zależnych. I tak używa go Piotr Kochanowski w znaczeniu fałdu na todze, poły; por. *Jerozolimę Wyzwoloną* pieśń II: „w lewém masz pokój, wojnę w prawém łonie", pieśń XI: „z ukasanego gęsty kamień łona na chrześciańskie rycerze ciskała". Nadaje mu téż znaczenie „zatoki". Czytamy np. w pieśni XVII (brzeg) „kryjąc w sobie okryte górami szerokie łono, port czyni przestrony"; w pieśni XVII: „jeden król z Ormus, miasta pięknem łonem Perskiego morza w koło obeszłego". P. także Linde pod wyrazem *łono*

[2]) Wybicki, „Pamiętniki", Poznań 1840, tom I, str. 7.

[3]) Tamże, str. 8, 10.

Dwudziestoletni przeszło, wsławiony swoim protestem, oddany wielkim sprawom i uczuciom, przejeżdża Wybicki przez Gdańsk i patrzy z rodzajem zgrozy na mury szkoły, do któréj chodził. „Wolałem, aby mi wróciły tyle lat straconych; żałowałem uczniów, których tam postrzegłem, iż, równie jak ja, nic, a przynajmniéj bardzo mało się w nich nauczą. Matka moja, postrzegłszy widoczne moje zamyślenie, z uśmiechem odezwała się: „Cóż to, mój Józefku, jeszcze się gniewasz na plagi?“—„Ach tak, kochana matko,— odpowiedziałem,—bo bito a nie uczono“ [1]). Adam Moszczeński, który mniéj więcéj w pięć lat po Karpińskim, bo w r. 1763 ukończył nauki, odbyte także w prowincyonalném collegium, w Poznaniu, nie świetniejsze zachował po Jezuitach wspomnienie. „Nic nie uczyli, oprócz reguł łacińskiego języka, w Alwarze, wierszem łacińskim ułożonych, których żaden z młodzieży rozumiéć nie mógł. Moralność ich i nauka zasadzała się na nabożeństwie, należącem do *sodalis marianus*, na przykładach życia świętych i ich cudach, wmawiając w każdego młodego, że uchybienie powołania do stanu jakiego gubi zbawienie duszy“ [2]). Dla uzupełnienia obrazu wszystkich ówczesnych szkół, nie tylko jezuickich, możemy jeszcze zapytać o zdanie księdza Michała Dymitra Krajewskiego, Pijara, który nam daje karykaturę stosunków szkolnych w powieści „Woyciech Zdarzyński“, tytułem i treścią przypominającéj Doświadczyńskiego [3]). Rzecz dzieje się w kolonii akademii krakowskiéj w Sączu, w fantastycznym zakładzie, o którym Łukaszewicz w swojéj Historyi szkół nie wspomina. Ponieważ jednak autorem jest Pijar, nie wiem, czy to nie na collegia jezuickie satyra. Jak bohater Krasickiego, opowiada nam sam Zdarzyński swe losy, jak dostał się w ręce dyrektora dziwaka, a ponieważ ojciec chciał, aby się uczył „konstrukcyi“, jak go umieszczono w sandeckim zakładzie. Trawi tam czas nadaremnie, „o to się najbardziéj starając, co było zamiarem uczących, abym cały Alwar umiał od karty do karty; jakoż w przeciągu lat sześciu tak dobrze go umiałem na pamięć, że, chociaż nie rozumiałem książek, ani mówiących, wszystkie jednak reguły umiałem doskonale“ [4]). Karpiński i całe współczesne mu generacye są dowodem, że można się jednak było czegoś z Alwara nauczyć, chociaż książka, ułożona w pamięciowe wzorki i wierszyki, jest rzeczywiście

---

[1]) Tamże, str. 163.

[2]) Por. Adam Moszczeński: „Pamiętnik do historyi polskiéj w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych St. Poniatowskiego“. Wydanie III, Poznań 1867, str. 41, 43.

[3]) W Warszawie 1785, u Grölla

[4]) Tamże, str. 6—14, 15.

dowodem smutnéj pedagogii. Zdarzyński nie czyta także Cycerona, bo łacina jego jest „bardzo niska w porównaniu do téj, którą w szkółach naszych pisano"; Karpiński wspomina natomiast, jak podczas majówek szkolnych, wdrapawszy się na drzewo, na jakiś dąb z bliskiéj Stanisławowa dąbrowy,

miał do grona
Jaką mowę z Cycerona [1]).

Ale kto wie, czy mu który z autorów pogrzebowego panegiryku na hetmana Potockiego nie kazał, jak Zdarzyńskiemu, układać łacińskim wierszem nagrobków, które z różnych stron czytane dają te same wyrazy? Czy go nie uczył wymowy z *Praeceptów*, „bo za moich czasów—mówi bohater ks. Krajewskiego,—pierwéj uczono dobrze mówić, niż dobrze myśléć" [2]); czy mu nie dawał panegiryków za wzory stylu wzniosłego i pełnego konceptu? Karpiński ogłosi potém rozprawkę „o wymowie w prozie albo wierszu", zarys retoryki i poetyki zarazem, i wspomni ze zwykłym spokojem i miarą o wybujałości mitologicznych obrazów, o całéj armii panegirycznych zwrotów i konceptów: „Zaszły śluby małżeństwa jakiego? już zaraz wszystkich bogów i boginie poeta w nikczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił; już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają i Merkury coś bredzi nie do rzeczy. Umarł kto? idą szeregiem Plutony, Prozerpiny, Parki. Wojskowy kto? już on Marsa i Bellony synem". A daléj rzuca Karpiński trafne i głębokie porównanie: „W tych i tym podobnych okolicznościach niedołężny poeta, taką erudycyą marne swoje dzieła napychając, robi podobnie do owego malarza, który, nie umiejąc odmalować Wenery pięknéj, odmalował ją bogato przystrojoną" [3]). Było to słowo potępienia na cały przepych pogrzebu hetmana i na całą poezyę, która wokoło niego za lat szkolnych rosła, na polskie wierszowane panegiryki Jana Chełmickiego, śpiewającego panów na Stanisławowie [4]), na łacińskie i polskie, poetyczne i prozaiczne elukubracye jezuitów. Rozprawka Karpińskiego wyszła w 1782 r., a w trzy lata potém kładzie ks. Krajewski w usta Zdarzyńskiemu następującą ironiczną uwagę, pierwszy znany nam sąd, publicznie wypowiedziany o naszym poecie: „ktokolwiek ma zapał z natury i łatwość wybicia się wysoko w myślach, nie cierpi tak szczupłych obrębów, jak je czytałem potém w uwagach nad wymową autora Zabawek wierszem i prozą" [5]).

---

1) Karpiński, str. 477.
2) Woyciech Zdarzyński, str. 18.
3) Karpiński, str. 760.
4) Por. X. S. Barącz, l. c., str. 157 i nast.
5) Woyciech Zdarzyński, str. 18.

Sam fakt, że dawno po zawiązaniu komisyi edukacyjnéj kreśli ks. Krajewski tak smutny obraz publicznego wychowania, dowodzi, że, mimo karykaturalnéj przesady opisu, potrzeba jeszcze było wtedy satyrycznych podjazdów na szkoły. W jezuickim zakładzie w Stanisławowie, między rokiem 1750 a 1760, nie świetne pewno były stosunki. Karpiński jednak—jak wiadomo—nie skarży się na nie. Zdarza się nieraz, że natury, bardzo dbałe o zupełną swobodę słowa i czynu, niezdolne poddać się przepisom ani władzom, znajdują za młodu zaspokojenie w emulacyi szkolnéj i podlegają chętnie systematowi, w którym jest otwarte dla ambicyi pole. Otóż na miłości własnéj opierała się cała pedagogiczna metoda jezuitów, a Karpiński miał dużo ambicyi i wielką łatwość do nauk. Odznaczał się téż w szkole, tém bardziéj, że miał pamięć wyborną, a przejmował się do tego stopnia szkolnemi obowiązkami, że zdarzało mu się zadaną lekcyę przez sen recytować. [1]) Znając emulacyjny system ówczesnego wychowania, musimy sobie wystawić, że dostępował kolejno wszystkich godności, któremi wynagradzano postępy i wzorowe zachowanie się studenta. Bywał zapewne dyktatorem, siadywał na osobnéj ławce, do któréj się profesorowie zwykli zwracać, kiedy chodziło o odpowiedź na jakie zawilsze pytanie, i obie połowy klasy, *pars romana* i *pars graeca*, ubiegały się o jego względy, skoro mu wolno było zasłużone osobiście pochwały jednéj połowie darować. Albo przesłuchywał może kolegów z zadanéj lekcyi, jako audytor, może z urzędu cenzora pilnował w klasie porządku. Sądzę, że musiało mu być wśród takich warunków życia spokojnie i dobrze, i że, kiedy wyszedł ze szkoły na świat i musiał sobie radzić w życiu, zdziwił się, że i tam pierwszéj nie odgrywa roli. Na akademii we Lwowie żył jeszcze podobnemi szkolnemi tryumfami, ale „świat większa szkoła, jak lwowska“, jak mu powtarzał opiekun i przyjaciel, Marcin Koziebrodzki. Całe życie przekonywać się musiał o téj prawdzie.

Przepędził zapewne w Stanisławowie blisko dziesięć lat, a opuścił go dla Lwowa prawdopodobnie w jesieni 1758 r. Nie wiemy dokładnie, kiedy przybył z Hołoskowa i jak długo „przywykać“ musiał do szkół, zanim do niższych klas się dostał. Zwały się one: *infima*, którą wtedy dzielono pewno na niższą i wyższą; *gramatyka* i *syntaxis*. Zadawano w nich po kolei ustępy z Alwara, czytając przy tém łatwiejszych autorów łacińskich. Bo o greckim języku nie słychać już wtedy prawie, jak w szkołach, tak i wśród kół oświeconych i literackich. Taki Krasicki czyta „nie doskonale“ po grecku. [2]) Na-

---

[1]) „Pamiętniki“, str. 1124.

[2]) Por. ustęp z listu, przytoczony w pracy J. I. Kraszewskiego „Krasicki. Życie i dzieła“ Warszawa, 1879, str. 298.

stąpiły potém klasy wyższe, z których pierwszą była *poësis*, gdzie, prócz wykładu metryki, zapoznawano uczniów z całym arsenałem poetycznych figur, mitologicznych porównań, potrzebnych łacińskiemu wierszopisowi. Nie wiemy, jakie były wobec wierszy polskich wymagania, ale kazano w każdym razie i po polsku je składać, Sam Karpiński opowiadał na starość, że miał lat czternaście, kiedy pierwszy swój wiersz polski na urząd napisał. Chodziło o podpis pod obraz: przedstawioną na nim była Matka Boska z Dzieciątkiem, sięgającém po lilię, którą św. Józef trzymał. I stary Karpiński powtarzał ze śmiechem dwuwiersz, nie bardzo zrozumiały:

„Spragnionego Baranka wypuść na pastwisko,
Józefie, do lilii nie daleko, blisko“ [1].

Po poetyce retoryka. Tam wykładano uczniom teoryę wymowy pomocnicze, historyczne wiadomości, wprawiając ich zarazem do mówienia publicznie. [2]) Karpiński układał więc pewnie oracye w rodzaju tych, które „kawalerowie akademii szlacheckiéj warszawskiéj“ pod kierunkiem Bohomolca pisali i które on potém ogłaszał drukiem. Mowy, w których dowodzono, że obrońcy oblężonego miasta mężniejsi są od dobywców—i na odwrót; mowy przeciwko żydom, albo za żydami. Karpiński pozostał dwa lata na retoryce, jak to było we zwyczaju u uczniów, mających zamiar iść na kurs filozoficzny i wstąpić do zakonu [3]). Namawiali go bowiem jezuici, aby do nich wstąpił, uznając w nim widocznie zdolności i przyszłość. Chociaż biedny, choć syn prostego szlachcica, wydać im się musiał Karpiński niezwyklejszą i godną współubiegania się osobistością. Zarzucano stale jezuitom chęć pozyskiwania sobie wybitniejszych indywiduów, powierzonych ich pieczy; być może, iż nadużywali wpływu, jaki im suknia duchowna dawała, ale trzeba być doprawdy bardzo stronniczym, aby w zasadzie jakiemukolwiek zgromadzeniu za złe poczytać, że zdolnych ludzi chce wcielić do siebie. I byłby się Karpiński dał pewno przekonać, gdyby go od stanowczego kroku nie powstrzymała miłość.

Tu musimy się z nim rozstać, tu kończą się lata jego dziecinne i szkolne. Uczucie, które nim t.raz owładnęło, nie potrafiło mu

---

[1]) „Znicz“, Noworocznik wydany przez Józefa Krzeczkowskiego. Wilno 1834, str. 178.

[2]) Por. Kitowicz, „Opis obyczajów“, Rozdział II, § 3 i Łukaszewicz, „Historya szkół“, tom I, str. 235 i nast.

[3]) „Pamiętniki“, str. 1126 „dwa roki odbyłem na retoryce“. Por. Łukaszewicz, l. c. str. 241.

wprawdzie nadać energii, siły i męskości, ale obudziło w nim, bądź co bądź, poetę. Łzy Maryi Broselówny nie bolały Karpińskiego dość silnie, aby się odważył iść z nią przez życie dobrą lub złą drogą, ale wzruszyły go o tyle, aby ją zaczął śpiewać. Zapragnął może — jak mówi francuski poeta—zamieniać te łzy szczere na perły.

Dr. K. M. Górski.

SREBRO, ZŁOTO.

Kiedy zboża łan zakwitnie,
Gdy zachrzęsną kłosy żytnie,
Kiedy w modrą, ranną ciszę
Pszenny dział się zakołysze,
Jako fala poruszona,
Od wygona do wygona,—
To ci duszę załaskota
Pobrzęk srebra, podźwięk złota.

Szmer a szmery... szum a szumy...
Ot i w oku cień zadumy,
Ot i piosnka gdzieś daleka
Echem goni, łzą ucieka...
Z polnéj gruszy kwiat opada,
Łan, jak żywy, z tobą gada,
Słuchasz, dumasz, jak sierota,
Wpośród tego srebra, złota.

Ziemia czarna, zima długa,
Pot zalewa grządziel pługa,

Ani widu, ani słychu,
Kto łeb skręci temu lichu.
Już, już myślisz: nie dośpieje!
Już ci wicher rwie nadzieję,
Już ci w duszę rozpacz miota
O te łany srebra, złota...

Alić oto z nową wiosną
Duch a siła w piersiach rosną,
Kiedy przejdzie się w zieleni
Majowego słonka ksieni,
Gdy się za nią śladem sunie
Smug za smugiem w nowém runie,
A z czarnego ziemi żebra
Tyle złota... tyle srebra!

Jużbyś nierad z tego łana,
Gdzie ci kwiecia po kolana,
Gdzie nad tobą ciszę trąca
Skowronkowa pieśń dzwoniąca;
Jużbyś tylko wodził okiem
Po tém polu, po szerokiém,
I wydyszał dech żywota
Pośród tego srebra, złota.

Aż do saméj, het, jesieni,
W oczach ci się zagon mieni.
Codzień na nim więcéj chleba,
Codzień kłosy bliższe nieba,
Codzień miedza ciaśniéj świta
Bławatami nawskroś żyta,
I mak ledwo się migota
Z pośród srebra, z pośród złota.

Aż gdy rankiem brzękną kosy,
Wyschną w słońcu łzy i rosy,

Przepogodny się błękitem
Dzień zaśmieje ponad żytem,—
Już ci serce z smutku wskrześnie,
Polem pójdą nowe pieśnie,
Już ukoi cię pieszczotą
Owo srebro, owo złoto.

Bogdajże mi takie drogi,
Takie drogi, taka zorza,
Coby wiodła w chaty progi,
Między pola, między zboża.
Bogdajże mi rannym świtem,
Gdzieś pod cichym stać błękitem
U własnego z chrustu płota,
Wśród naszego srebra, złota!

Marya Konopnicka.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„*Uwagi o wersyfikacyi polskiéj, jako przyczynek do metryki porównawczéj*“, skreślił **Michał Rowiński**. Warszawa 1891. Str. 152, III.

Pan M. Rowiński prawdziwie po męsku się zarekomendował w literaturze naszéj, pod skromnym bowiem napisem „Uwag o wersyfikacyi polskiéj“, dał nam prawie całkowitą monografię tego arcytrudnego i niedość zbadanego u nas przedmiotu.

W istocie, wierszowanie polskie, opracowywane jednostronnie w końcu XVIII i w pierwszéj ćwierci bieżącego wieku, następnie aż do ostatnich czasów nie miało poważniejszych uprawiaczy, t. j. właściwych specyalistów, we współczesném pojmowaniu tego wyrazu, a tymczasem nasza nauka językoznawstwa dopiero przed trzydziestu mniéj więcéj laty na poważniejsze europejskie tory wchodzić poczęła.

Nic przeto dziwnego, że badanie zjawisk wersyfikacyi polskiéj przedstawia nam poglądy zanadto spóźnione, albo jednostronne; nowsze zaś opracowywania uczonych naszych, jak: Kawczyńskiego, Bruchnalskiego, Ćwiklińskiego i innych, w ostatnich zaledwo latach przedsiębrane, są z dawniejszemi pracami niekiedy w zupełném przeciwieństwie, tak, że ostatecznie stoimy na rozdrożu naukowém: stare twierdzenia (w zasadniczych przynajmniéj kwestyach) obalono, nowych nie ustalono, a nawet nie skupiono, i wszelkie, najpoważniejsze nawet, w nowszym kierunku prace naukowe, w znacznéj części, po za zakres hypotetycznych twierdzeń wznieść się nie zdołały.

P. Rowiński tedy podejmuje piękne zadanie: wyjaśnienia kwestyi zawiłych w rytmice naszéj, wyjaśnienia hypotez i ustalenia tych przynajmniéj prawd, jakie przy obecnych warunkach ustalonemi być mogą. Praca to wielka, zmudna, ale *wdzięczna*; kładziemy nacisk na ostatnim wyrazie, bo p. M. R. nazbyt skromnie ocenia robotę swoją, mówiąc: „praca moja będzie w znacznym stopniu tylko odgłosem tego, co się robiło i robi gdzieindziéj, i sądzę, że jéj to nie będzie poczytywano za ujmę“ (str. 3). Lubo p. M. R. reformatorem rytmiki naszéj wcale nie jest i sam o tém w „Uwagach“ nadmienia, niemniéj przeto praca jego nie jest tylko „odgłosem tego, co się robiło gdzieindziéj“ ale znajdą się liczne ustępy, stanowiące przyczynek prawdziwie naukowy.

„Uwagi“ pana M. R. zawierają następne trzy części zasadnicze, które zarazem wyjaśniają i system układu całego dzieła: a) przegląd i ocena wszystkich prac dotychczasowych, znanych mu w literaturze naszéj; b) materyał porównawczy, w którym przebiega metrykę i rytmikę języków klasycznych, łaciny średniowiecznéj, ludów romańskich (franc., włosk. hiszp.), wersyfikacyę niemiecką i sławiańskich narodów (wielkoruską, małoruską, serbo-chorwacką, czeską i madżarską (?); część trzecią obejmuje wersyfikacya polska, stanowiąca istotę pracy autora, a w niéj zwłaszcza uwydatnia rozdziały, noszące napisy: „rytmiczność poezyi polskiéj“, „formy wiersza pol.“, oraz „kwestya swojskości wierszowania polskiego“.

Oczywiście, nie wszystkie ustępy autora „Uwag“ i nie wszystkie twierdzenia jego mają jednostajną wartość naukową: niektóre zdania są zbyt pobieżnie wypowiedziane, inne chwiejne, a są, wedle naszego widzenia rzeczy, i takie, na które zgodzić się trudno. Nie mogąc w tém miejscu wdawać się we wszystkie drobne szczegóły téj pracy, wspomnimy tu o niektórych przynajmniéj ważniejszych.

A najprzód co do literatury przedmiotu, to trudno zgodzić się na takie uszeregowanie pracowników naszych: 1) kierunek reformatorski, 2) szkolny i 3) historyczny, gdyż każdy nasz pracownik na polu wersyfikacyi był do pewnego stopnia *reformatorem*, o ile zmieniał, *reformował* stare twierdzenia, a uzasadniał swoje, nowe; nazwa „szkolny“ istoty rzeczy nie określa, bo szkoła i nauka szkolna nie jest czémś odrębném od nauki specyalnéj, usuwa tylko ona to, co jest hypotezą, a przyjmuje wszelkie istotne zdobycze naukowe, które stały się pewnikami. Sam p. M. R. przyznać się musiał do téj mojéj uwagi, skoro widział potrzebę w wielu ustępach pracy swojéj powoływać się lub obalać twierdzenia Cegielskiego i Małeckiego. Gorsze nad to jest jednostronne ocenienie, w pierwszéj grupie, znaczenia dzieła Królikowskiego: pan M. R. nic nie zwraca uwagi na muzykalną stronę

„Prozodyi“ Królikowskiego, tego najważniejszego u nas badacza, — a to nieuwzględnienie odczuwa czytelnik jego w dalszym toku myśli, bo badania muzykalności zupełnie pominięto. W części porównawczéj najlepiéj opracowano metrykę grecką i wersyfikacyę średniowieczną łacińską i niemiecką, pobieżniéj ludów romańskich i słowiańskich; ale zdziwiony czytelnik pyta się: co tu robi wersyfikacya węgierska, kiedy przecież język madżarów do grupy naszych języków nie należy i wywierać wpływu na polszczyznę na żaden sposób nie mógł, zwłaszcza, że on tu sprzężony u autora z językiem czeskim? Możeby natomiast przydało się na co zestawienie z językiem starolitewskim, jako zajmującym tak wybitne stanowisko w badaniach porównawczych naszéj grupy języków. Równie téż, z większém daleko prawem, niż to zrobił autor z językiem węgierskim, moglibyśmy żądać zasadniejszego wyjaśnienia wersyfikacyi białoruskiéj i małoruskiéj, bo oba te języki oddziaływały przecie, przez samo sąsiedztwo, na język polski. O białoruskim nawet wzmianki żadnéj niéma, a co się tyczy małoruskiego, to kilka tych ogólników, jakie czytamy w „Uwagach“ (str. 63) niczego wyjaśnić nie zdołają. Żałować należy, że pan M. R. nie skorzystał przynajmniéj z pracy Leonarda Sowińskiego, który w przedmowie do dokonanego przez się przekładu poezyi Tarasa Szewczenki rozwinął wcale dobry obraz niezmiernie bogatéj, urozmaiconéj i muzykalnéj rytmiki małoruskiéj [1]).

Co się tyczy wersyfikacyi polskiéj, zajmującéj resztę całego dzieła, od str. 68 do końca, to przedewszystkiém zaznaczyć powinniśmy, że trudno nam się zgodzić z autorem na plan i system jego pracy: podług naszego mniemania, p. M. R. powinien był ustępu „Polszczyzna jako materyał rytmiczny“, nie wciskać gdzieś do środka i nie opracowywać tak pobieżnie, ale postawić go na czele i, o ile możności, najgruntowniéj i najwszechstronniéj rozwinąć; z takiego dopiero wychodząc założenia, mógłby autor dojść do większych i istotniejszych zdobyczy naukowych, niż to zrobił w wydanym teraz swoim układzie dzieła. Uniknąłby obecnego, że tak powiem, monotonnego nurtu, w jakim popłynęły myśli jego. Autor w całém dziele swojém starannie bada jedynie tylko *samogłoski*, ich tonowanie silniejsze lub słabsze, ich następstwa i t. d., a nigdzie ani słówkiem nie nadmienia o *spółgłoskach*, których przecie z ustroju wyrazu wyrzucić nie można, bo one-to właśnie dają brzmieniom językowym (a więc i rytmicznym) bądź płynność, lekkość, bądź szorstkość, siłę i t. d., — a nawet może się nie omylimy, jeżeli powiemy, że nagromadzenie spółgłosek z téj

[1]) Taras Szewczenko, z dołączeniem przekładu „Hajdamaków“. Wilno. 1861, w drukarni A. H. Kirkowa.

czy owéj strony samogłoski wpływa w pewnéj, choć może bardzo nieznacznéj mierze, na iloczasowe wygłaszanie wyrazu.

W najważniejszéj kwestyi spornéj: mieliśmy, czy nie mieliśmy iloczasu w języku staropolskim? oraz czy dziś nie odczuwamy resztek tego dawnego bogactwa prozodyjnego? pan Rowiński poszedł za zdaniem Antoniego Semenowicza (Über die vermeintlich Quantität der Vocale in Altpolnischen) i stanowczo odrzuca istnienie jego. A praca p. Semenowicza tak wielką powagą dla nas nie jest, choćby z tego względu, że kiedy w innych naszéj grupy językach istnieje iloczas, to dla czegóżby u nas nie mógł mieć miejsca? a to tém bardziéj, że mamy przecie tyle naszych istotnych powag naukowych, które w istnienie to wierzą i starannie je badają. Z kwestyą iloczasu łączy się druga kwestya: ruchomości akcentu naszego. Jeszcze nikt nie dowiódł, żeby Polacy tak zawsze wymawiali wyrazy, jak dziś, z tonacyą na zgłosce przedostatniéj? przypuszczać owszem można, że z trzech wielkich grup etnograficznych polszczyzny — wielkopolskiéj, małopolskiéj i mazowieckiéj, dopiero ta ostatnia wpłynęła na unieruchomienie akcentu naszego. Liczne bardzo, do dziś dnia istniejące wyjątki, w których odstępujemy od ogólnych zasad przycisku na zgłosce przedostatniéj (niektóre z nich wylicza p. Jenike w pracy swojéj), myśl powyższą niebezzasadnie popierają. Obok tego może nie należałoby pogardzać i wygłaszaniem brzmień polskich na wschodnich krańcach mowy polskiéj: litewsko-białoruskich, ukraińsko-wołyńskich i czerwonoruskich. Jeżeli litwin powie: pr̆ę-dz̄éj, d̆a-w̄aj, ch̆o-dz̄i, jeżeli wołyniak czy czerwonorusin mymówi: ch̄od̆ził-ĕm, r̄ob̆ił-ĕm; to nazywamy to dzisiaj skażeniem poprawności wygłaszania polszczyzny, która się zrodziła pod wpływem miejscowych języków, białoruskiego i małoruskiego. Ale samo to uzdolnienie języka naszego do kładzenia akcentu na pierwszéj lub na ostatniéj zgłosce wyrazu daje już wiele do myślenia. Słowem, chcę przez to powiedzieć, że p. M. R. kwestyę iloczasu oraz ruchomości akcentu powinien był zostawić otwartą, jak ona jest w istocie.

Jeżeli wydane przez Bandtkiego dziełko „*Antiquissimus de orthographia polonica libellus*“, pochodzące z połowy XV w., nie przekonywa niedowiarków o istnieniu naówczas iloczasu, pomimo, że tam najwyraźniéj dzielą się samogłoski na *długie* i *krótkie*; jeżeli wreszcie nie przekonały i badania tylu uczonych lingwistów, którzy widzą resztki owego iloczasu w podwajaniu samogłosek w pisowni licznych pomników naszych staropolskich: to może dokładne zbadanie rytmiki ludowéj doprowadzi przecie do wyjaśnienia kwestyi,— wbrew bowiem twierdzeniu p. Kawczyńskiego, większość naszych badaczy jest przekonaną, że lud umiał po swojemu „samodzielnie“ tworzyć rytmikę,

nie zapożyczając wcale wzorców z wierszopisarstwa książkowego. Prawda ta do tego stopnia jest oczywistą, że i p. M. R., który na str. 113, 129, 130 i in. stanowczo obala istnienie iloczasu, jednakże niby dodatkowo wspomina o zjawiskach iloczasowych; obok tego przyznaje, że nie badał wcale rytmu ludowego, a jednak we wnioskach swoich ustępu „Kwestya swojskości wierszowania polskiego" (na nim się opiera, i to jeszcze tak bardzo stanowczo, mówi bowiem str. 124): „wersyfikacya polska ma cechę powszechności, czyli jest wspólnym dobytkiem całego narodu i *ludu*" (?). Co się tycze wierszowania kunsztownego, jakie spotykamy w literaturze, to autor miał prawo postawić wniosek „powszechności", bo liczne i pracowicie ugrupowane składa na to dowody; ale ani o ludzie, ani o ludowéj poezyi, a tém mniéj o rytmice ludowéj, ani słówka nie spotkałem w całém dziele. Sprawa więc ta pozostaje do załatwienia na przyszłość.

Następnie, wiadomo, że wiersz może być czytany, wygłaszany (deklamowany) oraz śpiewany. W każdéj z trzech postaci wiersz polski opiera się dzisiaj na akcencie, a jednak, któż nie wie, jak nieskończenie odmienne wywiera na nas wrażenie pierwsza, druga czy trzecia postać? Skąd to wszystko pochodzi? jaka jest w istocie dynamika języka, dotąd jeszcze niepochwytna, a przynajmniéj niezbadana, sprawiająca na nas tę odmienność wrażeń? Otóż, badacz rytmiki polskiéj ze wszystkich powyższych kwestyi zdać sprawę powinien, jeżeli nie chce być oschłym szperaczem, nurzającym się tylko w głoskach i zgłoskach, w akcentach i metrykach, z książek wyczytanych. A istoty tych i licznych subtelności wierszowanego słowa, w zastosowaniu do deklamacyi i śpiewu, zrozumiéć nie można bez znajomości *muzyki*. I dlatego-to powiedziałem wyżéj, że p. M. R. jednostronnie ocenia zasługi Królikowskiego.

Niezależnie od ustępu „O swojskości mowy", najwięcéj i najpracowiciéj autor zgromadził materyalu dowodowego w rozdziałach: „rytmiczność poezyi polskiéj" i „formy wiersza polskiego." Materyały te w znacznéj części wyjaśniają istotę wersyfikacyi polskiéj i badania jéj posuwają daléj; ale niekiedy, wskutek może niedokładności ułożenia planu dzieła, zarysowują rzecz trochę niejasno, tak, że zdawaćby się na pozór mogło, że autor jak gdyby stał w sprzeczności sam z sobą. Wyjaśniam tę moję uwagę.

Jeżeli zgadzamy się wszyscy, że w dzisiejszém stadyum języka polskiego nie może być mowy o metryce jego; jeżeli jedynie tylko tonowanie pewnych zgłosek jest podstawą naszego wierszowania: to zdawałoby się, że niéma żadnéj potrzeby nadmieniać o hegzametrach czy pentametrach. Nikt nie ma prawa posądzać Mickiewicza, że, pisząc ową znaną „Powieść wajdeloty", nie wiedział o powyższéj prawdzie?

Czy nie właściwiéj przypuścić, że genialny poeta nasz, na podstawie wyłącznie *akcentowania* zgłosek, probował zbudować wiersz, poważnym tokiem swoim przypominający uroczysty głos sześciomiaru greckiego? Toż samo stosuje się i do wszelkich innych „miar“, których układ nieco odpowiada potoczystości klasycznéj, t. j. trochaju, jambu, amfibrachu, daktylu, nawet anapestu, oraz grupom złożonym: daktylo-trochaicznym i anapestojambowym (—∪∪—∪, ∪∪—∪—). Nie potrzeba tylko niewłaściwego znaczenia przywiązywać do wyrazu „miarowy“: wiersz nasz zawsze będzie i musi być *tonicznym*, ale właśnie dlatego, że poeta zachowuje pewną harmonijność i jednostajność w odstępach zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych, czyż nie właściwie nazwać je „miarowemi“?

Pan M. R. podobno nie wierzy w budowę u nas takich wierszy, kiedy np. amfibrach (bez żadnych dowodów) podług niego zapożyczony ma być przez nas od niemców; kiedy nawet jamby polskie nie podobają mu się wcale i nie wierzy, by one stale w wierszu mogły być zachowywane? Oczywiście, że są jamby mniéj i więcéj harmonijne; dlaczegoż panu M. R. podobało się wybierać tylko pierwsze i wnioski z nich robić, stosując je do wszystkich poetów polskich? Jeżeli Julian Klaczko nieco złośliwie, ale nie bez pewnéj słuszności, nazwał Gladyatorów Lenartowicza „*rytmiczną dychawicą*“, to jeszcze stąd nie wypływa, żeby taki Asnyk, taki Ujejski, taki przedewszystkiém Mickiewicz (w wierszu „Słowiczku mój“) nie zdołali najharmonijniejszego, najlżejszego, a ze wszystkiemi zasadami rytmiki naszéj zgodnego zbudować jambu.

Obok tego, ponieważ z natury akcentu polskiego wypływa, że dwie zgłoski przyciskowe obok siebie stać nie mogą, stąd wynika, że w języku naszym, wbrew twierdzeniu Królikowskiego czy Muczkowskiego, nie mogą być budowane wiersze, nie tylko takie, jak spondej, ale wogólności takie, w których następuje zbieg dwu zgłosek przyciskowych, jak amfimacer (—∪—), albo antispastus (∪— —∪), o których zupełnie niepotrzebnie mówi pan Rowiński.

Inne twierdzenia, zawarte w nadmienionych rozdziałach, nie nastręczają mi żadnych uwag krytycznych, gdyż prawie wszystkie podzielać można,—a w nich to właśnie zawarta jest dodatnia strona pracy p. R. Przedewszystkiém podobało nam się wyjaśnienie znaczenia średniówki, obalenie zdania Cegielskiego, że wiersze krótsze niż 10-zgłoskowe średniówki nie miewają, udowodnienie, gdzie i jaka bywa średniówka w krótszych wierszach. Obecnie tedy sam termin „średniówki“ nie ma już prawa bytu, bo taki przestanek toniczny niezawsze bywa umieszczony w środku wiersza, a co najważniejsza— nie zawsze bywa jeden tylko przestanek.

Nadmieniamy w końcu, że w téj monografii o wersyfikacyi naszéj niemałą lukę stanowi przemilczenie zupełne o budowie zwrotek: mówić (i to tak wyczerpująco mówić) o budowie wiersza, a całkiem pominąć budowę strofek, jest to to samo, co w syntaktycznym ustroju języka mówić o zdaniach, a nie wspomnieć o grupowaniu tych zdań w większe całości logiczne, zwane okresami. Na str. 109 wymienia wprawdzie autor powody, usprawiedliwiać mające to pominięcie; ale w końcu sam przyznaje, że zbadanie wszystkich przekształtów zwrotkowych nie stanowi zbyt wielkiéj trudności. Kto tyle, co p. M. Rowiński, czasu i pracy włożył w te zmudne i subtelne badania, temu pomimowolnie przyjść musi ochota ostatecznego wykończenia swéj monografii. Po autorze „Uwag“ spodziewać się tego mamy niewątpliwe prawo.

Antoni Bądzkiewicz.

„*W wieku nerwowym*“ (moja spowiedź), powieść w dwóch tomach, oryginalnie napisał **Leo Belmont**.

Nietylko prawa i obyczaje, ale i literatura mocno się ostatniemi czasy zdemokratyzowała. Składa się na nią co rok w każdym kraju legion książek, które drukują przemysłowi nakładcy, które potem wtyka ludziom do ręki reklama i które się czyta po to dziś, żeby jutro już zapommiéć o tytule i o treści. Kto je pisze? Pytaćby trzeba raczéj, kto nie pisze. Z szarego tłumu podobnych do siebie ubiorem, myślami i nałogami jednostek, wyrasta równie szary tłum pism, podobnych z okładki i wątku. Nakładca wyławia towar swój gdzie się da, od kogo się da. Prasy drukarskie nie mogą próżnować, publiczność musi miéć zawsze świeżą strawę. Zdawałoby się, że przemysł księgarski znacznie więcéj rzuca na rynek utworów, a ciekawość publiczna znacznie ich więcéj co rok spożywa, niż społeczeństwo może wydać ze siebie talentu na to, żeby wszystkie były dobre.

Nie byłoby w tém nieszczęścia, pod warunkiem, że utrzyma się jakiś przyzwoity stosunek między liczbą dzieł, należących właściwie do przemysłu wydawniczego, a tych, które należą do literatury. Nie badaliśmy go statystycznie; ale wrażenie ogólne mamy takie, że zarówno u nas, jak gdzieindziéj, rezultat wypadłby smutny. Na setki tomów zaledwie kilka rocznie zasługuje na wyróżnienie, bądź treścią, bądź

formą. Wylew miernoty jest wszędzie nadzwyczajny. Że nie obywa się on bez złych następstw, rzecz pewna. Jako zjawisko, miał niezawodne swoje dostateczne przyczyny; jako przyczyna dalszych skutków, demoralizuje artystycznie i piszących, i czytających. W istocie, im więcéj się miernych książek pisze, tém bardziéj psuje się smak literacki publiczności, tém większa liczba ludzi bez talentu ma pokusę brania się do pióra, tém więcéj wreszcie ludzie utalentowani będą się zniżali do poziomu wymagań, nie mających nic wspólnego ze sztuką. Gdy się zdarzy młody talent, wystawiony jest na tysiące nieprzyjaznych wpływów. Silny przezwycięży je, ale siła jest zawsze wyjątkowym przywilejem. Słabszy, znalazłszy naokoło zamęt w pojęciach estetycznych, niedołęztwo w przeważnéj ilości dzieł, będących w obiegu, nie ma sposobu rozwinąć się do jakiéj takiéj miary. Błąka się w odmęcie, naśladując bez wyboru; schlebia instynktom tłumu lub „nosowi“ wydawcy, który zawsze wie, co „idzie“ w handlu, i który raz zamawia powieści wielotomowe, kiedyindziéj tylko nowelki, a i te znowu raz tylko smutne, kiedyindziéj tylko zabawne, raz tylko kawałki chłopskie, to znów tylko o żydach i t. d. W takich okolicznościach, zadatki zdolności mogą się marnować, jeśli były; ale nałóg pisania zostaje i obraca się, nieświadomie dla zawiedzionego, w narzędzie zemsty na innych, młodszych, którzy przyjdą i w tém samém bagnie ugrzęzną. Wykolejony będzie w nich szczepił toż samo niedołęztwo, jakie jego dotknęło. To téż sądzimy, że nie tyle jeszcze w braku talentów, ile w tém, że wszystkie nieco słabsze, zamiast się rozwijać, niedołężnieją do reszty w ogólnéj atmosferze miernoty literackiéj, szukać trzeba powodu, dlaczego tak rzadko zjawia się w obiegu książka świeża i oryginalna. Ale im trudniéj jest nawet zdolnym umysłom przebić się przez tę pajęczynę i nie zaplątać się w niéj, tém skwapliwiéj krytyka powinna im przychodzić z pomocą. Wiele ona zrobić nie może; tyle w jéj mocy leży, żeby wszelkie zadatki oryginalności uchwycić, podnieść i zachęcić. W zakresie tego, co jest w stanie sprawić krytyka, nic podobno tak źle nie oddziaływa na literaturę, jak koleżeńska wyrozumiałość dla banalności i szablonu. Przez taką wyrozumiałość niezawodnie ani jednemu kurczęciu literackiemu nie wyrosły orle skrzydła; za to niejeden młody orzełek mógł pod jéj wpływem utracić zdolność górnych lotów...

Mamy właśnie w ręku powieść, która zdaje się być dziełem młodego, świeżego i oryginalnego talentu. Tytuł: „W wieku nerwowym“, trącący oklepanką, pseudonym autora *Leo Belmont*, brzmiący z cudzoziemska i pretensyonalnie, jako znaki zewnętrzne, po których usiłujemy poznać, czy warto otworzyć książkę, usposabiają nas sceptycznie. Znowu nerwy i znowu jakiś aspirant do

wszechświatowéj sławy! Ponieważ wszystkim nam już nerwy, nerwowość, neurostenia, jako motyw literacki, miały czas zbrzydnąć, ponieważ nadto nie posiadamy naiwnéj wiary w czarodziejską moc kosmopolitycznie skrojonych pseudonymów, odsuwamy książkę. W téj chwili jednak wpada nam w oko nawias pod tytułem głównym, z wyrazami: „moja spowiedź.“ Spowiedź? Gdyby tak było w istocie, i gdyby jeszcze szczera spowiedź, mogłoby to być coś, choć nie nowego w formie, przecież ciekawego i godnego poznania. Zaczynamy czytać.

Jakiś student, po egzaminach z czwartego kursu medycyny, wysiada na stacyi kolei żelaznéj, skąd bryczką ma się udać do pobliskiego miasteczka celem spędzenia paru miesięcy na letniém mieszkaniu. Bohater jest zarazem osobą opowiadającą. Mówi nam trochę o sobie i o pobudkach swéj podróży. Jest ubogi, samotny, rozdrażniony, rozgoryczony, i ucieka z pośród kurzu i gwaru Warszawy, aby na łonie natury czytać ulubionych poetów i uczonych. „Nerwy się uspokoją, serce odżyje, umysł wykąpie się w krynicach mądrości.“ Wziąwszy furmankę, jedzie, po drodze gawędząc z woźnicą. Po przybyciu w czas jakiś do miasteczka, pije kawę, następnie przy pomocy faktora Jankla znajduje mieszkanie do wynajęcia.

Scena rozmowy z woźnicą trochę jak gdyby niezręcznie zrobiona. Ten chłopek coś zakrawa na literackiego manekina. Daléj sceny z gospodarzem hotelu i z faktorem Janklem także mają jakiś ton fałszywy, w dyalogu, jak gdyby źle zapamiętanym przez człowieka innéj sfery i powtórzonym z fałszowanemi rysami charakterystyki. Przy tém wszystkiém jednak spostrzegamy tu i owdzie pewną tęgość stylu, która nas zaczyna interesować, i za jéj pośrednictwem nawiązuje się między nami i autorem pierwsza niteczka sympatyi. Czytamy daléj i znajdujemy, że cała prawie książka napisana jest tym językiem twardym, jędrnym, męzkim, który w wielu miejscach stanowi istotną jéj ozdobę; że tu i owdzie ma sceny słabe, z pamięci mniéj trafnie robione, podobnie jak to było w pierwszym zaraz rozdziale. Ale nadto posiada niezwykły a prosty pomysł, który w rozwinięciu pozwolił autorowi wykazać znaczny zasób trafnych obserwacyi, niemałą plastykę w malowaniu głównych postaci i ujmującą nieraz subtelność w odtworzeniu tych procesów duchowych, z których się składa historya „mojéj spowiedzi.“ Temu pomysłowi i sposobowi jego rozwinięcia warto się przyjrzéć bliżéj.

Jerzy wynajmuje pokój, mający mu służyć za letnie mieszkanie, od pani Olszewskiéj, żony bardzo zdolnego uczonego, który jednak zwaryował i jest w szpitalu obłąkanych. Pani Olszewska ma córkę, Cezarynę. Młoda, piękna, z rozumnemi oczami brunetka, Cezaryna, po nieszczęściu, które spadło na ojca, wpadła w stan melancholii.

Wszystkie pojęcia jéj o tém, co słuszne i niesłuszne, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe, tak się powikłały, że nie może z niemi dojść do ładu. Dlaczego jéj ojciec zwaryował? Komu to było potrzebne i do czego? W milczeniu, bez ruchu dziewczę spędza dnie i tygodnie całe na rozmyślaniach, które ją pogrążają w coraz większy pessymizm.

Matka, kobieta prosta, widzi tylko, że dziecko jéj blednie, mizernieje, milczy i płacze. To ją naturalnie martwi. Dwie te istoty nie rozumieją się zresztą, bo stoją na różnym poziomie umysłowym. Olszewski, pochodzący z rodziny, usposobionéj do chorób nerwowych, ożenił się umyślnie z panienką, któréj największą w jego oczach zaletą było czerstwe i krzepkie zdrowie, nie chciał bowiem przekazywać potomstwu swoich chorych nerwów. Kiedy jednak urodziła im się córeczka, naprzekór zasadom, zaczął ją wychowywać na sawantkę. Ustawicznie z nią przestawał i forsownie ją kształcił. Kochał ją przytém bardzo. To téż, kiedy utracił zmysły, Cezaryna podwójnie odczuła cios; choroba zabrała jéj ojca, przyjaciela, kierownika, którego myślami myślała, którego sercem czuła. Życie jéj tak było z nim związane, że gdy odszedł, nie wiedziała co z niém zrobić. Była niby pnąca się roślina, któréj odjęto podpórkę i która, o własnéj sile stać nie nie mogąc, upadła na ziemię.

Jerzy o tém wszystkiém nic nie wie i, sprowadziwszy się do wynajętego lokalu, czyni powierzchowne obserwacye. Podoba mu się uprzejmość gospodyni; ale stokroć bardziéj jeszcze wielkie oczy jéj smutnéj, milczącéj córki. W parę dni atoli, Olszewska zwierza się lokatorowi ze swém nieszczęściem. Opowiada mu historyę swego zamążpójścia, stosunki rodzinne, chorobę i jéj materyalne i moralne dla siebie opłakane następstwa, prosząc, żeby, jeśli może, a może zapewne, boć przecie jest doktorem, starał się oddziałać na Cezarynę, ożywić ją. Jerzy jest do głębi wzruszony opowiadaniem. Postanawia użyć wszelkich środków, byle osuszyć łzy na tych wielkich, pięknych oczach, które po nocach płaczą nad swą niedolą.

Pierwsza rozmowa między dziewczyną i studentem sprawia na tym ostatnim korzystne dla jéj umysłu wrażenie. Wiersz Konopnickiéj „Senne róże, białe róże“ był im Galeotem. Mówiła smutnie, lecz jakże mile, o szczęściu i o tém, co za uczucie jest miłość. Co ważniejsza, wyznała, że czuje potrzebę rozmowy i obiecała mu przyszłe pogawędki. Lody stopniały. Nazajutrz idą oboje na spacer i Cezaryna, która długo, długo milczała i gryzła się nurtującemi ją posępnemi myślami, daje sobie teraz folgę, znalazłszy kogoś, o kim przypuszcza, że ją należycie zrozumie. Naokoło słońce, barwy, życie. Jerzy czuł się szczęśliwym przy boku téj towarzyszki i w otoczeniu przyrody, odmladzającéj swoją wiekuistą młodością, upajającéj swemi czarami.

To też kontrast był uderzający. Po co żyjemy?—mówiła Cezaryna—Po nic. „Po nic, nie przekonasz mnie pan. Przyszliśmy na świat, jakby złośliwą ręką wyrzuceni na bezludną wyspę. Natura dla nas się specyalnie nie stroiła, specyalnych celów dla nas nie wymyślała. Jak rozbitek, zaczęliśmy się rozglądać, bośmy żyli i przez inercyę chcieli żyć daléj. Szukaliśmy jadła... Praca nie była błogosławieństwem, a z czasem dla wielu stała się przekleństwem. Żyjemy, nie wiedzieć, po co,... żyjemy bo żyjemy, oto cel".—„Jak trująca woń, dotknęły mnie te słowa"—powiada Jerzy, który odczuł w nich nie rezonowanie niedoważonéj pensyonarki, ale szczerą prawdę uczucia, na którego gruncie zwątpienie to wyrosło. Przerażające odkrycie. „Ależ tak myśléć, to agonia moralna! To lepiéj skończyć samobójstwem odrazu".—„A pan sądzisz—odrzekła spokojnie—że ja o tém już nie myślałam?"—Jerzy drgnął.

Ta dziewczyna jest chora i trzeba ją ratować. W tym celu oczywiście należy najprzód przekonać ją, że taki pogląd na życie jest fałszywym, że pessymizm nie ma sensu. Jerzy wprawdzie sam bynajmniéj optymistą nie był, przeciwnie, oddawna nurtował go robak sceptycyzmu; ale tutaj nie chodzi o prawdę, chodzi o kuracyę. Jak lekarz, dla wmówienia dziecku gorzkiéj mikstury, zapewnia je, że jest dobra i słodka, tak Jerzy będzie argumentował za roskoszami życia, choć sam nie widzi jego celu i racyi, bo wie, że to dziecko przez swe zwątpienia obumiera. Na razie, przez instynktowy niejako odruch, zaprzeczył jéj desperackim zdaniom. Późniéj będzie dowodził ze świadomością celu, do jakiego dąży. I wytworzy się ztąd niezmiernie interesujący stosunek. Broniąc wartości życia, Jerzy oddziała korzystnie na Cezarynę, ale sam przedstawi jéj się zupełnie innym, niż jest w istocie. I właśnie w chwili, kiedy Cezaryna uwierzy, że on jest dzielny, silny, pewny, i wiary téj uczepi się wszystkiemi siłami swéj odrodzonéj duszy, niby zbawienia, Jerzy uczuje się tak znużonym coraz uciążliwszą dla siebie komedyą, że zacznie powoli zdzierać maskę ze swego duchowego oblicza i ukazywać je zakochanéj już Cezarynie ze wszystkiemi zmarszczkami, jakie wyżłobiła na niém wspólna im obojgu choroba.

Że dwoje młodych, po wielu samotnych przechadzkach, po wielu wspólnych wzruszeniach, po wielu rozmowach o najwyższych zagadkach bytu, uczuło ku sobie żywą sympatyę, jest aż nadto zrozumiałe. Umysły obojga nie są pospolite, wrażliwość obojga wielka, a przytém on był przystojny i pełen porywającego zapału, ona taka jakaś milutka, taka poważna i serdeczna zarazem, i z takiemi cudnemi oczyma. Prócz tego, gdy Cezaryna widziała w Jerzym swego moralnego odrodziciela, on miał w niéj świadectwo swego tryumfu, ponie-

waż tchnieniem swojém obumarłą już prawie, przywołał do życia. Cezaryna była wdzięczna, on był dumny. Znacznie mniéj warunków wystarcza do wykrzesania z dwóch młodych serc uczucia miłości, nic dziwnego tedy, że się pokochali. Ten okres rodzącéj się miłości, to niezawodnie najpiękniejsza chwila w ich życiu. Jeszcze sobie nic nie wyznali, ale dusze ich już się porozumiały. Cezaryna jest uleczoną, z twarzy jéj, tak jak z jego twarzy, promienieje szczęście. Chodzą po lesie swobodni, radośni, jak gdyby myśli ich nie dotykała nigdy „woń trująca“ rozpaczy o celu istnienia. „Tylko oczy nasze, spotykając się, pytały się czasami: rozumiesz dlaczego mi tak wesoło? Mam pewien sekret w sercu, którego ci teraz nie powiem, ale późniéj... późniéj, wygadam go z pewnością“. Przyszła nareszcie i ta chwila. W lesie, podczas burzy, drżąca z przerażenia Cezaryna rzuciła się ukochanemu na szyję. Był to zenit wschodzącéj gwiazdy szczęścia. Przeszedłszy go, zaczyna się ona opuszczać, zachodzić, tylko że teraz, w tym ruchu odwrotnym biegnie prędzéj, jak gdyby i jéj łatwiéj było opadać, niż iść w górę.

Jednocześnie prawie z wyznaniem miłosném dwojga kochanków zdarzył się wypadek, który najniespodziewaniéj miał odegrać fatalną rolę w ich losach. Na propozycyę młodego kuzyna Olszewskiéj i na prośbę jéj saméj oraz Cezaryny, Jerzy decyduje się jechać do miasta N., gdzie w szpitalu przebywa obłąkany Olszewski. Miała to być wycieczka dla poznania grodu; przy okazyi jednak Jerzy zabiera datek dla siostry Emilii, która pielęgnuje chorego, zobaczy się z nim samym, przekona się o stanie jego zdrowia i o wszystkiém tém zda relacyę. Aby się turyście w drodze nie nudziło i aby wreszcie miał o czém pomówić z Olszewskim, pani dała odjeżdżającemu znakomitą broszurę swego męża, p. t. „Z niewielu pierwiastków“, zawierającą z wielkim talentem i z ogromną uczonością przedstawiony obraz rozwoju świata. Przeczytawszy to dziełko, Jerzy powziął cześć dla potężnego umysłu autora. Wkrótce potém wszedł do gmachu szpitalnego i spotkał się z Olszewskim. To zetknięcie się tak nadzwyczajnie wstrząsnęło duszą Jerzego, że zdaje się, jak gdyby przeszedł przez nią uragan, po którym nie zostaje nic, prócz zniszczenia. Ażeby doniosłość tego wstrząśnienia należycie zrozumiéć, musimy się cofnąć o parę kroków wstecz.

Od samego początku stosunek Jerzego do Cezaryny wkładał na niego ciężar przymusu. Wynikało to z postawy „obowiązkowego optymisty“, którą przybrał dobrowolnie wprawdzie, ale nie z przekonania, lecz z pobudek całkiem ubocznych. Kiedy Cezaryna, pogrążając się w odmętach wątpień, zaprawiała słowa swoje goryczą, Jerzy widział, że ona myśli jego myślami, czuje jego czuciami, jeśli nie

temi, które najżywsze są w nim w téj chwili, to w każdym razie takiemi, które i jego umysł wzdłuż i wszerz zorały i zostawiły w nim niczém niezatarte ślady spustoszeń. Kiedy przekonywał ją o wartości życia, zaraz na początku „męczyła go paradoksalność własnych wywodów“. Fałszywa rola, w jaką popadł, stawałaby mu się z każdą chwilą uciążliwszą, gdyby nie wdanie się w tę sprawę serca. Jerzy zajął się Cezaryną, i rodzące się przywiązanie zagłuszało bunt spopielonych już głębin jego duszy przeciwko ciągłemu uśmiechowi na ustach. Cezaryna była w ustawicznym podziwie dla jego wymowy, dla jego rozumu. Łechtało to tak silnie jego próżność, a przestawanie z piękną dziewczyną tak mu było miłe, że z dwóch tych źródeł czerpał daleko większą przyjemność, niż było to udręczenie, które wynikało z przymusu. Prawda, że Cezaryna często mimowolnie przypominała mu jego fałszywą pozycyę, np. wówczas, kiedy z uwielbieniem chwaliła jego silne przekonania, jego pewność siebie, jego charakter których bynajmniéj w sobie nie czuł, a które zaledwie licho udawał. Ale przy postępującém zbliżaniu się do siebie dwóch serc, były to zaledwie krótkie momenty. Nie uszło uwagi Jerzego i to, że Cezaryna stawala się względem niego coraz bezkrytyczniejszą. Wszakże ile miłość własna traciła przez to na wartości pochwał, tyle zyskiwała z przeświadczenia, że zaślepia dziewczynę rosnące uczucie które jest nowym jego tryumfem. Uzdrowił ją moralnie i rozkochał w sobie. Kiedy się dwa tak wielkie dzieła dokonywa, można zapomniéć o wszystkiém inném, zwłaszcza przy żywém zainteresowaniu się osobą leczoną i kochającą. Ale co będzie w chwili, gdy się już dzieła dokona? Chwila taka nastała właśnie, kiedy zamaskowany Jerzy i uzdrowiona Cezaryna powiedzieli sobie, że się kochają.

Gdyby Jerzy był zwykłym młodym i zdrowym chłopcem, jakich, na szczęście, nawet w tym tak zwanym wieku „nerwowym“ nie brakuje, chłopcem z nerwami jak z drutu, z wiarą w przyszłość i zapałem do pracy, ożeniłby się z Cezaryną i zaczęliby najspokojniéj wspólny żywot pędzić. Ale Jerzy ma duszę skomplikowaną. „Wielkie serca są jak ule zbyt wielkie“, mówi poeta. Serce Jerzego nie jest wielkie, jest jednak wypróchniałe w środku; robactwo się w niém gnieździ. Kiedy przestał potrzebować maski, bądź dla „leczenia“ Cezaryny, bądź dla wzbudzania w niéj miłości; kiedy już chciała żyć i gotowa mu się była oddać na zawsze,—udawanie staje się nadal dla Jerzego niepodobieństwem. Z początku było zabawką naturalną i miłą; bo prowadziło do wrażeń „nowych“, których nadewszystko łakną filozofujące samoluby. W miarę jednak, jak wrażenia, już poznane, przestawały być nowemi, zabawka traciła wdzięk i przestawała bawić. Teraz już on wie wszystko, już widział, jak zranione

serce młodéj panienki wraca do zdrowia, już zna czar jéj pocałunku; wyczuł wszystko, co dać może miłość takiego, jak Cezaryna, dziewczęcia. Z natury rzeczy musiała się teraz rozpocząć reakcya, otwierająca nową fazę w ich stosunku. Można być pewnym, że im dłużéjby się Jerzy przymuszał do grania komedyi z tych lub z innych powodów, tém gwałtowniéj, tém brutalniéj w końcu przerzuciłby się w drugą ostateczność, w posępną prawdę zwątpienia i niesmaku. Zwrot ten nastąpił bardzo prędko, ale, na nieszczęście dla Cezaryny, przybrał pomimo to formy brutalne, wskutku przypadkowéj zgoła okoliczności.

Przeszedłszy cały szereg sal i kurytarzy szpitalnych, Jerzy z kuzyzem Olszewskiéj, Michasiem, stanęli w ogrodzie, gdzie miał być obłąkany. Wskazano go im. Stał nieruchomie, zwrócony twarzą do ściany. Zbliżył się do niego dozorca. Olszewski opierał się, więc posługacz porwał go przemocą i szamocącego się zaczął prowadzić ku przybyłym. „Przeszedł mnie zimny dreszcz. Oparłem się o drzewo i przymknąłem oczy. I oto wydało mi się, że widzę jeden z kręgów dantejskiego piekła, do którego złośliwy jakiś duch wtrąca tych, którzy mają odwagę myśléć i czuć. Krążą tłumy poetów, uczonych, artystów, a zgraja ciemnych pachołków ugania się za nimi i smaga ich, tnie, bez litości chłoszcze, aby zdławić w nich wolną myśl i uczucie, ogłupić dusze, a ciała zmienić w nędzarzy“. Przyprowadzono szaleńca, i Jerzy otworzył oczy. Stał przed nim „Hiob nad Hiobami“. „Przerażająco chudy: wąski szlafrok przestronnie opadał na nim. Twarz, nie, to nie była twarz, ta głowa była raczéj glinianą niewielką bryłką, zawalaną błotem ogrodu; żółte, głęboko wpadnięte policzki, uwydatniające grube twarzowe kości, jak w czaszce szkieletu, maleńkie zaropiałe oczy, szaréj mętnéj barwy, bez żadnego blasku, bez śladu iskry, coś, od czego promień słońca odbijał się chyba bez wrażenia światła; miasto ust rodzaj czarnéj jamy, w któréj sterczały dwa przerywane rzędy długich, żółtych zębów; śpiczasty nos i podbródek, oraz resztka rzadkich włosów na opalonéj głowie dopełniały całości téj fizyognomii, na któréj, zda się, nie było już żadnego rysu człowieczeństwa“. Ręce miał w skórzanych rękawicach skrępowane „ze względu na nałóg, nader częsty u obłąkanych“, ciało brudne, na ustach pianę.

„I to był Olszewski, uczony autor i profesor, twórca głębokich i świetnych pomysłów, szlachetny człowiek, prawy obywatel, najzacniejszy mąż, rozumny i tkliwy ojciec mojéj ukochanéj!... Śmierć jest mniéj nielitościwą... zmienia strasznie, ale pozwala zakryć twarz całunem; obłąkanie wystawia swoją ohydę na widok publiczny!“

„Biedny szaleniec stał jak pień przed nami, w tém miejscu, gdzie go ustawił dozorca. Michaś probował do niego przemówić: „Czy mnie wuj poznaje?“ Żadnéj odpowiedzi. „Cedzia kazała wuja uściskać“. Ani śladu wrażenia. Zaledwie bezmyślne szare oczki, ociekłe zielonawą ropą, zabłądziły w stronę mówiącego. Zbliżyłem się doń i miękkim głosem zacząłem: „Panie Olszewski...“ Tu najniespodziewaniéj w świecie waryat przemówił: „A czy widziałeś pan moje obrazy?“ Głos, który to wyrzekł, był jak gdyby stęchły; dźwięków raczéj domyślać się można było, niż się je słyszało. „Czytałem pańskie dzieła chemiczne...“ To samo bezmyślne spojrzenie. Chory chwieje się na nogach, jakby nie mogąc się utrzymać. Z ust jego wydostaje się nagle jakby jakieś rżenie, w którém słyszysz, zda się, jęk strachu... Oto i wszystko“.

Jerzy zapytał zakonnicy, co będzie z chorym. Odpowiedziała, że niewiele mu się należy. Wyszli.

Wszystkie męty duszy Jerzego wydobywają się teraz na powierzchnię. W umyśle jego zaczyna się szalone kołowanie trujących, zabójczych myśli, niby taniec upiorów, zbudzonych przez widzenia szpitalne. Życie, ludzkość, miłość, Cezaryna, to są teraz niby złowrogie siły, których przeznaczeniem boleśnie szarpać jego nerwami. Dotknąwszy się zbliska nieszczęścia w całéj jego przerażającéj ohydzie, nerwowy egoista jest nietylko wzburzony, ale oburzony. Nie współczucie, lecz gniew zaczyna nim miotać, wynosząc nad wszystkie inne chęci jedyną chęć wydobycia się z tego kręgu ziemskiego piekła, w jaki przypadkowo wstąpił. Destrukcyjny wysiłek myśli burzy teraz jednym zamachem to, co było do zburzenia. Nigdy nie kochał Cezaryny, kłamał przed nią wszystko, nawet miłość. Teraz już on nie chce szczęścia, nie chce miłości, niczego nie chce, chyba spokoju, Nirwany, niebytu. Odepchnąłby od siebie wszelkie wrażenia i wszelkie źródła wrażeń, i uciekłby gdzieś, gdzie się nic nie czuje, nikogo nie widzi. Atoli Jerzy nie ma w swéj naturze nic demonicznego i nie zdobędzie się na to, żeby w tragicznéj sytuacyi pokazać się czémś więcéj, niż filistrem. Spostrzegłszy zaszłą w sobie zmianę co do Cezaryny, zlęknie się, czy nie popełnił podłostki, będzie się sam przed sobą usprawiedliwiał, będzie oskarżał zbieg okoliczności i Cezarynę. Wróciwszy z nieszczęśliwéj wycieczki, zrobi jéj jeszcze przykrą scenę, w któréj z najnędzniejszéj strony zarysuje się jego charakter i delikatność uczuć; potém pogodzi się z nią, potém przez czas jakiś będzie się jeszcze bawił w złowrogą sielankę, obnażając przed nią wszystkie otwarte rany swéj owrzodzonéj duszy, potém nareszcie, kiedy i w tém się już wyczerpie i kiedy sprawi jéj tysiące najboleśniejszych udręczeń, jakich tylko szlachetne, wzniosłe i ko-

chające serce wrażliwéj kobiety doznać może przez rozczarowanie, w nocy, jak złoczyńca, potajemnie ucieknie, pilnie wprzód spakowawszy rzeczy w kuferek i zostawiwszy na stole list do Cezaryny, w którym oświadcza, że jest podły, że nie byłaby z nim szczęśliwą, a przytém jeszcze ślamazarnie prosi, aby niekiedy o nim wspominała, bo on ją będzie wiecznie kochał...

Taka jest spowiedź Jerzego. Jako utwór literacki posiada wadę zbytniéj rozwlekłości. Zanadto szczegółowo opowiada nam bohater swoje rozmowy z Cezaryną, zbyt starannie gromadzi wszystkie najdrobniejsze momenty swoich własnych i jéj wzruszeń. Przeplatana jest przytém scenami epizodycznemi mniejszéj wartości. W całości jednak pokazuje nam sytuacyę interesującą, trafnie uchwyconą i doskonale odczutą. Jerzy wprawdzie za wiele peroruje, często bardzo dając „sieczkę“ zamiast mądrości. Ale ani na chwilę nie przestaje być szczerym, ani na chwilę nie przestaje na nas robić wrażenia człowieka, który opowiada to, co rzeczywiście przeżył i przebolał. Jako postać, kwalifikuje się Jerzy do tego cyklu bohaterów, do którego należą „Disciple“ Bourgeta, „Hrabia August“ Mańkowskiego, „Płoszowski“. Jest do nich wszystkich pod pewnym względem podobny, jako dziecię i ofiara autoanalizy, jako nerwowy egoista bez zasad moralnych i charakteru. Posiada wszakże coś własnego, co go od nich wyróżnia, to jest młodość. I „Uczeń“ Bourgeta jest młody, ale tam wiemy o tém raczéj, niż to czujemy, tam całe jestestwo człowieka skupia się w głowie, w spekulacyach filozofującéj myśli. Jerzy—to rzeczywisty młodzieniec; „jad trujący“ dotknął się jego młodéj duszy, lecz właśnie dlatego poznajemy w nim duszę młodą i zatrutą. Ma on swe zwątpienia, ale ma i porywy; jest sceptykiem i poetą; można w nim znaléźć wszystkie pierwiastki złego i dobrego, zmieszane w takiéj proporcyi, że jedne nie przeważają drugich, zdaje nam się jednak niekiedy, że dobre jeszcze mogłyby przeważyć, że starczyłoby mu jeszcze sił do walki, do kochania ludzi, do poświęceń. W sceptycyźmie swoim Jerzy niezawodnie prędko się zestarzeje; kiedy zawieramy z nim znajomość, jeszcze to nie nastąpiło. Jeszcze mamy do czynienia z młodością, która czasami usiłuje wzlatywać nad poziomy, a że jéj się to źle udaje, to także nie wina braku skrzydeł, ale tego, że owe skrzydła są przez zgubne wpływy umysłowe związane.

Zresztą, nie było, zdaje się, zadaniem autora pokazanie nam nieznanego dotąd typu, ale postawienie typu, który już z wielu stron mieliśmy sposobność dawniéj poznać, w nowych warunkach. Pod tym względem pomysł utworu odznacza się świeżością i wdziękiem. Całe to przejście, na jakie wystawieni zostali Jerzy i Cezaryna, to jedna

z najciekawszych psychologicznych fantazyi w bieżącéj literaturze powieściowéj. Sceptyk i egoista udaje z najczystszych pobudek człowieka zasad i charakteru, lecz właśnie dlatego, że mu zasad i charakteru brak, że co chciał zrobić dobrego, chciał z przypadku, od złego zaś, które robi, uchronić siebie i innych nie miał dość siły, ani siły uczucia, które na jałowéj glebie zwątpień nie wyrasta nigdy bujnie, ani siły woli, ani wszelkiéj innéj siły moralnéj,—właśnie dla tego sprowadza nieszczęście na siebie i na Cezarynę. Na nią nawet większe, niż na siebie. W jego życiu spotkanie się z Cezaryną było smutnym, ale interesującym epizodem, po którym, gdy przeminął, zostaną mu wspomnienia, złożone w równéj mierze z wrażeń przykrych i przyjemnych. Na końcu wyszedł z przygody, jak karzeł, ale na początku wyglądał, jak olbrzym. Cezaryna rozczarowała się, ale przedtém pokochała go. Dla zimnéj, egoistycznéj duszy wrażliwego samoluba, myśl o téj wspaniałéj pozie, jaką przybrał, i o tym tryumfie, jaki odniósł, będzie wystarczającą kompensatą za opłakane skutki późniejszego zejścia z koturnów i zdjęcia maski. Była to niezawodnie jedna z tych „chwilek“ pełnych sensacyi, o których mówił kiedyś Cezarynie, że dla nich samych warto żyć, bo się w nich potężnie odczuwa, mniejsza zresztą co, zło czy dobro. Cezaryna tymczasem stawiała w téj grze na kartę grubą stawkę—serce. Stawiała je, bo je miała. Nie dano jéj było wygrać. Cezaryna pod względem charakteru stanowi zupełny z Jerzym kontrast. Sam on zauważył w niéj „nadczułość moralną“; w nim mamy raczéj moralną atrofię. Dwa razy upada Cezaryna pod ciosami, które w nią godzą, i dwa razy się podnosi. Początkowy jéj pessymizm, to są jęki rozpaczy po stracie ojca, nie zaś rozkład moralny. Miłość przywraca jéj równowagę, jak słońce przywraca kształt kwiatom, które się pod wieczór niby z bólu skurczyły i pozwijały. Teraz Cezaryna znowu jest zdolną do życia, do pracy, do ofiar. Zaledwie jednak dotknęły ją promienie słońca, znowu przyszła noc, jeszcze czarniejsza od poprzedniéj. Ideał prysnął jéj w oczach. Przekonywa się, że człowiek, którego pokochała, w którego uwierzyła, był nędznym komedyantem. Jakim sposobem zniosła ten drugi straszny cios? Bo skoro wszystko zawodzi, skoro nietylko prawa natury są okrutne, ale i człowiek istotą godną pogardy, ufne a delikatne serce wobec tak okropnych odkryć bić przestaje, drętwieje. Cezaryna niezawodnie cierpi bardzo. Należy ona jednak do istot, dla których cierpienia są szkołą życia, a nie narzędziem śmierci. Gdy w nią pierwsze nieszczęście trafiło, zachwiała się: wobec drugiego znajduje już w sobie rezygnacyę, siłę i spokój. Cierpi, i cóż z tego? Wszyscy cierpią. Cierpienie widać jest prawem życia. Obowiązkiem człowieka nie-

szczęśliwego jest nie narzekać, nie rozpaczać, rąk nie opuszczać, ale znosząc mężnie ból własny, starać się o ulgę bólu dla innych, jeszcze od nas nieszczęśliwszych. Cezaryna nietylko nie robi wyrzutów Jerzemu, ale oszczędza go. Wobec rozpaczliwego paroksyzmu, w jaki popadł w ostatnich chwilach ich stosunku pod wpływem niepewności, co począć, i pod wpływem instynktownie odczuwanych wyrzutów sumienia za sprawione jéj udręczenie,—ona myśli już tylko o oszczędzeniu mu przykrości, o tém, że on sam cierpi także i ile cierpi, że jest nieszczęśliwy i godzien współczucia. Kiedy zaś ten ukochany po tchórzowsku w nocy ucieknie, Cezaryua odchoruje to wprawdzie śmiertelnie, ale gdy wstanie z łóżka, nie będzie bluźniła, nie będzie się drapowała na heroinę, na ofiarę losów i ludzi, nie będzie grzebała w ranach serca, stwarzając sobie sentymentalnie gorzką poezyę wspomnień, lecz zostanie siostrą miłosierdzia i poświęci się pielęgnowaniu obłąkanych.

Cezaryna należy niezawodnie do najmilszych postaci niewieścich, jakie się ostatniemi czasy ukazały w powieści, zarówno naszéj, jak obcéj. Dodajmy, że jest téż najlepiéj, najsubtelniéj opracowana ze wszystkich figur, które w tym utworze występują. W cieniowaniu jéj wzruszeń—jéj jednéj—zachował autor i prawdę, i miarę. Tak wówczas, kiedy rozpacza, jak kiedy zaczyna kochać i kiedy powtórnie wpada w zastawione na nią sidła losów, nie przestaje nigdy być teką, jak sobie wyobrażamy, że być powinna. Wrażenie, jakie sprawia, powiększa się przez to, że się do wdzięku saméj postaci, jak została pojętą, dołącza wdzięk roboty literackiéj. Pełno tu miękkich, delikatnych dotknięć i rysów, trafnie dopatrzonych.

Pomijamy bliższe ich wyszczególnienie. Pomijamy także pozostałą resztę figur, oraz różne drobne błędy i zalety w charakterystyce, w języku, w budowie całości, których oczywiście możnaby ułożyć cały szereg. I tak już rozpisaliśmy się długo. Jeśli ktoś powie, że zadługo, jak na utwór, nie mogący rościć pretensyi do najwyższych w hierarchii literackiéj stanowisk, nie będę zaprzeczał; w każdym razie, sądzę, że nie za krótko, żeby dać poznać czytelnikowi, iż ma tu do czynienia z prawdziwym, zdrowym i sympatycznym talentem, który szczęśliwie i obiecująco zadebiutował. Przyniósł nam dobry pomysł, trafną analizę wzruszeń, dobrą charakterystykę postaci, język, nie wolny wprawdzie niekiedy od obcych naleciałości, ale wogóle jędrny i tęgi. Pamiętając o zasadzie, że dzieło jest dobre nie przez brak wad, ale przez obecność zalet, powiadam, że to, pomimo wad, jest dobre, bo ma zalety. Wady, jakieby zanotować można, są tu wszystkie znakiem niedoświadczenia i niewyrobienia literackiego, nie zaś jakichś organicznych braków w zdolności pisar-

skiéj. Z czasem autor zapewne otrząśnie się z niepotrzebnéj gadatliwości, z posługiwania się konwencyonalnemi formułkami literackiemi w razach, kiedy mu nie dopisuje pamięć lub intuicya, i z innych tym podobnych grzechów. Ważniejsze jest, bądź co bądź, to, że ma talent, niż to, że go jeszcze należycie nie wykształcił. Przyjdzie pora i na wykształcenie. Co się mnie tycze jednak, jeślibym miał dawać autorowi radę na przyszłość, dotyczyłaby ona nie kształcenia talentu, ale czego innego. Powiedziałbym mu przedewszystkiém, jemu i każdemu wogóle młodemu pisarzowi: szanuj swój talent. Reszta sama się znajdzie.

J. Gadomski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Bohaterowie wielkości niemieckiéj, twórcy cesarstwa i dzisiejszéj jego potęgi, przenoszą się jeden po drugim do wieczności. Upłynęło lat dwadzieścia od ostatniéj zwycięzkiéj wojny, która obaliła Napoleonidów, a włożyła koronę cesarską na głowę Hohenzollerna. Przez ciąg ich wyrosło i staje dziś pod bronią nowe pokolenie ludzi. Wielcy wodzowie, którzy hetmanili narodowi niemieckiemu i jego armiom w zwycięskich kampaniach politycznych i wojskowych, schodzą także z pola, ustępując miejsca młodszym następcom. Zmarł cesarz Wilhelm i cesarz Fryderyk, po nich przyszła koléj na Moltkego. Syt sławy i wieku, znakomity generał-feldmarszałek armii niemieckiéj, przeżywszy lat dziewięćdziesiąt i jeden, rozstał się z tym światem.

Kiedy starzec blisko stoletni umiera, mniejby się może temu dziwić należało, niż temu, że żył tak długo. Ale jakkolwiek spodziewana, śmierć człowieka, którego imię zapisało się wyraźnie na kartach historyi, zostawia zawsze wrażenie próżni. Wiemy, co było przy nim; nie wiemy, co będzie po nim. Talenta Moltkego starczyły za armię, to też na wiadomość o jego zgonie cesarz Wilhelm powiedział, że zdaje mu się, jak gdyby utracił armię. Żołnierze opłakują w nim wielkiego wodza, który pewnemi drogami prowadził ich do zwycięztwa, naród niemiecki—zasłużonego patryotę, który się potężnie do zbudowania cesarstwa przyczynił; wszystkie stany i wszystkie narody złożyły na mogile nieboszczyka hołd, należny człowiekowi, który

umiał być nietylko szczęśliwym, ale i prawym, nietylko głośnym i sławnym, ale i skromnym. W tym ostatnim względzie Moltke stanowił rażące przeciwieństwo wielu swoich współczesnych. Całą karyerę swoją, tak świetną, że wystarczyłaby na obdzielenie wawrzynami kilku wodzów, uważał po prostu za spełnienie bezpośredniego obowiązku. „Nienawidzę uwielbień, których jestem przedmiotem — pisał o sobie.—Kiedy je słyszę, nie mogę się opędzić myśli, coby mówiono, gdyby powodzenie nie uwieńczyło moich przedsięwzięć? Te niezasłużone pochwały czy nie zmieniłyby się wówczas w niesprawiedliwe krytyki i niedorzeczne nagany?" Słowa, godne filozofa, ale jak gdyby pochodzące nie z tych czasów, kiedy sukces stał się powszechnie stosowaną miarą sądu o ludziach i wypadkach, kiedy szczęśliwe łotrowstwo znajduje podziw i uznanie, a zwyciężona słuszność, dlatego, że się zwyciężyć dała, nietylko nie budzi współczucia, ale się spotyka ze wzgardą i szyderstwem.

Moltke był niezawodnie jednym z twórców militaryzmu współczesnego; był przytém nietylko „myślicielem wojny", ale i wyznawcą jéj. Według jego opinii, wojna jest zbawienną i potrzebną. Bez wykształcenia wojskowego i bez bitew ludzkość w krótkim czasie utraciłaby wiele z najlepszych swych przymiotów. Żołnierka ćwiczy fizycznie i moralnie, niecąc zdrowie, karność i poczucie obowiązku. Wiek złoty nieustającego pokoju nigdy nie nastąpi i nie jest bynajmniéj pożądany.

W ustach człowieka, który życie spędził na usługach sztuki wojskowéj, zdania takie (nawiasem mówiąc, dość trafne), były zupełnie na swojém miejscu. Ciekawe jednak i ważne dla charakterystyki postaci jest to, że czciciel Marsa nie zatracił w sobie poczucia moralnego, nie stał się ślepym wielbicielem tryumfującéj przemocy i nie nagiął się nigdy w zasadach do stawiania siły przed prawem. Bo téż, choć wyrosła w wieku militaryzmu, powyższa maksyma nie jest bynajmniéj rycerską, ale raczéj handlarsko-giełdziarską. Stworzył ją duch pogoni za zyskiem, przeniesiony z giełdy do sfery życia politycznego i do stosunków międzynarodowych. Moltke był i nigdy nie przestał być rycerzem, tak jak ks. Bismarck był tylko szczęśliwym graczem, wykonywającym swoje operacye wprawdzie nie w ciasnym obrębie giełdy, ale jéj instynktów i jéj etycznego kodeksu.

Nie będziemy tutaj w „kronice" przypominali szczegółowo zasług, jakie położył Moltke w ostatnich wojnach pruskich. Rola jego polegała na tém, żeby doskonale wyćwiczoną, zorganizowaną i zaopatrzoną armię stosownie w ruch wprowadzać. Uczynienie z armii niemieckiéj doskonałego narzędzia było zasługą innych, między innymi współczesnego Moltkemu ministra wojny, generała Roona. Moltke,

pewny wyborowego materyału, tworzył plany mobilizacyi, pochodów i ataków. Uporządkowanie ruchów całości i części, drobiazgowe przewidywanie wszystkich trudności, z jakiemi się spotkać wypadnie, wogóle praca umysłu kombinującego, obliczającego,—w tém się streszcza dzieło jego życia. Był ten „myśliciel wojny“ niezawodnie jednym z największych strategików nietylko swojego czasu, a Niemcy stawiają go pod tym względem na równi z Napoleonem I. Francuscy pisarze wojskowi nie idą tak daleko. Według ich zdania, w blaskach geniuszu Napoleona Moltke wyglądałby, jak karzeł, i sam pierwszy niezawodnie zaprotestowałby przeciwko takiemu zestawieniu. Talentem i umysłem pokrewny jest Moltke Turenniuszowi raczéj, którego „geniusz polegał na cierpliwości“, który także całe życie myślał o rzeczach wojskowych, w którym „roztropność była temperamentem“, a „odwaga płynęła z refleksyi.“ Specyaliści spór ten rozstrzygną i wyznaczą Moltkemu należne mu w dziejach sztuki wojskowéj miejsce. Dla Niemiec wszakże imię jego będzie zawsze drogiém, nietylko z powodu stopnia talentów, jakie rozwinął, ale przez związek, jaki zbiegiem wypadków wytworzył się między jego pracą a wielkością i tryumfami narodu. Na Moltkego po wszystkie czasy ledwie spływała część téj wdzięczności, jaką potomni zachowują dla sprawców wywyższenia ojczyzny. Dziś téż pochowano w nim nie wodza tylko, ale i jedną ze sprężyn wielkich tryumfów narodowych.

Na pogrzebie Moltkego, w szeregu wybitnych postaci współczesnych Niemiec, brakowało najwybitniejszéj — brakowało księcia Bismarcka. W owym czasie zajęty był sprawą swego wyboru na posła do parlamentu z hanowerskiego okręgu Geestemünde. Po pierwszéj niefortunnéj próbie odbył się wybór ściślejszy, niektórzy postępowcy i welfowie głosowali za byłym swoim prześladowcą, i dziś „żelazny kanclerz“ posiada godność posła. Wyraził się już podobno, że w interesie Niemiec leży podniesienie godności i znaczenia parlamentu. Oczywiście, bo on do niego wchodzi.

Jakkolwiek wysokie sfery w Berlinie były bardzo niezadowolone z téj kandydatury i, o ile można bez skandalu, starały się przeszkodzić wyborowi, sądzimy, że rząd nietylko na nim nie traci, ale owszem zyskuje. Ostatniemi czasy ks. Bismarck prowadził przeciwko rządowi kampanię dziennikarską bardzo ożywioną, a jednocześnie w prywatnych rozmowach zapierał się drukowanych po pismach artykułów. Opozycya jego, jego paraliżujące działalność rządową zabiegi sprawiały swój skutek tam, gdzie go sprawiać mogły. Rząd tymczasem, z powodu pozornéj bezimienności tych ataków, miał utrudnioną obronę. Obecnie zacznie się gra w otwarte karty. Kilkunastomiesięczne rządy bez księcia Bismarcka przekonały, że nie jest on niezbę-

dném w machinie państwowéj kółkiem. W ciągu tego czasu nietylko powaga władzy w ogóle i korony w szczególności nic nie ucierpiała, (co już nie jest winą ks. Bismarcka, który się o to dość gorliwie starał), ale przeciwnie, urosła. Namiętności stronnicze ukołysały się, umysły zwróciły się ku zadaniom, mającym na celu rozwój materyalny i moralny, izby prawodawcze uchwaliły szereg ustaw pożytecznych, jak gminna i przemysłowa; nareszcie w stosunkach z państwami zagranicznemi, t. j. w dziedzinie, gdzie książę Bismarck uważał się za najbardziéj niezastąpionego, także źle się po jego dymisyi nie dzieje, czego dowodzi odnowienie przymierza potrójnego, zawarcie traktatu handlowego z Austryą, wreszcie dawniejszy układ afrykański z Anglikami, zapewniający Niemcom, oprócz Helgolandu, bezpieczne posiadanie wielkich terytoryów zamorskich. Z takim inwentarzem p. Caprivi może śmiało spojrzéć w oczy swojemu poprzednikowi, zwłaszcza w parlamencie, który się składa w większości z przeciwników bismarkowskiéj polityki. Będą téż mieli wszelką swobodę, nietylko Caprivi, ale i przywódcy stronnictw, kontrolowania z trybuny parlamentarnéj opozycyjnych zabiegów ks. Bismarcka, który reprezentuje wprawdzie wielką sumę zasług dla kraju, ale który dziś już postradał ufność społeczeństwa, pomimo, że się uważa za „specyalistę od polityki.“ Jakoż niezawodnie jest specyalistą; ale nie posiada na tę specyalność monopolu, owszem, obok niego są także inni specyaliści, może mniéj zdolni, niż on był kiedyś, ale dziś prowadzący lepiéj, spokojniéj i pewniéj sprawy państwowe, niż on to czynić byłby w stanie, gdyby przypadkiem znowu zajął ich miejsce, co oczywiście z wielu względów jest niepodobieństwem.

Wspomnieliśmy o traktacie handlowym Austryi z Niemcami. Został zawarty i zacznie obowiązywać od 1 Lutego roku 1892. Nie znamy dotychczas jego tekstu, który dopiero podczas jesiennéj sesyi parlamentów podany będzie do wiadomości publicznéj; ale sam fakt zawarcia takiego traktatu, z perspektywą bardzo prawdopodobną, że do ligi handlowéj z dwoma cesarstwami przyłączy się kilka innych państw europejskich, posiada niemałą doniosłość. Miał on już swój skutek doraźny, polegający na tém, że we Francyi, która z systemem traktatów handlowych od roku przyszłego stanowczo zerwać chciała, zastępując je taryfą celną o podwójnéj skali opłat, wzrósł potężnie prąd temu nowemu pomysłowi nieprzyjazny. Rozprawy w parlamencie paryskim nad taryfami Méline'a już się w tych dniach rozpoczęły i opozycya przeciwko nim zaznaczyła się bardzo silnie. Która strona zwycięży, niepodobna przewidzieć; atoli perspektywa zupełnego ekonomicznego odosobnienia Francyi musi działać témbardziéj powściągająco na zagorzałych nawet protekcyonistów, że

byłoby to odosobnienie, przy którém liga celna, agitująca się za inicyatywą Niemiec i Austryi, zwróciłaby się świadomie z całą bezwzględnością przeciwko eksportowi francuskiemu. Dotychczas zapewniony jest podobno udział w zjednoczeniu handlowém, zainicyowaném przez układ wiedeński,—Szwajcaryi, Belgii i Włoch. Prócz tego są na widoku Serbia, Rumunia i inne jeszcze kraje.

Szczęśliwy w przeprowadzeniu dogodnego, jak mówią, dla Austryi traktatu handlowego z Niemcami, rząd wiedeński nie może się pochwalić równém powodzeniem w sferze stosunków parlamentarnych. Nowy parlament zawiódł oczekiwania tych, którzy wierzyli w łatwe uformowanie się większości z udziałem lewicy. Na wstępie zaraz nastręczała się sposobność wymiany myśli między stronnictwami z powodu odpowiedzi na mowę tronową. Gdyby było przyszło do porozumienia, wyraziłoby się ono w uchwale adresu do korony. Parlament tymczasem wyrzekł się zupełnie adresu, do którego zawotowania nie mógł znaleźć potrzebnéj większości, i zamiast tego tradycyjnego kroku, stwierdzającego i samo istnienie większości, i jéj dążenia, upoważnił prezydyum swoje do prostego złożenia cesarzowi wyrazów przywiązania i hołdu. Oczywiście więc w parlamencie wiedeńskim niéma większości. Pytanie tylko, czy jest to stan chwilowy, czy téż mamy tu już do czynienia ze wskazówką stanowczéj niemocy politycznéj téj izby w obecnym jéj składzie. Być może, iż to, co się nie dało dotychczas uczynić, da się jeszcze zrobić w przyszłości, albo téż, gdyby polityczne zaślepienie lewicy uniemożebniło wszelkie z nią układy, że się da skleić większość bez udziału lewicy. Gdyby wszakże i jedno i drugie okazało się niepodobném, albo téż gdyby hr. Taaffe, pierwszego dokonać nie mogąc, drugiego rozmyślnie sobie nie życzył, znalazłby się w kłopotliwém istotnie położeniu. Bo albo musiałby probować rządów bez ściśle określonéj większości, coby się niezawodnie jaknajgorzéj na sprawach państwowych odbiło, wprowadzając w nie chaos i rugując z nich wszelką głębszą przewodnią myśl polityczną; albo rozwiązać zaledwie obrany parlament, albo wreszcie sam ustąpić. Kto wie, czy taktyka lewicy nie wierzy w téj chwili przedewszystkiém w to ostatnie; usunięcie od steru hr. Taaffego byłoby dla centralizmu pożądańsze od wszelkich sojuszów parlamentarnych, otwierających jéj małą boczną furtkę wpływu na rządy. Byłoby tylko dziwne, gdyby tak przenikliwy polityk, jak Taaffe, nie dojrzał tych zamiarów i gdyby uporczywém kokietowaniem z centralistami, którzy widocznie postępują bardzo dwuznacznie, ułatwiał im osiągnięcie pożądanego celu, patrząc spokojnie na coraz większą dezorganizacyę w stosunkach wewnętrznych parlamentu.

W dniu 2 b. m. pod obrady sejmu pruskiego przyszedł etat komisyi kolonizacyjnéj dla Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego, oraz w związku z nim będący memoryał o działalności komisyi za rok 1890. Ponieważ kilkakrotnie dzienniki niemieckie powtarzały pogłoskę, że się zanosi na jakąś wewnętrzną w urządzeniu i przeznaczeniu komisyi reformę, wszystkie stronnictwa sejmu z zaciekawieniem oczekiwały, co powie prezes gabinetu. Z okoliczności wynikało, że musi on zająć wyraźną postawę. Wobec posłów poznańskich, domagających się zniesienia ustawy, i wobec narodowo-liberalnych i konserwatystów, obstających za jéj utrzymaniem, rząd nie mógł nie powiedziéć jasno, na którą stronę się przechyla. I powiedział, że się przechyla ku tym, którzy chcą utrzymania komisyi i kolonizacyi. W przemówieniu swojém, uzasadniającém postawę rządu, oświadczył kanclerz między innemi co następuje: „W ciągu ubiegłych lat pięciu stosunki nie zmieniły się w Poznańskiém w ten sposób, żeby rząd królewski sądził, że środki, które wówczas uważał za niezbędne dla dania pełnego wyrazu przynależności do państwa pruskiego, mogły być zniesione. Nie sądzę, aby przez ten czas żywioł niemiecki uczynił w Poznańskiém postępy; wogóle w latach 1867—1886 raczéj przybyło żywiołu polskiego. Podczas gdy w roku 1867 procent Polaków wynosił tutaj 44,86%, w roku 1886 podniósł się do 57,96%. Za rok bieżący nie posiadam jeszcze liczb, ale zapewne znowu żywiołu polskiego przybyło i to z wielu powodów: najprzód przez napływ ludności obcéj od wschodu, powtóre ponieważ statystycznie zostało stwierdzone, że polskie rodziny przecięciowo bogatsze są od niemieckich o jedno dziecko. Nie powinno się to przyczyniać do osłabienia żywiołu polskiego. Jest to jednak strona liczbowa kwestyi; co się tycze wartości wewnętrznéj, sądzę także, że żywioł polski nie cofnął się. Nie bez przyczynienia się rządu pruskiego, po części przez sekularyzacyę klasztorów, skąd powstały środki na uposażenie polskich szkół i gimnazyów, wyrobił się w prowincyi poznańskiéj silny stan średni, który jest niemałą podporą téj społeczności. Ostatecznie tedy mniemam, że nietylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie żywioł polski wzmocnił się. W sprawie ustawy kolonizacyjnéj, jak wogóle w całém życiu politycznem, stoimy na gruncie prawa, i jesteśmy zdecydowani obowiązujące ustawy, tak do Polaków, jak do Niemców, ściśle stosować. Gdy jednak ze strony polskiéj dano poznać życzenie zbliżenia się do rządu, jesteśmy z tego radzi. Ale naturalnie, kiedy to niespodziewane życzenie przy jednéj z rozpraw w parlamencie roku zeszłego wyszło na jaw i kiedy posłowie polscy, którzy dotąd zawsze odmawiali wszelkiego pomnożenia niemieckiéj siły zbrojnéj, odrazu głosowali za takiém pomnożeniem, musieliśmy sobie postawić pytanie:

co spowodowało taką zmianę pozycyi. Gdy od stu lat Polacy i Niemcy nie żyli ze sobą w przyjacielskich stosunkach, to z niemieckiego punktu widzenia jest zrozumiałe, że zwrot taki, acz pocieszający, zadziwił. Można było mniemać, że wszystkie te prawa, na które Polacy tak się skarżyli, podziałały do tego stopnia silnie, że uczyniły ich skłonnymi do pojednania. Albo téż wolno było przypuszczać, że Polacy uważają obecny rząd za tak słaby, iż sądzą, że mogą żądać od nas tego, czego od poprzednich nie żądali. Rząd nie trzyma się żadnego z tych przypuszczeń i poprzestaje na fakcie życzliwszego usposobienia. Ale rząd stoi na gruncie prawa i sądzi, że obrał grunt bezpieczny. Nasi polscy współobywatele, którzy się długo gniewali, dają nam teraz znaki i mówią: „chodźcie z nami.“ Jesteśmy przezorni, nie możemy zaraz pewnego gruntu opuścić i ręka w rękę z naszymi nowymi przyjaciółmi wejść na nieznany teren. Zbliżyliśmy się do was o kilka kroków; pójdźcie wy daléj, a umożliwicie i Niemcom prowincyi poznańskiéj, że podążą za nami.“

Charakteryzując całą w tym przedmiocie dyskusyę, dzienniki niemieckie dochodzą do téj konkluzyi, że rząd postanowił nie zmieniać zasadniczych rysów swéj dotychczasowéj we wschodnich prowincyach polityki, w szczegółach jednak i w rzeczach mniejszéj dla siebie wagi, a drogich dla ludności, nie wywierać na nią niepotrzebnego nacisku i nie narzucać niepotrzebnych ograniczeń. Postawa taka wydaje się stosowną zarówno dziennikom rządowym, jak narodowo-liberalnym i konserwatywnym, które ogólnie Capriviego za jego mowę o kolonizacyi chwalą.

Nasi rolnicy mogą się choć tém pocieszyć, że ich położenie nie jest wyjątkowe. Te same klęski, nieurodzaje, sprzedaże publiczne (z wyjątkiem dewastacyi), trapią wytworców rolnych na Zachodzie, pomimo o wiele wyższéj tam kultury. Tak samo cierpią francuzi, tak samo anglicy i niemcy. Zachodzi tylko różnica w przyczynach, wywołujących niepowodzenia, z wyjątkiem jednéj wspólnéj biedy — klęski elementarnéj. Gniecie ona rolnictwo wszecheuropejskie od kilku miesięcy; najpierw zima ciężka, niebywała od dawna, potém wiosna późna, chłodna i słotna, wywołały zgrzytanie i jęki powszechne. We Francyi, téj zasobnéj i wytrwałéj krainie, wytwarzającéj w stosunku do innych państw najwięcéj zboża, rolnicy upadają zgnębieni do ostatka. Większość ziemian musi zaorać część pól swoich, zasianych w jesieni, aby je powtórnie uprawić zbożem jarem. W Belgii sroga zima jeszcze większe straty wyrządziła. W niektórych prowincyach pruskich trzecią część pól na nowo zasiewać trzeba, gdyż żyto i rzepak wygniły zupełnie. W Anglii przymrozki wiosenne przyniosły niepo-

wetowane straty. W Królestwie Polskiem i Cesarstwie, o ile wnosić można z korespondencyi prowincyonalnych, oziminy również bardzo ucierpiały. W obec tego, czyż można się dziwić, że rolnicy robią nieustający alarm, że na widok kaprysów natury drżą, jak śpiewak, gdy czuje zbliżającą się chrypkę przed koncertem? Nie potrzeba dowodzić, że rolnictwo jest przedsiębiorstwem najniepewniejszém: jeden przymrozek, jeden grad przynosi milionowe straty, razi bankructwem nawet silniejszych. Tryumf nigdy nie jest długotrwałym; w roku zeszłym Francya cieszyła się wyjątkowym urodzajem, obecnie płacze! Prawodawstwo francuskie, chcąc przyjść w pomoc rolnikom swoim, zwolniło ich od podatku w ogólnéj sumie 6,000,000 franków, ale ponieważ *ulga* ta miała być rozłożoną aż na *siedm milionów* ludności rolniczéj, dotkniętéj klęską, t. j. że każdy byłby zwolniony od *kilkudziesięciu centymów* ciężaru, senat więc odrzucił uchwaloną przez izbę pomoc, jako chybioną.— „Jesteśmy po macoszemu traktowani! — Dajcie nam opiekę silną!“ — wołali ziemianie, zarówno we Francyi, jak i Niemczech, i dano im opiekę - system protekcyjny. Cóż się okazało? Oto silni i zasobni wzmocnili się jeszcze bardziéj, dokoła zaś nich rozległo się szemranie mas ubogich, które poczuły na swych barkach ciężar jednostek sytych. Przez długi czas nie zwracano uwagi na to niezadowolenie i zawzięcie budowano mury chińskie, które miały uszczęśliwić pojedyńcze narody, nie dopuszczając produktów sąsiednich. Przodowała i dziś jeszcze przoduje pod tym względem Francya. Niedawno, bo zaledwie przed kilku miesiącami, p. Méline, twórca projektu nowéj taryfy celnéj, przyczynił się do uchwalenia cła od kukurydzy w wysokości 3 fran. od centnara metrycznego, i oto skutki ujawniły się bardzo szybko: wielkie dystylarnie w Bordeaux, Tulonie, Adge i innych miastach, z powodu podrożenia materyału surowego, zawiesiły czynności. Kwitnące dotychczas gorzelnictwo francuskie, wytwarzające okowitę z kukurydzy, gwałtownie stacza się w przepaść. W programie dalszych środków protekcyjnych są cła od siemienia lnianego, a więc wróżą taki sam los olejarniom, jak i gorzelniom. Może jednak wzmagający się protest w warstwach ubogiéj pokrzywdzonéj ludności zapobiegnie rozwojowi reform, mających na celu interes klas bogatszych. Już dziś sfery rządzące zaczynają patrzéć z niedowierzaniem na projekt Méline'a, a nawet pewna część wytwórców, która w dotychczasowéj polityce ekonomicznéj widziała wodę, płynącą na własny młyn, zaczyna szerzyć trwogę, przewidując środki odwetowe w państwach sąsiednich.

Jeszcze silniéj objawiła się reakcya w Niemczech, gdzie bismarkowski system protekcyjny, wprowadzony przed laty kilkunastu, nie cieszył się nigdy powszechném uznaniem. Nawet w sferach prawo-

dawczych zawsze istniało dość silne stronnictwo, stające w obronie handlu wolnego. Przez kilka lat pierwszych, dopóki zbiory były dość pomyślne, cła rolnicze nie wywołały wygórowanych cen zboża, a więc i pozycya wolnohandlowców była słabą. Gdy jednak w ostatnich dwóch latach nieurodzaj dosięgnął wielkich rozmiarów, a ceny zboża urosły do niebywałéj wysokości, niezadowolenie warstw ubogich zamieniło się w silny protest, popierany w parlamencie przez socyalistów i wolnomyślnych. Dziś spożywca niemiecki najbardziéj jest obarczony; za przedmioty najniezbędniejszéj potrzeby życia, jako to: chleb i mięso, płaci on co najmniéj 25% drożéj, niż austryacki, angielski lub ruski. W niektórych prowincyach ludność robotnicza zaczyna już uważać chleb za zbytek, a żywi się prawie wyłącznie kartoflami. Jakież ją czeka położenie, gdy nawet kartofle nie urodzą! Charakterystyczną była wspaniałomyślność sfer rządzących, które uwolniły ubogą ludność od podatków bezpośrednich, wynoszących od 2 do 6 marek na rodzinę. Dziś owi obdarzeni takiém dobrodziejstwem płacą podatków pośrednich od 30 do 50 marek rocznie, dzięki polityce protekcyjnéj. Ale oto zaczynają się już objawiać pierwsze przebłyski reakcyi na korzyść warstw uboższych. Od paru miesięcy toczą się żywe obrady delegatów austryackich i niemieckich w sprawie nowego traktatu handlowego, który ma polegać na zniżeniu ceł zbożowych. Pomimo oporu agrarczyków niemieckich, przewidywane jest załatwienie sprawy na korzyść handlu wolnego. Zanim to przyjdzie do skutku, zanim się wygładzą szczerby, poczynione przez dwuletni nieurodzaj, ceny zboża będą ciągle się podnosiły, do czego, oprócz braku zapasów, wielce się przyczyniają niezmordowani gracze giełdowi sztucznem windowaniem. Owa zwyżka nie tylko daje się zauważyć na rynku berlińskim, ale i na wiedeńskim, atwerpskim, paryskim, londyńskim, nowojorskim i innych. Na berlińskim najważniejszym czynnikim są roboty spekulantów, którzy oburzyli stronnictwo socyalistyczne, domagające się przez posłów ukrócenia tych nadużyć. Główne jednak przyczyny powszechnéj zwyżki tkwią głębiéj, mianowicie w zupełném prawie wyczerpaniu dawnych zapasów zboża i w lichym stanie obecnym zasiewów ozimych niemal w całéj Europie. „Co nam Ameryka powie?“— trwożnie pytają rolnicy na Zachodzie i u nas, łapiąc chciwie każdą wieść ztamtąd o stanie urodzajów. Najbardziéj są zainteresowani Anglicy, to téż najwięcéj od nich pochodzi wiadomości. Według ich informacyi, Stany Zjednoczone, aczkolwiek dotychczas widoki na zbiory są świetne, nie wystarczą na pokrycie niedoboru pszenicy w Europie, zresztą i tam, jak przepowiadają niektórzy ekonomiści, krótki już jest okres złotéj dziewiczości, pozwalającéj uprawiać rolę bez środków kosztownych. Prędko przyjdą czasy,—twierdzą

oni,—gdy rolnicy amerykańscy zaczną się uciekać do maszyn kosztownych, nawozów i t. d.; koszta wytwórczości ogromnie się zwiększą, a w stosunku odwrotnym zmniejszą się jéj rozmiary. Jakkolwiek życzyć należy naszym rolnikom, ażeby, nie polegając na horoskopach, poznawali dokładnie wszelkie „konjunktury“ zachodnio-europejskie i zaoceanowe, pożądaném jest również coś więcéj nad okrzyk: „Hajże na Amerykę!“ Jeżeli nie można skutecznie się porywać z motyką na słońce antypodów, niechże ta motyka pracuje szczerze na własnéj ziemi i stara się nogi gliniane naszych rolników zastąpić żelaznemi. Faktem jest, że sama uprawa zboża, to największe ryzyko; trzeba mieć w zapasie coś takiego, coby mogło wyrównać straty, wyrządzone w polu, a więc—rozwijać równomiernie i przedewszystkiém umiejętnie gałęzie przemysłu, mającego związek z rolnictwem. To będą nogi żelazne.

Najzyskowniejszą gałęzią jest przemysł gorzelniany, nie dla każdego jednak przystępny, z powodu konieczności znacznych nakładów. Z dniem 1-ym Lipca r. b. nastąpi ciekawy przełom w téj produkcyi, dzięki nowym przepisom, ułatwiającym rozwój gorzelni rolniczych. Będą one miały prawo do 20-tu tysięcy stopni okowity, wolnéj od akcyzy, co im da możność spółzawodniczenia z większemi gorzelniami. Jest więc chwila sposobna, z któréj ziemianie powinni skorzystać, a im wcześniéj się około tego zakrzątną, tém lepiéj, bo maruderzy mogą się doczekać okresu, w którym okowita znacznie stanieje, dzięki uprzystępnionéj produkcyi, i znowu nastąpi zniechęcenie. Na pocieszenie i dla zachęty można jednak to dodać, że chociażby cena wódki tak nisko spadła, że ledwieby wystarczała na pokrycie kosztów produkcyi, to i w takim razie zysk będzie jeszcze niezły, gdyż pozostanie 20 tysięcy stopni *darowanych* (wolnych od akcyzy), co, według obliczeń specyalistów, uczyni dwa tysiące rs. dochodu czystego, a nadto pozostanie wyborna „braha“ jako karm dla bydła. W Królestwie Polskiem, gdzie przemysł gorzelniany w ściślejszym jest związku z rolnictwem i racyonalniéj jest prowadzony, nowe prawo nie przyczyni się do tak wielkiego przełomu, jak w prowincyach zachodnich i południowo-zachodnich, w których wstecznictwo jest na porządku dziennym, a postępowe gorzelnie na palcach dadzą się wyliczyć, gorzéj nawet, bo w wielu miejscach przemysł ten jest po prostu zdyskredytowany partactwem i... matactwem. Jest on przeważnie w rękach ludzi ciemnych, żydów chałatowych, którzy nie przebierają w środkach, byleby się dobrze obłowić; właściciele zaś, oddający w dzierżawę lub zarząd swoje gorzelnie, narzekają na mały zysk, a częściéj na straty. Inaczéj być nie może przy takim stanie rzeczy. Czy obecnie rolnicy nasi zrozumieją dobry interes i skorzystają z uła-

twień, niedaleka przyszłość to pokaże. Można jednak dziś już przewidywać, że dla znacznéj większości gorzelnia i nadal pozostanie rzeczą niedoścignioną, wobec chronicznego braku gotówki przy ciężkich długach. Wybudowanie najskromniejszéj wymaga 17—20 tysięcy rubli. Gdzież znajdą taką sumę ci, którzy często nie mają kilkuset rubli na zapłacenie raty zaległéj? Niech więc ci, którzy za daleko zabrnęli, nie marzą o gorzelnictwie, jako o desce zbawienia. Wzmocni ono tylko silniejszych przy ich zabiegliwości. Z tą koniecznością trzeba się zgodzić zawczasu. Wogóle wszakże gorzelnie rolnicze wpłyną niewątpliwie na polepszenie stanu gospodarki rolnéj. Ale i tu dla prawidłowego wzrostu i rozwoju téj gałęzi wytwórczości niezbędny jest kredyt melioracyjny. Wprawdzie wszelkie pożyczki są środkiem obosiecznym, o czém najlepiéj świadczą ciągłe licytacye majątków przez instytucye kredytowe; ale przecież i brzytwy w rękach niewprawnych kaleczą. Kredyt *dobrze zużytkowany* zawsze korzyść przyniesie. Dotychczas działo się inaczéj, niebezpieczeństwo pożyczki dla dłużników wzrastało w stosunku prostym do jéj łatwości i wysokości; mamy przykład: bank ziemski w Kijowie hojnym był szafarzem i dziś jest już wierzycielem niemal wszystkich posiadaczy w trzech guberniach południowo-zachodnich, których długi wynoszą ogółem *czterdzieści ośm* milionów rubli. Znaleźli się więc w zaczarowaném kole, z którego wybrnąć nie mają sposobu. Jedynym ratunkiem są ulgi ze strony instytucyi kredytowéj, ale i te mają swoje granice. Zdaje się, że bank kijowski już doszedł do nich i dlatego oddawna poruszana myśl Wzajemnego Towarzystwa Kredytowego dla gub. Kijowskiéj, Wołyńskiéj i Podolskiéj, obecnie jest przedmiotem rozpraw i żywego zainteresowania. Czy ten projekt przyjdzie do skutku, czy bank kijowski w obronie własnego interesu nie zechce złemu zapobiedz drogą jakichś nowych układów z dłużnikami, mamy nadzieję, że jeszcze w tym roku się dowiemy.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że obok posiadaczy ziemskich wybitne miejsce w rolnictwie zajmują dzierżawcy; a jednak ich potrzeby najmniéj dotychczas były i są uwzględniane, pomimo że interes dzierżawcy ściśle jest związany z interesem właściciela, z którego strony ustępstwa w razie klęsk elementarnych należą do bardzo rzadkich. Musi on swoją rentę otrzymać w rozmiarach zawartych w umowie kilkoletniéj, a jakim sposobem i w jakich warunkach będzie płacona, wnikać w to nie uważa za obowiązek. Czyż wobec tego można się dziwić, że wielu gospodarzy na cudzéj roli uprawia system rabunkowy i nieraz się przyczynia do ruiny właściciela? Sprawa ta najmniejszy zajmuje dotąd kącik, nietylko w uwadze publicznéj, ale i na wszel-

kich zjazdach rolniczych i posiedzeniach Towarzystw. Jeżeli właściciel żąda od instytucyi kredytowych ulg w spłacie rat, powinny być tém bardziéj uwzględnione takie same ulgi w spłacie rat dzierżawnych i ustępstwa w cenie dzierżawnéj, stosunkowo do zbiorów. Niechże nam za wzór tego rodzaju stosunków posłuży Anglia. W ciągu ostatnich lat dziesięciu, skutkiem szeregu niepowodzeń w rolnictwie, właściciele tamtejsi zniżyli tenutę swym dzierżawcom o 15% i więcéj. Klasa dzierżawców angielskich zajmuje wybitne i poważne stanowisko, cieszy się kredytem i ogólném zaufaniem.

Jeszcze jeden rodzaj rolników—lud w Królestwie Polskiém, zaznaczył już swą działalność przy pomocy banku włościańskiego. Ale zabaczmy, jakie to jednostki dotychczas korzystają z tych ułatwień: „Ten bank, — skarży się jeden z bezrolnych — to dla chłopów zamożnych, ale nie dla nas, biedaków, którzy, oprócz rąk do pracy, grosza złamanego w kieszeni nie mamy; — oni se ta dorabiają, a nami biednymi pogardzają i wyśmiewają“. Jest to skarga wielce charakterystyczna, która dowodzi, iż śród włościan coraz więcéj wypływa na wierzch sprytnych i rzutkich skupywaczy ziemi, na podścielisku ogólnéj biedy i zniedołężnienia całych mas ludu. Bank włościański nie miał na celu faworyzowania zasobniejszych; przeciwnie — dążnością jego było i jest ułatwienie wszystkim bez wyjątku włościanom nabywania gruntów, a co za tém idzie—możliwe zmniejszenie bezrolnych. Stronę słabą téj instytucyi stanowi tylko zbytnia formalistyka, utrudniająca pożyczki i zniechęcająca aspirantów do kupna. Jest wszakże nadzieja usunięcia tych niedokładności, gdyż sfery administracyjne zwróciły już na nie uwagę i zamierzają przekształcić w wielu punktach ustawę. Z tego powodu „Warszaw. Dniew.“ doradza nadanie większéj swobody filiom bankowym, w celu samodzielnego nabywania przez bank gruntów, tudzież skupywania ich i odprzedawania częściowego przez gminy oddzielnym gospodarzom. Jeśli w tym duchu będzie przekształcona ustawa, działalność banku znakomicie się rozwinie i stanie się jednym ze środków doraźnych, zapobiegających wzrostowi bezrolnych. Większa ilość ziemi w posiadaniu pracowników siermiężnych może przyczynić się do zwiększenia produkcyi krajowéj i do powstrzymania ludności od emigracyi. Na tak wygładzoném podścielisku ekonomiczném wzmocni się choć w części czynnik moralny w ludzie, zapobiegający bratobójstwom lub ojcobójstwom dla piędzi ziemi, co się dziś, niestety, coraz częściéj zdarza. Największa namiętność chłopa, to ziemia. Ona rodzi nie idealnych „Ślimaków“, ale najpospolitszych ludzi, broniących swojéj „placówki“ wyłącznie dla *chleba* lub *kartofli*. Rzucają oni strzechę rodzinną przy

pierwszéj sposobności, gdy posłyszą ponętne obiecanki, jak się rzuca karczmę przydrożną w popasie. Ani rozrzewnienia, ani żalu! Nie idzie za tém, żebym odmawiał duszy chłopskiéj idealnych pierwiastków. Ma je ona, ale bardzo głęboko ukryte i łatwo dające się zahypnotyzować myślą o roskoszach materyalnych.

Wracam jeszcze raz do kredytu, który się stał nieodłączną potrzebą ludzką. Szuka go posiadacz ziemski, wielki i drobny, pracownik biurowy, kolejowiec, oficyalista wiejski, właściciel palta, poduszki, lub zegarka. To też nigdy nie było takiego, jak obecnie, ruchu w powstawaniu instytucyi kredytowych, lombardów, kas pocztowych, emerytalnych, pożyczkowo-wkładowych i t. d. Warszawie przybywa jeden bank, Łodzi bank i lombard; kupcy i przemysłowcy we Włocławku usilnie się starają o bank dla siebie; pracownicy kanalizacyi warszawskiéj wyjednali pozwolenie na założenie własnéj kasy; oficyaliści ordynacyi Zamoyskich w Zwierzyńcu doczekali się takiéj instytucyi, mającéj ich starość zabezpieczyć; urzędnicy Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie uzyskali doraźną pomoc dla wydobycia się z objęć lichwiarskich. Jak daleko zabrnęli! Po dokładném obliczeniu okazało się, że pierwotnie przeznaczone 40 tysięcy rubli na spłatę długów lichwiarskich nie wystarczą, gdyż te długi dosięgają *ośmdziesięciu* tysięcy! Powstał projekt rozszerzenia pomocy dla pracowników prowincyonalnych filii Towarzystwa. Czy to ich zabezpieczy od dalszéj lichwy? Czy po latach kilku nie okaże się znowu potrzeba płacenia długów w tych samych rozmiarach? Niewątpliwie pomoc doraźna ma wielkie znaczenie; ale skoro się zdecydowano podać rękę tonącym, trzeba ich na brzeg wydostać, pomyśléć jednocześnie o zabezpieczeniu pewniejszéj przyszłości pracowników.

Są instytucye, które z pewnością nie zbankrutują, pomimo swéj wadliwości—lombardy miejskie; przeciwnie—im większa nędza, tém są pewniejsze ich podstawy, a ponieważ niéma obawy, ażeby ta jejmość miała ochotę pogardzić naszą gościnnością, mogą więc fanciarnie sobie istniéć i wzmacniać swe siły, dopóki tylko zechcą, i uchodzić za dostarczycielki *taniego* kredytu dla ludności ubogiéj. Owa *taniość* w wielu lombardach prywatnych wynosi 5—8% miesięcznie, czyli 60—96% rocznie. Rewizya policyjna oprócz takich odsetek wykryła jeszcze wiele nadużyć niepochwytnych i zagmatwanych. A jednak do takich jam lichwiarskich nędzarze tłumami dążą, pomimo, iż wiedzą o szacherkach i zdzierstwie. Cóż innego mają robić? Pozostaje im do wyboru: lombard, albo lichwiarz-dusigrosz; pierwszy nie pociągnie do odpowiedzialności za uchybienie terminu, a więc wygodniejszy. Gdyby jednak kapitaliści nasi zechcieli zużytkować czą-

stkę swoich funduszów w téj formie, mogliby, nawet przy pobieraniu niskiego procentu, zrobić dobry interes i uczciwém współzawodnictwem zniweczyć fanciarnie lichwiarskie. Władza gotową jest do wszelkich ułatwień tym, którzy zechcieliby zakładać takie przedsiębiorstwa. Należałoby tylko się wzorować na organizacyi tego rodzaju kredytu za granicą. W Paryżu, Londynie i Włoszech istnieją tak zwane banki ludowe, czyli poprostu lombardy, wzorowo urządzone i przystępne dla warstw najuboższych bez ich krzywdy. Można tam oddawać na zastaw groszowy przedmioty codziennego użytku (sprzęty, odzież, pościel). W Paryżu kantory „Mons pietatis" przyjmują zastawy takie rano i zwracają wieczorem. Tym sposobem nędzarz może sobie ułatwić nieraz przeżycie dnia. U nas miał być wzorem lombard akcyjny, ale dotąd nie spełnił nadziei. Wprawdzie rozwija się on wybornie, ale tylko dla akcyonaryuszów, czego najlepszym dowodem jest zeszłoroczna dywidenda, wynosząca ogółem 50,000 rs., czyli 10% od kapitału. Jedną z rażących wad Towarzystwa jest zbytnia formalistyka i niskie ocenianie fantów, z obawy odpowiedzialności taksatorów. Zarząd powinien jak najprędzéj wprowadzić reformę w tym względzie, jeśli swym akcyonaryuszom chce nadal zapewnić tak wysoką dywidendę, a interesantów odciągnąć od fanciarni lichwiarskich. Nie w tém atoli tkwi głównie rozczarowanie ogółu. Oczekiwano z niecierpliwością spełnienia obiecanek, t. j. założenia izby zastawnéj w dzielnicy, zamieszkałéj przez ludność ubogą. Tymczasem panowie akcyonaryusze na ogólném zebraniu odłożyli tę sprawę na czas nieograniczony, a natomiast uradzili rozwinięcie interesu w Łodzi, gdzie jest nadzieja większych zysków. Niewątpliwie Łódź posiada także sporo ludności ubogiéj, gwałtownie potrzebującéj lombardu; ale dlaczego tamtejsi kapitaliści nie pomyśleli o tém? Według zdania specyalistów z łona akcyonaryuszów, koszt założenia izby fantowej w Warszawie wyniósłby tylko 3—4,000 rs. jednorazowo, dopłata zaś roczna 1,500—2,000 rs. Pomimo tak niewielkiego kosztu, nie zdecydowano się na to.

W ostatnich czasach publiczność i prasa coraz częściéj i natarczywiéj zaglądają do cenników aptekarskich i domagają się zniżenia taksy. Ktoś kupił w kilkunastu aptekach jeden gatunek lekarstwa i w jednakowéj dozie; okazało się, że w każdéj policzono inaczéj, i to ze znaczną różnicą. Na téj podstawie wysnuto wniosek, że apteki za swój towar pobierają najwyższy w handlu procent, względnie do kosztów wytwórczości, często w stosunku rubla za kopiejkę. Ponieważ tu chodzi o tak doniosłą sprawę, jak uprzystępnienie środków leczniczych dla ogółu, zwłaszcza dla ludności ubogiéj, pożądaném więc

byłoby nareszcie uregulowanie taksy. Zatrwożeni o los wysokich zysków aptekarze, widząc coraz silniejszy nacisk, zaczynają się bronić publicznie. Niedawno p. Wenda wystąpił z artykułem, w którym dowodzi, że aptekarstwo jest sztuką, a aptekarz bierze wynagrodzenie za swą naukę, za gwarancyę uczciwéj działalności, za czas stracony, za życie śród ograniczonéj swobody w atmosferze niemiłéj, za koszta utrzymania zakładu, któremu prawo wytknęło stały kierunek i zamknęło drogę do szerszéj działalności handlowéj, wiele pozwalając, a jeszcze więcéj zabraniając. „Jak literat i lekarz nie otrzymują honoraryum za papier i atrament—mówi p. W.—tak téż aptekarz, pomimo swego pozornego charakteru kupca, nie może brać ceny towaru za podstawę swéj egzystencyi". Chcąc poprzéć swoje twierdzenia, obrońca interesu aptekarskiego daje plastyczne przykłady: Piasek nie ma wartości, lecz dajmy go do dzielenia na proszki granowe człowiekowi z uniwersyteckiém wykształceniem, płacącemu 1000 do 3000 rs. za lokal, 50–100 rs. podatków, mającemu urządzenie, odpowiadające aptece. Piasku jest, dajmy na to, 1000 gatunków i ma on być produkowany w 25 formach. „Ileżby kosztował funt piasku — woła p. W. — przerobionego według zasad sztuki, niby proszki Dowera". Obrońca kładzie nacisk na uczciwość produkcyi aptekarskiéj, na brak falsyfikatów, co jest warunkiem doniosłego znaczenia tam, gdzie chodzi o ratunek zdrowia ludzkiego. Zapewne, nieraz-by się oddało całe mienie za uratowanie życia, ale, trzymając się téj zasady, mogliby i lekarze zażądać wynagrodzenia za poradę w stosunku do zysków aptekarskich. Takie argumenty nie obronią taksy obecnéj. W jakim stopniu powinno nastąpić zniżenie cen i jakie przeważnie środki lecznicze należy uprzystępnić, nie nasza rzecz roztrząsać. Możemy tylko potwierdzić fakt, że wogóle ceny lekarstw są za wysokie i w wielu razach dowolne, że na zniżeniu ich właściciele aptek nie ucierpieliby wcale, gdyż z chwilą uprzystępnienia cen zwiększyłaby się znacznie liczba spożywców.

Jak dalece sprawa ta jest żywotną, dowodzi wielkie zainteresowanie się nią nietylko u nas, lecz i w Niemczech, gdzie nadano jéj charakter kwestyi państwowéj. Niedawno demokraci postawili w sejmie wniosek upaństwowienia aptek, które w ogólnéj liczbie 4700 przedstawiają wartość 675 milionów marek. Rząd, zgromadziwszy je w swych ręku, mógłby, zdaniem projektodawców, zakupywać po znacznie niższych cenach materyały w wielkich masach; mógłby rozmieszczać zakłady dowolnie, według widoków największego powodzenia i potrzeb ludności. Farmaceuci stanowią poważną liczbę, 11,000 osób; o ile więc nie są właścicielami, dbającymi o dobry interes handlowy, przyjęliby tę reformę z radością, gdyż, nie potrzebując nadal podlegać ka-

prysom pracodawców, staliby się urzędnikami, trwale ubezpieczonymi. Ale po-za temi względami chodzi tu głównie o dobro spożywców. Klasy ubogie uważają dziś leki za zbytek i za wydatek rujnujący. Z dokonywanych systematycznie rewizyi przekonano się, że Niemcy posiadają znaczny procent złych aptek. Wszystko to są rzeczy, wymagające prędkiéj i gruntownéj reformy. Czy jednak ten wspaniale wyglądający wniosek demokratów niemieckich da się w czyn zamienić i czy następnie wyda pożądane rezultaty? W Niemczech urzeczywistnienie jego więcéj szans posiada, niż gdzieindziéj. Wiele tam aptek istnieje na mocy pozwoleń osobistych, które po śmierci obecnych właścicieli łatwo można cofnąć. Jest to wyłom dla reformy ważny; zresztą i warunki o wiele są dojrzalsze; charakter urzędników niemieckich niezbyt jest skłonny do nadużyć zaufania władzy. U nas nie można narzekać na brak rzetelności pod względem przygotowywania lekarstw; nadużycia należą do wypadków wyjątkowych. Idzie zatém tylko o uprzystępnienie środków leczniczych, bez tego bowiem myśl taniéj organizacyi pomocy lekarskiéj nigdy nie przyjdzie w zupełności do skutku.

Piękny dali początek lekarze sosnowiccy, tworząc towarzystwo w celu niesienia pomocy robotnikom fabrycznym, a życzyć należy, iżby ten przykład jaknajszerzéj się rozpowszechnił. Kto wie, czy odpowiednia silna organizacya lekarzy na prowincyi nie pokonałaby nareszcie ligi felczerskiéj, bezkarnie wyzyskującéj ludność ciemną. Charakterystyczne to, że dotąd patentowani lekarze, ludzie inteligentni, są zupełnie bezsilni wobec tych brutalnych i ciemnych wyzyskiwaczy. Może nareszcie choć w części przyczyni się do ich pobicia nowa pośrednia armia służby zdrowia, która powstanie, dzięki świeżemu rozporządzeniu ministeryalnemu. Przy uniwersytetach będą utworzone specyalne kursa dla słuchaczy i słuchaczek medycyny. Będzie to klasa ludzi o „średniém" wykształceniu medycznėm, wyższém od felczerskiego. Tacy pomocnicy lekarzy mogą oddać ogromne usługi, ale to dopiero kwestya przyszłości, aczkolwiek nie bardzo odległéj.

Wogóle cała organizacya „zdrowotności" wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Przedewszystkiém brak u nas środków *zapobiegawczych*, które powinny być podstawą w zdrowiu publiczném. Na każdym kroku widzimy karygodne wykroczenia przeciwko hygienie i brak znajomości elementarnych jéj zasad. Wynika to przeważnie z warunków ekonomicznych, ale jeśli bez zmiany tych ostatnich nie można zniszczyć ich następstw, należałoby przynajmniéj złagodzić je choć trochę, już to za pomocą sumiennéj kontroli, już to środków pe-

dagogicznych, na które na Zachodzie położono wielki nacisk. Tam człowiek niemal od kolebki zaczyna poznawać znaczenie hygieny, słyszy o niéj w szkole elementarnéj. Dlatego-to uderza tam czystość, schludność pod najuboższemi strzechami. U nas nietylko nędzarze, ale nawet ludzie średnio zamożni często bardzo ciężko grzeszą przeciwko hygienie; o systematyczném zaś jéj popularyzowaniu niéma nawet mowy, ani za pośrednictwem prasy, ani słowa żywego. Jeden tylko nieboszczyk Łuczkiewicz położył pod tym względem wielkie zasługi, obdarzając czytelników kilku pism, a najwięcéj „Kłosów", „Urywkami hygienicznemi i lekarskiemi", w sposób barwny i przystępny opowiadanemi. Pożądane byłyby w tym zakresie odczyty, ale nietylko dla inteligencyi. O ile nas pamięć nie zawodzi, dotąd hygiena w odczytach zajmowała bardzo szary kącik. Zresztą wogóle tradycyjne odczyty na Osady rolne straciły w ostatnich latach moc przyciągającą. Niewątpliwie do tego się przyczynili prelegenci niepowołani, często nudni i nieciekawi, a czasem nawet profanujący katedrę publiczną płytkością i banalnością tematów. Że te a nie inne przyczyny sprowadziły oziębłość publiczności, że zatém można jeszcze przywrócić dawną ich sławę i pożytek, najlepiéj dowiódł sezon ostatni, wybitnie się wyróżniający pod względem jakości i opracowania odczyów. Na uznanie zasłużyli szanowni prelegenci, a więc przedewszystkiém p. Krzyżanowski, który w sposób bardzo zajmujący mówił o hygienie miast, wykazując dotkliwe braki i dając rady co do środków zapobiegawczych. Daléj dr Nussbaum w barwny sposób zapoznał licznie zebraną publiczność z ogólnemi rysami budowy i głównemi funkcyami organizmu ludzkiego. Wreszcie dr Heryng przystępnym wykładem o suchotach zajął również bardzo żywo słuchaczy Po za tém leży inna zasługa – przysporzenia funduszu Osadom rolnym.

Pożytecznéj téj instytucyi przybywa szlachetny współzawodnik, p. Wincenty Szymański, kandydat nauk matematycznych, który otworzyć ma w Warszawie zakład poprawczo-pedagogiczny. Posiada on na ten cel do rozporządzenia pokaźny fundusz 50,000 rubli, można więc wróżyć powodzenie zakładowi.

Gdy jedna kategorya spaczonych moralnie zyskuje coraz większą możność poprawy i pożytecznéj pracy w przyszłości, drugi rodzaj przestępców dojrzałych niesie swój trud na usługi rozwoju ekonomicznego państwa, tworząc poważne siły robotnicze przy budowie kolei Syberyjskiéj. Z tego powodu prasa ruska poruszyła sprawę zużytkowania i nadal tych sił, które dotąd są tylko ogromnym ciężarem dla kraju. Projektodawcy wychodzą z tego założenia, że, przy obecnych warunkach kary, skazańcy są tylko narażeni na ostateczny upadek,

nie widząc żadnego celu w życiu, żadnéj przyszłości. Tymczasem praca swobodna, acz ciężka, na korzyść ogólną, może wpłynąć leczniczo na ich stan moralny; zresztą warunek zmniejszenia czasu kary o pół roku za każdy rok pracy będzie czynnikiem umoralniającym i zagrzewającym do szczeréj pracy. Redukcya kary ma być podobno zastosowaną przy budowie kolei Syberyjskiéj.

Będą mieli również ulgę i ułatwienie wychodźcy, zdążający z gubernii środkowych i wschodnich do Syberyi, jako koloniści, dzięki utworzonemu „Komitetowi niesienia pomocy“ w Petersburgu. Prawdopodobnie instytucya ta rozpocznie swą działalność już obecnie, gdyż z nadejściem wiosny ruch emigracyjny zwykle wzrasta. W r. ubiegłym przez Tiumeń przeszło 36,000 osób, których większość znajdowała się w ostatecznéj nędzy. Komitet za pośrednictwem ogłoszeń zagrzewa ogół do niesienia pomocy tym biedakom. Najlepszą formą téj pomocy jest zapisywanie się w poczet członków Towarzystwa, z których kategorya „rzeczywistych“ wnosi do kasy po 10 rs. rocznie, „dożywotnich“ zaś—po rs. 150 jednorazowo.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego Akademi umiejętności w Krakowie, odbytém w d. 10 Kwietnia r. b. pod przewodnictwem p. Zakrzewskiego, sekretarz Wydziału złożył rozprawę d-ra Z. Lisiewicza „O obsadzaniu biskupstw w Polsce“ (Część I. Epoka Piastowska). Jak w innych państwach Europy, tak samo i w Polsce sprawa obsadzania stolic biskupich w ciągu wieków różne przechodziła koleje, zanim przybrała pewną jednolitą formę. Autor w pracy swéj objął tylko epokę piastowską, w któréj sprawa ta aż trzy odrębne przechodziła fazy: pierwsza sięga od chwili wprowadzenia chrześciaństwa w Polsce do końca wieku XII, druga dochodzi niemal do końca wieku XIII, ostatnia zaś obejmuje czasy aż do powołania na tron Władysława Jagiełły. W okresie pierwszym stanowczo daje się odczuwać przewaga władzy świeckiéj nad duchowną, nawet wtenczas jeszcze, kiedy w Europie już ta ostatnia po nad pierwszą się wysunęła. Mimo to atoli monarchowie i całe społeczeństwo żywo interesuje się sprawami Kościoła, dąży do jego dobra i rozwoju i zaopatruje go obficie w potrzeby materyalne. Duchowieństwo świeckie, ani klasztory nie mogą się skarżyć na brak hojności ze strony osób świeckich. Ta przewaga władzy świeckiéj nad duchowną znajduje najwymowniejszy swój wyraz w obsadzaniu urzędów kościelnych w wykonywaniu *jus spolii*, które w okresie tym w całéj sile panuje. Książę ma rozstrzygające słowo przy obsadzie biskupstw, które wy-

łącznie sam wykonywa przez oznaczenie osoby przyszłego biskupa i nadanie mu pierścienia i pastorału (inwestytura). Po dokonanym akcie nadania lud i duchowieństwo mają prawo przystąpienia do tego wyboru i okrzyknięcia biskupem tego, którego już książę wyznaczył.

Zupełnie odmiennie rzecz przedstawia się w okresie następnym. Już w drugiéj połowie w. XII, przez rozbicie się monarchii na kilka odrębnych, silniéj ze sobą nie związanych dzielnic, władza książęca słabnie, a na koszt jéj rosną i wzmagają się inne czynniki, dotychczas pozostające na drugim planie, t. j. rycerstwo i duchowieństwo. To ostatnie rychło bierze górę nad książętami i nad rycerstwem. Wzmagający się ustawicznie w Europie prąd pobożności wtargnął także do Polski i większe tu pozostawił ślady, aniżeli gdzieindziéj. Przez lat sto niemal sypią się pod jéj wpływem olbrzymie fundacye na rzecz Kościoła i donacye dóbr ziemskich na rzecz duchowieństwa, które, poparte przez Papieża, zyskuje wszędzie niesłychaną powagę i znaczenie i zawłada wszelkiemi stosunkami społecznemi i politycznemi we wszystkich dzielnicach. Nie przyszło to Kościołowi łatwo; czynniki posiadające władzę i wpływy nie oddają ich tak lekko i bez walki. To téż i duchowieństwo w całéj Polsce nie doszło do przewagi nad świeckimi przez dobrowolne zrzeczenie się władzy ze strony tych ostatnich. Gdy jednak Kościół wziął ostatecznie nad władzą świecką przewagę, nietylko *jus spolii* w zupełności wygasło, ale nadto duchowieństwo zdobyło sobie takie przywileje, o jakich przed tém nawet nie marzyło. Koncentrowały się one głównie w zupełnéj swobodzie dóbr kościelnych od wszelkich ciężarów świeckich i w odrębném duchownem sądownictwie, tak nad ludźmi Kościoła, jak nad duchownymi. W takich stosunkach nie mogło być nawet mowy o tém, aby książę nadawał urzędy kościelne, a tém mniéj, aby obsadzał biskupstwa; jednym bowiem z pierwszych objawów przewagi duchowieństwa nad świeckimi było właśnie swobodne obsadzanie stolic biskupich przez duchowieństwo, a usunięcie księcia od dotychczas wykonywanego prawa obsady.

Na zmianę tych stosunków w okresie ostatnim trzy czynniki stanowczo wpłynęły: z jednéj strony osłabnięcie władzy papieskiéj i rozluźnienie węzła łączności między kuryą a duchowieństwem; z drugiéj—wzmocnienie potęgi monarszej w Polsce przez połączenie rządów kilku dzielnic w jednych ręku, z trzeciéj wreszcie—skrajne wystąpienie biskupów krakowskich przeciw prawowitym monarchom. W ten sposób z kilku stron jednocześnie potęga duchowieństwa została w Polsce zachwianą: w Rzymie ubyło jéj poparcia, w Polsce zaś powstała chęć jéj ukrócenia. Tradycya podtrzymywała jeszcze

dawną praktykę wyborczą, lecz sami Papieże usiłowali zrobić w niéj potężny wyłom przez objawienie dążności do zawładnięcia obsady wszelkich urzędów kościelnych nieograniczenie i bez współdziałania jakichkolwiek innych czynników, które właśnie dotychczas prawo to wykonywały. Oczywiście, że obsadzanie biskupstw z pominięciem kapituł najgłówniejszy dla ówczesnych Papieży przedstawiało interes, i prawo to usiłowali nabyć przez tak zwane zastrzeżenia przyszłéj obsady w razie opróżnienia danych stolic biskupich. Członkowie kapituł ze swojéj strony, chcąc uniemożliwić ingerencyę papieską, jednoczą się, zaprzestają swarów w czasie wyborów i starają się o wybór kandydata, któryby odpowiadał wszelkim ustawowym wymaganiom. W ten sposób w praktyce utrzymuje się idea dawnéj niezmienionéj elekcyi kapitulnéj i obsady zastrzeżonéj władzy papieskiéj. Wychodzi to tylko na korzyść władzy świeckiéj, gdyż monarcha, nie mogąc poprzéć swego kandydata w kapitule, może przy wpływach kuryi poprzéć go tamże; z drugiéj zaś strony kapituła, wiedząc o tém, wolała nieraz pogodzić się z propozycyą królewską, jeżeli ona była do przyjęcia, aniżeli tracić powagę przez unieważnienie wyboru już dokonanego.

Według sprawozdania sekretarza wydziału, Komisya historyczna odbyła posiedzenie w d. 20 Marca 1891 r., na którém prof. Smolka komunikował wyniki swych poszukiwań w wiedeńskiém archiwum Domu cesarskiego, nadworném i państwowém, odnoszących się do stanowiska mocarstw wobec Polski w 1791 r., mianowicie: depeszę rezydenta austryackiego p. de Caché i posła austryackiego w Londynie hr. Stadiona, oraz ekspedycye urzędu kanclerskiego do p. de Caché i hr. Stadiona.

Prof. Smolka zdawał następnie sprawę z prac „Ekspedycyi rzymskiéj".

Prace w archiwach i bibliotekach włoskich, a mianowicie rzymskich, powierzone były w ciągu kampanii archiwalnéj w 1889/90 r. pp. dr. S. Windakiewiczowi i dr. F. Koniecznemu. Dr Windakiewicz zajęty był wyłącznie badaniem rękopisów, zawierających poezye Kalimacha i pracami przygotowawczemi do wydania tych poezyi. Dr. Konieczny miał powierzoną sobie w archiwum watykańskiém pracę nad uzupełnieniem bogatego zbioru korespondencyi Possewina, zawartych w dwóch tomach „Nunz. di Germania" 92 i 93 z lat 1577—1581. W końcu sprawozdawca zawiadomił komisyę o toku dalszych prac archiwalnych w Rzymie w ciągu obecnéj kampanii. Zajmuje się niemi od Listopada dr. W. Czermak, ze współudziałem O. Bieli, C. R. Przedmiot ich odnosi się do nuncyatury Maryusza Filonardego, arcybiskupa awiniońskiego (1635—1643); równocześnie

dr. Czermak opracowuje w bibliotece Barberinich obfitą korespondencyę Władysława IV i rodziny królewskiéj z kardynałem Bacherinim (1635—1644).

Pod przewodnictwem prof. K. Morawskiego odbyło się w d. 18 Kwietnia posiedzenie Wydziału filologicznego, na którém sekretarz zdał sprawę między innemi z rozprawy prof. G. Blatta „O języku satyr Marcina Bielskiego".

W pracy téj podano szczegółowe zestawienie archaizmów językowych satyr Bielskiego pod względem głosowni, fleksyi i składni, nadto dołączono słowniczek wyrazów mniéj używanych w nowéj polszczyźnie.

— *Okolski Ant.* prof. „Kwestya reformy gimnazyalnéj w Niemczech, Szwecyi i Francyi, tudzież wykształcenia klasycznego wobec potrzeb nowoczesnego społeczeństwa. Warszawa, 1891.

Dwie części tego cennego studyum, o reformie gimnazyów w Niemczech i Szwecyi, drukowane były w „Bibliotece Warszawskiéj."

— Zeszyt drugi lwowskiego kwartalnika historycznego zawiera między innemi: „Wspomnienie pośmiertne o Ksawerym Liskem"; „Polityka Austryi podczas trzeciego rozbioru Polski" przez *Henryka Lisieckiego*; „Z dziejów cywilizacyi starożytnéj" przez *Piotra Bieńkowskiego*; „Sądy Boże w Polsce" przez *Aloizego Winiarza*; „Corpus juris Polonici medii aevi II" przez *Oswalda Balzera*; „O rękopisach poezyj Kallimacha" przez *Stanisława Windakiewicza*.

— Sprawozdanie komisyi do badania historyi sztuki w Polsce." T. IV, zeszyt IV. *Władysław Łuszczkiewicz*: Architektura najdawniejszych kościołów franciszkańskich w Polsce, przyczynek do historyi gotycyzmu w Polsce. *Władysław Łuszczkiewicz*: Reszty renesansowéj kamienicy w Krośnie z r. 1525. *Dr Stan. Tomkowicz*: Sprawozdanie z posiedzeń komisyi za czas od 11-go Lipca 1889 r. do 13-go Marca 1890, z 7-ma tablicami litograficznemi i 20-ma rycinami w tekście. Kraków. 1891.

— *Bronisław Gorczak.* „Archiwum książąt Sanguszków w Sławucie" wydane przez... Tom. III (1432—1534). Tom. IV (1535—1547). 1891.

— „Pamiętnik pierwszego zjazdu chirurgów polskich, zgromadzonych w Krakowie w d. 16-m i 17-m Października 1889 roku. Z 3-a tablicami. Kraków, 1891.

— Tom V wydawnictwa „Wisła“ (Styczeń, Luty i Marzec) zawiera następujące prace: „Próbki szperań po archiwach“, przez Henryka Wiercieńskiego; „Gry dziecięce“ przez Karolinę Smoleńcównę; „Ze staréj książki“ przez L. S. Korotyńskiego; „Raz jeszcze“, „Do brzozy gryżyńskiéj“ przez Jana Karłowicza; „Sobótka we wsi Mikułowice“ przez Szczęsnego Jastrzębowskiego; „Kopernacka“ przez Iksa; „Podanie o Madeju“ przez Jana Karłowicza; „Okienka w chatach“ przez M. Wawrzenieckiego; „Zakończenie dachów“ przez tegoż; „Motywy ludowe“ w balladzie Mickiewicza *Lilie* przez H. Biegeleisena; „Najnowsze teorye heraldyczne pochodzenia polskiego społeczeństwa szlacheckiego, ze stanowiska etnograficznego“ przez Aleksandra Jabłonowskiego; „Zabawki dziecięce“; „Bajka—zagadka o zabitym kochanku“ przez W. Mo...owa; „Wieśniak z Radzyńskiego (objaśnienie ryciny chromolitograficznéj, umieszczonéj na początku tomu); „Buława drogocenna“ przez Tadeusza Dowgirda; „Zagadki mazurskie“ przez J Sembrzyckiego; „Piosnka o babuleńce i jéj koziołku“ przez Jana Karłowicza. Poszukiwania, Bibliografia, Krytyka, Wiadomości bieżące.

— *Malinowski M.* „Mieszkania ludzkie, jakie gdzie były, jakie są i do jakiéj doprowadzono je doskonałości“, napisał... Warszawa. 1891.

Autor w porządku mniéj więcéj chronologicznym opowiada o rozmaitych mieszkaniach ludzi w różnych krajach i czasach, uzupełniając swoje opowiadanie ilustracyami. Doprowadziwszy je do najnowszéj daty, ostatni rozdział poświęca chacie wiejskiéj, mówi jak budować ją najhigieniczniéj i wreszcie daje krótki opis potrzebnego do budowy materyału.

— *Matejko Jan.* „Królowie i książęta“, rysunki. Tekstem objaśniającym zaopatrzył Stanisław Smolka. Folio. Wiedeń. 1891. Zeszytów 1—10.

— *A. Brükner.* „Kazania Świętokrzyskie“ zabytek języka polskiego z wieku XIV. Wydał i streścił... Odbitka z prac filologicznych. 1891.

— *Sopoćko Tytus.* „Poszukiwania archeologiczne w powiecie Ihumeńskim gub. Mińskiéj w r. 1875 i 1883“ dokonane przez... (Z tablicą). Podgórze. 1890.

— *Spasowicz Włodzimierz.* „Dzieje literatury polskiéj“, przekład z rossyjskiego, wydanie III, przejrzał i uzupełnił A. G. Bem. Kraków. 1891.

— *Dr W. Czeczot*, profesor seminaryum katolickiego w Petersburgu, „Praktyczny podręcznik gramatyki języka polskiego dla młodzieży szkolnéj“. 1891.

Krótko wyłożona gramatyka języka polskiego, mająca głównie na celu ułatwienie praktycznego nauczenia się języka. W tym celu autor obok prawideł gramatycznych i polskiéj terminologii podaje odpowiednie termina łacińskie i russkie; w końcu znajduje się słowniczek wyrazów, w których pisownia lub odmiana może nastręczyć trudności.

— *Beik Aleksander*. „Słownik kaszubski porównawczy“ napisał... 1891.

— *Heryng Zygmunt*. „Gawędy ekonomiczne“, przełożył i uzupełnił... Warszawa. 1891.

— *Dr Głębiński Stanisław*. „Waluta w Austryi i dążenie do jéj reformy“, napisał... 1890.

— *Lutosławski W*. „O logice Platona“. Część 1-sza „O tradycyi tekstu Platona“. Kraków. 1891.

— *Zaremba ks. A*. „Biblie wobec nowoczesnéj krytyki i egzegezy“. I. Racyonalizm biblijny, opracował... 1891.

— *Borzemski Antoni*. „Kronika Miechowity“, rozbiór krytyczny. Kraków. 1890.

— *Dr W*. „Zasady ogólne muzyki dla użytku uczniów i organistów“ napisał... Tarnów. 1830.

— *Dygasiński Adolf*. „Listy z Brazylii“. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1891.

Gorączka emigracyi, która roku zeszłego w jesieni opanowała lud nasz, wywołała nader żywe zainteresowanie całego społeczeństwa. Rzecz była o tyle ciekawą, że nikt nie wiedział o rzeczywistém położeniu, jakie emigrantów polskich w Brazylii spotkać może, a ajenci rządowi rozgłaszali bajeczne opowiadania o tym raju, jaki emigrantów za oceanem czeka. Na lep tych obiecanek ludność ruszyła masami. Pragnąc zasięgnąć języka na miejscu, wybrał się do Brazylii p. A. Dygasiński z kompanią emigrantów, na statku używanym wyłącznie do ich przewozu. Miał tedy sposobność zbadać usposobienie ludu, fantastyczny nastrój, jaki ogarnął wszystkich emigrantów do tego stopnia, że każdy był nieomal przekonany, iż jedzie do Amery-

ki po złote runo. P. Dygasiński, po przybyciu do stolicy Brazylii, udał się z emigrantami na miejsca, przeznaczone dla nich na kolonie, i wszystko, co widział i odczuł, opisał w listach. Malują one nietylko nieszczęśliwe położenie chłopów, rzuconych daleko od kraju, w inne warunki ekonomiczne i klimatyczne, lecz razem apatyczną niezaradność ludzi, pozbawionych energii, samodzielności, inicyatywy.

— *Potocki Antoni.* „Listy z Brazylii“ przez wychodźców do rodzin pisane, zebrał... Warszawa 1891.

— *Ćwikliński Ludwik.* „Opis zarazy chińskiéj“ w dziele Tucydydesa II, 47, 2—54. Studyum krytyczne. 1891.

— *Konopnicka Marya.* „Wiosna i dzieci“. Nowa książeczka, napisana przez... Z 11-tu tablicami obrazków. 1891.

— *Simara.* „Nowelle“. On ostrożny. Z portretu. Z uchyleniem zasłony. Warszawa. 1891.

— *Niemojewski Andrzéj.* „Poezye prozą“ (obrazy): Habdank. Retman. Helotka. Didomi. Ogłoszenie. Nad brzegami Dunajca. Pali się. Bajka noworoczna. Kraków. 1891.

— *Brykczyński.* X. A. (Gwiazdzic). Opowiadanie pana Jacentego. Krzyż Goworowski, skreślił... 1891.

Kazimierz Gliński. „Z walk życia“. Obraz dramatyczny. Warszawa. Drukiem Emila Skiwskiego. 1891.

Osobami działającemi są: mąż, żona i widmo (poezyi). Autor przedstawił tu walkę wewnętrzną poety, którego walka o życie, o codzienne potrzeby, sprowadzała z wyżyn poezyi do pospolitéj pracy wyrobnika litarackiego, zmuszonego pracować na chleb powszedni. Rozbrat z ideałami, który *mężowi* zarzuca *widmo*, potęguje wewnętrzne walki poety z jednéj strony, a z drugiéj materyalne położenie bez wyjścia i choroba dziecka nadaje nader dramatyczną cechę całemu obrazkowi.

— *Klemens Junosza.* „Syzyf“, obrazy z życia wiejskiego przez ... Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891.

Kl. Junosza, który dotychczas brał zawsze prawie życie wiejskie z jego stosunkami społecznemi i ekonomicznemi ze strony humorystycznéj i przedstawiał zarówno szlachcica, jak żyda i chłopa, nieco karykaturalnie, już w „Spuściźnie po Gozdawach“ zaniechał dawnéj swojéj metody, a w „Syzyfie“ sięgnął do głębi stosunków wiejskich.

Powieść rozpoczyna autor obrazem ślubu, pełnego dla młodéj i zakochanéj pary różowych nadziei na przyszłość. P. Jan, bohater opowiadania, zabiera się do pracy z całą werwą młodości, sumiennie i szczerze, prowadzi gospodarstwo dobrze, a jednak widzi, że co rok nietylko nie wiążą się końce z końcami, lecz przeciwnie, położenie staje się trudniejszém. Tajemną sprężyną, działającą na szkodę gospodarstwa, jest stosunek zależności szlachty od żydów, który w rezultacie na tém się kończy, że szlachcic całe życie dla żyda pracować musi, uszczuplać powoli fortunę w celu spłacenia długów, ażeby wreszcie przekonać się, że jest bezsilnym wobec nienormalnych warunków, jakie sprzęgły się na jego ruinę. Z jednéj strony — od żydów, widzi falangę zorganizowaną, następującą na niego, z drugiéj—brak solidarności obywatelskiéj, który pozwala każdemu ginąć z osobna, jak mucha w sieci pajęczéj. Kl. Junosza dał tu kilka typów żydowskich i przedstawił całokształt obecnych stosunków wiejskich.

— *Walczewski Z. R.* „Społeczeństwo rodowe". Kraków, 1890.

— *Roman Zmorski.* „Baśń o Sobotniéj górze", z podań szląskich napisał... Warszawa, 1891, str. 20.

— *Tarczyński Hip. B.* „Skarb w lesie" albo: „Kogo sobie śliczna Cesia za męża wybrała", opowiadanie przez... Z 11-tu rysunkami Z. Lipskiego, Jana Kansika i innych. 1891.

— *Cenar Edmund.* „Urządzanie sal i boisk gimnastycznych w szkołach ludowych i średnich i towarzystwach gimnastycznych". Praktyczne wskazówki dla nauczycieli, budowniczych, stolarzów, ślusarzów i rymarzów, napisał... Z 6-ciu litograficznemi tablicami Lwów. 1891.

— *Starkman Adolf.* „Deklamator" (Zbiór monologów). Zeszyt I-szy: Teściowa, Kramarz, Mój pierwszy występ, Pan Zapominalski, Wojtek z Brazylei. 1891.

— „Cieplice Trenczyńskie" (Trencsin-Teplitz) w górnych Węgrzech. Zakład zdrojowo-leczniczy wód mineralnych ciepłych i gorących. Napisał *dr Stefan Filipkiewicz* czł. tow. lek. krakowskiego, lekarz zakładowy w Cieplicach tren. Kraków. 1891.

— *Chociszewski Józef.* „Polak uczący się po niemiecku". Praktyczny przewodnik, który podaje wskazówki rozmowy i nauki, aby w krótkim czasie można czytać, rozumiéć i mówić po niemiecku. Poznań, 1891.

— *Konrad Niklewicz*, b. inspektor winnic w Austro-Węgrzech, napisał rozprawkę „Wina owocowe i miody“, traktującą o fabrykacyi tych przetworów. Książka wyszła w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa.

— *Maitens F.* „O funkcyach całkowitych symetrycznych“. Kraków. 1891.

— „Uczonyja zapiski Imperatorskawo Kazanskawo Uniwersiteta“ zawierają między innemi: *J. Dogiela* „Główne podstawy działąłności ludzkiéj“; *D. A. Goldhamera* „Nasze wiadomości o eterze“ *N. Tichowa* „Rys gramatyki narzecza zachodnio-bulgarskiego“; *G. Szczeniewicza* „Ekonomiczne uzasadnienie prawa autorskiego“; *I. Gwozdiewa* „Kilka słów o stanie medycyny sądowéj w nowych czasach“; *J. Nikolskij* „O przedmiocie ekonomii politycznéj“.

SPROSTOWANIE.

W artykule „Ziemia i jéj odłużenie“ wkradła się omyłka do tabliczki, znajdującéj się na str. 269. Poprawioną tabliczkę powtarzamy w całości:

Bez długu morgów	536	tys. mor.
Z długiem wyłącznie Towarzystwa Kred. . .	1,854	„
Z długami, których ogół nie przenosi należności tegoż Towarzystwa 2 razy	3,419	„
Z długami, których ogół przenosi 2—2½ raza należności Tow. Kredytowego.	1,307	„
Z długami, których ogół przenosi tę należność 2½—3 razy	965	„
Z długami, których ogół przenosi tę należność 3—4 razy	814	„
Z długami, których ogół przenosi tę należność 4—5 razy	1,157	„.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

Obrona granic Rzeczypospolitéj od Tatarów.

Napady Tatarów, ustawiczna z nimi walka, organizacya obrony przeciw temu okrutnemu wrogowi, równie jak usiłowania, podjęte przez Zygmunta Starego dla zaprowadzenia, w celu tejże obrony, wojska stałego, rozpoczęte na wielką skalę i uwieńczone pomyślnym skutkiem dopiero za Zygmunta Augusta, ale w rozmiarach bardzo maluczkich: wszystko to, razem wzięte, stanowi ciekawy przyczynek do historyi sztuki wojennéj w Polsce za Zygmuntów i dlatego uważam sobie za obowiązek zająć się bliższém wyjaśnieniem tych dziejów. Do wstąpienia na tron Zygmunta 1-go, obrona granic od Tatarów opierała się na starostach zamków pogranicznych, którzy obowiązani byli mieć pilne oko na ruchy nieprzyjaciela i, w razie napadu, występować zbrojnie do boju, na czele ziemian, bojarów i mieszczan [1]. Straże polowe, szczególnie w czasie robót, utrzymywali sami mieszczanie [2], a może także i bliżsi od granicy ziemianie. W Tomicyanach napotykamy następne słowa Zygmunta: „In Podolia non curienses ad custodiam compellantur sed Podolite eandem pro veteri consuetudine servunt“ i daléj: volemus tamen, ut pro abusum Podolite, illi presertim, qui ex primevo ordinatione obligantur, ab ejusmodi custodia servanda cesserunt... sed... ut omnino illi, qui ad hoc obligati sunt custodiant.“ [3]).

---

[1]) Archiwum Południowo-Zachodniéj Rossyi Cz. W. T. I. p. 38.
[2]) Źródła Dziejowe T. VI. p. 112.
[3]) Acta Tomiciana T. II. ustęp 229.

Straże te jednak musiały być niewystarczające, od wstąpienia bowiem swego na tron, utrzymuje król Zygmunt stałe wojsko zaciężne na granicach Podola. Tak, już w r. 1507, strzegło tych granic w lecie 500, a w zimie 150 jazdy służebnéj [1], a 400 piechoty stało w Kamieńcu. W roku zaś 1508 utrzymywano na żołdzie 500 jazdy i 200 piechoty [2]. Wojsko to opłacał król z poborów, które na sejmach r. 1507 i 1508 uchwalone zostały w ilości 12 groszy z łanu i do tego szos i czopowe. Przełożonymi nad tymi żołnierzami byli: nad jazdą Jan Tworowski, a nad piechotą Stanisław Lanckoroński. Jak błogie skutki miało opatrzenie granicy, pokazało się zaraz w r. 1508. Gdy bowiem Tatarzy, w liczbie 2,000, na Ruś wpadli, ścigani przez zaciężnych, zostali pod Woronowem zniesieni i cały plon im odebrano [3].

W r. 1509, na sejmie piotrkowskim uchwalono pół łanowego i nowe cło; ale skarb, prócz poborów, otrzymał dochód z jubileuszu [4]. Za te pieniądze zaciągnięto 1,000 jazdy i 3,050 piechoty [5]. Siły te jednak, wspólnie z nadwornymi 300 jeźdźcami [6], użyte były przeciwko wojewodzie Mołdawskiemu Bohdanowi. W r. 1510 sejm podniósł znowu pobory do 12 groszy z łanu. Za te pieniądze donajęto jazdy, która we Lwowie na Wielkanoc popisywać się miała. Utrzymywano jéj w tym roku 3,000 i prócz tego piechotę w Kamieńcu [7]. Król posłał dowódcom tego wojska po 1,000 złot., z których po 500 złotych pieniędzmi i tyleż w suknie, upominając zarazem Tworowskiego, aby zajmował posterunki w odleglejszych miejscach i aby jezdni jego mieli konie dobre i utrzymywali je w takiéj liczbie, na jaką żołd pobierają [8].

Służba na kresach odbywała się niezupełnie zadawalniająco. Wojsko dopuszczało się nadużyć. Żołnierze obowiązani byli żyć z żołdu i żywność dla siebie i koni kupować podług taksy ustanowionéj. Atoli zdarzało się, że brali żywność, nie płacąc. Ze swéj strony wieśniacy wozić im jéj nie chcieli, przez co znowu wykraczali przeciw prawu, które obowiązywało ich dowozić żywność dla wojska. Ztąd skargi jednych i drugich do Króla, który przez listy do w-dy Bracławskiego, ks. Konstantego Ostrogskiego, tudzież do

---

1) „Trzy rozdziały historyi skarbowości w Polsce" p. 13.
2) ibid, 15.
3) Acta Tomiciana T. I. Commen. p. 22.
4) „Trzy rozdziały historyi skarbowości w Polsce" p. 17.
5) Ibid. d. p. 18.
6) Ibid.
7) Ibid. p. 28.
8) Tomic. T. I. p. 124.

Tworowskiego starał się utrzymać siłą prawa, regulującego te stosunki [1]).

Wiele téż żołnierzy absentowało od wojska, czy to z przyczyny spraw sądowych i interesów familijnych, czy może i dla wypoczynku. Bardzo się to nie podobało Zygmuntowi; posyłając tedy żołd, pisze do Tworowskiego, ażeby tym, którzy się przy wojsku nie znajdują i pełnią służbę przez sługi lub zastępców, żołdu nie płacił [2]). Sejm, zebrany w Piotrkowie 11-go stycznia 1511 roku, ustanowił pobory po 6 groszy od łanu i prócz tego podatek zwyczajny od miast na utrzymanie w pierwszym roku 3,000, a w roku następnym 2,000 żołnierzy. Duchowieństwo zaś obowiązało się złożyć 40,000 złotych na wykupienie dóbr stołowych ruskich, a dochód z nich miał być użyty na najem służebnych. Potém na zjeździe, w Korczynie zgromadzonym, przed wyjazdem króla do Wilna, zgodzili się Małopolanie na powołanie jednéj trzeciéj części, a w razie wielkiego naporu ze strony nieprzyjaciela, i całego pospolitego ruszenia, według spisów dawniéj uczynionych [3]).

W skutek tego polecił król Lanckorońskiemu, aby po otrzymaniu wiadomości od szpiegów, których utrzymywał w Bracławiu i Czerkasach [4]), o liczbie nieprzyjaciela, dał o tém znać natychmiast staroście lwowskiemu, a ten miał obwieścić innym starostom, czy pospolite ruszenie powinno było wystąpić całe, czy téż tylko w trzeciéj części. Dla zwołania rycerstwa zostawił Zygmunt Kamienieckiemu wici z okienkiem, dla wymienienia miejsca i czasu zebrania; starostom zaś rozkazał uprzedzić szlachtę, aby trzymała konie i zbroje w pogotowiu i za pierwszém wezwaniem na koń wsiadła [5]).

Trzecia część posp. ruszenia istotnie się zebrała ku wielkiemu zadowoleniu króla, który w liście do Jana Odrowąża, wojewody ruskiego, i Stanisława z Chodcza, marszałka koronnego, rozkazuje, aby rycerstwo stanęło kilku obozami, w takiéj odległości od siebie, iżby w razie potrzeby spiesznie mogło się zgromadzić i wspólnie ze służebnymi nieprzyjaciela odpierać [6]).

Tworowski, z powodu trudności utrzymania się ze swymi żołnierzami na kresach, miał według rozporządzenia królewskiego, zostawiwszy 200 jezdnych w Międzybużu, resztę rozlokować: w Busku,

---

[1]) Ib. ust. 210.
[2]) Ib. p. 201.
[3]) Tomic. ust. 223, 327.
[4]) Ib. ust. 228.
[5]) Ib. ust. 226.
[6]) Ib. ust. 301.

Pomorzanach, Dunajowcach, Buczniowie i Trębowli. Zalecił przytém król rozstawić roty, dla łatwiejszego żywienia, po starostwach, w taki sposób, ażeby w razie potrzeby łatwo się zebrać mogły [1]).

Burza jednak w tym roku przeszła stronami, Tatarzy bowiem spustoszyli Mołdawię i Litwę, omijając prowincye koronne.

Trwoga atoli nie ustawała i w r. 1512; ciągle bowiem dochodziły wieści, że Tatarzy z pierwszą trawą wybierają się do Polski i że, przepłynąwszy Dniepr, rozłożyli się na stepach lewego brzegu téj rzeki, ażeby spiesznie i znienacka wpaść na nieprzygotowanych [2]) Zafrasowany Zygmunt spodziewał się, że będzie mógł naradzić się ze stanami, na swojém weselu w Krakowie, dokąd zwołał senatorów i posłów na 14 lutego 1512 roku. Omyliła go wszakże nadzieja, stany bowiem zebrały się niedość licznie i pozbawiły sejm kompetencyi. Król jednak zebrał senatorów i powziął z nimi postanowienie, że należy kontynuować pobór przeszłoroczny, a tymczasem za pożyczone pieniądze utrzymywać, podobnie jak w roku przeszłym, 3,000 żołnierzy. Radzono téż w kole senatorskiém nad tém: co uczynić, by już raz przecie skończyć ów targ sejmowy o pobory, który „enervat statum universum et parum est efficax contra potentiam hostium“ [3]).

Stosownie do tych narad kazał król zaciągnąć żołnierzy, na których spisanie wyznaczył dzień 1 Maja we Lwowie. Zwołał téż sejmik dla Wielkopolski w Kole, na 28 Lutego, i rozpisał wici, w których, wystawiając niebezpieczeństwo, grożące ze strony Tatarów, wzywa trzecią część pospolitego ruszenia na Przewodnią Niedzielę, t. j. 15 Kwietnia, do Lwowa [4]).

Nie chcieli jednak Tatarzy oczekiwać skutków tych rozporządzeń i już 13 Kwietnia na Ruś wtargnęli, a położywszy kosz pomiędzy Buskiem a Oleskiem, daleko i szeroko rozpuścili swe zagony [5]).

Otrzymawszy o tém wiadomość, zrozpaczony Zygmunt pisze do Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego: „Widzimy teraz jasno owoce, jakie Rptéj ta nieograniczona wolność przynosi. Przewidzieliśmy i przepowiedzieliśmy to, co się stało, ale nam nie wierzono. I oto musimy z bólem i wstydem patrzéć, jak nam nieprzyjaciel państwo nasze pustoszy, rabuje, wyplenia, ogniem i mieczem niszczy. Nie nasza jednakże w tém wina i niezasługujemy na sąd przed Bogiem i ludźmi, gdyż z powodu urządzeń i konstytucyi wadliwéj, nic

---

[1]) Ib. ust. 181.
[2]) Tomic. T. II. ust. 34.
[3]) Ib. ust. 31.
[4]) Ib. ust. 34.
[5]) Ib. ust. 56.

dla pożytku Ojczyzny uczynić nie możemy". A w liście do Firleja w-dy lubelskiego dodaje: „Nie może nas nikt obwiniać, żeśmy nie zrobili tego, co było w naszéj mocy; ale nie możemy przekraczać praw, które nas ograniczają, a wadliwe urządzenia Rzplitéj ręce nam wiążą" [1]).

Nie siedział jednakże Zygmunt z założonemi rękami, a czynił, co mógł, w trudném położeniu. Posłał rozkazy Lanckorońskiemu i Tworowskiemu, aby, pomni na swą powinność, stanęli w obronie kraju, rozpisał listy do Firleja, Tęczyńskiego i innych panów i szlachty, aby, zebrawszy zbrojne poczty, „cum sociis et amicis" śpieszyli na ratunek Ojczyzny, hetmanowi zaś w. kor., Mikołajowi Kamienieckiemu, kazał natychmiast wyruszyć z nadwornemi chorągwiami z Krakowa, a połączywszy z sobą służebnych i poczty panów, odpierać wroga. Ale pierwéj, nim Kamieniecki do Lwowa przybył, już niektórzy z walecznych rycerzy odnieśli kilka zwycięztw nad zagonami tatarskiemi. Lanckoroński poraził ich pod Biłką, w inném znowu miejscu zniósł ich Jan z Pilczy. Odnieśli także zwycięztwa Fredrus Herbordt i Chrzanowski [2]).

Niedługo jednak tym razem gościli Tatarzy, a zebrawszy jaki mogli plon, cofnęli się. Kamieniecki już ich koło Lwowa nie zastał; mając jednak sporo rycerstwa, postanowił ścigać nieprzyjaciela. Zachęciło go do tego i wezwanie ze strony ks. Konstantego Ostrogskiego, który zapraszał do połączenia się z sobą dla wspólnego działania.

Lubo Tatarzy w chwili przybycia Kamienieckiego do Lwowa byli, podług zeznania jeńców, już o 5 mil od tego miasta, Kamieniecki, wiedząc, że obciążeni łupem uchodzili zwykle powoli, nie tracił nadziei doścignięcia ich. A że obrali drogę na Łopusznę, poszedł sam w kierunku Wiszniowca, i przybywszy na czwarty dzień do tego miasteczka, połączył się z księciem Konstantym.

Zaraz złożono radę wojenną, na któréj postanowiono, pomimo liczby bardzo nierównéj, (było bowiem w połączoném wojsku około 6,000, gdy nieprzyjaciela liczono na 20—26 tysięcy) napaść na Tatarów. Chciano jednak pierwéj powziąć wiadomość o ich położeniu i drogach ku nim wiodących. Misyi téj podjął się Lanckoroński i tejże nocy przywiózł dokładną o wszystkiém wiadomość. Nie było co tracić czasu, wyruszyli tedy w pochód natychmiast i, zrobiwszy 18 wiorst drogi, wkrótce po wschodzie słońca stanęli wobec nieprzyjaciela.

---

[1]) Tomic. II. ust. 56. 56.

[2]) 16. p. 74. „Descriptio pugne et victorie de Tattaris."

Był to dzień Św. Witalisa, 28 Kwietnia [1]). Tatarzy już byli ruszyli z kosza i w obecnéj chwili znajdowali się na wysokiém i szerokiém wzgórzu, pod lasem. *Polaków* i *Wołyniaków* oddzielała od nich bagnista dolina, która nieco przejście utrudniła. Przebywszy ją, stanęli w szyku bojowym w następnym porządku: Na czele kilka działek i trochę piechoty. Za nią, na prawém skrzydle, ks. Konstanty Ostrogski z Wołyńcami, na lewém zaś Jan z Pilczy ze swym pocztem. Podle księcia trzéj bracia Pileccy: Stanisław, Mikołaj i Otto, za nimi ku lewemu nadworne chorągwie, pod wodzą Wojciecha Sempolińskiego, któremu towarzyszyli: sławny wojak Jakób Secygniowski i Jan Grzymułtowski; za nadwornemi stały chorągwie Marcina Kamienieckiego i Stanisława Łuszczewskiego, a dalej panów z Wiśnicza, z których Piotr starszy, nietylko w kraju, ale i za granicą w Niemczech i Włoszech, walcząc pod sztandarami cesarza Maksymiliana, zdobył sobie niepospolitą sławę. Z Kmitowemi łączyły się chorągwie Andrzeja Boratyńskiego, daléj zaś stały trzy chorągwie służebnych, oraz poczty Stanisława i Jana Tarnowskich. Prócz wymienionych, znajdowało się w szeregach wielu jeszcze świetnych młodzieńców i sławnych rycerzy.

Za tą pierwszą linią stały inne roty w drugiéj linii, a za niem huf walny, na którym cała siła i nadzieja wojska spoczywała. Dowodził nim *szlachetny* Jan Odrowąż w-da ruski, mąż w dziele bojowém, równie jak w radzie znamienity. Były inne jeszcze roty posiłkowe i mnóstwo czeladzi obozowéj, którą żądza łupu zwabiła. Litwinami dowodził ks. Konstanty, a Polakami Hetman W. Kor., Kamieniecki Mikołaj, który szyk sprawiał, szeregi objeżdżał i do bitwy zachęcał. Pomocnikami jego byli: Stanisław z Chodcza mar. koronny, oraz Stanisław Lanckoroński i Jan Swierczowski.

Niespodziane ukazanie się świetnych szeregów wojska polskiego i litewskiego przejęło Tatarów trwogą. Zakołysali się, jak fala morska, i mieszać się zaczęli; ale prędko przyszli do siebie i swoim zwyczajem rozpoczęli bieganie przed czołem wojska naszego, wypuszczając gęste strzały, a potém, rozdzieliwszy się na cztery partye, poszli do ataku, jedni na prawe, drudzy na lewe skrzydło, a inni na środek. Najgwałtowniejsze uderzenie skierowane było na skrzydło Wołyniaków, którzy téż sami ruszyli na spotkanie Tatarów. Ale chociaż z powodu gęstego lasu nie mogli tego skrzydła otoczyć, tak silnie na nie napierali, że szeregi ks. Konstantego, lubo stawiły za-

---

[1]) Opisanie bitwy pod Łopuszną oparłem na Tomicyanach T. II. p. 74 Descriptio pugne etc.; Bielskiego Marcina Kronika 1764 r. p. 448; Wapowskiego Kronika Scr. R. P. T. II. p. 106.

wzięty opór, cofać się już poczęły. Polacy tymczasem nie stali bezczynnie, a za przykładem Sempolińskiego raźno skoczyli na Tatarów, i jedném silném uderzeniem przełamali ich i do ucieczki zmusili. Ścigali ich potém zapamiętale i wszystkie drogi trupem usłali. Tatarzy swoim zwyczajem rzucali siodła, łuki, sajdaki i wszystko, co na nich było, do gołego ciała, aby sobie ucieczkę ułatwić, kogo jednak mógł dosiądz oręż polski, ten z życiem nie uszedł. Owocem zwycięztwa był liczny, do 10,000 wynoszący jassyr i najrozmaitsze nagrabione łupy. Wodzowie pozwolili zabierać swoją własność, ktoby ją znalazł; ale na to nie uważano i brano swoje i cudze. Dobytek zaś rozdano między żołnierzy. Najtrudniéj było z dziećmi, z których wiele nieznało swego imienia i swych rodziców nazwać nie umiało. Padło Tatarów około 5,000, naszych tylko 50.

Po tém szczęśliwém zwycięztwie, tegoż dnia powrócono do Wiszniowca, gdzie wojsku dano odpoczynek, a nazajutrz ks. Konstanty wszystkich panów i szlachtę na ucztę zaprosił.

Wygrana pod Łopuszną, zwykle nazywana zwycięztwem pod Wiszniowcem, doprowadza do wniosku, że 6,000 stałego wojska mogłoby odbijać napady i wstrzymywać najazdy 25 tysięcznych partyi Tatarskich; tłumy liczniejsze nad 40 do 100 tysięcy rzadziéj nawiedzały Polskę.

Tworowski ze swymi służebnymi nie przyjmował udziału w téj bitwie. Rzecz widoczna, że Tatarzy przekradli się niepostrzeżeni od nich, w czém niéma nic dziwnego, zajmując bowiem kilka punktów, jak Bracław, Międzybuż, Chmielnik, nie mogli ustrzedz długiego pogranicza, ciągnącego się między Dniestrem i Dnieprem. Musiało być wtenczas około 2,000 zaciężnych, a cóż dopiero mogła sprawić mniejsza liczba ludzi, jak 500, albo i 150, do któréj niekiedy ograniczała się ilość ludzi, na Podolu utrzymywanych. Ale i cały system dotychczasowy obrony był siecią pajęczą, dobrą chyba na muchy, nie na ptaki drapieżne. Urządzony on był w ten sposób: w Czerkasach, Chmielniku, Bracławiu utrzymywano szpiegów. Jakim sposobem szpiedzy mogli z takiéj odległości wywiadywać się o tém, co się działo w Krymie, trudno sobie wytłómaczyć. Być może, że jeździli w dzikie pola, gdzie koczowali Tatarzy, lub do Krymu, i tam się wywiadywali o zamiarach nieprzyjaciela. Prócz tego śledzili Tatarów Podolanie i służebni, patrolując po granicy i posyłając podjazdy w stronę stepów. Szpiedzy sami, czyli téż przez gońców, służebni zaś, jeśli się im udało wcześnie podpatrzyć Tatarów, może za pomocą urządzonéj; konnéj poczty, dawali znać Lanckorońskiemu do Kamieńca, ten zań posyłał gońców do starosty Lwowskiego, który z kolei zawiadamiał bliższych starostów, a ci dalszych, tudzież szlachtę i lud

o grożącém niebezpieczeństwie. Na to hasło, każdy obowiązany do służby powinien był wsiadać na koń, spieszyć do swego starosty, a wszyscy starostowie z zebranym przez siebie ludem, wspólnie ze służebnymi, pod komendą Lanckorońskiego odpierać wroga. Samo uprzedzenie w porę już było dobrodziejstwem, gdyż dawało możność przynajmniéj życie i co cenniejszego unieść do zamków. Widzieliśmy jednak na przykładzie, że i to nie zawsze się udawało, gdyż cała horda Tatarów, w liczbie do 25 tysięcy, przekradła się niepostrzeżenie. Tatarzy bowiem strategią swoją, w kierunku złodziejskim, doprowadzili do wysokiego stopnia doskonałości. Korzystając z miejscowości stepowéj dzisiejszéj Noworossyi, przedstawiającéj równinę, przerzniętą głębokiemi dolinami, tak zwanych w miejscowém narzeczu wielkich bałek, jak Kujalniki, Tyliguł i inne, w kierunku pożądanym dla nich z południo-wschodu na północo-zachód, mogli ukrywać swe ruchy prawie do saméj granicy Rplitéj. Tu dopiero wypocząwszy i podpatrzywszy, którędyby niepostrzeżenie wkroczyć mogli, szli naprzód dzień i noc i przytém tak pośpiesznie, że najbystrzejszy kuryer nie mógł ich uprzedzić, a potém spadali na Ruś lub Wołyń, jak piorun z jasnego nieba.

Jakże z tym lotnym wrogiem, zasadzającym swoją strategią na szybkości i niespodziance, walczyć miało pospolite ruszenie, które dla swego powołania wymagało zezwolenia sejmu, potrójnych wici i długiego czasu na ściągnięcie wojowników, rozproszonych po całym państwie, na jedno miejsce, wyznaczone za punkt zboru. Nawet szlachta ruska zwykle się spóźniała z zebraniem do kupy. Nie mogło być téż mowy o powstrzymaniu rabusiów i przegrodzeniu im drogi. Dobrze już, jeśli się udało łup i jassyr odebrać, tak, jak się to powiodło w bitwie pod Łopuszną. Ale zagrabione mienie już nie wracało do swych właścicieli, spalone wsie i miasta trzeba było odbudowywać na nowo, a zabici byli stratą niepowetowaną.

Tarnowski w swojém „Consilium" podaje kilka sposobów do walki z Tatarami, a z nich najpraktyczniejszym wydaje mi się następujący: „Gdyby téż Tatarowie wciągnęli, iżby tak mocnego wojska nie było, iżby się z nimi bić mogli, albo iżby im kosą być nie mógł, a wszakoż żeby było ludzi naszych tysiąc albo więcéj, tedy, ponieważ Tatarowie zagony szeroko rozpuszczą i że będą od siebie we trzydzieści mil jedny zagony od drugich, gdzie się łatwiéj z ogniów sprawić, gdy wsi palą, tedy nic pożyteczniejszego, jeno między ony ognie wjechać, a tam zagony bić, bo ci, co daleko, drugich ratować nie mogą, a gdzieby się ratowali ci co bliscy są, tedy nie będą tak mocni, chociażby się ich wiele zebrało, aby ich dwiema albo trzema tysiącami nie bił". Ale i ten sposób działania wyma-

ga, prócz śmiałego wodza, jakim był Sobieski, który go zastosował w r. 1672, przynajmniéj 3 do 4 tysięcy żołnierzy, a tymczasem i tych zwykle Polacy w gotowości, w odpowiedniej chwili, nie mieli. Przytém strategia Tarnowskiego grzeszyła pod tym względem, że wyznaczyła termin do napadu zbyt spóźniony, kiedy nieprzyjaciel, rozpuściwszy swe zagony, już wiele wiosek popalić i innych szkód wyrządzić zdołał. Tu zaś chodziło o to, ażeby go, jeśli nie na granicy, to w dalszéj drodze powstrzymać i do czynienia szkód zupełnie nie dopuścić.

A taka obrona mogła być osiągnięta tylko za pomocą wojska zaciężnego, w pewnéj odpowiedniéj sile, które-by ciągle pod bronią stało.

Widział to jasno król Zygmunt i, dla zadosyćuczynienia téj potrzebie, trafił na myśl bardzo szczęśliwą, mianowicie: na zamianę powinności wojskowéj szlachty, znanéj pod nazwą pospolitego ruszenia, na pieniądze, za które można było utrzymywać stałe wojsko zaciężne. Zdało-by się, że taka zamiana powinna była być pożądaną i dla saméj szlachty, dla któréj wyprawa powszechna była bardzo uciążliwą. Dla Rplitéj zaś podobna reforma była-by niezmiernie użyteczną, i to nietylko dlatego, że zabezpieczyła-by skutecznie jéj granice od okrutnego wroga, ale uwolniła-by ją od strasznych spustoszeń, które towarzyszyły ciągnieniu posp. ruszenia na miejsce zboru i napowrót.

To téż w orędziu na sejmik Kolski, Zygmunt, przedstawiając sejmującym wadliwość obrony, za pomocą wyprawy powszechnéj, upomina, aby obmyślili inną, odpowiedniejszą. Delegatom zaś na ten sejmik wyznaczonym: Mikołajowi Firlejowi, wojewodzie lubelskiemu, i Mikołajowi Lanckorońskiemu poleca podsunąć szlachcie myśl o zamianie, proponując taksy na konia po 6 złotych; a zarazem wyjednać uchwałę poborów, na zapłacenie powiększonéj z potrzeby liczby wojską na przeszłą wojnę z Tatarami, na co król dług zaciągnął.

Zaskoczone z nienacka rycerstwo Wielkopolskie, zapewnie pod wpływem Łaskiego, arcybiskupa gnieznieńskiego, Jędrzeja Górki i innych senatorów, zgodziło się na redukcyę powinności wojennéj na pieniądze, zniżywszy tylko taksę od konia na 5 złotych. Poborów jednak nie uchwaliło, tak, że tryumf, jaki król z tak pomyślnie rozpoczętéj akcyi mógł sobie rokować, został znacznie umniejszony przez niezaspokojenie naglącéj potrzeby.

Było-by to istotnie wielkim tryumfem dla obrony Rplitéj, gdyby ta uchwała Kolska utrzymać się dała. Biorąc bowiem na uwagę tylko liczbę koni posp. ruszenia, w któréj wystąpiła szlachta wielkopolska i małopolska na wojnę pruską w r. 1520, szacowaną w To-

micyanach na 100,000 koni [1]), mielibyśmy 500 tysięcy złotych, a przecież pozostaje jeszcze do obliczenia rycerstwo Rusi i Podola, które w wojnie pruskiéj nie przyjmowało udziału. Słowem, była-by to taka suma pieniędy, o któréj skarb Rplitéj ani marzyć nie mógł. Król, jak by nastraszony swém powodzeniem, nie chciał już probować zachodów o podobneż ustępstwo ze strony Małopolan w Korczynie i odłożył swe plany do sejmu walnego.

Sejm ten zebrał się w Piotrkowie na 13 Października 1512 roku. Gdy stany, a głównie posłowie poznańscy i kaliscy, nie chcieli podniéść poborów na utrzymanie służebnego żołnierza, odwołując się do utrwalonego przez wieki sposobu obrony, za pomocą wyprawy powszechnéj, król, wskazując na wadliwość, uciążliwość i nieprzydatność tej wyprawy do walki z Tatarami, zaproponował od siebie inny sposób, łatwiejszy i więcéj odpowiadający potrzebie, mianowicie: aby w całéj Koronie szlachta dała się spisać, na ilu kto koniach służbę pełnić powinien, a potém, podzieliwszy całe posp. ruszenie na 5 części, aby w każdym roku jedna taka część strzegła bezpieczeństwa granic na Rusi, od Wielkiéj Nocy do Ś-go Marcina. Ruś zaś miała zostawać ciągle w gotowości wojennéj, aby w potrzebie wspierać tych, którzy ją bronić mieli. Kto-by nie chciał lub nie mógł iść osobą swą na wojnę, mógł się okupić, złożywszy po 10—12 złot. od konia, na najem służebnych, którzy-by za nich pełnili służbę [2]).

Projekt ten był daleko umiarkowańszy od poprzedniego i powinien był więcéj imponować rycerstwu, wymagał bowiem od niego służby w naturze, do któréj było obowiązane, wykup zaś dopuszczał, jako ulgę, dla życzących jéj sobie. Nadto koléj miała przypadać na piąty rok, a więc pociągał za sobą wydatek już nie pięciu, lecz tylko jednego złotego na konia rocznie, a nawet w razie opłacenia powinności dwnnastu złotemi, wydatek mało co większy od 2 zł. rocznie.

Atoli posłowie województw Kaliskiego i Poznańskiego nie chcieli przystać i na te złagodzone propozycye, wymawiając się brakiem pełnomocnictw od swych wyborców [3]).

Król, nie chcąc narzucać gwałtem swym poddanym projektów, lubo najsłuszniejszych, lub też uciekać się do intryg i podstępu, miał nadzieję, przez wyjaśnienie rzeczy i perswazyę, skłonić rycerstwo do przyjęcia reformy. W tym też celu wyznaczył sejmiki generalne dla Małopolan w Korczynie, a dla Wielkopolan—na 3 Stycznia 1513 roku w Poznaniu, dokąd i sam z żoną wyjechał.

---

[1]) T. V. ust. 356.

[2]) 16 T. II. Commentarius ust. 143 mówi o taksie od konia po 10 złot. a w ust. 198 jest mowa o 12 złot.

[3]) 16. ust. 143.

Tu mu się udało pozyskać Wielkopolan dla proponowanego przez się sposobu obrony, przychyliła się téż ku niemu i szlachta małopolska w Korczynie, z tém jednak zastrzeżeniem, że Ruś w odbywaniu powinności wojennej miała być przyłączona do Małopolan, mianowicie powiaty Przemyski, Sanocki i Halicki do okręgu Krakowskiego, a Chełmski, Bełski i Lwowski do Sandomierskiego. Ale król musiał przyrzéc, że po upływie 5 lat ten nowy sposób obrony granic przedłużony nie będzie i że żadném naruszeniem przywilejów szlachty zagrażać nie ma [1]).

Popis miał się odbywać przy delegatach, wyznaczonych od króla, i wobec kilku szlachty, przez nią samą obranych. Delegaci obowiązani byli zapisać taką liczbę koni, jaką kto wykaże, i zachować ją w tajemnicy. A ponieważ ziemia Krakowska miała rozpocząć koléj odbywania służby na Rusi w pierwszym roku, wyznaczono dla niéj popis w P Proszowicach [2]).

Popis ten jednak, dla którego odprawienia delegowany był hetman W. Kor. Kamieniecki, zupełnie się nie udał. Wprawdzie ubożsi młodsi bracia szlachta zaczęli się byli zapisywać i pieniądze składać; ale możniejsi, którzy wyprowadzali poczty, nieodpowiadające ilości posiadanéj przez siebie ziemi, nie chcąc wystawić swego sknerstwa na widok publiczny, podburzeniem zapisujących się do oporu całą rzecz zniweczyli [3]). A że sejm Piotrkowski żadnych poborów na utrzymanie wojska nie uchwalił, zmuszonym się widział król rozpuścić służebnych żołnierzy, pozostawiwszy tylko garść swoich nadwornych „Curienses“, których utrzymywał z własnych dochodów [4]). Takim sposobem, z łaski kilku wichrzycieli, nie tylko że tak pomyślnie rozpoczęta reforma nie przyszła do skutku, ale jeszcze R-pta została zupełnie z obrony ogołoconą.

Król jednak nie tracił nadziei, że przyprowadzi swych poddanych do upamiętania, i wyznaczył Krakowianom nowy popis w Proszowicach na Ś-tą Małgorzatę. W orędziu z tego powodu do zjazdu pi-

---

[1]) Tomic. II, ust. 198.

[2]) Ib. ust. 307.

[3]) Ib.

[4]) Ib. ust. 128. 135. „Curienses“—wojsko, albo chorągwie nadworne za Zygmuntów, nie miało stałego etatu, lecz powiększało się i zmniejszało, stosownie do potrzeby, a może i dochodów króla. Bywało w niém, w roku 1507 — 430 koni. W r. 1508, podczas wojny z Moskwą, 600 koni, w r. 1509 przed wojną wołoską 701 koni, a po téj wojnie 323. Służyli w niém, prócz Polaków i Rusinów, Szlązacy, Czesi, Węgry, Serbowie, Wołosi, a późniéj: Moskwa, Włosi, Francuzi i Hiszpanie. Wszyscy dygnitarze i urzędnicy dworscy, od kanclerza do lekarza, mieli w niém po kilka koni. (I-szy rozd. p. 28).

saném, wystawiając niebezpieczne położenie R-ptéj, pozostawionéj bez wszelkiego opatrzenia granic, nalega, ażeby popis, który z powodu podżegania kilku wichrzycieli nie przyszedł do skutku, koniecznie odbył się w wyznaczonym terminie, w myśl postanowień sejmików generalnych w Poznaniu i Korczynie. Delegatom zaś na ten zjazd: Mikołajowi Jordanowi, kasztelanowi Wiślickiemu, i Janowi Tęczyńskiemu polecił, wmówić i przekonać zgromadzonych, aby koniecznie popisać się dali, zgodnie z uchwałami wspomnianych sejmików, nie wprowadzając żadnych innych formalności [1]).

Zarazem przesłał rozkaz Janowi Odrowążowi, W-dzie ruskiemu, ażeby, będąc sam chory, polecił Spytkowi z Jarosławia K-nowi Krakowskiemu, wspólnie z K-nem ruskim, uczynić popis szlachty ruskiéj na Ś-tą Magdalenę. Wystawia mu przytém konieczność tego popisu dla Rusi, która, potrzebując najpilniéj obrony, w razie gdyby się uchyliła od popisu, dała-by przez to gorszący przykład innym województwom, dla których obrona granic od Tatarów jest mniéj ważną, a nawet zupełnie obojętną [2]).

Podobneż motywa przedstawił Ottonowi z Chodcza, W-dzie Podolskiemu, polecając mu zarządzić popis między szlachtą podolską [3]).

Ani jeden z tych popisów nie udał się zupełnie. Niektórzy wprawdzie dali się zapisać, inni zato oparli się wręcz uchwałom sejmowym i woli królewskiéj. Zygmunt, w liście do Kamienieckiego i Kościeleckiego, rozkazuje posłusznym podziękować, nieposłusznych zaś karać, stosownie do postanowień sejmowych, t. j. konfiskatą [4]).

Najwięcéj jednak zdziwił i oburzył go nierozum i upór szlachty ruskiéj i podolskiéj, i z tego powodu pisze do Spytka z Jarosławia: „Trudno ratować tych, którzy sami uchylają się od obrony. Jakim sposobem Ruś może liczyć na pomoc innych, kiedy sama się nie chce bronić?“ i daléj: „certe valde dolemus et turbamus ob eam rem, quod perpetuo regnum temporales et caduci homines periclitari velunt confidentes fortasse, quod jura eis subvenient in quibus sibi spem ponunt. Experimento sit eis eversio, coram quos nunquam jura tueri potuerunt, absque gladio et armis“ [5]). Szlachta ruska i podolska, podobnie jak wszystka inna, widocznie stawiała swe przywileje i wolności wyżéj nad bezpieczeństwo swéj prowincyi i nawet nad własne zdrowie i życie.

---

[1]) Tomic. II, ust. 265, 266.
[2]) Ib. ust. 282.
[3]) Ib. 299.
[4]) Ib. 292.
[5]) Ib. 293.

Za przyczynę niedojścia do skutku popisu uważano to, że panowie życzyli sobie, aby regestra popisowe zostawały u nich, szlachta zaś chciała zatrzymać je u siebie, z obawy, aby panowie zmian jakich w nich nie poczynili [1]).

Niepowodzenie popisów przypłacił jedynie niejaki Podfilipski, szlachcic podolski, którego dobra za nieposłuszeństwo oddane zostały Stanisławowi Lanckorońskiemu [2]).

Nie dał jednakże król Zygmunt, pomimo tych niepowodzeń, za wygraną i wyznaczył nowy popis, dla W-dztwa krakowskiego, na dzień Ś-go Mateusza, w Proszowicach, a zarazem rozkazał urządzić popis w Opatowie Województwu Sandomirskiemu, które miało pełnić służbę na Rusi w następnym roku. Polecił téż Spytkowi z Jarosławia dopełnić popisu w ziemiach: Przemyskiéj, Lwowskiéj, Halickiéj, Żydaczowskiéj, Sanockiéj i Bełskiéj w Bełzu [3]).

W orędziu, przesłaném z tego powodu z Wilna, król pisze: „Zasmuca nas, że z powodu niezgody, ostatni popis nie doszedł do końca i R-pta została pozbawioną wszelkiéj obrony. Ale chociaż oporni powinni-by ponieść zasłużoną karę, My, chcąc doświadczyć do ostatka łaski naszéj i doprowadzić poddanych naszych do dobrowolnego spełnienia naszéj woli, rozkazujemy: aby wszyscy, ulegający powinności wojennéj, dobrowolnie się popisali przed wyznaczonymi od nas komisarzami, albo pieniądze złożyli, pod karami, na nieposłusznych ustanowionemi". Za komisarzy zaś wyznaczył: hetmana W. Kor. Kamienieckiego i podskarbiego Kor. Kościeleckiego.

Popis nareszcie przyszedł do skutku; ale liczba koni spisanych okazała się tak szczupłą, iż piąta część, użyta dla strzeżenia granic, była-by raczéj niebezpieczeństwem, aniżeli obroną: „potius R-plicam periculo exponat, quam tuebitur", pozbawiając bowiem poborów na najem żołnierzy, jak równie prawa powoływania posp. ruszenia, była sama z siebie dla obrony granic zupełnie niewystarczającą.

Król znalazł się w przykrém położeniu. Według uchwał sejmików Poznańskiego i Korczyńskiego, projekt obrony był ułożony na 5 lat i sejm miał być zwołany dopiero po upływie tego terminu. Tymczasem, lubo popis udało się uskutecznić, piąta część posp. ruszenia okazała się nieodpowiadającą potrzebie. Radził się tedy senatorów, czy ma zwołać sejm, lub nie [4]). Ale rozpaczliwe położenie kraju, pozbawionego wszelkiéj obrony, zmusiło do zwołania sejmu na 26

---

[1]) Tomic. II, ust. 307.
[2]) Ib. III, ust. 7.
[3]) Ib. II, 308, 309, 310.
[4]) Ib. III. 3.

Marca 1514 r. do Piotrkowa. W orędziu do sejmików wzywa król rycerstwo, ażeby swych posłów opatrzyło w pełnomocnictwo nieograniczone do stanowienia o obronie R-ptéj [1]).

Sejm ten, pomimo nieobecności na nim króla, potwierdził w całości uchwały, powzięte na sejmikach w Poznaniu i Korczynie. Ale że obrona piątéj części, podług regestrów popisowych, okazała się za słabą i niewystarczającą, a to ztąd, że wielu niesłusznie wykazało liczbę koni, na którėj służyć mieli, postanowiono: ażeby w komisyi popisowéj, do wojewody i kaszt., oraz czterech szlachty z ziemi, dodano było dwóch szlachty z powiatu, przed którymi każdy opisać się był winien. Gdyby jednak komisarze postrzegli, że ktośby chciał niesłusznie się opisywać, powinni byli go upomniéć, aby się sprawiedliwie opisał. Jeśliby zaś tego nie uczynił, zapisać mu liczbę koni podług własnego sumienia; a jeśliby się na taką liczbę zgodzić nie chciał, uważając ją za uciążliwą dla siebie, tedy powinien był z liczbą koni, przez siebie podaną, odsłużyć dwa kwartały ze służebnymi na Podolu, czego gdyby nie uczynił, ulegał takiéj karze, jak za niestawienie się na pospolite ruszenie [2]).

Zastrzeżono jednakże, że jeżeli duchowieństwo nie zgodzi się na wypłatę co rok po dwa tysiące (sic) złotych, dla utrzymania w ciągu pięciu lat 300 jazdy i 400 piechoty, do których miał król dołączyć opłaconych przez siebie 300 jeźdzców, to obecne postanowienie sejmowe miało tracić moc obowiązującą i być uważane za niebyłe [3]).

Uchwalono także, ażeby ziemia Krakowska, która, obowiązana będąc, na zasadzie postanowienia sejmiku korczyńskiego, do służby na Rusi w roku 1513, powinności téj nie uczyniła zadosyć, odbyła ją w r. 1514, w następne zaś lata miały pełnić służbę z kolei inne województwa w porządku przepisanym. Komisarze obowiązani byli złożyć przysięgę, że sumiennie opisywać będą [4]).

Jakim sposobem przeszła na sejmie, i do tego w nieobecności króla, ta świetna konstytucya, po tym zaciętym oporze, który szlachta opisom stawiła, trudno sobie wytłómaczyć. A że uchwała była istotnie świetna i mogła w razie urzeczywistnienia zgotować R-ptéj lepszą przyszłość, to nie ulega wątpliwości.

Siła pospolitego ruszenia z całéj korony wynosiła około 150 tysięcy koni. Przynajmniéj w takiéj liczbie zebrało się ono, podług

[1]) Ib. 5.
[2]) Ib. 48.
[3]) Ib.
[4]) Ib

słów Orzechowskiego (Kronika) w r. 1537 pod Lwowem [1]. Piąta tedy część dała-by nam 30 tysięcy koni. W razie zaś redukcyi powinności wojennéj na pieniądze, przyjmując taksę po 12 złotych od konia i rachując żołd jednego jezdnego na kwartał, podług ceny owych czasów, 10 złotych [2], a na cały rok 40, za 320 tysięcy złotych można było-by utrzymywać 8 tysięcy koni rocznie. Zamiana powinności wojennéj na pieniądze była-by, jak widzimy, mniéj korzystną, aniżeli odbywanie jéj w naturze. Ale gdyby do tych 8 tysięcy przyłączyć żołnierza, utrzymywanego z poborów, którego przy stopie 12 groszy z łanu bywało około 3000, a do tego 300 jazdy i 400 piechoty, co duchowieństwo obowiązało się utrzymywać, i 300 jazdy królewskiéj; to summa całego wojska w Koronie wyniosła-by do 12 tysięcy. Z taką siłą można było-by powstrzymywać od najazdów i czterdziestotysięczne ordy Tatarów, a ze stotysięcznemi walczyć, podczas rozejścia się ich na zagony. Więcéj jeszcze: siła taka, w połączeniu z wojskami litewskiemi, śmiało mogła-by się oprzéć potędze moskiewskiéj, a powiększona w trójnasób, stawić czoło Turkom.

Miała-by ta reforma i to jeszcze błogie następstwo, że przez nią nabyła-by szlachta istotnego prawa do przywilejów, których tak szczodrze sobie przysporzyła, a w razie odbywania powinności w naturze, odświeżyła-by i podniosła bohaterskiego ducha, który, wskutek bezczynności i używania, zaczął już zupełnie wygasać.

Zbawienna ta konstytucya nie dała się jednak w czyn zamienić. Gdy bowiem Mikołaj Kamieniecki, jako delegat królewski, przystąpił do opisu dwóch powiatów w Krakowie, mnóstwo szlachty, z innych powiatów przybyłéj, oponując przeciwko legalności postanowień sejmu Piotrkowskiego i podburzając innych, nie dopuścili do przeprowadzenia opisu. Znany zaś obrońca wolności szlacheckich, Taszycki, przybył do Wilna i, przekładając królowi, że posłowie, do Piotrkowa wysłani, nie posiadali pełnomocnictwa do uchwalania w nieobecności Monarchy nowych ustaw, ze staremi przywilejami szlachty niezgodnych, skarżąc się zarazem na Kamienieckiego za to, że w uniwersale, powołującym do opisu, ubliżył godności rycerstwa, prosił Jego Miłość, ażeby nie miał urazy za opór przeciwko ustawom, których oni żadną miarą przyjąć nie mogli. Wydawał siebie Taszycki za pełno-

---

[1] Stanisława Orzechowskiego Kronika Polska. Warszawa, 1809 r., p. 265.

[2] Tak płacono w r. 1514, podczas wojny z Moskwą. Tomic. III, ust. 73. Żołd pieszego był wtenczas 6 zł. na kwartał, może postąpiono taką wysoką cenę na daleką wojnę; ale płacono i 6 zł. na konia na kwartał. Przy tém usarzom więcéj, a kozakom lekko uzbrojonym mniéj. Rachunek przy tych danych każdy sam sobie łatwo zrobić potrafi.

mocnika niemal całéj ziemi krakowskiéj; a że nie mógł okazać listów wierzytelnych, tłómaczył to w ten sposób, że w podobnych razach nie było we zwyczaju opatrywać pełnomocników w listy wierzytelne [1]).

Rzecz oczywista, że z Taszyckim łatwo-by było uczynić sprawiedliwość, gdyby on był jedynym buntownikiem przeciwko postanowieniom sejmu i władzy króla; ale takich Taszyckich musiało być wielu, a może i wszystka szlachta, a przynajmniéj możniejsza, któréj projektowana reforma, wymagająca ofiar, musiała nie przypaść do smaku. Za ulgę od powinności wojennéj nie mogła ona być uważaną, gdyż wyprawa powszechna obowiązywała tylko z imienia, a w rzeczy saméj, dla tych lub innych przyczyn, nigdy prawie nie przychodziła do skutku. Nie widziało więc potrzeby rycerstwo zmieniać jéj na inną, która była-by istotnym ciężarem. Miało téż na swoje usprawiedliwienie i to jeszcze, że i duchowieństwo nie chciało się uiścić z włożonego na nie obowiązku wypłaty po 2000 rocznie, w ciągu 5 lat.

Najważniejszą jednak przyczyną oporu szlachty było, jak się zdaje, to, że reforma jakby zacierała samo istnienie pospolitego ruszenia. W niém zaś widziało rycerstwo najgłówniejszy oręż do obrony swych przywilejów. Zebrane w jedno miejsce, przedstawiało taką siłę, że mogło narzucać swą wolę królowi i senatorom i, jak tego bywały przykłady, wymódz na nich, czego tylko żywnie chciało.

Nie mamy w historyi przykładów, aby jakiś stan dobrowolnie zrzekał się swych przywilejów. Do tego trzeba przymusu i siły, albo podstępu i intrygi. Narzędzi tych i zdolności król Zygmunt nie posiadał i dlatego musiał sprawę przegrać, R-pta zaś utracić jedyną sposobność do zaprowadzenia wojska stałego w znaczniejszéj liczbie. Nigdy już bowiem kwestyi o reformie powinności wojennéj szlachty nie podnoszono tak poważnie, i stan ten wywinął się na zawsze z pod przywiązanego do posiadanéj przez siebie ziemi „jus militaris“. Ale właściwie utracił „de jure“ prawo do władania tą ziemią i stał się pasorzytem w ojczyźnie.

Zrażony tak srodze niepowodzeniem, król Zygmunt, nie tylko że zaniechał dalszych myśli i dążeń ku naprawie obrony swego państwa, ale nawet pogrzebał je na zawsze, wydał bowiem na sejmie, 20 Lutego 1515 roku w Piotrkowie zebranym, na który z Wilna, po sławném zwycięztwie pod Orszą, przyjechał, zobowiązanie na piśmie, że na przyszłość do żadnego innego sposobu obrony, krom wyprawy powszechnéj, uciekać się nie będzie. Za to sejm udzielił mu nieco szczodrzejszych

---

[1]) Ib. III. 79, 182.

poborów, uchwalił bowiem tym razem po 15 groszy od łanu na trzy lata, za które Zygmunt utrzymywał straż na Podolu [1]).

Chcąc téż podnieść gotowość posp. ruszenia, na którém koniec końców miała polegać obrona R-ptéj, polecił starostom, ażeby jak najczęściéj upominali szlachtę, iżby trzymała w pogotowiu konie i zbroje i mogła szybko stanąć na wezwanie do obrony kraju, grożąc karami, przepisanemi przez prawo na niestawiących się w terminie na miejsce zboru [2]).

W r. 1516 sprawy litewskie powołały znowu Zygmunta do Wilna. Przed odjazdem upominał przez listy panów i szlachtę, wojewodów, kasztelanów, starostów, tudzież osobno znaczniejsze osoby w królestwie, ażeby, w razie napadu tatarskiego, łączyli się że służebnymi i wspólnie odpierali nieprzyjaciela [3]).

Wprędce potém zaczęły nadchodzić wieści od straży, że Tatarzy w znacznych siłach wybierają się do Polski. Wskutek tego, Krysztof Szydłowiecki, podkanclerzy i namiestnik króla, zwołał szlachtę krakowską do Proszowic dla obmyślenia środków obrony i proponował: albo, uchwaliwszy pobory, zwiększyć liczbę służebnych żołnierzy, albo własnemi osobami iść na ratunek Rusi. „Ale uparta szlachta krakowska, leniwa i buntownicza w domu i tchórzliwa na wojnie, nie chciała ani poborów złożyć, ani osobiście iść na wojnę, aby najświętszych swych przywilejów na szwank nie narazić. Powiadała, że ponieważ król Lois zastrzegł, żeby szlachta na wojnę nie wychodziła inaczéj, jak z królem na czele, to oni prawo to święcie zachować powinni. I chociażby wróg brał ich za kark we własnym domu i wiązał, chociażby żony i dzieci w niewolę uprowadzał, chociażby dach palił nad ich głowami, oni ani na krok z miejsca nie ruszą, póki król na ich czele nie stanie. A jeśliby Tatarzy, poczyniwszy nawet największe szkody, z najobfitszą zdobyczą uszli tylko na 6 łokci za granicę R-ptéj i tam stali, oni nie pójdą za nimi, ani ich palcem nie dotkną, ani im najmniejszéj nie uczynią obrazy, dopóki im król po 5 marek srebra na kopię nie wyda. Płaca, któréjby się niepodjął ani Krezus, ani Daryusz. Ztąd téż pochodzi, że sąsiedzi, jak Tatarzy i Wołosi, znając ten obyczaj polski, najeżdzają, grabią i lud w ciężką niewolę uprowadzają, kiedy zechcą“ [4]).

Gdy Krakowianie usłuchać Szydłowieckiego nie chcieli, szlachta innych ziem i powiatów poszła za ich przykładem i wydała Ruś i Po-

---

[1]) Ib. 459.

[2]) Ib. 463.

[3]) Ib. IV. Coment. p. 2.

[4]) Ib. Com. p. 3.

dole na pastwę Tatarów, którzy w liczbie 40 tysięcy, pod czterema carzykami, wtargnąwszy w Lipcu do Polski, kosz pod Buskiem położyli i szeroko rozpuścili swoje zagony. Gospodarowali oni prawie w ciągu dwóch miesięcy (Lipiec i Sierpień) zupełnie bezkarnie, nie spotykając nigdzie najmniejszego oporu. „Nikt bowiem z tych, którzy się mienili obrońcami ojczyzny i dumnie za filar obrony narodowéj siebie wydawali, a istotnie byli tylko rokoszanami w domu i tchórzami na wojnie", ani krokiem przeciwko nieprzyjacielowi nie ruszył. Wprawdzie hetman W. Kor., Firléj, z W-dą podolskim, Marcinem Kamienieckim, i służebnymi w liczbie około 2000, szli za Tatarami do Wiszniowca; lecz nie śmieli wdać się w walkę z tak przemagającą liczbą. Ledwie parę zagonów tatarskich zniesiono pod Podhajcami i Międzybożem, reszta, obciążona ogromnym łupem i 50,000 jassyru, uszła spokojnie do domu [1]).

Taką-to bywała obrona granic w inne lata. Utrzymywane za pobory, i to nawet wysokie, wojsko, w liczbie 2,000 żołnierzy, nie śmie się mierzyć z dwadzieścia kroć przemagającą liczbą nieprzyjaciela, a 150 tysięcy rycerzy obrońców, którzy mogli ową czterdziestotysięczną ordę na proch zetrzéć, schowało się za przywileje i ani nosa z po za zagrody wychylić nie chce. Ale i na tém niedość. Oni nawet nie poczuwają się do winy za wydanie własnych obywateli, jak się wyrażali w owe czasy, „na jatki mięsne", lecz szemrzą i narzekają na króla, że za mało służebnych utrzymuje na Rusi, że zaplątał się niepotrzebnie w wojnę z odległym wrogiem (Moskwą), zamiast śpieszyć na ratunek ojczyzny, i stanąwszy na czele posp. ruszenia, prowadzić je na nieprzyjaciela, jakby to ono istotnie pałało takiém pragnieniem do walki. Zaczęto nawet knuć jakieś spiski i zabierać się do rokoszu [2]).

Król jednak, lubo na nim żadna nie ciążyła wina, trzymał się względem tak oburzającego postępowania swych poddanych tylko odpornie i biernie. Na wiadomość o narzekaniach i spiskach przeciwko sobie, pisze do Szydłowieckiego: że najął służebnych tyle, ile na to pozwalały środki, i poczynił wszystkie zależne od niego rozporządzenia dla obrony państwa. Ale jeżeli szlachta w ich spełnieniu zasłania się swemi przywilejami, to on może rokazywać tyle tylko, ile go słuchać zechce. Że wici na pospol. ruszenie samym tylko Małopolanom nie posłał, bo wiedział, że bez Wielkopolan nie wystąpią

---

[1]) Ib.
[2]) Ib.

w pole, powszechna zaś wyprawa więcéjby szkody, niż pożytku, przyniosła [1]).

Tymczasem posłowie, znajdujący się w Krymie, równie jak szpiegi, dali znać Zygmuntowi, że Tatarzy, z powodu zupełnego nieurodzaju zbóż i traw w Krymie, zamyślają zimować pod Czarnym Lasem, t. j. na granicach Ukrainy, i Chan sam ostrzegał, że boi się, iżby orda jego, zmuszona głodem, nie posunęła się do szukania chleba w Polsce.

Król rozkazał przynająć służebnych w liczbie 400 i rozesłać wici na posp. ruszenie. Nie miał jednak z czego opłacać żołnierzy; pobory bowiem, uchwalone w r. 1515, lubo były dość wysokie, wpływały niezmiernie tępo, i u podskarbiego Kościeleckiego znajdowało się w kasie tylko 2,000 złot. Radził się tedy senatorów, co miał począć w braku pieniędzy; ale ci byli tak mądrzy, że pozostawili rozwiązanie téj zawiłéj kwestyi własnemu jego rozmysłowi [2]).

Tatarzy istotnie nie wytrzymali. Skusiło ich bliskie sąsiedztwo Polski. Wpadli téż do niéj od Czarnego Lasu w kilku partyach Nie mieli jednak szczęścia tym razem. Ale i siły ich widocznie nie musiały być znaczne, gdyż wszystkie partye zniesione zostały. Jedną z nich rozbił w dwóch potyczkach S-ta Kamieniecki, Mikołaj Lanckoroński, i całą im zdobycz odebrał; drugą poraził Faruraj 7 Grudnia, ze 400 jezdnymi około Międzyboża, następnego zaś dnia zniósł jeszcze jedną partyę Jakób Secygniowski że służebnymi pod Cynkowem [3]).

Król Zygmunt, uradowany tém powodzeniem, dziękował Tworowskiemu, Secygniowskiemu, oraz ich towarzyszom, którzy w téj wyprawie udział przyjmowali, za odniesione zwycięztwo [4]).

W r. 1517 odbywał się sejm w Piotrkowie, który się rozpoczął 25-go Lutego. Król, ciągle jeszcze przebywający na Litwie, przysłał nań swego delegata. Celem narad była jak zwykle obrona od Tatarów, którzy, koczując pod Czarnym Lasem, ciągle zagrażali granicom R-ptéj. O owocach tych narad nic nam nie wiadomo. Granicy strzegł Jan Tworowski, już teraz K-lan Kamieniecki, na czele 1700 jezdnych [5]). Tatarzy w tym roku zachowali się spokojnie.

Sejm, zebrany w Krakowie w dzień Nawrócenia Ś-go Pawła w r. 1518, ujawnił nowe usiłowania ku reformie obrony. Król, który

---

1) Ib. 72 i 103.
2) Ib. Com. i ust. 101, 205 i 265.
3) Ib. Comment.
4) Ib. 267.
5) I-szy Rozd. 54.

3-go Grudnia wyjechał z Wilna, przybył do Krakowa 1-go Stycznia, był więc obecny na tym sejmie. Ponieważ piąta część posp. ruszenia okazała się niewystarczającą dla obrony granic, postanowiono podzielić je na trzy części, z których co rok jedna winna była przebywać na Rusi; ta zaś ostatnia, jako najwięcéj zagrożona, zostawać w ciągłéj gotowości bojowéj. Koléj miała rozpocząć Małopolska, a za nią w następnym roku ruszać na Ruś z Wielkopolskich województw Kaliskie, Sieradzkie, Łęczyckie i Poznańskie; w trzecim zaś roku: Brzesko-Kujawskie, Inowrocławskie, Płockie, Rawskie i Dobrzyńskie. A że posp. ruszenie bez służebnych obejść się nie mogło, tedy na ich utrzymanie przeznaczały się pobory od miast, połowa zwykłych podatków, i od wsi tak królewskich, jak równie duchownych i świeckich, po 6 groszy od łanu. Ktoby nie chciał iść na wojnę, mógł postawić za siebie zastępcę z odpowiednią liczbą koni [1]).

Nic jednak nie wiadomo o dalszych kolejach téj konstytucyi. Widocznie musiała mieć tenże skutek, co i poprzednia; gdyż w r. 1519, w dzień Oczyszczenia Najśw. Maryi Panny, zbiera się znowu sejm w Piotrkowie, na którym uchwalono tylko pobór ogólny po 6 gr. od łanu, tudzież czopowe i inne podatki miejskie [2]).

Na tymże sejmie zapadły pewne postanowienia względem służebnych żołnierzy, mianowicie:

1) Hetman W. Koronny ma wymierzać kary tym z żołnierzy, którzy po wsiach żywność bezpłatnie wybierać będą.

2) Każdy żołnierz, który, wziąwszy pieniądze na służbę, stawić się na nią nie będzie, ma być od starosty w więzieniu osadzony i tak długo trzymany, póki czasu służby, na który się zobowiązał, nie odsiedzi i pobranych pieniędzy nie wróci. Ci zaś, którzy się spóźnią na popis, ulegną karze, stosownie do upatrzenia króla lub hetmana.

3) Nikt, czy to z pieszych, czy z jezdnych żołnierzy, nie śmie zabierać z sobą rusznicy po wyjściu ze służby, z wyjątkiem Rusinów, którzy muszą zostawać w ciągłéj gotowości obrony [3]).

Ponieważ kary stanowią się zwykle na zdarzające się wykroczenia, możemy ztąd sądzić, jakiego rodzaju nadużyć i przestępstw dopuszczano się w owe czasy w wojsku polskiém.

W roku 1519 Tatarzy, w zmowie z W. Księciem Moskiewskim Wasylem, wpadli w liczbie 40,000 przez Wołyń do Rusi, i Bug przebywszy, rozpuścili swe zagony w województwa: Bełzkie, Lubelskie

---

1) Ib. 316.
2) Ib. V, ust. 14.
3) Ib. 15.

i Lwowskie. Nim się szlachta ruska zebrała i zdołała połączyć ze służebnymi i ks. Ostrogskim, już Tatarzy, zebrawszy plon, wracali do domu, pędząc przed sobą liczne tłumy ludu i ogromne stada bydła. Zaskoczyli ich Polacy z Wołyniakami 2 Sierpnia około Sokala. Ks. Konstanty, rozejrzawszy się w położeniu i liczbie nieprzyjaciela, zwątpił o zwycięztwie, miał bowiem pod sobą ledwie 5,000 żołnierzy. Ztąd na radzie wojennéj namawiał rotmistrzów, aby zaniechać bitwy na tém miejscu i szukać takiego położenia, gdzieby można bić wroga częściami i nie dać się mu otoczyć, a przedewszystkiém, aby się przez Bug do niego nie przeprawiać, lecz pozwolić mu rozpocząć przeprawę do siebie i napaść na jakąś część przeprawioną; najwięcéj zaś, i nawet ręce składając, błagał o to, aby bitwę przynajmniéj do jutra odłożyć, gdyż lada chwila oczekiwał przybycia Tworowskiego z Podola, tudzież Litwinów i Wołochów. Ale gorąca młodzież polska nie chciała słuchać zdrowych rad doświadczonego hetmana, i zarzucając księciu bojaźń i zazdrość Polakom sławy, zmusiła go do wydania hasła do boju. Walka, prowadzona przy niekorzystnych warunkach, połączona z przeprawą wobec gotowego do boju nieprzyjaciela i ogromnéj jego przewagi, zakończyła się klęską. Polacy i Wołyniacy, jak świadczą historycy, bili się mężnie, lecz, zasypywani strzałami, a potém zewsząd otoczeni, musieli uledz przemocy, zostawiwszy 1,200 rycerzy na placu boju. Reszta, kto mógł, ratował się ucieczką, starszyzna zaś: ks. Ostrogski, Marcin Kamieniecki, Stanisław z Chodcza, umknęli do sokalskiego zamku [1]). Król Zygmunt, zatrwożony wiadomością o porażce swego wojska, rozesłał wici na posp. ruszenie, tudzież rozpisał listy, wzywając panów i szlachtę na ratunek zagrożonéj ojczyzny. Ale Tatarzy, po zadaniu klęski Polakom i zebraniu łupu, nie mieli już nic więcéj do czynienia i poszli spokojnie do domu [2]).

I tym razem, jak widzimy, posterunki polskie na Podolu z Tworowskim na czele dały się obejść, a szlachta ruska, swoim zwyczajem, spóźniła się ze zborem i opuściła chwilę stosowną do napadu, gdy nieprzyjaciel był podzielony na zagony. I to właśnie zadziwia, że te błędy ciągle się powtarzały i nie służyły za naukę dla przyszłości.

Na sejmie, zebranym 15-go Listopada tegoż 1519 r. w Toruniu, postanowiono wojnę z Mistrzem pruskim, Albrechtem; dla obrony zaś granicy od Tatarów, uchwalono zaciąg 700 służebnych żołnierzy, których król, w uniwersale do starostów ziem ruskich, kazał rozmieścić

---

[1]) Bielski Kronica.

[2]) Tomic. V. 71.

po starostwach, dla łatwiejszego żywienia, bez krzywdy dla ubogich ludzi. Przełożonym nad nimi pozostał po dawnemu Tworowski. Biorąc jednak na uwagę, że ta szczupła garść wojska nie mogła stawić skutecznego oporu nawet mniejszym partyom Tatarów, polecił senatorom i starostom Rusi, zjechawszy się na Niedzielę najbliższą po Przewodniéj w r. 1520, we Lwowie, ułożyć plan obrony, na wypadek wtargnięcia większych lub mniejszych partyi nieprzyjaciela [1]).

Plan ten, ułożony przez urzędników ruskich, przedstawiony Zygmuntowi i przez niego aprobowany i ogłoszony, był następujący: bezpośrednią straż granicy powierzono Jakóbowi Strusiowi, który przez podjazdy i za pomocą szpiegów miał naglądać za Tatarami i wywiadywać się o ich zamiarach. Otrzymawszy pewne wiadomości, czy w mniejszéj, czy téż w większéj liczbie wybierają się do Polski, powinien był dawać znać o tém natychmiast hetmanowi polnemu, „Vicecampiductori", Marcinowi Kamienieckiemu, wojewodzie Podolskiemu, który, w razie wtargnienia niewielkich partyi, miał je odpierać ze służebnymi i Podolanami. Jeśliby zaś Tatarzy wkroczyli do Polski w większéj liczbie, w takim razie Kamieniecki powinien był posłać o tém wiadomość wojewodzie Ruskiemu, Andrzejowi Tęczyńskiemu, do Halicza, wojewodzie Lubelskiemu do Bełzu i marszałkowi W. Koronnemu, staroście Lwowskiemu, Stanisławowi z Chodcza, do Lwowa, ci znów najbliższym od siebie starostom, a tamci dalszym, aby lud chował się do zamków i swoje dostatki unosił; starostowie zaś, ze swemi pocztami i szlachtą pospołu, winni byli łączyć się ze służebnymi, pod wodzą hetmana polnego, który, zająwszy stanowisko między Oleskiem i Zaleszczykami, miał odpierać nieprzyjaciela [2]).

Plan ten obrony nie zawiera w sobie, jak widzimy, nic nowego, i dopuszcza się tegoż błędu, co i poprzednie, pozostawiając rycerstwo w domu, zamiast zebrania go do obozu, przez co samą obronę na opóźnienie i niepowodzenie naraża.

Należy tu zwrócić uwagę na spotykający się po raz pierwszy tytuł hetmana polnego „Vicecampiductor", który, podobnie jak urząd hetmana W. Koronnego, został ustanowiony za Zygmunta I-go, i prócz tego na rozmieszczenie służebnych dla wyżywienia po storostwach, co się powtarzało już razy kilka i ztąd weszło niejako we zwyczaj i dało początek tak zwanym hybernom, czyli chlebom zimowym.

Ku końcowi 1521 r., król zwołał sejm na ŚŚ. Szymona i Judę do Piotrkowa, na który i sam 1-go Listopada przybył. Niepodobna

---

[1]) Ib. 281.
[2]) Ib. 282.

jednak było rozpocząć posiedzeń sejmowych, z powodu nieobecności posłów Wielkopolskich, których, wskutek niezgody i kłótni, wynikłéj na sejmiku w Środzie, wcale nie obrano. Zmuszonym się tedy widział Zygmunt wyznaczyć nowy sejmik, który się zebrał 23-go Listopada. Ale i ten ledwie że wypełnił swoje zadanie. Gdy Tomicki, jako delegat królewski, zaczął wykładać szlachcie, w kościele zebranéj, przedmiot swego posłannictwa, powstało straszne zaburzenie, wszczęła się okropna wrzawa, obnażyły się szable i jakaś wściekłość ogarnęła wszystkich umysły. Gniew powszechny skierowany był przeciwko panom, a szczególnie przeciw Łukaszowi Górce, któremu grozili śmiercią, tak, że był zmuszony schować się do zakrystyi, inni szukali schronienia pod wielkim ołtarzem. Tomicki jednak pozostał niewzruszony na swém miejscu. Tymczasem awantura przeniosła się z kościoła na rynek, gdzie wynikł spór pomiędzy rycerstwem i sługami Górki. Nareszcie Tomicki, zwoławszy do kościoła szlachtę, „stulta illa nobilitas“ [1]), potrafił jakoś przez swą wymowę i wpływ przyprowadzić rzeczy do tego, że, poniechawszy płochość i gniewy, wybrali posłów, na których król oczekiwał. Wybór jednak padł na ludzi charakteru burzliwego i buntowniczego i wskutek tego sejm ten odbył się bardzo niespokojnie. Posłowie Wielkopolscy ciągle wichrzyli, a inni szli za ich przykładem. Sesye przechodziły na kłótniach i swarach posłów z senatorami i królem. Na pobory zgodzić się nie chcieli, wymawiając się brakiem pełnomocnictwa, wskutek czego król zwołał sejmiki po województwach, na których postąpiono pobór po 6 gr. od łanu [2]). Za te pieniądze najęto 700 żołnierzy i rozmieszczono ich na granicach w Chmielniku i Międzybożu [3]) Trudno było zaiste królowi bronić granic Rzeczypospolitéj, z takiemi urządzeniami i reprezentacyą.

(Dokończenie nastąpi).

Konstanty Górski.

---

[1]) Tomic. V. Chron. 3.
[2]) Ib.
[3]) Ib. 88, 89.

FRYDERYK CHOPIN

w świetle krytyki angielskiéj.

Sumienne i wyczerpujące dzieło Fryderyka Niecksa zwróciło uwagę całego muzykalnego świata; nazwane zostało epokowém. Tłómaczenia z angielskiego oryginału na język niemiecki dokonał dr Langhaus w Lipsku. Znajdujemy w dziele tém drobiazgową staranność w poszukiwaniu źródeł, poprawność w podawaniu nazwisk polskich osób i miejscowości, bardzo rzadko spotykaną u cudzoziemców, i pewną chęć łączenia wypadków osobistych z dziejami i charakterem narodowym.

Czerpiąc przeważnie z Liszta i Karasowskiego, zapuszcza się autor w badania nad krajem i ludem; niekoniecznie go to do trafnych doprowadza wyników, ale świadczy o dobrych chęciach i o poważném traktowaniu przedmiotu.

Każdy wypadek z życia Chopina stara się biograf angielski opowiedzieć wszechstronnie, opierając się na wiarogodnych źródłach. Co się tycze poglądów, to, jakkolwiek często z naszemi niezgodne, tém więcéj zaciekawiają: poznajemy za pośrednictwem Niecksa, w jaki sposób komentowali obcy ukochanego w kraju twórcę tylu arcydzieł.

Gdy się biografia Chopina ukazała w Anglii, nie wahano się jéj postawić, w ocenieniu wartości istotnéj, obok życiorysu Beethovena, Thayera, Mozarta—Johna, i Bacha—Spitty, podnosząc zarówno przy-

mioty historyka, jak i estetyka. Epoka paryska zwłaszcza zyskuje na jasności, z powodu nowych źródeł, z jakich zaczerpnięto fakta, obalając niejedno podanie, niejedną legendę, otaczające zazwyczaj imiona wielkich ludzi. Dużo życia i uroku dziełu temu dodaje czysto przedmiotowy pogląd na utwory mistrza, oraz nowy sposób przedstawienia rzeczy, z uwzględnieniem wszystkich okoliczności domowych, krajowych, społecznych, które mogły mieć wpływ na wyrobienie się charakteru i zdolności. Autor pisze ciepło, radby przedstawić postać wybraną z całą plastyką aktualności, w świetle wydarzeń, z uwzględnieniem duchowego rozwoju Chopina.

Prasa angielska i wogóle europejska z zapałem wyraziła sąd swój o téj biografii, zaznaczając, że stanie się ona niezbędném źródłem dla poszukujących wiadomości o życiu i działalności mistrza, i że jest najpiękniejszym pomnikiem, postawionym przez znawcę i miłośnika sztuki. Autor określenia swoje i sądy starał się, o ile możności, poprzéć faktami, i to nadaje dziełu jego cechę trzeźwéj krytyki. Obawiając się zarzutu „gadulstwa i blagi, Nicks przytacza źródła, z jakich czerpał: Liszt, Szulc, Karasowski, Sand, Wodziński, są to autorowie, których znamy wszyscy. Szczególną jednak zwrócił on uwagę na podróż Chopina do Niemiec i Anglii, na pobyt jego w Paryżu. W tym celu zebrał sporą liczbę listów, broszur, pism; zaczerpnął niejedną wiadomość z ust wiarogodnych uczniów i przyjaciół. Wiadomo, że Chopin niechętnie pisywał: przecież listów i karteczek bardzo charakterystycznych zdobył autor biografii dość, i one służą mu za punkt wyjścia do wielu spostrzeżeń. Ta znamienna charakterystyka polskiego twórcy przebija się o wiele wyraźniéj, naturalnie, w dziełach jego, aniżeli w korespondencyi. Tkliwość, rzewność, tęsknota, bezdenny smutek obok skarbów uczucia, fantazyi, polotu; głęboka dramatyczność obok najwytworniejszego i chwytającego za serce wdzięku; majestat, powaga, świetność, potęga, zamaszysta jakaś szerokość, a obok tego prostota ludowéj piosenki i zaduma poety, — wszystko to znajduje się w Chopinie. A ponieważ dzieła jego noszą cechę tak odrębną, tak wybitnie charakterystyczną, więc angielski jego biograf, trzymając się przykazu Schillera, by go lepiéj zrozumiéć, pragnie zajrzéć do jego ziemi rodzinnéj, i dziwi się, że za granicą ludzie tak mało wiedzą o Polsce.

Pokusa go bierze rozejrzéć się w dawnych czasach, sięga głęboko, dochodzi do spostrzeżeń niekiedy dziwacznych. Nie sprzeczając się z autorem o to, co z natury rzeczy mniéj nas na tém miejscu musi obchodzić, przystępujemy wprost do biografii.

I.

Niecks szuka w dziejach przodków słowa, rozwiązującego wielką zagadkę istnienia, a raczéj zjawienia się takiego geniuszu w rodzie; rozumie się, że kreślone hipotezy nie doprowadzają go do żadnych pewników, lecz dają wierny, o ile to być może, obraz domu, w którym Chopin pierwsze wrażenia odbierał. Przybycie ojca, Mikołaja, z Lotaryngii do Warszawy, w czasach bardzo krytycznych, stosunki z rodziną Łączyńskich i Skarbków, zamieszkanie w Żelazowéj Woli w charakterze profesora Fryderyka Skarbka, zaślubiny Justyny Krzyżanowskiéj w 1806 roku, — to są rzeczy skądinąd nam dobrze znane. Trzy córki i Fryderyk owocem tego związku. Bohater nasz przyszedł na świat w małym domku, w Żelazowéj Woli, własności Skarbków, a siedmnastoletni młodzieniec, Fryderyk Skarbek, trzymał go do chrztu i nadał mu swoje imię. W cztery lata po urodzeniu Fryderyka, rodzice przenieśli się do Warszawy, ojciec został bowiem mianowanym profesorem języka francuskiego w nowozałożoném liceum. W r. 1812 zajmował podobne stanowisko w szkole Artyleryi i Inżynieryi. W kilka lat późniéj, Mikołaj Chopin założył pensyonat, gdzie kształciła się młodzież bogatszych domów. Tam wzrastał dziwnie wrażliwy i tkliwy Fryderyk, który już w dzieciństwie nie mógł bez łez słuchać muzyki. Ojciec, człowiek zacny, poważny, wykształcony, liczący wielu przyjaciół w sferach literackich i artystycznych, wywierający zbawienny wpływ na swoich uczniów, i matka, którą Chopin w liście „najlepszą z matek“ nazywa i która, jak George Sand utrzymuje, była „jedyną miłością Chopina“, stanowią pierwsze otoczenie jego. Siostry, zdolne, okazywały pewną skłonność do zajęć literackich. Ludwika wyszła za profesora Jędrzejewicza, Izabella za Barcińskiego, dyrektora żeglugi na Wiśle. Najmłodsza, Emilia, nad wiek rozwinięta, zmarła w czternastym roku życia.

Fryderyk, wcześnie pociągnięty urokiem muzyki, objawił tak widoczny talent, że go zaczęto uczyć, mimo młodego wieku. Zrazu jedna z sióstr udzielała mu lekcyi, lecz pierwszym właściwym nauczycielem był Żywny, Czech rodem; dożył on 86 lat wśród kompozytorskich i pedagogicznych zajęć. Sumienny, akuratny aż do pedanteryi nauczyciel, zdobywa sobie serca uczniów i życzliwość, dorabia się pewnego mająteczku. Zdumiony ogromnemi zdolnościami Fryderyka, niezdolny do pokierowania nim, zostawia mu zupełną swobodę. W dziewiątym roku życia Chopina, talent jego zostaje już sta-

nowczo uznanym; wróżono, że na drugiego Mozarta wyrośnie. Nie będziemy tu powtarzali anegdot, znanych z czasów występów na salonach „ukochanego Chopinka.“ Od wczesnego zarania obracał się on w sferach arystokratycznych, do końca też lubił wykwint otoczenia i wytworność wszelką; dlatego nazywano go cieplarnianą rośliną buduarów, ale Fryderyk miał intuicyę szerszych horyzontów i rozumiał ducha narodowego, nie ograniczając się do pewnéj tylko sfery. Kochał lud, jego pieśni, jego zwyczaje, podglądał go niejako w codziennném i świątecznėm życiu, dlatego tyle ludowego pierwiastku zamieścił w swoich krakowiakach, obertasach i mazurach. W okresie dzieciństwa Chopina, przyjazd Catalani do Warszawy, gdzie dawała cztery koncerty, był nader ważnym faktem. Zachwycona cudownėm dzieckiem, artystka, ofiarowała mu zegarek z napisem pamiątkowym. Twórczość Chopina, jak wiadomo, rozpoczęła się wcześniéj, aniżeli był w stanie nakreślić, co czuł i myślał. Nauczyciel spisywał to, co on grał, co improwizował: mazurki, polonezy, walce. Mając lat dziesięć, genialny chłopiec ofiarował W. Księciu Konstantemu marsza, którego ten kazał instrumentować i grywać orkiestrze. Widząc wzrastający talent syna, ojciec uprosił przyjaciela swego, Elsnera, by uczył go harmonii i kontrapunktu. Nie sądzono jednak, by Fryderyk wyłącznie muzyce się poświęcił; w 1824 r. wstąpił on do liceum warszawskiego. Z Elsnerem, który był naówczas pierwszą powagą w Warszawie, zawiązał się stosunek najżyczliwszéj przyjaźni, najgłębszego szacunku, o czém wymownie świadczy przechowana korespondencya. W liceum historya i literatura krajowa zajmują Chopina najżywiéj. Zdobywa sobie gorącą sympatyę i miłość kolegów wesołością i łatwością obejścia. Niewyczerpany w płataniu figlów, dowcipny, obdarzony rzadkim darem naśladowniczym, był Fryderyk nielada miłym towarzyszem. Słynął ze swoich karykatur, z daru charakteryzowania się, co mu pozostało i w późniejszém życiu. Ludzie kompetentni uznawali w młodzieńcu niepospolity talent do komizmu. Znamy koło najbliższych przyjaciół domu państwa Chopinów, Lindego, Maciejowskiego, Kazimierza Brodzińskiego, Skarbka, Elsnera, Żywnego, Jawurka, Barcińskiego, zoologa Jarockiego, malarza Brodowskiego, Kolbergów. Pośród takiego grona ludzi niepospolitych mógł młodzieniec wykształcać się pod kierunkiem światłego ojca. Była to epoka, w któréj ludzie nawzajem wywierali na siebie wpływ wielki. Walka klasycyzmu z romantyzmem wrzała w całéj pełni, przeobrażając, odświeżając pojęcia.

Pierwsze wakacye upłynęły Chopinowi na Mazowszu, w Szafarni, u państwa Dziewanowskich, skąd takie wesołe listy do przyjaciół pisywał i tyloma anegdotami się wsławił. Za powrotem do

Warszawy, Fryderyk występuje publicznie na cele dobroczynne (1825 r.) i zyskuje sławę skończonego artysty. W tym samym pamiętnym roku wychodzi z druku pierwsze jego dzieło, polonez Gis mol, prawdopodobnie w r. 1822 napisany, tak co do pomysłu, jak co do przeprowadzenia noszący już piętno genialności, mimo, że jeszcze pod względem stylu i indywidualności nie jedno pozostawia do życzenia. Dwa mazurki G i B-dur z roku 1825 uważa Niecks za dość zwyczajne, zwłaszcza pierwszy; drugi bardziéj zajmujący, jest pewną zapowiedzią tych czarujących mazurków, które się późniéj posypały jak z rogu obfitości. Niemniéj pięknym i uroczym Polonez pożegnalny dla Wilhelma Kolberga, (tryo poloneza nosi tytuł „Au revoir!“). Waryacye, opus 2, były pierwszą kompozycyą, wydaną w Niemczech. Sądząc po wielkiéj prostocie a mniejszéj wartości dzieła, Niecks miałby ochotę raczéj Waryacye za pierwszy utwór uważać, aniżeli owe „Premier Rondeau“, ofiarowane p. Lindowéj. Myśl tu płynie swobodnie, dzieło napisane poprawnie i użycie instrumentu zupełnie naturalne. Jako słabsze strony utworu tego, wymienia Niecks wstęp do Waryacyi, nie będący w związku z całością, i pewien brak wyraźnéj indywidualności. Rondeau à la Mazur, opus 5, już o wiele wybitniéj przedstawia pomysłowość Chopina. Schumann przypuszczał, że musiało być w 18 roku życia napisane, lubo, oprócz kilku drobnych niejasności, nic nie objawia tam młodzieńczości autora, przeciwnie, po raz pierwszy może w tym stopniu wystąpiły tu cechy, charakteryzujące następnie wszystkie jego utwory. Widzieliśmy, że z dwunastym rokiem życia Chopina ustała systematyczna nauka muzyki; zostawiony sam sobie, probował sił swoich, dążąc do wyższego ideału nad to wszystko, co go otaczało. Mimo wrodzonéj wesołości, duch jego tonął w marzeniach, szukał samotności; muzyka, ukochana sztuka, pochłaniała mu często noce całe.

W r. 1826 z matką i siostrą do Reinertz się udaje, bo delikatność jego zdrowia niepokoi rodziców. Zachwyca tam Chopina piękność otaczającéj natury. Ztamtąd do Strzyżewa Wiesiołowskich i do Antonina Radziwiłłów się wybiera. W następnym roku, kończy on liceum i nareszcie może się swobodnie muzyce poświęcić. Lubił on już wtedy podsłuchywać wiejską muzykę i śpiewy ludowe. Opowiadają przyjaciele, że, przejeżdżając koło karczmy, gdzie hulano, zatrzymywał konie i nasłuchywał pod oknem motywów, które następnie tak umiał wyzyskiwać. Był to zwrot ogólny do badania objawów życia ludowego. Chopin lepiéj od innych pochwycił rytm i nutę tętno rodzinnéj pieśni—dlatego potrafił ją wcielić w swe dzieła, jak nikt. Są jednak ludzie, utrzymujący do téj pory, że Chopin salonowym tylko jest kom-

pozytorem, że tylko wykwintny świat był w stanie go natchnąć i nawzajem zrozumiéć. Ci, co tak twierdzą, nie odczuwają chyba całéj potęgi poezyi, jaką geniusz ten narodowy natchnął swą muzykę.

Warszawa nie przedstawiała wówczas odpowiednich sił pedagogicznych do dalszego kształcenia tak wykwintnego talentu; postanowiono Fryderyka wyprawić do Berlina i Wiednia. Przechował się dagerotyp siedmnastoletniego młodzieńca, o czole wysokiém, delikatnie zarysowanych ustach (dolna warga nieco wysunięta). Oczy miał ciemne, pełne zadumy i łagodnego wyrazu, nos nieco ostro rysujący się, o nozdrzach szeroko rozstawionych. Wyraz twarzy melancholiczny nie miał w sobie nic chorobliwego; zdrowie w młodości służyło Chopinowi dobrze, krzepkim był, mimo delikatności pewnéj, budzącéj obawę co do wątłego ustroju. Skromny, wzorowo wychowany, pełen młodzieńczego zapału, dowcipny, stanowił obraz idealnego artysty. W 1818 r. Fryderyk wyjeżdża z przyjacielem ojca, uczonym profesorem, Jareckim, do Berlina. Tam miał nadzieję zapoznać się z dobrą muzyką. Jakoż udało mu się usłyszéć „Corteza“ Spontiniego, „Ślub potajemny“ (Matrimonio Segreto) Cimarosy, „Wolnego strzelca“ i inne opery. Ze znakomitości, z któremi miał sposobność się zetknąć, najbardziéj mu zaimponował, budząc cześć i szacunek, Aleksander Humboldt. Pobyt ten trwał tylko dwa tygodnie; wracając, zatrzymał się Chopin przez parę dni w Poznaniu, gdzie grywał Mozarta, Hummla i Beethovena. Powróciwszy do Warszawy, artysta zabiera się do pracy, ale żali się, że mu przeszkadzają ciągłe zaprosiny i muzykalne wieczorki, na których mu każą improwizować, ku czemu nie zawsze się znajduje wena i ochota. Najbardziéj lubił gawędkę z przyjaciołmi i kolegami szkolnymi: z Matuszyńskim, Wojciechowskim, Celińskim. Znajdujemy téż w jego otoczeniu Hubego, Maciejowskiego, Koźmiana, Kolbergów, Marylskiego, Stefana Witwickiego i Dominika Magnuszewskiego. Ci ostatni musieli go pociągać ku kierunkom romantycznym poezyi; spotkali się późniéj w Paryżu. Wiadomo, że do słów Witwickiego Chopin muzykę napisał. Fontana był codziennym gościem w domu państwa Chopinów; Fryderyk żył téż z Nideckim, Józefem Nowakowskim i Dobrzyńskim Feliksem, również uczniem Elsnera. Z Celińskim, Hubem i Maciejowskim wybrał się w 1829 r. do Wiednia. Wtedy-to zawadził o Kraków, gdzie bawił tylko tydzień, zachwycając się malowniczém i majestatyczném położeniem starego grodu. Zamek, ratusz, Brama Floryańska, Kopiec Kościuszki, wszystko to robi na nim wrażenie potężne. Wpadła téż cała kompania do Ojcowa, owéj „Szwajcaryi polskiéj“, dla podziwiania widoków.

II.

Mimo że Chopin nie miał zamiaru publicznie wystąpić w Wiedniu, przyjaciele i artyści tamtejsi nakłonili go do tego. Pierwszy koncert naszego artysty w Wiedniu przypada 11 Sierpnia 1829 roku, drugi 18 Sierpnia.

Wystąpił z Waryacyami swemi, z Krakowiakiem à la Rondeau i z improwizacyą. Powodzenie było ogromne, publiczność zelektyzowana, prasa nie szczędziła pochwał, zaskoczona niejako znakomitą grą i oryginalną twórczością Chopina. Dwadzieścia dni w Wiedniu upłynęło wśród najmilszych wrażeń. Powodzenie i uznanie dodawało skrzydeł młodemu artyście. Poczciwy Würfel, kapelmistrz Seyfried, Gyzowitz-Kreutzer, Lachner, hr. Gallenberg i Lichnowski, Czerny, oraz młodziutka pianistka, Leopoldyna Blahetka, wszyscy zajmowali się nim serdecznie, ułatwiali stosunki i rozrywali między sobą. Wracając, wstąpił Chopin do Pragi, któréj cudném położeniem się zachwycił. Tam zapoznał się z pianistą Klenglem; w Cieplicach improwizował w arystokratyczném gronie na temat Mojżesza Rossiniego—i wyjechał do Drezna, zaopatrzony w listy rekomendacyjne. Tam nacieszyć się nie mógł pięknością galeryi obrazów; w teatrze trafił na „Fausta“ Goethego, w przeróbce Tiecka. 12 Września był już napowrót w Warszawie.

Wiadomo, jakie wrażenie dzieła Chopina sprawiły w Niemczech. Niecks utrzymuje, że Schumann uczcił w nim geniusz twórczy, z zapałem i jasnowidzeniem raczéj proroka, aniżeli krytyka. Uznano, że mistrz nasz unikał wszelkiego efekciarstwa, że mu zależało na oddziaływaniu artystyczném, ale nie przywiązywał wagi do poklasku tłumów.

Charakterystyczną jest chwila młodzieńczéj wrażliwości i budzącego się uczucia u Chopina; miłość zelektryzowała to serce, przeobrażając wirtuoza w skończonego artystę-poetę. Pokochał on idealnie namiętnie Konstancyę Gładkowską, uczennicę Konserwatoryum warszawskiego, a następnie artystkę opery. W 1829 r. pisze o tém do Przyjaciela Woyciechowskiego, dla którego nie miał tajemnic, bo kochał go także z rodzajem namiętności, wciąż do niego się zwracał z prośbą o radę i wskazówki w życiu.

Konstancyę zowie zawsze „Ideałem“. Spowiada się przyjacielowi, że ona natchnęła go do skomponowania walca. Przez pół roku, zanim słowo do niéj przemówił, śnił o niéj każdéj nocy. Zdawał sprawę przyjacielowi, że pobudzała go do marzeń i tęsknoty, unosił

się nad występami w teatrze, zarówno nad głosem, jak nad dramatycznym talentem i uroczą postacią. Miłość ta trzymała go w Warszawie, lubo wciąż niby w podróż się wybierał. Smutne przeczucie mu mówiło, że skoro raz porzuci ojczyznę, nie powróci do niéj więcéj; przerażało go sama myśl o śmierci wśród obcych, obojętnych ludzi.

W tym samym roku jeszcze w Poznańskie do książąt Radziwiłłów wyjeżdża i dobrze mu w Antoninie, gdzie go otaczają ludzie, kochający i rozumiejący sztukę. Gospodarz zapoznaje go z swoją muzyką do „Fausta“, która miejscami wydaje się Chopinowi bardzo piękną i odpowiednią. Po tygodniowym pobycie wraca do domu, by pracować nad finałem koncertu F-mol i nad Etiudami.

Dnia 17 Marca 1830 r. wystąpił publicznie, odegrał swoje koncerta i Potpourri na temata ludowe. Koncert odbył się w teatrze, trzy dni naprzód wykupiono wszystkie miejsca. Niektórzy krytycy żalili się na zbytnią cichość i delikatność uderzenia, życząc sobie, by siła i energia się wzmogła. Muzycy cieszyli się tym talentem, pełnym oryginalności i poezyi, nie przeczuwając może, że ten geniusz miał kiedyś w całym świecie podziw wywołać, ale uważając, że Chopin odźwierciedlał ducha narodowego w odmiennéj szacie, w bardziéj indywidualnéj i wyidealizowanéj pieśni, niż to miało miejsce dotychczas. Była to natura tak wykwintnie artystyczna,ześrodkowująca się w sobie, że nie każdemu i nie odrazu mogła się wydać zrozumiałą.

Jednakże popularność wzrastała, świadczą o tém coraz świetniejsze koncerta. Na wieczorach prywatnych Chopin uprawiał często zbiorową muzykę, często bardzo improwizował i w tém był mistrzem. Zjazd pierwszorzędnych artystów był znacznym naówczas. Zachwycał się Chopin śpiewem panny Sontag, która pięć koncertów dała w Warszawie; nadzwyczajnie zajmującą jest ocena jéj talentu, znajdująca się w korespondencyi.

Przygnębiony opanowującą go coraz więcéj namiętnością do uroczéj Konstancyi, nie przestaje jednak tworzyć. Obok drobniejszych sztuk, napisał koncert E-mol, który też wobec muzyków wyprobował, a następnie w programie umieścił.

Listy do rodziny i przyjaciół są nam źródłem wiadomości o tém, co się działo z Chopinem między chwilą wyjazdu z Warszawy a przybyciem do Paryża. Wiemy, że w Kaliszu spotkał się z Tytusem Woyciechowskim, z nim razem do Wiednia podążył, zatrzymując się kilka dni we Wrocławiu. Tam wysłuchał kilku oper i zetknął się z muzykami, których grą swoją zachwycił, zarówno jak i w Dreźnie,

gdzie przez jakiś czas zabawił. Ani koncert, ani wydawnictwa, nie przyszły tym razem do skutku w Wiedniu. Wydawca lękał się nabyć Waryacye i Sonaty. W ogóle ten pobyt bardzo smutno usposobił Chopina. Dręczyła go tęsknota do swoich, ogarniał niepokój, trudno mu było powziąć postanowienie co do dalszéj drogi. Najlepszemu przyjacielowi swemu, fortepianowi, powierzał swoje smutki i wtedy czuł się mniéj osamotnionym. O Konstancyi wciąż marzył, ciesząc się pierścionkiem, otrzymanym od niéj, prosząc przyjaciela, by ją upewnił „o wieczném uwielbieniu, o miłości, która trwać będzie do ostatniego uderzenia serca". Wciąż myślą, duszą całą z ukochanymi w Warszawie obcował, żył ich wspomnieniem i uprzytomniał sobie wszystkich, ubolewając, że z kraju wyjeżdzał. Ludzie odrywali go od pracy odwiedzinami, zaprosinami; skarżył się, że zajmowali mu wiele czasu. Świeżych wrażeń dostarczyły mu produkcye muzyczne Thalberga, Döhlera, Hummla, Slawika i innych. Slawik zdawał mu się być najlepszym skrzypkiem po Paganinim. Merh, znakomity wiolonczelista, budził jego zachwyt (jemu-to poświęcił Introdukcyę i Poloneza). Po długich nadaremnych usiłowaniach, dał Chopin koncert w Wiedniu. Widocznie w najnieodpowiedniejszéj porze, więc mało zwabił publiczności. W prasie nie zdobył rozgłosu, lubo niektórzy sprawozdawcy uznali go za pierwszorzędnego wirtuoza i wyrażali się z wielkim szacunkiem. Zdaje się, że dochód z tego koncertu nie pokrył nawet wydatków, a artysta nasz bardzo naówczas potrzebował pieniędzy!

Z Wiednia w Lipcu do Monachium się udał, gdzie się dał słyszéć i w kole muzyków od razu zdobył sobie wielkie imię. Zamykając przedparyską epokę biograficzną Chopina, zastanawia się Niecks nad jego dotychczasowemi utworami. Między 1829 a 1831 rokiem nie napisał wiele, ale dzieła jego noszą cechę coraz potęgującego się, coraz samodzielniejszego talentu. Uważać je można jako zapowiedź téj świetnéj twórczości mistrza, którą miał wkrótce zasłynąć.

III.

W Paryżu zastał Chopin ogromny ruch społeczny, naukowy, artystyczny. W muzyce królowali Auber i Rossini, w 1831 r. wystąpił Meyerbeer, jako trzecia potęga, po wystawieniu „Roberta Dyabła", na co trzy lata czekał, nie szczędząc trudów i kosztów. Chopin zachwycony pisze, że dziełem tém zapewnił sobie Meyerbeer nieśmiertelność. Teatr miał także wtedy wiele gwiazd pierwszorzędnych, jak

Malibran, Pasta, Garcia, Schröder-Devrient, jak Rubini, Lablache, Santini i wielu innych. Chopin pisze do swoich pod urokiem potężnych wrażeń, że w Paryżu dopiero dowiedział się, co to znaczy *śpiewać*. Zapoznał się z Cherubinim, zbliżył z Mendelssohnem, z Rossinim, Baillotem, Kalkbrennerem, Hertzem, Franchomem, Lisztem, Hillerem. Wiadomo, że między Chopinem a Franchomem zawiązał się stosunek serdecznéj przyjaźni.

W Paryżu rozstrzygnął się los Chopina, co do wyboru artystycznéj drogi. Porzuca pieszczone dawniéj marzenie twórczości operowéj, postanawia jako pianista dorabiać się imienia w świecie i wykonywaniem własnych dzieł zapewnić im zrozumienie i popularność. Czuł on dokładnie, że w literaturze fortepianowéj stworzy nową erę— śmiało więc kroczył naprzód.

Kalkbrenner naówczas imponował grą swoją, zarówno Chopinowi, jak Mendelssohnowi i tylu innym. Sprobował nawet chodzić do jego klasy, czując pewne braki z powodu, że żadnéj szkoły nie przeszedł; ale to trwało krótko. Kopią naśladowniczą zostać nie mógł i nie chciał—zbyt drogą mu była własna indywidualność, czyli oryginalność w sztuce, a zresztą Kalkbrennera kurs trwał trzy lata, tego Chopinowi było zanadto.

Stosunek przyjaźni jednak się utrzymywał. Chopin ofiarował Kalkbrennerowi swój Koncert E-moll, a ten znowu napisał „Variations brillantes (op. 120) pour piano, sur une Mazourka de Chopin." 26 Lutego 1832 r. przypada znowu koncert Chopina i znowu koszta przewyższyły dochody... Grał z Kalkbrennerem duet jego, na dwa fortepiany napisany, z towarzyszeniem czterech innych (Marche suivie d'une polonaise"). Grał też Chopin Koncert E-mol, mazury i nokturny. Publiczności polskiéj przeważnie zebrało się dość, potęgi artystyczne stawiły się wszystkie, i witano Chopina burzą oklasków. Fetis wieczór ten opisuje, jako jeden z najprzyjemniejszych w ciągu zimy; zachwyca się tym nowym zwrotem w muzyce, jaki potężny, świetny talent Chopina powoduje. Słuchacze, niemniéj zachwyceni, unoszą się nad fantazyą i wirtuozeryą mistrza. We trzy miesiące późniéj Chopin występował jeszcze raz na cele dobroczynne. W tym samym czasie koncertowali w Paryżu Mendelssohn i Paganini; wrażeń artystycznych było więc podostatkiem, lecz brakowało naszemu artyście serca przyjaciela, przed którymby się mógł wypowiedzieć i wypłakać; dlatego ciężko mu było w Paryżu, mimo miłych towarzyskich stosunków. Przyciśnięty materyalną potrzebą, nie przeczuwając późniejszych powodzeń, a nie chcąc rodzicom być ciężarem, nosił się naówczas Chopin z myślą osiedlenia się w Ameryce. Lecz inne czekało go przeznaczenie. Książę Czartoryski, wysłuchawszy tych

rojonych planów, zanim się do Ameryki puścił, zaprowadził go do Rothschilda na muzykalny wieczór. Tam grą swoją zdobył takie uznanie, pełne zapału, że wiele osób z wykwintnego towarzystwa prosiło go o udzielanie lekcyi. Los zmienił się, jak za dotknięciem czarodziejskiéj laseczki. Tak przynajmniéj utrzymuje Karasowski. To pewna, że stosunek serdecznéj przyjaźni, łączący Chopina z rodziną Czartoryskich, stawał się coraz bliższym. W listach, do Warszawy pisanych, ustają wzmianki „o ideale“, zapewne dla téj przyczyny, że Konstancya Gładkowska w 1832 r. wyszła za mąż za Józefa Grabowskiego, właściciela wsi w Rawskiém [1]).

Chopin, porwany w wir wielkiego świata, obcuje ciągle z dostojnikami i z arystokracyą, rozrywany i kochany przez wszystkich. W zimie 1833 roku dawał się słyszéć niejednokrotnie. Jeden ustęp z koncertu Bacha, na trzy fortepiany, grał on z Lisztem i Hillerem, to znowu wspólnie występuje z Lisztem, staje się ulubieńcem salonów, i sława jego, jako wirtuoza, z dniem każdym wzrasta. Węzły stosunków z Lisztem, Hillerem, Franchomem, zacieśniają się coraz bardziéj. Z domem Platerów, gdzie wiele uprawiano muzyki, zażyłość Chopina była téż wielką. Pani kasztelanowa, którą Liszt bardzo wysoko cenił, umiała gromadzić artystów w swoim salonie i do niejednego dzieła natchnęła Chopina. Otaczali go téż Hoffman, Grzymała, Orda, Książę Kazimierz Lubomirski. Niekiedy bywał doskonale usposobionym; lubo powściągliwy z natury, samego siebie niełatwo przyjaciołom rozdawał, z żądaną przysługą jednak zawsze chętnie spieszył.

Zjawienie się Fielda w Paryżu zaciekawiło Chopina i innych. Zdania były podzielone, lecz wrażenie wywołał ogromne grą swoją. Field nazwał Chopina „un talent de chambre de malade“, co przypo-

---

[1]) Nie od rzeczy będzie dodać, że śmierć jéj nastąpiła w r. 1889 w Skierniewicach, dokąd się sprowadziła po śmierci męża i po sprzedaniu *Raducza*, wsi, leżącéj w pobliżu miasteczka. Ś. p. Konstancya zaniewidziała młodo na oboje oczu. Napróżno obwoził ją gorąco przywiązany mąż po sławnych okulistach europejskich — do końca nie odzyskała wzroku. Los swój znosiła z rzadką rezygnacyą, w uczuciach religijnych czerpiąc niespożytą moc ducha. Zajęta domem, wychowaniem dzieci, pomocna mężowi we wszystkich sprawach życiowych—rozumna, dowcipna, wesoła, otoczoną była uwielbieniem rodziny i okolicy. W ostatnich latach wdowiego osamotnienia, po stracie dwóch córek, zatęskniła do muzyki i do fortepianu. Najbliżsi opowiadali, że często siadała do ulubionego instrumentu, improwizowała lub przypominała sobie dawne melodye. Urok poezyi otaczał starość pani Konstancyi, która, po życiu pełném trosk, mimo kalectwa, powracała pogodną duszą do wspomnień młodości i do muzyki... Może te szczegóły przydadzą się kiedyś dla biografów mistrza, którzy niezawodnie szukać będą gorączkowo wieści o téj pierwszéj jego, tak idealnéj, że niewyznanéj niemal, miłości.

mina wyrażenie Aubera, „qu'il se meurt toute sa vie“. Wątpić należy, czy Field, jako człowiek, był Chopinowi sympatyczny; utwory jego lubił grywać, a zwłaszcza Ces-dur koncert i nokturny. Uderzającą jest rzeczą, że Chopin, ten romantyk do szpiku kości, ostatecznie z innymi przedstawicielami romantyzmu, jak Berlioz, Liszt, Schumann, mniéj sympatyzował, aniżeli z Mozartem np., będącym najczystszym typem klasycyzmu: tego kochał i podziwiał skończoność jego dzieł. Do Berlioza starali się go zapalić i Liszt, i Hiller; dał się pociągnąć niekiedy, ale wnet się cofał, wyznając szczerze, że dzieła Berlioza wydawały mu się zawsze zbyt gwałtownie i namiętnie pisane — zbyt surowe, za mało wykończone.

Dla tych samych przyczyn nie lubił Wiktora Hugo i nie przyswoił sobie nic z owoczesnych tendencyi, lubo niepodobna zaprzeczyć, że Paryż wywierał nań wpływ znaczny.

Marzeniem Chopina było, jak to wyznał przyjacielowi swemu, Hillerowi, by mógł się stać dla ziomków tém, czém Uhland był dla Niemców, jako poeta. Nietylko przez rodaków, ale przez cały świat muzykalny został Chopin uznanym koło 1833 roku, jako wielki kompozytor. Po mazurkach i nokturnach wydano Trio, dwanaście wielkich etiud, wielki koncert E-mol, Variations brillantes (B-dur) op. 12.

W roku 1834 ukazały się: Trzy Nokturny op. 15, Rondeau Es-dur op. 16, cztery mazurki, Krakowiak, Grand Rondeau de Concert, Grande Valse brillante op. 18, Bolero op. 19. Indywidualność Chopina dochodziła swéj pełni. Widoczném jest pewne pogłębienie myśli i gorętsze uczucie. Ognisty, namiętny temperament Liszta oddziaływał na Chopina i wzajemnie, a podobno dużo większy jeszcze był wpływ Chopina na Liszta.

Obaj wirtuozi nawzajem uczyli się od siebie; gdyby przyszło do ścisłego obliczenia, gdyby waga była możebną do zastosowania, przekonalibyśmy się, że Liszt więcéj Chopinowi zawdzięcza, aniżeli ten ostatni Lisztowi. Wpływ Chopina na Liszta przebija się bardzo w Etiudach, szczególniéj w chromatycznéj F-minor. Niecks zaprzecza Karasowskiemu, jakoby w 1832 r. utwory Chopina były tak bardzo popularnemi. Mniéj przychylne gazety odzywały się niekiedy z zarzutami, że niepotrzebnie nagromadza trudności techniczne, pomawiały go o przesadę, o gonienie za oryginalnością.

Artyści potrafili go zrozumieć. Moscheles nad jego utworami trawił niejedną wolną chwilę, podziwiając oryginalność i charakterystycznie wzięty koloryt motywów swojskich.

Prędzéj od innych doszedł on téż do sławy, zwracając na siebie uwagę ogółu. Wkrótce grywanie dzieł Chopina obowiązywało ka-

żdego pianistę. I lubo od razu popularności nie zyskał, rozkoszowała się jego utworami *mniejszość*, pojmująca i wtajemniczona w jego naturę, tak niezwykle indywidualną. Mendelssohn, który zjechał się z nim w Akwizgranie, pisze do matki pod wrażeniem tego niezwykłego zjawiska, nazywając go jednym z najpierwszych wirtuozów współczesnych. W Düsseldorfie, gdzie Mendelssohn był dyrektorem muzycznym, grą swą Chopin zadziwił zebranych muzyków. Gdy wraz z Hillerem późniéj do Koblencyi wyjeżdżał, Mendelssohn obu przyjaciół do Kolonii odwoził.

W 1834 roku osiadł w Paryżu Matuszyński, największy przyjaciel Chopina. W listach, pisanych do rodziny, zaznacza, że Chopin zmężniał bardzo i że ma opinię pierwszego profesora muzyki w Paryżu. Wzruszony powodzeniem jego, Elsner, marzył zawsze, by uczeń jego stworzył operę, na tematach narodowych osnutą. Podobno była chwila, że Chopin myślał o uczynieniu zadość życzeniu nauczyciela, lecz zaniechał tego, uznając, że zdolności jego nie odpowiadają podobnéj pracy. Mickiewicz w ożywionéj rozmowie namawiał też Chopina, by się do większego dzieła zabrał, przestrzegając, żeby się na pomniejsze prace nie rozdrabniał. Ale on czuł się stworzonym do pisania tych rzeczy niby drobnych, które, nosząc cechę kunsztownéj roboty mistrza, stawały się prawdziwemi arcydziełami. Chopin nie czuł się „dość uczonym“, by pisać opery; może w istocie brakowało mu gruntownéj znajomości wokalnych i instrumentalnych środków. Nadzwyczajnie indywidualny w tém, co pisał, nie byłby może potrafił, zdaniem Niecksa, oddać charaktery i przekonania, różne od swoich.

IV.

Wśród téj plejady znakomitych pianistów, znajdujących się podówczas w Paryżu, z których jedni zajmowali wyjątkowe stanowisko jako wirtuozi (np. Thalberg), drudzy zaś odznaczali się jako kompozytorowie, wybitni na pewnym tylko instrumencie, naczelne stanowisko zajmował niezawodnie nasz Chopin. Thalberg pisywał wprawdzie, ale przeważnie Fantazye, na temata z oper, Etiudy i niektóre luźne utwory, które jednak zeszły z pola, i dziś nikt o nich nie wié. Podnosząc oryginalne zalety twórczości Chopina, Niecks odmawia mu talentu w przeprowadzeniu rzeczy większéj formy, szerszego zakresu. Zarzuty te, stosują się zwłaszcza do Sonaty. Liryk do szpiku kości, formą Sonaty rzeczywiście nie zawładnął; wymaga ona obok romantyzmu, który Chopin posiadał i który jest istotą twórczości tego kierunku, klasycznego spokoju i swobody czysto objektywnéj. Mistrzem

w traktowaniu Sonaty był niezaprzeczenie Beethoven, a wypowiedziawszy najwyższe słowo w tym kierunku, nie ma współzawodników. Można twierdzić, że forma Sonaty już się nie rozwinęła od czasów Beethovena, i że na téj drodze nie postąpiliśmy ani o krok daléj.

Forma Sonaty rozwijała się od czasów Filipa Emanuela Bacha, który pierwszy dał jéj początek i nazwę; forma ta była jednak bardziéj do Suity zbliżoną, aniżeli do takiéj Sonaty, jaką z póżniejszych czasów znamy, jaką doprowadzili do kunsztownego i poetycznego wykończenia i Haydn, i Mozart, a pod względem instrumentalnego efektu uświetnił Clementi. Na tych wzorach rozwinął Beethoven Sonatę do pewnego typu doskonałości; to téż każdą z jego Sonat można nazwać skończonym poematem, łączącym pewną miarę romantyki z wymaganiami klasycznéj skończoności. Sonaty Chopina, mimo że w szczegółach pojedyńczych części bywają i piękne, i porywające, wogóle nie przykuwają nas, jak beethovenowskie, bo mu zbywa na talencie epickim. Inną ma on też sferę działania, niemniéj oryginalną i niemniéj typową. Na myśl nam nie przychodzi nawet, by mu z tego zarzut czynić, że beethovenowskiéj Sonacie nie dorównał, skoro ma swoje własne pole, na którém jest niezrównanym.

W Sonatach Chopina brak wewnętrznéj jednolitości, polegającéj na opracowaniu głównych motywów w czysto muzykalnym sensie. Jego Sonaty, jakkolwiek o wiele są poetyczniejsze od Sonat Hummla i owéj plejady pianistów-wirtuozów, przypominają te utwory pod względem formy. W Sonatach i wogóle we wszystkich kompozycyach większego zakroju, u Chopina daje się czuć brak kompozytorskiego planu, logicznego porządku w modulacyach. Sonata, która wyszła jako opus 5, jest widocznie dziełem początkującego autora, bardzo słabém pod względem muzykalnéj treści, lubo dla pianisty nastręcza sposobność wybornych studyów. Czuć tu już autora, torującego nowe drogi na swojém polu, więc wobec zajmujących szczegółów, braki istotne tracą na znaczeniu i rzecz gra się z przyjemnością. W Sonacie pierwszéj nadzwyczaj jest zajmujące Andante, w takcie na $^5/_4$, w charakterze Nokturnu, bo inaczéj nigdy Chopin nie pojmował swoich Andante. Scherzo w tempie Allegretta jest zupełnie skończoném samo w sobie. W drugiéj Sonacie, B-minor, pierwsza część, jako forma Sonaty, jest najlepiéj zbudowaną może ze wszystkiego, co Chopin napisał. Pierwsza idea trzymana w charakterze niespokojnym, *apassionato,* wyborny kontrast stanowi z cantileną środkową, poetyczną, prześlicznie zbudowaną pod względem formy. Jakkolwiek cztery ustępy, składające tę Sonatę, są prześliczne każdy z osobna, nastrojem swoim nie odpowiadają sobie nawzajem, jak np. Marche funèbre i Scherzo—i to tłómaczy, czemu, mimo pierwszorzędnych zalet, uznaną została za dzieło słabe.

Dyletanci często grzeszą brakiem krytycznego sądu o dziełach Chopina. Jedni unoszą się bezwzględnie, przeceniając wartość dzieł słabszych i nie dopuszczając żadnéj analizy krytycznéj; drudzy upatrują dziwaczność i chorobliwość tam, gdzie są znamienne cechy geniuszu oryginalnego. My, wyżéj stojący w pojęciach o harmonicznych pięknościach od współczesnych Chopina, lepiéj to już rozumiemy; zajmuje nas przedewszystkiém nastrój dzieł Chopina i duch z nich wiejący, cieszymy się tém, co on nam daje, nie pragnąc tego, czego nie ma i mieć nie może. Wiemy, że ta spuścizna pozostanie zawsze drogą ogółowi, że dzieła te nie zejdą z estrady koncertowéj, a swoją drogą, nie życzymy sobie naśladownictwa, któreby wytworzyło manierę, chorobliwy kierunek sztuki. W trzeciéj Sonacie, H-minor, zbudowanie pierwszego Allegra jest zupełnie chybione, mimo genialnych prawdziwie szczegółów. Sam początek Sonaty, aż do przecudnéj cantileny środkowéj, jest mało znaczący, nawet pierwszy, dość energiczny i stanowczy motyw, nie jest dostatecznie wyzyskanym, a tak zwana środkowa część, przeprowadzenie, nie może się nazywać logicznėm rozwinięciem założonego planu głównego. Do słabszych jeszcze rzeczy zaliczają wszelkie próby Chopina na polu muzyki komnatowéj, to jest Sonaty w połączeniu z instrumentami, jak Trio na fortepian, skrzypce i wiolonczelę i Sonata na wiolonczelę i fortepian. Z tego się pokazuje, że z innemi instrumentami trudno sobie radził, bo to krępowało jego fantazyę.

W kierunku Sonaty fortepianowéj obok Beethovena śmiało możemy postawić Schuberta. Chociaż nie zawsze u niego spotykamy ścisłą beethovenowską logikę,—raczéj go odznacza luźna nieco faktura, ale same tematy mają piętno oryginalności i nieraz bywają przeprowadzone prawdziwie genialnie. Do zupełnéj doskonałości przeszkodą są zbyteczne powtarzania i rozwlekłości, oraz pewien, nieco banalny, sentymentalizm.

Mendelssohn nie zostawił ani jednéj czysto fortepianowéj Sonaty, którаby mogła stanowić epokę w jego twórczości. Sonata E-major, mimo pięknego opracowania, jest cokolwiek monotonną i rozwlekłą. Inne dwie, G-minor i B-major, są widocznie pracami młodzieńczemi jeszcze i nie mają wielkiéj wartości. Schumann, w pierwszéj swéj epoce twórczéj, wypowiadając wojnę tak zwanym filistrom, puszczał wodze swojéj fantazyi, tworzył dziwaczne nieraz rzeczy pod względem rytmu, miał upodobanie w synkopach, które lubił przeprowadzać czasami aż do zbytku. Mimo téj całéj walki z formą klasyczną, jako wykształcony muzyk i poeta prawdziwy, nigdy nie doszedł do absurdów. W Sonacie pierwszéj, Fis-minor, chciał stworzyć dzieło, wybijające się z pod ścisłéj formy muzycznéj; wiele pięknego tam się spo-

tyka: wstęp sam, w wolném tempie, mimo jednostajnego rytmu, andante i scherzo, prawdziwe cacka; finale za to wcale niepiękne i tak niepraktyczne, że niemal niewykonalne.

Weber, czysty romantyk, w sonaty swoje wlewał ducha dramatycznego, z którego typem spotykamy się w jego operze „Wolny Strzelec.“ Najpiękniejsza z czterech sonat jego, As-major, nosi tę dramatyczną cechę. Zestawienie działalności poprzedników i współczesnych Chopina daje najlepszą miarę, jak mamy zapatrywać się na prace naszego ziomka. O innych utworach, jak Trio fortepianowe i Sonata wiolonczelowa, nie będę się rozwodził; są tam te same wady, co w sonatach fortepianowych, a jeszcze mniéj inwencyi; brak umiejętnego użycia instrumentów jest widocznym.

Zestawiając działalność Chopina w utworach większego zakroju z innymi mistrzami, musimy wspomniéć o jego pracach orkiestrowych, a mianowicie o koncertach. Pod względem traktowania fortepianu, samego dla siebie, przyznać musimy Chopinowi, że był reformatorem. Działalność ta najwybitniéj występuje w jego utworach czysto solowych; zespolenie fortepianu z orkiestrą widocznie krępowało indywidualność Chopina. Zakrojem swoim dzieła te noszą zawsze ślady pewnéj współczesnéj maniery, Hummla, Fielda i Kalkbrennera. Beethoven w swoich trzech ostatnich koncertach doprowadził ten rodzaj do zenitu; forma koncertu przybiera tam zakrój symfoniczny. Orkiestra i fortepian są to dwa czynniki, walczące z sobą, z zapasów tych fortepian zawsze wychodzi zwycięsko. Tymczasem u Chopina robi on nieraz wrażenie akompaniamentu, i to niekoniecznie nawet potrzebnego.

Po Beethovenie, Robert Schumann stworzył największe arcydzieło w tym rodzaju. Mendelssohna koncerta o wiele już niżéj stoją i dzisiejszym wymaganiom nie ze wszystkiém odpowiadają. Wszyscy nowsi kompozytorowie mają przed sobą ideał niedościgniony koncertów G-major i Es-major i schumanowskiego A-minor.

V.

Między 1834 a 35 rokiem Chopin zmuszony był często występować publicznie. Późniéj zamilkł na czas dłuższy i koncerta jego liczyły się do rzadkich wydarzeń. Dał się więc słyszéć w koncercie, urządzanym w konserwatoryum przez Berlioza. Wystąpił ze swojém Andante na fortepian z towarzyszeniem orkiestry. W kilka tygodni późniéj bierze udział w poranku muzykalnym, i wraz z Lisztem gra wielki duet na cztery ręce, Moschelesa. Pisma podnoszą świetność

wykonania duetu, który nie był nigdy drukowanym, a prawdopodobnie osnutym został na mendelssohnowskim temacie.

W Kwietniu urządza Chopin koncert na rzecz podupadłych rodaków. Jedni wspominają, że zachwyt, spowodowany świeżą, świetną i tak oryginalną grą, był ogólny; drudzy uważają, że powodzenie było tylko połowiczne, utrzymane oklaskami najbliższych przyjaciół. Liszt zapewnia, że chłodne przyjęcie zraziło Chopina do publicznych występów, że najlepiéj lubił grywać w salonie, w kole wybranych. Znawcy prawdziwi mieli wielką roskosz, gdy Poloneza zagrał na koncercie konserwatoryum. Miewał on chwile niezwykłego porywu, wtedy, nie troszcząc się o wrażenie, jakie wywiera, elektryzował słuchaczów. Usposobienie Chopina nie bywało równe; wobec masy różnorodnéj publiczności, nagromadzonéj w koncertowéj sali, zamykał on się niejako w sobie, niby kwiat mimozy. Nie lubił tych występów, nie zawsze czuł w sobie siłę i chęć porwania tłumu. Potrzebował prądu elektrycznego, łączącego go sympatycznie z garstką doborowych dusz; inaczéj zamierała w nim chęć i niemal możność wypowiadania się. Najlepiéj to sam określił, mówiąc do Liszta, że nie jest stworzonym do dawania publicznych koncertów, że milknie wobec ciekawych spojrzeń tych nieznanych ludzi, których oddech go po prostu dusi. Obojętność ogółu i niechęć lub przeciwieństwo zdań nie dodawały mu bodźca, przeciwnie, zniechęcały go zupełnie. Wolał zaniechać walki z masą, zrzekając się tryumfu, który trzeba było sobie zdobywać. Czy uwielbienie prawdziwych artystów wynagradzało mu ten brak ogólnego poklasku tłumów? Żaden wirtuoz nie zadawalnia się uznaniem szczupłego grona, zwłaszcza gdy natura obdarzyła go warunkami świetnego artyzmu. Ludzie, bez porównania mniéj uposażeni, zdobywali tanim kosztem więcéj sławy i złota, aniżeli to na razie było udziałem Chopina. Tajemnica téj zagadki leży zawsze w usposobieniu, w naturze artysty; w następstwach swoich rzecz sama staje się niekiedy ciężkiém udręczeniem.

Niecks zastanawia się téż nad stosunkiem Chopina do muzyki włoskiéj. Wiadomo powszechnie, jak nasz artysta cenił i lubił Belliniego, Rossiniego. Hiller był świadkiem łez, tryskających z oczu, gdy razem Normy słuchali. Tłómaczy to poniekąd smakiem, panującym naówczas w Warszawie, a także powinowactwem duchowém, łączącém Włochów z Polakami. Mimo widocznych różnic, dzielących ich pojęcia i style, między Bellinim a Chopinem zachodziły pewne wspólności. Bellini, zaprzyjaźniwszy się z Chopinem, mógł cokolwiek oddziaływać rodzajem swoich utworów, sposobem prowadzenia śpiewu. Wpływ zapewne był obustronnym, ale w bardzo ograniczonéj mierze. Sympatya Chopina tłómaczy się dostatecznie osobistością Belliniego,

który pod każdym względem uosabiał wcielone piękno, rozum, zacność, sztukę; w muzyce szukał tylko duszy i duszę chciał oddać.

Po pięciu latach niewidzenia, rodzice zjeżdżają się z Fryderykiem w Karlsbadzie, po czém Chopin udał się do Drezna i Lipska, gdzie zetknął się z Mendelssohnem, Schumannem, Klarą Wieck i jéj ojcem. Szczegóły tych odwiedzin znane są doskonale; niéma potrzeby powtarzać opisu cudnych chwil, jakie tam przeżyli najwięksi artyści współczesnéj doby; — Schumann nazwał Chopina „jedynym w swoim rodzaju.“ Gdzie tylko zajrzał, zostawił po sobie wrażenie cudownego zjawiska. W Heidelbergu odwiedził ojca swojego ucznia, Gutmana; i tam również przyjmowano go, nie jak księcia ani króla, ale jak kogoś, o wiele wyższego od monarchów tego świata. Pobyt w Dreźnie nader jest ważny w życiu Chopina, z powodu spotkania się z rodziną Wodzińskich, dawnych przyjaciół z kraju. Wiadomo, że Marya Wodzińska była drugą miłością Chopina; miał względem niéj nawet zamiary matrymonialne. Dziewiętnastoletnia panienka była podobno uosobieniem wdzięku. Łączyła ich muzyka i budzące się uczucie. Na pożegnanie dała Chopinowi różę, on zaś nadesłał z Paryża Walca p. t. *Adieu*, na intencyę Maryi napisanego. Następnego lata spotkali się w Maryenbadzie. Wspólne wycieczki, muzykowanie, odbywały się w dalszym ciągu. Nawet jéj pozował do portretu. Chopin oświadczył się o rękę Maryi, ale widocznie nie zgadzało się to z wolą jéj rodziców, a wbrew téj woli postąpić nie chciała. W dwa dni późniéj opuściła z matką Maryenbad, a w następnym roku Marya już była żoną Fryderyka Skarbka. Karasowski opisuje to wydarzenie odmiennie, mówiąc, że Chopina miłość była odwzajemnioną i przyjętą, że pojechali wszyscy razem do Drezna w najlepszych humorach, że się zaręczyli i jeszcze w połowie 1837 r. byli narzeczonymi. Chopin miał zamiar po ożenieniu osiąść w pobliżu rodziny swéj, gdzieś koło Warszawy. Gdy został zawiedziony w swoich nadziejach, gorycz rozczarowania i próżnia, jaka nastała w sercu, spragnioném miłości, przysposobiły go prawdopodobnie do stosunku z George Sand. Grunt był przygotowany. Iskra padła i serce rozgorzało płomieniem.

VI.

Świetna to była epoka w Paryżu 1835—1836 pod względem muzykalnym. Dość wspomnieć, że na scenie ukazali się Hugonoci Meyerbeera, a na estradach koncertowych takie błyszczały potęgi, jak Lipiński, Thalberg, Bériot, Viardot-Garcia. Thalberga ogłoszono pierwszym wirtuozem — jednym z najpierwszych wirtuozów świata —

Liszt doszedł wtedy do szczytu swéj potęgi. Za pośrednictwem Liszta, na świetném zebraniu, poznał się Chopin z George-Sand — z ową *trzecią miłością*. Zetknięcie to stanowiło o dalszém jego życiu. Zdawało mu się, że ona rozumiała go lepiéj, niż ktokolwiek. W 1837 rozpoczął się ten stosunek, zerwany ostatecznie dopiero w dziesięć lat późniéj. Świat tak dalece zajął się szczegółami téj miłości dwojga niepospolitych ludzi, że są one zbyt dobrze znane, by je tu przytaczać. W opowiadaniach współczesnych panuje jednak pewna niezgodność. I tak, Liszt twierdzi, że pierwsze spotkanie nastąpiło w mieszkaniu Chopina, chociaż powszechnie utrzymują inaczéj, że zapoznanie się nastąpiło w salonie hrabiny C., dokąd Liszt sam, tak George-Sand, jak hrabinę d'Argent przyprowadził. Chopin, zdaniem Liszta, nie miał chęci do tego stosunku, nie lubiąc kobiet piszących. Lecz twórca Rapsodyi uchwycił lepszą chwilę, gdy Chopin był dobrze usposobionym po ukończeniu kilku kompozycyi, i przy téj sposobności wywiązał się z uczynionéj dawno obietnicy. George Sand bowiem koniecznie pragnęła poznać artystę, o którym tak wiele słyszała. Wiadomo, jak niesympatyczne wrażenie wywarła zrazu na Chopinie. Pisał o tém w listach, a Hiller utrzymuje, że rzekł raz do niego: „Cóż to za antypatyczna kobieta ta Sand! Czy to doprawdy kobieta? Prawie że o tém powątpiewam.“ Miłość jego nie była więc nagłą, ale się okazała tém silniejszą i graniczyła z uwielbieniem, mimo że trudno o większą sprzeczność, tak w usposobieniach, jak w charakterach. Chopin słaby, niezdecydowany; George-Sand silna, energiczna. On zawsze otoczony wytworném towarzystwem, szanował zwyczaje światowe; ona je lekceważyła, po nad wszystko dbając o swoją niezależność. On drobiazgowo zważający na strój, na pozory i estetykę zewnętrzną; ona z wyraźnym wstrętem do przymusu, do elegancyi, lubiąca nadewszystko wygodne męskie ubranie. A gdy pomyślimy o zasadach, wśród których się wychowali, o życiu, jakie wiedli przed poznaniem się wzajemném, różnica okaże się tém wydatniejszą i przepaść dzieląca niezgłębioną. A jednak, mimo rażących sprzeczności, nastąpiło zbliżenie; łącznikiem była tu niezawodnie fantazya artystyczna. Zajmujące portrety tych dwóch osobistości kreślą ich współcześni: Heine, Liszt, Musset, Moscheles i inni. Ciekawém jest, co w *Historyi swego życia* George-Sand pisała o Chopinie, ze stanowiska muzykalnéj oceny. Nazywa geniusz jego „najgłębszym, najpełniejszym pod względem siły uczucia i wrażliwości, ze wszystkich istniejących; instrument pod jego palcami mówił językiem boskim. W kilkudziesięciu taktach umiał zawrzéć najwznioślejszy poemat, najpotężniejszy dramat. Małemi środkami działał, by wypowiedziéć genialne pomysły, przejmujące duszę trwogą; umiał je natchnąć wiarą i zapa-

łem, bez użycia organów lub ludzkiego głosu. Nie był on przystępnym dla mas, które go dotąd jeszcze nie rozumieją.

Trzebaby wielkiego postępu w smaku i inteligencyi, w pojęciu i sztuce, by dzieła jego stały się popularnemi. I dodaje w zapale uniesienia, że przyjdzie dzień, w którym zinstrumentują muzykę Chopina, nie zmieniając wcale fortepianowéj partyi, i w którym przekona się świat, że ten wielki geniusz, równie skończony, równie uczony, jak najwięksi mistrze, których sobie przyswoił, zachował indywidualność jeszcze wytworniejszą od Sebastyana Bacha, potężniejszą od beethovenowskiéj, dramatyczniejszą od Webera. On łączy ich wszystkich w sobie, a jednak sobą pozostaje. Boleść, wyrażona w muzyce Chopina, bywa rozdzierającą, jak może u nikogo. Mozart jeden go przewyższał, bo miał więcéj zdrowego spokoju, oddychał więc całą pełnią życia.“

Znając ówczesny stosunek George-Sand do Chopina, nie dziwimy się przesadzie i pewnéj jednostronności sądu w pochwałach, dla mistrza naszego wypowiadanych.

W 1837 i 38 roku ukazały się liczne utwory: Etiudy, Nokturny, Walce, Mazury, Scherzo. Występował Chopin kilkakrotnie w Paryżu i w Rouen na cele dobroczynne, zadziwiając grą swoją całe społeczeństwo tamtejsze. Wycieczki do Nohant, siedziby pani Sand, stają się peryodycznemi w tych czasach. Tam, w kółku bliskiém, Chopin najchętniéj grywał. Zdrowie jednak nadwątliło się, w ciągu zimy influenza wyczerpała mu wiele sił. W następnym roku widzimy go już na Majorce, dokąd pojechał z George-Sand i jéj rodziną. Czy ona poświęciła się dla niego, czy téż on do wyjeżdżającéj dla chorego syna się przyłączył, usłuchawszy lekarzy, radzących mu pobyt w ciepłym klimacie? — opowiadania są rozmaite. Wiadomy jest szczegół, że przyjaciel jego, Pleyel, 2,000 fr. zapłacił za Preludye i tym sposobem umożliwił odbycie téj podróży. Fontana, Matuszyński i Grzymała zostali jedynie wtajemniczeni w szczegóły, dotyczące tego epizodu życia wielkiego artysty. Nieliczne i zwięzłe listy do Fontany rzuciły nieco światła na tę epokę, znaną do pewnego czasu tylko z romansu pani Sand i jéj pamiętników. Tam jednak urojenie miesza się z rzeczywistością, w sposób niełatwy do rozwikłania; rzeczy często bywają przedstawiane w świetle fałszywém, tak, jak chciano, by się przedstawiały. Piękności krajobrazu działały niezawodnie silnie na wyobraźnię poety-artysty; ów klasztor o ponurych celach, w którym mieszkali nasi podróżni, był położonym w najcudniejszéj okolicy. Ale mimo zachwytu nad krainą palm, aloesów, cytryn, fig, kaktusów i granatów, mimo nieba porównywanego do turkusów, morza do lapis lazuli i gór do szmaragdów, niewygody życia codziennego dawały

się dotkliwie uczuć choremu Chopinowi. Porywało go chwilami to czarujące życie, te noce przebywane na balkonach winem obrosłych, wśród starych murów, pamiętających arabskie czasy, wśród dochodzących zdala śpiewów i gry na gitarze... Trwało to, dopóki klimat nie uległ zmianie, dopóki zimno, wilgoć, nie zaczęły srodze doskwierać. Pacyent kaszlał, lekarze nie potrafili złemu zaradzić, była więc chwila bardzo ciężka, zwłaszcza dopóki nie sprowadzono fortepianu.

George Sand sama przyznaje, pod wpływem zniechęcenia, że z powodu niewygód i chorób, podróż ich jest nieznośném *fiasco*. Chopin, oczarowany pięknością przyrody, opisuje malowniczo ów wielki, opuszczony klasztor po Kartuzach, w otoczeniu skał i morza, z celami nakształt trumien, o małych okienkach, a drzwiach większych od bram paryskich. Cisza taka panowała dokoła, że choćby kto głośno krzyknął, niktby nie usłyszał. Wiatr huczał tam niekiedy przeraźliwie i straszył artystę, pobudzając go do melancholii. Dzieła Bacha i własne notatki, to była jedyna podręczna biblioteczka. Piękną przyrodą, zdaniem pani Sand, można się bardzo zachwycić, byle nie mieć do czynienia z pocztami i drogami. Zdaleka kłopoce się chory nasz interesami wydawniczemi, które mu przyjaciel nie zawsze korzystnie załatwia. Z Palmy wyprawia Chopin Preludye swoje do Pleyela, obiecując Poloneza, Balladę i Scherzo. George-Sand, opisując tak oryginalne i poetyczne miejsce pobytu, wspomina, że pracowali tam zapamiętale, śpiesząc się z wykończaniem roboty, używając swobody na łonie cudnéj natury.

Jednakże proza życia, brak wygód niezbędnych dla przyzwyczajonego do nich chorego, który się przeziębił, suchoty rozwijające się z gwałtowną szybkością, tém więcéj, że się doktorzy na nich nie poznali,—to wszystko zniewalało do powrotu. Trzeba było czekać na lepszy stan zdrowia, osłabienie bowiem nie dopuściło myśléć o podróży. Coraz trudniéj było o wesołość i swobodę, wśród téj ciężkiéj zimy, która złowróżbną śmierć zdawała się z sobą przynosić. Muzyka brzmiąca w celi Chopina obrzucała jedynie poezyą te ciężkie dni, przeżyte w klasztorze. Tonami malował swą duszę. W samotności jednak, mury te wywierały nań wrażenie ponure. Znane jest opowiadanie pani Sand, że ledwo go się docuciła kiedyś wieczorem, gdy po dłuższéj wycieczce powróciła do domu. Obcując z duchami, sam sobie wydał się być duchem... Lecz jakie cudowne rzeczy stwarzał, powróciwszy do siebie! W preludyach, tych skończonych arcydziełach, zdają się echem odzywać żałobne pieśni mnichów; w innych, łagodnych, melancholicznych, odbija się słońce w całym przepychu jasności; wesoły śmiech dzieci, śpiew ptaków, odgłos gitary, odzywającéj się w dali. Blade różyczki wykwitają wśród śniegu. Są i inne jeszcze

preludye, nacechowane głębokim smutkiem, i chociaż przejmują i ucho pieszczą cudną melodyą,— przecież rozrywają serce, pękające z bólu. Wszyscy znamy historyę kropel deszczu, uderzającego o szybę, które, echem tęsknoty i niepokoju ozwawszy się w tkliwéj duszy poety, skrystalizowały się w najpiękniejszém preludyum, napisaném w natchnieniu, a jak on mawiał, we śnie. Gutman utrzymuje, że preludye były napisane przed podróżą, że je sam przepisywał. Najpewniéj, dawniéj napisane, ulegały tu rewizyi i poprawkom. Zdaje się być rzeczą pewną, że Preludyum H-moll № 6 tam zostało skomponowane, również jak Ballada opus 38, Scherzo op. 39 i oba Polonezy opus 40. Sonata opus 35 i Dwa Nokturny, tęskny i smętny Mazurek opus 41, tam także były napisane.

VII.

Podróż powrotna była bardzo ponurą. Pacyent kaszlał, pluł krwią; niechętnie przyjmowano „suchotnika“ na okręt i w hotelach. Choroby jego boją się wszyscy, jak zarazy. Wszelako znakomity lekarz w Marsylii uważał, że stan nie jest rozpaczliwym, tylko wymaga starannego pielęgnowania. 22-go stanęli podróżni nasi w Nohant, do Paryża udali się dopiero w jesieni. Listy Chopina, jak wspomnieliśmy, przeważnie sprawami wydawniczemi zajęte, zawierały skąpe wzmianki o zdrowiu, lub rozporządzenia co do najmu i przygotowania mieszkania. Widocznie, wyjeżdżając z Paryża, napisał on testament, który po powrocie każe Fontanie zniszczyć, nie czytając. Zwolna przychodzi do sił. Już w Marsylii cudnie improwizował na organach, w czasie nabożeństwa żałobnego po śpiewaku Nourrit'cie.

W tym czasie napisał Chopin Sonatę B-moll z Marszem pogrzebowym, Nokturn G-dur, prawdopodobnie jednocześnie wydany z Nokturnem G-moll, cztery Mazurki, o których wspomina, że mu się wydają ładne, „jak zwykle najmłodsze dzieci najbardziéj podobają się rodzicom.“

Na początku zimy 1839 r. przybył Moscheles do Paryża. Dwaj wirtuozi nawzajem zachwycali się sobą. Zbyt osłabiony, by sam mógł grywać wiele, Chopin kazał Gutmanowi wykonywać swoje utwory, mianowicie Scherzo, które w nagrodę dobrego wykonania jemu ofiarował. W 1839 r. ukazały się tylko Preludya op. 28, ale za to w następnym roku wyszło dzieł szesnaście, od 35 do 50 op. Geniusz Chopina doszedł do pełni rozwoju i świetnego blasku. Fizyczne cierpienia nie zdołały osłabić duchowéj jego potęgi. W dziełach mistrza nigdy technika nie była na pierwszym planie, ale strona duchowa,

uczucie, myśl, z wykluczeniem wszelkiéj blagi i szarlatańskich sztuczek. Technika fortepianowa była dla Chopina zawsze środkiem, a nie celem.

Lubił się przygotowywać do koncertów grywaniem dzieł Bacha, przez jakie dwa tygodnie. Jak wiemy, nie miał chęci do występów publicznych, sama myśl o téj konieczności usposabiała go nerwowo. Jednakże, po długiéj przerwie, grał znowu w Sali Pleyela w 1841 r. Bilety rozchwytali uczniowie i blizcy przyjaciele; przyjmowano go z entuzyazmem. Liszt powiedział, że Chopin nowym myślom umie nowe dać kształty, w tysiącznych zwrotach, znamionujących jego niezwykłą potęgę i oryginalność. Jeden ze sprawozdawców nazywa go „kompozytorem, piszącym z głębi duszy, z silnego przekonania", dodając, że Chopin za pomocą fortepianu wyśpiewał, co czuł, jak Schubert np. uczynił to w pieśniach. Można go więc śmiało nazwać twórcą szkoły fortepianowéj i kompozytorskiéj. Wyjątkowy ten twórca z żadnym innym nie może być porównanym, bo ma swój wdzięk, swoją oryginalność zupełnie odrębną. Słuchać go trzeba koniecznie w nastroju poetycznym i wtedy odnosi się roskosz niewypowiedzianą z jego gry."

Widocznie zadowolony z tego koncertu, Chopin, przed upływem roku z drugim wystąpił.

Niecks stara się wyrobić sobie zdanie o grze Chopina, na mocy zebranych świadectw współczesnych artystów, przyjaciół lub uczniów jego. Był to pianista *sui generis*; Moscheles go nazywa unikatem, Mendelssohn indywidualnym i do gruntu oryginalnym, Meyerbeer wyznaje, że nie zna równego mu pianisty ani kompozytora. Miał on bajeczną równość gry i niezależność palców, pianissimo niezrównane; każda nutka brzmiała czyściutko i jasno, jak dzwonek. Ta kryształowa czystość, obok delikatności i lekkości, płynność oraz wytworność gry, zyskały mu miano Aryela fortepianu. Wyjątkowo piękna ręka, znana z odlewów gipsowych, giętka i podatna, o palcach elastycznych, ułatwiała mu osiągnięcie tych przymiotów gry. Akordy, arpedżia, przerażające drugich w jego utworach, jako szkopuły nagromadzone, dla niego nie przedstawiały żadnych trudności. Heller zapewnia, że ton Chopina był bardzo bogatym, że np., grając z Moschelesem duet na dwa fortepiany, przewyższył znanego wirtuoza siłą i blaskiem swojego uderzenia. Gutman utrzymywał, że wogóle Chopin grał bardzo spokojnie, rzadko kiedy używając *fortissima*. Poloneza As-dur nie mógł nigdy odegrać z tą grzmiącą siłą, z jaką jesteśmy przyzwyczajeni słyszéć tę kompozycyę. Passaże oktawowe zaczynał pianissimo i prowadził je bez znacznego dynamicznego stopniowania do końca. Zdaniem Mikulego, umiał on w śpiewie

(w cantabile) wydobyć olbrzymi ton z instrumentu. Pod tym względem chyba jeden Field tylko mu dorównywał. Brak siły fizycznéj powodował wydobywanie śpiewu za pomocą *legata*. Umiał Chopin tak mądrze gospodarować środkami, jakie posiadał, że zbyt mały ton nikogo nie raził. Już to Moscheles zauważył, że *piano* Chopina bywało niekiedy tak mocno cieniowane, iż szczególnie akcentowanego forte nie potrzebował używać dla wywołania pożądanego kontrastu. Nawet w ostatnich latach życia, gdy gra jego była tak słabą, iż ledwo można było ją dosłyszéć, potrafił wzbudzać wielkie wrażenie użyciem *pianissima* i cieniowaniem efektów fortepianowych. Posiadał on, jak żaden z pianistów, tajemnicę użycia pedału, tonu i uderzenia. Nie potęgą, ale rodzajem tonu działał, akcentem nadanym (tempo *rubato*), a przedewszystkiém tą poezyą, która tkwiła w duszy i którą, szczęśliwszy od wielu artystów, umiał wypowiedziéć. Ci ze współczesnych, którzy słyszeli go improwizującego, zapewniają, że to była roskosz niezrównana. Nazwano go pastelowym malarzem, mówiąc, że arcydzieł Beethovena i Webera nie umiał oddać, gdyż oni malowali dla niego zbyt szerokiemi liniami i zbyt grubym pędzlem. Chętnie bardzo grywał Waryacye Beethovena, miały one wszakże wychodzić z pod rąk jego miękko i niewieścio i, mimo ślicznego tonu i idealnego wdzięku, zbywało im na sile. Gdy raz obecny wykonaniu Lenz zarzucił to mistrzowi, odrzekł Chopin, że on niejako markuje tylko intencye autora, że je wskazuje; całość zaś obrazu musi sobie słuchacz sam dopełnić. Mimo ciepła gry jego, uderzała jednak pewna powściągliwość, wytworność i miara, niekiedy nawet chłodna. Co się tycze fortepianu, dopóki Chopin był młodym, silnym, najchętniéj używał Erarda; gdy mu jednak Pleyel podarował pyszny instrument swego wyrobu, o dźwięku metalowym a lekkiém uderzeniu, nie chciał już grywać na fortepianie innéj fabryki. Mawiał, że ile razy niezupełnie się czuje usposobionym, chętnie grywa na Erardzie, gdzie ton ma niemal gotowy; lecz przeciwnie, czując się dość silnym na stworzenie własnego tonu, posługuje się Pleyelem. W czasie pobytu w Anglii, oprócz tych dwóch firm, używał też chętnie firmy Broadwooda.

Niecks radby podać wierny portret moralny artysty z zebranych poglądów współczesnych. Powiada, że był on arystokratą i wyłącznym, że wszystko, co twarde, dzikie, melodramatyczne, było mu wstrętném, tak samo w muzyce, w literaturze, jak w życiu.

Wspominaliśmy już, że ze wszystkich kompozytorów, żyjących i nie żyjących, Chopin najwyżéj cenił Mozarta. Ten był jego ideałem i artystą „par excellence“. Mówią, że nawet w podróży miewał partytury jego dzieł w kuferku, że Requiem jego kazał sobie grać po śmierci. Po Mozarcie najwyżéj cenił Bacha, którego też

uczniom swoim gorąco zalecał, utrzymując, że grywanie Bacha najpewniéj kształci i wyrabia grę. Z pianistów zdaje się, że najbardziéj zdołali go zadowolnić Hummel, (którego dzieła sam chętnie grywał), Fild i Moscheles. Fielda As-dur Koncert i Nokturny szczególniéj lubił, czarująco improwizując na te tematy. W ogóle duch niemieckiéj muzyki mało do jego usposobienia przemawiał, lubo, zdaniem jego, istniala jedna szkola tylko, t. j. niemiecka. Beethoven nawet, mimo całego uwielbienia, raził go niekiedy zbyt uderzającemi i męczącemi sprzecznościami. Początek Księżycowéj Sonaty lubił nadzwyczajnie, lecz wielu bardzo utworów Beethovena nie znał wcale. Nienawidził Tria Mendelssohna, a najwyżéj cenił jego pierwszą *Pieśń bez słów*; niektóre utwory jego trywialnemi nazywał. Również nie miał podobno przekonania do *Karnawału* Schumanna. Kalkbrennera i Thalberga utwory były mu niekiedy formalnie wstrętnemi; hałaśliwość i sentymentalizm jednych, a przesadna ogłada drugich, raziły go. Tych autorów nie grywał nigdy. Halevy'ego mało cenił, do Meyerbeera miał wstręt formalny, Aubera niezbyt wysoko stawiał. Włoskie opery więcéj go ciągnęły od francuskich. Belliniego, Rossiniego bardzo lubił, jak wiadomo; wogóle, według określenia Liszta, w wielkich arcydziełach szukał tego jedynie, co odpowiadało jego naturze. To mu się podobało, co mu było bliskie, lecz zaledwie potrafił oddać sprawiedliwość rzeczom sobie obcym.

Od roku 1838 do 1846, z wyjątkiem 40-go, spędzał Chopin regularnie parę miesięcy letnich w Nohant; lubo go pobyt tam męczył z wielu względów, tęsknił jednak i zawsze powracał na wieś. Życie w Zameczku miało urok niezwykły. Czytywało się dobre książki, robiło się wspólne wycieczki, rozmowy przeciągały się do późna w towarzystwie niepospolitych ludzi. Tam spotykali się Liszt z Chopinem i ztąd źródło tylu anegdot o ich stosunkach i współzawodnictwie.

O sposobie tworzenia u Chopina obszernie wyraziła się pani Sand, opowiadając, że było w tém coś nadzwyczajnego. „Myśli mu się rodziły niespodzianie, nieszukane wcale. Nieraz np. na przechadce tak miał niemi nabitą głowę, że śpieszył się, by czémprędzéj do domu powrócić i wygrać je na fortepianie. Tu zaczynała się ciężka praca tworzenia, któréj nieraz bywałam obecną, by znaleźć i zatrzymać w pamięci, co brzmiało w duszy. Do rozpaczy go doprowadzała analiza; sam był najtrudniejszym do zadowolenia, najsurowszym sędzią swoich utworów. Zamykał się wtedy w pokoju, płakał, biegał, łamał pióro, po sto razy jeden takt powtarzał, zmieniał, to pisał, to znowu wymazywał. Nieraz sześć tygodni siedział nad jedną stronicą i w końcu tak ją napisał, jak za pierwszym razem“. Nadaremnie namawiała go towarzyszka, by szedł za pierwszém wrażeniem swojém,

a widząc mękę serdeczną tworzenia, starała się go rozerwać. Czasami jakaś wycieczka, w okolicę odbyta, odrywała go od pochłaniającéj myśli; wracał trzeźwiejszy, uspokojony, i już bez trudu kończył swoje dzieło. Lecz nie zawsze lubił, by mu przerywano, a gniew jego bywał strasznym, ile razy czuł się podrażnionym; zdawało się, że się zadusi, gdy przestawał być panem siebie.

Mieszkanie Chopina było wzorem dobrego smaku i prawdziwie kobiecéj wytworności, tak co do sprzętów i masy kwiatów w pokojach, jak co do całego układu nagromadzonych pamiątkowych gracików, ofiarowywanych przez uczennice i przyjaciół. Gdy Niecks odwiedził malarza Kwiatkowskiego w Paryżu 1880 roku, ten pokazywał mu mnóstwo pamiątek, ocalonych po Chopinie. Wszystko to razem składało się na ową całość artystycznie wykwintną i rzec można dekoracyjną, którą Chopin lubił się otaczać. Wiódł on wśród tych miłych ram życie bardzo porządne i systematyczne. O 8-éj rano już zupełnie ubranego zastawał Lindsay Sloper, uczeń, któremu tę wczesną godzinę wyznaczył. Możność dokładnego przypatrzenia się mistrzowi dobrze spożytkował Lenz, który umyślnie przybył do Paryża w jesieni 1842 r., pragnąc pod okiem Chopina wyuczyć się jego mazurków. Zajmująco opisał postać wielkiego artysty i to pierwsze widzenie, lubo Niecks zdaje się podejrzewać zupełną wiarogodność tego opowiadania. Ulubionym i najbardziéj obiecującym uczniem Chopina był, przedwcześnie zmarły, trzynastoletni Węgier, Filtsch, o którym to Liszt miał powiedzieć do księżnéj d'Agoult, że „gdy ten mały puści się w świat z koncertami, to ja z mojemi się cofnę“. Chopin utrzymywał, że jego uczeń lepiéj od niego samego grał jego koncert E-moll, do czego się przygotowywał modlitwą i postem, a za piękne odegranie otrzymał od mistrza partyturę Fidelia Beethovena.

Mnóstwo szczegółów z życia Chopina i pani Sand zebrał Niecks: jak improwizował, preludyował, żeby się rozgrzać do gry, jak w chwilach weselszych charakteryzował się do niepoznania. Miał całą galeryę ulubionych typów. Chodźko zaświadcza, że Fryderyka Wielkiego udawał doskonale; Liszt i Balzac zachwycali się również tym talentem do naśladownictwa u wielkiego artysty. Rozrywany w wykwintnych kołach arystokratycznych i artystycznych, Chopin lubił i potrzebował zaczerpnąć atmosfery wielkiego świata i tych salonów, wśród których go podziwiano i kochano. Miał on dar przerzucania się w ostateczności; niekiedy, poruszywszy słuchaczy do łez grą swoją, gdy oddawali się smutnéj zadumie, wywołanéj jego tęskną nutą, on nagle, jak gdyby chciał rozerwać smutek własny i całego otoczenia, wpadał w ów słynny humor do odtwarzania karykatur i pobudzał do serdecznego śmiechu tych samych, którzy łez byli blizcy. Miał swoje

typy Anglików, żydów i artystów, których naśladował z kunsztownèm pochwyceniem cech charakterystycznych. To miało być niezrównane.

W kole kilkunastu osób wyborowego i sympatycznego sobie towarzystwa, o którém był przekonany, słusznie czy niesłusznie, że rozumie go najlepiéj, Chopin bywał w swoim żywiole. Unikał tłumów i publicznych występów. Wyższy świat cenił w nim wirtuozowstwo, talent i wytworny układ przyjemnego towarzysza; niewątpliwie znajdowali się tam i tacy, którzy rozumieli ducha jego twórczości. Mnóstwo nazwisk z téj sfery spotykamy na dedykacyach mistrza.

Liszt przedstawia Chopina jako bardzo chłodnego w stosunkach z ludźmi; mawiał on, że wszystko byłby oddał ludziom, oprócz samego siebie. O ile wylanym był dla najbliższych, o tyle zamykał się sam w sobie wśród obcych i obojętnych. Miał on poprostu potrzebę harmonijnego otoczenia; uznanie, to atmosfera, w któréj artysta i rozwijać się, i tworzyć może najlepiéj. O wrażliwości Chopina pisze pani Sand, że gdy go co do żywego dotknęło, bladł trupią bladością; panował nad swoim temperamentem, więc rzadko się unosił wobec ludzi, zachowując pozorny spokój, lecz bywał strasznym w chwilach uniesienia. Formy nadzwyczajnéj i jednostajnéj grzeczności zdawały się być rodzajem chłodnéj maski, po za którą ukrywał się człowiek rzeczywisty. Żalili się na to dalsi ludzie, dla których bywał niedostępnym, że go tak łatwo zbadać nie mogli. Wiadomo jednak, i o tém wspomnieliśmy już parę razy, jak on umiał bliskich czarować dobrocią, wdziękiem, humorem i błyskami swéj genialności. Do książąt Aleksandrów Czartoryskich był niemal namiętnie przywiązany; najserdeczniejszy stosunek łączył go z hrabiną Delfiną Potocką, nie mówiąc już o przyjaciołach, jak Grzymała, Fontana, Matuszyński, Franchome, Gutman. Otaczały go znakomitości współczesne. Zebrania wieczorne odbywały się niekiedy u niego; bywał tam Mickiewicz, Liszt, Heine, Meyerbeer, Niemcewicz, Delacroix, Witwicki (przyjaciel młodości), któremu 3 mazury ofiarował), Kwiatkowski. Wielu z tych towarzyszów znikało następnie z koła najbliższych stosunków, w miarę wzrastającéj sławy i zacieśniających się węzłów przyjaźni. Z Lisztem nie była to przyjaźń, ale raczéj rodzaj artystycznego koleżeństwa. Podziwiali się wzajemnie; Chopin zachwycał się nim, jako wirtuozem, lecz do kompozycyi nie przywiązywał wielkiéj wagi. Lubił sposób, w jaki utwory jego wykonywał, zwłaszcza etiudy. Mawiał, że podoba mu się, co napisze, kiedy to Liszt zagra. Jednakże pod koniec stosunek ich oziębił się znacznie, z powodów delikatnéj bardzo natury. Zasadnicze różnice tych dwóch charakterów musiały się uwydatnić w życiu i drogi się rozeszły.

Ponieważ Chopin rzadko występował publicznie, a dochody, z kompozycyi osiągnięte, nie mogły na życie wystarczyć, główny dochód stanowiły lekcye, o które się tak ubiegano. Czy był dobrym nauczycielem? Tak-by się zdawało, wnosząc z zachwytu uczniów. A lubo nie zostawił uczniów téj miary, jaką się sam odznaczał, niczego to nie dowodzi. Geniusze rzadko kiedy ten świat nawiedzają. Liszt utrzymywał, że Chopin nie miał szczęścia do sławnych uczniów; to pewna, że wielu z nich wsławiło się grą doskonałą. Byli to po większéj części dyletanci i nie oddawali się długo nauce, a wiadomo, że i geniuszom nie często się zdarza łączyć zmysł pedagogiczny i umiejętność wyprowadzania ludzi z własnym talentem. Wszakże i Beethoven jednego tylko miał ucznia, Riesa, a jakaż między wartością profesora a ucznia zachodzi różnica! Z uczniów, oprócz księżnéj Marceliny Czartoryskiéj i Mikulego, wymienieją księżnę Chimay, hrabinę Potocką, Esterhazego, panią Calergis; Anglików Lindslaya, Slopera; Schumanna, Wernika, Leysberga i Jerzego Mathiasa etc. etc. Czasami śmierć przerwała pasmo dni młodych, obiecujących artystów, jak to się stało np. z ukochanym jego uczniem, Filtschem, który umarł w Wenecyi, w piętnastym roku życia. Również Paweł Gunsberg był niepospolitym wirtuozem i bardzo młodo umarł na suchoty. Tak samo Karolina Hartman zgasła wcześnie, czy wskutek przepracowania, czy, jak twierdzą inni, wskutek nieszczęśliwéj dla Chopina miłości.

Powszechnie wymieniają księżnę Marcelinę Aleksandrową Czartoryską, jako osobę, która najwierniéj tradycyę wielkiego mistrza przechowała—zarówno pod względem frazowania i akcentowania, jak téż co do oddania ducha utworów. Lenz nazywał ją wysoce obdarzoną naturą, najlepszą uczennicą Chopina, mówiąc, że była niejako wcieleniem stylu mistrza. Lenz był najgorętszym wielbicielem księżnéj Marceliny, która, grywając publicznie na cele dobroczynne, zawsze budziła prawdziwy zachwyt i wywierała głębokie wrażenie swą grą, pełną wyrazu, wdzięku i prawdy artystycznéj. Można śmiało powiedziéć, że całą duszę Chopina odczuła ona i zrozumiała. Jeżeli w cudzoziemcach budziła podziw, u swoich cześć i entuzyazm wywoływała, położyła bowiem niezmierne zasługi, podnosząc grą swoją cały poziom muzykalny w kraju, zespalając żywioły muzykalne koło siebie i tłómacząc niejako mistrza, a przedewszystkiém rozpowszechniając jego dzieła. Księżna Marcelina Czartoryska będzie miała zawsze bardzo piękną kartę w historyi sztuki u nas, o czém Niecks zdaje się nie wiedziéć. Dość humorystycznie wygląda w studyum jego rzucone pytanie, czy gra księżnéj (któréj nigdy nie słyszał) wywoływałaby równie silne wrażenie, *gdyby nie była księżną panią?*

Takich zapytań poważny pisarz nie powinienby sobie pozwalać, nie mając ku temu żadnych danych, témbardziéj, że o wyrobienie sobie zdania było bardzo łatwo, zaczerpnąwszy wiadomości od współczesnych powag. Trzeba było nie żałować trudu, którego ślady w innych zagadnieniach są bardzo widoczne u Niecksa; dość wspomnieć o rozdziale, mającym za przedmiot *stan muzyki w Polsce przed Chopinem*, gdzie sięgnął do samego źródła po dokładne dane. W liczbie polskich wykonawców Chopina najwybitniejsze stanowisko, obok księżnéj Marceliny Czartoryskiéj, zajął Mikuli, długoletni dyrektor konserwatoryum lwowskiego.

Między zdolnemi uczennicami wymieniają jeszcze panią Peruzzi, córkę konsula rossyjskiego w Stanach Zjednoczonych, która wiele grywała z Chopinem na dwa fortepiany; pannę Müller (późniejszą Streicher, któréj „Allegro de concert" ofiarował), panią Dubois i panią Rubio, jako bardzo zdolne pianistki, któremi Chopin zajmował się żywo. Jeden z uczniów Chopina, Mathias, mówił Niecksowi o metodzie mistrza, że trzymał się staréj szkoły Clementiego i Cramera, przedewszystkiém polegającéj na spokojnie wiązanéj grze (*legato*), połączonéj ze swobodą nadzwyczajną w zgięciu, czego dawna szkoła nie znała, wymagając owszem sztywności i nieruchomości ręki w układzie. Chopinowi zależało przedewszystkiém na giętkości ręki i niezależności palców. Sam obdarzony szczególną giętkością ciała, miał niejako przyrodzoną łatwość w tym kierunku—co poniekąd tłómaczy nawet indywidualny sposób prowadzenia gry.

Niezmordowanie dowodził on uczniom swoim, że sam mechanizm do niczego nie prowadzi, bez udziału intelligencyi i ducha. Urozmaicenie uderzenia było jedną z głównych cech gry jego, przez co też gra ta zyskiwała na wielostronnéj barwności. Nie olśniewał siłą i swietnością techniczną, jak Liszt np., ale pewien nerw i siła duchowa, oraz kunsztowne cieniowanie i użycie pedału nadawało grze jego rzadki koloryt. Dla dopełnienia wskazówek o pedagogicznym kierunku Chopina, przytacza Niecks najchętniéj przez niego używane dzieła. Otóż zalecał on uczniom sonaty Clementiego, Mozarta, Bacha, Händla, Scarlattiego, Dusseka, Fielda, Humla, Riesa, Beethovena, Webera, Moschelesa, Mendelssohna, Hillera, Schumanna; Clementiego „Gradus ad parnassum", cenił najwyżéj. Szeroka natura Beethovena mniéj przystawała do jego usposobienia, jak to już było wspomniano.

Gromadząc dane z życia prywatnego mistrza, maluje Niecks smutną epokę rozstania z panią Sand; rzeczy te, znane skądinąd, angielski pisarz bardzo szczegółowo opisuje i starał się je zbadać sumiennie. Zerwanie to przypłacił Chopin utratą zdrowia, a następnie i życia.

Ostatni koncert Chopina w Paryżu odbył się 16 Lutego 1848 r. Oprócz Tria Mozarta, granego z Franchomem i Alardem, i śpiewu, mającego pierwszorzędnych artystów za przedstawicieli, program zawierał Etiudy, Kołysankę, Nokturny, Barkorollę, Scherzo, Adagio i finale z Sonaty, Preludya, Walce, Mazury. Cały świat inteligentny zbiegł się, by posłuchać „Aryela fortepianu", tak rzadko występującego na estradzie. Wrażenie było, jak zwykle, ogromne, czarujące i poniekąd nadziemskie. Opisują ówczesne gazety muzyczne, że przyjęcie było pełne zapału. Przyjaciele powiadają, że Chopin był wtedy bardzo osłabionym, jednak potrafił nad sobą panować do tego stopnia, że, prócz bladości twarzy, nic nie zdradzało wyczerpnięcia sił. Wkrótce potém wyjechał do Anglii.

Tu zamyka się niejako epoka najświetniejszéj działalności twórczéj Chopina. Dzieła, późniéj wydane, nie liczą się do najlepszych utworów mistrza.

Niecks radby grupować dzieła Chopina podług epok i wyrabiającéj się oryginalności stylu. Wyróżnić trzeba przedewszystkiém dwie epoki: wirtuozeryi i poezyi. Poeta jest także wirtuozem niewątpliwie, ale u niego wirtuozerya nie stoi na pierwszym planie, nie jest sama sobie celem.

Niektórzy wyobrażają sobie mistrza, omdlewającego zawsze w swém natchnieniu i pełnego kobiecéj bezsilności i melancholii. Jestto błędne mniemanie; owszem, rozmaitość wielka widnieje, a siła więcéj niż męzka odzywa się w utworach Chopina, w Polonezach, Balladach, Etiudach i Scherzach. Może ta siła wydawać się nienaturalną, pobudzoną szaloną namiętnością i uczuciem rozpaczy, wszelako rzadko kto umiał przemówić z tą potęgą. Znajdujemy zresztą w Chopinie i siłę zdrową, świetną, heroiczną, jak np. w Polonezie A-dur. Czasami zdarza się u niego usposobienie pogodne, wesołe, niezawsze miękki ton i melancholiczny, lubo, jak się sam wyraził, motorem tworzenia i uczuciem przepełniającém serce był zawsze i we wszystkiém *żal, tęsknota*. My to rozumiemy, Liszt to także rozumiał w ten sposób, że cała tragedya życia Chopina w utworach jego się wypowiada—a może nie tylko tragedya jego własnego życia. To, co napisał, zostanie na długo ideałem muzyki polskiéj. Bez najmniejszéj banalności w użyciu narodowych tematów, bez czczego naśladownictwa nuty ludowéj, wieje tam wszędzie duch polskiéj melodyi, akcenta rycerskie, dumne, poetyczne, marzycielskie. Był to więc przedewszystkiém kompozytor narodowy, ale nie z planu, bez tendencyjności, wyśpiewał wszystkie uczucia, całe serce swoje. W każdéj nucie jego czuć prawdę, czuć niemal uderzenia serca poety-artysty. Jako wieszcz, jest on naturalnie idealistą, czy nad przeszłością się

zaduma, czy o lepszéj przyszłości marzy; ale w sposobie wypowiedania swoich uczuć jest realistą, gdyż stara się o najwyraźniejszą, najodpowiedniejszą formę, dla zrozumiałego wypowiedzenia siebie. Dlatego tyle wymaga od téj formy, którą chciał mieć doskonałą, jak doskonałym był duchowy obraz, który w nią pragnął przyoblec.

VIII.

Zanim bardziéj szczegółowo zastanowimy się nad utworami Chopina, musimy jeszcze podążyć wraz z nim do Londynu. Dnia 21 Kwietnia 1848 miał on tam przybyć, według zdania Hipkiusa. Zdawało się, że wszystkie znakomitości świata obrały sobie Anglię za punkt zborny w tym czasie; Osborne, Kalkbrenner, Hallé, Berlioz, Viardot-Garcia etc. etc.—wszyscy przebywali w Londynie za przybyciem Chopina, który został serdecznie powitanym przez pisma, lubo tam jeszcze mało kto go rozumiał. Apostołowie chopinowscy musieli zwalczać nieprzyjazne i uprzedzone sądy Anglików, mniemających, że sława Chopina o wiele rzeczywistą wartość jego przewyższa. Posądzali go o przesadę, o pretensyonalność, nawet urocze Mazurki zrazu nie znalazły łaski w oczach krytyki, mimo że—jak wyrażono się z przekąsem - „całe legiony wielbicieli będą się niemi niewątpliwie zachwycały". I zachwycały się rzeczywiście, wbrew krytyce, rozrywając każdy nowy utwór mistrza, który był zapraszany wszędzie i któremu nie szczędzono hołdów. Dwa poranki muzykalne urządził on w salonach prywatnych. Grał Mazury, Nokturny, Etiudy, Walce, Kołysankę, Scherzo B.-mol, Etiudę Cis-mol. Obecni wynieśli z produkcyi tych niezatarte wrażenie. Gra jednak wyczerpywała wątłe już bardzo siły wirtuoza. Chociaż nie lubił on „téj włóczęgi", dał się przyjaciołom namówić do Szkocyi. Miał tam serdecznie sobie oddaną rodzinę Stirlingów (pannie Stirling poświęcone są dwa Nokturny op. 55), Hoastonów, Lorda Torphichen; przybyła też na krótko do Szkocyi księżna Czartoryska. Mimo względnego spokoju i materyalnego dobrobytu, mimo pięknych zamków, parków, pięknych szkockich piosenek i nadzwyczajnéj gościnności przyjaciół, narzeka Chopin, że nie może komponować; co prawda, siły nikły z przerażającą szybkością. Mimo to, koncerta w Manchester, w Glasgowie, bardzo były świetne. Przy fortepianie odzyskiwał Chopin chwilowo siłę i energię, lubo robił wrażenie zupełnie wycieńczonego człowieka; obecny produkcyi, Osborne, pisze, że gra biednego artysty była naówczas zbyt delikatną, by mogła elektryzować tłumy; niemniéj

zachwycano się czystością, wytwornością gry i stylu, a nadewszystko oryginalnością utworów.

Jeszcze pod koniec roku znajduje się Chopin w Londynie, gdzie odbywał się bal i koncert polski, pod patronatem królewskiéj familii. Musiał wystąpić i odegrał swoje Etiudy; nazwano występ ten „śpiewem łabędzim“. Gra, tak męcząca w tych warunkach zdrowia, tym razem nie została należycie ocenioną. Nastrój taneczny wykluczał skupienie uwagi. Smutny to koniec tak świetnéj karyery artystycznéj!

Zmęczony newralgią, śpieszy Chopin do Paryża, prosząc przyjaciela, Grzymałę, by mu przygotował ciepły pokój, dywany i bukiet fijołków. „Radbym nieco poezyi znaleźć koło siebie i w sypialnym pokoju, który nieprędko opuszczę zapewnie!“ Choroba, w części, jak się zdaje, dziedziczna, lecz któréj rozwojowi sprzyjały ciężkie okoliczności życia, przybierała coraz groźniejsze rozmiary. Zdenerwowany do najwyższego stopnia, Chopin żywo odczuwał wszystkie ciosy i straty rodzinne. Wiemy, jak odbolał śmierć ojca i przyjaciela Matuszyńskiego. Zerwanie łączących go z George Sand stosunków podkopało resztki znikających sił. Przestał grywać, komponować i uczyć. Grono przyjaciół najbliższych otaczało go w Paryżu—Karol Gavard wiele czasu spędzał u chorego, czytując mu książki. Chopin lubił słuchać artykułów z „Dictionnaire philosophique“ Voltaira. Artykuł „Des différens goûts des peuples“, o smaku (guście), był jednym z ostatnich, jakie czytali. Samotne miesiące upływały wśród wielkich cierpień. Siostra, Ludwika Jędrzejowiczowa, przybyła z kraju i pielęgnowała go, wraz z Gutmanem.

Tyle razy czytaliśmy z rozczuleniem opis chwil ostatnich Chopina i przybycie z Nizzy Delfiny Potockiéj, która, na życzenie umierającego, musiała mu śpiewać, wśród łkań bolesnych, wobec przyjaciół i kapłana klęczącego u łoża... a jednak niepodobna nam nie powtórzyć tych rozdzierających szczegółów o gasnącym w sile wieku geniuszu polskim. Dnia 16 Października, czując się bliskim końca, przywoływał po dwakroć przyjaciół swoich i żegnał się z nimi, uważając za wielką łaskę Pana Boga, że mu oznajmia chwilę zgonu. Dla każdego miał wzruszające słowo pożegnania. Księżnie Czartoryskiéj i pannie Gavard rzekł — „będziecie razem grywały, myśląc o mnie, a ja będę się wam przysłuchywał“. Franchomma polecił księżnie, powiadając: „Będziecie razem grywali Mozarta, na moją pamiątkę“.

Mówią, że z goryczą wyrażał się do przyjaciela o nieobecności pani Saud i o jéj zaniedbaniu. Lecz ona podobno dowiadywała się często o jego zdrowie, tylko przyjaciele nie uznawali za stosowne

drażnić chorego jéj wspomnieniem. Córka jéj, pani Clésinger, którą Chopin zawsze lubił bardzo, pielęgnowała go w chorobie i do końca była obecną przy umierającym. O księżnie Marcelinie Czartoryskiéj pisze Niecks, że pielęgnowała Chopina, jak siostra miłosierdzia.

Najczęściéj leżał, wsparty na Gutmanie, który, najsilniejszy, najlepiéj umiał mu dogodzić. Inni przyjaciele mieniali się przy chorym. Ksiądz Aleksander Jełowicki przygotowywał go na śmierć; gdy odmówił modlitwy przy konającym, on, wsparty na ramieniu Gutmana, z przymkniętemi oczyma, rzekł w zakończeniu: „Amen!“ Z poddaniem religijném znosił czterodniową mękę konania. Ostatnie słowa przemówił do Gutmana, który go namawiał, by połknął trochę wina. „Cher ami“—rzekł, pocałował go w rękę—i skończył. Śmierć nastąpiła między 3 a 4 z rana, 17 Października 1849 roku. Zapytywany przez lekarza, czy cierpi bardzo? odrzekł, że już nie cierpi „plus“.

Po śmierci rysy odzyskały młodzieńczość, spokój i majestat duchowy, jak to widać w pośmiertném popiersiu i w rysunku Kwiatkowskiego. Śmierć ta zrobiła ogromnie bolesne wrażenie w Paryżu. Echa po całym świecie rozniosły wieść żałobną o niepowrotnéj stracie. Miłośnikowi kwiatów nie szczędzono ich po śmierci... zasypano go fijołkami.

Cała prasa paryska, przejęta żałobnym faktem zgonu wielkiego artysty, pośpieszyła z oceną człowieka, wirtuoza i twórcy. Opłakiwano go powszechnie i gorąco, czując, że świat stracił genialnego mistrza tonów, wielkiego poetę!

Co do manuskryptów pozostałych, Pleyel na pytanie, co z nimi robić trzeba, odebrał odpowiedź: „Rozdajcie je między moich przyjaciół“. Artysta nie pozwolił ich ogłaszać, nakazując owszem, by były zniszczone wszystkie niepokończone utwory.

Pogrzeb odbył się 30 Października, w kościele Św. Magdaleny. Odśpiewano Requiem Mozarta. Zjechało się mnóstwo osób z Berlina, Wiednia, Londynu. Wspaniałą była ta żałobna uroczystość, majestatem boleści i czci ogólnéj. Wśród niesłychanego natłoku ludzi z odkrytemi głowami, szli trzymając sznury żałobnego całunu: Meyerbeer, Delacroix, Franchomme, książę Aleksander Czartoryski. Orkiestra i chóry konserwatoryum, pod dyrekcyą Girarda, wykonywały Requiem, a solistami byli: Viardot-Garcia, Castellan, Lablache i Dupont. Odegrano téż marsz Chopina (wyjątek z sonaty fortepianowéj, instrumentowanéj przez Rebera); organista, Lefébure-Wély, zagrał dwa preludya Chopina, improwizując na te tematy w czasie rozchodzenia się tłumów z kościoła.

Na cmentarzu Père-Lachaise, w najmniéj uczęszczaném miejscu, pochowano zwłoki ukochanego mistrza. Ziemią rodzinną przysypano

trumnę zmarłego na obczyźnie. W pobliżu spoczywają Cherubini, Bellini, Grétry, Boïeldieu, Pleyel, Kreutzer, Méhul, Paër i wielu innych znakomitych muzyków.

Serce, przewiezione do kraju, spoczywa w kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Że mi się udało urzeczywistnić dawne marzenie rodziny i doprowadzić do skutku postawienie tam pomnika, zaliczam do najszczęśliwszych wydarzeń mojego życia. Zajmując wtedy stanowisko dyrektora Towarzystwa Muzycznego, poparty przez dzielnych artystów i przez ogół warszawskiéj publiczności, mogłem tego dokonać.

W Paryżu zbierano składki na pomnik zaraz po śmierci Chopina. Delacroix stał na czele komitetu. Clésinger, zięć pani Sand, stworzył to dzieło. Muza żałobna ze złamaną lirą w ręku—oto piękny pomysł pomnika tego, którego odsłonienie nastąpiło w rocznicę śmierci mistrza w 1850 roku. W kościele Św. Magdaleny, w czasie żałobnego nabożeństwa, Franchomme na wiolonczeli a Lefévure-Wély na organach odegrali kilka preludyów Chopina nieśmiertelnéj piękności. Przysłuchywali im się wierni przyjaciele genialnego mistrza, którzy przybyli złożyć kwiaty i wylać parę łez gorących na jego grobie.

Na zakończenie raz jeszcze Niecks obejmuje wzrokiem całą tę świetlaną karyerę Chopina i drogę, jaką uszedł, zastanawiając się nad znaczeniem tego istnienia, zadając pytanie, czém był dla swego, czém dla naszego wieku? Był on wcieleniem poezyi i prawdy. Co czuł żywo, potrafił oddać jak nikt—z wdziękiem nie napotykanym nigdy u nikogo. Mówią, że kto nie słyszał téj gry, przesiąkniętej tajemną poezyą, cudownością, budującą niejako napowietrzne zamki, niby jakieś Fata Morgana—ten podobno nie zdoła sobie tego wyobrazić.

Historycznego znaczenia zasługę Chopina stanowią nowe żywioły, wprowadzone do muzyki, nowe środki do wypowiedzenia uczuć i wrażeń i najsubtelniejsze ich cieniowanie. To, co zdawało się niemożebném do wypowiedzenia tonami przed nim, teraz okazało się dostępném. Mimo entuzyazmu otaczającego imię Chopina, pod tym względem nie został on należycie ocenionym; nie dosyć dotychczas zdano sobie sprawę z położonych zasług w dziejach postępu sztuki w ogólności, jako téż z ogromnego wpływu, wywartego na pianistów i kompozytorów. Wszyscy oni, zdaniem Niecksa, pośrednio lub bezpośrednio, świadomie lub nieświadomie, uczyli się od Chopina i wzorowali się na nim. Chcąc to zrozumiéć, trzebaby się cofnąć o lat sześćdziesiąt i przypomniéć sobie, że to, co teraz komunałem się stało, naówczas było uderzającą i śmiałą nowością. Chopin był zjawi-

skiem tak fenomenalném, że Schumann się tém czuł zelektryzowanym. Bérlioz również, prowadząc do niego Legouvégo, rzekł: „Chodź pan ze mną, pokażę ci coś, czegoś nigdy jeszcze nie oglądał, i kogoś, kogo nigdy nie zapomnisz“.

Mendelssohn, zachwycając się preludyami Chopina, mawiał: „że nie może nawet wypowiedzieć, czemu je tak bardzo lubi, ale tego jest pewien, że nie potrafiłby nic podobnego napisać“. Tak zwani „klasycy“ podziwiali go również, bez względu na dość ostrą niekiedy krytykę jego „maniery“. Usiłowano wielokrotnie przerabiać utwory Chopina na głos i na instrumenta, świadczy to o ich popularności, względnéj naturalnie, bo zrozumiéć go do gruntu mogą tylko ludzie wtajemniczeni, ludzie obdarzeni uczuciem, wrażliwością, fantazyą. Utwory jego są bowiem jakby echem niebiańskiém tego, co czuł, kochał i przecierpiał. To są jego wspomnienia, jego pamiętniki. Gdyby był znalazł szczęście osobiste w życiu, możeby siły nie wyczerpały się tak szybko, możeby dała się utrzymać jaka równowaga pomiędzy stroną fizyczną a duchową. Jego uczucia, jego namiętności były za gwałtowne na tó wątłe naczynie, które je zawierało. To zdaje się tragiczny motyw tego życiowego dramatu, klucz do wielu zagadek. Salonowe stosunki nie znały téj dwoistości cierpiącéj duszy i strasznego jéj rozdarcia; zaledwie najbliżsi domyślali się tego. Gdyby nie był wielkim twórcą, historya wewnętrznego życia jego przepadłaby na zawsze,—ale on wypowiedział w swéj sztuce, jako wirtuoz i jako kompozytor, całą duszę swoją, walki i dążenia, powodzenia i rozczarowania, rzeczywistą i idealną stronę swojego istnienia—słabe i potężne strony swego charakteru.

IX.

Nauman w swojéj „Historyi muzyki“, grupuje kompozytorów w następujący sposób: Bach, Händel, Gluck, Beethoven, Mozart, Haydn, uważając ich na polu kompozytorskiém jako przedstawicieli największych geniuszów w sztuce. Następują grupy pierwszorzędnych talentów, Schuberta, Webera, jako twórców w dziedzinie pieśni ludowéj; zaś Mendelssohna, Schumanna i Chopina stawia jako jedną grupę przedstawicieli romantycznego kierunku. Zapewnie łączyły ich niejakie wspólności, mianowicie Schumanna z Chopinem, ale co się tycze Chopina i Mendelssohna, tych nie można razem zestawiać. Mendelssohn, mimo liryzmu, władał formą ze skończonym artyzmem, jak żaden z muzyków po Mozarcie. Nie dał się zbytecznie unosić fantazyi, nad którą zawsze panował. Subjektywność swoich

pomysłów podporządkował pod prawa formy — o wiele więc objektywniejszym jest i od Schumanna, i od Chopina. Jeżeli był skończeńszym, jako mistrz, od tamtych, tamci przewyższyli go o wiele znowu na polu twórczości pomysłów i wyrazu w muzyce. U Mendelssohna przebija zawsze pewien konwencyonalizm, w Schumannie i Chopinie przeważa zawsze fantazya bujna, chociaż niekiedy chorobliwa. Co do lirycznéj fantazyi, zachodzą pewne różnice u tych dwóch koryfeuszów. Zarzucają Chopinowi, że nie umiał dość objektywnie ilustrować przedmiotu. Pod względem programowéj muzyki, Schumann doszedł do doskonałości, stwarzając łudząco plastyczne obrazy, w opisach malowniczych scen dziecińśtwa, w Kreislerianie, karnawale, etc. etc.

W krytyce dzieł Chopina Niecks nie dość jasno określił znaczenie Mazurków. Zalicza on je do dzieł dużo mniéj skończonych od innych utworów, np. Walców, przyznając walcom skończoność, tak pod względem typów, jak i faktury. Na to ja zupełnie zgodzić się nie mogę. Jakkolwiek oceniam piękności walców, przyznając im i subtelność, i indywidualność, jednakże nie widzę tam tego prawdziwego typu walca, który, zdaje się, tylko Niemiec stworzyć może, lub ktoś rodzajem talentu więcéj do Niemców zbliżony, aniżeli był Chopin. Tymczasem mazury, jak je Chopin pojął, chociaż wychodzą z ciasnéj ramy formy tanecznéj, nigdy nie przestają być typem, opartym na naszéj pieśni ludowéj, a forma, w jaką przyoblekł te swoje obrazy, jest tak skończoną, że te prawdziwe poematy są czémś zupełnie nowém w literaturze muzycznéj. Są tam niekiedy wybryki dobrego humoru, usposabiającego Chopina jakoby do improwizowania w rytmie czysto tanecznym. Humorystyczne obrazki z życia ludowego przeplatane są poematami szerszego zakroju, które pojęte są w formie legendy, a nawet ballady. Mazury, zdaniem mojém, są po nad wszelką krytyką—i to wszystkie, nawet owe pośmiertne, uchodzące za słabsze nieco, a przecież niezrównanie wdzięczne w swéj prostocie, zrozumiałéj tylko polskiemu sercu. Rzadko kiedy cudzoziemiec potrafi wniknąć w rytm i w ducha mazurków, które potrzebują i zacięcia, i zadumy pewnéj, i owéj nieokreślonéj chwiejności rytmicznéj, znanéj pod wyrażeniem *rubato*. Najsławniejsi wirtuozi, pod względem mazurków, niezdolni są w zupełności zadowolnić wymagania polskiego słuchacza. Mimo zupełnego nawet owładnięcia formą utworu, pewne subtelności są dla cudzoziemców niedostępne. Jako pojęcie poetyczne idealizowanego mazura, chopinowskie stały się prototypami. Inny zupełnie typ mazura stworzył Stanisław Moniuszko w operach swoich „Halka“ i „Straszny dwór“. Mazury Chopina, chociaż niekiedy nawet mają weselsze błyski, przeważnie by-

wają tęskne, marzycielskie, oparte na tle czysto ludowém. Mazury Moniuszki, pełne fantazyi rycerskiéj, hulaszcze, zawadyackie czasami, są obrazem zaściankowego życia szlacheckiego.

Teraz słów parę o polonezach. Chopin pierwszy stworzył prawdziwy typ poloneza, opartego na dziarskiéj nucie, jak np. słynny polonez A-dur, grywany niekiedy nawet do tańca przez orkiestrę. Ile razy chciał być romantycznym, potrafił znaleźć akcenta, z głębi ducha płynące, dla oddania obrazów z przeszłości, lub do odmalowania własnych uczuć. O poprzedzających go twórcach polonezów, mimo całego uznania, nie można powiedziéć, by byli oryginalnymi. Polonezy księcia Ogińskiego np. mają wiele wdzięku i prostoty, ale jest téż w nich pewna ckliwość sentymentalna, a przytém tyle reminiscencyi z modnego naówczas Rossiniego, że w żaden sposób nie możemy ich podawać za typy czysto oryginalne. Jeszcze mniéj zajmującemi pod tym względem były utwory Kurpińskiego — jeżeli na nie patrzymy z dzisiejszego stanowiska. Być może, że ludzie współcześni odczuwali żywo ową naiwność i prostotę polonezów Ogińskiego i innych; ale o ileż piękniejszy typ poloneza w tym rodzaju stworzył Moniuszko w swéj pieśni z kurantem! („Straszny dwór"). Ogińskiemu jednak trzeba przyznać tę wielką zasługę, że natchnął Moniuszkę, jak to sam nawet z ust autora „Halki" słyszałem. Co się tycze wartości kompozytorskiéj, zgadzam się z Niecksem, który stawia „Polonaise-Fantaisie", najwyżéj z pomiędzy polonezów. Jest to rzeczywiście wspaniały poemat, odczuty głęboko i, mimo pewnéj pozornéj mglistości, nadzwyczajnie jasny w koncepcyi.

Mamy téż u Chopina prześliczne typy krakowiaków, mianowicie w Rondach (opus 1 i opus 16), lubo właściwych krakowiaków nie pisał. Jedna tylko Fantazya na temat oryginalny z orkiestrą jest utworem pełnym werwy, świeżości, mimo że ją trudno nazwać dziełem prawdziwie twórczém. Może mniéj jest sympatyczną ze względu na konwencyonalność formy. Prócz Moniuszki, który w pieśniach upodobał sobie tę formę, na polu fortepianowém Paderewski i Noskowski dali nam wiele pięknych i nowych rzeczy. Jeżeli mamy mówić o muzyce Chopina ze stanowiska typowo narodowego, nie możemy pominąć cudownéj Fantazyi na tematy polskie. Zarzucają temu dziełu nie dość logiczną formę pod względem wymagań dzisiejszego kierunku, zanadto luźne zestawienie tematów; niech sobie krytyka mówi co chce, niemniéj dzieło to pozostanie jedném z najpiękniejszych i z najpoetyczniejszych w literaturze muzycznéj. Zwłaszcza wstępne Andante, Larghetto Fis-mol i Oberek, z nadzwyczajną werwą napisany, liczą się do prześlicznych ustępów.

Znaczenie Etiud pod względem artystycznym bardzo trafnie ocenioném zostało w studyum Niecksa. Nie są to Etiudy w ściśle pedagogiczném znaczeniu. Przystępować do nich powinien tylko skończony mistrz fortepianu. Służą one do dodawania grze pewnego ideału, subtelności w uderzeniu i ostatecznéj już swobody techniki. Etiudy Chopina posłużyły za typy Henseltowi, który na tém polu rzeczywiście świetną kartę zajmuje w szeregu fortepianowych kompozytorów. Są to w działalności jego twórczéj prace najwybitniejsze, gdyż wszystkie utwory, nie wyjmując koncertu, stoją o wiele niżéj. Widocznym jest także wpływ Chopina na twórczość Liszta w tym kierunku. Słynna jego Etiuda dramatyczna F-minor nie jest naśladowaniem, ale wyborném pochwyceniem owego idealnego typu chopinowskiego, który się nie da słowami określić.

Studyum Niecksa jest wyborną książką do przeczytania nietylko dla ludzi żądnych szczegółów biograficznych, ale także i dla muzyków wykonawców, chcących wniknąć w ducha Chopina. Dziś już Chopin nie jest takim sfinksem trudnym do zbadania, dzięki źródłowym opracowaniom jego życiorysu tak przez Niecksa, jako i przez naszych biografów, oraz starannym i poprawnym wydaniom, jakie się ukazały w ostatnich czasach. Po upływie trzydziestolecia od śmierci Chopina, dzieła jego stały się własnością wszystkich. Mikuli, Herman Scholz, Kleczyński, staranném wydaniem, opatrzoném niezbędnemi uwagami co do palcowania i usunięciem rażących błędów drukarskich, jakiemi się odznaczały niektóre wydania paryskie, położyli na tém polu niemałe zasługi. Praca w tym kierunku zupełnie jeszcze wyczerpaną nie jest; zdałyby się dokładniejsze wydania, z subtelniejszém oznaczeniem cieniowania i użyciem pedału. Broń nas tylko Boże od przerabiania figur chopinowskich, czego w swojém wydaniu dopuścił się Klindwort. Rażącém to jest zwłaszcza w koncercie F-mol, gdzie były czynione poprawki, pod pozorem wzbogacenia ubogiéj a niesmacznéj instrumentacyi. Nie mam nic przeciwko podjęciu roboty przerobienia akompaniamentu orkiestrowego, ale nie pojmuję doprawdy, czemu ma być zmieniony charakter chopinowskiego traktowania fortepianu, na sposób Liszta i Tausiga?

Tu rozstajemy się ze studyum Niecksa, z tém uczuciem uznania, jakie się ma dla pracy sumiennéj i z dobrą wolą podjętéj, a z tém pragnieniem gorącém, by praca cudzoziemca dała pochop do napisania innéj jeszcze, wyczerpującéj biografii Polakowi, świadomemu dróg i celów, pobudek, wspomnień i ideałów wielkiego twórcy polonezów i mazurów.

Chopin—Słowacki—Grottger—łączono niejednokrotnie te imiona, te typy, te serca, które tak wiele kochały, te fantazye tak bujne, a przecież mające jeden punkt wyjścia i obracające się w jedném zaklętém kole. Wszyscy trzéj pomarli młodo, zostawiając po sobie w spuściźnie niewyczerpany skarb poezyi i sztuki, podnosząc wysoko sztandar artyzmu u nas. Chopin po nad wszystkimi stał się odrazu własnością świata całego i dotąd, uosabiając najidealniejszy kierunek w sztuce, nie przestał być „Aryelem“ fortepianu.

Władysław Żeleński.

IRENA.

Irena Solska ubierała się do obiadu. Służąca układała jéj czarne, bardzo bujne i trochę nieposłuszne włosy, podczas gdy ona czytała, odsunąwszy na bok mniejsze lustro gotowalni i położywszy na jego miejscu książkę.

— Zdaje mi się, że dobrze będzie—rzekła nieśmiało służąca.

Irena nie odpowiedziała, rzuciła tylko na czesącą nieco roztargnione i bardzo dumne spojrzenie, zdające się mówić: „Zawsze jest dobrze!“

Duma spojrzenia nie miała bynajmniéj na celu służącéj; budziło ją tylko dziwne twierdzenie téj ostatniéj, w którém można było domyślać się przypuszczenia, że coś z tego, co otaczało lub ubierało Irenę, mogło kiedykolwiek zasługiwać na zarzut. Wszystko musiało być i było doskonałe.

Włożyła suknię, nie okazawszy ani na chwilę tego upodobania, które kobiety znajdują w stroju. Spojrzała w lustro, poprawiając kokardy, spinające stanik, ale nie raczyła zwrócić uwagi na całość stroju, ani na uczesanie.

A jednak i jedno, i drugie, nie pozostawiało nic do życzenia. Suknia koloru majowéj śmietany wychodziła z pierwszego magazynu; uczesania dopełniła ręka służącéj, słynnéj ze swéj sztuki fryzyerskiéj.

Irena wiedziała, że piękniejsze od tego wszystkiego dzieło stworzyła natura, tworząc ją samą. Nie potrzebowała o to zapytywać lustra. Od lat szesnastu mówiły jéj to zachwycone oczy wszystkich,

a także wewnętrzna pewność, która jéj pozwalała bez zdziwienia piastować berło piękności wszędzie, gdzie się znalazła. Bywała tyle razy królową karnawałów, sezonów kąpielowych, zebrań łowieckich, koncertowych, teatralnych!

Nie dziwiło jéj to, ani zastanawiało, ani zawracało głowy, ale téż i nie uszczęśliwiało bynajmniéj. Było to dla niéj chlebem powszednim, niecenionym, spożywanym spokojnie, który ani się przykrzył, ani się przejadał. Była piękną bez upojenia, lecz z olimpijską dumą.

Szesnaście lat królowania zbiegły jéj bardzo prędko. Obecnie miała już lat trzydzieści cztery i rozdała okrągłą liczbę trzydziestu koszów, w których obliczanie sama się nie bawiła, a których rachunek prowadziła jéj starsza siostra.

Bano się jéj już teraz. Konkurenci się przerzedzili, ale Irena wiedziała, że na to nie wpływały lata, które dla innych za staropanieństwo były poczytywane. Wiedziała, że gdyby tylko zawołała uśmiechem lub spojrzeniem, znalazłoby się wielu takich, coby sięgnęli po piękną rączkę, z którą na szczęśliwego posiadacza spłynąłby posag bardzo znaczny. Ale bano się odmowy. Najbardziéj zarozumiałych „epuzerów“ przejmowała nieufność we własne zalety, gdy sobie przypomnieli ową pokaźną liczbę odrzuconych konkurentów.

Irena spojrzała na zegarek. Brakowało jeszcze pół godziny do chwili obiadu, a dnia tego nie widziała dotąd starszéj swéj siostry. Poszła więc ku skrzydłu pałacowemu, zajmowanemu przez tę ostatnią, by się dowiedzieć o zdrowie Wacia, nieszczęśliwego, chorowitego dziecka, będącego jedyną pociechą Amelii Boliwiny.

Amelia zajmowała cały apartament w domu matki. Od chwili gdy opuściła męża i poczęła wytężać wszelkie środki na otrzymanie rozwodu, urządziła sobie w jedném ze skrzydeł mieszkanie podług własnych upodobań, i choć przebywała pod jednym dachem z matką i siostrami, żyła na własną rękę, nie zawsze nawet przychodząc do wspólnego obiadu.

Mąż jéj nie zgadzał się na rozwód. Miał podobno dla żony jedno z tych dzikich uczuć, złożonych po połowie z miłości szalonéj i nienawiści bez granic. Groził jéj od lat trzynastu odebraniem syna i, choć wiedział, że dziecko było chore i ułomne, wytoczył przed sądy sprawę o zatrzymywanie chłopca przez matkę i wyjednał wyrok, przyznający mu opiekę i władzę nad synem. Od téj chwili, to jest od lat czterech, od czasu do czasu teroryzował biedną kobietę wezwaniem do oddania dziecka i doprowadził ją do takiego zdenerwowania, że za lada turkotem drżała, a nawet nie mogła oprzéć się trwodze, że lada dzień okrutny jéj małżonek może podstępnie wykraść chłopca, nie pozwoliwszy jéj nawet z nim się pożegnać.

Boliwa stał się przedmiotem nienawiści dla całego domu. Miano go za naturę niepojętą, demoniczną, złożoną z najdziwniejszych, najsprzeczniejszych pierwiastków. Upłynęło już było lat czternaście od czasu małżeństwa jego z Amelią, a dotąd rozpamiętywano wszystkie szczegóły tych dziwnych konkurów i jeszcze dziwniejszego pożycia.

Podobno Amelia, mając lat dwadzieścia i zaledwie wszedłszy w świat, siedziała przy kolacyi, podczas pewnego balu w Warszawie, obok Boliwy, który uczynił na niéj tak niekorzystne wrażenie, że z nieoględnością młodości odezwała się dość głośno do jednéj ze swych przyjaciółek, iż to jest człowiek, za którego nigdyby nie poszła. Słowa te powtórzono Boliwie, który rozśmiał się, usłyszawszy je, i w gronie towarzyszy oświadczył, że gdyby chciano pójść z nim o zakład, on grubą sumę stawia, że Amelia za niego pójdzie, że ją zdobędzie pomimo jéj niechęci. Między obecnymi znalazł się jakiś amator zakładowego sportu, który wziął za słowo Boliwę i stanął zakład o dużą sumę. Boliwa zażądał dość długiego terminu i w kilka miesięcy późniéj rozpoczął kampanię, która zakończyła się zupełném powodzeniem. Zjednał on sobie w końcu Amelię, która wszakże kilkakrotnie mu odmawiała; od razu zaś zdobył sympatyę, a nawet gorące poparcie, wszystkich bliskich Amelii. Matka jéj polubiła go entuzyastycznie, Irena zaś, o cztery lata młodsza od siostry, dziwnie zmieniła się od czasu poznania Boliwy. Nigdy wprawdzie żadne słowo wyznania z ust jéj nie wyszło, ale zarówno matka, jak Amelia, miały niejasne przeczucie, że pierwszą miłością Ireny był późniejszy jéj szwagier. Przeczucie to przerodziło się prawie w pewność, gdy Irena w dzień ślubu siostry zachorowała i łóżka opuścić nie mogła; potém zaś, pod różnemi pozorami, wykręcała się zawsze od odwiedzenia zamężnéj siostry. Przy pierwszéj wizycie Boliwów, przemogła się wprawdzie do uprzejmości, ale była to uprzejmość marmurowego posągu.

Odwiedziny te wypadły w lecie i stanowiły prawie epokę w życiu Ireny. Pewnego ranka, gdy jéj siostra nie była jeszcze wyszła ze swego pokoju, Irena spotkała Boliwę w ogrodzie. I on się był spostrzegł, że czynił wrażenie na cudnéj dziewczynie, i gdy się ujrzał z nią sam na sam w ogrodzie, przemówił do niéj słowami, których ona nie zrozumiała z początku, a które, gdy je nareszcie zrozumiała, przejęły ją takiém oburzeniem, że nazwała Boliwę podłym, nietylko w myśli, ale i w słowach. Od téj chwili opanowała ją jakaś gorycz i pogarda, które strzelały dumą z jéj oczu.

Jak nigdy nikomu nie wspomniała o swéj dziecinnéj miłości dla Boliwy, tak się też nikt nigdy nie dowiedział, że śmiał on w cztery miesiące po ślubie przemówić słowami miłości do siostry

swéj żony, ale nie okazała nawet zdziwienia, gdy w rok niespełna potém Amelia wróciła do domu matki, jako przyszła rozwódka.

Młoda kobieta oświadczyła od razu, że się rozłączyła z mężem na zawsze. Z początku matka i krewni żywili nadzieję pojednania się młodéj pary. Chodziło o rzecz tak małéj wagi! Amelia sprawdziła dowodnie, że jéj panna służąca nie była obojętną jéj mężowi. Pomimo jednak namów i perswazyi, Amelia wytrwała w postanowieniu. Nic jéj nakłonić nie zdołało do powrotu do męża.

W parę miesięcy późniéj Wacio przyszedł na świat. Przy pierwszym krzyku nowonarodzonego dziecięcia, znalazł się obok łóżka żony Boliwa, umyślnie sprowadzony przez matkę w nadziei pojednania przy kolebce dziecka; Amelia jednak rękę do zgody wyciągniętą odepchnęła i doznała takiego wzburzenia, że z obawy o jéj zdrowie musiano usunąć męża z jéj pokoju. Nie chciała go przyjąć, nawet wtedy, gdy lekarz za zupełnie zdrową ją uznał, i błagała matkę, by jéj nie odmawiała kącika w swym domu, i by nie żądała od niéj powrotu do człowieka, przez którego czuła się śmiertelnie obrażoną.

Od téj chwili rozpoczęła się walka Boliwy z żoną, prowadzona z zaciętością niezwykłą. Irena stanęła namiętnie po stronie siostry. Wspierała ją własną odwagą i dumą, podniecała w niéj gorącą niechęć do męża, który na rozwód zgodzić się nie chciał; stawiał warunki i zrywał je, gdy przyjętemi zostały; wymagał za zgodzenie się na rozwód bajecznych sum, przechodzących możność bardzo bogatéj rodziny; rzucał na żonę oszczerstwa, które plotkarskie języki roznosiły po całym kraju; straszył ją, napadał przez adwokatów i listy, przekupywał jéj służących, znajdował się jak duch na jéj drodze, gdy była w Warszawie lub za granicą.

Trwało to już od lat przeszło dwunastu i przerodziło się w stan chroniczny, zostawiwszy w umyśle i charakterze dwóch siostr ślady niezatarte i wyraźne: uczyniwszy Amelię nerwową, wrażliwą, chorą moralnie, egzaltowaną i wykolejoną, Irenę zaś — dumną, pogardliwą, zimną, obliczającą i nieprzystępną. Pierwsza była prawie ciągle chora od przyjścia na świat Wacia, druga kwitnęła zdrowiem, cechującém całą jéj piękną, silną postać.

Irena, przychodząca dowiedzieć się o zdrowie Wacia, zastała siostrę w porannym stroju.

— Czujesz się niedobrze? — zapytała — nie przyjdziesz na obiad? Może Wacio źle spał téj nocy?

— Miałam rzeczywiście noc bardzo złą — odparła Amelia. — Wczoraj wieczorem, gdym się znalazła u siebie, napadł mię paroksyzm muzykalny. Śpiewałam do drugiéj w nocy... potém Wacio się obudził... dopiero o piątéj zasnąć mi pozwolił. Dziś jest nieźle...

jeździł na spacer... teraz jest w ogrodzie z Noiretem... Mnie tak głowa boli, że nie przyjdę na obiad... Uważaj żeby Wacio nie zjadł czego niezdrowego... Eugeniusz nie przyjechał?

— Nie, dzięki Bogu.

— Dla czego dzięki Bogu?

— Bo może trzeba będzie nareszcie się zgodzić... Wiesz dobrze, żem sobie powiedziała, że pójdę za mąż z rozsądku. Otóż myślę, że najwybredniejszy rozsądek musi tym razem broń złożyć. Postanowiłam zrobić świetną partyę i, skoro znajduję człowieka, który, oprócz majątku, przedstawia wszystko, co wielką partyę stanowi, myślę dodać do wspólki majątek i osiągnąć ideał tego, co się nazywa świetném małżeństwem.

Amelia westchnęła.

— Masz słuszność, powinnaś przyjąć Eugeniusza. Mówię przeciw sobie, bo ciebie stracić, to już ostatni cios dla mnie.

— Eugeniusz nalega, ale może mię od niego w ostatniéj chwili odepchnie ta niewidzialna ręka, która mnie zawsze odpychała od wszystkich moich konkurentów. Wszak parę razy już miałam pierścionek zaręczynowy na palcu... Może i teraz tak będzie... Nie chciałabym jednak odegrać znowu téj przykréj dla wszystkich komedyi... Zerwania pozostawiają po sobie dziwny niesmak... Chociaż rozumiem, że lepiéj zerwać z narzeczonym, niż potém unieszczęśliwić męża, lub być z nim nieszczęśliwą; zrywać już jednak z panem Eugeniuszem nie chcę i nie zerwę. Od tak dawna się namyślam i zamiar pójścia za niego tak powoli i tak systematycznie osiadał mi w umyśle, że ugruntował się tam naprawdę.

— Mnie się zdaje, że ty szczególniéj chcesz odrestaurować starożytny jego pałac, który podobno w części tylko może być zamieszkały.

— Odnowię go z pewnością; pójdę jednak nie z zapału architektonicznego, ale także z szacunku i sympatyi dla właściciela starożytnego pałacu i starożytnego nazwiska. To jest prawdziwy wielki pan i prawdziwy gentleman... Powiadasz, że pójdę dla pałacu?.. Nie, ja pójdę dlatego, że ten człowiek nie kłamie. Gdy się zaczął starać o mnie, nie udawał miłości... nie krył się z tém, że mię poszukuje jako partyi, która mu się uśmiecha. Powiedzieliśmy sobie od razu nasze zamiary, nasze cele... Wyznał mi, że kochał tak bardzo w młodości, iż teraz do miłości nie czuje się zdolnym... Tymczasem teraz kocha nie gorzéj, niż kochał wówczas... Ta metamorfoza człowieka, uskuteczniająca się w moich oczach, wzruszyła mię i usposobiła dla niego prawie rzewnie. Patrzę na jego uczucie, jak na dzieło własne, które mi się podoba. Wiesz, Amelko, gdy się ma

serce ze skały, jak moje, serce, niezdolne zupełnie pokochać w ten sposób, wtedy pragnie się przynajmniéj tego wzruszenia, które sprawia widok prawdziwego uczucia dla naszéj osoby.

— To jest, po prostu, kokieterya.

— Kokieterya, jeżeli się myśli o małżeństwie? Jużci małżeństwo powinno się wspierać na miłości. Jeżeli jéj już nie może być z dwóch stron, to niech będzie przynajmniéj z jednéj... Nierówna podstawa może wytworzyć rzecz nieco krzywą, ale trwałą... taką wieżę pizańską...

— Boję się jéj dotknąć, żeby się nie przewróciła! Postąp wedle własnéj woli. Jest się silniejszym w postanowieniu, gdy z własnéj jedynie woli powstało... jest się téż szczęśliwszym, czy mniéj nieszczęśliwym, gdy sobie można powiedzieć: sama tak chciałam. Ja taki żal miałam do wszystkich... do mamy... moja miłość dla tego niegodziwca wypłynęła w części z téj całéj sympatyi, jaka go otaczała.

W oczach Amelii zabłysło nerwowe rozdrażnienie, które ją zawsze opanowywało, ile razy wspomniała męża. Irena postanowiła przerwać rozmowę. Spojrzała na zegarek.

— Pomówimy jeszcze o tém wszystkiém — rzekła — teraz muszę iść... już szósta...

— Uspokój mamę... powiedz, że zwyczajna migrena...

W stołowéj sali wszyscy już byli zebrani: pani Solska, matka Ireny i Amelii, jéj młodsza piętnastoletnia córka, Cesia, dwie nauczycielki téj ostatniéj, z których jedna cudzoziemka, Zubecki, brat pani Solskiéj, Wacio, francuz Noiret, panna Józefa Trojno, przyjaciółka pani Solskiéj, rządca Werniewski i nauczyciel muzyki Plewaczek.

— Amelka nie przyjdzie — ozwała się Irena do matki — ma migrenę.

Pani Solska rzuciła na córkę wzrok osoby, która wiele cierpień i niepowodzeń miała w życiu i dla któréj każda nowa przykrość, czy ból, jest zarazem odnowieniem bólów dawnych, które, jak rany starego żołnierza, odzywają się przy lada wstrząśnieniu.

— Ah — westchnęła — czy brała antypirynę? Nie miałam dziś chwili czasu... Rano byłam przez pięć minut u Amelki... była wtedy zdrowa... o ile ona zdrową być może.

I znowu westchnienie, a z niém przez myśl przebiegająca błyskawica wspomnień przykrych: Boliwa i bezmierna sympatya, którą obudzić potrafił w całym domu, wszystkie nędze Amelki i to dziecko niedołężne i kalekie...

— To prawdziwa bieda! Czy wiesz, że i Wielewicz dziś gorzéj... Jędrzéj powiada, że znowu gorączka się zwiększyła.

Pani Solska zwróciła wzrok pytający na starego służącego, usługującego z majestatyczną powagą.

— Tak, jaśnie pani — odparł Jędrzéj — gorzéj jest dzisiaj.

— Muszę tam sama pójść po obiedzie... może trzeba będzie posłać po doktora...

— Bo téż to był szczególny pomysł ciotki Drahomirskiéj, żeby nam tu przysyłać tego chorego! — zawołała Irena. — Jeszcze gotów biedak umrzéć!.. Wysoka to niedelikatność!

— Tak, niedelikatnie jest umierać w domu, w którym nam ofiarowano gościnność—zauważył Zubecki właściwym sobie tonem wpółironii, wpółlekceważenia.

Irena rzuciła wujowi gniewne spojrzenie. Nozdrza jéj poruszyła tłumiona gwałtowność; byłaby wybuchnęła z pewnością, gdyby nie hamulec dobrego wychowania.

— Mówię o niedelikatnéj dobroczynności ciotki Drahomirskiéj — rzekła spokojnie lecz ostro. — Mogła przecie tego chorego chłopca wysłać do Dziejopola, skoro mu wiejskiego powietrza dostarczyć chciała... wolała ten ciężar złożyć na nasze barki!

— Moja Irenko — ozwała się pani Solska — cóż naturalniejszego, jak postępek ciotki Zosi? Sama w Maju wyjeżdża do Karlsbadu... bardzo się źle miała téj zimy... Chciała, żeby ten chłopiec miał opiekę rozsądną... nie mogła biedaka zdać na łaskę służących w Dziejopolu... słusznie, że nam go przysłała.

— Mama jest zanadto dobra! — zawołała Irena. — Jabym tego chorego odesłała do szpitala... Siostry miłosierdzia w Trylsku mają taki ładny ogródek... pamięta mama ten osobny pokoik taki czyściutki?.. Odesłać go i koniec!

Towarzystwo, siedzące przy stole spojrzało na Irenę ze zdziwieniem. Nie przez wszystkich lubioną była, niektórzy więc doznali owego zadowolenia, z którém ludzie przypatrują się nietaktownym lub nagannym czynom tych, co im są niesympatyczni. Brak serca, okazany przez Irenę, zauważony został z przyjemnością. Tylko panna Józefa Trojnówna doznała widocznego smutku. Spojrzała na Irenę z wyrzutem.

— Irenka zawsze pozuje na oschłość — rzekła.

— Czy pani sądzi — odparła surowo Irena — że temu młodemu człowiekowi nie byłoby lepiéj w szpitalu, pod opieką sióstr miłosierdzia, niż mu jest tutaj? Tam-by był pielęgnowany przez umiejętną rękę... tu jest na opiece, raczéj na łasce służących. Wszak i mama, i pani zauważałyście, że wasze odwiedziny są mu raczéj ciężarem,

niż przyjemnością. Gdybym ja tam poszła, chłopiec ten czułby się zapewne jeszcze bardziéj skrępowanym. Amelka nie może znosić widoku chorych... dość ma choroby Wacia... Szpital jest bezwarunkowo najlepszym przytułkiem dla ludzi w tém położeniu.

— Dla chorych, niezawodnie — odparła panna Józefa — ale rekonwalescent powinien się czuć otoczonym ludźmi zdrowymi, żeby mógł uwierzyć w wyzdrowienie. Taka wiara, to ogromna pomoc dla organizmu w walce, jaką stacza z chorobą.

— Ależ ten chłopiec wcale nie jest rekonwalescentem! Człowiek, który codziennie miewa gorączkę...

— To ciągle jeszcze skutki klimatu... Wyszedł z ciężkiego tyfusu... teraz to podobno jakaś malarya...

— Tak, i może początki suchot! Takiego pacyenta nam tu przysyłają, jak do domu zdrowia! Trzeba na to owéj niepraktyczności ciotki Zosi, którą ona nazywa dobroczynnością!

Piękne oczy Ireny zabłyszczały, głos przybrał tony tak ostre, że i pani Solska, i panna Józefa zamilkły, nie chcąc podniecać złego humoru dumnéj panny. Ale dla Zubeckiego, zgorzkniałego starego kawalera, gratka była zbyt piękna. Głosem wystygłym, suchym i miarowym, ozwał się do Ireny, ukazując w niemiłym uśmiechu rząd wprawianych zębów:

— Dla nerwowéj kobiety łatwiéj znieść wiadomość, że gdzieś, na jakiémś polu bitwy poległo sto tysięcy żołnierzy, niż miéć przez jedną noc tylko umarłego pod jednym z sobą dachem.

— Wuju! — zawołała wzburzona Irena.

— Wiem, wiem, że samo wspomnienie śmierci dla nerwowych kobiet... Biedny chłopiec, ani się on domyśla, że jest takim postrachem dla pięknéj mojéj siostrzenicy!..

— Dajże pokój — ozwała się pani domu — doktor mię zapewnia, że życiu jego nic na teraz nie grozi... tylko choroba przeciągnąć się może...

— Chorzy często robią niespodzianki doktorom.

— Młodość go uratuje. Ma dopiero dwadzieścia jeden lat.

— Wiek najmniéj odporny ciężkim chorobom.

— Ah, mój drogi, nie męcz mię twojemi przewidywaniami... już i tak dosyć bied i kłopotów!

— Wiem, wiem, kłopotów bez liku... właśnie mówił mi pan Werniewski... w lesie drzewo towarowe zaczyna murszéć i trzeba pomyśléć o sprzedaży... trzeba będzie szukać pewnéj hypoteki, by umieścić sumę, którą Kielski ma na swoim majątku i którą chce spłacić... biedy i kłopotów co niemiara!

Seweryn Zubecki, mający całe życie przyzwyczajenia o wiele przerastające nieznaczną fortunę, zazdrościł ludziom bogatym i nie przypuszczał, by im co do szczęścia brakować mogło, skoro mieli dostatki. Niewielkie swe mienie od dawna był stracił i zamęczał przycinkami siostrę za to, że jego długi parę razy spłaciła, że mu dawała jałmużnę wykwintnego życia, bez którego obejść się nie był zdolen, że dobrocią osłaniała wszystkie jego złości i śmieszności obecne, a także dawne lekkie i puste życie. Zdawało się, że chciał się ciągle mścić na niéj za wszystkie otrzymane dobrodziejstwa.

— Drzewo nie powinno murszéć — cedził daléj Zubecki, wybierając z półmiska najlepsze kawałki — ludzie nie powinni umierać, ani nawet straszyć chorobą tych, co są wybrańcami losu... Tymczasem starość przychodzi nawet dla dębu, a śmierć nawet dla dwudziestoletnich chłopców... I ten... pozwala sobie miéć malaryę, a może suchoty... Gotów pójść do przodków... chociaż to niełatwo, bo przodkowie jego bardzo problematyczni... Jak on się nazywa? Wielski? Wilewicz? co? syn jakiegoś rządcy domu?.. Zkąd Zosia takie indywidua wyciąga?

— Syn rządcy domu, w którym Zosia mieszka — odrzekła pani Solska. — Dowiedziała się, że go nawpół żywego przywieziono z Petersburga... lekarz nakazał wiejskie powietrze... u tych ludzi wielka bieda... z ogromnemi wysiłkami zdobyli się na wysłanie syna na naukę... po kilku miesiącach odwieziono go im umierającego... Biedni rodzice!

— Nie widziałem go — rzekł Zubecki — ale przypuszczam, że jest prosty i nie ma żadnego kalectwa, niéma więc czego tak bardzo z jego powodu nad rodzicami się litować.

Spojrzał złośliwie w stronę Wacia, któremu Noiret krajał mięso na talerzu.

Pani Solska zmieszała się mocno; cień smutku osiadł na jéj czole. Irena spłonęła rumieńcem oburzenia.

Cesia, szesnastoletnia, wątła, jasnowłosa, śliczna dziewczyna, patrzała na matkę i siostrę oczami rozszerzonemi przestrachem. Przyzwyczajona była od dzieciństwa do złośliwości wuja, który od lat piętnastu stale przesiadywał w Mirowie, ale smutek matki dotykał ją zawsze do głębi. Postanowiła nadać inny kierunek rozmowie i nagle zawołała:

— Niech też nam wujaszek opowie, jak wujaszek wygrał w zakład od Patti aryę „z Cyrulika.“ Jak to było, mój wujaszku, jak to było? Panna Waręska jeszcze tego nie słyszała. Niech wujaszek opowiada po francuzku, to i pan Noiret, i panna Forgett zrozumie.

Zubecki lubił zajmować sobą towarzystwo i tylko wtedy łagodniał i rozweselał się, gdy chętnie słuchano jego opowiadań. Wtedy, na skrzydłach wspomnień uniesiony w lepsze czasy, pozwalał wyobraźni swojéj bujać tak bez kontroli, że niejeden uśmiech niedowierzania wywoływał, nie dostrzegając go wcale. Po czasie pozwalał sobie odgrywać rolę wybitną we wszystkich znaczniejszych wydarzeniach, których pamięć zachowywali jego współcześni. Gdy tak opowiadał, strojąc się w różne dowcipne słówka i zręczne czyny, próżność jego, upokorzona rolą pieczeniarza, do jakiéj zeszedł, oddychała pełnemi piersiami i z zadowoleniem roztaczała skrzydła. Całe życie była ona sprężyną wszystkich jego postępków, jéj podszepty czyniły go głuchym na głos rozsądku i rozwagi. Strąciwszy go do tego, czém był, karmiła się teraz lada blagą, lada przechwałką, ukutą przez wyobraźnię.

Na swoją biedę Zubecki urodził się w rodzinie, noszącéj znane nazwisko, mającéj tradycye wielkiéj zamożności, skoligaconéj, arystokratycznéj, w chwili, gdy rodzina ta, straciwszy prawie całe mienie, czyniła największe wysiłki, by ukryć ruinę swoją przed okiem ludzkiém. Kłamstwo położenia niejasnego, w którém niedostatek tułał się i ukrywał we wspaniałym pałacu, oddziałało tak zabójczo na młodego potomka rodu, że nastąpił w nim przerost próżności po nad wszystkie inne uczucia. Dla zadowolenia jéj udawał bogactwo i swoje stare nazwisko podpisywał na rujnujących do reszty wekslach, z wieczną nadzieją świetnego małżeństwa. Był kilka razy bliskim tego celu, ale prześladowało go wyraźne w tym względzie nieszczęście, które sprawiło, że oto teraz jest starym, wyczernionym i pozującym na młodość rezydentem swéj siostry, któréj życie, złamane i nieszczęśliwe, było po części jego dziełem.

Już w dzieciństwie, przez nieuwagę, wystrzelił jéj jedno oko z dziecinnego łuku, którym się bawił, i uczynił kalekę z prześlicznego dziecka. Gdy dorosła, z jego powodu zagłuszyła w sobie prawdziwe powołanie do poświęcenia życia nauczaniu i wstąpienia do klasztoru, a oddała rękę Solskiemu, milionowemu dorobkiewiczowi, który, przez ożenienie się z panną z arystokratycznego domu, chciał się wkupić w towarzystwo. Niebardzo już młoda, jednooka panna, z prześlicznemi rysami twarzy, poszła za mąż wbrew uczuciom i powołaniu, żeby, zostawszy bogatą, zapłacić długi brata, pomódz mu w życiu i dom swój otworzyć dla dwóch młodszych swych sióstr, sierot, jak ona, żyjących w nędzy, z powodu utraconych przez brata resztek rodzinnéj fortuny.

Pani Solskiéj, nieszczęśliwéj w małżeństwie, nigdy niemogącéj uwierzyć w głębi duszy, że ten gminny dorobkiewicz był jéj mężem,

udało się osiągnąć cel swego poświęcenia. Brata ocaliła od głośnéj hańby, siostry młodsze wydała świetnie za mąż.

Z małżeństwa swego miała dużo dzieci, lecz widocznie tylko córki przynosiły na świat warunki życia. Kilku synów, urodzonych między dwiema starszemi córkami a Cesią, poumierało w dzieciństwie, okrywając matkę żałobą i napełniając jéj życie smutkiem i łzami. Cesia, ostatnie dziecię, przyszła na świat w parę miesięcy po śmierci ojca i stała się pociechą pani Solskiéj i dziecięciem jéj serca. Była téż ona dziecięciem łez. Może dlatego wyglądała wątło i szczupło i nie miała okazałego wzrostu swych sióstr. Była téż to natura zupełnie różna. Starsze córki wychowały się jeszcze pod wpływem ojca, próżnego przynajmniéj tyle, co Zubecki, tylko w inny sposób; młodszą wychowała miłość matki, prawdziwie chrześciańska jéj pokora i wzniosłość duszy, oczyszczonéj jeszcze przez nieszczęście z wszelkich drobiazgowości, z wszelkich małostek. Cesia żyła tylko dla drugich, nic nie myśląc o sobie, w swém sercu znajdując zawsze natchnienie szczęśliwe, by oszczędzić otaczającym przykrości, osłodzić im każde cierpienie.

Podczas opowiadań Zubeckiego pani Solska z panną Józefą prowadziły półgłosem rozmowę. Szło o chorego Wielewicza, a szczególniéj o ilość pożywienia, jakie mu podawać miano. Józefa ze śmiechem zwierzyła przyjaciółce uczynione przez siebie odkrycie. Wielewicz, po skończeniu szkół, uczęszczał w Petersburgu przez kilka miesięcy do szkoły sztuk pięknych. Tymczasem, niewiadomo na jakiéj zasadzie, między służącymi w Mirowie rozeszła się pogłoska, że był w akademii duchownéj i kierował się na księdza. Ztąd szczególny dla niego szacunek i zachowanie, ztąd prawdziwie ojcowska nad nim opieka kamerdynera Jędrzeja, który noce przy nim spędzał i literalnie na rękach go nosił, a mówił o nim, jak o cudowném dziecku. Panna Józefa właśnie przytaczała relacyę Jędrzeja, który zastał był rano chorego smacznie śpiącego i opowiadał potém: „Wchodzę, a on sobie śpi, jak jaki aniołeczek... już taki z niego wykapany ksiądz...“

Andrzéj w swojéj gorącéj sympatyi dla Wielewicza dawał niejako folgę piastowanemu przez wiele lat w piersi uczuciu, które w końcu przeszło przez torturę zawodu i umarło, zostawiając w sercu niewygasły smutek i jakby żal do przeznaczenia. Syn Andrzeja, będąc małém dzieckiem, bawić się lubił w księdza. Z kolorowych chustek matki zszywał sobie ornat, ustawiał świece i święte obrazki na komodzie, przystawiał do niéj stołeczki w kształcie wschodów i odprawiał mszę. To dało Andrzejowi pewność, że chłopiec ma powołanie do stanu duchownego. W rodzinie poczęto uważać chłopca za predestynowanego, za naznaczonego palcem Bożym, i miano dla niego

rodzaj poszanowania, połączonego z pewnego rodzaju świętą trwogą, którą obudzają rzeczy niepojęte i nadnaturalne. Andrzéj czuł się wybranym przed Bogiem, skoro jego synowi nie lokajem, jak on, lecz księdzem być przeznaczono. Czynił najwyższe wysiłki, by chłopca wykształcić, oddał go do szkół z pomocą pani Solskiéj i doczekał się strasznego zawodu. Chłopiec się zmarnował, pracować nie chciał, rozpił się... Był zakałą uczciwéj rodziny.

Teraz, gdy Andrzéj spotkał młodego człowieka, który, wedle niewiadomo skąd powstałéj wersyi, wracał z akademii duchownéj z Petersburga, odżył w nim dawny wychowawca przyszłego duchownego i czuł się mniéj przeklętym i mniéj pozbawionym łaski nieba, skoro mógł pielęgnować kleryka i staraniem o jego zdrowie przyczynić się do dania światu jednego księdza więcéj. Zdawało mu się, że mu Opatrzność chce wynagrodzić tamtą niełaskę, pozwalając może ocalić życie walczącemu z chorobą Wielewiczowi. Na twarzy starego sługi wypisało się coś rzewnego, jakieś błogie zamyślenie towarzyszyło mu przy spełnianiu machinalném obowiązków; zdawało mu się, że jakaś nadzieja, dawno umarła, ożyła w jego sercu. Gdy mówił o chorym młodzieńcu, w uśmiechu jego i spojrzeniu czytać mogłeś tę roztkliwioną słabość i zachwyt, jaki wzbudzają cudowne dzieci. Każdy spożyty przez Wielewicza kęsek napełniał go radością.

— Zjadł okruszek kotleta i pół jabłka pieczonego — mówił z rozczuleniem.

— Żeby tylko pił stare wino.

— Pije, chudziątko, pije... a tak mu smakuje, że do ostatniéj kropelki wysącza... możeby mi jaśnie pani pozwoliła...

— A co takiego, mój Andrzeju?

— Żona tam... chowa gołębie... możeby zjadł gołąbka w potrawce...

— Niech Andrzéj powie kucharzowi, żeby dał gołąbka w potrawce...

Andrzéj biegł coprędzéj do domu, w którym mieszkał, i kazał żonie wybrać gołąbka z gniazda.

— „Tylko białego, bez żadnéj odmiany."

Gołąbek smakował choremu. Andrzéj, patrząc jak go spożywał, promieniał radością. I on się z własnego przychowku przyczyniał do dobrobytu rekonwalescenta. „Bóg tam wié, może mi za to kiedyś requiescat nad trumną zaśpiewa."

Nie wiedziano, dla czego Andrzéj taką czułością dla chorego chłopca zapałał, i dopiero panna Józefa, rozmawiając z nim o Wielewiczu, dobadała się przyczyny.

— Nie trzeba go wyprowadzać z błędu — rzekła pani Solska — niech sobie myśli, że pielęgnuje przyszłego księdza. To prawdziwe szczęście, że tak się zajął tym biedakiem, bo inaczéj nie wiem doprawdy, cobyśmy z nim poczęły. Zosia pisze, że to rekonwalescent potrzebujący wiejskiego powietrza, a to chory obłożnie, którego trzeba dzień i noc doglądać. Nie wiem, kto wymyślił tę historyę powołania duchownego, ale pomysł wyborny.

Tymczasem burzliwa dyskusya wszczęła się między Zubeckim a Noiretem. Chodziło o ulicę, przy któréj stał jakiś hotel w Paryżu. Noiret grzecznie, ale stanowczo twierdził, że Zubecki się myli. Ten ostatni po polsku oświadczył towarzystwu, że taki francuski głodomorek, który jako *boniarz* przybywa do Polski, mieszkał z pewnością w Paryżu na jakiémś ubogiém przedmieściu i nawet nie był nigdy w téj dzielnicy miasta, gdzie on, Zubecki, mieszkał latami całemi. Cesia zadrżała z obawy przed nowém zajściem między współbiesiadnikami.

— Mam dla wujaszka deser wyborny—rzekła, przybierając miny tajemnicze.

— Deser? Co? dojrzały już truskawki w cieplarni?

Skinęła głową, dając do zrozumienia, że nie trzeba było wieści téj rozsiewać między całém towarzystwem. Należało ją zachować dla siebie.

Zubecki mrugnął domyślnie, czując już prawie zapach ulubionego owocu, tak jego podniebienie tkliwe było nawet na roskosze obiecywane przez wyobraźnię. Przestał wrzéć gniewem przeciwko Noiretowi, którego Cesia wciągnęła do rozmowy z sobą. Francuz opowiadał jéj o olbrzymiéj produkcyi fiołków zimowych w Paryżu. Zaściełano niemi całe stoły... nadużywano fiołków... była to istna mania...

Biedna Cesia źle wybrała temat do rozmowy. Poruszył on na nowo drażliwą żółć Zubeckiego:

— Ciekaw jestem, gdzie ten głodomorek mógł widziéć takie fiołkowe uczty—rzekł po polsku swym suchym i niecierpliwiącym głosem. — Fiołki zimowe to zawsze rzecz zbytku i wykwintu... ten blagier nam tu będzie imponował swoim Paryżem!

Zubecki uważał siebie za posiadającego monopol wszystkich tajemnic wielkoświatowéj elegancyi, mody i dobrego tonu.

— Wujaszku! — zawołała przerażona Cesia – jaki papier listowy teraz najmodniejszy?

Zubecki znowu zabrał głos po francusku, dla całego stołu, bo choć rządca, jedyny ze wszystkich, niedokładnie ten język rozumiał, nie przyznawał się do tego kalectwa. Zubecki wyczerpująco począł

traktować kwestyę papieru listowego, przy czém dał do zrozumienia, że miał liczną korespondencyę i odbierał dużo listów od pań i panów, znających się na rzeczy.

Obiad skończył się wreszcie. Irena poszła do mieszkania starszéj siostry, Noiret wyszedł za wózkiem, w którym służący popychał Wacia, Cesia wybiegła do ogrodu, a za nią podążyły nauczycielki; pani Solska z Józefą udały się do pokoju Wielewicza.

Chory młodzieniec siedział na łóżku, oparty o poduszki. Twarz jego nosiła ślady wielkiego wycieńczenia, powieki podnosiły się leniwo, jak u ludzi zupełnie sił pozbawionych, usta, probujące się uśmiechnąć, skrzywiły się tylko. Było coś dziwnie smutnego w téj młodości, w któréj życie tléć tylko się zdawało.

— Jak się tam pan dziś czuje?—zapytała Solska.—Było dziś trochę apetytu?

— Jadłem—odrzekł głosem, którego dźwięki urywały mu się w piersi i przechodziły przez gardło z wysiłkiem, — piję tak dużo wina...

— Oczekuję dla pana lepszéj pory... Dziś ciepło i ślicznie, ale jest trochę wiatru... przecie weszliśmy w tę drugą połowę Maja, w któréj się już można ciepła spodziewać... Jest w domu wózek do wożenia chorych, będzie pan mógł cały dzień przebywać w ogrodzie.

— Tyle czasu zmarnowałem—wyjąkał chory.

— Niech się pan tém nie troska... tyle jeszcze życia przed panem... tyle zdrowia, czas stracony odzyskać można.

— Tak mię to gniewa i niecierpliwi, żem chory.

— Jeden rok stracony, to prawda, ale się już z tém trzeba pogodzić... już się stało... Teraz musimy całego lata użyć na odzyskanie zdrowia... Zobaczy pan, jaki Mirsk ładny w lecie... Kąpiel tu wyborna... może panu późniéj zimne kąpiele zalecą...

— Gdzieżbym ja państwu całe lato zawadzał!...

— O, mój Boże! nic nam pan nie zawadza; nie trzeba sobie tworzyć pojęć fałszywych. Tak mi przyjemnie wiedziéć, że dom mój może panu służyć tém, co dla rekonwalescenta potrzeba... O, to była straszna choroba, która silnego młodzieńca, jak pan, tak zupełnie sił pozbawiła...

— Wszyscy tu tacy dobrzy—mówił chory—otoczony jestem taką wygodą... taką troskliwością... I natura dała tu ludziom tyle... Tylko okno otworzyć, a już się człowiek zdrowszym czuje. Andrzéj jest taki dobry, że aż mię to boli, bo czém ja mu się odwdzięczę?...

Panna Józefa poczęła się śmiać.

— Muszę panu odkryć tajemnicę - rzekła. —Andrzéj wyobraził sobie, nie wiem dlaczego, że pan ma zamiar zostać księdzem, i pielęgnuje w panu duchowną osobę.

Chory spojrzał zdziwiony i przestraszony.

— Nie trzeba go wyprowadzać z błędu—mówiła daléj Józefa—niech sobie myśli, że pan jest uczniem akademii duchownéj, będzie dla pana o tyle troskliwszym.

Wielewicz zaczerwienił się znowu na mgnienie oka.

— Nie mogę korzystać z takiego kłamstwa—rzekł mocniéj i wyraźniéj, niż mówił poprzednio.

— To takie niewinne kłamstwo—zawołała Józefa, która już poczęła żałować swéj szczerości.

— Andrzéj nocy nie dosypia, nie mogę go oszukiwać.

W wyrazie twarzy chorego była taka stanowczość, że odwiedzające go panie spojrzały na siebie ze zdziwieniem. Ten dzieciak wydał im się w téj chwili mężczyzną.

— Nie wiem, czy zostawić jeszcze okno otwarte? — zapytała Solska—czy pan nie czuje żadnego chłodu? Już jest po siódméj...

— Nie, nie, z tém powietrzem wraca mi zdrowie.

W téj chwili, obok łóżka chorego, upadło kilka bukiecików fiołków pełnych i konwalii. Kwiaty te rzucone były przez okno, a jednocześnie głos Cesi zawołał:

— Doktor mówi, że do wyzdrowienia potrzeba panu wiejskiego powietrza, a ja mówię, że potrzeba téż kwiatów! Czy dobrze wymierzyłam? Czy upadły na łóżko?

Pani Solska wychyliła się oknem:

— Nie dobrze trafiłaś, ale panna Józefa podniosła twoje bukiety; już lekarstwo jest w ręku chorego.

Zwróciła się do Wielewicza:

— Czy moja córka codziennie pana tak kwiatami bombarduje?

— Codzień jakaś ręka mi je rzuca, ale nie wiedziałem...

— Bo pan nie zna Cesi—rzekła panna Józefa—gdyby pan ją znał, wiedziałby pan od razu, że to ona pomyślała o uczynieniu przyjemności, na jaką ją stać.

— Proszę cioci Józi mię nie obmawiać — zawołał głos dziewczyny pod oknem, umieszczoném tak wysoko po nad suterenami, że dosięgnąć go głową było niepodobna.

— Wszyscy tu tak dobrzy... tak dobrzy!—szeptał Wielewicz, trzęsącemi się rękami układając na kołdrze fiołki i konwalie.

— O, dobrzy!—rzekła Józefa—człowiek musi tak do nich przylgnąć, że i opuścić już ich niepodobna.

— Może głośne czytanie zrobiłoby panu przyjemność?—zapytała Solska—mogłabym tu przysłać kogoś...

— Jędrzéj mi czytał, ale mnie to męczy... nie mogę ani słuchać, ani uważać... wszystko mnie męczy...

Pani Solska z Józefą spojrzały na siebie i opuściły pokój w obawie, by dłuższa rozmowa nie utrudziła chorego.

Dwie te panie były przyjaciółkami od lat młodych. Obie w dzieciństwie były świadkami ruiny fortun rodzicielskich; obie odpokutowały za nieoględność i niedołęztwo rodziców. Marya Zubecka zaprzędała się jako żona człowiekowi, z którym wszystko zdawało się ją dzielić; Józefa Trojnówna długie lata, jako nauczycielka, po obcych domach tułać się musiała. Widywały się czasem, pisywały do siebie często, słodząc tym stosunkiem przyjaźni nędze i smutki swoje.

Od śmierci Solskiego, Józefa mieszkała w Mirsku. Przyjaźń dwóch kobiet żywiła się u wspólnego źródła tych samych religijnych pojęć i wielkiéj dla ludzi miłości. Obie czyniły wiele dobrego: Józefa z zupełném zapomnieniem o przyszłości i starości swojéj; Marya z obowiązkowym względem na dzieci, których fortuny, odziedziczonéj po ojcu, naruszać nie miała prawa. Józefa była żywa, wesoła, młoda usposobieniem, pomimo swych lat, pełna interesu dla wszystkiego, co ją otaczało, optymistka, widząca samo dobro na świecie; Marya czuła się zmęczoną życiem, bez odwagi, drżąca wiecznie przed jakiémś nowem nieszczęściem, cierpiąca za lada niepowodzeniem, zalękniona i zdająca się jęczéć jeszcze pod pozagrobowym despotyzmem męża. W Józefie znajdowała wsparcie, zachętę, odwagę. Bezwiednie u staréj swéj przyjaciółki szukała ukrzepiającéj siły i tego hartu życiowego, na którym jéj zbywało. Józefa z radością dźwignię swych ramion dawała przyjaciółce.

Najukochańszą istotą przyjaciółek była Cesia. Solski umarł w roku jéj urodzenia i całe wychowanie dziewczęcia pokierowaném zostało przez matkę, wspieraną silniejszym charakterem Józefy.

Zapewne w różności wychowania leżała przyczyna kardynalnych różnic usposobienia sióstr starszych i najmłodszego dziecięcia, które było promieniem słońca w tym domu i radością oczu wszystkich jego mieszkańców. Cesia była uosobieniem dobroci, wesela i chrześciańskiego pojęcia równości między ludźmi; Amelia i Irena od ojca pyszałka wzięły ogromny dział próżności, pychy, a nawet arogancyi. Wszystkie te wady mitygowane były przez staranne wychowanie i wpływ matki o szerszych pojęciach, ale w gruncie panowały bezpodzielnie w duszy starszych sióstr. Pani Bolewina podwójnie swe nieszczęście odczuwała, będąc upokorzoną w próżności i dumie; Irena,

może mniéj próżna, lecz dumniejsza od siostry, w tém uczuciu czerpała pewność siebie i przekonanie, że od życia należało jéj się wszystko, co ono najlepszego i najpiękniejszego dać może. Ojciec, szorstki, śmieszny, nadęty dorobkiewicz, dumny był ze swych pięknych córek i, pomimo protestacyi matki, wszystko w ich wychowaniu skierował ku temu, co błyszczy i rzuca się w oczy. Te wielkie panie, wyrastające pod jego dachem, radowały go i imponowały mu zarazem. Czuł szlachetniejszą krew, płynącą w ich żyłach, i w miarę jak dorastały, pokorniał powoli wobec nich i przeczuwał czasem niejasno, czerpiąc to przeczucie w swym praktycznym dorobkiewiczowskim umyśle, że był śmiesznym obok swéj żony, wielkiéj pani z urodzenia i uczuć, i córek, wykwintnych, pięknych, imponujących i mówiących po francusku.

Szczególniéj ta ostatnia okoliczność tworzyła między nim a rodziną przedział, niedający się zarównać. Solski francuszczyznę uważał za cechę wyższości niezaprzeczonéj, a sam nigdy nawet rozumiéć jéj nauczyć się nie mógł. Francuszczyzna córek była jego dumą, a zarazem jego katuszą. Od chwili, gdy mówić zaczęły, pilnował, by nigdy innego języka nie używały, i wiecznie, dla idei, znosił mękę niezrozumiałéj wkoło siebie rozmowy i upokorzenie, że tego piętna wielkoświatowego na sobie nie nosił.

Śmieszna była ta rodzina, w któréj kobiety mówiły zawsze językiem niezrozumiałym dla ojca i męża.

Gdy jego piękne, wykwintne i wystrojone córki wchodziły do salonu przy boku ogólnie lubionéj i szanowanéj matki; gdy je widział otoczone szmerem uznania i usłyszał wkoło siebie dźwięki mowy, którą ich usta wyrzucały z taką łatwością, a któréj posiadanie było dla niego niedostępném marzeniem; Solski, taki nadęty dawniéj i wysuwający się naprzód, chował się i w cieniu pozostać pragnął. Paroksyzmy samochwalstwa napadały go jednak czasem, a wtedy żona i córki rumienić się musiały. Mówił z upojeniem o swoich dostatkach, o koligacyach swéj żony, o utytułowanych jéj krewnych, o drogich lekcyach śpiewu i malarstwa, na które nie żałował córkom, o kosztownych wyprawach za granicę, o rachunkach, które w pierwszych magazynach płacił, o pałacu swoim, który takie sumy pochłonął.

Pomimo iż córki widziały jego śmieszności, przejęły się jednak atmosferą próżności, którą roztaczał wkoło siebie; a może widok ojca, którego nieraz wstydzić się musiały, rozwinął w nich do zbytku drażliwość miłości własnéj i dumę, za pomocą któréj usiłowały pokryć to, co w ich otoczeniu parweniuszowstwem trąciło.

Irena, odwiedziwszy na chwilę starszą siostrę, zostawiła ją z matką i wyszła do ogrodu. Wiedziała, że w alei lipowéj spotka naprzód Wacia z Noiretem, potém prawdopodobnie Cesię z którą z nauczycielek, a może nawet Zubeckiego z Plewaczkiem, będącym kozłem ofiarnym starego kawalera, który w osamotnieniu swém na poczciwego nauczyciela muzyki wylewał żółć i złośliwość swoją, a potém, gdy miał inne towarzystwo, prawie znać go się nie zdawał. Nie chcąc spotkać się z nimi, Irena poszła w stronę parku najmniéj uczęszczaną. Myśli jéj dzisiaj były jakieś zbłąkane. Biegły wprawdzie zwykłym torem, wyznaczonym im przez rozsądek i przyzwyczajenie, lecz niepokój wewnętrzny zachwiewał ich równowagę. Tak, ona rozumiała, że zbliżała się dla niéj chwila zerwania z dotychczasowém życiem. Niejedna w jéj wieku kobieta miała już podrastające dzieci, nie jedna zaliczała się już prawie do matron... Wprawdzie ona czuła się czémś wyjątkowém, czego nawet zwykła koléj rzeczy ludzkich dotknąć nie śmiała; ale, pomimo niezwykłéj piękności, jaśniejącéj dotąd całym blaskiém, Irena pojmowała, że łatwiéj jéj będzie znieść przymus nowego życia, niż upokorzenie siwych włosów, przychodzących w staropanieństwie. Tak, jak były przepisy mody i zwyczaje, którym nikt nie śmiał się opierać, tak były prawa naturalne, którym nie mogła stawić czoła nawet taka, jak ona, kobieta. Już parę razy, z wielkiém cierpieniem miłości własnéj, dostrzegła spojrzenia, zwracające się ku Cesi z większém upodobaniem, niż ku niéj, która dawniéj nie pojmowała i nie rozumiała podzielnego panowania. To były znaki ostrzegające. Na wspomnienie tych nic nieznaczących objawów, duma jéj stawała w ogniu, zrywała się w jéj sercu, jak gdyby do walki gotowa. Nie, nie, ona nie mogła znieść, nie mogła pozwolić na to, by z konieczności znaleźć się w końcu na drugim planie, a potém zejść może w cień zupełny. To było dobre dla skromnych, dla pokornych... wreszcie dla ubogich, którym praca na chleb za cel życia stanąć może. Ona musiała ustąpić w całéj chwale. Nie pojmowała zgoła tych, co przy niéj na dziecinną, wątłą Cesię oglądać się mieli ochotę. To było zapewne owo uprzedzenie do wieku kobiety, która, przeszedłszy po za lat trzydzieści... Tak, to było owo uprzedzenie, które często sprowadza zachwyt profanów dla dzieł reklamowanych, a miernych... I tamte lat szesnaście zajmowały jedynie dla swéj liczby, a jéj wiek odstraszał! Bo wiedziała, że świat dokładnie prowadził jego rachunek, a może w swéj usłużności dorzucił jeszcze parę latek. Miała jednak zawsze, w każdéj chwili, w ręku swych możność zamknięcia ust towarzystwu i czuła, że nadeszła chwila użycia téj broni. Musiała przyjąć Eugeniusza. A jednak... jednak... Irena uczuła jakiś rodzaj zazdrości względem tych kobiet, które do małżeństwa przy-

noszą zapał gorącéj miłości. Bo chociaż nieraz w rozmowie z siostrą i w rozumowaniu sama z sobą bardzo lekko odzywała się o tém uczuciu, chociaż przyznawała, że niejedna egzystencya bez niego obejść się może, a nawet chociaż nieraz przeczyła jego istnieniu dla ogółu ludzi, uznając je tylko dla nielicznyych, chorobliwie i nerwowo usposobionych wyjątków; jednak w głębi duszy czuła, że to wszystko były frazesa. Własne jéj serce im przeczyło. Pamiętała dobrze epokę, gdy Boliwa zaczął bywać w Mirsku i, nie zwracając się jeszcze wyraźnie ku Amelii, starał się zjednać sobie wszystkich członków rodziny. Pomiętała, że gdy oświadczył się jéj siostrze i przyjętym został, ona nagle poczuła ból głęboki, który jéj oświecił własną duszę. Wówczas, gdyby był wybrał ją, nie Amelię, byłaby poszła wszędzie, gdzieby był chciał ją zaprowadzić, nawet do skromnego domku, nawet pod strzechę. Czy byłaby wówczas z taką trwogą myślała o dniu, w którym jéj włosy okryje welon i kwiat pomarańczowy? Miłość jéj dla Boliwy była zapewne uczuciem słabém, bez głębokości, łatwém do uleczenia i prędko uleczoném; ale takiego przynajmniéj potrzeba było do małżeństwa. Eugeniusza szanowała, lubiła nawet bardzo, widziała jego zalety; ale to wszystko dopóty tylko, dopóki nie pomyślała, że zostanie jéj mężem. Przy myśli o małżeństwie przejmowała ją mimowolna odraza, któréj praw obywatelstwa nie przyznawała w swém sercu, z którą walczyła bronią rozsądku, ale która powracała, pomimo wypowiedzianéj sobie walki. Znała to uczucie mimowolne, a tak chwilami potężne, że z jego powodu zerwała już była parę razy małżeństwo, świetnie się zapowiadające, i z radością pozbywała się zaręczynowego pierścionka. Dobre to jednak było jeszcze kilka lat temu, jeszcze przeszłego roku; teraz klamka na dobre zapaść musiała. Przyrzeknie Eugieniuszowi i dotrzymać musi przyrzeczenia. Zamknie się za nią przeszłość na zawsze i rozpocznie się nowe życie, przy boku człowieka, który jéj powinien zastąpić wszystko i wszystkich. Nieokreślony strach przejął Irenę. Czy ona potrafi uszczęśliwić tego człowieka? czy potrafi mu wmówić, że sama jest szczęśliwą?

Coraz spieszniéj szła oddaloną aleją parku, coraz niespokojniejsze myśli zalegały jéj umysł.

Tymczasem, z powodu niedyskrecyi panny Józefy, stary Andrzéj przechodził przykrą chwilę wytrzeźwienia z pięknego snu na jawie, którym od dni kilku się kołysał. Dopilnowawszy poobiedniego porządku, zaniosłszy kawę pani Boliwinie i grog Zubeckiemu, poszedł śpiesznie do Wielewicza. Obawiał się, że okno zbyt długo było otwarte w pokoju chorego. Zastał młodzieńca z rękami pełnemi kwia-

tów i porównał go znowu w myśli do jakiegoś świętego obrazka, który sobie przypomniał.

— Andrzeju!—rzekł chory—trzeba-by te kwiaty włożyć w wodę, bo powiędną.—A potém bez żadnego przejścia: ja nie jestem uczniem akademii duchownéj... wcale nie zamierzam być księdzem i nigdy nim nie będę... kształcić się zacząłem na malarza... Malarzem zostać pragnę.

Andrzéj stanął w środku pokoju, jak wryty. Naprzód niedowierzanie, potém rozczarowanie i zdumienie odbiły się na jego twarzy.

— Nie wiedziałem, że Andrzéj tak sobie wyobraża... że się myli co do moich zamiarów... Byłbym wcześniéj...

— Ale kiedy mi furman mówił!—zawołał Andrzéj, jeszcze swoim uszom nie wierzący.

— Nie wiem skąd furman mógł... Nigdy nie myślałem zostać księdzem.

Andrzéj machinalnie poszedł ku oknu, aby je zamknąć, ale zdawało mu się, że mu jakieś ciężary przywiązano nagle do nóg i ramion. Chodził zwykle na palcach wkoło Wielewicza; teraz ciężko, nie pilnując swych kroków, wyszedł z pokoju.

Młodzieniec powiódł za nim wzrokiem, potém spojrzał na kwiaty, które w wodę włożone nie zostały. Uśmiechnął się blado, jak się uśmiechają ludzie bardzo osłabieni. Ciężka choroba stłumiła w nim władzę myślenia i kombinowania. Czasem godzinami całemi przebywał w stanie półsenności, zostawiającéj władze umysłowe w odpoczynku; teraz jednak kwiaty więdnące mu w rękach i stukające buty Andrzeja, a bardziéj jeszcze rozczarowanie, malujące się na jego twarzy, potrąciły silniéj myśl jego. Kwiaty, tracące świeżość, dotknęły przykro jego zmysł artystyczny, zachowanie Andrzeja wzbudziło w nim krytykę.

— Dlaczego to tak jest na świecie, że w człowieku przedewszystkiém kocha się, lubi się to, co on nam obiecuje. Tak kochają nawet rodzice. Ten człowiek pielęgnował mię, bo się spodziewał po mnie czegoś dla swojéj wiary...

Przyszła mu na myśl jego własna matka, która, nic się nie znając na sztuce, od dzieciństwa admirowała jego zdolności do rysunku i widziała w nim przyszłego wielkiego malarza. Przykro mu się zrobiło, że matkę rodzoną śmiał brać jako przykład do reguły zwykłego ludzkiego egoizmu. Jakaś żałość nad nią przejęła mu serce. Jakże cierpieć musiała biedna kobieta, że go tak chorego musiała oddać obcym ludziom, że nie mogła dziecka swego doglądać i pielęgnować. Wszystko jedno, dlaczego kochała, dość, że kochała. Tak-by był chciał do niéj napisać... Kiedy ją zobaczy? Tu go otaczali jacyś dobrzy

ludzie, ale kto oni byli i jak się to stało, że on spoczywa w tym pięknym pokoju, w tém wygodném łóżku?

Myśli mu się zmąciły. Wszystko go męczyło — myśl cudza, myśl własna; leżał spokojnie w wielkiém łóżku, a marzył o odpoczynku. Czuł się tak bardzo strudzonym i wypocząć nie mógł. Nie dawano mu spokoju... Ot i teraz jakiś turkot pod oknem...

Turkot ten nie tylko w jego zmęczonéj głowie odbił się nieprzyjemnie. Uderzył on w samo serce Ireny. Wiedziała, że to Eugeniusz przyjechał. Zciemniło się już, wieczór powiewał chłodem i piękna panna wracała z przechadzki. Chciała od razu najspokojniéj i najnaturalniéj wejść do salonu, ale w téj chwili nie była zdolna tego uczynić. Poszła do swego mieszkania, żeby się uspokoić trochę i ochłonąć. Zapaliła, jakby bezwiednie to czyniąc, świece przy wielkiém lustrze toaletowém i spojrzała na postać swą, w niém odbitą. Dostrzegła, że twarz jéj była pobladła w téj chwili, ale bladość ta czyniła ją jeszcze piękniejszą. W ostatnich czasach, jeżeli co swéj powierzchowności zarzucić mogła, to nieco otyłości i zbyt ciepły koloryt cery. Sama czuła się trochę cięższą, niż była dawniéj, mniéj wysmukłą, a choć kładła téj saméj miary staniki, były one bardziéj wypełnione. Czuła ich obcisłość, wiedziała, że miała na sobie gorset, wieczorem zaś zdejmowała go z niejakiém zadowoleniem, czego nigdy nie doznawała dawniéj. I teraz, w żółtawéj sukni, która przy świetle wydała jéj się zupełnie białą, postać jéj była nieco zbyt silna, kształty zbyt pełne. Wyglądała na mężatkę. Gniewało ją, iż przyznać musiała, że utraciła dziewiczą wysmukłość, że szyja jéj rozrosła się wyraźnie i dawała jéj głowie wyraz dojrzałości w pełnym rozkwicie.

— Tego tylko brakuje, żebym się stała ordynaryjnie otyłą i czerwoną — rzekła sobie z gniewnym błyskiem w oku.

Ale natychmiast zapanowała nad sobą. Krokiem spokojnym udała się do salonu, gdzie panna Józefa rozmawiała już z nowoprzybyłym. Eugeniusz, na widok wchodzącéj Ireny, przerwał w połowie wypowiadane zdanie. Posunął się ku niéj, okazując wyrazem twarzy i ukłonem, że przybywał dla niéj i przed nikim ukryć tego nie pragnął. Po chwili Józefa chciała opuścić salon; Irena zatrzymała ją spojrzeniem. Nie życzyła sobie zostać sam na sam z Eugeniuszem.

Wieczorem Amelia ukazała się w salonie. Głowa przestała ją boléć, była w najlepszym humorze i pełna towarzyskiego wdzięku. Jak prawie wszystkie osoby nerwowe, podlegała ona wielkim nierównościom usposobienia. Bywała nieraz znękana, małomówna, rozdrażniona; to znowu pełna werwy i dowcipu.

Posiedzenie przeciągnęło się bardzo długo. Amelia dużo śpiewała tego wieczora. A śpiewała umiejętnie i sposobem zupełnie prze-

chodzącym zwykłą skalę amatorskich popisów. Nawet ci, co z nią żyli, znajdowali ciągłą przyjemność w słuchaniu jéj.

Eugeniusz i Irena zadowoleni byli z téj możności milczenia przy śpiewie Amelii. Oboje czuli zbliżającą się dla nich chwilę stanowczą. On bał się odmowy w ostatnim momencie, ona rada była nic takiego z ust jego nie usłyszéć, coby ją zmusiło do wyraźnéj odpowiedzi. Ta obawa czyniła ją nawet dumniejszą i więcéj zamkniętą w sobie, niż zwykle. Miała intencyę oddać się Eugeniuszowi na zawsze, więc teraz odbierała mu siebie, ile mogła. Od kilku lat uważała małżeństwo, jako stanowisko społeczne, które zająć zamierzała ze spokojem i pewnością siebie; teraz jednak czuła mimowolną obawę i w głębi duszy rodzące się przekonanie, że do kroku tego trzeba jednak czegoś więcéj, niż zwykłego zdrowego rozsądku.

— Trzeba odrobiny szału — myślała, słuchając jakiéjś tęsknéj pieśni, wychodzącéj w téj chwili z ust Amelii.

Tęsknota udzieliła się w téj chwili i jéj dumnemu sercu. Posiadała wszystko w przeszłości i teraz miała środki stworzenia sobie życia, jakie za wcielenie swych marzeń uważała. Brakowało jéj tylko owéj „odrobiny szału".

Podniosła oczy na Cesię, siedzącą na przeciwko niéj, i nie wytłómaczona zazdrość poruszyła się w jéj piersi. To dziewczę, o wiele mniéj piękne od niéj, mniéj powabne dziś jeszcze, pomimo swych lat szesnastu, pójdzie może przez życie zwykłą koleją. Za lat parę stanie przed ołtarzem, mając w duszy wiarę, że znajdzie szczęście i że je dać potrafi. Dlaczego takiéj wiary otrzymać nie można na mocy praktycznego rozumowania? Czy dla niéj koniecznie trzeba nieoględności i niedoświadczenia pierwszéj młodości?

Irena nie odrywała oczu od młodszéj siostry. Dziewczę podniosło téż ku niéj wzrok i uśmiechnęło się; potém złożyło usta jakby do pocałunku. Cała dobroć i tkliwość dziecięcego serca zamknęła się w tym wyrazie ust i w spojrzeniu oczu, niebieskich, jak niezapominajki. Irena zawstydziła się swéj zazdrości; posłała téż Cesi uśmiech, trochę wprawdzie oficyalny i zimny.

Cesia nie lubiła przesiadywać w salonie; używała jeszcze praw panienki niedorosłéj. Nauki jéj były trochę spóźnione, w skutek chorób przebytych w dzieciństwie; wreszcie, o ile starsze siostry były wychowane wedle mody przyjętéj w świecie, z tym dodatkiem przesady, która wypływała z woli ojca, będącego w wiecznéj obawie, by w czémś wymaganiom najwykwintniejszego towarzystwa nie stała się ujma, o tyle wychowanie Cesi było swobodne, a upodobania jéj krępowane tylko naturalnym wpływem towarzystwa matki i panny Józefy. Charakter jéj rozwinął się w kierunku miłości bliźniego. Cesia

miała na głowie tysiące ważnych spraw, w których przyniesienie ulgi, zrobienie przyjemności, dogodzenie przyzwyczajeniom i zachciankom otaczających było celem jedynym. Dobroć jéj rozciągała się do służących domowych i służących folwarcznych, do włościan miejscowych i okolicznych. Miała swoich chorych, swoje kaleki, swoich starych, ale szczególniéj interesowała się dziećmi. Największą uciechą dla niéj było wybiedz na chwilę ku zabudowaniom folwarcznym, dość daleko położonym, i znaleźć się w dużym dziedzińcu, utworzonym z czworoboku domów, zamieszkałych przez parobków folwarcznych i ich rodziny. Widok jéj wyprowadzał natychmiast z domów gromady dzieci, które znała wszystkie i nazywała po imieniu, dla których przynosiła owoce, pierniki, cukierki, obrazki, książeczki. Lubiła tych malców, często bosych, w koszulinach, przepasanych paskiem lub prostym skrawkiem, z włosami wyblakłemi od słońca. Wszystko roiło się wkoło niéj, wyciągało ręce, z zaufaniem się odzywało. „Panienka Cesia“ nie wzbudzała żadnéj obawy. Często, wróciwszy z takiéj wycieczki, powtarzała naiwne słówka dzieci, ich zwroty, w których naiwność ludowego języka stroiła się jeszcze w naiwność dziecinnego wieku. A jakie niektóre z dzieci były obiecujące, jakie ładne, a jakie bystre! Marzenia Cesi obracały się wkoło nich. Szkoda było takiego Franka Mularzaka zostawić w jego sferze. Cesia musiała oddać go do szkół, do uniwersytetu... zrobić z niego człowieka wykształconego. Ze swych marzeń zwierzała się pannie Józefie i miała z nią zawsze tysiące konszachtów.

Starsze siostry nie mogły pojąć, jak można było panience pozwalać na wycieczki między budynki folwarczne. Z początku czyniły matce formalne wyrzuty i sceny, między sobą krytykując bardzo ostro wychowanie Cesi; potém, choć wcale nie rozumiały jéj upodobań, przestały dziwić się tak bardzo, widząc, że one nie ujmowały Cesi ani dystynkcyi, ani wdzięku. Miały ją za oryginalną istotę, szukającą zadowolenia w tém, czego one wcale odczuwać nie umiały. W końcu zjednała je nawet trochę dla swych rozlicznych interesów. Słuchały opowiadań o nadzwyczajnych zdolnościach Franka, z zupełną wprawdzie obojętnością, ale znajdując wdzięk w wyrazie, z jakim mówiła Cesia. Słówka „wiejskich brudasów“ podobały im się w ustach siostry. Często zamieniały z sobą spojrzenia takie, jakie rzucają na siebie rodzice, gdy ich dziecię powie lub uczyni coś godnego uwagi, lub podwyższającego chwilowo wdzięk jego naturalny. Cesia, kochana przez siostry jako dziecię, krytykowana potém ostro jako podlotek, zdobyła je sobie na nowo jako dorastająca panienka. Jéj zajęcie się służącymi, jéj wycieczki do czworaków, nie były w dobrym tonie, ale dawały Cesi pewną oryginalność, pewną indywidualność... Przytém

starsze siostry dowiedziały się, że w pewnym wysoce arystokratycznym domu panienki też bardzo biednymi i dziećmi służących się zajmowały; że ich odwiedzały i szyły dla nich. Więc Cesi nie można nawet było zarzucić tego najwyższego grzechu, jakim było wykroczenie przeciwko ustawom świata ludzi, wysoko przez urodzenie położonych.

I tego wieczora, gdy Eugeniusz i Irena odczuwali wyraźnie obawę przyszłości, Cesia w swéj dobroci dostrzegła, że Jędrzéj ma zasępioną minę. Z niejakim trudem zdołała dobadać się przyczyny zamyślenia starego sługi.

— I wierz-że tu komu! — rzekł nareszcie, żalowi swemu dając folgę — już tak na księdza pokazywał, że tylko mu sutanę włożyć, aż tu mi mówi, że on chce być malarzem! Tfu! Pono szkoły skończył i czepia się rzemiosła. Cóż to, niéma dość malarzy w każdém najlichszém miasteczku? Umie po łacinie, a téj ambicyi nie ma, żeby lepiéj chwały Bożéj pilnować, niż pokost i terpentynę wąchać.

— Ale mu Jędrzéj zaniósł mleko z koniakiem?

— A zaniosłem tam... ale to, Boże odpuść, niéma koło czego tak bardzo chodzić!... Czy jednego malarza zabraknie na świecie, czy nie... świnie paść, czy ich szczeciną po drzwiach i oknach wodzić, to tyle samo u mnie znaczy!

Cesia zalękła się na myśl, że Jędrzéj gotów choremu coś w rodzaju ostatniéj przemowy powiedziéć.

— Widzi Jędrzéj... on nie będzie malował drzwi i okien, tylko obrazy. Będzie mógł malować obrazy do kościołów... A ja powiem Jędrzejowi... może my go jeszcze na księdza namówimy, kiedy tak na duchownego *pokazuje*. Niech tylko wyzdrowieje... Powiemy mu, że choć Bogu miło, kiedy kto święte obrazy maluje, jeszcze Mu miléj, gdy mu kto w kościele służy...

Andrzéj spojrzał na Cesię z tym wyrazem, z jakim starzy słudzy patrzéć zwykli na dzieci swoich państwa, przy nich urodzone i wychowane. Niegdyś mówił jéj po imieniu, ale od lat kilku nazywał ją, jak wszyscy, „panienką Cesią“.

— Panienka Cesia to na wszystko radę znajdzie. Jużci, choćby i święte obrazy malował, to też się tyczy kościoła i nabożeństwa. Oj! trza mi do niego leciéć, bo to słabe... samo sobie nic nie zrobi... trza koło tego chodzić, jak koło takiego ptaka, co ledwo wyszedł z jajka i bez matki rady-by sobie nie dał.

„Panienka Cesia“ wszędzie na swéj drodze spotykała uśmiechy. Ludzie w duszy się radowali, gdy ją zobaczyli. Prawda, że do każdego umiała przemówić, każdego zapytywała o to, co go najbardziéj obchodziło. Amelia i Irena miały zwyczaj przechodzić koło ludzi ni-

żéj stojących obojętnie. Uważały nawet, że ten zupełny brak interesu dla ich spraw, był piętnem wyższości. Dawały ubogim, ale ich nie szukały; były hojne dla służących, ale się ich usta nigdy do nich, dobrotliwie nie uśmiechały; sprowadzały i płaciły doktora dla chorych ale ich nie odwiedzały. Żyły wśród licznéj kolonii służby domowéj i folwarcznéj, jak wśród cudzoziemców, których ani języka, ani zwyczajów, ani potrzeb nie znały.

— Zkąd się to takie dobreńkie wzięło?—zapytywały się siebie kumy, mówiąc o Cesi—Bo to ani pan nieboszczyk, ani starsze siostry... Pani dobra, niéma co mówić, ale jak pani: z człowiekiem nie pogada, choć rada każdemu dopomódz.

Pani Solska w istocie nie umiała mówić do ludu. Dobroczynność jéj, w imię Chrystusa czyniona, była poważna i jakby smutna, jakby bez zapału, a tylko z obowiązku czyniona. Matka Cesi nie umiała być przyjacielską dla ubogich i podwładnych. Miała téż ich szacunek i uznanie, Cesia zaś wzbudzała miłość prawdziwą.

Gdy Cesia wróciła do salonu, Amelia odchodziła od fortepianu, z którego Plewaczek wydobywał, jako akompaniator, ostatnie akordy, kończące pieśń. Pani Boliwina miała żywe rumieńce na twarzy, zwykle bladéj, i blask niezwykły w oczach. Jak zawsze, upoiła się była i do najwyższego stopnia podnieciła własnym śpiewem. Pani Solska spojrzała na nią z przestrachem.

— Znowu spać nie będziesz téj nocy — rzekła z wyrzutem — Nie dbasz o siebie... wiesz, że śpiew wieczorem rozdrażnia ci nerwy i sen odbiera.

— Odbiera mi zdrowie w nocy, ale mi je daje wieczorem. Czuję się w téj chwili tak silną, że mogłabym tańczyć bez odpoczynku, iść na jakąś daleką wyprawę... Cesiu, mogę z tobą w téj chwili uczynić wycieczkę do tych ludzi, najętych przez żyda do robienia smoły, a mieszkających w lepiance z ziemi. Proponowałaś mi odwiedzenie tam staréj kobiety z rakiem, czy z wodną puchliną, już niewiem...

— Smolarze wśród nocy wzięli-by nas za złodziei—odparła Cesia—w dzień służę ci o każdéj porze.

— O, w dzień! W nocy tylko przychodzą szalone pomysły!

— Obranie nocy na tańce, zebrania liczniejsze, karty i biesiady zdawałoby się o tém świadczyć—rzekł Eugeniusz—Ale niechże nam panna Cecylia opowie co o swoich protegowanych... o téj rodzinie smolarzy, mieszkającéj w lepiance.

Cesia poczęła opowiadanie. Miała tyle litości dla téj staréj kobiety, któréj wilgoć tak bardzo szkodziła, a która z wilgotnéj, pełnéj pary chałupiny wynieść się nie chciała. Pani Solska, przez Ce-

się ofiarowała jéj schronienie, ale ona ruszyć się nie chciała, bo „jak człowiekowi przeznaczona choroba, to wszędzie go znajdzie“. Ta pokorna wiara w przeznaczenie istoty, skazanéj na wszelkie niewygody i niechcącéj ich zamienić na lepszy byt, napełniała Cesię podziwem i sympatyą. Czuła bezwiednie, że dusza człowieka z ludu jest tajemnicą dla człowieka oświeconego, i myśl jéj stawała w zadumie przed cierpiącą kobietą. Opowiadała o niéj z widoczném wzruszeniem, ze zwilżonemi oczyma. Nie wiedziała wcale, że wzrok wszystkich obecnych spoczywał na niéj z upodobaniem i rozrzewnieniem. Pani Solska i Józefa czuły w duszy dla tego dziecka niezmierną tkliwość, siostry odczuwały wdzięk téj gorącéj dobroci, Eugeniusz mimowiednie wstał i zbliżył się do Cesi, jakby pociągnięty urokiem jéj słów. Wypytywał ją, rzucał słówka podniecające jéj zapał, uśmiechał się do naiwnych uwag dziewczęcia.

Wzrok Ireny z Cesi przeniósł się na niego i znowu dumna zazdrość poruszyła jéj sercem. Co? i ten człowiek, który ją kochał, który pragnął nazwać ją żoną, w jéj obecności oddawał się widocznemu zachwytowi dla téj dziewczynki! Jednocześnie Irena doznała jeszcze innego bólu. Poczuła w sobie zimniejszą duszę, niż ta, która strzelała z niebieskich oczu Cesi, i głęboko pozazdrościła siostrze téj możności litowania się, odczuwania nędz bliźnich, pragnienia niesienia im pomocy. Zazdrość, którą równocześnie z jéj doznaniem osądziła i potępiła w swém sercu, zalała je jednak goryczą. Więc zazdrościła siostrze młodości, uroku, który rostaczała w koło siebie, a nawet przymiotów i ciepła, jakie miała w sercu dla ludzi!

Gdy się towarzystwo rozeszło, Amelia, która lubiła długo czuwać i w nocy bywała najbardziéj do rozmowy skłonną, chciała towarzyszyć Irenie do jéj pokojów; ta ostatnia jednak czuła się zmęczoną i pragnęła jak najprędzéj być sama. Zdawało jéj się, że w samotności zdoła z siebie zrzucić jakieś krępujące ją więzy, tak, jak się zrzuca ciasny stanik; ale w czterech ścianach sypialni gorycz jéj uczuć wzrosła jeszcze. Zniechęcenie, niezadowolenie, niepokój nie pozwoliły jéj zasnąć. Czego jéj właściwie brakowało i czemu cierpiała? Sama tego dokładnie nie wiedziała; wreszcie zdołała stan swój określić. Była to: „obawa dnia jutrzejszego“.

— Tylko ci są szczęśliwi — myślała Irena — co wyglądają jutra z nadzieją, co ku niemu wyciągają ręce z radością... Ja za mało umiem się cieszyć dniem dzisiejszym, a jutra się boję! Dlatego zazdroszczę Cesi. Ona uśmiecha się do przyszłości, roi w niéj sobie tyle pięknych rzeczy!

Przypomniała sobie, jak niedawno temu Cesia przyniosła z ogrodu pierwsze fiołki i radowała się niemi bez miary. Lada kwiatka było jéj dosyć do szczęścia!

Pomimo, że Irena nikomu, prócz Amelii, nie mówiła szczerze o swoich zamiarach, wszyscy w domu domyślali się, że Eugeniusz otrzyma jéj przyrzeczenie. Matka, widząc córkę niezdecydowaną przez lat tyle, bała się zepsuć coś w jéj szczęściu, strzegła się nawet wyrażać swoje zdanie o Eugeniuszu. Nie chciała zaglądać w serce i umysł Ireny, żeby nie spłoszyć myśli stanowczéj. Czuła, że tylko zamiar, wypływający ze spokojnéj i wolnéj woli córki, mógł się nakoniec na nieodwołalny czyn zamienić. Józefa usuwała się wytrwale z drogi Ireny. Obie starsze panie pociągały za sobą Cesię. Tylko Zubecki, jak zwykle, tak i w tym razie, był malkontentem umyślnie drażniącym Irenę i wiecznie usiłującym wyprowadzić ją ze spokoju. Dogadywał jéj i Eugeniuszowi, wymyślał rozliczne przycinki; szczególniéj lubił przy Irenie mowić o starych pannach. Odkrył, że, pomimo dumnéj pewności siebie, która na pozór nie odstępowała pięknéj siostrzenicy, wyrazy „stara panna“, wyrzeczone z umyślnym naciskiem, burzyły w niéj spokój, zachmurzały wyraz jéj spojrzenia. Lubił obliczać głośno lata znajomych kobiet i porównywać je z wiekiem Ireny. „Pani Mirecka... jak to dawno, jak ona za mąż poszła? Poczekaj... zaraz... szesnaście lat temu... właśnie w kwietniu szesnaście lat minęło. Ma już piętnastoletniego syna. Wszak ona jest zupełnie w twoim wieku, Irenko?

Słowa takie krasił uśmiechem, z za którego wyglądała cała jego złość.

Eugeniusz czerwienił się i bladł przy takich rozmowach, bo odczuwał niezadowolenie Ireny. Sam miał już lat czterdzieści, wiek Ireny nie przestraszał go wcale, oburzała go wszakże niedelikatność i złość Zubeckiego.

— Zobaczysz, że jeszcze i tym razem zwinie ona chorągiewkę— mówił ten ostatni do siostry — Eugeniusz będzie musiał polować na inny posag... tylko, że się tymczasem trochę zestarzeje, więc sobie znajdzie i panienkę doletniejszą.

— Mój bracie — odpowiadała pani Solska — zostawmy Irenie swobodę. Jeżeli zechce zostać panną, nic nie będę miała przeciwko temu. Małżeństwo nie zawsze daje szczęście... Wreszcie, może jeszcze znajdzie takiego, za którego chętnie pójdzie.

— Ha, ha, ha,—śmiał się Zubecki — to będzie rychło wczas! Czterdziestka za pasem!...

— Wiesz dobrze, że ma lat trzydzieści cztery. Wreszcie musisz przyznać, że wygląda daleko młodziéj i jest od tysiąca młodych piękniejsza.

— Tyje, moja pani, tyje na potęgę! Wy tego nie uważacie, ale tam panna służąca musi dobrze gorset dociskać i sznurować! A jak kobieta utyje, rozleje się, to już i po piękności!

— Nic mię to nie smuci.

— Cóż będzie robiła, jeżeli za mąż nie pójdzie?

— Będzie malowała... może się poświęci dobrym uczynkom...

— Będzie smarowała te obrzydliwe pejzaże, na które nikt nie patrzy! A dobre uczynki? Ha, ha, ha, taka egoistka! Ona-by od wszystkich wszystko zagarnęła... zawsze jéj zamało jeszcze tego, co ma!

— Przyszłość zostawmy Panu Bogu. Proszę Go, by natchnął Irenę w wyborze drogi...

Solska w istocie modliła się i wierzyła, że jeżeli nie dziś, to jutro, Bóg jéj próśb łaskawie wysłuchać raczy. Modliła się o upamiętanie dla Boliwy, o spokój dla Amelii, o szczęśliwe natchnienie i wyraźną wskazówkę drogi dla Ireny, która, jak to przeczuwała matka, szcześliwą nie była.

Codzień rano o siódméj, w każdéj porze roku i w każdą pogodę, przed ganek w Mirsku zachodził zaprzężony powóz i wiózł panią Solską do kościoła, o wiorstę odległego. Najczęściéj towarzyszyła jéj Józefa; czasem Amelia lub Irena zdobywały się na odwagę wstania rannego, by z matką na mszę pojechać.

Następnego dnia, po przyjeździe Eugeniusza, Solska zadziwiła się, zastawszy czekającą, o siódméj rano, na ganku Irenę, która chciała być dnia tego w kościele. Wiatr majowego poranka chłodził jéj czoło i odwiewał z jéj twarzy woalkę. Była lekko zarumieniona, a piękna i imponująca, jak zawsze.

Matka nie uczyniła żadnéj uwagi nad niespodzianym projektem córki. Otulając się w ciepłe okrycia przed chłodem wiejącym jeszcze od zimnéj nocy, jechały obie, wciśnięte w głąb powozu, nie mówiąc do siebie. Solska czuła wszakże, że w umyśle jéj córki staczała się jakaś walka, że jakieś myśli, niełatwe do odpędzenia, obudziły ją rano i skłoniły do szukania ulgi u stóp ołtarza, pomimo że Irena, spełniająca obowiązkowo przepisy kościoła, była w gruncie bez zapału w swéj wierze i zimno względem niéj się zachowywała. Obie kobiety podczas cichéj mszy czuły wzajemną swoją obecność. Irena wiedziała, że matka przez cały czas błagała Boga o jéj szczęście; matka nękana była ciągle przeczuciem niepokoju i obaw Ireny.

Przez ten czas dom cały w Mirsku pogrążony był we śnie. Tylko służący sprzątali pokoje bawialne i jadalne, Jędrzéj zaś palił w piecu u Wielewicza. Zastał młodzieńca drżącego z zimna. Osłabiony jego organizm odczuł zimno majowéj polskiéj nocy, wciskające się przez okna i ściany. Przerażony Jędrzéj sam przyniósł drzewo do pieca, nie dając się w tém zastąpić przez żadnego z młodszych służących. Oskarżał sam siebie o głupotę i niedbalstwo. Powinien był zapalić z wieczora, bo „pod ranek człowieka zawsze zimno przejmuje... od wschodowego słońca zawsze zimne powietrze pociąga“.

Chory bezmyślnie patrzał na płomień, obejmujący suche drzewo. Obudził się drżący i jeść mu się chciało, a nie śmiał tak rano żądać posiłku. Marzył o ciepłém, świeżo udojoném mleku. Gderanie Jędrzeja na własne niedbalstwo niejasno odbijało się w jego umyśle: czuł, że jeden z bukiecików Cesi, dostawszy się pod kołdrę, ugniata go, a nie mógł się zdobyć na ruch, któryby go od téj niewygody uwolnił.

— O, to dziś zimno!—mruczał Jędrzéj—Maj musi zawsze swoje pokazać... rzadki rok, żeby na ogrodników mrozy nie przyszły... już to oni nie mają łaski u Pana Boga!

Wielewicz westchnął. Jéść mu się chciało tak, że wszelkie względy delikatności ustąpić musiały.

— Jędrzeju, umrę z głodu, jak mnie jeść nie dacie!

Jędrzéj zerwał się z przed pieca, tak uradowany, jakby go było spotkało niespodziewane szczęście.

— Jéść! O, zaraz przyniosę!

— Mleka świeżego szklankę i kawałek bułki.

Jędrzéj wybiegł z pokoju, jakby mu lat trzydzieści z ramion spadło. Wkrótce przyniósł posiłek.

— To Jędrzéj jest dobry i dla malarza?—rzekł chory—nietylko dla księdza?

— Eh, już mi tam to panienka Cesia wytłómaczyła.

— Co wytłómaczyła?

— To tam późniéj o tém... niech się pan tylko dobrze w kupę bierze, żeby być zdrowym.

— W kupę?... nie mogę... ot, gniecie mię bukiecik, a nie mam siły z pod boku go wyjąć.

— No, no, byle na jedzenie siła była! Mleko jak oliwa!... a ta kutwa, Szczupelska, chciała zebrać śmietankę! Powiedziałem jéj parę słów...

— Co téż Jędrzejowi przyjdzie z tego, że mię pieści... że mię poi i karmi najlepszemi rzeczami...

Jędrzéj ruszył ramionami ze zdziwienia, ale nie umiał wyrazić tego, co czuł, choć czuł, że uczucia na materyalne korzyści zamienić się nie dają.

— Juści od tego się nie zbogacę—rzekł wreszcie — ale to już taki dwór! A jakże to było z tym mularzem? Toć i jaśnie pani nic z tego nie przyszło. Przeszłego lata spadł z rusztowania i rozbił sobie ogromnie głowę. Doktor przyjechał, ranę zaszył i radził nie ruszać mularza z ogrodu. Posadzono przy nim dziewkę z szaflikiem lodu, żeby mu głowę całą noc okładała. Rankiem idę z domu do dworu ogrodem, aż tu dziewka śpi, na murawie rozciągnięta jak długa, a sama pani okłada mularza lodem. Ja na dziewkę! Zrywa się i nie wie, gdzie jéj się noc podziała, a mularz jęczy, że pani zaraz z wieczora przyszła i całą noc przy nim była. Spacerowała sobie po alei i co chwila kompres zmieniała. Już ci pani z tego nic nie przyszło, ale doktor powiedział, że żeby nie to, toby był może mularz dostał zapalenia mózgu.

— To Jędrzéj mówi, że to już taki dwór? Dobre mleko w tym dworze... jak oliwa... O, Szczupelska dobre mleko daje!

— Szczupelska? Ta chuda deszczka-by co dała! To krowy w Maju od trawy mają takie żółciutkie mleko.

— Wie Jędrzéj?... Nie, już tego nie powiem!

— Powiedz, moje złotko, powiedz.

— Jeść mi się tak chce, że zjadłbym krowę, że zjadłbym Szczupelską.

— O, to babsko kością w gardle-by stanęło... krowy najchudsze na wiosnę... i mnieby pan nie ugryzł... A doktor coby powiedział?... nie pozwala na raz dużo jeść... Za godzinkę, to nie mówię! Jak się w pokoju ogrzeje, to panu łóżko prześcielę... o południu otworzy się okno... może tam panienka znów kwiatków nazbiera... choć to w dzień nie ma czasu... siedzą nad nią dwie guwernantki, jak smoki...

— Ale ona je, ile chce... Jędrzej jéj głodem nie morzy...

Stary sługa śmiał się rozradowany.

— Oj, panu tylko jadło w głowie! Już zagaduję to tém, to owém, a pan wciąż do swego wraca. Za godzinę będą jajka na miękko, a teraz może pan trochę pośpi... najlepiéj się śpi człowiekowi, gdy ogień w piecu strzela.

Gdy tylko Cesia ukazała się w stołowym pokoju, Jędrzej przyszedł do niéj z raportem. Opowiadał jéj o głodzie chorego, o jego apetycie na chudą choćby krowę... Cesia była uradowana.

— Jędrzeju, tylko na miłość Boską, nie dać mu jéść za wiele! Doktor powiedział, że będzie bardzo głodny, ale że trzeba oględnie z jedzeniem dla niego postępować. Ah, jak ja się cieszę, że mu ten głód przyszedł, że będzie zdrów!

Po powrocie z kościoła Irena zastała już Eugeniusza w jadalnym pokoju. Przy zwykłém powitaniu spojrzeli na siebie badawczo. Zdawali się chcieć wyczytać na swych twarzach, jakie myśli zajmowały ich téj nocy. Szczególniéj Eugeniusz widocznie radby był na czole Ireny podpatrzyć usposobienie, z jakiém wracała z kościoła. Czuł on, że ranna jéj wycieczka była w związku z tém, co zamierzała względem niego. Wyglądał z jéj oczu spojrzenia, w którém-by się zawierało dojrzałe postanowienie; nic podobnego jednak w nich nie wyczytał. Prześliczne czarne oczy spoglądały spokojnie i zimno; w całéj postawie Ireny zdawała się widnieć jakaś oporność i duma.

Po śniadaniu Eugeniusz zaproponował przechadzkę. W ostatnich czasach, powiedziawszy sobie, że się wzajemnie dobrze poznać powinni, przyjęli zwyczaj przebywania z sobą i spacerowania, o ile na to pogoda pozwalała. I tego dnia wyszli razem, ale w czasie przechadzki Irena była tak sztywna i starała się tak widocznie rozmawiać o przedmiotach ogólnych i obojętnych, że Eugeniusz nie śmiał jéj mówić o swojéj miłości, ani przynaglać do dania ostatecznego słowa; wreszcie oboje z niejakiém zadowoleniem postanowili zapukać do drzwi Amelii, w któréj pokoju story już były podniesione.

Południowe słońce dogrzewało téż już na dobre i Jędrzéj wpadł do pokoju, gdzie pani Solska przyjmowała interesantów, żeby zapytać, czy można Wielewicza wywieźć w wózku na werendę, lub do ogrodu, bo się o to dopominał koniecznie. Był tak bezsilny, że zemdlał przy prześcielaniu łóżka, więc stary sługa nie wiedział, czy można go było narażać na zmęczenie ubierania się i sadzania do wózka. Po naradzie postanowiono dogodzić życzeniu chorego i sprobować. Jeżeli będzie można go ubrać, to przebywanie w ogrodzie tylko na dobre wyjść mu mogło. Można-by nawet było wynieść pod lipy szezlong, by chory mógł pozostawać w pozycyi leżącéj.

Ubranie młodzieńca i usadowienie go w wózku dla chorych było sprawą niełatwą. Jędrzejowi dopomagało dwóch innych służących, i Wielewicz znalazł się wreszcie pod lipami, bo na werendzie bał się zawadzać domowemu towarzystwu.

Cesia nic nie wiedziała o tym niesłychanym wypadku. Siedziała w pokoju szkolnym, gdzie dwie nauczycielki naprzemian nią się zajmowały, i dopiero gdy z piosnką na ustach wybiegła po lekcyach do ogrodu, spostrzegła nagle chorego pod lipami. Nie widziała go dotąd wcale i nie wystawiała sobie, by mógł tak blado i mizernie wyglądać. Kołnierz jego białéj koszuli prawie się od jego twarzy nie różnił; pod skórą widna była sieć niebieskich żył.

— Mój Boże! — zawołała, stając przed nim — czy doktor pozwolił?.. czy to można?

Chory podniósł na Cesię wzrok trochę błędny, spojrzał w przestraszoną twarz dziewczyny i uśmiechnął się do niéj. Obojgu się wydało, że się znają od dawna. On odgadł od razu tę serdeczną litość, którą miała dla jego niemocy; ona witała w nim człowieka, o którego tyle się troszczyła w ostatnich dniach i którego wilczym głodem tak się radowała rano.

— Tak tu pana samego zostawili! — zawołała, oglądając się dokoła.

— Andrzéj mi tu zostawił służącego. Pozwoliłem mu odejść, bo mi nic nie potrzeba, bardzo mi dobrze...

— Ja tu przy panu będę, dopóki służący nie wróci... nużby się panu słabo zrobiło!..

— Pani-by miała czas sobie mną zajmować?

— Skończyłam lekcye... mogę teraz robić, co mi się podoba...

— Lekcye? Pani się uczy?

— Uczę się. O, mam jeszcze wiele do nauczenia się!

Wielewicz rzucił wzrok na postać Cesi. Naturalnie, że się uczyła. Wyglądała na lat 15.

— Pani się uczy, a ja tak próżnuję!

— O, przepraszam, pan nie próżnuje, pan przychodzi do zdrowia!

— Nie mogę sobie darować, żem chorował.

— Daję panu za to rozgrzeszenie... A jak pan będzie silniejszy, o, to my tu panu wynajdziemy robotę!

— Kiedy ja będę silniejszy? Tak-bym chciał napisać do matki, a nie mógłbym pióra w ręku utrzymać.

— To ja za pana napiszę! Pan mi powie, co mam napisać...

— Chciałbym... jeżeli pani łaskawa... matka tam niespokojna...

Cesia pobiegła do domu po papier, pióro, atrament i w chwilę potém była pod lipami. Wielewicz wydawał się ogromnie zmęczonym i, jak mówił, myśli zebrać nie mógł.

— Napiszę za pana — rzekła Cesia — i potém przeczytam panu głośno. Byle matkę pana uspokoić. Mogłabym poprostu przepisać moje dzisiejsze wypracowanie, którego temat był: „Uczucia człowieka, powracającego do zdrowia po długiéj i niebezpiecznéj chorobie.“

Wielewicz uśmiechał się trochę bezmyślnie, patrząc na Cesię; pisała ona śpiesznie, wreszcie przeczytała mu list, w którym w jego imieniu donosiła matce, że już wstał z łóżka, że właśnie w téj chwili znajduje się w ogrodzie, w cieniu lip, że doświadcza często głodu, co jest objawem powracających sił...

— Proszę teraz pisać to, co ja powiem — rzekł Wielewicz z jakiémś gorączkowém podnieceniem:

— „Ludzie, którzy mnie otaczają i pod których opieką zostaję, są dla mnie niezmiernéj dobroci. Są między nimi tacy, co mnie karmią, otaczają wygodą i troskliwością... są téż takie anioły, co dla mnie zbierają kwiaty i piszą ten list za mnie!..

— Pan choruje nietylko na malaryę, ale i na komplementa, — zawołała Cesia wesoło. — Napisałam, co pan chciał; teraz się pana będę bała.

— Dlaczego?

— Bo ja zrywam fiołki dla chorego, który je lubić musi, piszę za niego list, coby uczynił każdy na mojém miejscu! A pan...

— Obraziłem panią?

— Nie, nie, tylko... ja lubię wszystko po prostu... bez żadnéj przesady... tak, jak u biednych ludzi. Oni dziękują mi czasem, ale to całkiem inaczéj wygląda...

— To dobrze, że pani komplementów nie lubi. Gdy pani dorośnie...

— Kiedy ja już dorosłam!

Uśmiechnął się; wziął jéj wykrzyknik za dziecinne przedwczesne rwanie się do życia.

— Będę się starał wzbudzić w sobie szacunek dla dorosłéj osoby.

Śmieli się oboje. On z pretensyi téj dziewczynki, ona z zadowolenia, że jego oczy ożywiły się i coś jak zdrowie z nich wyjrzało. Ze wstydem zwierzył jéj się ze swoich marzeń. Ciągle myślał to o pieczeni wołowéj, to o kurczęciu, to o mleku, to o winie... Taki się z niego zrobił żarłok... taki materyalista... tylko-by jadł i spał... jedno miał do zarzucenia fiołkom, że ich jéść nie było można.

Po téj rozmowie rozstali się przyjaciołmi. Ta Cesia ludzi łowiła, jak ryby na wędkę.

Przed obiadem Andrzéj chciał chorego do łóżka położyć, bo mogło się powietrze oziębić, a musiał pilnować usługi przy stole, co zawsze jakąś godzinę trwać musiało. Chory nie chciał słyszéć o powrocie do pokoju, i dopiero Cesia do posłuszeństwa go nakłoniła.

— Już się to hardo stawia — gderał z uśmiechem zadowolenia Andrzéj, popychając wózek — wczoraj to jeszcze samo przewrócić się nie mogło, a dziś temu rogi wyrosły... Ale my z panienką damy sobie jeszcze radę... ho, ho!

— Ot, poprostu, u nas niegrzeczne dzieci nie dostają obiadu! — zawołała Cesia.

— Dzieci? Czy to panią czasem spotyka?

— Moje marzenia wcale nie dotyczą pieczeni, ani mleka, ani kurczęcia...

— A czego dotyczą?

— O, do łóżka, do łóżka! — mówił Andrzéj, bo to zanadto na dziś i gadania, i zmęczenia..., gardło-bym dał, że w nocy znowu będzie gorączka...

(Dalszy ciąg nastąpi).

SARONNO—BERGAMO

Notatki z podróży do Włoch.

Opowiadał mi raz ktoś znajomy, że gdy w konfesyonale oskarżał się z tego, iż się uważa za lepszego od innych ludzi, mądry spowiednik odparł mu krótko: „właśnie przez to stajesz się im równym, bo wszyscy ludzie myślą o sobie tak samo.“

Zapewne na podobną odpowiedź zasłużę, gdy zacznę moją rzecz od zapewnienia, że w podróżach zawsze szczególny pociąg miałem do zwiedzania miejscowości, nie leżących na głównym szlaku turystów, noszących nazwy niezbyt jeszcze oklepane w książkach, przeglądach, odcinkach dziennikarskich, i jakie tam jeszcze są narzędzia, służące tysiącom „piśmiennych“ podróżników do banalizowania Rzymu, Wenecyi, Florencyi, Medyolanu i t. d.

Ta-to oryginalność (wspólna podobno wielkiéj liczbie najzwyklejszych turystów) zawiodła mnie ubiegłéj jesieni do Saronno, o którém spotkałem wzmiankę w jednym z mniéj używanych przewodników.

I.

Co jest Saronno? Zdaje mi się, że tym razem dopiąłem celu, przez miłość własną postawionego, i że może niewielu z łaskawych czytelników, nawet tych, co dość dobrze Włochy znają, odpowie bez zająknienia na to pytanie:

Saronno jest to miejscowość o 20 kilometrów na północ od Medyolanu, stacyjka kolei drugorzędnéj (ferrovie economiche), łączącéj Medyolan z Varese. Można téż tamtędy jechać do Como.

Pół godziny jazdy pociągiem pośpiesznym i wysiadasz przed małym domkiem stacyjnym. Niéma służby, niéma fiakrów, niéma hałasu i biegania, a co najważniejsza, niéma turystów. Zostawiony swojemu przemysłowi, wychodzisz na drogę piasczystą, a widząc dokoła szczere pole i zarośla, pytasz: z któréj strony może być wieś? Może tam, gdzie z za drzew wychyla się szczyt kopuły kościelnéj? Tak,—odpowie ci ugrzeczniony przechodzień, pod którego wiejską siermięgą tysiącletnia kryje się cywilizacya i ogłada,—ale to kościół parafialny, a pan pewno szuka *il santuario della Vergine* z freskami; to tam po drugiéj stronie kolei.

Nic nie widzę po téj stronie, ale na wiarę idę cienistą aleją i po pięciu minutach uderza mię widok, jeden z najwdzięczniejszych dla lubownika architektury lombardzkiéj.

Oto tylne zakończenie kapłańskiéj części kościoła. Wdzięcznie piętrzące się od dołu budynki chóru i bocznych naw koronuje dwunastoboczna kopuła, obwiedziona dokoła przejrzystą kolumnadą, któréj arkady grupują się parami, tworząc w każdéj ścianie dwunastoboku jakby dwa wielkie okna.

Bezpośrednio nad tym „bębnem“ kopuły zamyka budowę dość płaski dach ceglany, z którego środka wyrasta „wysmukła latarnia“, przejrzysta i na trzy pięterka podzielona. Wszystko to razem daje całość dziwnie lekką i wdzięczną, prostą a pełną smaku, tak w proporcyach, jak w szczegółach, jakby zmniejszoną i wydelikaconą podobiznę słynnéj kopuły medyolańskiéj „Madonna delle grazie“, która na wieki ugruntowała sławę Bramantego.

Istotnie nie brak im pokrewieństwa. Kilka zaledwie lat dzieli jedną budowę od drugiéj, a kopułę w Saronno stawiał Vincenzo dell' Orto, naśladowca Bramantego. Naśladowca to musiał być genialny, bo mniejszemi środkami, w wiejskim przecie tylko i niewielkim kościele, potrafił wywołać wrażenie wielkie i silne, wystawić kopułę nieopisanego wdzięku i uroku, jedną z najpiękniejszych w Lombardyi, która ich przecież tyle posiada.

Obok kopuły, w czasie rozwiniętego już renesansu w XVI w., stanęła strzelista kwadratowa dzwonnica, która, mimo barokowego zakończenia, dobrze harmonizuje się z resztą budowy. Za to wrażenie całości gmachu kościelnego, pierwotnie pomyślanego jako budowa dośrodkowa, srodze popsuło dodane w późniejszéj jeszcze epoce, dla powiększenia, przedłużenie naw od przodu i okropna pretensyonalna facyata. Nie patrzymy na nią, lecz wchodzimy do wnętrza.

Przejdźmy szybko część nowszą budynku i spojrzyjmy na podniebie opisanéj już kopuły. Widok to uderzający. Całe jéj wnętrze okrył *al fresco* Gaudenzio Ferrari i przedstawił w olbrzymiéj, jednolitéj kolorystycznie i rysunkowo, potężnéj kompozycyi: chwałę niebios. Stu przeszło widzianych z dołu świętych, aniołów i aniołków, unosząc się w śmiałych i ruchach, i skróceniach, muzykuje i śpiewa, i tańczy na cześć Pana zastępów, który w swéj gloryi, otoczony chórami anielskiemi, tronuje wśród obłoków w najwyższym i środkowym punkcie kopuły, tak, jak klucz sklepienia, koronując i zamykając całą tę mistyczną piramidę. Jest to kawałek nieba, pojętego na wesoły i zmysłowy sposób odrodzenia, widziany jakby przez otwór, wycięty w firmamencie.

Coś podobnego zamierzył także wykonać Corregio w swojém Wniebowzięciu M. Boskiéj w kopule katedry Parmeńskiéj. Był nawet pierwszym wynalazcą takiego pojęcia i przedstawienia niebios, a dzieło jego niesłychaną mu zjednało sławę. Ferrari dopiero w cztery lata po nim (1534) ozdobił kopułę w Saronno—i, choć obaj malowali niebo—od Corregia w subtelności i wdzięku o całe niebo jest on niższy. Ale podczas gdy wilgoć i dym tak zniszczyły dzieło wielkiego mistrza światłocienia, że dziś, stojąc pod kopułą pysznéj katedry, zaledwie ślady figur dostrzegamy i ze smutkiem pytamy, gdzie się podziały te słynne efekta stopniowanego ku górze światła, któremi zachwycali się współcześni; w Saronno, przeciwnie, olśnieni jesteśmy zachowanym w całéj świeżości blaskiem, który bije z tego malowanego nieba, i zrozumiéć nie możemy, skąd malarz brał farby, które dość ciemną kopułę taką jasnością napełniają. A w téj całéj kompozycyi taki ruch, takie wre życie, taka huczność i wesołość, takie nadziemskie brio, że, patrząc długo, widz istotnie przeniesionym jest w inny—może nie wyższy duchowo—ale cieleśnie doskonalszy świat.

Wszak to tylko przegrywka do tego, co nastąpi. Po za kopułą jest odgrodzona balustradą część kapłańska. Wydłużone boczne ściany zakryte są firankami. Oprowadzający mnie *custode* odsłonił okna boczne, potém pociągnął za sznurki od zielonych firanek na ścianach, i spojrzał na mnie ciekawie, z miną człowieka, pytającego się tryumfalnie: i cóż ty na to?—Mógł być ze mnie zadowolony.

Nie mogę o sobie powiedziéć, żebym zachwycał się byle czém. Zresztą byłem już dłuższy czas w podróży po Włoszech północnych, tak pełnych dzieł sztuki, przyjeżdżałem z Medyolanu, gdzie tyle arcydzieł malarstwa. Pomimo tego, wrażenie, jakie w téj chwili odniosłem, trudne jest do opisania. Stałem przed freskami Luiniego, bez porównania lepiéj zachowanemi, niż freski jego ze słynnego kościoła medyolańskiego, Monasterio maggiore, lepiéj niż fragmenta, oderwane z tynkiem, które Galeryi Brery tyle blasku dodają.

A nietylko że bez restauracyi są dobrze zachowane, jakby były 50 lat temu malowane, ale co za obrazy, co za wspaniały układ, co za potęga i harmonia kolorytu!

Cztery wielkie kompozycye przedstawiają w postaciach blisko naturalnéj wielkości: „Zaślubiny M. Boskiéj“, „Jezusa 12-letniego między doktorami“, „Oczyszczenie M. Boskiéj“ i „Pokłon trzech króli“. Dwa pierwsze, o aparacie skromniejszym a formacie poprzecznym, znajdują się w przodkowéj części presbiteryum. Gdyby opis obrazu na coś przydać się mógł, chciałbym dać wyobrażenie o tym niezrównanym dyalogu, jaki wobec doktorów starych i młodych, żywych i flegmatycznych, wierzących i obłudnych, odbywa się między Boskim młodzieniaszkiem, który pełnym prostoty i powagi gestem ilustruje słowa „w rzeczach, które są Ojca mojego, potrzeba abym tu był“—a Matką, która przyszła wymówki mu czynić, lecz wymówka zamarła jéj na ustach, bo nagle przejrzała i stoi przed nim z wyrazem nie upokorzenia lub zawstydzenia, lecz świętéj pokory, pełnéj wiary, miłości i uwielbienia.

Na obrazie drugim same postacie główne, Józefa i Maryi, są może nieco wyszukane i pretensyonalne; za to któż wypowie powagę arcykapłana i piękność różnych drugorzędnych figur, między któremi dwaj chłopcy, łamiący kije żydowskim przy ślubach zwyczajem, są, tak skończoną pięknością kształtów ciała, jak rysów głowy i wyrazów twarzy, godnymi największych arcydzieł Rafaela. Starzec z wielką siwą brodą, w głębi, to Leonardo da Vinci, wiernie odportretowany; hołd malarza, oddany wielkiemu swemu nauczycielowi.

Cały przepych akcesoryów rozwinął Luini w dwóch drugich obrazach, które, stosownie do wyższych bliżéj w. ołtarza powierzchni ścian, mają kształt w górę wydłużony.

Na jednym z nich, wśród okazałéj architektury odrodzenia, kolumn z różnobarwnych marmurów, pilastrów wykładanych mozaiką, kapiteli, łuków, architrawów paradnego przedsionka świątyni, Matka Boska przychodzi poddać się obrzędowi oczyszczenia. W postaci jéj, suto udrapowanéj płaszczem, znać powagę macierzyństwa i świętość, i niepokalaność, która między ludźmi jednéj tylko Matki Boga żywego była udziałem. Piękność to nadziemska, odblask młodości wiecznéj, ale w pojęciu chrześciańskiém. Obok Maryi stoi dwoje prześlicznych starców: Anna prorokini, wskazująca palcem w górę, i Symeon, w chwili, gdy, wziąwszy Boskie Dziecię na ręce, wpatruje się w nie z uwielbieniem i zdaje się mówić: Teraz wypuść mnie Panie, bo oczy moje oglądają zbawienie. A w ruchach i postawach tych postaci, obok powagi uroczystéj, tak dziwnie wielki wdzięk i piękność linii! Więcéj już czysto ziemska piękność bije z twarzy słu-

żebnicy, trzymającéj za Matką Boską gołąbki, przyniesione w ofierze do świątyni, i w kilku świadkach obrzędu, stojących po obu bokach.

Po przez kolumny przysionku widać dalsze plany świątyni z freskami na ścianach; w górze galeryę, z któréj przypatrują się scenie niedorostki. W głębi, przez otwarty łuk wchodowy, pełen poezyi pejzaż, na którego tle artysta namalował widok kościoła w Saronno z kopułą i campanile, a bliżéj, po pod przepiękną grupą drzew, powrót św. rodziny do ziemi Izraelskiéj. Z pojęciami ówczesnemi zgodném było, aby na jednym obrazie przedstawiać kilka scen, chronologicznie po sobie następujących. Tak Michał Anioł na jednym z najpotężniejszych fresków sklepienia Syxtyny wymalował grzech pierworodny i wypędzenie z raju.

W naszym fresku widok ten otwarty na krajobraz stanowi jedną z większych ozdób obrazu, ważnego w tym cyklu przez to jeszcze, że zawiera datę i podpis malarza, jakoby na ćwiartce papieru, przybitéj do jednego z pilastrów.

Ale koroną cyklu jest pokłon trzech króli. Przed szopką, raczéj ruiną budynku, zasiadła na ławeczce nieco podniesionéj, frontem do widza, przeczysta Dziewica, znów jak poprzednio w płaszczu niebieskim, prześlicznie się układającym. Głowa jéj jest jedną z najpiękniejszych nawet między głowami Luiniego. Oczy spuściła z pokorą, a przecie królewski od niéj bije majestat, z jakim trzyma na kolanach to Dziecię, któremu królowie świata biją pokłony. Ci królowie, to arcydzieła charakterystyki; ale bodaj czy nie najbardziéj uderzającą jest postać giermka, za jednym z nich trzymającego odpasany świeżo miecz i zdjęty z głowy zawój. Pod tym giermkiem mógłby bezpiecznie podpisać się sam największy między mistrzami Leonardo.

W głębi, droga wężowato wznosząca się u boku góry, a po niéj snuje się długi orszak dworski magów ze wschodu: i konie, i wielbłądy juczne, i girafy.

A nad tém wszystkiém, w górze łuku, zamykającego obraz, obłok i na nim pięciu aniołków skrzydlatych, o kształtach dziecięcych, śpiewa *Gloria in excelsis*. Choć mają postać amorków, nie są to amorki, ale prawdziwi niebianie, wykonywający swój wokalny kwintet z przejęciem, godném wielkiéj chwili, a z taką pobożną przytém miłością. Środkowy, ruchem pełnym dziecięcéj powagi, wskazuje ręką miejsce tekstu czy nót, czteréj inni widocznie słuchać jego rozkazu muszą, ale czynią to chętnie i z gorliwością, dziwnie licującą z ich młodziutkiemi pucołowatemi twarzyczkami. A przytém kształty ich nagie takiéj anielskiéj doskonałości!

Ten koncert napowietrzny—to arcydzieło samo w sobie, słuszna chluba mieszkańców szczęśliwéj wioski, co takie klejnoty sztuki posiadła.

Po tych przepychach mniejsze wrażenie robi, tak przecież poetyczne, Narodzenie P. Jezusa, w jednéj z górnych lunet bocznych, i za wielkim ołtarzem dwóch aniołów z kadzielnicami, oraz dwie święte: Katarzyna i Apolonia, które żeby zobaczyć, trzeba aż odsunąć siedzenia z zapleckami, okalające apsydę. A jednak i to dzieła Luiniego, i to arcydzieła w swoim rodzaju. Nic dziwnego; człowiek i z najwyższém pięknem oswoić się może; w obcowaniu z niém staje się tak wybrednym, że przebiera pomiędzy arcydziełami.

To pewna, że kto o Luinim chce dokładne i zupełne mieć pojęcie, ten zaniedbać nie powinien wycieczki do Saronno; a żałować nie będzie, jeżeli ją wykona, chyba nikt z tych, którzy tylko wobec sztuki całkiem obojętnymi nie są.

II.

Jeżeli całą zaletę leżącego w równinie lombardzkiéj Saronno stanowią wyjątkowéj wartości skarby artystyczne, inny zupełnie czar czeka podróżnika, który, krążąc po Lombardyi, zabłąka się do będącego trochę na uboczu Bergamo.

Niewiele jest we Włoszech miejscowości, któreby brzmieniem swojéj nazwy przywodziły na pamięć pochodzenie germańskie. Należała może do nich Felsina, pod górami położona—dzisiejsza Bolonia—należy Bergamo, jedna z najstarszych galijskich osad w północnych Włoszech.

W południowych Włoszech, jak i na Wschodzie, spotyka się dość wiele miast, zwłaszcza bardzo odległéj starożytności sięgających, założonych na szczycie wysokiéj góry lub skały. Miało to ze względów obronności swoją dobrą stronę, lecz w czasie pokojowym stanowiło ogromne utrudnienie ruchu handlowego i przeszkodę w rozszerzaniu się miasta. W średnich wiekach budowano raczéj na górach tylko zamki warowne, chwilowe schronienie dla ludzi i skarbów w razie wojny, a miasta rozsiadały się zwykle u stóp góry w równinie, nad rzeką, nad morzem.

Jedynym prawie w północnych Włoszech wyjątkiem, miasto Bergamo leży na wysokiéj skale. Znam we Francyi miasto, które położeniem cokolwiek przypomina Bergamo. Jest to Laon, w Ile de France położone.

Właśnie rok przedtém byłem tam i oglądałem jeden z większych tryumfów sztuki inżynierskiéj, którego nieprędko zapomnę: przebudowywanie filaru wewnątrz kościoła, na którym wspiera się

potężna, masywna, kilkudziesięciometrowa wieża, z cyklopejskich zbudowana głazów.

Lecz gdy Laon posiada tę jedną, prawda że olbrzymią i okazałą, starą katedrę z sześciu wieżami, zresztą zaś jest dość zwykłą mieściną, położoną wśród monotonnéj, pustéj okolicy na grzbiecie góry, o łagodnych, pokrytych winnicami stokach, po których niezbyt przykre schody, w ziemi wyrobione, prowadzą na dół do stacyi; Bergamo wznosi się wysoko w obłoki śmiałą ścianą na szczycie skały, miejscami pionowo z równiny; strzelającéj na kilkaset metrów w górę, o postrzępionym ostro konturze, malowniczo pogiętym i połamanym. A z góry, w którą stronę oko zwrócisz, wszędzie czekają cię najpiękniejsze widoki. Ku północy zamykają horyzont, w oddali zaledwie dziesięciu mil, skalistą i poszarpaną swą piersią śnieżne szczyty alpejskie. Bliżéj i po obu bokach wdzięcznie falujące wzgórza, wysłanniki alp bergamskich, ciekawie zaglądających w bogatą, rozległą równinę lombardzką, na któréj, ku południowemu zachodowi, jedynym punktem oparcia dla oka jest, widzialna w oddaleniu blisko siedmiu mil geograficznych, biała, jak śniegiem wiecznym okryte wierzchy Alp, marmurowa wieżyca katedry medyolańskiéj. Takie-to cuda sprawia przeczyste włoskie powietrze.

Miasto dzieli się na dwie części: jedna całkiem nowa, z ulicami prostemi i szerokiemi, rozłożyła się u stóp góry w pobliżu stacyi kolei. Tu ruch, tu targi, tu handel, tu nieunikniony w każdém dziś włoskiém mieście lub miasteczku „piazza Cavour“. Prócz dwóch czy trzech kościołów, a w nich kilku bardzo pięknych obrazów, niéma tu tak dalece co oglądać.

Aby z niższego miasta dostać się do wyższego, dwa są sposoby: albo siąść do wagonu świeżo urządzonéj kolei górskiéj na linach drucianych (funiculare), o które tu łatwo, skoro Bergamo jest stolicą wyrobu drutów,—w kilka minut koléj ta wyciągnie cię na szczyt skały i postawi w samym prawie środku miasteczka; albo wziąć fiakra i objechać drogą kołującą o tyle dłużéj, że vetturino stara się jak najbardziéj przeciągnąć te tak dlań miłe i intratne chwile, w towarzystwie twojém przepędzone. Na piechotę jest stanowczo za stromo i za wysoko.

Wybrałem fiakra, i w brew mojéj woli wieziony nie najkrótszą drogą, ale różnemi manowcami — (tu bo ładny widok na okolicę, a tam bo statua wielkiego Cavoura, przez mniéj wielkiego wykonana rzeźbiarza) — natrafiłem na stojący na uboczu okazały pałac z napisem „Academia Carrara“. Jest to fundacya hrabiego Lochis. Dar prawdziwie królewski, miastu zrobiony: szkoła sztuk pięknych i zbiór dzieł sztuki. Takich mecenasów nam

byłoby potrzeba, a nie tych, co bez końca mnożą fundacye stypendyjne dla studentów, odwodząc dzieci uboższych rodzin od zawodów przemysłowych i kupieckich i przyczyniając się do materyalnego upadku kraju. Te słowa odnoszą się zwłaszcza do Galicyi, gdzie do dziś dnia niemal każdy młody chłopiec, syn włościanina lub małomieszczanina, ma sobie za najświętszy obowiązek dopchać się stypendyami do uniwersytetu, a uważałby za wstyd obrać sobie nie naukowy lub nie urzędniczy zawód.

Galerya „Lochis", stanowiąca główną podwalinę zbiorów, liczy tylko dwieście kilkadziesiąt obrazów; ale jéj założyciel musiał dobrze znać się na tém, co wybierać i gromadzić warto. Tych dwieście obrazów, to same cenne dzieła sztuki; daruję czytelnikowi ich opis. Aby o wartości zbioru dać wyobrażenie, dość powiedzieć, że z Bergamo pochodzi wielki malarz Palma Vecchio, z Bergamo pochodzi Previteli, tyle pokrewny Belliniemu, z Bergamo Francesco i Girolamo da Santa Croce, i Cariani, i sławny portrecista Giambatista Moroni. W Bergamo wreszcie, prócz wielu innych pierwszorzędnych artystów, większą część życia przepędził i tutejsze kościoły przyozdobił Lorenzo Lotto, uczeń Bellinich, Giorgionów i Tycyanów. Więc choćby kolekcyonista na samych tylko rodowitych i przybranych Bergamaskach był poprzestał, już mógłby wytworną zebrać galeryę, budzącą apetyt artystycznych smakoszów. Ale do tych nazwisk, reprezentowanych w galeryi, przydać jeszcze trzeba cennego młodocianego Rafaela („św. Sebastyan"), i Luiniego, i Borgognona, i Mantegnę, i Antonella da Messina, i Cimę da Conegliano, i Bassana, i Parysa Bordone, i Cosima Turę, i wreszcie Moretta, tego niedość głośnego, bo i niedość znanego wielkiego kolorystę, jednego z największych włoskich malarzy, który płodami swego pędzla przyozdabiał prawie wyłącznie kościoły rodzinnego miasta Brescii, a któremu należne w historyi sztuki miejsce wywalczył dopiero niedawno zmarły Morelli (Lermolief). Moretta znajduje się tu kilka obrazów; Moroniego jedne z najlepszych portretów, jakie namalował; Palmy starszego Madonna z ś. Janem Chrzcicielem i św. Katarzyną należą do najznakomitszych tego potentata sztuki włoskiéj tworów, a wspomnianego Lorenza Lotto św. rodzina z Madonną czytającą, z św. Józefem, który nad śpiącém dzieciątkiem Jezus zasłonę podnosi, aby go pokazać św. Katarzynie, słusznie jest sławną, jako jedno z arcydzieł subtelnego kolorytu i wdzięku. O Gentile di Falsiano, Cesare da Sesto, Corregiu, Veronezie już nie mówię, aby nie przedłużać wyliczania.

Po stroméj drodze, grzbietem góry, skąd na dwie strony cudowne nęcą oko widoki, pnąc się coraz wyżéj, dojeżdżamy nareszcie do starego miasta. Otoczone średniowiecznemi wałami i murami, malo-

wniczo i śmiało opiętemi po urwiskach po nad przepaściami, zajmuje ono nierozległy trójkąt na szczycie skalistéj góry. Przechadzkę po tych wałach zalecić można lubownikom pięknych widoków. W obrębie murów kilka kościołów gotyckich i kilka pałaców sterczy ponad inne budynki; ulice wąskie, z domami ze wszystkich epok i wszystkich stylów, niekiedy bardzo zajmującemi i architektonicznie ważnemi, pną się do góry, dążąc ku punktowi najwyższemu. Tym jest placyk niewielki, ale w ramach, jakich wiele miast znaczniejszych pozazdrościć może. Jedną stronę zajmuje pompatyczny front pałacu renesansowego w stylu Scamozziego, podzielony potężnemi pilastrami, koryncklemi kolumnami i gzymsami silnie wystającemi — niedokończony. Mieści się w nim instytut techniczny. Po dwu bokach domy prywatne, poważne wiekiem i pełne charakteru stylowego. Naprzeciw jednopiętrowy imponujący gotycki gmach, jakby nasza biblioteka Jagiellońska, tylko z ciosu cały i na filarach cały w powietrze dźwignięty. Pod nią otwarta dwunawowa olbrzymia sklepiona halla. To stary *broletto*, ratusz miejski, albo raczéj pałac reprezentacyi rządowéj. Broletto takie spotykamy w Brescii, w Monzy i w kilku innych jeszcze miastach północnych Włoch. Dolne ich, otwarte na wszystkie strony halle, przeznaczone były na zgromadzenia ludowe; balkonik, na piętrze wychylający się, służył do obwieszczania rozporządzeń. Miewają często z boku, jak i w Bergamo, wieżę.

Gmach ten nie zamyka placu, tylko przecina go środkiem na dwoje. Po przez otwarte na przestrzał arkady halli widać po drugiéj stronie placu dwa kościoły. Zbliżamy się do nich po stopniach.

Większy i naprost stojący, Sta Maria Maggiore. Uderza nas na przodzie przybudowana doń kaplica. Kwadratowa, jak nasza Zygmuntowska w Krakowie, najszlachetniejszych proporcyi, i jak ta, nakryta kopułą, jest ona cała z białego marmuru i cała okryta zewnątrz rzeźbą, tak misterną, jak w słynnéj Certosa di Pavia, słusznie za najpierwsze dzieło kunsztu ornamentacyjnego we Włoszech uważanéj przez tych, którzy wszystko klasyfikować muszą i dziełom sztuki, jak urzędnikom, rangi przyznawać.

To chwała i duma miasta Bergamo, kaplica grobowa Coleoniego, wielkiego wodza wojsk najemnych weneckich, tego samego, który w stolicy mórz ma jeden z najsłynniejszych na świecie pomników, posąg konny Verocchia. Już to do dzieł sztuki miał szczęście ten ambitny wojak, który, jak z pomników jego widać, wyglądał sobie jak prosty rębajło, a jednak musiał wykwintną mieć kulturę i smak artystyczny wytworny.

Do dzieł sztuki miał szczęście, ale téż i około sławy swojéj umiał pilnie chodzić, a pieniędzy mu nie brakowało.

O swoje pomniki pośmiertne sam się starał i skutecznie, bo mądrem wyrachowaniem łączył swoje imię z imionami największych mistrzów sztuki. Wenecyi zostawił, umierając, 100,000 dukatów, ale żądał w zamian za to zaszczytu, niepraktykowanego w rzeczypospolitéj: posągu konnego na placu św. Marka, do którego zapewne przezornie pozował artyście za życia. Dar był nęcący; rzeczpospolita warunek przyjęła, posąg kazała odlać z bronzu, ale wyznaczyła mu miejsce na małym placyku, zdala od środka miasta, przed kościołem św. Giovanni e Paolo — prawda, że kościołem jednym z najsławniejszych na świecie, a przynajmniéj najpierwszych w Wenecyi, bo tym, w którym są grobowce wszystkich niemal dożów weneckich. Posąg, wymodelowany przez Verocchia, obok padewskiego Gattamelatty, zajmuje jedno z naczelnych miejsc w całéj rzeźbie epoki odrodzenia. Nie zaszkodziło ambitnemu hetmanowi, że go dumna rzeczpospolita zepchnęła na drugie w stolicy miejsce; dzięki wielkiemu rzeźbiarzowi, ma dziś jedno z pierwszych w świecie cywilizowanym.

Ale nie dość na tém. Coleoni chciał mieć godny swego wysokiego mniemania o sobie pomnik w mieście, w którém się urodził, w którém pragnął złożyć kości: w Bergamo. Na to upatrzył zakrystyę kościoła s. Maria Maggiore, którą chciał zamienić na kaplicę grobową. Wszakże zarząd kościoła odmówił żądanego miejsca. Nie zważał na to stary Coleoni, przez całe życie przyzwyczajony rozkazywać bez opozycyi, nie zważał téż i na pamiątkową wartość zakrystyi, z r. 1275 pochodzącéj. Kazał przemocą zwalić ten budynek i nowy na jego miejscu stawiać. Miasto wytoczyło mu proces kryminalny. Nie doczekawszy końca procesu i budowy, syt lat, sławy i skarbów, zmarł w r. 1476, a w rok późniéj, pomimo wszystkich przeszkód, stanęła kaplica, jakby na świadectwo, że nawet śmierć nie zdołała przełamać żelaznéj woli rycerza.

Kaplica, dzieło architekta i rzeźbiarza Jana Antoniego Amadei, kosztowała 50,000 dukatów; cała z białego marmuru, jest zewnątrz i wewnątrz jednym ciągiem płaskorzeźb, prawdziwém cackiem wczesnego renesansu, w którym wiele jeszcze znać wpływów gotycyzmu.

Główne w niéj miejsce zajmuje, przy ścianie przeciwległéj wejściu, nagrobek fundatora. Jest on wspaniałości prawdziwie monarszej, dwupiętrowy, okryty najmisterniejszą rzeźbą, na którą wielu składało się artystów. Robota trwała lat przeszło 20, a są w niéj, obok olśniewającego bogactwa ornamentyki, szczegóły, godne największych mistrzów *cinquecenta*. Na wyższym z dwóch nad sobą ustawionych sarkofagów stoi posąg konny Coleoniego, widziany bokiem w całéj długości konia, zamykając od góry budowę, podobnie jak konne posągi na grobach Scaligerów w Weronie. Jest też nawet jakieś

duchowe między niemi pokrewieństwo, chociaż z górą wiekowy odstęp czasu je dzieli. Nagrobki Scaligerów robili zresztą Włosi, a posąg Coleoniego w Bergamo wykonało dwóch Niemców, z których jeden był Norymberczykiem.

Pozorne to przeciwieństwo; owszem daje może właśnie w rękę klucz do rozwiązania zagadki: skąd pokrewieństwo w pojęciu sztywnéj, twardéj, średniowieczno surowéj postaci konnego rycerza. Każdy artysta średniowieczny Włoch duchem należy trochę do epoki odrodzenia; każdy artysta Niemiec, z czasów nawet odrodzenia, z natury swojéj, bezwiednie tkwi jeszcze w gotycyzmie. Tak więc Włosi, co w wieku XIV robili kamienne sarkofagi Scaligerów, spotkali się na połowie drogi przełomu stylowego z Niemcami, którzy około r. 1500 ukończyli posąg Coleoniego. Ten ostatni zresztą jest z drzewa (pozłoconego), a w rzeźbie gotyckiéj, choć ona kamienna, prawie zawsze jest coś w formach, co snycerstwo drewniane przypomina, tak samo, jak w archaicznéj rzeźbie greckiéj i najstarszéj rzeźbie egipskiéj.

Ale wróćmy do kaplicy Coleoniego. Jeżeli duma zuchwałego hetmana zaspokojoną została przepychem grobowca, i jeżeli z tamtego świata patrzących obchodzą jeszcze małostki ludzkie, to nie minęło go jedno po śmierci upokorzenie. Już w naszym wieku, bo 1842 r., przeniesiono do téj saméj kaplicy i u drugiéj ściany wmurowano inny sarkofag. Jest to nagrobek córki Coleoniego, Medei, zmarłéj w bardzo młodym wieku, wystawiony pierwotnie w kościele Dominikanów w Basella. Wszyscy znawcy sztuki, oddawszy hołd bogactwu pomnika ojca, zwracają się spiesznie do skromniejszego znacznie sarkofagu córki, i przyznają jemu w gorących wyrazach palmę pierwszeństwa. Nawet nie wiadomo kto go robił. Ozdób dodatkowych niéma prawie żadnych: prosta trumna, na któréj wieku leży w spokojnéj postawie zmarła młoda kobieta, o łagodnym, cichym wyrazie twarzy. Nad nią w płaskorzeźbie Madonna i kilkoro świętych. Na ścianie trumny „Ecce homo“ i dwaj płaczący aniołowie. Całość owiana taką szlachetnością i taką powagą, w części figuralnéj tyle głębokiéj, lecz pełnéj wiary, boleści, że oczu od tego arcydzieła oderwać nie podobna.

Rozszerzyłem sią nad pięknościami małéj kapliczki—a tu czeka jeszcze wspaniała obok niéj świątynia. Powiem o niéj jedném słowem, że należy do bardziéj interesujących, nawet w północnych Włoszech, tyle w skarby piękności sztuki bogatych. Cała z ciosu, datuje się z wieku IX; w wieku XII i XIV i wreszcie w połowie XV przebudowywana. Wszystkie epoki stylowe zostawiły na niéj swe ślady. Na szczęście, cecha rozwiniętego romanizmu nie została w zewnętrznéj postaci budynku zatartą, a nie zaszkodziły temu nic wspaniałe, bogate portale, po dwu stronach dobudowane w stylu gotyckim, z pozostawie-

niem romańskich lwów, które na grzbiecie dźwigają kolumny, podpierające daszek nad wejściem.

Wnętrze przerobił Maroni i dostroił całość do stylu odrodzenia wczesnego, dziwnie wielkie i uroczyste temi przestrzeniami wywołując wrażenie. Ułatwiła mu oprawę imponująca kopuła i pierwotny plan krzyża równoramiennego. Wnętrze to, prawdziwie majestatyczne, napełnione jest dziełami sztuki, a zwłaszcza snycerstwa drewnianego. Zdumiewa w niém obfitość przepięknych ogromnych arrasów i gobelinów, któremi ściany są poobwieszane.

Po tych ogromach i bogactwach oko już mniéj jest czułe na tak subtelne, przecież wcześnie gotyckie, baptisteryum, w kształcie maleńkiéj, z białego marmuru jak medalik wyrzeźbionéj, kapliczki, w zamkniętym obok zakrystyi dziedzińcu, skąd inąd podobno tu przeniesione. Nie robi już nawet wrażenia przytykająca do tego kościoła katedra o wielkiéj kopule, z któréj budową łączą się przecież takie imiona architektów, jak Filarete, Bramante, Palladio, Scamorri i, niestety, Fontana, który swoją fasadą popsuł, co poprzednicy wielcy stworzyli.

Ale dzień jeden, przeznaczony na zwiedzenie miasta, na szczęście dzień wyjątkowo pogodny i, jak na późną jesień, ciepły, ma się już ku schyłkowi. Wychodzę z katedry. Przechodzę jeszcze raz po pod łuki i sklepienia halli gotyckiéj; wstępuję po malowniczych schodach zewnętrznych na pierwsze piętro; tam, zachęcony przez usłużnego woźnego, który obiecuje mi pokazać najciekawsze skarby miejskiéj biblioteki, dlatego, że pan kustosz zbiorów wyjechał na wakacye, — rzucam okiem na kilkanaście istotnie nieoszacowanych rękopisów z miniaturami, schodzę na dół, utykam o nieunikniony znów w każdém włoskiém mieście posąg Garibaldiego na skale, z chorągwią w ręku, a wyrazem twarzy tygrysa, i nie bez żalu zabieram się do odwrotu.

W kilka chwil „funiculare“ przeniosła mię w pobliże kolei żelaznéj.

Na stacyi dowiedziałem się, że do odjazdu jeszcze godzina czasu. Zmęczony całodziennem zwiedzaniem i chodzeniem, usiadłem w ogródku, zwróconym w stronę miasta, i oddałem się słodkiemu „farniente“. Przede mną plac półkolisty, ładnemi nowożytnemi domami otoczony. W jego głębi prosta szeroka ulica prowadzi ku miastu. Na końcu jéj, a raczéj przedłużonego jéj kierunku, pionowa, w poprzek stojąca ściana olbrzymiéj skały, któréj szczyt ukoronowany murami starego miasta. A jako tło tego widoku, w sinéj oddali pasmo najwyższych szczytów Alpejskich: Mont-Blanc, Monte-Rosa, Gletschhorn, Jungfrau, Finsteraarhorn, ś. Gothard, Monte-Generoso, Pass Splügen i bliższe

Monte Legnone, Monte-Grigna, Stiefser Joch, Ortler — okryte śniegiem i oświecone jasno jeszcze.

Bliższa okolica, dolne miasto i otaczające je wzgórza, zaczęły zapadać w mrok; tém wyraźniéj i jaśniéj występowało miasto górne, spiętrzone na szczycie skały, opasane groźnie postrzępionym murem, z basztami strzelającemi w niebo. W samym środku dumnie podnoszą w górę głowę kopuły katedry i sąsiedniego kościoła, oraz towarzyszące im wieżyce dzwonnic. Na czystym błękicie nieba płynie tylko, jak puszyste łabędzie, parę lekkich białawych obłoczków. Powietrze ciepłe, suche i spokojne. Cisza wieczorna zaczyna zalegać dokoła.

Zwolna, nieznacznie, mrok ciemnieje i rośnie w górę. Już i skała i górne miasto tonie w sinéj, coraz bardziéj szaro-fioletowéj, barwie. Błękit nieba od wschodu i północy ustępuje szafirowi, na którym gdzie niegdzie, jak błędny ognik, migoce słabo gwiazdka. Odpowiadają im światełka, zapalające się po jednemu w oknach domów miasta starego, które w czarnych cieniach złączyło się ze swą skalistą podwaliną w jedną olbrzymią masę ciemną. Patrząc na tę sylwetkę o połamanych fortyfikacyjnych konturach, zdawało mi się, że mam przed sobą jakiś kolosalny warowny zamek średniowieczny, jakąś akropolię potężnego państwa, przez olbrzymów zbudowaną i przez olbrzymów zamieszkałą. Na wzgórzu, z boku na lewo, zarysowała się teraz na zachód ciemną linią aleja drzew, prowadząca do jakiejś willi za miastem, otoczonéj smutnemi cyprysami. Noc już zapadła na ziemi, pogrążyły się w jéj cieniach i bliższe góry, i wysokie szczyty odległe alpejskie, tylko wysoko w górze nade mną na obłoczek szybujący po niebie padł jeszcze ostatni promień dawno zaszłego słońca i rąbki jego ozłocił czerwono płomienistym galonem.

W obec tych czarów natury, widziane dopiero co cuda sztuki, stopiły się w méj wyobraźni, jak klejnoty, przelane w bezkształtną choć złotą bryłę; zapomniałem o pomnikach miasta, o jego historyi, o sławnych ludziach, co ztąd wyszli. Co mi Coleoni, i Palma, i Previtali, i Moroni, co mi Tasso i Donizetti...

Patrzałem, używałem, marzyłem...

. . . .

Wśród téj uroczystéj i rozkosznéj ciszy, naraz z kilku stron miasta odezwały się karyliony wież kościelnych, wzywające na Anioł Pański, i wyrwały mię z zadumy, przypominając, że patrzę nie na obraz Böcklina, nie na jeden z tych jego peizaży, tak czarujących i poetycznych, iż się ma ochotę uważać je za fantazyę artysty, ale na świat rzeczywisty, na miasto, zamieszkałe przez ludzi żyjących, ruchliwych, pracujących przy lampie wieczornéj, modlących się.

Wkrótce usłyszałem dzwonek inny; i ruch inny zaczęły nadjeżdżać fiakry, i wózki, i poczta; zaczęli biegać ludzie z torbami i tłomoczkami, mówiący i gestykulujący żywo, rachujący pieniądze, pytający, która godzina, słowem: zaczął się gwar i niepokój, który należy do nieodłącznych akcesoryów stacyi kolei żelaznéj, w chwili, gdy odchodzić ma pociąg.

STANISŁAW TOMKOWICZ.

ZIEMIA I JÉJ ODŁUŻENIE

w Królestwie Polskiém.

POCHODZENIE DŁUGÓW I SZACUNKI.

Pod względem ekonomicznym ogromna zachodzi różnica, czy pożyczka zaciągniętą została na cele produkcyi, czy na spożycie. W wypadku pierwszym dług może być źródłem pomyślności, w drugim, jeżeli nie zawsze początkowym krokiem do ruiny, to zawsze niebezpiecznym symptomatem.

Przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe kapitał zasila o tyle, o ile rachuje, że go użyją na prowadzenie i rozwój interesu. Gdy chodzi o rolnictwo, wierzycielowi jest częstokroć całkiem obojętne, czy wziętą odeń gotówkę włożą w maszyny, czy nawet roztrwonią na hulanki, byleby w razie sprzedaży wartość ziemi istotnie stanowiła sumę, na jaką on liczy.

Nie znaczy to wcale, aby przy udzielaniu kredytu nie brano zupełnie pod uwagę dobrego lub złego prowadzenia gospodarki. Owszem, ale podstawę stanowi pewna realna, nie mogącą zniknąć wartość — ziemia.

Ta okoliczność jest bardzo ważna. Ona zasadniczo wyodrębnia warsztat rolnika wśród innych procederów i pod względem odłużenia odgrywa niemałą rolę.

Pożyczka więc hypoteczna tém się głównie różni od innych form kredytu, że udzielający jéj zwraca przedewszystkiém uwagę na zabezpieczenie rzeczowe. W interesach zaś handlowych, przemysłowych

i w ogóle w każdym wypadku kredytu osobistego, wierzyciel patrzy najpierw, jaki dochód daje przedsiębiorstwo i jakie moralne kwalifikacye posiada żądający pożyczki.

Jeżeli tylko interesy są zachwiane, jeżeli dochody przemysłowca nie pokrywają wydatków — kapitał przestaje udzielać pomocy. Zadłużenie po nad miarę, jaką znieść może dane przedsiębiorstwo, jest w ten sposób nieco przynajmniéj utrudnione. W rachubach wierzyciela pomyślny stan interesów osoby, potrzebującéj kredytu, jest, lub być powinien, czynnikiem pierwszym.

Zupełnie rzecz się ma inaczéj, gdy chodzi o wartość realną, o własność hypoteczną.

Tu nie tyle dochody faktycznie otrzymywane i kwalifikacye osobiste, ile stosunek istniejącego odłużenia do wysokości szacunku stanowił o tém, czy pożyczka mogła być uzyskaną i do jakiéj wysokości? Zbyt mało zwracano uwagi, że w zwyczajnym biegu rzeczy dług, zaciągnięty na spożycie dlatego, że dochód nie pokrył rozchodów, musi wywołać dług drugi, trzeci... Bo jeżeli przedtém majątek dać nie mógł tyle, ile właściciel potrzebował, to go nie da teraz, kiedy przybył nowy ciężar. Chyba rozchody zostały-by znacznie uszczuplone, ale to bardzo łatwe w teoryi zadanie w praktyce okazuje trudności, w wyjątkowych tylko wypadkach pokonywane.

A więc dostanie się na niebezpieczną pochyłość jest dla rolnika, przy zwyczajnym nawet biegu rzeczy, łatwe, łatwiejsze, niż dla wytworcy innego. Tymczasem zjawiły się jeszcze okoliczności i czynniki, które własność ziemską w paru ostatnich dziesięcioleciach w tę stronę popchnęły.

Gospodarz w naszym kraju, jak to wykazaliśmy w pierwszéj części pracy naszéj, nie tylko walczyć musi ze zniżką cen na produkty rolne, wywołaną współzawodnictwem krajów zamorskich, jak Ameryka, Australia, Indye, ale jeszcze wytrzymywać konkurencyę z bliższymi sąsiadami z Cesarstwa, którzy wytwarzają przy daleko dogodniejszych warunkach, mniejsze ponosząc ciężary.

Warunki są u nas gorsze, nietylko wskutek obecnie istniejących różnic w opłatach i w stosunkach komunikacyjnych i t. d., ale także i wskutek tego, że już przeszłość najbliższa przekazała mniéj pomyślny w tym razie spadek. Wyjątkowo wysokie ceny na produkty rolne (mówiliśmy o nich w pierwszym artykule) w okresie 1877 — 81 r., niezmiernie podniosły wartość majątków. Jednocześnie w Cesarstwie ceny ziemi były niskie; słabe zapotrzebowanie, wzrastające stopniowo jedynie, nie podbijało jéj; to téż kiedy tam znaleźliśmy zwyżkę, wynoszącą aż 43%, u nas obniżka doszła do 29%. W pojedyńczych gub. Cesarstwa podniesienie się cen ziemi było jeszcze wyższe: w Wileń-

skiéj mieliśmy 46%, w Grodzieńskiéj—52%, w Kowieńskiéj — 62%. Znaczy to, iż w Cesarstwie można było zaciągać pożyczki nowe i znaczne, nie pogrążając głębiéj majątku w odłużenie. W Królestwie przeciwnie, bez zaciągnięcia nowych zobowiązań, a nawet przy powolnéj spłacie starych, należność nabierała coraz większego znaczenia, gdyż się wartość zniżała, zbliżając się coraz bardziéj do poziomu odłużenia.

Porównajmy dla przykładu dwa majątki: jeden, przypuśćmy, z gub. Kowieńskiéj, drugi z Radomskiéj. Oba zajmują, dajmy na to, obszar 1000 desiatyn, czyli 2000 mórg. Przypuśćmy daléj, że odłużenie w jednym i drugim dochodzi do 60% wartości. W gub. Kowieńskiéj w r. 1882 szacunek takich dóbr równał się 42,000 rub., w r. zaś 1887 podniósł o 62%, t. j. doszedł do 68,000 rub., a więc można byłoby zaciągnąć pożyczkę, wynoszą 60% zwyżki (15,600 rub.), nie powiększając istotnie stopnia odłużenia.

A teraz zobaczmy, jak się działo w gub. Radomskiéj. Tam dobra, liczące 2000 mórg, warte były w r. 1882 — 116,000 rs., w r. 1887 tylko 82,000 rs., czyli dług, wynoszący początkowo 60%, t. j. 69,600 rs., w r. 1887, wskutek obniżonego szacunku, wzrósł do 85%. Gdzie zobowiązania były cokolwiek wyższe, tam deprecyacya ziemi, jak fala powodzi, zabrała właścicielowi całe mienie.

Dziś więc rolnikowi w Królestwie trudniéj walczyć z biedą i konkurencyą, niż jego bliższym i dalszym sąsiadom, bo oprócz podatków, ceł, taryf, musi jeszcze opłacać procenty, tak wysokie w porównaniu do dochodów, na jakie w rachubach swoich nie liczył, a które przenoszą częstokroć siłę majątku [1]).

Na tém nie koniec. Istnieją czynniki czysto już miejscowéj natury, wywołane w części przez rozwój historyczny, w części przez ustawodawstwo obowiązujące, które, wpływając na stan własności ziemskiéj niezawsze dodatnio, sprowadzić musiały obecne odłużenie.

I.

W kraju naszym do niedawnych czasów posiadanie ziemi połączone było z pewną władzą, z przywilejami i z wpływem społecznym.

Wytworzyło się więc całkiem naturalne dążenie do władania jak największemi obszarami. Dążenie to z czasem przeszło w zwyczaj,

---

[1]) Już po ogłoszeniu pierwszéj części pracy naszéj, otrzymaliśmy nowe dane urzędowe, dające cyfry za r. 1889. Są one bardzo kompletne i szczegółowe, gdyż podają oddzielnie ceny, otrzymane przy sprzedaży całych majątków i przy sprzedaży jedynie ich części. Z danych tych skorzystamy, gdy przyjdzie koléj na rozpatrzenie warunków i skutków parcelacyi.

stało się rodzajem słabości, często marzeń nawet w sferze ziemiańskiéj, i trwać nie przestało, chociaż przy zmienionych warunkach dobre strony takiego stanu, przywileje, z dóbr olbrzymich płynące, zniknęły.

Każdy warsztat pracy ludzkiéj odpowiadać powinien zasobom tego, kto nim kieruje. Małą siłą niepodobna długo i prawidłowo poruszać dużéj maszyny.

W kraju naszym za fakt niemal ogólny uważać można, że obszary dóbr większych (wyłączywszy zresztą fortuny magnackie w rękach rodów historycznych), nie pozostają w stosunku pożądanym do zasobów właściciela. Są zaduże. A wina spada właśnie na czynniki, o których tylko co wspomnieliśmy.

Na przeciwko siebie stanęły dwa wymagania sprzeczne, wykluczające się niemal bezwzględnie: wyrobione przez historyę dążenie do skupiania w jednych ręku dużych obszarów i nakazany przez kodeks cywilny równy podział schedy. Pogodzenie tych dwu wymagań odbyło się kosztem pomyślności gospodarstw rolnych. Dobra obejmował zwykle jeden przedstawiciel rodu, a części, przypadające reszcie rodzeństwa, obciążały hypotekę. Działy w naturze są przy tém częstokroć faktycznie niemożliwe, lub przynajmniéj niemożliwe bez znacznego obniżenia wartości spadku.

Obszar dóbr pozostał ten sam, a środki nowego właściciela są w najlepszym razie dwa razy słabsze, niż poprzedniego. A ileż razy się zdarza, że maleją one 5, 6 razy i więcéj? To też kategorya długów, wytworzona potrzebą spłaty współsukcesorów, pod pewnemi względami posiada doniosłość największą. Stanowią one skutek konieczności nieuniknionéj. Od obciążenia tego rodzaju nie uchroni ani rządność, ani urodzaje, ani wysokie ceny. Po dokonaniu równego podziału spadku, t. j. po spłaceniu sukcesorów w ciągu 3—4-ch pokoleń, majątek, nawet przy znacznym dorobku, pogrążyć się musi do $^3/_4$ a czasem i do $^9/_{10}$ w długi. Działanie tego jednego czynnika wystarcza, aby ogół majątków doszedł do bardzo opłakanego stanu — o czém powinni pamiętać zbyt pochopni oskarżyciele stanu ziemiańskiego o grzech życia nad stan. Nie należy oczywiście uwodzić się jednostronnością, nie trzeba wszystkiego zwalać na działy spadkowe. Pewną jest jednak rzeczą, iż na wpływ ich zupełnie mało u nas dotychczas zwracano uwagi.

Zwyżka cen ziemi w przedostatnim dziesiątku lat odbiła się i tu w sposób fatalny, wskutek któréj części już spłacone i jeszcze ciążące na hypotekach były zbyt duże w stosunku do dzisiejszéj wartości dóbr. Następne rozumowanie uwydatni nam całkowicie fatalny wpływ równych działów na gospodarstwo rolne.

Przypuśćmy, że otaksowanie było roztropne i że współsukcesor obejmuje majątek na warunkach, pozwalających mu otrzymać dostatecznie wysoką przewyżkę dochodów nad procentami, ażeby żyć według stanu i módz gospodarować. Co więcéj, przypuśćmy, że wrazie wypowiedzenia długu przez którego ze współsukcesorów, uda mu się otrzymać pożyczkę na spłacenie tego długu i że wreszcie znalezienie wierzyciela, chcącego zastąpić w księdze hypotecznéj członka rodziny, nie okaże się zbyt trudném i kosztownémi. Otóż właściciel majątku nigdy przez całe życie nie będzie w możności spłacić długu tego rodzaju, i to tém mniéj, im „sprawiedliwiéj", wedle surowéj zasady prawa obowiązującego, działy przeprowadzone były. Jeżeli nawet te pożyczki, które podnoszą wartość produkcyi i powiększają wydajność ziemi, nie zawsze mogą być uiszczone, to cóż mówić o obciążeniach, nie dających majątkowi nic, a pochłaniających w formie procentu pewną część dochodu?

I pod tym względem Cesarstwo znajdowało się w warunkach lepszych; prawo spadkowe przeznacza córkom drobną tylko cząstkę majątku rodzinnego, a przy tém nie krępuje wcale wolności testowania, gdy chodzi o majątek dorobkowy. Nie podnosimy tutaj kwestyi zasadniczéj, prawodawczéj; nie rozstrzygamy, które ustawy są słuszniejsze i lepsze, zaznaczamy tylko odmienność wpływu ekonomicznego,—pominąć go nie można, gdyż jest w istocie bardzo znaczny.

II.

Cyfry, wydobyte z ksiąg hypotecznych, zestawione i obrachowane, dały dosyć ponury obraz majątkowego stanu własności ziemskiéj: znaczną część dóbr tłoczy ciężar, którego ona dźwigać nie jest wyraźnie w stanie.

Zanim jednak otrzymane cyfry sprobujemy rozciągnąć do stosunków kraju całego, powtórzymy raz jeszcze zastrzeżenie, iż wyniki naszych obliczeń, jeżeli mowa o samych tylko długach hypotecznych, prowadzą do wniosków zbyt ujemnych. Zachodzą okoliczności, które wyrok statystyki łagodzą.

Przedewszystkiém część pożyczek, zaciągniętych w Towarzystwie Kredytowém, została już umorzoną. Summa wierzytelności Towarzystwa, zahypotekowanych na 8,970 dobrach, w dniu 20 Września 1890 r. nominalnie, w księgach, wynosiła 126 milionów, tymczasem w rzeczywistości spadła już do 113 milionów, czyli 13 milionów zostało umorzonych; nie ciążą więc na ziemi, a jednak w wykazach figurują.

Daléj wskazywaliśmy, że wiele długów prywatnych, pomimo dokonanéj spłaty, nie ulega wykreśleniu z księgi hypotecznéj, a to się powtarza tyle razy, ile razy dawny dłużnik, nie potrzebując zaciągać nowéj pożyczki i oczyszczać dla niéj miejsca w księdze, zadawalnia się pokwitowaniem i oszczędza sobie ambarasu i fatygi podróżowania do odległego częstokroć miasta gubernialnego.

Wreszcie kaucye i ewikcye, o ile są w całości wpisane do summy długów prostych (a podziału uskutecznić niepodobna), podnoszą pozornie stan odłużenia dóbr. [1])

Wiemy również z doświadczenia, iż dosyć jest sum fikcyjnych, wpisanych do hypoteki, jedynie dla obejścia praw innych wierzycieli. Fakt ten stwierdza i znawca stosunków hypotecznych, p. Jan Romanowski, w cennéj swéj pracy „Krótki rys statystyczny hypoteki gubernialnéj Radomskiéj.“ [2])

Jeszcze i na ten szczegół zwrócić należy uwagę, że nie wszystkie długi mają dla dłużnika jednakowe znaczenie, nie wszystkie są jednakowo ciężkie. Tak np. wierzytelności, pochodzące z podziału schedy między rodzeństwem i z zapisów posagowych, chociaż w ogólnych skutkach bardzo ważne, rzadko kiedy ściągają na majątek katastrofę subhastacyi.

I tu jednak przed dokładnym obrachunkiem dla braku danych cofnąć się trzeba. W księgach hypotecznych czasami tylko znaleźć można jakiś mniéj więcéj pewny ślad pochodzenia długu. Wnioskowanie z nazwiska osób, na których korzyść obciążone zostały hypoteki, posiada zbyt wątłą podstawę, ażeby dać mogło pewne rezultaty. Jednakże i pod tym względem będziemy mogli dostarczyć niektórych cennych wskazówek, rozpatrując długi, powstałe z niedopłaconych sum szacunkowych i posagów, a także dane co do majątków, przepisanych na imię kobiet, jako właścicielek i współwłaścicielek.

Przegląd nasz rozpoczniemy od sum, figurujących w księgach hypotecznych, jako *reszty szacunków.*

---

[1]) Optymistom, zbyt chętnie nakładającym na oczy szkła różowe, przypomnimy, iż w miarę wzrastania odłużenia hypotecznego mnożą się téż długi prywatne. Gdy hypoteka przestaje dawać gwarancyę, trzeba się uciekać do kredytu osobistego, kosztowniejszego i uciążliwszego. Mówiąc tu o odłużeniu hypoteczném ziemi, o ważną tę kwestyę ledwie potrącić możemy, témbardziéj, że cyfr jakichkolwiek posiadać niéma sposobu. Wszelako, na zasadzie praktycznéj znajomości życia i stosunków, przypuszczać można, iż długi niezahypotekowane przewyższają, i to znacznie, pożyczki zahypotekowane.

[2]) „Gazeta Radomska“ z d. 12 Kwietnia 1890 r. Nr. 30.

III.

Często zdarza się, że jedno złe wywołuje drugie, że jedno nieszczęście potęgowane jest przez nieszczęście inne, z niego wynikające. Tworzy się łańcuch klęsk, z których każda utrudnia wydobycie się z innych.

Tak się téż tu stało. Obniżka dochodów pomiędzy innemi miała i ten skutek, że osłabiła znacznie zaufanie do własności rolnéj. Popyt na ziemię się zmniejszył. Silnie powiększone koszta kupna i sprzedaży oddziałały w tenże sam sposób.

A tymczasem właśnie w ciężkich czasach ruch własności powinien przyczynić się do przepchnięcia kryzysu; możność dokonywania tranzakcyi winna być ułatwioną. Nowi właściciele przynieśliby z sobą nowe siły, nowe zasoby kapitału, przedsiębiorczości, inteligencyi; tysiące okoliczności wpływać mogą, że ziemia, nieprocentująca w jednych ręku, przynosiłaby odpowiednie dochody w innych. Niepotrzeba zdaje się zbyt długo uzasadniać obawy, iż ci sami posiadacze, którzy, czy to wskutek niezaradności, czy braku zasobów, czy wreszcie stosunków rodzinnych i wpływów ubocznych, doszli do złego stanu majątkowego, nie potrafią prawdopodobnie, znalazłszy się w okolicznościach jeszcze gorszych, zrobić drogi odwrotnéj—poprawić interesy. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto brnąć będą daléj i głębiéj. W razie sprzedaży przynajmniéj byłoby większe prawdopodobieństwo, że nowonabywca stanie w obec okoliczności przyjaźniejszych.

Pominąwszy interesy prywatne, dobro ogólne wymaga, aby majątki, zamiast wegetować w stanie większego lub mniejszego opuszczenia, rozwijały się z całą możliwą siłą i szybkością.

Opuszczenie zaś jest nieuniknione, gdzie główną troską właściciela jest odroczenie katastrofy, gdzie go zajmuje przedewszystkiém codzienna walka o byt swój własny i swojéj rodziny, gdzie wreszcie dochód musi przedewszystkiém iść na zaspakajanie wierzycieli, nie zaś na doskonalenie warsztatu.

Niemieckie przysłowie narodowe zawiera dużo słuszności, gdy mówi: „Kmieć na nogach stoi wyżéj od szlachcica na kolanach“ [1]).

Ażeby dać czytelnikom przybliżone chociaż pojęcie o ruchu własności ziemskiéj, o przechodzeniu jéj z rąk do rąk w czasach ostat-

---

[1]) Der Pflugtreiber ist auf den Füssen höher, als der Edelmann auf den Knieen.

nich, przytoczymy niektóre dane odpowiednie, zebrane dla gubernii Płockiéj. Od r. 1885 do 1890 sprzedano tam:

		Z wolnéj ręki			Z licytacyi			Raze		
		ilość majątków	ilość mórg w tysiącach	cena morgi w rs.	ilość majątków	ilość mórg w tysiącach	cena morgi w rs.	ilość majątków	ilość mórg w tysiącach	cena morgi w rs.
1885	Z przestrz. określ.	17	6.4	68	10	4.1	40	27	10.5	57
	„ nieokr.	5			3			8		
1886	„ określ.	18	4.9	60	17	10.9	42	35	15.8	48
	„ nieokr.	5			6			11		
1887	„ określ.	39	10.5	50	13	5.4	43	52	15.9	48
	„ nieokr.	10			4			14		
1888	„ określ.	28	9.5	55	16	7.2	43	44	16.7	50
	„ nieokr.	11			9			20		
1889	„ określ.	36	14.2	61	11	4.6	30	47	18.8	53
	„ nieokr.	11			10			21		
1890	„ określ.	22	7.0	48	2	1.0	29	24	8.0	45
	„ nieokr.	5			4			9		
Razem	Z przes. określ.	160	52.5	57	69	33.2	40	229	85.7	50
	„ nieokr.	47	(15.4)		36	(17.3)		83	(32.7)	

Przypuściwszy, że przeciętny obszar sprzedanych dóbr z przestrzenią nieokreśloną jest taki sam, jak majątków z przestrzenią określoną, otrzymamy, iż w ciągu rozpatrywanego sześciolecia zmieniło właściciela 118.4 tysięcy mórg, co stanowi 11.9% ogółu ziemi w majątkach, gubernialną hypoteką objętych [1]).

Przeciętnie w ciągu lat sześciu cena morgi ziemi wynosi rs. 50. W ostatnim 1890 r. widzimy zniżkę znaczną, bo w porównaniu z r. 1889 sięgającą 15%, od przeciętnéj zaś 6-cio lecia 10%. Jeżeli weźmiemy trzechlecie pierwsze (1885—1887), to otrzymamy średnio szacunek

[1]) Ogólna przestrzeń dóbr tego rodzaju w gubernii Płockiéj wynosi wedle naszych obliczeń 994,545 (bez majoratów, donacyi, posiadłości rządowych i t. d.)

morgi 51 rs., w następném zaś trzechleciu (1888—1890) już ta liczba spada na 49 rs. 33 kop., a zatém obniżka wynosi 3%.

W liczbach majątków, sprzedawanych corocznie, niepodobna dopatrzyć się żadnej prawidłowości zmian, nie można więc, opierając się na tych danych jedynie, na pewno twierdzić, ażeby ilość tranzakcyi z biegiem czasu wzrastała lub malała.

Najwięcéj sprzedano majątków w r. 1887 i to głównie z wolnéj ręki. Cyfra tranzakcyi w tymże roku, dokonanych w drodze sprzedaży przymusowych, niższą jest, niż w obu latach sąsiednich.

W roku zeszłym 1890 sprzedano majątków i morgów znacznie mniéj, niż we wszystkich latach poprzedzających. Nie dowodzi to jednak nic, gdyż dane nie obejmują całego roku, lecz tylko pierwsze jego miesiące.

Z rąk do rąk sposobem umowy dobrowolnéj przechodzi ²/₃ wszystkich majątków (66.3%), wtedy kiedy na licytacyę dostaje się tylko ¹/₃ (33.7%).

Jeżeli weźmiemy pod uwagę obszary, to się okaże, że z wolnéj ręki nabywane są w ogóle majątki mniejsze. Na jeden wypada przeciętnie 328 mórg, kiedy tymczasem dobra, przechodzące przez licytacyę, liczą średnio 481 mórg.

Tranzakcyi z przyczyn spadkowych [1]) dokonano tak mało, że porównywanie liczby przeciętnéj (720 mórg) z poprzedzającemi nie miało-by żadnéj wartości.

W tabliczcze powyższéj uderza nas jeszcze jedna okoliczność. Przeciętna cena morgi w dobrach, sprzedanych z wolnéj ręki, wynosi:

w pierwszém trzechleciu	59 rs	33 kop.
„ drugiem „	54 „	66 „

W dobrach, przechodzących przez licytacyę, za morgę płacono średnio:

w pierwszém trzechleciu.	41 rs.	66 kop.
„ drugiem „	34 „	— „

Czyli majątki, sprzedawane z wolnéj ręki, szły wyżéj na mordze w pierwszém trzechleciu o rs. 17 kop. 67, w drugiém—o 20 rs. 66 k.

---

[1]) Z powodu *spadków* dokonano tranzakcyi majątków:

w roku	z przestrzenią określoną: majątków	mórg.	wartość morgi w rs.	z przestrzenią nieokreśloną: majątków
1885	—	—	—	—
1886	1	830	75	3
1887	—	—	—	1
1888	1	430	41	1
1889	1	900	38	2
1890	—	—	—	—

Rezultat taki był oczywiście do przewidzenia. Tranzakcya przymusowa jest zawsze smutną koniecznością, na któréj dawny właściciel traci niechybnie.

Co gorzéj, traci zapewne i ogólny majątek społeczeństwa, gdyż licytacyę, jak to już zostało ze wszystkich stron kraju stwierdzone, poprzedza zwykle dewastacya i obniża bardzo wartość dóbr.

Skutki tych wpływów niepomyślnych potęgowane są jeszcze przez brak konkurentów. Często się zdarza, że po niedoszłéj pierwszéj licytacyi wystawiony na sprzedaż majątek nabywa spekulant za bezcen, używając wyrazu tego w znaczeniu ścisłém.

Zaznaczyć wypada jeszcze i to, że kiedy w dobrach, sprzedawanych z wolnéj ręki, zniżka ceny na mordze wynosi 4 rs. 67 kop., w dobrach licytowanych dochodzi aż do 7 rs. 66 kop. A więc przymusowe wyzuwanie właściciela z majątku nie tylko jest klęską, ale klęską, rosnącą z biegiem czasu.

Nasuwa to wniosek, iż należało-by ułatwić tranzakcye dobrowolne, obniżając ich koszta, oraz obmyśléć środki zaradcze przeciwko dewastacyi; tematu jednak tego rozwijać teraz nie będziemy, gdyż wypadnie nam powrócić do niego późniéj.

Zauważymy jeszcze, iż ceny, otrzymane przy sprzedażach w ciągu sześciolecia w gub. Płockiéj, a dające na włókę 1,500 rs, akuratnie odpowiadają wypadkowi naszego obrachunku, zrobionego w artykule pierwszym. Za podstawę wzięliśmy tam przypuszczenie, iż dług Towarzystwa wynosi 40% wartości dóbr. Taka zgodność dowodzi, iż przypuszczenie owo dalekiém od prawdy nie było. W ostatnim tylko 1890 roku cena włóki wynosi zaledwie 1,350 rs. czyli znacznie mniéj od przyjętéj miary porównawczéj.

IV.

Reszty szacunków na hypotekach wszystkich dóbr, których przestrzeń w naszych danych jest wykazaną, dają sumę 1,769 tysięcy rub.

Przyjąwszy za przeciętną cenę morgi rs. 50, to jest cyfrę tylko co otrzymaną z obrachunku 6-letnich tranzakcyi, i obliczywszy wedle téj normy wartość ogółu rozpatrywanéj własności w gubernii Płockiéj, przekonamy się, iż reszty niespłaconych szacunków wynoszą 3.6% téj sumy [1]).

[1]) 1406 dóbr Płockiéj gubernii z przestrzenią określoną liczą 589.791 mórg. Z przestrzenią nieokreśloną znajdujemy tam dóbr 966. Przyjmując dla téj drugiéj kategoryi tęż samą przeciętną rozległość majątku, jaką mamy w pierwszéj (t. j 419 mórg na dobra), otrzymamy ogólną sumę obszaru 994,545 mórg (589,791+404,754). Jeżeli wartość morgi ustanowimy na rs. 50, wypadnie nam 49,725 tysięcy rubli.

Jeżeli daléj przypuścimy, że owe reszty szacunków pochodzą właśnie z tranzakcyi, dokonanych w ciągu 6-lecia 1885—1890 r., to się okaże, iż w ogólnéj sumie szacunku dóbr sprzedanych tworzą one 30%, t. j. blisko część trzecią.

Gdybyśmy zresztą przypuścili, że sumy szacunkowe datują się z epoki odleglejszéj, to i tak świadczyły-by one o niewielkiéj zasobności nowonabywców. Wobec istniejącego już wysokiego odłużenia ziemi, kupujący zwykle uiszczają znaczną część należności (przy licytacyach najczęściéj całość), przez przyjęcie dawnych długów, gotówki więc nie potrzebują mieć wiele. Okazuje się, że i tego *niewiele* nie posiadają. Jest to jeden z kluczów, otwierających nam tajemnicę fatalnego odłużenia. Kto dziś kupił ziemię bez gotówki, jutro musi pożyczać na zasiewy, na robotników, na inwentarz, na podatki.

Sumy, powstałe z niedopłaconych szacunków, są stosunkowo dosyć znaczne. Nie można tu brać pod uwagę grupy I-éj (dobra do 60 mórg), gdyż osady fabryczne, młyny i t. d., znajdujące się w téj kategoryi, zasadniczo zmieniają charakter pożyczek hypotecznych. Spotykamy téż summę nadzwyczajną 170 rs. na morgę.

W grupach innych reszty niedopłaconych szacunków, ciążące przeciętnie na mordze, zbliżają się w większości wypadków do pożyczki Towarzystwa Kredytowego (przypadającéj oczywiście równie na morgę).

W grupie II	dług Towarzystwa na morgę wynosi	26 rs.	reszta szacunku	32 rs.
„ „ III	„ „ „	22 „	„ „	20 „
„ „ IV	„ „ „	17 „	„ „	23 „
„ „ V	„ „ „	13 „	„ „	13 „
W dobrach żydowskich . . .	„ „ „	20 „	„ „	18 „

Widzimy więc, że w dwóch wypadkach (dobra średnie i żydowskie) pożyczka Towarzystwa na morgę wyższą jest, niż dług, pochodzący z niedopłaconych szacunków; w dwóch (grupa II i IV)—niższa, i to dosyć znacznie. W dobrach największych obie należności dochodzą do téj saméj sumy.

Uderzająco małą jest ilość dokonanych tranzakcyi. Pochodzi to z dwóch przyczyn: wysokie koszta przy zmianie tytułu własności hamują ruch z jednéj strony, brak zaufania do ziemi — z drugiéj. Czy przyczyna ostatnia jest uzasadnioną, czy rozumnie robimy, zaniedbując w chwili obecnéj ziemię, dlatego tylko, że dzisiaj procentuje ona słabo, znacznie słabiéj, aniżeli przedsiębiorstwa spekulacyjne, zyskowniejsze, lecz za to mniéj pewne—to kwestya inna.

Znowu zastrzédz się musimy, iż, wykazując ciężkie położenie rolnictwa, głębokie zabrnięcie w złe interesy, nie twierdzimy bynajmniéj, ażeby stan był rozpaczliwy i położenie bez wyjścia; nie należy nigdy cofać się przed dokładném poznaniem sytuacyi, chociażby ona była bardzo smutną, ale równie obowiązkiem jest nie opuszczać rąk nigdy. Nie chcielibyśmy, aby nawet przez ciąg tych kilku tygodni, które dzielą niniejszą część artykułu od ukończenia całości, posądzono nas o zbyt czarne przedstawienie warunków bytu naszego rolnictwa; wiemy i pamiętamy o tém, że za zwątpieniem, za osłabieniem wiary we własne siły, idzie niechęć do pracy. Wiemy także i to, że praca bardziéj nam jest potrzebną, niż inne czynniki poprawy. Byleby przedsiębiorczość i wytrzymałość nie osłabła, dużo jeszcze z rozbicia uratować można.

Wróćmy do liczb, które nas przekonają, jak nieznaczna ilość dóbr w każdéj z grup naszych obarczona jest długiem szacunkowym, czyli jak niewiele dokonywa się tranzakcyi, zarówno wśród dóbr dużych, jak i wśród średnich i małych.

Mianowicie tylko w grupie II (60 — 600 mórg) ilość dóbr, obarczonych resztkami szacunków, sięga dziesiątéj części ogółu.

W grupie III, IV i V jest ona nieco mniejszą (9%, 8%, 7%), wśród zaś majątków najdrobniejszych (do 60 mórg) stanowi zaledwie dwudziestą część wszystkich mająteczków téj kategoryi.

Dobra żydowskie, jak w innych wypadkach, tak i w tym, bliskie są liczby przeciętnéj, mianowicie zawierają 7% posiadłości, obarczonych sumami szacunkowemi. W dobrach z przestrzenią nieokreśloną znajdujemy 12%.

Przypuszczać można, że gdyby na majątkach w ogóle ciężyło mniéj długów, to reszty szacunków byłyby znaczniejsze. Nabywca, biorąc majątek, odłużony do połowy, po za połowę, a nawet do całkowitéj wysokości szacunku, nie może wiele płacić ani gotówką, ani zapisem hypotecznym.

Wysokie obciążenie należnościami wszelkiego rodzaju wpływa również ujemnie i na ilość dokonywanych tranzakcyi. Właściciel nad miarę odłużonego majątku siedzi w nim jak może najdłużéj. Dopóki trwa *status quo*, ma przynajmniéj jaki taki dach nad głową. Często brak mu na najniezbędniejsze potrzeby, ale gdy wyrzucony zostanie, bieda będzie jeszcze dokuczliwsza. Ściśle rzeczy biorąc, przestał on już być posiadaczem, własność jego jest tylko fikcyą, ale się jéj trzyma, bo ma jeszcze gdzie pracować i z téj pracy to i owo mu się okroi.

Wierzyciele hypoteczni téż nie mają interesu go wyrzucać. Ci, którzy ubezpieczyli się na pierwszych numerach, otrzymają jakieś

sumki, w miarę możności. Numery ostatnie wolą się łudzić, wolą nominalnie chociaż należéć do posiadaczów sum hypotekowanych—wiedzą, że wrazie subhasty spadną napewno.

Z punktu jednak interesów społeczeństwa, taki stan jest poprostu szkodliwym, gdyż wprost równa się marnowaniu pewnéj części bogactwa narodowego. Nie dość na tém; uważać go można za ognisko, jeżeli nawet nie zepsucia zupełnego, to w każdym razie pokus niebezpiecznych: pola źle obsiane, inwentarz źle żywiony i źle strzeżony, służba, według niemieckiego przysłowia: „Das Wetter kennt man am Wind, den Vater am Kind, den Herrn am Gesind“. Zależność od wierzycieli upokarzająca i krępująca; a pomiędzy wierzycielami tymi część w dodatku należy do najgorszéj klasy wyzyskiwaczów i oszustów.

Ażeby nabrać dokładniejszego pojęcia o znaczeniu przytoczonych wyników, należało-by je porównać z cyframi krajów innych. Nie jest to jednak tak łatwe, jak się na pierwszy rzut oka wydawać może. W większości państw europejskich wykazy robione są wspólnie dla posiadłości miejskich i wiejskich; przytém brak podziału na grupy wedle obszarów nie pozwala na częściowe nawet zestawienie.

Wyjątek stanowi Austrya, w któréj dokonany był obrachunek niedopłaconych szacunków własności wyłącznie wiejskiéj. Znajdujemy tu liczby znacznie stosunkowo większe, niż u nas. W trzechleciu 1879 — 1881 sumy szacunkowe stanowiły 11.6% całego odłużenia, w latach zaś 1882 — 1884 nawet 12.4%. Tymczasem w Królestwie reszty należności za kupno majątku wynosiły, jakeśmy to w artykule pierwszym widzieli, zaledwie 4.9%.

W statystyce galicyjskiéj znajdujemy cyfry bardzo zmieniające się z roku na rok, w każdym razie są one przeważnie większe od naszych. W roku 1880 mamy tam, że nie dopłacone szacunki tworzą 5.1%, w r. 1881 — 5.4%, w r. 1882 — 11%, w r. 1883 — 10%, w r. 1885—8.8%. Następnie liczby te nagle spadają, co może być zresztą rezultatem zmienionego sposobu obrachunku, lub innych ubocznych wpływów.

V.

Większą pod pewnym względem doniosłość, niż reszta niespłaconych szacunków, posiadają długi posagowe.

Długi posagowe oznaczają właściwie udział każdego z małżonków w majątku wspólnym, albo dzieci w przyszłéj schedzie.

Pomimo, iż pochodzenie tego rodzaju należności inne jest, niż pochodzenie pożyczek zwyczajnych, to jednak pod względem znaczenia nie różnią się wcale od prostych długów i dlatego z rachunku nie mogliśmy sum posagowych na równi z kaucyami usunąć. W dodatku weszło u nas w zwyczaj, iż kobiety, nie pomnąc na obowiązki względem dzieci, robią na sumach posagowych zabezpieczenia i tym sposobem te resztki fortuny, które mogły-by stanowić nieraz deskę ratunku, zaczepkę do dalszéj pracy i odrobku, giną marnie.

Wielki jest brak należytego zrozumienia sytuacyi. Nie potrafimy dosyć wcześnie i dosyć ściśle poznać, gdzieśmy zaszli, obrachować i zestawić pozostałych zasobów z potrzebami i ciężarami. To nietylko pozbawia nas możności ratunku w czasie właściwym, ale nieraz poprostu klęski sprowadza. Ratunek tu, tak samo jak w organizmie jednostki, wymaga operacyi. Im prędzéj konieczność jéj zostanie dostrzeżoną, im prędzéj wejdzie w wykonanie, tém mniéj cierpień, a skutek lepszy.

Zdecydować się na krok stanowczy niełatwo. Bóle gwałtowne kryzysu odstraszają nie jednego,—woli cierpiéć długo i powoli, łudzić się, iż ratunek i późniéj będzie możliwy, aniżeli narażać się natychmiast na dotknięcie lancetu operatora. Tymczasem nieraz opóźnienie śmierć sprowadza. Lekarze, aby ułatwić zdecydowanie się na krok trudny, zmniejszają cierpienia, znieczulając pacyenta chloroformem. Niestety, dla moralnego czucia chloroformu niéma. Znalazły by się jednak może środki, w ten sam mniéj więcéj sposób działające. Wskazać je może tu, tak samo jak tam, badacz, znający potrzeby i własności organizmu, ale, niestety, w aptece ich nikt nie dostanie. Samo społeczeństwo musi je wyrobić. Gdy wśród niego powstaną właściwe poglądy, gdy się obudzi zrozumienie stanu istniejącego, gdy drogi rozwoju przestaną być tajemniczą zagadką, gdy wreszcie wytworzy się nacisk opinii, który nakaże jednostkom postępować zgodnie z potrzebami ogółu—wtedy łatwiéj będzie każdemu trzymać się drogi prostéj i nie schodzić na manowce, dlatego, że na nich można na chwilę zapomniéć o kłopotach i stracić z oczu niepożądany, ale nieuniknionv kres.

Czulibyśmy się szczęśliwi, gdyby praca nasza, odsłaniając szczegóły smutnego stanu najważniejszéj gałęzi pracy, a przez to dołączając jakiś promyk światła dla naszéj samowiedzy społecznéj, przynieść mogła drobny chociaż pod tym względem pożytek.

Najwięcéj stosunkowo dóbr, obciążonych długami posagowemi, znajduje się w grupie III, t. j. wśród majątków średnich (17.9%). W grupie II jest już ich mniéj niż dziesiąta część (9.1%), a w I-éj mniéj niż sześćdziesiąta część ogółu majątków w danych grupach

(1.6%). W majątkach dużych liczby nie są tak małe, w grupie IV znajdujemy 14.5%, w V—6.2%.

W majątkach z przestrzenią nieokreśloną stosunek jest ten sam, co w grupie II, t. j. 9.1%.

Pomiędzy majątkami żydowskiemi bardzo niewiele dźwiga obciążenia posagowe, bo tylko 3.9%.

Wyliczywszy, jaka suma tego długu przypada na morgę w każdéj grupie, otrzymamy liczby bardzo bliskie do cyfr długu szacunkowego. Różnicę spotykamy w grupie V, gdzie należność posagowa jest znacznie niższa (przypada 1 rs. na morgę), i wśród majątków żydowskich, gdzie jest znacznie wyższa (25 rs. na morgę [1]).

Zwróciliśmy poprzednio uwagę, iż znaczna część odłużenia istnienie swoje zawdzięcza działaniu przepisów prawa obowiązującego. Przy rozpatrywaniu liczb tylko co przytoczonych, a oznaczających sumy niewypłaconych szacunków, oraz spadków, na pierwszy rzut oka wydać się może, iż przeceniliśmy działanie tego czynnika. Lecz wniosek taki miałby za sobą słuszność pozorną tylko. Przy bliższém zbadaniu rzeczy okaże się, iż twierdzenie nasze ostoi się w całości.

Żeby należycie ocenić wpływ i znaczenie długów, powstających wskutek działów spadkowych i zobowiązań rodzinnych, trzeba byłoby wiedzieć, co ile lat przeciętnie majątki zmieniają właściciela z powodu śmierci. Dla dokonania jednak takiego obrachunku brak nam zupełnie danych.

Badania, przeprowadzone we Francyi z okazyi opodatkowania dóbr ziemskich, przechodzących na własność instytucyi religijnych i filantropijnych (*main morte*), doprowadziły do wniosku, że średnio co lat 20 własność rolna z rozmaitych przyczyn zmienia właściciela.

Jaką znowu rolę pomiędzy różnemi przyczynami przechodzenia dóbr z rąk do rąk odgrywa śmierć właściciela, możemy nabrać niejakiego pojęcia z cyfr, zebranych dla Galicyi w latach od 1880 do 1887 włącznie.

---

[1]) Powyżéj przytoczone liczby, oznaczające ilość dóbr, obciążonych długiem posagowym, oraz sumę tego długu przypadającą na jedną morgę, tworzą tablicę następującą:

Dobra	% dóbr obciążonych długiem posagowym	na morgę wypada w rublach
niżéj 60 mórg	1,6	166
od 60— 600 "	9,1	30
" 600—1500 "	17,9	21
" 1500—3000 "	14,5	18
wyżéj 3000 "	6,2	1
z przestrzenią nieoznaczoną	9,1	—
żydowskie	3,9	25

Znajdujemy tu wielkie wahanie się. W roku np. 1880 w ogóle 250 dóbr zmieniło właściciela, w téj liczbie z powodu śmierci 6, t. j. 2.4%. W roku zaś 1886 suma zmian wynosiła 258, zmianzaś z powodu śmierci było aż 53, więc 20.5%. W tych granicach w każdym roku znajdujemy liczby inne: w r. 1881 — 4.5%, w 1882 — 3%, w 1883—7%, w 1884—15%, w 1885—12%, w r. 1887 - 14%.

Przypuściwszy, że i u nas dla przejścia własności z rąk do rąk przyjąć należy, jak we Francyi, okres dwudziestoletni, otrzymamy, iż od chwili zaprowadzenia kodeksu Napoleona, majątki cztery razy zmieniły posiadaczy. Gdybyśmy daléj przypuścili, że przeciętnie ojciec ma tylko 3 dzieci, co jest stanowczo u nas liczbą zbyt małą, to majątek, pozostający w rodzie przez cały ten czas, wskutek jednéj téj przyczyny zostałby odłużony do $^{35}/_{36}$ jego wartości.

Przypuszczamy tu oczywiście, że wartość ziemi pozostała niezmienioną, a właściciel nie posiadał gotówki do spłacenia reszty rodzeństwa bez obciążenia nieruchomego majątku.

Jeżeli zresztą przyjmiemy, że dobra nie co 20 lecz co 30 lat przechodzą z rąk do rąk, to i tak skutki równego podziału okażą się bardzo poważne, cyfry zaś odłużenia koniecznego wypadną bardzo duże.

W okresie, kiedy ceny ziemi idą w górę, na równym podziale lepiéj wychodzi sukcesor, obejmujący majątek. Odwrotnie, gdy wartość gruntów spada, jak to miało miejsce w okresie 1882 — 1887 r., traci syn, pozostający przy ziemi. Części dwóch spłaconych braci w chwili podziału stanowią $^{2}/_{3}$ majątku; jeżeli ceny na ziemie spadną, owe $^{2}/_{3}$ wobec zmiejszonego szacunku wynosić będą $^{3}/_{4}$, a może i całość wartości.

Pomimo to jednak, gdyby wszyscy członkowie stanu ziemiańskiego trzymali się — że użyjemy wyrażenia utartego,—na roli, i gdyby pomiędzy nimi nie było utracyuszów, trwonicieli fortun dziedzicznych, to ten rodzaj odłużenia dla hypotek, wziętych w sumie ogólnéj, nie mógłby stać się ciężarem bardzo znacznym. Jedne dobra odłużone byłyby na rzecz innych, coby się wzajemnie kompensowało. Dopóki też ziemia należała tylko do szlachty, a szlachta mieszkała przeważnie na wsi, długi spadkowe, a w téj liczbie i posagowe, miały inny charakter, niż dziś, kiedy potrzeba wypycha synów ziemian na bruk miejski i tam każe szukać kawałka chleba i karyery na urzędach, w przemyśle i handlu.

Ruch taki jest duży, gdyż upadek popłatności pracy na roli zbiegł się z zapotrzebowaniem ludzi na innych polach gospodarki społecznéj.

Córki rolników również w ostatnich czasach poczęły częściéj wychodzić za mąż za lekarzy, inżynierów, adwokatów, kupców.

Bez mozolnéj ankiety na gruncie, nie podobna jest obrachować dokładnie, jakie sumy istotnie pochodzą z niewypłaconych udziałów braci w spadku i z posagów. Pewne jednak wskazówki, niepozbawione znaczenia, udało się nam wyciągnąć i z naszych danych. Mianowicie obrachowaliśmy dla dwu powiatów gubernii Płockiéj: Przasnyskiego i Ciechanowskiego, ilość należności, zahypotekowanych na rzecz kobiet pod różnemi tytułami.

Ogólna suma należności chrześcianek wynosi 826 tysięcy rubli i rozpada się na następujące pozycye:

Proste długi	374	tys. co stanowi	45.3%
Posagi	340	„ „	41.2%
Reszty szacunków	53	„ „	6.4%
Pozostałe tytuły: darowizny, ewikcye, ostrzeżenia i t. p.	59	„ „	7.1%
	826	tys. co stanowi	100 %

Z 9.5 tysięcy należności, zahypotekowanych na imię żydówek, 63.2% (6 tysięcy rs.) stanowią proste długi, pozostałą część tworzą ostrzeżenia i hypoteki sądowe.

Więcéj niż za prawdopodobne uważać można, że pewna część posagów wpisaną została do ksiąg hypotecznych pod tytułem prostych długów. I bez tego jednak suma 340 tysięcy dla dwu powiatów jest znaczną, bo obliczenie w tym stosunku dla kraju całego dałoby miliony.

Otóż, powtarzamy, dopóki synowie rolników byli również rolnikami, a córki różnież wychodziły za właścicieli dóbr, wzajemne zobowiązania kompensowały się wewnątrz sfery ziemiańskiéj, w obrębie hypotek, odłużenie ogółu ziemi zbytnio nie wzrastało.

Gdy wzmógł się ruch emigracyjny ze wsi do miast, postać rzeczy uległa zmianie. Synowie i zięciowie, dobijający się karyery na polu przemysłowém, handlowém i t. d., potrzebowali i domagali się gotówki. Posagi w znacznéj części przestały być zobowiązaniami najłagodniejszéj natury, których wykonanie można było zwlekać, natomiast coraz bardziéj nabierały charakteru długów zwyczajnych.

W ten sposób wytworzył się rodzaj przewodu, po którym nietylko ludzie, ale i kapitały płyną ze wsi do miast.

Że zaś ludzie płyną w tym kierunku i to w znacznéj ilości, wiemy nie tylko z bezpośredniéj obserwacyi życia, lecz również z dokładnych obrachunków statystyki.

Ludność miejska mnoży się słabiéj, niż wiejska; powtóre wśród kurzu ulic i wyziewów rynsztokowych dzieci umierają więcéj, niż na świeżem powietrzu wśród pól i lasów, a jednak liczba mieszkańców miast wzrasta szybciéj i znacznie szybciéj niż liczba wieśniaków.

Od r. 1863 do 1885 ludność miejska Królestwa wzrosła o 75%, wiejska tylko o 65%.

Zjawisko takie spotykamy nie tylko w kraju naszym, jest ono niemal powszechne, ale gdzieindziéj odbywa się i ruch odwrotny: córki zbogaconych przemysłowców i kupców rękę swą wraz z posagiem oddają ziemianom, a więc kapitały, nagromadzone w miastach, płyną na wieś. Wątpić nie można, że i u nas kiedyś tak dziać się będzie, tymczasem ruch ze wsi do miasta jest zbyt świeży i nie miał jeszcze czasu się zawrócić.

Rody arystokratyczne w Anglii utrzymanie się do dnia dzisiejszego na wyniosłém swém stanowisku, bardziéj jeszcze niż majoratom, zawdzięczają posiłkom, nadciągającym nieustannie ze strony przemysłowych ognisk życia. „Rody te—powiada C. de Varigny [1],—przechowują wpływ swój i znaczenie przez powolne i stopniowe przypuszczanie do godości parostwa wielkich fortun przemysłowych".

We Francyi nakaz kodeksu, wymagający równego podziału ojcowizny, wywarł po części téż same skutki, co i u nas. Tylko że praktyczny zmysł narodu, bardziéj pod względem ekonomicznym wyrobionego, znacznie je złagodził przez umiejętne manipulowanie posiadanemi zasobami i przez odpowiednie oddziaływanie.

Nie mało się téż przyczyniła i ta okoliczność, że rodziny francuskie są mniéj liczne, to téż fortuny rzadko doznają raptownego wstrząśnięcia przez rozpadanie się od razu na wiele części.

W prowincyach znowu Nadreńskich, gdzie również obowiązuje kodeks Napoleona, a liczba dzieci jest tak jak u nas normalną, radzono sobie w sposób inny: obawiając się zbytniego odłużenia, dzielono ziemię w naturze, to téż tam własność doszła do „rozproszkowania", jak mówi Leroy-Beaulieu. Myśmy doszli do rezultatów innych: ziemia zbytnio rozdrobnioną nie została, lecz za to ją tłoczą długi nadmierne.

---

[1]) Les Grandes Fortunes aux États-Unis et en Angleterre.

STAN MAJĄTKOWY WŁASNOŚCI MAŁÉJ, ŚREDNIÉJ I WIĘKSZÉJ.

I.

Zanim w wywodach naszych pójdziemy daléj, musimy zdać sobie sprawę, jak własność ziemska rozpada się na przyjęte przez nas grupy wedle zajmowanych obszarów. Bez tego niepodobna było-by ocenić należycie odłużenia.

Badanie, oparte jedynie na cyfrach ogólnych, przeciętnych, nie wykryło-by dokładnie istotnego stanu rzeczy. Cyfry przeciętne ułatwiają oryentowanie się wśród całości, lecz poznanie szczegółów wymaga częściowego rozpatrzenia przedmiotu. Tak się dzieje w każdéj nauce: naprzód badacz zadawalnia się wrażeniami ogólnemi, a potém bierze się do mikroskopu.

Otóż w badanych przez nas 6757 dóbrach z przestrzenią wiadomą, pozostających w rękach chrześcian (5425) i żydów (436), prócz tego rozparcelowanych (896), procentowe stosunki dóbr i ilości mórg przedstawiają się w sposób następujący:

Z dóbr	w rękach chrześcian		w rękach żydów		parcelowanych	
	% dóbr	ilość mórg w tys.	% dóbr	ilość mórg w tys.	% dóbr	ilość mórg w tys.
Mniéj niż 60 mórg . .	22.1	27.3	23.9	2.3	25.3	5.0
Od 60 do 600 mórg.	49.5	711.4	50.0	59.3	68.3	143.8
„ 600 „ 1500 „	20.2	1023.2	18.3	76.0	5.6	37.4
„ 1500 „ 3000 „	6.1	687.0	5.5	47.6	0.8	13.6
wyżéj 3000 mórg . . .	2.1	601.7	2.3	50.6	—	—
Ogółem. . . .	100.0	3050.6	100.0	235.8	100.0	199.8

Widzimy przedewszystkiém, że stosunki procentowe dóbr większych, mniejszych i najmniejszych, w rękach chrześcian i żydów są niemal identyczne; istniejące różnice nigdzie nie sięgają 2%, w większości zaś wypadków niższe są od 1%. Nie można więc po-

wiedziéć, aby majątki żydowskie były przeważnie większe lub przeważnie mniejsze, żadnéj kategoryi nie brak i w żadnéj niéma nadmiaru, przeciwnie - rozkład wsród całości jest najzupełniéj równomierny. Parcelują się zaś głównie dobra małe: 93 6% takich dóbr przypada na nasze grupy I-ą i II-ą (niżéj 20 włók); z posiadłości średniéj parcelacya zabrała tylko 5.6%, z IV grupy ledwie 0.8%. Wśród majątków największych parcelacyi niéma już wcale.

Daléj widzimy, że najdrobniejsze majateczki, posiadające własne księgi w hypotekach gubernialnych, stanowią bardzo nieznaczną, bo niespełna setną cząstkę całego obszaru, chociaż wśród liczby dóbr wynoszą aż 22%, t. j. blisko ćwierć ogółu.

Podobny wypadek znajdujemy téż w grupie II-éj, t. j. wśród majątków drobnych (od 60 — 600 mórg): na liczbę tworzą one połowę wszystkich dóbr, przestrzeń zaś stanowi ćwierć całéj przestrzeni. Odwrotnie się dzieje w grupach następnych: tam ilość dóbr jest stosunkowo nieznaczna, ale za to obszary stanowią poważną część całości.

Majątki grupy III-éj (posiadłość średnia) są już stosunkowo mniéj liczne, gdyż dają tylko 20%, ale za to pod względem rozległości zajmują miejsce pierwsze: stanowią one trzecią część całego obszaru rozpatrywanéj własności.

Dóbr w dwóch pozostałych grupach jest już bardzo mało, w III-éj 6%, w IV-éj zaś ledwie 2%, ale, pod względem przestrzeni, majątki duże i największe zajmują poważne miejsce, gdyż do jednéj należy piąta, a do drugiéj szósta część ogólnego obszaru.

Szczegółowy przegląd odłużenia w każdéj grupie rozpoczniemy od majątków największych, przenoszących 3,000 mórg. Przy tém z początku mówić będziemy wyłącznie o własności chrześciańskiéj, potém zaś z kolei przejdziemy do majątków, znajdujących się w rękach żydów.

II.

W grupie V-éj (majątki przenoszące 3,000 mórg) dane nasze obejmują ledwie 112 dóbr, do chrześcian należących; co stanowi, jakeśmy widzieli, 2,1% téj własności.

Mała ta liczba dziwić nikogo nie powinna i bynajmniéj z niedokładności źródłowego materyału nie pochodzi. Własność ziemska w Królestwie znajduje się w stanie znacznego rozdrobnienia, dobra bardzo duże spotkać można tylko gdzie niegdzie. Co więcéj, wielkie fortuny częściéj, niż inne rodzaje posiadłości, ulegają rozczłonkowaniu przy działach spadkowych, nietylko więc jest ich mało, lecz, co wa-

żniejsza, coraz mniéj. Powtóre: i to na pamięci miéć trzeba, że u nas bardzo często majątki w rzeczywistości wielkie rozdrabniane są na mniejsze jednostki gospodarcze — folwarki, z osobnemi księgami hypotecznemi. Innemi słowy: gdyby rachować ilość ludzi, posiadaczów wielkich obszarów, nie zaś ilość dóbr wielkich, to większa własność urosła-by, zmalała-by zaś średnia. W wykazach naszych ten stan rzeczy ujawnia się w spólności imion i nazwisk właścicieli w wielu nieraz oddzielnych folwarkach.

Na jedne dobra w téj grupie wypada przeciętnie 5,372 morgi. Z gubernii pojedyńczych tylko w Siedleckiéj otrzymujemy liczbę od téj wyższą (6,853).

Nie zaciągnęło pożyczki w Towarzystwie Kredytowém z téj grupy 8 majątków, t. j. 7% całości z przestrzenią 73 tysięcy mórg. Na jeden majątek, wolny od długu Towarzystwa, przypada przeszło 9 tysięcy mórg, kiedy ogólna liczba przeciętna nie o wiele przenosiła 5 tysięcy. Ztąd na pierwszy rzut oka zdaje się wypływać wniosek, iż z kredytu Towarzystwa nie korzystają fortuny największe. Wniosek taki byłby jednak za pośpieszny, ze względu na małe liczby, z jakiemi mamy tu do czynienia; jeden bardzo duży majątek, niezadłużony w Towarzystwie, może wywołać taki rezultat, chociaż pozostałe 7 nie będą wcale większe, lub będą nawet mniejsze od liczby przeciętnéj. Tak też jest i w danym wypadku. Olbrzymie dobra Międzyrzeckie, liczące blisko 46 tysięcy mórg, obciążone są tylko drobniutkim długiem skarbowym. A więc w reszcie majątków, wolnych od należności Towarzystwa, obszar przeciętny jest nawet nieco niższy od średniego obszaru w téj grupie. Też same dobra podniosły rozległość przeciętnego majątku w gub. Siedleckiéj.

Całkiem wolnych od wszelkiego odłużenia znajdujemy majątków 6, czyli dwa korzystały z kredytu innego, pomijając Towarzystwo.

Dodać należy, że zapisanie się na listę stowarzyszonych przynosi nietylko pożyczkę, lecz daje możność spełniania pewnych funkcyi obywatelskich; można więc przypuszczać, że niejednokrotnie zaciągnięcie długu Towarzystwa na dobra spowodowane zostało – szczególniéj w téj grupie—bynajmniéj nie ekonomiczną potrzebą właściciela.

Przypuszczenie to jest tém prawdopodobniejsze, że z kredytu prywatnego korzystało tylko 65 majątków; a więc jakieś 40 dóbr zadowolniło się samą tylko pożyczką Towarzystwa, chociaż ta, stosunkowo do obszaru tego rodzaju posiadłości, jest bardzo nieznaczną.

Na jednéj mordze długi prywatne ciążą w sumie 13 rubli.

Na 7-miu majątkach z obszarem 33 tysięcy mórg ciążą należności skarbowe, wynoszące na morgę 12 rubli.

Reszty niespłaconych szacunków znajdujemy tylko na 4 majątkach w gub. Kaliskiéj (189 tys. rs.), na jednym majątku Piotrkowskiéj gub. (20 tys. rub.), oraz na 3 majątkach w Suwalskiéj (304 tys. rs.). Świadczy to, że dobra duże najrzadziéj zmieniają w drodze sprzedaży właściciela.

Ogół wszystkich sum posagowych wynosi 436 tysięcy rubli. Na morgę wypada zaledwie rubel jeden.

Znaczne wpisy kaucyjne spotykamy w gub. Kaliskiéj i w pow. Lubartowskim gub. Lubelskiéj.

Zgrupowawszy dobra téj kategoryi wedle stopnia odłużenia, otrzymamy następujące wyniki:

66 dóbr, więc przeszło połowa (59%), znajduje się w stanie pomyślnym, gdyż albo wcale odłużoną nie jest, albo też ogół jéj zobowiązań nie przenosi dwukrotnie należności Towarzystwa. Obszar tych dóbr tworzy również nieco więcéj, niż połowę całości obszaru tego rodzaju majątków (53%). Na jedne takie dobra wypada 4.9 tysięcy mórg.

20 dóbr (18%) znajduje się w sytuacyi, którą nazwać można wątpliwą, gdyż ciężary przewyższają 2–3 razy pożyczkę Towarzystwa, t. j., przyjmując nawet przypuszczenie uzasadnione w poprzednim artykule, iż w grupie majątków największych pożyczka Towarzystwa wynosi 25% szacunku dóbr, wypadnie nam, że przy tym stopniu odłużenia ciężary przechodzą połowę wartości i sięgają trzech czwartych. W takiém położeniu znajdujemy 90 tysięcy mórg, obszar ich stanowi 15%, na jedne zaś dobra przypada średnio 4.5 tysięcy mórg.

8 majątków (7%) doszło już do stanu krytycznego, gdyż odłużenie ich od 3—4 razy przenosi należność Towarzystwa, t. j. w najlepszym razie sięga wysokości szacunku dóbr. Obszar ich stanowi 73 tysiące mórg (12%).

Wreszcie więcéj niż w krytycznéṃ położeniu znajduje się dóbr 16 (14%), posiadających 69 tysięcy mórg (11%), co daje na jeden majątek 4.3 tysiące mórg.[1] Tu odłużenie przenosi przeszło 4 razy wziętą należność Towarzystwa, a więc przy każdym obrachunku wyższe jest od wartości.

Tylko co przytoczone liczby i wywody uważać należy za dosyć zbliżone do rzeczywistości, w każdym razie za bardziéj zbliżone, niż gdy chodzić będzie o własność drobniejszą, a to dlatego, że tu księgi hypoteczne prawdopodobnie dokładniéj odbijają istotny stan rzeczy.

[1]) Wszystkich majątków w téj grupie jest 112, myśmy tu mówili o 110, gdyż 2 majątki obciążone są długami prywatnemi, pożyczki zaś w Towarzystwie Kredytowém nie zaciągały.

Wątpić naprzykład można, czy w księgach hypotecznych majątków, w skład téj grupy wchodzących, figuruje wiele należności, które utraciły już swoją wartość, z wyjątkiem naturalnie rat, amortyzujących pożyczkę Towarzystwa Kredytowego lub należności skarbowe.

Wogóle biorąc, posiadłość największa znajduje się w Królestwie w położeniu względnie może najlepszém. Pożyczki Towarzystwa, które wzięliśmy tu za miarę do porównania przy ocenieniu ciężaru długów, w téj grupie dóbr są najmniejsze i stosunkowo zbyt małe. Szacunki, zapłacone w czasach ostatnich przy sprzedaży majątków, przekonywają, że przypuszczalne oznaczenie wartości, przez nas przyjęte, jest za niskie, co oczywiście wpłynęło na przecenienie ciężaru zobowiązań. Pomimo to, w grupach innych (z wyjątkiem grupy I, t. j. własności do 60 mórg, która jednak na wspólnych prawach do ogólnego rachunku włączoną być nie może), znajdziemy mniéj niż tu majątków, całkiem w egzystencyi niezagrożonych.

Zjawisko to jest zresztą dosyć zrozumiałe. Działy majątkowe w posiadłościach wielkich najłatwiéj dokonywać się mogą w naturze, a wskutek tego jedna z bardzo ważnych przyczyn wzrastającego odłużenia działa tu słabiéj, niż wśród własności mniejszéj. Powtóre: własność największa najwięcéj téż posiadać mogła zasobów, które pozwoliły jéj bronić się i zasłaniać od klęsk, spowodowanych kryzysem. Niektóre rodzaje dochodów w dobrach téj kategoryi, jak np. z lasów, z propinacyi, nie uległy wcale obniżce.

Tu wreszcie więcéj niż gdzieindziéj możliwe było ograniczenie wydatków, gdy pogarszający się stan interesów tego wymagać począł. A jest to okoliczność wcale niemałoważna. W kraju naszym konwenanse, przyzwyczajenia i w ogóle względy wszelkiego rodzaju dosyć wysoko podniosły stopę wymagań życiowych, co nieraz dotkliwie ciążyło na budżecie i w ostatecznym rezultacie odbijało się fatalnie na księdze hypotecznéj. Posiadacze drobnych fortun, choćby i chcieli, nie mogli znacznie ograniczyć potrzeb dotychczasowych, gdyż ich wydatki zawsze niezbyt dalekie być mogły od minimum. Co innego oczywiście właściciele dużych majątków. Ci mogli i - przyznać trzeba—częstokroć chcieli i umieli zaprowadzić oszczędność, gdyż coraz częściéj i wyraźniéj daje się u nas widzieć dokładne zrozumienie swego położenia, zrozumienie obowiązków jednostki. Dawne zgubne przesądy słabną w swéj sile i w końcu znikają, a to, co Anglicy nazywają *Standard of life*, obniżyło się znacznie.

Nie mało zaważyła i ta okoliczność, że zarząd majątków począł się poprawiać, wśród ziemian wiedza fachowa przestała być rzadkością, a właściciele przestrzegać poczęli maxymy: „pańskie oko konia tuczy“, co i wydatki zmniejszyło, i powiększyło dochody.

Jeżeli otrzymane stosunki procentowe zastosujemy do całego Królestwa, przyjmując, wskutek braku innych danych, że podział własności pozostał od r. 1878 niezmienionym, otrzymamy następujące rezultaty: Ilość własności ziemskiéj po nad 3,000 mórg we wszystkich guberniach Królestwa wynosi 3,280,525 mórg. W téj liczbie bez długów 134,501 mórg, z pożyczką Towarzystwa Kredytowego 560,970. Lub, kwalifikując według stopnia odłużenia:

w stanie pomyślnym	1,748,519	mórg
„ wątpliwym	492,079	„
„ krytycznym	396,943	„
„ więcéj niż krytycznym . .	377,260	„

III.

Wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli o fortunach magnackich, stosuje się w pewnéj mierze i do następującéj grupy majątków, z obszarem od 1,500—3,000 mórg. U nas folwarki, liczące 50 włók obszaru, uważane są i winny być uważane za posiadłość więcéj niż średnią. Pomimo to jednak, zasoby tu są oczywiście mniejsze, podział w naturze trudniejszy, a wskutek tego ciężkie czasy dotkliwiéj odbić się musiały na stanie odłużenia. Znajdujemy też stosunki nieco gorsze.

Z ogólnéj liczby 331 dóbr w grupie IV tylko 5%, (16 dóbr) niezaciągnęło pożyczki w Towarzystwie Kredytowém. Przeciętnie na jedne dobra w całéj grupie otrzymujemy 2,076 mórg, na dobra zaś odłużone w Towarzystwie 2,081. Różnicy więc prawie niéma.

Dług Towarzystwa na morgę tu pada już w sumie 17$^1/_2$ rubli, kiedy w poprzedniéj grupie mieliśmy tylko 13 rubli. Należności Skarbu i Banku na morgę wynoszą 16 rs. Długi prywatne ciążą blisko na $^3/_4$ majątków i dają 21 rs. na morgę. Reszty szacunków niespłaconych znajdujemy na $^1/_{12}$ części majątków, na jedną morgę wypada 23 ruble. Sumy posagowe obciążają w téj grupie aż $^1/_7$ część hypotek, w ilości 18 rs. na morgę. Kaucye też są znaczne, dźwiga je $^2/_5$ ogółu dóbr, na mordze jednéj tego rodzaju ciężar dochodzi do 12 rs.

Wszystkie rodzaje odłużenia we wszystkich guberniach, co do których posiadamy dane, rozkładają się mniéj więcéj jednakowo; wielkich różnic niéma, tylko kaucye w gubernii Suwalskiéj są znacznie większe, niż w innych.

W poprzedniéj grupie majątków całkiem niezagrożonych, t. j. wolnych zupełnie od długu lub obciążonych nie wyżéj jak dwa razy wzięta należność Towarzystwa, widzieliśmy 59%, tutaj mamy tylko 50% (166 dóbr). Pod względem obszaru w tém położeniu znajduje

się 340 tysięcy mórg, co stanowi również 50%. Na jedne dobra przypada 2,050 mórg, kiedy ogólna przeciętna liczba wynosi 2,076, czyli cyfry tak bliskie, iż nie można powiedzieć, ażeby lepiéj się miały majątki większe lub mniejsze téj grupy.

W położeniu jeszcze niekrytyczném, lecz już wątpliwém, t. j. z odłużeniem 2—3 razy większém, niż pożyczka Towarzystwa Kredytowego, znajdujemy majątków 86, a więc ćwierć ogółu (26%). Mórg do téj kategoryi odłużenia należy 178 tysięcy (26%). Na jedne dobra idzie przeciętnie 2,074 mórg — t. j. są to majątki nieco tylko mniejsze od przeciętnego w téj grupie (2,076).

Stan majątkowy, który wyżéj nazwaliśmy krytycznym, gdyż odłużenie 3—4 razy przewyższa pożyczkę Towarzystwa, spotykamy w 31 dobrach (9% przeszło), zajmujących przestrzeń 67 tysięcy mórg (blisko 10%). Przeciętna wypada 2,150 mórg. W sytuacyi więcéj niż krytycznéj znajdujemy majątków 40 (12%) z obszarem 86 tysięcy mórg (12½%). Na jedne dobra średnio otrzymujemy 2,145 mórg. Wobec więc ostatnich wypadków otrzymaliśmy przeciętne liczby wyższe, niż ogólna przeciętna dóbr w téj grupie. Zdaje się to wskazywać, że majątki większe znajdują się w położeniu gorszém. I tu jednak z wnioskiem śpieszyć się zbyt nie należy, bo cyfry są dosyć małe i pojedyńczy wypadek może dosyć wyraźnie odbić się na ogólnym obrachunku.

IV.

Przechodzimy do grupy III, t. j. do majątków z obszarem od 600—1,500 mórg. Jest to grupa pod względem przestrzeni zajmująca pierwsze miejsce. Obszar jéj wynosi trzecią część całego badanego obszaru. Znajdujemy téż w niéj 3 razy więcéj dóbr, niż w grupie poprzedzającéj, i 10 razy więcéj, niż w grupie majątków przenoszących 100 włók.

Z ogółu 1098 dóbr (na jedne przypada 932 morgi) [1]) pożyczkę w Towarzystwie zaciągnęło 1052 t. j. blisko 96%. Tu więc tak samo

[1]) Statystyka urzędowa w 1878 r. wykazywała dóbr od 600 do 1,500 mórg w 50 naszych powiatach 1,323 z przestrzènią 1,316,844 mórg; w całém zaś Królestwie 2,082 dóbr i 1,970,738 mórg. Brakujące u nas 225 majątków zaliczyć wypada do kategoryi przez nas opuszczonych w rachunku (majoraty, donacye i t. d.), lub do własności żydowskiéj, które w téj chwili pomijamy, albo wreszcie do dóbr z przestrzenią nieokreśloną. Mogła je również z téj grupy po r. 1878 zabrać parcelacya. W każdym razie mamy dane dla połowy przeszło własności tych rozmiarów, a więc wystarczyć one najzupełniéj mogą do wyprowadzenia wniosków znaczenia ogólnego (szczególniéj po dodaniu majątków żydowskich).

jak w grupie poprzedniéj wyjątkowo tylko gdzieniegdzie ukazują się dobra, niekorzystające z tego rodzaju kredytu.

Najmniéj odłużonych w Towarzystwie majątków posiada gub. Siedlecka, bo tylko 91%, najwięcéj powiaty gub. Warszawskiéj — 100%.

Na morgę należność Towarzystwa wynosi już w tej grupie 22 rs. Długi prywatne obciążają stosunkowo daleko mniejszą liczbę majątków (69,5%), ale za to na morgę podają w sumie wyższéj niż w grupach poprzednich, mianowicie wynoszą 24 ruble. Żadna gubernia nie wyróżnia się tu od innych — wszędzie znajdujemy stosunki téż same. Reszty niespłaconych szacunków figurują blisko w $^1/_{10}$ części ksiąg hypotecznych. W téj więc grupie znajdujemy liczby prawie téż same, co w poprzedzającéj. Okazuje się zatém, że ruch własności, jeżeli się nawet zmienia w zależności od obszaru, to bardzo nieznacznie. W guberni Płockiéj spotykamy liczby dosyć dalekie od przeciętnych, mianowicie sumy szacunkowe obciążają przeszło $^1/_5$ część dóbr (z 257 majątków—54), ale wynoszą tylko 14 rs. na morgę, kiedy we wszystkich badanych guberniach 20 rs.

Posagi w téj grupie odgrywają znaczniejszą rolę, niż w poprzednich; znajdujemy je na 18% dóbr, a na morgę dają 21 rubli. Stwierdza to wyżéj zrobioną uwagę, iż tu faktyczne działy dóbr zdarzać się muszą rzadziéj. W kaucyach i ewikcyach natomiast nie znajdujemy żadnéj prawie różnicy, figurują one na 38% i na morgę wynoszą 12 rubli.

Majątków w stanie pomyślnym w téj grupie jest 624, a więc blisko 57%. Jest to wypadek gorszy nieco, niż znaleźliśmy wśród fortun magnackich, ale lepszy, niż w grupie poprzedzającéj. Pod względem obszarów zachodzi ten sam stosunek, co i pod względem ilości dóbr, to jest w tym stanie odłużenia znajduje się 57% ogółu danéj grupy. Na jedne dobra przypada 925 mórg, to jest liczba nieco tylko niższa od przeciętnéj. Najwięcéj stosunkowo majątków całkiem nieodłużonych znajduje się w gub. Piotrkowskiéj (3,6%).

W sytuacyi wątpliwéj, czyli kiedy całość długów przenosi 2—3 razy pożyczkę Towarzystwa, znajdujemy dóbr 268, to jest blisko ćwierć ogółu (24.6%). Obszar wynosi 251.5 mórg, t. j. również ćwierć (24,6%). Na jedne dobra wypada 938 mórg.

Daléj, w sytuacyi krytycznéj, a więc z długami 3—4 razy przenoszącemi należności Towarzystwa, jest nieznaczna tylko cząstka dóbr—65, t. j. 6% ogółu. Obszar stanowi również ledwie 6% (62 tysiące mórg), lecz na jedne dobra przypada 953 morgi — są to więc majątki nieco większe od przeciętnego. Do stanu więcéj niż krytycznego doszło aż 115 dóbr, t. j. 10.5% ogółu i takaż sama

część przestrzeni (10,6%), wynosząca 108 tysięcy mórg. Na jedne dobra wypada 940 mórg.

Połączywszy razem dwie przedostatnie grupy majątków, otrzymamy dobra z obszarem od 600 — 3,000 morgów. Cała przestrzeń przez nie zajęta rozpadnie się wtedy pod względem odłużenia w sposób następujący:

1) Bez długu i z długami, których ogół nie przenosi dwa razy wziętéj pożyczki Towarzystwa (stan pomyślny)	53.7%	całego obszaru
2) Z długami, których ogół przenosi 2 — 3 razy pożyczkę Towarzystwa (stan wątpliwy)	25.2	„
3) Z długami, których ogół przenosi 3 — 4 razy pożyczkę Towarzystwa (stan krytyczny)	7.5	„
4) Z długami przenoszącemi 5 razy wziętą pożyczkę Towarzystwa (stan więcéj niż krytyczny)	11.3	„

Według statystyki z r. 1878, w dwóch tych kategoryach majątków w całém Królestwie było 4,455,180 mórg. Jeżeli przypuścimy, że znalezione wyżéj stosunki nie zmieniają się w tych powiatach, co do których brak nam danych, to dla całego kraju otrzymamy liczby następujące:

W stanie pomyślnym . . .	2,392,432	morgi
„ wątpliwym	1,122,705	„
„ krytycznym . . .	334,138	„
„ więcéj niż krytycznym	503,435	„

V.

Majątków grupy od 60—600 mórg w 50-ciu badanych powiatach dane nasze wykazują 2,686, z przestrzenią 711,430 mórg; na jedne dobra przypada zatem 265 mórg.

Liczby wyższe od téj przeciętnéj cyfry otrzymujemy w guberniach: Warszawskiéj (311 mórg na jedną posiadłość), Kaliskiéj (299 m.), Lubelskiéj (280 m.), Piotrkowskiéj (305 m.) i Siedleckiéj (287 m.) Niższe zaś—w guberniach: Płockiéj (228 m.) i Suwalskiéj (200 m).

Pod względem liczby majątków ta grupa jest największa. Znajdujemy w niéj 2½ raza tyle dóbr, co w poprzedzającéj; 8 razy więcéj niż w IV (do 100 włók); i 25 razy więcej niż w V grupie (wyżéj nad 100 włók). Dług Towarzystwa Kredytowego ciąży na 1,989 majątkach

téj grupy, które tworzą 74% ogółu. Widzimy więc tutaj różnicę z grupami poprzedzającemi. Tam zaciągały pożyczkę z małym wyjątkiem wszystkie dobra,—tu przeszło czwarta część nie korzysta z dogodności kredytu Towarzystwa. Przeciętnie jedne dobra, zadłużone w Towarzystwie, posiadają 293 morgi, kiedy taż przeciętna wszystkich dóbr wynosi 265 m. Czyli nie uciekały się do pożyczki w Towarzystwie Kredytowem dobra mniejsze, więcéj zbliżone do własności drobnéj. Na morgę należność ta wynosi 26 rs.

Długi skarbowe znajdujemy na 4% wszystkich hypotek; na mordze ciąży 22 rs.

Od długów prywatnych jest również wolnych dużo posiadłości, gdyż widzimy je tylko na 60% hypotek; są one pomimo to znaczne, gdyż na morgę wypada suma, dotychczas niespotykana, 35 rubli. Na jeden majątek obciążony długiem prywatnym przypada 259 mórg, t. j. liczba o 6 zaledwie mórg niższa od ogólnéj przeciętnéj.

Należności szacunkowe figurują w 10% majątków i także są wysokie, gdyż dają na morgę 32 ruble. Na jedną posiadłość obarczoną tym długiem wypada 240 mórg, t. j. o 25 m. mniéj, niż w ogólnéj przeciętnéj. Dowodzi to, że sprzedawane i nabywane są majątki mniejsze częściej, niż większe.

Liczby dla sum posagowych są bardzo zbliżone do poprzednich. Obciążone niemi dobra wśród ogółu stanowią 9%, a na morgę wypada 30 rubli. Lecz przeciętny majątek, wynoszący 342 morgi, jest—odwrotnie jak przy wypadku sum szacunkowych—znacznie większy od ogólnéj liczby przeciętnéj.

Również większy znacznie od téj liczby jest średni majątek, obarczony kaucyami i ewikcyami, gdyż wynosi 300 mórg. Takich majątków jest 811, t. j. 30%. Na morgę wypada 17 rubli.

Całkiem wolnych od wszelkiego długu jest 10% ogółu dóbr. Przeciętnie dobra takie liczą tylko 196 mórg, t. j. o 69 mórg mniéj, niż ogólna przeciętna.

W większości więc wypadków znaleźliśmy, że w téj grupie posiadłości mniejsze mniéj téż są odłużone.

Wypadek powyższy upoważnia zdaje się do przypuszczenia, iż w téj kategoryi własności posiadacze drobniejsi mniéj mają wymagań życiowych, więcéj oddają się osobiście pracy na roli, a wskutek tego mają się lepiéj. Nietylko zasoby ich stosunkowo do obszaru majątków są większe, ale także łatwiéj sobie radzić potrafią w każdym wypadku; to téż ciężkie czasy mniéj tu szczerb zrobiły, niż wśród posiadłości pozornie silniejszéj. Zjawisko to zasługuje na podkreślenie.

W dalszym ciągu pracy będziemy mieli sposobność przytoczyć cyfry, dowodzące, iż własność tych rozmiarów mniéj niż dobra większe uciekać się musiała do kredytu u żydów. Ponieważ zaś kredyt ten est uciążliwszy, więc dowodzi to, że posiadacze drobni znajdują się w warunkach pomyślniejszych, kiedy pozostała im możność robienia dowolnego wyboru pomiędzy wierzycielami. Gdy położenie jest bardzo złe, bierze się pieniądze od każdego, kto tylko dać zechce.

Pomyślny stan majątkowy spotykamy w grupie II-ej, w 1,504 dobrach, co stanowi blisko 56% ogółu dóbr i nieco więcéj, niż 56% obszaru. Na dobra takie przeciętnie wypada 260 mórg. W położeniu wątpliwém mamy 408 dóbr, t. j. 15% ogółu majątków i 17,6% obszaru. Jedna posiadłość liczy 308 mórg. Sytuacya krytyczna grozi 134 dobrom, które tworzą prawie 5% ogółu dóbr i przeszło 6% przestrzeni. W dobrach przeciętnych znajdujemy 328 mórg. Wreszcie w stan więcéj niż krytyczny pogrążonych jest 214 dóbr, a więc 8% ogółu majątków i 9.5% przestrzeni. Dobra takie przeciętnie liczą 315 mórg.

Tu znowu widzimy, że w lepszém położeniu znajdują się posiadłości mniejsze. Przeciętny obszar wzrasta wraz z gorszym stanem majątkowym.

Zwrócić należy uwagę, że wszystkie liczby średnie, jakie znaleźliśmy dla czterech wypadków odłużenia, większe są od ogólnéj przeciętnéj. Na pierwszy rzut oka może się to wydać omyłką rachunku, tak jednak nie jest; przyczyna dziwnego wypadku tkwi w tém, żeśmy do obliczeń nie wciągnęli dóbr, niemających pożyczki Towarzystwa, a jednak odłużonych. Są to mająteczki w grupie najmniejsze, i one tak znacznie obniżyły ogólną przeciętną.

Statystyka urzędowa naliczyła w r. 1878 posiadłości z obszaru od 60 - 600 mórg 1,539,764 morgi; podzieliwszy je proporcyonalnie do cyfr wyżéj otrzymanych znajdziemy:

Wolnych od wszelkiego długu	115,482	morgi
Z długiem tylko Tow. Kredyt.	284,856	„

Czyli inaczéj:

w stanie pomyślnym	865,347	mórg
„ wątpliwym	270,998	„
„ krytycznym	95,465	„
„ więcéj niż krytycznym	146,277	„

VI.

Przystępując do odłużenia własności najdrobniejszéj, przypomniéć musimy, iż w kraju naszym znajduje się wiele bardzo działek, należących do drobnéj szlachty, zwanéj zagonową. Według statystyki urzędowéj z r. 1878 posiadłość tego rodzaju rozpadała się na następujące grupy:

do 30 mórg	38,187	właścicieli,	posiadających	534,188 mórg
30—50 „	5,240	„	„	200,352 „
50—100 „	2,159	„	„	145,324 „
Razem	45,586	właścicieli,	posiadających	881,864 mórg.

Drobna szlachta przemieszkuje przeważnie w guberniach: Łomżyńskiéj, Siedleckiéj, Piotrkowskiéj i Warszawskiéj.

Zestawiając liczby powyższe z cyfrą ogólnéj posiadłości szlacheckiéj, otrzymamy:

cała posiadłość szlachecka liczy	52,648	właścicieli i	9,297,594 morgi
posiadłość szlachty zagon. liczy	45,586	„	881,864 „

czyli posiadłość szlachty, odtrąciwszy zagonową, liczy 7,062 właścicieli i 8,415,730 mórg; a więc w 1878 r. mająteczki drobnéj szlachty wśród ogółu posiadłości szlacheckiéj stanowiły 86%, obszar zaś—tylko 9.5%.

W 50 rozpatrywanych przez nas powiatach znajdujemy tylko 1,198 mająteczków mniejszych, niż 60 mórg. Na jeden wypada przeciętnie 23 morgi. Taka sama prawie liczba (11 desiatyn) wypadła z obliczeń statystyki urzędowéj w r. 1878 dla całego Królestwa.

Wyższe liczby przeciętne spotykamy w guberniach: Piotrkowskiéj (24 morgi), Płockiéj (28 m.) i w Siedleckiéj (32 m.). Niższe zaś: w Warszawskiéj (17 mórg na jeden mająteczek), w Kaliskiéj (22 m.) i w Lubelskiéj (20 m.) W gub. Suwalskiéj liczba przeciętna jest taż sama, co dla ogółu rozpatrywanych powiatów, to jest 23 morgi.

W grupie téj znajdujemy jeszcze mniejszą liczbę majątków, zadłużonych w Towarzystwie kredytowém, niż w grupie poprzedniéj, mianowicie zaledwie 27%. Suma za to wypadająca na morgę jest wyższa, niż gdzieindziéj, bo dochodzi do 29 rubli.

Przeciętnie majątek taki liczy 27 mórg, a więc kredytu w Towarzystwie szukają w téj grupie posiadłości większe.

Należności skarbowe spotykają się nader rzadko, bo ledwie na na 1.4% majątków, za to suma takiego długu na jedną morgę jest znaczna—73 ruble.

Prywatnie również w téj grupie odłużonych jest niewiele posesyi (37%), ale istniejące należności są stosunkowo do obszaru olbrzymie, gdyż na morgę wypada 94 ruble. Pochodzi to ztąd—jak tłómaczymy gdzieindziéj—że pomiędzy posiadłościami tego rodzaju znajduje się sporo osad fabrycznych, młynów i t. d.

Jeszcze znaczniejszą sumę z tego samego powodu znajdujemy przy resztach szacunków niespłaconych: na mordze dochodzą one do 170 rubli, a ciążą na 5% majątków.

Sumy posagowe obarczają 1.6% dóbr i znowu na morgę dają kwotę bardzo znaczną, bo 166 rubli. Kaucye mamy na 11.2% majątków w sumie 77 rubli na morgę.

Długów nie zaciągnęło wcale w téj grupie aż 40.6% dóbr. Są to znowu mająteczki drobniejsze, bo przeciętnie liczą 20 mórg.

W stanie pomyślnym znajdujemy w téj grupie 738 mająteczków, co stanowi przeszło 61% dóbr i 60.7% przestrzeni. Średnio na jedną posiadłość przypada 23 morgi, to jest tyle, ile wynosi przeciętna w téj grupie. Wątpliwa sytuacya obejmuje 42 dobra, tworzące 3.5% ogółu majątków i 4.4% całéj przestrzeni. Na jedne dobra przypada 29 mórg. Położenie krytyczne zagraża 12 majątkom, które stanowią 1% wszystkich dóbr i 1.1% obszaru. Średnio majątek taki liczy 25 mórg. Stan więcéj niż krytyczny spotykamy w 20 posiadłościach. Wśród ogółu dóbr tworzą one 1.7%, a wśród obszaru blisko 2%. Na dobra średnio przypada 26 mórg.

Obrachunek powyższy zrobiliśmy, aby zachować jednostajność nomenklatury i zgrupowania. W istocie jednak nazwy, użyte tu dla określenia sytuacyi majątkowéj i stopnia odłużenia dóbr, nie odpowiadają ściśle rzeczywistemu stanowi rzeczy. Widzieliśmy mianowicie, jak wysokie sumy wypadały na morgę w długach prywatnych, w resztach szacunku i posagach. Pochodziło to ztąd, iż wiele mająteczków tego rodzaju posiada wartość inną jeszcze, niż obszar gruntu, na który pożyczki udziela Towarzystwo Kredytowe. To téż, kiedy należność Towarzystwa w téj grupie na mordze wyższą była od tejże należności w grupach poprzednich o kilka rubli zaledwie, różnica w długach innych wynosiła sto i sto kilkadziesiąt rubli. A więc liczbowe porównanie ogółu odłużenia z pożyczką Towarzystwa Kredytowego nie może miéć tego znaczenia, co w grupach poprzednich. Stan majątkowy mająteczków najdrobniejszych, o ile naturalnie odzwierciadlają go księgi hypoteczne, lepszy jest, niż go rachunek wskazuje.

Rozpatrując odłużenie téj grupy majątków w guberniach pojedyńczych, znajdujemy dosyć znaczne różnice — większe, niż gdy chodziło o dobra rozleglejsze. Gubernia Siedlecka np. nie posiada wcale

drobnych posiadłości, odłużonych wyżéj, jak 2 razy wzięta pożyczka Towarzystwa. Znaczy to, iż tam wszystkie tego rodzaju mająteczki— o ile naturalnie posiadają hypoteki i odłużone są w Towarzystwie – znajdują się w stanie pomyślnym. W powiatach gub. Warszawskiéj jest tylko jeden majątek (48 mórg) w sytuacyi wątpliwéj, gdyż długi jego przenoszą dwa razy wziętą pożyczkę Towarzystwa (chociaż mniéj niż 2½ raza).

Gorszy stan znajdujemy w gub. Lubelskiéj, gdzie 3.1% majątków doszło do sytuacyi wątpliwéj, a 2.8% do więcéj niż wątpliwéj i krytycznéj. Jeszcze gorzéj dzieje się w Kaliskiéj: tam 6.4% dóbr wedle przyjętéj normy zaliczyć wypada do stanu wątpliwego, 4.8%—do więcéj niż wątpliwego i krytycznego. Nie należy jednak zapominać, że gub. Kaliska, jako przemysłowa, posiada właśnie dużo osad fabrycznych, do których nasz sposób oceniania doniosłości długów nie nadaje się wcale.

Przeniósłszy te same stosunki do ogółu drobnéj własności w Królestwie (w r. 1878), otrzymamy liczby takie:

Bez długu	240,591	mórg
Z długiem wyłącznie Towarzystwa Kredytowego	106,261	„

Lub kwalifikując wedle stopnia odłużenia:

W stanie pomyślnym	407,000	mórg
„ wątpliwym	29,405	„
„ więcéj niż wątpliwym	7,351	„
„ krytycznym	12,698	„

VII.

Majątków w rękach żydów z przestrzenią określoną znajduje się 436, co stanowi 8% takichże dóbr chrześciańskich. Majątków z przestrzenią nieokreśloną 64; co stanowi tylko 3% dóbr chrześciańskich.

Na jedne dobra żydowskie wypada 541 morga, a więc o 21 mórg mniéj, niż otrzymaliśmy dla posiadłości chrześciańskich.

Różnice w odłużeniu pomiędzy dobrami chrześciańskiemi a żydowskiemi są znaczne, i w liczbach ogólnych, i w pozycyach poszczególnych.

Pożyczkę Towarzystwa Kredytowego zaciągnęło dóbr chrześciańskich 69.7%, żydowskich zaś tylko 48.4%—więc znacznie mniéj żydów chce, czy potrzebuje, korzystać z dobrodziejstwa kredytu w instytucyi ziemiańskiéj. We wszystkich naszych grupach, biorąc je pojedyńczo, dobra żydowskie w mniejszéj liczbie niż chrześciańskie zaciągały pożyczki w Towarzystwie, ale szczególniéj duże różnice znaj-

dujemy w dwu pierwszych grupach, t. j. wśród majątków małych. Za to pożyczki, otrzymywane przez żydów, są stosunkowo wyższe (z wyjątkiem grupy III). W innych grupach różnice nieznaczne. Suma należności Towarzystwa, przypadająca na morgę, w dobrach żydowskich taż sama jest, co i w chrześciańskich—20 rs.

Pod względem długów prywatnych znajdujemy stosunek podobny, tylko mniéj odległy; mianowicie, tak samo jak w poprzedzającym, wypada 48.4°/₀ majątków żydowskich zaciągnęło pożyczki od osób prywatnych, tymczasem dóbr chrześciańskich z tego rodzaju kredytu korzystało więcéj, bo aż 57.7°/₀.

W pojedyńczych grupach wszędzie dóbr żydowskich mniéj nieco, niż chrześciańskich, zaciągało długi prywatne, ale różnic wielkich niéma. Niéma też wielkich różnic w sumach należności, przypadających na morgę, są one raz nieco mniejsze, drugi raz nieco większe; tylko w grupie mająteczków najdrobniejszych znowu mamy liczby, daleko od siebie odskakujące: na jednéj mordze w dobrach żydowskich ciąży 157 rs., w chrześciańskich tylko—94. Przeciętnie we wszystkich grupach u żydów na morgę przypada 28 rs. u chrześcian—24.

Reszty niespłaconych szacunków ciążą na 7.1°/₀ ogółu majątków żydowskich i na 8.6°/₀ majątków chrześciańskich; w grupach jednak majątków większych zachodzą stosunki odwrotne, mianowicie: większy jest procent obarczonych dóbr żydowskich, niż chrześciańskich. Pod względem wysokości sumy, przypadającéj na jedną morgę, znaczniejszą różnicę widzimy w grupie poniżéj 60 mórg — odwrotnie niż było w wypadkach poprzedzających; na własności chrześciańskiej suma ta dochodzi do 170 rs., na żydowskiéj tylko do 38. Różnica więc tworzy aż 132 rs. W grupie IV na mordze w dobrach chrześciańskich ciąży 23 rs. w żydowskich zaledwie 2 rs. Średnio liczby te wypadają: w posiadłości chrześciańskiéj 24 rs. w żydowskiéj—18 rs. na morgę.

Wnosić ztąd zdaje się można, że żydzi przystępują do nabywania ziemi z większym zasobem środków.

Sumy posagowe znajdują się na 3.9°/₀dóbr żydowskich i na 8.9°/₀ chrześciańskich.

Tu znowu okazuje się, iż w grupie do 60 mórg morga posiadłości chrześciańskich jest znacznie silniéj odłużona (166 rs.) niż morga posiadłości żydowskiéj (13 rs.) W drugiéj grupie już jest stosunek odwrotny: dług w dobrach żydowskich jest o 45 rs. na mordze wyższy, niż w chrześciańskich. Przeciętnie mamy 25 rs. u żydów i 21 rs. u chrześcian. Różnic więc znacznych—jak widzimy—niéma.

Należności skarbowe obciążają 1.6°/₀ majątków żydowskich, chrześciańskich zaś 3.2°/₀. Na morgę posiadłości żydowskiéj wypada 26 rs., chrześciańskiéj 15 rubli. Najdrobniejsze majątki żydowskie tego

długu wcale nie mają; za to wśród dóbr największych żydowska własność więcéj z niego korzysta (10%), niż chrześciańska (6.2%).

Kaucye i ewikcye we wszystkich grupach dóbr na mordze majątków żydowskich ciążą w sumach znaczniejszych, niż na mordze w majątkach chrześciańskich. Różnica jest tém większa, im mniejsze dobra; w miarę zaś wzrastania obszarów—słabnie. W grupie I wynosi ona 228 rs., w II—35, w III—15, w IV już tylko 3, w V znowu nieco wzrasta, gdyż dochodzi do rs. 7.

Przeciętnie u żydów na morgę wypada rs. 25, u chrześcian mieliśmy tylko 12. Natomiast pod względem stosunkowéj ilości dóbr, obarczonych kaucyami, nie znajdujemy znacznych różnic.

Tylko w grupie V-éj wśród majątków żydowskich ciężar tego rodzaju obarcza 70%, a wśród chrześciańskich tylko 38.4%. W ogóle zaś kaucye i ewikcye znajdujemy na 26.3% dóbr żydowskich i na 28.3% dóbr chrześciańskich.

Gdybyśmy zestawili przeciętne liczby dla ogółu dóbr chrześciańskich i żydowskich, to przekonalibyśmy się przedewszystkiém, że żydowskich dóbr mniéj niż chrześciańskich ucieka się do kredytu hypotecznego.

W żadnym rodzaju odłużenia nie znajdujemy pod tym względem wyjątku. Największą zaś różnicę mieliśmy przy pożyczkach Towarzystwa Kredytowego. Natomiast co do wysokości odłużenia na morgę ziemi zdarza się rozmaicie. Liczby raz wypadają na korzyść żydów, drugi raz chrześcian.

Zamieszczona w przypisku tablica zawiera całkowite zestawienie ciężarów w dobrach żydowskich i chrześciańskich we wszystkich rodzajach odłużenia i we wszystkich grupach posiadłości [1]. (Nota umieszczona na następnéj kolumnie).

Wolnych od wszelkiego odłużenia majątków żydowskich mamy 18.5%, liczących średnio po 169 mórg; chrześciańskich zaś 14.6% z przeciętną 154 morgi. A więc stosunkowo znacznie więcéj ziemi żydowskiéj niż chrześciańskiéj nie dźwiga na sobie żadnego ciężaru hypotecznego. Dużo nieodłużonych dóbr żydowskich znajdujemy w grupie II (mała posiadłość) i wśród własności średniej. Mająteczków najdrobniejszych nieodłużonych w rękach żydów jest stosunkowo mniéj, niż w rękach chrześcian. Poczynając zaś od 1,500 mórg, nieodłużonych dóbr żydowskich niéma wcale.

Obciążonych wyłącznie pożyczką Towarzystwa kredytowego dóbr żydowskich znajduje się 13.5%, chrześciańskich 17.3%; ale kiedy na jedne takie dobra żydowskie przypada 671 morga, na chrześciańskie tylko 546. A więc żydowskich majątków w tém położeniu jest stosunkowo mniéj, ale za to obszar ich większy. W grupach majątków

małych i największych dóbr żydowskich, obciążonych wyłącznie należnością Towarzystwa, spotykamy mniéj niż chrześciańskich—w dwu grupach środkowych więcéj.

Pod względem stopnia odłużenia mamy liczby następujące: Z 10 dóbr największych (z przeciętną 5,057 mórg) znajdujemy:

w stanie pomyślnym
majątków 3 (30%); mórg 19,112 (38 %) z przec. 6371 m.
„ wątpliwym
majątków 4 (40%); „ 19,146 (38 %) „ 4786 „
„ krytycznym
majątków 1 (10%); „ 3,340 (6.5%) „ — „

---

[1])

Długi oraz przynależności dóbr	Dobra niżéj 60 mórg		Dobra od 60 do 600 mórg		Dobra od 600 do 1,500 mórg		Dobra od 1,500 do 3,000 mórg		Dobra wyżéj 3,000 mórg		Ogół dóbr (liczby przeciętne)	
	% dóbr	na morgę wypada rs.	% dóbr	na morgę wypada rs.	% dóbr	na morgę wypada rs.	% dóbr	na morgę wypada rs.	% dóbr	na morgę wypada rs.	% dóbr	na morgę wypada rs.
Towarzystwa Kredytowego												
chrześciańsk.	$27_{,13}$	29	$74_{,1}$	26	$95_{,8}$	22	$95_{,1}$	17	$92_{,8}$	13	$69_{,7}$	20
żydowskie	*$4_{,8}$*	*68*	*$54_{,1}$*	*28*	*$81_{,3}$*	*19*	*$83_{,3}$*	*18*	*$90_{,10}$*	*16*	*$48_{,4}$*	*20*
Prywatne												
chrześciańsk.	$37_{,10}$	94	$60_{,3}$	35	$69_{,5}$	24	$72_{,18}$	21	$58_{,0}$	13	$57_{,7}$	24
żydowskie	*$32_{,6}$*	*157*	*$53_{,12}$*	*45*	*$58_{,6}$*	*21*	*$62_{,5}$*	*27*	*$50_{,10}$*	*12*	*$48_{,1}$*	*28*
Reszty szacunkowe												
chrześciańsk.	$5_{,0}$	170	$10_{,1}$	32	$9_{,4}$	20	$8_{,1}$	23	$7_{,1}$	13	$8_{,6}$	24
żydowskie	*$2_{,8}$*	*38*	*$6_{,4}$*	*36*	*$12_{,5}$*	*18*	*$12_{,5}$*	*2*	*$10_{,10}$*	*19*	*$7_{,1}$*	*18*
Posagi												
chrześciańsk.	$1_{,6}$	166	$9_{,1}$	30	$17_{,9}$	21	$14_{,5}$	18	$6_{,1}$	1	$8_{,9}$	21
żydowskie	*$0_{,9}$*	*13*	*$4_{,1}$*	*75*	*$7_{,5}$*	*14*	*0*	*0*	*$10_{,10}$*	*12*	*$3_{,9}$*	*25*
Skarbowe												
chrześciańsk.	$1_{,4}$	73	$4_{,0}$	22	$3_{,3}$	11	$4_{,2}$	16	$6_{,1}$	12	$3_{,2}$	15
żydowskie	*0*	*0*	*$1_{,8}$*	*53*	*$1_{,1}$*	*6*	*$4_{,2}$*	*44*	*$10_{,0}$*	*2*	*$1_{,6}$*	*26*
Kaucye i ewikcye												
chrześciańsk.	$11_{,2}$	77	$30_{,2}$	17	$38_{,2}$	12	$39_{,6}$	12	$38_{,4}$	6	$28_{,3}$	12
żydowskie	*$15_{,4}$*	*305*	*$23_{,9}$*	*52*	*$38_{,6}$*	*27*	*$37_{,5}$*	*15*	*$70_{,10}$*	*13*	*$26_{,3}$*	*25*

W stanie więcéj niż krytycznym majątków	1 (10%);	„ 3,890 (7,8%)	„	— „

Liczby powyższe są zbyt małe, aby na ich podstawie można było budować jakie wnioski. Przypomnimy tylko, iż w odnośnéj grupie dóbr chrześciańskich w stanie pomyślnym znaleźliśmy 59%, a przestrzeni 53%. W stanie zaś wątpliwym dóbr 18%, a przestrzeń 15%.

Z 24 dóbr żydowskich z przestrzenią do 1,500—3,000 mórg, liczących przeciętnie po 1,983 morgi, otrzymujemy:

w stanie pomyślnym majątków	11 (45.7%);	mórg 23,000 (48.3%)	z przec.	2093 m.
„ wątpliwym majątków	6 (25.0%);	„ 12,700 (26.7%)	„	2117 „
„ krytycznym majątków		niéma wcale		
„ więcéj niż krytycznym majątków	3 (12.5%);	„ 5,600 (11.8%)	„	1861 „

A więc dobra, znajdujące się w stanie pomyślnym i wątpliwym, są większe od przeciętnego obszaru, znajdujące się zaś w stanie krytycznym—mniejsze. Tu liczby bardziéj niż w wypadku poprzedzającym zbliżają się do odpowiednich cyfr wśród majątków chrześciańskich: w stanie pomyślnym jest wprawdzie mniéj o 4%, ale za to niéma wcale posiadłości w stanie krytycznym; pozycye druga i czwarta są niemal identyczne.

Z 80 dóbr grupy III (600 — 1,500 mórg), liczących przeciętnie 950 mórg, znajduje się:

w stanie pomyślnym majątków	39 (48.7%);	mórg 36,800 (48.4%)	z przec.	945 m.
„ wątpliwym majątków	15 (18.7%);	„ 16,000 (21.1%)	„	1068 „
„ krytycznym majątków	2 (2.5%);	„ 1,600 (2.1%)	„	827 „
„ więcéj niż krytycznym majątków	12 (15.0%);	„ 11,300 (14.8%)	„	946 „

Tu znowu w położeniu gorszém są dobra mniejsze, w lepszém—większe. W stanie pomyślnym i w téj grupie mamy posiadłości znacznie mniéj, niż wśród majątków chrześciańskich (56.8%), ale za to i w krytycznym jest również mniéj (6%).

Z 218 dóbr grupy II (60—600 mórg) liczących przeciętnie 272 morgi, znajduje się:

w stanie pomyślnym majątków	110	(50.5%)	mórg	31,700	(53.5%)	z przec.	288	m.
„ wątpliwym majątków	23	(10.5%)	„	7,800	(13.1%)	„	340	„
„ krytycznym majątków	5	(2.3%)	„	1,000	(1.7%)	„	186	„
„ więcéj niż krytycznym majątków	22	(10.1%)	„	6,100	(10.3%)	„	275	„

Tak samo jak w grupach poprzednich, w położeniu lepszém znajdują się dobra większe. Różnica z dobrami chrześciańskiemi jest tu mniejsza, niż w posiadłości średniéj i większéj, chociaż zawsze wypada w tym samym kierunku: mniéj stosunkowo dóbr w stanie pomyślnym (chrześciańskich 55.9%, żydowskich 50.5%).

Z pomiędzy 104 dóbr najdrobniejszych, liczących przeciętnie 22 morgi, znajduje się:

w stanie pomyślnym majątków	37	(35.6%)	mórg	759	(32.5%)	z przec.	20	m.
„ wątpliwym majątków	1	(0.9%)	„	44	(1.9%)	„	—	„
„ krytycznym majątków	1	(0.9%)	„	32	(1.4%)	„	—	„
„ więcéj niż krytycznym majątków	2	(1.9%)	„	69	(3.0%)	„	34	„

Tu występuje najdobitniéj to, co już dostrzédz można było w grupach poprzednich i na co wyżéj zwracaliśmy uwagę, mianowicie, że wśród dóbr żydowskich stosunkowo mało zaciąga pożyczki w Towarzystwie Kredytowém, znacznie mniéj, niż dobra chrześciańskie, i wskutek tego porównanie z ostatniemi jest trudne i nie daje rezultatów właściwych.

W téj grupie stan odłużenia jest w ogóle całkiem zadawalniający: w położeniu pomyślném mamy 37 dóbr (w téj liczbie 36 nie ma żadnych ciężarów) w krytyczném tylko 3. Tymczasem w porównaniu z chrześciańskiemi wypadają liczby poprostu mizerne: tam mieliśmy 61.1% dóbr w stanie pomyślnym, tu zaledwie 35.6% t. j. polowa. Pochodzi to, powtarzamy, ztąd, że znaczna część majątków, w obu wypadkach różna, wymyka się nam z obrachunku, gdyż nie jest odłużona w Towarzystwie Kredytowém.

VIII.

Dla ostatecznego uzupełnienia obrazu musimy jeszcze krótką wzmiankę poświęcić dobrom poduchownym. Jest ich niewiele i dlatego wciągnięcie ich do ogólnego obrachunku wielkich różnic nie sprowadza—trochę jednak powiększają one cyfry, wyrażające stopień odłużenia.

Nabywca za takie dobra płaci ledwie jakąś dziesiątą część szacunku, $^{9}/_{10}$ pozostają i figurują w księdze hypotecznéj jako dług skarbowy. Pomimo to, nowonabywcy często równocześnie z kupnem zaciągają dalsze długi, nieraz bardzo wysokie; znajdujemy wypadki, w których należności prywatne 10 do 15 razy przenoszą sumę uiszczoną przy kupnie majątku. Są to więc wypadki bardzo różne od zwyczajnych tranzakcyi i od zwyczajnych hypotek.

Przedstawiwszy smutny stan własności ziemskiéj w chwili obecnéj, musimy zastanowić się także nad przypuszczalnemi skutkami jego w przyszłości.

Dochody się zmniejszyły, znaczna część dóbr skutkiem tego zabrnęła tak głęboko w długi, że wyjścia niéma; przytém, jak to w następnym artykule zobaczymy, zaofiarowanie ziemi i z innych przyczyn jest wielkie - większe, aniżeli wymaga tego interes kraju, większe, aniżeli pozwalają na to warunki ekonomiczne chwili. Czy znajdzie posiadłość rolna jakich nowych nabywców? kto oni będą? i co z sobą przyniosą? — na te pytania, na zasadzie dotychczas powołanych cyfr, odpowiedzieć jeszcze niepodobna. Im przyszłość jest niepewniejsza, tém bardziéj podejrzewać ją należy, tém bardziéj wystrzegać się wypada wniosków nieugruntowanych na faktach, szczególniéj zaś, jeżeli potrzebne fakty zebrane i zbadane być mogą. Nie zapytać cyfr, gdy chodzi o rzecz wielkiéj wagi dla przyszłości całego kraju, byłoby tém samém, co niespojrzéć na bussolę, gdy niepomyślne wiatry miotają okrętem.

W ostatnich paru dziesiątkach lat znaczna ilość upadającéj własności większéj, — 1,465 dóbr — przeszła w ręce rolników drobnych, którzy po większéj części zbiorowemi siłami nabywali obszary duże i parcelowali je między sobą. Jak na teraz, są to w kraju naszym najpewniejsi i najpożądańsi kupcy na ziemię. Wypada więc nam zbadać, jaki jest stan majątkowy tych dóbr rozparcelowanych. Dopiero gdy poznamy, jakie są skutki gospodarstwa tych nowonabywców, czego od nich spodziewać się może ogół w przyszłości pod

względem materyalnym i moralnym; gdy się dowiemy, czy ten sposób wyjścia ratuje ziemię od nadmiaru odłużenia, będziemy mieli przed oczyma całość obrazu, będziemy wiedzieli, co jest i czego się spodziewać można.

Wtedy, po krytycznem rozstrząśnięciu czynników ekonomicznych i prawodawczych, potęgujących lub osłabiających popyt na ziemię u nas i w guberniach ościennych, przyjdzie koléj na wnioski praktyczne, na szukanie sposobów, które-by uwolniły najważniejszą gałąź naszéj wytwórczości od groźby zmarnienia pod nawałem tłoczących ją ciężarów.

Niéma zapewne środka, któryby jedném cięciem rozciął ten gordyjski węzeł splątanych potrzeb, względów, trudności, — a sama jedna parcelacya z pewnością takim środkiem nie jest; należy jednak szukać sposobów, które-by pozwoliły pewnéj części ziemian pracować dla lepszéj doli i przyszłości, kiedy dziś wielu nie może nawet walczyć z biedą, lecz musi czekać biernie na niechybny a smutny koniec. Cud się nie stanie, ale zrobi się wiele, jeżeli wyjdzie hasło do nowych usiłowań, jeśli do czynu powołane zostaną istniejące a nieraz sparaliżowane siły, jeżeli zniechęceni, złamani, odtrąceni, choć w drobnéj części powrócą do zaniedbanego warsztatu.

Kraje zagraniczne dostarczą nam przykładów, w jaki sposób można przychodzić z pomocą nawet takim posiadłościom, których kredyt pozornie zdaje się wyczerpanym. Od społeczeństw ościennych nauczyć się będziemy mogli, na jakiéj drodze i pod wpływem jakich czynników odradza się rolnictwo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jan Bloch.

NAD MORZEM.

I.

Cicho dziś zamiera w blasku
Morze jednym rąbkiem piany
I zostawia ślad na piasku,
Połysk szklany i różany.

Chodzą ranne mgły po fali
I prześwieca blado słońce...
— Gdzieś wysoko, gdzieś w oddali,
Wielkiém skrzydłem bielejące

Płyną zwolna wielkie łodzie,
Wielkie łodzie rozmarzone,
I po sennéj, gładkiéj wodzie
W niewiadomą idą stronę.

Blankenberghe.

II.

Dookoła jedna przestrzeń sina,
Niéma widnokręga;
Nie wiem, gdzie się modra toń zaczyna,
Dokąd niebo sięga.

Tam, gdzie idą złote statków mary,
Już nic nie kołysze:
Przez błękitne, ranne mkną opary
Na pełną wód ciszę.

Morze ma dziś jakąś mleczność bladą,
Opalową, siną.
Łodzie cicho z żaglem na wiatr jadą
I w poranku giną.

Blankenberghe.

III.

Morze dzisiaj ze stali,
Biały żagiel w oddali
Jako płomyk na słońcu się pali.

Ze smug wody zielonéj
Wyglądają trytony
I dmą silnie w róg z muszli kręconéj.

Próżne trwogi i zdrady,
Kładą na brzeg najady
Wysrebrzanych swych włosów kaskady.

Blankenberghe.

IV.

Idę nad morzem, co nieukojone,
Posłuszne tchnieniom złotego miesiąca,
Wiecznie pierś swoją rzuca w jedną stronę
I o brzeg jeden roztrąca.

I choć przychodzi taki czas, że nocą,
Na nowiu księżyc pozbędzie promieni,
Tak samo fale się próżno szamocą —
A księżyc w górze się mieni.

I żal mój koi ta ciągła wód praca,
I chcę być jako fala niewiedząca,
Co w głąb się wiecznie cofa i powraca,
Posłuszna tchnieniom miesiąca.

Wenduywe.

V.

Zwolna szli Grecy pustynią bez końca,
Marznąc przy gwiazdach, padając od słońca,
I już zwątpili, czy kiedy powrócą
Tam, gdzie za nimi niewiasty się smucą.
Więc aby w gnuśnéj nie marli rozpaczy,
Xenofont hufiec junaków wyznaczy:
Niechaj szukają, czy niéma gdzie rzeki,
Czy nie bieleje jaki gród daleki?
Może przyjazny? a może go zdradną
Wezmą namową, lub siłą napadną...

Na wzgórzu stanął jeden z przedniéj straży,
Ręką cienisty robiąc dach dla twarzy.
Podbiegł i nim się opamiętać może,
Już dzidę w górę wzniósł i krzyknął: „morze!“

I okrzyk „morze“ rósł pomiędzy Greki.
Dziesięć tysięcy było ich wśród spieki,
Dziesięć tysięcy w krainie dalekiéj.

A tam, gdzie jarzmo dwóch gór się rozsprzęga,
Stanął im w oczach pas u widnokręga,
Jak granatowa, mieniąca się wstęga.

Za siném morzem jest kraj ulubiony,
Dokąd na łodziach skrzydlatych przybędą
I skąd ku falom patrzą tęskne żony,
Gdy niewolnice u ogniska przędą.

Wenduyne.

K. M. Górski.

ANGIELSCY KRYTYCY I PISARZE.

„*Tons of fiction are produced in this country-mostly rubbish*“. Całemi tonnami produkuje Anglia utwory powieściowe, a są to przeważnie rzeczy bez wartości (śmiecie). Zdanie to wyjmuję z listu, pisanego do mnie temi dniami przez profesora Morfilla — zdanie bynajmniéj nie oryginalne, bo powtarzane z głośném utyskiwaniem w kołach uprawnionych czytającéj publiczności, na stronicach pism literackich, w łamach dziennikarskich i w klubach. Ktoby z tych „śmieci“ czytanych chciwie, pojawiających się w nieskończonych wydaniach— chciał sądzić o charakterze Anglików, wyrobił-by sobie przekonanie, iż są oni narodem dziwnie sentymentalnym, naiwnym, prostackim, marzycielskim i histerycznym. Niechby literaturą tą karmił umysł swój cudzoziemiec, a potém przybył do Anglii, patrzał na jéj życie codzienne i pracę... rzekłby, iż został najbezczelniéj złudzony! i miałby słuszność

Dlaczego Anglia produkuje dwa razy więcéj powieści od byle których dwóch razem wziętych narodów europejskich, napomknąłem już w ostatniéj „Kronice londyńskiéj“, kiedym pisał o wypożyczalni Mudie'ch i o spółce Smithów. Obiedwie mają, rzecz jasna, bardzo licznych naśladowców, tworzących potworny rynek księgarski, *bookmarket*, rozciągający się wszędzie po świecie, gdzie tylko zachodzi rasa anglo-saska. Spekulacya finansowa płodzi autorów i wyzyskuje według sił to, co muszę nazwać chorobliwą manią czytania. Nazwę

tę usprawiedliwiam: obok powszechnie znanego faktu, że Anglicy są narodem, czytającym najwięcéj, jest i ten jeszcze, że, w miarę czytania, wyrabia się w nich pewne znieczulenie władz umysłowych, lenistwo w myśleniu i—co za tém idzie—brak sądu niezależnego, osobistego, o wszech rzeczach umysłowych. W londyńskich klubach i salonach niezmiernie rzadką jest osoba, odzywająca się z oryginalnym, własnym poglądem na dzieła literatury lub sztuki, a tylko większą rzadkością jest człowiek, tak mało oczytany, że nieznanemi są mu przeróżne opinie najrozmaitszych sędziów, rozsiane w zdumiewającém mnóstwie peryodycznych wydawnictw. Że owa mania czytania staje się chorobliwą, można się przekonać naocznie, śledząc czytających Anglików i ich siostry—w wagonach, klubach i buduarach. Sto razy widziałem czytelnika, który skończył książkę, a nie miał drugiéj pod ręką; czytał więc ogłoszenia handlowe, bez których żadna nie wychodzi w Anglii książka; gdy i z temi się już zapoznał, studyując każde z nich ze śmiesznem i zarazem przykrém lenistwem ducha — przeszedł do pierwszego rozdziału przeczytanéj opowieści i... czytał—już nie zdania, ani wyrazy, lecz pojedyncze głoski!

Tak samo, jak niepodobieństwem było-by spotkać na ulicy albo w lesie Anglika, który-by nie miał w kieszeni *some-thing to read* „coś do czytania“, tak téż prawie niepodobna znaleźć takiego, który-by nie powoływał się w rozmowie, potocznéj nawet, na czyjąś powagę literacką, lub dziennikarską, nie cytował wyczytanych ustępów z całym pedantyzmem człowieka, rozporządzającego encyklopedycznym arsenałem informacyi. Rozmawiając z prostym dorożkarzem, można się dowiedzieć, nie tylko o czém pisały dzienniki polityczne i sportowe, ale, jak pisały: gotów on bowiem przytoczyć całe zdania redakcyi, poprzedzając je swém: *as the paper says*—„jak bowiem dziennik mówi“... W téj warstwie społecznéj, któréj literackim pokarmem są u nas w najlepszym razie wiadomości brukowe, między młodzieżą drobno-handlową, słyszymy już nietylko zdania prasowe, ale — *as miss Braddon says, as lord Tennyson wrote;* zdawało-by się, że ci subjekci i początkujący buchalterzy uczą się na pamięć ustępów z powieści czytanych i z poematów. W angielskich warstwach wykształconych „czytanie wszechżercze“ (*omnivorous reading* — jak mówią) potęguje się w miarę społecznego stanowiska i towarzyskich stosunków, a wszędzie uderza owa atrofia umysłowa, któréj rezultatem jest, że krytyka w Anglii nie istnieje.

Dziwne twierdzenie! powie czytelnik. Przecież owe stosy dzienników, tygodników, miesięczników, których liczba w samym Londynie przechodzi trzy tysiące i rośnie codzień, zawierają stale przeglądy krytyczne dzieł wyszłych. Są więc ogromne zastępy ludzi, roz-

bierających wartość codziennego piśmiennictwa i wydających sąd o niém osobisty...

Odpowiem na to, że to, co się dziś zwie w Anglii krytyką literacką, nie jest nią wcale, nie spełnia swego zadania, nie kształci ani smaku, ani sądu publiczności, nie wskazúje dróg żadnych nowicyuszom pióra, zostawia jego weteranów w „raju zdobytym“ bez uzasadnienia ich zasług, a nadewszystko, współczesna krytyka angielska krzywdzi autorów i tamuje rozwój naturalny artyzmu w narodowéj belletrystyce. By dowiéść tych zarzutów, wkroczę na chwilę w dziedzinę szerszego zakresu, dam pod sąd czytelnika współczesną krytykę angielską w jéj stosunku do pojęcia o istotném krytyki zadaniu i znaczeniu.

Angielski poeta i estetyk, Andrzej Lang, definiuje krytykę tém zdaniem: „Jest to forma pracy, zajmująca się pisaniem o książkach innych ludzi“. Według tego określenia, to, co Sainte-Beuve napisał ó Dantem, jest krytyką, tak samo, jak jest nią robota dziennikarskiego paragrafisty, który skomponował cały łam druku z przedmów do dzieł nowych, których wcale nie czytał! Krytyką jest wynalezienie, że pisma Homera były złożone w ciągu blisko 500 lat przez 50-ciu rozmaitých autorów, i krytyką jest odkrycie, że najlepsze powieści panny X. są plagiatem dzieł zagranicznych. Pierwszą nazywamy „krytyką wyższą“, drugiéj dajemy niższe znaczenie; trudno atoli powiedziéć, co jest wspólnym czynnikiem krytyki, reprezentowanéj przez Arystotelesa, Longina, Ste-Beuve'a, i krytyki, uprawianéj zawodowo przez wielką rzeszę napół wykształconych „członków prasy“ i niedoszłych belletrystów. Wszyscy zarówno piszą o dziełach innych ludzi, wszyscy szafują chwalbą i naganą, tylko różnicę między nimi stanowi sposób czytania, wiedza, smak i usposobienie. Wszyscy krytycy oceniają dzieła sztuki literackiéj według swego osobistego upodobania, szacują je według własnego pierwowzoru, czy ideału. Mimo to, pisma niektórych krytyków *vivunt in aeternum*, jak traktat o poezyi Arystotelesa, lub *De Arte Poëtica* Horacego, albo rozprawa Longina o Wzniosłém, a można-by tu śmiało dodać i tę ową pracę wysokiéj wartości, jaką piśmiennictwo polskie ozdobili niektórzy nasi współcześni. Pisma dzisiejszych krytyków angielskich, z zadziwiająco rzadkiemi wyjątkami, nie mają nawet znaczenia tymczasowego. Okazują one tyle niewiadomości, tyle uprzedzenia, zawiści i niedbalstwa, że, doprawdy, stanowią same w sobie rodzaj literatury najwstrętniejszy i absolutnie nieużyteczny. Autorowie bronią się, twierdząc, iż rodzaj ten krytyki odpowiada rodzajowi większości dzieł... Nie przeczę temu, lecz dziwię się, dlaczego niedorzeczne książki mają płodzić bezsensową krytykę? Zamilczenie o nich po-

winno-by wystarczyć, gdyby nie wydawcy i publiczność. *Tu l'as voulu, George Dendin!*

Powiedział-bym, że najlepszą krytyką jest ta, która zapoznaje nas z wrażeniami, jakie z literackich arcydzieł przejmuje umysł delikatny, wytrawny i wysoko wykształcony. Tyle jest piękności w prawdziwie mistrzowskich utworach, tyle myśli, że wiele z nich uchodzi oczywiście uwagi przeciętnego czytelnika, dla którego dzieło takie jest ogrodem pełnym kwiatów: nie potrafi on zebrać, ani nawet dostrzédz wszystkich. Miłą więc, a zarazem wielce pożyteczną jest rzeczą dowiedziéć się, co w tym raju znalazł i podniósł ktoś inny, posiadający odmienną, a może daleko głębszą od naszéj, znajomość świata i książek. Możemy się z myślami jego godzić, lub nie godzić, lecz w każdym razie z sądów takiego krytyka czerpiemy dużo nauki, umysł nasz czuje bodźca do świeżéj działalności. Tak np. Jules Lemaître przyznaje się sam do małego zasobu wiadomości, do wielkiéj dozy uprzedzeń, lecz posiada za to tyle wdzięku, niezrównanéj gładkości stylu, wykwintnego smaku, dowcipu, a nawet entuzyazmu (dla Racine'a i Lamartine'a), że zalety te pokrywają lub pokryć mogą wad mnóstwo. Wynika ztąd, że trzeźwość, bystrość i poprawność sądu nie robią same przez się pierwszorzędnego krytyka; potrzebuje on raczéj oryginalności, indywidualności, szerokiéj wiedzy, usposobienia sympatycznego, a stylu potoczystego, jasnego i zwięzłego. Jużcić bowiem pisanie o pismach innych ludzi nie jest *per se* tak bardzo szlachetnym zawodem, godnym poświęcenia mu dużo pracy i czasu, chociaż najsłynniejsi pisarze, Goethe, Walter-Scott, Mickiewicz, Wiktor Hugo, nie wzgardzili nim zupełnie. Reguły i stopniowy rozwój sztuk wszelkich zaciekawiają artystów i innych, którzy, choć nie obdarzeni geniuszem, posiadają wiedzę, smak i zdolności do wyrobienia sobie sądu. Krytyka, mówiąc ogólnie, nie wpływa znacznie na rozwój sztuki jakiejbądź; ale człowiek jest już takim, że lubi o wszystkiém wypowiedziéć swe zdanie. To właśnie „zdanie“ jest krytyką i, w najgorszym razie, uprzyjemnia nam niejedną godzinę w życiu, podsuwa myślom nieco świeżego materyału, zbliża nas łatwiéj i dosadniéj do znakomitych umysłów, aniżelibyśmy sami jedni zbliżyć się do nich potrafili. Tak dalece krytyka ma racyę bytu, a jeżeli jest mistrzowską, czyni dla sztuki i jéj dzieł to samo, co sztuka robi dla natury i jéj tworów: otwiera nam oczy, potęguje, wznosi i uszlachetnia nasze przyjemności.

Literatura angielska posiadała krytyków takiéj miary. Byli nimi Scott i Wordsworth, Hazlitt i Leigh Hunt, Karol Lamb i Mac aulay Sydney Smith i Brougham, a ostatnim z najwybitniejszych był zmarły przed ośmiu laty lord Houghton, lepiéj znany pod rodowem nazwi-

skiem—Monckton Milnes. Czyż nie pozostawili następców? Owszém, i wspomnę o nich niebawem, ale pisarze ci nie mają, powiem trywialnie: pola do popisu, nie mają czego krytykować... Chciałbym atoli być dobrze zrozumianym: są w literaturze angielskiéj dzieła sztuki, ale *rodzaj* téj sztuki przestał dziś zajmować pierwszorzędnych krytyków, utrzymujących dość zgodnie między sobą, że obłuda i umysłowa ciasnota publiczności, podżegane przez wyzyskującą krytykę niską, czynią rozwój prawdziwéj sztuki absolutnie niemożliwym.

Sztukę wogóle, a literaturę najszczególniéj, tyranizuje w Anglii *the British matron*, zwana dziś w teatrach, galeryach i księgarniach „Mistress Grundy“ — osobą, która owija suknem „nogi“ stołów i fortepianów, nienawidzi monarszéj dewizy swego kraju: *Hony soit qui mal y pense.* Mrs Grundy jest, mojém zdaniem, córką rozwodu i matką sekciarstwa angielskiego, nieprzejednanym wrogiem katolicyzmu i państwowego anglikanizmu, mecenasem wszelkiéj religijnéj histeryi; jest ona zaciekłą nieprzyjaciółką i, o ile może, prześladowczynią rodzaju męskiego, podejrzliwym szpiegiem młodych panien, żałobliwą płaczką wobec młodych mężatek, kuszącym upiorem wobec starszych. Dla niéj świat jest doliną Armageddonu, w któréj dano jéj wyzwać do ostatecznego boju złość i niepewność wszystką. Pani Grundy walczy więc z pomocą suchotniczych „wielebnych ministrów“, którzy są jéj sykofantami, których ona płaci, karmi, odziewa, buduje im zbory, szkółki, ochronki, formuje ich w bataliony wstrzemięźliwości, zażywa z nimi morfinę i opium, lub pospolity alkohol, ale kupiony u aptekarza, jednego ze „starszych“ sekty. Niéma pani Grundy w sferach najwyższéj arystokracyi, niéma jéj w warstwach najniższych; pełno jéj w średnich kołach mieszczaństwa, duchowieństwa i ziemskiego obywatelstwa. Nie podróżuje ona po zagranicach, nie ma zbyt uciążliwych obowiązków towarzyskich, umysł ma bardzo ciasny, a kaletę aż nazbyt szeroką i dobrze wypchaną złotem. Nudziła-by się w życiu, gdyby nie książka i wielebny minister, książka i plotka, książka i egzotyczna filantropia, książka i morfina lub alkohol, — książka przedewszystkiém! *A novel!* W téj zaś najliczniejszéj warstwie (mówiąc o czytających), mrs Grundy réj wodzi, na nią się oglądają podlotki, panny na wydaniu i matrony, przed nią drżą mężczyźni, dla niéj piszą autorowie i autorki, i jéj-to zawdzięczają nakładcy, księgarze i właściciele czytelni obiegowych całą ruchliwość handlu i pomyślność.

Dodajmy też łatwość i taniość nakładu. W zwykłym trybie, autor nowicyusz obdarza swém dziełem czytelników, ponosząc sam wszystkie koszta druku, papieru i ogłoszeń w gazetach; wydawca drukuje najmniéj 5,000 egz. od razu. Jeżeli powieść jest jako tako

znośna, to sprzedaż 3,000 egz. pokrywa wszystkie koszta nakładu; zbyt reszty stanowi czysty zysk, a z tego zatrzymuje wydawca dla siebie 65%. Nie znam dostatecznie polskich stosunków wydawniczych, lecz nie omylę się może, twierdząc, iż jeden tysiąc egzemplarzy powieści, napisanéj (i poprzednio drukowanéj w feljetonach) przez kandydata do laurów belletrystyki, to już ryzyko znaczne dla naszego wydawcy księgarza i towar niełatwy do zbytu. W Anglii co innego. Każda firma wydawnicza ma swego recenzenta rękopisów (*reader*), najczęściéj powieściopisarza, doskonale obeznanego z apetytem i smakiem publiczności. Wydawca żąda od niego jednéj tylko odpowiedzi: Czy rzecz taka a taka znajdzie popyt w czytelniach obiegowych i w biblioteczkach kolejowych pp. Smith i S-ki? W razie wątpliwym, recenzent pisze streszczenie rękopisu, wydawca składa je potęgom decydującym i poddaje się ich wyrokowi. Czytelnie i dworce kolei żelaznéj potrzebują wciąż nowości: byle więc *the work of fiction* było baśnią przyzwoitą dla oczu i uszu pani Grundy, byle tylko nie obrażało gramatyki—przyjętém będzie. Zupełnie tak samo zawiadowca bufetu na wielkim dworcu kolejowym, gotując zapasy dla tysiąca zgłodniałych podróżnych, zamawia sobie i przyjmuje stosy żywności i nie baczy zbytnio na jéj świeżość i delikatność; byle tylko nie obrażała zmysłów i mogła nęcić *zgłodniałe* żołądki, zawiadowca mało pyta o jéj subtelniejsze przymioty, bo wie, że podróżni szukają posiłku nadewszystko, że smak gastronomiczny jest przywilejem ludzi, nieznających pospolitego głodu. Czytelnie, oceniwszy literackie (?) dzieło, zamawiają sobie odpowiednią liczbę jego egzemplarzy. Więc Mudie weźmie najmniéj 500, Smith tyleż—a resztę z 3,000 egzemplarzy rozbierze między siebie rzesza naśladowców Mudie'go i Smitha. Czysty zysk wydawcy i autora kwitnąć pocznie wtedy, gdy czytelnie i księgarnie zamówią ponowną dostawę, gdy reklama dziennikarska zachęci do kupna publiczność szerszą i bibliotekarzy klubów, a przedewszystkiém, kiedy agencye eksportujące do kolonii brytańskich uwierzą krytykom i reklamom, zakupią setki egzemplarzy dla głodnéj rzeszy zamorskich Anglików i Angielek.

Powieść, jak tu mówią, „prawidłowa" (*the regulation novel*) musi zawierać przynajmniéj 40,000 wyrazów, bo tu się literatura oblicza według długości oddechu gadatliwego autora. Taka prawidłowa kompozycya wychodzi zawsze w trzech tomach — w pierwszéj instancyi. Dlaczego? Ktokolwiek przypatrzy się angielskiéj trzytomowéj powieści, tego uderzy natychmiast zbytek typograficzny: grubość czcionek, szerokość brzegów, przestronność między wierszami. Spekulacya! Czytelnie ściągają opłatę publiczności według ilości wypożyczanych *tomów*. Cena handlowa prawidłowéj powieści jest zawsze

(i od lat z górą 30-tu) ta sama: 31½ szylingów, czyli około 14 rs. Gdyby nie wypożyczalnie, niktby w Anglii nie czytał powieści—innemi słowy: autorowie pracują dla handlowych interesów pp. Mudie, Smith *et cons.* Odpowiednio do poczytności dzieła, zniża się z czasem jego cena; lub, powiedzmy otwarcie: kiedy w wypożyczalniach popyt o książkę ustał i opłacił się, wtedy wydawca umawia się z autorem ponownie, kupuje od niego prawo do drugiego wydania i drukuje w jednym tomie, którego karty nie są rozcinane[1]) — a wtedy sprzedaje egzemplarze po 6 szylingów. Jeżeli i ta spekulacya się uda, następuje trzeci układ, zwykle ostateczny: autorowi dostaje się kilka set, lub kilka tysięcy funtów, wydawca jest panem i właścicielem utworu przez całe życie autora i lat siedm po jego zgonie. Powieść wychodzi po cenie 2 szylingów w powszechnie znanéj postaci „*railwaylibrary*“, w okładkach z grubego kartonu, zawsze żółtych i zawsze ilustrowanych. Pierwsze i ostatnie karty opłacają sowicie koszta przedruku i stereotypii, bo zawierają ogłoszenia handlowe: księgarzy, aptek, krawców, banków i t. p. Wiadomo, że miss Braddon tworzy corocznie najmniéj jedną powieść prawidłową; w trzy miesiące po wyjściu trzech tomów ukazuje się dzieło 6-ścio szylingowe, a w kilka tygodni późniéj 2-szylingowe. Ostatnie jest przeznaczone dla milionów czytelników, a egzemplarze po 6 szyl. dla tych, którzy, przeczytawszy utwór w klubie lub za pośrednictwem wypożyczalni, pragną umieścić go na półkach własnego zbioru książek ciekawych. (Gdyby nie brak miejsca i czasu, ileż mógłbym tu powiedzieć o biblioteczkach prywatnych! Wyrobnik, rzemieślnik, subjekt — wszyscy skupują książki, zwłaszcza przed wejściem w związki małżeńskie, bo w najniższéj nawet warstwie posiadanie dobrze oprawionych książek—od biblii i Shakespeare'a do Tennysona i pani Braddon—jest znamieniem przyzwoitości, *respectability*...)

Wreszcie słów kilka o belletrystyce w pismach peryodycznych. Dzienniki londyńskie, tak poranne, jak i wieczorne, nie mają odcinków powieściowych; ale wzgarda, jaką do niedawna okazywały dla nich, zaczyna ustępować przed naciskiem konkurencyi. Pierwsza „Daily Chronicle“ uznała konieczność złego i przed paru miesiącami rozpoczęła wydawnictwo „Środowych dodatków“. Z wyjątkiem „Timesa“, każdy rozcięty dziennik poranny składa się z czterech olbrzymich kart; „Daily Chronicle“ dołącza co środa dwie podobne karty, zasiane drukiem makowym, dające czytelnikowi część powieści i kilka artykułów treści czysto literackiéj. Za tym dziennikiem pój-

---

[1]) Wszystkie książki, drukowane w Anglii, ukazują się w oprawie zaraz po wyjściu z pod prasy. Papierowe okładki są tu nieznane.

z pewnością inne. Dzienniki prowincyonalne drukują powieści codzień, od lat mniéj więcéj 5—8-miu. Tygodniki polityczno-społeczne („Truth“, „World“, „Vanity Fair“) zawierają zawsze krótką powiastkę, napisaną na tle jakiegoś świeżego wypadku, lub... przypadku (boć nie „skandalu“) salonowego. Wielkie pisma ilustrowane mają nowości „prawidłowe“. Daléj zaś, wszystkie tygodniowe i miesięczne pisma, które nie są ściśle fachowemi, karmią swych czytelników już to króciótkiemi, już téż „prawidłowemi“ powieściami.

Ale żadna redakcya, jako tako *respectable*, nie przyjmie utworu nowicyusza. Przeciwnie. Kiedy w całéj Europie dzienniki i wydawnictwa peryodyczne otwierają łamy autorom nowym i chlubią się słusznie, jeżeli pierwsze odsłoniły przed publicznością talent prawdziwy; w Anglii redakcye oblegają na wyścigi autorów najznakomitszych tylko i dopraszają się o ich prace, ofiarując z góry honorarya bardzo wysokie. Walter Besant bierze po 3 do 3,500 gwinei (30 — 35,000 rs.) za powieść dla tygodnika, a niemniéj jak 4,000, jeżeli pisze dla gazety codziennéj, prowincyonalnéj. Miss Braddon jest—najtańszą w rzędzie głośnych pisarzy; dochód jéj roczny z prac świeżych mniejszych nie dochodzi tysiąca funtów, ale prawa autorskie do do dzieł dawniejszych, „prawidłowych“ (jest ich już 67), przynoszą jéj nadto około 2,500.

Chciałbym dać czytelnikowi zupełne, ile możności, pojęcie o téj materyalnéj podstawie belletrystyki angielskiéj, gdyż z nią-to najdosadniéj liczyć się nam wypadnie; dlatego przypomnę, com tu donosił w roku ubiegłym [1]), że Ouida przypisuje słusznie belletrystyczną anemię swego społeczeństwa téj śmiesznéj okoliczności, iż skoro tylko zjawi się człowiek z talentem, pisarz nieszablonowy, Anglicy, a zwłaszcza ich żony i siostry, czynią wszystko, co mogą, by go odurzyć pochlebstwami i wirem życia, zniżyć umysł jego do codziennego poziomu, nie dać mu wylecieć i okiem słońca ogarnąć widnokręgi, dalsze od tego skrawka zamglonego horyzontu, w który się zaopatrzyła mis Grundy.

Oto przykład: Każdy sezon londyński musi miéć swą nową modę, żeńską i męską, nową prymadonnę, nową wystawę międzynarodową, nowego Barnuma i—nowego powieściopisarza. Takim autorem książki *of the season* był zeszłego roku młody Rudyard Kipling. Wydał on tomik opowiadań z życia anglo-indyjskiego i, jak Byron, „obudził się wielkim człowiekiem“. Znam go osobiście i wiem, że z rękopisem tychże samych opowiadań obchodził daremnie wszystkie an-

[1]) Kronika Londyńska. Maj, 1890.

gielskie redakcye, domy wydawnicze i amerykańskie agencye—przed czterema laty. Zawiedziony w nadziejach, ogłosił jedną z powiastek w jakiémś, nieznaném w Anglii, pisemku tygodniowém w Bombayu. Ktoś jednak, może sam autor, rozesłał wydrukowaną nowelkę londyńskim księgarzom. Jeden z nich, Unwin, wszedł w umowę z Kiplingiem i nabył od niego absolutne prawo do pierwszych 8,000 egz. książkowéj odbitki—za sumę 40 funtów! Nowella zrobiła wrażenie: świat anglo-indyjski rozchwytał w lot cały nakład, krytyka, uznając *que rien ne reussit aussi bien que le succès*, roztrąbiła hymny na cześć nowo-narodzonego pisarza. Kipling sprzedał dalsze 20,000 egz. wydawcom, za które wziął 800 funtów, sprzedał inne rękopisy i przyjął kilka propozycyi, obowiązując się do napisania nowelli w rodzaju owych „Anglo-Indian Life“. W przeciągu dwóch miesięcy złożył w swym banku przeszło 4,000 f. st., częścią już zarobionych, częścią zapłaconych z góry. Obrał więc zawód belletrysty. Póki był wiernym swym natchnieniom i pisał obrazki rodzajowe, sława jego rosła stale, a z nią kwitły nadzieje przyszłości. Niestety, krytycy z obozu pani Grundy i kierownicy smaku „szerszej publiczności“ zgnietli talent Kiplinga. Obsaczono go najpierw pochlebstwami i owacyami, rozrywano go sobie po salonach, pisano na cześć jego rymy i rozprawy, zasypano młodzieńca wielkoświatowemi „obowiązkami“, a w końcu wyzwano go po prostu do napisania powieści *de lonque haleine*, „prawidłowéj“. Kipling na ten głos ostatni nie zważał dość długo; spostrzegłszy jednak wyraźne niepodobieństwo utrzymania się na dopiętém stanowisku, uległ natarczywości krytyków, salonów i wydawców... i napisał trzytomową powieść („Ponad Górami“), która wygląda na literacki wybryk histerycznéj pensyonarki. Autor zawiódł wszystkie oczekiwania, słusznie i niesłusznie uzasadnione. Milczący zazwyczaj krytycy wyżsi, jak Lang, Henryk James, E. Gorse, Saintsbury i pani Lynn Linton—łudzili się nadzieją, iż Kipling, korzystając z tylu przychylnych okoliczności, wkroczy śmiało w szranki przeciwko wykrochmalonéj moralności, téj zwłaszcza, która demoralizuje społeczność angielską najspieszniéj i najskuteczniéj, zarazem najposępniéj. Stary zaś obóz sentymentalno-kościelny, przedewszystkiém sekciarski, oczekiwał trzytomowego piorunu przeciwko „nowéj szkole“, zwanéj tu także „kontynentalną“. Kipling sprobował płynąć między falami i—cała jego reputacya upadła.

Robert Ludwik Stephenson uszedł podobnych niebezpieczeństw, osiadłszy na jakiéjś wyspie oceanu Spokojnego; pisze ztamtąd arcydzieła, czytane chciwie w Ameryce, bo w Anglii utwory jego nie wychodzą w tanich edycyach, pani Grundy wykreśliła je ze swego katalogu. Jerzy Meredith, Ouida, L. Lynton, J. Payne, Marion Craw-

ford, pisują naprzemian dla „szerszéj publiczności“ i dla sztuki. Wre jednak zatarg gorący między garstką ludzi szczerych, a ogromną tłuszczą krytyków dziennikarskich. Powiem nawet, że i znaczna część publiczności staje po stronie rozsądku przeciw spekulacyi jednych i obłudzie drugich.

Sądzę, że przynajmniéj w téj chwili jeszcze, belletrystyka angielska może być rozdzieloną najwłaściwiéj na *męską* i *żeńską*. Podział to stosowny, bo, gdzie kobiety stanowią tak olbrzymi zastęp powieściopisarek, tam, rzecz jasna, wszystkie kobiece idyosynkrazye grupują się całkiem naturalnie i tworzą to, co jest pod wielu względami zbiorowym rozpłodnikiem dzieł fikcyjnych. Jeżeli zaś pisma kobiece, zwłaszcza utwory kobiecéj wyobraźni, można rozpoznać zawsze i wszędzie, to tém łatwiéj w Anglii—jak to wynika z ustępów powyższych. Przedstawicielką téj szkoły żeńskiéj, a równocześnie autorką bardzo rzadkiego talentu, była pani Henrykowa Wood. Rozstała się ona z tym światem przed paru laty, lecz potężny wpływ jéj na kierunek belletrystyki wzrasta jeszcze i długo opierać się będzie nowszym. Wszystkie jéj powieści, od słynnego „East Lynn“, który rozszedł się 200,000 egz., aż do „Court Netherleigh“, które wyszło w 18,000 egz. – odznaczają się nadewszystko centralnym pierwiastkiem sensacyjnym, wydzielającym z siebie mnóstwo sensacyjnych wypadków i szarpiących nerwy epizodów. Zagubiony testament, lub ekscentryczny — sen, lub telepatyczne przeczucie, kradzież lub zniknięcie familijnych klejnotów, samobójstwo, obłąkanie, morderstwo, ślub tajny i t. p. stanowią zawsze treść pierwszego tomu i, że tak powiem *palpitują* w drugim i trzecim. Ale, choć są wiązaniem dzieła, nie wyskakują nigdy w pierwszym planie, służą poniekąd za wabik dla „przeciętnego czytelnika“, który-by bez nich nie zaciekawił się właściwą autorki pracą. Ta zaś, skierowana do celów moralnych, dekalogowych, obraca się zawsze dokoła odwiecznéj antitezy, kończy się regulaminowym tryumfem. Gdybyśmy tyle tylko znajdowali w powieściach pani Wood, to różniły-by się one od mnóstwa innych jedynie stylem jędrnym, kolorytem wytwornym, śladami klasycznéj erudycyi autorki, a miały-by z niemi wspólny i silnie zacięty ton — nie powiem *religijny*, ale (s. v. v.) *religiancki*, ewangielicki, w duchu Wesleya, lub Buchanana. W powieściach pani Wood znajdujemy coś więcéj: w pierwszym ich planie przewija się zawsze realistyczna akcya, pełne życie charakterów, wystudyowanych i pojętych znakomicie, przedstawionych naturalnie i wiernie *ad unguem*; mamy daléj głęboką znajomość życia, uja-

wnioną w sposobie, jakim autorka każe działać wszystkim swym figurom, męskim i żeńskim, wysokim i podrzędnym. Nadewszystko zaś mamy to, co dziś nie jest, niestety, w modzie: obrazy możliwego szczęścia na téj ziemi, możliwéj prawości, możliwego zapału czystego, bezinteresownego poświęcenia i zaparcia się, możliwéj wesołości nieudanéj. Czegóż więc brak? Poprostu—giętkości figur i sytuacyjnéj konsekwencyi. Bohaterowie i bohaterki pani Wood, to ludzie żyjący do złudzenia—lecz tylko do złudzenia. Autorka, porwana często wysokiém natchnieniem, rozwija prawdy życiowe sumiennie, realistycznie i logicznie—nagle zatrzymuje się! w sam czas przypomina sobie panią Grundy, Mudie'ch i Smithów i „szerszą publiczność"; jéj bohaterki pokrywają się welonem enigmatycznym, jéj bohaterowie stają się kłodami. Po tym zaś paroksyzmie, wraca wszystko do życia i działa daléj—duszą i krwią, i mózgiem, należącemi do jakichś stworzeń paradoksalnych.

Pytam otwarcie: czy skok ten wsteczny i to cofnięcie się od ukończenia rzeźby nie dowodzi wymownie głębokiego zepsucia w społeczeństwie? Jeżeli taka mistrzyni pióra, jak pani Wood, nie chce władać niém odpowiednio, kiedy chodzi o najdelikatniejsze zarysowanie pewnych, nieuniknionych następstw, czyż to nie świadczy, że czytająca publiczność cierpi i choruje na niewysłowioną histeryę i drażliwość haniebnie rozstrojonego systemu?

Wszyscy już dziś, nietylko uznajemy, że literatura powieściowa jest zwierciadłem swéj epoki, lecz i na to się zgadzamy, że wyłączenie z niéj tych czynników, kóre są główną sprężyną codziennego życia, jest najwyższą niedorzecznością. Jeżeli zaś zadaniem sztuki jest, by odsłaniała piękno, jemu mówić kazała i o możliwém rozpowiadać *wzniosłém;* to jużcić nie do literatury *pięknéj* zaliczymy utwory odrażające, dlatego, że są potężnie naturalistycznemi. Zarazem atoli belletrystyka nie odpowie swemu zadaniu, jeżeli, obrawszy raz pewien temat i rozwinąwszy go z umiejętną konsekwencyą do szczytnego punktu, zmieni nagle i rdzennie jego pierwiastek naturalny. Uczucie, zwane miłością i mające swe stopniowanie, jest w każdym razie podwaliną bytu i gospodarki całéj ludzkości. Gdyby angielscy pisarze szkoły żeńskiéj poprzestawali na takiém używaniu tego tematu, jakie pani Grundy uważa za najwłaściwsze *virginibus puerisque*—skarżylibyśmy się tylko na ich biedę i monotonność, podziwiając zresztą strony artystyczne utworów. Ale, co właśnie zarzucamy téj szkole, to, że uznaje społeczną potrzebę uwzględnienia przeróżnych form i stopni organicznego uczucia, a uznając, szuka manowców przed argusowém okiem pani Grundy i wśród tych manowców gubi się sama, fałszuje swą sztukę i falsyfikatem tym ro-

bi daleko więcéj złego, aniżeli dobrego między „szeroką publicznością“. Ten właśnie rodzaj belletrystyki, pokarm nieustanny milionów w tym kraju, przyczynia się bardzo znacznie do wytwarzania tego, co z żalem nazwać muszę otwarcie: obłudą narodową. Taż to belletrystyka daje poniekąd klucz do zagadki: Dlaczego—jak pisał Albert Wolff—*la vie intime des Anglais n'est intéressante que quand elle est triste et sombre*—dlaczego kronika towarzyska zapisuje codzień nieznane indziéj skandale.

Panie: Braddon, Broughson, Ella Russell, Florencya Marryat, Edna Lyall, Oliphant, Purcell—to najgłośniejsze przedstawicielki téj szkoły, autorki zadziwiająco pracowite, głęboko wykształcone, bez wątpienia mistrzynie swéj sztuki. Ale, proszę mi darować porównanie niegrzeczne: powieściopisarki te przypominają mi pewną zakłopotaną kokoszkę. Czują wielką chęć i potrzebę dania folgi swym natchnieniom, ujawnienia swych przekonań, dania przestróg swym wielbicielkom i wielbicielom—niestety! nie widzą sposobu, nie wiedzą, jak to uczynić, gdzie i kiedy.

Ouida (panna de la Ramée), pół-Francuska, stanowi wyjątek i szkołę własną. Powieści jéj daleko lepiéj są znane polskiéj i francuskiéj, aniżeli angielskiéj publiczności. Obecnie autorka „Pucka“, „Motyli“ i przepysznych obrazów z życia włoskich wieśniaków, usiłuje zająć miejsce jak najbliższe ibsenizmu: w kompletnéj emancypacyi z pod pisarskiego konwencyonalizmu, w wyznawaniu, że pesymizm, ten upiór straszny, karmiący się umarłą i umierającą nadzieją, jest ostatnią deską ratunkową strupieszałéj ludzkości... Ouida nie ma naśladowczyń między angielskiemi koleżankami, a ci z mężczyzn, którzy probują jéj atramentu, nie wybrnęli jeszcze z „ciemnego lasu“, szukając drogi po omacku.

Pani Lynn Linton jest przewodniczką opozycyi w wielkiéj rzeszy piszących kobiet, lecz opozycyi śmiesznie nielicznéj, nieśmiałéj i słabéj. Mimo podeszłego wieku (blisko 70 lat), wojuje ona wytrwale z „szerszą publicznością“ i Junoną Grundy. Pisała czas długi w dziale krytyki tygodnika „Saturday Review“ i tam umieściła słynną rozprawę o „Dziewczynie Wieku“ (The Girl of the Period), nie oszczędzając brytańskiéj drażliwości. Nieprzyjaciółka skrajnéj agitacyi o całkowitą emancypacyę kobiet, jest wymowną i silnie przekonywającą apostołką dogmatu o świętém posłannictwie kobiet przy domowém ognisku. Z powieści jéj najgłośniejszemi są: „Sowing the Wind“ (z przysłowia krajowego: kto sieje wiatr, zbiera burzę), „Pastor Carew, milioner i skąpiec“, „Patricia Kemball“ i „Krzysztof Kirkland“. Brytańska matrona czyta te książki z poza wachlarza

i zamyka w osobném miejscu; pani Linton odsłania ohydę bezgranicznéj pruderyi, pokazuje społeczeństwo angielskie w świetle bezwzględnéj prawdy; a chociaż czyni to z wszelką możliwą oględnością, dowiodła przecież, że język angielski jest bardzo zasobny...

Jeżeli rozpisałem się przydłużéj o kobietach, piszących powieści w Anglii, to uczyniłem to, ponieważ są one odpowiedzialne za najmniéj $^{3}/_{5}$ tutejszych płodów belletrystycznych. Literacką ich kolebką są niezliczone tygodniki powiastkowe, wydawane bajecznie tanio, a chciwie czytane przez cały świat żeński warstw średnich, niższych i najniższych. Najpoważniejszym z tych tygodników jest „The Famili Herald", drukujący jedną oryginalną powieść dwu lub trzytomową, mnóstwo artykułów pożytecznych, oraz nowelę w dodatku, liczącym 12 stronic formatu „Biesiady Literackiéj". „Herald" ten rozchodzi się po całym świecie, a guwernantki angielskie zasiały go już i w Poznańskiém, i w Galicyi. Wymienię tytuły najpoczytniejszych jego pokrewnych: „The Ladies' Novelist", „The Princess's Novel" [1], „Something to Read". Świat kuchenny nie obywa się bez tego czytadła... a najczęściéj probuje swego talentu literackiego, zarzucając wydawców swemi „kontrybucyami" i oczekując przekazu bankowego odwrotną pocztą. Byle zaś styl był znośny i treść przyzwoicie zlepiona, wydawcy przyjmują te *novelettes*—bo z zegarkową punktualnością muszą przecież dostarczać wiecznie czytającéj publiczności—*tons of fiction*! Podobnych tygodników wychodzi w Londynie 37, a w całém zjednoczoném królestwie 618.

Płeć męzka nielicznie jest reprezentowaną w krajowém powieściopisarstwie, w porównaniu z wielkim obozem żeńskim. Mężczyźni ulegają, oczywiście z musu, wymaganiom Mudie'ch, Smithów i pani Grundy; ale też usiłują coraz wyraźniéj przełamać zapory. Z tém wszystkiém, co już wiemy o angielskich warunkach nakładowych, wydawniczych i finansowych, zasadniczy podział autorów jest: 1) na ludzi rozmaicie uzdolnionych, szukających zaciekawienia czytelników, niesłychanie pracowitych, uprawiających belletrystykę sensacyjną. Do

---

[1]) Tytuł ten mówi kucharkom i niańkom, że tygodnik jest najulubieńszym gawędziarzem „księżnéj" par excellence, t. j. następczyni tronu!

téj kategoryi zaliczam—wybierając autorów znanych najszerzéj—pisarzy jak: Farjeon („Tajemnica domu na Skwerze“), Fergus Hume, („Monsieur Judas“, „Zagadkowa dorożka“), Ansty („Vice-Versa“)—dący śladem biednego Conwaya, autora „Posępnych dni“ i „Przywróconéj do życia“. Conway, urzędnik licytatora w Bristolu, napisawszy te dwie nowele, sprzedał swe prawa autorskie do nich za 2,200 fst., upojony szczęściem, szukał równowagi umysłowéj w butelce, potém w rulecie i „umarł nagle“ w Monte-Carlo. 2) Zaciekawiwszy publiczność, belletryści ubiegają się o to, co jedynie daje w Anglii stanowisko i wstęp do towarzystwa—majątek. Jedni z nich, dopiąwszy celu, przestają tworzyć powieści i obejmują olimpijskie fotele w redakcyach wielkich „Przeglądów“ kwartalnych i miesięcznych (Fryderyk Harrison, Andrzéj Lang, H. James); drudzy obierają temata z potrzeb społecznych, tworzą arcydzieła i wywołują sporo polemiki i chwalebnéj inicyatywy (Walter Besant, Edmund Gosse, James Payne, Robert L. Stevenson); inni wreszcie, albo wyzyskują kierunek poniekąd egzotyczny swéj pomysłowości (Rider Haggard, Rudyard Kipling i Edwin Arnold, syn), lub téż probują walczyć z „szerszą publicznością“ i wespół z panią Linton pracują nad wyzwoleniem sztuki z pod jarzma konwencyonalizmu. Do tych należą Jerzy Meredith i Marion Crawford, znajdując poparcie Langa i Besanta przed wyborową publicznością.

Marion Crawford, mieszkający stale w Rzymie, znany jest naszéj publiczności z przekładu dwóch utworów: „Mr. Isaak“ i „Sant' Ilario“. Kto więc przeczytał jedną z tych powieści, zwłaszcza ostatnią, a obeznany jest z płodami miss Braddon, ten zrozumie dosadnie tyranię pani Grundy. W świeżéj noweli „A Cigarette Maker“, napisanéj w Monachium, Crawford posunął się nieco daléj i chwilowo stracił obywatelstwo u Mudie'ch i Smithów.

Jerzy Meredith jest bezwątpienia najznakomitszym powieściopisarzem i jednym z najgłębszych myślicieli w Anglii. Jest téż zupełnie nieznanym w najszerszych kołach, a uznanym mistrzem w kółku wyborowém. Poza granicami swego kraju nie znalazł dotąd czytelników, bo, przyznać należy, styl jego jest rozpaczliwie nieprzystępny i cena dzieł jego spada rzadko z prawidłowéj wysokości (14 rs). Urodzony w r. 1828, kształcił się w Niemczech i w Anglii, a już w 20-tym roku życia ogłosił pierwszy swój poemat, osnuty na arabskiéj legendzie. Zachęcony przez wydawców, oddał się wyłącznie belletrystyce. Z jego utworów powieściowych najlepszemi są: „Emilia w Anglii“, „Samolub“, „Tragiczni komedyanci“ i „Dyana z rozstajnych dróg“. Temi dniami wyszło ostatnie jego dzieło: „Jeden z na-

szych zwycięzców“ [1]). Meredith jest poetą i realistą; z jednéj strony odsłania życie współczesne w całéj jego nagości, wskazuje ogólną powierzchowność, płytkość i zarazem gorączkowość charakterów, doprowadza ich działalność do ostatnich granic konsekwencyi, wytyka wszystkie rany zmateryalizowanego społeczeństwa, zwłaszcza angielskiego, pragnącego znieczulić się i odurzyć pseudo-sceptycyzmem, a z drugiéj strony wnika głęboko w duszę ludzką, podsłuchuje echa zagłuszanych oddźwięków prawdy, znajduje mnóstwo ludzi, niezarażonych newrozą wieku, innych, którzy się z niéj leczą, i kończy zawsze w ten sposób, że czytelnik wierzy z nim w bardzo wiele możliwego szczęścia na ziemi. Jest on zdeklarowanym wrogiem pesymizmu i nie przestaje przypominać nam, iż życie zbyt jest krótkiém, szczęśliwe dni w niém zbyt rzadkie, byśmy sami jeszcze rzucali na nie pomrokę rozpaczliwego zdrętwienia. Pisarzy, jak Tołstoj, Turgeniew i Dostojewskij, skazałby na karę, którą Dante przeznacza ludziom, szukającym smutku rozmyślnie. Żałuję bardzo, iż brak miejsca nie pozwala mi zatrzymać się dłużéj nad charakterem pism tego autora — wart on osobnego studyum, więc może lepiéj nie krzywdzić go pośpiesznemi zdaniami. Ale, powtarzam znowu, styl jego, przeładowany refleksyą, odstręcza czytelników angielskich, chorujących na lenistwo myślenia, którego powody zaznaczyłem na samym wstępie. Kiedyś... gdy, jak Meredith zapewnia, „ludzie śmiać się będą z dzisiejszéj komedyi końca wieku“, zajmie on najgodniejsze miejsce obok Joanny Austin i Thackeraya.

Jeżeli Meredith jest mało przystępnym dla największéj liczby angielskich czytelników, to winna temu również i krytyka, nad którą panują prawie absolutnie wydawcy, spekulujący według usposobienia „brytańskiéj matrony“. Ta zaś, z biblią w jednéj ręce, z kroniką rozwodową w drugiéj, woła ciągle: Odsłaniać ran nie godzi się nigdy, by nie obrazić oczu nieświadomych złego! Innemi słowy: niechże posiadający oczy niewinne biegną, jak owce, w samą przepaść, byle tylko nieświadomie! Pani Grundy, zapomniawszy swéj własnéj młodości, wyobraża sobie, iż panienka z dobrego domu (bo inne nie istnieją), panienka 18-sto lub 35-cioletnia, któréj wolno czytać prawdziwe powieści, jest Galateą, budzącą się do życia w okamgnieniu i wtedy tylko, kiedy jéj mama żegna się z nią przed ślubną podró-

[1]) „One of Our Conquerors. By George Meredith. 3 tomy. (Chapman and Hall, 1891).

żą... A chociaż w dziełach Mereditha, Crawforda, pani Linton, Besanta, Stevensona i t. d., niéma ani jednego wyrazu niestosownego— mrs. Grundy drży na samą myśl o tém, co czytanie takich autorów mogło-by zasiać w główce Galatei, do jakich ją przywieść uwag! Galatea jest w świecie, bywa wszędzie, uczestniczy daleko więcéj we wszystkich zabawach i zajęciach towarzystwa, aniżeli jéj rówieśniczka w Paryżu i w Warszawie, Galatea szuka „flirtu“ i sama „flirtuje“, ile się jéj podoba, ale czytać może tylko książki pani Braddon i „Family Heralda“, bo... bo jest Galateą. Przypuszcza się, że jest cała z marmuru. I cóż ona myśli? To jedno, oczywiście, że istnieją w życiu takie chwile, takie komplikacye, iż, aby zrozumieć ich doniosłość, trzeba wprzód być czyimś ślubnym niewolnikiem na całe życie. Nadewszystko zaś, wyobraża sobie życie poślubne, jako coś tak absolutnie odmiennego od przedślubnego, że przygotowywać się do niego nie można, nie wypada żadną miarą.

Krytyka więc oznajmia nową powieść Besanta lub Payne'a rozwlekłemi artykułami, których treść jest jednakowa: „Autor usiłuje ominąć pewne bagna społeczne, czyni to z wyraźną niechęcią—i nie zawsze szczęśliwie“. Wystarcza to brytańskiéj matronie! Długo można czekać, zanim cena dzieła zejdzie do przystępnego poziomu, a znaleźć je można tymczasowo w klubach, wypożyczalniach liberalniejszych i w specyalnéj szafce pani Grundy... Niechże kto weźmie do ręki najpoważniejszy organ literacki, tutejsze „Athenaeum“, niech ślęczy długo nad „krytycznym“ przeglądem belletrystycznych nowości i odpowie potém: czy zrozumiał źdźbło jedno z kupy plew frazesowych? Nie. Przeglądy te nie są ani literaturą, ani krytyką—są poprostu artykułami handlowemi. Z wyjątkiem autorów tam omawianych, nikt tych paragrafów nie czyta, chyba spekulujący księgarz.

Wielka krytyka chowa się po wielkich kwartalnikach, czasem miesięcznikach. Wymieniłem jéj przedstawicieli i rozsądną dążność. Ale czytelnicy jéj, to strasznie *rari nantes* i do téj pory —bardzo apatyczni.

Nie wyczerpałem mego przedmiotu, dałem jednakże więcéj, niż proste zarysy. Wystarczy to może dla zoryentowania się w dziewiczym lesie belletrystyki i krytyki angielskiéj.

EDMUND S. NAGANOWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

S. M. Roguski (Es-em-er) „*Zagony*“, powieść współczesna, Warszawa 1891.

Szlachcic ma córkę, przemysłowiec ma siostrę -- lub odwrotnie Nie dość to jeszcze do napisania powieści, ale w każdym razie jest to już coś. Wywiązują się ztąd bowiem sytuacye tak łatwe, tak proste, jak sobie tylko życzyć można. Oto jedna z nich: Szlachcic dla uświetnienia klejnotu chce wydać jedynaczkę za hrabiego, w pannie atoli kocha się bogaty dorobkiewicz nizkiego pochodzenia. W pierwszéj części powieści rodzice, wraz z córką, albo wbrew woli córki, czynią zabiegi celem usidlenia hrabiego, który nie kwapi się z oświadczynami z powodu niewielkiego posagu; w drugiéj — rodzice pospołu z córką, albo naprzekór córce, dumnie odpychają bogatego parweniusza, który gotów był z panną się ożenić; w trzeciéj hrabia zwija chorągiewkę i zupełnie się wycofuje, skompromitowawszy lub tylko ośmieszywszy pannę; co widząc, rodzice, w części czwartéj oddają ukochane dziecię parweniuszowi. Tu oczywiście możliwy jest cały szereg waryantów, zależących od tego, kto komu sprzyjał; ale zawczasu wiadomo, że, jeśli i panna chciała hrabiego, a wychodzi za dorobkiewicza jedynie w ostateczności, los jego będzie nieszczęśliwy, co może stanowić albo piątą część tejże powieści, albo zawiązek nowéj.

A oto sytuacya druga: Bogaty przemysłowiec ma córkę, (siostrę, kuzynkę)... Przemysłowiec chce ją wydać za—przypuśćmy—księcia, a w niéj się kocha dzielny—dajmy na to—fabrykant krawatów. Książę

już gotów był poślubić bogatą mieszczkę, lecz ojciec narzeczonéj bankrutuje. Oblubieniec oczywiście cofa się, wówczas przychodzi wzgardzony poprzednio krawaciarz, ratuje swojemi pieniędzmi i zdolnościami zachwianą fortunę, za co w nagrodę otrzymuje rączkę, któréj pragnął.

Umiemy to na pamięć. Ambitni rodzice, próżne córki, chciwi arystokraci, bezinteresowni dorobkiewicze, to inwentarz dziewięciu dziesiątych współczesnych powieści. Naturalnie, powieść nie kłamie. Postaci takich i takich sytuacyi trafia się w życiu wiele na każdym kroku. Położenie ekonomiczno-społeczne, w jakiém znaleźliśmy się po zlikwidowaniu stosunków pańszczyznianych, zaostrzone ostatniemi czasy groźném przesileniem rolniczém, które do reszty obala wiele zachwianych poprzednio fortun; wzrastający szybko przemysł, który plebejuszów czyni bogaczami; wstrząśnienie ogólne, przy zrzucaniu przez społeczność całą staréj skóry i szukaniu innéj, twardszéj, bezpieczniejszéj, i różne takiego procesu wewnętrznego trudności — wszystko to odbiło się w tych figurach powieściowych i w ich losach. Klejnot szlachecki bez pozłoty przestał już ważyć; zasługa osobista i praca nie zyskały jeszcze tyle uznania, żeby go zastąpić mogły. W rozprzężeniu ogólném rodziny ziemiańskie ratują się, poświęcając w razie konieczności nawet instynkta kastowe, byle nie wyjść na nędzarzy; instynkta te jednak staczają uporczywą walkę i uginają się ostatnie. W takiéj atmosferze nie może braknąć ani dorobkiewiczów, wyciągających ręce po szlachcianki, ani szlachciców, broniących się od takich związków, póki się da; mieszanie się stanów, przerzucanie się szlachty do przemysłu, mieszczan do roli, koligacye ludzi odmiennych warstw — wszystko to występuje jako jedno wielkie zjawisko społeczne, będące wskazówką przewrotów wewnętrznych i zarazem potężném narzędziem towarzyskiéj niwelacyi, na co literatura powieściowa miała nietylko prawo, ale nawet obowiązek, zwrócić uwagę.

Jakoż zwróciła ją. Czy obserwacye powieściopisarzy były przytém dość wszechstronne i dość gruntowne, to jest osobna kwestya, któréj szczegółowo rozbierać nie będziemy. Naszém zdaniem, ani gruntowność, ani wszechstronność spostrzeżeń nie zadawalniają tu wybredniejszych wymagań. Zdawało-by się, czytając większość utworów powieściowych, dotyczących tego zjawiska, że dzieje wewnętrzne społeczeństwa w ciągu ostatnich lat kilkunastu ograniczają się do tego, iż ktoś tam stracił majątek, a ktoś inny zbogacił się, i że wskutek tego przybyło w salonach parę typów mniéj więcéj niesmacznych. Głębokie przeobrażenia obyczajów, pojęć, stosunków, oglądane były przez te same mniéj więcéj zawsze szkiełka, w tych samych figurach, w tych samych pozycyach i położeniach. Jest to bez zmiany

taż sama zawsze historya o żeniaczce zachwianego szlachcica, lub jego córki, i o spanoszonym plebejuszu, widzianych na tle bawialni albo buduaru. Reszta — to zaledwie drugoplanowe dekoracye, bez względu na to, że w tych właśnie dekoracyach tkwi bogaty materyał, nadający się do samoistnego traktowania.

Ale skoro już tak jest, skoro za cały skarb wydobyto z téj kopalni kilka postaci, które się stereotypowo niemal powtarzają i które się przez to wielce zużyły, trzeba posiadać istotnie niemały talent, żeby, nie troszcząc się o nowe pomysły, o nowe spostrzeżenia wziąć jeszcze raz za przedmiot opowieści te same zużyte już postacie, w sytuacyach powielekroć widzianych, i zająć pomimo to czytelnika. Takiego dzieła dokazał właśnie p. Roguski w „Zagonach.“

Bajka jak można najbardziéj szablonowa, figury główne znane Proszę połączyć dwie zaznaczone na początku sytuacye w jedną a wypadnie fabuła „Zagonów.“ Szlachcic Rolbiecki, obywatel i współwłaściciel kopalni węgla, ma wnuczkę Janinę i wspólnika, Niemca Wundera. Rodzice chcą wydać Janinę za hrabiego, ona jednak kocha się w Henryku, synu Wundera. Rolbieccy bankrutują, hrabia zrywa konkury, a młody Wunder zaręcza się z Janiną i, jako narzeczony już, reguluje interesa rodziny Rolbieckich, w czém na nieszczęście zaskoczyła go śmierć z wypadku w kopalni. Odejmijmy przeciwstawienie dwóch typów Niemca, z których jeden, Wunder, przynosi ze sobą społeczeństwu pracę, wiedzę i uczciwość, drugi zaś, Prusak Stanner, „*Raubvogel*“, bezlitośnie zapuszcza germańskie zagony (skąd tytuł utworu), a wszystko, co pozostanie, przypomina się nam niby echo. Powieści społeczne Kraszewskiego, Prusa Wokulski i Izabella, powieść najświeższa o rodzinie Fattów i baronie Turnau, etc. etc.... Więc tedy autor nie zadawał sobie pracy z wyszukiwaniem nowych sytuacyi. A gdy, pomimo to, podbija nas i zjednywa zainteresowanie dla swoich bohaterów, jest to niezawodnie prawdziwe zwycięztwo artyzmu, który potrafił tchnąć życie w to, co zdawało się wyczerpaném i zestarzałém. Autor wziął gotowe postacie i gotowe stosunki, z tą głównie intencyą, żeby je na swój sposób ożywić. Zdaje się, że mówi do nas: widzieliście tych ludzi? A gdy odpowiadamy twierdząco, dodaje: więc jeszcze raz na nich spojrzyjcie, ja wam ich pokażę, podobnych wprawdzie w konturach, a jednak zajmujących, bo wypukłych, prawdziwych, żywych; nic mnie to nie obchodzi, że inni brali tu wzorki, bo samo malowanie sprawia mi przyjemność, a wam miły będzie widok poprawnéj mojéj roboty; mniejsza o treść, technika jest główną rzeczą w sztuce; otóż pokażę wam dobrą technikę, w któréj się kocham i w któréj chciałbym i was rozmiłować. I w istocie pokazuje nam doskonałą technikę. Wszystko tu żyje, ru-

sza się. Ani jednego niepotrzebnego rysu, ani jednego fałszywego tonu. I gdyby w książce nie było nic więcéj nad to, gdybyśmy tu nie znajdowali śladów rozleglejszego zamiaru, który nie został należycie wykonany, ograniczylibyśmy się do powyższego dodatniego wrażenia. Musielibyśmy wyznać, że dano nam rzeczy nie nowe, ale w dobrym gatunku, na których znać dotknięcie ręki artysty. „Zagony“ atoli mają z tytułu i wątku zakrój powieści społecznéj, dotyczącéj zjawiska, które nie zostało dotąd wszechstronnie wyzyskane, zjawiska skomplikowanego, ważnego, obchodzącego zarówno ogół, jak pojedyńcze stany i osoby. Jest to motyw, którego albo nie trzeba było poruszać, albo téż trzeba było wykazać pewną samodzielność obserwacyi, głębiéj w stosunki sięgających. P. Roguski wziął go za tło swojego opowiadania, ale potém na to tło rzucał sylwetki, nie wiele się troszcząc o motyw główny. Za czém poszło, że „Zagony“ przedstawiają się nam jako szczególny amalgamat talentu i rutyny. Figury, każda osobno, żyją. Tych Niemców, szlachciców, bankierów, panienki i lwice salonowe widzę jasno, jakby na nie padało pełne światło. I nicby mi to nie szkodziło, że ich znam skądinąd, gdyby nie okoliczność, że te znane mi już pozy ich i ruchy mają w tym wypadku służyć za ilustracyę pewnego doniosłego pojawu społecznego. Bo choć same w sobie i same dla siebie mogą wystarczać, przez to, że zostawiają wrażenie niby po zetknięciu się z żywymi ludźmi, nie dają jednak nic więcéj; a tymczasem nie możemy powiedzieć, żeby autor nie chciał na własną rękę badać stosunków społecznych, żeby nie miał był zamiaru w pewnéj określonéj sferze podsłuchywać samoistnie uderzeń tętna zbiorowego, celem dodania literaturze nowego „dokumentu.“ Tylko że ten zamiar nie udał mu się tak, jak strona techniczna rysunku figur w zakresie dawniéj wyzyskanych już położeń, do których należą zabiegi matrymonialne matek, mających córki na wydaniu, pożycie rodzinne, miłoście młodzieży, miłostki starszych i t. p. To wprowadza pewien rozdźwięk do wrażeń czytelnika i to zarazem upoważnia nas do zaznaczenia, że nie wszystkie są w równéj mierze dodatnie. Jako artysta, wykazał p. Roguski niepospolite uzdolnienie; jako twórca nowego „dokumentu“ literackiego, chybił, bo nie ujawnił dostatecznéj samodzielności, poprzestając na ilustrowaniu nowych stosunków staremi kliszami. Dla przekonania się o tém dość jest pobieżnie choćby spojrzéć na sposób rozwinięcia tego społecznego motywu, który ma stanowić cement, spajający między sobą epizody.

Wspomnieliśmy, skąd się wziął tytuł powieści. Prusak Stanner, *Raubvogel*, wyobraża pochód obcéj kultury ku wschodowi:

„Mnich apostata, lennik spanoszony,
„I tu krzyżackie rozpostarł zagony.“

Tą cytatą dziadek Rolbiecki wyjaśnia wnuczce znaczenie Stannera, dodając: „Teraz są to także zagony, i taktyka niby ta sama, tylko broń inna...” A więc zjawisko poważne, starcie dwóch żywiołów plemiennych, dwóch skupień siły społecznéj. Prusak naciera, Polak się prawdopodobnie broni. Co trzeba zrobić, żeby odtworzyć skomplikowany obraz takiéj walki, nie wchodzimy w to; różni różnic-by sobie poradzili. Jeśli jednak dwie trzecie, a może trzy czwarte powieści będą poświęcone kochaniu się Henryka z Janiną, Mirci z Lutkiem, Wundera z doktorową Brylantynerową, Janiny z hrabią Grodeckim, stosunkom osobistym dwóch sióstr w rodzinie Rolbieckich, balom i skandalom w Warszawie; to powiadam, że ludzie, biorący udział w walce, spowodowanéj przez zagony, mogą się wprawdzie kochać, bawić, intrygować, tylko że te miłości, zabawy i intrygi nie stanowią ani saméj walki, ani jéj charakterystycznych momentów. Że Artur Rolbiecki jest próżniak, bezmyślny i niedołęga, to już ma związek z wynikiem starcia. Gdzie są jednak „zagony“, a zwłaszcza gdzie *Raubvogel*, skoro, gdyby interesa poszły takim trybem, jak im zakreślił Prusak Stanner, wyszło-by to rodzinie Rolbieckich na dobre, zachowała-by majątek i miała-by pewno zięcia hrabiego, traci zaś to wszystko nie wskutek bezpośrednich machinacyi Stannera, lecz przez własną głupotę, przez wyrzucenie Stannera ze spółki, do któréj potém oczywiście już on nie chce wrócić, jak nie wróciłby zapewne nietylko Prusak ale i Polak, gdyby się zwłaszcza nie kochał w Janinie, albo gdyby, kochając się, został przez opiekunów jéj odepchnięty. Zagony idą może i takim szlakiem. Ale tu ich nie widzę. I my posiadamy kapitały, i my posiadamy techników, przemysłowców, spekulantów. Niedołęztwo wielkoświatowe Artura Rolbieckiego nie jest wszystkiém, co możemy przeciwstawić nawale pruskich zagonów. Gdyby wziąć Rolbieckiego za normę, znaczyło-by, że zagony niosą nam właściwie zbawienie, z którego tylko korzystać nie chcemy. Tych stosunków i czynników, za pomocą których, pomimo skuteczniejszych od Rolbieckiego zapór, Niemiec umacnia się i w grunt miejscowy wrasta, nie widzę; nie widzę kopalni i jéj życia, nie widzę walki, ataku i obrony. Do czego więc służy zjawisko? co z niego zaobserwowano i odtworzono? Otóż tu właśnie znać wpływ ulegania szablonowym formułkom. Zamiast uchwycić pojaw w jego głębokiéj i różnostronnéj treści, zbadać go i jako pełny obraz danéj sfery stosunków przedstawić, autor powiada sobie, że ta myśl, te *zagony*, będą to takie sobie ramki, które najłatwiéj zapełnić, opowiadając, jak się Henryś kochał w Janince, Mircia w Lutku, jak pan Artur umizgał się do pani Brylantyner, a ta jak uciekła z kochankiem za granicę. Ależ naturalnie, że najłatwiéj; zwłaszcza gdy wszystkie takie postacie,

przy pewném oczytaniu, możnaby kreślić z pamięci, nie oglądawszy ich nigdy na oczy. Czytelnika jednak ta łatwość nie rozbraja. On się będzie uważał za zawiedzionego. Zapowiedziano mu coś, czego nie znajduje. Spodziewał się ujrzéć obraz ważnego społecznego zjawiska; pokazano mu natomiast sylwetki dwóch niemców, gdzieś na dalekim planie mglisty zarys kopalni spółkowéj, wspomniano coś o bardzo rozumnéj i bardzo dla szlachcica korzystnéj operacyi pruskiego przybysza, a resztę, t. j. prawie wszystko, wypełniono długim szeregiem epizodów miłosnych, towarzyskich i rodzinnych. Te są dobre, ani słowa. Ale do licha, czyżby nas w walce z prusactwem gubiła kochliwość? Bynajmniéj. Ludzie się tu kochają, swarzą, swatają, bo miłoście i swaty są uprzywilejowanym żywiołem powieści. To jest znowu zwycięztwo rutyny nad samoistnym polotem talentu. Albo zagony w rzeczywistości inaczéj wyglądają, niż w téj powieści, albo téż, jeśli nie, są bagatelą, która, przy odrobince zdrowego rozsądku w interesowanych, zamiast stawać się klęską, nie przestaje być dobrodziejstwem. W obu razach autor pozostaje nam coś dłużny. Jeśli zagony wyglądają inaczéj, winien nam ich szeroki wizerunek; jeśli są fraszką, niepotrzebnie odzywa się o nich w tonie pełnym grozy. A tych grzechów sprawczynią—rutyna. Dlaczego się jéj poddał, nic nas nie obchodzi. Może to lenistwo, a może tylko kaprys. Patrzę na skutek, i porównywając go ze skalą pewnych wyższych literackich aspiracyi, widzę, że nie pasuje do niéj. Aspiracyi tych wyrzéc się nie chcę i dlatego ostrzegam przeciw rutynie, przeciw formułkom i szablonom na figury i sytuacye powieściowe, choćby były dobrze malowane.

Wszelako, spełniwszy w ten sposób obowiązek sumienia, możemy z całą swobodą oddać się roskoszy smakowania w miłych obrazkach, jakiemi książka jest zapełniona. Jużci gdyby trzeba wybierać, wolę dobrą robotę przy braku inwencyi, niż inwencyę przy złéj technice. Technika nie jest wszystkiém w sztuce. Ale jest jéj częścią najistotniejszą. Prawdziwa to uczta dla gurmandów literackich, gdy patrzą, jak z kilku pociągnień pióra, z kilku zdań dyalogu wychodzi żywa postać. Wszyscy potrosze jesteśmy takimi smakoszami, i gdyby było inaczéj, nie warto-by się rodzić artystą.

Całe „Zagony“ składają się z szeregu szkicowych, ale niezmiernie wyrazistych scen i figur. Autor nie rzuca pod nie tła i nie cieniuje ich starannie; wszędzie kontury tylko, kreski. Lecz każda z tych kresek odbija jakiś rys prawdziwy i charakterystyczny. Każde słowo dyalogu wprowadza nas w jakąś poufałą znajomość z postacią, daje nam ją niejako uczuć, zostawia po sobie wrażenie jak gdyby bezpośredniego zetknięcia z człowiekiem, jego postawy, ruchu, głosu. Słów

tych jest niewiele, lecz w takich warunkach nie potrzebuje ich być wiele. Nie znajdzie tu nic konwencyonalnego, nic zrobionego sztucznie, bo ani pamięć, ani oko nie zawodzi artysty choćby na chwilę. Ponieważ zaś ten dar ożywiania jest wrodzoną właściwością pisarza, więc ujawnia się zarówno przy kreśleniu figur głównych, jak podrzędnych. Nietylko Rolbieccy, nietylko Stanner, Brylantynerowie i Wundery, ale i burmistrzowa Sudecka z córkami, i nawet wzmiankowany zaledwie burmistrz, i wyrobnik Pobiała, i kucharka Wundera, Grethe, jednakowo wybitne we wspomnieniu naszém zajmują miejsce.

Powieść zaczyna się od tego, że stary Wunder czeka syna Henryka z obiadem. Obiad ma być dziełem Grethe. Kocha ona chłopca i „gdyby tak można było, postawiła-by na stół odrazu wszystkie zupy, sznycle, rozbratle i melszpajzy, jakie umiała sporządzać, byle tylko dogodzić temu ulubionemu Henryczkowi.“ Atoli z wielkiego pośpiechu nie mogła się wyguzdrać i spóźnia się z obiadem. I Henryk się trochę spóźnił; przyszedł jednak w końcu, a obiadu niéma. Grethe jest zmartwiona i zawstydzona, krząta się gorączkowo, ustawia na stole rzeczy potrzebne i niepotrzebne, wraca do kuchni, znowu wchodzi do pokoju i, dla uspokojenia siebie i pana, powtarza od czasu do czasu: *schon gleich, schon gleich!*, a jednocześnie w duszy pełna jest obawy, że jak się Henryk teraz wygłodzi, może drugi raz nie przyjść na obiad. W tém zjawia jéj się niespodziewana pomoc. „*Der* dziedzic *kommt!* — krzyknęła nagle Grethe, wychyliwszy się przez okno kuchenne.“ Był to stary Rolbiecki z wnuczką, która przybyła z rodzicami i którą prowadził dla zaprezentowania po wielu latach wspólnikowi i przyjacielowi. Grethe się cieszy, bo odwróci to na chwilę uwagę ogólną w inną stronę. Jakoż zaczynają się powitania, prezentacye, rozmowa. Rolbiecki, tęgi i sympatyczny szlachcic, dumny jest z Janiny. Stary Wunder zachwycony, młody niebezpiecznie wzruszony. Nareszcie, kiedy po tym pierwszym wzajemnym przeglądzie, wszyscy potrosze uczuli się zaambarasowani własnemi wrażeniami, Grethe, jakby umyślnie, „wniosła wazę i wybawiła pannę Janinę z wielkiego zakłopotania.“ Był to jéj podwójny i zasłużony tryumf.

Bawiąc u dziadków, Janinka zawędrowała raz nad rzekę. Zobaczyła łódkę na piasku i zachciało jéj się nawigacyi. Ale łódź była dziurawa. Kiedy „zaczęła ją oglądać z miną poważną, pukać w dno i dłubać paluszkiem w szparach, z których wyzierał mech zielonkawy, zeschły i przegniłe pakuły“ — naraz odezwał się nad jéj uchem prawie głos: „Zepsowana.“ Drgnęła ze strachu i obejrzała się. Lecz nie miała się czego bać. Był to Mateusz Pobiała, chłop poczciwy, wyrobnik; utracił w Łodzi zarobki, bo wzięli do roboty Niemców, tu przyszedł, dostał miejsce, ale po siedmiu tygodniach i tu go wyrzu-

cili. Podejmuje się naprawić łódkę, nie dla interesu, ale tak ot, że jest uczynny i że mu się „pannuncia“ podoba. Zaczyna majstrować, a pannuncia z nim tymczasem rozmawia.

— „A pocóżeście zawędrowali aż tutaj?

— „Za robotom. U nas to bardzo ciężko dostać kawałek chleba. Niemców naszło strach... naszemu ciężko... A bardzo oni kwapne do roboty... nasz tyla nie zrobi.

— „Dlaczego? — zagadnęła panna Janina.

— „Musi nie może – odparł z wielką flegmą.—Nasz nima takiego zdrowia do roboty. Nasz chłop będzie niby większy na miarę, a do roboty słabszy. Niemiec ma zdrowia więcéj i więcéj rozumie.“

„Nasz nie ma tego rozumu, co Niemiec — mówił daléj Pobiała, pykając fajeczkę. — Nasze panowie, ot na ten przykład, uczone som, a głupie naprzeciw Niemca.“ A kiedy Janina, zafrasowana tą niepochlebną o panach opinią, zastanawiała się smutnie nad takiém upośledzeniem, Pobiała prawił wciąż spokojnie: — „Tylko za pozwoleniem żyd drugi. Ino żyd, proszę wielmożnéj pannunci, Niemcowi da radę. Dlatego nasze panowie, które som prawdziwa szlachta, nie mogom przez żyda. Żyd sobie weźmie, a już jenszemu nie da. Niektóry żyd i Niemca zmani. — Wziął się znowu do roboty, którą przerwał dla rozmowy. Janina nie pomagała mu. Zadumała się. Dziwnie sympatycznym wydał jéj się ten prosty człowieczysko.“

Spuszczono łódkę. Lecz kiedy Pobiała skoczył w zagajnik po żerdź na wiosło, Janina, wszedłszy do nawy, odbiła od brzegu. Prąd ją niesie, a przez szpary, których pozostało aż nadto, woda się sączy. Janinie grozi utonięcie. Wróciwszy z żerdzią Pobiała jedném spojrzeniem ogarnia niebezpieczeństwo. Rzuca się do wody i z trudem wielkim chwyta w końcu dziób napełnionéj już prawie wodą łodzi. — Aj! aj! aj! — odetchnął, a sapał jak miech kowalski. „Cob to było? — mówił urywając za każdém słowem — cob to było, jakby skarłupa ścierwo poszła na dno!“ Ale jeszcze do lądu daleko. Wreszcie uczuł grunt pod nogami.

— „Chwalić Boga, po strachu! — rzekł i przeżegnał się z wielkiém nabożeństwem. Panna Janina przeżegnała się także. — Coby to było? — zagadnęła nieśmiało, jakby obawiając się wspomnienia o niebezpieczeństwie, z którego wyszła dziwnym trafem. — Potonęła-by pannuncia, jak mucha w barszczu — odpowiedział Pobiała i roześmiał się dźwięcznym, szczerym śmiechem.—Nieszczęście-by było.—Spojrzał na Janinę. Ot co znaczy panna, pomyślał sobie, pańska krew! Wychowana w puchu, nie to, co prosta dziewka.“

Po téj uwadze Pobiała proponuje wielmożnéj pannunci, że ją zaniesie do dworu na rękach. Oczywiście ona odmawia, i tylko

prosi, aby się zgłosił późniéj, gdy się przebierze, po nagrodę. Chłop poszedł do karczmy i nie chwalił się przed obecnymi. Wszelako wieść i tak gruchnęła, że Pobiała wyratował pannę. Toż-to mu zapłacą, toż będzie miał los! Szynkarz i goście zaczęli go częstować, upił się. Ale do dworu nie poszedł po nagrodę, nawet gdy wytrzeźwiał. On sądził, że właściwie nic mu się nie należy, przytém zaopiekował się nim pan Henryk i należycie go uposażył.

Rolbieckich poznajemy trzy pokolenia: dziadka, syna i dwoje wnucząt. Podobnie do większości figur w „Zagonach", interesują nas oni nie tyle przez to, *czém* są, ile przez to, *jak* są. Stary Rolbiecki to pospolity szlachcic, który na wspólce w kopalni węgla, wykrytéj na jego terytoryum majątkowém, dorobił się pieniędzy. Syn, Artur, to już pan, prowadzący w Warszawie dom na wielką skalę; wnuk, Wiktor — zepsuty w atmosferze domu ojcowskiego młodzieniaszek. Ażeby ich należycie ocenić, trzeba ich widziéć i śledzić, jak ich autor w ruch wprawia, jakich prostych a zawsze w cel trafiających używa środków charakterystyki. Z drobnych, urywanych rysów składają się doskonale wyraziste postacie. Już kilka początkowych scen, gdy Rolbiecki był z wnuczką u Wundera, i potém, do domu wróciwszy, chwalił się tajemniczo, że „zrobiliśmy konkietę", daje nam jego wizerunek. Szczery, uczciwy, tęgi szlachcic, kiedyś musiał być zuch nielada, dziś pozostało mu jeszcze dużo fantazyi; serce oddał Janince, tak jak to starzy oddawać niekiedy umieją, całe, bez podziału. Kocha ją ślepo i, gdyby jéj nie stało, życie straciło-by dla niego wszelki powab. Za Wundera chciałby ją wydać nie z wyrachowania, ale że mu się chłopak podoba, że to syn jego wspólnika i przyjaciela, z którym razem pracą dorobili się fortuny. Jest szczerze zmartwiony, gdy ten związek, zdawało się, w nic się obraca; ale kiedy po bankructwie Artura i wycofaniu się Grodeckiego znowu wraca nadzieja, jakże on zręcznie, jak delikatnie a prosto naprawia popsuty wskutek nieporozumienia stosunek między Janiną i Henrykiem. Oczywiście, byliby się pobrali; na nieszczęście, Henryk poniósł śmierć z wypadku.

Artur Rolbiecki rysuje nam się w oczach także po kilku zaraz pierwszych pociągnięciach. Wykwintny ten światowiec lubi dużo spać i wstydzi się tego. Zamknięty w gabinecie, drzemie; ale gdy go kto zdybie, tłómaczy się, a nawet lubi się żalić, że po nocach nie sypia z nadmiaru zajęć. Życie zapełnia miłostkami, z żoną utrzymuje stosunek poprawny dobrze wychowanego małżonka, o interesach kopalni nie ma należytego pojęcia, gra na giełdzie pod opieką doktora Brylantynera, do którego połowicy się zaleca, córkę wreszcie chce wydać za mąż za hrabiego, bo byłby to splendor niemały, a miłość jéj

dla Henryka wydaje mu się dziecińtswem, które prędzéj lub późniéj przeminie. Trzeba go widziéć w kilku scenach, kiedy np. układa się o posag córki z pełnomocnikiem hrabiego, albo kiedy pada ofiarą oszustwa Brylantynera, lub gdy zabiera się do ratowania resztek fortuny. Wiktora profil daje nam jedna jego rozmowa z matką, kiedy obarcza ojca wyrzutami za złe prowadzenie interesów. Takich synalków, podobnie jak takich ojców, nieraz nam już opisywano. I ci atoli mają prawo do życia, bo—żyją. To właśnie jest ich wielką, niezrównaną zaletą, tak samo jak Henryka i Janiny, jak starego Wundera i Brylantynerów. Nie będziemy się tu o nich rozpisywali, bo sami przez się nie są niczém nadzwyczajném, ani téż nic nadzwyczajnego nie czynią. Ciekawym jest w nich rysunek, złożony z krótkich, prawie kreskowych rzutów ręki, zawsze trafiających w cel zamierzony, zawsze pewnych i osiągających odpowiednie wrażenie. Trzebaby przytaczać całe scenki lub urywki dyalogu, żeby dać o nich szczegółowe pojęcie. A dopieroż Mircia i mama jéj, pani Sudecka! Jest to siostra Rolbieckiéj. Wyszła za mąż za burmistrza małego miasteczka. Z Rolbiecką nigdy nie żyły w zgodzie. Teraz wszakże, mając kilka córek, chciałaby burmistrzowa skorzystać ze stosunku z bogatymi krewnymi, i wpakowawszy do staréj karety siebie i trzy swoje córunie, udaje się do nich, pełna dyplomacyi, z wizytą. Matka i córki, szczególniéj zaś najstarsza, Palmira, vulgo Mircia, zazdroszczą Rolbieckim majątku, Janinie zaś prócz tego urody. Między sobą napodomu są w ustawicznéj kłótni, ale wobec obcych afektują wielką rodzinną czułość. Pod dach Rolbieckich wnoszą intrygę z powodu miłości Henryka i Janiny. W końcu Mircia, wzięta przez ciotkę do Warszawy, jak prawdziwa prowincyonalna gęś, tyleż głupia i źle wychowana, ile zawistna i złośliwa, kompromituje się na pierwszym balu zbyt poufałém tête à tête z jakimś lowelasem małego kalibru, na którego ramieniu słodko wspartą spostrzegły ją damy w ustronnym kąciku. Wybucha skandal. Rolbieccy chcą odprawić pannicę do domu, ale Sudecka powiada: za pozwoleniem! Nawarzyliście piwa, to je wypijcie. Przyjeżdża ona do Warszawy i zaczyna korespondować z „tym gałganem“, który, jéj zdaniem, powinien się ożenić z panną, tak niegodnie przezeń skompromitowaną. Zabiegi Sudeckiéj o protekcyę, o posadę dla „tego łajdaka“ Lutka — tak się zwał lowelas — są paradne. I niezawodnie była-by dopięła celu, gdyby nie ruina Rolbieckich, na których stanowisku sprytny Lutek opierał nadzieję karyery w razie małżeństwa z Mircią. Nie myślmy zresztą, że Sudeckie są uosobieniem czarnych charakterów. Ta matka kocha córki, choć się z niemi ordynaryjnie kłóci, te córki z pewnością kochają matkę, choć się z nią przekomarzają. Brak im dobrego ułożenia, a za wiele mają

pretensyi do życia, tak częstych u córek małomiasteczkowych dygnitarzy, zwłaszcza skoligaconych z arystokracyą. To takie same egoistki, jak Rolbieccy i jak większość tych gładkich figur w salonach, które ich otaczają; tylko tym brak ogłady towarzyskiéj; ich dyplomacya jest rubaszną; ostre kanty ich charakterów wychodzą na jaw i kłują nas przez lekkie bardzo osłonki parafiańskiéj etykiety, wystarczające na partykularzu, ale za cienkie w wielkim świecie pańskich dworów i salonów.

Z całéj téj galeryi figur jeden może Stanner jest trochę za sztywny. Czujemy w nim nie tyle człowieka, ile wcielenie idei „zagonów.“ Jest twardy, niewzruszony, jak przeznaczenie, jak potęga przyrodzonego żywiołu, który wszystko na swéj drodze zalewa. Na człowieka, na zwykłego niemieckiego przemysłowca, jakby za twardy, za zimny, zanadto bez serca, bez litości, ztąd téż tu i owdzie naciągnięty. Zapewne, nie zrobiwszy nic więcéj dla gruntowniejszéj charakterystyki tego pochodu kapitałów niemieckich ku wschodowi, który leży w pomyśle „Zagonów“, chciał to autor wynagrodzić przez skupienie w téj jednéj postaci wielu naraz złowrogich rysów. Ale nie uratowało to pomysłu, a zaszkodziło rysunkowi figury. Kapitały niemieckie idą wprawdzie na wschód i kultura przemysłowa idzie z nimi, lecz te *Raubvogl*'e, które niosą jedną i drugą, toć to nie bohatery, nie demony, ale pospolici ludzie, podobni do innych. I oni ulegają wzruszeniom, i oni mają ogładę towarzyską. Stanner jest przedewszystkiém symbolem i jako symbol wyróżnia się z szeregu osób, około których snuje się wątek opowiadania.

To jest wszakże jedyny wyjątek. Wszystkie inne postacie mają czyste, jasne, żywe kontury, na które dość jest patrzéć, aby doznawać szczerego artystycznego zadowolenia. Kto tak rysuje ludzi, kto tak chwyta prawdę na uczynku, ten oczywiście może sobie pozwolić na kreślenie choćby najbardziéj zużytych figur. Nietylko znawcy, ale i szeroka publiczność odczują i ocenią artystę. Zamykanie się jednak z takim zasobem siły plastycznéj w ciasnych ramach mniéj więcéj oklepanych szematów na ludzi i sytuacye, nie jest bynajmniéj potrzebne ani niezbędne. Dlaczego nie wyprowadzić jéj na szersze pola? I tam-by pewno nie zawiodła, a mogła-by dać literaturze coś zupełnie świeżego, nietylko w rysunku, ale i w obrazach.

J. Gadomski.

W. Lutosławski. *O Logice Platona.* Część I-sza. *O tradycyi tekstu Platona.* Osobne odbicie z Tomu XXVII Rozpraw Wydziału filozoficzno-historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1891.

Mamy do zaznaczenia nowy pocieszający objaw rozwoju u nas ściśle naukowych studyów nad dziejami filozofii. Zaledwie wyszedł pierwszy tom *Historyi greckiéj filozofii* prof. Pawlickiego, już pojawia się początek nowego dzieła, będącego również wynikiem samodzielnych badań źródłowych, a poświęconego poglądom najznakomitszego przedstawiciela idealizmu, którym rzecznicy współczesnego pozytywizmu, szczególniéj u nas, tak często poniewierają, chociaż dotąd w znacznéj części żywią się umysłowo jego ideami.

Praca p. Lutosławskiego ma za przedmiot wyjaśnienie jednéj z najmniéj dotąd zbadanych części filozofii Platona. Któż bowiem dotąd wiele słyszał o *logice* Platona? Za *ojca* logiki powszechnie uznawanym bywa Arystoteles; Platonowi przyznają wprawdzie niektórzy historycy logiki pewne znaczenie i na tém polu, ale nie określają takowego dość dokładnie. Mówi o tém autor na str. 2-éj temi słowy: „Struve, również jak i Prantl, Ueberweg, Blakey, przyznają, że logika wiele Platonowi zawdzięcza, ale, ze względu na ogólny zakres swych dzieł, nie rozbierają dokładnie i szczegółowo, ile Arystoteles na polu logiki przyjął od Platona. Ogół zaś tych, którzy powierzchowniéj zajmowali się historyą logiki, nazywa Arystotelesa twórcą téj nauki, idąc w tém za tradycyą średnich wieków i za powagą Kanta.“ Autor wybrał sobie tedy za przedmiot swego badania rzecz równie doniosłą, jak nową, któréj należyte wyświetlenie może się przyczynić do poważnéj zmiany dotychczasowych poglądów na rozwój greckiéj filozofii wogóle.

Nie możemy dotąd powiedzieć, jak się autor ostatecznie wywiąże ze swego zadania. Z ogłoszonego jednak początku pracy, obejmującego *Wstęp* i rozdział I-szy *O tradycyi tekstu Platona,* widać wyraźnie, że mamy do czynienia z gruntownym samodzielnym badaczem, który już w téj części swego dzieła pod niejednym względem uzupełnia i prostuje panujące dotąd w nauce poglądy najznakomitszych historyków greckiéj filozofii, z Zellerem na czele.

We *wstępie* wypowiada autor szereg uwag, dotyczących tak obecnego stanu kwestyi, środków pomocniczych do jéj rozwiązania, jak i celu swéj pracy. Przedewszystkiém narzeka na zaniedbanie historyi logiki wogóle. „Logika, mówi autor, metafizyka, psychologia zajmują dziś bardzo wielu pracowników we wszystkich cywilizowanych krajach Europy i Ameryki, ale za to *historya logiki* jest dotych-

czas tak zaniedbaną, początki téj nauki tak są lekceważone, że dziś można z zupełną słusznością powtórzyć skargę, którą Prantl trzydzieści pięć lat temu wyraził, gdy, rozpoczynając pomnikowe swe a niedokończone dzieło o historyi logiki, zarzucał filozofom obojętność dla tego rodzaju badań.“ Co do stanu historyi logiki u nas, autor wspomina o mojéj historyi logiki, traktującéj powszechną historyę téj nauki w związku z historyą logiki w Polsce.

Przechodząc następnie do logiki Platona, autor zaznacza, obok braku specyalnych nad nią studyów, jéj wysokie znaczenie dla rozwoju filozofii. „Żaden przedmiot — mówi — tak obszernego miejsca w dziełach Platona nie zajmuje, jak teorya myśli, stosunku myśli do rzeczywistości, prawdy i fałszu.“ Przytém dowieść można, „że to, co Platon poprzednikom zawdzięcza, wyraził lepiéj i jaśniéj od nich, sam zaś stał się twórcą wielu myśli i poglądów, które od niego przyjęli wszyscy, co po nim o filozoficznych kwestyach pisali.“ Doniosłość zatém logiki Platona nie może podlegać wątpliwości. Sceptykom zaś, którzy lekceważą pracę myśli Platona, lub téż dowodzą, że wszelkie rozprawy nad jego filozofią „są tylko próżném zestawieniem cytat z jego dzieł“, albo „próżnym popisem erudycyi dla bezpłodnych umysłów“, autor odpowiada gorąco, z przekonywającą argumentacyą, w kilku ustępach p. t. „praktyka i teorya“, „znaczenie faktów dla nauki“ i „zadanie historyi logiki.“

Wykazuje on tutaj, że „im więcéj uczony się oddaje platonicznéj miłości idei i pod jéj wpływem szuka związku i zależności pojęć, tém więcéj zdoła się zbliżyć do poznania prawdy, tém więcéj inni praktyczniejsi odeń ludzie znajdą zastosowań dla prawd, odkrytych przez samotnego teoretyka.“ A zatém nie ma nikt prawa odmówić doniosłości badaniom, podjętym przez Platona, a ważnym po dzień dzisiejszy dla poznania prawdy. Zresztą, jeśli chodzi o *fakta*, tak dziś wysoko cenione, to autor słusznie zaznacza, że „z takich faktów, które nie są obserwowane z myślą o wytłómaczeniu ich teoretyczném, najczęściéj nic a nic nie wynika, gdyż każdy fakt dopiero wtedy może służyć jako materyał naukowy, gdy sam obserwator stara się go pojąć i wyjaśnić.“ Z wszelkiém zaś wyjaśnieniem faktów zewnętrznych, czyli fizycznych, łączą się „fakta myślenia.“ O ile fakta te mają za cel osiągnięcie prawdy, są one przedmiotem logiki. Historya logiki jest tedy następstwem doniosłych dla człowieka faktów. A wśród nich „fakt zapatrywań logicznych Platona należy do wyjątkowo ważnych“, do tak ważnych, że dokładne przedstawienie tego faktu wyjaśnia należycie poglądy późniejszych myślicieli po dzień dzisiejszy, i nadto stanowi źródło dla wyprowadzenia wniosków o rozwoju myśli ludzkiéj wogóle.

W przedstawieniu logiki Platona widzi tedy autor wstęp „do wykazania naprzód historycznego wpływu, jaki wywarł, a daléj do określenia, w czém i dlaczego zbłądził, w jakiéj zaś mierze zapatrywania jego jeszcze dziś mogą być potwierdzone.“ W ten sposób ukaże się związek logiki Platona z logiką współczesną, związek, obejmujący całe szeregi wielce doniosłych faktów; bo – mówi autor — „gdy pojmę dobrze logikę Platona i stosunek jéj do współczesnéj logiki, wtedy pozyskam całe to psychologiczne doświadczenie, jakie miałby Platon, gdyby żył aż do czasu obecnego i był świadkiem przemian, rozwoju, a po części i upadku własnych teoryi.“ „Dla objęcia takiego horyzontu, warto zadać sobie trud dokładnego poznania logiki Platona.“

Oto jasno sformułowane zadanie, jakie autor sobie założył i do którego przystępuje, dodając do wstępu tylko jeszcze kilka uwag o koniecznéj potrzebie zajęcia się w tym celu krytyką źródeł, t. j. rozbiorem autentyczności i chronologii dzieł Platona i uzupełnienia a po części i sprostowania panujących na tém polu poglądów, wyłożonych głównie przez Zellera w ostatniém wydaniu z r. 1889 drugiego tomu jego *Filozofii Greków.*

Pierwsza część dzieła p. Lutosławskiego poświęconą będzie *krytyce źródeł* do logiki Platona, druga zaś zajmie się przedstawieniem saméj téj logiki. Ogłoszony obecnie pierwszy rozdział pierwszéj części zawiera specyalny rozbiór kwestyi zasadniczéj *o tradycyi tekstu Platona.* Rozbiór ten traktuje najprzód o *rękopismach*, a następnie o *wydaniach*, *tłómaczeniach* i *komentarzach* dzieł Platona.

Poszukiwania autora nad pierwowzorem najdawniejszych rękopisów dzieł Platona odznaczają się wielką gruntownością i śmiało współzawodniczyć mogą z poszukiwaniami znakomitych specyalistów na tém polu. Szczególną doniosłość ma jego krytyka powszechnie przyjętego dzisiaj zdania, wygłaszanego przez takie powagi, jak Zeller, Heinze-Ueberweg, Schanz i inni, że doszły do nas podział pism Platona na tetralogie pochodzi od Trasylla, astrologa cesarza Tyberyusza, i że wskutek tego najdawniejsze dziś zachowane rękopisy (Codex Clarkianus w bibliotece Bodlejana w Oxfordzie z IX wieku i Codex Parisinus w bibliotece narodowéj w Paryżu, równie dawny, a może jeszcze dawniejszy) mogą być tylko kopiami, lub kopiami kopii z egzemplarzy, pisanych w 400 lat po śmierci Platona.

Gdyby to przyjęte dziś zdanie było prawdziwém, natenczas — mówi autor — doszłe do nas rękopisy nie zasługiwały-by na zbyt wielkie zaufanie, bo pochodziły-by z oryginału, pisanego naprzód tak późno, a nadto nie w Atenach, gdzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, tradycya tekstu najczyściéj się zachowała, lecz w Rzymie, gdzie niedbalstwo przepisywaczy, pośpiech i samowola wydawców

tyle greckich tekstów zeszpeciły i okaleczyły. Z kwestyą tedy pochodzenia obecnego podziału dzieł Platona na tetralogie łączy się dla autora ściśle kwestya pochodzenia naszych rękopisów i ich autentyczności.

Dla krytycznego rozjaśnienia téj kwestyi, autor prześledził ogromną liczbę pism starożytnych i wykazał, że oprócz siedmiu, przez Bähra w *Realencyclopädie der classischen Alterthumswissenschaft* wymienionych, Trasyllów, istniało jeszcze 19, t. j. razem 26, o których doszła do nas wiadomość. Autor wylicza tych wszystkich i zaznacza szczegółowo, gdzie, kto i co o nich mówi. Z wyczerpującego zaś porównania tych bogatych źródłowych wiadomości dochodzi do wniosku, że niéma żadnego pewnego świadectwa co do prac Trasylla, astrologa, nad Platonem; że utożsamienie Trasylla astrologa z Trasyllem platonistą polegało na błędném rozumieniu wzmianki nieznanego komentatora wierszy Juwenala i po raz pierwszy wystąpiło na jaw dopiero w XVII wieku w komentarzu Francuza Menage do dzieła Dyogenesa z Laerty; że nakoniec podział pism Platona na tetralogie istniał przed Trasyllem, bo Albinos, pisarz z połowy drugiego wieku, przypisuje ten podział *kilku* komentatorom i zalicza do nich *przed* Trasyllem niejakiego Dercyllidesa. Nadto autor wykazuje, że już Varro, pisarz rzymski, w pierwszym wieku *przed* Chrystusem uczynił wzmiankę, dotyczącą tetralogii, a dowodzącą, że podział ten nie mógł powstać dopiero za czasów Trasylla, astrologa, lecz istniał długo przed nim. Przy pomocy zaś dalszych, nader skrzętnych poszukiwań, autor wypowiada przypuszczenie, że tetralogie powstały w szkole Platona, w Akademii, a dopiero następnie przez Dercyllidesa i Trasylla zostały zastosowane w nowych wydaniach.

Powyższe dane dowodzą, według autora, że nasze rękopisy dzieł Platona mogą być wzięte z dawniejszych wzorów, niż z przyjętego dotąd wydania. Specyalne zaś rozpatrzenie *źródeł tekstu rękopisów*, daléj *okoliczności sprzyjających trwaniu własnych rękopisów Platona, tradycyi ich tekstu po zamknięciu Akademii, stosunku Platona do chrześciaństwa, jako okoliczności sprzyjającéj zachowaniu jego pism, stanu dzisiejszych najdawniejszych rękopisów* i tym podobnych szczegółów, których tutaj rozpatrywać nie będziemy, czyni, według autora, wielce prawdopodobném zdanie, że przy śmierci Platona istniały w Akademii przejrzane przezeń i poprawione egzemplarze dzieł jego, że dzieła te, starannie przechowywane, trwały tak długo, jak trwała Akademia, a przynajmniéj do czasu, kiedy zaczęto przepisywać dawne teksty z papyrusu na pergamin (w IV i V wieku), i że nasze najdawniejsze rękopisy, pisane w Grecyi (Clarke znalazł rękopis, noszący jego imię, na wyspie Patmos, 1801 r.) pochodzą bezpośrednio od egzemplarzy, które istniały jeszcze w VI wieku w Akademii ateńskiéj.

Oto rezultat wszechstronnych i wyczerpujących poszukiwań p. Lutosławskiego nad pochodzeniem naszych rękopisów Platona; — rezultat bardzo ważny, który, przy ogłoszeniu dowodów autora w jedném ze specyalnych pism zagranicznych, zwróci na siebie niewątpliwie uwagę świata uczonego i zaznaczy udział nasz na tém polu badań, dotąd u nas tak mało uprawianém.

Wobec powyższych poszukiwań mniejszą naturalnie mają doniosłość uwagi krytyczne i wywody autora, dotyczące *wydań*, *tłómaczeń* i *komentarzy* dzieł Platona. To téż ich tutaj streszczać nie będziemy, powiemy tylko, że i na tém polu autor dał liczne dowody, nietylko rozległéj erudycyi, ale i wielkiéj bystrości i samodzielności sądu.

H. Struve.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Odnowienie przymierza potrójnego, którego termin upływa za ośm miesięcy, jest najważniejszym niezawodnie wypadkiem politycznym w bieżącym miesiącu. Że Austrya i Niemcy nie zerwą stosunków, które je łączyły, o tém nikt nie wątpił. Kwestyą wątpliwą, i to względnie, mógł być tylko dalszy udział Włoch w sojuszu. Gabinet Crispiego upadł wkrótce po wyborach do parlamentu, które się odbyły pod hasłem walki o politykę zagraniczną. Opozycya skrajna twierdziła, że związek z Niemcami i Austryą wkłada na Włochy ciężary, przechodzące miarę ich sił, że w tych ciężarach leży główny powód trudności finansowych, w jakie skarb państwa popadł, i z téj racyi domagała się obalenia rządu, który po tak fałszywych drogach kraj prowadzi. Inne stronnictwa, acz różniące się w wielu punktach, zgadzały się jednak ogólnie w tém, że przymierze potrójne zapewnia Włochom bezpieczeństwo, jakiego-by po za niém nie miały, a co się tycze ciężarów, wkłada je wprawdzie, lecz niewiadomo, czy kraj na swą obronę nie musiał-by większych jeszcze, niż dziś, ofiar ponosić, gdyby się wyosobnił, i czy pomimo to nie byłby gorzéj niż dziś ubezpieczony. Ta opinia przeważyła w narodzie i większość wybranych posłów przyniosła ze sobą do parlamentu jak najlepsze dla przymierza usposobienie. O zmianie polityki zagranicznéj rządu, która w ten sposób przeszła zwycięsko próbę głosowania powszechnego, nie mogło być mowy.

W parę miesięcy potém Crispi ustąpił. Należąc do przymierza, rząd włoski powinien jednak myśléć o uregulowaniu finansów, aby skarb nie świecił pustkami. Większość parlamentu sądziła, że, jakkolwiek Crispi trzyma się dobréj zagranicznéj polityki, prowadzi źle sprawy wewnętrzne. To téż zmiana gabinetu tłómaczona była, jako znak nieufności do polityki wewnętrznéj. Margrabia Rudini wystąpił z programem oszczędności w budżecie, którego zrównoważenie stanowi główne zadanie i naczelną racyę bytu obecnego ministeryum. W okresie agitacyi wyborczéj, margrabia przemawiał gorąco za trójprzymierzem. Zostawszy prezesem ministrów, nie mógł zmienić zdania, nie miałby zresztą w takim razie za sobą większości. Sytuacya tedy przedstawiała się jasno, streszczając się w dwóch punktach zasadniczych: utrzymanie dotychczasowéj polityki zagranicznéj i rozwinięcie energiczniejszéj, a zarazem skuteczniejszéj, pracy nad poprawą finansów krajowych.

Do tego wyraźnego obrazu wkradł się atoli jeden rys wątpliwy, pochodzący ztąd, że margrabia Rudini rozwinął nadzwyczajną uprzejmość względem Francyi. Stosunki Włoch z Rzecząpospolitą były za Crispiego bardzo złe, Rudini oświadczył się z chęcią naprawienia ich. Serdeczne wynurzenia z trybuny włoskiéj odbiły się na usposobieniu prasy obu krajów, i zaczęto śpiewać hymn zgody i pokoju. Chłodno rzeczy sądząc, należało w tém widziéć tylko bardzo prostą rachubę. Rudini pamięta złe następstwa zerwania ekonomicznego pokoju z Francyą, i pragnie, w interesie finansów włoskich właśnie, które leczyć ma obowiązek, znaleźć na to radę. Takie wyjaśnienie nie wystarczało jednak wielu dziennikom, skłonnym do przesady. Wymiana uprzejmości wydała im się zapowiedzią trwałego politycznego zbliżenia Włoch do Francyi, a w konsekwencyi zerwania przymierza potrójnego. I ztąd pogłoski o trudnościach, towarzyszących odnowieniu przymierza.

Ponieważ brakowało im uzasadnionych podstaw, pogłoski te nie sprawdziły się. Rząd francuski zresztą, wiedząc dobrze, co znaczą umizgi następcy Crispiego, nie kwapił się z ustępstwami, które nie oderwały-by bynajmniéj Włoch od trójprzymierza i miały-by za cały skutek wyświadczenie przysługi ewentualnemu nieprzyjacielowi Francyi. Termometr serdeczności wzajemnéj spadł prawie równie szybko, jak się podnosił, i kiedy rząd Rzeczypospolitéj pospołu z parlamentem najspokojniéj zabierał się do rozpraw nad zasadami nowéj polityki ekonomicznéj, opartéj nie na traktatach handlowych, lecz na stałéj taryfie celnéj o podwójnéj skali, Rudini jednocześnie kończył układy o odnowienie przymierza potrójnego, oraz porozumiewał się w sprawie później nastąpić mających pertraktacyi co do traktatów

handlowych ze sprzymierzeńcami. Najwiarogodniejsze informacye zgadzają się, że akt przymierza albo już został podpisany, albo wkrótce będzie. Odnowienie jego nie ulega w każdym razie wątpliwości.

Tym sposobem Europa pozostanie nadal w takich samych warunkach równowagi międzynarodowéj, jakie widzimy od lat dziesięciu. Przymierze potrójne, z Anglią w odwodzie, z jednéj strony, z drugiéj Rosya i Francya, utrzymujące serdeczny stosunek, jeśli nie bliższy niż ten, jaki łączy Anglię ze sprzymierzonymi, to z pewnością nie chłodniejszy. Oczywiście, że i nadal, tak samo jak dotychczas, pod osłoną takiéj równowagi, żadna z wielkich spraw spornych nie będzie mogła uledz pokojowemu załatwieniu. Przedłuża się pokój zbrojny, oraz przywiązana do niego niepewność. Stosunki zmienią się o tyle, że gdy dotąd Francya związana była traktatami handlowemi z zagranicą, nie wyłączając mocarstw sprzymierzonych, a obecnie przyjmuje system taryfowy, Europa i pod względem ekonomicznym podzielić się może na dwa obozy, odpowiadające podziałowi politycznemu. Państwa sprzymierzone zawierają ligę ekonomiczną za pomocą traktatów handlowych, które obejmą całą prawie środkową Europę, Anglię i część Wschodu. Francya i Rossya będą stały po drugiéj stronie, tworząc grupę mocarstw niezawisłych ekonomicznie. Mówimy Francya i Rossya, albowiem bardzo jest małe prawdopodobieństwo, żeby gabinet petersburski zgodził się na zawarcie traktatów handlowych z Niemcami i Austryą, jak tego sobie życzą podobno w Berlinie, choć nie jest niemożliwe, żeby, bez traktatów, poczyniono sobie pewne wzajemne ustępstwa celne dla wywożonych z Niemiec do Rossyi i odwrotnie produktów. Tą ostatnia ewentualność nie zmieniła-by ogólnego obrazu położenia. Czy w takich warunkach nowe pięciolecie przymierza przeminie równie spokojnie, jak upływające, zobaczy, kto dożyje. Tymczasem wszyscy przygotowują się tak energicznie do wojny, jak gdyby nikt nie wątpił, że jest ona tylko kwestyą czasu, że pokój obecny trzyma się sztucznie, że lada chwila może się urwać i że trzeba będzie z orężem w ręku dochodzić praw i korzyści, do których się rości pretensye.

Minęły te czasy, kiedy się toczyły walki na ostre... pióra o szlachtę, kiedy ją uważano za rumaka nieujeżdżonego, na którym się odbywały bezustanne szarże. Ale nie minęły jeszcze uprzedzenia względem pobudek i uczuć prasy, wypowiadającéj zdanie o téj warstwie naszego społeczeństwa. Dowodzą tego dość częste listy przedstawicieli ziemiaństwa, nie zawsze bezstronne, gdy chodzi o szersze poglądy. Niedawno dotknął żywo tych spraw p. Ślepowron w „Liście ze wsi“ do „Gazety Warszawskiéj“ i wywołał inne głosy z pro-

wincyi, nacechowane różnorodnością peglądów. „Czy my, ziemianie, jesteśmy żywiołem istotnie bez wartości i bez uzdolnienia do życia? - pyta Ślepowron. — Czy mamy cierpliwie leżéć na kowadle konserwatyzmu a pod młotem postępu?“ Zdaje się, że temu młotowi za wielki ciężar jest przypisywany, a kierującéj nim ręce — za wiele uczuć wrogich. Zdaniem naszém, w gruncie rzeczy niéma i nie było „bezwzględnych nieprzyjaciół“ i „prokuratorów ziemiaństwa“ w takim zakresie, jaki nadaje autor listu publicystom warszawskim. Z wyjątkiem garstki ludzi, która wydzierżawiła sobie chłopów i trudni się naciąganiem faktów, reszta „krewkich“ publicystów, nie jest tak straszną i stronną, jak się wydaje. Już samo zainteresowanie się prasy ziemiaństwem dowodzi, iż ta klasa ludzi nie jest obojętną dla niéj, że jednakowo, bez względu na barwę organu i mniéj lub więcéj jaskrawy sposób wypowiadania uwag, żywo obchodzą ją wszelkie niedomagania i braki téj klasy ludzi. P. Ślepowron doradza swoim towarzyszom na roli, iżby ekonomicznie uznali się za osobną klasę wytwórców rolnych, połączonych nie łańcuchem spójni metafizycznych lub towarzyskich, ale interesów materyalnych; ażeby wciągnęli w swoje koła wszystkich, którzy w pocie czoła pracują na roli. „Jeżeli inne klasy występują solidarnie i bronią swych korzyści wytrwale, naśladujmy je, a gdy zajdzie potrzeba, podejmujmy z niemi walkę“. W tym celu doradca proponuje wytworzenie organów własnych, zarówno śród instytucyi, jak i dzienników. „Niech te pisma przestaną okadzać nas frazesami, usprawiedliwiać nasze błędy i wykroczenia (mowa o zachowawczych), niech nie pielęgnują w nas skamieniałości umysłowéj, niech nie wmawiają, że jesteśmy mamutami cywilizacyi, żywemi mumiami konserwatyzmu średniowiecznego. Jesteśmy bowiem i chcemy pozostać ludźmi, którym nic nie powinno być obce, co jest ludzkie, którzy zdolni są zrozumiéć i przyswoić sobie wszystkie postępy wiedzy“. P. Kazimierz Laskowski w „Słowie“, mitygując rozżalenie p. Ślepowrona, stara się go przekonać o „uczciwości dziennikarskiéj“, bez względu na barwę pisma, a na szereg rad odpowiada: „Nie do wyodrębniania się dążyć powinniśmy, nie do swych grzechów samolubstwa, wygórowanego poczucia osobistości, dzielącego społeczeństwo na rozmaite kółka i kółeczka, na ogniwa i ogniwka, nie mające z sobą żadnego związku — lecz do harmonii. Interesy nasze *powinny być* interesami ogółu, myśli powinny się zlewać, chęci i czyny popierać wzajemnie...“ Właśnie tego, co *być powinno*, brak naszéj szlachcie i to było i jest główną przyczyną „napaści“ nietylko organów postępowych, ale i niektórych zachowawczych. Wszelkie wystąpienia publicystyczne zawsze się obracały koło jednéj osi: położenia rolnictwa i skutków jego upadku stopniowego. Mniéj więcéj

wszędzie się znalazły dobre rady, zaprawione naganą lub pobłażaniem. Czasem oświetlano fakta pojedyńcze, grubo posypane solą attycką i przesiąknięte sarkazmem. Suma takich faktów, może czasem za pośpiesznie i niezbyt wiernie pochwyconych, wpłynęła właśnie na to, że interesowani widzą tylko złą wolę w téj części prasy, która swoje uwagi wypowiada bez ceremonii. Interesując się tą sprawą, oddawna śledziliśmy wszelkie dotyczące jéj głosy publiczne, i pozostawiając na uboczu przyprawy mniéj lub więcéj pieprzne, zwracaliśmy główną uwagę na rdzeń rzeczy, który najczęściéj wskazywał szczerą troskę o położenie moralno-materyalne licznéj klasy społeczeństwa naszego. Były tam nieraz projekta dobre, lecz niemożebne do wykonania z powodu szeregu warunków nieprzyjaznych, ale obok tego można było znaleźć i takie rady, nad któremi należało poważnie się zastanowić i sprobować w czyn je wcielić. Ślepowron nawołuje do wystąpienia solidarnego i do wspólnéj obrony wspólnemi siłami. A więc przedewszystkiém niechby się takie wystąpienie zaznaczyło na drodze utrzymania ziemi, z pod stóp się wymykającéj; potém łatwiéj pomyśléć o innych solidarnych organizacyach pracy. Za granicą rolnictwo również walczy z ciężkiemi trudnościami, ale tam istnieje wielka odporność, dzięki usiłowaniom zbiorowym. Ziemianie tamtejsi przekonali się, że można istniéć jako tako tylko przy usunięciu pośredników, zniżeniu kosztów produkcyi i dowozu na rynki, przy nabywaniu maszyn, narzędzi rolniczych, nawozu, nasion z pierwszéj ręki od wytwórców, tudzież przy sprzedaży bezpośrednio spożywcom produktów rolnych. Dzięki temu zmysłowi praktycznemu, we Francyi powstało mnóztwo syndykatów rolnych, ulegających pewnéj specyalizacyi: zorganizowały się one w stowarzyszenia spożywcze, cieszące się powodzeniem, dzięki temu, iż, robiąc hurtowne zakupy, otrzymują towar o 20 i 40% taniéj, niż przedsiębiorca pojedyńczy. Inne rozgałęzienie jest w kierunku zakładania sklepów własnych po miastach, w celu zaopatrywania mieszkańców w produkta wiejskie. Widocznie dobrze im się powodzi, skoro zamierzają walczyć o lepsze w tak wielkiém mrowisku przemysłowo-handlowém, jak Paryż. Nie koniec na tém: syndykaty stworzyły tam towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia od gradobicia i pomoru bydła. Jeden z takich syndykatów w departamencie dolnéj Charente'y, założony w r. 1886, liczył już w końcu roku zeszłego 12,500 członków. Zawiązawszy stosunki bezpośrednie z wytwórcami, wyrobił sobie 25% ustępstwa i już na początku istnienia poczynił zakupy niespełna na 2½ milionów franków. Posiada dziś 24 składy własne i nie ogranicza się tylko do operacyi handlowych; ma własnego profesora-agronoma, który na przestrzeni, objętéj przez dzia-

łalność syndykatu, odbywa kolejno wykłady specyalne, urządza fermy wzorowe i wogóle udziela pożytecznych wskazówek rolnikom, potrzebującym pomocy tego rodzaju. Działalność syndykatów francuskich nie jest zamknięta w sobie; łączy się ona w związki prowincyonalne, a czterysta złączyło się w ogólno-francuski. Wogóle syndykaty francuskie przedstawiają dziś potężną siłę, zjednoczyły bowiem *czterysta tysięcy* rebotników, t. j. niespełna 7% liczby ogólnéj. Ważnym warunkiem jest to, że uboższi rolnicy mogą korzystać z maszyn i narzędzi, wynajmowanych przez syndykaty za przystępną cenę. Jeżeli z taką szybkością rozwój syndykalny pójdzie nadal, jest nadzieja, że z czasem połączy on kraj cały jednolitą organizacyą i wytworzy szereg odpowiednich instytucyi państwowych dla podniesienia rolnictwa. Syndykaty francuskie są drobném odbiciem pewnéj strony olbrzymich stowarzyszeń rolnych w Stanach Zjednoczonych. Ażeby dać o nich pojęcie, weźmy parę szczegółów: związek fermerów pod nazwą „National Grange of the Patrons of Husbandry“, obejmuje niespełna 26 tysięcy kółek w różnych stanach. Inny „The Patrons of Industry“, liczy niespełna 90 tysięcy członków, „Northwestern Alliance“ 250 tysięcy członków. Jest nadto podobne stowarzyszenie murzynów, liczące około *miliona* członków! Ze względu na bardziéj rozwinięte życie publiczne w Stanach Zjednoczonych, stowarzyszenia te, oprócz działalności przedsiębiorczo-rolnéj, odznaczają się szeroką ruchliwością społeczną i umieją wywalczać ustępstwa dla siebie u kupców, u kolei żelaznych (niższe taryfy przewozowe). Związki te istnieją zaledwie od lat kilku i nie poprzestają na działalności, dotychczas rozwiniętéj. Dążą one do zupełnéj centralizacyi swoich przedsięwzięć.

Tak wygląda „solidarna“ praca rolników w Ameryce i na Zachodzie Europy! Zapewne, było-by śmiesznem wymagać w obecnéj chwili czegoś podobnego od naszych ziemian, pozostających w skomplikowanéj matni ekonomicznéj; ale, bądź co bądź, trzymając się przysłowia: wedle stawu grobla, można było-by choć coś bardzo małego zrobić na téj drodze. U nas w ostatnich czasach znaleziono inny sposób cząstkowego ratunku: *parcelacyę*; cieszymy się naturalnie z tego objawu, gdyż jest on poniekąd brzytwą dla tonącego; ale rolnik z Zachodu pokiwał-by tylko na to głową z politowaniem; łatwość bowiem parcelowania majątku dowodzi jego niskiéj kultury. Tam, gdzie wiele trudu i pieniędzy włożono w zabudowania, irrygacye, dreny, wogóle wszelkie urządzenia melioracyjne, tam działkowanie jest rzeczą niemożliwą bez wielkich strat. Te właśnie względy skłoniły wielu rolników na Zachodzie do szukania ratunku na innéj drodze. Po za przedsiębiorczością zbiorową przywiązują tam wielką także wagę do chwytania w lot postępów nauki fachowéj w różnorodnych jéj gałę-

ziach, mających związek z przemysłem rolnym. „Zawodowców“, nie tylko z wyższém, ale i niższém wykształceniem, na palcach u nas policzyć-by można. Jeśli oprócz nich są pracowici i zabiegliwi, zawdzięczają to długoletniemu doświadczeniu, samopomocy w nauce praktycznéj, a wiadomo, że tą drogą dochodzi się do pomyślnych rezultatów tylko kosztem zużycia energii i środków materyalnych na doświadczenia. Mamy tu na myśli nie tylko posiadaczów rolnych, ale wogóle pracowników w zakresie wszelkich gałęzi przemysłu rolnego. A cóż mówić o rolniku w sukmanie... Zbyteczném było-by opisywać powszechnie znane rezultaty jego gospodarki i ciemnoty. I tutaj można, tylko westchnąć do wyżyn niedoścignionych dla nas. Tak przywykliśmy wyrażać politowanie lub odrazę, gdy się nasuwa pojęcie „chłop“, że nie może nam w głowie się pomieścić, jakim sposobem ta istota, u nas upośledzona, gdzieindziéj uzyskała prawo obywatelstwa w sferach życia umysłowego. Weźmy chłopa duńskiego lub szwedzkiego: może się on poszczycić nawet własnemi *uniwersytetami*. Zakłady te mają na celu kształcenie ludzi dorosłych; dzięki garstce wytrwałych zapaleńców, rozwinęły się one na całym półwyspie Skandynawskim i dziś mają ogromne powodzenie i uznanie śród ludu. Kształcą się tam nie tylko dorośli, ale i dziewczęta; gdzie tylko powstanie taki uniwersytet, tam w krótkim czasie wydaje on rezultaty bardzo dodatnie: mnożą się biblioteczki, zmniejsza liczba karczem, rodzą się pisma ludowe, towarzystwa śpiewackie i t. d. Uczeń, nawet po wyjściu z zakładu, nie zrywa nici z nim łączącéj; koresponduje z rektorem, zasięga rad jego, zwierza się przed nim z trosk lub radości swoich. Nie zdobywa on wiedzy gruntownéj, wymagającéj studyów mozolnych, ale staje się człowiekiem *oświeconym*, ma pojęcie o wszystkiém a nie rości pretensyi do uczoności. U nas daje się nieraz słyszéć zdanie: „Co chłopom po nauce? Wychodzą z nich ludzie *niedouczeni*, to jest tacy, którzy wprowadzają demoralizacyę, są zaprzańcami swego stanu i jednocześnie wyzyskiwaczami ciemnych współbraci. Trudnią się pokątném doradztwem, są krnąbrni, zuchwali względem innych stanów, leniwi, słowem—ludzie nie przynoszący pożytku, lecz szkodę“. Nie mogę zaprzeczyć, że bywa u nas coś podobnego, ale nigdy nie może być tam, gdzie poziom umysłowy ludu jednolicie podniesiono, gdzie niéma wcale analfabetów, gdzie niéma sposobności ani wyzyskiwać ciemniejszych, ani się szczycić wrzekomą wyższością. Lud w Danii i na półwyspie Skandynawskim rozumie doskonale doniosłość nauki i chętnie do niéj się garnie. Projekt szkół wyższych dla ludu powstał w Danii jeszcze przed laty czterdziestu, dzięki inicyatywie znanego teologa i filozofa, Grundwiga. Z razu zadaniem takich zakładów było utrwalenie uczuć religijnych. Z czasem wpro-

wadzono szerszy program: oprócz historyi świętéj, historyę powszechną, matematykę elementarną, nauki przyrodnicze i wiele innych przedmiotów, ogólnie kształcących. Dziś szczupła Dania posiada już 40 szkół takich, z których wiele otrzymuje zapomogę od państwa. W Szwecyi i Norwegii powstanie tych szkół przypada na epokę przewrotu w konstytucyi tych państw w r. 1866. Od téj chwili zaprowadzono tam obowiązkową i bezpłatną naukę dla ludu. Gminy wiejskie i zarządy miast obowiązane są utrzymywać taką liczbę szkół, iżby mogły one pomieścić wszystkie dzieci obojéj płci. Szkoły dla dzieci i dorosłych zawdzięczają jeszcze swoje powodzenie kierownikom i nauczycielom, którzy całe swe życie poświęcają na szczerą pracę nad oświatą ludu. Wielce charakterystycznem jest to, że ludzie, którzy ukończyli świetnie uniwersytety i mieli sposobność łatwego zdobycia wyższych stanowisk, woleli poświęcić swe siły i zdolności na usługi szkół ludowych.

Dowodzi to tylko, że niéma tam tak wielkich zastępów karyerowiczów, jak u nas, i to karyerowiczów o wielkich wymaganiach i niefortunnych zabiegach. Dziecko idzie u nas do szkoły z myślą poddaną przez rodziców: „Będę inżynierem, będę sławnym doktorem, adwokatem, dużo pieniędzy zbiorę". Z tą myślą przepełnia młodzież gimnazya i uniwersytety, pcha się tam niemal przemocą, bez względu na słabe nieraz zdolności i sprzeczne powołanie. Rezultatem tego są liczne szeregi wykolejonych, uciekinierów z trzeciéj, czwartéj, szóstéj, siódméj klasy, lub pierwszego, drugiego, a nawet trzeciego kursu uniwersytetu. Przejrzyjmy tylko spisy młodzieży uczącéj się w gimnazyach i wyższych zakładach, a uderzy nas stałe charakterystyczne zmniejszanie się liczby w miarę wyższych klas lub kursów. Co ci ludzie robią? Odpowiedź znaleźć można w ogłoszeniach *Kuryerów* i w kantorach tych pism, gdzie na jedną lichą propozycyę przepisywania lub czegoś podobnego za parę rubli miesięcznie, sypią się setki ofert. Pomimo znacznéj liczby „odpadających" w zakładach naukowych, co rok przybywa wielki procent ludzi z uniwersyteckiém wykształceniem, szukających karyery najczęściéj w wielkich miastach. Ztąd bywają przykłady, że prawnicy skończeni, filologowie lub matematycy, zajmują się udzielaniem korepetycyi za kilka rubli miesięcznie, a lekarze, idąc w zapasy z renomowanymi, starają się utrzymać z praktyki, przynoszącéj kilkanaście rubli. Dzieje się to w chwili, gdy prowincya jęczy pod wyzyskiem felczerów-szarlatanów, gdy są jeszcze takie miejscowości, gdzie w promieniu kilkudziesięciu wiorst niéma ani jednego lekarza. Jednocześnie różni przedsiębiorcy i przemysłowcy na prowincyi, w miasteczkach, a nawet i większych miastach, uskarżają się na brak ludzi fachowo uzdolnionych i w nagłéj

potrzebie szukają ich za granicą. W ostatnich czasach zwróciło na to uwagę ministeryum oświaty, a rezultatem tego jest szereg reform szkolnych, odbywających się od dwóch lat, i postawienie na pierwszym planie organizacyi szkół fachowych. Po opracowaniu planu nowych szkół zawodowych i sposobu ich organizowania, zwrócono uwagę na potrzebę przekształcenia istniejących. Przedewszystkiém wskazano wadliwy system zużytkowywania czasu w sposób mało produkcyjny. Według orzeczenia komisyi specyalnéj, kursa teoretyczne są zbyt rozciągłe, wprowadzono wiele przedmiotów dodatkowych, zbytecznych tam, gdzie chodzi o wykształcenie specyalne. Pominięto natomiast przedmioty, które są niezbędne dla dobrego technika. Również uznano, iż obecny system robót praktycznych w warstatach jest wadliwy; nie ułatwia on, zdaniem organizatorów, nie tylko zapoznania się z przedmiotem, lecz przeciwnie, nawet utrudnia. Z tego powodu komisya zamierza gruntownie przekształcić system obecny szkół technicznych, wyższych i średnich. Roboty mają się odbywać w tym duchu „żeby młodzież, która obecnie w bardzo licznych wypadkach nie może skończyć szkół, nie powiększała w przyszłości zastępów ludzi niedouczonych i do niczego faktycznie niezdatnych".

Równie ważne są reformy, już dokonane, w zakresie egzaminów gimnazyalnych i progimnazyalnych. Cały system polega na oszczędzaniu czasu i znacznych ulgach Jedną z ważniejszych jest ograniczenie przekładów z języka ruskiego na starożytne. Według dawnéj ustawy była to dla większości uczniów nieprzezwyciężona trudność, która między innemi także się przyczyniła do powiększania szeregu dezerterów. Za najmniejszy błąd etymologiczny, tudzież za znaczny składniowy, uczeń otrzymywał jedność, pozbawiającą prawa do egzaminu. Dwójkę dawano „za brak wprawy w frazeologii łacińskiéj" i „za niedostateczną znajomość prawideł akcentowania" greckiego. Rzecz prosta, iż przy takim systemie powodzenie w egzaminie było w wielu razach dziełem wypadku, lub przytomności umysłu ucznia. Błąd, popełniony skutkiem wzruszenia lub chwilowego osłabienia pamięci, bardzo często stanowił o losie młodzieńca. W sposobie przekładów z języków starożytnych na russki również zaszły zmiany. Położono nacisk przedewszystkiém na ścisłość w oddawaniu myśli autora, nie zaś frazesów. W zakresie matematyki, zamiast czterech zadań (z arytmetyki, algebry, geometryi i trygonometryi), wymagane są dwa—jedno z algebry, drugie z geometryi. Zadanie z arytmetyki zupełnie usunięto, z trygonometryi zaś włączono poniekąd do geometrycznego, w taki sposób, iżby do rozwiązania jego trzeba było użyć pomocy jednéj i drugiéj. Według dawnego systemu, stopień niedostateczny z przedmiotu głównego pozbawiał prawa do egzaminów;

dziś rada pedagogiczna ma prawo w pewnych wyjątkowych razach, tudzież na zasadzie pozwolenia kuratora okręgu naukowego, powoływać do egzaminów przejściowych nawet tych uczniów, którzy z jednego głównego przedmiotu otrzymali w ciągu roku stopień niedostateczny. Głównemi przedmiotami są obecnie: religia, język russki, łaciński, grecki i matematyka. Znacznie większe poczyniono ulgi w egzaminach ustnych. Pomimo złych rezultatów z piśmiennych, rada pedagogiczna może pozwolić na ustne, jeżeli tylko stopnie roczne, tudzież sprawdzone uzdolnienie ucznia pozwalają przypuszczać, iż niepowodzenie piśmienne jest po prostu wypadkowém. Przepisy nowe wielce skracają czas, przeznaczony na egzamina przejściowe, wstępne i dojrzałości. Dawniéj z całego roku zostawało zaledwie 170 dni niespełna na wykłady i powtórzenie kursu. Wynikało to ztąd, iż egzamina przejściowe i ostateczne pochłaniały dwa miesiące, wstępny zaś—dwa tygodnie. Okres czasu na egzamina przejściowe i dojrzałości zredukowano do trzech tygodni przed wakacyami, na wstępne—do tygodnia jednego przed i po wakacyach. Ponieważ te ostatnie w końcu roku przypadają w tym samym czasie, co przejściowe, więc czas wielkich egzaminów w ciągu roku wynosi tylko cztery tygodnie, zamiast poprzednich dziesięciu. Tym sposobem przybywa na wykłady sześć tygodni.

Przyklasnąć można Towarzystwu czytelni ludowych w Poznaniu, które od kilku miesięcy rozpoczęło jedenasty rok istnienia pożytecznego. Instytucya ta zasługuje na tém większe uznanie, że się rozwija w warunkach bardzo nieprzyjaznych dla siebie, walcząc z oporem przeciwników oświaty i z brakiem środków materyalnych. Pomimo to, niezrażona, wciąż idzie naprzód. Zdołała ona założyć 1,110 bezpłatnych czytelni, a w ciągu tylko jednego roku ubiegłego rozesłała około *czterdziestu trzech tysięcy* książek. Działalność jéj wzrasta z dniem każdym: już w roku bieżącym zdążyła założyć kilkadziesiąt czytelni nowych i kilka tysięcy książek rozpowszechnić. Rezultaty działalności Towarzystwa—jak samo powiada—były-by znacznie większe, gdyby odpowiednia ilość funduszów pozwalała zaspakajać wszystkie potrzeby oraz prośby usilne o nowe książki do dawnych czytelni i o zakładanie nowych, tam, gdzie jeszcze nie istnieją. Był okres pomyślniejszy (w r. 1884), kiedy się Towarzystwo chwaliło z pewną otuchą: „Stosunki nasze do władz są coraz naturalniejsze i, jakkolwiek mają one baczne oko na to, abyśmy ściśle przestrzegali granic, statutami naszemi zakreślonych, już bywały wypadki, iż zmuszone były hamować zapędy niższych instytucyi, które w zbytku gorliwości użytecznemu Towarzystwu naszemu stawiały przeszkody“.

We dwa lata późniéj powiał prąd inny, rozpoczęły się systematyczne prześladowania téj instytucyi: konfiskata książek treści legalnéj i zupełnie niewinnéj, pociąganie do odpowiedzialności bibliotekarzy, zamykanie czytelni i t. d. Wszystko tu zależało od widzimi się urzędnika rewidującego. Bywały wypadki, że zabierali oni całą zawartość czytelni i usiłowali namawiać bibliotekarzy, iżby, odesławszy książki do Poznania, piśmiennie się zobowiązali, że już nadal czytelnictwem ludowém polskiém trudnić się nie będą. W ostatnich czasach nastąpił znowu powiew pomyślniejszy, który oby nie zmienił kierunku! „Stwierdzić możemy—głosi ostatnie sprawozdanie—że wysokie władze, jak się zdaje, uznały już powszechnie, że praca nasza ściśle polega na prawie i poszanowaniu prawa. Ustały dawne, tak częste, prześladowania i procesy, i wyjątkowo tylko jeszcze donoszą nam bibliotekarze o nagabywaniu władz". Bądź co bądź, z faktów powyżéj przytoczonych można wnosić o wielkiéj żywotności i energii instytucyi tak sympatycznéj i pożytecznéj. Cieszą się także powodzeniem dwie inne instytucye pokrewne: w Prusach zachodnich Towarzystwo pomocy naukowéj istniejące już rok 42,—zadaniem jego jest udzielanie stypendyów dla młodzieży polskiéj, kształcącéj się w średnich i wyższych zakładach naukowych; drugie—w Poznaniu, Towarzystwo pomocy naukowéj dla dziewcząt polskich, istniejące już rok dwudziesty. Stypendystki téj instytucyi poświęcają się nauce modniarstwa, muzyki, buchalteryi, prasowania, krawieczczyzny i szycia białego.

Przykłady powyższe dowodzą, że pomimo przeszkód umiemy jako tako się poruszać i wspierać duchowo i materyalnie. Nieraz mieliśmy także dowody, że społeczeństwu naszemu nie brakło sił do łagodzenia cierpień fizycznych, które się rozpostarły w nizinach szeroko. Są jednak takie cierpień tych szczeble, na które miłosierdzie publiczne, zwykle dość wrażliwe, nie zdołało jeszcze dotrzéć. Miłosierdziu temu „Kronika Rodzinna" poleca dotkniętych ranami nieuleczalnemi, biedaków, którzy mają zamknięty wstęp do wszelkich szpitali z powodu natury swych cierpień. Zresztą dziwić się temu nie można, w stosunku bowiem do ludności Warszawy, mamy wogóle za mało szpitali, do tego stopnia, że nieraz bywały przykłady wędrówki od jednego do drugiego z chorym niebezpiecznie i wszędzie drzwi tych przybytków były zamknięte z powodu przepełnienia. Cóż mówić o nieuleczalnych? Szpital jest tylko dla chorych czasowo, dla tych, którzy mają nadzieję prędko wyzdrowiéć albo powędrować na cmentarz. Na długoletnie schronienie niéma tam miejsca. Istnieje jeden taki przytułek dla paralityków, ale tam również pokryci nieuleczalnemi ranami nędzarze, których się ciała za życia powolnie roz-

kładają, wstępu mieć nie mogą. Wieki średnie miały tę wyższość nad schyłkiem dziewiętnastego stulecia, że posiadały liczne przytułki dla trędowatych. W naszych czasach tylko Francya okazała miłosierdzie w tym kierunku; tam bogate kobiety z najwyższéj arystokracyi poświęcają godziny ranne na opatrywanie cuchnących ran nędzarzy. A czém są te rany, — określimy dosadniemi słowami „Kroniki Rodzinnéj“: „Nieopatrzone, nieutrzymane w należytéj czystości, zarażają swą wonią powietrze dusznych izdebek lub suteren, gdzie nagromadzeni mieszkańcy oddychać nią muszą! Co cierpią nieszczęśni chorzy, gdy zamiast łóżka spoczywają nieraz na słomie lub barłogu, nie mając nawet gałgana, którym-by rany swoje przewinąć mogli!“ Ta śmierć powolna w strasznych męczarniach mogłaby jednak być uiagodzoną odpowiedniém staraniem. Ale gdzież myśléć o staraniu w warunkach, w jakich się podobni nędzarze znajdują? Szpital odpowiednio urządzony, z dobremi wentylacyami, rozpylaczami wody karbolowéj, nie byłby strasznym dla kobiet o wrażliwém powonieniu! Może myśl założenia odpowiedniego szpitala, rzucona przez „Kronikę Rodzinną“ i poparta przez inne pisma, znajdzie odgłos w sercach ludzi, zasobnych w dobre chęci i środki materyalne.

Pewne grono ludzi w Warszawie, chętnych do początkowania spraw filantropijnych, wystąpiło przed kilku miesiącami z projektem pomocy dla dzieci „opuszczonych“. Projekt, oparty na zasadzie urządzeń istniejących za granicą, szczególnie w miastach francuskich, szwajcarskich, niemieckich i angielskich, miał już pójść do wyższéj władzy dla zatwierdzenia; ale, po rozpoznaniu go przez specyalnie wybranych rzeczoznawców, zawiązała się w pismach codziennych polemika między p. Suligowskim, dr. Fritschem i Jachowiczem. Chodziło o niektóre punkta ustawy, o zbytnią formalistykę i t. d. Po dwóch miesiącach polemika przybrała charakter ostry i osobisty, a sprawa opieki nad niemowlętami poszła *ad acta*. Jednocześnie ta sama kwestya w zarysach ogólnych zwróciła uwagę prawodawstwa rosyjskiego, a taki proceder, jak Skublińskiéj w Warszawie i innych w większych miastach prowincyonalnych, przyczynił się do przyśpieszenia reformy. Niedawno, na podstawie nowych przepisów o przyjmowaniu dzieci do przytułków, matkom, życzącym brać na siebie wychowanie własnych dzieci nieprawych, przyznano zapomogi. Przez długi czas dzieci te za winy swych rodziców, nie połączonych z sobą legalnie, były na całe życie piętnowane. Przypuszczano, że ten środek będzie hamulcem dla luźnych związków. Co innego się okazało w praktyce. Nieprawe urodzenia wzrastały z rokiem każdym, a los tych dzieci stawał się coraz opłakańszym. Zaczęto szukać środków

zaradczych. Jeden z projektodawców opracował memoryał, w którym zalecane były środki, zachęcające urzędników do związków małżeńskich. Radził on, ażeby komorne, strawne, gratyfikacye, wogóle wszelkie dodatki do pensyi były rozdawane urzędnikom, w sposób odpowiadający ich położeniu rodzinnemu. Sięgał jeszcze dalej, niemal nakreślał plan wychowania dzieci urzędników przez państwo. Sfery prawodawcze w znacznéj mierze nie podzieliły tego projektu. Ogłosiły one świeżo przepisy, których treść zasadniczą powtórzymy. Dzieci, zrodzone nielegalnie, uwalniają się nadal od piętna hańby i mogą wstępować do szeregów uprzywilejowanych, skoro rodzice postarają się o uświęcenie związku przez kościół i prawo. W razie uznania małżeństwa za nieprawe, nierzeczywiste, lub podlegające zerwaniu, dzieci stają się nieprawemi, mogą jednak być im przyznane przywileje za staraniem odpowiedniém w wyższych instancyach. Prośby o uprawnienie dzieci nielegalnych mogą być podawane osobiście przez rodziców do miejscowego sądu okręgowego, z załączeniem poświadczenia rodziców tożsamości dziecka, metryki urodzenia jego i ślubnéj rodziców. Termin do spełnienia téj formalności wyznaczono rok od ślubu; w razie zwłoki, żądane jest wyjaśnienie przyczyn. Ze względu na drażliwość tych spraw, rozpatrywać je będzie sąd przy drzwiach zamkniętych. Po uprawomocnieniu się wyroku, dziecko otrzymywać będzie nowe świadectwo swego urodzenia. Wyjątek stanowią dzieci, poczęte z cudzołóztwa. Takie potomstwo, chociażby, skutkiem rozwodu lub wdowieństwa, rodzice jego późniéj się połączyli związkiem małżeńskim — na zawsze pozostanie nieprawem. Obok uprawnienia, dano przepisy ułatwiające adoptacyę. Nie będziemy się rozpisywali o paragrafach, zaznaczymy tylko parę szczegółów charakterystycznych: Adoptacya przelewa na przybrańca prawo dziedziczenia majątku, lecz tylko przysporzonego; adoptowany wobec córek adoptującego nie ma przywileju w podziale spadku, lecz prawo do równéj części. Również nie przechodzi nań prawo do zapomóg i pensyi z tytułu służby przybranego ojca. Adoptujący może przekazać przybrańcowi swoje nazwisko tylko w takim razie, jeżeli ostatni cieszy się mniejszemi prawami stanu. Podaliśmy zasadnicze szczegóły tych nowych przepisów, ze względu na ich doniosłość w życiu społeczném i rodzinném. Pierwsze, dotyczące uprawnienia dzieci, jak widzimy, mają na celu potomstwo, którego rodzice połączą się w przyszłości związkami legalnemi. Co do dzieci, spłodzonych przez rodziców, nie mających najmniejszego zamiaru wstępować w związki małżeńskie, a więc *olbrzymiéj większości*, dotąd prawo nic jeszcze stałego nie postanowiło. Prawodawcy mieli na względzie związki nielegalne, ale oparte na stałych stosunkach. W ostatnich czasach wzrosły one

niepomiernie, skutkiem odpowiedniego ukształtowania się warunków bytu; szczególnie to się daje spostrzegać w warstwach robotniczych i wyrobniczych. Ludzie z tych sfer najczęściéj żyją na wiarę, bo to ich do niczego nie zobowiązuje, nie stwarza ogniska rodzinnego, wymagającego znaczniejszych wydatków. Doszło do tego, że w wielu miejscowościach małżeństwo pośród robotników fabrycznych należy do zjawisk wyjątkowych. Nawet w warstwach inteligentnych uderza coraz mniejsza pochopność do życia małżeńskiego. Wynika to także z warunków bytu materyalnego. Długoletnia nauka, następnie wywalczenie stanowiska, zaprząta ludzi przeciętnie od 30 — 35-go roku życia. Daléj idzie „utrwalanie się“ na stanowisku. Ztąd coraz częstsze wypadki wchodzenia w związki małżeńskie na schyłku młodości, a nawet daleko już po za jéj granicami. Zbyteczném jest dodawać, że taki stan rzeczy wpływa na liczebny wzrost dzieci nieprawych.

Głośna sprawa zatargu Rotschilda z rządem russkim wywołała wielkie wrażenie w kołach politycznych i finansowych. Według wyjaśnień „Now. Wremia“ szef domu paryskiego Rotschildów, baron Alfons Rotschild, uznał za stosowną chwilę układu o warunki pożyczki konwersyjnéj do wystąpienia z żądaniem na korzyść żydów rosyjskich, podobnie, jak to uczynił w Listopadzie r. z. szef domu angielskiego Rotschildów. Na to żądanie p. Wyszniegradskij odpowiedział odmownie, wykazując niewłaściwość takich wymagań. Wówczas możnowładca finansowy oświadczył, że odmawia wykonywania zobowiązań, dotyczących umowy co do emisyi 3% pożyczki konwersyjnéj, i jednocześnie rozpoczął kampanię zniżkową przeciw wartościom russkim. Następstwem tego był spadek kursu rubla prawie o 6 marek, przy jednoczesnéj zniżce wartości francuskich, niemieckich i austryackich. Na giełdach europejskich zapanował nawet pewien niepokój, który się zaznaczył na zależności kredytu rosyjskiego od zagranicy, ale jednocześnie ujawnia się zależność téj ostatniéj od sił finansowych Rosyi. Posiada ona za granicą około 228 milionów rubli w złocie. Wogóle zaś, z zasobami złota w kraju, fundusze państwa dosięgają 358 milionów w złocie, nie licząc funduszu wymiennego. Przy takich środkach, zdaniem dzienników petersburskich, można nie tylko wypowiedzieć wojnę wszechświatowemu kapitaliście, ale nawet wystąpić z odwetem.

Zajście z Rotschildem wywołało szereg namiętnych artykułów w prasie rosyjskiéj wogóle przeciw żydom. Między innemi „Now. Wremia“ doradza: „Trzeba osłabić żydów, korzystając z dogodnéj chwili, i stworzyć dla nich takie warunki, aby na przyszłość nie mo-

gli wyrządzać nikomu szkody. Położenie kresu wyzyskiwaniu chrześcian przez nich, wydanie nowego prawa przeciw lichwie i zarządzenie innych jeszcze środków ochronnych przeciw kupiectwu żydowskiemu, będzie jedynie dowodem oględności na przyszłość. Obok środków prawodawczych, było-by jeszcze pożądaném, aby niektóre koleje i wewnętrzne linie wodne uwolnione zostały od monopolu żydowskiego, aby przemysł naftowy na Kaukazie mógł być wyrwany z pod przewagi Rotschilda, aby usunięto żydów od dostaw rządowych, aby rozciągnięto baczną kontrolę nad działalnością kantorów bankierskich, które przeważnie są własnością żydów, aby pozamykano żydowskie kasy zaliczkowe i t. d. i t. d. W ogóle należało by przedsięwziąć energiczne środki przeciw przemocy żydowskiéj, aby uwolnić Rossyę od tego ucisku, pod którym ugina się Europa, płacąca dziś drogo za swój błąd—emancypowanie żydów". Przedsięwzięte środki administracyjne, ograniczające żydów i zmuszające ich do opuszczania niektórych miast w głębi Rossyi (Moskwy, Kijowa i Odessy), wywołały pośród nich ruch emigracyjny. Jednocześnie rozeszły się pogłoski, że baron Hirsch nabywa w Ameryce dla swoich współwyznawców znaczne obszary ziemi i ułatwia im kolonizacyę.

My na pomoc podobną dla swoich wychodźców zdobyć się nie możemy, ale to, co zrobiło dla nich w ostatnich czasach kilka jednostek, jest czynem niezwykłym, dowodzącym silnie rozwiniętych uczuć humanitarnych. Wyprawa p. Glinki i ks. Chełmickiego do Brazylii dała pożądańsze rezultaty, niż podróż Dygasińskiego, dzięki większym środkom materyalnym. Pozwoliły one na wysłanie z powrotem do kraju 232 wychodźców, wybranych po kilku lub po jednemu z każdego powiatu, w tym celu, iżby mogli rozpowszechnić w swoich stronach rodzinnych niezbite dowody „piekła brazylijskiego", jakie sami na własnych skórach odczuli. Nadto będzie świeżo wyprawiona nowa partya. Do poprzednich opisów Dygasińskiego podróżnicy nasi dołączyli jeszcze sporo jaskrawych szczegółów o doli emigrantów: „Jeżeli idąc ulicą miasta — pisze ks. Chełmicki — w okolicy nadmorskiéj lub cuchnących zaułkach, spotkasz istotę, podobną do człowieka, z piętnem choroby na twarzy, z zapadłemi policzkami, przymglonemi oczami, przygnębioną, z trudnością wlokącą za sobą nogi, w odzieniu podartém i z wytartą czapką na głowie, nie pytaj skąd jest, skąd pochodzi?—możesz być pewien, że to polski emigrant. W téj chwili znajduje się w Rio około 1,700 naszych wychodźców. Większa ich część—to uciekinierzy z odległych kolonii, przygnani tu przez widmo śmierci głodowéj, która ich czekała w dziewiczych lasach, lub niedostatku i biedy w plantacyach". Widząc tłumy nędzarzy, wałęsa-

jących się po ulicach, opinia publiczna zaczęła się oburzać na obojętność rządu. Skutkiem panującéj żółtéj febry na „wyspie kwiatów“, gdzie się znajduje dom emigrantów, wstęp był tam wzbroniony i znękani wychodźcy musieli nocować pod gołem niebem na placach. Wreszcie rząd przybył „z pomocą“: otoczono biedaków, przymusem wpędzono na okręty i rozesłano po różnych koloniach. Popełniano gwałty, rozdzielano rodziny, rozłączano żony od mężów. Według opisu ks. Chełmickiego, śród 500 emigrantów, których on odwiedził, nie było ani jednego, który-by choć raz nie uległ dłuższéj chorobie, dzieci zaś stanowczo skazane są na zagładę. Wielu z tych nędzarzy przebyło o żebranym chlebie znaczną przestrzeń, dalszą niż z Warszawy do Neapolu! P. Glinka, który już wrócił do kraju, opowiada również ciekawe szczegóły: „Byliście podobno w lasach i wróciliście? — zapytał znękanego. — Byliśmy, ale tam, panie najdroższy, niéma co robić. Wydzielili nam lasu, wziąłem się do krzaków. Wyrwałem krzak, a tam pod spodem skała. Rzuciłem wszystko, bo co tu ze skałą robić? i przyszedłem do Rio“.

Wszystko to są inne zwrotki téj saméj piosnki; ta tylko różnica, że teraz już nie na ziemi brazylijskiéj, lecz na swojéj będą ją śpiewali kandydatom do wychodztwa naoczni świadkowie niedoli, któréj wiary nie dawano.

Dawno nie pamiętamy takiéj powodzi wystawowéj, jak w chwili obecnéj. Czesi mają swoją wystawę narodową w Pradze, Niemcy — artystyczną w Berlinie, Moskwa mieści w swych murach aż dwie: francuską i środkowo-azyatycką. Nie mówimy już o rozmaitych pomniejszych wystawach za granicą i u nas, odbywających się lub zapowiedzianych w miastach i miasteczkach prowincyonalnych. W Pradze przypadła jednocześnie setna rocznica pierwszéj czeskiéj wystawy przemysłowéj, tém uroczystszą jest ta chwila, że przypomina patryotom czeskim walkę ich z wynaradawianiem. Smutne dla nich były czasy panowania Józefa II, który, zamierzywszy przeprowadzić system centralistyczny, nie koronował się na króla Czech. W ślad zatém poszło zgermanizowanie wszechnicy prazkiéj i szkół średnich, ograniczenie praw autonomicznych. Ale już za jego następcy, Leopolda II, czeska deputacya sejmowa wywalczyła znaczne ustępstwa. Monarcha austryacki koronował się na króla Czech, a naród czeski pokazał mu zdobycze swojéj pracy i wiedzy, urządzając wystawę przemysłwą pierwszą nie tylko w Czechach, ale w całéj Europie. Cesarz, poznawszy ich rozwój duchowy i materyalny, ustanowił katedrę literatury i języka czeskiego we wszechnicy prazkiéj. Dobrze pamiętają Czesi ten moment historyczny i dziś usiłują wystawie swojéj nadać

barwę narodową. Pierwszym objawem w tym kierunku było wyrzeczenie się udziału Niemców. Wystawa przedstawia się wspaniale. Wykazała ona rozwój kultury w całéj pełni z dziedziny przemysłu, rolnictwa i leśnictwa. Pomijając wszelkie inne wystawy, powiemy kilka słów o francuskiéj w Moskwie, ze względu na jéj znaczenie ekonomiczne i oryginalność; niezwykłe to bowiem zjawisko, żeby naród wystawiał swoje okazy u innego narodu. Posłuchajmy, co o tém „Świet“ mówi: „Wyroby niemieckie, zalewające Rossyę, będą musiały ustąpić miejsca francuskim, jako lepszym i wykwintniejszym. Następnie, co jest jeszcze ważniejsze, kupcy niemieccy i rzemieślnicy, stanowiący w Rossyi najniebezpieczniejszy dla jéj przyszłości historycznéj żywioł napływowy, będą musieli ustąpić Francuzom, narodowi, pod każdym względem stojącemu wyżéj moralnie i duchowo. Przemysł nasz, wzrastający z dniem każdym, nie może jeszcze się obejść bez udziału cudzoziemców, lecz będzie to już postępem, jeżeli zamiast Niemców dostaniemy Francuzów. Przybyły do Rossyi Francuz, wzbogaciwszy się, wróci dó swojéj ojczyzny, lub stanowczo zruszczeje w drugiém pokoleniu. Tymczasem Niemiec, zjawiając się sam, prowadzi za sobą całą chmarę współziomków, odznaczających się żydowską mnożnością na zagrzaném miejscu... Początek obecnego stulecia widział w Moskwie armię francuską pod przewodnictwem najgenialniejszego, jaki kiedykolwiek istniał, wodza; teraz schyłek wieku ujrzy w Moskwie całą pracującą na korzyść ludzkości Francyę“. W rzeczy saméj, różnią się ogromnie te dwa najazdy: pierwszy był wojenny, drugi — przyznać trzeba — jest bardzo zręcznie pomyślanym atakiem pokojowym Sadi-Carnot'a na rynki ruskie.

Śmierć znowu przerzedziła szeregi pracowników na polu literackiém. Przed paru tygodniami spoczął w grobie Jan Aleksander Fredro, pisarz sceniczny, pełen werwy i dowcipu. Któż nie znał jego popularnych komedyi, grywanych na deskach teatrów naszych, jak np. „Drzemka pana Prospera“, „Piosnka Wujaszka“, „Posażna Jedynaczka“, „Consilium facultatis“, „Wielkie bractwo“ i t. d. Nie tu miejsce dla oceny jego działalności pisarskiéj. Z obowiązku dziennikarskiego zaznaczamy tylko, iż scena nasza straciła jednego z pożytecznych pracowników, lubianych przez publiczność i aktorów.

W Niemczech zmarł Ferdynand Gregorovius, zasłużony dziejopisarz. Był on w tych szczęśliwych warunkach, w których można prowadzić studya spokojnie i niezależnie. Pogardził wszelkiemi stanowiskami urzędowemi, ale przyjął pensyę od rządu pruskiego, która mu pozwoliła ukończyć prace rozpoczęte. Pierwszą jego pracą, ogłoszo-

ną publicznie, były: „Społeczne pierwiastki w Wilhelmie Meisterze Goethego“. Upatrywał on tam odzwierciedlenie w szerokim zakresie rozwoju społecznego XVIII i XIX wieku. W r. 1851 ogłosił „Historyę cesarza Adryana i czasów jego“. Osiadłszy w Rzymie, przedsięwziął wielką pracę „Historyę miasta Rzymu w wiekach średnich“, której poświęcił niemal dwadzieścia lat. Dzieło to doczekało się czterech wydań, a rada miasta Rzymu wydała przekład włoski kosztem publicznym, autor zaś został zaszczycony obywatelstwem honorowém tego miasta. Następnie ogłosił „Historyę Aten w wiekach średnich“. Zadaniem jego było zapełnić luki, poczynione przez dziejopisarstwo. Charaktarystyczném jest to, że Gregorovius nie znalazł miru pośród profesorów niemieckich, którzy potępiali prace jego za to, że są pozbawione oschłości i ciężkości, ale pisane barwnie, żywo, językiem pięknym i przystępnym.

W Fontainebleau zgasł znakomity publiczysta i polemista francuski, Jan Jakób Weiss. Dzięki pracowitości i zdolnościom, zaraz po skończeniu studyów, został nauczycielem historyi liceum w Rochelli, a potém objął katedrę literatury w Aix. Al za niepodległość umysłu i poglądów stracił tę posadę podczas represyi napoleoskiéj przeciw nauczycielom i profesorom. Od téj chwili poświęcił się publicystyce. W „Journal des Débats“ objął dział polityczny, zaś w r. 1867 założył do spółki z Edwardem Hervé „Journal de Paris“. Gambetta, oceniwszy wielki jego talent, zrobił go dyrektorem politycznym w ministeryum spraw zagranicznych, ale po śmierci swego protektora, Weiss stracił wysokie stanowisko i wrócił znowu do dziennikarstwa, któremu pozostał wiernym aż do zgonu.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *X. Biskup Janiszewski.* „Kościół i państwo chrześciańskie.“ Poznań 1891, str. 624.

We wstępie czytamy co następuje: „Kilkakrotnie proszony, abym ten przedmiot (stosunek kościoła do państwa) objaśnił, skłoniłem się do tych życzeń i na co mnie w mojém położeniu stało, przynoszę ludziom dobréj woli w ofierze. Nie wszystkie dzieła, których użyć pragnąłem, były mi przystępne. Sam najlepiéj czuję niedostatki méj pracy. Lecz gdyby mnie ta okoliczność miała była powstrzymać od publikacyi, toby z pewnością nigdy do niéj nie przyszło. Cieszyć się będę szczerze, jeśli kto po mnie doskonalszém w tym przedmiocie dziełem naszą literaturę obdarzy. Nadmieniam, że rzecz o kościele jest głównie tylko ze strony konstytucyjnéj i społecznéj ujęta. Jeśli czytelnik nie znajdzie w téj książce dość obszernéj nauki, nowych, niespodziewanych poglądów, wykwintnego stylu i t. p., to natomiast znajdzie, jak się spodziewamy, to, co dla katolika najważniejszém: zasady, zgodne z nauką kościoła. To było bowiem głowném naszém staraniem. W trudnych i zawiłych kwestyach szedłem po największéj części za zdaniem X. Kanonika Moularta, profesora uniwersytetu katolickiego w Lowanium, którego dzieło „l'Eglise et l'Etat“ roztrząsane było w Belgii przez miejscową władzę duchowną, a potém w Rzymie, i nie znaleziono w niém nic przeciwnego nauce Kościoła.“

Naumyślnie przytoczyliśmy kilka zdań ze wstępu, one bowiem charakteryzują najdokładniéj cel i zadanie obszernego dzieła. W naukowéj literaturze zajmować będzie sumienna praca X. Biskupa Jani-

szewskiego poważne, chociaż jednostronne, stanowisko. Literatury świeckiéj, badanego przedmiotu dotyczącéj, autor nie zdołał ogarnąć, ale tchnął mimo to w swe studya tyle światła i podniosłego ducha, oraz miłości dla kościoła, że dzieło jego powinno się znajdować przedewszystkiém w rękach każdego duchownego naszego i być pilnie przez niego czytaném. Nadto przypominamy, że autor należy już do szeregu pisarzy, wybornie naszéj literaturze zasłużonych.

— *Teodor Wierzbowski.* „Jana Ostroroga pamiętnik“. Warszawa 1891. Str. 76.

Do szeregu prac o „Pamiętniku Ostroroga“ przybywa nowa, wzbogacająca nas wieloma ciekawemi spostrzeżeniami. Przedewszystkiém p. Wierzbowski był w tém szczęśliwém położeniu, że mógł przedrukować pierwotny albo oryginalny tekst pamiętnika. Rękopis, z którego prawdziwy tekst ogłosił, znany był wprawdzie w literaturze historycznéj od lat trzydziestu ośmiu. Szczegółowy opis tego rękopisu podał W. A. P. w „Bibliotece warszawskiéj“ za rok 1853 p. t. „Wiadomości o rękopisie biblioteki Romanowskiéj“. Autor rękopisu, jak twierdzi pr. Wierzbowski, nie rozumiał tego, co przepisywał, i nie potrafił dobrze odczytać niewyraźnego pisma i rozwiązać wielu skróceń pierwowzoru; ale miał przed sobą rękopis stary, pochodzący z początku XVI albo też nawet z XV wieku. Błędne odczytanie przezeń niektórych wyrazów łatwo jest sprostować przy pomocy tekstu sfałszowanego, z którego czerpali dotąd wszyscy uczeni, zajmujący się „Pamiętnikiem Ostroroga.“

Zewnętrzne cechy, któremi prawdziwy tekst „Pamiętnika Ostroroga“ różni się od sfałszowanego, są następujące: nie znajdujemy w nim owego ustępu: ad lectorem; zakończenie jest o połowę mniejsze; niéma w nim owego wyrażenia: sequitur de prophanis negotiis, które dzieli pamiętnik na dwie części; porządek rozdziałów jest inny. Wreszcie składa się z 58 rozdziałów, a nie z 67-miu. Różnica ztąd pochodzi, że falsyfikator jeden rozdział (de doctoribus bullatis) dorobił w całości, inne zaś porozrywał na dwie lub na trzy części.

Pr. Wierzbowski nie ograniczył się prostém przedrukowaniem nieznanego dotąd tekstu „Pamiętnika Ostroroga“, ale porównał go z tekstem sfałszowanych i poddał starannéj a umiejętnéj krytyce filologicznéj, czego dotychczas żaden z uczonych polskich nie uczynił. Czytamy też w jego książce, co następuje: „jeżeliby ks. M. N. (który zaprzeczył autentyczności Pamiętnika Ostroroga) zwrócił uwagę na tę stronę Pamiętnika, to jest poddał go jedynie filologicznéj krytyce i z niéj wyciągnął wniosek, że to, co się uznaje za utwór Ostroroga, musi być niewątpliwie falsyfikatem, postawiłby swoich przeciwników

w położeniu bardzo trudném, a przynajmniéj nikt i nigdy nie mógłby mu zarzucić, że nie miał racyi."

Na powyższy pogląd p. Wierzbowskiego łatwo mogą się zgodzić ci, co z ks. M. N. spór niedawno wiedli. Tekst znany Pamiętnika Ostroroga wobec dowodów przekonywających był falsyfikatem niewątpliwie, ale tekst nowy, opublikowany przez pr. Wierzbowskiego, nosi najwyraźniejsze i niezaprzeczone piętno XV wieku, oraz zawiera wszystkie kardynalne pojęcia stosunku, które M. N. podobało się dostrzédz dopiero w XVI wieku, w dobie reformacyi. Nadto pr. Wierzbowski zestawił treściwie rezultat badań dotychczasowych nad Pamiętnikiem Ostroroga i uczynił tym sposobem pracę swą zasobną w trafne spostrzeżenia oraz w interesujące szczegóły.

— *Józef Zagrodzki.* „Kilka słów o dawniejszych dziejach Przemyśla z powodu 500-letniéj rocznicy nadania mu magdeburskiego prawa." Przemyśl 1890, str. 26.

Z małéj broszurki p. Zagrodzkiego dowiadujemy się, że Przemyśl posiada tak cenny i bogaty materyał archiwalny do swych dziejów, jak rzadko które miasto, i do tego jeszcze niezupełnie dotąd uporządkowany. Autor obiecuje też w przyszłości skreślić rozwój Przemyśla po nadaniu mu prawa magdeburgskiego, a na razie jest zmuszony poprzestać tylko na przypomnieniu najważniejszych chwil z dziejów rzeczonego miasta.

— *Karl Friese.* „Ueber den aüsserengang der Verhandlungen beim Frieden von Oliva. (Inaugural-Dissertation). Kiel, 1890.

Autor opowiada jedynie zewnętrzny przebieg rokowań dyplomatycznych, które doprowadziły do pokoju w Oliwie. Jakkolwiek w rzeczonéj pracy znajdują się przeważnie szczegóły drugorzędnéj doniosłości, jednakże przyznać trzeba autorowi, iż starannie zebrał źródła i opowieść ujął w jasną i udatną formę.

— *Debidour.* „Histoire diplomatique de l'Europe, depuis l'ouverture du Congrès de Vienne jusqu'à la clôture du Congrès de Berlin (1814—1878) 2 vol. in 8-o. Félix Alcan, éditeur. Paris. 1891.

P. Debidour jest jednym z wybitnych przedstawicieli młodéj szkoły historycznéj. Autor nie opowiada tu historyi tysiąca drobnych spraw dyplomatycznych, które zaszły w epoce określonéj, lecz stara się tylko wykazać zgubną lub dobroczynną rolę, jaką odegrała interwencya polityczna w sprawie tak zwanéj „równowagi europejskiéj." Zadania tego podjął się najprzód kongres wiedeński, w rzeczy zaś saméj, zamiast wytworzyć równowagę, starał się tylko dogodzić interesom stron „świętego przymierza", usiłującego niezałatwione rachunki,

wynikłe z rewolucyi wielkiéj, na własną korzyść zużytkować. Kongres tedy wiedeński zwyciężył demokracyę, która podniosła głowę dopiero w r. 1848 i rzuciła wolnomyślne hasło na całą Europę. Od téj chwili rozpoczęło się potężnienie i wzrastające zwycięztwo nowego prądu, którego wpływ dobroczynny miał się okazać nawet na kongresie 1878 r. Autor przedstawia niejako ideę powstania, kształcenia się i walk prądu demokratycznego z resztkami dawnego ustroju państw europejskich i przepowiada Europie niedaleki tryumf idei nowożytnéj w polityce.

— *Bobrzyński Michał.* „Dzieje Polski w zarysie." Trzecie wydanie zwiększone, 2 tomy z dwiema mapkami.

— *Dembiński Bronisław* „Upadek rycerstwa." Odczyt wygłoszony w ratuszu dnia 13 Marca 1890 r. na dochód osad rolnych. Kraków.

— *Józef Chociszewski.* „Malowniczy opis Polski, czyli geografia ojczystego kraju", ułożył... 1891. Księgarnia K. Kozłowskiego w Poznaniu dzieło powyższe wydaje zeszytami. Wyszedł z druku zeszyt V.

— *Kulisz.* „Odpadnięcie Małorossyi od Polski 1340—1654 (po russku). Moskwa 1890. Drukarnia uniwersytecka, 3 tomy. Przedruk z wydawnictwa p. t. „Odczyty (cztienia) w Tow. historyi i starożytności russkich" (po russku) 1888 II i IV, 1889 I.

— *Karpow Hennadij.* „W obronie Bohdana Chmielnickiego." Objaśnienia historyczno-krytyczne z powodu dzieła p. Kulisza „Odpadnięcie" i t. d.

— *Ludwik Natanson dr. med.* Hygiena praktyczna tomów 2 Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1891.

Kto szuka prawideł zachowania zdrowia, ten znajdzie w tém dziele—pisze autor—wskazówki odpowiednie, zebrane z poszukiwań i doświadczenia uczonych i pracowitych badaczy.—Wskazówki te, nader obfite, autor zamknął w treści następującéj: W pierwszym tomie mówi wogóle o odżywianiu organizmu. Zastanowiwszy się pokrótce nad pożywieniem człowieka i przyrządzaniem pokarmów, autor zastanawia się szczegółowo nad rozmaitemi grupami pożywienia roślinnego i zwierzęcego, oceniając je ze stanowiska hygieny; następnie mówi o napojach, o wpływie ich na zdrowie, o bodźcach rozmaitych — alkohole, wino, piwo, alkaloidy (kawa, herbata i t. p.). Zastanowiwszy się wreszcie nad oddechaniem i potrzebą utrzymania ciepła w organizmie, gdzie wyjaśnia znaczenie rozmaitych części ubrania, prze

chodzi do rozdziału zatytułowanego: potrzeba ochrony od zewnętrznych wpływów szkodliwych. W tém miejscu mówi o mieszkaniach i połączonych z niemi dogodnościach lub wadach, o ile one wpływać mogą na stan zdrowia ludzi.

Drugi tom, znacznie od pierwszego mniejszy, poświęcony rozpatrzeniu czynności rozmaitych organów, o energii mięśniowéj, o utrzymaniu rozwoju, wreszcie zastanawia się krótko nad pielęgnowaniem dziecka i wychowaniem.

— *Dickstein.* „Pojęcia i metody matematyki.“ Tom 1, część I Teorya działań. 1891.

— *Nussbaum Józef dr.* „Studya nad morfologią zwierząt.“ I. Przyczynek do embryologii maika (Meloë proscarabeus) z 7-miu podwójnemi tablicami, zawierającemi 115 rysunków. Lwów, 1891.

— *Odrzywolski Sławomir.* „Zabytki przemysłu artystycznego w Polsce“, zebrał... 1891.

— *Ks. Kazimierz Buczkowski.* „Księga Joba, Treny Jeremiasza, i Kaznodzieje Salomona“, wierszem na język polski przetłómaczył.. proboszcz w Górze Roszczyckiéj. Tarnów. Nakład autora, 1890. Dochód z rozprzedaży przeznaczony na odnowienie katedry w Tarnowie.

— *Ignacy Süsser.* „Kilka słów o żargonie i teatrze żydowskim.“ Lwów. 1891.

Autor, zachęcony pracami Klemensa Junoszy na tém polu, poświęcił się samodzielnym studyom o teatrze żydowskim, usiłując wyjaśnić rolę, jaką teatr żargonowy odgrywa obecnie w społeczeństwie żydowskiém i odgrywać może w przyszłości Zastanawiając się nad niektóremi dziełami scenicznemi, pisanemi w żargonie, autor broni go, jako jedynego pośrednika do szerzenia myśli umoralniających i oświecających ciemną masę społeczeństwa żydowskiego.

— *Wł. L. Anczyc.* „Opisy i przygody w podróży po różnych częściach świata.“ Warszawa. Nakład Gebethnera. 1891.

— *Wilhelm Feldman.* „W okowach“, powieść, tomów 2. Lwów. Nakład księgarni polskiéj. 1891.

Autor, poświęcający się dotychczas analizowaniu stosunków żydowskich i przedstawianiu ich w formie powieściowéj, niniejszą powieść osnuł na tle życia szlacheckiego średnio-zamożnych sfer.

— „Elementarne zasady ekonomii politycznéj.“ Z niemieckiego opracował B. S. Warszawa 1891.

Jest to nie dzieło, jakby z tytułu sądzić można, lecz popularna broszurka o 64 str., w któréj autor starał się wyłożyć, o ile można najtreściwiéj, ażeby broszurkę uczynić popularną w najszerszych kołach, teoryę wartości i powstawania nadwartości.

— *Rembacz Jan Ew.* „Ballada w literaturze niemieckiéj i polskiéj, oraz znaczenie jéj dla celów szkoły średniéj.“ 1891.

— *Ks. Józef Ambrożewicz.* Najdokładniejszy sposób sycenia różnych gatunków miodów czystych, owocowych i win owocowo-miodowych. Warszawa 1891.

— *Adolf Starkman.* „Deklamator“ (zbiór monologów). Warszawa 1891.

— *Harajewicz Władysław dr.* „Gimnastyczne leczenie chorób niewieścich, według metody Thuve-Brandta“, opracował... Kraków, 1891.

— *Filipowicz Karol.* „Wobec nizkich cen zboża.“ 1891. Warszawa.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1891.

Strona

Historya.

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Literatura.

Studya literackie.

Studya artystyczne.

Krytyka.

Kronika zagraniczna.



